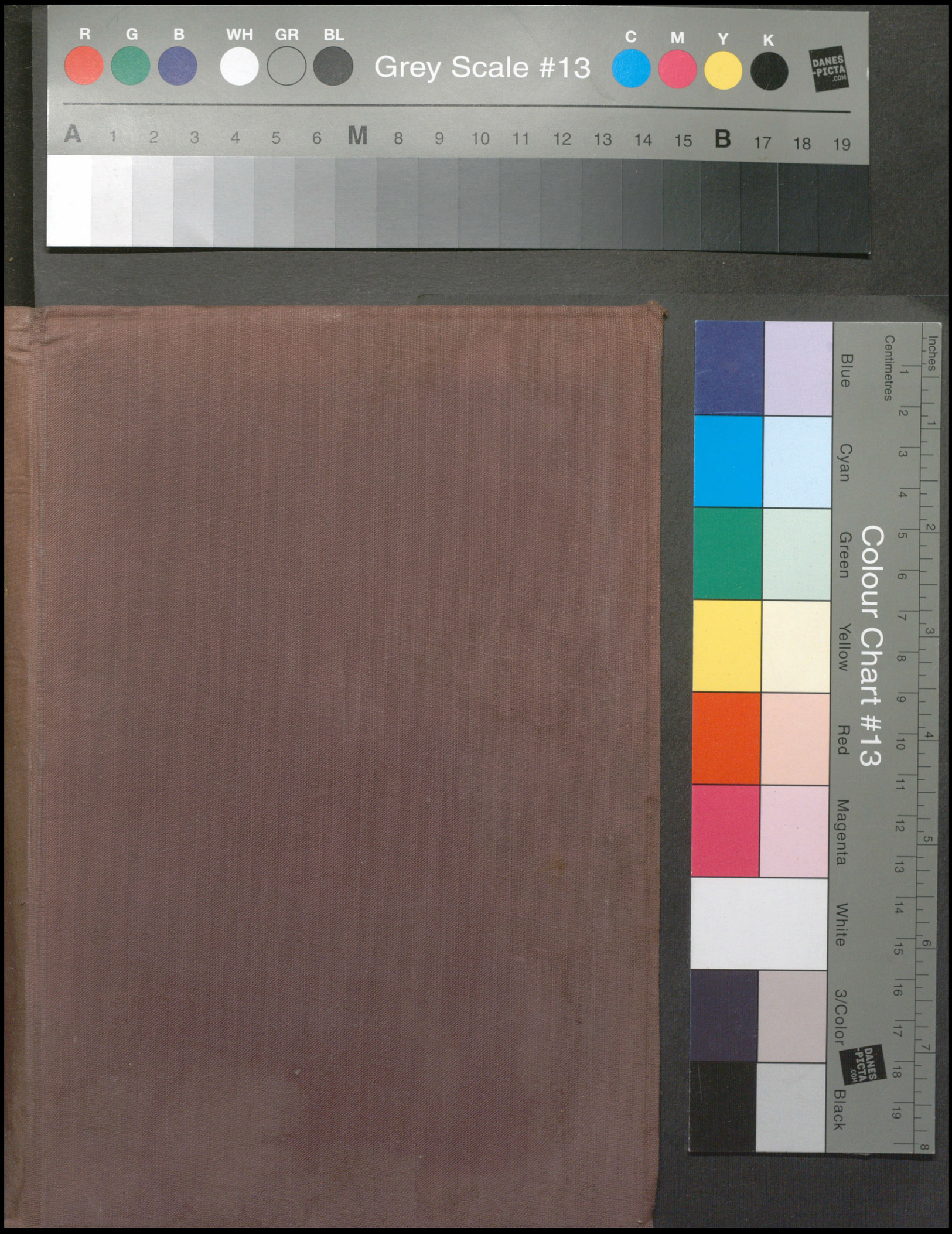
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

DZIEŁA

JÓZEFA KREMERA.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I ROZBIORU PRAC KREMERA
ORAZ NOTATEK UZUPEŁNIAJĄCYCH,

PRZEZ

HENRYKA STRUVEGO.

TOM IV.

LISTY Z KRAKOWA.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr 39.
1877.

Józef Kremer.

LISTY Z KRAKOWA.

TOM I.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI

I

Dzieje artystycznéj fantazyi

CZĘŚĆ PIĘRWSZA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr 39.
1877.

701

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Іюня 1877 года.

3115/2

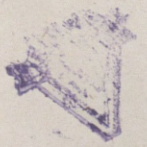

Listy z Krakowa.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.

List Pierwszy.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów. — Stanowisko całéj osnowy. — Usprawiedliwienie formy.

Kraków — w Jesieni 1841 r.

W ostatnim liście twoim, piszesz mi, drogi przyjacielu mój, że sprawy powołania twojego i codzienne zatrudnienia tak ci czas zajęły, że, mimo nawet szczeréj chęci twojéj, brakłoby swobody, byś się mógł rozczytać w tém wszystkiém, czego się dorabia świat nam spółczesny w dziedzinie wiedzy i umiejętności; a gdy przecież nie esteś obojętny na to wszystko, co się w świecie duchowym dzieje, więc wzywasz mnie, bym w listach moich do ciebie rozpisywał się nad jaką treścią naukową, przedstawiając ci jéj obraz wedle dzisiejszego stanu umiejętności, a zarazem nie szczędził moich własnych uwag nad przedmiotem przezemnie obranym. Zapewniasz mnie, że radbyś czytał listy takowe, bo w nich znalazłbyś jakiś odpoczynek i rozerwanie umysłu znużonego sprawami powszedniemi życia, a zarazem nabrałbyś choć ogólnego wyobrażenia o stanowisku dzisiejszém jednéj z nauk, które tak zacnie dziś się rozwijają. Zostawujesz mi nawet wszelką wolność, i co do wyboru saméj treści i co do rozciągłości jéj, ale nawzajem żądasz jedynie, abym pisując do ciebie miał nieustannie na pamięci, że choć lubisz nauki, wcale atoli nie

liczysz się z powołania do ludzi uczonych, że naukowość bynajmniéj nie jest zadaniem życia twojego; a tém samém wymagasz odemnie, abym zastósował pisanie moje do usposobienia twojego. Słowem pragniesz, żeby sposób mojego wykładu mniéj miał na celu ścisłość umiejętną, jak raczéj aby był roztoczeniem choć w lżejszéj formie ogólnych prawd, przyjętych już dziś przez celnych pracowników w pewnéj gałęzi wiedzy ludzkiéj.

Chętnie odpowiem tym życzeniom twoim, ale wyznaję ci otwarcie, że swoboda, którą mi nadajesz co do wyboru przedmiotu samego, niepospolitą właśnie stanowi dla mnie trudność. Jakoż uważ, iż co do saméj osnowy wybór nie jest tak łatwym; bo jakże bogate jest koło wiedzy ludzkiéj! pełno jest tam przedmiotów, o których z pewnością przewidzieć możesz, iż za zbliżeniem się naszém okażą nam cały urok skarbów swoich i sowito wynagrodzą łożoną dla nich pracę. Wiész dobrze, iż z umiejętnościami tak się dzieje, jak z zacnymi ludźmi, im dłużéj z nimi pożyjemy i głębiéj ich poznamy, tém téż serdeczniéj ich kochać i cenić umiémy. Nie dziw tedy, iż długo się z sobą ważyłem rozbierając pilnie naturę każdéj treści, a przytém i własną nieudolność moją.

W téj wątpliwości jednak pomogło mi nakoniec i rozpatrzenie się we własnéj osobie twojéj; a lubo jak mi powiadasz, nie jesteś z powołania naukowym człowiekiem, widzę przecież w tobie obszerny i wszechstronnie ukształcony rozum i uczucie głębokie i trafne, będące owocem wrodzonéj szlachetności duszy, a długiego nad sobą i światem myślenia; pragnę przedstawić ci tego rodzaju osnowę, coby sobą dotknęła całą treściwość rozłożystego twego umysłu i zająć zdołała wszystkie strony ducha twojego.

A lubo wypadało mi przedewszystkiém policzyć się z własnemi siłami i zapytać się, czyli wystarczę przedsięwzięciu takowemu, wszakoż przeważyła wszystkie wątpliwości nieskończonych dla mnie powabów myśl, iż właśnie przedmiot takowy zawiąże tysiące nitek i stosunków między twoim umysłem i moim, i że za pośrednictwem treści takowéj zetknąć się zdołamy we wszystkich punktach ducha naszego. Nadzieja ta tém głębszego dla mnie nabierała znaczenia, gdym zawsze był zdania, iż jest wielkiéj wagi korzyścią dla piszącego, aby czytelnik nie sądził o nim z ułomków jego istoty, ale poznał go we wszystkich gałęziach umysłowości jego.

Wypadało mi tedy taką znaléźć treść dla pracy mojéj, któraby w jednym spólnym środku zebrała całą czynność ludzką i była niby ostatecznym wypadkiem i summą życia naszego tak duchowego jak materyalnego; a takowym przedmiotem są, wedle mojego zdania, *sztuki piękne*. W nich zjawiają się jakby kwiatem wszystkie pierwiastki żyjące i pracujące od wieków w duszy człowieka, w nich obaczysz na oczy wszystką treść człowieka, ale oblaną wdziękiem nadświatnym. Jakoż w sztukach pięknych człowiek składa całego siebie, im powierza najdroższe serca swojego uczucia, i wiarę swoją

i nadzieję, i tęsknotę swoją; a co jest dla duszy dopiéro jakiémś jasnowidzeniem, toć mistrz przeistacza na dzieło piękności; w tych to dziełach jego znajdziesz i cały dobytek prac naukowych, i prawdy z wiary płynące, i zasady z filozofii i doświadczenia czerpane; te dzieła równie wyraźnie wyjawiają nam i jasne i ciemne ludzkiego rodu chwile, i wszystkie koleje ciągle zmieniającéj się historyi jego, jak i dzieje Natury, toczące się od początku stworzenia przekazaném im kołem; wszystko co jeno człowieka obchodzić może i co porusza głębiny duszy jego, wszystko to wyraża się w dziełach sztuki pięknéj. Dla tego też one są tém wielkiém ogniskiem, jakie Bóg światu rozpalił, i do którego chodzą grzać się wszystkie wieki i narody i wszyscy ludzie bez względu na różnice powołania, wieku, płci i położenia towarzyskiego.

Czy się zaś piękność okaże w dziełach architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki lub poezyi, zawsze one będą najpowabniejszym wieńcem żywota umysłowego, a poświęcenie im pracy swojéj, tyle zaiste ma uroku, ile też i zasług.

Zamierzając sobie atoli zabrać się piórem około sztuk pięknych, daleki jestem od myśli, abym był godnym robotnikiem a sługą w téj winnicy Pańskiéj; rozumiem jednak, iż świetność przedmiotu samego udzieli mi trochę poświaty swojéj, i że ta drobna praca moja pożyczy sobie od osnowy saméj cząstkę jéj wartości.

Wiem również, iż lubo mała liczba prac naukowych przetrwać zdoła czas swój i spłynąć puścizną na późniejsze pokolenia, inne zaś choć toną w zapomnieniu i do imienia nawet giną w ogromnéj powodzi prac ludzkich, przecież każda w swoim szczupłym zakątku i w skromnym obrębie, choćby tylko przez chwilę czasu swojego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie na świecie, i choć atomem przyczyniła się do ogólnéj budowy czasów, zwłaszcza gdy była w poczciwości podjętą i w dobréj wierze odprawioną. Mogę tedy sobie rościć nadzieję, że i ta drobna robota moja stanie za grosz wdowi w wielkiéj sprawie oświecenia. Bo gdy się sekundy złożą, zrodzą wieki, a ziarnka granitowego piasku wydźwigły turnie tatrzańskie.

Spodziewam się tedy, iż przed sądem twoim pobłażanie znajdę, a to tém więcéj, gdy, jak wiesz dobrze, tak mało mam poprzedników w literaturze naszéj (*). Jakoż ze wszystkich sztuk pięknych jedna prawie Poezya, sama jaśniejąc u nas tak pełnym, tak świetnym kwiatem, znalazła przeważne komentarze i zasłużonych prawodawców swoich (**). W téj więc stronie piśmiennictwa naszego nie

(*) Przypominam czytelnikom, że te wyrazy były pisane 12 lat temu; od tego czasu pojawiły się wielce znakomite, a nawet systematyczne dzieła o Estetyce, które zaprawdę są zbogaceniem niepospolitém literatury polskiéj. (Ma tu Kremer głównie na myśli *Umnictwo piękne* Karola Libelta. St.)

(**) Od czasu napisania tych słów przez autora, rozwinęła się u nas obok poezyi

jedno piękne imię świeci; przewiduję, iż tu lub owdzie zejść mi się z niémi wypadnie, a w takim razie jak jawnie i rzetelnie wypowiem, gdy sam innego będę zdania, tak nawzajem z wielkiém serca zadowoleniem będę korzystał z prawd, które inni na pewnych utwierdzili podwalinach, i choć wątłemi siłami przyczynię się do wzmocnienia prawdziwych wyobrażeń o piękności, które już w powszechnéj literaturze stanęły. Myślę bowiem, że jak samo przeczenie obcych zdań może być sprawą lada czyją, tak ten duch przeczenia i ciągłego niweczenia jest iście *złym duchem*.

Z tych tedy powodów rozumiem, iż każda praca literacka winna przypierać do całéj budowy spółczesnéj jéj naukowości, boć każda jest niby listkiem wyrosłym na drzewie ogólnéj wiedzy swojego stulecia. Każdy zaiste człowiek jest synem wieku swojego; wiek, w którym on żyje, jest dla niego jakby planeta przekazany mu od Opatrzności na mieszkanie; z nim razem odprawia biegi koło słońca i świata wszechnicy, na nim się rodzi, żyje i kości swoje składa. Pragnąc więc, aby i ta praca moja nie była czémś zupełnie odrębném a li o sobie stojącém, wręcz i wyraźnie pisać ci będę choć nie tak ze stanowiska, toć przecież na stanowisku spółczesnéj nam filozofii, używając myśli jéj zasadniczych za kanwę, na któréj roztoczę obrazy tego, czego sam doszedłem myśleniem, rozmową ze znawcami sztuki, wpatrywaniem się własném w arcydzieła piękności, i co mi nastręczyła literatura estetyczna ostatnich lat tak bogata w znakomite badania, a nawet korzystać będę z prac mistrzów nauki w innych dzielnicach wiedzy ludzkiéj, a mianowicie o ile takowe zostają w jakiémś pokrewieństwie z treścią téj przedsięwziętéj pracy mojéj.

Nie tracąc zatém osobistéj niezawisłości, będę korzystał z dzisiejszego stanu literatury, a tak stając na pracach poprzedników zachowam téż własne piętno moje. Albowiem jak pomijanie dobytków umiejętnego świata i chętka rozpoczynania nauki od siebie, jest bezwątpienia zarozumiałością i śmiesznem zuchwalstwem, tak i wyrzeczenie się własnego ugruntowanego przekonania jest rzeczą niegodną myślącego człowieka.

Tak już będącemu z samym sobą w zgodzie względem treści mojéj, chodziłoby mi jeszcze o formę dla téj treści; lecz ty sam szczęśliwym instynktem wiedziony nastręczyłeś mi formę *listów*. Jestem wprawdzie przekonany, iż praca systematyczna, a będąca niby całością organiczną i plastyczną w sobie, byłaby iście najgodniejszym kształtem dla zamierzonéj osnowy mojéj, ale widzę równie, iż forma takowa ani mnie ani tobie nie byłaby na rękę. Pismo bowiem tego rodzaju z góry zaraz wymaga osobnego zakroju swojego, aby samo

---

i sztuka plastyczna. Świetne stanowisko, jakie *malarstwo polskie* w sztuce europejskiéj zajęło, powszechnie jest znaném; a *rzeźba* także daje pocieszające dowody nowego, ożywczego tchnienia, lubo dotąd swego *Matejki* jeszcze nie znalazła. (St.)

poczęcie, pochód dalszy i ukończenie, stworzone niby jednym odlewem, składało się jakby w posąg pełny w sobie harmonii i co do treści i co do umiejętnego wykładu. Aby zaś pokusić się o doskonałość takową, trzeba być bardzo pewnym sił swoich, i naprzód wiedzieć, iż się ją ukończyć zdoła; gdy tymczasem przewidzieć się nie da, czy ty zajęty sprawami codziennego życia będziesz zawsze miał sposobność potemu, byś ściśle poszedł za wątkiem osnowy takowéj, i jak długo ona będzie godną uwagi twojéj; również i ja, mogąc jedynie na dorywku pisać, nie wiem czyli będę miał zawsze dość swobody i siły potemu. Jak ty bowiem spodziewasz się znaléźć w téj pracy mojéj rozerwanie umysłu, tak i ja w niéj szukam ochłody i orzeźwienia myśli z powszedniego zatrudnienia; książka zaś systematyczna byłaby i dla ciebie i dla mnie pełną grozy pracą. Zresztą sam wiesz, jak trudno utrzymać jedność harmonijną w saméj zewnętrznéj formie, i jak wielce wykład zawisł od chwilowego natchnienia i rozmaitéj życia pogody.

Z tych wszystkich powodów przeto zgadzam się zupełnie na formę listów; z czego obiecuję sobie jeszcze inne mnogie a dla mnie bardzo ważne dogodności, bo nie tylko otworzy się miła dla mnie sposobność częstych z tobą stosunków, ale też będę mógł pisywać do ciebie w każdéj chwili i pod różném nastrojeniem umysłu; nie zawadzi bowiem choćby i każdy list miał inną barwę swoją. Nadto forma listów nadaje mi prawo skreślenia ci wprost, co mi przy sposobności myśl i serce pod pióro przyniesie, a nie spuszczając z oka głównego celu mojego, będę mógł czynić wycieczki w przedmioty będące w związku ze sztukami pięknemi; tym sposobem zdołam wedle upodobania tak długo rozwijać rzecz całą, póki tobie do czytania ochoty a mnie do pisania swobody nie zabraknie.

Nie oznaczam ci też dla tego liczby listów moich, może ich będzie bardzo długi szereg, może ich liczba będzie bardzo szczupła; ilekolwiek zaś nakreślę, zawsze złożą jakąś całość ukończoną w sobie, a zaczynając od najogólniejszych zasad teoryi, zapuszczę się w coraz bliższe szczegóły sztuki całéj. Unikając rozrywania materyi, postaram się aby każda ważniejsza osnowa całkowicie, ile możności, w jednym liście objętą była; będą tedy listy nierównéj obszerności, a obojętną jest rzeczą, choćbym niekiedy i przestąpił miarę właściwą listom zwyczajnym.

Otóż widzisz cały zamysł mój; upraszam tylko, abyś sobie nie robił zbyt pochlebnych dla mnie nadziei. Jeżeli zaś te listy upodobanie twoje zjednać sobie zdołają, toż zechciéj z twéj strony wyjawić zdanie swoje o méj pracy. Wiem iż w końcu zawsze się zgodzimy; boć tak najczęściéj bywa, jeżeli różność zdania pochodzi ze szczerego zamiłowania prawdy, nie zaś z chęci pustéj utrzymania się przy swojém, a spór poczciwie i w dobréj wierze wiedziony, kończy się zawsze z korzyścią dla rzeczy saméj i z podwyższoném poważaniem wzajemném.

List Drugi.

Ogólny widok na sztukę.

Stosunek dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury. — Zjawiska nam spółczesne, dowodzące budzącéj się miłości do sztuki. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchowienia się czasu. — Sztuka ma cel swój sama w sobie. — Sztuka jest ogniwem łączącém świat duchowy z cielesnym. — Historya sztuki jest obrazem rozwijania się duchowéj potęgi ludzkiego rodu. — W świecie chrześciańskim sztuka straciła wagę swoją.

Wśród zgiełku codziennego życia, wśród kłopotów i kłopotków powszednich, i zabiegów, i wrzawy świata, bieży nam czas cały i wiek nasz. Niby falą płynie trud za trudem, praca ściga pracę, a wśród tego zamętu i hałasu nie dosłyszysz i wołania wyższéj natury człowieczéj i szlachetniejszéj istoty swojéj. Niekiedy atoli odezwie się w głębiach piersi znienacka ten głos, tak silnie, tak potężnie i cudownie zarazem, że już umilkną w duszy wszystkie nizkie chęci i pragnienia, i pierzchną niby mgły nocne przed wschodzącą jutrzenką. Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawno zapomniana, znów zadzwoni niby pieśnią anielską i obudzi chęci, uczucia i myśli do innéj należące dziedziny. Rzekłbyś, że matka, dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęsknącą sierotę; bo chwile takowe uświęcają nas do wyższego powołania i wzywają, byśmy wstąpili w głąb' siebie i zbadali do dna wiekuistą istotę naszą.

Zaprawdę, i narody całe, i stulecia, i części świata takie mają chwile, taką stronę żywota swojego. Patrz na naszą mądrą i doświadczoną Europę, zdawałoby się zrazu, iż rękodzieła, papiery, handel, przemysł, weksle, kredyt, koleje żelazne, para, banki i roje corocznych a coraz świetniejszych wynalazków, przygłuszyły wszelkie życie duchowe; że wśród hałasu tego, wśród gonitw niezmordowanych za zarobkiem, przepomniano o wyższych celach człowieczéj istoty. Jeżeli zaś głębiéj zapuścisz oczy w ten żywot spółczesnego nam towarzystwa, wyświeci się jasno, iż właśnie podniesienie materyalnego bytu jest potężną pobudką umysłowego przebudzenia; a jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną i starą jak świat, iż jedynie w zdrowém i silném ciele silna też i potężna dusza przemieszkiwać może, natenczas nie podlega wątpieniu, iż ułatwienie w zaspakajaniu potrzeb cielesnych, jest warunkiem koniecznym zwrócenia myśli do nadzmysłowych rzeczy.

Przemysł materyalny jest ciałem społeczności umysłowéj. Dowodem tego jest przeszłość cała. Marzenia tysiącoletnie staréj Azyi, dzieje poranne człowieka w Grecyi, i prace harde i pełne majestatu dawnego Rzymu, i wysiłenia następnych dziesięciu wieków płowieją

w obliczu dziwów obecnego nam świata. Bo jeżeli niegdyś człowiek, pasując się z sobą i żywiołami, pełnym boleści mozołem pracując ciężko na to życie swoje, nie miał ani siły po temu, ani swobody, by się wzniósł ku wiekuistemu pochodzeniu ducha i wypiastował niebiański pierwiastek jego; dziś już we wieńcu swych cierpień i chwały ociera czoło krwawym znojem zlane, widzi, że nowe zaranie dnieje nad przyszłością jego; żywioły poddały mu się w panowanie, zaprzęgły się na jego miejsce, pracują na niego. A nabrał tém potężniejszego hartu, gdy dawna walka z potęgami natury wyćwiczyła siły jego, wzmocniła ducha i wyrobiła go w sobie. Gdy zaś najgłówniejszym warunkiem fizycznego świata jest przestrzeń, bo każda rzecz materyalna miejsce jakieś sobą zajmować musi, więc też przestrzeń była najpotężniejszym oporem, który ten świat materyalny stawiał dotychczas zwycięztwom umysłowym człowieka. Ale dziś ta trudność przemożona. Para uskrzydla podróże, morzem i lądem zniesione oddalenie, wielka społeczność ludzi, rozstrzelona w kraje osobne i dzielnice świata, rozdrobiona w ludy daleko od siebie mieszkające, czuje się być znienacka zbliżona do siebie; miasta, rozsypane na setki mil, już sąsiadować z sobą będą, a za handlem rzeczy materyalnych trop w trop pójdzie zamiana najkosztowniejszego towaru, bo udzielanie i nabywanie wzajemne pojęć i cywilizacyi umysłowéj. Niebawem tedy ród ludzki będzie miał za wspólny dom swój Ziemię całą, a za ojca jedynego Boga na niebie, a tak zaiste spełnią się obietnice najpiękniejsze i zwiastowania Chrześciaństwa na świecie.

Nie dziw tedy, iż przy wzmożeniu się potęgi materyalnéj ludzi, wśród wartkich łoskotów przemysłu, będzie korzystać koniecznie i część umysłowa człowieka, i rychléj lub późniéj zajmie godne siebie stanowisko. Bo nawet, im głośniejsza zewnętrzna wrzawa i ruchawsze zabiegi świata, tém też silniejsza potrzeba schowania się w sobie i otulenia się sobą samym. Téj prawdy dowodzą zjawiska, które się wszędzie czuć dają. Pomijając już owe ciche ale liczne prace rodzące się w samotnéj izbie uczonych, i umiejętności po Akademiach, co z katedr dla szczupłéj liczby wybrańców płyną; nie wspominając już o mnóstwie dzieł, co choć może nie zawsze głębokiém ale zaiste coraz przystępniejszém dla wszystkich korytem wylewa się na świat, wspomnę o jednéj tylko oznace silnie ocknionéj dążności umysłowéj: jest to owo wszędzie dostrzedz się dające zasmakowanie publiczności europejskiéj w rozkoszach sztuk pięknych. Były wprawdzie wieki słynące wielkimi mistrzami w pewnéj gałęzi sztuk, na których stulecie nasze zdobyć się nie może, a przecież od czasów staréj Grecyi nigdy wielka publiczność nie zajmowała się więcéj estetyczném wykształceniem jak dziś. Nasz wiek nie dałby umrzeć Cerwantesowi z głodu, ani Tasso nie byłby zmuszony, jak niegdyś, pożyczyć sobie w Paryżu talara jednego, ani Coreggio umarłby pod ciężarem miedzi zapłaconéj mu za arcydzieło jego; a da-

wnęż to czasy, gdy Schiller, chirurg batalionowy, mdlał w lesie z nędzy i czczości?

Dziś prawdziwy geniusz dorobi się zawsze wieńców i nagrody należnéj, bo podstawą jego szczęścia i chwały jest szeroka, bo nią jest ukształcenie i sąd publiczności całéj; już dziś dla artystów nie ma owego dawnego znaczenia łaska lub protekcya osób przeważnych, zawsze niepewna i chwiejąca się. W naszych czasach nie mają się o co troszczyć Vernety, Lipińscy, Suchodolscy, Thorwaldseny; żadna więcéj niełaska lub intryga nie podkopie ich sławy, ani przyszłości nie roztrąci. Wszystkie prawdziwe talenta do uznania swojego przychodzą.

Powiesz może, iż zajmowanie się publiczności sztuką piękną, dowodzi raczéj powierzchownego lubownictwa niż znawstwa, że wśród tłumu powołanych mała liczba odbiera święcenie na kapłaństwo do świątnicy sztuki, że u większéj części sztuka piękna zastępuje jedynie miejsce zabawy, lub służy próżnéj chęci wystawności. Nie chcę temu przeczyć; niechaj się atoli święci czas taki, kiedy już szlachetniejsze rozkosze choćby dla zabawy poszukiwane będą; niechaj się, powiadam, święci czas taki, w którym wystawność i zamożność domu okazuje się raczéj kosztownym posągiem, cudnéj piękności obrazem, lub smacznie budowanym domem, niżeli, jak to dawniéj bywało, tłuszczą służby próżnującéj lub szarańczą pasibrzuchów. Zbytek okazujący się w dziejach piękności jest zbytkiem ze wszystkich najszlachetniejszym.

Już to nawet i Schiller powiedział, iż łatwiéj poznasz, czém kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, jak z tego nad czém pracuje. I bardzo słuszne wedle mnie jest to orzeczenie, gdyż najczęściéj każdy pracuje, bo musi, a zawsze bawi się, jak chce. Świętem uroczystém dla Grecyi były igrzyska; tam obok siły i zwinności cielesnéj okazywano potęgę i zwinność umysłową. W obliczu całego zgromadzonego ludu, wieszcze uderzywszy w lutnie śpiewali pieśni swoje bogom i wielkim ludziom na cześć; historycy czytali dzieje, pełne chwały ludu, który ich słuchał, a lud ten dawał im oklaski i wieńce. Przeciwnie w onym Rzymie trzeba było mordów i rzezi na krwawéj Arenie, by zabawić naród, co się panem świata uczynił. Hiszpanów, owych katów całych ludów Ameryki, rozkoszą jest walka z rozjuszonym bykiem. W średnich wiekach nie zawsze skręcano sobie karki na turniejach dla rozrywki, ale znano i inne rozkosze; dość ci będzie przypomnieć Truwerów, Minstrelów, Minnesengerów, i owe *Jeux floraux* i *Corte d'amore*, których ślady w Tuluzie do dni naszych się przechowały. Otóż każdy wiek i naród ma swoje smaki będące piętnem jego. Nigdzie tak dobitnie, jak przy zabawie, nie odróżnisz barbarzyńca od ukształconego człowieka.

Mógłbym ci zaiste przytoczyć wiele zjawisk, będących dowodem, że w czasie nam spółczesnym, kłuje się zewsząd miłość do sztuki pięknéj. Nie rozwodzę się nad tak świetném, a może nawet i prze-

sadném powodzeniem po świecie mistrzów muzykalnych, ani nawet nad wychowaniem dzisiejszém, w którém zwykle za ważny pierwiastek uchodzi nauka muzyki i rysunku; nie będę ci też prawił o wystawach publicznych rzeźb i obrazów, ani o licznych już stowarzyszeniach w celu opiekowania się sztuką piękną, a szerzących tak szczęśliwie wśród saméj publiczności zajęcie się dziełami sztuki; pomijam już te wszystkie tak ważne oznaki, bo lubo one, jak i inne podobne im sprawy, mają wielkie znaczenie swoje, uważam atoli, że daleko silniejszą wróżbą ocknienia się powszechnego zmysłu dla sztuki, jest kilka innych pojawów, będących tak charakterystyczną cechą naszych czasów. Pod tym względem zwracam baczność twoją na chęć tak wyrazistą upięknienia natury, która, w około otaczając człowieka, jest jakby ciałem każdego narodu. Teraz po wielu stronach Europy, mianowicie w Niemczech, zawiązały się stowarzyszenia i komitety, mające, jak same orzekły, na celu „upięknienie ojczyzny swojéj". Więc pomagają naturze własnego kraju. Komitety wybrane z ludzi kochających ziemię ojczystą a z estetyczném wykształceniem, zajmują się stworzeniem pięknych, naturalnych pejzażów; więc stroją w kwiaty, w krzewy miejsca jałowe, ułatwiają przystęp do widoków pięknych, sprowadzają stare drzewa, by ubrać brzegi jakiegoś jeziora lub rzeki, opiekują się biegiem potoków, budowaniem zgrabnych mostków, torują ścieżki wdzięcznym zakrętem, zakładają chodniki, przeistaczają pustkowia, cierniem i chwastem zarosłe, na łąki lub gaje i t. d. Ale trudno wyliczyć tutaj te wszystkie prace, które niby tak drobne a przecież zmieniają fizyognomią całéj okolicy, przeistaczając ją na pejzaż jakby idealny, który tém jest wdzięczniejszy, że rzeczywiste parki, założone koło miast, dworów i pałaców wiejskich, nie kończą się znagła, znienacka, ale zwolna i niepostrzeżenie przechodzą w pejzaż przyrodzony kraju. Wyznasz, że to staranie około piękności ziemi ojczystéj nagradza się już samo przez się użytkiem rzetelnym, który na mieszkańców spływa; ale nadto te wdzięki, nadane ziemi ojczystéj, uszlachetniają i człowieka, mieszkającego wśród uszlachetnionéj natury.

Zwracam jeszcze teraz uwagę twoją na zjawisko, równie ważne, bo na owe wystawy po krajach europejskich, w których, obok wyrobów przemysłowych, umieszczone są dzieła sztuki właściwéj. Rzemieślnik, rękodzielnik, fabrykant, przypatrując się pracom własnego powołania, widzi zarazem dzieła artystyczne, a tak uczucie piękności form, choćby nawet bez wiedzy jego, przenika w duszę jego, i w niéj rozpoczyna magiczne pracowanie swoje. Tym trybem, choć zwolna i niepostrzeżenie, roboty ślusarskie, garncarskie, złotnicze, kotlarskie, stolarszczyzna i kamieniarka nabierają form wdzięcznych, artystycznych. Coraz przeto silniéj a silniéj rodzi się chęć do ornamentyki, czyli do sztuki umiejącéj stroić i zdobić narzędzia, sprzęty, wprost do powszedniego użytku, do potrzeb codziennych przeznaczone. Ta sztuka zdobiąca, lubo tutaj jest tylko przydatkiem, lubo

tedy nie istnieje jeszcze dla siebie i o sobie, lubo nie jest usamowolnioną i *wyzwoloną*, lubo dopiéro jest sztuką nadobną, toć przecież jest jakby ogniwem pośredniém między prostém rzemiosłem a sztuką właściwą. Obejdzie się podobno bez długich rozpraw nad głębokiém znaczeniem tego kierunku przemysłu i rękodzieł; nie potrzeba zaiste szerokich wywodów, by wyświecić wpływ, jaki ten kierunek wywiera i na wyrabiających te przedmioty, i na tych, którzy je kupują dla użytku swojego. Jakoż praca tego rodzaju około rzemiosła uszlachetnia się i uzacnia, a tém samém, nabierając coraz wyższego duchowego znaczenia, uzacnia i tych, którzy się nią trudnią, a tak co piękne i urocze wnika w wielką część pracującego ludu. Bo jak piękność form wykształca i podnosi uczucia, tak praca rąk nabiera wyższego znaczenia, a na krwawy trud rzemieślnika spływa uświęcenie z góry. Granice, dotychczas wydatne, a niby nie przebyte między rzemiosłem a sztuką właściwą, łagodnieją; a zatém i przejście z warsztatu do pracowni artystycznéj łatwiejsze; majster przeistoczyć się może na mistrza! Przypominam ci Wieki Średnie, gdy i artyści składali cechy swoje, podobnie jak rzemiosła, w tych czasach też niejeden rękodzielnik przeszedł na artystę (np. Benvenuto Cellini, Piotr Vicher). Przywiedź sobie na pamięć wyroby z owych czasów: te klucze zdobne, okucia, zamki misterne, artystyczne, te stare prasy, szafy, w snycerstwo ubrane, lichtarze, dzwonki, dzbany, puhary, zbroje bogato wyrabiane, te kamienne odrzwia w gałęzie i kwiaty, hafty na szatach i t. d. Wszak dziś, mimo wyraźnéj dążności do form estetycznych, wiele nam jeszcze brakuje, zanim wyrównamy średnim wiekom, pod względem użycia form i kolorów. Przypatrz się sukniom naszym, czyliż może być coś szpetniejszego jak te ubiory nasze! do czego podobne te ich barwy! im sukno mniéj podobném do jakiegoś koloru, więc im brudniejsza jego farba, tém modniejsze. Trzeba wyznać, iż i pod tym względem kobiéty wyższe są od nas szczęśliwym instynktem swoim i co do formy, i co do barwy stroju swojego.

Z drugiéj strony i ci, dla których się wyrabiają tak artystyczne sprzęty, zyskują niezmiernie wiele. Zważ bowiem, że sama kosztowność materyału (np. złota, srebra, palisandru, hebanu) bez artystycznych form, jak jest dowodem zamożności domu, tak zarazem jest smutném świadectwem barbarzyństwa właściciela. Wyznaj, że to życie nasze powszednie tak zwykle bywa biedne i prozaiczne, że się trzeba bronić całemi siłami od suchot duchowych, od zjałowienia serca i fantazyi; prawda, że do tego celu niepomału pomagają i muzyka w domu, kilka dobrych obrazów na ścianie, kilka książek i może ogródek, a choćby nawet doniczki z kwiatami na oknie; ale przecież forma estetyczna sprzętów, które nas w około otaczają, których codziennie używamy, wpływa daleko jeszcze silniéj choć nieznacznie na całe usposobienie psychologiczne nasze. Patrzmy, jakże wiele potrzeb cielesnych jest nam spólnych ze zwierzętami! Wy-

pada nam tedy koniecznie jakoś się uwolnić od téj spólności z jestestwami bezrozumnemi, wypada nam zaspokojenie tych potrzeb jakoś uduchownić, zidealizować; a to się dzieje w części przez nadanie formy estetycznéj sprzętom, narzędziom, których używamy właśnie przy zaspokojeniu tych potrzeb zmysłowych. Możemy się pochwalić, żeśmy się nauczyli już wiele w tym względzie od starożytnego świata; wyraźnie już widać, że nie darmo patrzymy się na owe prześliczne formy lamp, wazonów, puharów, samowarów wykopanych w Herkulanum i Pompei (*).

A prawiąc o oznakach wróżących rozbudzenie się miłości do sztuk pięknych, czyliż można pominąć zewsząd już kłujące się prace literackie, mające sztuki piękne za przedmiot swój; a mówiąc o takich pisarzach, czyliż można przemilczyć o ogromnych zasługach *M. Grabowskiego* i *Kraszewskiego?* Obaj ci zacni ludzie nie tylko słowem ale czynem, nie tylko teoryą ale praktyczném jéj zastosowaniem tyle już dokazali dobrego, że patrząc na ich usiłowania każdy człek poczciwy całém sercem zawoła: szczęść wam Boże na téj drodze! A gdy (o czém nie wątpię) czynność ich i staranie wywarły najszczęśliwsze skutki na koło, do którego stanęli w osobistych stosunkach, tak znów ich pisma rozchodzą się w najdalszą dal przenikając wszystkie warstwy czytelników. Ta siejba uczciwa pewno nie przeminie bez bogatego plonu. Uprzedzam cię, że być może, iż przeczytawszy np. Grabowskiego pisma, znajdziesz niekiedy zdania, co niezupełnie okażą się w zgodzie ze zdaniami, które tu i owdzie znajdziesz w tych listach moich. Aleć to nie wiele zawadzi, bo też nie mogę miéć pretensyi, abyśmy już wszyscy jednemi i temi samemi oczyma zapatrywali się na rzeczy; nie ma też nic nudniejszego jak jednostajność zdań; onaby dowodziła raczéj strupienia umysłow, a nie życia rozwijającego się w całéj pełni swojéj. Różność stanowiska pokazując rzecz z różnych stron nie zaszkodzi nigdy, a byle każdy sumiennie imał się pracy i wedle sił swoich, ile tylko może najlepiéj uiszczał się z roboty wziętéj na siebie, toć pewnie błogosławieństwa mu nie zabraknie, a praca jego nie pójdzie na niwecz. A obok Kraszewskiego i Grabowskiego godzi się też uczciwie i z poważaniem wspomnieć o Rastawieckim i Przezdzieckim, tudzież o innych szanownych pracownikach, którzy w ostatnich latach tak szczęśliwie zajęli się w różnych kierunkach robotą około sztuki pięknéj!

Witajmy tedy z całém sercem czas podający na miejsce grubych wesołości sztuki piękne. Przy wyraźnéj dążności świata do ukształcenia i uduchownienia istoty swojéj, spodziewać się też należy, iż

(*) W muzeum burbońskiém w Neapolu pokazują nam samowar znaleziony w gruzach pompejańskich, podobny z kształtu do samowarów naszych (z kominkiem), ale forma jego nierównie estetyczniejsza, strojna i zdobna.

i u nas znikać zaczną owe zabawy barbarzyńskie, wpływające niby z potrzeby nastrojenia nerwów i napięcia umysłu, a szafujące minutami i godzinami jakby zdawkową monetą życia. Co aby się jak najrychléj stało, daj Boże!

Zasmakowanie w sztukach pięknych jest zawsze wróżbą uduchownienia się czasu i pierwszym szczeblem poznania najwyższych prawd, bo sztuki piękne dopiéro przez zmysły na nas działają. Porusza cię rzeźba, obraz, budowanie; toć przecież to są rzeczy, co twój wzrok, co zmysły uderzają, a przez tę zmysłową formę świeci istota duchowa. Oczyma posągu lub obrazu spogląda na nas świat nadzmysłowy; architektura, ciosami i cegłą cuda sprawiając, jakby pieśnią przejmuje duszę; wszak i tony muzyki są brzmieniem zmysłowém, bo do słuchu zmierzoném; ale harmonia, ale melodya, którą się tony te wiążą, zrodziły się w głębiach duchownych i do ducha płyną: a cóż dopiéro rzec o poezyi, co potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok wszystkich sztuk zarazem. Sztuki odziewają prawdy żywotne piękności szatą. A co nam filozofia podaje w trudnych i jedynie abstrakcyą doścignych rozumowaniach, sztuki piękne tchem swéj potęgi przetwarzają na ciepłe i pełne życia istoty. Ztąd Göthe gdzieś powiada, że prawdy zstąpiły nagie z nieba na ziemię, a sztuki sprawiły im sukienki. Lecz z tego wszystkiego już poznać możesz, że w każdém dziele sztuki dwa zaiste różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny, drugi duchowy, będący prawdą nieskończoną. Pierwszy dla zmysłów przystępny, drugi tylko dla samego ducha widza lub słuchacza istnieje. Pojmowanie takowe istoty sztuki jest główną piastą całego przyszłego rozumowania naszego, a dostatecznie późniéj udowodnioném zostanie.

Jeżeli więc w życiu całego naszego rodu piękność jest tak wielkiéj wagi pierwiastkiem, warto, byśmy téż całą myślą naszą zanurzyli się w ten świat i poznali najskrytsze tajemnice jego. Zanim atoli zapuścimy się w ten bliższy rozbiór przedmiotu naszego, przedewszystkiém radbym jedynie w téj chwili uprzątnąć niektóre wątpliwości, jakieby ci się zrazu nasunąć mogły. Potrzeba żebyśmy je na wstępie samym z siebie zrzucili, niby juki dalszy pochód nasz opóźniając.

Powyżéj rzekłem, że dwa są pierwiastki w dziele sztuki, że w sztuce duch, prawda nieskończona, wciela się w postać zmysłową, i że dlatego właśnie piękność artystyczna jest pierwszą nauczycielką człowieka, roztwierając mu państwo duchowe i objawiając mu prawdy najwyższe. Być atoli może, że się łatwo nie zgodzisz na samo wyobrażenie takowe o piękności i powiesz, że przecież daleko prostszą drogą do nauczenia prawdy jest gołe rozumowanie, nieodziane w żaden przystrój, że ono rychléj do celu doprowadzi i wyraźniéj nam wskazuje, o co w życiu istotnie chodzi, niż wszelkie piękności dzieła, w których niekiedy i bardzo trudno dopatrzyć się prawdy; że sama prawda nie z ułudy lecz z prawdy się rodzi, bo człowiek nie

pieszczotami piękności, ale cierpką pracą dokupuje się przekonania swojego; słowem, że sztuki nie są wcale właściwym środkiem do celu. Otóż ten zarzut nie tylko tobie ale każdemu zrazu mimowolnie do myśli przyjdzie, skoro wspomni o wielkiém znaczeniu piękności.

Lecz ten zarzut byłby wtedy zupełnie słusznym, gdybym twierdził, jakoby nauczanie prawd najwyższych było celem sztuk pięknych, bo w takim razie nauka ścisła, umiejętność gruntowna mogłaby zaiste zastąpić sztuki i byłaby daleko właściwszym środkiem do celu. Obaczymy już w inném miejscu dokładniéj, że oswojenie człowieka z prawdą nieskończoną, wiekuistą, jest zaprawdę skutkiem sztuk pięknych, spływającym na umysł nasz, lecz nie jest ich celem.

Odrzuć przedewszystkiém myśl, jakoby sztuka piękna miała jakieś cele krom siebie, i jakoby była jedynie środkiem do osiągnienia jakiegoś dobra, będącego czém inném jak pięknością. Sztuka ma cel swój sama w sobie, sobie saméj jest celem i końcem, do którego zmierza. Tak jak i wszystkie prawdy niczyją nie są służebnicą, ani środkiem do osiągnienia obcych im celów, lecz same z siebie mają wagę i znaczenie swoje. Czyliż cnota, dlatego jedynie ma wartość wysoką, iż zradza wewnętrzny duszy pokój, że jest podwaliną towarzyskiéj budowy i źródłem szczęśliwości człowieczego rodu? Czyliż najwyższym celem wychowania młodzieńca jest to, aby się, jak mówią, dobrze wydał w towarzystwie, zaradzał sobie w przyszłości w każdéj potrzebie i znalazł w naukach sposób dalszego utrzymania swojego?

Czyliż prawdy matematyczne dlatego istnieją, aby służyły za ćwiczenie gimnastyczne rozumowi i miały zastosowanie w miernictwie, astronomii i przemyśle? Ktoby tego był zdania, mógłby równém prawem powiedzieć, iż miliony gorejących światów na niebie jedynie dlatego są stworzone, by nam ustroić i rozświecić ciemność nocy, by namiot niebieski rozbity nad ziemią wyszyć gromadami gwiazd błyszczących, na ozdobę mieszkania naszego. My mieszkańcy na téj drobnéj ziemi mieliśmy istotnie takie zarozumienie o sobie, bo podobni do źle wychowanego dziecięcia, mniemaliśmy, iż wszystko dla naszéj zabawy i pożytku jest stworzoném; a nawet aż do Kopernika świat mniemał, iż te tłumy ciał niebieskich, wraz z naszém słońcem, pędzą kołowrotem koło ziemi naszéj, jakoby około środka i pani swojéj; a było to nawet bardzo szczęśliwie, że gwiazdy tak są wysoko zawieszone, bylibyśmy może ich się naparli, by się z niemi pobawić i popsuć je w końcu. Zaledwie już mędrkowie się nie pytali, dlaczego zamiast owych gwiazd nie mamy kilku księżyców ziemi dodanych, boćby przecież piękniéj nam noc oświeciły i bogaciéj nam ustroiły niebo, niż owe słońc miryady, których małą tylko część gołém okiem dojrzéć można, a których nieskończonéj

chmary choćby najlepszym teleskopem człowiek na wieki nie dostrzeże.

Do podobnież krzywych rezultatów prowadzi fałszywe stanowisko i krótkowzrokie zapatrywanie się na rzeczy. Bo jako kwiat na iglicy niedostępnych Alpów, dyszy zapachem i świeci barwą, choć niewidziany nigdy od oka ludzkiego, kwitnąc jedynie Bogu samemu na chwałę, tak i gwiazdy mają cel swój w sobie, i dla siebie są stworzone, a nie służą naszéj drobnéj ziemi. Co innego zapewne jest twierdzić, iż gwiazdy stroją niebo nasze, a co innego, iż one dla saméj ozdoby tylko istnieją. Podobnie i zasady matematyczne są i były prawdą, choćby i nie było rodu ludzkiego, któryby je poznał; mimo to nie przeczę, że matematyka jest bezwątpienia ważnym wielce środkiem pedagogicznym do wychowania młodzieży, i że jako środek ma cel niby po za granicą własną, bo tym celem jest głównie wyćwiczenie abstrakcyjne myśli młodzieńca. Zresztą któżby zaprzeczył ważne wielce przysługi, które przyniosła matematyka innym umiejętnościom, a mianowicie życiu społecznemu w zastósowaniu technicznem swojém!

Gdy zaś już same przedmioty natury (np. kwiaty, gwiazdy) lub nauki mające właściwy sobie, więc ograniczony zakres (np. matematyka) nie mogą być wyłącznie uważane za środek do jakiegoś celu, cóż dopiéro rzec o prawdach wiekuistych, nieskończonych! One właśnie dla tego są, bo są. Wszak cnota jest prawdą wiekuistą, o sobie stojącą, bez względu na skutki zbawienne z niéj płynące; człowiek powinien być zacnym i poczciwym, dlatego że jest człowiekiem. Tak i sztuka piękna, dlatego stoi sama o sobie, dlatego ma cel sama w sobie, że w niéj tkwi pierwiastek wiekuistości, a człowiek tworzy dzieła sztuki, bo duch jego jest wiekuistym. Gdyby potrzeba jeszcze dowodów o nieśmiertelności ducha ludzkiego, możnaby rozpocząć również wywody takowe od jego potęgi stwarzającéj piękności i od upodobania, którego doznajemy patrząc się na dzieła takowe przez mistrzów stworzone. Ta bowiem twórczość i to upodobanie rodzi się z potrzeby oglądania wiekuistości, choć odzianéj jeszcze materyą; a ta potrzeba, ta tęsknota właśnie dlatego w nas przebywa, iż wiekuistość żyje w duchu naszym, że on sam jest nieśmiertelnym.

Jeżeli zaś sztuki piękne są jedynie środkiem do czegoś innego, słowem jeżeli wchodzą w obcy sobie zakres, jak to widzimy, iż malarstwo, rzeźba, architektura, zdobi sprzęty domowe, stroi ogrody, szaty, łącząc się ze stolarszczyzną, haftami, strojem mieszkań i t. d. toć wtedy przestaje być sztuką istotną, o któréj mówię, ale jest jedynie sztuką zdobiącą, nadobną, jest przystrojem. Przecież my tu jedynie o sztuce wyzwolonéj, to jest usamowolnionéj od wszelkich pobocznych celów rozprawiać mamy.

Jeżeli tedy, jakeśmy wyżéj powiedzieli, sztuka piękna wyraża prawdę we formie zmysłowéj, przystępnéj dla wzroku i słuchu, toć już widzisz, iż ona, służąc do uzmysłowienia prawdy, sama sobie

służy i siebie samą ma za cel, bo ona sama jest prawdą, ale wyjaśnioną w sposób materyalny; jest ona jednym z kształtów, który prawda na siebie przybiera; tak np. znów filozofia jest również prawdą, ale już we formie bezbarwnego rozumowania. W niéj duch świeci bez pośrednictwa materyi i zmysłów, świeci czystym wieczności promieniem i przemawia wprost o sobie i o wielkiém przeznaczeniu człowieka. Sztuka piękna zaś, łącząc świat cielesny z wiekuistym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajską dziedzinę, a przywdziawszy na się cielesność śmiertelną, dzieli z nam i znikomość i biédy nasze by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami, i przytulić do siebie niby dziecię płaczące. Gdy atoli świat zmysłowy łatwiejszy jest do pojęcia niż czysto rozumowy, więc téż sztuka piękna wcześniéj była nauczycielką ludzi niż filozofia.

Nim się ród ludzki mocą rozumu dobił prawd o niebie i ziemi, o życiu i śmierci, o wieczności i naturze, wcześniéj o nich zamarzył, ucząc się czytać z dzieł piękności jakby z książki obrazkowéj, w nich przeczuwając wielkie przeznaczenie swoje. Dlatego téż poeci, wieszcze, bardy byli pierwszymi nauczycielami narodów, tudzież pierwszymi ich kapłanami i filozofami.

Od wieków sztuki, religia i filozofia w ścisłym z sobą były związku, rosnąc na wspólnym sobie gruncie prawdy. A że pojmowanie różne prawdy i różny sposób jéj uzmysłowienia wynika z najgłębszéj duszy świątnicy i z całéj treści człowieka, więc téż historya sztuki jest wiernym obrazem owéj wewnętrznéj historyi rodu ludzkiego.

Jeżeli cały ród człowieczy, co od wieków niepowrotnie płynie niby rzeką do wieczności morza, uważać będziesz za jedną osobę, znajdziesz to samo pracowanie się jego nad sobą, te wolne ale pewne postępy rozwijania się duchowego, co w pojedynczym człowieku. Tu jedna tylko zachodzi różnica, iż ród ludzki nie umiera nigdy; a choć i on ma mroźne i głuche zimy i długie nocy swoje, co szeregiem wieków jakby grobem przywalają świat, aleć gdy otrętwienie śmiertelne przeminie, doczekuje się znów wiosny swojéj, a każda wiosna silniejsza i piękniejsza cudniejszym buja liściem, i nową świetniejszą epokę w historyi rozpoczyna. Każda epoka odradza się nowym pierwiastkiem, którym żyje i oddycha, a ten pierwiastek jest różny wedle różnego stopnia ukształcenia, który ród ludzki w pewnym właśnie czasie zajmuje.

Tak więc i sztuka koniecznie różne a różne kształty na się przyjmuje. Patrz na dzieje staréj Azyi, co to jest zarazem wschodem i słońca i ducha człowieczego, spostrzeżesz wszędzie, iż tu historya przeżyła dziecięce lata swoje. Nie wdając się jeszcze teraz w głębsze dowodzenie i nie zapuszczając się w te dzieje, przypomnę ci pokrótce, co nam stary Herodot o téj Azyi, o tym Egipcie prawi, owe koleje fantastyczne losu Psametyka, sny starego Astyagesa, owego króla Rampsenita żeniącego dowcipnego złodzieja z córką swoją,

pierścień Polykratesa, Zopyra i płaszcz jego purpurowy, Babilon, Niniwę, Semiramidę. Rzekłbyś, że te gawędy Herodot gdzieś na wieczernicach ruskich posłyszał; są to gadki, jak je to niańki lubią dzieciom bajać; jakoż zawsze też uważałem, iż ta pierwiastkowa historya bardzo do smaku małym pacholętom przypada i z wielką jéj chciwością słuchają. A lubo Azya i historya jéj dziś jeszcze podobna jest do jakiéjś długiéj a świetnéj bajki, lubo przypomina powieści, opowiadane przez Arabów przy samotném ognisku w głuchocie pustyni, wszakoż jest to już nowe życie Azyi, nowe jéj wydanie. Azya mahometańska wielce się różni od owéj Herodotowéj, bo w téj tylko istotnie widać ducha człowieczego niby w powiciu; tu fantazya samopas bujając, na poły we śnie i na poły na jawie o sobie przemawia; ztąd tutaj sztuki są jakby wymarzone nocą widziadła; poezya, choć pełna treści, jest potrzebą natury saméj, i bezprzytomnie brzmi z pełnych piersi, jakby pieśń słowika z wonnych krzewów róży.

Jeżeli spojrzysz na mappę, widzisz, jak z ogromnego pnia Azyi wyrasta niby konarem Europa; tak i duch europejski jest uszlachetnionym szczepem na starém drzewie azyatyckiéj historyi. Dla tego, jeżeli odwróciwszy się od dawnych Indyów, Assyryi i Persyi, spojrzysz na Grecyą, uderza cię przeobrażona już do dna postać rzeczy. Jest to pierwsza historya europejska, a wita ją też powiew ducha Europy zwiastującéj tchem swoim wielką świata przyszłość. Lubo i historya Grecyi ma swoje powieści i cudotworne podania, wszakże one łączą się z mitologią, i należą jedynie do pierwotnéj historyi. Bohaterowie Homerowi: Herkules, Egeus, Tezeus, Dioskury, są równie jakby Lech, Czech, Krakus i Wanda przypomnieniem z lat dziecięcych, ale nie wchodzą w dojrzalszy żywot Grecyi.

W Grecyi umysł człowieka stał się młodzieńcem, podrósł, serce się wzdęło w piersiach, świat w około zagrał poezyą i całym cudem ułudy. Był to naród-poeta, lud-artysta; umysł tu bowiem już przeczuwał prawdę wiekuistą, ale nie zdołał jéj jeszcze pojąć, jaką jest sama przez się. Lud grecki zanadto był jeszcze zmysłowy, by prawdy te w całéj ich grozie i powadze przyjął; uzmysłowił je więc i sprowadził do dziedziny materyalnego świata, słowem pojął ją jako sztukę piękną, i dla tego właśnie całe życie Greków, ich tętno, ich istota wskróś jest estetyczną. Tak, kogo anioł muzyki z milionów wybierze, i przystępując do kolebki śpiącego niemowlęcia, ucałowaniem na kochanka swojego poświęci, już wtedy szczęśliwego wybrańca przyszłe życie z dźwięku i harmonii splecione, a nim on dorośnie, już wszystkie uczucia, myśli, pragnienia swoje, cierpienia i rozkosze na tony tłómaczy, wszystko mu jest pieśnią i w melodyę się składa, a co słowami objawić nie zdoła, wylewa muzyką. Tak i Greków kochaniem, ich duszą, ich żywiołem była piękność; ku niéj to wszystko kierowali, ona była najwyższém ich powołaniem. Ani przed nimi, ani też po nich, żaden naród niebył im w tym względzie podobny. Mądrość ich filozofów, najgłębsze tajemnice natury i ser

ca człowieczego, skrytości ziemskiego i tamecznego życia uwite są w obrazy ich mitologii pełne cudownego uroku i rzewności, a tak i do rozumu i do serca i do zmysłów przemawiały. Marmurowe ich bogi, tak ciepłe i czarowne, tak pełne spokojnego majestatu i wspaniałéj wesołości, tak dumne i tkliwe zarazem. W nich uczucia całéj Grecyi, jéj duch skamieniał. Greków olimpijskie igry, ich uczty, ofiary, były poetyczne; u nich nawet morza i skały, gaje i krynice, drzewa i potoki, bóstwami były ożywione, co poufałąc się z ludźmi cieszyli się i smucili z nimi. Ów Jowisz potężny, skinieniem brwi niebem wstrząsający, zstępował z wysokiéj stolicy swéj, kochał się w córach Ziemi i napełniał olimp komerażami o sobie. A że z góry idzie przykład, więc też mieszkańcy ziemscy, na wzór niebian, z wadami swemi i swawolą byli poetyczni, pełni dobrego smaku. Czyliż może być, powiedz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *roué* niż ów Alcibiades? Jakąż to są lichotą ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*, owe źle udawane Lowelasy i biédne kopie Donżuanów; są to jedynie bezmózgłe karykatury plastycznych hulaczów greckich. Ich nawet nie stać, by hultajami byli.

Wodzowie Greków, ich prawodawcy, ich wojny i bitwy, ich życie i skonanie były żywemi epopejami. Widzisz owe popiersie przesłane nam ze starych lat, ową cudnéj piękności głowę? Patrz, jak utrefione starannie włosy, jaka broda spada bogactwem kędziorów, jak ta przepaska strojnie wieńczy czoło; zrazu rzekłbyś, iż to jakieś dandy ateńskie, ale wnet gdy zważysz pełne szlachetności zarysy i ów profil grecki, a potężne Jowiszowe czoło i mądry zakrój oczu, zgadniesz, iż w głowie téj zrodziły się błyskawiczne myśli, co oświeciły świat. Jestto Plato, ów boski Plato, który pierwszy rozum i myśl na tronie osadził i wyrzekł: iż jest pokrewieństwo między duchem człowieczym a nieskończonością wiekuistą, która nie ma końca ani początku. On to jest najprzezroczystszym wyrazem Greka. W dziełach jego mądrość odziana w obrazy uroku pełne. Filozofia jego jest jakby pieśnią o wieczności i zacności człowieka, jestto Filozof-Poeta. A ów Aleksander, co to niby Macedończyk ale przejęty i party duchem greckim, na czele garstki awanturników przeskakuje hożo Hellespont, z Iliadą w kieszeni rzuca się na Azyą i chce sobie zawojować świat, i zawojował go; bo macedońskiego bohatéra nosił przez świat duch Hellady i pragnienie podobania się Grekom, których przecież się był panem uczynił; oparł się o Indus, obudził drzemiącego Brahmę, a wróciwszy do Babilonu umiera tam młodzieńcem przehulawszy noc. Życie jego rozlegało się jak pieśń po całym obrębie ziemskim i przeminęło jak pieśń. Zaledwie zgasł, a już z całego jego państwa, wielkiego jak świat ówczesny, nic, nic wcale potomności nie pozostało, prócz wieńca chwały i sławy imienia: prawdziwa nagroda żywota Poety!

Ale widzę, żem się zbyt rozbujał i zawcześnie o Grekach wspomniał; wiész atoli dobrze, iż trudno o nich na zimno rozprawiać;

skoro w ich dzieje, w ich życie zajrzysz, toć się zdaje, jakbyś do dawnych i drogich przyjaciół zajechał: tak tu miło, tak każdemu dobrze, iż się o rozstaniu ani myśli. A pisząc o sztukach pięknych, jakże nie mieć ciągle téj Grecyi przed oczyma? Bądź tedy przygotowany, że ci ją bardzo często wprowadzę jeszcze w listy moje.

Lecz też Greków epoka, ich powołanie koniecznie się skończyć musiało z wyższém dojrzeniem umysłu; z upływem stuleciów zmieniła się postać rzeczy, umysł się zbogacił nowym a coraz wyższym dorobkiem prawd. Wyjawiał się inny czas. Bo skoro myśl człowieka się wzmogła i nabrała potęgi, wyrosła też z form piękności, jakby ze szat swych młodzieńczych. Szczupłę koło prawd rozumowych starego świata mogło się jeszcze wyrazić sposobem zmysłowym. A póki duch człowieczy był latoroślą, wystarczała mu forma sztuk pięknych, jak kwiatowi wystarcza słabe choćby strojne naczynie garncarskie; ale gdy latorośl owa urosła w potężną sosnę północy, rozsadziła naczynie wbijając korzenie w głąb serca ziemi i rozpinając konary namiotem nad połową świata. Tém drzewem olbrzymiém była *Wiara Chrześciańska*. Sztuka piękna przestała być wszystkiém dla człowieka, zmalała, jak maleje światło kagańca przed jasnym wschodem słońca. Już nie pod zmyśleniem pełném ułudy, ale wprost słowami Syna Bożego płynęła prawda, dreszcz wieczności przejął ziemię całą, — nowy się rodził świat, a zrodziła go wśród boleści własnego skonania światowładna *Roma*. Dech żywota, którym Bóg natchnął człowieka stworzonego z prochu ziemi, był zarazem tchem prawdy wiekuistéj, co była w nim *od początku*, ale teraz dopiéro dostąpiła prawa swojego. U Greków była jedynie jeszcze przeczuciem, teraz stała się pewnością serca. Wiekuistość cofnęła się z zewnętrznego świata, opuściła materyą, a wstąpiła, jakby do świątnicy swojéj, do wewnętrznych serca tajników i zagrała tam wiarą, miłością, nadzieją. Pod światłem i ciepłem religii urosła też silnie i filozofia, któréj dziś najwyższą jest chwalą, że jest chrześciańską. Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, wyznać powinieneś, że nigdy filozofia nam spółczesna nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia, gdyby jéj nie był ogrzał i oświecił promień prawd religii; choć nabytek, co nam przyszedł łaską i objawieniem, wcale różny jest od zasad zdobytych mocą samego rozumowania człowieka, jak to obaczymy w innym liście, w którym nam przyjdzie rozprawiać o różnicy wiary i filozofii (*). Tak jak kwiat rozrosły swoją pięknością choć jest czémś inném, niż to niebo, co mu śle rosę swoją i promień słońca swojego, wszelako kwiatu piękność bez tego nieba się nie obejdzie. Gdy tedy u Greków jedyną i najwyższą formą wyrażania się prawdy, jedyném ogniskiem całéj ich istoty były sztuki, my zaś, obok sztuki pięknéj, mamy jeszcze wyższe nierównie formy,

(*) Porównaj list VIII.

bo wiarę objawioną i filozofią; nie dziw tedy, że i dla nas piękność sztuki nie jest już tém, czém była dla Greków. Dla nich ona była kochanką, dla nas jest przyjaciółką. Grek, porwany pięknością pełną majestatu Jowisza Fidiasowego, padał przed nim na kolana; u nas nie sama piękność obrazu lub rzeźby nas przejmuje, ale znaczenie wielkie i święte, jakie on mieć może dla nas. Stajesz przed dziełem sztuki, przed budowlą, rzeźbą, malowidłem, uderzy cię potok muzyki, poezyi: wtedy wśród rozkoszy, wśród rozgrzania uczuć króluje rozum i rozsądek; nie stracisz przytomności swojéj, ale o obrazie, o téj kompozycyi, lub poezyi sądzić będziesz. Sąd ten o dziełach sztuki jest głównem piętnem czasu naszego i jego prawem.

Artyści tedy już nie powinni więcéj poniewierać zdaniem publiczności, wszak oni dzieła swoje nie dla siebie, ani dla małego kółka artystów tworzą; sztuka przestała być hieroglifem tajemniczym. Dla tego też godzi się, by artyści obzierali się na istotę wewnętrzną i na bicie serca publiczności, dla któréj pracują. A lubo Madonny Rafaela, Laokoon, i Rekwiem Mozarta i Hamlet tchną duchem nieprzeżytéj nieśmiertelności, lubo będą celem czci wszystkich wieków i uwielbieniem wszystkich narodów bez względu na ich pochodzenie: przecież znów cała tajemnica geniuszu, np. Verneta jest ta, iż trafił w samo tętno Francyi. Z tego też powodu mogłeś przypatrzyć się galeryom Włoch, Niemiec i Francyi, a przecież bawić z upodobaniem przed jakiém weselem wiejskiém Stachowicza i cieszyć się chwackiemi figurami krakowskiego ludu, mimo mnóstwo niedostatków, jakie zaiste słusznie temu mistrzowi zarzucają (*).

Patrząc się na to wszystko, com ci tu popisał, spostrzegam, żem się dotknął choć z wierzchu wszystkich prawie główniejszych przedmiotów mających być treścią listów moich; wyznaję, iż większa część tych twierdzeń nie obejdzie się bez dowodów następnych, niechaj jednak tymczasem zostaje, com skreślił; nie zawadzi, byśmy z początku zaraz porozumieli się względem istoty przedmiotu naszego.

List Trzeci.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka stwarza doskonałość. — Różne zdania co do saméj drogi, prowadzącéj do piękności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach przeszłości. — Tow. Przyjac. Nauk Warsz. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjném rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie.

Jestto stara a tylekroć powtarzana pieśń, iż człowiek zawisł między dwoma wręcz przeciwnemi światy, a życie jego ciągłą jest wal-

(*) Michał *Stachowicz*, twórca licznych obrazów historycznych i rodzajowych,

ką dwóch pasujących się z sobą pierwiastków. Bo w głębinach duszy dwojaka mieszka potęga, co, jakby igła magnesowa, dwie odwrotne wskazuje strony. Niekiedy, gdy zamieci życia i burze zatrzęsą duchem i do dna poruszą istotę naszą, owa igiełka zadrga w sobie, oscyluje, mięsza położenie swoje; ale zaledwie wichry przeminą, a jużci znów ona nieruchoma staje, jednym biegunem pokazuje jakby zimną północ powinności i prawd rozumowych, a drugi zwracając tęsknie do południa ciepłych serca uczuć. Człowiek wiecznie na rozstajnych drogach, a dwa różne od siebie anioły, już od kolebki jego, dwie różne mu otwierają życia ścieżki. Szczęśliwy, kto obie dążności w jednę zlać zdołał całość i w jedną je stopi harmonię.

Wszakże to rozdwojenie istoty naszéj, nie tylko uczuć się daje, gdy idzie o zacność żywota i wartość naszą moralną, lecz, przechodząc w głąb' całéj treści naszéj wewnętrznéj, dotyka wszystkich dążności, pragnień i czynności naszych. Nie ma rzeczy, nie ma celu życzeń i myśli, coby się nie zmieniały wedle pierwiastku, który w nas przeważa. Świat się w oczach mieni wedle wewnętrznego nastrojenia duszy, a najczęściéj widujemy go nie we własnych barwach jego, ale powlekamy go kolorami naszego natchnienia. Meta, do któréj tak każdy człowiek w szczególności, jak i cały ród ludzki biegnie, jest prawda; tu zawieszone wieńce jego chwały, a prawda właśnie jest wyrobieniem się wzajemném przeciwległości takowych.

Żywot też historyi jest ciągłém przerzucaniem się z jednéj ostateczności w drugą; bo ta walka przeciwległych sobie żywiołów stanowi duszę dziejów świata, są to główne sprężyny ruchu pracy człowieczego rodu i warunkiem koniecznym udoskonalenia jego. Spojrzyj na historyą każdego narodu, co nie utonął w motłochu mniéj znaczących państw i wypłynął na wierzch historyi, a wszędzie obaczysz, iż podwaliną jego wielkości jest poprzednia walka wrogich sobie żywiołów. Każda umiejętność, każda nauka, każda prawda, tém więcéj ma wagi, im silniejsze i cięższe było pasowanie, którém okupioną została. Najwyższe szczyty wiadomości ludzkich i najniższe ich doliny doznały rozdwojenia tego.

Nie dziw tedy, że i sztuki piękne różnie osądzane były, wedle różnego stanowiska zapatrywania się na nie. Ta dwoistość, walcząca w sercu człowieka, dała często znać o sobie w sporach estetycznych, a wyjawia się ona już przedewszystkiém odwrotnością dwóch potęg przeciwległych: bo z jednéj strony posłyszysz tłumne głosy, iż prawidła pewne i niezachwiane są głównym warunkiem rozkwitania sztuki i nieomylném jéj zbawieniem; z drugiéj strony wznoszą się zdania poniewierające wszelkiemi ustawami, twierdzące, iż piękności cyrklem mierzyć nie można, iż rozum nie ma prawa wdziera-

---

między innemi malowideł ściennych w sali Jagiellońskiéj Akademii Krakowskiéj, urodził się w Krakowie 1768 r., umarł tamże 1835 r. (St.)

nia się w dziedzinę smaku, iż pod zimnym tchem rozsądku najpiękniejsze kwiaty uczuć naszych omdlewają i marzną. Otóż te dwie ostateczności podzieliły estetyków na dwa wrogie sobie obozy.

Wyznajemy że sztuki piękne, wypływając z ducha ludzkiego, są dziełem jego, do niego należą, podlegają tedy sądowi jego; duch, tworząc dzieła piękności, ma przecież prawo stanowić ustawy tym dziełom swoim. Ani te szranki nie mogą mu być szkodliwe ani ubliżające, bo on je sam sobie naznacza. Nawzajem znów przyznasz, iż gdy na świecie pusto i głucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć, gdy czczość ciemna spada na serca, wtedy najczęściéj rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane; nauka rzuca się na dzieła lepszéj przeszłości i pragnie w nich dociec tajemnic rodzenia się tych wszystkich uroków, które podziwiać jeszcze może, ale których już stworzyć nie zdoła. Co zeszłe wieki w spadku zostawiły, to teraz rozbiera, wyprowadzając z nich ustawy postępowania w sztukach pięknych. Sekcya ciała następuje po śmierci. Tak się rzecz ma w piękności dziełach, tak we wszystkiéj czynności umysłowéj. Póki Rzym żył życiem świeżém, wewnętrznem i rodzimém, póty też kodeksów nie potrzebował; prawa zwyczajowe, ustawy, rosnące niby w obliczu jego, tętniały jak krew własna w życiu narodu; ale gdy się wyrodzi, odbiegł od siebie i samego siebie zapomniał,—uronił i wiadomość ustaw swoich. Wtedy w 1000 lat po onych ustawach 12-tu tablic, trzeba było Justynianowi z ułomków, ze szmat przeszłości, ułożyć ów ogromny kodeks, ono *Corpus Juris;* robota łatana, preparat anatomiczny: tutaj Rzym dawny w spirytusie przechowany, ale w nim jeszcze widać geniusz onego ludu prawnika-żołnierza. Z tych biédnych okruchów, ze sztuk potrzaskanych świeci duch starego Rzymu, a księga dawnych prawników była testamentem jego, poczém dokonał — i umarł. A do dzisiejszego dnia jedzą ją prawnicy, krzepiąc nią od półtora tysiąca lat dowcip swój.

Podobnie też w czasie ubogim dla literatury, pracowniki skrzętne, bibliografy spisują jak po umarłym inwentarz całego majątku naukowego, nie przepuszczając żadnemu szpargałowi i wydzierając dziedzictwo toczącym mólom. Po śmierci wielkich wodzów światoburzców zjawia się najwięcéj dzieł, mapp i planów strategicznych. Tak najczęściéj po praktyce następuje teorya. Jakoż zawsze też uważać możesz, iż starce hulaszcze, przegoniwszy resztki i osiadłszy na mieliźnie, najchętniéj smakują w rozmówkach w stylu Pawła Kocka. Słabe i bez ładu głowy lubią też dla porządku poliniować sobie godziny dnia każdego, i wziąść w rubrykę żywot swój i wszystkie swoje sprawy, by nie zginęli w powszednim natłoku czynności swoich. Kto ma istotną przytomność w duszy i porządek w głowie, obejdzie się bez tych rubryk i szufladek, i bez nich z ładem dopełni spraw swoich, rzetelnie spłaci się z powołania swojego i skwituje się z długu życia.

Gdy Pindar, Eschylus, Sofokles i Aristophanes, i wszystkie one

gwiazdy greckiéj poezyi, schodzili z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecyą, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich, jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów. Gdy znów Rzym zabił Grecyą, gdy ciężką i niezgrabną ręką złupił ją z kosztownych dzieł sztuki, a nauczywszy się frazesów greckich myślał, że już sam Grekiem się stał, wtedy i on chciał mieć filozofię i poezyę swoją. Wtedy biedny Cycero, choć drżącém piórem i choć z poprzedniém przeproszeniem, zaczął im prawić pochwały nauk, filozofii, wykładać zasady prawa i wymowy, zbierając myśli z greckich ksiąg. Zasady cnoty obywatelskiéj były spisane w jego dziełach, ale dawno już umarły w życiu, a Rzymianie, ten lud najpraktyczniejszy, nie mając własnéj poezyi, puścili się tropem Greków. Wówczas Horacyusz, chcąc rodaków barbarzyńskich oswoić z pięknościami sztuki, skleił im naukę o sztuce poetycznéj; a było to właśnie wtedy, gdy Vitruvius, jakby przewidując zwalenie się przybytków i świątnic Grecyi, napisał księgi swoje o architekturze i porządkach.

Patrz, co się dzieje kilkunastu wiekami późniéj we Francyi. Tu w XVI stuleciu już oddawna były zgasły czasy średnich wieków. Bayard, ten ostatni rycerz, skonał we krwi swojéj, modląc się do rękojeści pałasza swego w kształcie krzyża złożonéj; a Franciszek I-szy pod Pawią poznał, że rycerskość więcéj nie popłaca, i odpokutował tę pomyłkę swoją w niewoli madryckiéj. Nastał na miejsce dawnéj budowy tumów gotyckich styl *renaissance*, a zuchwałe pomysły Michała Anioła miały się już dostać w niezgrabne ręce następców, i przeradzać się zwolna w smak *rokoko*. Nie dziw téż, że i pieśń romantyczna oniemiała.

Jużto ów Klement Marot, przybrawszy na się szaty dworu Franciszka I-go, czcił gładkie a mądre panie, wielbił ze szczęściem Dianę de Poitiers i królowę Małgorzatę Nawarry, obsypywał je wonnemi różami swych pieśni; choć atoli był tak romansowym poetą, nie był wszakże już romantykiem: bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezyi kwiaty i damy dworu króla swojego, jednak skrzydełka jego lśniały klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich; był to klassyk w całym rynsztunku swoim. Chociaż, na wzór dawnych lat, lutnia jeszcze niekiedy większą dawała cześć niż liczne grody i zamki, a kto jeno mógł, przebierał na lirze; i nawet ów posępny i żelaznéj woli kardynał Richelieu składał także jak mówią wiersze i chętnieby się był do Atalii Rasyna przyznał; literatura atoli traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obce od kilkunastu wieków zamarłe wzory, i uroniła resztki własnego ducha, co w niéj tętniał i żył. W braku treści swojskiéj wszystko przetworzyło się na formę, a dla tego ustawy i prawidła tém potrzebniejsze się stały. Sztuka, poezya, winna rodzić się z potrzeby wewnętrznéj, z tęsknoty nieskończonéj ulżenia sercu, w któréj wiekuista prawda o sobie znać daje w formie uczucia i poczucia; dzieło sztuki jest żywym kwiatem

wyrastającym z głębin piersi ludzkich; kwiat obcy na zewnątrz do serca przypięty zwiędnieje, bo zbraknie uczuć swojskich i soków rodzimych — jedynie kwiat robiony, sztuczny, obejdzie się bez właściwéj sobie ziemi. W takich czasach obcych i zwiędłych kwiatów, lub kwiatów robionych, sztucznych, na miejsce sztuki staje sztuczność; i takim to czasem była właśnie epoka, gdy wystąpił Boileau z przepisami i regułami. W nim jeszcze treść i wielka poprawność języka; lecz wzorem przytém jest wymuskanego stylu i kałkułu; znać, jak drży, by jakąś śmielszą myślą nie zgrzeszył przeciw konwenienciyi. Myśli jego, od stóp do głów utrefione, chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiędła, bo, odcięta od soków własnéj ziemi, obojętniała coraz więcéj na treść, stała się formą, łupiną. Poezya dramatyczna przemienić się musiała w sztukę retoryczną. Literatura bez iskry wewnętrznego życia szklannemi oczyma patrzała się na naród, co już był bez głębi duchowéj, nie zradzała się w świętych tajnikach natchnienia, ale lęgła się w głowie; w téj tedy literaturze wszystko było wyrachowaném. Patrząc jak autor tragedyi ówczesnéj obliczył każdy akt, każdą scenę, każdy efekt, jak roztropnie rozwiązuje sobie trudności, jak kombinuje, jak sobie zagrywa i odgrywa nawzajem, zdałoby się, że widzisz wyćwiczonego mistrza grającego wista z dziadkiem. Dużo w téj literaturze jest iście rozumu i prawideł, a nic wcale natchnienia.

Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniéj często, czas prawideł jest czasem biednym dla nauk i sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha. Pocóż atoli mamy tego szukać przykładów po obcych, gdy mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowéj dla literatury, jak epoka księztwa Warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek księdza Staszyca Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk uchwaliło: iżby dobrze było, aby raz na zawsze spisać sobie prawidła wszystkich rodzajów poezyi, „aby (odpisuję dosłownie) smak dobry ustalić i zdrową ugruntować krytykę". Książka ta nie miała nic mieć nowego, ale jedynie uznane już zasady w jasnym porządku wystawić, „podać niewzruszone sztuki przepisy". Myśl ta prawie powszechnie trafiła w rym, bo cóż wygodniejszego, jak mieć taki receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, blanmanże i konfitury, można znaleźć przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek i smacznych tragedyj. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący się w poezyi rozebrali różne jéj gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materyałem do owéj książki. Na Franciszka Wężyka padła kréska, by prawidła tragedyi napisał. Ciekawy téż jest bardzo sąd Towarzystwa Przyjaciół Nauk o pracy Wężyka, a napisany — niewiem z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma, udzielony mi uprzejmością Wężyka, datowany 2 maja 1814 roku. A iście jestto ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń ów

czesnych, bo one tu nam płyną niby z pierwszéj ręki. Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągiem doskonałym i wiecznotrwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego, a potém dopiéro te części miały być złożone w jeden posąg-potwór. Ani ci się będę rozwodził nad całą treścią téj odpowiedzi towarzystwa, dość na tém, że praca Franciszka Wężyka odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wymienię; wystarczą, jak myślę. Najprzód *powód pierwszy:* „iż autor, mówiąc o dramatycznéj poezyi, wspomniał jedynie o tragedyi i komedyi, pomijając inne rodzaje *a mianowicie operę*. *Powód drugi:* że wzorami autora więcéj byli, jak się zdaje, pisarze angielscy a mianowicie Shakespeare, o którym nie można do młodzieży powiedzieć: *haec vos exemplaria nocturna versate manu, versate diurna* (*). *Powód trzeci:* że autor nadto pozwala powstawać przeciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego z uszczerbkiem dobrego smaku pisarze niemieccy obszerne już i pochopne otworzyli pole". Wyznaj, iż gdyby dziś ktoś znający się na rzeczy z takiém zdaniem się odezwał, jużby nikt nie wątpił, iż sobie żartuje z ludzi. I rzeczywiście ta nagana jest najpiękniejszą pochwałą, jaką Towarzystwo P. N. dla rozprawy Wężyka wymyślić mogło.

Któżby w téj odpowiedzi poznał to samo towarzystwo, co w kilka lat późniéj, tak głęboko przejąwszy się powołaniem swojém, tak wielkie zasługi położyło w literaturze naszéj, zajaśniało wieńcem tak świetnych imion i stało się zaszczytem czasu swojego!

Widzę jednak, żem się już nadto rozpisał, mówiąc o prawidłach wydobytych ze wzorów, z sztuki przeszłéj, i niby z tego, co już jest na placu, bo znajdziesz inny jeszcze rodzaj prawodawców powyższym tak zupełnie przeciwny, jak ogień wodzie. Ci bowiem wpadają w odwrotną zupełnie zasadę, zarzucając wszelkie wzory poprzednie i prawidła z nich płynące. Co przed nimi stworzyły wieki, nie ma żadnéj u nich powagi, nie chcą widzieć wielkich dzieł sztuki, któremi geniusze całéj przeszłości uposażyły świat; chcą z gołego rozumowania, z pojęć abstrakcyjnych wysnuć ustawy stałe i niezmienne dla sztuk pięknych. Rzecz jasna, iż trzymając się w sferze czystego i abstrakcyjnego rozumu, stanowić mogą jedynie zasady ogólne, nie wdając się wcale w szczegóły. Bo proszę cię, jakim tu sposobem z ogólnego rozumowania wywieść, ile aktów ma miéć tragedya?... dla czego nie jeden tylko, dla czego nie sześć lub więcéj? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby? A mówiąc takim ogólnym trybem o kolumnach w architekturze, uczyć oni cię będą, aby one ani zbyt cienkie, ani zbyt grube nie były; powiedzą nawet, jakie wrażenieby uczyniły popełnione w tym rodzaju błędy, ale ci nie oznaczą w liczbach stosunku grubości kolumn do ich

(*) Te wzory miéjcie w rękach dniem i nocą. Horacyusz. (St.)

wysokości, bo jakżeby z rozumowania samego taka dokładność wypłynąć mogła? W takowe szczegółowe objaśnienia nasi teoretycy nie wdają się wcale; dla tego ich zdania o dziełach sztuki są zupełnie ogólne, są to formuły i pewniki. Im nie chodzi bynajmniéj o to, aby wykazać prawdę zamkniętą w jakiém dziele sztuki pięknéj, ani nawet określić, czém ta prawda jest w sztuce, bo uważają jedynie, czém jest prawda sama w sobie wzięta. I nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie doprowadzi, bo zastosowania nie ma. Podobnie można być wielkim teoretykiem prawa, znać doskonale historyą prawodawstwa wszystkich narodów cywilizowanych, i przesiąknąć prawem rzymskiém, jak genialny Savigny w Berlinie, rozumować nad ustawami jak Montesquieu, a przecież nie umieć jeszcze napisać pozwu, lub poradzić sobie w najzwyczajniejszym wypadku. Nie przyjąłbyś zapewne obiadu zgotowanego na najpewniejszych zasadach chemii, a nawet wedle najdoskonalszéj książki kucharskiéj przez człowieka, który nigdy w kuchni nie postał. Można być wielkim teoretykiem lekarzem, a nie wiedzieć jak sobie począć przy łóżku chorego. Niechajże ktoś pływa, jeździ na koniu lub rąbie się wedle książki, nie mając żadnéj w tym względzie wprawy!

Takowe teorye estetyczne mogą dać ogólne i trafne nawet wyobrażenie, ale odstępują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieło sztuki, wymagającéj koniecznie wprawy i nałożenia się, a przedewszystkiém wrodzonéj twórczéj potęgi. Że teoretycy tego rodzaju tu i ówdzie u nas się plączą, poznasz ze zdań ogólnych, z ckliwych frazesów ustnych i pisanych, jeżeli chodzi o ocenienie czyli to poematu, czy posągu, muzyki, obrazu, gry scenicznéj i t. d., choć te pięknie brzmiące formuły są nawet najczęściéj bez rozumowania i oznaką czczego umysłu.

Przeczytawszy to wszystko, com ci dziś napisał, powiesz, że to są dawne rzeczy, bo od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie; i że znów prawidła, jak nie powinny opierać się na samych tylko wzorach i obcéj powadze, bez własnéj samoistności rozumu, tak i nawzajem nie powinny być rozumowaniem gołém bez wdania się w szczegóły, nastręczone nam pracą wielkich mistrzów. Przyznaję, że to są dawne zasady wypływające już nawet z gołego rozsądku, ale cóż, kiedy w rzeczywistości widzimy, iż mało kto tego zbawiennego środka się trzyma; wszędzie i zawsze znajdziesz postępowanie wręcz mu przeciwne. Jestem przekonany, iżbyśmy mniéj mieli maroderów, pozostałych z owéj wojny mniemanych klassyków i tak zwanych romantyków, gdyby sobie jakoś do serca wzięto te pojęcia z samego wynikające rozsądku. Małoż to jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzyć się jak inni robią, nabyć wprawy, potém już można samemu siąść do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już

można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą: jedno ci panowie zapomnieli, iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba, — natchnienia.

Ale nierównie liczniejszy do dziśdnia jest naród tych, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sercu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie też to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez ślęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ci panowie niezmiernie się boją, by się nie stali przypadkiem, jak mówią „erudytami", coby nie było zgodném z ich powołaniem; ale niechaj się uspokoją, uczoność nikogo nie łowi, ani erudycya na nikogo nie poluje. Nie ma tedy żadnego dla nich niebezpieczeństwa, bo muzy są to harde panie, bardzo zadzierające noska; bardzo i bardzo trzeba się o nie starać, bardzo się im zalecać, by były na kogóś łaskawe; co nie lada tam komu się zdarza. Przecież takowe zdanie ma legiony zwolenników swoich, bo cóż milszego, jak nie pracować, i młodość, jakby lazaroni jaki, spoczywając na gruzach wielkiéj przeszłości w *dolce farniente* przepędzić, wiosnę życia swojego przehuczéć szumnie bąkiem, lub przeziewać ją na przypiecku tatusinym; a przedewszystkiém być wolnym od téj „nudnéj i niepotrzebnéj łaciny". Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i latażywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszły wieszcz nie spojrzy wstecz za siebie i nie potoczy w koło wzrokiem na świat, co go czarownym otacza wieńcem; jeżeli obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleci, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potoku, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnéj budowy, na któréj stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysiąców, opłacona tylu trudami i takiém pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny wyższy wylewa na prace błogosławieństwo ducha: toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzymał. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biedny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia, ale odurzenie szału; talent będzie się zataczał nie umiejąc panować nad sobą, ani o swéj mocy nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się też wątek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczém miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich robi, prze, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniuszu. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł:

„Sztuka jest sztuką! kto jéj nie przeniknął do dna myślą, nie będzie nigdy mistrzem!"

Gdy w nowéj Europie poezya stargała dawne swoje pęta, wtedy wezbrała, i zerwawszy brzegi swoje, rozlała się szeroko i rozswawoliła się do woli, nim znów wróciła do karbów prawdziwéj piękności. U nas to nieco późniéj nastąpiło, ba! ta epoka się u nas dziś jeszcze niezupełnie skończyła. Tu i ówdzie widzimy jakieś pieśni, poezye, pełne surowizny uczuć i myśli, wichrem szału oderwane od ziemi, co podrzeźniając wielkiemu przykładowi, unoszą się niby nad rzeczywistością, a choć same z siebie nie mają polotu, przecież same nazywają się orłami; zaiste są to orły papiérowe, latawce, uwiązane na sznurku i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Im więcéj nieładu w myślach, im więcéj sprzeczności, im mniéj rozsądku, tém niby mocniejszy zapał i szał. Lada kto woła: *est Deus in Nobis*, ale tym *Deus*, tém bóstwem dającém mu natchnienie nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bożek. — Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym panom wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich bachantek, nie laurowym ustrojonych wieńcem.

Powiedzą mi może, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych; jeżeli jednakta indywidualność charakteru ma jakąś wartość, toć też nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie, nie obroni się obcym wpływom i przewadze wielkich wzorów, toć niechaj jéj nie żałują, boć zaiste nie ważyła wiele, a szkoda niezbyt bolesna. Cóżby sądzili o wartości moralnéj jakiéj pani, niechcącéj bywać w świecie, by nie naraziła słusznie *reputacyi* swojéj?

Jednym z głównych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniéj duch w sztuce jakiéj z siebie się rozwija, im jaśniéj wyświeca istotę swoją wewnętrzną, tém bogaciéj naukami uposażony być winien. Tak muzyka jest właśnie tą sztuką, w któréj on najmniéj jasno o sobie przemawia; w niéj jakby hieroglifami tonów za mgłą jeszcze i pod zagadką uczucia swe rodzi; dla tego też sztuka ta mniéj niż wszystkie inne wymaga udoskonalenia umysłowego; z téj przyczyny też ona już w młodym wieku może być do wysokiego stopnia doprowadzona, gdy władze rozumowe zamknięte są jeszcze w początku. Wszak widujemy nawet ludzi z miernemi zdolnościami dowcipu, a odznaczających się mistrzowstwem w muzyce.

Ale architekt, co patrząc się na wielkie pomniki świata, przez nie niby wgląda w serce wieków i narodów; ale rzeźbiarz, do którego marmurowe bohatery i bogi o piękności przemawiają, nie obejdą się bez nauki. I malarz, choćby był niepospolitego talentu, bez wiadomości i nauk utworzy jedynie idealizowane kopie natury, a najwyższego kwiatu swéj sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego,

nigdy nie osiągnie. A cóż dopiéro powiedzieć o poezyi używającéj nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, w wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których też ten przedmiot tak ważny dokładniéj rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki, które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrze piękności. A przedewszystkiém zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie ważyli sobie lekce udoskonalenia rozumowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą pierwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na ziemi i na niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego zbogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszcza, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące świateł na chwałę nieba zapali.

List Czwarty.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyalnego nad duchem.—Sztuka nie jest kopiowaniem natury. — Wielkie dzieła natury, Tatry. — Stosunek rzetelny sztuki do natury. — Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdém dziele sztuki. — Różnica między prawdziwemi dziełami sztuki, a dziełem będącém naśladowaniem natury. — Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią.—Zofijówka — figury woskowe, udawanie zwierząt.—Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki. — Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki. — Przykłady. — Przestrzeń niebios.—Puszcze pierwotne i ich cuda. — Natura przedpotopowa. — Piękność natury i piękość sztuki. — Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnéj wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołysać do nocne-

go spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i niby prawiąc jéj czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srebrną bielą szronu; ich kity wysadziła całém bogactwem wschodnich klejnotów, dając im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniéj błyszczały i zagrały brylantem w mroźném słońcu naszém. Bając nam żarty o wiośnie, rysuje na szybach okien gałązki, gaje, tak dziwnéj, czarownéj i drwiącéj postaci, jakby widma powojów i palm amerykańskiéj puszczy — z innego świata goście. Na miejsce dnia życia, nastąpiło państwo martwe kryształów i ślepych żywiołów walka; a kiedy noc roztoczy się królestwem swojém, już też wtedy zima w całéj swéj poezyi; jakby sny śpiącéj natury ciągną się po ziemi i plątają różnokształtne mary bałamutnéj mgły; wszystko śni i drzémie; niebo samo tém jaśniéj czuwa i tak świetnie, tak pilnie gwiazdami swojemi na nas patrzy, iżbyś rzekł, że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na ziemię spoglądają i onéj strzegą.

Im ciszéj atoli w około nas, im samotniéj w naturze, im w głębszém uśpieniu świat fizyczny, tém potężniéj budzi się życie wewnętrznego człowieka: świat duchowy, wycofnąwszy się z zewnątrz w siebie, jakby w ognisku gromadzi wszystkie promienie swéj potęgi, aż rozgoreje w sobie i cichym płomieniem myśli zaświéci.

Im silniéj się duch wzmoże, tém już słabsze ma nad nim świat zmysłowy panowanie. War namiętności traci siły przy jasném przebudzeniu się rozumu. I ludy bowiem dzikie, idioty i dzieci, powodowane jedynie naturą zwierzęcą, stoją jakby w kole zaczarowaném zmysłów, oddane na oślep ich przemocy; sam tylko wzrost i ukształcenie umysłu zdoła zaklnąć te czary, i usamowolnić człowieka z pod ich władzy. Człowiek natury tak jest obrzydliwym, jak człowiek zepsuty; tamten idzie wprost za jéj chęcią, ten ją przekręca i majaczy. Peszeres (*) maluczkiego ducha, mieszkający jakby wygnaniec świata na szarym końcu Ameryki, tak jest przerażającym i smętnym widokiem, jak Paryżanin z czasów Regencyi; tamten niby sfinks zagadkowy natury, na poły zwierzem, nie przeczuwa nawet jeszcze wysokiéj zacności człowieka, ten ją już zapomniał, przemarnił i w karykaturę obrócił. Ani stan dziki natury, ani stan zepsucia, choć tak różne są od siebie, nie sprzyjają bynajmniéj rozwojowi sztuki pięknéj.

Są przecież w dziejach ludzkich czasy, w których sztuka jest tylko naśladowaniem natury i prostém jéj kopiowaniem. To zjawisko miewa atoli różne powody w ludzkiéj historyi. Najczęściéj rodziło się w epokach wolnych wprawdzie już od pierwotnéj dzikości, w których wszelako życie duchowe, wewnętrzne, idealne mniéj było roz-

(*) Peszeresowie są mieszkańcami Południowéj Patagonii, należą do szczepu amerykańskiego. (St.)

winięte, a natomiast życie zmysłowe, zewnętrzne, praktyczne przeważało w świecie; w takich czasach nastaje definicya, że sztuka piękna jest naśladowaniem natury. Jakoż po dziś dzień tu i ówdzie ta definicya uchodzi jeszcze za prawdziwą, lecz już z innych powodów; bo jeżeli w najnowszych czasach odzywają się głosy, nakazujące artystom kopiować naturę, toć to poszło ztąd, że zaledwie przeminęła epoka, w której sztuka, poniewierając formami natury i zdrowym rozsądkiem, paczyła czyste formy piękności. Nie dziw tedy, że świat, ze wstrętem odwracając się od tych gwałtów dokonanych w państwie sztuki, rzucił się w objęcie przyrody i jéj się zupełnie powierzył. Tak przeto upowszechniło się zdanie, jakoby najwyższą zaletą artysty było naśladowanie natury. Lubo zaś one czasy jałowych form przeminęły, zostało przecież to zdanie; przechodzi z ust do ust, mając obieg między ludźmi, jak owa stara wytarta moneta, co choć już bez wewnętrznéj wartości swojéj, ma przecież jeszcze wiarę nałogową ludu, boć się jéj mało kto bliżéj przypatrzył.

Już nawet z ostatnich dwóch listów moich wypływa, iż sztuka, będąc najpiękniejszym kwiatem samodzielnego ducha, z głębi istoty naszéj wyrasta, musi tedy być czémś więcéj, niż prostém puszczeniem się śladem natury. Przecież mniemanie takowe ma tak licznych stronników swoich, iż mi pozwolić zechcesz, abym nieco obszerniéj tę całą rzecz rozebrał. Jakoż jasne porozumienie się wzajemne, co do pojmowania stosunku sztuki do natury, jest najważniejszym warunkiem całego dalszego wątku naszego.

Nikt nie przeczy, iż sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielką wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóż byśmy więc mieli tworzyć z całym mozołem i poświęceniem naszém to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniéj pożyteczna i mniéj potrzebna?

Odwiedź no te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łany, a wstąp na ostrze Łomnickiéj iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku, wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczeble coraz biedniejszéj, coraz niższéj roślinności. Przebywszy bory ciemnéj sosny, wyżéj dosięgnij krzewów karłowatéj brzozy, wyżéj jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie pod sobą państwo czarnéj kosodrzewiny o rozkręconych warkoczach, następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnéj ojczyźnie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia. Wkoło dźwigają się stos na stosie gruzy ogromnych bałwanów granito-

wych — głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewnątrz niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów, a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni listek zaszeleści; wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko usłyszysz martwy i trupi łoskot; jestto skała granitowa, co, urwawszy się z posady swéj, w podskoki szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chyżéj pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach; porywa w swym polocie do okropnéj podróży tłumy skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura wkoło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżéj a wyżéj po urwiskach sterczących i stromych upłazach, aż cię kołem obstąpią, niby straszydła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innéj natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całéj świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte śniegów płachtą niby koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota, i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiéj fizycznéj pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiém, świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzaném, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Trunie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

Wrychle wiatry tu i ówdzie przedarły obłoków oponę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rozkoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mappą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widnokręgu, świeci się stary Kraków nasz. Kréchy ciemniejsze, tu i ówdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, sioła i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiéj kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiéj, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia. Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przeczucie nieśmiertelnéj istoty twéj wzmaga się w piersiach, i tysiączne, dotychczas drzémiące w duszy, głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę

skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień śrzeżogę patrzał się na lata twoje upłynione na ziemi, co jéno słabo jeszcze brzmią w sercu niby głosy dalekiéj muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.

Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistéj Himalai, czy na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, nie zafarbowana więcéj błękitną farbą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

Jeżeli człowiek, zapomniawszy o wątlych siłach swoich cielesnych, pracowaniem fizyczném zechce się mierzyć z olbrzymią potęgą natury, już téż stanie się podobnym do owych nieszczęśliwych podupadłych na rozumie i wystawionych tak po mistrzowsku w onym obrazku Hogartha, kędy biedak jeden, marząc na jawie i położywszy sobie szpargał starych nut na głowie, rozumie że jest wielkim kompozytorem. Tam znów drugi, w łzawym obłędzie, zamknięty w ciasnéj ciemnicy, nagi, drżący od zimna, wyschły w szkielet, przykuty łańcuchem, siedząc na garści słomy, trzyma patyk w ręku, a opasał sobie zwiędłe czoło papiérem, marzy że jest królem, cesarzem, i żąda poszanowania i czci.

Tak się téż dzieje, jeżeli sztuka wypuści z pamięci prawdziwe powołanie swoje, i jeżeli się pokusi pracowaniem cielesném naśladować naturę, zawsze w takich razach spaczy się w sobie i skręci. Jeżeli zaś sztuka pamiętać będzie, że jest pierworodną ducha córą, że ona z nadgwiazdnych światów ród swój wiedzie, jeżeli rozgoreje zacném uznaniem siebie, już wtedy urośnie w olbrzyma, przerośnie naturę i wszelkie jéj sprawy. Bo zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaiste, wysokie są Alpów i Tatrów przyczoła, ale wyżéj sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożéj się dzieją. Bóg promieniem swéj wiekuistéj mądrości, przeświecając świat materyi, zapala go życiem jestestw milionów; ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zajaśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością, bo zaświeci *wiarą, pięknością i mądrością*. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi to błogosławieństwem nieba.

Przedewszystkiém atoli chciéj rzucić okiem na istotę sztuki i istotę natury, a już stosunek ich wzajemny i ich różnice na jaw wystą-

pią. Jeżeli bowiem sztuki piękne są myślą i córami ducha naszego, wcielonego w materyą, już jasno znać, iż świat fizyczny dostarczać winien sztuce osnowy swojéj, i niby materyalnéj przyodziewy. Pożycza on jéj dźwięku, tonów, marmurów, ciosów, metali, barwy, a nadewszystko pożycza kształtów jestestw przyrodzonych, zjawisk i scen swoich; a sztuka, używszy tych materyałów, występuje z dziełami architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki i poezyi. Temu przeczyć nie można, ale tę prawdę wzięto mylnie za drugą i pomięszano ją z zasadą, jakoby sztuka piękna naśladowała naturę. Bo co innego zupełnie jest wyjawiać pracę duchową sposobem zmysłowym, a co innego brać sobie za wzór ostateczny jestestwa w naturze istniejące. Co więcéj, jeżeli mowa w sztuce o naśladowaniu natury, tedy można miéć tylko na oku rzeźbę i malarstwo; bo te niby pożyczają sobie kształtów z natury tworząc kształty ludzkie i zwierzęce, okolice, knieje i wody, niebo i skały, chociaż i tutaj posąg i obraz jest czémś więcéj niż gołém naśladowaniem natury, jak obaczymy poniżéj. Ale jakże zrozumiéć, iż architektura i muzyka naśladują naturę? czémże mają być te nasze grody i tumy, ich sklepienia wsparte na słupach gotyckich? czyliż, jak niektórzy rozumieją, przypominać one mają puszcze i święte gaje, owe pierwsze przybytki dzikiéj Europy?— Bądź pewien, że one były jakby gąbką wymazane z ludzkiéj pamięci w czasie, gdy stawiano mynster strasburski lub nasz kościół maryacki. Jakież głosy w naturze ma naśladować muzyka? czyliż ona udaje może wichru gowory w drzewach, ptaków szczebiotanie, lub ryk rozhukanych bałwanów?— sam wiész, jak dziecinne i małéj wartości są te kompozycye, co to tonami udają to bitwy z hukiem dział, to burze z piorunami, grzmotami, dészczem i innym przydatkiem. A co do poezyi, tu jeszcze mniéj można mówić o naśladowaniu natury. Jeden rodzaj poezyi, to jest opisowy, może być niby najwięcéj z tą naturą fizyczną w stosunku; ale on właśnie opisuje tylko naturę, ale jéj nie udaje, nie naśladuje wcale. Pamiętam,— gdy w szkołach byłem,— czytywano nam na wzór z Wirgiliusza i Buffona obraz konia, i kazano nam uważać, jak tu słowa, nawet ich brzmienie i miara naśladują furkanie, świstanie, stąpanie i rżenie rumaka; mnie się zaś zdawało, iż lepiéj, niż te wszystkie sztuczne opisy, udaje konia długouchy kuzynek jego. Ale w jakichże stosunkach jest dramat, lira, komedya ze światem fizycznym? One zaiste zupełnie ze światem duchowym, z istotą umysłową człowieka są połączone. Można wprawdzie mówić, iż ten charakter romansu lub dramatu nie zgadza się z naturą, tak jak mówić można, że gra tego lub owego artysty dramatycznego nie jest naturalną; jednak zdanie takowe jedynie jest sposobem mówienia, bo tu przez wyraz *natura*, *naturalny* rozumiemy raczéj zgodność z prawdą duchową a nie ze światem fizycznym, materyalnym, to jest z naturą fizyczną, z naturą w ścisłém znaczeniu. Chociaż, jak obaczymy późniéj, sztuka także bynajmniéj nie ma celu, by i pod względem umysłowym rzeczywi-

stość kopiować, by ludzi i pod względem ich umysłowego charakteru żywcem brać z rzeczywistego świata i przenosić do dzieła sztuki. Ale wróćmy do przedmiotu.

Choćbyśmy tedy mieli już prawo pominąć architekturę, muzykę i poezyą, dowodząc jedynie, iż malarstwo i rzeźba są czémś więcéj jak naśladowaniem natury, wszakoż błędność zdania tego wypływa nawet z rozumowania ogólnego nad istotą sztuki, nie czyniąc tymczasem żadnéj różnicy między sztukami w szczególności, choć nam rzeźba i malarstwo z natury swéj najtrafniejszych użyczy przykładów.

Jak człowiek w sobie wzięty nie jest samym martwym zbiorem członków i części ciała, ale w obliczu jego, w oczach, w grze ogólnéj jego osoby znać obecność ducha i właściwość jego charakteru, rozlaną po harmonii całéj istoty jego, tak przez dzieła sztuki, przez ich formę zmysłową, niby przez ich ciało, przegląda duch mistrza. W każdém tedy dziele sztuki dwa są pierwiastki: jeden zmysłowy, a drugi duchowy; jak to już w drugim liście powiedziałem. Patrz na obraz, zrodzony pod pęzlem *Salvatora Rozy;* tu na płótnie, na łokciowéj przestrzeni, na równéj płaszczyznie zamknięte są wprawdzie piękności tajemnicze natury, w całéj ich grozie; ale krom tego jest jeszcze jeden pierwiastek, którego rzeczywistéj naturze brakuje — jestto duch mistrza sobie przytomny. Te malowane góry, skały, obłoki, urwiska, knieje i potoki, choć z natury wzięte, odrodziły się na nowo w duszy wielkiego mistrza, skąpały w jéj toniach, uduchowniły się, przeszły wskróś jego myślą, a tak wystąpiły na jaw. Kopiował on, lecz nie tę rzeczywistą, materyalną naturę, którą widział cielesnemi oczyma swojemi, ale kopiował obraz jéj, jéj widmo, jakie mu duch zrodził i jakie w duchu swoim ujrzał; widziadło to stanęło przed oczyma duszy jego, uchwycił je farbami i rysunkiem na płótnie wcielił. A dzieło jego właśnie dlatego ma wielką wartość swoję, iż nie jest kopią natury. Tak malował okolice *Rubens*, *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Ruysdael*, *Józef Vernet* i wielu innych świetnych talentów; tak maluje nasz *Głowacki* Tatry (*). Dzieła ich tém się różnią od prac mających li za cel wierne oddanie natury, iż jak te są proste widokiem okolic *(vue — veduta)*, tamte raczéj są widokiem w duchu samego mistrza. Patrząc się na widoki malowane, zajmuje nas nie mistrz ale rzecz, ale przedmiot, to jest okolica, którą obraz wystawia, i najczęściéj nie pytamy wcale o malarza; w onych zaś dziełach mistrzów mniéj, albo wcale nie zajmuje nas przedmiot, bo obraz wyobrażać może kilka biédnych krzaków, potok z mostkiem i kilka krów, ale podziwiamy mistrza.

Podobnie widzieć możemy najpyszniejsze wydanie historyi naturalnéj z wybornemi wizerunkami zwierząt, ptaków, kwiatów; te wi-

(*) Jan Nepomucen *Głowacki*, znany pejzażysta, urodził się w Krakowie 1802 roku, zmarł tamże 1845 roku. (St.)

zerunki będą nas o tyle obchodziły, o ile wiernie naśladują naturę, o ile nas ta natura sama zajmuje, a w robocie chwalić może będziemy czystość i dokładność technicznego wykonania. Ale gdy ci *Hondekoeter* lub *Snyders* maluje zwierzęta i ptastwo, gdy staniesz przed malowanemi kwiatami *Jana Breughel* lub *Racheli Ruysch*, porwany będziesz nie już przedmiotami, które ci mistrz przedstawia i ich treścią, ale genialnością jego. Powód tego bardzo jasny, bo obrazy w historyi naturalnéj i one widoki rzeczywistych okolic mają za cel jedyny oddać ci naturę jaką jest, więc też ona tutaj jest przedmiotem, który cię głównie zajmuje; a odwrotnie *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Hondekoeter*, roztwierając ci tajniki własnego ducha swojego, używają tylko natury za środek, za kanwę. Tu nie chodzi o treść, ale o sztukę mistrzów, wyjawiającą się tym przedmiotem. Dlatego też ich roboty do sztuki pięknéj należą; obrazki zaś w historyi naturalnéj i widoki nie należą do dzieł sztuki, są one tylko pomocą dla nauk, nie są pojmowaniem natury artystyczném, ale naukowém, prozaiczném.

Kto zrozumieć nie może, co to jest pojmowanie artystyczne natury i jak wielka różnica między poetyczném a prozaiczném zapatrywaniem się na okolice, niechaj tylko się zakocha, a iście zaraz pozna różnicę tę; natura nagle się dla niego przeobrazi, uduchowni. Wszędzie, gdzie kochanie swoje widywał, gdzie miłość jego chodziła i natura się zmieni i odzieje się światłem i barwą duszy jego; jakże mu będą gaworzyć drzewa, rozmawiać potoki, świecić niebo, a krzak każdy, drzewo każde odzieje się poezyą; świat w około ożywi się "lekkim gnomów i sylfidów narodem; zrozumié ptaków pogadanki, mienienie się złotych promieni w liściach zielonych, zgadnie postacie fantastyczne obłoków, podsłucha cichy sen księżyca, drzemiącego na pagórach", będzie miał oczy i uczucia artysty. A kto tego wszystkiego sam jeszcze nie doświadczył, niechaj tymczasem, nim na niego kréska przyjdzie, przeczyta, jeżeli może, owe tęsknoty pisane i drukowane młodych naszych poetów, z których jeden radby być wazonikiem na *jéj* oknie, drugi w ciekawéj miłości firanką u *jéj* łóżka, a trzeci jakimś bladym promieniem księżyca na *jéj* podłodze, lub kanarkiem w klatce, i Bóg wié nie czém.

Jeżeli nie może być powołaniem sztuki, aby była kopią natury, wypływa z tego, iż wszelkie udawanie natury trąci śmiesznością i wzbudza wstręt i obrzydzenie. Do czego zaś kuszenie się takowe i podrzeźnianie natury prowadzi, już to najlepiéj poznasz nie tak z dzieł sztuki, jak z innych prac ludzkich, mających istotnie udawanie natury na celu. Dość ci będzie przypomnieć one skały na taczkach zwiezione, one groty wysadzone muszlami, i kaskady sztuczne, jeziora, któremi to niby zdobili ogrody swoje, a podobno, jak słychać, jeszcze tam gdzieś zdobią. Podrzeźnianie takowe natury jest zawsze ckliwe i zdradza wielkie barbarzyństwo myśli; bo jeżeli roboty takie są drobiazgowe, wzbudzić mogą uśmiech; jeżeli poczy-

nione na wielką stopę, wzniecają wstręt, nie wyjąwszy Zofijówki, tak Trębeckiego zachwycającéj; bo czy małe, czy wielkie są takowe dzieła, brakuje im właśnie tego, coby ich urok stanowiło, to jest, iż są dziełem rąk ludzkich, a nie natury. Lecz co więcéj, im bardziéj się zbliży dzieło człowieka do natury, im ją wierniéj kopiować zdoła, tém też przykrzejsze będzie wrażenie, jakie sprawi na umyśle naszym. Wizerunki i portrety, trafione z najdokładniejszą wiernością, są nawet obrzydliwe w tém podobieństwie swojém.

Wstąp do galeryi choćby najwyborniejszych figur woskowych, a znajdziesz tu wypukłości form jak w rzeźbie, i barwy rozmaitość jak w malarstwie; obie te sztuki są tutaj zjednoczone, a przecież obie razem zrodziły tylko ironię życia i śmierci: są to drwiny z umarłych i z żywych zarazem. Czém one są istotnie, najtrafniéj poznasz, przypatrując się wrażeniom, jakie czynią na dzieciach i osobach mniéj nawykłych do podobnych widowisk. Z jakąż nieśmiałością, z jakiémże skrępowaniem duszy i wyrazów przypatrują się tym sławnym politykom, wodzom, autorom i rozbójnikom; widzowie znajdują się jakby pod wpływem nocnéj zmory. Rzekłbyś, iż tu upiory różnych narodów i wieków zbiegły się na jakieś sejmy swoje. Nie jest też milszy on szereg konnych królów angielskich ustawionych w korytarzu Toweru, lub ona woskowa królowa Elżbieta, przechowywana w szklannych kuferkach po różnych miejscach Londynu, lub kurfirsty saskie w zbrojowni drezdeńskiéj; lecz te wszystkie mają przecież jeszcze znaczenie pamiątki; czém inném także są preparaty anatomiczne z wosku, bo tu nie chodzi o piękność, o estetyczność, ale o naukę, będącą głównym ich celem.

Może w téj chwili przychodzą ci na myśl owe figury drewniane średniowiekowego snycerstwa a pomalowane barwami, i przypominasz mi może arcydzieło naszego Wita Stwosza na wielkim ołtarzu maryackiego kościoła w mieście naszém, co również łączy snycerstwo z malarstwem, a przecież nietylko nie wzbudza wstrętu, ale jest najwyższego wdzięku obrazem? Chętnie wyznaję, że ta gruppa świętych postaci, stworzona ręką genialnego mistrza, jest pełna najwyższéj a rzewnéj piękności, że patrząc się na te figury, jakieś dziwne nadziemskie tchnienie idzie na lud, co tu pokoleniem po pokoleniach składał cześć Boga-Rodzicy, modląc się do niéj z serca i powierzając jéj głębokie duszy tęsknoty, boleści i nadzieje swoje. Na to chętnie się zgadzam; ale bo też jest ogromna różnica między widokiem figur woskowych a tém dziełem starego mistrza; w niém zaprawdę powiewa dech chrześciańskiéj sztuki: lecz o téj sztuce i o téj pracy obszerniéj jeszcze powiemy w innym liście, gdy nam wypadnie bliżéj rozebrać istotę romantycznych stuleci.

Są ludzie mający osobliwą zdolność i ochotę udawania zwierząt; naśladują np. pianie kogucie, ryk bydląt, miauk koci, ruchy wiewiórki i t. d. Za pierwszą razą udawanie takie może rozśmieszyć, ale później stanie się ckliwém. Dlatego póki będziesz np. przypisywał

istotnie pianie kogutowi, głos ten nie będzie miał nic w sobie przykrego, skoro się atoli przekonasz, iż to człowiek pieje a nie kur, wnet sprzykrzysz sobie te sztuki i zechcesz się czém rychléj uwolnić z ich sąsiedztwa. Dla czego widok małpy i jéj obyczajów taki sprawia nam wstręt, którego do innych zwierząt nie czujemy wcale? oto właśnie dlatego, iż ciało małpy przypomina człowieka, gdy tymczasem dusza jéj jest zwierzęca w całéj bezecności swojéj, jestto wydrzeźnianie i paszkwil na naturę ludzką. Nie dziw, iż genialny Retzsch (*), rysując scenę do Mackbetha Shakspearowego, użył małpich postaci do maszkarów szatańskich. Kto zechce mieć wierną kopię natury, może tego dokazać prostą technicznością bezduszną; niechaj sobie zdejmie maskę gipsową z umarłego lub z żywego człowieka poddającego się téj operacyi; może go téż chemia zastąpić, niech tylko daguerrotyp nadstawi naturze, a złowi ją żywcem jakby rybę w saku. Wiész dobrze, iż po wynalezieniu téj machiny, tak bogatéj w skutki, byli tacy, co obaczywszy mikroskopową dokładność jéj płodów, już radzi byli zaśpiewać wieczne odpocznienie malarstwu, nie zważając właśnie, iż daguerrotyp zabił tylko kopiistów a nie istotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisywaczy a nie autorów.

Najtrafniejszy wizerunek jakiéjś twarzy, wymuskany z największą dokładnością i pracą, z udaniem każdego włoska, nieskończenie mniejszą ma wartość, jak kilka zarysów wielkiego mistrza, pociągnionych węglem na ścianie, lub genialne szkice Piotra Michałowskiego (**). Niedawno widziałem prześliczny zbiór rysunków Rafaela: zarysy niby z niechcenia tylko piórem i tuszem rzucone, a jednak tam widzisz improwizacyą ducha gorejącego ogniem Bożym. Na jednym zwłaszcza półarkuszu jest kilka pomysłów do obrazu Madonny. Znać jak dusza mistrza natchniona rośnie, wzmaga się w sobie, każdy pomysł zradza następny, pełniejszy, bogatszy, formy coraz przejrzystsze, świętsze i wolniejsze od powłoki zmysłowéj; rzekłbyś, iż, gdy je Sanzio kreślił, słuchał pieśni niebiańskich, co na skrzydłach cherubinowych spuszczały się z gwiazd na ziemię; a były te śpiewy coraz silniejsze, bliższe a bliższe, aż ogarnąwszy powodzią harmonii duszę jego, uniosły go z sobą ku niebu, kędy przez rozsuniona obłoków oponę ujrzał oblicze Królowéj Nieba Boga-Rodzicy.

Tak wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczętą, a nie zaś niewolnicą form narzuconych jéj od natury. Zważ atoli, że z téj prawdy, iż sztuka

(*) Maurycy *Retzsch*, urodził się 1779 † 1857 r., profesor akademii sztuk pięknych w Dreznie, znany malarz i illustrator dzieł Göthego, Schillera i Shakespeara. (St.)

(**) Piotr *Michałowski*, europejskiéj sławy malarz zwierząt, szczególniéj koni, urodzony w bliskości Krakowa r. 1801, umarł tamże 1855. Dzieła jego pędzla znajdują się szczególniéj we Francyi i Anglii. (St.)

nie jest naśladowaniem natury, bynajmniéj nie wypływa, jakoby ona mogła ważyć lekko sobie przyrodę i cały ten piękny Boży świat, co nas w koło otacza jakoby dramatem stworzenia. Wszak są rodzaje sztuki, których właśnie istota na tém zawisła, aby kształty natury zidealizować i unieść je w dziedzinę piękności. Takim rodzajem sztuki jest malarstwo i rzeźba, a nawet pod pewnym względem i poezya. Te to sztuki właśnie winny dokładnie poznać naturę, zrozumiéć głębokie jéj tajemnice, pojąć jéj ruchy, życie i tętno. Bo jeżeli w sztuce prawda ma się powlekać kształtami przyrodzonymi, potrzeba téż, żeby te formy nie były spaczone, ani kłamliwe, ale winny być rzetelne, to jest takie, jakie istotnie znajdują się w naturze. Jeżeli np. w obrazie mistrz, z braku zgłębienia natury, chybi w perspektywie, kolorycie, anatomii, w rozdzieleniu światła i cieniów i tym podobnie, toć takowe uzmysłowienie, same błędne będąc, nie zdoła godnie odpowiedzieć prawdziwości myśli. Treść czyli myśl wewnętrzna dzieła, sztuki, samą prawdą będąc, winna téż miéć formę prawdziwą; dlatego więc mistrz, chcąc wydać myśl swoję pod formą zmysłową, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo jestestwa natury, jak i myśl prawdziwa, spólne mają źródło, obie płyną z najwyższego rozumu.

Jeżeli zaś wiek jaki lub naród nie dobił się jeszcze prawdy, jeżeli nie ma jeszcze jasnéj i ukończonéj w sobie wiedzy, jeżeli sam nie jest jeszcze świadom ducha swego, wtedy téż myśli jego nie są prawdą, ale urojeniem; nie znajduje więc dla nich w świecie rzeczywistym, w naturze form odpowiadających, ponatwarza postaci fantastycznych, dziwolężnych; świadkiem tego są owe rzeźby potworne bożyszczów indyjskich, owe wielorękie i wielogłowe poczwary, których nie ma w naturze, a które tak są kłamstwem jak jest kłamstwem myśl, którą one uzmysłowić mają. Przeciwnie u Greków, gdy myśl się wyrobiła, więc téż wyrażała się we formie prawdziwéj, bo w postaci jestestw rzeczywiście istniejących w świecie, zwłaszcza w postaci człowieczéj. Inne formy zaś fantastyczne należą u nich do wyobrażeń pierwotnych i mają znaczenie symboliczne tylko.

Zechciéj zresztą zważyć, iż gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętném, jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty; byleby tylko był dobrze udany, jużby téż i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi, owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał, i co piękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Otóż w żądaniu takowém już są dwie rzeczy zamknięte, na które uwagę twoją zwracam: naprzód, żeby w takim razie wszystko od wyboru przedmiotu zależało, który może być bardzo rozmaity; powtóre, żądanie takowe zawiera już i wyznanie, iż nie wszystko w naturze jest piękném, i że tedy niecała natura godna naśladowania; nareszcie, że i sąd o piękności przedmiotów do umysłu należy, że tedy duch człowieka w sobie ma próbierz i miarę piękności, a tak mimowolnie już przyznana jest w sztukach wyższość

ducha nad przyrodą. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknéj ma wybierać co jest najwznioślejszém w naturze, wypływałoby znowu ztąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jéj stronę, najwyższą jéj potęgę w całéj świeżości jéj uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonéj albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonione przed śmiertelnemi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swém z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich, bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to Królestwo Niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świecącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty? alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknéj, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi. Spojrzyjmy na one zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszéj chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura, niewidzianéj u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię dokoła. Paprocie, żnane naszéj ciemnéj i biednéj północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłéj i poetycznéj formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody, w całéj mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdém drzewie jest tych kwiatów

bez liczby, różnych kształtów i różnéj barwy; bo odmienne z natury swojéj pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotém świetle słońca, a roje płoche różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub huśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów zdaleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany jest na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznem natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawalnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do nor, powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznéj przyrody.

Tu, do téj czystéj krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcze, by odświeżyć ducha swego w téj naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszém zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, niewycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnéj swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w téj dzikiéj i wolnéj przyrodzie śmierć włada. Tu jednak śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy; u nas ona podeszła, zaledwie zachowała zarysy swéj dawnéj piękności, a nim cywilizacya rozłoży się w tych tam błogich stronach, już téj natury więcéj nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód

rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pędzel. Natura niknie przed cywilizacyą, jako przed wyższą od siebie potęgą, świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu; wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty co nie więdnieją nigdy, i wieńcem niezatartéj chwały stroją skronie człowieczego rodu: temi wiecznotrwałemi kwiatami są piękności dzieła. Tak natura, dotknięta śmiertelnym ciosem od ręki człowieka, jakby konając uczy go jeszcze, by z przybytków własnych piersi swoich dobył piękności wzorów; ona umierając uczy, by dzieła jego, nieśmiertelności przekazane, nie były wizerunkiem martwych jestestw, co same są marne i przemijające.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszéj, cała historya jéj żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swéj wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie; bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek przemian i wywrotów, jakie przecierpiała ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węgłach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak jakby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświeć te jéj tajniki ukryte przed światłem dnia białego: odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennem późniejsze przywaliły stulecia; tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata; myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne gruppy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innéj wielkiéj epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchotane, wykręcone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były massy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym, cisnęły się w górę, gruchocząc, podźwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te massy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich ziemi naszéj, i stanowią jakby jéj wzrąb i wiązanie. Tak, na rozkazanie Boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienie ziemi dające się uczuć po przez

pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się lądu szwedzkiego na ogromnéj przestrzeni od Kalmaru do Torneo odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszemi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniowych.

Przemiany te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedya świata z wielu, z wielu bardzo aktów złożona. Lądy, tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchę ziemską; tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na téj scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowéj ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią koléj przyszła, wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znów mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonął, a wszystko co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest deszcz z nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiéj żywota uczty. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w spuściznie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica, ziemia nasza, pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi, do tysiąca stóp poniżéj posady morskiéj, znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Gdy w Irlandyi znachodzą róg jeleni na 5 łokci długi, a 300 funtów ważący, Ehrenberg (*), profesor berliński, znów dowiódł drobnowidzem, iż w jednym granie *trypli* znajduje się 187 milionów zwierzątek mikroskopowych, które niegdyś żyły. Tak tedy cała kula była życiem hożém i pełném siły, z którém porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczach zwrotnikowych powyżéj ci wspomnianych, jest martwą i głuchą. Ale téż pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącemi śniegami podbiegunowéj trupiéj strefy, odkrywamy skamienałe reszty organicznego świata, będące téj saméj istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tyl-

(*) Krystyn *Ehrenberg*, ur. 1795 r. umarł 1876, znany przyrodnik, autor *Mikrogeologii*, dzieła poświęconego badaniom minerałów, wytworzonych z rozkładu zwierzątek mikroskopijnych. (St.)

ko wśród spieków i waru ciepła. W zimnéj północy Europy i Azyi znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnéj strefy, gdzie nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmisterniejsze, jako kwiaty i kity, w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczéj rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącém właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom, czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycały sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach dziwacznych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. Ni tu miejsce, ani czas potemu, żebym się miał nad tym światem tak osobliwym rozszerzać, pozwolisz tylko, bym ci kilka tych jestestw jakby na próbkę przedstawił; będą dostateczne, by okazać biedotę naszéj dzisiejszéj natury w porównaniu z pierwotną jéj wielmożnością. Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości, jakby z mozajki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobliwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do 100 stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o onym ichtyosaurusie długim do 30 stóp, co to był na poły rybą, na poły jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt, bo kręgi rybie, głowę jaszczurczą, płetwy wieloryba, ogon tęgi, ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tak wielkie jak głowa mężka, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły. Gdy je ścisnął lub na wierzch wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego, a gdy je roztworzył, zamieniał je na teleskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów? Wiesz, że ten ichtyosaurus zjadał spółczesnego mu towarzysza wód plesiosaurusa, podobnego jemu dziwaka: ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, płetwy wieloryba, zęby krokodyle; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż, legiwał sobie snać w trzcinie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniéj silnemi zwierzętami; zaiste jednak nie dostał placu ichtyosaurusowi. Czyli może wolisz onego osobliwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietopérz, ale ogromnéj wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnéj wielkości, bo zapewne w nocy polował, co mu to ze skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długiemi szponami, nogi tylne tak silne, iż złożywszy skrzydła wygodniéj na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do

pływania. Otóż o nim to Buckland (*), sławny geolog angielski, powiada, że miał wszystkie zalety szatana w Miltonie, bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po lądach. O tych ogromnych żółwiach, hyenach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z któremi porównane nasze dzisiejsze nikną i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę.

Lecz natura pierwotna nietylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki bursztynem, lub mrożąc biegunowém zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich. Dawnoż to, jak przy ujściu sybirskiéj rzeki Leny, kry przywiozły z pod bieguna zwłoki pierwotnego zwierza; trzy lata leżał sobie nietknięty, bo lody broniły przystępu, aż nareszcie zdobył go przecie naczelnik tam mieszkających Tunguzów. Był to mamut w całéj zupełności, bo z ciałem, kośćmi i sierścią, jak gdyby przed kilku dniami zmarły. Tunguzom zdawało się, że najstosowniéj uczczą ten stary ułomek zapomnianego świata, skoro jego mięsem nakarmią psiarnię. Coć się i stało. Tym sposobem owo zwierzę, świadek zaiste potopu, przechowany pod opieką wiecznych mrozów przez tyle tysięcy lat, skończył tak mizernie karyerę swoją i dopełnił przeznaczenia swojego. Szczęściem szkielet prawie cały i szmaty skóry, uratowane na czas przez uczonego rossyjskiego, znajdują się dziś w muzeum petersburskiém. Ba! ale pocóż nam Leny, blizko nas, bliziuteńko znalazłbyś podobnych Tunguzów.

Jeżelim ci się może zbyt rozpisał o owych zwierzętach kopalnych i o owych dziwolężnych potworach, alem sobie do takich zboczeń wyrobił przywiléj u ciebie, a uczyniłem to zaiste nie dlatego, aby mogły być wzorem piękności, bo téj pretensyi nie mógł mieć zapewne ani on pterodaktylus lub plesiosaurus i towarzysze ich, ale miałem raczéj na celu okazać bujność, siłę i fantastyczność nieprzebraną natury owéj. Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdoła w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne a nawet ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca a ocieplone dojmującym skwarem własnego planety. A jeżeli świat zwierzęcy właśnie dla bujności téj natury porannéj wypaczał się we formy dziwaczne, toć zaiste ta sama potężność sił przyrodzonych stwarzała świat roślinny najwyższéj piękności; w niéj, jak myślę, estetyczność przyrody pojawiała się w całym blasku zamożności swojéj. I być inaczéj nie mogło, naprzód zbudowały się góry, doliny, twierdze i morza i cała natura nieorganiczna; późniéj wybujała przyroda państwem roślinném, późniéj świat zwierzęcy nabrał kształ-

(*) William *Buckland*, profesor uniwersytetu Oxfordzkiego, ur. 1784 um. 1856, starał się pogodzić rezultaty badań geologicznych z poglądami Biblii. (St.)

tów doskonalszych, a gdy już dom był gotowy, wtedy zjawił się dopiéro sam pan téj natury — człowiek. O téj roślinności pierwotnego świata my już w dzisiejszéj epoce wyobrażenia nie mamy, spółczesne nam lasy i bory choćby zwrotnikowe są słabym tylko odcieniem téj młodéj potężnéj natury. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nadewszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczém inném, jak przeobrażonemi zabytkami borów pierwotnych; a strojne i pełne kokieteryi kwiaty, kity, gałązki niby malowne, zdobią jakby pokojowe obicia paryzkie ściany kopalń węglowych, wysadzają ich stropy wieńcami i gałązkami prześlicznych i cudnych rysunków. Te puszcze zwęglone, te olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin są zwiędniałym wiankiem weselnym staréj matki ziemi naszéj. Lecz czémże był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cmentarzem zasypały skorupę kuli naszéj, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi Cuvier, że człowiek nie patrzał jeszcze na te przeobrażenia się świata?

Nie wdając się w zaciekania pod tym względem, to przecież pewna, że tych epok nie zaznała historya człowieka, i że je tém mniéj sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obcą dla pamięci człowieczego rodu. Bo natura stroi się sobie i Bogu na cześć, ona obejdzie się bez człowieka, ona sama sobie jest celem i samolubnie w siebie się patrzy. Ale piękność sztuki jest rozmową duchów, jest uroczystością weselną, w któréj niebo i ziemia odprawują śluby swoje: a na to święto a wesele wezwani współbracia wszyscy, współbracia w duchu. Sztuka piękna, łącząc czarem swéj potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelnością natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Cześć i zamiłowanie piękności jest spólném sercem świata, z niéj jakby krew rozdziela się ciepło i życie na wszystkie jestestwa rozumne i na stulecia wszystkie. Sztuki piękne samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi: one są wspólnym udziałem świata całego; wszak, gdy zabrzmią srebrne struny jednéj liry wylewając się śpiewów potokiem, już i milczące jéj siostry zadrgają w sobie i z cicha szepcząc zawtórują wiekuistéj pieśni. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materyi szaty i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materyalna tylko i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

Widzisz tedy, iż ze wszystkiego, com powyżéj rzekł, wypływa głównie ta prawda, że człowiek, choćby nawet chciał, nie jest mocen naśladować naturę; wszak nawet mistrz, czyli raczéj kopista najskrupulatniejszy nie zdoła udać ani jednego listka tak dokładnie, aby już nie było różnicy między jego kopią a rzeczywistym listkiem; a w końcu pytamy, na coby nam się zdała sztuka cała, gdyby jéj

chodziło jedynie o naśladowanie niewolnicze, o kopie tego, co już posiadamy rzeczywiście w naturze, w oryginale, bez wszelkiéj pracy.

Zważ jeszcze, ta niemożność wiernego kopiowania natury sama już przez się okazuje, że sztuka inne ma powołanie, że ona nie powinna naśladować natury. Natura choć tak wielka, tak wspaniała, jest doczesności córą: na jéj jestestwa biją przypadki tutecznego świata, żadne z nich nie zdoła się rozwinąć z całą swobodą, z całą pięknością swoją; na każdém z tych jestestw ciąży jakby klątwa pierworodnego grzechu, niedostatek i biéda ziemska i śmierć. Nakoniec chciéj baczyć: każde jestestwo natury, choćby się jakimś szczęśliwym trafem rozwinęło swobodniéj, piękniéj, przecież i w tym tak nadzwyczajnym razie będzie tylko wyobraźnikiem swojego rodzaju, swojego gatunku, a tém samém wyjawi tylko jedno ogniwo całego łańcucha natury, jeden jéj ułomek; dzieło zaś sztuki pięknéj jest całością, a całością w najwyższém znaczeniu, bo w niém przebywa duch wiekuisty, nieskończony. I to jest różnicą najogromniejszą zachodzącą między dziełem sztuki a jestestwem przyrody, i to jest powodem, dla którego sztuka nie może i nie powinna być naśladowaniem natury. Do téj prawdy jednak, tak ciężkiéj wagi, często jeszcze powracać będę; co tutaj wyrzekłem, niechaj w téj chwili nam wystarczy.

Lecz równie obaczymy na inném miejscu dokładniéj jeszcze ogromną wartość, jaką ma dla mistrza zapatrywanie się świeże, miłości pełne, na naturę: tutaj tylko powiemy, że gdy mistrz ma łączyć w jedność świat duchowy ze zmysłowym, więc z przyrodzonym, niechaj otworzy duszę swoją i serce zjawiskom zmysłowego świata, niechaj skąpie serce w zdroju wiecznie świeżym uroków natury, a wzmoże się uczuciem, a spotęguje się natchnieniem, i obroni się wszelkiéj niemocy mogącéj spaczyć myśl i zapatrywanie się jego na świat.

Miłość do natury i jéj pojawów stanie się dla każdego człowieka, i mistrza i nie mistrza, jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Wszak duch nasz i natura zarówno wyszły z twórczéj dłoni Bożéj: czyliż więc się temu dziwić, że te ciche tony mądrości, te mistrze wszech światów, brzmiące w jestestwach przyrody, budzą też w sercu naszém spokrewnione im muzyki. Duch nasz tedy znajduje w pojawach zmysłowéj natury odpowiednią sobie symbolikę. Co w duchu jest myślą, uczuciem miłości, nadzieją i wiarą, to on widzi przed sobą w przestrzeni, w téj biednéj martwéj naturze, lub w sennem życiu bezduchowego świata. Niechaj tedy młodzieniec każdy pozna tę naturę, niechaj wiedza jego spina się po wszystkich jéj szczeblach, począwszy od atomku, co igra w eterach promienistych, począwszy od zawiązku błyszczącego kryształka, co buduje ścianki swoje około

niewidomego punktu niby serca swojego, od żyjątka, co jest dopiéro punktem drgającym; a niechaj się ta wiedza posuwa coraz wyżéj, na coraz wznioślejsze natury przyczoła, aż się nie zatrzyma przed postacią człowieka! Gdy tu wiedza badawcza stanie, już ona nawyknąwszy do wznoszenia się od stopnia do stopnia, uzna, że i ta postać doczesna człowieka, choć pełna uroków, choć ostatniém natury słowem, nie jest przecież ostatniém słowem Królestwa Bożego, a myśl, zdjęta tęsknotą nieskończoną, urośnie w skrzydła wiekuiste, rozepnie te skrzydła swoje, i jakby ptak wędrowny uniesie się w inne światy, w światy duchów, kędy już nie omdleją skrzydła, kędy nie umierają kwiaty, a serce nie zapłacze boleścią!

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepłego serca tę naturę, i zrozumié mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczków brzęczących po ziołach, i orłów tatrzańskich loty, gdy się nauczy mowy lasów ojczystych co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew, gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną po łąkach ojczystych, po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swojém, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoi zadane od ludzi sercu rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na któréj zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych i utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojéj zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie chroniącym serce od skazy.

Lecz znajomość natury i jéj spraw ściśle spokrewniona z estetycznem zapatrywaniem się na naturę (ob. wyżéj). Tajemnice przyrody, to jéj życie ukryte, ciche, stanie się dla młodzieńca artystyczności zarodem. Bo miłość jego do téj przyrody Bożéj wleje w te jestestwa stworzone ducha, ożywi je ciepłem własnych uczuć, uczyni z nich piękności dzieła, bo przebaczy niedostatkom jestestw natury i uzupełni je, nadając im wdzięki własnéj duszy swojéj. Co biedne i ułomne w rzeczywistości, to on dojrzy jakby jasnowidzeniem wzniesione do uroków nadziemskich, a ciężkie, grube tuteczne zjawiska staną się przejrzyste, niby przeświecone własnym duchem, staną się lekkie, eteryczne, bo uskrzydlone lotem własnych uczuć jego. Tak każde jestestwo, co jest ułomkiem świata, w oczach człowieka z duszą ciepłą zmartwychwstanie wdziękiem i stanie się własnéj jego wiekuistości prorokiem.

Prawda, że usposobienie różnych ludzi tak jest różne, że nie każdy zdoła równie snadno ubrać sobie świat promieniem i barwą własnéj duszy, ale przecież każdy z nas winien, ile go stać, nawyknąć za-

wczasu do zapatrywania się estetycznego na naturę (*). Wszak dziś zwykle młodzież uczy się rysować; nie przecząc bynajmniéj tym korzyściom, które powszednio przypisują téj nauce, myślę atoli, że najwyższa korzyść, która z niéj płynie, jest zaiste ta, że ona przyucza młodzież, jak ma miéć oczy otwarte na ten piękny Boży świat, jakto widzieć wszystkie szczegóły i zrozumieć najcichsze mowy, któremi przemawia stworzenie każde. Mniejsza już, że później, gdy go życie obejmie grozą i powagą swoją, rzuci ołówki i pędzle swoje; wprawa nabyta do poglądu na naturę zostanie mu na zawsze, na życie całe, jemu będzie w koło natura prawić i śpiewać, on zrozumie jéj mowy i pieśni, on dojrzy piękności, które nastręczy świat natury; te piękności płynąć będą tysiącznym strumieniem w duszę jego, tysiącznym zdrojem, co odświeży, odmłodni uczucie jego. Natura będzie mu królestwem i państwem pełném wesela i najczystszych rozkoszy, a gdy tak spotężeje na duszy i sercu, wtedy się może stanie, że i na niego przyjdzie chwila zachwycenia i że z miłośnika natury dźwignie się w mistrza. Ale choćby kochanek przyrody i nie był artystycznéj piękności wybrańcem, toć przecież dla siebie będzie mistrzem, i w naturze, w któréj się rozmiłował, obaczy postaci i obrazy ducha swojego, wśród świata materyalnego obaczy własnéj nieskończoności spojrzenie, wśród nizin tutecznych zajaśnieje mu błyskawicą wiekuistość!

Słuchaj, w téj chwili, gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy i głoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia, a dzwony jakby muzyką rozpływają się falami po świecie chrześciańskim, jedne drugim niosąc uroczystą wieść, że słowo, co było na początku u Boga, stało się ciałem i zamieszkało między nami, a gwiazda, zwiastuna Boża, zaświeciła nad biedną strzechą człowieka. Świat zadrżał w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materyi państwo doszło końca swojego, że nie ma więcéj znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.

(*) Niepomału do tego celu pomogą studya estetyczne natury i wczesne zwrócenie uwagi choćby na najdrobniejsze szczegóły świata fizycznego, jak tego dokonał wielce znakomicie autor dzieła *Estetyka czyli Umnictwo Piękne* w Tomie II, obejmującym piękności natury we wszystkich pojawach. To dzieło uwalnia mnie od rozszerzania się nad tą osnową.

List Piąty.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącemi w stosunku do sztuki pięknéj. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowéj w sztuce dowodzi jéj poniżenia. — Czas malarzy *Huet* i *Boucher*. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego. Skon. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześciaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye. — Shakespeare i Leonardo da Vinci. — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknéj na różne jéj rodzaje.

Słowem wiekuistém stworzenia całe natury państwo wywołane z nicestwa łona, by o Bogu świadectwo dało. Proszku atom, co drga i krąży wirem w słonecznym promieniu, i gwiazd wojska, co chodzą po rozpostarciu niebieskiém, niby wieczności zegar, odmierzając światu, jakby minuty i godziny, upływające wieki całe i lat tysiące, i dębu przyszłego ogromność zwinięta jak w myśli twórczéj w ciasnéj łupinie żołędzi swéj, i wszystka dusza żyjąca, którą ziemia wydawa, i wszystko, co jeszcze żywe w powietrzu, we wodach, i na lądach, stworzone jest każde wedle rodzaju swojego. Ale w środku wszechnicy jestestw postawiony człowiek, sam jeden stworzony na wyobrażenie Stworzyciela i Ojca na niebie, dlatego doskonałość i potęgą wszystkich jestestw gromadzi się w cielesności jego, niby w ognisku spólném; a jak słońce poranne świeci wspaniałością swoją w rosy kropelce drżącéj na listku, tak w duchu człowieka świeci iskrą wielkość i majestat Boży.

Gdy Bóg stworzył świat i widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, stworzył i człowieka; a w oblicze jego tchnął dech swój, by człowiek poznał i zrozumiał ten świat. Poczém sam przywiódł wszystkie jestestwa przed człowieka, aby obaczył jakoby je nazwać miał i panował nad niemi.

Otóż te są zrodzenia niebios i ziemi, tak pełne grozy i wielkości zarazem, objęte w Piśmie Św., w onéj księdze wszystkich ksiąg, co po wieki wszystkie będzie prawdą. A tak więc z prosta i tak głęboko oznaczony już na zawsze stosunek człowieka do fizycznego świata. Prawo nadawania imion rzeczom stworzonym, jest upoważnieniem rozumu naszego do zgłębiania dzieł stworzenia; a nadanie panowania nad światem zmysłowym dowodzi przewagi duchowéj człowieka nad dziełami przyrody. Prace zaiste umiejętności przyrodzonych ten mają jedyny sobie cel, by pojąć i zgłębić istotę wszech stworzeń i podbić sobie naturę całą. Jest to przywiléj człowieka, nadany mu

od początku, a nikt mu go nie odbierze. Obeszłoby się tedy bez sofizmów i dowcipnych teoryj w tym względzie, i bez onych westchnień a pokornych lamentów, że człowiek pojąć nie zdoła tajemnic natury; odsłoni on niechybnie te wszystkie, na których mu tylko zależyć może — *Sapere aude* (Miéj odwagę badać, zrozumiéć)!

Jestestwa zmysłowe są myślą twórczą powleczone, jakby skorupą, materyą głuchą, a do téj skorupy przystęp mamy przez zmysły; one są tedy sługi duchowe, znoszą przed nas świat fizyczny, niby osnowę dla myśli, podają one nam rzeczy tak, jakiemi się z wierzchu być wydają z całą ich plewą; rozum zaś dochodzi, czém one są w sobie i co ich treść a istotę stanowi, w czém są do siebie podobne, lub w czém znów różne mimo pozornego podobieństwa lub różnicy ich. Dochodzi ich wewnętrznego połączenia i wzajemnego ich na siebie działania i téj pierwotnéj myśli stworzeń, co jest dnem wszech rzeczy i, że tak rzekę, ich duszą, i co jakby iskra galwaniczna, ręką Boga puszczona, płynie i drga przez cały łańcuch jestestw aż do ostatniego ogniwa, którém jest człowiek. A ta też zawsze będzie różnica między pojmowaniem rzeczy ludzkiém a zwierzęcém. Zwierzę bierze świat fizyczny li zmysłami samemi, dbając o to jedynie, czém rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy, czém one są same w sobie, i jak one się mają do siebie nawzajem. Dlatego też mniejsza lub większa bystrość zmysłów w pojmowaniu natury nic nie stanowi wcale, bo pod tym względem człowiek wielu zwierzętom ustąpić musi pierwszeństwa; ale też brak doskonałości zmysłów wynagradza narzędziami, które sobie wymyślił, a duszą swoją przenika wskróś ich istotę. Branie przeto jestestw przyrodzonych li ze saméj ich zewnętrznéj strony, ze saméj ich formy zmysłowéj jest bałwochwalstwem, jest światłobożeństwem, jest oddaniem czci fetyszom, kłanianiem się światu materyalnemu.

Z drugiéj strony atoli również jest prawdą, że gdyby umiejętność chciała naturę pojmować samą czystą myślą, samém gołém abstrakcyjném rozumowaniem, gdyby sobie rościła lekkomyślnie prawo wyrokowania o zjawiskach przyrody z zamkniętemi oczyma, niby na pamięć wedle widzi mi się swojego, jużby przestała być umiejętnością, byłaby marzeniem pustém, bezważném. Taka nauka zaiste niedobrałaby się nigdy wewnętrznego znaczenia jestestw stworzonych. Umiejętność winna pamiętać, że choć każde zjawisko przyrodzone jest tylko powłoką, łupiną myśli twórczéj w niém zamkniętéj, toć przecież właśnie ta myśl jest powodem, że to zjawisko się pojawiło, ona jest jego prawem; to zjawisko jest tedy odpowiednie téj myśli, w niéj ukrytéj wielmożnéj, choć cichéj. Dlatego te zjawiska, ta niby zewnętrzna łupina jest właśnie hieroglifem téj myśli wewnętrznéj, jéj wyrazem. Niechaj tedy umiejętność nauczy się czytać hieroglify takowe, niechaj przypatrzy się pojawom zewnętrznym a pilną, niezmęczoną pracą czyni spostrzeżenia a doświadczenia, niechaj pozbiera naprzód fakta, a wnet ten świat widomy, dotykalny, wyspowiada

nam duszę swoją i roztoczy jakby najskrytszą treść sumienia swojego.

Jeżeli zaś tak się rzecz ma z przedmiotami natury, jeżeli tutaj dwie są potęgi, bo zmysłowa jedna a nadzmysłowa druga, cóż dopiéro rzec mamy o dziełach piękności! bo i w nich schodzą się również dwa światy, ale oba są spotęgowane, oba występują wolne od ułomności ziemskiéj. Wszak rzekłem już w liście przeszłym, że jestestwo rzeczywistéj natury choćby szczęśliwym trafem rozwinęło się wyższą pięknością nad inne tegoż samego rodzaju jestestwa, toć przecie ono będzie jedynie doskonalszym wyrazem tego rodzaju swojego, będzie tylko wyjawem myśli tego rodzaju, który atoli sam jest tylko ogniwkiem jedném w całości natury. Gdy jednak ten sam przedmiot będzie przez sztukę zrodzony, już wtedy on obejmie w sobie nieskończoność, a rodzaj, który się w niém wyrazi, stanie się tylko czémś podrzędném, będzie tylko przyborem chwilowym, w którym się pojawia ducha naszego wiekuistość. Ta strona widoma, zmysłowa, będąc przybytkiem gościa z innego świata, wyjawi tę treść swoją wiekuistą, niebiańską, bo piękność nie z ziemi zrodzoną, tak strona ziemska widoma, materyalna, stanie się duchem widomym, a duch, będący treścią dzieła sztuki, uzmysłowi się w postaci.

A więc dzieło piękności, będąc ślubem między niebem i ziemią, duchem i materyą, ma dwie strony, które zarazem przemawiają i do zmysłów twoich i do wiekuistego ducha, a tém samém wypływa, że wyłączna przewaga jednego z tych dwóch pierwiastków zrodzi i w samém dziele sztuki spaczenie, tudzież wykrzywi zapatrywanie się na te piękności dzieła.

Zaiste, stanowisko li zmysłowe w sztukach nie popłaca: jest niestosowne, krzywe i bywa zawsze oznaką jałowizny serca i dzikości lub zepsucia umysłu. A przecież znajdziesz takich czcicieli fetyszów na różnych stopniach społeczności towarzyskiéj, a co więcéj, zostawione są ich ślady liczne, w historyi sztuki. Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im zmysły głaszczą: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezya, są dla nich bawidłem zmysłów; pojmują iście oni tak sztuki, jak pojmuje botanikę kózka, objadająca rzadkie rośliny i kwiaty. Kto jest zdania, iż sztuka dla zmysłów stworzona, znać, że nie ma ich spełna, bo zmysłów, jak wiadomo, jest pięć, a dwa z nich tylko, bo wzrok i słuch mają styczność z dziełami sztuki pięknéj. Gdyż inaczéj, pan Jan Marya Farina w Kolonii, co od wieków wyrabia te swoje wódki wonne, lub jaki przesławny restaurator paryzki, albo jaki siodlarz doskonały, lub garncarz, byliby również artystami, jak Bethowen, Canova lub Overbeck i Byron. Porównywając następnie one dwa zmysły, będące w stosunku ze sztuką, widzimy, iż one właśnie ze wszystkich są najszlachetniejsze, i są li teoretyczne, bo nie naruszają wcale ani zużywają przedmiotów swoich.

Na arcydzieła architektury, rzeźby i malarstwa patrzą się narody

długim szeregiem wieków, a onych dzieł tém patrzeniem nie ubyło wcale, o ile ich żywioły nie pojadły, albo świętokradzka ręka nie dotknęła; trwają na cześć rodowi człowieczemu i stoją na podziwienie wszystkich stuleciów, tak pełne jeszcze piękności i okazałości, jak w pierwszym dniu zrodzenia swojego. Od wieków lud krakowski oblega ołtarz maryacki, one arcydzieło naszego Wita Stwosza; od wieków to grono świętych postaci króluje w tym przybytku swym, a duch ich, jakby gość z innego świata, rozrzewnieniem spływa w serca wszystkich pokoleń, co jakby fale morskie tłumem przychodziły tu z kolei swéj, by na tych stopniach krzyżem leżéć, modlić się i wypłakać żale swoje przed dziejami Matki Dziewicy. Słodkie i wzniosłe duchem Haydena harmonie, poruszały już serc tysiące i zatętnią jeszcze w duszy tysiąców, i nie zaginą one, i nie braknie ich nigdy, jak nie braknie słońca, co ociepla i oświeca z każdém zaraniem istot miliony. A jak na początku swojego stworzenia, nieśmiertelne morze, tocząc z hukiem bałwany swe, grzmiało i grało niby organy w świątnicy natury, tak Homerowe pieśni, wypłynąwszy ze strun lutni starego wieszcza, grzmią i grają jeszcze z dalekich lat, po przez burze wieków i państw zwaliska.

Dzieła sztuki pięknéj, przyniesione do duszy słuchem i wzrokiem, są jakby światło i atmosfera; wszyscy się niémi cieszą, a przecież ich nie ubywa; każdy w nich rozkosz znajduje, nie czyniąc tém uszczerbku drugim, choć je każdy całkowicie i w zupełności posiada. Gdy tymczasem owe trzy inne grube zmysły nie lubią żadnéj spólności, bo one z natury swéj trawią i zużywają przedmiot swój. A jak woń jest rozkładem ciała pachnącego na atomy swoje, zatém wietrzeniem, znikaniem jego, tak przedmiot miły smakowi rozpłynąć się pierwéj musi i rozłożyć na cząstki. A jak i z obiadów nietrwała pociecha, a najmilszy i najcieplejszy ogień kominkowy gaśnie i wypala się, tak też najdoskonalsze karło się zużywa. Zmysł albowiem smaku, powonienia i dotykania (*) są szczeremi samolubami, bo poświęcają rzecz przedmiotem ich będącą, a to dlatego, iż wprost i bezpośrednio stykać się muszą z tym przedmiotem, przemawiającym do smaku, powonienia, lub miłym w dotykaniu. Trzy też zmysły te nie mają żadnego stosunku z dziełami sztuki pięknéj. Przeciwnie, wzrok i słuch przez pośredniki tylko są w związku z przedmiotami, a tymi pośrednikami jest światło i atmosfera. Atmosfera, ten płyn czysty,

(*) Nowsza psychologia i estetyka przypisują *dotykowi* daleko większe znaczenie, wykazując jego udział przy wytworzeniu wyobrażenia o stosunkach *przestrzennych* świata zewnętrznego. Zob. *Al. Bain*, The senses and the intellect. 1868, str. 159 i nast. *H. Spencer*, The principles of Psychology. 1872, T. II, str. 232 i nast. *W. Wundt*, Grundzüge der physiologischen Psychologie. 1874, str. 478 i nast. *W. Volkmann*, Lehrbuch der Psychologie. 1875, T. I, str. 280 i nast. Z pomiędzy estetyków, szczególniéj *Rob. Zimmermann*, Aesthetik. 1865, T. II, str. 483 i nast. wskazuje na *dotyk* jako na zmysł *plastyczny* par excellence. (St.).

lekki niby oddech kuli ziemskiéj, służy muzyce i mowie; dźwiękiem poruszone powietrze zadrgawszy w sobie jakby falami wody rozpływa się daléj i daléj, nim uderzy w słuch. A światło, ono dziwne jestestwo, nieważkie, w mgnieniu oka zalewające niebiosy jasności oceanem, jest jakby krynicą życiodawczą natury i niby odblaskiem Bożego spojrzenia. Światło należy na poły do cielesnego, na poły do duchowego świata; dlatego też jest pośrednikiem między światem fizycznym a najzacniejszym zmysłem, boć oczy są nieśmiertelnego ducha ogniskiem i słońcem śmiertelnéj powłoki naszéj. Trafnie też powiedział ów Leibnitz, iż światło tylko dla człowieka istnieje, on je sam jeden widzieć zdoła, zwierzę widzi tylko oświecone przedmioty. Słuch i wzrok są zmysłami nieskończoności; wzrok roztacza się po ogromie gwiazd i światów wszechnicy, jak duch nurzy się w głębinach własnéj swojéj istoty; a słuchu potęga, do melodyi i muzyki zwrócona, słyszy w niéj nieskończoności mowę, rozumié w niéj westchnienia lat, które dawno już przeszły, pociechy i żale wieków, co się dopiéro kiedyś zrodzić mają: bo muzyka jest kwiatem urosłym na przeszłości grobach, a wyjawiając zarazem co w sercach dnieje, staje się przyszłości wróżą. Dwa tedy te zmysły, słuchu i wzroku, są jedynie godnemi pośrednicami między duchem człowieka a dziełami sztuki.

Gdyby nam jedynie o przyjemność zmysłową chodziło, sztuki piękne wcaleby były bezużyteczne i zupełnie niepotrzebne, boć rzeczywiste przedmioty silniéj do zmysłów przemawiają, aniżeli wszystkie pięknéj sztuki dzieła. Kobiéta żywa, choćby tylko zwyczajnych powabów, więcéjby miała uroków, niż owa Wenus Tycyana w trybunie florenckiéj; a choćby sam Franciszek Snyders wymalował pobitą zwierzynę, mniejszéjby była wartości, niż rzeczywiste zające i sarny, zwłaszcza rozłożone już na półmisku. Dlatego cześć tym, co jawnie i poczciwie, bez obłudy, ogłaszają się wielbicielami rozkoszy ziemskich, nie chowając smaków swoich pod pozory uczuć estetycznych. A znajdziesz wszędzie zwolenników zdania takowego, chociaż się ukazują pod różną formą. Gdy biédacy mieszkający pod biegunem uważają tran za szczyt ziemskiéj szczęśliwości, mażą nim usta drewnianych swych bożyszcz; u nas w strefie nieco cieplejszéj, a zatém oświeceńszéj, nie jeden w braku bałwanów struganych, sam sobie tę cześć oddaje, zbierając wszystkie promienie swéj myśli w ognisku kuchennem, i myśląc jedynie nad tém, jakby się tu najsmaczniéj uraczyć, co przecież nierównie jest dowcipniejszém i zacniejszém niż ów śmieszny obyczaj ciemnych Grenlandczyków i Samojedów.

Rzecz jawna, iż bez zmysłów nie byłoby i sztuk pięknych; noc głucha, ciemna, niema, pokrywałaby świat dokoła; mimo to jednak, słuch i wzrok nie są bynajmniéj dostateczne, aby być mistrzem w sztukach pięknych, a nawet, by w nich smakować. Piękność estetyczna, samemi zmysłami pojęta, jest to księga pisana w nieznanym nam

języku i obcemi głoskami. Widzimy jedynie kréski czarne i znaki, ale nie zdołamy zrozumieć słów, ani pojąć myśli autora. Nie ma nawet wątpliwości, iż gdyby ogień wyższy, niebiański, nadzmysłowy, przyświecający nam, wygasł, jużby człowiek, zostawszy szczerém jestestwem zmysłowém, zrównałby się ze zwierząt czeredą. Zaiste, właśnie ta wyższa natura człowieka uszlachetnia nawet i samą tę zmysłowość jego. Jakoż ślepy instynkt płciowy zwierząt uzacnia się w nas miłości płomieniem i dusz współczuciem; nawyknienie ich do legowiska i nor, jest u człowieka świętém kraju swojego miłowaniem; ta troskliwość samic dla młodych, przeniesiona w ludzką sferę, staje się macierzyńską miłością, co w dzieciach swych nie tylko krew krwi swéj widzi, ale nawet rosnącą nadzieję społeczności całéj. Ta miłość matki, gromadząc się niby w dziecięciu swojém, wylewa się zarazem na cały ród człowieczy.

Sztuki piękne mają iście stronę zmysłową swoją i nią są zwrócone do strony cielesnéj człowieka. Część materyalna sztuki jest tedy jednym z dwóch koniecznych jéj pierwiastków, jest ona jedną połową jéj istoty, a drugą, jakeśmy już powtórzyli, jest jéj żywioł duchowy. Jeżeli sztuka przerzuci się cała w stronę cielesną, służąc nizkim chęciom człowieka i gorszéj jego połowie, już też to będzie oznaką upadku społeczności i próchnienia podwalin towarzyskich. Szczęściem, w naszych czasach i w naszych tu stronach znajdziesz jedynie jeszcze na pokątnych śmieciach towarzyskich smak w bezecnych obrazkach, w wierutnyah wierszach, powieściach lub wszetecznych tańcach; nie wznoszą się one nigdy w sferę poczciwego wychowania, ani się nie ośmielają nigdzie na jawie okazać. Nie zawsze atoli tak bywało, owszem całe wieki i wszystkie klassy ludzi kąpały się w kole rozbestwionych obyczajów. Świadkiem tego jest sama sztuka we Francyi w ciągu upłynionego stulecia. Już na czasy Ludwika XIV, jakaś wrzekoma wielkość padła jakby puchlina, blada, rozdęta, a w środku pusta i bez treści. Dymy kadzideł i pochlebstw jakby nad cnotą umarłą osłaniały nędzę i biédę tak umysłową jak i materyalną, a bohatery ówczesnéj historyi na szczudłach komedyanckiéj wielkości, lśniły kłamliwym szychem i przystrojem teatralnym. I sztuka, przywdziawszy na się liberyą, poszła służyć zepsutéj chuci, a dzieła jéj stały się ornamentem i floresem zdobiącym czczość i próżność czasu; tak sztuka spadając coraz niżéj a niżéj, pod onemi paniami przeważnemi, a bezecnéj pamięci, zewszeteczniała do szczętu. Voltaire dowcipem Mefistofelesa już tchnął na świat. Ow Krzysztof Huet († 1759), Franciszek Boucher († 1770), wrzekomy malarz gracyi, bezwstydnym pędzlem robili obrazy jakby dla bezmocéj straży serajowéj, a pomagał im też późniéj Parny wraz z kompany swymi, plugawiąc wielki talent wyuzdaną poezyą. Aż nareszcie w końcu stulecia, przed samém rozpoczęciem najstraszniejszego dramatu historyi nowoczesnéj, cała społeczność, jakby opojona ślepym zmysłów zapustem, rozszalała się zawrotnym tanem i chichotała nad własnym

swym grobem. Był to jakby ów obraz Holbeina, gdzie strojne panie i kmiotek, i wojownik błyszczący, i starzy i młodzi, i bogacze i żebraki hasają kołem w tańcu ze śmiercią, mając w każdéj parze ohydne szkielety (*). Ale powiew z cmentarza chuchnął na ich tany, a do drzwi i do okien onego festynu pukały i pchały się, jakby blade i trupie straszydła, zgrozy ostatnich lat 10ciu dogorywającego wieku, ciągnąc za sobą widma długoletnich wojen i pobojowisk krwią zbroczonych, pokrywających kośćmi jakby całunem śmierci, ćwierć wieku i świat cały.

Mógłbym ci bez wielkiego mozołu wskazać, jak zawsze zepsucie obyczajów zradza wyradzanie się sztuki pięknéj; bo piękność prawdziwą jedynie czyste serce i szlachetny wiek pojąć może, nie wstępuje ona nigdy do piersi występkiem znieważonych.

Tak, gdy człowiek znidzie z tronu zacności swéj i własnego majestatu się wyrzekając, sponiewiera pochodzenie swoje, już samowolnie w materyi ciężkie panowanie się oddaje. Pierworodny syn stworzenia teraz natury jeńcem, co jéj panem być miał. Jak muszla biédna, w głębiach morskich do skały przykuta, i jedynie przez pomrokę wód oceanu oświécona słabym słońca promieniem, zradza w swém łonie drogich pereł skarby, nieświadoma sama ich wartości, tak człowiek w ciemnicach materyi zamknięty, głuchy na głos wewnętrzny, co mu o wieczności przemawia, nie wié, że we własnych serca przybytkach nosi rodzące się całe światy i całe niebo gorejących gwiazd.

Ale w duchu jest prawdy pierwiastek, a prawdy na wieki trwanie i żywot jéj tak silny i potężny, że choć chwilowo przyćmi płomieniem, przecież wnet znowu sam z siebie się rozpali, a duch jakby z długiego snu przebudzony, zerwie się i znów zwróci oblicze ku wiekuistéj ojczyznie swéj. Wszak niekiedy i zimne wichry i niewczesne śnieżnice opóźnić mogą powrót wiosny i życia w naturze, a ziarno powierzone ziemi, w sobie stulone, martwe i głuche drzémie długo w swym grobie pod skibą; ale gdy przecież słońce idzie niewstrzymanie swym wiekuistym szlakiem po niebie, tedy wcześniéj lub późniéj do zmartwychwstania pobudzi ono ziarno, by ku słońcu się wzniosło i rozkwitło naturze na ozdobę i chwałę: podobnież pokolenia i narody całe mogą przemarzyć długie lata żywota swojego we więzach materyi i w niemoralności kale, ale nie zdołają nigdy na zawsze zetrzéć z siebie piętno nieśmiertelne swéj zacności, bo wszechmocna jest siła, co człowieka wzgórę pędzi. Jak młode orlę, pisklęciem zamknięte w skorupie, instynktem parte przeczuwa już i skrzydła swoje i szczyty alpejskie i eterów wysokości, tak i dusza, ściśnio-

(*) *Taniec śmiertelny* znakomitego malarza niemieckiego *Hansa Holbeina* młodszego (urodzony w Augsburgu r. 1495, umarł w Londynie 1543), składa się z 50ciu kilku rysunków, wykonanych w drzeworycie. Wydanie *pierwsze* w Lyonie 1538 r. wydanie nowsze *Weissa* r. 1858. (St.)

na zmysłów powłoką, marzy o rajskich ogrodach, o obłokach złocistych, co żeglują po niebie, o śpiewach anielskich chórów, aż zerwie ciężkiéj materyi okowy, rozepnie skrzydła swéj potęgi, a unosząc się do ostatniéj bladéj gwiazdy stworzenia, w krainie wiekuistéj piękności zdobędzie swe laury. Wtedy i sztuki się uszlachetnią i odrodzą się świeżością swych uroków, jak bogini miłości poczęta w przejrzystych błękitach morza.

Sztuki piękne, te posłannice nieba, jakby dziewicze westalki, strzegą świętego ognia uczuć, co gorejąc płomieniem godności człowieka, bronią by ród ludzki nie upadł w zapomnieniu siebie. A gdy zepsucie serca jak dżuma ziemię zaleje, gdy godność zniknie i poczciwy obyczaj wymrze w ludziach, a zimna noc myśli i uczuć zalegnie świat, wtedy jeszcze poezya, jakby harfa eolska u gwiazd zawieszona, tknięta powiewem lepszych światów, zakwili pieśnią żałoby i tonami rzewnéj harmonii nad upadkiem człowieka zapłacze, a tony jéj płyną a płyną, coraz daléj, coraz wyżéj, aż pod Boży tron, gdzie zmiłowanie znajdują.

Ale człowiek ma inną stronę istoty swéj: w nim tkwi pierwiastek materyalny, jest on ziemskiém jestestwem, a zmysłów hoża siła w nim robi i wre, i rzeskiém tętnem płynie mu żywota potok. Radość i uciechy uśmiechają się i pląsają w koło, jakby swawolne grono zaczepnych rusałek, a z rajskich krain tchnie na ziemię życia wesele i rozdmuchuje, jakby kwiatów pączki, serca wszystkie rozkoszy współczuciem; boć to kwiatów dzieje są i serca dziejami. Kwiaty roztulają swe liście jakby miłości łożem, a w każdym kwiecie kołysze się śpiący geniuszek, a w każdém sercu drzémią uczuć roje, niby skrzydlatych bożków drużyny. Powódź rozkoszy zalewa sobą świat cały, gotując niby łaźnię ochłody wszech stworzeń strudzonym milionom. Opatrzna wiekuistości łaska przystroiła nam powabem przemijającą gospodę ziemską, a obok cierniów doczesnego świata, zasadziła drugie Edenu ogrody, co rodzą złote jabłka uciechy, a przybrała w wonne róże męczeńską palmę żywota. Skwary i spieki, i pracowania dnia każdego, kończą się poezyą wieczora, co pocałowaniem swojém rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi; a z niebieskich wysokości po promieniu księżyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami obsypuje łoże jego złotém marzeniem i ułudą sennych obrazów, i śpiewają mu z cicha w duszy pieśnią pociechy, a głos ich tak słodki, jak słowicze pieśni.

Bóg stworzył życie i świat, tak piękne i jasne jakby dzień wiosenny, w serce zaś człowieka wlał miłość tych uciech ziemskich, a dając duchowi nieśmiertelnemu ciało i zmysły, zaślubił go docześnie ze światem tutecznym, z naturą, aby już rozkosze, otaczające człowieka różnokształtną postacią, znalazły drogę do serca jego i odgłos w przybytkach duszy, i aby nawzajem każde drganie wewnętrznych stron ducha, każdy z ich tonów miał w zewnętrznym świecie głosy wtórujące ich harmonii. Nie poniewieraj uciechą ziemską, co peł-

nym i kipiącym puharem natura ci na wzmocnienie podaje. Tkanka tysiącznych złotych nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dlatego też tak twardą, tak tęskną, jest ostatnia chwila rozstania się z tym żywotem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd też skonanie jest arcydziełem człowieka. Posłuchaj opowiadania tych, co stojąc przy łożu umierających, uczyli się od śmierci mądrości, podsłuchując ostatnie pożegnalne akkordy ulatującego życia z ułomków zagadkowych wyrazów, i wypatrując wieczność z zarysów twarzy biednego pracownika. Na skinienie bladego śmierci anioła, rozsuwają się jakby na przegląd obrazy z przeszłego całego żywota; żywi i dawno zmarli, świeże i stare czasy splatają się w jeden wieniec, aż gdy światło w oku i duszy zgaśnie, gdy już nie dochodzą łkania otaczających przyjaciół, gdy wszystko ucichło, gdy płomień gromnicy nie oświeca więcéj śmiertelnego łoża, zlewając się tylko jeszcze w jeden punkt czerwony, gdy już łamie się doczesność z wiecznością, wtedy omdlewają i zmysły, ale zarazem najogromniejsze sceny natury, żegnając niby wędrowca idącego ku wieczności, roztaczają się w duszy jego. Zda się, iż oceanu nieskończoność śpiéwa mu cześć piorunnym głosem swych fali, że skrzydła wichrowe unoszą go w tryumfie po przez bezdna przestrzeni bez końca i początku, że gwiazdy i słońce obiegają go w koło, jakby świetny orszak ślubny, odprowadzający oblubieńca wieczności do nowego mieszkania.

Nie poniewieraj uciechami ziemi, ani waż sobie lekko stronę materyalną człowieka, bo do niéj właśnie przemawia pierwiastek cielesny dzieł piękności. Potęga zmysłów jest właśnie podwaliną uczuć naszych; skoro ona się dopali, już i uczuć siła więdnieje, a człowiek zbliża się do podeszłości swojéj i wstępuje pod panowanie zimnego rozumu i siwego rozsądku.

Jest francuzkie przysłowie: „*si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*", ale najgorzéj podobno, jeżeli ani jednego ani drugiego nie będzie, jeżeli młodość przemija bez kwiatów, a jesień życia bez owoców. Gdy się kilka lat żywota na jeden rok złoży, gdy zmysłowość dogoreje jak kaganiec, nic prócz skorupy glinianéj nie zostawując, gdy cwałem przebieżone młodości życie, wtedy młody bankrut idzie na emeryturę, żeniąc się. Czyliż dziwno, iż zamiast rześkiéj życia ochoty znajdzie przesycenie i niesmak? nie zna, co rozczarowanie, bo nie zaznał uludy młodości, wszystko strupiało. Po ladajakiéj wiośnie życia idzie bezmogła starość; świat w koło spłowiał, stracił barwy i ciepło swoje. Z takiemi to w pokrewieństwie bywa, a nawet się z nich najczęściéj rekrutuje owa druga klassa ludzi, co choćby młodzi jeszcze, na wszystko otrętwiali i niezdatni do pracy i do zabawy, co to ani do tańca ani do różańca. Sam zysk pieniężny, jakby galwaniczna iskra, pobudza jedynie ich duszę do automatycznych ruchów. Zgniłe sapiska, nie znają, co poświęcenie, co miłość i nienawiść, niezdolni do występków i cnoty, samoluby drobiazgowe. Oni na świecie nic dobrego, nic już i złego nie zrobią.

Dante powiada, iż gdy niegdyś piekło odwiedzał, spotkał tę gawiedź zaraz na wstępie do podziemnego państwa. Odepchnęło ich niebo, pogardziło piekło, bo ni miłosierdzia ni sądu nie warci. Jęczą straszliwie, pragną losu odmiany, lecz oni nadziei śmierci nie mają, i zostawieni są przy tém ślepém ich życiu, tak pełném nikczemności i podłoty. Szatany nawet nimi się brzydzą, nie chcą ich męczyć, szpetne muchy tylko, osy i plugawe robactwo pastwi się nad nimi — ale — *Non ragioniam di lor; ma guarda e passa!* (Nie rozprawiajmy o nich; lecz patrz i przechodź!)

Brak spółczucia w rzeczach ziemskich zjawia się inną wręcz odwrotną postacią; niekiedy bowiem, lubo już rzadziéj, dusza, od doczesności odwrócona, ku rzeczom niebiańskim tęski, wygnana z raju, nie dotknąwszy nawet owocu poznania ziemskich rozkoszy; świat i wesołe koło jestestw jego nie ma dla niéj powabu. Najczęściéj nastrojenie takowe znajdziem u kobiét. Twarz, jakby rzeźba z marmuru ukuta, nie zmienia się nigdy, zawsze ta sama, czyli na balu czyli w kościele, na herbacie lub przy konfesyonale, a świat cały i boleści jego i uciechy, czarne i jasne chwile przeszły po tém obliczu, nie zostawując śladu swéj bytności, a spojrzenie patrzy gdzieś tam w nieskończoności dal. Zdarza się, iż nowe stosunki życia sprowadzają znów myśli na ziemię, a uczucia małżonki, matki zbliżą ją do rzeczywistości, ocieplą, rozświecą samotne duszy ognisko; niekiedy zaś istota takowa jest wiecznie obca, wiecznie gościem na ziemi; dla niéj na świecie nie ma sztuki pięknéj; jéj życie jest długiém konaniem.

Jeżelim powyżéj dawał ci na przykład czasy historyi, w których przeważał pierwiastek zmysłowy w sztuce, tak téż i nie brak czasów, gdy znów połowa jéj duchowa, zbyt górę biorąc, pomijała się z przeznaczeniem prawdziwém piękności. Spojrzyj na pierwsze dziejów chrześciańskich koleje; był to czas pełen okropności i zgrozy. Rzym wśród złotych pałaców swoich, postawionych na łzach i krwi całego ówczesnego świata, umiéra śmiercią zbrodniarza. Jak wyrzuty gorączkowe sumienia, mszczące zabójstwo tylu w około narodów i państw, trapiły go bunty żołnierstwa wyuzdanego, uliczne mordy, szalone fantazye niecnych cezarów, ze swór puszczone chucie, rozbestwienie, głupota i okrucieństwo. A czego akta kryminalne pojedyńczych złoczyńców dowodzą na małą stopę, owe roczniki krwawe Rzymu okazują jawnie i na wielką skalę, iż okrucieństwo krwi chciwe łączy się zawsze z przemyślną chucią i ochotą rozzwierzęconą do lubieżności. Ale więcéj niż wszystkie nieszczęścia domowe i publiczne, więcéj niż wszystkie zbrodnie i strachy zewnętrzne, dojmowała światu owa nieszczęśliwość wewnętrzna, owa czczość okropna i głuchota gnieżdżąca się w sercach wszystkich. Nie było ufności ani w życie, ani w świat, ani w ludzi, ani w bogów: wszystko było głuchém i pustém; człowiek w samego siebie stracił wiarę, a mroźne, rozpaczy pełne powątpiewanie, rakiem wżarło się w życie społeczne. Nie było więcéj bogów w sercu, a posągi ich w świątnicach były już

beztreściwą ozdobą, głuchą formą. W Panteonie, w onéj wszechbożnicy, stały pstrém kołem greckie, egipskie, perskie, rzymskie, azyatyckie i wszystkie narodów zabitych bogi, ale czcze i bez znaczenia, nikt w nie wierzył, były to teraz jakby martwe zwłoki umarłych ludów, z których uleciał duch. Rozpacz powszechna rozlała się mrozem. Olimp cały skonał, a serce człowiecze stało się pustym Olimpem, zgliszczami zgorzałéj świątnicy.

Przeszłość zapadła w wieczne zapomnienie, przyszłość była bez znaczenia, każdy dzień był osobną w sobie jednostką nieznającą, co to wczoraj, co jutro; zacność człowieka zatracona już była w języku, jak oddawna zapomniana w rzeczywistości. Zdawało się, iż słońce, opatrzne oko natury, wygasło, a czarne zmory północą spuściły się na ziemię. Niekiedy tylko w téj ciemnicy głuchéj jakiś człowiek wyższy zaświecił fosforycznym blaskiem, jakby błędne światełko nad grobem wszego życia i przeszłości całéj, i znów zgasł niepoznany jak błędne światełko. Ale wśród gruzów ogólnych i zwalisk szczupła drużyna, nieznajoma światu, kopała fundamenta dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich czasów: budowniki nowego świata, nieliczne grono chrześcian odwróciło oczy od ziemskiéj niedoli i bezcześci ludzkiéj, podniosło w górę źrenicę, kędy na obłocznych wysokościach zaświeciło godło krzyża; a duch pocieszyciel, zesłaniec wieczności, przyświecał na cześć zakładzinom nowéj historyi. Wówczas to człek, własnéj istoty zmysłowéj i natury cielesnéj się zapierając, a uważając królestwo swoje nie z tego świata, obrzydził sobie wszystko, co było pogańskiego, odrzucił precz od siebie zmysłowość, pogardził piękności formami. Piękne kształty sztuki, niby potępieńce, nie okazały się na jawie; taka to była cała sztuka ówczesna. Postać Zbawiciela nawet przedstawiała się w niepięknym zarysie; rozumiano, iż jéj świętość znieważyć może piękność zmysłowa, zaniedbywano z umysłu cielesność wszelką. Chodziło tu nie o powłokę ale o wewnętrzne znaczenie; myśl, będąca jądrem i duszą rzeczy, sama tylko miała wartość; rozebrano ją ze wszelkich szat, ztąd też sztuka stała się symboliczną; krzyż, baranek, kotwica, palma zwycięztwa, gołąbek, grona winne i winna macica, siedem świeczników zabraly miejsce sztuki. Późniéj dopiéro znaczenie takowe uzmysłowiło się więcéj. Zbawiciel występował w postaci dobrego pasterza i we formach, mających coraz więcéj a więcéj uzmysłowienia.

Ten charakter początkowéj sztuki utrzymał się późniéj w sztuce bizantyńskiéj; jéj piętno jest symetryczność architektoniczna, w któréj jedna strona obrazu odpowiada drugiéj; każdy nawet fald sukni, każdy jéj załomek, każda gwiazdka zdobiąca szatę, każdy promień ma inny odpowiedni z drugiéj strony twarzy; wizerunek składa się z dwóch połów zupełnie do siebie podobnych, jak tego przykład masz na wizerunku Najświętszéj Panny Częstochowskiéj. Tu i w obrazach cerkiewnych greckiego wyznania, wyraźnie znać, iż zmysłowa natura wziętą została w karby przez świat duchowy; jest ona nieu-

samowolniona wcale, ale ściśniona i zmuszona, bo tu nie o nią chodzi, lecz o wewnętrzne znaczenie. Jest to tedy sztuka, w której strona zewnętrzna, materyalna jest zaniedbana.

Podobnie i architektura, przyciśniona posępnością czasu swojego, odrzucała wszystko, coby przypominało zmysłów ułudy i wesołe wejrzenie świątyń pogańskich. Znajdziesz to piętno zwłaszcza w budownictwie bizantyńskiem; tu znać, iż myśl chrześciańska upodobała sobie kształty powagi pełne, działające na serce, a przypominające królestwo niebieskie. Tą myślą nacechowana jest i rzeźba ówczesna, okazująca się zwłaszcza w ozdobach strojących główne drzwi kościołów: znajdziesz figury przypominające żywot Maryi Panny i Zbawiciela i męki jego, połączone w dziwnym splocie z figurami fantastycznych zwierząt i poczwar, niby w piekle wylęgłych; to wszystko ima się labiryntném powiązaniem, a jednakże, razem wzięte, tworzy jednę harmonijną całość. Przecież okres ten miał i swoją odpowiednią poezyę; wylewała się ona z wnętrznych krynic serca, nie dbając na kształt powierzchowny; były to wiersze długie, bez wyraźnéj miary, bez rymu. Poniewieranie wszelką formą zewnętrzną, wszelką budową będącą jakby cielesną stroną poezyi, jest piętnem pieśni ówczesnych. Chowam się na późniéj z bliższym rozbiorem wieków onych i ich sztuki, wszelakoż i ten powierzchowny rzut oka wystarczy, by poznać, iż treść wewnętrzna duchowa jest wszystkiém, że pierwiastek umysłowy przeważa nad stroną fizyczną sztuki.

Przewaga atoli pierwiastku duchowego, rozumowego, ukazuje się jeszcze pod innym trybem, zwłaszcza w sposobie sądzenia o dziełach sztuki. Ludzie, którym zmysłowość zgasła, przystępując do dzieł sztuki, uważają je tylko za płody czystego rozumu. Rozum jednak jest właśnie potęgą ustawodawczą w nas; jego pojmowanie, jego sposób brania rzeczy są ogólne, a jego właściwym sposobem wyrażania się jest mowa, jest język, nie zaś formy cielesne, będące zupełnie czémś szczegółowém, oznaczoną jakowąś istotą.

Kto tedy pojmowanie czysto rozumowe, zdania rozsądkowe w sztukę wprowadza, wtłacza je w zupełnie niewłaściwą formę, a rezultat podobnego postępowania nie będzie, ściśle mówiąc, ani do sztuki, ani do rozumu należéć, będzie to allegorya. Widzisz to w rzeźbie, to na medalach, to na malowidłach figury wyrażające: sprawiedliwość, odwagę, umiejętność, zemstę i t. d., albo znów figury mające znaczenie kraju jakiego, np. Francya, Bretania, Bawarya i t. d., wszystko to jest pojęciem ogólném. Jakoż nawet i poeci w wieku przeszłym wprowadzali uosobione namiętności, używając ich zwłaszcza za sprężyny poruszające epopeją; tak np. *Voltaire*, wodzący na on czas réj w całéj Europie, wprowadza to Niezgodę, to Jędze, to inne pojęcia rozumowe w swoje poezye, a za nim poszli i inni, a nawet i u nas pełno tego jest przykładów. Przecież figury takowe zawsze są czémś zbyt ogólném, a zatém głuche w sobie, czcze i zimne, ani do rozumu, ani do uczuć nie przemawiają. W podobnych tedy rzeźbach, meda-

iach, trudno niekiedy zgadnąć, co one znaczyć mają, bo niewiedzieć czém się różnić ma figura Francyi od osoby wystawiającéj Bretanią, jaki wyraz twarzy ma je różnić od siebie; ratuje się wtedy godłami symbolicznemi, jakie są: waga, miecz, zawiązane oczy, kotwica, statek, róg obfitości i t. d., ale to wszystko jest niedostateczne, trzeba koniecznie jak pod rysunkami dzieci, podpisywać co jakie ma mieć znaczenie.

Właśnie też ta jest różnica między poetycznością i allegoryą, iż jak allegorya zaczyna od myśli ogólnéj czyli rozumowéj i dla niéj szuka kształtu szczegółowego odpowiedniego, tak odwrotnie poezya tworzy sobie kształty rzeczywiste, a skoro te już są utworzone i staną, wtedy z nich wyczytać można myśl ogólną. Patrz, figury jakiemi są np. Macbeth i lady Macbeth, Romeo i Julia, Hamlet, są rzeczywistemi ludźmi, pełne prawdy, krwi i życia w sobie; zdaje się, iż widzisz lub czytasz los dziejów prawdziwych, które się rzeczywiście stały, a przecież z nich wyprowadzić możesz teoryą mądrości, pełną myśli ogólnych, roztwierających ci całą otchłań serca człowieczego, i malujących barwami żywemi nie tylko tajniki duszy Macbeta, Hamleta, Julii i t. d., ale w ogólności tajniki duszy ludzkiéj. A zaiste *Shakespeare*, tworząc w duchu te figury, nie myślał może nawet o ogólném i filozoficznem ich znaczeniu; kreślił zapewne tylko *Macbetha*, *Julią*, *Hamleta*, a tu bez wiedzy jego, z ducha tego wypłynęła głęboka mądrość, myśli ogólne, będące prawdą po wszystkie wieki. I dlatego *Shakespeare* nie jest wyłącznie poetą angielskim, on jest własnością kuli ziemskiéj i chwałą wszystkich ludzi i wieków. Albo patrz na Wieczerzę *Leonarda da Vinci*, tak jak ją pojął i wyrytował *Morghen* (*) w trzechletniéj pracy życia swojego; ugrupowanie figur, położenie ich rąk, wyraz każdéj twarzy mógłby być treścią całéj książki filozoficznéj; a więcéj tam iście złożonych jest prawd wziętych z historyi duszy człowieka, niż w niejednéj psychologii. Figury, stworzone przez *Leonarda*, a pojęte przez *Morghena*, są rzeczywistemi ludźmi, ale z nich wypływają myśli ogólne, pojęcia dające się zastosować do całego rodzaju człowieczego, do całéj gry tajemnéj serca jego. Tacy niechaj się święcą malarze i poeci!

Że pojęcia rozumowe i myśli ogólne nie mogą być przedmiotem sztuki, okazuje się najtrafniéj z przeczucia całych narodów. Patrz, ani Żydzi, ani Turcy nie mają obrazów; przyczyna prosta, bo Bóg, w którego oni wierzą, nie uwidomił się im nigdy, jest Bogiem niewcielonym, niewidomym, jest pojęciem ogólném, myślą czysto rozumową, nie mogącą być oddaną w cielesnéj postaci sztuce właściwéj.

Kto jedynie zdolen samym czystym rozumem rzeczy pojmować i na pojęcia, na rozumowanie sobie tłómaczyć, niechaj ćwiczy się

(*) Rafael *Morghen*, znakomity rysownik, professor akademii florenckiéj; urodził się 1758, zmarł 1853 r. (St.)

w matematyce; wszak w algebraicznym rachunku znaki alfabetyczne, jakąkolwiek wielkość znaczyć mogą, treść ich szczegółowa jest zupełnie obojętna, wypadkiem jest zawsze jedna i taż sama formuła. Tu rzecz sama i pojmowanie jéj jest zupełnie umysłowe. Ani też przeczę, iż środki takie, jak znajomość perspektywy, rozmiarów, oświecenia, anatomia, techniczność wykonania, wiadomości archeologiczne, znajomość indywidualności mistrzów, ich żywota, czasu w którym żyli, historya sztuki, są ważną pomocą, a nawet pierwszą zasadą oceniania wartości jakiego dzieła sztuki, ale przecież same jedne nie wystarczają.

Kto z zimnym rozbierającym rozsądkiem przystępuje do dzieła sztuki, bez wyższego natchnienia, rozkrawając jak umarłego najwyższe dzieła ducha; kto na miejsce wrzącego serca przyniesie zimny jedynie rozsądek: już podobny jest do owego, co widząc piękność kobiécą w całym swym uroku i czarach, rozbierze sobie jéj powaby anatomicznie i chemicznie. Będziesz się unosił nad urokiem jéj kształtów i harmonią jéj ciała, nad „śnieżną bielą ramion i łabędzią szyją", lub zachwycony staniesz patrząc w te oczy, tonące „niby w wilgotnym ogniu", toć on powié nam, iż kształtna kibić jéj pochodzi od normalnego kształtu jéj skieletu i kości, które jak u każdego człowieka składają się z 33,17 materyi chrząstkowéj, 53,14 fosforanu wapna, zresztą jest w nich trochę glinki, trochę soli kuchenméj i t. d. A to piękne ciało, toć jest połączeniem włókna mięsnego, białka, pierwiastku ekstraktowego i t. d.; a owa białość i delikatność skóry pochodzi po prostu z tego, iż muskuły mięsne są rzadziéj utkane i mają trochę więcéj białka w sobie, zresztą na 100 części jest tam przeszło 50 części wody, drugie 50 znów zajmują inne pierwiastki, które ci najsumienniéj wyliczy; a krew, co, jakby tchem ducha, rumieńcem na twarzy wykwita, o tajnikach serca przemawiając, jest taka sama zupełnie jak nasza męzka, z tą tylko różnicą, że u kobiet na 100 części jest 2 części więcéj wody, a 2 części mniéj kuleczek krwistych; a owe bogate kędziory, któremi „Sylfidy igrają", ba! toć to jest niedokwas żelaza, manganez, siarkan wapna, krzemionka; a czyli te włosy są płowe, czarne, ciemne, toć to tylko zależy od większéj, lub mniejszéj ilości niedokwasu żelaza. Tak ci w tygielku rozbierze wszystkie uroki, wszystkie powaby, co cię czarują; rozsmaży i rozłoży na drobna pierwiastki, złożyć ich tylko nie umié, co za szkoda!

Kto z myślą zimną, rozbierając niby chemicznie, przystąpi do pojmowania piękności w dziełach sztuki, nigdy jéj nie obaczy; z przed oczu świętokradzkich mu uleci w inne światy, w inne krainy, kędy ją godniéj czcić i kochać umieją.

Widzisz przeto, że gdy dzieło piękności jest ześlubieniem się dwóch światów, bo ducha a materyi, idealnéj a zmysłowéj natury człowieka — nieba a ziemi: więc też sztuki piękne przemawiają do dwoistéj istoty człowieka, tak dziwnym, tak nadświatnym urokiem

więżą i czarują serce jego; ono jeszcze na ziemi a widzi w piękności świat nadziemski rozwarty; to serce biedne człowieka jeszcze się trawi, jeszcze się pasuje z doczesnemi mocami a w dziełach sztuki woła na niego głos z nadniebnéj ojczyzny. Przecież widziałeś równie powyżéj, że właśnie dla dwóch tych pierwiastków, żyjących równém pełném życiem w sztuce, już żaden z nich nie powinien sobie rościć prawa do wyłącznego panowania, ani w sercu widza, ani w samém dziele piękności.

Wszak tutaj już zapewne sama ci się nasuwa myśl, że gdy z jednéj strony zmysły nasze są różne, więc i z drugiéj strony różnie do zmysłów naszych mają się przedmioty zewnętrzne, materyalne, a tém samém znowu widzisz, że same dzieła sztuki różnie działać będą na zmysły nasze, a zatém różnie przemówią do duszy człowieka; one wprawdzie wszystkie proroczyć będą o wiekuistości naszéj, ale każda niby właściwym sobie językiem. To prawda! Właśnie atoli też w téj rozmaitości tkwi zarazem rozmaitość rodzajów sztuki. Zdaje mi się, że tu przeto będzie na porze wspomnieć ci choć przelotem o tych jéj rodzajach, zatém o jéj podziale, a tém samém o wzajemném zachowaniu się tych różnych sztuk do siebie. A radbym też rzecz tę całą wesprzéć właśnie na tém, com wyżéj powiedział.

Rzekliśmy sobie bowiem dopiéro, że sztuki piękne nie odnoszą się bynajmniéj do wszystkich zmysłów naszych, ale że tylko dwa zmysły, bo wzrok i słuch mają przystęp do dziedziny sztuki, a zatém same przez się nam wypłyną dwa główne rodzaje piękności, z których jeden przemówi do wzroku a drugi do słuchu. Może się atoli na taki podział nie odrazu zgodzisz, mówiąc, że on oparty jest li na naszym organizmie, więc na usposobieniu samego tylko człowieka, a że przecież człowiek, patrzący na dzieła sztuki, jest tylko jedną stroną, a drugą stroną jest natura, jest świat rzeczywisty, z którego mistrz bierze osnowę dla dzieł swoich. Wymagasz tedy, by nasz podział sztuki na różne jéj rodzaje był wzięty raczéj z istoty saméj téj rzeczywistości zewnętrznéj.

Chciéj atoli zważyć: gdy człowiek jest ostatniém słowem stworzenia i najwyższym szczytem rzeczywistości, więc już jest prawdą, co tyle razy powiedziano, że w nim zbierają się wszystkie promienie stworzenia, że on jest sam małym światkiem dla siebie, a z tego wypływa, że byleś jego istotę rozwinął, znajdziesz w niéj wszechstworzenie, więc i ową rzeczywistość zewnętrzną. Z tego znać, że co jest prawdą dla jego istoty, będzie też prawdą dla téj rzeczywistości. Inaczéj też być nie może. Ten sam Ojciec niebiański, który stworzył świat, stworzył też człowieka; więc człowiek i duch jego z jednéj strony a ten świat rzeczywisty, z drugiéj, choć różne od siebie, nie mogą być różnorodne. Ale z tego wszystkiego wynika, jak widzisz, że podział sztuki pięknéj, oparty na różnicy wzroku i słuchu, więc na organizmie człowieka, znajdzie też zastosowanie swoje i w rzeczywistości zewnętrznéj.

I tak w istocie jest.

Jakoż chciéj zważyć — cała natura zmysłowa, cały rzeczywisty świat ulega dwojakiéj ustawie, bo albo zjawiska jego istnieją w przestrzeni, i w niéj zajmując pewne miejsce, pewne rozmiary, mają zatém swoje ograniczenie w przestrzeni, i swój koniec i początek; albo też te jestestwa uważane być mogą jako istniejące w pewnym czasie, jako mające tedy swoje granice, bo swój początek i swój koniec w czasie. Tak samo dziać się winno i z dziełami sztuki, które istnieją w rzeczywistości; jedne z nich istnieją w przestrzeni a drugie przemijają w czasie. Otóż widzisz — te, które istnieją w przestrzeni, odnoszą się zarazem do wzroku, bo przestrzeń jest państwem zmysłu tego — a te, które mają istnienie swoje w czasie, odnoszą się do słuchu. Widzisz tedy, iż zasada naszego podziału odnosi się również do człowieka i do rzeczy saméj. Jeżeli tedy zgadzasz się już na taki pogląd, chciéj jeszcze bliżéj ze mną rozpatrzyć rzecz całą.

Baczmy — każde dzieło sztuki, które widzimy mocą światłości, które tedy istnieje w przestrzeni, ma swoje wymiary jak przestrzeń sama, ma przeto długość, szerokość i wysokość, ma ciężkość jako materya istniejąca w téj przestrzeni, jest tedy czémś materyalném i istniejącém jakby zewnątrz naszego ducha. Odwrotnie dzieło sztuki, odnoszące się do słuchu, istniejące w czasie, traci niby materyalność swoją; bo jest rzeczą niepodobną dojrzyć takiego dzieła lub się go domierzyć lub doważyć; więc ono istnieje już jakby w duchu naszym, niby wewnątrz nas, boć i nasze uczucia, myśli, wyobrażenia także odbywają się w nas następstwem czasu. Znać zatém, że dzieło sztuki, płynące w słuch nasz, jest czémś wewnętrznem, gra i drga w duchu naszym.

Jest przeto jakiś dualizm w świecie piękności; ale choć dualizm każdy jest zawsze życiem i podnietą, działaniem i oddziaływaniem, toć przecież każdy winien się zawsze zestroić harmonią w jedność; z tego zaś właśnie wróżyć sobie można, że się znajdzie trzeci rodzaj piękności, w którym spłyną sztuki przestrzeni, to jest odnoszące się do wzroku i światła z jednéj strony, a sztuki słuchu czyli czasu z drugiéj strony — będzie to przeto nowy rodzaj sztuki, w którym poślubi się miłością zewnętrzny i wewnętrzny świat.

Zanim jednak obaczymy, jak się nam ziszczą te wróżby o tym trzecim rodzaju sztuki, obaczmy najprzód rozwój tego rodzaju sztuk, które do wzroku i przestrzeni należą, a następnie dzielnice téj sztuki, która się do czasu, do słuchu odnosi.

Rzecz jasna, że tutaj stanie na reju ten rodzaj sztuki, który nietylko w przestrzeni istnieje ale nawet z saméj przestrzeni się rodzi, a który właśnie jak przestrzeń sama ma za osnowę materyą. Pytamy, cóż się rodzi z saméj przestrzeni? To wiemy już z matematyki, z geometryi, których dzielnicą jest właśnie przestrzeń. Z przestrzeni powstaje punkt, linia, płaszczyzna prosta i krzywa, figury więc różne: trojkąty, prostokąt, koła, łuki, elipsy, sześciany, kule, pira-

midy i t. d. Zgadujesz przeto już, że sztuką tą, rodzącą się z przestrzeni, jest architektura; nadto architektura, równie jak przestrzeń, ma do czynienia z massą ciężką materyi.

Przecież znowu właśnie dla tego, że architektura z przestrzeni się rodzi, więc i ona stwarza sobie własną przestrzeń artystyczną, ona buduje sobie świat osobny, w sobie zamknięty. Wszak i przestrzeń natury, ta przestrzeń Boża, jest dziełem Bożéj architektury, w niéj święci się budowanie i matematyka aniołów, co wodzą światy i słońca i księżyce. Przestrzeń wszech światów, toć jest dom widzialny dla duchów, który sobie wystawił Pan. Ale dla jestestw zmysłowych, dla oka zmysłowego, doczesnego, ten dom a przybytek Pański nie jest ogarniony; my tylko widzimy tysiące gwiazd, tysiączne ich roje, co świécą w tym domu; a choć te światy wszystkie przez nas widziane są tylko może jakiémś zakąciem przybytku Pańskiego, toć i one przecież są dla naszéj biédnéj myśli istnym zawrotem. Spójrzyj przez teleskop choćby na planety, jak one wędrują zdobne w księżyce, w pierścienie, po przez bezdenne, ciemne przestworza Boże, a lęki i trwogi padną na serce twoje. Ztąd człek architektoniczną sztuką buduje sobie całość, którą może ogarnąć, buduje po swojemu przybytek, odgradzając go od zewnętrznego istnienia, a tak stwarza świat osobny dla siebie. Osnowa zaś surowa, którą mu dostarczą natury ciosy i belki, metal i marmury, jest mu tutaj materyą; on przezwycięża jéj nieużytość i ciężkość. Materya surowa krystalizuje się w dziela człowieka.

Stanął tedy już przybytek, — kolumny i łuki, sklepienia i strop patrzą się na człowieka świąteczno, uroczysto; ale przybytki puste, głuche, brak im mieszkańca, coby równie jak przybytek był zrodzony w niebie piękności. I stanął na podnożu gość olimpijski, stanął w cudnéj postaci marmurową bielą odziany; on cichy, niemy, a przecież z niego przemawiają głębie duchowe! Tego gościa z nadgwiazdnéj wysokości sprowadziła skulptura na ziemię, by zamieszkał w piękności swojéj dom, co mu przygotowała architektura jéj siostra.

Lecz gdy architektura z cyrklem w ręku mierzy i waży i liczy, gdy się posługuje, jakby czeladzią, matematyką i geometryą, rzeźba nie zna, co cyrkiel, co matematyka, tych powierzchni na jéj posągu nie obrachuje już żadna matematyka, tutaj nie pomoże żadna geometrya! Gdy architektura liniami swojemi, grą swoich powierzchni, harmonią swoich linij, jest dopiéro przeczuciem, symboliką treści głębokich a nie przebudzonych w duchu, w rzeźbionym posągu już nie przeczucie ducha, już nie symbolika jego ale on sam, sam duch osobiście występuje, choć odziany ciałem, to przecież ciało nie jest ciałem od doczesności pożyczoném, ale samo jest uwidomionym duchem; tutaj ducha niby dotknąć się możesz. Gdy oko nasze, patrząc na arcydzieła architektoniczne, mierzy jego stosunki i liczy, patrząc się zaś na posąg, dotyka się go niby wzrokiem; czucie, zmysł dotykania przeniósł się w źrenice. Gdy architektura mocuje się z ciężkością

materyi, podpiérając jéj brzemię, w rzeźbie postać sama na sobie ciąży, sama się na swoich członkach podpiéra. Gdy architektura buduje w sobie zamknięty świat, niby artystyczną przyrodę, artystyczne otoczenie, w rzeźbie już duch jest usamowolniony od natury; posąg ze wszystkich stron obrobiony stanął samodzielnie, jest wyobrażeniem wyzwolenia z pod potęg przyrodzonych. Dla tego płaskorzeźba, nie oderwawszy się od tła swojego, patrzy na nas jako jedynie ozdoba architektury, jakoby jéj przystrój. Bo właśnie rzeźby powołaniem jest aby wymiary, aby formy rzeczywiście istniejące w naturze znalazły się równie doprawdy i w dziele rzeźbioném, lubo już uduchownione pięknością nadziemską. To powołanie skulptury jest zarazem jéj szczęśliwym światem a zarazem jéj kółkiem zaklętém, z którego już ona wystąpić nie zdoła. Ale właśnie dla tego pojawia się na ziemi nowa sztuka, która już tych form i wymiarów rzeczywistego świata nie przenosi naprawdę w dzieło swoje, ale wdzięczną ułudą mami wzrok; sztuka, która, będąc ukochaną córą państwa idealnego, zmyśla świat czarodziejski, w nim udając wrzekome wymiary, oddalenia, formy wklęsłe i wypukłe, cienie i światła, słowem udaje to wszystko magią swoją, co jest w rzeźbie rzeczywistością rzetelną. Wszak ta sztuka dla tego właśnie, że tak cudnie zmyśla i łudzi, pozwala sobie udawać téż oddalenia kilkomilowe i wymiary tak ogromne, że te przestrzenie jéj już są nieprzystępne dla rzeźby, co jest tak prawdomówną, szczerą i rzetelną. Domyślasz się, że tą sztuką nową jest malarstwo. Właśnie to ona przemogła przestrzeń, bo jéj prawdziwa przestrzeń jest płaszczyzna, a jéj wymiarem jest tylko sama długość i wysokość obrazu, a przecież tu są wszystkie wymiary rzeźby, co więcéj, jak rzekłem, ona zmyślając perspektywę, majaczy i mami i łudzi. A jéj różczką czarnoksięzką jest pędzel, a geniuszki, co jéj służą, zaklęte są w jéj farbach na palecie; sztuka malowania przemogła przestrzeń, przemogła więc i ciężkość i materyę samą. Patrzysz na jéj postacie urocze, widzisz — to olimpy rozwinięte, to bitwy i krocie wojowników, to miasta i grody i skały, to niebo, obłoki i morza i puszcze. Ona, gdy nierada tobie, zwinie te światy swoje; zamknie w swojéj tece i zastępy wojenne, i skały i morza, puszcze i kraje wielomilowe. Sztuka malarska majactwem lubém tak sobie poczęła, iż co widzisz w jéj dziele, to nie jest rzeczywistością, to nie jest materyą zewnętrzną istniejącą, ona raczéj przebywa w tobie, we wnętrzu twojém, we widzu; ty patrząc na jéj dzieła, patrzysz oczyma ducha twojego, patrzysz idealnie! Ale z drugiéj strony potrzeba ci przecież i oczu zmysłowych, potrzeba aby obraz malowany istniał obok ciebie, przed tobą; potrzeba, aby ten obraz istniał w przestrzeni. Te jéj przestrzenie malowane, choć ułudne, nie są tedy jeszcze ostatniém przemożeniem przestrzeni. Wtedy geniusz piękności natęży siły swoje by przezwyciężyć i te ostatki przestrzeni, by zwalczyć te ostatki zewnętrznego świata; on cofa się w siebie, zatęskni za nadgwiazdnym światem, za ojczyzną swoją,

i w tęsknocie anielskiéj przemówi muzyką — muzyką, któréj barwy, któréj cienie i światła są tony, akkordy, melodye i harmonie! Cóż zostało teraz z przestrzeni? — drganie struny, narzędzia muzycznego; drganie, co jest drżeniem w przestrzeni, odbywającém się w czasie. Tutaj oczy zmysłowe przygasły, słuch stanął na ich miejscu, tutaj przestrzeń, owa rzeczy materyalnych macierz, starta! A tak muzyka jest drugim rodzajem sztuki pięknéj; ona buduje sobie światy we wnętrzu duchowém, ona buduje sobie własne światy, własne przybytki z promieni swoich dźwięków, ona z akkordów stwarza postacie rzeźbione, ona maluje melodyą. Posłuchaj jéj mowy, mowy muzyki, a z kośnicy historyi wystąpią dzieje umarłych ludów i przesuną się orszakiem tryumfów przed oczami serca twojego, a ujrzysz jako dźwigną się góry nieba sięgające, i zaszumią puszcze proroctwem dalekich jeszcze lat, morza zaśpiewają hymny a gwiazdy tanem światlistym zawtórują ziemskim śpiewom, akkordom nieskończonym. Toć wszystko obaczysz, gdy fale muzyki pełnym nurtem wpłyną w duszę i przyniosą ci wieści z innych światów.

Muzyka cała jest sztuką wewnętrzną, jéj domem rodzinnym jest uczucie serca; serce wróży muzyką, ona tedy równie jak architektura jest sztuką symboliczną, jéj ciosami są tony, jéj budowaniem harmonie i melodye. Muzyka wprost wpływa w serce, ona nie przechodzi przez myśl, jéj wdzięki nie ubierają się w słowa, w wyrazy; co muzyka szepnie nieśmiertelnemu duchowi, tego już nie wypowiész mową wyraźną, jasną; muzyka jest świata zagadką, wyrocznią, w któréj przemawia Pan; jéj tajemne orzeczenie, serce tylko słyszy, a wytłómaczyć je tylko zdoła sama jedna poezya. Co w muzyce jest sennem jasnowidzeniem, to w poezyi staje się jawném.

Jak poezya łączy się z muzyką i płynie jéj tonami, tak też ona, występując samodzielnie, jest sztuką istnącą o sobie. Bo samo przez się poezya jest muzyką, jéj rytmy i rymy są harmonią i melodyą, ale jéj treść już nie jest więcéj zagadką symboliczną, bo duch, innych światów syn, sam tutaj przemawia wprost o sobie, więc też wątkiem jego, osnową jego, są już nie ciosy budowne, nie marmury rzeźb, ani farby lub światła, ani tony lub dźwięki; jego osnową i wątkiem a narzędziem jest mowa. A przecież poezya maluje i stawia ci przed oczy i bohaterów i bogów posągiem rzeźbionym, ale te jéj posągi mówią, ruszają się życiem i krwią; ona rozwija jakby dla wzroku obrazy natury, i śpiewa i weseli się i płacze w sercu muzyką swoją. Ona ogarnia też przestrzeń, światłem promiennem oblaną; ona drga w sercu niewidomie, niby podziemny nurt, wiekuistości zdrój; ona objęła miłością zewnętrzną i wewnętrzną światy. Słowem, ona w harmonią zestraja wszelki ów dualizm sztuki, o którym powyżéj mówiłem, bo ześlubia te jéj rodzaje z sobą, które do przestrzeni, więc do oczu się odnoszą, ze sztuką, która jest córą czasu, i dla słuchu stworzoną. Ona tedy jest trzecim rodzajem sztuki.

Przecież właśnie znowu dla tego, że poezya jednoczy w sobie oba

poprzednie rodzaje sztuk, ztąd już wypłynie, że ona sama rozdzieli się w sobie na rodzaje różne, z których jeden będzie wyobraźnikiem onych sztuk światła i wzroku, stwarzających zewnątrz siebie, bo w przestrzeni, dzieła swoje, a drugi rodzaj poezyi odniesie się przeważniéj do wnętrznych przybytków duchowych; trzeci zaś, jak przewidujesz, będzie sam powiązaniem obu pierwszych rodzajów poezyi.

Zgadujesz zapewne, że wedle tego, com dopiéro rzekł, najprzód pojawi się tu poezya niby płastyczna, malownicza, która zwróciwszy źrenicę duchową na zewnątrz, widzi Boże i światowe dzieje, patrzy na sprawy natury i historyi człowieka. Jestto epopeja, sielanka, powieść i tak następnie; a gdy ona wyśpiewa te zewnętrzne światy, gdy głos jéj rozbiegnie się po pokoleniach i stuleciach, wtedy duch piękności zwróci oko swoje na wewnątrz, i co potęg, co mocy żyje w piersiach człowieka, to wypłynie strumieniem, potokiem, rzeką lirycznéj poezyi, i zagrzmi hymnem, psalmem Bogu, i uwielbi odą wielkie czyny wielkich ludzi na ziemi. Albo nakoniec poezya stanie się dramaturgią. Tu, jak w epopei, widzisz postacie przed sobą, widzisz ich dzieje na ziemi; ale co one mówią, toć jest wylewem ich duszy, co czynią i działają, toć jest wyrazem onych mocy tajemniczych, co pracują w ich wewnętrznych przybytkach, tych mocy, co prą i robią w piersiach ich do działania porywając.

Tak tedy zlekka rzuciłem ci zarysy podziału sztuk pięknych; prawda, że te zarysy są zbyt lekkie, prawda, że możnaby innym jeszcze trybem uszykować cały poczet tych có olimpijskich; wyznaję, że w téj chwili nie wiem nawet, czylibym się tego samego trzymał szyku, gdyby mi kiedyś wypadło w przyszłym jakim szeregu listów moich przypatrzyć się zosobna każdemu z tych rodzajów sztuk — ale w takim razie przyszłoby nam też ściśléj ugruntować podział cały. Wszak dotychczas estetycy nie mogą się zgodzić w téj mierze! (*)

(*) Inne główniejsze podziały sztuk pięknych. *Arystoteles:* sztuki ruchu: poezya, muzyka, taniec; sztuki spokoju: plastyka, malarstwo. *Batteux:* sztuki mechaniczne: przemysł artystyczny; piękne: plastyka, malarstwo, taniec, muzyka, poezya; ornamentacyjne: budownictwo, krasomówstwo. *Kant:* sztuki mówne: krasomówstwo, poezya; plastyczne: budownictwo, rzeźbiarstwo, malarstwo; uczuciowe: (empfindende): muzyka, sztuka dramatyczna. *Schelling:* poezya, jako wcielenie nieskończoności w skończoność; sztuki plastyczne i muzyka jako podniesienie skończoności do nieskończoności. *Hegel:* sztuka symboliczna: budownictwo; klassyczna: rzeźbiarstwo; romantyczne: malarstwo, muzyka, poezya. *Vischer:* sztuki przedmiotowe: budownictwo, rzeźba, malarstwo; podmiotowe: muzyka; podmiotowo-przedmiotowa: poezya. *Carriere:* sztuki przestrzenne: budownictwo, rzeźba, malarstwo; czasowe: muzyka; duchowe: poezya. *Lemcke:* sztuki wzrokowe: budownictwo, rzeźba, malarstwo; słuchowe: muzyka; mówne: poezya. *Tain:* sztuki naśladownicze: poezya, rzeźba, malarstwo; matematyczne: budownictwo, muzyka. W naszéj literaturze, obok podziału Kremera, zasługują na uwagę następujące podziały: *Trentowski* (Panteon wiedzy ludzkiéj. T. II, 1874, str. 487 i nast.): sztuki wzrokowe: rysunek, architektura, malarstwo, płaskorzeźba, rzeźba, snycerstwo i posążnictwo, oraz taniec; słuchowe: muzyka, śpiew, deklamacya; mówne: proza wzorowa, krasomówstwo, poezya. Panteon sztuki: teatr. *Libelt* (Umnictwo piękne.

Myślę atoli, że podział i systematyzowanie wzajemne sztuk pięknych trybem, jak to uczyniłem powyżéj, zupełnie nam na teraz wystarczy, a to tém więcéj, że jest i łatwy i zrozumiały. Trzymając się naszéj myśli, która w nim przewodniczy, zdołasz bez trudności każdy z tych rodzajów sztuk rozdzielić znów na podrzędne rodzaje; co więcéj, bez mozołu poznasz, jako w tym systemacie wypadnie umieścić i inne pojawy, które równie do dziedziny sztuki i bardzo słusznie policzone bywają. Tak np. zważ taniec, — rozumié się, że nie ten, który w życiu powszedniém tak się zwykł nazywać, ani ów co zwykle w baletach trąci sztuką łamaną, — a wyznasz, że taniec w najszlachetniejszém znaczeniu uważany, znajdzie i w naszym systemacie łatwo umieszczenie swoje. Bo taniec jest wcieleniem piękności linii w ruchy ciała, a te właśnie odbywają się zarazem w przestrzeni i w czasie (takt, rytm). Tak tedy taniec jest jakoby przejściem ze sztuk, istniejących w przestrzeni, do sztuki, żyjącéj w czasie, bo do muzyki; on równie przejmuje wnętrze człowieka jako też jest zewnętrznym pojawem: on jest rzeźbą żywą i muzyką widomą, harmonią niemą a symboliką wymowną uczuć człowieka. Albo sztuka ogrodnicza! O ile takowa zasadza się na udaniu natury, jéj dolin i strumieni, jéj gajów, i tak o ile ona niby stwarza naturę wolną a przecież pełną wdzięku, o tyle graniczy z malowaniem pejzażów; o ile zaś buduje szpalery i strzyże, o tyle zaiste staje się pokrewną architekturze; rzekłbym, że w pierwszym razie jest naturą sztuczną, w drugim sztuką naturalną. A cóż dopiéro powiedzieć o sztuce dramatycznéj! podobno łatwoby nam przyszło okazać, jak to ona jest wykwitem całego grona sztuk pięknych. Miłoby mi było, gdybym ci kiedyś mógł wyłożyć ogromne znaczenie téj sztuki i pierwsze choć najogólniejsze jéj zasady. Ale tutaj nie ma ani miejsca, ani czasu po temu.

Zwróć tylko uwagę na całą osnowę przebieżoną w liście niniejszym. Okazało ci się jawnie, jak mniemam, że dwa pierwiastki wręcz odwrotne, bo świat duchowy i zmysłowy, spływają w jedność w sztuce pięknéj, a tém samém, że przewaga jednego z tych pierwiastków paczy zawsze cudne piękności formy. Tak tedy wyjawiła się nam najprzód prawda, że same zmysły nie wystarczą, by ująć piękność w całém niebiańskiém jéj znaczeniu, i że z drugiéj strony sama myśl, wyrzekająca się doczesności, spinająca się po wierzchowinach hardych lecz zimnych i lodowych, wysoko wzniesionych nad ży-

---

(Część ogólna, Wyd. 2-gie 1875, str. 172 i nast.): sztuki formalne: architektura, snycerstwo, malarstwo; treściowe: muzyka, poezya, wymowa; społeczne: idealizowanie natury, estetyczne wychowanie człowieka, idealizowanie społeczności. *Struve* (O pięknie i jego objawach, 1865 str. 23 i nast.): sztuki idealizujące rzeczywistość: architektura, rzeźbiarstwo, malarstwo; urzeczywistniające ideę: poezya, krasomówstwo, muzyka. (St.)

cie ciepłe, pełne krwi i tętna, wyrzeka się dobrowolnie rozkoszy, płynącéj dla ducha z piękności artystycznéj.

Tym prawdom przypatrzyliśmy się z przeróżnych względów, a nakoniec widzieliśmy, jak ten właściwy stosunek świata materyalnego i duchowego w sztuce, staje się sam zasadą podziału sztuki na różne jéj rodzaje. A wszędzie pojawiła się nam prawda, że sztuka piękna zaiste jest zjednoczeniem dwóch światów, bo doczesności i wiekuistéj prawdy, zmysłów i ducha.

Dusza, Psyche, o motylich skrzydłach, słonecznego bóstwa córa, jaśnieje w swéj piękności nadziemskiéj, ale świat tylko cześć niebiance oddawać umié, a nikt ze śmiertelnych nie ośmiela się jéj kochać rzewną miłością. A smutnie i tęskno płyną godziny samotnéj psychy; ale amor, ziemskiego kochania i najwyższych uroków bóg, sam miłością ku niéj goreje i dla oblubienicy nieśmiertelność od Pana Olimpu wyprosił, a cały olimp zestąpił na ziemię i uwieńczył zaślubiny niebiańskiéj z ziemską miłością. Sztuka jest tą historyą miłości Amora i Psychy, zlaniem się w jedność zmysłowego i duchowego świata.

List Szósty.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszéj. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego. — Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma celu wzbudzenia uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności, czyli smak, nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłém uważanego. — Smak estetyczny — styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana pani Sand. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć.

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swéj lutni pieśnią potężną zaśpiéwał o piekle, czyśćcu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwiérając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swéj sztuki w malowanych Giotta obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżéj jutrzenki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Spinello*. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością: — był to Włoch w całém znaczeniu; co w sercu zatliło,

rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pędzla jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiéty i mężczyźni, rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego; a dziwna téż w tych postaciach żyła potęga i dziwne téż o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur? — Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pędzel jego lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał; przecież z głębokiéj otchłani gorącéj wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończone rzucał, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiéj roboty w kościele S. Maria degli Angioli: upadek i strącenie aniołów pysznych, było treścią téj pracy. — Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pędzla jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan, robiący niby honory piekła; a zawziął się téż na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biédę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrząc na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrzał, to i truchlał. A panie wszystkie przyznawały, iżby nigdy się nie spodziéwały, by zwodziciel mógł być do tego stopnia brzydkim; a może téż nie jedna i nie jeden pocieszał się myślą, iż znów djabeł nie tak straszny jak go malują. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djabłem byliby się może oswoili, bo najtrudniéj zacząć, a już resztę jakby znalazł. Boć i sami panowie Francuzi nas uczą: Ce n'est que le premier pas qui coûte. Ale cóż się stało? Tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła komerażem do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedziéć, czyli djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensyach, czyli się obawiał wyraźnéj straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj, ja o tém wiedziéć nie mogę, ani chcę wiedziéć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mięszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biednym Spinellu. Słuchaj.

Jednéj nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków kochanek i towarzysz ziemi naszéj, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojéj dowodził, że miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetyczném świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grą swych fali śpiéwały jéj serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła; Spinello — gdy się to wszystko działo, spał sobie snem prawego, o niczém złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł, od stóp do głów w téj saméj postaci, w któréj go był odmalował Spinello w kościele degli Angioli: miał kubek w kubek ten sam wyraz fizyognomii, te same maniery, ułożenie i t. d. słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owéj swéj kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale i chryje, nuż wyrzuty; a tyś taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie tak despet malował, co ja ci kiedy złego zrobił, ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello, kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomięszania zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło.

Otóż widzisz, drogi mój bracie, czém dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściéj własne serca *uczucia*: kto się na baczności nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć wnet ich będzie miał własnemi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniéj zaszwankuje na rozumie. Uczucia własne dźwigają się często w olbrzymie złowrogie demony, które się stają naszéj zguby przyczyną: co się w sercu zrodziło wywołuje moce w świecie zewnętrznym, a te moce biją na nas i karzą za to, żeśmy pominęli ogólny Boży zakon władnący światem i gruntowali sprawy nasze wyłącznie na własnego serca natchnieniu kłamliwém.

A istotnie, rzecz dziwnie się ma i z uczuciem i z tém powszedniém odwoływaniem się do nich. Zwyczajnie własne uczucia na świadectwo biorą w rzeczach, do których je najmniéj zastosować można; a znowu tam, gdzieby wypadało sięgnąć do przybytku własnego serca i zapytać li samego głosu uczuć, tam najczęściéj radzą się zimnego rozsądku: paczą tedy i rozsądek, i znieważają uczuć świętość. Gdy zaś najpospoliciéj przy sztukach pięknych zwykło się wiele i suto rozprawiać o uczuciach, racz tedy ze mną trochę bliżéj ich istotę rozebrać, mając atoli zawsze na pamięci, że ja tu mówić będę o uczuciach samych przez się, a nie będących pod wpływem wyższych władz i ukształconéj woli. Dla uniknienia wszelkiego nieporozumienia wolę ci już z początku oświadczyć, czego przy końcu listu tego dowiodę, że jak człowiek bez uczuć jest głuchą, bezjędrną łupiną w świecie moralnym, tak téż przyznaję, iż w świecie estetycznym

uczucia są głównym pierwiastkiem: bo gdzie nie ma uczuć, tam nie ma mistrza, tam nie ma sędziego sztuk pięknych, tam nie ma sztuki wcale.

Ale wyznaj, że też trudno znaleźć coś tak zmiennego, tak przemijającego jak uczucia same, jeżeli one nie staną pod rządem rozumu i nie poddadzą się zasadom prawdy. Rodzą się one w nas ciągle, i ciągle się przeobrażają, przychodzą nam z nienacka, niewołane, i niespodziewanie występują z ziemi, jakby z pod podłogi teatralnéj widziadła i strachy; lęgną się w nas mimowolnie, bez najmniejszego wpływu naszego; jedna chwila bywa tu stanowczą. Ten lub ów, co wstał sobie spokojnie z rana, kładzie się wieczorem mając nienawiść, troskę, lub miłość w sercu; a co gorsza, przez nie, jakby przez żółte, bure, lub różowe szkiełka na świat spoziera. Uczucia tak mało od nas zależą, jak rumieniec na licu, jak iskra w oku, jak łza boleści, jak barwa włosów, jak sen i marzenia nocne, jak łagodniejsze lub mocniejsze pulsu bicie — serce nie sługa.

Czyli się kto z tkliwszém lub słabszém sercem rodzi, to ani jego zasługą, ani winą; ani też o to chodzi, jakim się kto rodzi, ale jakim się własną pracą uczyni. Nie ma ludzi lichszych jak ci, których cała pochwała, że mają dobre serce: bo najczęściéj to dobre serce znajdzie się i przy braku charakteru, honoru i ścisłego dopełnienia powinności swoich, i przy słabéj głowie, rozwiozłości i złych obyczajach. Ludzie tacy nie dają żadnéj rękojmi swojego postępowania, a najczęściéj i sobie i innym stają się zguby przyczyną. Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonemi serca, aby na miejscu przemiennych uczuć zbudować w sobie charakter. Ludzi bezmózgłych najczęściéj tém bronimy, iż mimo tego i owego, co uczynili, mają przecież dobre serce. Podobnie też ludzie wskróś sentymentalni nigdy nie zdobędą się na dzielne i potężne czyny; dusza ich pełna woni, niby fijołek w zaciszy, wyzionie zapachem swe życie niezaznane, ciche i wiotkie. Jestto wielka różnica między człowiekiem sentymentalnym a człowiekiem, jak to mówią, mającym sentymenta.

Uczucia, mieszczące się w piersiach naszych, są skutkiem i ostatecznym wypadkiem nieprzeliczonych wpływów. Cały przeszły żywot nasz, towarzystwo, rodzaj wychowania, miejsce kędy kolébka nasza stała, obrazy rozwieszone na ścianach ojczystego domu, czarne i jasne chwile dziecięctwa naszego i cała ta nasza młodość brzmi głosem przeciągłym, długim, aż w późne lata życia. Nawet bieg szybszy lub powolniejszy krwi, różny temperament, wszystko, czegośmy sami się wyuczyli, albo czego nas świat nauczył przedewszystkiém usposobienie psychiczne od natury wzięte... słowem, summa nieskończonéj liczby przypadłości, które bynajmniéj od nas nie zależały, stworzyły te uczucia, które się w piersiach naszych mieszczą. Muszą tedy uczucia być tak przypadkowe, jak i okoliczności, które je zrodziły. A ponieważ wypadki i wydarzenia takowe w każdym

człowieku są inne a inne, więc też każdy człowiek ma inne uczucia i inne nastroje serca swojego. Ale co więcéj, w jednym i tym samym człowieku nawet one ciągle się mienią, wiecznie przeobrażają. Spójrzyj w serca własnego ciemne otchłanie, w ten świat dziwny, niezgłębiony, w to gniazdo bezokich marzeń, zagadkowych potęg: ztamtąd, jakby z zamglonego oceanu, wznoszą się w różno-kształtnych fantastycznych formach, niby widma wywołane czarnoksiężnika słowy, tłumy uczuć różnego języka, różnéj twarzy, a każde w imieniu innéj namiętności przemawia, każde inną wprowadza sprawę przed sąd rozumu, każde ku swéj stronie kieruje życiem naszém: a rozum, wśród téj wrzawy niesfornéj, przesłyszy niekiedy i słuszności głosu. Uważ, iż nawet nigdy jedno uczucie samo w nas się nie odezwie; owszem, gdy jedno w serce uderzy, budzi całe akkordy spokrewnione z sobą uczuć, podobnie gdy się dotkniesz jednéj struny w muzyczném narzędziu, już dźwięk jéj obudzi inne, posłyszysz jéj tercyę, kwintę i oktawę.

Nieustannie cóś w sercu naszém się zradza, porusza, mówi, a lada zdarzenie, lada zjawisko na nas działać może; spadający listek wieczorem jesiennym, umiérający kwiat, pięknych oczu spójrzenie, niebo jasne, promienne lub szare i smutne, pieśń z dawnych lat, miejsce niegdyś widywane i ukochane, niebo w gwiazdy strojne, gawory dzwonów znane z lat dziecięcych — i tysiące nieprzewidzianych małych i wielkich wypadków przestrajają w mgnieniu oka duszę naszą.

Sama wieku różnica, rozmaitość pory dziennéj lub rocznéj, przeszłość, przyszłość i teraźniejsze chwile w innych barwach zjawiają się oczom duszy naszéj i inne w nas budzą uczucia. Lata, co jeszcze drzémią w przyszłości łonie, podobne do młodości i wiosennego zarania, gdy wschód purpurowy goreje gromadą obłoków złocistych, a w każdéj rosy kropelce zwierciedli się niebo, błyszcząc nam jakby tysiączną nadzieją; przeszłość zaś jest znów jakby wieczorem jesiennym, niby podeszłością wieku naszego; przedmioty rzucają długie cienie na obraz świata; smutne, zimne mgły pokrywają życie ziemskie, aż gdy księżyc powodzią drżącego światła zaleje doliny, już téż drzewa, góry, krzewy i skały tracą barwy swoje, i są tylko jakby widmami siebie samych. Południe życia, strzelając z góry promieniem swoim, dojmuje upałem pracownika téj ziemi; człowiek w znoju wieku średniego trudzi się z chwilą teraźniejszą i pasuje się z nią i walczy, zapomniawszy na życia swojego wschód, a często nie pomni, że słońce żywota ku zachodowi się skłania. Tak uczucia nasze coraz inne przybierają kształty, a serce ciągłym niby jest kalejdoskopem, za każdém poruszeniem w inne się przemienia postaci.

A już teraz myślę, iż mi przyznasz że uczucia, powstając w nas i niknąc bez woli naszéj i przyczynienia się naszego, muszą téż być w każdym człowieku inne, i nawet w każdym znów, wedle różnéj chwili, wedle trafu, różne: a z tego znów rozumieć możemy, iż one są rozmaite: złe i dobre, zacne i nikczemne, że nas tak do wielkich

i szlachetnych czynów prowadzą, jak hańby i zbrodni stają się przyczyną. Przyjaźń, miłość, poświęcenie za prawdę, bojaźń Boża, obyczaj poczciwy, również mają w sercu ojczyznę swoją, i również z uczuć pochodzą, jak zdrada, nienawiść, mordy, cudzołóztwo, kradzież, zazdrość, kazirodztwo i wszeteczność wszelka, o tém i Pismo Św. świadczy. Wstąpno do więzień karnych, kędy mieszka występek i rozpacz, a najczęściéj znajdziesz, iż zarodem złego, owym ciemnym aniołem, co zwraca człowieka od drogi prawego żywota i wabi ku złemu, były źle pilnowane serca uczucia.

Uczucia są to owe czarownice, co na głuchych i pustych wrzosach, wśród wichru, burzy i bitwy spotykają Makbeta i w serce jego, nadpsute pychą odniesionego zwycięztwa, niby jadu krople wpuszczając, pochlebną i zdradliwą przepowiednią wzniecają w nim żądze panowania i chciwość korony; a droga do tronu wiedzie go przez mordy i zdrady. Puginał-widmo wabi Makbeta po przez noc do komnaty śpiącego Dunkana, a sam morderca siebie pyta, czyli krwawe zabójstwa narzędzie jest piekła widziadłem, lub dziełem podstępnych zmysłów? Shakspeare jest mistrzem w malowaniu uczuć stojących na zdradzie człowiekowi. Dla Ottella znów zazdrość serca w postaci Jaga staje się szatanem jego. Uczucia złe, dojrzewając bowiem w piersiach, przybierają te lub owe kształty, kuszą i do grzechu pociągają. Wié o tém Hamlet; głucho i pusto w sercu jego, rozpacza o ludziach, o sobie, o wieczności; patrzy na świat niby na wielki grób, a w serce własne jak w cmentarz, kędy pochował i miłość, i nadzieję, i uludy i wiarę swoją; skrzepnął w sobie, bo powątpił nawet o matce własnéj. W tém duszy nastrojeniu podejrzenie ostatnie, najwyższe, zjawia mu się w bladém widmie ojca: ale Hamlet i jemu nie dowierza i sam sobie powiada, że duch ten może być zawodnym piekła posłannikiem, by go uludą zwieść i wtrącić do zbrodni.

Jeżeli tedy zaprzeczyć nie możesz, iż uczucia są czémś niepewném, przypadkowém, a często złego powodem, toć już widzisz, iż one nie mogą być sędziami spraw naszych, owszem, iż one same należą pod sąd rozumu. A jak tedy niebezpiecznie jest zaufać im, tak jest ubliżeniem godność człowieka uważać to za prawdę, co nam, jak uczucia, znienacka i niewiedzieć zkąd przychodzi. — Człowiek, by bez krzywdy swéj wiekuistéj istoty cokolwiek za prawdę mógł uważać, winien być przy zakładzinach jéj i znać jéj fundamenta.

Nie rozumiem tedy, jakiém prawem w rzeczach pełnych grozy i powagi, w sprawach ogromnego dla wszystkich ludzi znaczenia, można się do uczucia swojego odwoływać; a jednak tak się dziać zwykło. Bo czy to jest mowa o wydarzeniach historyeznych, o wielkich figurach w życiu rodu ludzkiego, lub o prawie, stosunkach towarzyskich, sztuce pięknéj i podobnych sprawach, toć najczęściéj słyszymy, iż ktoś sobie uczucia własne za sędziów bierze, i z nich tworzy sobie zdania. Ale rzecz jasna, iż zdanie takowe jest li wa-

żném dla niego samego, dla innych nie ma żadnéj wartości. Tu na nic się nie przyda, choć kto, kładąc rękę na sercu, sentymentalnie zawoła: „ja tak czuję!" bo choćby tém nawet jakiś efekt sprawił, nikogo przecież nie przekona; a wykrzykniki takowe są nierównie łatwiejsze, niż dowody na rozumowych zasadach oparte.

Człowiek, gruntujący zdanie swoje na własnych tylko uczuciach, opiéra się tylko na powodach zupełnie osobistych, więc przypadkowych, które innych ludzi nie obchodzą wcale: a gdy czerpie li z siebie samego zdanie, nie z rzeczy, o któréj sądzi, więc też to jego zdanie będzie prawdą osobistą tylko, a nie rzeczywistą: bo, czyniąc uczucia swoje najwyższym sędzią o rzeczy, nie pyta czém ona jest sama w sobie, a zatém czém być winna dla innych, tylko, czém ona jest dla niego. Nie przypuszcza żadnéj dyskussyi, żadnego dowodzenia, ani za, ani przeciw: bo gdzie dyskussya i dowody, tam i rozumowanie, a uczucie nie wdaje się w rozumowania; jest, bo jest. Kto tylko w uczucia wierzy, żąda tedy ślepéj wiary, bezwarunkowéj ufności, ma pretensyą, aby to, co wyrzecze, miało dogmatów wagę; a przecież zdania takowe mają tylko piętno urywkowych prawideł, nie mogących się nigdy związać w systematyczną całość, bo do téj potrzeba zasady rozwiniętéj z rozumowania. Estetyk, wierzący tylko w uczucia własne, na świat patrzy się z piętra, i radby mieć w swoim kraju niby propinacyą wyłączną na zdania i sąd o rzeczach i ludziach.

Są zaiste stosunki ludzkie, w których każdy samego jedynie uczucia radzić się musi i powinien, w których samo serce rozstrzyga. Zakochał się kto i żeni się, toć już słucha samego swojego uczucia, boć to jest jego własna sprawa, i zupełnie ma słuszność nie dbać o zdanie i perswazye innych. Lecz byłby człowiekiem nieznośnym i śmiésznym, gdyby nas zniewolić chciał, byśmy i my te wszystkie owe zalety, przymioty i powaby w jego oblubienicy widzieli, które on w niéj spostrzegł. Któż bierze za złe rodzicom, gdy w swych dzieciach widzą dowcip, rozsądek i urodę, i jakieś nadzwyczajne upatrują zdolności, których się inni ludzie w nich, choć przy najlepszéj woli, dopatrzyć nie mogą. Dla ciebie ów ogromny dąb, pod którym siadywał dziad twój i ojciec, jest księgą świętą nieprzebranych marzeń słodkich i wspomnień drogich — gdy tymczasem obcy człowiek w myśli oblicza, ileby z onego dębu było fosztów, i po czemuby ich łokieć sprzedać można. Z tego też powodu uczucia zwykliśmy zamykać w cichych tajnikach duszy, rzadko je komu otwierając, by świętokradzką ręką nie znieważono téj świętéj kaplicy w piersiach naszych, by zimném dotknięciem nie zmrożono nam ciepłego drgania serca. Nie dziw tedy, że też miłość lub przyjaźń zdradzona tak pali i boli.

W sprawach przeto zupełnie osobistych, zupełnie do nas należących, uczucia są właściwym sądem; wyprowadzone zaś z tego koła nie znajdują się więcéj na miejscu swojém. Przewaga bowiem ja-

kiego uczucia w człowieku tak mięsza i mąci wyobrażenia o rzeczach, tak je majaczy, iż jest w niższym stopniu zupełnie tém, czém obłąkanie umysłu. Dla téj też przyczyny górowanie uczucia jakiego najczęściéj do obłąkania prowadzi. W stanie takowym umysł zwrócony przedewszystkiém ku jednemu przedmiotowi (fiksacya), nie zdoła uporządkować wyobrażeń swoich, ani naznaczyć każdemu właściwego miejsca, wszystkie z sobą mięsza; dlatego choroby umysłowe słusznie pomięszaniem się nazywają. Rzeczy dla duszy w tym stanie będącéj nie są istotnie tém, czém są rzeczywiście, ale czém się umysłowi schorzałemu być wydają. Najtrafniejszém też leczeniem jest staranie, by człowieka z tego osobistego stanowiska jego, niby z kółka zaczarowanego, wyprowadzić a wystawić go na działanie świata zewnętrznego, rzeczywistego, czyli, jak powiadają, by go rozerwać, zająć rzeczami istotnemi.

Bo też świat zewnętrzny, zwłaszcza natura, jest właśnie tą prozą, toczącą się zawsze i wszędzie drogą rozumu; i świat nie pyta się wcale, czém on się temu lub owemu człowiekowi wydać może, ale uczy rozumu każdego, kto się do niego nie stosuje, bo uczy, aby zapatrywanie się osobiste swoje zamienił na zdanie z rzeczy pochodzące, na pojmowanie rzeczywiste. Otóż patrz, szanowny pan Don Quixote z Manchy choć sam miewał zajączki, wiedział przecież, jakby je leczyć w drugich. Gdy piękna panna Altisidora, niby rozgorzała ku niemu nieukojoną miłością, zuchwały rycerz z Manchy nie zdołał płacić wdzięcznością i wzajemnością uczuć, bo siebie na wieki był oddał nieporównanéj Dulcinei z Tobozy. Przejęty jednak litością, rad był sentymentalnéj Altisidorze podać niezawodne lekarstwo na ową serca chorobę. Jednego tedy wieczoru, gdy, wróciwszy od księztwa do komnaty swéj, usłyszał głosy niewieście w ogrodzie zamkowym pod oknami swemi, dorozumiał się w oka mgnieniu, że to ona nieszczęśliwa ofiara: bierze tedy gitarę i, wedle świadectwa biografa swojego, trochę chrapliwym ale wcale nie przykrym głosem zaśpiéwał pieśń, którą sam był na ten przypadek ułożył, choć nie wiem czyli dość grzeczną dla owéj damy. Dość na tém, że jéj radzi, by się zatrudniała jak najwięcéj, unikała próżniactwa, żeby dozierała kuchni, patrzała gospodarstwa, i zapewnia że szycie, hafty, dziérgania, druty, doglądanie ogrodu, ciągła czynność, są wybornemi środkami na miłość zbyteczną. Pamiętasz może, że po téj radzie, tak niby rozsądnéj, sam biédny rycerz nasz odbywa walkę z kotami, które mieni być złośliwemi czarownikami. Bo tak bywa wśród nocy przyćmionéj duszy; niekiedy myśl strzeli, jakby błyskawicą, dawną potęgą swoją, by potém znów zapaść w sen i w marzenia na jawie. Tak masz, na wstępie do domu obłąkanych w mieście naszém, napisane węglem na ścianie tąż samą nieszczęśliwą ręką i tuż przy sobie: *Deus est ens musicale, mleko piekło papa.*

Mimo tego, iż tak mało na samych uczuciach fundować się można, przecież jest zdanie powszechne prawie, iż sztuki piękne jak

z jednéj strony ze samego uczucia mistrza płyną, tak też znowu w same tylko uczucia widza i słuchacza uderzać winny; że zatém ich głównym celem jest wzruszanie serca, pobudzanie uczuć, wzniecanie namiętności, a z tego znów, iż uczucia są właściwymi sędziami sztuk, i że wedle nich wyrokować można o dziełach piękności; bo jeżeli sztuki piękne dla uczuć pracują, więc też uczucia najtrafniejsze zdanie o nich mieć zdołają. Tutaj zaraz z góry możnaby uczynić tę uwagę, iż ze wszystkich sztuk pięknych właśnie muzyka jest tą, która zdaje się być najwięcéj uczuciową, bo istotnie najwięcéj ze wszystkich do uczuć przemawia — a przecież, pytam się, słysząc naprzykład kompozycyą jaką muzykalną, czyliż tylko samego uczucia mistrza w niéj szukać będziemy, i czyliż dość jest, aby słuchający miał tylko uczucie samo, a nic więcéj? Cóż dopiéro rzec o malarstwie, architekturze, o rzeźbie lub poezyi? Nie ma nic łatwiejszego jak wołać, że sztuki powinny nas poruszać, wzbudzać uczucia, rozgrzać je sobą i t. d. Ta rada atoli jest tak ciemna i niezrozumiała jak uczucia same. A zresztą jakież to uczucia one wzruszać powinny? Dajmy na to, iż nam naprzykład odpowiedzą: że sztuki mają wzniecić uczucia religijne, zamiłowanie cnoty, pogardę występku, słowem, że podnieść i uszlachetnić winny uczucia moralne. Takie wyjaśnienie rzeczy nie wystarcza wcale, bo nam mięsza cel religii i moralności z celem sztuki pięknéj, a tu właśnie wszystko na tém zależy, by oznaczyć, czém jest sztuka, co ona ma właściwego sobie, żeby ją odgraniczyć od uczuć religijnych i moralnych. Taka definicya przenosi zupełnie sztuki na grunt im wcale obcy.

A jak zaprzeczyć nie możesz, iż religia i moralność sama w sobie jest prawdą i sama o sobie stoi, nie potrzebując od nikogo pomocy, obejść się zatém może i bez sztuk pięknych, tak z drugiéj strony zechcesz przypomnieć sobie, żeśmy już w drugim liście zgodzili się na to, iż sztuki piękne nikomu nie służą, nie mają obcych celów, i same są sobie celem: nie służą tedy i moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach pięknych, jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często: iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czczy. Ludzie, którym brakuje podniety wewnętrznéj do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki piękne, ale na wychowanie, jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknéj wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady poczciwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszerzeniu moralności w świecie, to do nich wcale nie należy. Powieść, malująca ohydną barwę zbrodni w celu jedynie by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swéj drogi, bo jéj cel jest jedynie artystyczny. Po architekturze, po muzyce, po rzeźbie nawet nikt nie wymaga, by miały cel moralny; jedna tylko poezya budująca, grająca, malująca wyrazami, ma mieć jeszcze cel dobrego obyczaju, choć ona ani mniéj ani więcéj nie jest sztuką jak architektura lub muzyka. Powieści

pisane dla dzieci mają zaiste głównie na baczności kształcenie serc młodych; ale też powieści takowe nie należą do sztuki pięknéj, lecz do pedagogiki, do liczby książek wychowaniu poświęconych. Jest rzeczą nawet dość komiczną, jeżeli ludzie późniejszego wieku chcą się jeszcze budować i polepszać z dzieł, które dla rozerwania swojego czytają; wszak już oni dawno powinni byli skończyć sprawę ze sercem i rozumem swoim i wiedzieć stosunki swoje do Boga, bliźniego i siebie samych. Rozprawiania o moralności dzieł sztuki pochodzi z pomięszania wyobrażeń o rzeczach zupełnie różnych. Czyliż sztuki piękne mają być rozprawą o moralności, czyliż one mają mieć w końcu dodany sens moralny jak bajeczki Krasickiego?— a zresztą, któż z nich tę moralność wytłómaczy? — czyli tu nie wszystko zależy od sposobu uważania tego, który je tłómaczy? — W jednem i témże samém dziele, wedle stanowiska różnego, wiele dobrego i wiele złego widzieć można. Posłuchaj, co w towarzystwie mówią, gdy przy herbacie rozmawiają o moralności jakiego romansu lub dramatu: rzadko znajdziesz dwa zdania zgodne w tym względzie.

Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było doskonałe, na wartość też wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny i zagrzeje miłością tego, co jest moralném, wielkiém, prawém i świętém. Bo sztuki tak są prawdą i tak z zacności człowieka płyną, jak moralność, cnota i wiara; nie mogą one być tedy im przeciwne, ani w sprzeczności z sobą; są to ściany jednego i tego samego brylantu, gorejącego tylko różnemi barwami ognia swojego. Co innego atoli jest powiedzieć, iż z dzieł sztuk pięknych wypływa moralność i zacność, a co innego, iż one tylko dla téj moralności i cnoty bytność swoją mają, i że one dla moralności są środkiem tylko. Przypuszczam, iż istotnie sztuki piękne winny mieć na celu obudzenie uczuć szlachetnych, wielkich i zacnych; czyliby na tém moralność tak wiele zyskała? — mniemam, że nie wiele: bo moralność nie stoi na uczuciach, nie na zapałach tylko, ale raczéj na przekonaniu, na jasnéj wiedzy powinności świętych człowieka, na łamaniu się z sobą, jeżeli potrzeba, a nawet na zmuszeniu swych uczuć, by się zastósowały do tego, cośmy w sobie za prawdziwe i godne nas uznali.

Zaiste sztuki piękne nie służą żadnemu celowi obcemu za środek; ich celem jest właśnie piękność sama. Ich celem nie jest ani rozbudzenie uczuć religijnych ani moralnych, ich celem też nie może być nauczanie ani wiedza żadna; sztuki piękne są wolnemi córami potęgi niebiańskiéj, która zamieszkała w sercu człowieka.

Rzekłem już w innem miejscu, że człowiek w sztuce uzmysławia wiekuisty pierwiastek ducha swojego; ten pierwiastek w nim robi i prze, niewoli to do własnéj twórczości artystycznéj, to do podziwiania dzieł mistrzów i skąpania ducha swojego w zdroju piękności. Człowiek nie może niemieć sztuki, ona jest najwyższym wykwitem ducha jego; sztuka jest zarazem i rękojmią i wypływem nieśmiertelnéj jego istoty. Dla tego też właśnie sztuki piękne pojawieniem

swojém uszlachetniają, uzacniają uczucia człowieka; dla tego właśnie stanęły obok cnoty, obok religii jako zacne jéj sprzymierzeńce. Atoli to uszlachetnienie, to wzniesienie ducha ludzkiego przez sztuki piękne jest ich skutkiem, ale nie jest ich powodem ani celem.

Widzisz tedy że cel, narzucony sztukom pięknym, jest świętokradztwem na nich dokonaném, więc dla tego sztuka, uczyniona służebnicą obcych jéj celów, mścić się będzie na mistrzach zniewagi swojéj, skręcając i pacząc ich dzieła, jakby na urągowisko ich talentów.

Patrz jak mdłe najczęściéj są np. wszelkie poezye mające na celu nauczanie; poemata dydaktyczne nie są nigdy ani prawdziwą nauką, a rzadko bardzo prawdziwą poezyą. Wszak dążności „praktyczne" Rzymian, mające we wszystkiém cel utylitarny na oku, stały się klątwą, ciążącą na ich sztuce; wszak ta praktyczność ich przedewszystkiém stworzyła ową poezyę rzymską dydaktyczną, co świeci i błyszczy, migocze się jakby wysadzona w drogie kamienie; w niéj znać pilne, wytrwałe wykonanie, ale najczęściéj brak im natchnienia. Bo téż inaczéj być nie może! Wszelkie dzieło sztuki, do którego się zabiera mistrz z zamiarem osiągnienia jakiegoś celu ubocznego dla piękności, wszelkie dzieło sztuki, przedsięwzięte z zamiarem rozszerzenia jakiéjś dążności ubocznéj między ludźmi, nie będzie nigdy arcydziełem piękności. Bo gdy mistrz ma na oku cel jakowyś, już tém samém dobierać winien środki stosowne do osiągnięcia zamierzonego celu, i wiąże te środki i kombinuje je z sobą, i waży je i mierzy i stósuje. Takie postępowanie atoli jest już sprawą chłodnéj rozwagi, rozumowania, rozsądku; lecz rozum, rozwaga chłodna nie stworzy nigdy dzieła sztuki, z głowy saméj nie zrodzi się nigdy piękność; takowe dzieło nie będzie żywym kwiatem, ale kwiatem trupim, robionym. Przypatrz się dobrze tym poezyom, romansom tak zwanym „tendencyjnym", a zgodzisz się ze mną, że prace takowe, mimo ogromnego talentu pisarzy, nie będą przecież dziełem prawdziwie estetycznem, artystycznem. Bo dwóm panom służyć nie można. Kto jest kapłanem piękności, niechaj się już nie kłania obcym jéj bogom. Połowiczność zawsze i w tém odnosi karę, że takowe dzieła wnet idą w niepamięć; świat zwróci się do innéj dążności i odrzuci precz od siebie dzieła, które niedawno uwielbiał. Piękność artystyczna w całym majestacie swoim zasiadła na stolicy; garnijcie się do niéj i oddajcie jéj hołdy; ale biada jéj i wam, gdy ona, zapomniawszy godność a zacność swoją, zestąpi z swojego tronu i, mizdrząc się do lada zachętki swojego czasu, ofiaruje się każdemu co jéj przysługi po swojemu użyć zechce.

Rozumiem, że mi nie zarzucisz tutaj, iż najwyższe arcydzieła sztuki, że pieśni wielkich mistrzów, porywając, zagrzewając serc tysiące, wléwają w duszę dążności wielkie, szlachetne, olbrzymie i unoszą widza, słuchacza nad siebie samego: nie spodziewam się zarzutu takowego, bo rzecz jasna, że gdy każde dzieło sztuki, każda pieśń ma

pewną treść swoją, już tém samém obudza w sercu ludzi dźwięki pokrewne, wskrzesza uczucia a tém samém i dążności, które wtorować będą tonami swojemi téj treści, tym uczuciom mistrza samego. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie zdoła. Nie mniéj jest rzeczą pewną, że ta duchowładna tajemna potęga mistrza właśnie w tém tkwi, że on te uczucia, te zapały w sercach ludzi zbudził sztuką, ale nie sztucznością; że tych dzieł nie robił jakoby na obstalunek, że sam mistrz-wieszcz był przenikniony wskróś jakąś prawdą wielką, prawdą głęboką, która przeszła jakby w krew jego duszy, w tętno jego serca, wrzała w nim i kipiała i parła do dzieła; i on wyśpiewał tę prawdę w swojéj pieśni, odział ją w postać dzieła swego, a ta pieśń, to dzieło uderzyło gromem widzów, słuchaczy i rozpaliło ich ogniem zacnym i szlachetnym. Prawda, która się stała panią wieszcza i duszą jego duszy, sama przez się z własnéj mocy swojéj żyć będzie w dziele jego, i nie będzie bynajmniéj potrzeba aby mistrz założył ją sobie z góry za cel swojego dzieła; w tém dziele będzie dążność, ale ona sama się w nim zrodzi bez umyślnego powziętego zamiaru. Lecz właśnie dla tego głównie chodzi o to, aby treść, przejmująca duszę mistrza, była rzeczywiście prawdą, bo wtedy i natchnienie jego będzie iście prawdziwém, wtedy to zachwycenie twórcze nie tylko z imienia ale z istoty swojéj będzie aniołem wiekuistym, zesłanym od Bożego tronu, wtedy jedynie tó zachwycenie nie będzie kłamliwém, zawodnym demonem, co się zrodzi z próżności osobistéj i zachcianki drobnéj ciasnego serca.

Ale rzekną nam, że smak jest zaiste najwyższym krytykiem dzieł sztuk pięknych; aleć, proszę, czémże jest smak, jeżeli nie uczuciem piękności? Co tedy powyżéj o uczuciach w ogólności powiedziałem zupełnie stosuje się i do uczucia piękności, do smaku. Lecz co więcéj, ze wszystkich uczuć właśnie uczucie piękności, ów smak jest najniestalszy, najrozmaitszy; każdy wiek, każdy człowiek ma inny, każdy rok inne smaki rodzi. Myślę iż nasze damy za wszystkie skarby świata nie ustroiłyby się w mody, będące najwyższym dowodem wykwintnego smaku lat temu 30-ci; ba, i tak dawnego czasu nie potrzeba wcale. Byłoby szczerym zbytkiem dowodzić tego, a nie ma téż oklepańszego i prawdziwszego przysłowia: *de gustibus non est disputandum.*

Powiadają, smaku dorobić się można wpatrywaniem się pilném w dzieła sztuk pięknych, zostawionych nam w puściźnie po wielkich mistrzach przeszłości. Wołają zewsząd: czytaj tylko pilnie dzieła wzorowe, odznaczające się wytwornością, nabywaj uczucia piękności w galeryach obrazów, rozbieraj celujące pomniki architektury, zrozumiéj czarodziejstwo muzyki po koncertach, operach, kościołach, utop się myślą w posągach świécących po glyptotekach europejskich, a widząc i słysząc te skarby sztuki, wprawisz smak swój i będziesz już mógł sądzić o wartości dzieł.

Gdyby samo widzenie zgoła miało być dostatecznem, więc nie

wiedzieć czém się dzieje, że pomimo onych gęstych a częstych podróży, znajdziesz owo dziwaczenie się, zwłaszcza pod względem architektury. Spójrzysz na browar, rzekłbyś, że to kościół; na owczarnię, że to ratusz; obaczysz karczmę podobną do galeryi obrazów, a dwór do obory. Lada gdzie usadzą pękatą basztę, wlepią ci drzwi i okienka śpiczaste, i powiadają, że to styl gotycki. I takie to całe wyobrażenie o smaku i piękności. Bo już nikt nie żąda, by kto innemi sprawami życia zatrudniony znał się na sztuce, ale chodzi o to, aby wiedział na co go stać, a na co nie. A zkądże to wszystko się bierze? Zaiste ztąd, że choć owa rada nabierania smaku przez przypatrywanie się rzeczom prawdziwie pięknym ma wiele prawdy, przecież w niéj jest jedna niedogodność: trzeba bowiem już naprzód i z góry wiedzieć, co jest piękném i czemu się przypatrywać potrzeba, by smaku nabyć; lecz kto to wié, już ma smak i już go nabywać przypatrywaniem się nie potrzebuje wcale; już taki ma to uczucie piękności, o które właśnie mu chodzi. A jeżeli go nie ma w sobie, jakże poznać zdoła, co piękne a co niepiękne w dziełach sztuki? a jakim sposobem ma znaléźć tę piękność, czyli za pomocą przewodnika, coby mu wskazał te piękności wszystkie? — Zapewne. Ale zkądże znów ta pewność, że ten sam przewodnik ma smak dostateczny — i zkądże znów ów przewodnik nauczył się tego smaku? zapewne także musiał miéć przewodnika swojego, a ten znów innego; a tak niewiedzieć gdzie się ten łańcuch przewodników kończy. Ale może sława Rafaela, Correggia, Thorwaldsena, Homera, Praxytelesa wystarczy, by wiedzieć, iż ich dzieła są wzorami piękności i że się im przypatrzyć należy. Zaiste, jestto zawsze czémś; pytam się jednak, cóż im tę sławę sprawiło, czyli smak współczesnych i potomnych? a ci znów zkąd tego smaku nabyli, jako też prawa ustalenia sławy mistrzów onych?

Mamy więc podziwiać Zbawiciela w katedrze naszéj nie dla tego, że jest dziełem najwyższéj piękności, ale dla tego że jest dziełem Thorwaldsena, który jest *bardzo sławnym rzeźbiarzem?* więc tedy nie mistrz ma brać sławę z dzieł swoich, lecz dzieła z mistrza?

Dziwna rzecz, iż po tylu pracach, po tylowiecznych trudach jeszcze się nie upowszechniła jasna i przezroczysta wiedza o wiekuistéj istocie piękności, gdy tymczasem Plato przed dwoma tysiącami lat uchwycił ją z najwyższego szczytu geniuszu swojego. Skracam słowa jego, dając im zakrój zbliżony nieco do naszego pojmowania rzeczy. „Gdy dusza — mówi Plato — ujrzy piękność na ziemi, przejmuje się dreszczem tajemniczym, bo przypomina sobie własnego żywota dzieje przed lat tysiącem upłynione, gdy jeszcze mieszkała na gwiaździstéj nieba stolicy, i nim spadła w zimne padole doczesnego życia. Gdy bowiem tutaj w tych poniżach ziemskich piękność przed duszą stanie, wtedy dusza rozgoreje pamięcią zapomnianéj szczęśliwości; rozwija się przed nią jasny obraz onéj chwili wielkiéj, gdyśmy wszyscy, jedni w orszaku Jowisza króla Olimpu, inni chórem idąc

za innymi bogami, obchodzili uroczystość najwyższéj Piękności, oddając wraz z niebianami téj wspólnéj wszystkim pani pokłon i cześć. Dusza tym widokiem jasnym rozpływała się w morzu wesela bez granic, bo ona była jeszcze bez skazy, pełna czystéj rozkoszy, niedotknięta jeszcze biédami, które na ziemi na nią czekały, ani obleczona jeszcze ciałem cisnącém ją jak skorupa ślimacza. Dla tego dusza tak do niéj tęsknotą drga, gdy ją tu pełną blasku, świecącą, w postaci ciężkiéj materyi obaczy; a jéj też urok jasny oczyma, owym jasnym zmysłem, do duszy płynie.“

„Wzrokiem zaiste piękność oglądać człowiek zdoła, ale mądrości nie ujrzy oczyma; bo gdyby dusza obaczyła mądrość zmysłami swojemi, tak silną ku niéj rozgorzałaby miłością, iżby już nie podołała téj tęsknocie swojéj; dla tego wzrokiem człowiekowi samą tylko piękność oglądać dozwolono jest.“

„Kto już zatracił w sobie przypomnienie onéj piękności wiekuistéj, w niebie widzianéj, lub kto zepsuty spróchniał w sobie, to i kochania prawdziwego téj piękności nie pojmie; w dzikości swéj natury rozkołysze się ku niéj zmysłową namiętnością i grubych zapragnie rozkoszy. Kto zaś w piersiach dochował świętość pamięci onéj niebianki, już na widok materyi, uduchownionéj pięknością, zadrży w sobie jakąś trwogą wewnętrzną, a lęk z onych czasów spłynie na niego uwielbieniem; upadnie przed nią, będzie się modlił do niéj i patrzał na nią niby na Boga, lub na kochankę swoją; radby jéj poświęcić wszystko i palić ofiary, jak się to bogom najwyższym czyni, gdyby znów nie bojaźń, żeby go ludzie za obłąkanego nie mieli. A gdy się w tę piękność dusza wpatrywać będzie, rozkosz tęskna jakiémś ciepłem rozleje się po całéj jéj istocie, i ona poczuje jakąś boleść po sobie; bo wśród ciepła i tych bólów wykluwają jéj się dawne niebiańskie pióra, dawne skrzydła; a dusza, jak niegdyś w niebie, rozwinie te swoje pióra, te loty i skrzydła, i znów się wzniesie do górnego Olimpu, ojczyzny swéj.“ (Phaedrus.)

Powiedz, czyli może być głębsza filozofia jak ta poezya, i czyli może być wyższa poezya jak ta filozofia Platona? I jak przy tym sposobie zapatrywania się jego wydaje się zdanie, iż smak jest najwyższym sędzią sztuk, iż to one ku niemu się mają i że wszystko jest piękne, co trafia w smak współczesny?

Ośmielam się twierdzić, iż może korzystniejsza jest całość, teorya zbudowana choćby na mylnych zasadach, niż gołe odwoływanie się do smaku choćby najwyborniejszego; albowiem smak nigdy ogólnéj teoryi nie złoży, bo jest uczuciem, a zatém nie rozumuje wcale; do teoryi zaś rozumowania potrzeba. Objawić się tedy smak może li w formie recenzyi, krytyki jakiegoś już utworzonego dzieła sztuki.

Powiadają iż dzieła, które są najwyższą pięknością dla jednego wieku lub narodu, są szpetne i obrzydliwe dla innego czasu lub kraju; zatém nic stałego, nic trwałego o piękności i sztuce powiedzieć nie można, zatém też żadna teorya sztuki utworzyć się nie da.

Zkądże urosło takie wyobrażenie o rzeczy? Właśnie ztąd, iż w sztukach li samego smaku się trzymają, a właśnie smak jest zmienny, więc się zdaje, że i piękność sama jest zmienna i że każda teorya sztuki jest pustym zachodem. Rozumowanie takowe krąży kółkiem; bo gdy sztuki są niby dziełem smaku, — więc smak o nich sądzić powinien, — a smak o nich sądzi, bo one są dziełem smaku i t. d. I smak ma swoje dzielnice, w których jest samowładnym choć zmiennym panem. Do niego należy ubrać pokoje, wybrać sprzęty, ustawić je, zarządzić obiadem, balem, zastawić stół, — kreślić nowe rysunki na obicia pokojowe, stwarzać kardynałki, burnusy, wymyślać nowe mantylki, kryspinki, wiktorynki, bibi i t. d. i t. d. Radbym atoli abyśmy się dobrze zrozumieli. Powyżéj mówiłem o smaku w znaczeniu przyjętém zwykle w życiu powszedniém; nie przeczę jednak bynajmniéj, że gdy się znajdzie człowiek z duszą estetycznie wykształconą i tkliwą na to wszystko, co szlachetne i zacne na świecie, gdy do uczucia piękności, wziętego z natury a wyrobionego zapatrywaniem się na arcydzieła sztuki, przystąpi jeszcze umiejętność wyrozumowana prawideł artystycznych, wtedy zaiste takie uczucie, taki smak może być sędzią niezawodnym dzieł piękności.

Zrozumiesz, że gdy tu mówię o umiejętności prawideł estetycznych, nie obstaję bynajmniej za pedanckiem szkolnictwem; mniemam jedynie, iż jak mistrz nie obejdzie się bez wiadomości o prawidłach swéj sztuki, tak téż i sędzia dzieł jego znać je powinien; ta teorya będzie dla niego samego nawet rękojmią, że zdanie jego nie płynie li z osobistego usposobienia, ale wynika zarazem i z saméj istoty rzeczy. Zważ równie, iż tu wcale nie chodzi o to, aby, dając zdanie o dziełach sztuki z całym rozsądkiem chłodnym, sobie obecnym, przymierzał do dzieł takowych prawidła estetyczne; bo im więcéj on sam przejmie się temi prawidłami, im więcéj je zleje z własną istotą swoją, im ściśléj je sobie przyswoi, tém one téż ściśléj przejdą w uczucie jego, staną się, że tak powiem, jego estetyczném sumieniem i instynktem, przejdą w jego smak i uczynią go właśnie smakiem prawdziwym. Mówiłem w téj chwili o sumieniu estetyczném. Widzisz, ów smak osobisty, przypadkowy, niepewny, zawodny, słowem ów smak w znaczeniu, jak go zwykle w życiu codziennem bierzemy, tak się ma do smaku prawdziwie estetycznego, o którymeśmy tutaj dopiéro mówili, jak sumienie w znaczeniu nieprawdziwém do sumienia istotnego, rozświeconego prawidłami wiary i nauki moralnéj.

Czyliż się to nam rzadko zdarza, że ten lub ów najgorszy człowiek o miedzianém czole, uważa to być sumieniem swojém, co zaiste jest tylko żądzą poziomą, namiętnością nikczemną, która mu wciekła w duszę jego. Kto zaś nauczył się mierzyć sumienie swoje wedle prawd religii i etyki, kto stanął własnemu sumieniu na straży, ten odgarnął od sumienia prawdziwego, od tego głosu Bożego, demoniczne i złe uczucia, ten już bez chyby a zawodu, gdy do działania

przyjdzie, postąpi sobie zacnie i uczciwie, nie przypominając nawet sobie prawideł i ustaw moralnych. Te prawidła staną się już same przez się, jak powyżéj rzekłem, krwią jego duszy, tętnem jego serca. Podobnie np. kto nauczył się wedle prawideł wyrozumowanych układu palców, już grając zachowa te prawidła w dotykaniu klawiszów, i nie pomyśli nawet w téj chwili o prawidłach owych.

Zważ atoli jeszcze, że gdy smak ów, w zwyczajném znaczeniu wzięty, trzyma się w wykonywaniu dzieł sztuki raczéj osobistego zapatrywania swojego niż istoty rzeczy, niż istoty przedmiotu i zasad ogólnych piękności, wynika ztąd, że smak taki wyradza się najczęściéj w wypaczenia, które zwykle „manierą“ zowią, ale manierą w złém znaczeniu. Ona to jest wykonywaniem dzieł sztuki niby na pamięć, wedle pewnych formułek raz na zawsze przyjętych, wedle pewnych sposobków, których się wrzekomy mistrz na pamięć nauczył. Maniera téż bardzo często chwyta się ucznia miernych talentów, chcącego naśladować wielkiego mistrza. Co innego jest styl. Styl jest skutkiem przejęcia wskróś istoty samego przedmiotu, wypływa tedy nie z osobistéj dążności ani z własnych kaprysów, ale raczéj z rzeczy saméj i z zasad sztuki. Buffon niegdyś rzekł: le style c'est l'homme; trudno by nam przyszło zgodzić się z tém orzeczeniem, gdybyśmy je brać mieli co do litery; zdaje mi się atoli, że słowa wielkiego pisarza powinny być wzięte w tém znaczeniu, że ze stylu poznać można o ile mistrz zdołał ująć całą głębię przedmiotu swojego, a tém samém o ile przedstawienie jego artystyczne odpowiada przedmiotowi temu. W tém znaczeniu iście powiedziećby można, że styl jest człowiekiem. Duch mistrza nurkiem zgłębia topiele myśli Bożych, zamkniętych w przedmiocie, i wynosi je na świat, przedstawiając je ludziom w szacie właściwéj, we właściwym stylu. Atoli wielu arcy-mistrzów z równą genialnością mogą przeniknąć jeden i ten sam przedmiot; każdy przedstawi go w prawdzie wiekuistéj jego, w sposób właściwy przedmiotowi, a każdy przecież przedstawi go po swojemu, w sposób jemu tylko właściwy; tak tedy każdy z nich będzie miał styl sobie właściwy. W tém znaczeniu możemy mówić o stylu Michała Anioła, Rafaela, Overbecka i t. d. — z których każdy, choć się zabierze do tego samego przedmiotu, odda go po swojemu. Lecz o stylu i manierze wypadnie mi może jeszcze i na inném miejscu pomówić.

Przecież widzę, iż list mój niepohamowanie rośnie, bo postrzegam, iż zaledwie do połowy wyczerpałem przedmiot dla niego przeznaczony. Wypadałoby mi może ukończyć teraźniejszy list mój, zachowując sobie na raz następny ciąg dalszy jego; ale znów z drugiéj strony nie radbym na dwa listy rozwlekać téj saméj treści; dla tego przebacz, iż rzecz moję za jednym zawodem do końca poprowadzę, i tak téż na przyszłość czynić będę.

Zechcesz sobie przypomnieć, iż dopiéro co przytoczyłem ci zdanie, jakoby uczucia były główną i jedyną nawet podstawą sztuk pięknych, i że zdanie to rozumiane być powinno pod dwojakim względem: raz, iż sztuki na uczucia widza lub słuchacza działać mają; drugi raz, iż sam mistrz, jako twórca dzieła pięknego, li samego uczucia słuchać powinien. Tak dawniéj, bo w liście trzecim, wspominałem choć zdaleka, iż samo uczucie, i samo nawet natchnienie w mistrzu, nie jest dostatecznym środkiem do stworzenia dzieła sztuki. Tutaj więc kilku słowami reszty dopowiem.

Będziesz zaiste dość często w tych listach spostrzegał, iż niektóre przedmioty za dwoma lub więcéj jeszcze zawodami rozbiéram; nie zechcesz zaiste postępowania tego przypisywać niebacznemu powtarzaniu się lub błędnemu rozkładowi osnowy, czynię ja to z umysłu, albowiem jestem zdania, iż jasność rzeczy i wzajemne zrozumienie się na tém zyskuje, jeżeli ważniejsze rzeczy przy różnych sposobnościach i z różnéj strony swojéj wyjaśniane bywają; upraszam cię, żebyś to usprawiedliwienie się moje raz na zawsze miał na oku.

Jeżeli mistrz samém jedynie uczuciem powodować się będzie, toć nie zdoła wyjawić, co się wewnątrz serca jego dzieje. Wiemy wszyscy, iż w chwilach, w których uczucie zupełnie nad nami górę bierze, zdobyć się jedynie możemy na wykrzykniki nie mające żadnego znaczenia, nie zawierające żadnéj myśli w sobie: — są to puste głosy i dźwięki urwane. Im zaś duch więcéj ochłonie, stanie się przytomnym sobie i nawraca do siebie, tém już jaśniéj zaczynają się wiązać z sobą słowa, tém mocniéj łączą się w zdania; a gdy myśl zupełnie przyjdzie do siebie i sama już jasno siebie obejmie, wtedy mowa płynie jasna i przejrzysta z duszy wnętrza jakby potok czysty, wypadający ze skalistéj Tatrów piersi; bo efekt gwałtowny, bo rozhukane fale uczuć głuszą ducha przytomność, a on w téj burzy serca i własnego nie dosłyszy głosu.

Co powyżéj rzekłem stosuje się prawie do każdego z nas ludzi zwyczajnych; w innych listach zaś będziemy szeroko rozprawiali o usposobieniu właściwém, które znów mistrze miéć winni; obaczymy, że lubo uczucie gorące, tkliwe, jest głównym warunkiem wszelkiéj twórczości, tedy, z drugiéj strony, to samo uczucie, choćby najgłębsze, nie uczyni jeszcze nikogo mistrzem. Obaczymy, że chwila natchnienia, więc chwila mistrzowych zrodzeń, jest właśnie stanem, w któréj dwie moce pasują się z sobą o władztwo nad duchem jego; bo on, jakby oczyniony obcą potęgą, porwany geniuszem, traci siebie i świat otaczający go w koło, a zarazem znów nad tym zmrokiem ciemnym ducha dnieje świtem przytomność siebie, świadomość rozumowa, tak iż myśl prawie już zupełnie trzeźwa zdoła wybrać pośród tych obrazów zrodzonych w natchnieniu właśnie te, które się najwięcéj nadają, zdoła je uporządkować i uszykować. Lecz o tém wszystkiém, jak rzekłem, pomówimy jeszcze na inném miejscu. Tutaj tylko zważ, że uczucia gwałtowne, bijące na serce człowieka, nie stwo-

rzą nigdy dzieła sztuki, i że zasada Horacyusza *si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi* (*), winna być brana w zupełnie innym sensie. Czyliby malarz, poeta, rzeźbiarz, muzyk, mógł stworzyć dzieło swoje, gdyby sam w chwili stworzenia był miotany namiętnościami i falą tych uczuć, które chce uzmysłowić w dziele swojém?— czyliby artysta dramatyczny, sam będąc przejęty afektem, który na scenie wydać zechce, mógł wywiązać się ze swéj roli? Bynajmniéj: — bo gdzie afekt, tam nie ma przytomności umysłu, nie ma wtedy sztuki wcale. W sztuce właśnie chodzi, aby nie uczucie ogarnęło myśl, ale aby przeciwnie myśl była panią namiętności, a wtedy ona płynie mową pełną patetyczności. Myśl przytomna i ciepłe uczucie, razem wzięte, są tém najwyższém Pathos sztuki.

Jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną, iż wszystko co w człowieku żyje, i co jedno go obchodzić może, co ducha i jego serce napełnia treścią, zdoła być przedmiotem dla sztuki, więc autor ma słuszność, gdy w dramacie, romansie lub inném dziele, rozwinie ten cały świat nierozdzierguiony serca, ciemny i zagadkowy; lecz niechaj też maluje, jak uczucia ogarnąwszy ducha człowieka, porywają go do czynów, do walki, do pasowania ze światem, i jak nareszcie, uchwycony burzą namiętności własnych, rozbija się i tonie, rzucony o opoki rzeczywistości i towarzyskiego porządku: toć to iście będzie przedmiotem dla sztuki. Ale mistrz niechaj sam nie będzie pod panowaniem tego uczucia, niechaj sam mu nie przyznaje słuszności, niechaj nie staje w obronie jego; bo uczucia te szczegółowe nie są prawdami, one do pomyłki wiodą, a człek płaci za tę swoją pomyłkę utratą spokojności, szczęściem żywota całego, lub śmiercią. Bo nie uczucie, co goreje w piersiach jego, ma wagę i znaczenie, ale ten porządek powszechnego obyczaju, to ogólne przekonanie, spoczywające jakby na podwalinie swéj, na woli wszystkich i prawdzie wiekuistéj; — ona to jest tą opoką, o którą się nietylko gruchocze, jak powiedziałem, słaba łódź uczuć miotana namiętności burzą, lecz gruchotać się koniecznie powinna, bo one li są osobiste, a tu prawda powszechna jedynie ma wagę.

Pani Sand w przedmowie do *Indyany*, tłomacząc się z ducha téj książki, powiada: „Le narrateur espère qu'après avoir écouté son conte jusqu'au bout, peu d'auditeurs nieront la moralité, qui ressort de ses faits et qui triomphe là, comme dans toutes les choses humaines". Ale już wyżéj powiedzieliśmy, iż jak z dzieła doskonałego sztuki nie wypłynie niemoralność, tak zaiste moralność nie może znów być uważana za cel jego. Jeżeli zaś autorka istotnie wzięła sobie w swém dziele moralność do serca, nie wystarcza znów, jak myślę, jéj sposób widzenia rzeczy, wyrażony w następujących słowach: „Indiana, c'est la femme, l'être faible, chargé de représenter

(*) Jeśli chcesz mnie opłakiwać, żal się przedewszystkiém nad samym sobą. (St.)

les passions opprimées, ou, si vous l'aimez mieux, réprimées par les lois; c'est la volonté aux prises avec la nécessité, c'est l'amour heurtant son front aveugle à tous les obstacles de la civilisation. — Mais le serpent use et brise ses dents à vouloir ronger une lime, les forces de l'ame s'épuisent à vouloir lutter contre le positif de la vie." Te słowa są prawdy pełne, ale nie obejmują sobą całéj prawdy, bo wypadało dodać: iż nie tylko tak bywa, jak autorka powiada, ale że tak koniecznie być powinno. Można nie rzucać kamieniem na kobiétę taką jak Indyana, wiedzmy atoli, iż cios, który przez jéj postępowanie na jéj głowę spada, jest koniecznością, jestto z grobu wstały Komtur w Don Juanie, mszczący się uściśnieniem śmiertelném marmurowém za znieważenie praw i poczciwego obyczaju.

Ta konieczność, ta ustawa, ta proza życia, co dławi i zabija uczucia, ma słuszność, ona jest w prawie swém, ona to wymierza wieczną sprawiedliwość, ona jest wiekuistym rozumem, któremu nie o osoby, ale o rzeczy chodzi. Kto się nie zgadza z obyczajem ogólnym, sam sobie pisze wyrok swój; kto zrywa z zakonem powszechnie uznanym, z tym i zakon zrywa. Gwiazdy, one pierworodne stworzenia córy, idą po niebie grzmiącym szlakiem swym, który im Bóg od wieczności na przestrzeni bez końca zakreślił, a żadna nie zbacza z swéj jasnéj drogi, żadna nie buntuje się wiecznéj harmonii. Jak atoli uczucia mocne, głębokie nie są zakonem w porządku świata moralnego, jak one bynajmniéj nie są wyłącznym warunkiem twórczości mistrza, tak też mistrz chybi powołaniu swojemu, jeżeli mniema, że rozkołysanie do najwyższej potęgi uczuć w duszy czytelnika lub widza jest najwyższym sztuki jego tryumfem. Temu mniemaniu przypisać należy pojawienie się w czasach naszych owych romansów tak wprawdzie efektownych, które atoli są jawnym dowodem gwałtów dokonanych przez mistrza na własnych talentach. Czytając te sceny okropności pełne, zdaje się że one są złym snem, co cię trapi na jawie; wszystkie uczucia, wszystkie, że tak powiem, nerwy duszy są poszarpane, zbolałe jakby przecierpiały męki katowskie, a w tych utworach występują szatany z błota zrodzone, popisujące się wykwintem łotrowstwa.

Czyliż tedy dziwno, że gdy młodzież obczyta się w takich dziełach, już osobliwszych nabierze pretensyj do życia i świata, że rościć sobie będzie niestworzone prawa do przyszłości swojéj, że to życie ciche i poczciwe, że dopełnienie powinności codziennych, wyda mu się dobroduszności mdłą i pogardliwą, że nakoniec w najszczęśliwszym razie zbankrutuje na uczuciach prawdziwych, a serce zestarzeje się za młodu (*).

(*) W pierwszém wydaniu tych listów, mówiąc w tém miejscu o romansach mających ówcześnie ogromną przewagę, wyraziliśmy się w sposób następujący:

„Panowie autorzy we Francyi zapewne uważają sobie za zaszczyt doskonałości,

Przecież z drugiéj strony i to jest prawdą, iżby świat nie był obaczył tych romansów, gdyby nie był chciwy podobnych książek. Bo jeżeli prawda, że literatura tworzy sobie publiczność swoją, toć z większém jeszcze prawem powiedzieć można, że publiczność tworzy sobie literaturę odpowiednią; bo przecież, prócz piśmiennictwa, inne jeszcze a również potężne moce wyrabiają duszę narodową np. Historya, Religia i t. d.

Cóż tedy dziwnego, że ci autorowie starali się trafić w rym tym czytelnikom swoim, stosując się ile mogą do nich, a wiedząc, że to są po większéj części ludzie wielce realni a praktyczni, zaczynają wszystkie prawie powieści i romanse od budżetu swoich bohaterów i bohaterek, jak gdyby jaki pisarz prowentowy; wyszczególniają sumiennie ile tysięcy franków wzięli po rodzicach, ile po wuju, ile się jeszcze spodziewać mogą po ciotce; ile już stracili, ile tysięcy franków rocznego dochodu im pozostało, i gdzie te dochody są ulokowane, słowem, wszystko przerachowane jak najdokładniéj. A co do uczuć swéj publiczności, jęli się postępowania lekarzy z ciałem na poły

---

aby czytelników swoich od pierwszéj do ostatniéj karty puszczać niby przez rózgi. Jeden pokazuje ci panią, rozkochaną do szaleństwa w prostym złodzieju, wierutnym oszuście, w bezczelnym zbrodniarzu, co jéj poświęcenie i miłość płaci zdradą, głodem, biciem, a nakoniec za pieniądze sprzedaje podobnemu sobie przyjacielowi; — a ona? ona, rzecz jasna, kocha go za to stale, ciągle i tém goręcéj jeszcze. To wszystko znajdziesz cudnym językiem odmalowane w *Leon-Leoni* pani Sand, będącéj niechybnie jednym z najświetniejszych talentów dzisiejszéj Europy († 1876 r.) Chcesz może rozrzewnić się, być sentymentalnym, czytaj pana *E. Sue* († 1857 r.); przez siedm długich tomów każe on swéj heroinie tańcować jakby na linie, na powinnościach swoich; niekiedy dla rozrzewnienia publiczności serce *Matyldy* odprawia jakieś sztuki łamane, lub popisuje się z jakiémś salto mortale, a to wszystko ku zbudowaniu i użytkowi dusz i zachęceniu do cnoty. Jestto ten sam pan *Eugène Sue*, co wprowadza w jeden z późniejszych romansów scenę, w któréj córka staréj obłąkanéj matki woła w nocy na męża: „Mon Dieu! tu sais bien que tu n'en finiras pas avec elle (to jest: avec ma mère), si tu ne lui fais pas peur avec le fouet — il n'y a que ce moyet là de la faire rester tranquille.“ Lubisz oryginalność pomysłu, i tém się możesz uraczyć, czytaj tylko powieść o onéj pannie, czyli o dwóch pannach zrosłych z sobą, z których jedna prześliczna brunetka, — druga prześliczna blondynka, a składają jednę osobę, czyli dwie, gdyż tego z pewnością wiedzieć nie można, bo nawet mają i uczucia te same, a przecież uczucia różne. Najpewniéj, są to dwie panny w jednéj pannie, albo jedna panna w dwóch pannach — słowem, jak zapewnia autor, jestto cudnéj piękności całość. — Świécą one na pierwszych salonach paryzkich, ubrane zawsze z wielką elegancyą, wedle *le petit courrier des Dames* — zawracają wszystkim głowy: jedni szalenie się kochają w brunetce, a drudzy w blondynce. Wszystko to jasno wyłożone znajdziesz w powieści: *Un coeur pour deux amours*. Jeżeliś przyjaciel wielkiéj energii, hartu duszy, tęgości charakteru, i tém ci służyć mogę. Znajdziesz ojcobójstwo, kazirodztwo, mordy, synobójstwo i wszeteczność wszelką w *Tour de Nesle*, pana *A. Dumas*. Lubisz komedye, czytaj Repertorium teatru francuzkiego: obaczysz, jak tam autorowie umieją zjednać sympatyą publiczności dla swych bohaterów, ludzi tego rodzaju, iż gdyby jeden z nich w rzeczywistości u nas się pojawił, żaden poczciwy człowiek ręki by mu nie podał i nie przepuścił przez próg domu swojego. Jesteś mniéj czuły, twardego serca i nie łatwy do poruszenia, czytaj romanse i tragedye prawdziwie genialnego *Victora Hugo*. Olbrzymi talent ten napisał kilka dzieł, które zaiste staną się bogactwem literatury,

umarłém; szli stopniowo sobie: najprzód pochlustywali swoich czytelników zimną wodą, daléj cucili anodyną, octem, wódką kolońską, eterem, amonią — potém wzięli się do synapizmów, wezykatoryi, palili bawełnę i spirytusy na sercu, a w końcu już piekli rozpaloném żelazem; — coby już daléj robili — nie wiem.

Wyznaj, że nam wcale nie do twarzy z tą literaturą i trudnoby powiedzieć, co ona u nas ma za sprawę? Czyliż my także gwałtownych poruszeń szukamy? Zkądże u nas to upodobanie przebierania w cudzych śmieciach i brudach. Dla tego dzięki niechaj będą tym wysokim a zacnym talentom, które, pojawiwszy się u nas jakby na jutrznię nowéj epoki, owocami własnéj ziemi zastąpili egzotyczne wymysły nie dla nas stworzone; dzięki niechaj będą Kraszewskiemu, który prawie pierwszy dał hasło do własnéj i swojskiéj powieści, dzięki Korzeniowskiemu, M. Grabowskiemu, dziełom: jak *Pamiątki starego szlachcica;* wszak te prace były wołaniem nowego czasu, — a wnet szereg świetnych i młodszych talentów wstąpił w literaturę. Jakoż te zjawiska tak radośne dla literatury polskiéj są właśnie dowodem, że byle mistrz dosięgnął warunków piękności, byleby pisał

---

i nie utoną w téj gawiedzi współczesnych im książek; ale on trafił na czas klamstwa, na czas apoteozy okropności, i oszargał się czasem. *Victor Hugo* na pamięć zna anatomię i fizyologię serca ludzkiego, zna każdy nerw jego, wszystkie miejsca bolejące, wie jak i kiedy się dotknąć i zranić; aby zranić do żywego duszę, wydobywa wszystkie tony boleści i serce czytelnika w kolo wplata.

Po przeczytaniu dzieł tego rodzaju gdy spójrzysz w siebie, rzeklbyś, iż dusza podobną się stała do świątnicy zrabowanéj i znieważonéj od hordy złodziejów; ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione albo zdeptane i sponiewierane. A jak niepodobna zaprzeczyć tym autorom świetnych zdolności, dziwnego powabu stylu, mistrzowskiego władania piórem, tak znów wyznać należy, iż to wszystko razem jest kałużą krwi i błota, co wylewając się na Europę, szerokim téż upływem do nas się przewala, by miały w czém kąpać się i walać umysły młodych pań naszych.

Nie rozumiéj atoli, że we Francyi na tę literaturę nie powstają i nią się nie gorszą? We wszystkich prawie feuilletonach sam pan *Jules Janin* wygaduje na nią, utyskuje na niemoralność i bezrozum tych romansów, i powiedział nawet raz, i bardzo trafnie, iż najstosowniejszém rozwiązaniem węzłu takiego rodzaju dramatów lub romansów byłby komissarz policyi, aresztujący tych bohaterów i te heroiny. Ale szkoda tylko, że on sam nie lepszy, bo owe *le Coeur pour deux amours* jest jego własnoręcznéj roboty. Przypomina on koncept urwisa, co uciekając sam woła: „chwytajcie złodzieja!“ by tém samém gładko umknął i gdzieś się schował.

Ten ustęp cały był w pierwszém wydaniu umieszczony w ciągu samego listu, bo odnosił się do piśmiennictwa, które naówczas całą potęgą uderzało umysł publiczności. Dziś atoli ta hałaśna sława tych romansów przebrzmiała, więc téż ten ustęp cały, dotyczący się rzeczy przedawnionych, nie byłby już na swojém miejscu, gdybym go zostawił w liście, z drugiéj strony zaś właśnie to skonanie owéj literatury jest dla nas wielce uczącém, i może być nielada poparciem naszego powyższego rozumowania i dla tego umieściłem ustęp rzeczony w odsyłaczu.

Kto dziś jeszcze weźmie do ręki np. Tajemnice Paryża lub Żyda Tulacza? te romanse jak liść zżółkły spadły z drzewa literatury — one poszły w zapomnienie mimo prawdziwie olbrzymiego talentu autorów. Dla czego? Bo stały na fałszywéj zasadzie, bo były obrachowane na efekt, na rozkołysanie uczuć, bo miały uboczne, z góry powzięte, dążności i cele.

do czego go prze własne uczucie, już z pracy ducha jego spłynie błogosławieństwem korzyść nieskończona, spłynie, choć jéj sobie autor nie zakładał jako cel poświęceń swoich.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i kończmy rzecz kilku słowami.

Gdyby sztuki piękne miały za cel jedyny rozkołysanie uczucia naszego, jużby się i bez nich wcale obeszło, obeszłoby się bez dramatów tych i romansów; każdy w domu swoim ma te biédy, a ma je taniéj i wyraźniéj; a zresztą mocnych poruszeń szukać nie potrzeba po książkach, znajdziesz je w tych chatach obdartych, dymnych, samotnych, po naszych tu przedmieściach Krakowa, tu widzieć można moralną i fizyczną nędzę, poniżenie i sromotę; każda nizka izba mogłaby podać osnowę do powieści tęsknéj, pełnéj łez i boleści; a komu to nie wystarcza do wzniecenia uczuć, toć niechaj odwiedza inkwizycye kryminalne, szpitale i sale amputacyjne. Jeżeli autor tylko w same uczucia mierzy, mając jedynie samo czytelnika serce za cel swój, cóż dziwnego, iż napłodzi mnóstwo charakterów nieprawdziwych, kłamliwych, będących i w złém i dobrém karykaturą rzeczywistości; są to upiory fantastyczne, bez serca i duszy, automaty poruszające się wedle kaprysu autora, nie umiejące ani radować się po ludzku, ani cierpiéć z godnością, żyjąc albo umierając zawsze pogardy warte. Właśnie atoli powołaniem sztuki jest, ażeby wskazać wyższą naturę człowieka, nieginącą choć w najgłębszém i najsromotniejszém poniżeniu jego; duch człowieka, jak płomień gorejący, choć w brudnych i ciężkich dymach doczesności, zawsze wzgórę się ma. I piękność jest niebios córą, ją tylko z wierzchu dotknąć mogą cierpienia doczesnego żywota, ale jéj istoty wiekuistéj skazić nie zdołają; i sztuki piękne płaczą, ale po przez łzy boleści ich uśmiecha się nieśmiertelne ducha wesele. Uczmy się od Greków, wpatrzmy się w ten majestat Nioby, w tę otchłań boleści Laokoona, w patetyczność bohaterów Sofoklesa — ba, niechaj się figury autorów onych uczą umierać od prostych gladiatorów rzymskich, co z raną śmiertelną w piersiach konali na krwawéj arenie; gdy w gasnącéj źrenicy zakołysało się niebo, i amfiteatr z tysiącami widzów obracał się niby wirem zawrotnym, wtedy wzgardzony ten gladiator przypomina sobie, iż to lud rzymski na niego patrzy; z ogromnym mozołem i z pełnym boleści trudem układa ciało swoje, nadaje mu postawę godną, estetyczną, by w obecności tego ludu, co był światá królem, legnąć z zacnością zdołał. A tak żywota swojego poniżenie kończył, równając się z Cezarem, boć i ten hardy olbrzym starożytności, upadając w krwi swojéj, zakrywa togą swoje oblicze, by świat nie obaczył rysów, znieważonych może ostatnim wyrazem fizycznéj boleści. Rzymianie w ogólności nie wiele umieli, ale umierania sztukę znali, jak żaden naród.

Sztuka, kędy się dotknie, uzacnia przedmiot, uszlachetnia go i podnosi do wzniosłości ideału. — W nizkie nasze życie, w oną chat-

kę ziemską, spada promień wiekuistéj piękności i oświeca ją jasnością niebiańską. Pod ręką wielkiego mistrza i treść, nawet mniéj nadająca się do piękności, odziewa się nadziemskim urokiem. — Odwiedź np., jak będziesz w Krakowie, kościół Ś-go Floryana na Kleparzu, zobaczysz tam obrazy wielkiéj wartości, pochodzące, jak się zdaje, z końca XV wieku; połączona w nich rzewna prostota staréj szkoły niemieckiéj z powabem czarodziejskim Włochów. Jeden z nich wystawia chwilę męczeństwa Ś-go Jana w Oleju: zda się myśl niby pospolita, przedmiot nie estetyczny, ale zważ co z niego uczynił mistrz. Ta cała scena ułożeniem uszlachetniona, uzacniona: — Ś-ty Jan duchem w niebie utkwiony, wśród mąk ciała swojego słucha słodkich pieśni niebiańskich zastępów, a nadziemska piękność wylana na całą postać jego.

Zaprawdę, Bóg nie daremnie wlał w duszę naszą uczuć potęgę, ocieplającą swym płomieniem chłodne życie rozumu i rzeczywistości. Uczucie i myśl, czyli, jak to zwyczajnie mówią, serce i głowa, są to iście dwa przeciwniki działające ciągle na siebie, a często nawet stające w otwartym z sobą boju; jestto pełna cierpień wojna domowa w piersiach człowieka, a w niéj zwycięztwo nie zawsze przy prawdzie i słuszności. Ta niezgoda i waśń w umyśle, jakby dźwiękiem fałszywym, wdziera się w harmonię naszego jestestwa, burzy spokojność i zatruwa dni nasze. Dla tego też najwyższym celem życia człowieka, ostatnim końcem wychowania, jest właśnie pogodzenie tych dwóch sił, co jakby dwa wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umierają. Ale chodzi o pogodzenie, a bynajmniéj nie przytłumienie jednéj z tych potęg; bo jak poniewieranie rozumem i oddanie go na oślep pod przemoc uczuć do zguby wiedzie, tak przygnębienie uczuć i samowładztwo rozumu obejmuje treść duszy, gasi ciepło i barwy świata, i czyni życie nasze podobném do owéj pełnéj wspaniałości natury podbiegunowych mrozów, co wiecznie dziewicza, i wiecznie martwa, i samotna i głucha, bez ciepła i głosu, bez radości i smutku, bez uczuć i serca, zasiadła w szacie wiecznych śniegów jakby na stolicy śmierci, na hardym majestacie grodów lodowych, co zuchwałe, fantastyczne, jakby nieme i głuche upiory natury, świecą nad tym niemym i głuchym światem, co zawsze jeden, zawsze ten sam. Od czasu do czasu tylko zapala się pod gwiazdą biegunową ognistym blaskiem pierścień zorzy północnéj, onéj córy mrozów bez końca, co sycząc strzela promieniem niewypowiedzianéj jasności po sklepieniu niebieskiém, ale, w sobie mroźna, jest tylko światłem bez ciepła, pokrywa świat lodów purpurową ale zimną łuną.

I tak dotychczas starałem się dowieść, iż uczucia przez się wzięte nie zdołają same stworzyć mistrza, i że do samego uczucia widza lub słuchacza mierzyć nie powinny, tak jest rzeczą niemniéj pewną, iż bez uczuć nie byłoby ani mistrza, ani sędziego, ani sztuki pięknéj; a dzieło, nierozgrzewające sobą serc ludzkich umiejących uczuć, zaiste nie będzie dziełem sztuki. Człowiek z rozumem bez uczuć jest

już za życia zmarłym upiorem bez serca. Jak ze światem materyalnym przez zmysły jesteśmy w związku, tak ogniwa, łączące myśl naszą ze światem duchowym, są uczucia; one to podają rozumowi treść, by ją w sobie strawił, uporządkował, przecedził, ocenił, a tak zamienił ją na pojęcia rozumowe, na myśl. Najczęściéj prawdy wielkie wprzód nam okazują się w postaci uczuć, niż myślą zostaną. Nim prawodawca popisał ustaw księgi, uczucie sprawiedliwości i prawa zjawiło się w sercu człowieka, przemawiając do niego, jak Bóg w krzaku gorejącym. Nim matka w swéj młodości uroku wytłómaczy sobie miłość swoją dla dziecięcia z porządku fizycznego i moralnego świata, wprzód ta jéj miłość dla niemowlęcia żyła w jéj marzeniach nocnych, i we śnie rumieńcem cichego szczęścia zapłonęła na licu. Nim człowiek głęboką myślą zanurzył się w tajnikach świata i ze stworzeń wszechnicy wypatrzył mądrość Bożą, wprzód o Bogu rozmawiał z gwiazdami na niebie, i z robaczkiem świécącym na listku, i słyszał bytność jego w huku oceanu i pieśniach ptaków. Z uczuć rodzą się myśli, jak z kwiatów żyjących barwy, woń i owoce; gdy myśl się rodzi, więdnieją uczucia, gdy owoc zaświeci, już pomarły kwiaty. Cokolwiek w nas jest jako myśl, po większéj części było dawniéj uczuciem; ztąd uczucia, o ile są prawdziwe, wytłómaczone być mogą drogą rozumową. Tak instynktowe garnienie się ludzi pod spólną praw obronę, choć pochodzi z uczucia słuszności, pojęte być przecie może z saméj istoty człowieka. Podobnie macierzyńska miłość, będąca uczuciem mimowolném, ma potwierdzenie swoje w obliczu mądrości, i pojęta rozumem okazuje się nam jako święty ołtarz cnoty domowéj i podwalina rodzinnego życia, będącego znów podstawą życia towarzyskiego i cnót obywatelskich. Podobnie głos, przemawiający w sercu o Bogu, jest początkiem mądrości człowieka i prowadzi do poznania rozumowego najwyższego jestestwa, będącego alfą i omegą wieczności i tego wszystkiego, co jest. Tak uczucia ciągle dostarczają osnowy rozumowi: on ją sądzi, rozbiera, czyści, i przyswaja sobie jéj treść. Na tém też stoi potęga człowieka, by uczucia na myśl przemieniał, by tę poezyę uczuć przetłómaczył sobie na prozę rozumu, by ją zamienił na prawdy rozumowe, zgodne z całością świata, a uznał każde uczucie za mylne i za złe, które przeciwne będąc ogólnéj harmonii trwającéj w świecie, nie zgadza się z rozumem.

Lecz rzekniesz może, że i rozum podlega błędom, i odwołując się do prostego przysłowia, powiész: co głowa, to rozum; niechaj nam atoli nie chodzi o słowa. Ja tutaj nie biorę rozumu w znaczeniu potocznem, ale właśnie za promień onéj wiekuistéj mądrości, którym Bóg oświecił ducha naszego w téj życia ciemnicy; promień ten łączy nas z Bogiem i wiecznością: ten zawsze jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach, w każdym wieku i godzinie.

Rozumiem, że nie będziesz wymagał obszernego dowodu téj prawdy, należałby on do systematu filozofii, a nie do szczupłego obrębu

listów tych. Zaiste — nikt nie zaprzeczy, iż rozum jest środkiem poznania prawdy, kto jeno wierzy w zacność natury ludzkiéj, kto wié, że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje, dając mu rozum, by poznał dzieła jego i w nich doczytał się jego wszechmocności, wiekuistéj mądrości i uszlachetnienia własnéj istoty człowieczéj.

Dla tego też rozum jest pierwszym warunkiem wiary; niemowlęta, obłąkani i zwierzęta nie mają wiary, bo nie mają rozumu. Co myli nasze zdanie o rzeczach, bynajmniéj nie jest rozumem, ale uczucia, ale zmysły, ale inne potęgi, które nas łudzą. Uczucia działają na serce nasze, i nim rozum się upamięta, już serce sąd swój wyrzekło, a sąd osobisty — zdanie. Zkądże matematyka zawiera w sobie prawdy ogólne i dla wszystkich prawdą będące? — Odpowiedź łatwa, bo jéj liczby, jéj linie i bryły nie działają ani na zmysły, ani na uczucia; tu sam rozum na placu zostaje, więc sam bez mięszania się zmysłów i uczuć o prawdzie orzeka, a orzeka nieomylnie.

Jak przyznać powinniśmy, iż z jednéj strony uczucia przed potęgą rozumu korzyć się winny, tak też z drugiéj niemniéj prawdą jest, iż bez uczuć nie byłoby i cnoty prawdziwéj. Bo gdy człowiek serce swoje ma na baczności, gdy się uczucia nałożą chodzić drogami rozumu, gdy téj dojdzie doskonałości, iż uczucia jego nigdy nie będą sprzeczne z rozumem, a gdy nawzajem wszystko, co jest prawdą, rozumne znajdzie potwierdzenie w sercu człowieka, — wtedy też sam człowiek będzie z sobą w zgodzie, i śmiało w swojém postępowaniu i w żądzach swoich będzie się mógł uczuć swych radzić, a nim rozum przez rozbiór, myślenie, zastanowienie swoje pokaże mu drogę i sprostuje postępowanie, już ją uczucia instynktem zgadną, a zgadną bez zwłoki, bez długiego rozbioru; nauczą w téj chwili, co jest w moralności zacne, co poczciwe, i co w sztukach piękne i prawdziwie estetyczne. Rzecz tak się zupełnie miéć będzie, jak z mechaniczną wprawą; kto już wyćwiczonym pianistą, już grając nie myśli o układzie palców, ani szukać już będzie klawiszów oczami; palce mechanicznie pójdą za jego wolą, gdzie uderzy, uderzy zawsze trafnie i bez pomyłki. Tak też kto zkądinąd pojął, co prawdziwie piękném i zastósował uczucia do tego pojmowania swojego, już radząc się uczuć swoich odrazu piękność spostrzeże; ale sąd ten będzie mógł usprawiedliwić z zasad ogólnych sztuki pięknéj, zdoła tedy nim i drugich przekonać; dla tego też sąd takowy, choć z uczuć wypłynie, tém się różni od onych sądów z samego uczucia pochodzących, o których wyżéj wspomnieliśmy, iż tamte nie mają ogólnéj wartości rozumowéj, i dla téj przyczyny nikomu do przekonania nie przypadną.

Ze zlewu w jedność rozumu i uczuć, z téj zgody świata rzeczywistego i serca, rodzi się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczéj. Uczucia im szlachetniejsze, tém mniéj są osobiste, i występują z ciasnego przybytku serca, i obejmują sobą wielkie jestestw koło. — Tak szczytem wszystkich uczuć jest miłość. Miłość ogólna, powszechna,

podobna do mądrości, bo, jak i ona, w innych siebie widzi i wylewa się na świat cały. Ta miłość ogólna nie jest córą z ziemi zrodzoną, jest posłannicą innych światów, wstępująca w serca wszystkich wieków i narodów. — Słuchaj np. pieśni mądrości pełnych, co nam jakby woń przyniosły powiewy z dalekiego Wschodu:

Ucz się od komara miłości, co rozkochany
W świetle płomienia, w niém przepada i ginie.

A znów w inném miejscu:

Ja ci powiadam, jak z ziemi człowiek stworzon jest;
Bo Bóg tchnął w ziemię miłości dech.

Ja ci powiadam, czemu wiecznym kołowrotem bieżą nieba;
Bieżą one wiecznie, bo je napełnia miłości blaskiem Boży tron.

Ja ci powiadam, dokąd tchną zarania powiewy;
Tchną one w miłości gaj, by roztulić liście róż.

Ja ci powiadam, dla czego noc pokrywa świat oponą;
Obsłania ona świat, by go uświęcić na miłości namiot.

Ja ci rozwiążę zagadnienia wszech stworzeń wszystkie;
Bo zagadnień wszystkich rozwiązaniem, miłość jest.

Albo miejsce następujące:

Kończy zaprawdę skon życia trudy,
Jednak dreszczem trwogi dla życia jest skon.
A dla serca trwogą jest miłości dreszcz,
Trwoży się serce miłością, jak gdyby groził mu skon.

Bo gdy miłość w sercu się budzi,
Umiera w tobie samolub, ciemiężca ponury;
Niechaj ci zamrze w nocném państwie swém.
A ty odetchniéj swobodą w zarania łunie!

List Siódmy.

Istota sztuki. — Różne rodzaje piękności.

Wielki piątek, 25 Marca 1842 r.

Oniemiały dzwony krakowskie, — całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały

jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, — by po staremu cześć dał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasném spojrzeniem rozpłynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię, a w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł — a potęga przyrodzenia uśpiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężéj od kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie — póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w któréj i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy téj ziemi, i jéj biédy, i jéj płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onéj wielkiéj zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i jakby Bożém imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionéj młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnéj naszéj istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiéj pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, ze światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnéj życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zgasło. Ale im samotniéj, im smętniéj i ciszéj w duszy, im więcéj traci wagi doczesność, tém jaśniéj wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiańską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną — a w sercu świąteczno, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonéj miłości, i jakby organy zagrzmi samotne duszy nabożeństwo. W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie nocne widziadła doczesności naszéj, ulatują niby ptaków płoche stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowidzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego rodu, i własne serca bicie nie ma więcéj dla nas tajemnicy, — rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historyi rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecną, nie zerwana nigdy, i sama zostaje

i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się rozpada, i wszystkie jéj nitki próchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje i wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy od kolébki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego. Potocz okiem na pasowanie się całéj historyi człowieka, zacząwszy od owéj wielkiéj chwili, gdy się dotknął poznania owocu, tracąc niewinności raj, podsłuchaj tajemną robotę stuleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historyi, nieskończoność istoty człowieka. Bez niéj ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze jeden i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwierząt koła, dzieje jego przekazaneby były historyi przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznéj, przesuwają się po nieruchoméj ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody, i wielkie imiona w historyi na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je prześwieca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swéj, jest ową wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującém, jakby z kwiatu pączków, wielkie epoki i wielkie czyny w historyi, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w pacierzu dziecięcia i w hymnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierć na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemi łono, waży słońc i planet brzemię, roztwiera księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najgłówniejszych praw jego, bo religii, filozofii i sztuki pięknéj. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, zkąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość i religię; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak wprzód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotém jaśniejąc skrzydłem; a przekonanie o nieskończoności istoty naszéj wykwita z uważania skończoności. Bo zważ — dęby długo-wieczne tak przemijają jak ich liście, a skały

granitowe tak się rozpływają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przeléwające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przeléwa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spójrzy jasne Opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną — zamigoczą się i gasną. Więcéj jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historyi rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonéj przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruzy dawnych świątnic, pomników ułomy, i, jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, świato-władnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych — a gdzieniegdzie unoszą się na jéj falach, jakby kwiaty, jakieś pieśni stare, strzaskanéj lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jéj brzegów, rozlegały się ziaste ludy liczne jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa; o nich historya milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznéj otchłani zapomnienia, jak tonie rozbitek na otwartém i głuchém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie owa rzeka, w jakąż nieznaną dal przebierają się jéj wody, by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść, jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów? kędyż jest ujście téj rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcéj wnętrze istoty naszéj jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tém wspominaliśmy już wyżéj. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, boć właśnie jéj poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszéj. Bo zważ — czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia o nieskończoności? zkądżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myślili o jakiémś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkądżeby nam przychodziła owa tęsknota patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. Te dwa pojęcia, odwrotne sobie, zawsze razem chodzą; jak ten nie zna okropności ślepoty, kto sam dnia jasnego nie widział, jak kto wié, co linia krzywa, musi wiedzieć co linia prosta, tak téż wiadomość skończoności dowodzi poznania nieskończoności. Nieskończoność tedy iście w naszéj myśli mieszka. — Prawda ta jest prawdą wszystkich prawd, bo właśnie dla tego, iż człowiek o nie-

skończoności myśléć może, jest dowodem, iż sam jest nieskończonym. Bo co jest skończoném, nie obejmie sobą nieskończoności; co jest bez granic, tam tylko pomieścić się może, gdzie także granic nie ma; bo większe w mniejszém objęte być nie może. Tak jak potrzeba być samemu uczuć tkliwych, by zrozumiéć obcego serca drganie i te wszystkie tony ciche, szepczące we wnętrzu duszy; jak potrzeba samemu być rozumnym, by pojąć rozumu potęgę; jak ten jedynie ocenić zdoła cnoty majestat, kto sam pełen jest zacności, — tak też tylko jestestwo nieskończone pojąć zdoła nieskończoność i do niéj tęsknić. Posłuchaj treści staréj perskiéj pieśni:

Słowik zakochał się w róży; rzewną miłością płynęła pieśń jego, brzmiały po gajach tęskne drżące śpiewy skrzydlatego kochanka, brzmiały boleśnie, samotno i radośnie przez noce całe, wieczory i ranki; a gdy słońce zaświeciło nad ziemią ciepłem, pieszcząc naturę, ustawały słowicze pieśni, i wieszcz maluchny milcząc ginął pod liści splotem; — skoro atoli dzień jasny z gajów ulatywał, zapalając kagańce na niebie, znów z drgających piersi zakochanego śpiewaka rozpływały się harmonie pełne miłości i żalu. Słuchały tych pieśni i krzewy, i gaje, i strumienie i dąbrowy, przecie nikt tego kochania słowika dla róży zrozumiéć nie zdołał. Lecz znał kochanie swoje słowik, bo nie różę on miłował, nie do jéj rumieńca, nie do jéj woni on tęsknił, bo — na różę spadała co wieczór, co ranek, rosy kryształowa kropelka, i w niéj to, jakby w jasném z nieba spłynioném zwierciedle, siebie widywał słowik, i sam pokochał siebie — zakochał się. Atoli obraz, który widywał, który miłował, nie był tylko samym wizerunkiem doczesnéj jego postaci; widywał tę postać rozjaśnioną, promieniejącą światłem niebiańskiém słońca, i do niéj to słowik tak tęsknił sobie. Nie dziw już tedy, iż gdy skwarem dziennym owa rosy kropelka rozpłynęła i uleciała, i obraz ten, owo niebiańskie widziadło, znikł, a słowik tęskny w boleści oniemiał.

Rozumiemy tedy już tęsknotę naszą ku nieskończoności; wszak i ona jest tylko obrazem naszéj własnéj istoty, rozjaśnionéj wiekuistém światłem.

Jeżeli tedy nieskończoność stanowi konieczną istotę człowieka, więc zradza się pytanie: jakim trybem objawia się w nim ta nieskończoność, jaki ona wpływ widomy na niego wywiera? Pierwszym i koniecznym wypadkiem nieskończoności, którą Bóg człowieka wyposażył, jest instynktowa tęsknota, by wszędzie upatrzył nieskończoność, radby ją znaléźć we wszystkiém, co jeno być może przedmiotem myśli jego, radby widzieć i znaléźć wszędzie jéj wizerunek i obraz. Ta dążność jest koniecznym skutkiem jego natury; bo zważ pilnie, iż cokolwiek jest prawdą, to nie tylko bywa w nas, w duchu naszym, ale również znaléźć się winno i na zewnątrz ducha naszego, bo inaczéj nie byłoby prawdą. Bo wszystko, co mieszka we wnętrzu ducha naszego, byłoby tylko ułudą, a nie prawdą, jeżeliby nie zna-

lazło i w świecie potwierdzenia swojego. Otóż dla porozumienia się łatwiejszego podam ci kilka przykładów.

Czyliż dosyć jest aby moralność, aby cnota w sercu tylko mieszkała? czyliż nie potrzeba, aby wystąpiła na jaw i okazała się czynami w rzeczywistości? Moralność we wnętrzu li naszém przemieszkująca nie jest moralnością; aby nią była, potrzeba aby koniecznie okupiła się walką własną, wyjawiła się czynem; albo — czyliż mogłaby powstać w duszy człowieka miłość, gdyby nie było zarazem w świecie rzeczywistym przedmiotu, będącego celem téj miłości? Czyliż każda teorya prawa jest czém więcéj niż ułudą, jeżeli nie może być wprowadzona w świat? Otóż zważ, iż dla wewnętrznéj naszéj istoty, ten świat zewnętrzny, rzeczywisty, jest zawsze z początku czémś obcém, czémś jéj przeciwném, i póty my wewnętrznych prawd naszych nie uważamy za zupełne, póki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy, albo ich już tam nie znajdziemy. I dla tego to właśnie, mając przekonanie o czém silne, gruntowne, czujemy w sobie niepokój, póki nie obaczymy, iż prawda, którą przejęci jesteśmy, i od świata przyjętą nie zostanie. Bo świat nasz wewnętrzny, one prawdy, które w duchu naszym żyją, i świat zewnętrzny, rzeczywisty — czyli teorya i praktyka, do siebie należą i jednę składają całość, i nawzajem na sobie się opierają, choć zdają się czémś zupełnie różném od siebie, a nawet przeciwném sobie. Są to dwa bieguny igiełki magnesowéj, które, choć różne, przecież do siebie należą, tak jak znak (—) i plus (+) w matematyce, choć niby zupełnie sobie odwrotne, przecież do siebie się ściągają, i tak dalece jedną składają całość, iż żaden z nich, z osobna uważany, nie będzie miał znaczenia, ani zrozumiany być nie może. Tak i światło dopiéro światłem jest, gdy je z ciemnością razem weźmiemy.

Tak się też rzecz ma z nieskończonością, która wewnątrz nas tkwi; nią to party człowiek tęskni, by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie, pragnie, jak słowik ów, obaczyć w nim własny swój obraz. Rozważmy atoli, czyli pragnienie to swoje zadowolić zdoła; czyli on znaléźć zdoła wizerunek i odblask téj nieskończoności, która w nim tkwi.

Najprzód natura fizyczna, rzeczy zmysłowe, uderzają umysł nasz, bo on je najłatwiéj pojmuje, gdyż one są zmysłowe; a człowiek sam, mając stronę zmysłową, rychléj rozumie, co oczyma, słuchem, dotykaniem i innemi zmysłami dostrzega, niż to, czego dopiéro rozumem dochodzić powinien; więc też natura jest pierwszém polem jego poznania. W niéj tedy przedewszystkiém pragnie dostrzedz nieskończoności; ale zjawiska natury są jedynie ułomkami wielkiéj całości, pojedynczemi tonami wiekuistéj harmonii, którą Bóg wlał w wszechnicę stworzeń. Żadne atoli pojedyncze jestestwo natury samo z siebie, i wzięte z osobna, nie wyraża całkowitéj myśli, ale jest jedynie ułomkiem myśli; a co jest ułomkiem czegoś, należy do czegoś i za-

leży od czegoś; jest ograniczoném w sobie, nie może być tedy nieskończoném.

Wznieś oczy ku niebu, patrz — planety, słońca, księżyce, są rozosobnionemi jednostkami; każde ciało niebieskie, choć należy do swego systematu słonecznego i z nim składa całość, wszakże, samo wzięte, jest tylko jednostką osobną, a system słoneczny nie jest jedném jestestwem, ale składa się z mnóstwa jestestw, bo z mnóstwa gwiazd osobnych. Widzisz tedy, iż całość tutaj rozbita jest na wiele rozpojedynczonych szczegółów, na wiele ciał niebieskich. Możesz wprawdzie gwiazdy, należące do systematu, uważać za jedność, ale to połączenie ich jest robotą twojéj myśli, twojego przyłożenia się; to połączenie jest li rozumowe, świat fizyczny nie okazuje téj jedności zmysłom, ale przedstawia rozosobnione gwiazdy, z których każda jest tylko kawałkiem osobnym jedności systematu. Podobny każdy system słoneczny z całém gronem planet, księżyców do niego należących, zaiste znów jest cząstką drobną innego ogromnego systematu. A tak myśl Boża, myśl nieskończona, wlana w ciała niebieskie, rozstrzeliła się oceanem rozpojedynczonych gwiazd, z których atoli żadna, z osobna wzięta, nie jest obrazem onéj myśli nieskończonéj, a co jest ułomkiem, jest czémś skończoném i przemijającém. Spojrzyj teraz w koło siebie, w te zjawiska, które ci rzeczy, otaczające nas, przedstawiają, i tu spostrzeżesz, iż zjawiska są jedynie ułomkami całości, i nigdzie nie znajdziesz jestestwa, będącego wizerunkiem nieskończoności. W zjawiskach mechanicznych, naprzykład, potrzeba zawsze najmniéj dwóch ciał na siebie działających. Jedno z najprostszych zjawisk, które tu widzimy, ciężkość, okazująca się w spadaniu ciał, wymaga przedewszystkiém dwóch jestestw; bo ciała, które spada, i ziemi, na którą spada. Póki ciało spada, to jest, póki się to zjawisko okazuje, póty też i ciało spadające i ziemia są w rozłączeniu; skoro zaś rozłączenie ustaje, i ciało i ziemia się dotyka, przez to już staje się jednością, już i zjawisko spadania samo ustaje. Widzisz tedy, iż tutaj każde jestestwo z osobna wzięte jest jedynie ułomkiem.

Podobnież w fenomenach magnetycznych, elektrycznych, galwanicznych i t. d. potrzeba dwóch biegunów, z których jeden jest dodatny a drugi ujemny. W zjawiskach optycznych, znów najmniéj dwóch ciał potrzeba, bo promienia światła, i ciała oświeconego; tak i tu obaczysz, iż jedno jestestwo w naturze nie jest czémś zupełném, potrzeba najmniéj dwóch lub więcéj, by złożyć całość. Tak się rzecz ma i ze zjawiskami chemicznemi i z powinowactwem ciał. Ale powiész mi może, iż w jestestwach organicznych dzieje się inaczéj, bo ciało zwierzęce a zwłaszcza człowiecze jest całością w sobie, a zatém już wizerunkiem doskonałości; ręce, głowa, nogi i wszystkie członki, tak różne od siebie, składają jednę całość doskonałą, wszystkie one do siebie należą, jedną składają harmonię. Prawda, ale dla tego też właśnie ciało ludzkie jest szczytem wszystkich dzieł natury, naj-

wyższym wieńcem rzeczy stworzonych, i dla tego właśnie jest stolicą nieśmiertelnego ducha.

Zważ przecież, iż i tutaj jeszcze niedoskonałość jestestw natury uczuć się daje. Człowiek właśnie w życiu swém ziemskiém do dwóch światów należy; jest naprożnikiem między państwem wiekuistém, duchowém, a państwem rzeczy materyalnych, bo on w sobie mieści i duszę i ciało — i właśnie dla tego, że należy do cielesnego świata, do natury, nie jest sam przez się całością w sobie skończoną, zupełną, bo się sam przez się ostać nie może. Najprzód jest bowiem w stosunku do innego jestestwa podobnego, ale płci odwrotnéj. Mąż i kobiéta z osobna wzięte nie stanowią całości. Następnie też człowiek obejść się nie może bez natury otaczającéj go; bierze od niéj pokarm swój, oddycha jéj atmosferą i z nią dopiéro stanowi całość, a właśnie ten związek i stosunek ciała do natury jest przyczyną śmierci jego, bo natura zewnętrzna, onych ślepych żywiołów potęga, bez ustanku działa na organizacyę ciała jego, i psuje je, i niszczy, i trawi; a gdy się ciało w końcu oprzéć nie zdoła tym wpływom, wtedy ginie i śmierć następuje.

Widzisz, iż nawet najwyższe dzieło przyrody, bo ciało człowiecze, nie jest całością w sobie i ginie, i dla tego nie może być dla nas wizerunkiem nieskończoności, którą człowiek śledzi mimowiednie w rzeczywistym świecie, choć nie wié, co go tak prze i co w nim działa. Cała natura tedy pokazuje nam jestestwa, które same wzięte są tylko ułomkami jednéj myśli, ale całéj myśli nie stanowią, a tém samém mają swój początek i koniec, nie mogą być tedy nieskończoności obrazem. To już wyżéj choć innemi słowami powiedziałem. Ale może właśnie wizerunek ten znaléźć zdołasz w obrębie nie natury cielesnéj, lecz w sferze czynności człowieka? może naprzykład moralność, cnota, obejmująca jakby sercem miłości pełném świat cały, będzie doskonałym nieskończoności obrazem? Zważ atoli, moralność, cnota jest jedna i zawsze taż sama, ona jest całością ogólną, póki zamknięta jest w duchu, póki trwa we wnętrzu naszém; ale ona jako całość nie może się zjawić w świecie, bo w rzeczywistém życiu moralność się tylko w czynach pojedynczych okazać może. Utulisz boleść, łzę nieszczęścia, zapomnisz krzywdy złowrogiéj nienawiści, gdy zacność gorejąca w piersiach twoich wystąpi na jaw poświęceniem dla dobra drugich, toć wszystko zależéć będzie od podanéj sposobności, okaże się przy szczególnych okolicznościach, które mogą być tak różne, tak przypadkowe i rozmaite, jak rozmaite są życia przygody. Słowem, moralność zamknięta w duszy jako całość, występując na świat, rozbija się na pojedyncze osobne czyny moralne. Co się wyjawia w świecie rzeczywistym, są to tylko ułomki téj moralności, nie mogące być moralności saméj, a tém bardziéj nieskończoności obrazem. A prawa, a ustawy spajające węzłem towarzyskim ludzi, zakładające miasta i garnące wszystkich pod sprawiedliwości païze? może tutaj dostrzeżesz wizerunku nieskończoności?

Przecież tak sprawiedliwość jak i moralność zawsze jest jedna, wiecznie ta sama, i całością w sobie; ale ona, jako taka, nie wstępuje w rzeczywistość i wystąpić nie może, bo jest również jak moralność, jak cnota, myślą, ideą; w rzeczywistym świecie zjawić się tylko ona może w prawach, w księgach ustaw. Każdy jednak naród, każdy wiek ma inne swoje kodeksa. Sprawiedliwość tedy jest tylko gruntem ogólnym, na którym wzrastają księgi praw, są to jedynie ułomki całości, ale nie całością. Co więcéj, księga praw, obowiązująca w pewnym kraju a będąca przeto uwidomieniem wyobrażeń tegoż narodu i wieku o prawie, także nie występuje w całości w rzeczywistym świecie, lecz tylko ułomkami. Wszak prawo np. broni własności, jakże atoli ono chroni np. własności twojéj i kiedy? oto wtedy tylko, jeżeli twój dom, twoja wieś, albo jakaś summa pieniędzy, będąca w twojéj własności, jest zagrożoną; wówczas udajesz się pod obronę ustaw, a one oddalają napastnika. Widzisz tedy, iż praw wykonanie broni własności, lecz nie własności jako ogólnéj myśli, ale rzeczy szczegółowych, jako wsi, domu, summy pieniędzy, a to wtedy tylko, jeżeli one są zagrożone; czyli zaś są zagrożone lub nie, toć znów od przypadku zawisło, od szczególnych okoliczności, więc własność rzeczy szczegółowych okazuje się w ułomkach. Jest tedy niewątpliwą prawdą, iż i sprawiedliwość w téj formie, jak się w rzeczywistym świecie okazuje, nie może być wyrażeniem nieskończoności.

Ale rzekniesz mi może, iż przecie historya powszechna, będąc najwyższém dziełem wieków i pracownią nieskończoną ducha człowieczego, wyraża nam myśl nieskończoną odzianą w szaty ludów, w postaciach bohaterów historycznych? W tym liście moim już dwa razy wprowadziłem ci historyą świata: raz, wskazując ci znikomość rzeczy doczesnych i przemijającą robotę ludzkiego rodu; drugi raz przedstawiłem ci dzieje człowiecze i jego sprawy, jako przeświecane płomieniem nieskończoności. Zaiste nieskończoność jest dnem wszystkich wydarzeń. Teraz jednak zjawia się inne pytanie; chciéj ze mną zważyć, czyli wydarzenia w historyi, tak jak nam je historya wystawić może, są zwierciadłem same przez się téj nieskończoności? Bóg w nieograniczonéj łasce swéj natchnął człowieka rozumem, rozumną téż drogą prowadzi ród cały za rękę przez stulecia i lat tysiące do udoskonalenia najwyższego. Choć jednak krew biegnie w żyłach, choć życiodawczą potęgą tętni w ciele człowieka, przecież nie jest widzialną dla zmysłów, ale drganiem serca, iskrą w oku i rumieńca kwiatem na widok występuje. Tak podobnie duch, żyjący w historyi, nie występuje na jaw w zupełności swéj, lecz w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią, co bije w pulsach narodów, a wieki całe, a stulecia, są oddechami wiekuistéj myśli, przebywającéj w dziejach ludzkich. By ujrzéć potęgę, poruszającą narody i wielkich ludzi historycznych, trzeba zajrzéć za kulisy teatru świata, i tam widzieć, jak owa myśl wiekuista, kierująca tym dramatem, wysyła kiedy pora,

jakby aktorów, wielkie figury historyczne na scenę czasów. Za jéj skinieniem występuje to Aleksander, to Cezar, to Kolumb, lub Arystoteles, znów Cyrus, to Dżingishan, to Filip II, lub Piotr Pustelnik, Grzegorz VII, lub Napoleon; każdy z kolei się zjawia, by odegrał rolę swoją z dramatu, którą wiekuisty autor ułożył, i, wedle uiszczenia się z gry swojéj, zyskiwał oklaski lub wyświsty potomności. Boć iście nie ślepego trafu lub fatalizmu jest historya, ale Opatrzności dziełem; a ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem; i gdy mądrość Jego uzna potrzebę, roztwiera ciepłą dłoń swoją i z niéj wypuszcza, niby pisklęta, uskrzydlone młode stulecia, i gwiazd gromady i wielkich ludzi. Ależ my tego w saméj historyi nie widzimy jeszcze, bo myśl Boża, co żyje i działa na dnie wydarzeń, nie występuje w swéj całości w wypadkach historycznych, rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze. Każdy naród a każdy wiek zradza nową jedną myśl, wprowadza ją w świat i z kolei ustępuje z widowni; a ustąpić musi, bo nie będąc całością, lecz jedynie ułomkiem i cząstką, jest również skończonym jak gwiazda, jak zjawisko mechaniczne, jak jestestwo organiczne, jak czyn moralny, jak ustawa prawna i t. d. i dla tego przeminąć musi. Historya taka, jak nam się ukazuje, podaje nam dzieje, rozerwane na tysiące szczegółów osobnych, na milionowe wypadki, ale nam nie wskazuje téj jednéj ogólnéj myśli, żyjącéj i pracującéj we wnętrzu tych dziejów. Jest i tutaj nieskończoność zaiste, ale zakryta; historya jest jedynie jéj widzialną łupiną ułomkową. Widzisz tedy, iż jak w naturze, tak i w moralności, prawie, historyi i we wszystkich czynnościach podobnych, duch nieskończony ujrzéć nie może własnego wizerunku a zwierciadło, które mu się tu przedstawia, jest stłuczone na sztuk tysiące, z których każda wskazuje jedną część oblicza wiekuistego, które w posagu od Boga na dziedzictwo odebrał. Aby w téj całéj świata wszechnicy nieskończoność obaczyć, trzeba nam innego szczebla ducha, innéj jego umiejętności, jak to obaczymy w liście następującym.

Duch człowieczy, ciśniony tym niedostatkiem, party by to szczupłe koło istoty swéj rozszerzył, by nieskończoność obaczył i znalazł siebie samego w rzeczywistości, przerzuca się w inną wyższą sferę własnéj swéj istoty, nabywa jaśniéj wiedzy o téj nieskończoności, a nie mogąc jéj znaléźć w rzeczywistości, zaczyna od tego, iż sam sobie *jéj obraz tworzy*. Tworzy go, używając do tego właśnie téj osnowy, która mu jest najbliższą, najłatwiejszą dla niego; jestto ten świat dostępny dla oczu i słuchu jego, ten świat zmysłowy, i staje się mistrzem, tworzy dzieła sztuki. I to jest sztuk pięknych zarod tajemny i powód ich najwyższy. Świat materyalny, natura, pożycza mu swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wléwa w nich duszę swoją, przyciska gorejącém objęciem do

serca, wléwa w nich nieskończone życie swoje, swego ducha, a tak staje się twórcą, *mistrzem*. Co żyło na bezdnach ducha, o czém jakby przez sen marzył, teraz dla niego zjawia się widome. On siebie w dziele swém widzi, a trud cały, jaki ponosił, pasując się z sobą, wlał w piękności dzieła, niby w naczynie boleści swéj. Niedziw tedy, iż zjawienie się dzieła sztuki jest pieśnią, wtórującą nieskończoności człowieka; bo gdy on stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątnicą, albo gdy mu zabrzmią w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezyą odziany, już rozumié, że go głos z dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś, niegdyś, czyli we śnie, czyli nad kolebką swoją, czylito może anioł-stróż jego, co mu niewidomie przez życie towarzyszył. Widzi obraz malowany, w kamieniu, w postaci, słyszy potok muzyki; ale cóż mu z kamienia tego, z tych obrazów, z tych muzyki tonów; tęskni i płacze, cóś go porywa i na niego woła. Zda się, iż jakby w długiéj niebytności w kraju rodzinnym, nagle gdzieś niespodzianie w cudzoziemskiéj stronie zabrzmiał mu mowy ojczystéj dźwięk, niby dawna własna pieśń jego. Tysiące głosów dotychczas drzemiących budzi się w piersiach, i gromadami, jakby orły Boże, zrywają się i giną w ostatnich błękitnych nieba przepaściach.

A teraz jak myślę zrozumiész, dla czego w listach poprzednich dowodziłem, iż ani zmysły, ani samo zachwycenie, ani uczucia, ani myśl, ani serce, ani rozum, same z osobna wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą. Bo jeżeli iście sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekuistość tu jest odzianą w cielesności szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską człowieka, jak dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekuisty, nie dziw tedy, iż godzą téż wszystkie inne sprzeczności istoty naszéj, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa, i całą istotę człowieczą budzą pełnym akkordem. Zmysły i rozum, uczucia i myśl, duch i serce, ciało i dusza, wszystkie te potęgi zarazem są tknięte piękności dziełem, żadna tedy z osobna, ale wszystkie razem jakby w chór grzmiącym psalmem witają Wiekuistość, która na ziemię zstąpiła. Tak piękność godzi wszystkie sprzeczności duszy naszéj i pokojem niebiańskim ucisza wieczny w piersiach naszych bój. Przecież pokój ten nie jest głuchém przytłumieniem tych potęg, ale podniesieniem ich wyższém i uduchownieniem, on je uszlachetnia, wyléwa na nie powódź światłości niebiańskiéj, uwalnia od ziemskiéj ciężkości, dodając cherubinowych skrzydeł. Gdy piękność się zjawi, wszystkie radości i boleści, tęsknoty i nadzieje, odwagi potęga, lęki i miłość, żale i wesele, i co jeno w duszy naszéj jest, rozgoreje ogniem nadziemskim i łączy się wspólnym płomieniem. Niebo i ziemia obejmują się uściśnieniem miłości. Gdy piękność się zjawi, cały ocean jestestwa naszego rozkołysze się do dna swego piorunną falą, i znów się jednoczy, znów

zléwa się z sobą niby w zwierciadło, w którém niebo i Bóstwo się przegląda. Wpatruj się w obraz Sykstyńskiéj Madonny; tutaj zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, wiara i miłość, mrozy i ciepło duszy naszéj, słowem, cała nasza treść, roztopiona jakby pieśnią niebiańską, wciela się w tę postać nadziemską Boga-Rodzicy. Podobnie, słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak nieba podwoje na rozcież są otwarte, i widzisz, jakby po szczeblach Jakóba na obłokach spartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistéj ojczyzny pokazując. I zaiste, połączenie w jedną harmonię rozpromienionych tonów duszy, pogodzenie rozdwojenia w piersiach naszych, jest najwyższym sztuki wieńcem.

Myślę tedy, że już zgodzisz się na to ze mną, że wiekuistość ducha a świat doczesny, że niebo i ziemia nawzajem są zaślubione sobie w piękności dziele; słowem, że nieskończoność i skończoność są dwoma pierwiastkami, przebywającemi w dziele sztuki, że powiązanie ich w jedność jest wszelkiéj piękności warunkiem.

Zważ jednak, że piękność świeci się tak przeróżnym rodzajem; ona zawsze będzie jedną i tą samą, ale występuje w coraz to innéj postaci. W saméj naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną gdy morskie zwierciadła, ciche i milczące, przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą rozkołysane fale, wzdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonéj przestrzeni, i znów dźwigają się w zuchwałém rozjątrzeniu, i znów strącają się w rozwarte topiele. Inna piękność, gdy dech uroczystego wieczora roznosi ciche szepty kwiatów, a w mroku świętym natura obchodzi zrękowiny ze sercem człowieka; inna piękność orła, co, oparłszy skrzydła na słonecznych promieniach, mierzy okiem rozłożone pod nim w głębi kraje; inna znowu piękność tajemniczego państwa, co w głębiach podziemnych zbudowało czarnoksięzkie pałace swoje, przystrajając je w sople świeciste, w zwoje i gałęzie błyszczących kryształów, wysadzając je bogato w szmaragdy i rubiny; inną pięknością przemawia pierwiosnek, co wykwita na grobowéj mogile, co tak rzewny, milczący, tęskny i zadumany, iżbyś rzekł, że go posiała łza, co tu padła milcząca, rzewna, i teraz na pierwiosnku błyszczy rosy kropelką jakby oczko niebiańskie, a motyl różnobarwny, strojniś zalotny, oblatuje kwiatek płaczący. Tak jest, i natura roztacza się całym światem piękności przeróżnych; kędy spojrzysz, kędy zwrócisz duszy twojéj słuch, już ta przyroda zaśpiewa ci to hymny wzniosłe, to tęsknéj słodyczy elegie, to zanuci piosenkę radosną, weselną. A cóż dopiéro się dzieje w państwie sztuki, kędy już piękność ma właściwą ojcowiznę swoją! kędy ona żyje w całéj swobodzie a wolności swojéj! Bo sztuka piękna jest zaślubieniem skończoności doczesnéj z nieskończonością wiekuistą ducha. Ale gdy duch czło-

wieka jest duchem stworzonym, gdy on sam jest ochuchany tchem ziemskiego żywota, więc on sam wypowiada treść swoją w różnych akkordach, w różnych postaciach. Cóż dziwnego że sztuka to przemawia do nas *wzniosłością*, to znów zradza piękność *naiwną*, *prostoty pełną*, to ubiera się w przepychy fantazyi, to staje przed tobą w *uroczystéj* postaci, to jest pięknością *szlachetną*, to znów strachem przejmuje, gdy rozwija losy *tragiczne* figur swoich; a tak sztuka coraz inną a inną formą piękności zadziwia, pociesza, zachwyca widza i słuchacza swojego. Trudnoby mi było wyliczać wszystkie te formy piękności, więc téż tém mniéj będziesz wymagał, bym ci się wdawał w różne ich definicye. Zdaje mi się téż, że jak to zwykle definiowanie wyobrażeń jest wielce nudne, tak téż najczęściéj nie dotrzyma placu, gdy mu się bliżéj przypatrzysz; takie definicye, choćby położone rzędem po sobie, będą niby ułamkami luźnemi nie powiązanemi z sobą, a zatém téż żadna z nich nie będzie miała udowodnienia swojego w drugiéj, bo nie będzie się rodziła z poprzedzającéj. Niéma się tedy czego gniewać na czytelnika, gdy nie dowierza tym definicyom, gdy tu i ówdzie je doprawia, uzupełnia i prostuje.

Widzisz przeto, że chcąc te różne postaci piękności bliżéj i trafniéj oznaczyć, trzebaby je rozwinąć genetycznie, wypadłoby jéj zrodzenia wskazać w zarodzie, należałoby tedy wysnuć je z owych dwóch pierwiastków, będących żywiołami piękności wszelkiéj; takowy wywód okazałby, że, wedle różnego wzajemnego zachowania się tych dwóch pierwiastków, różne téż będą pojawy piękności. Przecież, gdy te listy moje bynajmniéj nie mają na celu rozwicia systematycznego estetyki, gdy moim, jak wiész, zamiarem jest, aby jedynie pobieżnie potrącić myśl twoją, zatém wystarczy, gdy, wspomniawszy już o tych różnych postaciach, jeszcze naprzykład rozwinę choć z lekka i z wierzchu niektóre z tych szczegółowych form piękności, nadając im znaczenie mniéj więcéj przyjęte dziś już przez estetyków. Prawda, że lubo sposób, którym ci podaję, nie będzie ani ścisłym ani wyczerpującym rzecz, wystarczy atoli, jak się zdaje, do okazania, że te wszystkie kształty piękności możnaby wysnuć rzeczywiście ładem systematycznym.

Jakoż baczmy np. co rozumiemy przez wyraz „wzniosłość“. Sama nazwa okazuje, że tutaj zachodzą dwa czynniki: jeden, który się wznosi nad czémś, a drugi właśnie ten, nad którym tamten pierwszy się wznosi; jestto przeto porównanie, które tutaj się objawia. Uważ teraz, że te dwa czynniki wyrażają właśnie owe dwa pierwiastki, które są dwoma warunkami wszelkiéj piękności, ale one są tutaj rozdzielone od siebie dualizmem. Bo ów pierwszy czynnik, który się wznosi nad drugi, wyobraża tutaj nieskończoność, wiekuistość; a czynnik drugi, nad który się wznosi ta nieskończoność, ta wiekuistość, jest właśnie wyobraźnikiem doczesności tutecznéj. Ten czynnik drugi istnieje tutaj li dla tego, aby wyświecił moc, potęgę, nie-

skończoność; on się w obec niéj kurczy, on ją mierzy ale zmierzyć jéj nie zdoła.

Chciéj atoli miéć na oku wielce ważną okoliczność. Oba te czynniki występują w estetyce jako zamknięte w dziele piękności, które samo przez się i w całości jest wiekuistości i nieskończoności wyrazem; wynika ztąd, że i ten drugi czynnik, który w dziele sztuki wyobraża skończoność, sam nie może być czémś codziennem, drobném, a choć sam nie jest jeszcze nieskończonością prawdziwą, rzetelną, winien być jakby owiany tą nieskończonością, bo tak jedynie zdoła wyświecić nieskończoność wiekuistą, która obok niego staje w postaci olbrzymiéj, niezmierzonéj. Z drugiéj strony baczyć nam należy, że i ten pierwszy czynnik, który wyobraża nieskończoność, właśnie dla tego, że się pojawia w dziele sztuki, a zatém w postaci uzmysłowionéj, będzie miał przecież granice swoje; lecz sztuka, że tak powiem, na tém zależéć będzie, aby to ograniczenie jego zasłonić, aby tych kończyn a granic nie było widać. Może jednak całe to przedstawienie moje niedość jasne, więc unaocznimy sobie rzecz na przykładzie. Gdy w człowieku wzniosą się burzą namiętności, a serce jego wzdęte będzie falą uczuć olbrzymich — otóż, jeżeli wśród téj burzy i boleści wewnętrznych, człowiek zdoła zaklnąć własne serce swoje, co pęka z boleści, jeżeli zdoła przytłumić namiętności, i wykonać wbrew uczuciom swoim powinności, które mu idea wiekuista nakazuje — wtedy taki człowiek będzie wzniosłości wyrazem. Ta idea, przemagająca w duchu jego, będzie owym czynnikiem pierwszym wyobrażającym nieskończoność, wznoszącym się nad namiętności i uczucia, które przeto tutaj mają znaczenie owego drugiego czynnika. Uważ zatém, że te uczucia i namiętności winny być ogromne, bo tym sposobem jedynie moc duchowa, zdołająca je pokonać, wyświeca się w całéj potędze majestatu pełnéj. Atoli z drugiéj strony taż sama moc, działająca w imieniu nieskończoności w sercu człowieka, ta idea wznosząca się nad głosy serca, nad uczucia, sama jest tylko jedną z wielu idei, z wielu prawd szczegółowych rządzących światem. Człowiek, choćby najzacniejszego, ogromnego oddechu, nie zdoła działać w imieniu najwyższéj prawdy, która jest prawdą wszystkich prawd, która je wszystkie sobą obejmuje; człowiek śmiertelny, jako duch stworzony, staje się wyobraźnikiem tylko jednéj szczegółowéj idei i tę przeprowadza w życiu i w świecie; ta prawda, którą on wyznaje, z osobna wzięta, nie jest jeszcze prawdą bezwzględną, i ona w sztuce saméj, która żąda z istoty swéj uzmysłowienia, uosobienia téj prawdy w człowieku, sama występuje jako ograniczona; przecież, gdy ma być nieskończoności wyrazem, dla tego to jéj ograniczenie jest osłonione, zakryte.

Jak atoli w tym naszym powyższym przykładzie mieliśmy głównie na oku wzniosłość, objawiającą się w postępowaniu człowieka, tak podobnie przypisać możemy przedmiotom bezdusznym wzniosłość, a to wtedy gdy one w duszy naszéj odpowiednie budzą uczucia. Tak

widok morza jest wzniosły; fale dźwigają się i przepadają z kolei na przestrzeni morza, a przestrzeń morza rozkłada się w nieskończoność, bo jéj granice zakryte więc osłonione, a fale mierzą tę nieskończoność oceanów; ale, choć ogromne i olbrzymie, przecież jéj zmierzyć nie zdołają; one nieprzemożonym, niedowidzianym rozłogiem topieli oceanów. Albo spojrzyj na wiekuistą przestrzeń niebiańską; toczą się i słońca i planety i księżyce, a pochodem odwiecznym kołują, wirują, ruszają się systematy słoneczne, i srebrzą się mleczne drogi; ale ani planety, ani księżyce, ani systematy słoneczne, ani mleczne drogi, nie zdołają zmierzyć Bożego państwa, bo za niemi znów nowe zjawiają się systematy, nowe słońca, nowe mleczne drogi, i tak w nieskończoność.

Powiadasz, że ten tum obejmuje cię wzniosłością i że w nim powiewa nieskończoność tchem swoim? Gdy mu się bliżéj przypatrzysz, postrzeżesz tłumy nabożnych i ołtarze, i piętrzące się w nim kolumny, łuki, gzymse, co, choć wielkie i potężne, giną w obec ogromu olbrzymiego całości budowania i wysokości sklepień. Ozdoby, dziergania wieży, choć same w sobie potężnych wymiarów, maleją i nikną w obec wysokości zawrotnéj, podobłocznéj, któréj sięga szczytem swojego krzyża.

Wystarczy może tych przykładów wzniosłości, zwracam tylko uwagę, że ona zdolna zamienić się na pokrewne sobie formy estetyczne. Tak np. jeżeli człowiek całą duszą, całém sercem objął jednę z idei, jednę ze szczegółowych prawd, i takową, z całém poświęceniem siebie, za nic sobie ważąc wszystko inne, chce przeprowadzić w życiu, a tak walczy z losem, walczy z ideą nieskończoną, mierzy się z prawdą wszelkich prawd i ginie pod brzemieniem jéj wiekuistéj potęgi; w takim razie ten człowiek stanie się figurą tragiczną, a los jego i upadek będzie tragicznością, która jest znowu nową formą piękności. Przecież o téj formie, jak i o konieczności, mówić będziemy często jeszcze na innych miejscach.

Zgodzisz się może również, że gdy ta nieskończoność, ta idea przeważna i wzniosła, ubiera się, jakby w szaty, w wielkie zjawiska natury, wtedy rodzi się to, co zwykle estetycznym przepychem zowiemy; taki przepych spotykamy często bardzo w świętych pieśniach hebrajskich, przedstawiających Boga „którego potęga zbliża się na skrzydłach wichrowych“, który wodzi wóz niebiański z gwiazdami jego „a skinął na świtania i okazał kędy wschodzić mają zorza?“ W tych obrazach pieśni świętych widzimy przepych, ale pełen najwyższéj wzniosłości; bo ogrom stworzenia ma w nich to jedynie znaczenie, aby okazać nieskończone wywyższenie Boże nad wszelkie wielkości natury; gwiazdy i świtania, skon i życie są tu jedynie haftem na rąbku szaty Bożéj. Tutaj obok przepychu najwyższego, znajdziesz najwyraźniéj wszystkie te cechy, którem powyżéj oznaczył jako znamiona wzniosłości. Bo z jednéj strony rzeczy stworzone, doczesne, przybrały ogromne, nieskończone rozmiary, a z dru-

giéj strony, wznosząca się nad te rozmiary nieskończoność przybiera formy zmysłowe, fizyczne, bo uzmysłowionéj idei Bożéj, odzianéj nawet „w szaty, kładącéj stopy na gwiazdach, wodzącéj wóz oriona, skinieniem rozkazującéj świtaniu“.

Jeżeli do potęgi ogromnéj, nieskończonéj, łączy się spokój wewnętrzny, beznamiętny, wtedy występuje na jaw Majestat. Jeżeli zaś ta potęga spokojna w sobie uznaje wyższą nieskończoną nad sobą potęgę, wtedy staje się uroczystą. Gdy bohater zsiwiały, czując zbliżenie się śmierci, modląc się oddaje cześć Panu na wysokościach, wtedy zradza się uroczystość. Jeżeli ów pierwiastek nieskończoności, objawi się w sztuce wyrzeczeniem prawdy głębokiéj, bez wiedzy własnéj, wtedy zradza się piękność prostoty pełna — jeżeli zaś odwrotnie, człowiek postępuje wedle téj prawdy z całą pełną wiedzą, że wykonywa zakon wiekuisty, jeżeli przytém wypełnienie téj idei nie jest dla niego trudem, z którymby mu walczyć przychodziło, ale jest właśnie dogodzeniem zacnéj istocie ducha i harmonią z własną naturą swoją, wtedy pojawia się piękność szlachetności pełna.

Tak widzisz, iżbyśmy mogli prawie z jednego i tego samego stanowiska określić bliżéj znaczenie i innych tym podobnych pojęć estetycznych, — dla naszego dość, żeśmy je choć z lekka wspomnieli. Przecież już widać, iż w jakimkolwiekbądź kształcie wystąpi z za obłocznéj opony piękność, zawsze ona będzie córą niebiańskiéj ojczyzny, czyli zaświeci jako bogini piękności z koroną różaną na skroniach, czyli jako Niobe, co skamieniała w posąg cudny macierzyńską boleścią, czyli jako Jowisz Phidiasa, co skinieniem wstrząsa nieba i ziemi posadami, czyli w postaci Herkulesa, idącego przez świat walcząc i łamiąc się z trudem, by wybawił świat, by uwolnił Prometeusza, co uniósł z nieba płomień światłodawczy; zawsze i zawsze piękność sztuki przebudzi śpiący Olimp w sercu człowieka. Miéj serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, ona wstąpi radośniéj do piersi twoich i będzie ci uroczysto, świąteczno w duszy i wśród niebiańskiego wesela, wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi we wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknieniu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie Boża ręka cię zachowała; odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swojego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar.

List Ósmy.

Sztuka. — Wiara. — Filozofia.

Stosunek sztuki do religii — do filozofii. — Zwyczajne zdanie o filozofii. — Uwłaczanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylne na filozofię. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą.

Dotychczas zatrzymywałem cię w przysionku sztuki pięknéj, rozprawiając dopiéro w ogólności nad jéj naturą; wnet zaiste roztworzy się nam wnętrze téj świątnicy, co, jakby stara wspaniałości pełna katedra, postawioną jest wedle pomysłu wiekuistego budownika, a dźwigniona pracą i sileniem się wszystkich wieków. Każdy naród, mający jakąś wartość swoją, przyczynił się do téj świętéj budowy pracą żywota swojego; dawał jakby testamentem co miał najdroższego ku jéj czci a ozdobie; o każdym też tutaj świadczy kamień grobowy, wspominając z poczciwością o imieniu i obliczu zmarłego. Ludy jedynie bez wagi, ślepego oka, nie liczące w grze dziejów świata, przeżyły czas swój bez śladu, przemknęły się milczkiem po ziemi; ich stopy, wyciśnięte jakby na lotnym piasku pustyni, zawiane są oddawna tchem czasów, pomarły one w barbarzyństwie, anioł piękności nie błogosławił im na ich samotnéj i ciemnéj pielgrzmce; świątnica sztuki milczy też o głuchém ich życiu. A one zaś wielkie mistrze: Michał Anioł i Dante, Praxyteles i Petrarka, Shakspeare i Hayden, lub Stwosz, Mozart i Sanzio, Horacyusz i Göthe, Cerwantes i Molière, goreją jakby jasne świece na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne stroją je w kwiaty swéj czci i uwielbienia, a przy ich płomieniu nie jeden już zapalił się geniusz, tysiące rozwidniało serc. Tutaj też po wszystkie czasy, narody przychodziły odświeżyć siły do uiszczenia się z powołania, jakie każdemu z nich Bóg przeznaczył, i wzmocnić się duchem i ufnością ku sobie. Sztuki piękne podnosiły zawsze człowieka i nadawały mu zacność. Zaiste — spojrzyj wstecz na dzieje ludzkie, a obaczysz, iż zawsze w epokach czarnych i smętnych, pełnych biédy i krwawéj roboty, gdy niebo szare, bezbarwne, zaćmiło się nad światem, a w historyi jakby serce zamarło; gdy człowiek rozpaczając upadał pod brzemieniem własnego żywota; wtedy, gdy wszystkie inne pociechy, nadzieje jego w koło zasnęły, gdy sam z sobą w głuchéj nocy pozostał,—Piękność w postaci jasności Anioła podawała mu kielich wzmocnienia. Ród człowieczy, patrząc na dzieło piękności, przypominał w niém sobie potęgę swoją nieumierającą nigdy, i niczém niezatartą zacność swéj natury; obojętniéj patrzéć mógł na pohańbienia swego szaty, a skronie jego uwieńczył obłok złocisty, z nieba spłyniony.

Sztuki piękne w historyi zawsze się znalazły w parze z religią; i niedziw, bo wiara jest pierwszą nieskończoności ksienią; dla tego wiara i sztuka w ciągłym są związku z sobą. Z téj przyczyny zechciéjmy zrozumieć stosunek sztuki do religii. Obie z nieskończoności człowieka płyną, obie nam nieskończoność przed duszę stawiają, ale każda w innéj formie, każda w swoim sposobie. Nieskończoność, rodząca się ze sztuki pięknéj, gaśnie obok onéj, która świeci w majestacie wiary. Bo gdy w sztuce nieskończoność istoty naszéj wyjawia się we formie zmysłowéj, a zatém we formie zewnętrznéj, odwrotnie — religia porzuca fizyczność i cały świat zewnętrzny, a zwraca się do wewnętrznych głębin człowieka, uderza w bezcielesną jego istotę i w najskrytszych duszy tajnikach zapala nieskończoności ogień. Ale ona nie tylko o własnéj nieskończoności człowieka przemawia, lecz za oponą najświętszéj świątnicy okazuje inną nieskończoność, która nie tylko nie ma końca, ale która i początku nie zaznała nigdy; bo ducha człowieczego stawia przed Panem, „który oblókł się w możność, utwierdził okrąg świata, by się nie poruszył, odział się chmurą i ciemnością, którego stolicy gruntem jest sprawiedliwość i sąd, którego błyskawice oświecają światów przestrzenie, a na ich widok ziemia drga w sobie, albowiem przed oczyma Pana tysiąc lat są jako dzień wczorajszy, który przeminął, i jako straż nocna, a porywa je Pan powodzią jako sen i jako trawę, która z poranku rośnie“. (Psalm.)

Lubo i zaród sztuki w duchu się znajduje, i lubo pierwéj, nim dzieło piękności w świecie zewnętrznym stanie, winno się zrodzić w wewnętrznym człowieku pracą ducha jego, przecież ta praca ma za cel dzieło fizyczne. Posąg wprzód był w duszy rzeźbiarza, nim on myśl swoję wcielił w marmur — przecież ten marmur, to zrodzenie się duchowe miało za cel posąg, który w świecie zewnętrznym widzialny jest dla zmysłów naszych. Aby sztuka piękna była zupełną, powinna wystąpić z duszy mistrza i okazać się na jawie w dziele jego, bo inaczéj nie miałaby rzeczywistości. Odwrotnie, rzeczywistość wiary, jéj prawda stoi na duchowości wewnętrznéj człowieka; ona mierzy w ducha jego i tu ma ostatni cel swój. W sztuce świat wewnętrzny jest środkiem, wyjawienie się zaś zewnętrzne jéj celem i przeznaczeniem. Nawzajem w religii, świat zewnętrzny widzialny jest jedynie widomym znakiem nadziemskiéj łaski dla naszego poświęcenia wewnętrznego; jéj przeznaczeniem jest duch człowieka, „bo duch ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwalą, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie“. (S. Jan, IV. 24.)

Te są główne podwaliny stosunku religii do sztuki, a posłużą one nam na przyszłość za podstawę do rozróżnienia sztuki klassycznéj, to jest greckiéj, od sztuki chrześciańskiéj. Tutaj tyle jedynie powiem, iż skoro, jak mówiłem, w sztuce duch objawia nieskończoność swoją, wcielając się w zewnętrzne zmysłowe formy, a w religii zaś duch z zewnętrznego świata cofa się w siebie i w sobie obchodzi na-

bożeństwo i uroczystość nieskończonéj swéj istoty; więc téż świat zewnętrzny, zmysłowy sztuki nie potrafi wydać całkowicie onéj świętości, spływającéj z religii w serce człowieka; prawdy wiary nie zdołają się pomieścić w szczupłe obręby, jakich im sztuka dostarczyć może, bo pojęcie chrześciańskie Boga jest zupełnie duchowe; formy tedy sztuki, jako zmysłowe i zewnętrzne, nie zdołają sobą zamknąć pojęcia Bóstwa, niemającego końca ani początku. Dla tego przyznasz, iż obrazy religijne nie wszystkie podają jednę trudność do zwalczenia; im więcéj w nich pierwiastek Boży przeważa, tém i zadanie trudniejsze. Bóg Ojciec przedwieczny jest przedmiotem dościgłym ledwie przez najwyższy geniusz artystyczny, bo jest Bogiem wiekuistym, nadziemskim; tymczasem Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Bóg, co przybrał na się postać ludzką, zmysłową, zbliża się do świata materyalnego i do świata sztuki; a gdy znów dwojaka jest w nim natura, bo Boska i człowiecza, więc téż te chwile jego żywota, w których w nim natura ludzka przeważa, są łatwiejsze do uchwycenia dla artysty, aniżeli chwile, gdy Chrystus Pan jako Bóg występuje. Tak łatwiejszym jest obraz, wystawiający Chrystusa w latach jego dziecięcych, lub w chwilach jego męki, upadającego pod krzyżem, albo w rękach naigrawającego się żołnierstwa, niż w chwili zmartwychwstania, lub sądu ostatecznego, bo tu Jego Boża Natura zjawia się w całym swym majestacie. Jeżeli jeden tylko *Hayden* harmonią tonów odmalował *Stworzenie*, *Stabat Mater* znalazło dotychczas już trzech wielkich mistrzów.

Gdy zaś obrazy, rzeźby święte, są jedynie słabém i cichem echem téj żywéj wszechmocnéj potęgi, jaką religia nas przejmuje, jeżeli ich zewnętrzne formy sprostać nie zdołają prawdzie, która nam jakby rosa niebiańska z góry przyszła, więc téż dla pobożności religijnéj wyższa lub mniejsza piękność estetyczna obrazu czy rzeźby mniéj ma wagi, bo już tutaj rzecz nie tak na tém stoi, czém dzieło jest, jak raczéj na tém, co ono wystawia. Nieraz, wracając z przechadzki wieczornéj, zatrzymywałeś się przed samym wstępem do miasta, patrząc jakby po przez ramy przez ostrołuką bramę głównéj baszty Floryańskiéj na widok pełny poezyi i godny pędzla wielkiego artysty. Ulica Floryańska strzałą bieży długim szeregiem swych domów, i ginie w szarém oddaleniu wieczora; w jéj końcu dźwiga się w olbrzyma kościół Panny Maryi, niby widmo starych wieków, co dumając nad miastem rysuje okazałe kontury na zamroczoném niebie, a na koronie jéj wieży pali się jeszcze iskrami ostatnie spojrzenie konającego słońca, które już dla miasta zapadło. Ale gdy cienie nadchodzącéj nocy rozwlokły się już po ziemi, a księżyc z tą wiecznie niezmienną, obojętną twarzą patrzy na świat, zaléwając niebo i ziemię mlécznym blaskiem, co dziwnie się mięsza z żółtém światłem skromnych lampek i świéczek, które lud teraz zapala w ostréj bramie Ś-go Floryana przed wizerunkiem Matki Przenajświętszéj; lud się modli do Boga-Rodzicy, a co w duszy zakipi, brzmi w pieśni

pełnéj rzewności i szczeréj prostoty, a piersi napełnia serca mądrością. A zaiste, mniéj temu ludowi zależy na wyższéj lub mniejszéj piękności onego zewnętrznego wizerunku Najświętszéj Panny, obojętna mu też i piękność poetyczna pieśni jego, i wartość muzykalna melodyi, i głosów harmonia, bo on w prostocie pełnéj pobożności wizerunek Najświętszéj Panny widzi w tajnicach duszy swojéj, widzi go wewnątrz siebie, a serce śpiéwa mu psalmy i rozpływa nadziemską muzyką; bo nad tém cichém pobożném zgromadzeniem Duch pocieszyciel rozpiął skrzydła swoje. Tak więc w duchu, świętością religii przejętym, zawsze uczucia zastępują dzieła sztuki; serce samo buduje się w przepych świątnicy, stroi się tęsknotą jakby rzeźbą i malowaniem, i płacze tonami muzyki, która z nieba mu płynie. Jeżeli nieskończoność objawia się w sztuce postaciami zewnętrznemi, a w religii nabożeństwem ducha, więc też nieskończoność we wierze objawiona o tyle jest wyższa, świętsza, od nieskończoności wyrażonéj w dziełach sztuki, o ile świat wewnętrzny wzniesiony jest nad zewnętrzny, materyalny. Na wstępie do Włoch, w Bononii, wita cię obraz Rafaela; widzisz Świętą Cecylię w rękach trzymającą organy, które smutnie już się rozstępują, u stóp jéj na ziemi porzucone narzędzia muzyczne w części złamane, ich harmonie ziemskie już oniemiały, umarły, bo na obłokach widać wieniec anielskich chórów, co śpiewają chwałę Panu na wysokości; Święta dziewica obliczem ku niebu zwrócona tonie w oceanie tych niebiańskich hymnów, zapominając o muzyce doczesnego świata. To jest stosunek sztuki do wiary!

Jest atoli jeszcze jedna, trzecia i ostatnia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, droga będąca twardym dorobkiem długiéj pracy wieków i trudem rozumu jego; jestto droga mądrości ludzkiéj — *filozofia*.

Nie radbym tu wcale występować w szranki, broniąc niepotrzebnie rozumu powagi, bo już teraz świat cały w rozum uwierzył i poznał potęgę jego, a każdy z nas jeszcze dzieckiem będąc uczył się na pamięć zacnego Kopczyńskiego, i odpowiadał głosem rozlegającym się po klassie: *„Różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową: przez rozum poznajemy rzeczy i o nich rozmyślamy, przez mowę wyjawiamy drugim myśli nasze“*; — gdy zaś mimo tego po książkach i pismach czasowych pełno jest jakichś zdań podających wartość rozumu pod wątpliwość jeszcze, więc też nie weźmiesz mi za złe, iż choć kilku wyrazami dotknę się całéj téj rzeczy.

Nikt nie zaprzeczy, iż najwyższym, najświętszym darem nieba jest rozum; bo rozumem człowiek wywyższony został nad wszystkie jestestwa stworzone. Jedynie przez rozum i myślenie człowiek zdolny jest do przyjęcia świętych prawd wiary, bo ani zacność, ani moralność, ani cnota nie miałaby miejsca, gdyby człowiek nie był istotą myślącą; aniby on znał, ani dopełniał powinności swoich, gdyby nie był obdarzony rozumem. Jeżeli tedy ktoś uwłacza rozumowi, toć

zaiste w tém zachodzić musi nieporozumienie jakoweś, któremu bezwątpienia nie tak filozofia, jak panowie wrzkomi filozofowie dali w części początek, zwłaszcza filozofowie wieku zeszłego. Pokazała się wtedy ta niby-filozofia w tak obrzydliwym i cynicznym kształcie, i tak wierutna, wszeteczna, iż tchem swym zatruwała i duszę i zdrowie wieku całego. Nie dziw tedy, iż każdy człek poczciwy i prawy stronił od téj wrzkoméj mądrości, nadzianéj dowcipami Mefistofelesa, zawracającemi snadno wszystkie słabe głowy i wciskającemi się w nadgniłe serca. Może jednak i czas dzisiejszy nie jest zupełnie bez winy. Bo gdy np. u sąsiadów naszych filozofowie hałaśny prowadzą bój o systemata swoje, ich czeladź cechowa zakasawszy rękawy, pod katedrami swych nauczycieli staje do boksów, obrzucając się na dobitkę błotem uliczném, i znieważając grób zmarłego przeciwnika. W pismach nienaukowych, w pismach politycznych nawet, roztrząsają, pytania tyczące się najwyższych prawd człowieka, bo wieczności, Boga. Patrząc się na tę prostytucyę rzeczy drogich i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika, jak gdyby po długiéj niebytności w mieście rodzinném obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojéj, sponiewierane na tandecie żydowskiéj. Z postępowaniem tém łączy się osobliwa pycha i pomiatanie prawdami od wieków uświęconemi, a zbudowanemi iście na opoce przedwiecznéj. Ale pycha ludzka tu wcale nie na swojém miejscu, bo choć filozofia mocą rozumu dobija się prawdy, niechaj atoli jéj zwolennicy raczą miéć na pamięci, że przecie ten rozum tak jest promieniem z góry pochodzącym i tak wypłynął z łaski przedwiecznéj, jak i prawdy religią objawione, i że wypadek ostateczny rozumu, właśnie dla tego spólnego pochodzenia jego z wiarą, nie może być od niéj różny. Niechaj zechcą ci panowie zważyć, iż łatwiéj téż już było w świecie chrześciańskim dojść drogą rozumowania najwyższych prawd, skoro duch ludzki już był pierwéj zkądinąd oświecony; bo nim filozofia trafiła do rezultatów swoich, już one dawno w sercu każdego żyły, we formie uczuć wiary i religii; tak jak ludzie dawno patrzyli swojemi oczyma, nim nauką doszli teoryi optycznéj wiedzenia, i wprzód umieli chodzić i stać, nim pojęli mechanikę ciała swojego. Rozumiem tedy, iż nadużycie i zła wiara filozofujących przyczyniła się do krzywego i niesłusznego mniemania o saméj filozofii. Przewinienie zaś jednéj strony nie nadaje bynajmniéj prawa drugiéj, by i ona dopuściła się niesprawiedliwości, bo targnienie się jéj na powagę rozumu jest także bluźnierstwem i bezbożnością, tylko bluźnierstwem i bezbożnością innego rodzaju.

Najszlachetniejszy popęd człowieka, chęć wiadomości, nauczanie się, pragnienie rozszerzania granic ducha swojego, ma źródło swoje w rozumie. Co w rzeczach ludzkich jest, a czego przecie nie rozumiemy, o tém wiemy — ale rozumiéć, jest to umiéć, miéć u siebie. Cośmy zrozumieli, toć jest naszą własnością duchową. Cała historya ludzka przez lat tysiące właśnie pracuje tylko nad tém, aby zro-

zumieć zjawiska natury, towarzystwa, zrozumieć własną istotę człowieka i t. d. Pragniemy zrozumieć mowę zjawisk, przetłómaczyć je sobie na język naszego rozumu. Wiemy bowiem, iż wszystko, co jest, powinno przystać do naszego rozumu, nadać się do niego. A choć nie tylko w świecie umysłowym, ale w naturze jest wiele rzeczy, których my sobie wytłómaczyć nie możemy, toć wiemy, iż tych rzeczy nie dla tego nie rozumiemy, jakoby były przeciwne rozumowi, ale dla tego, iż nie mamy wiele jeszcze faktów, to jest wiele ogniw potrzebnych do rozumowania, które, gdyby nam były wiadome, bez wątpienia posłużyłyby nam do pojmowania tego, co było zagadką. Słowem, szukamy wszędzie i we wszystkiém prawideł rozumu, bo w nas jest wrodzony instynkt, iż wszystko się odbywa rozumnie, i że wszystko do naszego rozumu przystać powinno. Ten instynkt, od Boga wlany w ducha naszego, łatwo też pojęty być może; bo źródłem wszystkiego jest Bóg, Najwyższy Wiekuisty Rozum. On, stwarzając świat i wszystko co na nim jest, stworzył rozumnie, tak równie i nas stwarzając wlał w nas myśl rozumną. Otóż więc rozum, będący ustawą świata, i ten nasz rozum, który żyje w myśleniu naszém, o ile ten ostatni nie jest źle użyty, nie mogą być różne od siebie, bo mają to samo pochodzenie. Dla tego sarkanie na rozum jest istotnie, jakem powiedział, bluźnierstwem i bezbożnością. Rozum więc z nieskończoności człowieka pochodzi. A teraz wyjaśnia ci się już i w zupełności usprawiedliwia się zasada wyrzeczona w liście poprzedzającym, iż człowiek party jest instynktem, by nieskończoność, która w nim żyje, znalazł i zewnątrz siebie upatrzył, by wszędzie wizerunek własnéj nieskończoności obaczył, i że tedy co tylko jest prawdą w duchu naszym, winno się znaleźć i na zewnątrz ducha naszego. Ta tęsknota, ten instynkt, ta zgoda wewnętrzna prawd z ustawami a światem zewnętrznym wypływa z tego, iż wszechnica świata i duch człowieczy rządzi się prawami najwyższemi od Boga nadanemi. Człowiek dochodzi rozumu Boskiego wiekuistego, żyjącego na dnie każdéj rzeczy, obiera je z łupiny zmysłowéj lub ze skorupy, w którą je przyodziały nasze uczucia, bierze rzecz nie za to, za co się dają, czém się zdają, ale za to, czém one w istocie swojéj są. Widzi zatém ich wewnętrzne połączenie, ich związek, i spostrzega myśl Bożą, na którą, mówiąc językiem Indów, wszechrzeczy są nawleczone jak perły na nici; widzi połączenie rzeczy fizycznych i duchowych, a co uczuciom naszym i zmysłom zdaje się być rozosobnione, okazuje się teraz jako część jednéj ogromnéj całości; a umiejętność, mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach onego nieskończonego pierwiastku, jest — *filozofia*. Tak tedy i droga filozofii, droga myślenia, prowadzi człowieka do poznania nieskończoności.

A jeżeli, jakeśmy wyżéj powiedzieli *(List VII)*, ani świat fizyczny, ani moralny nie wystarczy, by był wizerunkiem nieskończonéj naszéj istoty, jeżeli wszystkie szczegółowe nauki i umysłowości, a nawet historya okazuje nam tylko części ogromnéj całości, którą

jest nieskończoność, tedy filozofia, łącząc te wszystkie części w jedność, okazuje nam wszechrzeczy wiekuiste powiązane z sobą, pokazuje nam jakby w odbiciu nieskończoną istotę własnego ducha naszego.

Jeżeli więc w sztuce duch człowieka wlewa się w dzieła piękności jakby w godne siebie naczynie, uduchownia je sobą i tworzy wizerunek swéj własnéj istoty nieskończonéj, tedy we filozofii duch dochodzi nieskończoności myśleniem. W religii zaś samą łaską Bożą, bez zasługi a pracy naszéj, nieskończoność zstępuje z nieba w świętéj objawienia postaci, i mieszka wiarą w nieskażoném sercu człowieka, jako w przybytku i arce swojéj; „bo Zbawiciel tchnął na wiernych swoich, i rzekł: weźmijcie Ducha Swiętego“. (Ś-ty Jan, XX, 22).

Gdy w sztukach pięknych nieskończoność okazuje się w postaci dzieła sztuki, to jest cielesnym sposobem, we filozofii ta nieskończoność objawia się w postaci i we formie nieskończonéj myśli Bożéj, ukrytéj na wszechrzeczy dnie; a do téj myśli Bożéj prowadzi nas praca ducha naszego, — myślenie. Tak do celu najwyższego wiedzie środek najzacniejszy, a oba z jednego źródła płyną.

Chciéj mi wybaczyć, że się tak o filozofii rozpisuję; oznaczywszy atoli stosunek sztuki do religii, radbym także wykazać stosunek sztuki do filozofii, a do tego przedewszystkiém potrzeba, byśmy się porozumieli jasno względem znaczenia prawdziwego téj umiejętności. Nadto filozofia stała się właśnie teraz przedmiotem powszechnéj uwagi w literaturze naszéj, i więcéj niż kiedykolwiek publiczność u nas zajmuje. Niektóre nawet damy nasze, łącząc muzy z gracyami, porzucają ciepłe kwieciste doliny rzeczywistego ich życia, i spinają się na szczyty szorstkie, samotne, zawrotne, zimnéj abstrakcyi. Prawda, iż kto tam stanie, bliżéj jest nieba, daléj ziemi, i widzi świat, naturę i wszystkie rzeczy ludzkie rozłożone jakby na otwartéj dłoni Bożéj! Jest czego podejmować się tych prac jałowych. Nasza publiczność czytająca iście spoważniała, obrzydziła sobie słodkie pianki literackie, i już nie na żarty się na życie patrzy, a nawet coraz to więcéj pozbywa się uprzedzeń spróchniałych o filozofii. Atoli tu i ówdzie pozostały nam z dawnych lat niektóre tradycyjne a często sprzeczne z sobą mniemania o filozofii, które jakby zwiędniały bukiet z prababki wesela na nas spadły. Bo tu znajdziesz jeszcze ludzi, którzy pod szatą białą Pytagoresa i w trzewiku Kanta widzą krogulcze pazurki, którym każda książka filozoficzna siarką trąci, i słysząc o filozofii już palcami sięgają do wody święconéj, bo wedle ich zdania, filozofia dla porządnego człowieka jest tém, czém dla wilka koń zatruty; jak się zdaje, to na swoją zgubę i koniec mizerny. Ówdzie znów jakieś Francuzy z Kleparza, których dusze spudrowane, chodzą jeszcze w jedwabnych w kwiatki frakach, i ciągle marzą o onéj filozofii Rokoko, więc z lamusu przeszłości, z pośród zapomnianych rupieci literackich wyciągają perukę Woltera i w najlepsze paradują sobie z nią po świecie. Są tacy znów,

u których zdania Śniadeckiego stereotypem stwardniały; oni całą filozofię uważają za niepotrzebny wymysł niemiecki, utkany w pajęczynę misterną z piany piwnéj i dymów fajczanych. Lubo ile mi wiadomo, ani Plato ani Arystoteles nie miał takich materyałów pod ręką; a mają przecież ich niby za filozofów. Ludzie, którzy się nigdy o filozofię nie troszczyli, wprost i bez ceremonii o niéj sądzą, dając o niéj wyroki stanowcze. Wedle ich zdania, nie potrzeba się wcale obeznać z umiejętnością tą, by z góry już wiedzieć, jak się rzeczy z nią mają i czego ona warta. Gdy mowa o matematyce, geologii, astronomii, prawnictwie, chemii, lub o jakiéjkolwiekbądź umiejętności lub nauce, żaden się z tych panów nie odezwie, jeżeli nie zapoznał się z nią pierwéj; ale o filozofii radzić, o niéj szeroko rozprawiać i oceniać jéj wartość, ba! to każdy potrafi, choćby bez żadnego poprzedzającego przygotowania. Zdrowy rozsądek i poczciwość serca wystarcza, jak powiadają, do sądzenia o filozofii; aleć przy najzdrowszym rozsądku i największéj poczciwości nikt skiby nie zaorze, nikt na koń nie wsiądzie, jeżeli nie ma wprawy, a témci mniéj filozofii znać nie będzie bez cichéj pracy i sumiennéj usilności. Onym panom się zaiste zdaje, iż każdéj nauki, iż każdego rzemiosła nawet uczyć się potrzeba, filozofować tylko i trawić można bez żadnéj poprzedniéj nauki. Każdy człowiek wedle mniemania ich filozofem się rodzi. Żaden z nich nie ma pretensyi zrozumienia książki matematycznéj, prawnéj, geologicznéj i t. d. jeżeli się tych umiejętności wprzód nie uczył, ale każdy ma pretensyę zrozumienia i osądzenia książki filozoficznéj; a jeżeli jéj nie zrozumie, to nie jego wina, ale książka niedorzeczna, a autor musi miéć jakieś zajączki.

Zdanie ich niby ztąd się bierze, iż oni nie wierząc, czyli raczéj nie wiedząc, iż myślenie filozoficzne różni się od tak zwyczajnego codziennego myślenia, powiadają sobie: „iż skoro filozofia ma być podług wyznania samych filozofów umiejętnością rozumu i myślenia, zatém dość jest miéć rozum, dość myśléć, aby sobie filozofować“; przepraszam, bo można miéć nogi bardzo zdrowe i buty skrzypiące z ostrogami i z żółtemi kwastami, a nie umiéć węgierskiego zatańcować.

Inni radziby filozofować, niechajby tylko filozofia nie była tak trudna; radziby miéć inną, któréj można nabyć tanim kosztem, bez wielkich zachodów i dla wszystkich przystępną, do któréjby wszyscy siadać mogli jak do omnibusu jakiego, puszczając się w wycieczkę za małe pieniądze to w tę, to w ową stronę krainy mądrości. Niechaj atoli zważą, iż jeśli każda nauka ma swoje trudności, témci więcéj filozofia nie może być umiejętnością łatwą, bo przedmiotem jéj nie są rzeczy dotykalne, ale myślenie samo, a myślenie abstrakcyjne. Nikt nie zaprzeczy, iż matematyka dla tego jest uważana za umiejętność trudną, bo jest abstrakcyjną, a przecież jéj liczby i rozmiary są mniéj abstrakcyjne niż pojęcia filozoficzne. Z tém zdaniem w blizkiém sąsiedztwie mieszka drugie jemu spokrewnione, jestto mniemanie

tych, co uważają, że nam potrzeba zupełnie innéj filozofii swego chowu i na swoją potrzebę. Na tę szczęśliwą myśl wpadł już przed laty poczciwy Jaroński i napisał książkę: „Jakiéj filozofii Polacy potrzebują“ (Kraków 1810, in 4-to). I zaiste, coby to była za ładna rzecz, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofię, jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową. Takich zdań nie brakło jeszcze; znajdziesz ich pełno, często gęsto podnoszą głosy z serdecznem życzeniem, aby u nas każda prowincya nawet i każde miasto miało swoją filozofię, własnych swoich filozofów, tak jak to niby każdy domek na przedmieściu ma swoje grządki, a na tych grządkach własne kapuściane główki. Ale zkądże to zdanie tak osobliwe się bierze? Właśnie jak myślę z tego, iż pospolicie utrzymuje się mniemanie, jakoby filozofia była owocem zwyczajnego rozmyślania, dumania i t. d., że zatém ona podobnie jak każde rozmyślanie i dumanie zostaje pod wpływem uczuć, chęci, dążności i tych wszystkich okoliczności stanowiących piętno jakiego narodu, a więc że filozofia także koniecznie musi miéć piętno narodowe — jak naprzykład poezya i cały orszak sztuki pięknéj. Uważmy jednak, że skoro filozofia więcéj niż inna jakabądź umiejętność jest czysto rozumowa, i mniéj jak którakolwiek podlega wpływom uczuć, temperamentu i całéj potędze miejscowości, więc téż ona mniéj niż inne może miéć piętno narodu.

Zaiste wtedy tylko będziemy się mogli spodziewać osobnéj dla każdego narodu filozofii, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemię i t. d. Powiadają: iż człowiek za pomocą samego rozumu nie zdoła dobić się żadnych prawd bezwzględnych, to jest niezależnych od żadnego miejsca i czasu, będących zawsze i wszędzie prawdą. Więc jeżeli jedni powiadają, że dwa razy dwa = cztery, to u innych dwa razy dwa = pięć; jeżeli się dla innych ludzi ziemia obraca koło słońca, toć słońce, księżyc i gwiazdy, obracają się koło niego jako około środka swojego; — a co jedni ludzie za pomocą rozumowego przekonania nazywają zacném, poczciwém, szlachetném, to u innych jest niedorzeczne, złe — i nawzajem. Wcale tedy niepotrzebna jest taktyka onych, którzy, chcąc zaprzeczyć wartości rozumowi, zaczynają od oddania czci prawdom z wiary płynącym. Bo nie wypada nam mięszać prawd objawionych z zasadami rozumowemi. Wszyscy przekonani jesteśmy, iż żadna jakakolwiekbądź nauka nie ma zasady pod sobą, jeżeli nie stoi na fundamentach religii. Bo wszystkie nauki, w gruncie swoim pojęte, okazują nam jedynie dobroć, wszechmocność i wszechbytność Boga w różnych kształtach i postaciach jego; dla tego téż wiadomość i uczoność, nieosadzone na wierze objawionéj, są tylko zlepkami rapsodycznemi nie mającemi spólnego tła, którém jest Bóg. O tém wszyscy wiemy; wiemy także i o tém, iż wiadomości i nauki jeszcze się różnią od rozumu; bo gdy obaczysz człowieka nie gruntującego rozumu swojego na Bogu, o takim możesz być z góry przekonanym,

iż i rozum ten jego szwankuje. O tém wszyscy wiemy; lecz wiedzmy również, że potęga myślenia nie jest darmo dana człowiekowi od Boga; winien tedy zacznie użyć tego daru, którym Ojciec niebiański uposażył ludzkość, wyprawiając ją w życie doczesne i świat. A jeżeli nikt nie zaprzecza, że w żadnym kierunku życia, że w żadnych sprawach nie obejdzie się bez namysłu i myślenia, więc wiedzmy, że też winna istnieć umiejętność, która ma właśnie samo myślenie za przedmiot swój i że taką umiejętnością jest filozofia.

Może filozofia dla tego nie ma kredytu i coraz to inne filozofie nastają, że zawsze system powyższy stawia się i buduje na gruzach poprzedzających. Przecież właśnie ten ruch jest dowodem życia téj umiejętności i jéj chwałą. Te odmiany nie są migotaniem się fantastyczném bez celu, ale są postępem, wzrostem i szczeblem dalszym do udoskonalenia. Co się nie odmienia, co trwa ciągle w jedném, jest martwém i umarłém. Wszystkie umiejętności mają w sobie zaród życia, w których jakby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny, i w tém podobne są do historyi rodu człowieczego. I tu ciągła odmiana, tu ciągła walka, bo wieczny bój na myśli i krew, a walka i bój ten pełen zgrozy i okropności. Zaiste, w historyi lata nie mlékiem i miodem płyną; ona nie jest sielanką. Piérwszy syn pierwszego człowieka był mordercą, zabił brata. Każda odmiana, każdy krok, który czyni historya w swéj drodze po przez stulecia, opłacany bywa niesłychaną boleścią i zgruchotaniem milionów ludzi; a przeszłość iście w dziejach świata tchnie na nas jakby wielki grób, w którym pochowane zabite pokolenia bez końca, kości ludów pomarłych wśród mąk strasznego skonu.

Iście historya ludzka jest krwią i łzami pisana; a czyliż owi sędziowie filozofii i w historyą nie wierzą, i nie wierzą w postęp rodu człowieka? a czyliż również dla tego, iż się ona ciągle odmienia, że w niéj niéma nic stałego, historya ma być jedynie igraszką i zbiorem krwawych anekdot? czyliż oni rozumieją, że ród człowieczy stworzony jest na pomiotłę lada zachcenia ślepego losu i na drwiny bezmózgiego przypadku? Zaiste, — wartożby było, aby historya taka żyła na świecie i ród ludzki istniał! Więc gdy w każdym człowieku instynktu głos przemawia, a potwierdzony religią, że jest Ojciec na niebie, będący mu tarczą ode złego, do którego mu się modlić wolno, przed którym wypłakać się może, i że biédy, jakie go w tutejszém życiu spotykają, są nawiedzeniem nieba, uświęcającém go do przyszłego nieskończonego szczęścia; a jeżeli wierzymy, że historya naturalna, ta historya bydląt, krzewów i kamieni, spoczywa na podwalinie najwyższego rozumu i wiekuistych jego praw, czyliż tak trudno im uwierzyć, że ten krwawy trud ludzkiego rodu nie jest daremny, że opatrzne oko Boże świeci nad historyą i drogami jéj, i że owe wielkie przemiany i przeobrażenia umysłowego świata są jedynie okupieniem wyższéj doskonałości, uwolnieniem ducha z zuzelic, i stopniami do tronu własnéj jego godności? Kto ma sam zacność w so-

bie, ten iście i szanuje zacność człowieczego rodu, i wierzy w udoskonalenie jego ciągłe, wierzy więc w jego postęp bez końca. Kto zaś życie swoje trawi jako ślepy ślimak w ciemności błota morskiego, ten nie dosłyszy wołania burzy grzmiącéj, jak Bóg od czasu do czasu zatrzęsie światem; a gdy rozkołysana fala dziejów ludzkich wyrzuci na brzeg ślimaka, on się dziwi, że jest jakieś słońce i jakiś dzień na świecie.

Tak jak historya, jak każda wyższa umiejętność, filozofia jest dziełem umysłowéj potęgi a nie dowolnéj fantazyi człowieczéj. Bo nie tylko w łomocie i rodzeniu się państw, w padaniu się fundamentów ich, lub na pobojowisku wojen, duch żyjący i rosnący w historyi znać o sobie daje, ale on pulsem bije i w cichéj robocie umiejętności i w tajemniczéj pracy rozumu. Gdyby ci, którzy tak na filozofię powstają z powodu, iż ciągle nowe filozofie się rodzą, rozpatrzyli się nieco w umiejętności téj, o któréj tak skorze sądzą, jużby byli obaczyli, iż co innego są filozofie, a co innego filozofia. Wszystkie filozofie razem wzięte stanowią dopiéro filozofię, będącą prawdą i gruntem wszystkich systematów pojedynczych; mają się one do niéj, jako części do swojéj całości. A jako w życiu człowieka żadna godzina i dzień, jako w życiu ludów ani rok ani stulecie nie jest straconém, ale gra w swéj przyszłości jako pierwiastek życia, tak i przeszłe filozofie zawsze znajdują się w téj, która jest ostatnią; i co w nich było wypływem czasu, wieku, lub piętnem jakiego narodu, albo co było marzeniem pojedynczego człowieka, odwiane jest z nich jako plewy, a co w nich jest prawdą ogólną, zostało. Bądź pewien, że gdy dwa systemata przeciwne sobie występują z sobą do walki, ten proces rozstrzyga późniejszy trzeci i przyznaje, komu się należy słuszność, albo łączy oba w jedno, okazując, iż oba miały słuszność, ale się zapatrywały na rzeczy z dwóch stron przeciwnych. Dla tego zawsze system ten, który jest właśnie ostatnim, zawiera w sobie wszystkie poprzedzające. Historya filozofów jest księgą i systematem filozofii, w których oddziałami są wieki i narody, w któréj Confucius i Thales napisali pierwsze stronnice, a Kant i Schelling ostatnie.

A jeżeli iście tak się rzeczy mają, jakiémże prawem się dzieje, że tak często spotykamy w świecie ludzi, tak mało sobie ważących prace, myśli i rozum wieków, iż mniemać mogą, że to jest wierutną bajką, czemu się poświęcał lub za co życie dawał duch, jak Sokrates, Plato, Arystoteles, Leibnitz lub Newton? I jakiém czołem można lekką mową lub hajdamackim obyczajem poniewierać trudem ludzi potężnego umysłu i wielkiego serca, co, zrzekając się samochcąc rozkoszy życia, porzucali chętnie wszystko, co świat ma powabnego, zamykali się sam na sam z Bogiem i z trudem swoim, by myśléć i pracować za innych; a tak obierając sobie dobrowolnie niedostatek fizyczny i niosąc siły ciała i czerstwość wieku, i ochotę rozkoszy, miłości prawdy w ofierze, życie swoje kroplami jéj poświęcali, gdy

tymczasem tak łatwo znaléźć ludzi, którzy sami o sobie tylko myśląc, siebie tylko kochając, gonią za zyskiem pieniężnym, lub za płochemi życia uciechami.

I u nas, lubo coraz rzadziéj, znajdziesz niekiedy zdania o rzeczach, o najważniejszéj w życiu treści z ust i od pióra ludzi, o którychbyś rzekł, że się upili za króla Sasa i dotychczas się nie wytrzeźwili, i takie to ich zdanie o filozofii. Filozofia zdaje im się być karczmą żydowską, do któréj lada kto wpadnie, burdę zrobi, okna powybija, zelży arendarza i wyjeżdża drugą bramą.

Teraz, gdym ci już oznaczył i istotę sztuki pięknéj i stosunek jéj do filozofii i religii, proszę cię, chciéj się na chwilę zatrzymać myślą na téj drodze, i rzucić oczyma wstecz na treść wszystkich listów poprzednich. Myślę, że usprawiedliwisz wszystko, com w nich powiedział. Zwracam zatém tylko uwagę na niektóre najgłówniejsze rzeczy, będące podstawą wywodu naszego. I tak: w drugim liście rzekłem, iż obudzone upodobania w sztukach pięknych uważam za oznakę uduchownienia się czasu; boć gdy się zrodzi upodobanie dla sztuk pięknych, już duch tchnie na materyę i życie zmysłowe i uszlachetnia je sobą, wprowadzając pierwiastek wiekuisty w przemijające chęci ludzkie. Również tam znajdziesz wyrażenie, iż istotą sztuki jest prawda we formach zmysłowych, bo prawda i nieskończoność jedno znaczą; — co skończone ma swój początek w czémś inném; bytność jego zależy tedy od czegoś innego, może być lub nie, o prawdzie zaś nie można powiedzieć, iż może być lub nie, bo jéj bytność jest konieczną. Nadto, co jest skończone ma koniec swój, nie istnieje tedy dla siebie, ale dla czego innego, które się z niego rodzi, a zatém też co skończone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wlany, który w nim żyje, będący ze wszechrzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czémś dla niego koniecznem, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu *(List II)*. Już bez dalszego wywodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących: bo z formy zmysłowéj i z ducha, czyli nieskończoności, objawiającéj się w materyalnéj formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze taż sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawić może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc też formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta rozmaitość stanowi *Historyę sztuki*. Jest tedy jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemienna i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma

powinna być zawsze godną onéj niezmiennéj swéj istoty, zatém nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teorya, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jéj w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżéj, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskończoności, którą nas objawiona religia oświeca; więc téż nie dziw, iż od chwili, gdy wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcéj uduchownionym w czasach przedchrześciańskich; gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień religii zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchownili, połączyli ducha i materyą, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapełniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jéj; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezyi. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnóżów swoich, bo już nieskończoność nie w postaci zmysłowéj rozosobnionych bogów, ale w przybytkach wnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała téj prawdzie, któréj się człowiek dorobił. Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o niéj — a ten sąd stworzył teoryę sztuki, któréj powołanie dopiéro co skreśliłem *(List II)*.

Jeżelim powyżéj *(List IV)* dowodami zkądinąd wziętemi dowiódł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze saméj istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się téż nie wyrazi w ich kopiach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym, przyznasz mi, iż miałem słuszność, gdym nazwał sztukę piękną pierwszą nauczycielką ludów *(List II)*; bo gdy człowiek najprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc téż łatwiéj mu ujrzéć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie duchowéj wiary jak w religii, lub we formie duchowéj myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wypływem nieskończonéj istoty człowieczéj, więc téż już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów, pragnących koniecznie zgadnąć, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać lubą kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiódł go krechą i malarstwo się zjawiło. Tam na skorupie żółwia naciągnione struny miały zrodzić lutnię, ówdzie znów ludzie zaczęli mieszkać w jamach wygrzebanych w górach, późniéj

na dwóch żerdziach widłowatych zaczepili trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę.

Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żałując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jéj pierwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kiełki swéj przyszłéj okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ćmie odległéj przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku, i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszczą, ze zwierzem i własném barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojéj twarz i piersi malował różnobarwnemi krechami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżéj była dziecięctwa swojego, gdy do niéj Europa zawinęła; mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wié, może nawet w jakiéj rozochoconéj i rzewnéj chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kolebki swojéj. Ale Europa za pierwszém się z nią poznaniem, rabując złoto jéj, wycinała żelazem, jak teraz dobijając morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów-bohaterów świetniéj jeszcze może płynęło, niż onym pod Troją mężom, lecz skonało jak długa Epopea, która nie znalazła Homera, któréj nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te, umierając w głuchych lasach swéj ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpień swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnóża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlecze dziś to spodlone życie, goniąc za zwierzem jako za monetą, dającą im w zamian trunek, jedyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawnéj świetności, ród staréj daty, ale i te rozsypańcy przeminą ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. Mamy się przecież czém pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości, przechowuje nam wszystkiego po kawałku; znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biédy i nędzy ludzkiéj w jednym najmniéj egzemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się do Azyi, co w zgrzybiałości swojéj już zdziecinniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacytem lub Cezarem o młodéj barbarzyńskiéj Europie i jéj sztukach. Mamy tuż niedaleko, bo pod okiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiacze o wynalazku sztuk pięknych najczęściéj o architekturze i początkach jéj wspominają, naród ten od lat tysiąców zachował tę biédną pierwiastkową architekturę swoją.

A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abisynii, onéj Szwajcaryi afrykańskiéj, usłyszawszy, i po raz już ostatni, śpiewy jéj rzeźkich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłéj Afryki, widzi pod sobą rozwleczone niezmierzone borów szmaty; ku nim przewalają się wody abisyńskich Alp i w nich przepadają; ale skwarne bory wyziewają je na powrót wilgotną strzeżągą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jestto kraj, czyli raczéj bezmierna puszcza Kolla. Zaledwie zstąpisz do onéj kniei, a już jéj pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiém przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby kamieniem cięży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutéj wody, najeżone plugawém zaroślem, odziane zielonym kożuchem, dyszą jadowitą parą, zgniłą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodylów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat w koło przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby szkorpionów się zagmerzą, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinę sunie się to jeleń, to dzik, to szakal zaświeci krwawém okiem w ciemnych krzewach, to znów usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jestto zgłodniała hyena, trupów chciwa; ale w dali gdzieś lew zagrzmiał, wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy znagła słyszéć trzaski i łomot roztrąconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszczę. Indziéj znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem na oślep rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem pierzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wicher, w puszczy gore; trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi wężem, lub słupcem stawa. Słychać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechy-

lają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpiérają ją ściętém drzewem młodém, niby kolumną, i na nich rozwieszają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym roje ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwierzowi dzikiemu. Rybołówczy i myśliwy ród nie zna rolnictwa, ani pasterstwa nawet. Gdy zaś dészcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abisyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosięgłych. Tu inny budownictwa rodzaj. — Bo z dołu na ledwie okiem dosięgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większéj lub mniejszéj liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojéj; tam żywią się tém, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodylów i strusiów, i koni rzecznych, dla tego też nazywają się Hylo-elephanto-struthio-phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora dészczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko, i zabierają się do budowania letniego swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju; właśnie wtedy schodzą pograniczni im Abisyńczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallów, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szerzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecię, czy kobiéta, czy starzec. — Czasem Szangalla, cichaczem podszedłszy wojska abisyńskie, do nogi wycina wrogów kąpiąc się we krwi ich; a częściéj zaraza okropna, typhus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najezdców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do samych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką, i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jestto wiernym wizerunkiem człowieka drzémiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciéj baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch tysięcy lat żyją w onéj Kolli lesistéj — od dwóch tysięcy lat toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła się na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by były sztuk pięknych kolébką, ani też te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem archi-

tektury; bo gdyby nim były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków; bo gdzie się sztuki piękne zjawiły, tam duch ożył, tam i on postępuje, rośnie z siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony z prostéj potrzeby fizycznéj jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatém téż w niém nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura jako sztuka wtedy się dopiéro zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jéj formę, przemawiającą o duchu jego. Dla tego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron: jedna jest techniczna, mająca na celu jéj dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onéj techniczności za kanwę, na któréj rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobili czémś owe nory swoje, gdyby im nadawali jakiś kształt, nie koniecznie wypływający ze saméj potrzeby materyalnéj, lecz z upodobania, z fantazyi, jużby tém wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego, i wtedy téż moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie, są zarodem, choć słabym, sztuki. Budowanie jakiekolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą, ani początkiem jéj, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek, nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem, to tak, to owak, chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami — albo parobek krakowski, przypinający pawie piórko do czapki, bliżéj są sztuki pięknéj, niż one budowania urosłe ze saméj potrzeby cielesnéj.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą, i najczęściéj pochodzi z mniemania, iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne; — ale bez prochu, sztuki drukarskiéj i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył nie znając tych tak wielkiéj wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznéj koniecznéj istoty. Sztuki pięknéj, tak jak i miłości i mowy, nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli definicyę miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie, spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał; miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami, i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem, czyli ja przypadkiem nie wiem jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biédę *der*, *die*, *das* wymyślił, a mówił doprawdy. Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jéj stosunku do religii i filozofii, tudzież dotknąwszy, o ile słusznie o początku sztuk mówić

można, pozwólisz mi bym w liście przyszłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczysz jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonéj w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę też mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięźléj, krócéj i treściwiéj, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumiész.

List Dziewiąty.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota ideału. — Stosunek ideału do natury fizycznéj. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyncze, żyjące. — Okolica i pejzaże. — Pomniki historyczne.

Szata i draperya. — Figury dramatyczne. — Obrazy hollenderskiéj szkoły. — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock. — Kraszewski. — Boz. — W wyższéj sferze ideału rzeczywistość mniéj jeszcze wystarczyć może. — Słowa Rafaela. — Zdanie Cycerona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodeta — zastosowanie rzeczy téj do komiczności. — Don Quixote. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry. — Trzy sfery ideału.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jéj też dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby rozmaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmierzonym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migocze rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów. — Osiadły też tu ciżbą, wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełném sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obra-

zów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jednę jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonną téj wielkiéj opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona téż jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Baltyku, pośpiesza w objęcie kochanka. W dali, kędy już niebo schyla się ku ziemi, srebrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swéj wypuszczają na nas to pogody i słoty, to burze i powódź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko; bo gdy nam jakie biédy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki góral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głuche, samotne. — Bo téż dzień cały był pochmurny, posępny, i od rana już płakał dészczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo, jakieś nierade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów niekiedy przebiegały Wisłę i mięszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk palących się na galarach. Cała natura, ziemia i niebo zakopcone. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe jakby chore dziecię; co dalsze, zachuchane, a odległość ostatnia zléwa się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepł. Widok, zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda zosobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wolała być ułomkiem biédnym, niż częścią wielkiéj całości. Dwie osiki pode mną potrząsając obwisłém liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych — a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane stoi jednostajnie sprzykrzone i ckliwe. Niekiedy, gdy zkądciś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszéj, ta szumiąc obruszyła się i pochyliła ku drugiéj i szepnęła, a ta następnéj, a tak daléj i daléj w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zaszumiał, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał, i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Nie daleko ode mnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się

milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowéj srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło, wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrém powietrzu na wsze strony; lecz ociężałém i zamoczoném piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały doleciéć nad miasto i przebudzić drzémiące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła, odstękała godziny swoje, a głos jéj tak płaczliwy, przewlekły i chrapiący, iż znać, że jéj w dwójnasób ckliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle téż ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jéj. Wtém dzwonnica maryacka, kompana jéj z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem pocieszając wdowę; raz jeszcze odpowiedziała szlochami ratuszowa, raz jeszcze maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchałem się dniem i nocą tych wież rozmowy, nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jękliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, coby ci w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego najwyraźniéj wyłożyć stosunek sztuki do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spojrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się święciło, spojrzałem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutnę i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyna do pacierza i snu się zabiéra, a matka żegnając ulubieńca przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia, marząc o aniołkach, o kwiatkach i raju; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spojrzało na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując jakby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkiém półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiéj stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta nadpowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkiemi tęczy barwami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiéj strony zalane głębokim cieniem miedzianym, ciągnąc za sobą długie, wązkie, chmur smugi. Tu

i owdzie, poprzez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtorując jéj chórem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech; przebudzone jéj barwy roztuliły oczy, patrząc się jasném, czystém spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonéj opony, rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jednę wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiém stopniowaniem rozpływa się po przestrzeni bezmiernéj; światło odegrywało tu całą gammę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach uderzało z razu w silne światła i nizkie a potężne cienie, a oddalając się przechodziło w tony wyższe gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu oblewało drżącym łagodnym promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona jest szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, żeś ją wskroś przejrzał i w zawrotnéj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem; odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stanąłem zadumany, porównywając czarodziejstwo téj natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami. Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biédny nasz żywot do rajskich rozkoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich, — jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość* do *sztuki!*

Zaiste — tém słońcem, co spojrzeniem swém budzi żywota potęgą świat, co wyléwa czarodziejstwa urok na ziemskie padoły, a płosząc mgły doczesne, rozszerza ciasne rzeczywistości szranki, okazując nam wszechświatów cuda w ogromie majestatu swojego: — tém słońcem, co spojrzeniem swojém ziemię na niebo przemienia, jest sztuki piękność i mistrza wszechmocne tchnienie. Nie darmo to na Hellenów Olimpie Phoebus, sztuki pięknéj bóg, prowadził słońca wóz jasnym, wiekuistym po niebie gościńcem.

Rzeczywistość traci ziemską i ułomną swoją istotę, gdy na nią spłynie niebiańska łuna sztuki. Ale do rzeczywistości należy także natura, czyli ten świat wszechstworzeń, który nas otacza, jak i te całe dzieje, co biją falą codziennych wydarzeń, owe stosunki społeczne i moralne, nieodstępne towarzysze człowieka na drodze doczesnego życia. Człowiek samém urodzeniem swojém oddany jest rzeczywistości potędze, co go ciśnie, jakby czynieniem, władzą swoją. Lecz gdy sztuka zaświéci jasném okiem, oczynienie owo znika, a ducha swoboda się zbudzi i wzmoże się uznaniem własnéj zacności.

Stosunek rzeczywistości do sztuki wypływa sam przez się z całego powyższego wywodu naszego. Bo już w jedném miejscu starałem się okazać, iż sztuka, będąc wolną ducha córą, nie jest natury

naśladowaniem *(List IV)*, później zaś *(List VII)* wyświeciłem, iż jak natura, tak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczaju i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy być żywcem w sztukę przeniesione. Z tego już widzimy, iż rzeczywistość pod żadnym względem nie może być dla sztuki pięknéj wzorem. Wypada nam więc oznaczyć jedynie jeszcze w bliższych szczegółach mienie się sztuki do rzeczywistości.

Jeżeli duch ma oglądać, jak w zwierciedle, nieskończoność istoty swojéj w dziele sztuki, w postaci zmysłowéj, więc też postać ta, choć z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiéj, i z pyłu ułomności ziemskiéj, winna być przejrzana ducha poświatą; bo rzeczywistość, postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, już nie istnieje dla siebie ale dla ducha, jest tylko dla niego środkiem, aby on się zmysłowo wyjawił; ona jest dla ducha świecznikiem i lampą, w któréj wiekuistość jego goreje. Prawda ta jest pełna wagi, dla tego chciéjmy dokładnie ją zrozumieć, bo z niéj wypłynie, jakby ze źródliska swojego, cały wątek następnéj osnowy naszéj.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czyli to on będzie jestestwem natury, jako np. postać człowieka, zwierzęcia, okolica i t. p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, a przeniesiony w obraz, lub tragedyę, komedyę, powieść i t. d., zawsze on będzie cząstką rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią wplecioną w całą tkanicę natury i społeczeństwa. — Tysiące stosunków i węzłów łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do któréj należy, i dla tego też on na sobie nosi cechę swéj istoty ułomkowéj; znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie cząstką jakiéjś całości, i ta to cecha jest piętnem doczesności jego. Taka jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat sztuki, wtedy się też wskróś przeobrazić winien; bo skoro on, jakem powiedział, nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy, wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości téj służył, ale ducha był wyrazem, więc też zrywa te wszystkie nitki, łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się niezawisłym — uosabnia się, zakończa w sobie. A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchową, na jedność zupełną. Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideał tedy, wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duchem, który o sobie w nim znać daje. W ideale właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha; te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zlewają się w jedno, oba się równoważą.

Rzeczywistość zmysłowa nie przechodzi bynajmniéj żywcem w świat piękności, bo w takim razie dzieło sztuki nie byłoby całością, jaką jest duch, ale jedynie ułomkiem biédnym, niedostatecznym, jakim jest każdy przedmiot rzeczywisty, a sztuka byłaby wprost kopiowaniem szczeréj rzeczywistości, co być nie może, jako już wyżéj rzekłem.

Znać tedy, że ta rzeczywistość, mając się stać ideałem, winna być przerobioną, przetopioną przez ducha.

Z drugiéj strony pierwiastek duchowy winien naprawdę przybrać na się ciało zmysłowe; bo zważ, że bez tego ciała sprawa ducha naszego byłaby li myśleniem, byłaby mową prozaiczną, bo w takiéj mowie duch objawia się bez ciała, bez szaty.

I dla tegoż to ciało, które ma być objawem ducha w ideale, nie może być czémś tak ogólném jak myśl, jak mowa prozaiczna. Zważ, kiedy mówimy: człowiek, drzewo, dąb i t. d., toć zaiste nie mówimy o żadnym człowieku w szczególności, o żadnym dębie, drzewie w szczególności, ale mówimy ogólnie, więc wyrażamy rodzaj człowieka, dębu i t. d., ale rodzaj to jest ogólnik, jest abstrakcyą, jest myślą. W rzeczywistości zaś nie widzisz (zmysłowo) nigdzie rodzaju, lecz widzisz jedynie szczegółowe, pojedyncze jestestwa, które do tego rodzaju należą, a rodzaj istnieje w głowie naszéj; istnieje on wprawdzie i w świecie, ale nie dla zmysłów naszych, bo go trzeba dopiéro dochodzić *myślą*. Wynika ztąd, że jeżeli w sztuce zechcemy wyrazić tylko takie ogólne, rozsądkowe myśli, już sztuka takowa nie będzie sztuką prawdziwą, lecz będzie abstrakcyą, będzie dopiéro symbolem, godłem, hieroglifem; jak naprzykład dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt trójcę, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź Kościół, jabłoń grzech pierworodny, i inne podobne znaki, które atoli przez zgodność ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. Aleśmy już przy innéj sposobności trącili w tę samą osnowę, mówiąc o sztuce w ogólności *(List V)*. Widzisz tedy, że gdy uzmysłowienie myśli, wyrozumowanych pojęć, nie jest już sztuką, więc w sztuce prawdziwéj, w idale prawdziwym, to jest warunkiem aby nie wyrażać pojęcia ogólnego rodzaju, ale pojedyncze, jedno pewne jestestwo, tak aby się zdawało jakoby ono było postacią z rzeczywistego świata wziętą, aby się zdawało, że dzieło sztuki jest niby wizerunkiem rzeczywistego jestestwa. Mówię *niby*, bo powinien być pozór, jakoby w ideale występowała rzeczywistość, ale ta rzeczywistość nie powinna być, że tak powiem, rzeczywistą; ta rzeczywistość winna być złudzeniem, to jest pozorem;

ona będzie owiana tchem innych światów; ona chociaż będzie indywidualną, żywą, będzie przecież odziana najwyższym nadświatnym urokiem. Tak tedy ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, albo poezyi, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój właściwy charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cieleśnie obecny czyli to w posągu, czyli malowany będzie pędzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi.

Tak tedy z jednéj strony w ideale rzeczywistość przechodzi w świat duchowy, uniesiona jest do nieba piękności, a z drugiéj strony duch zastępuje rzeczywistość, *niby* pożyczając od niéj szat swoich. Ideał, jak widzisz, pozostaje przeto w środku między czystą duchowością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność. Chciéj dobrze zatrzymać w pamięci tę zasadę naszą; co tu jeszcze o ideale powiem, będzie jedynie jéj dalszym wątkiem i wyjaśnieniem tego pojmowania naszego rzeczy.

Patrz na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec, na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka, rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnéj prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innéj urody niż koło ludzi stworzonych, bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiéj piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnéj i doczesności przemijającéj, któréj ulegają ludzie w padołach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem — uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższéj urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posągu tym duch wszędzie jest obecny, z każdéj części patrzy tysiącami oczu, rozlany po całéj postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, niezna czące, spadło z téj postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło na jaw, — więc téż i ta postać wywinęła się z objęcia znikomej doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczona w oceanie ducha. Podobnie gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w sennem marzeniu staje nocném nawiedzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jéj nie zdoła, przeciéż wskróś przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niéj znikły cisnące żywota biédy, i troska ziemska, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznany dawniéj nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie należącym więcéj do doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonéj i pewnéj drogiéj nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchownionéj.

Otóż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnéj, oznaczonéj osoby, są dwiema koniecznemi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzéć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyściec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem *(obacz str. 34)*.

Nie dziw tedy, iż wizerunki, portrety osób rzeczywistych, malowane nawet ręką celujących mistrzów, wydają się pospolicie jakby zbyt pochlebne, wszakże, jeżeli dzieło takowe jest godnym sztuki tworem, więc już mistrz nie pochlebiał wprost naturze. Bo upiększenie takowe nie wypłynęło z udania kłamliwéj urody na obrazie, któréj w rzeczywistości nie było, ani z poprawienia spaczonych rysów twarzy, lecz raczéj ztąd, iż mistrz przepuścił wszystkim onym drobnym szczegółom (np. włoskom, plamkom, marszczkom drobnym, piegom), będącym nieodstępném znamieniem natury, a uchwycił właśnie tę stronę fizyognomii, którą duch o sobie świadectwo daje, że ujął jedynie stronę duchową oblicza i niemą jego mowę. Tak więc, gdy wizerunek stracił oznaki przypadkowe i szczegółowe z doczesności człowieka pochodzące, już téż zerwał stosunki z rzeczywistością, a duch, uwolniony od pyłu tego fizycznego świata, zajaśniał wiekuistą istotą swoją, wypiękniał w sobie i rozgorzał niezwykłym urokiem. A przecież ten wizerunek zachował podobieństwo całe swojego żywego wzoru.

Prawda że właśnie to zaślubienie niżyn rzeczywistych, doczesnych, ze światem nadziemskim, duchowym, niebiańskim, które się odbywa w ideale, zdaje się nam być zrazu sprzecznością; zważ atoli, że sztuka jest właśnie zestrojeniem wszelkich sprzeczności, pogodzeniem wszelkiéj dysharmonii. Sprzeczność, dysharmonia, jest udziałem rzeczy ułomkowych, doczesnych i biédnych; ale w sztuce żyje duch, więc żyje wiekuistość unosząca się nad ułomność i niedostatki wszelkie. Prawda że zestrojenie sprzeczności w ideale nie jest sprawą lada człowieka, lada chwili; aby dokazać tego najwyższego pogodzenia trzeba *fantazyi artystycznéj*. Fantazya artystyczna w chwili wieszczego natchnienia zradza z siebie ideał, zradza z siebie formy rzeczywiste a przecież niebiańskie. W tych świętych chwilach twórczych duch z innych światów, niby gość nadniebny, zamieszkuje w duchu mistrza, prze go i niewoli do zrodzenia ideału piękności. Są to chwile boleści i najwyższéj rozkoszy. Atoli o fantazyi artystycznéj mówić będziemy na inném miejscu obszerniéj; myślę téj osnowie poświęcić ze dwa listy osobne. Teraz przypatrzmy się jeszcze z innéj strony istocie ideału.

Chciéjmy najprzód zważyć bliżéj stosunek, którym się ma ideał określony powyżéj do natury fizycznéj. Natura nie żyje życiem estetycznéj piękności, lecz życiem piękności wszechmocnéj wiekuistego

rozumu. Nie tak przemawia tedy do wyobraźni naszéj, jak raczéj do myśli, do rozumu, a mądrość, świecąca na dnie zjawisk przyrody, jest treścią saméj umiejętności, dla sztuki zaś nie jest doścignłą. Bo sztuka, wstępując w królestwo natury, przyswajać sobie jedynie może stronę powierzchowną jestestw przyrodzonych, nie zdoła jednak przeniknąć do rdzeni myśli stwórczéj, któréj owa powierzchowność jest jedynie łupiną. Postawa pełna wielmożności lwa, lśniąca grzywa i sierć jego, złotopióry strój mieniącego się barwą ptastwa, rozłożysta potęga hardego dębu, jest wprawdzie sztuki dzielnicą, atoli sztuka nie zdoła się zapuścić w wewnętrzną budowę lwa, ptaka, dębu, w ten tajemniczy świat ich składu, w zegar ich wewnętrznych organów. Sala anatomiczna nie może być pracownią dla sztuki pięknéj. A przecież fizyologia roślin i zwierząt jest dopiéro najpotężniejszą stroną jestestw żyjących, i, językiem nauki i rozumu zimnego mówiąc, jest prawdziwą natury pięknością, a dla sztuki zaś nie jest przedmiotem.

Podobnie też w kole stworzeń napotykamy mnóstwo jestestw, których nawet i powierzchowność jest obrzydliwa, szpetna. Cóż brzydszego jak wiele gadów, owadów, nieschludnych ryb i robactw ohydnych, a przecież ta ich szpetność istnieje tylko w wyobraźni naszéj, i znika skoro na nie patrzéć się będziemy oczyma umiejętności. Bo zkądże się rodzi w nas uczucie o brzydocie tych jestestw, jeżeli nie z tego, iż je pospolicie bierzemy bez związku z całym ogromem natury, do którego one istotnie należą, i z tego, że je uważamy z osobna. Doznajemy tedy wstrętu nie znajdując harmonii w ich postaci, ani proporcyonalności powierzchownéj członków, do których nawykli jesteśmy; widzimy w nich bezecne i niezwykłe potwory, i bezwiadomie porównywamy je z kształtem innych jestestw. Przecież takie zapatrywanie się jest błędne, bo te jestestwa wszystkie są jedynie przejściem z jednego ogniwa stworzeń w drugie, są naprożnikiem dwóch rodzajów jestestw całkowicie różnych, a dla tego, nie będąc zupełnie ani jednym, ani drugim, czyli raczéj będąc zarazem i jednym i drugim rodzajem, stają się potworami w zwyczajném zapatrywaniu się na rzeczy. Tak np. grzyby są przejściem między martwém państwem natury nieorganicznéj a roślinami, polipy są ogniwem pośredniém roślin i zwierząt, a znów między robactwem i rybami w środku stoją kształty niesforne ślimaków i mięczaków, a między rybami znów i gadami ogniwem łączącém są ryby chrząstkowe i t. d.

Jeżeli zaś wedle tego, cośmy wyżéj powiedzieli, każdy choć najdoskonalszy przedmiot natury jest ułomkiem całości przyrodzenia, a zatém nie może być pięknym w znaczeniu estetyczném, jakże dopiéro mają uchodzić w oczach naszych za piękne twory natury, które już w porównaniu z samemi jestestwami są ułomkami — są to ułomki ułomków. Atoli szpetność ta znika nietylko gdy się przypatrzymy pełnemu mądrości ich składowi, lecz nawet skoro je uważać bę-

dziemy we związku całém natury państwem. Gdy ludzie zuchwałą i niebaczną ręką zgruchotali wielki wszechmocności obraz, złożony jak w mozaikę ze szczegółowych jestestw natury, cóż dziwnego, iż przypatrując się z osobna tym okruchom różnobarwnym i kawałkom stłuczonym bez znaczenia, nikt nie zdoła odgadnąć oblicza przedwiecznéj mądrości, któréj ten obraz jest wizerunkiem. Cześć tedy niechaj będzie wiekowi naszemu, że go stać było na ludzi, którzy potęgą umysłu znów złożyli tę potrzaskaną starą mozaikę, a wyuczywszy się z jednéj kostki całe zwierzę odgadywać, jęli się uporządkowania ogromu natury żyjącéj, rozkładając ją po różnych szczeblach wedle ich różnéj w porównaniu doskonałości. Bo umiejętność tegoczesna doszedłszy, iż zjawienie się serca, nerwów, muskułów, oddechu, oczu, słuchu, krążenia soków i podobnych organów i czynności, stanowi wzmagającą się doskonałość u zwierząt, uważała że jedne jestestwa żyjące nie mają wcale tych organów, lub tylko niektóre z nich, inne znów, mają je w zarodku, inne zupełnie zaś rozwinięte. Ułożyła je tedy w miarę ich stopniowego ukształcenia w łańcuch po sobie następujących ogniw. Tak zaczynając od onych żyjątek, będących pęcherzykiem, drgającém sercem obracającém się jakby planety wirem około siebie samych, przeszła do zoofitów, robaków, bezgłowych muszli, a daléj, coraz wyżéj a wyżéj się spinając, umiejętność stanęła na człowieku jako najwyższém dziele natury, zbierającém wszystkie stworzenia promienie jakby w spólném ognisku a niosącém w sobie świat duchowy, wiekuisty. A tak wykazała wcieloną logikę najwyższą w wątku wszechstworzeń. Budując jestestwa jednego rodzaju na organizmie wszystkich poniższych, wykazała jak natura, z siebie się rozwijając, kształci się, rośnie z siebie. Ale tu i owdzie okazała się przerwa w ogniwach; trzeba było obok siebie postawić dwa rodzaje zwierząt tak różne udoskonaleniem od siebie, iż one nie mogły być dwoma stykającemi się ogniwami; wyjawiło się tedy jasno, iż brakowało ogniwa pośredniego. Z tryumfem jednak wiadomości i na chwałę rozumu ludzkiego spostrzeżono, iż czego naturze żywéj brakowało, dostarczyła umarła, czego nie znaleziono w świecie z nami wespół żyjącym, znaleziono w onym świecie starym, który przedpotopowym nazwano. W głębokiém łonie ziemi naszéj, jakby w kruchcie siwéj, dokopano się skamieniałości jestestw dziś już nie znanych, żyjących niegdyś, a będących właśnie ogniwami brakującemi w owym łańcuchu stworzeń dzisiejszych. Idea i myśl Boża się uzupełniła, a cała natura jedną więc stanowi całość, a każde jéj jestestwo jest koniecznym szczeblem, jedném słowem w onym wielkim psałterzu natury. Jestestwa są mniéj lub więcéj doskonałe, wszystkie atoli są jedynie bledsze lub jaśniejsze gwiazdy, tlejące firmamentem roztoczonym po niższych lub wyższych stopniach Bożego tronu. Tu nie ma szpetności ani brzydoty.

Jest zaiste jeszcze druga przyczyna, dla któréj jestestwa natury nie mogą być żywcem ideałem. Powód bardzo prosty, bo jestestwa

te do państwa materyi, do doczesności należą, a materya i doczesność paczy wszelkie formy duchowe. Patrz na dąb okryty strojem swym niepoliczonych liści, a każdy z tych liści jest inny a inny, nie ma dwóch do siebie podobnych, a przecież jedna tylko jest, ściśle mówiąc, forma liścia dębowego, jedna forma jest prawdziwa i wzorem jego. Ten atoli wzór pierwotny nie zdoła się wyrazić w swéj zupełności w rzeczywistym świecie, nie zdoła przemódz niesforności materyi. Ten wzór jest zawsze jeden i ten sam, jest wieczny, bo jest myślą, a wszystkie liście rzeczywiste są inne a inne, bo są materyą, bo są doczesne, a tém samém podlegają w wzroście swoim tysiącznym przypadkom i wpływom, które je paczą i psują. Bo myśl i materya, duch i rzeczywistość, są dwa przeciwne sobie bieguny, dwa wrogi. Patrz na bezmierne mnóstwo koni żyjących po świecie, wszystkie są od siebie różne, żaden nie jest doskonałością idealną, żaden nie dosięga piękności idealnego konia, która tylko myślą być może, dla tego też one mają piękność względną, wedle tego czyli się więcéj lub mniéj zbliżają do onego wzoru idealnego, do onéj myśli pierwotnéj, która dla nich wszystkich jest modłą. Piękność tego wzoru rozstrzeliła się na mnóstwo koni i podzieliła je nierówną miarą zalet i przymiotów. Zresztą zważ, iż w życiu nawet mnóstwo wpływów przypadkowych działa na formę koni rzeczywistych: klimat, choroby, karm' niewłaściwa, i inne przypadłości, więc przyznasz, iż piękność pierwotnego wzoru ginie w rzeczywistości. Ale ideał rehabilituje ten wzór pierwotny, tę myśl, onę czystą formę, wciela ten wzór w dzieła swoje, odradza go. Koni, jakie Vernet lub Suchodolski maluje, nie ma na świecie. Przecież rehabilitacya nie zależy bynajmniéj na kompilacyi, nie na tém, aby, chcąc np. konia malować, zbierać zalety, które się rozsypane znajdują w tłumie koni rzeczywistych, a tak złatać on wzór umysłowy; bo sztuka nie powinna się miéć biernie do rzeczywistości, ale czynnie. Ona jest twórczą, a ideał nie jest zlepkiem pozbieranych piękności, ale jakby odlewem duchowym z jednéj sztuki. Mistrz winien do głębi ducha swojego sięgnąć, i ztamtąd wydobyć postać ideału swojego. Wzór w innym świecie poczęty jest mu ideałem i modłą, jak to jeszcze późniéj obaczymy.

Jestestwa żyjące mają atoli przecież od Wszechmocności dodaną jakąś duszę, choć senną, mglistą i głuchą, dającą atoli o sobie znać w kształcie, ruchach i formach ciała, które już tém samém pod pewnym względem się uduchownia. Inaczéj zaś rzecz się ma ze światem roślinnym, a co więcéj z onem niemém i martwém państwem kamieni, gór, potoków i chmur, i z tym całym światem bezokich żywiołów, będących osnową pejzażów. Tu mistrz, jak niegdyś ów Pigmalion król-rzeźbiarz, winien w zimny marmurowy posąg wlać życie, objąć je ramionami ducha swojego, rozgrzać je ciepłem serca i tchem miłości swojéj. I w téj duchowości spoczywa cała tajemnica poezyi krajobrazów, czy to w pieśni objętych, czyli w malowanym obrazie, a tak dopiéro z rzeczywistości martwéj utworzy się ideał

duchowy. Bo czémże jest w rzeczywistości okolica, choćby pełna najwyższych uroków? Oto jedynie drobniuchną, nic nie znaczącą częścią powierzchni kuli, z której idą jéj góry, potoki, doliny, obłoki, wiatrów powiewy, zostaje w ścisłém powiązaniu z krajem sąsiednim swoim; a przytém narażona jest na skutek całego gospodarstwa ogólnéj natury. Wody, powietrze i ląd, ciągle na siebie działające i oddziaływające, stanowią ową troistą potęgę co rządzi kraju naturą, a łącząc się z położeniem geograficznem stwarzają klimat, malują barwą właściwą strop niebieski i wywołują roślin fizyognomię. A co te potęgi sejmujące między sobą uradzą, co w swéj wywarzą pracy, już spada urokiem na okolicę, co poddana wszechmocnemu ich prawu, ulega jéj biédna, skrępowana, oddana na oślep ich łasce. Jakiego kształtu w niéj czernią się góry, jakiéj formy i głosu są jéj srebrne rzeki, jakie do niéj zaglądają obłoki, lub w jaki strój roślinny się ona odziewa, słowem, jak się tu siły natury zbiegły, toć zależy od przypadku, od tego, jaką właśnie cząstką całości jest ta okolica. Tysiące przejdzie tędy wędrowców, a ta natura zamkniętemi ustami milczéć będzie, i głucha nie zawtóruje uczuciom, nie odezwie się. Gdy zaś w jéj kole stanie człek z talizmanem w oczach i z poezyą w sercu, wtedy natura pozna pomazańca piękności i jakby ze snu magnetycznego do kochanka przemówi; góry, lasy, skały, jeziora, drzewa i obłoki, rozebrawszy pieśń na głosy, zaśpiewają mu chórem rzewną melodyą, wspólną orkiestrą, wspólnemi akkordy. Cały kraj w około zaludni się duchami; poszepty i gawory leśne, pomruki potoków złożą się w jasną mowę, powiedzą o głębokich tajemnicach życia natury; roztworzą mu duszę swoją, wypowiedzą cierpienia, miłości swoje, i te swe dzieje pełne dziwów i uroku. A mistrz chwyta te mowy i tęskność okolicy, złoży je w rymy, wyleje muzyką, lub wcieli w barwy pejzażu — słowem, uniesie je w świat ideału. Bo gdy w rzeczywistości okolica ta jest jedynie drobnym ułomkiem całéj powierzchni kuli, w oczach fantazyi te góry, skały, potoki, drzewa, krzewy i niebo do siebie należą, składają jednę całość, jedną harmonię, są jednością osobną; wyłączają się tedy od ogółu natury, zrywają swój związek z resztą świata, i stają się od niego niezawisłe, odosobniają się od rzeczywistości. A owa tajemnicza świętość okolicy pokryje się własną barwą i rumieńcem, gdy w niéj jakby czarem zaklęte przemieszkiwać będzie wspomnienie historyczne z dawnych lat, gdy w niéj staje domek, co obtulał kolébkę człowieka jasnéj chwały, lub gdy imię ze starych czasów pokrywa się mogiłą, drzémiąc pod ziemią, gdy ją zalegną pobojowisk lub okopów reszty, albo gdy jaka stara świątnica lub rozwalony gród wplata swoje wspomnienia pełne grozy w głosy natury. Przez okna rozpadłe i szczeliny rozstąpione, widma i duchy naddziadowych lat patrzą w okolicę i spojrzeniem rzucają na nią urok. Bo co wiek zapracuje, to przekazuje swym następcom, a najszlachetniejszy pierwiastek jego żywota wykwita w dziełach sztuki.

Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszéj Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość, w grobie zapadła, puścizną po sobie zostawia budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty familijne każdego narodu, co, idąc od pokolenia do pokolenia, stroi one czcią, boleścią i tęsknotą swoją. A gdy téj świętéj puścizny ludzie we czci nie mają i płochą duszą jéj odbiegną, natura bierze je w opiekę, niby opuszczone sieroty, i przyjmuje w objęcie nieskończonéj swéj miłości, przeobrażając je na własne dzieci; — nadaje im kształt swych skał, ckliwość ostrych linij, dzierzgając po swojemu ściany w fantastyczne formy, odziewając je suknią swych bluszczów i mchów, a wieńczy wierzchołek starych murów drzewem, jakby kwiatem wplecionym we włosy zmarłéj dziewicy. Wtedy rozwaliny wychodzą z własności ludzi, stają się natury dziedziną, jak te jéj skały, te góry, obłoki i strumienie, a kto się ich teraz jeszcze dotknie świętokradzką ręką, grzeszy przeszłości zarazem i przyszłości, i staje się swych współczesnych hańbą. Gdy lord Elgin rabował rozwaliny Partenonu w Atenach (*), Minerwa-Athene, bóstwo opiekuńcze znieważonéj świątnicy, wywołana lutnią Byrona, rzuciła klątwę na łupieżcę. U nas dość spojrzéć na klasztory gotyckie potynkowane, na obielone stare świątnice, na znieważone grody niedowcipnemi pomysłami dzisiejszych dziedziców, aby przewidzieć, iż gdyby się jaki Byron zjawił, przekleństwo nie na jedną by winną głowę spadło.

Tak, aby pojąć naturę, aby posłyszéć jéj westchnienia, trzeba ją widzieć i słyszéć oczyma i słuchem duszy; wtedy dopiéro rzeczywistość przybierze na się duchowość ideału, odosobni się od codziennego życia, stanie się całością w sobie.

Teraz atoli chciéjmy postąpić szczeblem wyżéj, i obaczmy, jak się stosuje pojmowanie nasze ideału do wyższych przedmiotów rzeczywistości, do świata umysłowego. Pójdźmy sobie od niższych do coraz wyższych stopni.

O ile oblicze i postać człowieka zmienia się, przechodząc z rzeczywistości w ideał, powiedzieliśmy wyżéj. Ale jeżeli już, jakem rzekł, ciało samo i postawa jego jest ducha wyrazem, więc téż szaty pokrywające postać winny znów wyrażać postawę i uduchowienie jéj. Gdy bowiem bezduchowa natura pejzażu zalana jest zorzą wyższego świata, więc téż nieżywa istota szat samych ma być przeświecona duchem, gorejącym w postaci człowieczéj. Aby zaś postawa i ciało

---

(*) Lord *Elgin*, będąc między 1801 i 1803 r. posłem angielskim w Konstantynopolu, zebrał i nabył za summę 70,000 funtów szterlingów najznakomitsze zabytki sztuki rzeźbiarskiéj z Partenonu ateńskiego. W r. 1816 sprzedał takowe za połowę ceny rządowi angielskiemu, który pomieścił je w muzeum brytańskiém, gdzie po dzień dzisiejszy pod nazwą *Elgin-Marbles* budzą podziw miłośników sztuki. (St.)

mogło się wyrażać w szatach, wypada, aby one nie miały własnéj formy, ale były zawisłemi od formy ciała, co tylko dwojakim sposobem dziać się może: albo, aby suknie były opięte, to jest miały formy ciała samego, jak to np. suknie średniowiekowe zachodniéj Europy — albo też, aby szaty nie miały żadnéj formy i były płaszczyzną bezkształtną, jak to osobliwie widzimy w stroju rzeźb greckich. Tu szaty spadają, własnym ciężarem bijąc fałdzistą draperyą, i stosując się do każdego poruszenia ciała. Tegoczesne suknie nasze, zwłaszcza męzkie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperyą antyku, są dla sztuki najniesforniejszemi, bo mają niby formę swoją a przecież różną od formy ciała, więc ani wyrażają kształtu ciała, ani się układają w draperye. Przypatrz się np. rękawowi naszemu; — stosuje się on niby do ramienia i ręki, a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc też ręka w nim przybiera kształt napuchłego potworu; — rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperyą. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze surduty z klapami i całym przyrządem, fraki i t. p. są śmiesznością, dowodzą braku uczucia estetycznego. Do malarstwa, tworzącego swe dzieła na płaszczyźnie, podobne formy więcéj się nadają, w rzeźbie zaś są nieznośne. Przecież nawet i na obrazach te suknie, mianowicie nowożytne, ulegające wszelkim wymysłom kapryśnym mody, choćby malowane były przed niedawnemi laty, wypaczają wizerunki osób w osobliwe dziwaki.

Jeżeli atoli już suknie same, ono materyalne otoczenie osoby, winny być idealizowane, cóż rzec o całém zmysłowém zjawieniu się figur, czyli to w sztukach, w malarstwie lub rzeźbie, czyli w poezyi. A jak oddanie pędzlem wszystkich szczegółów figury, np. każdéj zmarszczki, włoska i t. d. jest chybieniem celu sztuki, a nawet nigdy osiągnione być nie może, tak też w poezyi opisanie wyrazami wszystkich drobnostkowych szczegółów żadnego nie ma znaczenia; bo w sztuce to jedynie miejsce miéć może, co służy do wyjawienia ducha; te zaś drobnostki o tyle mogą wchodzić do sztuki, o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznéj muzyki duchowéj. Tak np. figury, odmalowane mistrzowską ręką Walter-Skotta, unaoczniają nam ducha ich; a zarzuty, czynione mu iż zanadto tonie w tych drobnostkach, o tyle tylko słuszne być mogą, o ile te szczegóły stają się zupełnie obojętne i nie służą więcéj do uwidomienia nam duchowéj strony człowieka. Góral szkocki Walter-Skotta staje przed duszą czytelnika niby żyw; jest to człowiek, którego dusza i ciało, kraj i suknie, z jednéj sztuki odlane i do siebie należą. Podobną drobną rzeczywistością, odbywającą się powszednią koleją, są codzienne sprawy człowieka: spanie, jedzenie, picie, ubieranie się. Patrząc na dramat, żądamy czynów i postępowania do wątku dramatu należącego, ale nie pragniemy bynajmniéj, by figury dramatyczne oddawały się przytém sprawom powszednim, wszystkim ludziom wspólnym. A jak do teatru nikt nie chodzi, by np. w scenie wiejskiéj widział wystawione nawozy przed chatą i kałużkę z kaczkami, tak też nie pragnie

tam widzieć rzeczywistości naśladowanéj w rubasznych obyczajach, brudnéj odzieży, plugawych piosnkach, ułożeniu i giestach godnych kordegardy, choćby to wszystko było jak najnaturalniéj udawane. Nawzajem, również jest przewinieniem pojmowanie odwrotne; jeżeli np. wieśniacy na scenie mówić i ruszać się będą, jak dworzanie Ludwika XV. Powinno być uduchowienie ideału, zarówno jednak ma prawo indywidualność i prawda.

Jeżeli zaś poezya lub obraz wprowadza codzienne czynności ludzi, toć iście nie dla tego, iż one są rzeczywiste, lecz dla tego właśnie, iż nadać mogą barwę i charakter figurom, oraz wyświecić indywidualność ich ducha. A co nie służy ku temu celowi jest w sztuce płaskiém, jałowém i nizkiém. Słyszę w myśli, iż pomijając obrazy obyczajowe wyższego rodzaju, przypominasz mi w téj chwili onych Hollendrów, co to będąc arcymistrzami swéj sztuki, wprowadzają nas w najniższe, ba, w najplugawsze sceny plugawego życia. — Ta sztuka tutaj zrzuciła pychę z serca, i awanturuje się po szynkowniach, kordegardach, karczmach, wśród dymu fajek gipsowych, wyziewów piwnych, hucznych opilców, rubasznych śpiewów, bijatyk, kart, dzbanów, kijów, krzyków, a przecież te obrazki jasnéj sławy są klejnotami nieoszacowanemi każdéj galeryi.

Patrząc się na te bamboccyady pełne fantazyi ochoczéj i kipiącéj swawoli mistrza, przyznaję ci z serca, iż nie zasługują na to, by przejść około nich pogardliwie i z góry się patrzéć zadzierając nosa. Albowiem pod ową swawolą a gburowatością wierutną ukrywa się inny duch prawdziwego geniuszu. Rzekłbyś, że to najniższa rzeczywistość, — jednak przekonamy się, iż właśnie ich istotą jest oderwanie się od rzeczywistości i wzniesienie nad świat doczesny; zobaczysz, iż te ich obrazy i figury, przy całém zachowaniu prawdy i indywidualności, pomimo że są ścisłą rzeczywistością a nie kłamliwym wymysłem fantazyi, są jednak istotnie ideałem. Bo téż trzeba zrozumiéć i lud ten, i ochotę jego i mistrza, co zawtórował pędzlem życiu temu. Ba, nie jest to rzeczywistość goła, lecz poezya, śpiew radośny, śpiew, co z serc wykipia; jest to tryumf z odniesionych zwycięztw. Bo widzisz, ten ich kraj, co tak świeci schludnemi domkami ze szlifowanych cegieł, lśniących mosiądzów i jasnych szyb, i miasta ich, co tak rześko pracują, handlują i myją się, zamiatają i płuczą od rana do wieczora, i sieć onę kanałów rozciągnioną po ich ziemi całéj, i te majowe łąki, i lasy i gościńce; otóż to wszystko stworzyli ci sami Hollendrzy, i syny ich, one proste gbury, co tak na obrazku hałasują, biją się, i piją i wrzeszczą. Oni kraj swój wydarli morzu, bo fale szturmujące ich ziemię złamały się o twierdze hollenderskiéj tamy; piędź po piędzi ci ludzie zdobywali na oceanie ojczyznę swoją, i wzięli nad nim górę, i już się go nie boją i są panami jego. Gdzie było morze, tam stoją te karczmy ich, więc mają prawo do hulatyki w tych szynkowniach swoich. Aleć zaiste i ta wojna z Hiszpanią, tak szczęśliwie skończona, dała powód do radości téj.

Więc się też ochotniéj radują i swawolą; a któż im tedy za złe weźmie, że niekiedy i miarę przebiorą i skrewią dobremu smakowi.

A i te mistrze, co te obrazki malowali, otóż i oni tak czuli, tak się radowali i śpiewali. Masz np. *Adryana Brouwer* (ur. 1608 † 1641 roku), którego obrazy, będąc w Dreznie, spotkać po kilka razy mogłeś. Otóż on, młodym chłopcem będąc, zaczął karyerę swoją od tego, iż uciekł swojemu mistrzowi i przystał w służbę do szynkarza w Amsterdamie; a wolał koleżeństwo z hulakami i opilcami, niż ofiarowany sobie dom świetnego Rubensa; więc pił, fajkę palił, malował, grał, bił się i hultail, i znów malował, a malował w karczmie i karczmę; a znać, gdy spojrzysz na jego obrazy, iż ta grubijańska opiła hołota jest jego przyjacielem od serca, że ona jest sobie z nim brat za brat. Ale w końcu zachorował z rozpusty i umarł w 32-gim roku życia w szpitalu w Antwerpii, gdzie został pogrzebiony na cmentarzu zmarłych na dżumę. Rubens poszedł na grób niewdzięcznego ale drogiego ucznia, zapłakał rzewnie nad tym grobem, i biédną trumnę jego z ziemi dostawszy sprawił mu pogrzeb uczciwy i pochował w klasztorze OO. Karmelitów.

Krótszą drogę obrał sobie *Jan Steen* (ur. 1626 † 1679), bo nie potrzebował kojarzyć się z karczmarzami, gdyż sam został szynkarzem; — ale nie ubliżaj mu, nie dla zysku pieniężnego on to uczynił, boby się to sprzeciwiało geniuszowi prawdziwego artysty, tylko tak sobie ze smaku obrał to powołanie. Lubił wesołe towarzystwo, kompanię ochotną, więc z nią pił, częstował się, a wypijał sam więcéj niż goście; więc zysku nie szukał. A gdy zabrakło i w beczkach wina, i w mieszku gotówki, wnet sobie poradził: bo namalował co tchu kilka obrazów, sprzedał i znów hulał sobie. A podobno tak przehulał życie swoje całe, i tak z kuflem je wychylił.

Z grobu atoli tych hulaczów wyrosły nieśmiertelne kwiaty: ich sława i imię. Przecież tak ten jak i tamten drwili sobie z rzeczywistości i z siebie; byli to poeci i filozofowie, ale poeci i filozofowie osobnego rodzaju. Dla nich życie i rzeczywistość były Ostatnim Wtorkiem, maskaradą huczną, combrem tłustoczwartkowym, na to dobre, by je przehasać, z dymem lulek puścić i przepić. A że oni właśnie chwycili to życie karczemne z taką wysoką ironią, z taką kipiącą fantazyą, że oni ten nizki świat tak genialnie pojęli, że uchwycili poetyczność wśród onych pijackich dymów fajczanych, wśród téj hołoty, toć dowodzi, że oni byli wyżsi od tego świata, który malowali, że górowali nad nim geniuszem swoim, i to właśnie ich czyni artystami, i to właśnie czyni te obrazki prawdziwemi dziełami sztuki. Patrz na te twarze, na te postacie na ich obrazkach; one zerwały z rzeczywistością, wesołość ich tak jest serdeczna, iż niby po za tą karczmą utonął cały świat z kłopotami swojemi. Wszystkie ziemskie wielkości i co tam się święci, wszystko za izbą tą brudną przepadło; kufel i bójka, to dla nich perpendykuł świata, a fajka

i śmiechy, to wszechrzeczy grunt. Dla tego też oni tak huczni, tak weseli, tak niezawiśli, żebyś rzekł, iż to bogowie światowładni Olimpu, zebrani w szynku na piwie. A największe złe, które te bogi sprawują i na co się narażają, są kułaki i guzy; a cóż to u nich złego? to frachy i rozkosze! Wszak i Homerowi bogowie mięszają się do bitew ludzkich, nawet ciskają na się kamieniami, a choć trochę zajęczą, toć znów w zgodzie zbierają się w pałacu złotym Jowisza, piją sobie na zgodę nektar i jedzą ambrozyę.

Otóż te prostaki hollenderskie nieokrzesane, pełne grubasznych dowcipów, przyćmione wódką i piwem, stosowniejszym są przedmiotem dla sztuki i bliższym ideału, niż te wierutne a eleganckie urwisze, z gruntu serca przegniłe łotry, błyszczące świetnością w romansach francuzkich.

W Monachium, w pinakotece mąsz podobnie owych sławnych uliczników hiszpańskich *Murilla*, słusznie bardzo stawianych w tym względzie za przykład. Na jednym obrazie dwóch gra w kości, trzeci bawi się z pieskiem; na drugim dwóch się zebrało, jeden zajada smacznie winne grona, drugi melon; a taka na tych twarzach wesołość, takie zadowolenie z siebie i świata, żebyś rzekł, iż oni tego całego świata króle, albo najmniéj jakie sułtany, istoty z jednéj sztuki, całe, niezależne od nikogo; nic ich nie obchodzi; a kłopot, a bogactwa, i świetność i dostojności, to bajką u nich. Żadna troska nie łączy ich z rzeczywistością, a dusze ich pełne swobody, radości, występują rumieńcem na lica; a po przez łachmany świeci wartka życia rozkosz i poetyczne poniewieranie światem realnym. A *Stachowicz?* (*) tu już nie mówmy o fizyognomii, bo téj nie ma w obrazach Stachowicza. Kilka krések, na przypadek i śmiech rzuconych, stanowi jego twarze; patrz zaś na kontury i zarysy jego figur, tu życie, tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele, słyszysz głos cymbałów i dudy, i skrzypka, co sobie rznie od ucha, i krzesanie podkówek, i brzęk kółek u pasa; słyszysz, jak pan młody i drużby krzykają, a tak też tym parobkom i dziewczętom do serca, iż widać, że wierzą, iż nie ma jak oni na całéj kuli ziemskiéj, że oni nie tam lada *jacy tacy*, lecz istotnie *chłopcy Krakowiacy*, że to są ludzie do wszystkiego; zapomnieli i te znoje swoje i te troski, a z głębi duszy swéj wykrzykują i bawią się; i oni z rzeczywistego koła świata wyniesieni w świat poezyi, w świat ideału. Ale bo też potrzeba było znać Stachowicza. My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze, jak sobie chodził w sutéj sukmanie, z rogatą kipiastą w tył się mającą czapką, i z wysoką trzciną w ręku; a dopiéroż gdy na procesyi niosąc baldakim w całym swym blasku występował, patrząc się na ten świat tak jasném, tak miłującém okiem, że znać, iż nim się radością poił. A śmigał też pędzlem hożym i nagłym, a wszędzie też z równą ochotą, z równą

(*) Zob. wyżéj str. 19.

pilnością malował: czyli to przyszło Woroniczowi ustroić ściany biskupiéj stolicy, czyli salę Jagiellonów, czyli też na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę karczmy figurami, choć wiedział, że wnet słoty i śniegi tę pracę jego spłókać miały; bo nie znał swéj wagi, ani swéj wartości; co mu w sercu zagrało, to i wymalował. Nie znał Rzymu ni Drezna, Bóg sam był jego mistrzem i nauczył jak pędzlem kreślić duszy obrazy, tak jak nauczył Drużbackę wiersze składać. Za to też żadne słoty, żadne dészcze nie spłókają poczciwego imienia Stachowicza ze serca i pamięci ludzi. I w albumie *Piwarskiego* wiele pięknych rzeczy pod tym względem obaczysz. A co do poezyi, któż nie zabawił się temi obrazami prawdziwie flamandzkiéj szkoły, jak je skreśla w romansach swych np. Dickens, którego pióro i figury tak jędrne i pożywne, jak ta ojczysta jego kuchnia angielska; albo Kock lub Kraszewski w pierwszéj epoce autorstwa swojego. Prawda że i w Kocku, i w początkowych powieściach Kraszewskiego, znajdziemy obrazki „wielce“ flamandzkie, toć przecież nie ma czego z pedancka moralizować nad niemi, bo lekkość pióra, żart, dowcip, humor, którym ci autorowie traktują przedmioty lekkoduche, paraliżują wszelki lekkoduchy ich wpływ. A byle czytelnik rozśmiał się nad temi ich obrazkami, już wtedy komiczność w duszy jego przeważy i zobojętni wrażenia, któreby te płoche scenki mogły sprawić na umysłach młodszych czytelników. Wierzaj, że wiele zależy od sposobu wystawienia rzeczy i że ułomność ludzka, szczerze bez ogródki lecz ze śmiechem zrysowana, przejdzie bez śladu po niezepsutych umysłach, gdy nawet dwójznaczność okazana przez magiczną oponę, oświecona całym bengalskim ogniem fantazyi, omami, odurzy i wzbudzi żyjące w sercu młodém demony. Lecz nawróćmy do naszego przedmiotu.

Otóż i w malarzach hollenderskich i w Murillu i w Stachowiczu, w całéj sztuce tu należącéj natura jest żywcem schwytana; jednak nie ta natura powszednia, mdła, codzienna, ułomkowa, lecz ujęta w swéj poetyczności stanowi istotę tych dzieł. Niezawisłość tych figur od rzeczywistości świata tworzy z nich istoty osobne, całkowite; nie są to zatém ułomki życia, lecz całości. — I tém właśnie te figury różnią się od rzeczywistych, pijących Hollendrów, ulicznikow i parobków krakowskich, iż patrząc się na tych w rzeczywistym świecie, znać jak im życie cięży, że tam dolegliwości ziemskie z oczu im patrzą, że tam na nich pozostało mnóstwo ułomności znamion, że życie ich jest powiązane i skrępowane niezliczonym tłumem stosunków, co jednoczą ich ze światem rzeczywistym, którego oni są okruchami tylko. Przecież i my wszyscy biédni rzeczywiści ludzie na chwilę zapominamy o naszych troskach, o tych jukach, z któremi się przez życie wleczemy, — atoli to jest wrzkoma swoboda, bo w tych chwilach niby szczęśliwych podobni jesteśmy do ptaka, którego rzeczywistość na długiéj trzyma nitce, a tej iście nigdy się nie wymkniemy. Mimo jednak téj strony poetycznéj w owych wspomnianych obrazach,

są one żywą prawdą; nie są to bezuzdnéj fantazyi dzieła, lecz istotnie żywe Hollendry, najrzetelniejsze uliczniki, istne Krakowiaki z całą indywidualnością i prawdą.

Widzisz więc w całym wątku listu tego, dotychczas przebieżonym, potwierdzenie pojmowania naszego o ideale. Powiedzieliśmy, iż ideał jest pogodzeniem ducha i rzeczywistości, iż on zrywa stosunki z doczesnością, że jest całością duchową w sobie, a przecież nie może być wymysłem samowolnym fantazyi, lecz zachować winien prawdę, indywidualność. Są to dwa główne pierwiastki ideału, dwa jego konieczne warunki. A widziałeś zastosowanie ich, gdyśmy wspominali powyżéj o portretach, jestestwach żyjących, okolicy, góralach szkockich, wystawie scenicznéj, mistrzach niderlandzkich, Murillu i Stachowiczu; a dalszy ciąg listu tego jeszcze więcéj nam tę istotę ideału unaoczni.

Jeżeli już w téj sztuce obyczajowéj, co w izbie czeladnéj u piękności przesiaduje, rzeczywistość dla ideału nie wystarcza, têmci mniéj we wznioślejszych sferach sztuki. Jakoż opuszczając już obrazy i powieści obyczajowe wyższego rodzaju, zwracam uwagę na obrazy staréj szkoły niemieckiéj i niderlandzkiéj, na one arcydzieła, jakie nam zostawili upominkiem obaj *van Eyki*, *van der Goes*, *Massys*, *Schoreel*, *Dürer*, *Holbein* i tylu innych — i jakie znaléźć można w zakrystyi naszego kościoła Maryackiego. Otóż ze słusznością zaiste tym starym Niemcom i Niderlandczykom zarzucają zbytnie trzymanie się rzeczywistości. Za pierwszym rzutem oka na to koło apostołów i mężów świętych przez nich malowanych, znać, iż to żywe portrety; twarze ich jawnie niemieckie i wprost z życia wzięte, i w obraz postawione; ale również znać, iż to jakiś świat wyższy tchnął na te oblicza i zdmuchnął z nich prochy dzisiejsze. A ten wyższy ich świat poznasz, gdy porównasz tych apostołów i świętych z fundatorem obrazu, z człekiem świeckim, umieszczonym także niekiedy obok nich na obrazie. Choć on klęczy i ręce pobożnie składa, i na twarzy pełen bogobojności, serdecznego nabożeństwa i ducha chrześciańskiego, toć przecież znać, iż to jest człowiek, co się z życiem ziemskiém zmierzył, a potykał się z niejednym trudem.

Bo któż zaprzeczy, iż wiele np. twarzy w rzeczywistości, albo prawie wszystkie, zdołają wyrazić skromność, bogobojność, skruchę; mogłyby się tedy nadać do obrazu religijnego: — ale cóż z tego wszystkiego, kiedy oprócz téj skromności, skruchy, bogobojności, te twarze wyrażają wiele innych jeszcze uczuć, pochodzących z ich rzeczywistego życia, z pasowania się ze światem — nie mogą być tedy żywcem przeniesione w ideał; bo w nim to jedynie być powinno, co jest ducha wyrażeniem; co nadto, jest niepotrzebne, a zatém psujące całość. Trzeba tedy wynieść te figury z rzeczywistości, poprzerywać ich stosunki ze światem rzeczywistym, uczynić je niezawisłemi od niego.

Co tu o obrazie i rzeźbie mówimy, stosuje się i do poezyi. Znaj-

dziesz w historyi ludzi, zdolnych być bohaterami w epopei lub tragedyi, a w życiu zwyczajném spotykasz ludzi, mogących być wybornie przedmiotem romansu lub komedyi; ale rzecz jasna, że przenosić ich w sztukę zupełnie nie można w téj formie właśnie, jak ci się w rzeczywistości podobają. W sztuce wyświecisz ich charakter poetyczny, podniesiesz ich do potęgi, a obierzesz ze wszystkich czczych drobnostek, rozpalisz ich barwę właściwą, czyniącą ich dla sztuki osnową. Anibym się ważył przeczyć, iż wiele jest dam, nawet z tych, które mamy szczęście znać, mogących być z piękności swojéj śmiało przeniesionemi w obraz, służyć za modłę jakiéj Minerwy, Junony, Wenus; ale cóż, gdy na twarzy tych rzeczywistych dam wiele jest jeszcze wyrazu, nie mającego najmniejszéj styczności z błogim Olimpem. Cóż dopiéro mówić o sztuce chrześciańskiéj, gdy przyjdzie stworzyć figury świętych postaci? Czyliż w obrazie np. Najświętszéj Panny, tylko o samą piękność cielesną chodzi? a nie raczéj o ducha, który oblicze Matki-dziewicy prześwieca, co gore najczystszą miłością macierzyńską ku dziecięciu swemu, tudzież przejęta jest grozą uszanowania dla Boga swojego; a uczucie niegodnéj służebnicy i szczęśliwość niebiańska Boga-Rodzicielki waży się w tém obliczu nadziemskiém. Ta ducha niepokalanego wysokość jest wzniesiona ponad gwiazdy i serce człowiecze i nie może się wyjawiać na twarzy niewiasty rzeczywistéj, choćby najwyższych uroków, bo w téj, oprócz piękności, świeckie i światowe stosunki, cierpienia i rozkosze, żale i nadzieje ziemskie ciężkiém przeleciały skrzydłem.

Widzisz tedy, iż ideał mistrza nie przebywa w tém pstrém a zmiennem kole zewnętrznego świata, on go z głębi swojéj fantazyi dobyć powinien. Czuł tę prawdę ów kochanek a naśladowniec najwyższéj piękności, Rafael, co w liście do hr. Castiglione przy sposobności Galatei swéj tak się wyraża: „Io mi servo di certa idea che mi viene al mente“. — Zaprawdę, ta to idea jego niebiańska, w tajnikach jego istoty świecąc, zjawiła mu się przed oczyma duszy w postaci Boga-Rodzicy, odzianéj całym cudem niebiańskiego uroku, w postaci lekkiéj, powietrznéj, zrodzonéj z woni rajskich kwiatów i westchnień aniołów; a tak stworzone są Madonny jego. Uważ, iż po wszystkie wieki ideał wypływa z toni ducha mistrza, bo zrodzony jest z głębi jego fantazyi; tak było i w świecie pogańskim, w sztuce greckiéj; patrz na on złoty piękności wiek Hellady, gdy Peryklesa, jakby gwiazdy jasne, otaczał wieniec wielkich ludzi. Jedną z tych gwiazd był Phidias, którego duch, na olbrzymią miarę stworzony, ogarniał sobą cały piękności świat. Cycero, ów Rzymianin, co pochylony nieszczęściem kraju swojego, w szaréj godzinie życia i ojczyzny, lubił marzyć o Grecyi i tęsknie obzierać się na lata tam spędzone w młodości swéj, temi słowami wyraża się o ideale i Phidiasu: „Już ja tego nie jestem zdania, iż w żadnym rodzaju nie ma nic tak pięknego, nad coby nie można pomyśléć wyższéj jeszcze piękności, któréj tamto jest tylko niby odbiciem i wizerunkiem. Ale téj wyższéj pię-

kności, ani oczami, ani słuchem, ani żadnym zmysłem dostrzedz nie podobna; zdołamy ją tylko pojąć myślą i duszą. Tak lubo zaiste nic doskonalszego widzieć nie można, jak posągi Phidiasa i obrazy wyżéj przezemnie wspomniane, ale przecież w duszy jeszcze piękniejsze wyobrazić sobie można. Ani też Phidias, gdy tworzył Jowisza lub Minerwę, nie zapatrywał się na nikogo, biorąc sobie go za wzór do naśladowania; lecz w duszy jego tkwiła najwyższéj piękności modła jakowaś, w którą się wpatrując, w któréj tonąc mistrz, ku niéj kierował rękę i sztukę swoją" (*). Wyznaj, iż ustęp ten jest arcy ważny, i dla tego ci go w całości przytoczyłem. Widzimy wyraźnie, iż owa „certa idea che mi viene al mente" Rafaela, i ta Cyceronowa czyli Phidiasowa „mente insidens species pulchritudinis quaedam", są zupełnie jedno i to samo, są ideałem. Przypominam ci tutaj owo wzniosłe stanowisko Platona, pojmującego ideał jak przypomnienie duszy z olimpijskiego żywota *(ob. List VI)*. A Phidias, Rafael i Plato są zaiste powagą w państwie sztuki. Widzisz tedy, iż ideał nie jest zbiorem piękności porozrzucanéj po wielkiéj liczbie postaci rzeczywistych, ale że w całości z ducha wyrasta, że jest zrodzeniem fantazyi natchnionéj, że jest w zachwyceniu jéj poczętym.

Lecz jeżeli istotnie ideał jest rzeczywistością uprowadzoną przez fantazyę mistrza w nadziemskie ducha krainy, jeżeli iście z téj rzeczywistości spadają okowy ciężkie rzeczy tutecznych, jeżeli ustaje i rozrywa się wszelkie pokrewieństwo z doczesnością, jeżeli ideał się staje osobną niezawisłą całością; więc niedziw, iż téż do tych wysokości nie dochodzą westchnienia ziemskie, że tam nie zagości rozpacz bez nadziei, ani boleść bezdenna. Dzieła sztuki, mówi Schiller, ideały, są to cienie i duchy tamtego świata, mieszkańce niecierpiętliwe pól elizejskich. Więc już rozumiesz, iż wszelkie boleści rozdzierające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce. Ideał ma swoje cierpienia, i boleści i łzy, bo jest z rzeczywistości wzięty, ale one łagodzone są ducha poświatą; a duch jest nieskończony, a duch jest nieśmiertelny, więc téż i cierpienia i boleści zniweczyć go nie mogą. W życiu rzeczywistém człek upada pod brzemieniem swych nieszczęść, wije się w prochu poniżenia swojego, sęp boleści wbija w duszę rany nieskończonego żalu, serce pęka, i śmierć pełna rozpaczy kończy niekiedy żywot nasz. Lecz w ideale po przez łzy i cierpienia świeci nieśmiertelna ducha szczęśliwość. Bo

(*) Sed ego sic statuo, nihil esse in ullo genere tam pulchrum, quo non pulchrius it sit, unde illud, ut ex ore aliquo, quasi imago, exprimatur, quod neque oculis, neque auribus, necque ullo sensu percipi potest: cogitatione tantum et mente complectimur. Itaque et Phidiae simulacris, quibus nihil in illo genere perfectius videmus, et his picturis, quas nominavi, cogitare tamen possumus pulchriora. Nec vero ille artifex, cum faceret Jovis formam aut Minervae, contemplabatur aliquem, e quo similitudinem duceret: sed ipsius in mente insidebat species pulchritudinis eximia quaedam, quam intuens, in eaque defixus, ad illius similitudinem artem et manum dirigebat. (Cic. Orator.)

ideał jest rzeczywistością i duchem zarazem; w nim styka się doczesność i świat tameczny, znikomość i wiekuistość; on nie podlega tedy boleści i nieszczęściu bez granic.

Jak muzyka nie wyraża boleści krzykami, jękami szorstkiemi i przeraźliwym rażącym dźwiękiem, ale boleść ciężka, twarda, topniejąc tonami pełnemi ciepłéj harmonii, rozpływa się rzeką melodyi tęsknéj, rzewnéj; podobnie harmonia i piękność ideału uświęca boleść w innych sztukach wyrażoną, jako w malarstwie, rzeźbie i poezyi; jest to wielko-środowe kwilenie się płaczących aniołów nad śmiercią Syna Bożego w kaplicy sykstyńskiéj w Rzymie, gdy z każdym psalmem jedna z trzynastu świec na ołtarzu gaśnie, niby gasnące gwiazdy w przebitém sercu Matki Bolesnéj. Spojrzyj na rzeźby greckie, a wszędzie znajdziesz, iż rozpacz, skon i całe okropności, rozdzierające dusze rzeczywistych ludzi, w ideale miejsca nie mają. Nawet bardzo wątpliwą jest rzeczą, czyli usta otwarte samego Laokoona otoczonego wężami znaczą krzyk mniéj szlachetnéj rozpaczy. A w tragedyach onych starych wieszczów greckich masz tego cudnéj piękności przykłady; we wszystkich powiewa duch pociechy, a nieśmiertelny wieniec spuszcza się z obłoków na skronie umierających bohaterów. Rozumiem, że nic tak nie maluje pojmowania Greków w téj mierze, jak *Oedipus w Kolonos* Sofoklesa. Oedipus bez wiadomości obciążył się podwójnym grzechem, bo kazirodztwa i ojcobójstwa zbrodnią. Gdy prawda ta w całéj okropności swojéj stanęła przed duszą jego, gdy wejrzał w całą otchłań nieszczęścia, gdy od srogich synów z tronu wyzuty, własną ręką dotknął się oczu swoich, wydarłszy je z ich stolicy, wypuścił z duszy jasny wzroku zdrój, i samowolnéj ślepocie się poświęciwszy, wiekiem i okropnością zsiwiały starzec, o kiju idzie w świat daleki, obcy, szukać przytułku. Początek naszéj tragedyi zaczyna się właśnie od chwili, gdy Oedipus, na córce swéj Antygonie wsparty, doszedł świętego gaju poświęconego Eumenidom, onym boginiom pełnym zgrozy. Wątek jéj zupełnie prosty, ale najwyższéj piękności. W cieniach nocnych gaju tego jest wstęp do podziemnego państwa, kędy już nie ma boleści, a oddech tamtego świata chłodzi cierpienia. Tu czekają go bogowie, by się z nimi i z sobą pojednał, i uprowadzają ze skwaru doczesnego żywota w państwo nieznające łez. A gdy córki rozpaczają, iż w samotności na świecie zostać muszą, pociesza je chór, mówiąc: „Gdy łaską rozwiązały się kończyny żywota jego, uciszcie więc boleści głos. Wszak każdy tak snadnie w nieszczęście wpada!“ — A Tezeus późniéj dodaje: „Utulcie wołanie żalu! ani dzieci ubolewajcie nad ojcem, bo łaskawość świętą obtuliła go ziemią, a bezbożnością byłyby skargi i płacze“. Iście, śmierć bez cierpień i boleści, gdy człek pod skrzydłem bóstwa w inny świat się przenosi, jest najwyższém szczęściem, które człowieka na téj ziemi spotkać może.

Tak w starożytnéj literaturze, zwłaszcza w Sofoklesie, znajdziesz nieprzebrane skarby téj wysokiéj poezyi. A radbym téż kiedy mieć

sposobność porównania w tych listach moich Sofoklesa, największego wieszcza świata dawnego, z Shakspearem, największym poetą literatury chrześciańskiéj. Tu atoli, nie zbaczając z osnowy mojéj, przypominam, jak Shakspeare, mając w tętnie i we krwi uczucie najwznioślejsze ideału, duchem swoim, jakby instynktem, odgadł i zrozumiał ducha przeczystéj piękności, rzucającéj kwiaty czarodziejskie na cierpienia okropności pełne. Tak w *Romeo i Julia*, w końcu, gdy już — już cała czynność śpieszy do rozwiązania swojego, Romeo widząc Juliettę swoją w grobowcu martwą i bez życia — powiada: „Bo tu spoczywa Julia, a piękność jéj napełnia ten nocny śmierci przybytek jasnością promienną. Czyliż ludzie, stanąwszy nad śmierci progiem, raz jeszcze rozweselą się radością? Swiadkowie umierających powiadają, że to jest niby ostatnia błyskawica w śmierci obliczu. Och, jabym wesele to moje nazwał błyskawicą taką! żono moja! Śmierć, co wyssała słodycze tchu twojego, nie wywarła swéj potęgi na cuda uroków twych. Ona nie odniosła jeszcze nad tobą zwycięztwa; oznaki piękności purpurem powiewają jeszcze na ustach i na licach twoich. Tu nie posunęła się skonu chorągiew blada... Tutaj ja zostanę i już nie opuszczę tych ciemności pałaców, tu złożę ciężkie zwłok brzemię, i strącę jarzmo nienawistnych gwiazd z ciała znękanego światem. Wy oczy, spojrzyjcie ostatniém spojrzeniem! wy ramiona, weźcie uściśnienie ostatnie! i wy usta, oddechu wrota, ucałowania waszego pieczęcią potwierdźcie wieczny zapis lichwiącéj śmierci!“ A w końcu dwaj ojcowie wrogich sobie rodzin, Capuletów i Monteków, nad ciałem dzieci podają sobie ręce; ich nienawiść spaliła rozpacz. *Capulet:* „Bracie, podaj mi rękę bratnią“ i t. d.

A w *Hamlecie*, gdy Hamlet umiera, Horatio powiada: „Teraz pęka szlachetne serce — dobra noc królewiczu drogi!“ W tych kilku a prostych wyrazach zebrana jest cała treść życia i skonu. Tak, gdy opona zapadnie na ostatnią scenę tragedyi, każdy rzeknie: *wykonało się*, i położy kwiat na trumnie ofiary doczesności.

Przypatrzmy się wszystkim wielkim mistrzom, a wszędzie obaczym boleść uszlachetnioną, uzacnioną; bo chmury, słoty i pioruny ciągną nad dolinami ziemskiego żywota; do jasnych zaś szczytów ideału nie dochodzą ani słoty, ani chmury czarne, ani gromy piorunów, a ze suchego drewna krzyża cierpień doczesnych wyrastają wonne niebios uciechy. Ale poezya, już dla saméj istoty swojéj, może rozedrzéć tajnice uciech naszych, bo je znów następnie ukoić i ułagodzić zdoła, bo płynąc rzeką swych harmonij unosi nas, to przez czarne i pełne zgrozy przepaści skalne, to znów wyprowadza w promieniste szerokie doliny, lub przypływa w cienie gajów świętych, gdzie rozbolałe serce nasze, jakby Edyp, jedna się z Bóstwa majestatem, co przebywa w toniach serca naszego. Rzeźba jednak i malarstwo, mogące jedną tylko chwilę uchwycić i tę już na zawsze w dzieło wcielić, trudniejsze mają powołanie. Żołdactwo i siepacze, otaczający Chrystusa Pana, we formie jak ich widzimy na dawnych

obrazach niemieckich, są jakby dźwięki przeraźliwe fałszywéj struny, wdzierające się w harmonię ideału. Najwyższy geniusz tu jedynie poradzić przedmiotowi tego rodzaju zdoła.

W téj chwili przypominam sobie dwa obrazy jednego i tego samego mistrza; oba są arcydziełami *Girodeta* (*), oba po dziśdzień jeszcze zbierają w Paryżu tłumy czcicieli około siebie, oba nam się za przykład nadadzą. Jeden wystawia scenę z potopu, drugi scenę z Atali. W pierwszym wody zalały świat; na przodzie trup, kołysany igrą rozhukanych bałwanów; — samotna stroma skała sterczy wśród oceanu — na niéj wyrasta drzewo. Mąż w sile wieku, dźwigając na barkach swoich ojca, zdrętwiałego starca, jedną ręką trzyma się onego drzewa, drugą podaje młodéj i pięknéj małżonce, przytulającéj niemowlę do piersi swoich. Lecz syn starszy, chwyciwszy z przestrachu włosy matki, przechyla ją wstecz; — ona traci równowagę; małżonek z wyrazem okropności, natężając ostatnich sił, zatrzymuje przepadającą żonę; wtém drzewo ciężarem nagięte łamie się, — i cała ta gruppa osób już, już spada w otchłań przewalających się fali. Jest to scena wstrząsająca sercem do dna, i, mimo mistrzowstwa swojego, rani duszę dźwiękiem przeraźliwym i pełnym okropności. Wręcz przeciwne wrażenie sprawia drugi obraz *Girodeta*, wystawujący obraz Atali. Widz postawiony niby w jaskini ciemnéj, obliczem do jéj wchodu obrócony; na przedniém tle, pod jaskini sklepieniem, wykopany grób. Chaktas i pustelnik, spuszczają ciało dziewicy w łono ziemi. Młodzieniec, roztopiony cichym wewnętrznym płaczem, przytula twarz swoją do kolan umarłéj kochanki, a starzec w niemėj boleści cofnął w głębie duszy serca smutek. A w dali, na jasności lasem obrosłego pagórza, świeci krzyż, — koniec boleści wszelkiéj.

Znasz zapewne „zaśnięcie Najświętszéj Panny“, tak pełne słodyczy arcydzieło Schoreela; tu we figurach naokoło stojących nie ma rozpaczy; albo się wpatruj pilnie w ołtarz wielki Maryackiego kościoła i podziwiaj tę świętość i błogość figur otaczających Boga-Rodzicę, co, chyląc się ku ziémi snem znękana i tonąc w marzeniu anielskiém, porzuca życie doczesne. Radbym iście miéć jeszcze sposobność pomówienia z tobą szeroko o tém niedościgłém dziele sztuki.

Sztuka oddycha na wysokościach, kędy nie dochodzi okropność ziemskiego żywota; tu nie dosłyszysz krzyku rozpaczy bez końca. W komedyi nawet, kędy przecież jedynie o żarty chodzi, rzecz nie powinna się rozwięzywać sponiewieraniem zupełném figur. Tu komiczność, a wcale nie obracanie w śmieszność, nie szyderstwo, drwiące sobie kosztem drugich, miejsce miéć może; bo komiczność, lubo wykazuje obłęd ludzi, przecież unika zniweczenia zupełnego figur swoich. Potrzeba, żeby figury komedyi, choć się przekonają o swéj

(*) Anne-Louis *Girodet*, uczeń Dawida, ur. 1767, † 1824 r. Obrazy, o których mowa, znajdują się w galleryi Louvru. (St.)

pomyłce, ostać się jeszcze w sobie mogły, żeby zdołały przenieść na siebie i przetrwać przeciwny im obrót rzeczy. Ztąd wynika, iż ludzie z gruntu źli i ladaco nie mogą być nawet i w komedyę wprowadzeni. Komiczność bynajmniéj nie na tém stoi, by zgnębić, zetrzéć złośliwość i brudy moralne, lecz raczéj na tém, by wykryć sprzeczność w jakiéj się niekiedy stawia indywidualność człowieka z prawdą ogólną lub rzeczywistością. Najwyższym przykładem komiczności jest *Don Quixote;* tu ciągle występują te sprzeczności, wszelako, wśród zawrotów umysłu i mgły obłąkania, strzela błyskawicą światło szlachetnéj i zacnéj duszy. A dopiéro ów nieporównany *Sancho*, co jakby odwrotnym biegunem pana swojego i wręcz jemu przeciwny będąc, jest najgenialniejszém dopełnieniem, bo stroną odwrotną jego.

Nie tu miejsce, bym rozbierał istotę komedyi i komiczności; podam tylko dwa przykłady z naszego Fredry. Któż nie podziwiał arcydzieła jego *Damy i Huzary?* Otóż pan Major, pan Rotmistrz i Grzegórz, wygadują najprzód na małżeństwo i kobiéty, pod niebiosy wynosząc stan wolny i rozkosze jego; niebawem zjazd panny Zofii, panny Anieli i Fruzi, mięsza szyki Huzarom. Każdy z tych panów staje w sprzeczności ze sobą samym i widzi śmieszność swoją i błąd, iż nastawał na małżeństwo jako prawdę ogólną, bo huzary kochają się, chcą się żenić, i w tém druga pomyłka: bo w ich znów wieku małżeństwo staje się niedorzecznością. Komiczny zbieg okoliczności, wyrazy starego Remby, stawiają ich w końcu powtórnie w położeniu komicznem względem siebie samych; jakoż poznają znów sprzeczność między postanowieniem swojém a rozsądkiem. Wracają więc do rozumu, widzą pomyłkę swoją i pobłądzenie; ale choć ich prawda zwyciężyła, nie zabolała ich do żywego; znoszą ją wesoło i z lekkiém sercem żartują sami z siebie. Tak gdy pełni radości cieszą się z sobą i śmieją, a pani Orgonowa wchodząc pyta się: „Cóż tu za wiwaty?“ Rotmistrz wesoło odpowiada: „Obchodzimy powrót rozumu!“ A zacny major kończy rzecz całą zarysem, pełnym szlachetności. Przeciwnie w komedyi *Odludki i Poeta* rzecz inaczéj ułożona, bo rozwięzuje się na tém, iż Czesław z twarzą zmartwychwstałego staje się dobroczyńcą młodych kochanków, a Astolf, drugi odludek, smętniejszy jeszcze, powiada:

„Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w téj dobie,
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiechu nie ma.
..... Koni! bo sobie w łeb strzelę!“ (odchodzi).

W tém wszystkiém przeto nie ma nic komicznego, jak mi sam przyznasz; ten Astolf to człowiek moralnie zabity, wskroś zniweczony. Mniejsza atoli już o odludku. Im więcéj wpatrzysz się i wczytasz w dzieła Fredry, tém coraz nowych dostrzeżesz skarbów prawdziwéj komiczności; i zaiste nie wiedzieć co w nim więcéj po-

dziwiać: czyli tę jego głęboką znajomość świata, życia i serca ludzkiego, czyli też mistrzowskie użycie tych nabytków i prawdziwie artystyczne ich powiązanie. Myślę że i najbogatsza z literatur europejskich jeszcze mogłaby się poszczycić pisarzem, jakim jest Fredro.

Otóż rzuciłem ci główne zarysy istoty ideału w ogólności uważanego. Ale ta istota jego winna być zastosowana do oznaczonego dzieła; wymaga tedy określenia w szczegółach.

Zradza się zatém tutaj przedewszystkiém pytanie, w jakich różnych sferach mistrz może znaléźć ideał swój? Jak stwórcza siła wiekuistego Ojca objawia się w błyskawicznych pomysłach wielkiego człowieka, i w drganiu proszku zawieszonego na słonecznym promieniu, tak twórczy duch mistrza uobecnia się równie na najwznioślejszych ducha jaśniach, jak na zapadłych poniżach natury; wszędzie zdobywa sobie swój przedmiot i wszędzie zatyka sztandary zwycięztwa i podbojów swoich. A ztąd powstają różne sztuki stopnie.

W świecie dawnym nie ma jeszcze wyraźnego stopniowania między sztuką, bo tu rzeczy Boskie i ludzkie zwinięte z sobą drzémią, a świat wiekuisty i doczesny jest nierozdzierzgniony z pierwotnéj swéj jedności; człowiek przez sen swych zmysłów marzy, a Bóstwo z łona ziemi przemawia wyroczni ustami; Olimp wesołą drużyną swych bogów otacza młodzieńczą myśl świata. Tu człowiek nie doszedł jeszcze do rozróżnienia rzeczy niebieskich od ziemskich, nie doszedł do wyraźnego poznania różnicy między sztuką religijną a światową; ta różnica zrodziła się dopiéro, gdy umierający Bóg spojrzał z wysokości krzyża na świat. Świat poruszył się w swych posadach, a z objęcia sennego zmysłów wywinęła się swoboda ducha i sztuka religijna. Bo jak na powiewy wchodzącego ciepła i światła, zadygocą drzewa i gałęzie i wszystkie liście boru, tak myślą o Bogu zadygocą i drgają serca wszystkich ludzi, wszystkich narodów i wieków. Bóg słyszy i rozumie to serc drganie, i mowę wieków i wszech ludów westchnienia, a świat modli się Bogu najzacniejszemi swéj sztuki dziełami, bo sztuką religijną, uzmysławiającą świętość. Ale Bóg-Ojciec, Bóg przedwieczny i bezcielesny, króluje na wysokościach niedoścignych dla sztuki, a ideał poczęty w duchu człowieczym, choć nieśmiertelném skrzydłem wzgórę się ma, przyciśniony atoli postacią zmysłową ziemską daremnie pracuje, by się wzniósł do Bożéj stolicy na najwyższém niebie. Lecz Bóg-Syn, Bóg wcielony, Zbawiciel, zstąpił ze szczytów wieczności, przybrał ciało, a ideał sztuki stworzył wizerunek Boga-Człowieka. Na miejsce bogów, co rozpłynęły się obłokiem, zajaśniała wśród ludzi postać Królowéj niebiańskiéj, i koło mężów, niewiast duchem Bożym natchnionych, i postacie świętych, apostołów, uczniów, męczenników Pańskich; a na miejscu oniemiałéj już wyroczni zabrzmiały jasne proroków usta i rzewnością zapłakały hymny i psalmy święte.

Chcesz-li wiedzieć i czuć, czém jest sztuki świętéj, religijnéj majestat? — wstąp do przybytku katedr naszych katolickich, ale wstąp z sercem pełném wiary. Tu w jedno ognisko zebrane, na co tylko sztuka najwyższa zdobyć się może. Jak niemowlę przejmuje się dreszczem radości, gdy głos matki usłyszy, tak dusza zadrży tęsknotą wiekuistości, gdy ją tutaj owieją tchy innych światów. Tu słupce i kolumny śmiałym strzałem ulatują ku niebu, niby modlitw kamiennych oniemiałe nabożeństwa, a rozwijając się u szczytów jakby gałęzie palm pokoju, łączą się z sobą sklepienia łukami; a w przestrzeniach tych wysokich, rozległych, niby szepty liści gaju, unoszą się uskrzydlone westchnienia i ciche płacze ludu. Przez wyniosłe okna i malowane szyby, grą tysiącznych promieni wpływa światło niebios rozlewające się oceanem po świątnicy, i bije falami wszystkich tonów jasności i cieniów i szarą pomroką wieczora, a łamie się, świeci i cieniuje po gankach wysoko zawieszonych, dzierganych, fantastycznych kamiennych gzymsach... Jest tu wizerunek rozmaitości i ładu, poetycznéj fantazyi i harmonii. Pokój pański zstąpił w ten przybytek i w serce ludu korzącego się Bogu. Rzekłbyś, żeś stanął w przysionku wieczności; uciechy, boleści i nadzieje doczesne, wszystko w duszy umilkło. A ważenie się uczuć naszych, co wiecznie się w nas kołysze, teraz się przechyla; szala rzeczy ziemskich tonie w zapomnieniu, a szala rzeczy niebiańskich wznosi się wiekuistości nadzieją. — Słuchaj: jęknął grzmiący organów głos; chór zabrzmiał hymnem i psalmem na chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wichrów i piorunów wozie; toczy się muzyka i śpiew, jakby bałwany rozkołysanéj powodzi świata, a napełnia przestrzenie wszystkie, odbijając się o sklepienia, łuki i słupce wzniosłe. Świątnica pełna głosów, — to wzdychają, sączą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną, wzdymają się i kołyszą burzą i gromem. A w tych głosach słyszysz modły, prośby natury całéj i miryadów ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił panowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją. Z pod ostrołukich sklepień głowy słupców zadumane patrzą się na klęczący lud. Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan, obliczem pełném miłosierdzia rozgrzewa nadzieją i miłością duszę, roztapia najtwardszych serc mrozy strumieniem łez; z nisz i ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowemi ustami przemawiają o tajnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieczego i przeznaczenia świata. Tu na téj ziemi żyjesz a widzisz postaci niebiańskie, zaglądasz w życie nieśmiertelne, widzisz je cielesnemi oczyma swojemi i słyszysz słuchem twojego ciała.

Zaiste, tać jest wszechmocna potęga sztuki religijnéj, bo ona jest szczytem sztuki wszelkiéj. Gdy bowiem w sztuce wyraża się nieskończoność i bezwzględna prawda pod postacią zmysłową, więc też sztuka religijna, uzmysławiając najwyższą nieskończoność, to jest Boga samego, staje się zarazem najwyższym sztuki szczeblem. Ideał

tu jest w najwznioślejszéj swojéj sferze. Lecz sztuka religijna, jedynie na gruncie wiary serdecznéj urość i rozkwitnąć może; gdzie téj nie ma, nie ma téż sztuki religijnéj. Protestantyzm zrodzić jedynie sztukę historyczną zdoła; a gdy we Francyi lampa wiary się wywróciła, sztuka zajęła się ubóstwianiem, apoteozą człowieka wieku: piastą jéj stał się Napoleon.

Jak słońce jasność swoją nie po samém tylko niebie rozlewa, i na niém zapala gwiazdy niby świece w przybytku Bożym, lecz i na ziemię spływając, gore na szczytach alpejskich, a ztamtąd tonąc w zapadliny ziemskie, zaziera ciasném okienkiem pod nizką strzechę człowieka; tak i ideał zstępuje na ziemię i stwarza sztukę światową. Czém są w sztuce religijnéj męże święte, duchem Bożym natchnione, tém w sztuce ziemskiéj są wielcy ludzie, wielkie figury historyczne, mające już jasną wiedzę tego, co w reszcie świata spoczywa jeszcze bezwiadomie na dnie serc wszystkich, jakby ziarno przyszłéj historyi. Takie figury w dziejach świata wyobrażają w swéj osobie narody całe i całe wieki; a co w innych ludziach jest dopiéro boleścią, nadzieją mglistą, uczuciem, mdłym instynktem, u nich staje się myślą, potęgą zgadującą czasy, co idą, pojmującą pulsa wieku i będącą wyrocznią świata, tudzież wolą silną, działającą. Albo téż ideał chwyta ludzi wielkich charakterów, w których potęgą się wzmogła jedna z ciężkiéj wagi prawd, jako: chęć sławy, przywiązanie rodzicielskie, synowskie, cześć dla prawdy i słuszności, miłość, przyjaźń, i tym podobne prawdy poruszające serce człowiecze, a którym się owe wielkie charaktery poświęcają i życie za nie dają. Tak psalmy, hymny kościelne, obrazy i rzeźby święte, zamieniają się na dzieła sztuki światowéj, na ody wzniosłe, na epopeje, tragedye, na posągi i popiersia czczące pamięć ludzi jasnéj chwały. Tu należy także malarstwo historyczne, będące apoteozą wielkich mężów i wielkich czynów. Podobnie muzyka kościelna, święte oratorya, w sztuce światowéj staje się arcydziełem muzyki scenicznéj i opery, lub pieśnią poruszającą państwa całe i ludy, (jak *Rule Britania*, — *God save the king*). A architektura katedr i świątnic zamienia się tutaj na budownictwo świeckie, dźwigające grody, pałace rządowe, gmachy publiczne, teatra, galerye, biblioteki, akademie, które kraj cały na chwałę swoją stawia. Te są zjawienia ideału w sztuce światowéj. Lecz sztuka ta ma jeszcze inne poniższe szczeble, bo nawiedza poziomą sferę życia codziennego i prywatnego, w którém architektura stawia skromne dworki, domki sielskie, szałasze tatrzańskie, dzwoniące altanki chińskie, mosty ogrodowe, domy schludne po miastach. A malarstwo stwarza obrazy obyczajowe, bamboccyady niderlandzkie. Poezya zaś téj sfery staje przed nami w kształcie romansu, powieści, komedyi. Rzeźba stawia nagrobki, pomniki przyjaźni i t. d.; a muzyka zawtóruje wesołym pieśniom i przygrywa tanom hożym.

List Dziesiąty.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału. — Dzieje Polski. — Murdelion Kaczkowskiego. — Świat sielankowy. — Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy. — B. Zaleski, W. Pol. — Czasy bohaterskie Grecyi. — Wieki romantyczne. — Cooper. — Walter-Skott. — Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie ideałów. — Sytuacya. — Panteony chrześciańskie. — Indye i Egipt. — Figury ze sytuacyą spokojną. — Przykłady z rzeźby klassycznéj i nowoczesnéj. — Malgorzata we Fauście. — Julia Shakspeara. — Kollizya. — Powody które wywołują kollizye. — Powody przyrodzone. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo. — Rebeka Walter-Skotta, Ofelia. — Kollizya wywołana czynem. — Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara.

Złe. — Powody działania w sztuce. — Pathos. — Miłość. — Charakter. — Achilles. — Romeo. — Wallenrod. — Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki. — Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika.

Pewnego razu, właśnie pod chwilę wieczorną, około kopalni Falunu w Szwecyi powstał znienacka ruch nadzwyczajny. Kobiéty, dzieci, górnicy, starcy, ożyli jakimś pośpiechem, zbiegając się zewsząd hałaśną ciżbą i rozprawiając z sobą — a wszyscy zbierali się w jedno miejsce, jakby wspólne ognisko swéj ciekawości i trwogi. Niesłychane jakieś dziwo przydarzyć się musiało! Bo zaledwie te głośne tłumy stanęły kołem, a już każdy, cofnąwszy głos w siebie, umilkł zgrozą i podziwieniem, i niemy wpatrywał się w osobliwe zjawienie. Wśród koła osłupiałych cichych widzów, spoczywał leżąc na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uśpiony; odziany był obcym strojem, nieznanéj twarzy. Nikt nie znał tych rysów jego i téj młodocianéj postaci; odzież i bielizna świeża, nowa — a ciało było miękkie w dotykaniu. Znaleziono go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiąkły ciało jego i ochroniły od zepsucia. Z ciemnicy podziemnéj wyniesiony na jaśnią dnia, zadziwiał zjawieniem swojém; późne, jemu obce, pokolenie nie zasłyszało nawet podaniem o tém nieszczęściu biednego górnika. On, co do imienia nawet wygasł w pamięci ludzi i umarł nawet w ich mowie; teraz leżał niepoznany, zimny, martwy, niezrozumiany wśród cudzego mu świata; postać jego w żadném sercu nie zbudziła już wtórujących dźwięków, w żadnéj duszy nie odezwał się współczucia głos. Sam jeden, spokojny i niemy wśród żywéj społeczności ludzi, co teraz głuchym i przytłumionym szmerem obstąpiła go ciekawą

gromadą. On był zaiste towarzyszem młodości ich dziadów. — Ale gdy już cichym szeptem nawzajem się pytają, ktoby mógł być ten młodzieniec, kiedy daremnie badają wspomnień starców zgrzybiałych — patrz, jakaś matunia na kulach, złamana wiekiem, okryta bielą późnéj siwizny, chwiejąc się, drżąc, przydźwiga się wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia. Z lękiem w sercu, z nadzieją i boleścią w oczach, już przecisnęła się przez widzów grono — topi wzrok przygasły i duszę w bladém obliczu martwego młodzieńca. Znagła te jéj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na twarz, i z jękiem, w który się cała jéj przeszłość wcieliła, rzuca się na umarłego młodzieńca, pokrywa zimną twarz jego gorącém pocałowaniem i rzewnemi łzami bolesnéj radości. — To jest narzeczony jéj! to jéj kochanek! — On przed pół stuleciem był jéj zaślubiony, i właśnie przed samemi godami weselnemi zginął gdzieś z powierzchni ziemi. Nikt wtedy nie przeczuwał, iż młody górnik, samotnie spuszczając się w otchłanie kopalni, zapadł się w jéj głębiach. Cały świat go zapomniał, atoli pamięć jego gorzała jasnym płomieniem w sercu kochanki; — ona przez pół wieku dochowała mu wierność i miłość rzewną. Tak nadzwyczajna ta para kochanków, znów po latach pięćdziesięciu obchodziła złote wesele swoje. On młody i piękny, jakby w poraniu żywota swojego — lecz zimny, martwy, bez czucia i niemy; — ona zgrzybiała, nachylona ku ziemi, lecz z ciepłém i bijącém sercem, pełna życia, pełna jeszcze gorącéj miłości i tkliwego kochania.

Podobnie, drogi przyjacielu mój, jak ten górnik biédny, tak postać idealna będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie. Ideał, poczęty w tajnikach fantazyi mistrza, i z tych świętych głębin wyniesiony w cudzy świat, w cudzy wiek i społeczność obcą, wzbudzi jedynie nieme podziwienie, będzie gościem z innego świata; nikt go nie pojmie, nikt go po imieniu nazwać nie zdoła, nie wzbudzi w nikim współczucia, żadnego serca dźwięk nie połączy go z tym światem obcym; będzie dla wszystkich umarłym, głuchym i niemym. Jednak dusza mistrza go pozna — on dla niéj nie będzie obcym; ona sama wśród ludzi dochowa oblubieńca zarysy i uświęci kochanie swoje uściśnieniem gorącém, bo on jéj zaślubiony z dawnych lat; ona dochowała mu wierność i miłość rzewną, i wśród obcego świata odprawi z nim złote wesele swoje (*).

Zważ — czyliż dość, aby figura poetyczna, aby ideał wystąpił z ducha mistrza pełen piękności? Czyliż nie powinien miéć jeszcze za tło swoje, za grunt żywotny, świat dla siebie stosowny, świat

(*) Zdarzenie to już często wierszem i prozą opowiedziane zostało. Fr. Hoffman na jéj tle rozwinął jednę z najpiękniejszych powieści swoich. Leonhard w tomie III swéj Geologii przytacza napis grobowy tego górnika. Ja poszedłem za Schubertem.

idealny? A czyliż każdy wiek, każdy kraj i społeczność każda jest stosownem otoczeniem i ramą dla ideału? Rozwiązanie pytania tego bez trudności nam się wyświeci, skoro przypomnimy sobie z listu zeszłego istotę ideału. Wszak powiedzieliśmy tam sobie, iż do ideału głównie należy, aby był całością w sobie zupełną i odosobnioną, aby zatém nie był wiązany stosunkami do rzeczywistości, aby nitki zewnętrznego świata nie krępowały swobody jego duchowéj. Winien tedy być w takim osadzony świecie, w takim stanie towarzystwa, któryby nie wiązał stosunkami osobistéj swobody człowieka, któryby nie krępował zupełnego rozwinienia indywidualności pojedynczych. — Potrzeba tedy dla ideału taką wynaléźć rzeczywistość otaczającą go w koło, aby był zupełnie niezawisłym, aby cokolwiek czyni, czynił przez siebie, bez wpływu obcego, a nawzajem, żeby na siebie samego brał skutki swojego postępowania i odpowiedzialność za czyny swoje. Bo gdyby działał nie wedle siebie, ale wedle obcego natchnienia i okoliczności, jużby te czyny jego i skutki ich w części tylko od niego zależały, a on sam byłby tedy jedynie czémś cząstkowém, czémś ułomkowém, a nie jedną całością w sobie skończoną. — Widzisz tedy, iż ten świat będzie tylko poetycznym i stosownem otoczeniem dla ideału, w którym człowiek może ruszać się, żyć, działać i walczyć; i gdy wypadnie, legnąć nawet wedle woli a przekonania swojego. Atoli nie każdy naród ani wiek jest objawieniem takowego stanu.

Oto — weź naprzykład dzisiejszy prozaiczny stan Europy cywilizowanéj. Czyliż nawet pomyśléć można, aby mistrz, stwarzając figurę pełną poezyi, a pełną poezyi w myślach, uczuciach i czynach, mógł ją postawić w stanie społecznym, w jakim żyją kraje oświeconéj Europy? Czyliż nawet przypuścić można, aby tutaj ktoś mógł postępować zupełnie wedle własnego natchnienia swojego, nie obzierając się w koło siebie i nie mając względu na żadne stosunki z rzeczami i ludźmi, i sam w czynach swych być całością w sobie zamkniętą i odosobnioną od rzeczywistości, w któréj żyje? — Jest to zgoła niepodobieństwem. Bo zważ, im kraj na silniejszych dźwigniony podwalinach, im ukształcenie ogólne jaśniejszym dniem zalało umysły wszystkie — tém też silniéj ustalony ogólny porządek rzeczy, tém też liczniejsze i mocniejsze są węzły łączące ogół i wszystkie indywidua z sobą — cały organizm kraju składa ścisłą całość. Tu nie tylko prawa, ustawy, przepisy, prawidła rządowe, lecz również wielką, a może większą powagę jeszcze mają obyczaj, zwyczaj, zdanie ogólne, formy towarzyskie, a nawet moda. Tu wszystko, tak najważniejsze życia sprawy, jak rzeczy najdrobniejsze wzięte są w karby, w rubryki wiążące wszystkich nieprzebitą siecią. Tu zacząwszy od najwyższego szczytu towarzyskiego aż do najbiedniejszéj chatki, nikt z tych karbów, z tych ustaw, praw, obyczajów, opinii publicznéj wylamać się nie może; każdemu ściśle przepisana droga i sposób postępowania; nie on rzecz prowadzi, ale rzecz jego. Gdyby

kto sam chciał pójść własnym torem, a nie pytając się o wyobrażenia przez wszystkich innych przyjęte, zechciał wedle własnego, osobistego przekonania postępować, zderzyłby się ze wszystkiemi, wystąpiłby w otwartą walkę, w którejby bez zwłoki uległ ze stratą swoją. Wszak formy towarzyskie choćby drobiazgowe, strój nawet, są tak twardo krępującą normą, iż też nikt nie waży się puścić własną fantazyą, a cóż dopiéro rzec o ważnych życia sprawach; tu wszystko stereotypem się stało, bo nie ludzie, ale prawa, ale przepisy rządzą. Tu wszyscy nawzajem tak ściśle z sobą połączeni, iż nikt ruszyć sobą nie może bez ruszania razem wielkiéj liczby innych ludzi.

Jakoż w świecie takowym, zwłaszcza w jego życiu towarzyskiém, wszechwładnéj potęgi są zewnętrzne formy; formy te nawet równie potrzebne jak wewnętrzna treść, a formy żądają raczéj czém nie być, niżeli czém być. Stan taki jest stanem prozy i wbrew przeciwny wszelkiéj poezyi, bo węzły rzeczywistości i stosunki z otaczającym światem tak każdego wiążą i krępują, iż ani pomyśléć można, by się z tego świata wyosobnił, i stał się całością w sobie zupełną i ukończoną. Jest to stan rozumowy, bo nie samowolność pojedynczych myśli, ale prawo, ale przekonanie wszystkich ma wagę i znaczenie, i dla tego ma wyższość nad wszelkim stanem poetycznym, który jest stanem walki wszystkich ze wszystkiemi. Uważ, jak w stanie podobnym rozumowym i prozaicznym, jak dzisiejszy stan nasz, małe jest kółko, w którém ludzie pojedynczo wedle woli swojéj działać i postępować mogą; jestto bowiem kółko samych spraw li osobiście nas dotykających, do niego też więc należy miłość, przyjaźń, powaga rodzicielska, przywiązanie małżonków, dzieci, stosunki majątkowe i t. p. Tu mieści się cała ta ona wojna i walka na szpilki tak drobiazgowa, choć niekiedy tak bolesna. Patrz, ów się kłopoci, iż ma syna ladaco, ten ci się zawiódł na kupnie, tamten się zakochał i szczęśliw jak w niebie, że stanął u celu swych życzeń, tu matka biedzi się z dorosłą córką, ów nie może się ognać wierzycielom, na tego spadła bogata sukcessya, tamten znów trapi się, że go awans ominął, lub że mu się zaloty nie poszczęściły, ten tłumi się z ludźmi, ów rozwodzi się z żoną; wszystkie zaś tym podobne sprawy mogą być jedynie treścią dla powieści, romansu, komedyi, obrazu obyczajowego; ale epopei, ale tragedyi lub obrazu historycznego nikt z téj treści nie złoży, i właśnie też dla tego sama komedya, powieść, romans, żyć i mieścić się może w tym świecie powszedniego życia. Czuł to dobrze Schiller, bo gdy zapragnął w życie towarzystwa już uorganizowanego wprowadzić figurę poetyczną, stworzył tę olbrzymią postać Karola Mohr, i uczynił go zbójcą. Utwór kolosalny — lecz złamany w sobie na dwoje: bo bierze na się obronę tego, co wielkie jest na świecie i szlachetne, a sam jest złoczyńcą i zbrodniarzem — olbrzym, zakrawający na karykaturę. — Ani też nikt nie zaprzeczy, iż kalabryjskie bandyty i opryszki nasze karpackie, nie

uznające ustaw i praw, i wodzące ze społecznością wojnę, są to zaiste figury pełne poezyi.

Nie ma tedy wątpliwości, iż stan, w którym społeczność ludzka wyrobiła z siebie niezachwiany porządek i ład, w którym wola ogólna i sposób pojmowania wszystkich jest niby ich atmosferą, którą oni oddychają, taki, mówię, skład społeczności nie jest dla poezyi stosownym. Dla tego mistrz, choć sam będzie członkiem społeczności takowéj, sięgnie duszą po za téj szczupłéj rzeczywistości szranki, inne stworzy kraje, inne dla siebie światy; a myśli jego i uczucia i ideały, te dzieci geniuszu, choć zrodzone w zimnym świecie prozy, roztulają skrzydła swoje, i niby ptaków wędrownych stado, ulecą przed mrozami rzeczywistości ziemnéj, dążą po przez te jéj góry, skały, równiny, do krainy poezyi, do swéj ziemi obiecanéj, któréj nie zaznały nigdy, w któréj zima nie zapada, kędy chłody rozsądkowe nie zawieją, kędy wiecznie się uśmiecha do duszy wiosna, a przewodzi im do rajskich krain mistrza wszechmocne tchnienie.

Jeżeli tedy jasno nam się wykrywa, jaki to stan świata nie jest stosownem tłem dla ideałów, tém samém się już wykazuje, jaki jest istotnie właściwy stan dla nich. Rzecz jawna, iż takowym stanem może być tylko ten, w którym społeczność ludzka niezwiązana i nieustalona ścisłym organizmem, w którym stosunki wzajemne ludzi nie są złożone szczelnie z sobą, a zatém stan taki, który albo *jeszcze* nie uorganizował się mocno w sobie, albo taki, który się *już* zdezorganizował, który się rozstępuje już ze spojów swoich i rozlatuje na części. Tak tutaj, jako i tam, ludzie wyżsi od tłumów poziomych świecą niby Tatrów głowy po nad ciemne doliny; na nich to najpierwéj zapala się zorza nadchodzącego świtu, na nich najpóźniéj gaśnie dzień jasny, i gdy głębie pokryte już mgły namiotem, ich czoła jaśnieją jeszcze purpurą zapadającéj przeszłości. Bliżéj gwiazd, sąsiadują z niebem, ale bliżéj téż gromów niebiańskich; a gdy ziemia zadrży w swych posadach, one harde szczyty runą w sobie i przepadną, ogromem swym napełniając otchłanie. Patrz na ostatnie chwile skonania Grecyi lub Rzymu, na owo krwawe pasowanie się, co wyprzedzało upadek Syonu, a masz przykład jawny, jak ciężkiéj są wagi ludzie pojedynczy w czasach, gdy się cała przeszłość zapada i w sobie się roztrąca. Takim téż stanem rozpadania się społeczności była Francya podczas wywrotów towarzyskich, przy końcu stulecia zeszłego. Dawne stosunki się rozwiązały, a indywidualności oddane własnéj sile swojéj, na sobie oparte, i swoje i obce dźwigały losy i mogłyby być treścią stosowną dla tragedyi lub historycznego obrazu. Podobnie téż dzieje Polski, poczynając od śmierci ostatniego z Jagiellonów, z téj saméj przyczyny są czasem i wiekiem obfitym w poezyę i we figury idealne. Rozumie się samo przez się, że w epokach przejścia, gdy stan dawny społeczeństwa się rozkłada a nowe zapatrywanie się na rzeczy jeszcze nie nastało, wtedy ze saméj istoty rzeczy wypływa, że zwyczajne charaktery czyli raczéj figury bez

charakteru, jeszcze bardziéj spłowieją i stracą wydatność indywidualną konturów swoich; a ludzie o wyższéj, mocniejszéj potędze duchowéj, nie mając właściwego pola dla siebie, skręcą się w sobie i spaczą się we figury dziwaczne. Taki świat widzimy malowany z talentem znamienitym bardzo w Murdelionie Kaczkowskiego; świat bezbarwny otacza w koło główną figurę spaczoną, będącą koniecznym wypływem czasu swojego. W samym Murdelionie złamały się dwa światy, więc i on jest figurą złamaną w sobie.

Podobnych przykładów rozstrajającéj się społeczności mógłbym ci wiele przytoczyć z historyi, przecież stanem równie poetycznym, a może więcéj mającym uroku, jest stan społeczności, który się dopiéro rodzi, który nie oparł się jeszcze na silnych posadach swoich, w którym cała przyszłość dopiéro ziarnem zwinięta. Czyliż tedy dziwno, iż właśnie w chwilach przekipiałéj cywilizacyi, w epoce wbrew przeciwnéj wszelkiemu rozwinięciu się osobistemu, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niewolnicze jarzmo konwenienciyi, ciężar krępujących uprzedzeń, śmiesznych wymagań, gdy ciało i umysł chodziły w szatach obcisłych, dusznych, gdy kał plugawy zepsucia znieważył zacność ludzi i zdrowy rozsądek, cóż dziwnego, mówię, iż w takim czasie umysł, obrzydziwszy sobie rzeczywistość i tknięty niewypowiedzianą tęsknotą, marzył snem dziecięcia o życiu bez zbytków, bez pragnień i pełném prostoty, bez zawisłości od tysiąca obmierzłych więzów, ściskających niezawisłość osobistą, słowem, iż zamarzył o życiu pasterskiém niby o raju lśniącym wszystkiemi barwami wyobraźni, i że tak zrodziły się sielanki? Świat pasterski, świat sielankowy zdawał się być gruntem osobliwie nadającym się dla ideałów sztuki. Lecz stan ten niewinności i prostoty jest zarazem ziemią jałową i głuchą; tu nie wyrośnie silna i potężna poezya, tu nie wzniosą się czyny ogromne, zajmujące umysł i serce swą potęgą, bo w życiu pasterskiém o zbyt małe rzeczy chodzi. Wszystkie chęci i trudy serca ograniczają się tutaj kilku owieczkami, kózką, a walką na fujarki i piosnki. Największém nieszczęściem jest stracona krówka i nieczułość lub niewierność jakiéj pasterki, a gdy się pasterz bardzo zatnie, to grożąc zaśpiewa: „Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła: Phyllis sroga Dafnisa zabiła“. A na téj groźbie się też wszystko kończy.

Małe pokolenia zwykły płakać, czytając Gesnerową (*) *Śmierć Abla*, i zaiste dobrze jest, że nad tém płaczą; mimo tego przecież trzeba przyznać, iż rzecz ta cała, jak wszystkie sielanki tego rodzaju, jest zupełnie bladą, mdłą i bez koloru. Budowanie chatki, ptaszek umarły, kwiat skonały, i tym podobne drobnostki, za zbyt małéj są wagi, by się niemi zajmować; a po zabójstwie samém płaczliwy Adam

(*) Salomon *Gessner*, znany poeta szwajcarski, ur. 1730, † 1787 r. (St.)

i sentymentalna Ewa tak są słodkawe, tak mdłe, iż budzą ckliwość a nie podziwienie, bo to są ludzie bez czynu. Inaczéj, lubo nie o wiele doskonaléj, postąpił sobie znów *Voss*, wprowadzając sielankę w życie już ucywilizowanych Niemiec. Jakoż te obrazy sielskie jego są wbrew w sprzeczności z sobą, bo jego bohatery sielanek chodzą sobie w szlafrokach w wielkie kwiaty, palą fajki, piją kawę, i dla scen sielskich wyjeżdżają sobie fiakrem na dzień jeden na wieś. Kto zaś kawę pije, fajkę pali, w szlafroku chodzi i fiakrem jeździ, winien już tém samém koniecznie żyć w społeczności silnie uorganizowanéj, mogącéj dostarczać tych przedmiotów mocą rozwiniętego już i rzeskiego przemysłu; a tu przecież cały cel sielanki na tém właśnie zależy, aby wystawić świat nieuorganizowany jeszcze, społeczność pierwotną, w któréj człowiek szczegółowy jest zupełnie niezawisły i sam na sobie się opiera. Poezye tego rodzaju mają sprzeczność w samym zarodzie swoim, a figury ich niby sielskie są tak czcze, tak beztreściwe, jak one Dafnisy, Tyrsysy, Damony i Phyllidy sielanek zwyczajnych.

Dla tego cześć niechaj będzie *Kazimierzowi Brodzińskiemu!* bo jeżeli słusznie estetycy niemieccy wielbią powieść *Herrman und Dorothea* z tego, iż *Göthe*, kreśląc ją na tle ważnych wypadków, wstrząsających całą Europą, bo na tle rewolucyi francuzkiéj, podniósł tém samém znaczenie wątku całego téj powieści, my również prawo mamy wielbić Brodzińskiego, iż za dno obrazu rozwiniętego w *Wiesławie* wybrał wielkie wypadki świata, bo wojnę, co rozwinęła sztandary swoje po całym świecie współczesnym. A tak na całéj téj jego powieści tak skromnéj, rzewnéj i prostoty pełnéj, rozlana jest łuna wielkiego zdarzenia, co świeciła nad światem i historyą jego. Brodziński w jednym liście nazwał się tylko skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniéj, z pierwszym świtem, przebudził literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem, rozlegającéj się po kraju całym poezyi. Tak Brodziński o sobie mówi, ale te pieśni jego i ta uczciwa o nim pamięć nie zamilknie, a będzie śpiewać i dzwonić w duszy ludzi, póki zacność będzie we czci na świecie. On to był rejem w nowéj epoce literatury, a tak zacnie jéj zaprzodkował.

A warto też tu z miłością wspomnieć o starych sielankarzach naszych z XVI i XVII wieku, i od serca im się pokłonić. Ich poezye po większéj części są jedynie sielankami z imienia, bo wyższa treść i głębsze znaczenie na dnie ich się ukrywa; czyli roztaczają krwawe ustępy ze spółczesnych dziejów, czyli rozwiną jakąś satyrę łzami pisaną o biedzie społeczeńskiéj, czyli się innego dotkną przedmiotu, zawsze znać, iż tam podłogą jest pełne grozy uważanie rzeczy i pojmowanie wyższe niż zwykle w sielankach bywa. Tutaj możeby było miejsce dla rozprawy bliższéj o romansach pasterskich, któremi między innemi celował Cervantes. Nie trudnoby nam było wykazać, zkąd im się bierze ten dźwięk tak pełen uroku; przecież miléj jeszcze

zaiste przyjmiesz, gdy zwrócę uwagę twoją na ów cudny obrazek B. Zaleskiego, w którym maluje nam rodzinę Przenajświętszą; jest to sielanka święta, owiana tchem świeżym, uroczym, jakby wiosenny pacierz natury, a szczegóły wszystkie z taką miłością obrobione, żebyś rzekł, że to dyamenty świecą oprawne w złoto, gdybyś ich nie wolał porównać do rosy, co z nieba zrodzona spuściła się na kwiaty, błyszcząc światłością niebiańską, promieniejąc tęczy barwami. Tak też i W. Pol całym urokiem wysokiego talentu skreślił owe poemaciki małe, co to niby sielanki tak są proste i naiwne i znów tak są rzewne jak pacierz dziecięcia; są to sielanki podobne do onych obrazów mistrzów włoskich, przedstawiających to Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Świętém, to rodzinę Świętą. Wśród cudnie pięknéj natury, widzisz Pana Jezusa i Ś-go Jana bawiących się sobie to kwiatkiem, to ptaszkiem, to igrają z sobą; a w tych igrach i kwiatach taka lubość, taki wdzięk niewinności rozlany po tych malowaniach, żebyś rzekł, że one snem wdzięcznym anioła uśpionego w rajskich ogrodach, gdyby znów z oczu Matki Przenajświętszéj nie patrzało przeczucie o przeznaczeniu jéj dziecięcia, gdyby z oczu samych pacholątek nie promieniła wiekuistość.

A zaprawdę, stan społeczeństwa sielankowy, lubo zostawuje pojedynczym ludziom całą niezawisłość w działaniu, lubo nie matwa stosunkami wolnego ich ruchu, przecież ta niezawisłość, ani ten ruch wolny nie prowadzi do rezultatów ważnych, ztąd też poezya taka jest zupełnie ckliwa i mdła. Malarstwo tu snadniéj sobie poradzić zdoła, gdyż te figury pasterskie mogą mieć znaczenie obrazu obyczajowego, a nawet owce, kózki i inne zwierzęta, należące do ich dworu, mogą być przedmiotem mistrzowskiego pędzla, a nadewszystko urok otaczającéj w koło natury zmienić może rzecz całą na pejzaż wielkiéj wagi i wysokiéj wartości; przecież one wartości obrazów historycznych nie osiągną nigdy.

Nie samo atoli życie pasterskie jest stanem niezawisłości osobistéj indywiduów, znajdziesz ich wiele jeszcze, byle się historyi i geografii poradzić. Owoż, ten stan Grecyi dawnéj, one czasy jéj na poły mitologiczne, zwyczajnie bohaterskiemi zwane, a którebym nazwał epoką romantyczną świata klassycznego, są to czasy bohaterów Homerowych tak cudnemi barwami skreślone w Iliadzie i Odyssei. Tu znajdziesz ludzi całkowitych z jednego odlewu, od nikogo niezawisłych; królowie nawet w rzeczach potocznych sami sobie wystarczają, własnoręcznie biją i sprawiają sobie woły i pieką je; każdy sam sobie przyrządzić zdoła, co mu do życia potrzebne; lecz ten żywot nie na samych tych błahych sprawach im schodzi, bo to nie są głuche łupiny i słodkawe Tyrsyse; są to ludzie czynów wielkich, męże z pełném sercem a przeważną głową, niosące jakby na barkach swoich świat, do którego należą, a co który zdziała, zdziała sam przez siebie, nie oglądając się na nikogo wcale. Biorą też całe brzemię odpowiedzialności za czyny swoje na siebie, stawia-

iąc życie swoje na szańc. Żadne też względy ich nie wiążą. Ich stosunek np. do Agamemnona, onego króla królów, pochodzi z ich własnéj woli; słuchają go, póki takie ich upodobanie, a gdy im się to nie zdaje, idą za własnym popędem. Atoli czas ten nie tylko jest treścią Homerowych Epopei, jest on też przedmiotem tragedyi greckiéj. Tak Aeschylus jak Sophocles i Eurypides w tym czasie heroicznym osadzali tragedye swoje; jedna tylko tragedya *Persowie* Aeschylusa odbywa się w okresie późniejszym, bo w czasie wyprawy Xerxesa na Greków; ale za to odbywa się w Persyi, w kraju barbarzyńskim, dalekim od współcześnie wzrastającéj cywilizacyi greckiéj.

Oto i świat chrześciański ma wieki swoje idealne a pełne poetyczności; są to wieki bohaterskie nowoczesnéj Europy, epoki romantyczności, słowem, wieki średnie — rycerskie. Okres ten pełen cudów ułudy, trwał blizko lat tysiąc, a poetyczność jego spoczywała w saméj istocie jego. Feudalizm podzielił kraje na drobne dzielnice, a każda dzielnica była całością dla siebie; a kto ją posiadał, był na niéj udzielnym, niby królem u siebie, bo lekkiém tylko ogniwem wierności i honoru połączony z lennodawcą swoim; i o tyle mu obowiązan przybyć z chorągwią na posiłek, o ile się to zgadza z honorem; w pewnych razach mógł nawet *guerroyer le roi*. Przy téj nieuległości samego składu państwa, rozwija się najwyższa niezawisłość indywiduów. Rycerz, byleby miał zbroję i konia, jest panem siebie, rzuca się w świat daleki, niczyjéj nie potrzebując pomocy, sam sobie wystarcza; nocował, gdzie go noc zapadła, a w najgorszym razie upolował w borze królika, sprawił, i posypawszy solą zjadł na surowo; a tak posiliwszy się tą *nourriture des héros*, ruszył daléj na obronę sierot, wdów skrzywdzonych, i badał, czyli nie ma gdzie jakiéj cierpiącéj niewinności, potrzebującéj walecznego jego ramienia, a przy podanéj sposobności kruszył kopią za niezrównaną piękność damy serca swojego; niczém nie był wiązany, w sobie samym czerpał całą siłę swoją. Dziś takich rycerzy błędnych, chwała Bogu, nam już nie potrzeba, nie mieliby się czego fatygować ku obronie uciśnionéj niewinności; dziś jedynym błędnym rycerzem jest — żandarm.

Wpatrując się w ten obraz tak bogaty w tych rycerzy i turnieje, pustelniki, i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi świętéj, w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanteryę i męztwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migocze, błyszczy barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drzémie uśpiony na łące pełnéj poezyi kwiatów, któremi dech poranny powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu. A tak świat ten piękny drzémał, i marzył i śnił, póki go nie zbudził huk broni palnéj i silniejszy jeszcze głos myśli wcielonéj w drukowane księgi. Gdy bowiem proch i druk, dwojaka broń, bo materyalna jedna, duchowa druga, wystąpiły na jaw, już ród ludzki nagle podrósł, w okamgnieniu spoważniał i spojrzał się w koło siebie

i w siebie okiem pełném grozy, przestał być młodzieńcem i poznał, że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopią ale duchem na ostre pogonić. Atoli jak oczy umierającego przed samém skonaniem niby gasnąc raz jeszcze migną jasnością, tak też nim ten czas średniowiekowy skonał, nim go historya pochowała w wieczności grobie, raz jeszcze zaświecił potęgą, raz jeszcze w oku swém zebrał błyskawice całéj swéj istoty; temi oczami konającego średniowiekowego świata były sztuki piękne.

Patrz, on czas zapadający się w dziejach spojrzał na nas duchem Leonarda, Dürera, Ariosta, Michała Anioła, Raphaela, Correggia, Camoensa, Tassa, Cervantesa, Shakspeara. Cały ten wieniec gwiazd jaśniał prawie w jednym czasie; wielu z tych mężów znało się nawzajem z sobą, i nawzajem mieli się we czci i uszanowaniu. W nich, jakby w ognisku, zebrały się promienie całego romantycznego świata; stanęli oni na progu dwóch epok dziejowych, a obok nich męże, jak Kopernik, Baco, Galileus i Kolumb, co należąc już całą duszą do historyi nowoczesnéj, roztworzyli szeroko wrota dla nadchodzącego nowego porządku rzeczy, który miał zająć stolicę świata moralnego po zgasłym wieku średnim.

Lecz nie tylko przeszłość nastręcza nam ziemię zdolną do rozwinięcia całego kwiatu ideałów poetycznych, ale przestrzeń kuli naszéj tak przeliczne, tak wielobarwne roztacza nam światy i stosunki, iż zawsze znajdziesz stan, kędy indywidualność pojedyncza ludzi rozwinąć się może w swéj sile, i być panem własnego losu, i na siebie tylko liczyć, i na sobie tylko polegać, a tak stać się treścią dla ideałów. Widzisz, jak tam Cooper prowadzi czytelników swoich do dzikiéj i bezludnéj puszczy Ameryki północnéj, kędy osadnik w walkach ciągłych ze zwierzem, żywiołami i dziczą miejscową, sam sobie wszystko winien, sam wśród rodziny jest jéj ojcem, sędzią, wodzem, kapłanem, zdając sprawę tylko sobie samemu i Bogu. Patrz, jak Walter-Skott stawia cię nad zwierciadłem jezior górskich, wśród Klanów szkockich, związanych li tylko stosunkiem dalekiego pokrewieństwa, a naczelnik Klanów jest ich ojcem, panem niezawisłym. Indziéj znów obaczysz powieść morską, kołyszącą się w okręcie na falach oceanu; ta cała załoga trzymana wprawdzie pod ścisłym ładem karności, lecz ona, odsadzona daleko od reszty świata, jest jedynie wielogłowym bohaterem; w chwili atoli niebezpieczeństwa każdy w szczególności okazuje, czém jest, co wart, rozprzęga się całość, rozpryskując się na indywidualności szczegółowe, grające o życie. Czyliż też dziwno, iż na kurhanach ukraińskich jak kwiaty wyrastają powieści? Rozłóg stepowy, niby morze suche, bije bałwanem zielonym kwiecistym swych traw, a wolny jak sokół puszcza się tym stepem kozak. Tu nic go nie ciśnie; gwiazdy i słońce wskazują mu drogę, a ze stepem, i trawą, i kwiatami i rosą oddycha te szerokie i otwarte Boże powiewy. Sicz sama jest ledwie słabym zarodem towarzyskich związków; mieszkaniec jéj jest u niéj gościem,

sam na sobie polega i w siebie samego tylko wierzy. Grabowski między innemi wybrał sobie tamte strony w powieściach swoich, a w Stanicy Hulajpolskiéj umieścił nawet scenę, zwyczajnym sobie taktem, na granicy polskiéj, rossyjskiéj, tureckiéj, kędy tylko słabym odgłosem dochodzi potęga praw i przepisów towarzyskich, dając tedy jak największą swobodę do bujania swym figurom.

Pocóż nam jednak jeszcze więcéj wyliczać tych przykładów? Czyliż cała dzisiejsza Arabia, albo cały Wschód nie jest żywą poezyą? Czyliż tylko w Ameryce północnéj znajdziesz świat, jaki nam maluje Cooper? czyliż go nie spotykamy wszędzie, kędy tylko Europa zetknęła się ze światem pierwotnym, kędy ona postanowiła pierwsze swoje placówki i wydźwigła swéj oświaty samotne strażnice? Czyliż tu nie znajdziesz podścielisk dla wszystkich rodzajów poezyi?

Kończąc tedy już tę osnowę, tyle jeszcze powiem, że choć rzecz cała o świecie stosownym dla ideału najbliżéj poezyę obchodzi, przecież nieobojętny on jest dla rzeźby i malarstwa, a nawet dla muzyki; jeżeli muzyka ma być tłómaczem wewnętrznych uczuć duszy, jeżeli najgłębsza treść człowieka ma się wcielić w harmonię, już téż przyznasz, iż piersi człowieka nie powinny być przytłumione światem zewnętrznym i sprawami jego; z całych piersi, z wolnych dopiéro tylko piersi wypada jedynie swobodny śpiewu potok. Dla tego téż słusznie w operach scena odbywa się po większéj części w świecie rycerskim, albo na Wschodzie, albo w sferze czarodziejstwa i uroków nadziemskich, albo w jakiémkolwiekbądź położeniu, nie ściskającém działania figur. Dla tego rzadko widzimy wielkie opery, którychby scena odbywała się w świecie już uorganizowanym, bo takowy nadaje się nierównie lepiéj do małych operetek i wodewillów.

Jeżeli atoli już mistrz zrodzi z siebie ideał, jeżeli mu znajdzie tło właściwe, już téż ideał ten winien czynem na jaw wystąpić; bo czynem, bo działaniem tylko, tak człowiek rzeczywisty, jak ideał sztuki, o wewnętrznéj swéj treści świadectwo daje. Wszak i ideału istotą jest, by działał; wszak tylko dla tego jedynie trzeba mu dobrać świat stosowny, by na nim mógł samego siebie rozwinąć czynem i dziełem. Treść człowieka, zwinięta w głębi duszy, ocknie się tylko, gdy ten świat zewnętrzny uderzy go w samo serce, ugodzi w same duszy tajniki; wtedy człowiek zerwie się uczuciem, błyśnie wolą, i uderzy czynem niby gromem. Widzisz to narzędzie muzyczne, jak nieme, głuche; w niém śpi i marzy niemowlęciem harmonia, śpią milczące struny; lecz gdy mistrz, co świadom serca tajników i cudów harmonii, dotknie tych strun, wtedy całe chóry aniołów się zbudzą, napełnią świat niebiańską mową, rzekłbyś, że harmonia nowe zapaliła gwiazdy na niebie, z pączków dziwnéj nowéj cudności wywołała kwiaty, że piętrząc obłoki na obłokach, złociste powiewne schody do

nieba buduje — rozumiesz, że słyszysz mowę ogromnéj rzeki, co z pod Bożego wypływa tronu i zapada w wieczności łono. Tak i struny duchowe w ideale milczą, póki na nich nie zagra ręka mistrza. Nim zaś usłyszymy te tony jego, nim przebudzenie ideału i walkę jego obaczymy, wprzód jeszcze go uważać nam potrzeba w różnych jego postaciach, wyprzedzając tę walkę jego.

Postać idealna, figura poetyczna, postawiona jest tedy wśród świata, który ją otacza; stosunek, w jakim się ona do niego ma, jest jéj *sytuacyą*; zachowuje tę nazwę, choć nie swojska, otarła się bowiem w języku estetycznym Europy. Owóż ta sytuacya nie zawsze jest walką ze światem, a czasem ideał żadnéj jeszcze nie ma sytuacyi, bo w żadnym nie zostaje stosunku do świata, lecz zamknięty jest w sobie, w sobie tylko utopiony; świat zewnętrzny nie wywołał jeszcze czynności jego. Jeżeli poezya taki stan, taką sytuacyę kreśli, toć ona jest tylko epoką przechodnią, stopniem przygotowawczym. Malarstwo jednak i rzeźba, mogące schwycić jednę chwilę tylko ideału swojego, lubią mu nadawać postać nie mającą jeszcze żadnéj sytuacyi, nie będącéj w żadnym jeszcze stosunku ze światem zewnętrznym. Rzeźba zwłaszcza kocha się w przedmiotach téj treści, nadając im cały piękności urok. Tu z pod dłuta, z łona jasnego marmuru zradza się postać śpiącego Amora, tam Jowisza głowa lub innych niebian oblicza spozierają na świat czołem i okiem pełném spokojnego majestatu. Tam koło Cezarów, co niby bogowie spojrzeniem mierzą świat, — lub święci się Wenus medycejska, lub kapitolińska, ufna w swą potęgę, Pallas welletryjska, Herkules farnezyjski, Bachus indyjski, Eskulapius, Ganimed, lub inne posągi będące arcydziełem starożytności. A w nowéj sztuce widzisz Napoleona, co założywszy ręce z kolumny Vendôme duma nad światem, lub Mojżesza i Bachusa, dzieła nieśmiertelnego Buonarotti. A i w sztuce religijnéj mamy całe morze przykładów tu należących.

Oto, wstąp do katedr naszych, gdzie cię otoczy mnóstwo nagrobków, pełnych poważnego uroku. Bo gdy kraj powierza kamienną historyę swoją i sztuki swéj pomniki Boskiéj pajży i skrzydłu opiekuńczemu religii, stwarza chrześciańskie panteony wielkich ludzi. Któż sobie nie przypomina z lubością kaplicy w Westminsterze londyńskim, nazwaną kaplicą poetów, kędy i Shakspeare w obliczu wieczności duma nad nieśmiertelnością swych dzieł i nad tém, co tu w głębi ziemskiéj porusza ducha ludzkiego, i co tam w górze ponad gwiazdami jest stałą, wieczną i nieśmiertelną prawdą. Pomijając już inne tumy, dotknę tylko tu naszą katedrę krakowską; — one Piasty i Jagiellony i król Stefan, co legli marmurem na tych grobach, spokojni w sobie, bo rzecz skończyli ze światem zewnętrznym, skwitowali się z historyą; znać, że spoczęli wieczorem po robocie żywota swojego, oddech przeszłości i powiew wiary stoi im na straży. Ich już nie dotyka sytuacya!

W malarstwie znajdziesz osobliwie ten stan bez sytuacyi w pierw-

szych okresach sztuki chrześciańskiéj, — zwłaszcza w tym, kilkakrotnie już przezemnie wspomnianym, stylu bizantyńskim, który podziśdzień w cerkwiach greckich widujemy. Spojrzyj w oblicze tych świętych, co ciemną twarzą, pełną grozy, otoczoną tłem złocistém, patrząc w świat, nie doczesność lecz pozaświatne państwo widzą i w niém toną. Jakoż i w sztuce świętéj późniejszéj i najnowszéj często bardzo spotykamy obrazy, w których figury nie mają sytuacyi, np. Pan Jezus pacholę, Madonna syxtyńska, oblicze Chrystusa przez Holbeina, Annibala Carraccego, i wiele tym podobnych arcydzieł.

Atoli tak grecki jako i chrześciański świat nie przestał na sztuce i ideałach, nie mających sytuacyi, bo dotknął się poznania owocu dobrego i złego, opuścił swój niewinności raj, wstępując w walkę z życiem, a tak rozwinąwszy się sam z siebie, rozwinął także i ideały swoje, nadając im czynność i ruch. Jednak są ludy w dziejach świata, których umysł wiecznie w zarodzie spoczywał, a cała téż ich sztuka niemal wystawia ideały bez sytuacyi; bo duch ich jeszcze samego siebie nie uznał, ani położył piętna swojéj potęgi na świecie. Patrz na dzieje starych Indów, na ich myśl pierwotną, co jest sercem ich historyi, i na ich sztukę, będącą odbiciem wiernem téj ich myśli. Oto masz tę myśl główną Indów, tę myśl ich żywotną zamkniętą w wierze o Wisznu. Wisznu, Bóg Stwórca, drzémie snem złożony na głębokim trzonie oceanu, spoczywając na samém dnie morskiém, lub na wężu wieczności, a z niego wyrasta długa, bardzo długa łodyga, sięgająca aż na sam wierzch wody; na téj łodydze roztula się kwiat *lotos*, co pływa i unosi się na falach oceanu; póki ten kwiat był pączkiem, póty był światem przed stworzeniem — rozkwitniony, jest światem po stworzeniu; a cztery rozpięte liście jego, są to cztery części świata, niby półwyspy otoczone falą wiecznych wód, a pręciki i miodniki tego kwiatu, są najwyższych gór przyczoła; z nich płyną główne rzeki Ziemi. Liście oderwane od kwiatu, płynące samopas około niego, stanowią wyspy oceanu. Z tego pojmowania rzeczy już poznać można ducha Indów. Nie roztaczam ci przeto już tutaj daléj obrazu jego, bo już z tego, co powiedziałem, widzisz jak ścisłe jest pomięszanie boskich i ludzkich rzeczy; tu zrasta się doczesność i wiekuistość, świat duchowy z fizycznym, bóstwo i świat w ścisłéj z sobą są jedności; bóstwo wciela się w materyą, a materya wyzwolona z swych więzów staje się duchem, bóstwem. Tu wiecznie trwa przeradzanie się jestestw w siebie; co było, odradza się w to, co będzie; koniec jest początkiem. Cały świat, tak duchowy jak i cielesny, bóstwo i stworzenie, są tutaj dziejami wiecznego przejścia i przeradzania się rzeczy zmysłowych i duchowych; świat, ze wszystkiém co jest, płynie party bez końca przez przeobrażenia wieczne. Wszechbytność jest wędrownikiem, co idzie drogą przez tysiące, miliony lat, przywdziewając na się różne kształty, to duchów, to rzeczy materyalnych; a gdy całą drogę odprawi, poczyna znów od początku, a tak wiecznie i wiecznie koniec jest i początkiem,

cała droga jest kołem. To nierozdzierzgnienie, ta jedność echem przechodzi w całe życie Indów, w ich sztuki, w ich ideały.

Nie tu jeszcze miejsce, bym się zanurzał w ten świat czarów, i w puszcze indyjskie, będące siedliskiem i teatrem ich epopei, i badał Ramajanę i Mahabaratę, te dwie olbrzymie ich pieśni; słowem tu w téj poezyi człowiek i bóstwo, zwierzę i niebo, gwiazdy i drzewa w ścisłym są z sobą związku. Bohaterem w tych pieśniach jest pokutnik; on umartwieniem siebie dokazuje dziwów, pokutą może podnieść się nad siebie samego, zostać Brahmanem; a pokutując przez lat tysiąc, z kolei dostępuje światowładnéj mądrości, późniéj wstrząsa potęgą świata, wzdyma fale rozhukane morza, gasi słońca jasność, rzuca lęk na same bóstwa, słowem włada światem jak własną osobą swoją; bo ta moc człowieka nad wszechnicą światów zmysłowych i umysłowych jedynie ztąd pochodzić może, iż on z niemi jednę składa całość i ściśle z nią jest złączony. Byleby więc umartwieniem ciała zrzucił z siebie część materyalną istoty swojéj, byleby ją starł i zniweczył, wtedy znów wraca do stoku pierwotnego wszechbytności; odłączenie jego od istności ogólnéj, sprawione ciałem jego, ginie, a duch niby kropla wlewa się w ocean wszechduchowy. Tu nie ma więc silnie odznaczonéj granicy między ideałem a światem jego zewnętrznym, nie ma tedy i *sytuacyi*, a przynajmniéj nie ma jéj w zwyczajném rozumieniu rzeczy.

A budowania i rzeźby indyjskie? W nich wyraźniéj jeszcze niż w poezyi pokazuje się ten brak sytuacyi; owa zaś jedność człowieka z naturą i bóstwem w całéj swéj sile występuje. Budowania ich, świątnice, grody postawione bogom, podobne do miast i pałaców, nie dźwigają się na jawie, na jasném słońcu, bo wykute w głębiach skalnych, w ciemnicach podziemnych, a budowania te olbrzymie bez końca ciągną się długiemi ulicami obok siebie, nad sobą, piętrzą się w krużganki, pałace sparte na całym lesie słupców i kolumn dziwnie rzeźbionych. Tu wieki całe i miliony ludzi złożyły świadectwo swych trudów, twardéj pracy; tu pokolenia całe znoiły się robotą i tu zaiste razem z bogami swojemi mieszkały. A to wszystko ukryte w łonie ziemi; bo duch człowieczy z tą matką-ziemią jest w jedności jeszcze i nie wychylił się z jéj objęcia. Ich rzeźby i posągi, bóstwa, potwory, w których wzrosło mnóstwo głów, rąk, nóg, postaci ludzkie i zwierzęce, a całość wiąże się i gmatwa w głąb', w nierozdzierzgniony motek. Te rzeźby wyrażają wszechrzeczy jedność mglistą zlaną w sobie; tu nie ma sytuacyi.

Ten duch Indów, który, jakby ziarno cichemu łonu ziemi powierzone, spoczywał jeszcze w ciemnościach swéj architektury pod ziemią, w Egipcie zatęsknił niby ku światłu jasnemu, wyrósł kiełkiem na powierzchnię ziemi, dźwignął się na niéj oném budowaniem nadnilowém; architektura Egiptu nie stawia się już pod ziemią ale na ziemi. A dziwne téż jest to budowanie, a dziwniejszy jeszcze ten lud, co pielgrzymką przeszedł tym krajem pełnym tajemnic. Tylko

jedna tutaj myśl pokryła nocném skrzydłem swém i lud ten i kraj: jest to myśl o śmierci; krom niéj nic nie ma wagi, a człek w swém dumaniu tonie w otchłani zamrocznéj własnéj istoty swéj, niby w bezdennym grobie. A historya jego jest długą, przeciągłą, jednostajną; wiecznie a wiecznie wybija ona tu jeden i ten sam akkord, a ten ton jednostajny i pełen grozy jest jakby wcielony, jakby skamieniały w te dwoiste szeregi sfinksów, — co w jednostajnych ustępach parami naprzeciw sobie ustawione, zawsze jedne i też same, jakby monotonnym dźwiękiem, prowadzą długą drogą do świątyni, niby do wieczności przybytku. Tu wszystko pokryte śmierci oponą, a napis na świątnicy Izydy w Sais, wiecznie przemawia do przepływających stuleciów: „Ja byłem — jestem — będę, nikt nie podniesie opony mojéj, ale Słońce jest moim synem“. Śmierć jest tutaj osią świata i bytności wszelkiéj; — domy doczesne są skromne, biédne, od niechcenia budowane, bo życie ziemskie jest tylko jednym noclegiem, przemienną gospodą niezasługującą na uwagę; groby zaś, te śmierci mieszkania, są olbrzymie, stawiane dla wieczności i przetrwały lat tysiące.

W Egipcie starym nie szukaj poezyi żywéj, ona obróciła się w granitów hart. Hymnu wzniosłego płomień strzelił obeliskiem ku niebu, modlitwa zbudowała się w piramidę, obtulającą sobą królów grobowce, a dramat zagrał mową onych budowli tebańskich i lasem ich słupców monolitowych, zdziwiających historyę; a pieśń tęskni i płacze w tych świątnicach, co od katarakt do Memphis nieprzerwanym szeregiem dumają nad Nilem, toczącym po przez głuche pustynie te fale swoje, niby stulecia uciekające do wieczności łona. Ich epopeją są groby tebańskie wykute w skałach Nubijskiego pasma, owe katakumby i podziemne miasta, co powikłane labiryntem nieskończonych pieczar są śmierci stolicą. Gdy odwiedzisz dziś to ciemne państwo wiecznego milczenia, gdzie jedyném życiem są roje nietoperzów i sów, oblatujących pochodnie wędrowca piskliwym krzykiem i ociężałém skrzydłem — roztworzą się ci zewsząd ulice umarłych; bo od samego dna podłogi, aż do wysokich sklepień ułożone są warstwami trumny, piętrzące się na sobie, a bez końca ciągną się tych trumien ściany; a tak wszędzie i wszędzie towarzyszą ci tysiącami świadkowie śmierci. Stulecia wszystkie starego Egiptu złożyły tutaj zwłoki swoje; tu i owdzie tylko swawolną ręką Arabów poderwane spodnie warstwy trumien zwaliły na ziemię całą ich budowę; cała ściana runęła, rozścielając mumje po podłodze pieczar; gdzie stąpisz, noga zapadnie, przebijając się jakby przez próchno, przez stosy ciał, z których kurzawa i miał gruby, ciężki, wznosi się ciemnym kłębem, zatykając tchy i mrocząc światło pochodni. To jest epopeja i życie Egiptu, epopeja śmierci! W téj epopei umarli są bohaterami, a życie całe skurczyło się w brunatną mumię omalowaną hieroglifem, a duch skamieniał w Memnona; tu życie, śmierć, niebo i ziemia, człowiek i bóstwo okryło się zagadką. Życie doczesne jest czczym, martwym

snem, z niém nie ma o co walczyć, a bój i pasowanie się z doczesnością jest tu bez wagi. Tu nie ma tedy i sytuacyi artystycznéj — tu człowiek się rodzi by umarł. Patrz! na wstępie do średniego Egipu, jakby na straży, zasiadły dwa posągi Memnonów; zarysy ich ciemne czarnym wizerunkiem odrzynają się na wiecznie jasnych nieba błękitach; samotne, nieme, milczące. Wtedy tylko, gdy ze świtem pierwszym słońce na nie spojrzy, one zabrzmią dźwiękiem, niby jękiem długim; jestto głos rodzącego się i umierającego Egiptu; ten jęk jest całą mową jego historyi. A te Memnony i sfinksy, i te bóstwa wszystkie, co pilnują wstępu do tajemnic świątyń, lub zdobią ich ściany, są suche, jałowe; nogi, ręce przyciśnione do siebie, wszędzie formy nie okrągłe, kończyste, postaci wyprostowane, twarde, jakby duch ściśniony powiciem. Najdobitniejszym są one tedy przykładem braku stosunku do świata, braku sytuacyi. Atoli oblicze i wzrok tych bóstw, Memnonów i sfinksów, patrzy w otchłań wiekuistą nieba, utopiony w gwiazdach; one pomijają ten świat i tę treść jego biédną, zapominają o rzeczywistości nie istniejącéj dla nich.

Podobnéj formy, choć barbarzyńskiéj, są stare słowiańskie i germańskie bożyszcza, tudzież początek rzeźby i sztuk u wszystkich narodów, jak to widzimy między innemi np. u Greków i Etrusków w pierwotnych ich czasach. Przecież — to ziarno duchowe sztuki, co się w Indyach kryło pod ziemią, tuląc się do Natury, a w Egipcie wykluło się bladym kiełkiem ku słońcu, w Grecyi dopiéro jaśnieje bogatym kwiatem. Tu duch i sztuka usamowolniona, tu zaczyna się sytuacya; bo człowiek, uznawszy siebie, uznał też stosunek swój do świata, i tu ideał zjawia się oswobodzony w sobie, wyzwolony; to związanie rąk i nóg i sztywność ciała, właściwe Egiptowi, ginie; duch się wzmaga, ciało nabiera swobody i wolności — słowem, ideały nabierają sytuacyi.

Sytuacya zaś nie staje się odrazu walką, jest dopiéro przejściem do niéj, jest to sytuacya pełna jeszcze spokojności w sobie; figury już nie dumają więcéj, nie zapadają się już duchem w otchłaniach własnéj istoty, ale są oswobodzone i wolne, i zatrudniają się sobą. Stopień ten jest osobliwie dla rzeźby stosowny. Posągi, w swéj cichéj a milczącéj wielkości, spoglądają jakby z Olimpu w ten świat nasz śmiertelny.

Dokładniéj atoli niż tłómaczenie wszelkie wyjaśniają ten rodzaj sytuacyi przykłady z dzieł sztuki głośnéj i powszechnéj sławy. Zrozumiesz jednak, iż jak wszędzie, tak i tutaj zastosowanie ogólnych pojęć do przykładów ma swoje trudności; bo gdy teorya rozdziela rzeczy dobitną granicą na klassy, stopnie, i tym podobne odcienia, w rzeczywistości tego silnego odgraniczenia nie znajdziesz, bo często spotkasz się z przedmiotami, stojącemi właśnie na granicy dwóch różnych dzielnic, przechylając się to w jedną to w drugą stronę; tak też wiele jest dzieł sztuki, gdzie trudnoby przyszło orzec stanowczo, czyli stan ideałów jest już stanem bez sytuacyi, czyli też jest już po-

czątkiem téj sytuacyi spokojnéj w sobie, będącéj cichym ducha żywotem, a którego czynność nie wypływa jeszcze z rozdwojenia ich ze światem, lecz raczéj z własnéj jego natury. Duch ideałów tu należących jest kryształową wodą źródła, co cichym ponikiem, począwszy się w sercu szczytów alpejskich, sączy się samotnie wśród kwiatów niedostępnéj polany; natura tylko słyszy cichą jego mowę, a niebo samo strzeże jego biegu; a płynie milcząc i w pokoju, nim się strąci urwistym spadkiem w głębie doliny, nim wzmógłszy się potęgą swéj wody, grzmiąc i pieniąc się, znajdzie się w padołach burzliwego żywota.

Starożytność zostawiła nam najcudniejsze wzory téj sytuacyi: Diana myśliwa zdobiąca bytnością swoją Paryż, Apollo lutnista, Amor i Psyche, Amor z łukiem, Apollin i Faun, obaj mieszkańce trybuny florenckiéj, młodzieniec wydobywający drzazgę ze skaleczonéj nogi, Faun grający na fujarce, i wiele tym podobnych dziwów świata greckiego; a obok nich śmiało postawić możesz wiele arcydzieł Canovy i Thorwaldsena; wspomnę tylko o ich grupie trzech gracyj. Cicha wielkość ducha, wyrażająca się tą sytuacyą w rzeźbie, jest najwyższym urokiem; rzekłbyś, iż duch tych figur śpiewa w głębi swojéj pieśń nieśmiertelną, nie dochodzącą zewnętrznego świata — sam sobie jest wieszczem, sam słuchaczem. Gdy w posągach tu należących nie ma tego nadziemskiego duszy spokoju, gdy w téj sytuacyi figury okazują ruchy gwałtowne, nagłe, szamotające się, wtedy graniczą prawie z karykaturą. Tak np. patrząc na onych kolosalnych marszałków, których niedawno jeszcze można było widzieć na moście Ludwika XV w giestykulacyi nagłéj, w postaci szumnéj i nadętéj, powiedziałbyś, iż to truppa złych komedyantów, co nagle skamieniała. Turki, dźwigające w kościele zamkowym trumnę króla Jana i Michała, lub te anioły, dmące wzdętą twarzą w trąbę sławy, są jawnymi świadkami upadku uczucia piękności, który tak u nas jako i w całéj Europie się pojawił. W sztuce świętéj tu należy np. Pan Jezus, dzieckiem będąc, pieszczący się krzyżem albo bawiący się to kwiatem, to ptaszkiem lub owocami — albo igrający ze Ś-ym Janem; — Święta familia oblana spokojnością niebiańską, Chrystus zmartwychwstały, Najświętsza Panna wpatrująca się obliczem pełném miłości i czci Bożéj w postać śpiącego Zbawiciela. Podobne przedmioty są niewyczerpane, i byłoby daremną pracą chcieć wyliczyć choćby najdrobniejszą ich cząstkę. A lubo sytuacya ta osobliwie sprzyja rzeźbie i malarstwu, jednakże i w poezyi okazuje się często pełną cudownego uroku. Taką np. znajdujesz w niektórych miejscach Fausta Goethego. Faust, wszedłszy z Mefistofelesem cichaczem do komnaty Małgorzaty w nieobecności jéj, w zachwyceniu powiada:

Tu powiewa skromnéj zaciszy tchnienie,
I rządu i spokojnéj szczęśliwości uczucie!

Wśród ubóstwa tego jakież bogactw skarby!
W tém więzieniu jakież niebiańskie wesele!
. . . . . .

(Podnosząc zasłonę łóżka.)

Porywa mnie dziwny rozkoszy dreszcz!
Tu stojąc dawałbym godzinami życie moje!
O naturo! Tu lekkiem marzeniem sennych obrazów
Wypiastowałaś poczętego w duszy anioła!
Tu spoczywało lube to dziecię,
Pieszcząc w piersiach tkliwych ciepłego życia pączki!
Tutaj pod świętym, czystym oddechem
Roztulila się jasnych Niebios postać!

Tak i Julia, nim poznała Romea, jest aniołem, spokojności pełna, potulna bez granic woli matki swéj, rzuca się cała w objęcie jéj. Gdy jéj matka odkrywa zamysł rodziców, by ją zaślubić Parysowi, i prosi, by mu się przypatrzyła na balu, Julia odpowiada, że się będzie przypatrywała, ale że o tyle tylko o nim sądzić będzie, o ile matka jéj na to zezwoli. Poezya liryczna, przemawiająca o wnętrzu duszy, wylewająca z gorących piersi dzieję tajemnicze uczuć naszych i myśli, najczęściéj objawia nam ten stan sytuacyi, — téj sytuacyi bez walki. Hymny i psalmy zwłaszcza tutaj należą.

Przecież spokojność ta duchowa ulatuje z serca ludzkiego, gdy człowiek, słuchając jedynie własnego natchnienia, zderzy się ze światem i potrąci ludzi odmiennych uczuć i woli. Wtedy zradza się kollizya, wdzierająca się w cichą istotę człowieka, a kollizya prowadzi do czynów i walki. W różnych też postaciach i różnych kształtach snują się około nas przyczyny wywołujące kollizyę. Najprzód człowiek, ciałem swojém do natury fizycznéj należąc, narażony jest na jéj działanie. Prawda, że z naturą samą niepodobna jest walka, lecz katastrofy natury mogą się stać przyczyną kollizyi z ludźmi. Tak piękne nam przykłady starożytność nastręcza. Grecy np. wybierają się pod Troję, ale w Aulidzie brak sprzyjających powiewów wiatrowych zatrzymuje drogę ich floty. Wróżby badane orzekają, iż natura nie będzie sprzyjała ich podróży, póki Iphigenia, córka Agamemnona, nie zostanie poświęconą na ofiarę Dianie. Tak Agamemnon i Iphigenia postawieni są w kollizyi z dobrém i wolą całéj floty greckiéj. A przyczyny pierwsze téj kollizyi są potęgi natury fizyczne, brak pomyślnego wiatru. Podobnie dżuma, powódź, głód, pożar i inne podobne wypadki przyrodzone, stają się przyczyną zderzenia się z ludźmi. Wszelako klęski, pochodzące od potęg natury, straciły już wagę swoją; gdy religia zaświeciła łuną Bożą, stały się one nawiedzeniem Opatrzności, wpływając pociechą w serce ludzi. Duch ten i wiara rumianém światłem otaczają postać Hioba i historyę jego, tak cudownie skreśloną w Piśmie Świętém. „Ogień Boży spadł z nieba, i dobytek jego i majętność w niwecz obrócił; wiatr przypadł z pustyni, uderzył we cztery węgły domu, a dom upadł i zgru-

chotał dzieci jego; a Hiob powstał, rozdarł płaszcz swój, i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. Niebawem choroby zaraziły ciało Hiobowe od stóp aż do wierzchu głowy jego; a tak stał się pośmiewiskiem i poniewierką ludzi najlichszych. Odstąpiły go dawne przyjacioły, a nawet żona jego, i zwróciły przeciw niemu mowę swoją, dotykając cierpkiemi wyrzutami, i złorzeczyły mu gromiąc, że to grzechy jego ściągnęły gniew Boży. Lecz Hiob korzy się Panu, wyznawa winę swoją, w końcu też Bóg przyjął oblicze Hiobowe i błogosławił ostatnim czasom jego więcéj niż początkom. A Hiob żył długo i oglądał syny swe, i syny synów swoich, i umarł będąc starym i dni sytym."

Inaczéj, i wbrew przeciwnie, rzecz się ma w świecie klassycznym pogańskim; tu inny stosunek jest człowieka do bogów swoich a wyraża siebie w swéj całości w Prometheusie Aeschylusa. On tajemnie uniósł zazdrościwym bogom ognia płomienie, co zradzają sztuki, umiejętności i wiedzę, najwyższe człowieka dobro. A Pan Olimpu w zemście swéj i zawiści uderza okropnością swéj kary. Prometheus, choć do skały przykuty, harde stawia czoło Jowiszowi, zuchwale wyzywając zemstę króla bogów, sromotą okrywa Hermesa wysłańca jego; a gdy już chwila ostatnia, pełna okropności, nad głową jego się zbiera, Prometheus pełen pogardy, woła:

„Niechaj spada płomieni żar,
I śniegów uskrzydlonych mrozy!
Niech gromów, światem wstrząsających, potęga
Wsze jestestwa pomięsza zamętem!
Ja nie ukorzę méj głowy! — (w. 902.)

A tak w ostatniéj chwili, gdy cała natura się szaleństwem rozsrożyła, gdy zbuntowane żywioły wirem pełnym grozy oblatują go kołem, gdy ziemia drżąc w swych posadach pęka, a tartarus, roztwierając się, chłonie go w swe przepaści, on trwa w potędze niezłamanéj woli, i tak przepada do piekieł. Zacny sposób znoszenia krzywd natury!

Jest zaś inny rodzaj kollizyi, również z natury pochodzący, lecz nie z natury zewnętrznéj otaczającéj człowieka, jak raczéj z wpływu, jaki z urodzeniem samém na człowieka wywiera. Zważ np. obraz mistrzowski, jaki nam skreślił *Victor Hugo* w *Notre-Dame de Paris*, obraz owego *Quasimodo*. Natura zrobiła go ohydnym potworem i prawie bezrozumnym zwierzem, a tak rozdzieliła go przepaścią nieprzebytą od Esmeraldy, przedmiotu miłości jego. W kollizyi tego rodzaju postawiona jest Rebeka w *Ivanhoe* Walter-Skotta; ona, żydówką będąc, kocha się w rycerzu chrześciańskim. Także miłością bez nadziei jest uczucie Ophelii ku Hamletowi: ona dziewica skromnéj przyszłości, on następcą tronu; ta różnica urodzenia, mocą ustaw państwa, staje się powodem kollizyi. Lecz godniejsza dla sztuki i człowieka jest kollizya, pochodząca nie tak od ślepego władztwa

przyrody, jak z własnego czynu człowieka, to jest gdy człowiek własnym i od niego zależącym postępkiem stawia się w rozdwojeniu ze światem, gdy tu nie mięsza się ślepy traf i przypadek, ale jasna wola i jawny czyn człowieka. Czémże atoli są te czyny? jakież to są te potęgi, co prą człowieka, by działaniem się zjawił? To jest jeszcze jedno z zapytań ciężkiéj wagi, które teraz mi rozwiązać wypada. Chociaż rozbiór mój następny prawie do wszystkich sztuk się nadaje, przecież najbliższe ma zastosowanie w poezyi. Miéj tu zwłaszcza tragedyę na pamięci; bo jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragedya jest najwyższym rodzajem poezyi; w tragedyi tedy, w ognisku sztuki, teorya znajduje zupełne i całkowite miejsce swoje.

Słońce, duch opatrzny natury, stanęło w ognisku zmysłowego świata i ociepla go i oświeca swym promieniem, i trzyma swą siłą na wodzy, by się nie zapadł w przestworzach bez końca; a koło niego toczą się gwiazd tłumy i ogrzewają się przy tém świetle jego. A promień słońca jest przejrzysty, wiecznie jeden, wiecznie ten sam; gdy atoli spłynie na tę naszą ziemską doczesność, wtedy to traci swoją wiekuistą białość jasną i rozbija się w kolory powlekające rzeczy materyalne. Jakoż jestestwa ziemskie mają tylko barwy, a nie stać ich na jasność białą promieni słonecznych, bo barwy nawet świata materyalnego nie są w swéj czystości, lecz przyćmione doczesnością. Wszak w całém państwie rzeczy materyalnych, które widzimy na kuli ziemskiéj, żadna nie ma barwy w swéj czystości pierwotnéj, wszystko jest skalane, jakby kurzawą rzeczy ziemskich; i rumieniec róży, i zieloność dąbrowy i błękit niebios, noszą na sobie cechę pokalania materyalnego. Gdy zaś jeden z tych jasnych białych promieni wciśnie się w pokój ciemny szczeliną okienicy, niby słowo Boże w doliny ziemskiego żywota, i gdy go uchwycisz słupcem przejrzystym pryzmatu kryształowego, owa jasność biała rozszczepi się na płomyki różnobarwne, i płatami najświetniejszéj barwy zaświeci na ciemnéj ścianie pokoju, a każdy płomyk zapali się barwą czystą, jasną, przejrzystą, jakiéj natura materyalna zaznać nie zdoła. Lecz gdy znów nadstawisz tym różnobarwnym promieniom szkło wypukłe, soczewkę, zbiorą się te wszystkie promienie w jedność, zleją się z sobą, i znów złożą promień biały, znów wróci się jasność wiekuista, co nie zmienia się nigdy i trwa po wszystkie wieki, która sama jest matką jedną i powszechną wszelkiéj przemijającéj barwy.

Tak, drogi przyjacielu mój, jest jedna prawda ogólna, powszechna, będąca okiem świata, ciągle jedna, wiecznie ta sama; jest to mądrość przedwieczna, co ociepla, oświeca i trzyma świat po przez stulecia i lat tysiące, co, jak planety, wirem ją obiegają, i biorą z niéj życie i światło i ciepło swoje. Lecz promień jéj jasnéj białości nie zjawia się w swéj czystości w sercach ludzi. W każdym człowieku, miasto onego jasnego promienia wiekuistéj mądrości, świeci tylko jedno przeważające uczucie, mające swą własną barwę, swoją cechę

osobną, różniącą go od innych. Przyjaźń, miłość, honor, przywiązanie rodzeństwa, rodziców, chęć sławy, odwaga, przywiązanie do kraju i t. p. uczucia, są to owe cechy nadające piętno ludziom, gdy jedna z nich wyłącznie w człowieku górę bierze. Uczucie to przeważające w człowieku jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą szczegółową, ztąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym téj saméj wagi, téj saméj wartości, że tém samém grzeszy *onéj prawdzie ogólnéj, powszechnéj i wiekuistéj*, świecącéj ożywczém ciepłem, wieczną jasnością przeczystą, która jest źródłem wszelkiéj barwy duchowéj i ogólnym początkiem wszelkiéj szczegółowéj prawdy, która je wszystkie zarówno w sobie zawiera. Przecież i te szczegółowe prawdy pojedyncze, rozdzielone w rzeczywistości po sercach i umysłach ludzi nie świecą w nich czystą, niezmąconą barwą, bo są przyćmione pyłem rzeczywistości i zamroczone doczesności tchem (*ob. List IX*). Gdy atoli ten promień biały, jasny wiekuistéj prawdy uchwycisz kryształowym pryzmatem sztuki, już on rozszczepi się na różnobarwne promienie szczegółowych ideałów, figur poetycznych, z których każda świecić będzie jedną osobną prawdą, niby jedną barwą tęczy, a prawdy te już okażą się w swéj czystości, uwolnione od pyłów ziemskich; proch i ćma rzeczywistości z nich spadnie, bo będą wzniesione nad świat doczesny, powszedni. Tak w sztuce, zwłaszcza w tragedyi, prawda jedna wiekuista rozpromienia się na koło ideałów. Jednak mistrz, sztuka, ma za powołanie swoje uzmysłowienie nieskończoności téj prawdy wiekuistéj, która zawsze jest jedna, zawsze ta sama (*ob. list VII*). Nie może tedy sztuka piękna poprzestać na prawdach szczegółowych, wyjawiających się w figurach pojedynczych, lecz winna okazać potęgę wiecznie trwałéj *prawdy nieskończonéj*, i napowrót wrócić jéj światłość jasną, białą, bezbarwną, winna ją rehabilitować, winna znów zebrać te promienie różnobarwne swych figur w jedno ognisko, zlać je razem. Tak figury tragiczne, z których każda jest tylko wyobraźnikiem jednéj prawdy szczegółowéj, ją tylko uznając, stają w kollizyi, występują czynem i walką przeciw sobie, i grzeszą prawdzie, która jest prawdą wszystkich prawd. Dla tego też te figury tragiczne giną i ginąć muszą: śmierć ich jest zgubieniem prawd szczegółowych, zlaniem ich niby różnobarwnych promieni w jeden biały, wiecznie jasny promień, jest zadość uczynieniem onéj prawdzie wiekuistéj i jéj krwawą rehabilitacyą. Do téj wiecznéj prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z niéj wypływają — ona nie ginie nigdy. Tak się dzieje w sztuce, tak w tragedyi świata. Tak pojmowali teoryę kollizyi tragicznéj wielcy mistrze. Pozwolisz, abym to, powyżéj roztoczone, pojmowanie wyjaśnił stosując je do jednego z arcydzieł sztuki.

Zgadujesz już, iż wybiorę najwyższego mistrza wszystkich wieków chrześciańskich — Shakspeara. Z jego tragedyj najstosowniéj

nadaje się na wzór *Romeo i Julia*, bo już i nie pierwszy raz o niéj wspominam, a nadaje się tém więcéj, iż to dzieło jego najgłębiéj rozebrane zostało przez estetyków, na których już opierać nam się godzi. Nie mogę się wdawać tutaj jeszcze w sam rozkład czynności, w organizm jego wewnętrzny, bo nie tutaj miejsce, bym oznaczył istotę tragedyi; ograniczę się tylko skreśleniem barwy i cechy figur, z których każda jest uzmysłowieniem innéj prawdy szczegółowéj, i dla tego każda staje w kollizyi ze wszystkiemi. Piastą całéj tragedyi jest *miłość*; ona tu posiada wszechwładną potęgę, ale wyraża się w całéj swéj sile wszechmocnéj w *Romeo i Julii*. Choć ona w duszy gorącéj i gwałtownéj Romea innym świeci promieniem niż w sercu dziewiczém jego kochanki, przecież tak jego jak i ją zarówno niewstrzymaną przewagą prze i porywa do zguby; bo oni oboje wierzą tylko w *miłość*, w prawo własnego serca, ją tylko uznają za prawdę, a wszystko inne lekce sobie ważą.

Inna prawda szczegółowa wciela się w ich rodziców, będących głowami dwóch zawistnych sobie domów *Capulettów* i *Monteków*; ci wierzą jedynie w *prawo rodziny*, unoszą się prywatą i nie dbają o całość ojczyzny swéj upadającéj pod brzemieniem niezgody wewnętrznéj; a w téj waśni wrogich rodzin przepada bez nadziei miłość dwojga kochanków. Kierowany jedynie widokiem podniesienia świetności domu swojego i znaczenia rodziny, *Capulet*, ojciec Julii, przeznacza ją Parysowi, nie pytając się zgoła w tym wyborze serca swéj córki. Sam zaś *Parys*, możny młodzieniec, wysoko siebie ważący, kocha się w Julii, nie pyta jednak czyli uczucia jego znalazły odgłos w jéj duszy. Nie o jéj przywiązanie się stara, ale wprost do *rodziców* się udaje, w *ich tylko władzę wierząc*, i w tém się myli. Dla tego słusznie uważają za mistrzowstwo Shakspeara, iż Parys ginie z ręki Romeo, bo ten zaiste rzetelniejsze do niéj ma prawo. *Tybalt*, z domu Capulettów, jest wcieloną *odwagą i ślepą nienawiścią*, kocha bój dla boju samego.

Merkucyo, przyjaciel Romea, filozof, zważający wszystkie rzeczy ziemskie z ich strony *żartobliwéj*, *małoznaczącéj*, drwi sobie ze świata, ludzi i życia, satyrycznie na świat się patrząc. To stanowisko, jak z jednéj strony jest prawdą i dowodzi, że Merkucyo uniósł się nad doczesność, tak z drugiéj strony jest mylne; życie ma swoją stronę wielkiéj wagi i pełną zgrozy. *Benvolio* i ojciec *Lorenzo* są pierwiastkami zgody i rozumu zimnego, ale słowa ich i starania giną wśród huku rozigranych fali namiętności; bo tam, gdzie serce jest rozkołysane burzą rozumu, na mowy nie wystarcza.

Jakby na dopełnienie całości Shakspeare stworzył figurę, jaką jest *mamka Julii*, zapatrująca się na miłość jedynie ze stanowiska *wyłącznie zmysłowego*. Z początku jéj słowa nie są zrozumiane przez serce Julii, dziewicy pełnéj niebiańskiéj czystości, lecz gdy odgadła sposób widzenia swéj staréj przyjaciółki, już jéj nie ufa, odwraca się precz od niéj z uczuciem obrzydzenia. Podobnie *służba* wchodząca

do gry, *muzykanci*, nie dzielą nieszczęścia, co gromem na cały dom spada i t. p. są pełni grubych dowcipów, ironią cierpką życia, i służą w rękach naszego wielkiego mistrza za tło, na którém silniéj jeszcze koloryt całéj sprawy się maluje. Werona znów, będąca sceną tych dziejów tragicznych, właśnie wystawia nam ten świat uznany przez nas powyżéj jako tło właściwe dla figur poetycznych, to jest ów brak ścisłych stosunków towarzyskich, dozwalający swobodne działanie indywidualności. Stan ten wątłego porządku publicznego i *dobra ogółu*, *wstrząsanego rozterkami domów przemożnych*, wyobrażone są w osobie *księcia Werony*. Jest on jedną z najważniejszych figur naszéj tragedyi. To groźbą, to ustawami, to środkami łagodzącemi radby ukoić waśnie, dotykające boleśnie dobro publiczne. Wszakże usiłowania jego są daremne, nie zdołają uśmierzyć rozigranych niechęci i dumy prywatnéj.

Spojrzawszy na te wszystkie figury, na te ideały, które wchodzą do téj tragedyi, wyznasz zaiste, iż *miłość*, *związki rodzinne*, *powaga rodziców*, *męztwo*, *uważanie rzeczy ze stanowiska filozoficznego*, *zdrowy rozsądek i rozum*, *zmysłowość*, *rząd publiczny*, są prawdami pełnemi wagi, lecz każda z nich jest tylko prawdą szczegółową, prawdą pojedynczą, i póty tylko ma znaczenie, póki obok niéj inne prawdy szczegółowe ostać się mogą, bo one wszystkie są tylko rozpojedynczonemi promieniami téj wielkiéj a wiekuistéj prawdy, która je wszystkie w sobie zawiera. Jeżeli atoli one staną w kollizyi, a walkę i bój z sobą prowadzą, nie uznając siebie nawzajem, wtedy téż one w téj walce giną i przepadają, jako to widzimy w naszéj tragedyi. Romeo, Julia, Parys, Tybalt, Merkucyo, giną, a katastrofa krwawa tak wstrząsa sercem pozostałych, iż się godzą i jednają zrzekając się swéj pomyłki; a tak panowanie prawdy wiekuistéj, któréj wszyscy ubliżyli, przywrócone, i znów opatrznie świeci nad światem. Wszyscy dotknięci nieszczęściem podają sobie ręce, a ostatnie słowa pełne prawdy najwyższéj wyrzeka *książę*, ów wcielony porządek społeczny. — Nie mówmy, iż w téj tragedyi ślepy traf sprowadził smutną katastrofę i krwawe rozwiązanie, bo w tragedyi i historyi nie ma trafu; co się stać winno, koniecznie się staje; przypadek ma tylko pozorną władzę, jest on tylko widomą przyczyną, lecz w głębi, na dnie wszechrzeczy, mieszkają potęgi co niecofnione piszą wyroki.

Kollizya i czynność pełna tragiczności wyraża się potężnie w malarstwie i rzeźbie. Ktokolwiek zna np. Niobę i dzieci jéj, Porwanie Sabinek, Dwóch Szermierzy, Laokoona; ktokolwiek zwłaszcza przypatrzył się sali Aegenitów w Glyptotece monacheńskiéj, przyzna mi, iż to są wcielone myśli i ideały tragików greckich i uczuje, iż wśród tych ożywionych marmurów wypadałoby czytać Sophoklesa, by się z nim duchem połączyć.

Jeżeli tedy już zaiste się zgodzisz na takowe zapatrywanie się na rzeczy, jeżeli przyznasz, iż figury poetyczne i ideały są wcielonemi prawdami, lecz prawdami szczegółowemi, i takowe prawdy mają za treść swoją, więc też wątpić już nie będziesz, iż *złe* samo przez się, złe istniejące dla siebie samego, miejsca mieć nie może w sztukach pięknych. Bo co innego jest, jeżeli figura idealna, porwana przekonaniem wewnętrznem, popełnia zbrodnię, gruchocząc i łamiąc wszelkie zawady, a co innego wykonywać zbrodnię dla zbrodni saméj.

Te ideały są więc, jakem powiedział, jedynie pojedynczemi promieniami jednéj wiekuistéj jasności, z któréj pochodzą i do któréj znów wracają, lecz złe samo przez się nie pochodzi zaiste od téj prawdy nieskończonéj, i dla tego też do niéj wrócić nie zdoła. Czyliż z pomięszania cieniów, a cieniów nieczystych, utworzy się jasność? Czyli z dźwięków samych przez się fałszywych złoży się harmonia akkordu? Nie zaprzeczysz iż z tego, cośmy powiedzieli, ideały winny wyrażać jakąś prawdę, a zatém jakiś pierwiastek twierdzący, jakąś bytność uznaną w świecie duchowym. A czémże jest złe, jeżeli nie brakiem czegoś? jest ono czémś głuchém i pustém w sobie; każda zbrodnia ma za nicę swoją cnotę jéj odwrotną. Co jest niczém, co jest czczém i pustém, nigdy nie stworzy dzieła w świecie umysłowym. Co jest czcze, nie może być poetyczném, jestto najjałowsza proza. Jakaż piękność wzrośnie i złoży się z tego, co jest w sobie już ohydném, szpetném i obrzydliwém? Już nawet sam sposób mówienia oddawna tu orzekł, nazywając czyny niemoralne, złe, czynami szpetnemi, a nawzajem postępowanie szlachetne, zacne, poczciwe, uważane bywa za jednoznaczące z czynami pięknemi. Jakież tedy stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnéj i obrzydliwéj?

Już ze samego stanowiska, rozwiniętego w tych listach, zwłaszcza z tego, com wyrzekł w liście szóstym, wiesz, że ja bynajmniéj nie uważam, jakoby moralność miała być celem sztuki pięknéj; bo jak z jednéj strony sztuka, uzmysławiając nieskończoność istoty człowieczéj, już tém samém uszlachetnia i uzacnia człowieka, tak z drugiéj zgadzasz się, iż ona tego uszlachetnienia nie ma za cel swój główny; ona, jakem powiedział, jest bo jest, bo wypływa koniecznie z istoty człowieka. A w końcu zważ, iż moralność a estetyczność inną piędzią mierzą. Słusznie mówi Schiller, iż czyny człowieka nie zawsze są w tym stopniu niemoralne, w jakim są nieestetyczne. Cóż bardziéj nie estetyczném, jak kradzież, kłamstwo, oszustwo, a przecież to wszystko w oczach moralności mniejszém jest przewinieniem jak morderstwo. I zabójstwo i zbrodnia pod pewnemi warunkami mogą być, i bywają bardzo często, wprowadzone w sztuki piękne, ale nikczemność, podłość jest wręcz wszelkiéj sztuce przeciwna. Dla tego zrozumiesz, iż nam trudno przystać na wiele figur, które Kraszewski w powieściach swoich skreślił — nie wspominam już o autorach innych literatur.

— Zarzucisz mi może, iż wielkie imiona jako Dante, Milton, Byron, Goethe wprowadzają szatana w poezye swoje, a szatan jest przecież wyobraźnikiem *złego* samego przez się, istniejącego samo dla siebie. Prawda, ale też u tych mistrzów szatan ma inne wcale znaczenie, jest on ową wewnętrzną pochopnością człowieka do złego, gnieżdżącą się na dnie serca, miotającą niém i porywającą do zguby. Sam Mefistofeles wyraźnie to potwierdza, bo gdy Faust porzuca umiejętność, nauki, wiadomości, będące dla człowieka właściwém polem nabywania wiedzy, a party nienasyconém i pełném pychy pragnieniem wzniesienia się nad tę sferę, przeznaczoną dla człowieka, ze szatanem zawiera pakta, Mefistofeles rozbiesiwszy się w sobie powiada o nim: „Pogardzaj sobie umiejętnością i sztuką, najwyższemi nieba darami i najszlachetniejszą człowieka potęgą, — niechaj cię usidli kłamstwa duch czarem swych błyskotek i mamideł — a przepadniesz i djabła będziesz własnością, choćbyś mu się nawet i nie zapisał na własność“.

Lecz wracam już do wątku osnowy mojéj. Powiedzieliśmy wyżéj, iż każda tedy figura idealna jest wyobraźnikiem jednéj prawdy, która w niéj przemieszkuje, całą jéj istotę stanowi i do działania unosi. Rodzi się tedy pytanie, w jakichże kształtach te prawdy i te pobudzające potęgi zjawiają się człowiekowi? Pod jakąż one formą działają na umysł ludzki? — W głębiach zaiste własnych piersi naszych zradzają się te potęgi, co są władcami losu i żywota naszego; ani zaś zgadniesz, czyli to anioł — niemowlę drzémiące na rożach, czyli hydra lęgnąca nieszczęścia, śmierć, zbrodnię i zgubę. Nim atoli człowiek zbadał te tajnie własnéj swéj istoty, zanim poznał, iż to w nim samym rodzą się potęgi, co go niewstrzymaną siłą osadzają na szczytach chwały lub wtrącają w otchłań ciemną, cóż dziwnego, iż mniemał, jakoby jestestwa nadprzyrodzone wiodły i parły nas do czynów, że bogowie schodzą z wysokiego Olimpu, nagląc człowieka do działań, którychby bez ich rozkazania nikt nie był dopełnił. W świecie chrześciańskim bogów Olimpu zastąpiły czarownice, gnomy, rusałki, strachy, upiory i tém podobna gawiedź. Atoli w nowéj i najnowszéj literaturze widzimy tego przykłady. Lecz łatwo poznać, iż wprowadzanie tych jestestw do sztuk, jako potęg działających, nie ma wiele wartości, jeśli te jestestwa nadprzyrodzone, pobudzające do czynu, będą jestestwami zupełnie obcemi dla ducha człowieka, jeśli zostaną zupełnie zewnętrznemi dla niego potęgami, na które on wpływać nie może i które wcale od niego nie zależą; bo już wtedy czyn jego nie jego będzie dziełem, lecz całkowicie, lub przynajmniéj w części do onych jestestw należéć będzie; człowiek stanie się tylko ułomkiem, niezdatnym do ideału. W epopei te zjawienia snadniéj jeszcze miejsce znaléźć mogą, bo w niéj wystawienie jest właśnie zewnętrznem, plastycznem; jest zaś wcale niewłaściwém w tragedyi, bo tu chodzi o to, abyśmy wejrzeli w tajnie ducha bohatera, w jego wnętrze, i z niego zrozumieli postępowanie i czynności

jego. Rzecz zupełnie inaczéj się ma, jeżeli te bogi, te zjawiska, które nam mistrz jako osobne figury maluje, są istotnie niczém więcéj, jak potęgi i te prawdy szczegółowe żyjące we własném sercu człowieka. Każdy zrozumie figurę jaką jest np. Mars, Apollo, Wenus, Amor, Minerwa; wszak to są jedynie pierwiastki własnéj duszy naszéj, jak to widzimy w Homerze i w wielkich mistrzach starego świata. Bo człowiek bogami zrodzonemi we własnych piersiach napełniał Olimp i stwarzał sobie niebo na jakie go stać było. Niebo i mieszkańcy jego były zwierciadłem własnéj duszy człowieka. Tak i w literaturze chrześciańskiéj czarownice są wcielonym głosem serca Makbeta, a cień ojca występuje iście, jakby z grobu, z posępnéj myśli Hamleta. Tak Wallenstein, pragnąc czeskiéj korony, widzi w gwiazdach i astrologicznych figurach przeznaczoną mu purpurę.

Ktoś powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką uroczystą pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymują się w swym polocie, wtedy, niby dzieci marzeń i ułudy, z własnych piersi unoszą się gromadami geniusze, rusałki, świtezianki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo. Lecz myślę, iż silniéj jeszcze zradzają się te jestestwa duszy naszéj w godzinach wieczornych późnéj jesieni, gdy lasy zahuczą niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzą, gdy wicher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącéj naturze, pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirem, gdy, wpadłszy do mieszkań ludzi, jęczy, stęka, skarży się i kwili jakby upiorów czereda, gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy pląsające po równinach, a księżyc, jakby gnany przestrachem po przez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, jakby przez okna, na nas spoziera, i znów się kryje; ba, wtedy sama się powieść złoży, i byle miéć trochę wyobraźni, świat napełni się w koło jestestwami dzikiéj fantastyczności i uniesie nas do innych nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec z duszą świeżą i ciepłą; doświadczała ich też literatura cała, póki i ona była młodszą, świeżą i ciepłą. Dość ci wspomnieć o XI i XII wieku, gdy świat, jakby ogrody na wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cudotworne; a one czasy złote, gdy z duszy Ariosta zrodził się Orland szalony, a z myśli potężnéj Shakspeara wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy, jak: *Burza* i *Sen nocy letniéj!*

Zawsze atoli te zjawienia i postaci nadprzyrodzone nabierają dopiéro wartości prawdziwéj i głębokiego znaczenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją i bez ustanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszelkie zaś powieści fantastyczne, nie mające téj głównéj cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo imaginacyi, zawsze czémś czczem, powierzchownem i prozaicznem: bo cóż już może być więcéj

prozaiczne, jak posłuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania autora, zjawiają się i przynoszą rozkazy dla bohatera powieści, które znów tenże ślepo wykonywa. On sam jest jedynie ciemném i bezwolném narzędziem tych widziadeł, czyli raczéj autora samego. Nic łatwiejszego jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas puścić imaginacyą, byleby ją rozpoić obrazami rozuzdanéj fantazyi.

Jest atoli jeszcze inna postać działająca na człowieka i wiodąca go do czynu; jest to potęga patetyczna, jest to ono *pathos* greckie. Nazwa ta również już przeszła w język estetyczny u innych ludów, dla tego ją téż i my zachowujemy. Pathos znaczy co do słowa *cierpienie*; w języku estetyki zaś nie wyraża zupełnie toż samo co *namiętność*, bo przez *namiętność* rozumiemy uczucie mniéj lub więcéj szlachetne albo nizkie i naganne, ale pathos wyraża porwanie serca uczuciem znajdującém także odgłos we wszystkich sercach. Są to one prawdy szczegółowe, nie zjawiające się atoli już w kształtach figur i widm, lecz wprost jako drganie wewnętrzne duszy i głos potężny, panujący w sercu i ogarniający całą istotę naszą, jak np. miłość, przyjaźń, przywiązanie rodzicielskie, honor, chęć sławy i inne tym podobne prawdy, których przykłady dopiéro co widzieliśmy, rozbierając figury w tragedyi: *Romeo i Julia*.

Jedna z najpotężniejszych potęg grających w sztuce świata chrześciańskiego i w całém życiu jego jest miłość. Ona nie była znaną w świecie klassycznym; Grecy i Rzymianie pojmowali ją z jednéj tylko strony, bo li ze strony zmysłowości, ztąd téż zacność kobiéty była w poniewierce i nie uznana w swém znaczeniu głębokiém. Gdy atoli słowo zbawienia wstrząsło myślą ludzi, gdy wiara duchowa osiadła na stolicy nieba i ziemi, gdy człowiek silnie i niewątpliwie pojął życie w innym świecie, pojął téż życie w innéj od siebie istocie, a miłość zrodziła się wśród ludzi. Miłość jest najpiękniejszym kwiatem, który rozwinął się na ziemi, gdy na nią spojrzało słońce wiary. Cześć dla kobiéty była głównym pierwiastkiem cywilizacyi Europy i wyprowadziła ją z grubéj nocy barbarzyństwa; bo rycerskie uwielbienie, łagodzące dzikość, surowiznę uczuć, i hamujące rozkielznane namiętności, uczyniła człowieka sposobnym do zrozumienia najwyższych prawd, na których oparta zacność rodu ludzkiego i szczęśliwość świata. Stan poniżenia niewiast jest najtrafniejszym dowodem barbarzyństwa narodu, bo dowodzi przewagi siły fizycznéj, onéj przewagi najwięcéj hańbiącéj, bo równającéj nas ze zwierzem. Téj niewoli nie można przypisywać przewadze umysłu u mężczyzn, bo téj przewagi nie ma. Bóg zarówno podzielił między dzieci swoje przymioty duszy, obie płci zarówno kochając; tu o wyższości jednéj płci nad drugą mówić nam nie można, obie są sobie pod względem umysłowości zupełnie równe, choć zupełnie sobie odwrotne, zupełnie odmienne; bo téż ich powołanie również jest odwrotne i zupełnie różne. Mąż w swoim, kobiéta w swoim zakresie dzia-

łając, zarówno są ważnym pierwiastkiem świata; a jak kobiéta nie zdoła działać w zakresie dla mężów przeznaczonym, tak zaiste mąż nie wydoła z całym swym rozumem zastąpić umysłowe działanie kobiéty; i pod względem cielesnym i umysłowym są wzajemném dopełnieniem siebie i najściślejszemi siebie połowami. Jeżeli tedy nie umysłowéj lecz fizycznéj przemocy trzeba przypisać stan poniżenia kobiét u ludów dzikich, z téj téż przyczyny kobiéty odprawiają tam najcięższe roboty, gdy mężowie łowią, polują lub śpią. Czyliż dziwno, że Azya dotychczas w barbarzyństwie? ona iście nie wydźwignie się z dzikości i z otchłani nieszczęść publicznych i domowych, póki tam płci obie nie będą z prawa porównane z sobą, póki tam wielożeństwo nie upadnie. Co większa, gdy i u nas w obcowaniu towarzyskiém zdarzy ci się zobaczyć człowieka, co znieważa w czynach i lekkich słowach względy należące się kobiétom już pewnym być możesz, iż to z gruntu barbarzyniec; jakoż, gdy mu się lepiéj przypatrzysz, wnet spostrzeżesz, że pod tą swoją, choćby najlepiéj ogładzoną i wymuskaną łupiną, kryje serce puste, ciasną głowę i strupiałą duszę.

Jakoż widzę, że uniosłem się po za przedmiot, nawracam tedy do dalszego wątku. Uważmy, że pathos, ta potęga gorejąca w człowieku, będąca główną sprężyną działania jego, winna, jakem powiedział, być téj natury, aby znalazła odbicie i współczucie w sercach wszystkich. I tak zaiste zawsze się dziać będzie, jeżeli istotnie w sztukę te prawdy szczegółowe, wyżéj już obszerniéj rozebrane, wprowadzone będą; bo one są właśnie takowe, iż obudzą wtórujące dźwięki w sercach wszystkich widzów i słuchaczów. Czyliż prawdy, wyobrażone przez figury w tragedyi *Romeo i Julia*, nie są z tego rodzaju, iż je wszyscy dzielić będziemy, iż w nich samych siebie ujrzymy?

Z tego tedy już jasno wypływa, iż patetyczność nie powinna wypływać z uczuć, do którychby pewnego już przygotowania naukowego, pewnego ukształcenia rozumowego potrzeba było. Jakoż odkrycie nowe i ważne w chemii, matematyce, w historyi naturalnéj, zoologii i t. p. umiejętnościach, może nas wprawić w zachwycenie, można nawet dla niego życie swoje ważyć, lecz nie odbije się w sercach wszystkich ludzi, i zrozumiane tylko będzie przez ludzi z pewném ukształceniem; nie będzie tedy patetyczném, nie może być tedy wprowadzone do sztuki; bo sztuka jest przemową ducha do duchów wszystkich, jest własnością wszystkich jestestw czujących i myślących, bez względu na ich naukowość. Mniéj jeszcze patetycznemi bywają ochoty czcze, skłonności i bezważne i śmieszne; one nawet w komedyi są niestosowne; bo co w sztuce żyje i w ideale się święci, powinno być godne aby téż przez innych zrozumianém być mogło. Zachcenia atoli czcze i dziecinne do nikogo nie przemówią.

Tak tedy pathos jest pierwiastkiem, działającym w ideale, we

figurze poetycznéj; zważ jednak, iż ta poetyczność, ta prawda szczegółowa, która w nim gore, wcielić się winna we formę rzeczywistego człowieka. Mistrz, chcąc wprowadzić tę patetyczność w sztukę, winien sobie stworzyć człowieka, któryby ją sercem i czynami wyznawał, winien wynaléźć w duszy swojéj figurę właściwą do wyrażenia tego pathos, słowem, winien stworzyć *charakter*. W charakterze figury idealnéj masz tedy dwie strony: najprzód owo ogólne pathos, drugi raz prawdziwego człowieka, nadającego temu pathos pewną barwę i cechę. Wszak nie ma patetyczności powszechniejszéj jak miłość, ona sama przez się wzięta w ogólności jest zawsze jedna i ta sama, a przecież nabiera różnéj cechy, różnéj barwy, wedle charakteru ludzi; miliardy ludzi już się kochało, a każdy kochał innym sposobem, każdy po swojemu, w każdym ona inaczéj się objawiała, wedle charakteru a osobistego piętna jego. Tak istota Najświętszéj Panny przez wielkich mistrzów jednako pojmowana była, a przecież jaka różnica jest w obrazach wielkich mistrzów! Wszak Madonny Rafaela, choć jeden w nich żyje duch świętości najczystszéj, są różne a różne. Przypominasz sobie np. te głowy, które niekiedy dzieciom do przerysowania dają: jedna ma znaczyć rozpacz, druga gniew, tamta trwogę i t. d. — te głowy zwyczajnie nie mają charakteru, bo nie są wzięte z rzeczywistych ludzi rozpaczających, gniewających lub trwożących się, lecz są zupełnie abstrakcyjne. We *Flecie czarnoksięzkim* występuje *Noc*, figura sama przez się zupełnie abstrakcyjna, a zatém zupełnie bez charakteru; trzeba było na to Mozarta, aby pokryć muzyką tę czczość figury saméj. Widzimy téż jak twardo się pasuje Klopstock w *Messyadzie*, wprowadzając aniołów, bo anioły są czystemi duchami, a jako takie do siebie podobne, nie mogą miéć tedy same przez się barwy i piętna charakterystycznego, różniącego ich od siebie.

Jeżeli zaś patetyczność żyjąca w człowieku powinna miéć na sobie charakter pewnéj barwy, więc téż tę cechę właściwą okazać wypadnie; co tylko wtedy się stać będzie mogło, jeżeli okażemy charakter ten w różném położeniu, w różném stanowisku, w różnych stosunkach do rzeczy i ludzi. Nie sama tylko ta patetyczność winna na jaw wystąpić, lecz bogactwo, mnóstwo uczuć i myśli, okazujące jakim ten człowiek jest, i jakie jego zachowanie w różnych życia przygodach. — Patrz, Achilles w Iliadzie, ów bohater twardego męztwa i zapamiętałego gniewu, wleczący zabitego Hektora około murów Troi, ma duszę bogatą i szlachetności pełną; pokazuje nam go Homer to jako tkliwego przyjaciela, to znów w chwili gdy ojciec Hektora, stary Pryamus, błaga o ciało zabitego syna, i klękając przed Achillesem zaklina młodzieńca na własnego ojca, i woła płacząc, że tę rękę całuje, co mu zabiła syna, a rycerz grecki rozrzewniony ze łzami podnosi starca ze ziemi. Albo, aby nie szukać innych przykładów, masz Romea: wszak on, oprócz miłości dla Julii, ma nieprzebraną treść w duszy: bo jest odważny i przywiązany do przy-

jaciół, i czy w chwili gdy jest tknięty ciężką obrazą przez Tybalta, czyli zraniony słowami Parysa, czyli zachowując się ze czcią dla ojca Lorenzo, czyli też konając, w każdém położeniu wyjawia charakter swój i nadaje barwę całéj swéj figurze; a we wszystkich tych stosunkach, tak rozmaitych, zawsze to jest jeden i ten sam człowiek pełen szlachetności. Rzekłbyś, że charaktery takowe zyskują we wielkich katastrofach żywota swojego; burza, co miota falami ich duszy i do dna je porusza, wymiata z głębi jéj skarby ukryte i perły drogie.

Takie ideały są charakterami w całém znaczeniu, w nich nie jedno uczucie świeci samotnym płomieniem, ich istota spogląda na nas całém niebem gorejących gwiazd. — Charakterem w największém znaczeniu jest Mohort, jakim go stworzył Pol; Mohort zawsze jeden a ten sam, czyli na dworcu królewskim, czyli na kresach ukraińskich odsadzonych od świata, czyli nakoniec z szablą w ręku, czyli w klasztorze, czyli wtedy, gdy prawi o niegdyś młodéj miłości swojéj — on zawsze jeden i ten sam. Różne życia koleje, ciemne i jasne losy jego wygrywają jedynie, jakby na strunach, różne tony na sercu jego, ale te tony wszystkie, te akkordy i pieśni zestrojone wszystkie do jednego kontra-punktu. Albo wspomnij na postać księcia Radziwiłła, skreśloną ręką mistrzowską Rzewuskiego, lub Chodźki — ona zaiste ze śpiżu ulana, z jednéj sztuki odlana. I Rzewuski i Chodźko przedstawili nam te figury tak plastycznie, jak posąg marmurowy greckiego mistrza, lecz w tym posągu żyją głębie uczuć, serdeczność gorąca, rodzima i niesfałszowana żadnym obcym tchem; możesz się ugrzać ciepłem téj postaci, odżyć jéj życiem; jeżeliś omdlał na sercu, a krew w duszy twojéj skrzepła, odmłodniejesz tą postacią. Jest to charakter, na który już nie stać świat obecny. Ta plastyczność klassyczna, obok treści bogatéj wewnętrznéj, prawdziwie romantycznéj, jest właśnie zestrojeniem romantycznego i klassycznego świata, jest tedy właśnie cechą najwyższą nowożytnéj sztuki, przebywającą w charakterze, jakim jest Mohort, jakim Radziwiłł Chodźki i Rzewuskiego, jaki znajdziesz także często w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Zebrawszy w krótkości cośmy wyżéj rzekli, widzimy, iż jeśli charakter winien być bogaty w sobie, tak również we wszystkich stosunkach życia, w których nam go mistrz rozwija, powinien być jednym i tym samym. Charakter winien być *jednością*, choć rozmaitości pełną; co działa, działa z siebie i jawnie; żadne potęgi ciemne, zagadkowe, nie powinny wpływać na niego, winien być w sobie jasny i przejrzysty, a bez długiego wahania się w czynach, bo wszelka niepewność dowodzi tylko rozdwojenia wewnętrznego i braku jedności duchowéj.

Tak tedy skończyłem treść przeznaczoną na tę pierwszą wiązkę listów moich; widzę, że mi przedmiot pod ręką urosł i żem skreślił prawie wszystkie, choć najogólniejsze zasady *Filozofii sztuki*.

Pragnąc dopełnić przyrzeczenia mojego, starałem się o formę mniéj ścisłą, mniéj surową, jakby może wymagała treść, będąca tak ważną gałęzią *filozofii saméj*. Wybaczysz mi tedy, iż niekiedy wśród całego wątku wprowadzałem cię na ustronia, nie będące wprawdzie wprost w stosunku z *Estetyką*, leżące atoli zawsze jakby na granicy jéj osnowy, a udzielające i nowego widoku i chłodu wśród drogi naszéj. W tym też celu przywodziłem ci dość liczne przykłady, wiedząc, iż za ich pomocą snadniéj się porozumiemy. Jeżelim tedy w polocie dotykał to téj, to owéj epoki historyi sztuki, i jeżelim wspomniał przy sposobności o różnych jéj rodzajach, jako o rzeźbie, architekturze, malarstwie, muzyce, a nawet o różnych gałęziach poezyi, np. o tragedyi, lirze, komedyi, sielance, powieści, czyniłem to jedynie, aby przykładami wyjaśnić teoretyczne pojęcia sztuki, w ogólności uważanéj, a nie miałem bynajmniéj myśli, ani rozebrać ze ścisłością szczegółów wszystkich, ani ci podać systematycznéj całości; pragnąłem głównie dotknąć w tych listach, choć powierzchownie, najważniejszych przedmiotów, należących do estetyki, wedle dziś przyjętych wyobrażeń w téj umiejętności, aby się tém łatwiéj porozumieć z tobą względem ogólnego zapatrywania się na tę umiejętność.

Jakoż wypadałoby mi jeszcze wiele podobnych listów napisać, zwłaszcza radbym w drugim ich szeregu pomówić o fantazyi; boć to ona jest potęgą twórczą, rodzącą dzieła sztuki. Wspomniałem wprawdzie już dotychczas o téj potędze duchowéj, lecz jedynie przygodnie, pobieżnie; teraz wypadnie nam o niéj pomówić ściśléj i obszerniéj, a rozbiór jéj bliższy, jak myślę, rzuci nam jeszcze silniejsze światło w dziedzinę tajemniczą piękności.

Zrozumiesz, że wyobrażenie choćby powierzchowne o fantazyi już nam wskaże, że téj sile z wielorakich stron przypatrzyć się należy. Lecz zaiste dwa są najgłówniejsze względy, które się nam nasuwają, gdy mamy rozebrać istotę fantazyi. Bo najprzód możemy mieć na baczności fantazyę pojedynczego człowieka, powtóre fantazyę różnego ludu i różnego wieku. Pod względem pierwszym wypadnie nam bliżéj rozebrać tę potęgę wszechmożną, niewolącą mistrza do stwarzania dzieł piękności; — pod względem drugim przyjdzie wyświecić, jak to ona, różną będąc w różnych ludach i w różnych stuleciach, wykwita przeróżną sztuką, dając świadectwo o różném usposobieniu ludów w historyi świata. Otóż widzisz, rozwój istoty fantazyi pod tym dwojakim względem będzie osnową następującego szeregu listów. Tym trybem będziemy mieli sposobność okazania, jak ogólne te zasady teoretyczne, choć zawsze jedne, zawsze te same, przyodziewają się w ciągu dziejów szatami różnych wie-

ków i ludów i jakim sposobem one się stosują do każdego z osobna rodzaju sztuki.

Spodziewam się, że może zamiaru tego dokonać zdołam, lecz tu wszystko głównie od tego zależy, czyli to, com już skreślił, do smaku ci przypadło, i czyli, czytając te listy, choć w cząstce doznałeś tego zadowolenia, które ja czułem pisząc je do ciebie. Przejrzyj niedostatkom, które bezwątpienia często w téj mojéj pracy spostrzegłeś, a wierzaj, że ci z całego serca wdzięczny jestem, żeś tak cierpliwie zechciał doczytać się końca i raczył tak życzliwie pójść za wątkiem osnowy całéj — *Vale et fave!*

List Jedenasty.

Fantazya i bliższy jéj rozbiór.

Wstęp. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem. — Fantazya posagiem ducha ludzkiego. — Fantazya, mądrość, cnota. — Fantazya i rzeczywistość. — Fantazya, jako czynność duchowa, wszystkim ludziom wspólna. — Fantazya strojąca rzeczywistość, ale takowa fantazya nie jest jeszcze fantazyą artystyczną. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza. — Walka mistrza z trudnością techniczną. — Henryk Stattler. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwéj w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki. — Rzeczywistość, mogąca być treścią dla sztuki. — Allegorya nie jest dziełem prawdziwéj fantazyi. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału. — Zdanie Platona.

(Dwanaście lat późniéj.)

Młodości porannéj wspomnienie, to zielnik stary, bo w niém wszystko przechowane z dawnych lat; — co serce niegdyś ukochało, co szczęsna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknéj zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułomkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły róże jak miłości młode, zbladły zawczesne tryumfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fijołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały się same jedne pamiątki cyprysowe — owe niezabudki młodych łez.

Młodości lata — one rajskie ogrody strojne kwiatów rojem, pojone niebios rosą, — one dziś głuchym, rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennéj szarugi życia, na grobie czarodziejskiéj ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada. One radości kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; — a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek, w tęsknocie swojéj, tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i po-

wierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy, cichą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą drożką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonéj ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc — patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne umarło — co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystek twój wiek.

Tak, komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha a nieskażona cnota wzorem, kto jego błogosławną modlitwę wziął posagiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka, miłości pełna, prawiła o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożéj, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem, pozostałém na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiastowały zacność i święty obyczaj domowy — ten zaiste nie będzie samotnym na świecie, bo nieśmiertelna jest puścizna miłości rodzinnéj i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie, choć mu życie zbiednieje, a niejedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ckliwych, cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własném, jakby w przenajświętszéj świątnicy istoty swojéj; w cichocie uroczystéj, sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczéj treści ducha swojego da posłuchanie, — i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie; — i stanie przed nim matka i pochwali i przytuli i scałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiéj niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem, i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jéj radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu, i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopięcych lat; a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie, ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmią światłem i cieniem, barwą i harmonią, jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobierzesz, bylebyś je w imię Boże zaklął miłością i zacną a niestrudzoną nigdy pracą. I tak pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, zkąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? zkąd im ta wie-

czna młodość, co nigdy nie starzeje choć się zjawią w najgłębszéj życia twojego jesieni? zkąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiała, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twojéj? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twojéj matki wizerunek święty i to jéj ostatnie pożegnalne spojrzenie, co utonęło na zawsze wiekuistości promieniem w duszy twojéj, już i sam sobie widzieć będziesz w ówczesnéj młodocianéj, prawie pacholęcéj postaci: tak to dawno, tak bardzo dawno od owéj boleści pełnéj a uroczystéj chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie; — ten spoczął w małéj jeszcze trumience, tamten znów wysoko podrzucił świecisty los; ów przepadł gdzieś w młaku; owemu znowu dawno na skon „zadzwoniły konie kopytami a wojacy ostrogami — a wypiła oczy wrona z dalekich stron.“ (Stara pieśń.)

Pytasz zkąd te dziwy? — Pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknością, ty sam w nie tchnąłeś anielskie wdzięki, poczęte we własnym duchu twoim. Tyś własnemi oczarowany czary. Ot patrz, w cichéj istocie duszy naszéj składa zewnętrzny świat wizerunki swoje, wmykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiéj; więc téż nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i dźwięku; one tam gdzieś na dnie ciemnéj otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swojém, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radośne świata rozbudzą dawne, oniemiałe w sercu wesela,— wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza, wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione, jakby na kryształowych szkłach malowane figury latarni magicznéj, przepromienione teraz poświatą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwać się będą po przed oczy istoty twojéj wiekuistéj; będziesz je widział pływające we falach nieskończonéj, niebiańskiéj piękności. Tak jest, to twoja własna sprawa: te uroki, jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskiém obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się zamodlił. Nie pytaj przeto już, zkąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, zkąd one tak anielskie, tak przeczystego uroku — oto, w duszy twojéj rzewnie i uroczysto. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian, przetłómaczoną na język ziemski.

Przecież potęga duchowa, która dokonywa tych cudów, która zdoła nadać nieskończoności ciało, nie jest samém tylko przypominaniem, nie jest oną jałową wyobraźnią, umiejącą jedynie cucić kopie wierne, dagerotypy niewolnicze, choć zwietrzałe, przedmiotów

zewnętrznych; tą potęgą, odziewającą wiekuistość we formy doczesne, jest — *fantazya*.

Widzisz przeto, że fantazya będzie w człowieku ogniskiem piękności wszelkiéj. Jeżeli tedy powyżéj rozprawiałem z tobą raczéj o sztuce saméj przez się, teraz rozsnuć ją jeszcze wypada ze stanowiska mistrza, zbadać bliżéj tajemnice zrodzenia się jéj w duchu człowieka. Jak atoli tam rzecz sama często niewoliła nas do mówienia o mistrzu, tak niechaj ci nie będzie dziwno, że teraz znowu tu i owdzie znajdziesz dotknięte prawdy, roztoczone już w poprzednich listach. Co tedy sobie jeszcze teraz powiemy, będzie w części istotnie nowym przedmiotem, a w części rozwojem bliższym dawniejszéj treści lub nowém jéj powiązaniem. A nie pomału nas też wszystkich obchodzi rzecz o fantazyi, bo przecież każdy z nas wziął ją choć w pewnéj mierze udziałem.

Wszak z tego, cośmy sobie już dziś rzekli, zgodzisz się, że fantazya nie jest jedynie ową drwiącą czarodziejską królową, panującą w państwie zaklętém złocistych ułud sennych, która pieszcząc się a igrając z biednym ziemskim synem, jakby z dziecięciem płaczącém, podaje mu zrazu zabawki błyskotne, świecidełka i fraszki figlarne, a poźniéj upaja gusłami, usypia w brylantowych pałacach, a kołysząc śpiącego w wonnym kielichu kwiatów, otacza chórem rusałek cudownych, co, urzekając uśmiechem miłośnym, śpiewają mu pieśni o szczęściu niewypowiedzianém i muzyki falami unoszą po nad padoły trosk i kłopotów, aby po krótkiém oczynieniu obudzić niebożę wśród pustek jałowych zwyczajnego życia, wśród bied i zawodów. Nie zaiste, fantazya ma inne, wyższe jeszcze znaczenie.

Patrz, w Sykstyńskiéj kaplicy Rzymu, w téj kaplicy wiary i piękności cudów, choć kopciem znieważone, płoną w nigdy niewygasłym majestacie myśli Michała Anioła. Rzekłbyś, że tytaniczny geniusz jego zbuntował się i zgruchotał ciasne szranki ludzkiéj siły, że powstał w groźném zuchwalstwie swojéj potęgi, że nie barwą, nie pędzlem, ale gromem wywołał te dzieła swoje na podziw wszystkim pokoleniom a na chwałę ludzkiego imienia. Gdy na ścianie ów *sąd ostateczny*, mrozem ścina pulsa duszy twojéj i zagląda strachem w głębiny serca, gdy z niego grzmi wołanie onéj pieśni straszliwéj:

Quantus tremor est futurus,
Quando judex est venturus,
Cuncta stricte discussurus!

Powyżéj pełnego zgrozy sądu tego, na wysokim stropie, roztoczone są obrazy Księgi rodzaju, a występuje tam jeden z nich co każdemu, który go raz obaczył, zostanie w duszy na życie całe. — Już jakby uczyniony był „rozdział między światłością a ciemnością“ już stał się zaranek natury, i, jak orlęta młode, już wykluczyły się z zamętu materyi światy a brzmiała weselem harmonia sfer; ziemia nowo zrodzona drgała z radości, że była zrodzoną, i ustroiła się świątecznie

w płaszcz swoich puszczy, kwiatów, łąk, woni i barw, i śpiewała uwielbienie Ojcu a wtórowały jéj piorunne mórz organy; a wszelkie żyjące odetchnęło już życiem młodém i cieszyło się, że było wezwane na natury gody. Wśród powszechnéj radości atoli sam jeden człowiek omdlały głuchą niemocą legł na jałowéj skale, najuboższy ze wszystkich jestestw stworzonych. Wtém od ostatnich biegunów wszech światów zagrzmiały wichry Boże, zatrzęsły się wiekuiste przestrzenie, ich nieskończoność znikła, tuż przed Adamem unosi się Bóg; — Pan owiany szatą wszechmocności, pod jéj rąbek tuli się aniołów grono — wysłańcy opatrznéj miłości jego; — Adam w niedoli dźwiga ociężałą błagalną rękę ku Ojcu. Pan dotyka się jéj palcem; gromem błyskawicznym zadygotał duch człowieka — iskra wiekuistości wstąpiła w praojca ludzkiego rodu.

Tę to chwilę ujął nieśmiertelny mistrz a dzieło jego świadczy, iż w nim samym buchnęła spotęgowanym płomieniem owa iskra Boża. Ten płomień, dany z nieba ludzkiemu rodowi posagiem, przechodzi już z pokolenia na pokolenie i przepływa świata dzieje.

Gore w człowieku iskra nieskończonéj prawdy. Ztąd dana mu wiedzy potęga, by poznał prawdę we wszechistnieniu; dana mu wola, by żył wedle ustawy wiekuistéj; dana mu jest moc, by tworzył istnienie wedle wiekuistéj prawdy. Niechaj tedy człowiek, ile sił swoich, iści tę wiekuistość; niechaj duchem swoim ogarnia świat i w nim się przegląda.

W Bogu wiedza, wola, moc są nieskończone; są więc w jedności: w Bogu wiedza jest wolą, wola jest mocą. Lecz w duchu stworzonym wiedza a wola, wola a moc różne od siebie są. Ztąd ów wiekuisty płomień rozszczepia się w człowieku na trzy różnobarwne promienie, lubo wszystkie trzy pochodzą od jednego światłości stoku. Tak w człowieku po wszystkie wieki prze i robi pragnienie dosłużenia się ciężkim trudem wyższéj a wyższéj mądrości; w nim pracuje nieukojona tęsknota nastrojenia woli swojéj do harmonii nieskończonéj, która wszechświatami władnie. Ztąd to łamanie się i pasowanie jego z sobą, by nie był dźwiękiem fałszywym w hymnie wszechduchów stworzonych, by nie był pysznym aniołem, odstępcą od Bożego zakonu, aby się uczynił jego wyrazem, jego żywém słowem, dorabiając się coraz wyższéj a wyższéj zacności. Nakoniec człowiek dokonywa zadania swego, stwarzając znikomą ręką uwidomioną postać wiekuistości przebywającéj w sercu jego; a tak w dziele własném oczyma, uszami swojego ciała widzi i słyszy nieskończoność. Téj twórczości sprawą, dziełem, jest piękność a jéj poczęciem w mistrzu jest — fantazya.

Ztąd mądrość, zacność, piękność, tak różne od siebie obliczem, są jednéj niebiańskiéj matki córy (*).

(*) Poznanie, wola i pierwiastek bezwzględny, tkwiący w duchu człowieka. Wykład systematyczny Filozofii. Filozofia ducha, § 344.

Bóg stwarza nie dla siebie ale z miłości dla jestestw stworzonych; człowiek tworzy, bo nie może nie tworzyć, twórczość jest mu daną; on tworząc wykonywa zakon, który był przed nim; on tworzy nie dla ubocznego celu jakiegoś, ale dla tego, że jest człowiekiem, by nieskończoność własną ujrzał w dziele swojém. Fantazya przeto nie jest przypominaniem żywcem przedmiotów rzeczywistych i marném ich naśladowaniem; ona nie jest wyrobnicą płochą błyskotek; ona z nieskończoności człowieka ma swoje pochodzenie i dla tego właśnie świeci iskrą Bożą we wszystkich ludziach i po wszystkie wieki. Przeto téż ten Boży pierwiastek żarem płonie w potędze a uroku cudownym fantazyi.

Fantazya, jakby stulona w pączku, śpi i marzy w sercu; gdy zaś na nią przyjdzie godzina, już rozsadzi pączek korny, urośnie, wzniesie się majestatem wszechwładnym. Ona rozpina loty swoje od bieguna do bieguna, mierzy niebiańskie przestrzenie, nie mające granic, mija gwiazdy, wywołuje z kostnicy historyi zapadłe dawno ludy, podsłuchuje oddech przyszłych stuleciów, kroczących przez dzieje świata, i słyszy radości robaczka, klującego się na listku. Fantazya, ta pani natury, jest mistrza służebnicą.

Zrazu czarnoksięzka fantazyi moc, stroi wdziękiem ową rzeczywistość powszedniego żywota; ona to magiczném światłem ochuchała nam wspomnienia z dawnych lat; ona to z promieni i barw, z woni i muzyki utkała im szaty niebiańskie; — wszak to ona, co, rozkochana w rzeczach stworzonych, codziennie nam zakrywa ich biedotki i ułomności ziemskie a wymyśla im powaby i uroki. Fantazya patrzy na dzieła natury sercem matki, co nie spostrzega tego, czém jéj dziecię iście jest, ale widzi jedynie to, czego dusza jéj gorącém pragnieniem wymodlić rada. Bo natura jest państwem ułomności i niedostatków; tu wszystko, co jest, zostaje w zależności od innych również tak zawisłych jestestw; tu żadne jestestwo nie stoi o sobie, ale ma warunki bytu i rozwoju swojego zewnątrz siebie. O ile więc każde zdoła być odpowiedniém wyrażeniem myśli, więc ciałem idei swojéj, toć zawisło od zewnętrznych wypadków; piękność jest w naturze tylko przypadkiem szczęśliwym, ślepym trafem, i dla tego piękność najwyższa nie jest zjawieniem ze świata rzeczy przyrodzonych.

Tu przypadkowość, to jęctwo zawisłości, cięży pierworodną klątwą na jestestwach natury, bo daje się we znaki ich ułomnościom a w końcu nasyła im śmierć. Przyłóż ucho duszy twojéj do tajemniczego państwa przyrody a usłyszysz gwary zrodzenia i skonu; bój wrogich mocy, i pasowanie się nienawiści, i miłosne tęsknoty, jęki rozpaczy i gwałtów tryumfy. W téj walce nie jedno zamrze jeszcze w zawiązku, inne przepada śmiercią zanim się wzmoże i rozkwitnie w sobie; a te biédne doczesności dzieci, które przebędą ten trud twardy i przeżyją tę ciężką walkę o byt swój, wychodzą z niéj spaczone, zwichnięte, pełne śladów doznanych krzywd. Te więc fan-

tazya bierze w objęcie serdecznéj miłości, tuli je do siebie, by je wyleczyć, odchować, by odchuchać w nich tę piękność, którą miały w odwiecznéj idei, zanim idea ta spadła w sidła materyalnego świata; fantazya je pieści i mili, by je uczynić na podobieństwo modły świecącéj w duchu naszym.

Widzisz one róże — owa ostatnia, owa sama jedna przeżyła w ogrodzie swoje siostry starsze; ona nie roztuliła jeszcze namiotku wonnych liści swoich, a już umiera bo ją skrzywdziły słotne jesieni chłody, bo ją przycisnął chwast i nie dał napoić się rosą i niebios promieniem; a serce jéj, co miało być gniazdkiem geniuszków miłości, toczy robak. Fantazya, litując się niebogiéj, odrodziła ją w przepyszną panią kwiatów i godło gorących uczuć kochanków, uczciła ją pieśnią i przypięła do piersi młodéj dziewczyny by na jéj sercu skonała — i znajdzie się muzyk co jéj w skonaniu wdzięczną przyśpiewa melodyą (Flotow, Marta). Patrz na tę niewiastę — i ona była różą w ogrodzie piękności ziemskich; na tych zgasłych dziś ustach igrały niegdyś miłości uśmiechy; z tych zeszklonych oczu, przed laty, jakby gwiazdami swojemi, poglądało niebo; ona dziś pozostała samotna wśród chwastów i cierni życia; niedostatek, troska, szarugi świata, znieważyły jéj postać uroczą i sponiewierały tę szlachetność rysów — a może i robak własnéj winy gnieździ się w sercu. Lecz fantazya po przez ślady krzywd i obelg wzrokiem ducha dowodzi w niéj natury arcydzieła, i płoszy wady i wywołuje do życia dawno umarłe uroki i zgasłe na zawsze wdzięki. — Tak fantazya, sama się radując swojém dziełem, zapomina o sromie i przebacza winy!

Stań na mogile, przez stare wieki usypanéj; natura, nie znękana nigdy robotnica, roztoczy do koła u stóp twoich widoki haftowane cudem barw. Wysyłasz jak sokoły myśli twoje w świat szeroki — w świat daleki; rozpuszczasz je po błoniach w kwiaty szytych, po górach hardych, po skałach, po obłokach, po dolinach; puszczasz je na zwiady w tajne lasów mroki i przejrzyste rzek pałace; a zewsząd, zdala i zbliż, wracają do ciebie uskrzydlone myśli twoje, niosąc pragnienia i chęci, którym nie podoła nawet ten rajski świata obraz. Tak radbyś, aby to niebo, co dziś jakoś nie swoje, spojrzało na ziemię jasności powodzią i rozbudziło wszystkie dźwięki farb i cieniów i świateł; żal ci, że ów pagór, tak ubogi a jałowy, nie ubrany wiankiem dębów starych; temu potokowi życzysz wód bujniejszych, zuchwalszych; i znów uważasz u siebie jakby to onym skałom pięknie było w szacie odwiecznych bluszczów; i znów w myśli wycinasz sobie bory i otwierasz w nich okno, by owo dumające zamczysko stare, co, choć zapomniane dawno od ludzi, choć w rozsypaniu, tak jest harde i wspaniałe, mogło swobodnie patrzéć na mogiłę, a w nocnéj ciszy posyłać jéj westchnienia swoje.

Otóż, co jeno obaczysz w rzeczywistości doczesnéj, już fantazyą ubierasz, krasisz i w duszy poprawiasz, bo duch tęskni w tobie, by

siebie ujrzał choć w ułomnych rzeczach, a tak rozszerzył w nieskończoności istotę swoją. Fantazya jest podobna miłości. Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie, — dla tego też tak biedne, tak litości godne. Miłość zaś, nie tracąc siebie, przecież w drugim samą siebie widzi, a tak, nie tracąc na głębi swojéj treści, zyskuje na jéj obszarze. I dla tego też właśnie każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha. Nienawiść odgranicza się od świata ciasnotą serca swojego, przez co sama się czyni ograniczoną; miłość nie wie co granica; ona się rozlewa w nieskończoność, ona, tak jak i fantazya, jest córą nadobłocznych światów.

Strzeżmy tedy pilnie świętego ognia fantazyi, co gore w piersiach naszych; strzeżmy go od nawałnic namiętności grubych, od wichrów zmysłowéj natury naszéj; zachowajmy ten najdroższy żywota skarb w jak najpóźniejsze lata.

Jeśli atoli chcesz by fantazya, by ten pociechy zdrój wśród skwarów świata nie wysechł w tobie, jak wysycha strumień w piaskach spiekłéj pustyni; jeśli chcesz by na zawsze bił krynicą czystą, bogatą, co wyzdrawia, co ulecza niemoce duchowe i koi boleści rany, podsycaj go całą serca twojego potęgą. Miéj oko i słuch rozwarty, świeży, na ten szeroki Boży świat, na te wszystkie pojawy, co w nim świecąc i grając przemykają się to orszakiem żałobnym, to weselną drużyną; uchwyć, obejmij siłą zmysłów młodą, ostrą, wszystkie kształty te, przeniknij je wskróś, nie przepuść choćby nawet drobnostce pozornéj; „patrz się na ten świat wesoło, bystro, rześko, jakeś nań patrzał za chłopięcych lat“, (*) gdy ani cętka na skrzydełku motylém, ani świergot niedosłyszany na wysokim dębie, ani mrówka w trawce, ani szczerbka na szabli, ani wonny dech fijołka, nie usłyszy sto-uchéj, sto-okiéj baczności, wiecznie nastrojonéj, ciekawéj a czujnéj; a przedewszystkiém kochaj tę naturę, kochaj ten świat i ludzi, zrzuć z serca zbroję lodową; roztwórz szeroko, na oścież piersi twoje; niechaj ci świat cały i wszystko, czém cię chwila obdarzy, zagra na strunach duszy twojéj; niechaj ci nic nie będzie obojętném, cudzém; bierz wszystko gorąco sobie do serca, a choć cię nie miną rany bolesne, toć znów znajdziesz miłość, co je ukoi, uzdrowi. Tchnij, całym żarem kochania twojego, uczucia swoje we wszystkie przedmioty; niechaj ci w nich własne twoje serce zapuka; i nie pożałujesz, bo im więcéj im dasz, tém więcéj od nich odbierzesz; co nieme, toć przemówi do ciebie własną mową twoją; co martwe, żyć będzie ciepłem życia twojego, będzie czuło i cieszyło się i smuciło po twojemu. Ty znajdziesz siebie w świecie całym jako w ulubienicy swéj; dusza ci się rozszerzy jak kaplica Pańska cudów pełna, i cały się świat w niéj pomieści; zamieszkają w niéj wszystkie dziwy jego, ale rozpięknione, ale w świątecznéj, uroczystéj postaci.

(*) Vischer, Aesthetik. T. II. 1847. § 385.

Zaiste tak bogatym na duchu, tak szerokiego, głębokiego oddechu zdoła być każdy z nas; więc wynieśmy te skarby z pożaru płonących nadziei młodych, jako opiekuńcze bogi domowe, a nie będzie nam się cniło, choćby na pogorzelisku smętném wszystkich rojeń najdroższych i ułud młodości naszéj. Ale biada temu, kto te bogactwa w sobie przemarnił, kto je przepuścił w jałowiznie chęci i pragnień swoich, żądzą skalanych; jego serce wysuszone i skurczone nie zazna już nigdy, czém życie się stroi, czém się goją blizny duszy; lichy syn lichego czasu sam nie wie jak ubogi, nie wie że jest opuszczonym sierotą na ziemi. Niechaj zwraca ochoty swoje za fetyszem wieku, lecz niechaj nie zasiada do rady, gdy mowa o godach nieśmiertelnych ducha.

Zważmy atoli czyli ta fantazya, nam wszystkim wspólna, powszechna, jest już całą fantazyą, całą oną potęgą, daną człowiekowi przy zrodzeniach świata? Czyli to ukochanie przedmiotów doczesnych, to ich strojenie, milenie, piększenie, wystarczy by duch w nich na prawdę siebie obaczył? Czyli ta fantazya już zdolna utworzyć artystyczną piękność i czyli ona już nas czyni rzeczywiście mistrzem?

Może powiastka o upadłym aniele stanie nam za odpowiedź.

Świat młody kwitnął jeszcze pierwszą wiosną natury i liczył dopiéro na dni życie swoje świeże; ziemia nie zaznała jeszcze ni boleści ni cierpienia; wina nie rozpięła jeszcze ciemnéj opony między niebem a człowiekiem, a niebo to bliższe było ziemi niż późniéj, gdy wśród ludzi postała paląca rozpacz i zbrodnia ponura. Wtedy śmiertelni bez lęku wpatrywali się jeszcze w aniołów, co przelatując po nad doliną doczesnego żywota, wiekuistości spojrzeniem poglądali na ziemskie dzieci i pływali w promieniach Bożych jak igrają pyłki w jasnościach słońca.

Otóż, jeden z aniołów, niosąc od Pana posłannictwo, zbliżał się polotem ku ziemi i z wysokości swoich obaczył najcudowniejszą z cór przyrody całéj. Z lekka się kołysząc na tęczowych skrzydłach, spuszczał się zwolna by się nasycić tém czarodziejskiém widziadłem, a światłopióre loty jego, drgając dreszczem rozkoszy, zaszumiały radością i sypały niby rosę jasnych iskier tłumy. Te ognie niebiańskie, ten szum skrzydeł przejęły trwogą dziewicę i spłoszyły w głębokie cienie gaju. Lecz obraz jéj piękności pozostał już na zawsze w myśli anioła. Ztąd, dniem unosił się niewidzialny nad swojém kochaniem i przyświecał dumaniom i tęsknotom dziewiczym, a nocą, gdy rozum w senném omdleniu tlił tylko przygasłą jasnością a mroczna poświata otuliła duszę kochanki, anioł stwarzał jéj czarodziejskie światy marzeń, które, zaledwie co poczęte, gasły w chwili, by się znów odrodzić w cudowniejsze kształty. To jéj z kolei zajaśniał promienną postacią od Pana użyczoną, odziany światłości szatą, to okrywał się ciemnym obłokiem; tak naprzemiany roztwierały się jéj niebiańskie rozkosze i rozpływały zawodną nadzieją. A widma nie-

bianskie, we śnie widziane, śpiewały i na jawie cudowną muzyką w duszy dziewicy, a rozebrała ją nieskończona, bezdenna tęsknica; aż oczyniona nieznaną potęgą, któréj już podołać nie mogła, uchwycona mrozem i żarem rozkoszy wezwała rozpaczając na niebnego kochanka, by się jéj na jawie okazał. Cherubin na stropie gwiaździstym składa promienisty wieniec od nieba mu dany, zwija promienne skrzydła wiekuistéj chwały, a odziany urokiem najwyższym, który mogą przenieść oczy śmiertelne, staje przed ulubienicą.

W pożarach uściśnienia spłynęła miłość anioła i dziewicy, a jeden płomień palił w oczach obojga kochanków, a jeden płomień stopił dwa serca tak dalekie od siebie ojcowizną swoją. Upływały dni, upływały lata w morzu rozkoszy najwyższéj, na którą się tylko miłość zdobyć może. A Cherubin, dumny swojém kochaniem, bogactwa świata składał u stóp miłośnicy swojéj i stroił ją w brylanty, co świecą, jakby źrenice w ciemnéj nocy przepaści głębokich, i zdobił ją w perły, co uwięzione w skorupie, zaklęte na dnie oceanów, kędy nie dochodzi słońca poświata; lekkim jakby myśl polotem przebywał lądy i wody i powietrze, by zdobić ziemskie kochanie swoje. Tak upływały dni, upływały lata w morzu najwyższéj rozkoszy. Wśród atoli szczęścia i błogiego wesela, wśród rajskiéj uciechy i zachwytu dusz, padały niekiedy na anioła, jakby zły sen, chwile ciemne żałości i cierpień i niewypowiedzianéj tęsknoty. Owe stroje pożyczone od lądów, od wód, od słońca, nie mogły zastąpić u kochanki niebiańskiego rodu; wszystkie skarby natury nie zdołały zatulić znamion tutecznego pochodzenia. Anioła trwogą ziębiła myśl, że ulubienica jego jest tylko doczesności kwiatem, że on, wiekuisty syn, światowém kochaniem oddał się śmiertelnéj dziewicy. W tych chwilach przyszłość zakrywała się jakby dymem czeluści piekielnych, obsłaniając mu niebiosa — otwartą ojczyznę jego.

Razu pewnego dziewica, jakby echem wspomnień, rozbudziła w sobie obrazy onych czarownych marzeń sennych, w których niegdyś jéj Cherubin pojawił się w nieprzyćmionéj światłości niebiańskiéj, w jaką się odziewa, gdy służy Panu na wysokościach Jego majestatu. Więc rzewną prośbą, więc z najgłębszych toni duszy błagała, by ziścił one sny cudów, by znowu z postaci jego płynęły światłości strumienie, jak płyną z kwiatów wonie rajskie, by tchnął na nią ducha swojego, by i ona stała się duchem jemu podobnym. A Cherubin, zdjęty miłością bez granic, uniósł się pragnieniem, by ją z sobą zrównał, by się z kochanką podzielił wiekuistością swoją i ją wyzwolił od skonu. Rozpromienił się tedy jaśnią, zaświecił gorejącą wiekuistości pięknością; tryskały światła niby słońca z postaci anielskiéj, oblicze jego zapłonęło miłości i niebios urokiem, i tak otulił objęciem kochankę. Ale zaledwie dotknął się olśnionéj, drżącéj dziewicy, już żar ziemskich ogni ochłonął ulubienicę ziemską. A ona wśród walki skonu ucałowała raz jeszcze czoło jego. Z wdzięków cudownych, z natury arcydzieła, pozostała jedynie garść

ciemnego prochu. Ucałowanie jéj ostatnie wypaliło na czole anioła piętno grzechu — bo on utonął w ziemskich urokach. On na wieki z nieba wygnańcem; zgasła na wieki jego piękność nieskończona — a wieniec promienny jego chwały pozostał na zawsze na stropie gwiaździstym.

Rozumiem, iż może bez naciągania samowolnego mogę tę powiastkę zastosować do owego naszego pytania (*).

Otóż człowiek, rozkochany w piękności rzeczywistego świata, jéj się w zupełności oddając, daremnie ją stroi w skarby fantazyi, daremnie ją pieści miłością; on zawsze i zawsze będzie tym aniołem upadłym, który w przedmiocie doczesnym nigdy nie obaczy ducha swojego, nigdy się w nim nie przejrzy, nigdy go do siebie nie podniesie i z sobą nie zrówna. A będzie tęsknił w objęciu wdzięków tutecznych, on, wiekuistości syn; gdy zaś zapragnie tchnąć ducha swojego w te kwiaty śmiertelne, spali je tchem swoim; one umrą w jego objęciu, one nie wytrzymają tchu wieczności, a duch za zapomnienie siebie straci gwiaździsty wieniec istoty swojéj nieskończonéj.

Zaiste, przedmioty materyalne, choćby najwyższego uroku, są przecież dziećmi z tego świata, są tylko względnie piękne, bą są oddane na łaskę bezokiego przypadku, który, jak wiemy, gospodarzy w świecie rzeczywistości. Niechaj tedy człowiek zdobi, stroi i umaja te ziemskie pojawy, niechaj w tém kochaniu swojém posiędzie niewyczerpane szczęśliwości zdroje; ale niechaj zarazem pomni, że te istoty, w rzeczywistości zrodzone, nie napoją, nie ukoją jego tęsknoty, któréj się cni i przykrzy bez kształtów wprost z ducha zrodzonych; bo w tych dopiéro siebie zupełnie obaczyć zdoła. Przedmioty rzeczywiste, jakeśmy powiedzieli, są ułamkami tylko; one nawzajem trzymają się na uwięzi, a miłość serca najgorętsza nie wykupi, nie wybłaga ich z jęctwa tego; w nich przeto nie zdoła się zwierciedlić duch, bo on nie zna zawisłości téj.

Uważmy, iż to właśnie ta fantazya, wspólna nam wszystkim, którą my już to wszędzie fantazyą *powszechną* zwać będziemy, jest tą mocą strojącą, milącą jestestwa z tego świata; ona przeto nie wystarczy, ona tedy nie jest jeszcze fantazyą w najwyższéj potędze, nie jest jeszcze fantazyą *artystyczną*. Ona, choć tak bogatym skarbem w posagu nam danym na życie całe, choć bywa geniuszem pocieszającym w opuszczeniu i sieroctwie ziemskiém, nie czyni nas jeszcze mistrzem, bo ona sama jest jeszcze ziemianką. Ta fantazya powszechna, która się wszystkim, choć w nierównéj mierze, udziałem dostała, daremnie sili się i roztacza skrzydła swoje; wszak te skrzy-

(*) W téj powiastce poszedłem za T. Moore'm; odważyłem się atoli dwa jego odrębne poemata zlać w jednę powieść, a tak nie tylko skróciłem, ale nadto ośmieliłem się popaczyć ich piękność, stosując rzecz do mojego celu i opowiadając ją po swojemu.

dła jéj są obciążone biedą i ułomnością; ona zaledwie wznosi się na turnie, na Alp szczyty, gorejące dopiéro pierwszym piękności świtem, ale niemocna, by się wzbiła nad ziemię i aby uleciała w wysokości nadgwiazdne, kędy nie dochodzą żale tutecznego świata, kędy nie słychać westchnień i walki i pasowania się doczesnego żywota; ona niemocna uderzyć w głębie idealnych światów, by ztamtąd sprowadzić niebiankę wśród ludzi. A choć duch odzieje te ziemskie przedmioty czarodziejską szatą, toć przecież one będą tylko przyswojone jego dzieci, nie staną się nigdy krwią, kością z krwi i kości jego. Uważ, iż ta fantazya powszechna, już tém samém, że piękność umila, stroi przedmioty z rzeczywistości wzięte, już iście je odmienia, przetwarza, jest tedy już i twórczą; ale ta jéj twórczość nie jest jeszcze twórczością prawdziwą; jéj utwory nie będą jeszcze zupełnie wolne od niedostatków rzeczywistości i natury, bo ta fantazya sama jest jakby dziełem rzeczywistości powszedniéj, sama nie jest wolną od jéj niedostatków. Aby duchowa wiekuista istota przejrzała się w zmysłowych przedmiotach, niechaj wskróś będzie twórczą; stwarzanie strojów, zdobiących wdzięków niewystarczy; niechaj tedy postaci będą całe w duchu poczęte; a wtedy przyzna się do nich bogini piękności, a ty staniesz się świętym sztuki pomazańcem, uwieńczonym mistrza koroną. Ta fantazya powszechna, jak obaczymy w listach następnych, wyjawi się jako fantazya ludu, gminu; ona tedy dostarczy mistrzom wieszczowéj osnowy, którą ich fantazya artystyczna przetworzy na prawdziwe dzieła sztuki (*).

Jeżeli zaś ta fantazya zwyczajna, *powszechna*, co przecież jest tak czarodziejską, tak lubą malownicą złocistych marzeń naszych, tak bogatą w pociechy i radości, nie zdoła jednak jeszcze być fantazyą *artystyczną;* jeżeli ona nie zdoła jeszcze wybrańców swoich wyświęcić na kapłanów sztuki pięknéj, cóż dopiéro rzec o téj szaréj czeladzi, która, mając się za natchnioną, woła: „est deus in nobis“ choć w niéj i ta nawet zwyczajna powszechna fantazya tleje zaledwie mdłą iskierką? Ów rozumie, że trocha brzęku i dźwięku w rymach, szczypta imaginacyi, lada koncepcik, trocha czułości a dużo zarozumienia, dają prawo do wieńca poety; ów znowu robi wiersze, cacka go tedy admiracyą rodzina, a kółko przyjaciół z jego parafii raduje się wieszczem swojego chowu; a jeżeli sentymentalnością rymowaną zdobył sobie jakieś serduszko, i tak nie bardzo warowne, albo popisze bez składu i ładu niestworzone rzeczy, co mu przez głowę przejdą, nazywając to fantastycznością genialną, wtedy już mizdrzy się sam do siebie i jest pewien, że dojdzie Parnasu na wielką radość Homera i Sofoklesa, którzy tam już na niego u drzwi czekają. Ów znów drugi, że się podlił wierszami przelotnym, spaczonym wyobrażeniom,

(*) Obacz obszerniejszy wywód o fantazyi powszechnéj i artystycznéj w Estetyce Vischera § 379 i następne; jest to dzieło z którego często w tych listach korzystałem, a godne by było polecone czytelnikom młodym.

że sobie wylokaił wziętość chwilową, radby ukryć pod laurem poety znieważone czoło. Tamten znów cieszy się, że wierszami swojemi poruszył serca zacne i poczciwe, że pieśń jego rozlegała się po świątnicy duchowéj czytelników; ztąd wierzy, że jest wszechwładnym prorokiem, a nie chce baczyć, że te głębokie boleści, radości i bez niego rzewną muzyką już od dawna żyły i w tych żyjących ciepłych sercach, i żyły po grobach, a zapomina tego, że on tylko podszył liche wiersze swoje pod tę nutę świętą, wspaniałą i uroczystą, a tak sztuczką zdobył upodobanie przechodnie publiczności swojéj.

Przepuść mi jaskrawość tych uwag kilku, ale trudno być obojętnym, patrząc ile zdolności młodych u nas umiera na wierszowanie, które wcale inaczéj mogłyby służyć społeczności. Wszak tych niewydarzeńców powiększéj części podrzuca chętka dania sobie dyspensy od trudu nauki, lub innéj jakiéj uczciwéj pracy w życiu, a zjednania przecież sobie imienia bez mozołu. Kto atoli tak opojony własną miłością a próżną pochwałką nie obliczył się z sobą, zmądrzeje po szkodzie i pozna, że życie młode przegrał w rymy; doczeka się tedy śmierci za życia i téj pociechy, że był na własnym pogrzebie. Jeżeli tedy kogo z młodych opadnie ochota do wierszowania i poezyi, niechajże ją uważa za ospę, za kur, odrę lub inną chorobę dziecięcą, którą trzeba odbyć za młodu jak pierwsze kochanie; ale umrzéć na te słabostki — nie uchodzi.

Zaiste fantazya, o któréj mówiłem, nie stanowi jeszcze twórczości, mistrza, zaprzeczyć jednak trudno, iż ona i mieni się w każdym człowieku właściwą sobie barwą, i jest różną w ludziach wedle różnego stopnia swojéj potęgi. Chętnie się téż zgodzisz ze mną, iż w kim ta fantazya wzmoże się całą głębią swoją, iż niekiedy zagrzmi wszystkim akordem swoich strun i uniesie ducha prawie na pogranicze artystycznéj twórczości; zabraknie mu może jeszcze tylko jednego uderzenia jéj skrzydeł, by go przenieść w ojczyznę mistrzów piękności. Uważ nadto, iż nie ma mistrza bez téj fantazyi powszechnéj, wszystkim nam wspólnéj, że i on się nie obejdzie bez czynników a pierwiastków, które są jéj warunkiem. Mistrz nie byłby tém, czém jest, bez onéj bacznéj czujności na naturę i życie, bez onéj tkliwéj gorącéj, przybierającéj do serca tak głęboko i namiętnie wszystko, co tylko świat w koło porusza. Nigdy nie będzie z ciebie mistrz, jeżeli natura, ludzie, świat zatrzęsły się w koło serdeczną radością, a w sercu twojém nie ocknęło się Hosanna brzmiącém weselem. Nie będzie mistrzem, kogo do żywego nigdy nie przejęły piekące cierpienia, „kto nigdy nie przepłakał długich samotnych nocy“ (Göthe), i żarem boleści nie wytopił z siebie żuzelicy ziemskiéj. Nie będziesz mistrzem bez wyobraźni potężnéj, co silnym, ostrym konturem, żarzącym kolorytem, nie wznosi mu rzeczywistości obrazów. Te wszystkie moce będą równie i mistrzowi w służbę oddane, a będą atoli w nim kipiały i robiły daleko wyższém tętnem niż w nas powszednich ludziach.

Ale nie tutaj jeszcze koniec istoty mistrza.

Mistrz, na mocy potęgi danéj mu łaską, z otchłani duchowych na jaw zmysłowy wywołuje postaci, wiekuistości człowieka zwiastuny. Ciała ich, choć okiem doczesném widziane, choć uchem doczesném słyszane, nie są z tego świata. One, lubo stają na nizinach tutecznego żywota, wiodą ród swój z nadświatnéj krainy; ułomność, skon, jęctwo materyi, tracą tutaj prawo swoje, a starta ich jest moc. Jeżeli ową powszechną fantazyę stać jedynie na to, aby otulić jestestwa zdobiącą szatą duchową, fantazya mistrza ubiera wolne córy duchowe szatą doczesną, ciałem, by były widziane na ziemi. Tak przeto te szaty, te ciała, te powłoki ducha, same są czystém przezroczem, tchem duchowym, przez który świeci nieskończoność w jasnym majestacie swoim. Te ciała są tylko przyborem czasowym; rzekłbyś, że chwila jeszcze, a przybory te spadną i niebianka uleci oczom śmiertelnym.

Patrz, dziewica, przeczysta w sercu i niewinności rajskiéj, rozraduje się w duchu, gdy na nią przyjdzie nieznane jeszcze miłości przeczucie — ona zapłonie rumieńcem; lecz te róże na licu dziewiczém nie są przecież wstydliwości ziemskiéj oznaką, bo one nie z ciała się rodzą, one są ducha wykwitem. Tak i ciało, w które mistrz ubiera treść swoją, nie jest ciałem zmysłowém, ale tylko duchem widzialnym. Te postaci, to splot promieni, woni, uczuć, barw, tonów i świateł. W nich niebo i ziemia obchodzą zrękowiny swoje. Tutaj doczesność ziemska zwlokła z siebie ciężkie śmiertelności ciało, a tak, przerodzona w niebiankę godną ulubieńca, rzuca się w objęcie jego. W tych dopiéro postaciach doprawdy duch się przejrzy, w nich siebie znajdzie i powita rówiennicę swoją.

I stanęły te postacie przed okiem ludzi, goście ze świata ideałów; uroczysto i świąteczno patrzą się na nas z podnóża swojego; a spojrzenie ich tak tkliwe, tak miłości pełne, iż przenika do dna duszy naszéj; a radbyś je ująć uściśnieniem rzewności nieskończonéj, ale braknie ci „śmiałéj odwagi, bo jakby urzeczony tym cichym spokojnym majestatem ich, staniesz nieporuszony“ (Schiller). Umilkną też wrzawy światowe, oniemieją w koło gwary i hałasy jarmarczne powszedniego życia, i w koło umilkną zwady uczuć w piersiach ludzkich, a dawno w nich zapadłe wyrocznie ożyją i odezwą się proroctwem o wszystkiém co wielkie, zacne i wiekuiste. I w koło ucichną wrzawy światowe i gwary i hałasy; w milczeniu uroczystém, głębokiém, dosłyszysz w tych postaciach marmurowych oddech niebiańskiego żywota, dosłyszysz, jak w nich tętni sercem nieskończoność. Co się zrodziło w jednéj chwili, staje się dziedzictwem, drogą puścizną, dla późnych pokoleń i następnych wieków.

Tak mistrz jest królem duchów a kapłanem, co ślubem miłości wiąże ducha i materyę. W jego dziele treść i forma, myśl i obraz, dusza i ciało w jedności są, nawzajem się przenikają i są stopione w jedną całość. Ta jedność dwóch światów nie jest zewnętrznym spojem. Obie strony nie są dobierane w czasie. One powstają

jedném uderzeniem ducha, jednym gromem, one razem się rodzą, razem żyją, razem umierają. Obie strony mają się jako potęga dwóch odwrotnych biegunów elektrycznych; nie ma jednéj bez drugiéj; gdy się wzmogą, jednoczą się wspólnym płomieniem. U mistrza treść jest już formą, a forma już jest treścią; on gdy myśli, obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. U mistrza ciało jest tylko uwidomieniem ducha, a duch istnąc uwidamia się ciałem. I to jest fantazya twórcza, artystyczna; ta fantazya jest mistrza żywotem. A pytacie zkąd mu ta potęga? Ona mu łaską przyszła; jest to wielka jego wygrana, w chwili gdy się na świat rodził. On jest szczęśliwym niebios wybrańcem.

Są chwile, gdy świat wydaje się jako olbrzymi dom roboczy, w którym mrówcze krzątaniny i prace i trudy ku temu wyłącznie się mają, aby każdy, o ile tam może, opatrzył jakoś codzienne potrzeby swoje, i, jeżeli się uda, aby wydarł jeszcze na losie jakieś osobne dogódki dla siebie. Rzekłbyś, że w takich czasach jest zaiste obawa, aby człowiek na prawdę nie ugrzązł w tém życiu duszném i ckliwém, aby mu się samemu kiedyś może nie sprzykrzyły te zabiegi, i aby mu się nie zmierziły i to życie własne i ten świat stęchły i czczy. Jednak, wierzaj mi, nie ma strachu! I najprozaiczniejszy człek, i w tak zaśniedziałym czasie, ma swoje marzenia, co choć we śnie odwiedzają biedaka. Śpiącego otacza ród swawolny gnomków i geniuszków i barwi mu życie senne, i szepce i śpiewa mu tak dziwne powiastki, że choć go wstyd na jawie przyznać się do nich, i choć nawet jakoś niemi pogardza i płoszy je ważnemi sprawami giełdy, kursów, akcyi, dywidendy i t. d., owe piosenki i rusałki i gnomki brzęczą mu przez sen i burczą mu na jawie, jakby muszki złociste, około uszu, i brzęczą w duszy. A zbierają się znowu natrętki na nocne odwiedziny i stroją niewczesne żarty i figle. Otóż, zważ, ci figlarze i próżniacy, gdy się bardzo zagęszczą, wyprzedzają rzeczy świetne i pełne grozy; wtedy one są zapowiedzią, iż nastaje czas, w którym światu mistrze się zrodzą, co zetrą pleśń ze życia i poruszą zastałe serca i dusze ludzi.

Znasz te ciche, święte nocy, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwa swoje; gdy księżyc poświatą drżącą marzy po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagląda srebrném spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych; gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą nizką, drży w rosy kropelce na liściu zawieszonéj. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, utulone tajemniczą fantazyą nocy, zasnęły i marzą, stając się jakby własném widmem swojém, a tłumy skoczne iskier srebrnych pląsają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nim rusałkach cudnych i przez sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiewne obłoki, co niewiedzieć zkąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącéj ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapo-

mina o troskach i znojach dziennych — i śpi. W tych nocach cichych sama natura jest artystą i chuchem poezyi odziewa świat, by zacnie przyjął posłannicę z piękności krainy, co, jakby kochania dreszcz, przelatuje śpiące życie. W tych nocach świętych Venus-Urania zstępuje na ziemię. Żaden z ludzi powszednich nie ujrzał nigdy przychodniéj zwiastuny; nikt z nich nie dotrzymałby obliczu niebianki. O jéj nawiedzinach szepce tylko wieść, co z pokolenia na pokolenia falami spływa, krzepiąc je wiarą i otuchą. A zwiastuna niebiańska z cicha i niewidzialna wstępuje do komnaty, kędy dopiéro co gość młody, mający odbyć pielgrzymkę przez życie, płaczem i kwileniem powitał pierwszą chwilę ziemskich trudów. Matkę po pracach boleści ukołysały snem łzy rozkoszy i szczęścia uśmiechy. Posłannica ze świata Fantazyi stanęła nad kolebką niemowlęcia i położyła mu na czole jedną z swoich gwiazd; po téj gwiaździe go pozna, gdy kiedyś ją złoży nieskalaną, nieprzyćmioną u stóp wiekuistego tronu dokonawszy zacnie swojego posłannictwa na Ziemi.

I gore gwiazda na dziecięcém czole, a gore wróżbą przyszłych cierpień i przyszłéj chwały, a nikt z ludzi nie dostrzega tego nieskończoności znamienia; jedna tylko matka, czuwając nad kolebką długie tęskne noce, niekiedy obaczy jasność na skroniach dziecięcia swojego; bo miłość matki, to także gwiazda Boża; ta miłość także nieskończona i bez granic; a więc serce matki miewa chwile, gdy błyśnie jasnowidzeniem i magią przeczucia. Dla tego gwiazda Boża w sercu matki poznała gwiazdę Bożą na dziecięcém czole.

Wyrosło dziecię w pacholę — huczy i szaleje radością z innemi po łączkach i krzewach. Lecz gdy się wyhasa, wyhuka, znów czegoś dumające i smętne; w głowie coś mu ciśnie i boli, a gdy samo jedno z daleka od zabaw hałaśnych chowa się w zacisze, wtedy nawiedzają je niekiedy jakieś śliczne i grzeczne chłopięta skrzydlate a tak miłe i cudne, jak te dzieci niebiańskie na obrazie w kaplicy; i podają mu złociste jabłuszka, i obrazki świeciste, i wianuszki pachnące, i z nim się bawią i prawią powiastki tak ciekawe i cudne, że już chłopczyna i na łączce, i w ogrodzie, i w szkole, i w domu myśli i marzy o tych ładnych i maluchnych przyjaciołach swoich. Nikomu téż o nich nie powiada, choć nie wie gdzie mieszkają i zkąd przychodzą, a czasem nawet siadają mu na łóżeczku i coraz śliczniejsze opowiadają powiastki i pieszczą go i całują, póki nie uśpią.

Chłopczyna wykwitnął młodzieńcem; on marzy o czarodziejskich latach dziecięctwa swojego, a tak mu czegoś ciężko na sercu, tak ciasno na tym świecie, że mu dusza zaszła tęsknotą; pragnie puścić się wędrownym obłokiem, co płynie po niebie i pożeglować gdzieś daleko. W piersiach mu duszno, parno, w nich roje słońc radeby na świat się rodzić; w duszy coś mu śpiewa, gra i płacze, coś się rusza jakoby ożyły w nich nuty do przyszłych tryumfów, do hymnów na przyszłe dzieje ludzkie; ale jemu tak ciężko i tęskno w sercu! Mozół młodego życia, nauk trudy, powołanie przyszłe, co olbrzymem

pełnym grozy staje się przed nim i napomina i przestrzega, nie zdołają spłoszyć jakichś postaci dziwnych, co choć nigdy niewidziane, przecież znane od dziecięctwa, to nurzą się w głębi duszy jego, to znów wyświecają się na jawie kształtem czarodziejskim. Mozoły, trudy, grozy żywota nie zdołają ostudzić kipiącego waru serca i zagłuszyć w niém tych rozmów cichych, a przecież tak głośnych a wymownych, co szepcą językiem nowym, przecież tak jasnym i rzewnym. On sam siebie nie poznaje; jakby oczyniony, urzeczony obcą mu siłą, przeczuwa, że już sam do siebie nie należy; on nie swój, a coś mu gada, że go obca posiędzie potęga, któréj przemódz nie zdoła, któréj się nie obroni. On choć nie wie, co go czeka, oczekuje jednak sam stanowczéj chwili, to z jakimś tajemniczym lękiem a trwogą, to znów z radością i przeczuciem tryumfu. „On dziwaczy“ mówią jedni, „to marzyciel“ mówią drudzy, a matka myśli o światłości widzianéj niegdyś w kolebce, i biedzi się i troszczy, bo jéj syn chory. Miotany jakby strachem i niepokojem miłości, stroni od gwaru ludzi, od zamieci i kurzawy codziennego życia; spina się po szczytach obłocznych turni co z wysokości podniebnych patrzą w gwiazdy, nie słyszą wrzawy kłopotnéj i bitki o chleb powszedni. Tu bliżéj Nieba radby odetchnąć — ot tak, całém, pełném sercem! Radby skąpać ducha w powodzi oddechów natury, w jéj światłach i barwach przeczystych. Pragnie zwierzyć się przyrodzie, wyspowiadać się jéj ze swojéj tęsknoty bolesnéj, ze swojéj dumy zuchwałéj i z lęków trwożliwych; on u natury spodziewa się utulenia niepokojów i ochłody dla serca trawionego żarem.

Turnia skalana samotna, wzniesiona nad świat; w koło cisza głęboka, natura się modli, powiew wieczności ucałował świat. W koło majaczą gorzkie tchy, roją się lotne mgły; a tchy i mgliste ziewy jakby westchnienia ziemskie spływają z farbami Nieba, co je maluje wieczorną purpurą, ogniem zachodu i błękitem nieskończonéj przestrzeni; a te barwy natury splotły widziadło, co jest jakby powietrznem zjawiskiem, jakby niewieścią postacią. A postać po imieniu go wita i pozdrawia, jako piękności wybrańca. „Rzuć“ woła „rzuć, coś polubił ziemskiém kochaniem a pójdź za moim zakonem; siéj siejbą kwiatów nieśmiertelnych, co zacne i wielkie na świecie! Tobie dane władztwo nad sercami, tobie oddana natura w posługi, tobie roztworzą się przeszłości groby, zrozumiesz mowę ludów, co od lat tysiąców zasnęły w całunie historyi; tobie dana wyrocznia przyszłych pokoleń, które dopiéro zrodzić się mają; słuchać cię będą głazy, tchnij a ożyją. Posłuszne ci będą światłości i cienie, barwy i tony, rozwiązuje ci usta byś wieszczył światu. Co tajemnicą dla dumającéj myśli, toć serce odgadnie, gdy w swych głębiach zadygoce od ciebie wezwanie. Lecz bądź prawdy kapłanem, bo co ty uczcisz, będzie uczczoném, choćby od dawna było w zelżeniu. Za dotknięciem twojém w proch się rozsypią skłamane wieńce, a kłamstwo potępione przez ciebie nie zazna już pokoju; pokutować będzie przez wieki

w twoich marmurach, w pieśniach twoich, a złoczyńca niby upiór gnany będzie przez scenę dramatu twojego, sobie na karę, ludziom na ohydę i wstręt. Bo tobie oddane są w rękę szale, byś ważył i sądził."

Słońce spojrzało raz jeszcze na naturę i oblało potopem złotego rumieńca świat, — a świat zabrzmiał niby arfa eolska pod nieskończoności tchem. Z nizin mieszkań ludzkich słychać dzwon kościołka, wołający na nabożeństwo.

Zaiste, mistrz staje się mistrzem przez łaskę, jest to los szczęścia wygrany z urny ludzkich doli.

Zważ, dziw przejmuje ludzi, gdy w naczyńku krystalicznéj wody, pod potęgą li promieni i ciepła wystrzeli świat zielony. Zrazu widzisz jakąś bezkształtną powłokę, tkankę martwą, lecz gdy ją ujmiesz szkłem drobnowidza, państwo roślinne roztoczy się w cuda tysiąca nocy i jednéj. Obaczysz znagła okolicę pełną wdzięków i rozkoszy; tu wiją się jakby na żarty krzewy i kwiaty misterne, tam powiewają śmigłe drzewka o formach fantastycznych; ondzie ciągną ciemne bory, puszcze nieprzebyte, straszliwe, gdybyś ich nie mógł zatopić jedną wody kropelką; oto wglądasz w ojczyznę figlarną chichocących gnomków co tu hulają, niedojrzane okiem ludzkiém. Zkąd się wziął, pytasz, ten światek, co sobie niby drwi z naszych ziemskich widoków? czyli posiewem jego chuch powietrzny, promień słoneczny i niebiańskie lazury? Patrz znów w przepaści najgłębsze nocnego nieba. Widzisz tam w onéj bezdeni ciemnéj, nie ludnéj w gwiazdy, ów samotny, lekki, lotny dymek, co jakby dech natury bieli się marą? — tu związek przyszłych światów, powiada umiejętność; ten dech lekki zetnie się kiedyś w planetę, może nawet w słońce, może nawet w cały system ciał niebiańskich; to ziarno w tym ogrodzie bożym stanie się pączkiem, kwiatem pod ciepłem i światłem miłości nieskończonéj. Tak, kędy rzucisz bacznością natrafisz na tajemnice zrodzeń; zewsząd na ciebie patrzą się sfinxowe zagadki i pytają o tworzenia święte mysterye. Czyliż nas tedy mniéj obchodzą te tajemnice rozwijających się światów w duchu mistrza, te mysterye rodzenia się słońc, firmamentów całych w piersiach śmiertelnego człowieka?

Zaiste, warto podpatrzéć te otchłanie, w których robi i pracuje duch, warto i podsłuchać boleści i tryumfów jego. Zanim atoli wstąpimy do téj przenajświętszéj świątnicy piękności, zechciéj baczyć na prawdy już powyżéj wspomniane. Wszak mistrz ma treść swoją wcielić w dzieła swoje, wszak ta treść duchowa i ciało, w które się ona przyodziewa, winny razem się zrodzić; treść a ciało powstają razem wywołane do istnienia błyskawicznym gromem ducha twojego.

Widzisz przeto już, że mistrz winien sam miéć treść w duchu bogatą i głęboką, aby również treść pełną ciężkiéj wagi mógł przelać w dzieło piękności; — niechaj tedy duch jego będzie jednego odlewu, niechaj myśl jego będzie spotęgowaną całym zasobem wiedzy i uczuć, niechaj umie rozmówić się z duchami natury, niechaj cała

przyroda roztworzy mu serce swoje, niechaj on przejrzy wskróś sprawy codzienne ludzkie i dzieje świata. Naród płytki, człek płonny z biedną myślą a głuchém sercem, nieuk, nie będzie mistrzem; dzieła jego przeminą, jak one jednoroczne kwiaty, co wychuchawszy z siebie wonny dech, nie wytrzymają burz i zamieci zimowéj w ludzkich dziejach i pójdą jakby liść suchy wiatrom na poniewierkę. Niechaj mistrz panuje obszernym dzielnicom w rzeczywistości, niechaj umie duchem zanurzyć się w prawdach wiekuistych, co nie konają nigdy; bo jeżeli się zakocha w jakiéjś treści skłamanéj, co jedynie żyła życiem przypadkowém, zmyśloném, w jednym rychło przemijającym ustępie czasu, — wtedy ta treść będzie jako kochanka, którą umarłą z grobu wywołał; on tchem ożywczym, najgorętszém uściśnieniem nie zdoła zbudzić jéj serca pukania, on sam przy niéj skrzepnie śmiertelnym mrozem.

Powtóre, mistrz winien przelać treść duchową w ciało, ale ciało to jest przecież własnością ślepych potęg natury; tém ciałem jest materya, owa dzika, ciężka, gruba osnowa zmysłowego świata, a mistrz ma ją przeistoczyć na szatę dla téj treści ducha, na owo przezrocze czyste, w którém promienić będzie nieskończoność wiekuistém światłem swojego majestatu; ta szata, to ciało materyalne ma być tym lekkim, lotnym przyborem, w którym się zjawia gość z nadgwiazdnéj dziedziny.

Tutaj, przeto, rozpoczyna się dla mistrza mocowanie się na zabój, walka o życie z materyą surową, nieużytą a zazdrośną i duchowi wrogą. Kto pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich, kto chce duchom władać i stać się ich panem, winien wprzód poddać w jęctwo swoje materyą i uczynić ją posłuszną skinieniom swoim i rozkazywać jéj jako mistrz. Naucz się istoty tych potęg upornych, zawziętych. Umiéj obchodzić się z marmurem, byś przemógł jego dumny hart; wiedz jako rozkazywać barwom, światłu i cieniom, przestrzeni i tonom, byś je miał na zawołanie jako czarnoksiężnik ma na zawołanie demony swoje. Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice; poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zaklęte; umiéj z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze i muzyki anielskie, jeżeli chcesz by ci mowa twoja zagrała i zaśpiewała pod piórem, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg, do uczuć, co śpią nieznane w topielach piersi naszych! Tak jest, naucz się języka twojego, naucz się jego sumienia; ale pamiętaj, że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłóż serce do serca twojéj mowy, bo tak jedynie uczujesz jéj tętno tajemnicze, pokochaj ją z duszy jeżeli chcesz być od niéj kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz, — nikt ci nie uwierzy!

Słowem, zanim się pokusisz być mistrzem, umiéj wprzód być technikiem, zanim urościsz sobie prawo do posłuszeństwa materyi i do

jéj służby, wprzód sam bądź jéj sługą, polecaj się jéj pilnością niezmordowaną, nie folguj sobie w pracy, zjednaj ją sobie wytrwałością niesprzykrzoną; bądź jéj poddańcem, byś się stał jéj władzcą; — bo zważ, ten świat zmysłowy ma przecież własne prawodawstwo, które uznaje, któremu hołduje a obojętny jest dla praw duchowych człowieka. Jeżeli tedy człowiek zechce, by materya stała się wyrażeniem jego duszy, winien opłacić jéj potulność krwawym trudem, sileniem się, wprawą, cierpliwością bez granic. Jeżeli materyą hardo pominiesz, ona się nad tobą mścić będzie za lekceważenie; tys nie uznał jéj potęgi, ona twojéj nie uzna, a wtedy daremne będą twoje zrodzenia duchowe; te piękności, wypiastowane w głębi piersi twoich, gdy wystąpią z tajników wewnętrznych, rozbiją się, zgruchocą o tę materyą, którąś poniewierał; ona cię odepchnie od siebie z urąganiem a wyśmiechem. Przyszły mistrz niechaj oswoi się z każdą wiadomością, z każdą wprawą i zręcznością mechaniczną, ze wszystkiém, co tylko ze sztuką jego w związku zostaje; niechaj nie ominie żadnego pośredniego szczebla w kształceniu swojém; niedouczenie się stworzy jedynie partactwo, a w najszczęśliwszym razie wyda lubownictwo, amatorstwo, co nawet mimo świetnego talentu nie będzie przecież nigdy mistrzowstwem (*). Człowiek w téj ziemskiéj gospodzie swojéj niczego nie dokona bez biedzenia się i mozołu. Po tym świecie naszym nie przeszedł jeszcze nikt, choćby najświetniejszy geniusz, któryby się chwały swojéj dokupił bez znoju i silenia się a łamania z sobą, tudzież z osnową którą sobie podbił hartowną pracą. Ludzie widzą tylko sam świetny laur na skroniach mistrza wielkiego, którego postać olbrzymia wygląda w późne pokolenia jako strażnica przyświecająca im na wędrówce przez życie, a którego chwała idzie na cześć jego wieku i narodu; ale już dawno ktoś powiedział że mistrz ma laur ten tylko dla ludzi, dla świata, dla siebie zaś zachowuje tajną, niedostrzeżoną od ludzi, koronę z passiflory, wieniec skrycie przebytych boleści i trudów. Zaiste ten smętny wieniec z kwiatów cierpień mistrz bierze z sobą do trumny; on go razem z ową gwiazdą, odebraną przy urodzeniu, złoży u stóp wiekuistości tronu, dokonawszy zacnie posłannictwa swojego na ziemi.

Mistrz tedy przemógłszy ślepą, głuchoniemą materyą, już nią

(*) Przykładem i wzorem świetnym w téj mierze jest młodociany Krakowianin *Henryk Stattler*; on od wczesnego dziecięctwa łamał się z techniczną stroną swojéj sztuki rzeźbiarskiéj i pracą wieloletnią, wytrwałą przezwyciężał upór materyi: a dziś, gdy przemógł one wszystkie trudności, już rozwija swobodnie skrzydła swojego natchnienia, unosząc się do ideału piękności. Dziś, mężowie sławy szerokiéj jak świat, bo Kornelius i Overbeck piszą o tym młodzieńcu dwudziesto-letnim, że dzieła jego, mogłyby być zaszczytem dojrzałego i ukończonego znakomitego artysty i wróżą mu najświetniejszą przyszłość. A tak *H. Stattler*, krom geniuszowi swojemu, zawdzięcza usilnéj pracy swojéj, że dzieła jego rosną jemu na chwałę a miastu rodzinnemu i krajowi całemu na chlubę wielką.

gospodarzy wedle woli swojéj, a tak zdoła z niéj uczynić formę, postać odpowiednią treści duchowéj.

Lecz przypuśćmy że np. mistrz-rzeźbiarz umie już obchodzić się z marmurem, że już głaz potulny mięknieje kornie pod uderzeniem dłuta, jakaż postać, śpiąca jeszcze w bezkształtnym bałwanie opoki, ma z niego wyskoczyć na jawy? — czy Gracye, czyli Mojżesz Michała Anioła, czyli Boga-Rodzica? — Toć zależy, powiadasz, od treści, którą ma przelać w tę postać a formę. — To prawda! Zważ atoli, że jeżeli już będzie treść poczęta w tajnikach duszy, i jeżeli z tą treścią nie zrodziła się zarazem odpowiednia jéj forma, postać czyli obraz, mający być wyrażeniem zewnętrznem, bo wcieleniem téj treści, już wtedy dzieło będzie spaczone w zawiązku swoim. W razie takowym treść dzieła przyszłego, właśnie dla tego, iż zrodziła się bez ciała, jest myślą gołą, jest dziełem rozumu i refleksyi zimnéj, a tém samém nie będzie bynajmniéj wolnéj fantazyi kwiatem, więc nie będzie dziełem artystycznem. Choć późniéj dla treści takowéj przybierzesz zewnętrzną formę, ciało, wyrażenie, przecież obie te strony, bo wewnętrzna i zewnętrzna, bo duch i ciało, bo treść i forma nigdy już nie spłyną w jedność doskonałą, a zespolenie ich nie będzie ślubem, w którym niebo i ziemia spłynęły gorącą miłością; będzie to związek naciągany, będzie to skojarzenie dokonane mocą gwałtu i przymusu, a dzieło będzie skręcone i pożali się jękiem jakby struny zerwanéj.

Przecież o téj jedności koniecznéj wspomniałem powyżéj, gdym rzekł, że treść a jéj uobrazowanie, to jest forma, winny się począć jednym i tym samym gromem w głębinach duchowych, że u prawdziwego mistrza myśli są obrazem, a obrazowanie u niego jest myśleniem; ale o tém wszystkiém jeszcze późniéj mówić będę, bo ta jedność obu stron stanowi właśnie istotę dzieła sztuki; nie zawadzi tedy wyłożyć ją najdokładniéj.

Tutaj zaś wyraźnie już widać, iż gdy rodzenie się treści nie powinno się odbywać przed poczęciem formy i ciała dla téj treści, zatém téż pierwsze potrącenie twórczości mistrza nie powinno pójść od ducha jego, ale od zewnętrznego, rzeczywistego świata. Zjawiska tego świata same przez się już są formą, uwidomieniem pewnéj myśli i treści w nich zamkniętéj. Jeżeli tedy te zjawiska uderzą mistrza, a staną się zarodem dzieła sztuki, już go natchną; on je chwyci i w jednéj chwili przeistoczy po swojemu, da im treść i formę, a dzieło piękności urodzi się światu. Ale o tém obszernie jeszcze pomówimy, tutaj rzućmy tylko wprzód okiem na ten rzeczywisty świat, o którym wspominamy. Jakoż cała rzeczywistość otacza nas do koła oceanem, bijącym falą nieskończonych zjawisk. Zrazu potęgi natury tu odgrywają ten dziwny a magiczny dramat swój i występują na scenę całym orszakiem widziadeł to lubych i wdzięcznego uśmiechu, to straszliwych i groźnych; to przyroda piastuje człowieka jakby matka tkliwa, i karmi go i kołysze i pieści i bawi, to znów

nasyła na niego tytany wrogie, nieubłagane, co głuche na jęki, na cierpienia, na płacze ludzkie, dławią i dręczą i męczą. A człowiek to zwija się boleścią za dotknięciem tych ślepookich demonów, to uśpiony rozkoszą w ich objęciu marzy i śni o szczęściu rajskiém, niezamąconém nigdy. Pogoń wzrokiem znów w świat duchowy — tu historya zasiadła wysoko nad ludzkim rodem, a na stolicy opocznéj, wyniesionéj po nad lat tysiące, nad państwa i ludy, w cichym majestacie patrzy się na przepływające pokolenia i zapisuje mocowanie się narodów i stuleciów i ich służby w sprawie uczłowieczenia człowieka; i znów domaga się liczby od bohaterów dziejowych naszego rodu, tych robotników swoich, i nie policza im na rzecz pańszczyzny, odrobionéj wiekuistemu Panu, wszystkich, choćby najświetniejszych dzieł, które nie poszły na chwałę ich posłannictwa, a światu na zdrowie duchowe i moc. Tu się odbywają „sądy ostateczne“ nad światem.

Albo, gdy z tych wysokości zawrotnych spuścisz oko w nizkie padoły powszedniego życia, już, byleś miał oczy ku widzeniu a uszy ku słuchaniu, ockną się koło ciebie, wprawdzie nie światogłośne, nie grzmiące przez stulecia, niemniéj jednak zajmujące dramaty codziennéj historyi człowieka. Te tragedye, te komedye, choć odegrane w rodzinném zaciszu, przy ognisku domowém, staną się dla mistrza głęboką jak morze, nigdy nieprzebraną, wciąż się odradzającą osnową, co rozrzewni i wzniesie radością, i znów rozkwili wszystkie uczucia duszy naszéj. Wszak każda rodzina, każde serce ma swoją biografią, swój tajny żywot, co, będąc małym jéj światem, poda też cały świat bogatéj treści prawdziwemu mistrzowi. Któż zdoła zliczyć te głębokie i wysokie tony, te mrozy a upały, te tęsknoty i nadzieje, uciechy i smutki ponure, zgrozy i miłości, te uczucia, to mętne i skalane, to czyste i anielskie, te trwogi, radości, co w ciągu życia na przemiany miotają, pieszczą, szarpią i usypiają to biedne serce człowieka, zanim nie spocznie na zawsze, jakby w kolebce, w cichym grobie swoim. Bądź wieszczem tych wewnętrznych a tajnych dziejów piersi naszych, a zaśpiewasz poematem ogromnym, cudownym; każdy jego ustęp będzie jako rozstopne rzewne adagio lub allegro hoże.

Nie ma co, podobno, wspominać ci o innych jeszcze osnowach; natrącę tu jeszcze tylko jedną, a zaiste najwyższą, bo wrażenia a uczucia religijne, co tak proste i naiwne, jak paciorek poranny z ust dziecięcia, a tak głębokie, jak najgłębsze mądrości słowo, tak łagodne i miękkie jak tchnienie wieczornego powiewu, co unosi fijołków woń, a tak potężne jak owe moce, co obracają wszechświatów bieguny i słońca i gwiazdy.

Słowem wszystko, co się w naturze, wszystko co się w duchu święci, co tylko porusza serce człowieka, rozkłada się nieprzeliczoną ciżbą przedmiotów przed obliczem artysty; a każdy z tych przedmiotów może potrącić fantazyą do czynu, rozpłomienić w niéj

stwarzania potęgę. Duch mistrza patrzy się na świat, jako na własną wewnętrzną treść, rozłożoną w przestrzeni, a rodzącą się w czasie. Świat ten jest jakby uwidomioną symboliką własnego wnętrza artysty. Jeżeli przeto z tych tłumów zjawisk, jeden przedmiot spotężnieje i uderzy fantazyą mistrza, już zatrzęsie nią do dna; odgłos uderzenia rozlegnie się po przybytkach duchowych, jakby grzmotne wołania archanioła, i z głębokiego snu przebudzi uśpioną w nim treść, właśnie temu przedmiotowi odpowiednią. Lecz ziemski przedmiot ten zarazem uchwycony przez wiekuiste potęgi ducha, zanurzony w jego tajnicach świętych, zmiera śmiercią, a ogarniony żarem duchowych mocy, wypala z siebie co doczesne; tak przetopiony, przeistoczony fantazyą, staje się promiennem ciałem owéj treści razem z nim poczętéj. Jest to przemienienie rzeczy skończonéj na dzieło duchowe piękności, co teraz na podziw ludziom występuje w świat.

Takowe przeto są zrodzenia sztuki pięknéj; o nich jeszcze poniżéj obszernie wspomnimy. Chciéj tylko pamiętać, że istotnie pierwsze potrącenie idzie od zewnętrznego przedmiotu; pamiętaj, co stara wschodnia wieść niesie o „onéj muszli biednéj, niby śpiącéj w ciemnych wód topielach“. Ona daleko od światłości barw niebiańskich, przykuta do skalnego oceanu dna; lecz gdy się szałem rohukają mórz przepaści, i z zewnątrz ziarnko piasku wpadnie do maluchnego przybytku jéj, i podrażni ją z lekka, już ze snu rozbudzi się muszla śpiąca, i sili się biedna i mocuje z niém, aż je odzieje osnową kosztowną swojego żywota. Tak, co było tylko ziarnkiem piasku, występuje na świat z tajnic wnętrza przemienione w perlę drogą — co w ciemnicy zrodzone, świeci teraz we wszech niebios barwy. Podobnie niechaj mistrz, wieszcz, osnowę bezkształtną, surową, którą mu narzuci świat, odzieje ducha promieniem, przemieni na perlę kosztowną, którą zaświecić ma w koronie piękności niepokalanéj. Jeżeli zaś odwrotnie dziać się będzie, jeżeli do treści już w nas rozwiniętéj zechcemy dobierać formy, jeżeli będziemy chodzili po świecie, by od rzeczywistości wyprosić, wykwestować jakieś ciało dla duszy, którą mamy już gotową, na podoręczu, — wtedy, jakeśmy rzekli, obie strony nigdy nie stopią się w jedną całość; nie stworzy się tutaj bynajmniéj dzieło piękności, ale się skleci jakaś sztukowana łatanina, robota saméj zimnéj refleksyi, a choćby nawet dowcipu; jak to jawnie pokazują owe biedne poemata mękami wyciśnione ze samego mózgu, którym atoli nie przyświecał ani jeden promień natchnienia. W takowych razach treść owa, właśnie dla tego, iż nie ma ciała, będzie wprost myślą, abstrakcyą, czémś ogólném, a wtłoczona przeto we formę, w obraz, uczyni z nich również abstrakcyą, zabije ich życie, zetrze z nich wszelką indywidualność, zamieni je na ogólnik czczy i głuchy w sobie. Dobitnym przykładem jest tu allegorya, w któréj wyraźnie widać, że treść a forma, że dusza a ciało bynajmniéj się nie trzymają siebie. To ciało, będąc ogólném, bez indywidualności, mogłoby wielce wygodnie obejść się bez téj treści, którą

mu narzucono, i stać się gospodą dla innéj jakiéj osnowy, nie mającéj gdzie się podziać. Oto np. ta figura skrzydlata ma znaczyć niby los szczęścia, niby fortunę, ale onaby mogła równém prawem wyobrażać chwile ulotne, miłość, westchnienia, uciechę, sen, tony, sławę; bo to wszystko jakieś skrzydlate, płoche, ulotne. Wszak figury geometryczne właśnie dla swojéj istoty ogólnéj, abstrakcyjnéj, beztreściwéj, od wieków są sławne z cierpliwości swojéj; to istne gospody przy gościńcu, kto tylko chciał w nich się mieścił. Koło, kwadrat, a mianowicie trójkąt, tak od ludów pradziadowych jak i za naszych czasów, mianowicie gdy o jakieś sekreta chodziło, były używane za godła, za symbole różnych a różnych znaczeń; a te biedne figury poddawały się różnym konceptom z bezprzykładną rezygnacyą.

I na wzajem, ta treść rozumowa, którąś samowolnie wcisnął w to ciało, mogłaby się zupełnie bez niego obejść, i siedzieć komorą w innéj jakiéjś formie; a im treść będzie ogólniejsza i mniéj ocechowana, tém łatwiéj jéj przyjdzie znaleźć dla siebie łupinę, a jeżeli już stanie się czystą myślą, prawdziwie abstrakcyjną, wtedy może się zupełnie obejść bez obrazu i ciała. Wszak umiejętność w najściślejszém znaczeniu, właśnie w prostéj, bezbarwnéj, najprozaiczniejszéj prozie znajdzie najwłaściwsze wyrażenie swoje; boć umiejętność takowa ma tylko sprawę z myślami samemi. Tutaj fantazya zupełnie bez kredytu.

Jeżeli tedy w dzielnicy piękności wprzód w myśli wykończymy treść, duszę naszego dzieła, a potém dopiéro ją odziejemy jakiémś ciałem, już wtedy nie spodziewajmy się żadnych związków ścisłych obu stron, rozlecą się lada kiedy. Treść owa może miéć ten sam przypadek, który się przytrafił duszy Hermotymusa. — Co to Hermotymus? — Ba, jest to stara historya, bo się wydarzyła, jakoś temu dwa tysiące sto lat z górą. Hermotymus był to filozof, ale wcale nieosobliwy. Przecież zebrało mu się na imię w historyi, bo był nauczycielem wielkiego Anaxagoresa, który materyalistom swojego czasu wprost rzucił w oczy prawdę, że to nie materya, że to nie żadne atomy budują świat, ale że wszechrzeczami rządzi rozum wiekuisty, czego mu, mówiąc między nami, jeszcze nie jeden z dzisiejszych badaczy przyrody zapomnieć nie może. Otóż, co do tego Hermotymusa rzecz się tak ma. Ciało i dusza nie były u niego wcale zbyt silnie połączone. Dusza jego, jak czysta abstrakcya, mogła wedle zechcenia zwlec z siebie ciało, zostawić je jako kapotę w izbie, a sama puszczać się na przechadzki i bałamucić się po świecie jak się jéj żywnie podobało. Nie odmawiał sobie téż Hermotymus téj przyjemności, zwłaszcza w czasach gdy zachodziły jakieś nieporozumienia, między nim a piękniejszą połowicą jego istoty. Bo trzeba ci wiedzieć, że nasz filozof miał żonę, co mu właśnie było na zgubę. Jakoż posłuchaj. Pani Hermotymusowa od dawna krzywo się patrzała na te absentowania się swojego małżonka. Więc pewnego

razu, gdy po nader żwawéj sprzeczce domowéj dusza Hermotymusowa, pragnąc dystrakcyi, wyprawiła się na jakiś dalszy spacer, jéjmość u siebie uchwaliła położyć koniec téj konduicie mężowskiéj i wypłatać mu figla, co raz na zawsze popamiętał. Zatém, jak weźmie płakać, krzyczéć, desperować, aż na ten lament zbiegły się sąsiady, przyjacioły i kumoszki; nuż im pokazywać ciało martwe najukochańszego męża, mówiąc, że z nienacka umarł zostawiwszy wdowę w nieutuloném nieszczęściu. Skończyło się na tém, iż przyjacioły i sąsiady i kumoszki, życząc serdecznie pofolgować biedaczce i usunąć z jéj oczu widok tak żałośny, czém prędzéj zawinęły się około pogrzebu, i co tchu, wedle ówczesnego zwyczaju, spaliły ciało. Zgadnąć nie trudno wcale, jak się zafrasował biedny Hermotymus, gdy wróciwszy z owéj wycieczki zmiarkował despekt, jaki mu wyrządziła małżonka; w końcu jednak sobie wyperswadował, bo pomyślał, że sobie przecież gdzieś dobierze jakieś ciało, coby było jako tako prawie na niego, a nadto wiedział, iż w najgorszym razie, gdyby się uparł, mógłby i zupełnie obejść się bez ciała. — Więc... i t. d. i t. d.

Chciéj tylko zważyć jeszcze mimochodem, że gdy myśli abstrakcyjne znajdują najwłaściwszy sobie wyraz w prozie bez postaci bez przenośni żadnych, zatém téż znać, że myślenie filozoficzne, abstrakcyjne, myślące bez obrazów, przeszkadza fantazyi, niby myślącéj w obrazach.

Baczmyż daléj, że lubo pierwsze potrącenie pochodzi od zewnętrznego przedmiotu, toć jednak dzieło piękności, wywołane tém potrąceniem z ducha artysty, będzie różne wedle różnego nastrojenia jego fantazyi. Ten sam przedmiot błyśnie jednemu jakby zwierciadłém magiczném i pokaże mu postaci i metamorfozę obrazów, opowiadających dzieje życia ludzkiego, a tak poda osnowę do romansu; drugiemu tenże przedmiot znów wskrzesi chóry geniuszów, co w głębi duszy zaintonują cichą, niedosłyszaną od świata muzykę, a będą mu śpiewać i grać i nie dadzą pokoju, dopóki nie zaklnie tych tajemniczych śpiewaków i graików w nuty, w owe hieroglify tonów; ten sam przedmiot znowu w trzecim zapali barwą i światłem, niby dźwiękami ducha, figury i oblicza misterne, a będą świecić, mienić się i ruszać i wzdychać i nawiedzać go we dnie i w nocy, a upominać się i żalić, aż ich nie ubierze w malowane ciała, z któremiby już było każdemu z nich do twarzy.

Prawda, że nie każdy przedmiot jest równéj potęgi, by wzniecił ochotę i twórczą siłę w mistrzu, zwłaszcza jeżeli nie jest samowolnie obrany, ale podjęty na polecenie i żądanie; i to téż prawda, że nie w każdéj chwili mistrz jest równego nastrojenia, że niekiedy wyda się gnuśnym i bezczynnym; przecież wiedzmy, że właśnie mistrz prawdziwy tém okaże dzielność swoją, iż z każdego przedmiotu, byleby był stosownym dla rodzaju sztuki jego, stworzy dzieło, mające na sobie mistrzowstwa znamię.

Pozwól zatrzymać się nieco jeszcze przy owéj tajemnicy zrodzeń dzieła piękności, dotkniętych właśnie już powyżéj. Najprzód zważ przedmiot sam. On stanął w obec mistrza tak, jak go podała żywcem rzeczywistość; on tedy jeszcze siecią misterną, utkaną przez demonów natury, trzymany jest w jęctwie ziemskiém; na nim ułomkowość i niedostatki tuteczne wycisnęły piętno swojego panowania. Wszak przedmiot ten ma treść, on téż ma formę, postać, którą się ta treść wyjawia; ale tak treść ta, jak i ta forma jego nie odpowiadają warunkom piękności; a to właśnie dla tego, iż ta treść i ta forma należą jeszcze do rzeczywistego świata, który sam tak jest niedoskonałym i tak biednym w sobie. Dla tego jeżeli ma wystąpić na świat jako wyobraźnik nieskończonéj treści duchowéj, ludziom na podziw i cześć, winien wytopić z siebie zuzelice ziemskich niedostatków, winien przez śmierć swoją wyzwolić się z pod służby ślepookich mocy przyrody, a skonaniem ziemskiém odrodzić się wolnym piękności synem; tak dopiéro przedmiot ten napełni się treścią nieskończoną, która się w duchu mistrza zrodzi, a zarazem odzieje się nową, świetlistą postacią.

Z drugiéj strony staje mistrz; on sam w życiu codziennem również trzymany jest w jęctwie potęg doczesnych; tysiące niewidzialnych nitek wiąże go magicznym splotem ze światem tutecznym i z całą ułomną rzeczywistością. Ztąd téż, jeżeli on ma przedmiot ów przetopić, przeistoczyć i nadać mu treść wiekuistą, niechaj w tych chwilach twórczych wprzód sam siebie przeistoczy i wytopi z duszy swojéj ułomność i biedy powszednie; niechaj sam wprzód roznieci w sobie wiekuistości ognie, niechaj w nim zamrze, skona człowiek powszedni, doczesny; a gdy w tych chwilach uroczystych porzuci ten świat, z którym się spoufalił, w którym się zakochał, wtedy obejmie go powiew innych nadziemskich światów, i wstąpi w niego dech twórczy, i uświęci na piękności proroka. Gdy przeto wybije godzina rodzenia, gdy gość nadziemski ma nawiedzić głębiny duchowe mistrza, a potęgą obcą, a przecież swoją, posiąść całą istotę jego, już serce zadrży w sobie, jak gdyby mu ginąć przychodziło; trwogi mrowie przejmuje duszę, jakby się jéj już na skonanie miało; lęki mrożą, gorączki palą. W gałęziach liści coś gada, w koło coś szepcze. To duch już kroczy. Zawiało jakoby tchnienie od gwiazd. Po jednéj targają się nitki, co wiążą życie z doczesnością lubą, poufałą; otoczenie powszednie, ukochane, znikło; w koło kłębią się obłoki, wiją mgły; w koło wszystko utonęło; obłok promienny pokrył ów przedmiot; przedmiot zniknął — skonał. Mistrz traci siebie; on sam na sam z duchem pozostał; rozebrały go strachy i niewymowne rozkosze; bo w nim kona człek powszedni, codzienny; — przytomność siebie zgasła. Niby wichry wywrotne uderzyły skrzydłem; rzekłbyś, iż się zerwały w piersiach burze i łomoty, że grają organy oceanów, a gromy biją jakby fale potopu. Dusza mistrza roztworzyła się na oścież; on patrzy się w jéj bezdna; w duszy jasności świecą, w niéj

gwarno, ludno — ożyła milionem życia. Ciągną gromadnie postaci, płynie ciżba za ciżbą, garną się tłumy nieprzeliczone widziadeł. Kto to? — to widma, to cienie jestestw, co kiedyś, bardzo dawno istniały w świecie, z któremi niegdyś mistrz spotykał się w żywocie, w przeszłości; jestestwa te dawno przebrzmiały, umarły, ale ich wizerunki wemknęły się w duszę jego, ułożyły po grobach zapomnienia; tam zaczajone spoczęły pochowane. A dusza mistrza głęboka, szeroka rozłogiem jak morze; w jéj głębinach niby cmentarz — grób przy grobie; ale teraz groby się ruszają, niby żyją, rozsypuje się, pęka na nich ziemia; ciągnie, kroczy tłum widziadeł, świat postaci; są to niby dusze zmarłych niegdyś jestestw, co teraz przerodzone świecą barwą, tonem, pięknością nadziemską; to nie są wierne wizerunki onych jestestw, niegdyś spotkanych, one są zrodzone twórczością ducha; to istne wiekuistości mieszkańce. Przesuwają się orszakiem te smętne, płaczliwe, owe wesołe i radośne, tamte znów otulone ponurym majestatem. A szybciéj, chyżéj przelatują około oczu mistrza te tłumy innego świata; to mącą się z sobą i splatają, to znów się rozstępują i uciekają od siebie; a coraz śpieszniéj, gwałtowniéj pędzą i wirują zawrotnym kołowrotem to dzikie, chichotne zapusty, to znów pochody grobowe, a przyświeca im jakby pożarem jasna nieskończoności łuna. Ale już szary ranek zaświtał w duszy, kur pierwszy raz zapiał, przytomność siebie bieleje już wschodem na niebie myśli; mistrz, już na pół obecny sobie, błyskawicznym przeglądem przebiega te postaci; one stanęły, zatrzymały się na rozkazanie mistrza; on ujmuje je w szranki ładu; on czyni wybór z tłumu widziadeł mocą budzącego się rozumu; blednieją nie wybrane, jeszcze czekają, jeszcze chwilka, ale już pełna przytomność myśli purpurą zarania zapaliła dzień gorejący w duchu; wszystko znikło, owe postaci wybrane same pozostały; inne wróciły do grobów swoich. Występuje na jaw obraz owego przedmiotu, co był niegdyś rzeczywistym, a ten obraz jego promieni pięknością, bo jego pierwiastkami są owe postaci wybrane z tłumu; — on się stał *idealem*.

Te chwile rodzenia są przeto stanem obłąkania, stanem zachwycenia, wieszczego szału; w nim mistrz traci siebie, unosząc się ponad świat doczesny, bo tu sprawa z wiekuistością, żyjącą w piersiach człowieka, a ideał, w tym stanie zrodzony, jest téj wiekuistości świadectwem a najwyższém naprężeniem i spotęgowaniem własnego jego ducha.

Przedmiot, wzięty żywcem z rzeczywistości, ma, jak wiemy, treść i formę niedoskonałą. Otóż w stanie zachwytu rodzi się nowa treść, bo czysto duchowa, a zarazem nowa, bo duchowa, forma i postać dla téj treści. W chwili owego wrzekomego obłąkania powstają w toniach duchowych, jak wiemy, tłumy postaci promieniejących pięknością; one, choć tak różne między sobą, są atoli wszystkie skutkiem potrącenia, idącego od przedmiotu owego, a tém samém są z nim wszystkie w pewnym związku magicznym; przedmiot ten jest ich

niby wspólnym kontrapunktem. Przecież te postaci już się zrodziły jakby z duszą swoją, z nową treścią, a treścią duchową, nieskończoną, i toć właśnie jest przyczyną, iż one świecą tak nadziemskim wdziękiem. Widzieliśmy atoli równie, iż nie wszystkie te obrazy wchodzą do przyszłego dzieła sztuki, że mistrz następnie kombinuje je, rozłącza, wiąże, czyni wybór między niemi, a tak wybrane postaci będą właśnie najwyższéj piękności obrazy i ciała, zawierające w sobie treść najwyższą.

Z tego wynika, iż stan natchnienia wieszczego rozdziela się niby na dwie epoki. W pierwszéj panuje zachwycenie, bezprzytomność zupełna twórczości; są to chwile, w których nowe a ciągle nowe obrazy występują dzikim zamętem z głębin duszy; jest to stan niby bierny, a przecież tak ogromnéj dzielności duchowéj. Poczém rozpoczyna się druga epoka tego zachwytu wieszcza, bo rozpoczynają się te chwile, w których duch jego wybiera a przebiera w tych postaciach, które mu się pojawiają w głębiach jego; ta czynność atoli właśnie jest dowodem, że przytomność wraca mistrzowi, że zaczyna być świadom siebie, bo odróżniając obrazy między sobą, odróżnia też siebie samego od tych przemykających się obrazów. Mówimy że przytomność, że świadomość wraca, a zatém, że teraz nastąpił stan duszy pośredni, z którym duch jest już na poły świadomy siebie, a na poły jeszcze bezprzytomny, bierny, bo poddający się jeszcze potędze twórczéj, która w nim robi i tworzy. Bo zważ, gdyby duch w tych chwilach był w zupełności siebie świadom i rozumowo siebie przytomny, jużby nie miał tych widzeń, jużby nie widział tych obrazów i uroczych postaci; i na wzajem, gdyby jeszcze trwał w całéj pełni swojéj poetycki szał epoki pierwszéj, toby duch nie był jeszcze zdolen czynić wyboru między obrazami. Widzisz tedy, iż ta chwila wyboru jest stanem przejścia, w któréj wraca przytomność; ów rozsądek waży się ze znikającym już zwolna zachwytem twórczym, w który obie strony duchowe są równe sobie co do potęgi. Ta druga epoka jest przeto dramatem, w którym duch sam jest widzem i sam autorem.

Lecz „obok tych wybrańców szczęśliwych manii jest inna, która także odstępuje od powszedniego żywota, lecz już nie do kapitolium ludzkiéj czci, ale do tarpejskiéj skały prowadzi; tu nie potęga jasna, nie anioł w światłości odziany zstępuje z góry, by zamieszkał w duszy człowieka na miejsce powszedniego rozsądku; tu z nocnych, przepaścistych głębin lęgnie się demon zły, co okrywa skrzydłem ciemném duszę i ćmi rozsądek i wzrok. Wtedy umiera w duchu człowiek z tego świata, czekając póki go nie zbudzi z martwych łaska Boża, lub ostateczne wołanie archanioła — jest to bezdenne nieszczęście choroby umysłowéj“ (*).

(*) Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha. § 446.

Zachwyt bezprzytomny, obłąkanie mistrza jest najwyższém południem fantazyi, jest potęgą rzetelną. Bez tego zachwytu nie ma mistrza. Techniczność, wprawa, choć są koniecznym warunkiem w sztuce, same jedne uczynią cię jedynie majstrem ale nie mistrzem, a w najszczęśliwszym razie świetnym wykonawcą obcych dzieł, może jeszcze wirtuozem, który olśni współczesny świat, ale dla najbliższych potomków zaledwie w tradycyi żyć będzie, — zamrze w zapomnieniu.

Chciéj posłuchać jak Plato maluje zachwycenie; przyznasz iż to jest iście sędzia właściwy; wszak on i tu bierze rzeczy po swojemu; więc z całą głębią spekulacyjną wiąże natchnienie z nieskończonością, z nieśmiertelną istotą ducha człowieka. „Wierzajcie, powiada, wierzajcie, najzacniejsze dobro płynie z zachwycenia szału. Wszak Delfów prorokinie i kapłani Dodony, wróżąc w sprawach publicznych, darzyły Helladę zbawieniem w twardych potrzebach. A kto czcią i modlitwą zwracał ku bogom serce, ten widzeniem wieszczém przezierał tajemnic oponę i doznawał we wróżbie przeczucia ratunku i przemożenia ciężkiéj niemocy. Inne znów jest obłąkanie i zachwyt nasłany od wielomocnych muz. Lecz zachwyt ten a szał promieni jedynie w duszy niewinności nieskalanéj i świętością uczczonéj; on w niéj rozpala hymny święte, uroczyste, i wyzywa do pieśni na chwałę pradziadowych lat, a tak, wsławiając stare wieki, sieje dzielność późnych pokoleń. Kto zaś bez tego szału muz stanie w świętym poezyi przybytku, zuchwale mniemając, iż samą sztucznością może wieszczem zostać, tego śpiew omdleje, gdy obok niego uderzy pieniem ów muz obłąkaniec... Bogowie nasyłają natchnienie owe na uszczęśliwienie człowieka. Toć okazać zdołam, badając Boską istotę, i istotę ludzkiéj duszy, bo macie najprzód o tém wiedzieć, że dusza ludzka jest nieśmiertelna“ i t. d. (Phaedrus.)

List Dwunasty.

Fantazya i bliższy jéj rozbiór.

(Ciąg dalszy).

Kompozycya. — Natchnienie i kompozycya i w innych dziełach duchowych człowieka. — Ogólne zasady estetycznéj kompozycyi. — Kompozycya charakterów, przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki. — Dalsze uwagi nad kompozycyą. — Powód częstych wad w kompozycyi i przykłady z malarstwa i muzyki. — Improwizacya. — Deotyma.
Talent i geniusz. — Powołanie geniuszu. — Stosunek jego do świata. — Rozmaitość fantazyi artystycznéj. — Ztąd podział jéj. — Treść listów następnych.

Rzekłem, że wypadkiem zachwycenia, natchnienia a zarazem świadomego siebie rozumu jest ideał. Póki w duszy burzą kołyszą

się fale, obraz idealny na nich się łamie w tysiące jasnych promieni; gdy się rozkołysane fale ustoją, już na cichém krystaliczném zwierciedle naszego wnętrza unosi się obraz duchowy — ideał. Lecz o ideale rozprawiałem ci zaiste już do syta, bo dawniéj wypowiedziałem czém on jest sam w sobie (VII); w liście zaś poprzednim (XI) przypatrzyliśmy się jak ideał rodzi się w duszy mistrza, a teraz zapytamy, cóż mistrz daléj poczyna z ideałem już w nim zrodzonym? Ideał ma się przeistoczyć na dzieło sztuki, owe widziadło promieniste, duchowe ma się stać ciałem! Widzisz przeto, iż tutaj nowe metamorfozy, nowe przemienienia się zrodzą, zanim ten cichy olimp bogów, żyjący dopiéro w piersiach mistrza, odzieje się materyą, stanie wśród ludzi i przemówi ich językiem, zanim będzie przemożona ta otchłań głęboka, szeroka, rozdzielająca świat duchowy a doczesny.

Jeżeli przygasisz te wszystkie świeczki, co ci rozjaśniają żywot zewnętrzny i przygłuszysz gwary hałaśne a gadatliwe wrzawy jego; jeżeli przymrużysz ziemskie zmysły twoje, a cofnąwszy się w siebie nawrócisz duszy źrenice ku onemu idealnemu obrazowi, co płynie po przezroczach bezdennych ducha twojego, — zda ci się z razu, iż ten obraz i wzór widzisz w każdym odcieniu, że on żywy, że tylko co nie przemówi do ciebie, że ci tylko kopiować ową modłę wewnętrzną, a dzieło już gotowe, od stóp do głów ukończone, w całym uroku a wdzięku niebiańskim wystąpi w obec świata a poruszy najgłębsze tony ludzkich serc. Lecz zabierz-no się do wykonania, a obaczysz, jak cię zawiodą otuchy twoje; poznasz, że ten obraz idealny nie wystarczy; on ci się zrysuje tylko ogólnym, bardzo ogólnym konturem, okaże się być widmem uroczém, rozpłynném, przejrzystém; a choć je rozświecisz poświatą księżycową twojéj wyobraźni, nie dowidzisz w niém przecież szczegółów; one będą niepewne, niby zachuchane, zamglone i nie dostoją ci w pracy twojéj, gdy je przyjdzie przetłómaczyć na świat materyi. Ztąd nowe pole chwały a pracy dla mistrza. Choć i tu nie obejdzie się bez potęgi twórczéj a siły natchnienia, toć jednak rozwaga głęboka i baczność rozumowa będą teraz głównemi pomocnicami jego. Mistrz przeto zajmie się teraz uzupełnieniem niedostatków idealnego obrazu, silnie poprowadzi zarysy, a głównie zrodzi brakujące szczegóły i części i połączy je harmonijną jednością. To stwarzanie szczegółów i łączenie ich w jedną harmonię, to zradzanie i składanie części w jednę całość jest *kompozycyą* (*).

Zwykle mówimy o kompozycyi, gdy rozprawiamy o dziełach sztuki a zwłaszcza o muzyce; ale po prawdzie wszędzie, gdzie tylko chodzi o dzieło duchowe, winno się znaléźć natchnienie szczęśliwe i kompozycya, choć w dziedzinie umiejętności ideał i kompozycya mają inne znaczenie, niż w dzielnicy sztuk pięknych. Człowiek pasuje się i bie-

(*) Porównaj Estetykę Vischera, T. II, str. 299 i nast.

dzi, by przełamać zadanie przeznaczone mu na ziemi; ale prace jego i mozoły odbywają się zwykle w szarym mroku codziennego żywota i wloką się, jak ich tam stać, już raz na zawsze utartą koleją. Jak atoli się niekiedy zdarza, że w ciemnéj izbie, wśród grubéj nocy jakieś światło fosforyczne zajaśnieje na chwilę w oczach i niby błyskawicą rozświeci komnatę całą i wszystkie w koło przedmioty, tak téż niekiedy szczęśliwym ludziom, w szczęśliwych chwilach, coś w duchu strzeli jasnością, łyśnie nadziemskiém światłem; wtedy znienacka mignie się przed oczy prawda dawno śledzona, a rozwiązana jest nagle tajemnicza zagadka, o którą rozbijały się trudy myśli i nuże długiéj twardéj pracy. W tych jasnych chwilach natchnienia staje przed oczyma wzór, ideał, który, jakby gwiazdą przewodnią, zaprowadzi już do celu wieloletnich pragnień.

Przecież i tutaj ten wzór wewnętrzny, co zaświecił przed oczyma duszy w godzinie natchnienia, jest również tylko obrazem ogólnie skreślonym, niepewnym i rozpłynnym, i on wyzywa do trudu a pasowania, i wymaga, by wprzód jego części szczegółowe stworzyć i złożyć w jednę całość, zanim będzie gotów wystąpić w świat.

Patrz na tę machinę, wymyśloną z taką bystrością misterną; ona jest tryumfem mechaniki, ona wyręcza tłumy pracowników, oddaje się w korne jęctwo ludzkiemu rodowi; a hucząc, sapiąc, dysząc, jako coś żywego służy celom duchowym i uczłowieczeniu człowieka. Jakoż główna myśl téj machiny, ogólna jéj modła stanęła od razu w chwili natchnienia przed duszą szczęśliwego wynalazcy; lecz on nie mało się napracował, nakombinował, zanim ją „skombinował“, zanim wymyślił wszystkie jéj części i szczegóły, zanim te wszystkie kawałki żelaza, krótkie i długie, okrągłe i rogate, proste i krzywe, gładkie i zębate złożyły się w jednę całość i ożyły tchnieniem myśli, zanim ten potwór o siłach tytana, uparty i zuchwały, zażegnany mistrza słowem, poddał się w pokorze skinieniu jego.

Gruba noc nierozumu przygniatała ludzki ród, ponury zabobon, próżnia czcza przygłuszała świat, nikt nie słyszał proroctwa, co wróżyło z dalekich zamorskich stron; a przylatywały na skrzydłach wichrowych z ostatniego zachodu jakieś dziwne głosy, a niewidome zwiastuny przypływały na obłokach żaglowych i na grzmotach łamiących się fal; wszak te fale oceanów, same przynosiły zkądciś brzegom staréj Europy jakieś gałązki dziwne, niewidziane jeszcze, jakby nadziei wróżby zielone, niby wieści bajeczne o krajach cudów. Nikt nie dosłyszał, żadne oko nie dopatrzyło się ducha przyszłości, co już chodził wśród ludzi, szukając, ktoby zrozumiał mowę jego. A był jeden wśród wszystkich mąż o szerokiém sercu; on myślą głęboką zapadał w dumanie nad światem, co rozwinięty mappami przemawiał do niego wyrocznią cichą. I stanął przed nim ów duch proroczy przyszłości w godzinie natchnienia, i dał mu posłuchanie Kolumb, i w tajemnéj poufnéj rozmowie wywiedział się od ducha o tych nowych światach, co od bieguna do bieguna zbudowawszy twierdzę

swoich lądów, zaległy całe nice ziemskiéj kuli. Ufając tedy wyrocznicy w sercu zamkniętéj a Ojcu na niebie, puścił się na przestworza nieznanych oceanów, pytając gwiazdy Boże o drogę; lecz razem z nim wstąpiły na kruchy statek niewidome sterniki, anioły-stróże historyi ludzkiego rodu. Wiemy atoli, co przeniósł, co przecierpiał, ile przemógł Kolumb, zanim półświatem obdarował onego Ferdynanda smętnéj pamięci, zanim dosłużył się onych kajdan, zanim już razem z tą nagrodą swoją mógł złożyć się spokojnie w grobie i zdrzémnąć na chwilę, aż go „Bóg nie powołał do swojéj chwały“ jako żywego a naocznego świadka mądrości wiekuistéj.

Inny znów mąż, umiejętności mistrz, zamknął się sam na sam z duchem swoim; trawi go pragnienie, by zajrzał w serce świata, a poznał nieskończoną prawdę, co żyje a tętni we wątku wszech stworzonych rzeczy. W koło niego natura i państwo duchów odegrywa dramat; ale aktory tego dramatu, to zjawiska przepłynne, znikome, to tylko hieroglify i symbole, to widome ciała, w które się przebierają myśli, idee, będące znów tylko pojedynczemi ogniwami jednéj nieskończonéj myśli Bożéj. Mistrz ufa, że pragnienie wiedzy, że miłość prawdy, włożone w serce jego, nie są zawodną ułudą, a choć tęskno i ckliwo, choć mrozy powątpiewania o wiedzy człowieka przejęły serca ludzi, choć między niemi chodzi wieść, iż przepaść bezmierna rozwarła się między ludzkiém badaniem a prawdą, że one myśli i idee zostały na wysokiém niebie, otaczając chórem wszechmocności tron, i że w niziny rzeczywistości naszéj spadły jedynie ich powłoki kłamliwe a puste łupiny, mistrz atoli ufa głosom wewnętrznym, ufa, że nie są kłamstwem zawodném. Powiedz, dla czego ta drobna, maluczka igiełka magnesowa, co zamknięta w ciasnym biednym domku swoim, przecież zawsze i wszędzie zwraca się do światów bieguna? powiedz, czego jéj tak tęskno do téj piasty, około któréj wirem chodzi niebo całe? — Zaiste ta igiełka mała zwraca się i tęskni do bieguna świata, bo choć tak drobna i biedna, spokrewniona jest przecież z oną niebios piastą; a im więcéj ta igiełka drobna wzmoże w sobie tę miłość tęskną, tém téż więcéj zaiste jéj udzielony jest pierwiastek, co ją wiąże ze światów biegunem i tém ona jemu podobniejszą się staje, tém silniejszy jest, choć niewidzialny, prąd co łączy obie te ostateczności. Bo miłość rodzi miłość!

Ztąd téż i człowiek tak tęskni do nieskończonych prawd, bo w najgłębszéj głębi istoty jego tleje wiekuistości iskra; dla tego człowiek gore tak miłością ku Bogu, bo Bóg sam tchnął w niego dech własnéj istoty swojéj. Otóż widzisz, ten pierwiastek wiekuisty, od Boga dany, żyje w duchu człowieka, jak w świątnicy swojéj; więc gdy się obaczy w świecie rzeczy doczesnych, tęskno mu, jest jakby sierotą samotnym, wygnanym z ojcowizny swéj. I dla tego téż niekiedy wśród wrzawy tutecznéj coś w nas boli, coś płacze; otóż to, co boli, co tęskni a płacze w nas, toć jest ów pierwiastek niebiański; on téż rad śmierci, bo dla niego śmierć ciała jest powrotem przed

Ojca tron; nim zaś doprawdy ten powrót nastąpi, dusza gore żądzą umiejętności, by tymczasem poznała Ojca choć w stworzeniach jego, aby choć w tych ułomkach onéj kompozycyi wszechstworzenia odgadła ideał, który się niemi wyraża.

Tak tęskni w człowieku iskra wiekuistości od Boga mu dana, i tęskni ona i pragnie gorąco; tęsknota roznieca miłość, a miłość wzmaga tęsknotę, a potężnieje coraz miłości moc w duchu człowieka, potężnieje i wzmaga się prąd płynący w serce nasze od nieskończonéj miłości, od nieskończonéj mądrości, aż owa iskra, zrazu tylko w nas tlejąca, buchnie płomieniem, błyśnie pochodnią, zaświeci mądrością, i tak staje przed oczyma nowéj umiejętności ideał, nowy system wiedzy ludzkiéj. Lecz geniusz, ów szczęśliwy wynalazca, wprzód nałamie się ciężkiém pasowaniem z sobą, wyrzeknie się świata i uciech ziemskich, a życiem opłaci, zanim ten ideał rozwinie w szczegóły, zanim ujrzy wszystkie części i ułomki téj całości i powiąże je w system, w kompozycyą organiczną, zanim wszystkie myśli i idee szczegółowe, grające w dramacie natury i w państwie duchowém, nawlecze na nici jakby jaśniejące paciorki kosztowne, zanim wśród tych paciorków promiennych zabłyśnie i krzyż rubinowy, zanim na tym różańcu mądrości duch stworzony zamodli się Panu.

Dość nam tych poważnych przykładów, wszak i w życiu powszedniém, zdawkowém, codziennem, widzimy, że pomysł tutaj jakby ideał, a kompozycya, niby wykonanie pomysłu są rozłączone od siebie całym światkiem trudów i znów drobniejszych pomysłów. Oto, czegoż ów młodzian tak naperzony zasiadł przy stole, jedną rękę wbił w gęstwinę rozburzonéj czupryny, a drugą podparty trzyma pióro pogryzione na strzępki? W koło stołu walają się papiery o złocistych brzegach zmięte, podarte. — Proszę mu nie przeszkadzać, biedaczysko „komponuje“ list do swojego ubóstwionego bóstwa. W oczach jego duszy rozkochanéj ideał listu już zupełnie gotów i oświecony bengalskim ogniem sentymentów, a przecież co napisze, to przekreśli, poszarpie a rzuci o ziemię; — jeden list jakiś letni, nie dość strzelisty, a jednak potrzeba, aby każdy wyraz był wyostrzony na brusku samego Kupidyna; i druga epistola znów jakoś zanadto butna, wichrowata, pisana niby z czapką na bakier, a zbyt śmiałe gruchanie mogłoby spłoszyć turkawkę trwożną; w trzeciéj znów afekta, uczucia, zaklęcia takie jakieś wymuszone, wymuskane, chodzą jakby w sztywnych krawatach a w ciasnych butach; czwarty list wprawdzie niczego, wyrażenia bardzo śliczne, ale cóż z tego, kiedy nie wiążą się z sobą, kiedy nie trzymają się siebie i rozbiegają się na wszystkie strony; piąty jest i t. d. i t. d.

Tam znów dama wieczorem siadła w salonie, zalanym jasnością tłumną światła, co snopami goreje po ścianach, po stropach; rząd pokojów ustrojony niby pałac czarnoksięzki, zdobny wdziękiem uroczym i smakiem oryginalnym, lśniącym, błyszczącym; a przecież ta

dama wśród tego raiku cywilizacyi jakaś znękana, znudzona, dziś wyprawia bal, co tylko się goście nie zjadą. I cóż z tego? Oto na początku jeszcze zimy natchnęła ją myśl śmiała, szczytna, przyćmienia swoim balem okolicy całéj; fantazya, co zawsze gotowa służyć damie, chwyciła za pędzel, a umaczawszy go w barwach, któremi maluje E. Sue zapomnianéj pamięci bale swoje, w mgnieniu oka co tchu skreśliła widok przyszły pokojów, przeistoczony na ów pałac mitologicznego uroku. To zrobiła fantazya, pokłoniła się i uleciała zostawiwszy pani domu dokończenie zuchwałych pomysłów. Ale po co ci wyliczać one trudy, wątpliwości a prace, które tak znękały naszą piękność, po co nam wymieniać one kłopoty, zanim wszystkie szczegóły zostały utworzone; ile razy były spisane i przepinane draperye, rozdzielone światło, ustawiane i przestawiane kwiaty, drzewka, umieszczone zwierciadła i t. d. A cóż dopiéro, gdy w końcu kołéj przyszła na arcydzieło smaku, bo na własną toaletę; nie sądź, że to tak łatwo; tutaj artystyczna kompozycya w swoim kwiecie najwyższym, tutaj schodzą się wszelkie tony harmonijnym akordem; daremniebym chciał wyliczyć te wszystkie misterye sztucznéj natury i naturalnéj sztuczności, bo „są rzeczy pod księżycem, o których się ani śniło naszym filozofom“, powiedział królewicz Hamlet; i ja tak myślę, więc rzucam bliższe opisy i t. d.

Wreszcie przyznasz, iż ktokolwiek nie na żarty chodził około nauk, doświadcza, że ogólne, choćby trafne, wyobrażenie o jakimś przedmiocie bynajmniéj nie wystarczy, jeżeli przyjdzie zabrać się do niego piórem. Wtedyto bowiem dopiéro z podziwieniem a strachem spostrzegamy, ile szczegółów jeszcze nie jasnych, ile ich nam brakuje, jak wiele jeszcze douczyć się wypada; a ileż dopiéro ślęczenia, by to wszystko jako tako zwić w jedną całość ukończoną. Zaprawdę, pisanie właśne jest jakby istną próbą ogniową naukowości każdego, i dla tego też taką jedynie drogą dokupić się można prawa do sądzenia o pracy drugich. Ale o tém nie chcą wiedzieć owi panowie, co nie nauczywszy się niczego porządnie, niczego sami nie dokonawszy, a przestając na jakiémś ogólném wyobrażeniu o rzeczy, uważają że nierównie wygodniéj żyć obcym chlebem, więc sami mianują się krytykami, obryzgując cudze zasługi. Ale cóż na to robić? I literatura ma swoich pasożytków!

Otóż, kędy spojrzysz, wszędzie obaczysz że, co w duchu poczęte, z boleścią dopiéro a trudem twardym na świat się rodzi; praca artystyczna około kompozycyi jest ogniwem, łączącém ideał a rzeczywiste dzieło sztuki. Jakie zaś są prawidła kompozycyi, toć już dziś nie trudno wyłożyć; estetyka nam współczesna dostatecznie roztoczyła te prawidła; nie wymyślając przeto rzeczy nowych, będziemy z niéj korzystali. Dla snadniejszego atoli porozumienia się z sobą, chciéj choć z lekka rzucić okiem na dzieła „skomponowane“ wiekuistą mądrością; one są wzorem sztuki komponowania.

Zważ-no, jak to natura jest mistrzowską kompozytorką, ona

zaiste doskonale wyuczyła się generał-basu wszech jestestw. Wszak już Plato, co to wygaduje na poetów, a sam był natchnionym wieszczem mądrości, cudownie nam prawi o harmonii sfer. I zaiste nie lada też to koncertem popisują się na niebie one światy świecące, one gwiaździste błyszczące muzykanty, co, chodząc w takt po przestrzeni niebiańskiéj, niby po kopulastéj świątnicy Bożéj, wyśpiewują sobie i wygrywają partyturę odwiecznego hymnu; oni rozebrali te różne głosy między siebie, a żaden z nich się nie zmyli, a żaden nie chybi, choćby na cząsteczkę nuty. Prawda, że niektóre z nich, zwłaszcza te malcy asteroidy, tak z cicha się odzywają i tak cienko śpiewają, że astronomia dopiéro po jednemu ich się dopatruje w orkiestrze niebiańskiéj; ale przecież znów każdy z tych żaków jako dyskantysta wielce jest potrzebny do całości harmonii, a każdy z nich o tém wié, przeto się też tak trzyma i pilnuje. Cała muzyka ma na oku swojego kapelmajstra słonecznego, co, stojąc w środku, obracając się wkółko, przyświeca im, wybija takt i dyryguje wszystkiemi. Nie dziw przeto, iż tak dzielnie nawzajem się spierając, nie dadzą się zbałamucić onym wędrownym grajkom-kometom, co jak wałęsające się muzykusy, bez prawnego zamieszkania, bez paszportu włóczą się po niebie, i radeby sie przypytać do onéj zacnéj kapeli i zarzępolić po swojemu, ale słysząc tę harmonią cudowną, widzą, że nic nie poradzą, zatém czém prędzéj się wynoszą, szukając gdzieindziéj dla siebie karyery.

A własne ciało twoje nie jestże arcydziełkiem onéj kompozytorki natury! Tutaj muzykantami misternego koncertu są organa, części i członki szczegółowe tak różne, rozmaite a nawet sobie odwrotne, a przecież tak ściśle z sobą połączone wspólnym akordem. Gdy jeden z tych organów wyjdzie z taktu, już rzuci cię biedaka na łoże lub przyprawi o coś gorszego; wszystkie te organa składają jedność pełną harmonii. Wszak one nawzajem się uzupełniają, nawzajem się wywołują. Każdy z tych organów jest takim, jakim jest, dla tego iż całość jest właśnie taką a nie inną; każdy z nich ma się do każdego jak przyczyna do skutku, więc zarazem jak skutek do przyczyny; jest to splot a system mistrzowski powodów i następstw. Dziś kto żyje powtarza za Cuvierem, iż z jednéj kości choćby nieznanego zwierza wywróżyć można wszystkie inne, więc nawet całą budowę, ba! cały sposób życia a obyczaj tego mieszkańca zapadłego świata. Tém tedy jeszcze doskonaléj ideał żywota iści się w kompozycyi ludzkiego organizmu. Boć jak dzieło sztuki jest materyą, w któréj promieni się ducha nieskończoność, tak i cielesność ludzka, choć z materyi zrodzona, jest przybytkiem wiekuistego ducha, który świeci i płonie nieskończonością. Chciéj jeno nie zapomnieć o ułomności, będącéj klątwą wszystkich jestestw natury, więc i cielesności naszéj, chciéj ją ująć z jéj idealnéj strony, a będzie dla nas wzorem kompozycyi artystycznéj.

Widzisz naprzód, że jedność a całość ideału winna się ziścić

w kompozycyi; niechaj tedy treść, myśl główna, o którą chodzi, będzie tak wyrażona w dziele, jak się duch ludzki wyraża w cielesności swojéj; niechaj przeto kompozycya nie zawiera ani więcéj ani mniéj w sobie, niż treść, którą ma urzeczywistnić, bo inaczéj nie będzie ani całości ani jedności. Jeżeli w dziele już skomponowaném będzie mniéj niż w treści, to nie będzie całości, uczujesz jakiś brak a niedostatek, jak gdyby w ciele organiczném, żywém brakowało jakiegoś organu; główna myśl nie będzie dostatecznie rozwiniętą. Nie dostaje np. w dramacie, w powieści, w obrazie malowanym i t. d. jakiéjś figury, jakiéjś sceny, ztąd całość taka jest biedna, chuda, ciemna, niezrozumiała. Takowy brak rzeczywiście pochodzi najczęściéj z braku bogatéj fantazyi, którą niestać by w całéj pełni roztoczyła myśl swoją.

Lecz częściéj jeszcze, a mianowicie między nami, znajdziesz wadę odwrotną; zdarza się bowiem gęsto, iż kompozycya zawiera w sobie więcéj niż treść, a tak chybia jedności; to znów dzieje się różnym trybem. Jakoż naprzód spotykamy w kompozycyi zbytek w tém znaczeniu, że do niéj niekiedy przyplącze się jakiś ustęp, figura, scena, która jest wcale obcą dla treści, o któréj trudno wiedzieć zkąd się wzięła; jest to organ obcy przypięty do obcego ciała. Téj wadzie ulegają najczęściéj młodzi artyści i poeci, których bujność wyrównywa ich tkliwéj miłości ojcowskiéj dla dzieci własnéj fantazyi; przeto gdy je zrodzą, już niemi nacieszyć się nie mogą, a serce ich boli na samą myśl pożegnania się z niemi. Jeżeli zaś w razach powyższych jakiś szczegół dla tego jest zbytecznym w kompozycyi, iż nie zostaje w żadnym związku z jéj całością, tak znowu w innych przypadkach zbytek pochodzi ztąd, iż albo jakiś szczegół należy wprawdzie do treści, lecz wybujał zanadto w porównaniu do innych części kompozycyi, albo iż ta sama myśl wyrażona jest w kompozycyi dwoma lub więcéj szczegółami.

My, Krakowianie, zhardzieliśmy nie pomału od czasu, jak zacny Mieczysław Potocki udarował Akademią naszą Światowidem, co długie wieki przeżył w Zbruczu, zanim w poselstwie od zamglonéj przeszłości stanął przed dwoma laty w starych jagiellońskich murach; otacza go i podziwienie i radość nasza, a przecież nikt nie powie, że mu pięknie z temi czterema twarzami, bo też on sam nie ma pretensyi do wdzięków artystycznych; jemu wcale o co innego chodzi! Zamknij się sam na sam, w cichocie samotnéj, a kto wié, może roztworzą się kamienne usta jego, może i powiedzą o czém marzył pod wodą przez lat dziewięćset.

Widać atoli jak trudno uniknąć w kompozycyi wyrażenia téj saméj myśli dwoma lub więcéj szczegółami, skoro tę wadę znachodzimy u arcymistrzów, u geniuszów, które już będą we czci u ludzi, póki świat wielbić będzie co wielkie i piękne; a odwołuję się tu do dwóch przykładów, zwykle przytaczanych przez estetyków. Tak w Shakespearze nienawiść demoniczna niecnego Jago do Otella ugruntowana

jest na dwóch powodach, bo naprzód Jago mniema, iż mu Otello wyrządził krzywdę, mianując Cassia a nie jego porucznikiem swoim, powtóre że sam w siebie wmawia, jakoby Otello uwodził mu żonę; ten to drugi powód jest niesłusznym, bo się nie zgadza ze zacnością bohatera sztuki, co więcéj jest zbytecznym, gdyż ów pierwszy powód zupełnie wystarcza. Podobnie zarzucają *Rafaelowi*, iż w Stanzach watykańskich dopuścił się podobnéj pomyłki; na jednym bowiem z tych obrazów widać Atyllę, który na czele swojéj tłuszczy nadciągnął pod mury świętéj Romy; występuje naprzeciw niemu papież Leon Ś-ty, otoczony orszakiem arcykapłanów, i wymową natchnioną, przestrogami pełnemi grozy skłania do odwrotu barbarzyńca; lecz po nad gruppą tą unoszą się jeszcze postaci ŚŚ. Piotra i Pawła, a z mieczem w ręku grożą zuchwałemu najezdcy; ten uderzony cudem wpatruje się pełen strachu w niebiańskie widziadła; same nawet konie dziczy zżymają się i drżą. Tak tedy na tym obrazie albo namowa papieża, albo pojawienie się apostołów jest zbytecznem; a przecież to Rafael! w tém imieniu żyje cały świat piękności! Rafael! rzekłbyś, iż on sam jest piękności aniołem, który przelatując z nieba na niebo, odpoczął chwilkę na ziemi, przybrawszy na się mistrza ciało! Rafaelowi wytykamy usterki! Czegóż sobie tedy tak do serca bierze najmłodsza bracia artystów, gdy krytyka, byle sprawiedliwa i z miłości udzielona, wykazuje im błędy?

Kompozycya wiąże rozmaitość szczegółów w jedność, w całość; tak znać, że wypada najprzód miéć gotowe te wszystkie szczegóły różne i części; trzeba je wprzód od siebie wyraźnie oddzielić, odróżnić, tak jak się oddzielają od siebie części i członki w organizmie naszego żywota. Ckliwym będzie np. twój malowany obraz, powieść, dramat, jeżeli figury w nim będą jednostajne, jeżeli na każdéj z nich nie wybije się silnie piętno właściwéj indywidualności, a tak niby tony a barwy różne wystąpią z sobą do gry. Zważ, iż kompozycya wcale nie wymaga koniecznie wielkości figur. Wenus kapitolińska, Kopernik warszawski Thorwaldsena, kapitoliński gladiator, tak są kompozycyą jak gruppa Laokoona lub Rafaelowska bitwa Konstantyna, albo Ostateczny sąd *Michała Anioła Buonarottego* (*).

Postać ludzka, figura pojedyncza, już sama z siebie, jakeśmy rzekli, jest arcydziełem kompozycyi przyrodzonéj, tém więcéj przeto będzie najbogatszą a najcudniejszą osnową dla kompozycyi artystycznéj. Różne położenie rąk, przeważniejsze ciążenie całego ciała na jednym z boków, trzymanie głowy, kompozycya samego oblicza

(*) Godzi się też tu wspomnieć o pomniku ks. Sapieżanki, wykonanym przez młodego a tak wielce znakomitego artystę Henryka Stattlera. Postać młodéj dziewicy, śpiącéj skonem na tym grobie swoim, oblana jest najwyższym wdziękiem; patrząc się na ten jéj spokój cichy, święty, żyjący mogą pozazdrościć tego śmiertelnego snu. Tutaj jedna tylko jest figura, a przecież kompozycya rozkwita w całém bogactwie swojém.

i wyrazu jego i t. p. słowem, te niewyczerpane przemiany postaci ludzkiéj staną się dla mistrza odą, elegią skamieniałą, co, choć o marmurowych ustach, wyśpiewa mu całe dzieje nieba i ziemi, wszystko co w sercu ludzkiém żyje, wszystkie grozy i smętki, rozkosze i zachwyty.

Lecz jeżeli już rzeźba dokazać zdoła tych cudów, ona, co chwyta jedną tylko chwilę duchowego żywota, jakież dopiéro światy roztworzą się dla poezyi, roztaczającéj swoje figury w czasie, rozwijającéj charaktery w następstwie ich żywota. Wszak charakter figury jest właśnie rozmaitością szczegółów, zestrojonych w jedność. Chcesz-li by charakter był bogatym? ustaw go tak wśród świata i ludzi, aby potęgi zewnętrzne, a między sobą tak różne, wygrywały na duszy jego, jakby na organach, wszystkie tony weselne i bolesne, posępne i radośne; niechaj cała ta tajemnicza treść jego z głębin swoich wystąpi na jaw, będąc wywołana z kolei zewnętrznemi przygodami. Okaż charakter w jasnych i ciemnych chwilach żywota, w trudnych i niespodziewanych wypadkach; niechaj wylatują z głębin piersi jego dotychczas w nim milczące i uśpione mieszkańce one, światliste anioły lub nocne demony.

Pamiętaj atoli, aby ta cała rozmaitość treści miała przecież wspólne piętno indywidualne, aby po uczuciach, po mowie, po czynach, choć tak różnych, było znać, iż są objawem jednego i tego samego człowieka, aby każdy, znający serce ludzkie, patrząc się na tę kompozycyę twoją mógł zawołać: „tak jest, człowiek taki, w takim wypadku, właśnieby tak a nie inaczéj postąpił!“ Jeżeli nie zdołasz utworzyć jedności takowéj a wymyślisz swawolną rozmaitość bez wspólnego tła, wtedy nie będzie kompozycyi, a figura przez ciebie utworzona będzie bez charakteru.

Jeżeli zaś odwrotnie we figurze jakiéj twojego romansu, dramatu, zachowasz wprawdzie tożsamość charakteru, ale nie zrodzisz rozmaitości jego osnowy, wtedy ta jego jedność nie będzie jednością rzetelną, ale jednostajnością ckliwą; braknie zatém i tutaj prawdziwéj kompozycyi; charakter takowy będzie jałowy, ubogi, nie rozwinięty, abstrakcyjny. Dla czego np. nasze północne naczynia gliniane tak nieładne, niby istne potworki? bo one są abstrakcyą, są jednostajne, bez rozmaitości. Dla czego znowu te naczynia, które nam zapadła Pompeja zostawiła puścizną, choć także z gliny, są najczęściéj tak pełne wdzięku i uroku? bo w nich jest kompozycya, w nich części są rozmaite a ściśle od siebie odgraniczone; tak podnóże, środek, szyja, cefka, kształtne ucha nawzajem się od siebie odznaczają, a przecież harmonijną stanowią jedność, — i one mają charakter! Bo téżto był dziwny ten świat-artysta, co tam śpi pod popiołami od blizko dwóch tysięcy lat! on czego się dotknął zamienił na dzieło piękności i smaku; on spał spokojnie przez długie wieki, a teraz wydobyliśmy go na dzień jasny, na własne upokorzenie nasze.

Jak ta rozmaitość szczegółów jednoczy się w jednéj figurze, tak

wiele figur znów, rozmaitych między sobą, tworzy całość a spotęgowaną kompozycyą. Bez przykładów dalszych się obejdziemy; łatwo zrozumiesz, ileby tu można rozprawiać o gruppach rzeźbionych, malowanych i t. d.; miéj tylko na uwadze, iż ta rozmaitość różnych figur może się wzmódz aż do odwrotności, do ostateczności; i tutaj nie brakłoby przykładów mistrzowskich, wspominam tylko o tych co nas bliżéj obchodzą; biorę więc z naszéj literatury, a biorę z kraju, co pod ręką np. te wręcz sobie przeciwne figury, jakiemi są Józef a Henryk, Prezes a pani Włodzimierzowa w Kollokacyi, pan August a Marszałek w Spekulancie *Korzeniowskiego*. Zważno tych dwóch braci w Listopadzie *Rzewuskiego;* oni mają znaczenie głębokie, ale przecież nie są jałową allegoryą; to ludzie indywidualni ze krwi i kości; treść, znaczenie ich i forma pewnie zrodziły się w jednéj chwili, a potrącenie do ich stworzenia zaiste przyszło z zewnątrz. W „Interesach familijnych“ *Kraszewskiego*, ileż rozmaitości i odwrotności w pokrewnych kasztelanica, a przecież, rzekłbym, mają jakieś wspólne familijne piętno; Siekierzyński znowu, to istny charakter: on różny w różnych życia przygodach, a przecież wszędzie to jeden i ten sam człowiek; on sam sobie dochowuje słowa, czyli go korci grzyb wyrosły w izbie, czyli obchodzi chrzciny synowskie, czyli się żegna ze swoimi na łożu śmierci. O Radziwille, jakim go kreśli z mistrzowska *Chodźko* i *Rzewuski*, mówiłem już na innem miejscu.

Te szczegóły atoli w kompozycyi jak są różne co do barwy i piętna, tak też są różne co do wagi a znaczenia swojego. Jedne są główne, istotne, bo są rzeczywiście wyrazem myśli panującéj, istotnéj treści dzieła sztuki; drugie nie mają tego znaczenia, są poboczne, atoli i bez nich się nie obejdzie. W obrazie historycznym nie obejdzie się np. bez otaczającéj architektury lub przyrody, a przecież one są tylko szczegółami ubocznemi; w pejzażu odwrotnie figury będą ubocznym szczegółem, a natura główną treścią. Widać tedy, iż gdy mistrz zanadto pozwoli urość szczegółom, które nie należą do istoty dzieła jego, już wtedy zatrze cechę któraby w niém panować winna. Małoż jest obrazów, w których nie widzieć, czyli pejzaż dla figur, czyli figury dla pejzażu!

Te szczegóły uboczne jednak, choć nie są istotne, nie są przecież dowolne i powinny się rodzić razem z całością, bo one wtórują treści głównéj. Prawda, że inny mistrz, tworząc taką samą osnowę, byłby innych użył szczegółów podrzędnych; ale bądź pewien, iżby wtedy i treść główna była w inny sposób wyrażona i całe dzieło byłoby odmienne. Madonna della Seggiola odziana jest chustką kraciastą; prawda, że to niby drobnostka, ale ona razem z całością pojawiła się w duszy *Rafaela;* a lubo nie przeczę, że mistrz to odzienie nastroił do całéj postaci Madonny, to wszakże pewno, że gdyby nie był użył téj chustki, ale innéj, pewnieby był i Madonnę samą odmienił. To

prawidło stosuje się równie tak do architektury jak do muzyki, tak do romansu lub dramatu jak i do rzeźby.

Nie trudno się nam przekonać, że i główne szczegóły między sobą znowu nie są równe co do znaczenia. Wszak wszystkie szczegóły dzieła artystycznego ściśle się w spólną jedność splatają; niechaj tedy będzie jeden szczegół, który nad wszystkie inne staje się wyrazem téj jedności, a zatém panującéj myśli dzieła, więc ogniskiem i sercem całéj kompozycyi, około którego obracać się będą wszystkie inne jako około piasty swojéj; one będą tylko środkiem dla niego, i będą miały, ściśle mówiąc, jedynie to przeznaczenie, aby rozwinąć z niego treść w nim zamkniętą, aby treść ta jego stała się jawną, aby mu dać sposobność okazania, czém on jest w sobie. Ztąd wynika, że ten szczegół pierwszy, będący wyobraźnikiem głównéj myśli całego dzieła, zamyka także w sobie, jakby w pączku, wszystkie inne szczegóły, a tém samém znać, że one wszystkie są owym głównym szczegółem, ale już we formie rozwiniętéj. Gdy atoli ów wyobraźnik główny jest upostaciowaniem jedności całéj kompozycyi, zatém zachowanie się innych szczegółów do niego okaże zarazem zachowanie się ich do jedności całego dzieła. Wypływa ztąd, że gdy w jednéj wielkiéj, bogatéj kompozycyi znajdzie się wiele szczegółów, one wszystkie mogą się ugruppować w osobne podrzędne całości, z których każda będzie dla siebie osobną jednością, mającą znów jeden główny szczegół, który będzie jéj ogniskiem. Te całości podrzędne będą znów różnéj wagi, wedle różnego stosunku swojego do głównéj myśli całéj kompozycyi. Chodzi tylko tutaj o to, ażeby żadna z tych całostek osobnych nie była luźną, aby wszystkie były splecione w jednę wielką całość, którą jest właśnie całe dzieło i panująca jego myśl, jak to widać np. w bitwie Konstantyna w Stanzach *Rafaelowych*, w sądzie ostatecznym *Michała-Anioła*, w wieczerzy *Leonarda da Vinci*, w gruppie Nioby, w sztukach *Shakspeara* (np. król Lear), w budowli katedr naszych średnich wieków i t. p. Po bogactwie i harmonii w kompozycyach znać też mistrza. Łatwiéj też podobno utworzyć szczegóły piękne i mnogie; ale zestroić je w jedną całość, na tém właśnie sztuka. Widzisz, jakto człowiek całą naturę sobie pokrajał na szczegóły, jak ją smaży i męczy i dręczy w retortach chemika i pod nożem anatoma, młotem geologa; jak to wszystkie przyrodnicze nauki rozebrały przyrodę między siebie na oddzielne warsztaty swoje; a rusza też ta uczciwa praca rześko, ochoczo i dzielnie; szczęść im Boże! Dzięki tym trudom zacnym, znamy też nie mało tych różnobarwnych kamyków, onéj cudownéj mozaiki Bożéj. Ale kiedyż zabrzmi owo magiczne słowo, co wyrzeczone wszechmocą ożywi te kamyki, aż się one same ruszą, zejdą a złożą ów stary a cudowny stworzenia obraz! Niezbyt trudno chodzić po grządkach domowych życia i wyrywać kwiatki, co śliczne barwą, co wonne oddechem, ale proszę je związać w jeden bukiet; kto przejdzie a nieco wprawnego oka, powie: ten bukiet złożony iście ręką

malarską *Seghersa* (*), a ów spętany sznurkiem i smakiem ogrodnika.

Prawda, że ta jedność rozmaitych szczegółów wystąpi nawet już z wierzchu, np. w dziele malowaném pojawi się sama nawet harmonia oświecenia tonem rozlanym po obrazie całym i t. p.; w poezyi, figury choć różne, połączone będą, jak wspólnym trzonem, siłą obyczaju swojego wieku, kulturą spółczesnego im czasu; figury zaś sobie odwrotne i wręcz przeciwne będą ułagodzone, zatém niejako z sobą powiązane przez postaci pośredniczące i t. p. — Wyznaj jednak, że zestrojenie takowe będzie dopiéro zewnętrzne; wewnętrzna harmonia spoczywa na głębszém zestrojeniu kompozycyi. Od czego zaś takowe zawisło, wyłożyliśmy już dostatnio, nie ma tedy czego powtarzać powyższych uwag; przypominam tylko, com rzekł dawniéj, iż ciało organiczne, a mianowicie organizm człowieka, może być wzorem dla kompozycyi artystycznéj; w nim bowiem widzimy tak doskonałe powiązanie szczegółów, iż każdy organ jest zarazem przyczyną a zarazem skutkiem wszystkich innych, tak, że całość jest ścisłym systematem nawzajem z sobą powiązanych skutków i przyczyn, powodów i następstw.

Z tych zasad wynika téż dla nas najbliższa uwaga. Dzieło sztuki jest jednością, jest przeto całością ściśle z sobą powiązaną, a zatém ściśle oddzieloną od reszty świata. Wypływa ztąd, że dzieło takowe jako całość winno miéć swój początek, środek i zakończenie, a tém samém stopniujący się, potęgujący się rozwój swój. Główna myśl dzieła stulona, jakby w zarodzie, kłuje się, rośnie, rozwija, aż w końcu bucha na jaśń całą swoją potęgą. Kwiat dojrzały pęka i rozsypuje nasienie swoje na świat — nasienie i ziarno wiekuistéj prawdy, by się przyjęło między ludźmi. To spotęgowanie stopniowe obowiązuje wszystkie dzieła sztuki, czyli się roztaczają w przestrzeni czyli w czasie; znajdziesz je tak w onych trzech figurach składających gruppę Laokoona, jak w roztoczeniu się świątnicy budowanéj, jak w dramacie, romansie i t. d. To prawidło kompozycyi samo przez się będzie wykonane, byleś zachował jéj ustawy przytoczone.

Otóż masz zarys głównych zasad kompozycyi, wedle wyobrażeń dziś już w estetyce przyjętych; skreśliłem je atoli konturem ogólnym, nie wdając się w drobniejsze odcienia. Gdyby mi się kiedyś miało zebrać na rozwój szczegółowych sztuk, jako architektury, rzeźby, malarstwa, poezyi i t. p. miałbym porę sposobną rozmawiać o szczegółowém zastosowaniu tych ustaw. Teraz zwrócę tylko baczność twoją na jednę z głównych wad, pojawiających się bardzo często w dziełach sztuki, a pochodzącą najczęściéj z braku zachowania prawideł kompozycyi. Wiele bowiem znajdziesz artystycznych

(*) Daniel *Seghers*, jeden z najznakomitszych malarzy kwiatów, ur. w Antwerpii 1590 roku, umarł tamże 1661. Był on uczniem Jana Brueghel starszego i przyjacielem Rubensa. (St.)

prac, które nie zrodziły się z czystego pokochania się w piękności, ale z próżnéj osobistéj chęci popisywania się sztuczną przesadzoną kombinacyą. Ten atoli grzech przeciw sumieniu artysty karany też bywa najczęściéj niezrozumiałością dzieła, bo wszelka zawiłość ciemna i zagadkowa jest żywotną obrazą sztuki pięknéj; piękność jest treścią duchową, nieskończoną, ale odzianą w ciało, jest tedy uwidomioną i uzmysłowioną; widać przeto, iż jéj treść jest cała na wierzchu, na widoku, że powinna być odrazu zrozumiałą. Niechaj filozofia badaniem swojém nurzy myśl w toniach przedmiotu swojego, by wynieść z niego na jaw prawdę na dnie ciemném ukrytą; piękność jednak nie jest metafizyką, ona nie jest łamigłówką, ona jest jednym z tych aniołków Rafaelowskich, co patrzy na ciebie uśmiechem dziecięcym; lecz w tym uśmiechu, w tych oczach niewypowiedzianego wyrazu przemawia nieskończoność. Przypominam ci jedną ze szkół niemieckich, zkądinąd znakomitych zasług, która, nie bardzo szczęśliwie naśladując wielkiego mistrza swojego, maluje obrazy do sfinksowych zagadek podobne; więc ich kompozycyi nikt bez komentarza nie zrozumie; dla tego też twórca ich staje obok dzieła swojego i odbywa jakby prelekcyę, tłómacząc, wyjaśniając myśli swoje ukryte w obrazie i zwracając uwagę twoją nie na to, co widzisz na oczy swoje, ale na to, o czém on sam myślał komponując dzieło swoje; znać, że malowanie takowe graniczy ze sferą chłodną, mroźną allegoryi. Odejdziesz ze smutkiem, bo z przekonaniem, że człowiek ten chybił powołania swojego, że z niego byłby głęboki teolog, filozof, ale że nie jest malarzem. A cóż dopiéro, gdy poemat jest jakby szaradą lub rebusem, zwłaszcza, gdy pod twardą, nieprzezroczystą łupiną najczęściéj treściwego ziarna braknie!

Ale gorzéj jeszcze gdy muzyka będzie niezrozumiałą! toć istne świętokradztwo, dokonane na téj sztuce niebiańskiéj i na istocie wiekuistéj człowieka; muzyka jak sumienie, jak światło słońca, jak powietrze, jak łzy, jak miłość, radość i boleść są dzielnicą całego ludzkiego rodu. Wielomocny władca, żebrak w łachmanach, prostego serca człek i mędrzec, wszyscy, byle zacnego serca, jednakie mają prawo od Boga udzielone do téj ojcowizny swojéj. Wszak to ona, zdrojem przeczystym z nieba na ziemię spłynęła! Skąp, zanurz we falach tonów znękaną duszę twoją, a zapomnisz palące żywota krzywdy, odpuścisz wszem winowajcom twoim winy, odrodzisz się znów sam młodością nieskażoną i staniesz znów wśród dawno utraconego raju uczuć twoich, zawitasz do niego z duchem męża a dziecięcia rzewnością. Słuchaj. Muzyka! — Otaczają cię w koło uskrzydlone chóry serafinów, a duszy twojéj wyrosły niebolotne skrzydła, i ona razem z aniołami ulatuje do świata cudów. Słuchaj, teraz zabrzmiały głębokie akkordy, toczą się i wzdymają oceany tonów, zapadły mroki nocne. Te tony, te akkordy, to nie głosy ludzi pojedynczych; wśród ciemnic kroczą duchy pogrzebanych stuleciów, olbrzymie cienie umarłych ludów; na wołanie muzyki rozwarły się mogiły prze-

szłości całéj; słyszysz tę przeszłość niby huk morza miotanego burzą. Ale znów wszystko zniknęło jako znika zły sen; znowu wiosenne, wonne zaranie młodéj natury przypłynęło na powiewach akkordów; z pod splotu róż słychać szepty kochanków, tęsknoty serdeczne, rozkosze i bóle miłości, a roje geniuszków rzewnych, lekkich, oblatują je w koło. I znów z onéj strony płyną jęki; coś w sercu szlocha, płacze. Uderzyła z góry nieszczęścia błyskawica — gród stary, odwieczny stanął w płomieniach; pożar bije falą, wzbijają się słupy ogniste, kłęby dymów, niby straszydła potworne, niby szatanów postaci, sięgają obłoków. Runęło w popiołach miasto rodzinne! — drwiny złych duchów! — Słuchaj! ztamtąd walą się okrzyki milionów; bliżéj a bliżéj huczą dumno tryumfy i Haleluja pogromców. I znów wszystko ucichło. Dźwięki niebiańskie wzbiły się w górę, a nad światem unosi się anioł z palmą pokoju w ręku. To anioł harmonii; więc stanął na tęczy przymierza między niebem a ziemią, na tęczy siedmiobarwnych tonów; on splata i godzi piorunne głosy przeszłości i tęsknoty miłośne, serca wesele i bóle w duszy płonące; uśmierza, osładza i rozpacz i żale i dumy tryumfy; on zwił wszystko, co się na niebie, co się na ziemi święci, w jeden wieniec pieśni niebiańskiéj, jakby kwiaty z Bożego sadu; mniemasz żeś się odrodził młodości wspomnieniem; samego siebie widzisz wiosennym młodzieńcem, widzisz splecione z tych tonów ojca, matki, przeszłości postaci; zda ci się, że się znów roztworzyły utracone raju bramy, że ci wróciła dawna serca pełnia! Miłość nieskończona jak świat, głęboka jak niebios przepaści, zagrała ci w sercu; radbyś znów jak niegdyś przytulić te gwiazdy Boże objęciem nieskończonéj miłości, przytulić do siebie rzewném kochaniem cały ludzki ród, całe stulecia i przeszłe i przyszłe i obecność całą. — Ba, ba, cóż ci tak tkliwo? serce ci zabolało; zkądże te czułości? toć to goście dawno, tak bardzo dawno zapomniane! Muzyka coś ci duszę roztopiła; wskrzesiła z martwych dawno umarłe czasy i obraz onych dawnych niebiańskich młodości ogrodów, kędyś hodował najdroższych marzeń twoich kwiaty i nadzieje twoje i wiary i miłości twoje. Nieprawdaż? tobie nie żal młodości, żal ci jedynie tych światów, co w duszy pomarły! niegdyś, przed laty, takeś był bogaty sercem; dziś tak ci pusto, tak zimno. Ba, na to czułości żadne nie pomogą, już ci się nigdy więcéj w sercu nie zaludni, nie odzyskasz nigdy, co niepowrotnie stracone. Lecz się nie wstydź, nikt cię nie widzi; gdy wrócisz między ludzi, nadrabiaj jak możesz, a tymczasem posłuchaj tylko jeszcze co Shakspeare prawi o muzyce: „Noc i cisza, to istotne struny wdzięcznéj harmonii. Patrz, jak niebios błonia wysadzone w kręgi jasnego złota. I najdrobniejsze z tych kół, które widzisz, śpiewa w polocie swoim jako Anioł Boży, wtórując chórom młodookich Cherubinów. Tak, harmonii pełne są duchy wiekuiste! My nie słyszymy ich, obłożeni grubą szatą pyłu. Człek, co nie zna muzyki w piersiach swych, którego nie roztkliwią śluby uroczych tonów, ten gotuje zdradę, rozbój, pod-

stęp podły. Poruszenia duszy jego ponure jak noc, a chęci czarne jak piekło. Nie powierzaj się takiemu. — Słuchaj, Muzyka!“ (Kupiec Wenecki.)

I oni nam powiadają, że prawdziwa muzyka jest tylko przywilejem znawców! My nie przeczymy, że ta metafizyczna, umiejętna, spekulacyjna, niezrozumiała muzyka niektórych uczonych kompozytorów, dowodzi potężnéj kombinacyjnéj głowy; nie przeczymy, że ona wydoskonaliła teoryę dźwięków, ale niechaj przecież ci panowie nie powiadają, że oni kochają muzykę. Bo słusznie ktoś powiedział, że „kto kocha muzykę, nie obchodzi się z nią jak z nieprzyjacielem, nie każe jéj jęczéć i boléć, nie wymusza na niéj gwałtami dowodów umiejętności swojéj, przezwyciężając trudności które sam swawolnie sobie wymyślił, nie używa jéj za środek dla miłości własnéj; nie staje się podobnym chirurgowi, któryby zdrowemu człowiekowi połamał kości, aby się mógł popisać zgrabném złożeniem i szczęśliwém wygojeniem“.

Czas atoli nawrócić. Widzisz, mógłbym tutaj, wyłożywszy już jako tako rzecz o kompozycyi, rozprawiać jeszcze szeroko o studyach, szkicach i innych przygotowaniach, bez których, również jak bez kompozycyi, nie obejdzie się tworzenie dzieła sztuki; ale, to wszystko już pomijając, pytam jakie nam wystąpi zjawisko ducha, jeżeli mistrz zaniecha kompozycyi, jeżeli mimo siebie puści to wszystko, cośmy o niéj dotychczas powiedzieli, jeżeli ideał wprost zamieni na dzieło sztuki i wyniesie go żywcem w rzeczywisty świat? Wtedy zjawia się *improwizacya*. Improwizacya! Ja myślę, że człowiek nie jest Panem Bogiem; u samego Boga tylko myśl jest zarazem istnieniem, dla człowieka zaś ciężka droga z myśli do istnienia. Inaczéj stwarza Bóg, inaczéj człowiek. I nawzajem to téż prawda, że człowiek, będąc jestestwem myślącém, inaczéj znów śpiewa jak ptaszek na gałęzi; bo ptaszek śpiewa bez myśli, w nim nie ma myśli, a sam przez się jest tylko istnieniem. Ptaszek nie potrzebuje komponować, jego piosenkę już ktoś inny za niego skomponował.

Nie przeczę, że improwizacya jest często prawdziwéj genialności objawem, ale ta zmarnieje, nie dochowa się, gdy będzie nadużyciem znieważona; dla tego téż improwizator rzadko odpowiada nadziei, którą pierwotnie zrodził.

Ponieważ improwizacya odrazu zamienia ideał na dzieło sztuki, a pomija całą pośredniczącą sprawę kompozycyi, będącą właśnie przejściem z ideału do dzieła piękności, zatém my, pamiętając na czém zależy kompozycya, łatwo już zgadniemy czego braknie w improwizowaniu. Jakoż, gdy dopiéro w kompozycyi ideał rozkwita całą pełnią swoją, ztąd téż zaimprowizowane dzieło sztuki nie będzie rozwinięte z siebie i okaże niedostatek nie tylko pod względem formy, ale i pod względem samego ideału. Zaiste, póki genialność, a nawet i talent, świeci jeszcze całą potęgą świeżą, rodzimą, póty téż i niedostatki te będą ukryte, zwłaszcza gdy dech poezyi owionie treść umie-

jętną, naukową, opisową, a zatém treść już zkądinąd przygotowaną i będącą na zawołanie; lecz późniéj zwolna, niepostrzeżenie, na miejsce pierwotnéj świeżości stawać będą obrazy zużyte, zwietrzałe, dawno już otarte i opatrzone w świecie.

Nie ma co mówić! Pięknie zrazu duchowi w téj swobodzie pierwotnéj, w tym dzikim majestacie swojéj potęgi. Improwizator słucha mocy przyrodzenia, która w nim robi i prze; nie ogląda się zatém na przepisy szkoły, na prawidła przyjęte w świecie, oddając się niby geniuszowi, który w nim przebywa. Lecz, jak się ktoś z nowszych autorów wyraził, zanim się improwizator obaczy, swoboda jego butna, luźna, zuchwała przejdzie w odwrotność, bo w niewolę. Jak bowiem improwizacya, samochcąc oddaje się w pęta narzuconéj sobie treści, jak się ona stosuje do upływających minut, do granic czasu dozwolonego jéj na przygotowanie, tak oddaje się mimo wiedzy swojéj pod powagę kilku osób, które na nią czekają; zanim się przeto sama spostrzeże, już stosować się pocznie do ich smaku i do ich umysłowego kierunku. Otóż tym trybem talent, co mało sobie ważył prawidła uświęcone wiekami, oddaje się sam w hołdy dobrowolnie ułomkowi drobnemu współczesnéj mu publiczności, bo owemu szczupłemu gronu, będącemu dla niego światem całym. Nie dziw téż, że zwolna gaśnie ta łuna światlista, którą natura uwieńczyła skronie wybranka swojego, a z całego niebiańskiego posągu, który tak biednie zmarniał, zostanie tylko jedna wprawa wierszowania. Atoli łatwe składanie wierszy nie jest jeszcze poezyą, toć jedynie jéj strona zewnętrzna, techniczna; wirtuoz nie jest jeszcze mistrzem.

Wiemy, że ideał jest żywotnym warunkiem wszelkiego piękności dzieła, lecz w improwizacyi ideał będzie zawsze nierozwiniętym, bo on dopiéro mocą kompozycyi roztoczyć się zdoła w całéj piękności swojéj. Ztąd jawnie znać, że w miarę wyrobienia się ducha przez kompozycyą, mistrz nabiera téż coraz wyższéj potęgi w twórczości ideałów. Rzecz się zupełnie tak ma jak w myśleniu a wysłowieniu. Bo lubo nie zaprzeczam, że wprawa myślenia wyrabia w nas moc wysłowienia się, przecież nie mniéj jest rzeczą pewną, iż staranie około jasnego wysłowienia wdraża nawzajem ducha do dokładniejszego coraz myślenia. Głuchoniemi nie tylko dla tego są upośledzeni na umyśle, że, nie słysząc drugich, nie bywają potrąceni do własnego myślenie, lecz ich nieudolność pochodzi również i ztąd, iż sami nie mówiąc, nie wyrażając myśli swoich, trudniéj już rozwijają myślenie własne. Podobnie, kto się zrzeka pracy nad kompozycyą, zrzeka się tém samém możności stwarzania coraz doskonalszych ideałów. Ztąd téż słusznie powiedziano, że Rafael bez ręki, nie mogący wykonywać pierwotnych ideałów swoich, nie byłby nigdy dopiął wyższego szczytu, nie byłby zdołał stwarzać tych właśnie ideałów swoich, — słowem, nie byłby został Rafaelem.

Lecz zważ jeszcze jeden niedostatek improwizacyi a zaiste najważniejszy. Improwizacya tworzy ideał w chwili upodobanéj sobie,

patrzy całą zimną przytomnością na robotę swoją; tak tedy w improwizacyi duch rozdziela się na dwie strony, na rozsądek i na fantazyą; rozsądek jest trzeźwym świadkiem czynności fantazyi, która dla tego właśnie traci wolność swoją rodzimą, nie rozwija swoich lotów, bo ją krępują oczy owego trzeźwego prozaicznego świadka; a przecież wszystko, co się tworzy i poczyna czy w świecie natury, czyli w duchowym świecie, okryte jest świętą tajemnicą, i fantazya twórcza jest wstydliwą; jéj przeszkadza rozsądek natrętny. Wszak przy improwizacyi są obecni nawet inni świadkowie, ciekawi tych mistycznych zrodzeń duchowych? — Tém gorzéj! Albo też mniejsza o nich, oni nie dojrzą tych świętych tajemnic, bo ich nie ma w improwizatorze właściwym. Wiemy atoli już z powyższego rozwoju, iż wcale inaczéj się dzieje, gdy się poczyna ideał prawdziwy, ideał w głębokiém znaczeniu swojém. Rzekliśmy, iż w tych chwilach uroczystych wstępuje w mistrza natchnienie; jest to duch twórczy, będący niby własną istotą jego, a przecież potęgą obcą, wyższą, z góry nasłaną. Ten duch posiadł całą duszę mistrza; ona, pogrążoną będąc w duchu tym, nie odróżnia go od siebie, nie widzi go; dusza mistrza w tém natchnieniu nie jest sobie obecną, nie należy więcéj do siebie, ani jest świadkiem własnych swoich zrodzeń. Mistrz sam nie świadom oczynienia swojego, bo w tych jakby jasnowidzeniach one rajskie ogrody, one czarnoksięzkie pałace, wywołane magią fantazyi, są dla niego rzeczywistością, a rozum o tyle tylko ma mocy, iż w tych obrazach przebiera, wybiera, nie krępując atoli potęgi fantazyi twórczéj, rodzącéj. Dopiéro, gdy przeminą te chwile uroczyste, gdy wróci znów stan rozsądku i rozeznania siebie od czarodziejskich obrazów, wtedy dopiéro mistrz poznaje ów stan swój, wtedy dopiéro sądzić może o duchu, który go był oczynił i objął kochaniem niebiańskiém; lecz wtedy właśnie już zniknął ów stan oczynienia, uleciał duch, i rozpłynęły się marą senną one rajskie ogrody i czarnoksięzkie pałace. W improwizacyi we właściwém znaczeniu, fantazya jest pierwiastkiem podrzędnym, jest służebniczką trzeźwych władz duchowych. W natchnieniu prawdziwém, stan bezświadomy rozpoczyna grę duchową zrodzeń artystycznéj fantazyi, a trzeźwość, na poły tylko sobie przytomna, o tyle tylko jest czynną, ile właśnie potrzeba aby stanął wybór między postaciami, które fantazya zrodziła. Tutaj fantazya jest panią i mistrzynią, a władze trzeźwe, na poły obecne, są tylko jéj służebnice wielce podrzędne.

Już temu dawno, bardzo dawno, gdy żył król i królowa. Było to w owym porannym lat tysiącu, gdy purpurowy wschód ludzkich dziejów przyświecał zrodzeniu Grecyi, owéj młodéj prorokini zacności człowieka i kapłanki wszystkiego, co wzniosłe i piękne na ziemi. Wtedy to żył ów król i królowa, a trzy córy kwitły im wdziękiem i powabem na radość ich serca i szeroką przez kraj sławę. Dwie starsze siostry, choć były cudnego uroku, toć przecież ich uroda była ziemskim kwiatem, ztąd też ku ziemskim uciechom zwracały się ich

serca młode, i, miłości światowéj wcześnie zaślubione, opuściły ojcowski dom. Najmłodsza ze sióstr, Psyche, tchnęła niewidzianą nigdy jeszcze od ludzi pięknością; zdała się być córą jednego z olimpijskich bogów i jakby sierotą niebiańską opuszczoną na ziemi; postać jéj, to muzyka Boga pieśni, a ruchy jéj, to uwidomione, wcielone tony lutni jego. I przykrzyła sobie Psyche w królewskim grodzie; i pusto i głucho rozkładał się przed nią świat w koło; patrzała w obłoczne niebios budowania, w nich okiem tęskném upatrując ulubieńca dla siebie. Było to w owym porannym lat tysiącu, kiedy wiekuistość wyjawiała się jeszcze w postaci tutecznéj, odzianéj pięknością, gdy i serca samych niebian nieśmiertelnych czuły po ludzku, gdy nawet słabostki człowieka olimp wysoki z biedną ziemią podzielał. Nie dziw tedy, że lud ze wszech stron w koło spływał, młodą dziewicę za samą boginię miłości mając, oddawał jéj pokłon i cześć; ale téż i nie dziw, że te wonne dymy ofiarnych ołtarzów, że rzewne serc uwielbienia, wzbijając się pod bogów mieszkania, trwogą zawistną poruszyły Wenus, dotychczas samowładną panią miłości i wdzięków. Ona w lęku, by jéj Psyche nie odebrała rządów wszechmocnych na ziemi, daje rozkazanie synowi, by młodą dziewicę rozkochał nikczemném kochaniem ku najnędzniejszemu z ludzi. Lecz Amor ujrzał Psychę i własną strzałą swoją sam zranił siebie.

Tymczasem król ów i królowa, bolejąc iż Hymen nie ośmielił się jeszcze zbliżyć pochodni ziemskich płomieni do najulubieńszéj córy ich, pytają wyroczni o radę. Apollo, bóg pieśni a przyszłości wieszcz, wyrokiem zgrozy pełnym głosi, że Psyche na zawsze stracona dla ziemi, że na szczycie samotnym przepaścistéj skały ma ją ukochać małżonek o potwornéj, o straszliwéj, skrzydlatéj postaci, co wrogiem i ludziom i niebian wrogiem. Więc żałobnym orszakiem, pogrzebowym pochodem, z żalem serdecznym ludu, na rozpacz ojca i matki, pełna boleści i łez wyprowadzona jest Psyche na szczyt samotny przepaścistéj skały. Tam została sama jedna, sama jedna ze strachem i trwogą śmiertelną w sercu. Ale, jakby miłości lubym powiewem, wionął zefir tchem, objął dziewicę i uniósł do edeńskiéj doliny i złożył snem ukołysaną wśród woni kwiatów. Gdy Psyche otworzyła oczy, niby gwiazdy duszy swojéj, czarodziejski świat, ogród cudów objął ją do koła, i zadrgało serce lękiem i rozkoszą niebiańską, i pyta sama siebie, czyli to może jeszcze ułudne, polotne, senne obrazy, czyli istny jaw!

Niebo rozpięło błękity promienne jakby namiot nad łożem miłości natury całéj, a namiot złotem słoneczném i w barwy światliste szyty. U stóp dziewicy wyrastają róże o licu rumianém, a rumienią się, bo tęsknią za miłością, i płaczą rosy kropelką, bo dech porania zapomniał dziś o różach i ucałował usta dziewicy; w koło wonił drobnych kwiatków ród, co, chowając pod zioła główki swoje, rozpowiada z cicha sobie szczęście Psychy młodéj; a motyle, co to same niby kwiatki lotne i lotne miłostki, unoszą się z kwiatów na kwiaty

i każdemu z nich coś mówią i prawią; boć motylki to swaty i powierniki ich kochania. Wszędzie pełno muzyki; to śpiewaki skrzydlate kołyszą się na gałęziach, to znów rzekłbyś, że na obłokach gniazda swoje mają, że gdzieś wysoko na błękitach założyły orkiestry swoje i nucą śpiewki weselne, miłośne, boć one same tak miłością szczęśliwe; całując zaś stópki dziewicy ucieka potok, a ucieka śpiesznie, bo mu śpiesznie do strugi, co tam skryta pod ciemnym splotem krzewów oczekuje wybranka; nawet to drzewo pradziadowe, bezlistne, tak niby opuszczone i biedne tu w krainie szczęścia i cudów, nie jest samotném; powój kwitnący odział je w koło szatą zieloną, niby haftowaną suknią weselną, a to serce jego, od wielu lat martwe, tutaj zdoprawdy puka radością i kochaniem, bo tu rozkoszą i miłością oddycha świat cały.

A zadrgała Psyche rozkoszą, bo poznaje, że to nie ułudne polotne obrazy senne, że to istny jaw. I patrzy, a tam wśród grona drzew milczących wzniósł się pałac czarodziejski; nie jest on dziełem śmiertelnych rąk; wspaniały, przepychu pełen, a przecież odziany i lubością i wdziękiem; świetlisty on, strojny, hardy a przecież kształty jego tak urocze i harmonii pełne, jakby marmurowe akkordy. I słucha Psyche, a głosy niewidome witają ją jako panią tego miłości edenu; a służebnice nadświatnéj urody czekają skinienia młodéj dziewicy.

Lecz gdy zagasły wieczorne purpury, a powiewy ciche mroku westchnęły po ziołach i kwiatach, po strumieniach i skałach, a liście, kwiaty i gałęzie, kołysząc się zlekka, zasnęły już; gdy przebrzmiały światła i barwy, niby podanie z dawnych lat, a gwiazdy zwiły się w błyszczący wieniec weselne i jakby do ślubu ustroiły noc, Psyche sama jedna została w sypialnéj komnacie, oczyniona czarem magicznym swoich dziejów. Gdy duma i marzy, stanął przed nią ulubieniec niewidzialny, w nocnych cieniach ukryty. I liście i kwiaty, zioła i ptaszki zadygotały w sobie i na pół przebudzone podały sobie o przybyciu kochanka wieść. Gdy na wschodzie świtał brzask poranny, gdy pierwsza gwiazdka gasła, wśród uściśnienia miłości prosił rzewnie, błagał kochanek by Psyche nigdy, nigdy, nie chciała obaczyć jego postaci „bo“ rzekł „gdy raz obaczysz postać moją, już zginie szczęście nasze, a ja nigdy, nigdy nie zdołam już wrócić do ciebie“. A gdy zaświtał brzask poranny i gwiazdka zgasła, uleciał kochanek.

I płynęły dni i płynęły noce w rajskich ogrodach, a z każdym ciemnym mrokiem wracał niewidomy kochanek. Dnia pewnego, gdy na tę dolinę cudów a czarodziejskiéj ułudy spokój głęboki rozlewał rozkosz cichą, lubą, gdy Psyche spoczywała pod ciemnym sklepem krzewów wonnych, jakieś płacze i jęki, narzekania boleśne zadrgały echem w szczęścia edenie; znać, że to wołania z innego świata, ze świata rzeczywistości i cierpień, o którym wśród chwil błogich zapomniała Psyche. Były to siostry jéj starsze, które z onéj skały wro-

giéj, samotnéj, przepaścistéj wzywały płaczém Psyche. Więc za powrotem nocy, wśród pieszczot miłości a toni kochania, błaga rzewnie małżonka, by siostry jéj mogły być świadkami jéj szczęścia. Zezwolił niewidomy kochanek, ale znów powtarza, znowu prosi i błaga by nigdy nie zechciała obaczyć postaci jego. Zefiry uniosły siostry do państwa czarownego, i Psyche, oprowadzając je po ogrodach edeńskich, pokazywała im wszystkie rozkosze, wszystkie uroki, skarby i wdzięki nieskończone, któremi ją otoczył w koło jéj ulubieniec. Lecz siostry, zdjęte może czy ciekawością czyli zazdrościwém uczuciem, wznieciły w sercu Psychy niepewność i wątpienie, nalegając, by przecież obaczyła samego dawcę szczęścia swojego. A długo, długo opierała się Psyche, bo oddawała się z ufnością serdeczną kochaniu swojemu. Lecz razu pewnego, wśród nocy nieméj, głuchéj, miotana niepewnością wzdycha i płacze, i już nie zdoła dać rady sobie; chwyta więc lampę i puginał, a zcicha, niedosłyszana, jak powiew lekka, wstępuje do komnaty śpiącego ulubieńca. Lęk, radość i trwoga zatrzęsły dziewicą, bo widzi na łożu kochania i piękności boga, widzi na oczy śmiertelne Amora, w istnéj niebiańskiéj postaci; jéj kochankiem najcudniejszy z bogów olimpijskich! Lęk, radość zatrzęsły dziewicą, omdlały pod nią stopy, drżąca ręka wypuściła puginał, kropla oliwy z lampy spadła na ramię boga miłości. Amor się przebudza, wyrzuca jéj rzewnie, żałośnie nieufność i zdradę, i ucieka. Daremnie błaga Psyche i klęczy i płacze, daremnie zaklina; zniknął kochanek, uleciał do nieba, a z nim zniknęło szczęście rajskich edenów i czarodziejskich pałaców.

Czyliż mam jeszcze prawić o biedach, o rozpaczy Psychy, o mękach, które przecierpiała? Gdy skonała nadzieja powrotu kochanka, padła już na nią ciemna myśl samobójstwa, a Wenus, karząc za śmiałość pokochania jéj syna, wymyślna w sposoby udręczenia dziewicy, posyła ją nawet do smętnego państwa Prozerpiny.

I wiele katuszy serca przetrwała Psyche i wiele przebolała, aż w końcu darowana jéj była wina.

I zaniesiona do wysokiego olimpu zasiadła wraz z bogami do swojéj uczty weselnéj; a Jowisz, który skinieniem trzęsie posadami niebios a przecież wyrozumiały jest na słabości ludzkie, co tak pełen łaski, bo sam tak potężny, podał dziewicy czarę ambrozyi, a ona wypiła z niéj nieśmiertelność dla siebie; odtąd Psyche stała się wiekuistéj młodości boginią, odtąd Psyche jest duszą, a wyrosły jéj skrzydła motyle!

Kogo ukocha gość z Olimpu, niechaj nie żąda widzieć okiem cielesném ulubieńca swojego, a ślubem z nadświatném państwem złączony zasiądzie do uczty nieśmiertelnych, wypije z czary niebiańskiéj młodość wiekuistą, niekończącą się nigdy. Kochanek z nieba zesłany roztworzy mu oczy, by przewidział. Tak doczesności syn, mistrzem się stając, ujrzy myśl wiekuistą ukrytą we wszech jestestwach i zrodzi ją na jaw w widomej postaci piękności. A jak sam,

choć z ziemi wywodzi pochodzenie swoje, a przecież zaślubił się z niebios mieszkańcem, a tak i w dziele jego wiekuistość obejmie doczesność rzewną miłością (*).

(*) Przed samém wysłaniem rękopismu téj książki do druku, więc bardzo długo po skreśleniu powyższych ustępów o improwizacyi i improwizatorach, stanęła wśród miasta naszego *Deotyma*. Zjawienie się jéj tak dla nas było lube i urocze, jak gdyby wśród zimy mroźnéj, wśród jałowéj w koło natury, darowany ci był niespodzianie z miłéj ręki bukiet świeżych fijołków, lub innych wonnych, barwnych dzieci młodocianéj wiosny; a jak Deotyma zostawiła nam po sobie wspomnienia wdzięku pełne, tak téż serdecznie pragniemy aby i ona nawzajem uniosła z sobą miłą pamięć o swoim choć przelotnym pobycie w grodzisku naszém.

Byłoby iście o czém pisać, gdyby mi przyszło wypowiedzieć jakie się nam nasuwały myśli, patrząc na to zjawisko tak wdzięczne i świetne a zarazem tak nadzwyczajne pod względem Psychologii i Estetyki. Przecież już tyle o zadziwiającym talencie Deotymy napisano, iżby się może obeszło zupełnie bez mojego zdania; a nadto, kto wie czyli mi nie przyznasz, iż wyrzeczenie dziś ostatniego słowa w tym względzie byłoby może zbyt śmiałym, bo zbyt wczesnym sądem. Wiemy, że ogromne wstrząśnienia duszy, że zadane sercu rany, boleści pełne, bywają niestety najczęściéj ogniem czyśćcowym, w którym hartuje się geniuszu potęga, a lubo wszyscy z całéj duszy życzymy aby i bez tych cierpień duch poetycki Deotymy wzniósł się na szczyty najwyższe własnéj istoty swojéj, toć przecież trudno przewidzieć co jéj gotują losy jasne lub ciemne, czekające każdego człowieka, a ukryte na dnie przyszłości jego; więc tém mniéj wolno, ile mnie się zdaje, dziś wyrokować ostatecznie o talencie Deotymy. Bo chociaż myślę, iż kto ma uszy ku słuchaniu a oczy ku widzeniu, z trudnością tylko nie dosłyszy i nie dowidzi skrzydeł wieszczych Deotymy, toć przecież nikt dziś nie zdoła wywróżyć, czy to są skrzydła gołębicy śnieżnéj co z miłością pilnując strzechy domowéj dodaje jéj wdzięku, miłąc zacisze lube spokojnego żywota, czyli to są loty orlęcia, co kiedyś, na tatrzańskich turniach założywszy sobie stolicę, puści się wzdłuż po nad Wisły wstęgą i przejrzy się w zwierciadłach rzeki rodzinnéj; a może te skrzydła skrzydłami Cherubina, co zatęskni za niebem, wzbije się po nad obłoki i utonie w przepaściach gwiaździstych!

Przeto, wedle mnie, nikt o tém jeszcze w téj chwili stanowczego zdania dać nie może i dla tego, jak rzekłem, nie śmiałbym rozpisać się w téj mierze.

Ale skoro powyżéj dość obszernie rozwodziłem się o improwizacyach, więc mi już teraz nie podobno milczeniem pominąć Deotymy; a co więcéj już dla osobistego dogodzenia sobie radbym, choć pobieżnie, skreślić o niéj wyrazów kilka, bo tym sposobem niby wcielę w słowa i zatrzymam w piśmie te chwile przelotne a tak miłe, które nam upłynęły w czasie jéj bytności pomiędzy nami.

Słyszałem Deotymę, a przecież nie cofam żadnéj myśli, żadnego wyrażenia z ustępów powyżéj o improwizacyi powiedzianych! — Nie mógłbym atoli żadnym sposobem zgodzić się na zapatrywanie się tych, którzy w Deotymie jedynie widzą improwizatorkę w ściślejszém znaczeniu! Wedle mnie Deotyma nie jest taką improwizatorką, ale poetką, ale artystką prawdziwą, która téż i improwizować umie. Lecz w tém właśnie najogromniejsza różnica. Kto improwizatora nazywa poetą, a Deotymę improwizatorką, myli się w tém, iż w obu razach bierze formę za istotę, pozór za rzecz.

Wytłómaczę się bliżéj. Rzekłem, że Deotyma jest poetką prawdziwą która umie improwizować; z czego wypływa najprzód, że w jéj improwizacyach odzywać się będzie struna właściwa i konieczna wszystkim improwizacyom, a tém samém znajdzie się w nich pewna właściwość, która będzie wspólną i Deotymie i improwizatorom w ścisłém znaczeniu.

Lecz nawzajem, gdy duch Deotymy jest czémś więcéj niż zdolnostką do improwizacyi, gdy on jest zaiste duchem istnéj poezyi, wynika ztąd, że jéj improwizacye różnić się także będą od właściwéj improwizacyi, i że różnica ta koniecznie będzie dwoista. Bo jak znajdziesz w improwizatorach właściwych pewne wrzekome ze-

Im wyżéj stanie mistrz fantazyą, tém jaśniéj oczyma ducha obaczy tę myśl wiekuistą, tém doskonalszą będzie postać, która ją odzieje, tém przeto i treść dzieła będzie głębsza, tém forma jego

---

wnętrzne zalety, których nie spotkasz u Deotymy; tak na odwrót, gdy geniusz prawdziwéj poezyi przebywa w duszy téj młodéj dziewicy, więc téż w jéj poematach uczujesz tchnienie wyższych światów, które są zupełnie obce dla improwizatorów w ścisłém znaczeniu.

Słysząc Deotymę, poznasz, że ona iście improwizuje, choćbyś nawet o tém nie był wprzód uprzedzonym, choćbyś nawet nie był głębszym znawcą owéj tajemniczéj pracy ducha, która robi na dnie wnętrza naszego.

Przywiedźmy sobie przeto na pamięć cechę każdéj improwizacyi w znaczeniu ścisłém, a potém spytajmy czyli, i o ile, one się znajdują w improwizacyach Deotymy.

Jakoż najczęściéj znamieniem wszystkich prawie improwizacyj są myśli metafizyczne, ogólne rozumowe zasady, przedmioty wzięte z różnych dzielnic wiedzy ludzkiéj, allegorye, ton dydaktyczny, opisujący, i tym podobne cechy. Inaczéj téż być nie może, bo jedynie przedmiot z wiedzy wzięty, jedynie treść rozumowa może być na zawołanie umysłowi ludzkiemu.

Oprócz atoli znamion takowych, jest jeszcze inna cecha, którą z istoty rzeczy znajdziesz koniecznie w każdéj improwizacyi; jestto ta rozpłynność, rozwiewność postaci i obrazów, które w sobie są mgliste, które nie tężeją, że tak rzeknę, we formy plastyczne, o zarysach wydatnych, wyraźnych, ale ulatniają się niby lekkim chuchem, nie nabierając krwi i ciała; ztąd jakiś obłok zagadkowy, mistyczny otula niekiedy treść całą. Te cechy mają, jak już z powyższych ustępów moich widzieć można, dwojaką przyczynę: jakoż najprzód, gdy w improwizacyi ideał, w duszy poczęty, wprost, więc bez pośrednictwa kompozycyi, przechodzi w gotowy poemat, przeto nie ma, że tak się wyrażę, dość czasu, by się ukończył w sobie, by wziął na siebie postać plastyczną o konturach wydatnych, wyrazistych; a drugą znów przyczyną tego braku form ściśle oznaczonych jest właśnie ta, że sam ten ideał w improwizacyi najczęściéj nie jest, ściśle mówiąc, ideałem, bo jest najczęściéj myślą rozumową, a zatém, prawdą ogólną będąc, mniéj się nadaje do wcielenia w postać indywidualną, mającą własną osobną fizyognomię swoją.

Gdy takowe są mniéj więcéj znamiona wszystkich improwizacyj, więc trudno twierdzić, jakby się ich dopatrzyć nie można i w poematach Deotymy, które przecież także są improwizowane. Że jednak duch, żyjący w téj dziewicy młodéj, jest zaprawdę duchem wieszczym, więc świeci tak jasnym promieniem, że nawet i pod względem tych cech, które ma wspólne z improwizacyą w ścisłém znaczeniu, różni się od niéj właściwém sobie światłem i barwą. Zanim atoli bliżéj te różnice wytłómaczę, zważmy jakie to są te zalety któremi celują improwizatory właściwe nad Deotymą? Są to zalety którychbym pragnął nigdy nie widzieć w poematach Deotymy, o ile one będą improwizacyą. Jest to, słowem mówiąc, ukończenie zupełne pod względem zewnętrznéj formy. Jestem przekonany, iż Deotyma, widząc przed sobą napisane własne improwizacye, nie jedno poprawi w nich co do harmonii i wyrażenia, co do wiersza, więc co do formy zewnętrznéj. Tego wszystkiego nie uczyni improwizator właściwy, bo on nie zdolen już być wyższym od właściwéj improwizacyi; on całego siebie wlał już w tę formę zewnętrzną, bo on cały jest tylko formą zewnętrzną, mechanizmem; on przyszedł do téj techniki ogromną wprawą i wrodzonym talencikiem, ale te biedne zalety opłacił utratą wewnętrznego człowieka; on dał ziarno za łupinę! (*) Bo ta forma jest u właściwego improwizatora wszyst-

---

(*) Do jakiego stopnia ta łatwość zewnętrznéj formy dochodzi, widzieć możesz z tego, że się pojawiają po stolicach europejskich np. improwizatorowie włoscy, którzy z narzuconéj sobie osnowy zaimprowizują całą tragedyę w pięciu aktach; a zawiązanie i rozwiązanie, rozkład na akty, sceny, osoby, słowem organizm cały sztuki tak ułożony, że odpowiada najściślejszym prawidłom, a przecież taka tragedya nie jest poematem, nie jest dziełem piękności. Wszak kilka lat temu, jak improwizator niemiecki popisywał się w Krakowie! nie improwizował on wprawdzie dramatu, ale jedynie wiersze liryczne i opisowe; przecież za to miał,

piękniejsza, tém nakoniec połączenie treści i formy będzie ściślejsze i zupełniejsze, czyli tém doskonaléj głębszéj treści odpowiadać będzie głębsza forma.

---

kiém, bo obok niéj strona wewnętrzna, duchowa jest pusta i głucha; więc stać go jedynie na obrazy dawno opatrzone, przenośne, porównania zużyte, zblakowane; po nie to sięga improwizator do pamięci jakby do składu różnobarwnych zapasów, nagromadzonych na wszelki przypadek. Inaczéj u Deotymy! Słysząc ją, trudno wstrzymać podziwienie swoje; taka urocza świeżość tchnie z tych jéj improwizacyj, zwroty tak uderzające bo niespodziewane, obrazy świecące kolorytem tak pełnym przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach! Wszak nawet wyrazy pojedyncze, użycie języka, władanie mową, wyraźnie świadczy, że tu tchnienie idzie z góry, że tutaj duch poezyi ocienił duszę improwizatorki naszéj.

Mówiłem powyżéj, że poemata jéj są improwizacyą, że zatém będą miały i cechy, które są wspólne téż improwizatorom właściwym, np. dydaktyczność, treść z wiedzy wziętą, myśli rozumowe, a nawet jakąś rozwiewność, mistyczność obłoczną; jakoż lekki ślad tych znamion spotkasz i w improwizacyach Deotymy; ale zważ, że ta barwa dydaktyczna, że ten przedmiot, z nauk wzięty, pod jéj natchnieniem przybiera urocze, nadzwyczajne kształty; ta treść umiejętna często ci się pokazuje ze strony zupełnie nowéj, uderzającéj, rzekłbyś, że te przedmioty, owiane poezyą Deotymy, zabrzmiały dźwiękiem, którego nigdy jeszcze z siebie nie wypowiedziały; a myśli jéj to nie abstrakcye ogadane, tysiąc razy powtarzane; te myśli jéj wypadają często niby błyskawicą z tajników duchowych i są nieraz tak głębokiego znaczenia, żeby nam dziwno było, zkąd ta mądrość przyszła téj młodéj dziewicy, gdyby nie przekonanie, że to właśnie ów zachwyt, prawdziwie poetycki, zastępuje działanie wytrawionego rozumu, i zdoła oświecić przedmioty nowém, niezwykłém światłem.

Prawda, że obłoczna mistyczność otacza niekiedy treść poematów Deotymy, zasłaniając jasność i dobitność obrazów; prawda, że te postaci u niéj nie stają posągiem rzeźbionym, w którym i ogół i szczegóły wszystkie występują z całą potęgą swojéj indywidualności. To prawda! Aleć to być inaczéj nie może przy improwizacyi; a nadto uważ, że u niéj ta mistyczność niepewna, to nie chmurna mgła, włócząca się po wandołach i dolinach, ale są to obłoczki lekkie, ulotne, zbierające się na błękicie nieba, przepromienione światłością, umalowane w barwy tęczowe, one niby składają postać, już poznajesz wyraźnie jéj zarysy, kontury; ale w tém dmuchnie jakby powiew poranny a obłoczki już są rozwiane, aby niezadługo znowu związać się z sobą i inne złożyć postaci, które się znów rozpłyną.

Co rzekłem aż nadto do mojego celu wystarczy, bo może się już ze mną zgodzisz, że Deotyma nie jest bynajmniéj improwizatorką w ścisłém znaczeniu, ale, jak rzekłem, prawdziwą poetką, która improwizować umie! Powiesz może, że nie jesteś wolny od obawy, iż częste improwizowanie, które jest, jak mnie się zdaje, mniéj właściwą formą dla talentu Deotymy, mogłoby szkodliwie wpłynąć na ducha poezyi, który w niéj żyje, że właśnie zawsze tak bywa, iż nawyknienie każdego staje się potém własną naszą naturą, że forma *zewnętrzna* zamienia się na *wewnętrzną istotę* człowieka, że tedy nawyknienie do improwizowania może sprawić, iż Deotyma, poetka-artystka tak świetnych, promienistych talentów, zamieni się na improwizatorkę w ścisłém znaczeniu, że tedy formę, to jest wierszowania łatwość, opłaci utratą swojéj głębi duchowéj i polotu talentu swojego. Wyznaję, że niebezpieczeństwo jest wielkie, i może ono właśnie stanowi jednę z trudności, dla których dziś nie łatwo wyrzec ostateczne słowo o przyszłości Deotymy; ale ja mam nadzieję,

---

krom zadanéj sobie osnowy, jeszcze podyktowany szereg rzeczowników, które dano mu wpleść w ten wrzekomy poemat: a nadto należało mu walczyć z trudną miarą wiersza niemieckiego, którą mu również narzucono, i wywiązał się wielce gładko z całego zadania; bo jedynym grzechem w jego improwizacyi było, iż zlekka przewinił przeciw metryce, używając np. niekiedy, bez ściśléj potrzeby, trocheów zamiast spondeów i na odwrót. Wszelako najczęściéj sami ci improwizatorowie sztukę swoją za lekki żart, a nie za poezyę uważają.

Widzisz przeto, iż się zbudują stopnie różnéj potęgi fantazyi, jakby Jakóbowe wschody, po których wstępują aniołowie do nieba. Jeden, jeden tylko wśród wszystkich szczebli może być najwyższym; ten już przy samym progu nieba piękności, ten sam jeden jest całą fantazyą. Przeto też wszystkie poniższe, lubo tak różne między sobą, stanowią przecież tylko jeden rodzaj fantazyi, bo mają to wspólnego, iż żaden z nich nie jest całą pełną fantazyą; one wszystkie różnią się między sobą jedynie co do stopnia swojéj potęgi, różnią się więc tylko liczebnie; ów zaś szczebel najwyższy nie tylko się różni od nich liczebnie, lecz właśnie dla tego, iż on sam jeden jest najwyższym stopniem, jest właśnie sam jeden tylko całkowitą, zupełną fantazyą; różni się przeto od innych wszystkich rodzajem. Na onych wszystkich poniższych szczeblach stają i wyższe i niższe talenta, na owym zaś stopniu najwyższym staje geniusz; on się różni rodzajem od wszystkich talentów. Wszak ta sama prawda iści się wszędzie, kędy tylko zachodzą stopnie. Człowieka organizm, właśnie dla tego że jest najdoskonalszym ze wszystkich organizmów, różni się od nich nie tylko stopniem, wyższością potęgi, ale też różni się od nich światem całym, różni się jeszcze rodzajem (jakością), i dla tego sam tylko jeden jest on przybytkiem ducha, jestestwa obdarzonego rozumem, myślą, nieśmiertelném trwaniem. Jeżeli inne organizmy są tylko wyrażeniem jednéj z myśli natury, człowiek sam myśli, sam siebie wyraża. Geniusz nie jest tedy bynajmniéj jedynie talentem spotęgowanym, on jest samą istotą od nich różny; światy całe rozdzielają geniusz od talentu; geniusz sam jeden jest całą, zupełną, nie ułomkową fantazyą. Każdemu, choćby najwyższemu talentowi, brakuje czegoś do całkowitości fantazyi. Geniusz sam jeden zdoła stworzyć dzieło, w którém najgłębsza treść wyjawi się w najdoskonalszéj formie, w którém tedy i treść i forma będą zlane najściślejszą jednością. Talent, dla niezupełności swojéj, okazać się może wprawdzie w piękności formie, ale téj formie nie dostaje głębokiéj treści; ztąd też i ta piękność sama wyrównywać będzie jedynie pozornie formom stworzonym przez geniusz, ale braknąć jéj będzie onego najściślejszego połączenia treści a formy. Najczęściéj talent odznacza się mistrzowską technicznością, pożyczając od geniuszu treści. Niekiedy nawet talent wyższy strzeli genialnością prawdziwą, ale te chwile jasne będą dla niego jedynie szczęśliwym wyjątkiem, zdarzeniem...

że ją od złego uchowa instynkt, właściwy prawie każdemu talentowi prawdziwemu, instynkt który uczy co jest szkodliwe a co idzie na zdrowie i moc duchowi, a te nadzieje nasze wiążą się pewnie z najgłębszém życzeniem wszystkich, których z serca obchodzi literatura polska.

(Dla śledzących za rozwojem piśmiennictwa krajowego, nie potrzebujemy zapewne przytoczyć tutaj szczegółowych dowodów na to, że nadzieje i życzenia znakomitego estetyka, wypowiedziane co do Deotymy w powyższym ustępie, ziściły się w zupełności. — St.)

Talenta są prawie zawsze czeladzią geniuszu, obrabiając, rozwijając, upowszechniając ideę przez geniusz zrodzoną.

W talencie żyje wprawdzie fantazya potężna, ale ona bywa jedynie czynną o ile jéj talent użyć zechce, o ile ją do twórczości potrąci. Geniusz jest czynnym nie tak dla tego, iż chce tworzyć, jako raczéj dla tego, iż nie może nie być czynnym; jest twórczym, bo nim być musi; ta potęga niebiańska, złożona w nim zawiązkiem, wyrasta w olbrzyma i zniewala do stwarzania; ta potęga, ta myśl wiekuista stała się jego naturą, zamieszkała w jego osobie. Ztąd też talent sam siebie odróżnia od potęgi twórczéj przebywającéj w nim, wie o niéj jako o pierwiastku, który nie jest całą jego istotą; odwrotnie w geniuszu potęga twórcza staje się jego osobistą, indywidualną naturą; bo ta moc ogarnęła w nim całego człowieka; ona jest potęgą, która nim włada, ona silniejsza od niego, on się jéj oprzéć nie zdoła; człowiek posiada talent, a geniusz posiada człowieka.

Właśnie dla tego, iż w geniuszu zarazem przebywa potęga bezwzględna, nieskończona prawda, i że z drugiéj strony ta potęga i prawda staje się własną jego indywidualnością, jego, że tak rzekę „interesem“ prywatnym, osobistym, wynika ztąd sprzeczność pozorna, którą rozwiązuje geniusz. Albowiem dla téj prawdy nieskończonéj, dla téj idei wiekuistéj, która w nim pracuje, dzieło jego uderzy w serca wszystkie jakby gromem; każdy w tém dziele pozna ową prawdę, która przemieszkuje w nim samym, w najświętszych, najgłębszych tajniach własnego jego ducha; dzieło to zda mu się przemawiać, jakby prorok starych lat tysiąców, słowami wiekuistemi, prawdami dawnemi jak świat. Lecz nawzajem, gdy ta idea wiekuista, te prawdy nieskończone, stały się tutaj osobistą naturą mistrza, gdy występują tedy w barwie indywidualności jego, więc tém samém znowu okażą oryginalność. Każdy geniusz jest oryginalnym; on mocą owéj idei przeziera wskroś świat, ale go widzi po swojemu, widzi go z téj strony z jakiéj go nikt jeszcze nie obaczył, ani go już nigdy więcéj nie obaczy, bo każda indywidualność ludzka jest tylko jedną, jest jedyną, nie powtarzającą się nigdy. Te prawdy ogólne, dawne jak świat, wyjawiają się przeto jakby nowe, jak gdyby dopiéro wczoraj na ziemię zesłane.

Są epoki w dziejach ziemskich, co martwe, głuche i ckliwe, a ludzie nużą się i biedzą i przędą tę nić zostawioną im puścizną z dawnych lat. Zdaje się, jakby upiór przechodził straszydłem przez miasta, przez kraje; nikt go nie widzi, ale wszyscy czują jego zimny, lodowy dech grobowy; a pada mór na dusze w koło, a kogo dotknie mór, staje się sam własnym upiorem siebie, i ckliwością własną drugich zabija. Wtedy jakby z ciepłéj dłoni Opatrzności wypuszczona gwiazda spada na ziemskie poniża, przybiera postać ludzką, i rodzi się geniusz, co albo dźwiga się we figurę historyczną, albo skinieniem ręki wskazuje niepostrzeżone jeszcze przez ludzi skarby wiedzy, albo odświeży wsze serca odrodzoną piękności postacią. Gdy

swojego dokona geniusz, ulatuje w górę, a świat żyje długo jego dziedzictwem; niekiedy stulecia przeminą, zanim ludzie zdołają objąć okiem jego ogromną postać, rysującą się na horyzoncie dziejowym przeszłości.

Przecież geniusz, choć z gwiazdy a z Bożéj siejby zrodzon, rozpoczyna żywot swój na ziemi, więc wśród ziemskiéj niedoli, łamania się i mąk; on nie obejdzie się bez ciężkiéj pracy a nauki, będzie się mocował ze sztuką i z sobą. Zanim doczeka się pociechy z siebie, zanim sam sobie wyrośnie na radość i chwałę, uczuje rozpacz i boleść, widząc, że dzieło rąk jego nie wyrównywa téj potędze, która w nim prze i robi. A wiele przebędzie znoju, zanim to dzieło jego stanie przed nim w przeczystym spokojnym majestacie, wolne od śladów doczesnych trudów i przebytych cierpień, zanim to dzieło rozpromieni się tryumfem swojego wyswobodzenia z doczesności.

Bo widzisz, jabym porównał dzieło mistrza do żywota naszego. Każdy z nas ma zadane sobie arcydzieło; tém arcydziełem jest on sam, jest niém własne życie jego, a ideałem tego dzieła, który mu świeci w duszy, jest zakon Boży, wiekuista miłości ustawa. A jak z bryły bezkształtnego marmuru znojem duchowym wydobywa mistrz posąg, którego postać promieni się w duszy, tak i każdy z nas zdobywa śród trudów na własnych nizkich ochotach, na doczesnéj swojéj naturze, wiekuistą istotę swoją; jest to praca około posągu. Ja wierzę, iż te treści i cierpienia życia, te późnéj starości niemoce, te męki i boleści ostatniéj śmiertelnéj choroby, te prace skonania, te wszystkie nawiedzenia Boże, mają iście ten cel, aby biednemu człowiekowi lżéj przyszło odstać od doczesnego świata i zwrócić myśl do ojcowizny nieskończonéj, żeby mu było przecież nie tak żal tych ziemskich dolin. Te gorycze życia, te palące udręczenia są uwolnieniem duszy od tutecznych zuzelic, aby kiedyś stanął na drugiéj stronie grobu w spokojnym majestacie, wolen od śladów doczesnych trudów a przebytych cierpień, w promiennym tryumfie wyswobodzenia swojego z doczesności, tak jak posąg staje w promiennéj swojéj piękności.

Talent i geniusz! Wszak to tylko dwa, różne całkiem od siebie rodzaje fantazyi! Wypadałoby mi teraz mówić o innych rodzajach, różnych już pod innym względem a dotkniętych przezemnie w innem miejscu (*). Lekkie o nich, przelotne potrącenie wystarczy. Jakoż inna będzie fantazya, kwitnąca w architekturze a inna w malarstwie; innéj fantazyi wymaga rzeźba, innéj muzyka a innéj poezya. Lecz każdy z tych rodzajów znów składa się z grupp przerozmaitych; chciéjno sobie przypomnieć różne style architektury, i znowu różne przeznaczenia dźwignionych budynków, albo różne rodzaje poezyi, muzyki i t. d. — I znów wszystkie te rodzaje różnie się cieniują,

(*) Zob. Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha. § 469 do 473.

wedle tego, czy fantazya będzie wzniosła, czy wdzięczna, czyli pełna prostoty, czy komiczna, czyli tragiczna i t. d. i t. d., — a te tak różne barwy fantazyi przeróżnie się znów z sobą jednoczą i zlewają.

Widzisz, że ta osnowa jest tak bogatą, iżby rozsadziła miarę listów naszych, więc przepuścisz mi, że się nie będę nad nią rozwodził, a to tém mniéj, iż ona należałaby raczéj do rozprawy o różnych rodzajach sztuki pięknéj w szczególności. Jest atoli jeszcze jeden podział fantazyi, godzien zaiste całego naszego zajęcia, — jest to fantazya ludów, roztaczająca się w dziejach naszego rodu. Każdy lud historyczny ma od Boga powierzone sobie słowo, którego jest wcieleniem; to słowo jest jego duszą; on, podobnie jak człowiek pojedynczy, ma powołanie żeby je ze siebie wyrobił, aby urzeczywistnił to słowo w dziejach. To słowo przebywa we wszystkim żywocie ludu, w całéj historyi jego, we wszystkim objawie jego; ma swój zaś kwiat a woń najwyższą w jego sztuce pięknéj, w jego fantazyi. Ztąd, wedle różnego piętna duszy każdego ludu, inna a inna będzie fantazya jego. Pobieżny przegląd tych dziejów fantazyi, uważanych na tle historyi, będzie osnową następnych listów naszych.

CZĘŚĆ DRUGA.

DZIEJE ARTYSTYCZNÉJ FANTAZYI.

List Trzynasty.

Historya Powszechna i Historya Fantazyi.

Wstęp. — Opatrzność i dzieje ludzkie. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historyi. — Ludzie historyczni. — Historya fantazyi i rozwój dziejów ludzkich. — Fantazya każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznéj. — Szczyt historyi i panowanie fantazyi u każdego ludu. — Różność ludów pod tym względem. — Stosunek natury materyalnéj do fantazyi ludów. — Wypływające ztąd różne epoki w historyi fantazyi. — O zadaniu listów następnych.

Ten stary świat nasz toć to jest siwy pradziadowy dom, który nam ojciec nasz niebiański zbudował i puścizną rodowi człowieczemu przekazał; a dumnie stoją te stare węgły jego i po dawnemu jeszcze sklepią się gwiaździstego nieba stropy. Świeci się butnie i wesoło ten stary gród, choć nie jedne miotały nim wichry szalone, choć w różne czasy buchnął płomień z pod ziemi i jasno rozgorzał żarem, choć, jak nam bają dawne lata, te sadzawki jego niegdyś wzdęły się buntem, a przełamując groble swoje rozwlekły po dziedzińcu i sadach domu jakieś skrzele żabie, skorupy ślimacze i kości rozlicznego gadu. Stoi to budowanie Boże na przekór lat tysiącom; niekiedy tylko jeszcze z najgłębszych sklepów i przepaścistych piwnic coś straszy, puka, kołacze, zatrzęsie ogniem, jakby racą strzeli i czarnym kopciem zadymi. Dziwne się tu rzeczy działy; byłoby długo o czém pisać i prawić; lecz już najdziwniejsze są kroniki mieszkańców dworu tego. Tu, jakby syny domu, zrodziły się narody i ludy, z kolei dzie-

dzice ojcowskiéj puścizny. Jedne z nich pomarły niemowlętami w kolebce: urodziły się, zapłakały, i z klekotką w ręku a z papką w ustach zasnęły na wieki. Inne urosły w pacholęta; więc ich podrzuca junackie zuchwalstwo, dzika ochoto ledwie co serca im nie rozsadzi; więc z szabelką a biczykiem huczą, szumią i swawolą po ojcowskim dworcu, a o bawidełka zazdrośni krwawią się bójką sierdzistą. Lecz też złym dzieciom zguba się znaczy; jakoż, gdzieś nadkręciwszy karku, przepadli bez śladu. A był i taki lud, co rozkwitł w czułego młodzieńca; marzył, kochał tęsknił, lepił postać drogą swéj miłości; a gdy mu uczucie serce rozebrało, to w szarą dobę coś zaśpiewał, na lutni zabrząkał, aż też w końcu za ostatnią gwiazdą myślami pogonił, i na tych gwiazdach ducha zostawił, i nie wrócił więcéj do ojcowskiego dworca. Tymczasem inne mężniały w siłę i potęgę ludy-robotniki; każdy z nich, walcząc z gorzkim życia trudem, pracował od świtu do zmroku, pracował i chorował, aż mu krwawym potem opłynęło czoło; a gdy bez wytchu dokonał już zadanéj mu z góry roboty, znużony legł i umarł. Na potomków w historyi spadały jego dostatki a cierpki dobytek.

Ród dzisiejszy, spanoszony robocizną swych zmarłych braci i własnym zabiegiem, jakoś wymądrzał, zrozsądniał i tak sobie też rad na tém dziedzictwie swojém, tak się rozsiadł szeroko a dogodnie w tych jasnych świetlicach, tak mu w nich wszystko na rękę, domaszno i błogo, iż zacierając ręce, sam do siebie się uśmiecha i czuje, iż na téj ojcowiznie swojéj jest jakby królem sobie a panem. Zlustrował wszystkie tajniki i ciemne kąty dziedzictwa swojego, zna na palcach dom swój; wié co ma, wié nawet czego mu już zabrakło; bo od czasu do czasu niespodzianie wywlecze mu się na podwórzec z pod staréj obory jakaś kość ogromna, resztki straconego statku, i zmięsza mu porządek systemu jego, przypominając, że nie zawsze tak jak dziś w tym domu bywało; dziś w tym domu jasno i widno. Kędy niegdyś omackiem chodził, tam już teraz powykuwywał okna i wpuścił promień dzienny jasny rozumu, albo przynajmniéj postawił od biedy, niby świeczkę, formułkę abstrakcyjną; więc też już wszędzie śmiało sobie i we dnie i w nocy chodzi, niczego się nie lękając. Upiory, czarownice, strachy i inną czeladź piekielną powściągnął zaklęciem filozofii; a gdzie niegdyś ta hołota broiła, tam on dziś wyprawia bale i tańce. Sam djabeł nawet, ów stary faktor domowy, nie pokazuje się już na dniu białym; lecz przebrany po księżycu się włóczy, niby lunatyk lub poeta jaki.

Choć atoli ten nasz ród, dziś tak rześko się krzątając około spraw natury, wyświeca ukryte materyalnego świata tajemnice, trudna mu przecież jeszcze rada z państwem duchowém. Lubo on tak oświecony i mądry, lubo wyższy nad wszystkie zabobony, a jednak gdy mu przyjdzie puścić się owym długim a głuchym korytarzem historyi, kędy to stulecia zapadłe porozwieszały stare obrazy umarłych państw i narodów, toć mu coś groźnie a dziwnie na serce pada. Zda

mu się, iż stare spłowiałe twarze drgają nowém życiem, że nań mrugają, przemawiają tysiącem dziwnych języków, a występując z ram swoich ciągną za nim, pokazując boleści żywota swojego, i serca zakrwawione blizny. Daremnie pragnie wyrzucić z myśli te mary i widziadła, lub jak trwożliwe chłopię zanucić lekką piosenkę na odpędzenie zgrozy; strach go dławi, a piosenka w gardle zamiera; więc, głęboko westchnąwszy za dusze umarłych w Bogu braci, śpiewa godzinki nabożne. A niekiedy się też zabierze do dawnych kurzem strawionych szpargałów, podartych szmat pargaminowych, okruchów grobowców zwietrzałych, złamanych pieniążków; w nich chce wypatrzyć dzieje tych zapomnianych gospodarzy ziemi naszéj. Przecież te pamiątki wszystkie będą nazawsze rupieciami bez wagi i wartości, jeżeli w robocie téj nie przyświeci mu światło z wnętrza ducha własnego, jeżeli wprzód w sobie samym nie rozgoreje poznaniem siebie. Bo zważ, miły przyjacielu mój, gdy człek wprzód sam siebie przejrzy, gdy sam z sobą będzie w zgodzie a pokoju, i we własnych ducha przybytkach obędzie się jakby w domu swoim, gdy objaśni ten świecznik Boży, co w duszy jego od wieków płonie; już też rozwidni się i historya cała i te dzieje człowiecze, które się dźwigły ogromną budową w upływie lat tysiąców. Wtedy też zrozumie mowę stuleciów, które oddawna utopione w wieczności łonie; w sobie samym znajdzie rozwiązanie zagadek dziejów świata. Ta przeszłość dawno pogrzebana, te kości starych lat tysiąców, rozsypane po kruchtach historyi, ożyją, gdy je zaklnie imieniem i słowami wiekuistéj swéj potęgi; złączą się z sobą, nabiorą ciała, przemówią o sobie i o drogach, któremi je Bóg przez wieczność prowadził. Bo to światło wewnętrzne, to oko duchowe, co nigdy się w nas nie mruży, co wiecznie patrzy i wiecznie czuwa, Bożym namiestnikiem jest. A jak natura wszystka i te cuda stworzenia są Opatrzności robotą, tak i wątek dziejów świata jest sprawą Bożą. Czyliż tedy nie jasno i nie pewno, że bylebyś zrozumiał pierwiastek Boży, co żyje w duchu twym, toć zrozumiesz bez trudu i naturę i tajemnice historyi; bo i duch nasz, jak i wszystko co istność ma, przez Boga jest i jest wedle niego.

Patrz, łupina żołędzi obtula sobą massę nierozdzierzgnioną, miazgę bezkształtną; w téj ślepéj, niesfornéj materyi niczego się dopatrzyć nie zdołasz, a przecież, gdy ta żołądź w łono ziemi wpadnie, już jakby stworzenia cudem łupina pęka, a z onéj ślepéj miazgi rozwija się kieł, wyrasta łodygą, dębem, co, twardniejąc hartem kory, zuchwale wytęża konary, rozpina gałęzie i przyodziewa się wspaniałą szatą liści jakby płaszczem majestatu swojego; a tak w milczeniu spogląda na bieżące górą niebiosa i przemijające nad nim wieki. Wszak dąb ten, z całą potęgą swych konarów i gałęzi, z całém bogactwem swych żołędzi i liści, zwinięty był w téj głuchéj rdzeni łupiny i spoczywał w niéj dopiéro jako myśl, jako dusza całéj przyszłéj postaci jego; ale ta myśl stworzenia, ta dusza przybrała na

się postać, stała się widomą, wstąpiła w dąb, a co było myślą stało się ciałem. Albo, widzisz jak na téj karcie białéj czernią się w kropki i kreski nieme nuty muzyczne; one milczą, są bez życia, martwe i ciche; w nich, jakby w znakach magicznych, drzémie zaczarowany duch wielkiego kompozytora. Lecz gdy na nie tchnie geniusz muzyki, już téż te nieme nut głowy, te kropki i kreski nagle się poruszą, zmartwychwstaną i przybiorą skrzydła, zerwą się niby ptaków Bożych stada, wzniosą się i z wysokości niebiańskich zanucą, zakwilą, zapłaczą harmonią; drżącą pieśnią wnijdą w świątnicę serca twego i tam o mistrzu swoim, o twórcy świadczyć będą, a ujrzysz w duszy twéj tę jego postać z harmonij złożoną, a przejrzaną wiekuistości światłem.

Tak, przyjacielu drogi mój, jak w onéj głuchéj miazdze żołędzi, stulona jest pierwotna myśl twórcza i wszystka postać dębu z całą jego przyszłością tak strojną, bogatą, potężną; jak w tych nutach zwinięte spoczywa uczucie i duch mistrza,—tak na dnie historyi świata żyje myśl rozumna, duch Boży. Narody, państwa, wieki, to są owe ogromne konary na wiekuistém drzewie ludzkich dziejów, co rosną, krzewią się w potęgę wedle myśli Bożéj, zamkniętéj w pierwiastkowym ich zarodzie; to są te dźwięki i tony, którym nuty skreślił Bóg, ów wielki mistrz a kompozytor odwiecznéj harmonii. Owo drzewo historyi wedle jego woli się dźwiga; owa pieśń dziejów, grzmiąca przez wieki piorunnym akkordem, wedle jego zakonu się toczy.

Tak jest, Bóg, wzniesiony ponad światy na majestatu swojego tronie, przenika myślą, przepromienia wolą wsze jestestwa przez siebie stworzone; myśl jego jest gwiazd oddechem i wieczności sercem, wola jego przędzie wątek wszystkich wieków. Więc wierzmy, że Opatrzność, więc wiedzmy, że mądrość Boża rządzi światem.

Są tacy, co rozwodzą się sentymentalnie, prawiąc o natury cudach, o skrzętnéj robocie bezmyślnéj mrówki, o instynkcie pszczółki, o krążeniu gwiazd, i wszędzie widzą rozum opatrzny, a nie widzą go w trudach ludzkiego rodu, w kroczeniu wielkich wydarzeń przez świat. Czyż ich może strachy biorą, gdy im przyjdzie wpatrzyć się w tajemnicze sprężyny onego wielkiego zegaru, co stuleciom i wielkim wypadkom w historyi, co ludom i państwom, rodzenia i skonania wybija godziny?

W historyi świata, w dziejach milionów istot rozumnych, wiekuista mądrość Boża zacniejsze ma świadectwo siebie, niż w grze rzeczy przyrodzonych, wirujących zawsze a zawsze tym samym kołowrotem. W tych dziejach świata zdarzenia nie wracają nigdy, nie rodzą się nigdy do siebie podobne. Ów nawrót, owo wieczne do siebie podobieństwo iści się jedynie w dzielnicy natury; lubo i w téj naturze bezdusznéj były i są ogromne epoki, lubo i tutaj czas nie zatrzymał się w swym pochodzie, a natura się rozwija i rośnie choć niepostrzeżenie.

Patrz, pomniki historyczne, księgi pisane, wypadki światogłośne,

na granitach rzeźbione, sięgają w stare bardzo czasy, w one tysiączne lata, które przepłynęły dawno; a z dalszéj dali jeszcze, jakby echa, dochodzą nas wieści, mity i stare podania ludów dawno pogrzebionych. Mamy się tedy na czém uczyć téj ludzkiéj historyi, a przecież każda karta tych dziejów jest jakby usprawiedliwieniem opatrzności Bożéj.

Puść się myślą wstecz; niechaj historya, ta przeszłości prorokini, roztworzy usta swoje, niechaj nam prawi o dziejach Europy od czasów chrześciańskich, o starym Rzymie, co przeszło lat tysiąc gospodarzył na téj ziemi, o tych Grekach mądrych o oku jasném, a głębokim rozumie, a tak wdzięcznéj artystycznéj fantazyi. Niechaj nam prawi o Palestynie świętéj; niechaj nam rozpowiada o tych ludach Wschodu starego, o zamyślonym Egipcie, który przez życie całe mocuje się, by uczcić wieczność grobami, o tych mrowiskach ludzkich, co nad Eufratem, nad Tygrysem zbudowały miasta olbrzymie jako gniazda olbrzymiéj potęgi; niechaj nam historya roztacza te marzenia nadgangesowych światów, lub roboty prozaicznych Chin, kędy już chronologia straciła miarę i znaczenie swoje, a zaprawdę, poruszą do dna duszę te boleści tylu stuleciów, te twarde trudy a prace ludzkiego rodu; wtedy staną zaiste przed tobą te ludy, te robotniki przeszłości z twarzą, gdzie cały wielowiekowy ich żywot wycisnął cierpienia a męki bez końca. W tych historyach postrzeżesz epoki, w których duch dziejów jakby rozpaczał o sobie, przyciśniony ciemną nocą zwątpienia i mozołem bez końca. Przecież pociecha, jakby rosa niebiańska, ochłodzi ci serdeczne żałości, gdy rozważysz, że po takich smętnych nocach znów zaświeciła jutrzenka nad światem i znów zabrzmiały pieśni radości duchowéj, jakby kwiaty i pieśni ptasie, gdy, po burzy i słocie, powódź słonecznych światłości zaleje świat. Wtedy te postaci ludów zmarłych, dopiéro tak żałosne i bolesne, zamienią się na chóry aniołów Bożych z palmą w ręku, z uśmiechem niebiańskiego pokoju, a na skroniach z gwiazdzistą koroną; bo historya jest całopaleniem. Gdy pokolenie, gdy lud, gdy stulecie umiera, duch ich jakby hostya wznosi się na ofiarę ku niebu.

Dreszczem atoli przenika nas pytanie, zkąd my idziemy, dokąd śpieszy w dziejach swoich ten ludzki ród nasz? — Na to pytanie zaiste nie trudno odpowiedzieć: dzieje ludzkie, praca tylu wieków, mocowanie się, skropione znojem tylu milionów, to zaiste nie drwiny, ani igraszka bezmyślna; dzieje ludzkie ku temu się miały i mają, by człowiek wynosił w sobie a wypiastował w duszy owo ziarno wiekuiste, które mu Bóg udzielił posagiem, by się stał coraz zacniejszym, wyższym w sobie i godniejszym onego wiekuistego Bożego tchu, który nań wionął przy stworzeniu pierwszego człowieka. Ale zapytasz gdzie są granice téj pielgrzymki ludzkiéj przez świat? — To w wiekuistości głębiach ukryta tajemnica!

Zamiast zapuszczać się w mroczne a niepewne badania, zasłonione przed naszém okiem duchowém, zapytajmy raczéj, jakim try-

bem iści się Boża myśl w dziejach ludzkich? Uważ, przyjacielu, ta myśl jest nadgwiazdną, a ma wstąpić w państwo przestrzeni i czasu, ma wziąść na się ciało i krew! Więc, między tą myślą opatrzną a ziszczeniem się jéj w świecie rzeczywistości, stają, jako ogniwa pośredniczące, państwa, ludy i wielkie epoki dziejowe.

Uważmy atoli, że nie wszystkie ludy jeszcze były powołane, by się stały robotnikami w téj winnicy Pańskiéj. Rozwiń przed sobą kartę ziemskiéj kulicy, patrz w one głębie tęskne, przepaściste Afryki, Ameryki, w te obszary Azyi szerokie jak wieczność, w te gromady oceańskich wysp; jak tu ciemno, głucho, krwawo, samotno! tu ród ludzki złożony snem jest ciężkim, nocne zmory przywaliły mu piersi, nie oddycha duszą pełną, ani się zna być człowiekiem. Ależ i do tych biednych braci naszych a sierot dziejowych zajdzie kiedyś głos ducha, „bo duch gdzie chce tchnie, a nie wiesz, zkąd on przychodzi, albo dokąd idzie“ (Ś-ty Jan, III. 8.). Tymczasem te ludy i państwa, te stulecia, które już stanęły do pracy w tych dziejach świata, rozebrały między siebie robotę około uczłowieczenia człowieka. W każdym ludzie, w każdym wieku jest myśl, która jest jego sercem i duszą, która go prze nieświadomie do działania, do pracy, a prze tęsknotą nieskończoną, by wykonał w świecie powołanie swoje, by trudem a mozołem wyrobił w sobie i z siebie pierwiastek mu powierzony. A tak idzie praca od ludu do ludu, od wieku do wieku, przez świat i ludzkość całą, przez lat tysiące. Żaden z tych pierwiastków nie jest całością w sobie, ale jest dopełnieniem wszystkich innych, jest jednym dźwiękiem z onéj harmonii Bożéj. Jestto podział pracy na ludy, szczepy, kraje i wielkie epoki.

Zważ atoli i w tém podziwiaj mądrość opatrzną, że ona choć rozdała każdemu ludowi pracę, któréj ma dokonać na ziemi, przecież nie tamuje mu woli wolnéj; całe ludy, podobnie jak i człowiek pojedynczy, nie są jedynie bezwolnemi jasełkami w tym wielkim dramacie dziejów. Opatrzność zakreśliła jedynie zakon ogólny światu, wytknęła mu cel, zostawując rodowi ludzkiemu by po swojemu ziścił najwyższe przykazanie. Wszelkie inne pojmowanie będzie fatalizmem i doprowadzi do czczego rozumowania, co buduje formułki filozoficzne, niepoparte faktami (*).

Wracając atoli do osnowy naszéj, chciéj baczyć, że jak te pierwiastki dziejowe, rozdane między ludy, są różne wedle ich usposobienia wziętego od natury, bo ten pierwiastek jest właśnie ich własném sercem i duszą, tak też różne są pierwiastki te i pod względem stopnia rozwoju i czasu, na którym historya postawiła te robotniki swoje.

Każdy wiek gotuje materyał dla następnych pokoleń, dla następnych ludów, które kiedyś, jako jego dziedzice, mają wstąpić do

(*) Zob. Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha, § 643.

wiekuistéj pracowni historyi powszechnéj. Co było dla poprzedzającego ludu arcydziełem najwyższém wysilenia jego, jest jedynie jakby surową osnową dla późniejszych narodów, którą znów te narody przeistaczają na nowe a wyższéj doskonałości dzieło. Tak idzie praca od starszych do młodszych a wnuczych ludów, a następuje epoka po epoce.

Widać téż z całéj przeszłości dziejowéj, że gdy jeden wiek, jedna epoka ustępowała ze świata, a druga miała nastać w historyi, już wtedy, w tém ich wielkiém porachowaniu się wzajemném, płaciły sobie milionami pojedynczych ludzi. Bo gdy nowa epoka się dźwigała, gdy miały stanąć nowe zręby historyi, ludzie pojedynczy byli jako powiewne wióry a odlatujące trzaski. Bo w człowieku każdym dwie są strony: jedna przemijająca i bezważna, bo doczesna i ziemska, druga ogromnéj wartości, bo nieskończona i trwająca na wieki. Pierwszą człowiek na zewnątrz zwraca, i poświęcając ją całą, szczęściem doczesném swojém i krwią serdeczną karmi świata dzieje. Druga strona jest wewnętrzna; tę człowiek na własność wyłączną zachowuje dla siebie; i choć tam na zewnątrz biją burze, choć wichry i uragany wstrząsają światem, toć one jedynie zdołają rozkołysać wierzchnie duszy fale, lecz nie tykają dna istoty naszéj; tu wiecznie cicho, spokojnie, uroczysto. Téj istoty naszéj już nikt znieważyć nie zdoła; wynosimy ją całą, nietkniętą ziemskiemi obelgi przed wieczności tron; byleby tylko człowiek ze samym sobą nie stanął w sprzeczności, i sam do téj duszy świątnicy nie wprowadził wroga. Tym wrogiem jest świadomość własnéj winy, rozdzierająca istotę naszą na dwoje, bo zradza we wnętrzu naszém wojnę boleści pełną. Jakoż gdy, uwiedzeni naszą naturą doczesną, przemijającą, zderzymy się z oną ogólną wiekuistą harmonią świata, i przez winę damy zwycięztwo stronie szczegółowéj naszéj nad tą prawdą ogólną — już zarazem zderzamy się z sobą, z własną naszą istotą, bo ta sama prawda ogólna, co światem sprawuje, tleje i w nas samych iskrą żywą i nieśmiertelną. Ztąd walka żałości pełna, trawiąca żywot nasz. Taka jest teorya sumienia.

W każdéj atoli epoce, w każdym kraju, ludzie pojedynczy są, choćby bezświadomie, piastunami pierwiastku, który całemu ich ludowi jest przekazany. Bo mądrość najwyższa, co światem sprawuje, tak rozporządziła historyą, iż każdy człowiek goni niby za celem osobistym, dobija się o dogodzenie własnym widokom, własnym chęciom, dążnościom; ale te właśnie zabiegi jego zradzają, mimo nawet wiedzy jego, dobro ogólne i urzeczywistniają właśnie ów pierwiastek powierzony od Opatrzności całemu ludowi, do którego także ten pojedynczy człowiek należy.

Atoli te mrówcze trudy pojedynczych ludzi, znoszące ziarnko po ziarnku, nie wystarczyłyby w historyi świata; te tłumy jednostek, pracujących i robiących, ale bez wiedzy co w nich pracuje i robi, byłyby w wieczném rozpojedynczeniu, gdyby nie zajaśniało od czasu

do czasu ognisko, zbierające w sobie te wszystkie rozstrzelone promienie. Tém ogniskiem, zjawiającém się od czasu do czasu w dziejach świata, są wielcy ludzie, ludzie historyczni. Oni są wyobraźnikami swojego ludu, swojego wieku, a hasłem i godłem wszystkich potęg, wszystkich uczuć, które bezświadomie żyją w sercu zwyczajnych ludzi. Lecz i wielki człowiek jest synem czasu i narodu swojego, i on nie zdoła myślą uleciéć nad swój wiek współczesny; on sam nie zna ducha, który nań wionął, ani wié dokąd go unosi wszechmocne jego tchnienie, bo i on słucha głosu osobistych dążności swoich, i walczy i pracuje, by dopiął własnego swojego celu. Prze go to miłość sławy, to chęć panowania, to inna z tych potęg tysiąca, co w sercu człowieka gniazdo swe mają; on w swoich sprawach siebie tylko widzi, a przecież dopełnia jedynie Opatrzności zrządzenia. Uważ atoli, że choć nie jest mu obecny w myśli świata pochód, on zgaduje wszakże krok następny, do którego zabierają się człowiecze dzieje, i przeziera co się we wszystkich sercach święci, i ku czemu je prze wewnętrzna, nieznana im jeszcze potęga. To zgadywanie, ten duch wieszczy stanowi siłę a moc wielkiego człowieka.

Gdy w historyi nowa epoka się zradza, już ona, niby duch w Hamlecie, pod ziemią pracuje i puka i o swém przyjściu znać daje. Ta przyszłość nadchodząca, wszędzie przytomna choć niewidoma, rozlewa się, rzekłbyś, w powietrzu, żyje w kołysaniu się drzew, przemawia w gadankach dzieci, tęskni w pieśniach, kwili w boleściach i żalach ludzi, przesuwa się we snach, marzeniach; już i znaki na niebie i ziemi coś wróżą, coś straszą. A jak młoda dziewica, gdy ją nachodzą pierwszéj miłości tęsknoty, sama się traci i siebie nie poznaje; tak i świat, gdy nad nim nowa przyszłość zawisła, czuje jakiś cisnący niepokój i brak, jakąś duszność i tęsknotę niewypowiedzianą; a z téj tęsknoty sam sobie sprawy zdać nie może, ani wié zkąd ona mu przyszła. Ale człowiek wielki zna te przeczucia wieku, on dotyka się pulsów współczesnego świata; a gdy ten świat cały w koło niego jeszcze, jakby nocnym snem złożony, drzémie i marzy, on sam czuwa i słyszy cichy chód czasu i bijące dziejów godziny; a zanim świt, zrywa się i woła słowem potężném, wszechmożném, a słowo to upada na świat jako grom i co było dopiéro drobném, tulącém się pod ziemią ziarnem, w mgnieniu oka wyrasta w olbrzyma. A gdy mąż wielki wywoła tę przyszłość, już ona do historyi należy, już dokonał powołania swego na ziemi, swoją osobą płaci te swoje zrodzenia, bo sam idzie na poniewierkę, lub skonaniem, jakby pieczęcią, stwierdza puścizny swoje. Tak umarł Cezar i Napoleon, Kolumb i Cyrus, Aleksander, Karol Wielki, Kopernik i Galileusz. Bo duch wiekuisty, jakby orlica, rozpina skrzydła nad światem, rozgrzewa następne czasy swém ciepłem nieskończoném, swoim żywotem; a gdy młode orlę, zagrzane tém ciepłem i życiem matki, przełamie skorupę cisnącą, ta spada i na zatracenie idzie. Orlęciem jest

nowa epoka w historyi, a jéj zwłokami martwemi, ową skorupą wymietną, jest człowiek historyczny.

Chciéj baczyć, jak z historyą powszechną świata, podobnie się rzecz ma z rozwojem fantazyi w dziejach ludów.

Gdy mi teraz przychodzi oznaczyć, choć pobieżnie, stosunek historyi fantazyi do ogólnych dziejów ludzkości całéj, wypada mi oprzéć się na osnowie dwóch poprzednich listów, a mianowicie na liście XI. Tam rzekłem, że zachodzi ogromna różnica między fantazyą powszechną a fantazyą artystyczną. Powszechna fantazya, tak jak każda inna władza psychiczna, dostała się udziałem wszystkim ludziom, choć nie w równéj mierze a potędze, choć nie w równym stopniu; fantazya artystyczna zaś jest posagiem, którym Opatrzność udarowała jedynie szczupłe grono wybrańców, bo wieszczów i mistrzów. Powiedzieliśmy równie, że fantazya powszechna, choć ma wiele przymiotów wspólnych z fantazyą artystyczną, choć ta fantazya powszechna zdobi, stroi, przeradza przedmioty z rzeczywistości wzięte, choć przeto jest nawet i twórczą, toć przecież ta jéj twórczość nie jest dostateczną; ona nie wystarczy, aby stworzyć dzieła, któreby były wyrazem zmysłowym wiekuistości i nieskończonéj prawdy. Jakoż dzieła téj powszechnéj fantazyi, nie będą nigdy dziełem czysto duchowém; one nigdy nie zdołają się wyzwolić od śladów, które na nich zostawiła doczesność; nigdy nie będą zupełnie wolne od niedostatków, któremi je przyprószyła przypadkowość, władnąca wszystkiém, co na ziemi poczęte. Fantazya artystyczna zaś jest wskróś twórczą; nieskończoności duch, gość innych światów, skrzydłem swojém obtula mistrza a ten natchniony stwarza, jakby gromem, treść wiekuistą i formę przeczystą dla téj treści; a tak staje dzieło na podziw światu. Na tych postaciach, fantazyą mistrza do życia wywołanych, nie ma już śladów bied i niedostatków ziemskich. Te postaci są niby z materyi zrodzone, ale z materyi przepromienionéj duchem; są to przychodnie z nadgwiazdnéj krainy, co z miłości dla człowieka zostały na ziemskich nizinach. W nich ziemia i niebo, doczesność i wiekuistość, ześlubione przymierzem miłości nieskończonéj. Fantazya powszechna może jedynie podziwiać dzieła, ale ich stworzyć nie zdoła; ona może jedynie zasiadać do uczty przez geniuszów jéj zastawionéj, ale ona w ich domu będzie zawsze tylko gościem z łaski uraczonym. Bo widzisz, fantazya powszechna dla tego nie zrodzi nigdy z siebie istnych ideałów piękności, prawdziwych dzieł sztuki, dzieł wolnych od ziemskich niedostatków, od skazy rzeczywistego doczesnego świata, dla tego nie zdoła ona być rzeczywiście twórczą, że sama jest jeszcze ziemską, bo sama nie wyswobodziła się jeszcze od potęg przypadkowych, od skazy ziemskiéj, od więzów rzeczywistego świata; by stwarzać, trzeba się wznieść skrzydłem wiekuistości nad przypadłość, nad rzeczywistość doczesną: by stwarzać, trzeba natchnienia.

Rzekłem także w liście XI, że mimo niedostatków właściwych

fantazyi powszechnéj, jest ona przecież skarbem danym nam na życie całe; nadto, że ta fantazya jest wielką pomocą dla fantazyi mistrzów, bo ci nie tylko z natury, którą przed sobą na własne oczy widzą, nie tylko z powszedniego życia i obyczaju, w którym przebywają, nie tylko z dziejów prawdziwych czerpią osnowę dla dzieł swoich, ale też udają się do fantazyi powszechnéj i tam znajdują dla siebie osnowę, a osnowę tém bogatszą, że już nie jest surową, ale przez tę fantazyę powszechną napoły przeistoczoną i dla fantazyi artystycznéj przygotowaną. Wspomniałem również w owym liście, że ta fantazya powszechna pojawia się jako fantazya gminu, jako fantazya rozlana po ludzie całym.

Widzisz tedy, że gdy mam na tém miejscu pomówić bliżéj o zachowaniu się historyi fantazyi do historyi powszechnéj świata, wypada mi najprzód ściśle oznaczyć ogólny a wzajemny stosunek fantazyi różnych ludów do siebie, określić bliżéj jeszcze wzajemne mienie się mistrza a fantazyi ludu do którego on należy, nakoniec choć z lekka skreślić cechę wielkich epok w rozwoju fantazyi.

Wszak dopiéro co rzekłem, że każdemu ludowi, który zapisany na pracowniką około historyi świata, dostał się powierzony mu pierwiastek, by go rozwinął, wyhodował serdeczną miłością; ten pierwiastek rozwinięty występuje w historyi każdego ludu, w urządzeniu jego wewnętrznem, w losach jego, w jego obyczaju, w religii, filozofii, we zwyczajach, w prawach, w chęciach i tęsknotach, w smutkach i weselach, w kierunku umysłowym i we fantazyi.

Jeżeli prawda, że z zdziejów, że z obyczajów, z prawa i t. p. możesz sądzić o duszy ludu, tém potężniéj wyświeci nam się treść jego z filozofii, religii i fantazyi jemu właściwéj. Bo lubo wszystkie objawy duchowe wyrastają z treści jego, toć przecież prawo, obyczaj, rząd, są czémś ziemskiém, czémś od licznych przypadłości zawisłém, bo tutaj potrzeby, nawijające się w życiu, potężne wywierają wpływą; ale w religii każdego ludu, w jego sztuce mieści się właśnie ta część treści jego duchowéj, która odnosi się do wiekuistości, do nieskończonych prawd. Filożofia atoli, oparta będąc na rozumowaniu czystém, nie jest rzeczą każdego ludu, a nadto jeszcze dla tego właśnie, że jest rozumowaniem, że jest abstrakcyjną, mniéj już jest wyrazem właściwéj barwy ludu. Religia zaś najczęściéj żyje w uczuciu uduchownionem, którego trudniéj dosłyszéć w sercu ludów. Inaczéj z fantazyą jego. Bo ona właśnie uzmysławia najmisterniejsze moce w duchu przebywające, ona je wciela w kształty widzialne, słyszalne, dotykalne; w niéj tedy najszczerzéj, najwyraźniéj lud wypowie dzieje wewnętrzne swoje.

Sztuka, jako córa fantazyi, poczęta z najgłębszych tajników narodu, jest zaiste najświętszą miłością jego; każdy lud, każdy naród w dziełach fantazyi swojéj widzi duszę własną w zmysłowéj postaci; on w niéj kocha siebie, jako młodzieniec kocha się w postaci kochanki swojéj. Ta fantazya rozgrzewa piersi jego, budzi dawne

wspomnienia, stroi kwiatami blade czoło nieszczęściem znękane, i tysiącem gwiazd rozświeca mu tęskne życia ciemnice. Na dźwięki starych pieśni, podań gminnych, zmartwychwstają dawne chwały i żale pomarłe. A choć lud jaki utonie w otchłani wieków, choć od wieków trawa i zioła zarosną stare groby jego, jego duch żyje w cząstkach zgruchotanych sztuki jego, w ułomkach jego pieśni; a bylebyś do tych okruchów przystąpił z kochaniem w duszy, dokażesz cudów; przyciśnij je do piersi miłością, a te kawały jego rzeźby, jego budowania znów zadrgają dawném życiem, i poczujesz jak w nich po dawnemu zapukało serce. Lecz abyś doświadczył tych cudów, miéj sam serce a serce zacne, o uczuciach gorących, abyś miał czém ogrzać to, co dla świata dawno pomarło, dawno śmierci mrozem zastygło.

I dla tego właśnie fantazya jest tak żywotnym, tak wiernym objawem dziejów wewnętrznych każdego ludu, i dla tego ona właśnie jest tak potężną cechą, odróżniającą lud każdy od innych ludów. Jeżeli tedy prawdą jest, cośmy rzekli powyżéj, iż historya powszechna odbywa się podziałem prac między ludy, że każdy z nich rozwija i hoduje pierwiastek sobie od Opatrzności powierzony, że tedy wszystkie te pierwiastki, będąc wzajemném siebie dopełnieniem, stanowią dzieje powszechne ludzkości;—tak równie jest prawdą, że fantazye różnych ludów są podobnie wzajemném dopełnieniem siebie, że one wszystkie, wiążąc się w jeden wieniec kwiatów przecudnych, składają właśnie dzieje fantazyi w historyi powszechnéj.

Mając atoli zrozumieć głębiéj to całe roztoczenie się wszystkich kształtów fantazyi w historyi, jest rzeczą najwyższéj wagi, byśmy nie chybili w charakterystyce każdego z nich. Ochroni nas jedynie od pomyłki w téj mierze ścisła baczność na ów pierwiastek każdego ludu, który rozrósł się w piersiach jego treścią duchową jemu samemu właściwą, a zatém ową treścią, która, jak rzekłem powyżéj, objawia się w jego religii, filozofii, obyczajach, prawach, tęsknotach i weselach jego. Przyjdzie nam tedy miéć ciągle na oku wszystkie te pojawy; one dopiéro zdołają nam roztworzyć piersi każdego ludu, każdéj epoki, a wtedy téż charakterystyka fantazyi ich wypłynie nam już prawie sama przez się. I wyznaję ci otwarcie, że nawet wtedy, gdybym rozumiał, że same dzieła sztuki wystarczyć mogą do oznaczenia właściwości fantazyi jakiegoś ludu lub epoki, przecież jeszczebym się trzymał tamtego trybu postępowania; bo wedle mnie droga taka nie tylko jest nierównie więcéj zajmującą, ale zarazem podaje sposobność spuszczenia się nurkiem w przepaści ducha ludzkiego i poznania owych mocy tajemnych, które władają jego wewnętrznym żywotem.

Z tego powodu niechaj ciebie nie dziwi, że zabierając się do charakterystyki fantazyi jakiego narodu, rozpatrzymy się dość szeroko w tych wszystkich objawach jego treści wewnętrznéj, które, choćby nie miały bezpośredniego związku z tą fantazyą jego, zdołają nam

wypowiedzieć przecież, co się na dnie duszy jego dzieje, a tak odgadniemy już i piętno jego fantazyi, którą też wtedy wystarczy ocechować kilku wyrazami. Zwykle też skreślę ci przytém lekkim konturem cechę jakiego dzieła lub mistrza, ale to uczynię zlekka tylko, bo przecież nie przedsięwziąłem pisać historyi sztuki ale dzieje fantazyi; nie będę też przywodził w tym celu charakterystyki mistrza lub dzieła sztuki, abym tém popierał ogólne rozumowanie, bo rozumowanie takowe, byle się udało, powinnoby już ze samego siebie brać moc i utwierdzenie; lecz raczéj uczynię to jedynie w tym zamiarze, aby lepiéj na przykładzie wyjaśnić i unaocznić rozumowanie całe.

Gdy zaś właśnie ta sama treść wewnętrzna narodu, która się wyjawia jego fantazyą, nadaje mu także rolę, którą ma odegrać w tym ogromnym dramacie Bożym, w tych dziejach świata; zatém wyznasz, że ocenienie fantazyi jakiego ludu, lub epoki historycznéj, wymaga koniecznie ciągłéj baczności na te dzieje powszechne ludzkiego rodu. Fantazya każda może być wtedy jedynie dojrzaną w prawdzie swojéj, jeśli jéj kontury odrysują się na tle historyi powszechnéj. Trzeba znać żywot każdego ludu i stosunek jego do innych narodów w historyi, trzeba sobie wprzódy zdać sprawę z jego zasług, jakie położył Bogu i człowieczeństwu pracą swoją i żywotem i śmiercią, zanim zdołamy słusznie ocenić dzieła sztuki, któremi, jakby kwiatami duszy, umaił sobie ojczyznę swoją i ustroił skronie zeznojone twardą pracą.

Niechaj ci przeto nie będzie dziwném, że gdy w tych listach przyjdzie mi przypatrzyć się tak różnym zjawiskom duchowym, rzucę też często okiem na historyę ludu, którego fantazya będzie właśnie przedmiotem naszym.

Pozwól atoli bym uczynił kilka uwag, które tutaj nie zawadzą, choć one tak wprost wypływają z rzeczy saméj, że zaiste same z siebie już nasuwają się myśli twojéj.

Świetność historyczna narodu, potęga, którą zaciężył wśród współczesnego sobie świata, ważność jego polityczna w dziejach ludzkich, bynajmniéj nie idzie w parze z potęgą a dzielnością jego fantazyi; może, mimo przewagi ludu, co myślą światonośną zasiadł na panowaniu ogromnego obszaru ziemi, dopatrzysz się w życiu jego zaledwie kilku pączków sztuki napoły rozwiniętych, co nieśmiało wyzierają wśród jego wawrzynów wojennych lub korony politycznéj mądrości. I nawzajem, znajdziesz może ludy, których fantazya bogata, bujna, wdzięczna i pełna potęgi, a przecież ludy te nie będą tém, co zowiemy ludem praktycznym, politycznym. Zrozumiesz, że nas wszystkie podobne pojawy zarówno obchodzić będą; z tą samą miłością, z którą zabierzemy się do ludu artysty, badać też będziemy dzieje narodu, który przeżył życie swoje, twardo pasując się z sobą i ze światem, który przebył tę drogę przez historyą, doznając rzadko tylko pieszczot od tych lubych i wdzięcznych cór fantazyi, co innym

śpiewały na cierniowéj pielgrzymce ich żywota. Bo nawet ta omdlałość fantazyi jego będzie dla nas zjawiskiem bardzo zajmującém, byle w sercu naszém była miłość dla téj wiekuistéj natury człowieka, byle w tém sercu była cześć dla tych dróg historyi, którą lat tysiące idą przez świat.

I patrzmyż, treść cała, która się rozwija w duszy każdego ludu, daje mu miejsce odpowiednie wśród innych narodów i wśród epok następujących po sobie w czasie; przecież fantazya a sztuka, lubo jest wykwitem téj treści, nie jest jeszcze cała tą treścią; więc się nam zdarzy, że obaczymy w naszym dziejowym rozwoju fantazyi, jak często epoki i ludy późniejsze, więc wyższéj nierównie treści duchowéj, niezawsze sprostać zdołają ludom, które je wyprzedziły na scenie świata. I dla tego właśnie roztoczenie dziejów fantazyi a chronologiczne następstwo ludów po sobie w historyi, niezawsze są odpowiednie sobie; zdarzy się tedy, że lud wcześniejszy zajmie w historyi sztuki miejsce późniejsze od ludu, którego był poprzednikiem w pochodzie stuleciów.

Czyli zaś lud jaki stanie wyżéj czyli niżéj w tych pracach wdzięcznych około piękności dzieł, toć już ze saméj istoty rzeczy wynika, że fantazya jemu właściwa nie objawi mu się zrazu w całéj świetności; długo ona będzie zaklętą w sercu jego, tam czekać będzie w zarodzie, zanim ją wypiastuje i wyda na świat w najwyższym jéj uroku. A z tego znowu wynika, że czas ten najwyższych dzieł sztuki u każdego narodu, a epoka najwyższego jego rozwoju dziejowego, nie bywają bynajmniéj sobie współczesne. Każdy lud póki był zajęty, aby sam z siebie się wydobył, póki pracował nad sobą i ważył się i mocował z potęgami historycznemi, póty też nie stało mu czasu ani swobody, by uosobił chwałę swoją w posągach marmurowych swoich bogów i bohaterów, lub uderzył w lutnię, by wyśpiewać czyny pradziadowych lat i przodków wielkich; bo on sam wtedy był przodkiem wnuków następnych. Jednak z drugiéj strony również jest prawdą, że gdy lud upada na sile duchowéj, gdy mu się na skon zbiera, już go nie stać na mistrzów, na wieszczów; bo mistrze, wieszcze, to jego krew, to jego serce; gdy braknie mu wieszczów, mistrzów, już znać, że ścina się w nim krew, że i bicie serca jego ustaje. Z tego też powodu każdy naród wtedy występuje w najwyższéj potędze sztuki swojéj, gdy chwała jego i praca historyczna już jest dokonaną, a potęga jego już już chylić się zaczyna do zachodu, jakkolwiek w ludziach żyjących tętni pełne jeszcze życie, choć w nich nie ma jeszcze przeczucia o wieczornym zmierzchu, który zwolna gotuje się ich narodowi. Epoką tedy najwyższego uroku sztuki są te, że tak powiem, pierwsze godziny popołudniowe najwyższéj świetności jego, godziny, kędy się styka południe z zachodem jego żywota.

Takie są w ogólności koleje, któremi się ma rozwój fantazyi każdego historycznego ludu do jego dziejów zewnętrznych. Jeżeli

zaś bliżéj rozpatrzymy się w tém roztoczeniu fantazyi, jeżeli pomnimy, że ta fantazya sama rozszczepia się na różne rodzaje sztuki, toć zobaczysz, że wedle różnego usposobienia różny téż rodzaj fantazyi będzie mu najwłaściwszym, a tém samém, że wykwitnie mu sztuka nade wszystkie od niego ukochana; tak jeden z ludów stanie się budownikiem, dźwigając przybytki dla bogów swoich, choć tych świątnic nie zdoła uczcić wiekuistym mieszkańcem; tego dokona z kolei inny naród, który geniuszem natchnienia przyłoży serce do martwéj marmurowéj skały, a ze skały wystąpi mu bóg jego, odziany urokiem najwyższéj piękności. U innego narodu uczucia wcielą się w obrazy malowane, lub zabrzmią pieśnią liryczną, lub roztoczą się epopeją, albo przemówią dramatem. Jeżeli zaś lud jest tak pełen szczęścia i takim piękności wybrańcem, że wszystkie te kształty fantazyi wstąpią na poniża ziemskiéj ojczyzny jego, toć i w takim nawet razie jedna ze wszystkich sztuk będzie już najdroższym jego duchowego wnętrza wyrazem. W niéj się rozpromieni i zaświeci chwała świata. W każdym atoli razie, wszystkie rodzaje sztuki, pielęgnowane przez naród pewien, wystąpią pewném następstwem po sobie. A najczęściéj już architektura, jako sztuka symboliczna, mająca do czynienia z linią i przestrzenią, i z twardą, nieużytą, głuchą materyą, stanie na reju sztuk pochodowi; za nią skulptura umieści posągi w tych świątnicach; potém malarstwo roztoczy swoje dzieła na ścianach świętych przybytków. A lubo poezya i muzyka przygrywać i przyśpiewywać będą pracom wszystkich tych mistrzów i ludów wszystkich od początków samych, toć przecież będą czasy, w których poezya, a mianowicie muzyka stanie się wyłączną ulubienicą ludzkiego rodu! (*)

Takowe są zaiste ogólne stosunki historyi fantazyi do dziejów powszechnych świata, więc do dziejów duchowych; ale i natura materyalna ma swoje dzieje, i ona jest jednym z tych czynników, wpływających silnie na treść duchową ludów, nadając jéj barwę właściwą.

Natura tutaj uważana być może z różnego względu; ona pojawia się to jako natura a usposobienie własnéj cielesności, będące tak różne w różnych ludach; to jako natura, otaczająca lud w koło, więc

---

(*) Ob. *Schnaase*, Geschichte der bildenden Künste, T. I, 1843. Wstęp; tudzież *Kugler*, Kunstgeschichte, 1848. Dwie te książki zasługują na polecenie ich młodym czytelnikom.

(Dzieło *Schnaasego* wyszło w 2-ém wyd. 1871 r., *Kuglera* zaś w wyd. 5-ém 1872 roku. Z pomiędzy nowszych prac, obejmujących całość historyi sztuki, zasługują na szczególną uwagę: *Wilhelm Lübke*, *Grundriss der Kunstgeschichte*, od r. 1860 kilkakrotnie wydana; *Juliusz Braun*, *Geschichte der Kunst*, 1873; wreszcie pięciotomowe dzieło *Maurycego Carriere*, *Die Kunst im Zusammenhange der Culturentwickelung*, 1873 roku, które po raz pierwszy stara się przedstawić ogólny rozwój *ideałów* ludzkich, łącząc umiejętnie historyę sztuki plastycznéj z dziejami poezyi, literatury, muzyki i w ogóle życia umysłowego. — St.)

jako przyroda jego ziemi rodzinnéj, tak magicznie działająca na cały jego ustrój duchowy; bo czém jest ciało dla duszy pojedynczego człowieka, tém jest przyroda kraju dla ducha każdego narodu. Jeżeli zaś cielesne i psychiczne usposobienie każdego narodu, jego temperament, jego zdolności fizyczne są wielce dzielnym pierwiastkiem w jego życiu duchowém — toć potężniéj jeszcze waży natura ojczyzny jego. Klimat, rzeźba kraju, wody, obłoki, świat roślinny i zwierzęcy, widoki i dramata, które odgrywa natura, wpływają milczkiem, znienacka, w duszę każdego ludu; są to moce, co wzierają w głębie serca, urzekając je oczyma swojemi; to rozpalają żarem, to chłodzą jego fantazyą, to nastrajają do uczuć skocznych, radośnych, to do nuty tęsknéj, przeciągłéj jak step, jak oceanu niezmierzone przestrzenie lub piaski nieprzebytéj pustyni; to znów, otaczając człowieka hardą, śmiałą, butną górską naturą, budują mu w koło grody boże, przyczoła alpejskie, na których szczytach obłocznych te moce siadają jakby na niedosięgłym tronie swoim.

Zrozumiesz tedy, że wzgląd na tę naturę ojczystą każdego ludu nie może być nam obojętny. Dotkniemy się go przeto choć zlekka u tych ludów, które nie usamowolniwszy jeszcze ducha swojego z pod potęg natury, urzeczone jéj mocą zostają pod jéj zakonem a władztwem. Lecz z tego stosunku do natury nasuwa się nam inny, nierównie jeszcze ważniejszy dla naszego celu, bo zachowanie się ludu do natury jako do świata, z któréj czerpać ma osnowę dla fantazyi swojéj. Wszak fantazya, ubierając treść duchową we formy materyalne, zmysłowe, bierze właśnie te formy z natury, choć je przetapia, przeistacza na dzieło piękności. Tak przeto ciężkiéj wagi jest pytanie, czém dla którego ludu jest natura? Człowiek otoczony przyrodą, uderzony jéj dziwami, zrazu upamiętać się nie zdoła; ona mu światem potęg to lubych, pieszczących, to groźnych, straszliwych, złowrogich. Więc lud ten nie widzi téj natury taką, jaką jest, ale taką, jaką jemu się być wydaje; naturę rzeczywistą pokrywa natura druga, cudotworna, dziwaczna, urojona, co się mięsza i mąci; a ta nowa, przez fantazyę jego wymyślona natura tém będzie dziwaczniejsza, im bujniejsza jest fantazya gminna powszechna, im mniéj rzeczy stworzone rozjaśnione są umiejętnością, im późniéj poznany będzie ład i związek wszech jestestw przyrodzonych. A co ten lud w téj naturze przez szkiełko swojéj fantazyi obaczy, to już będzie własną istotą jego wewnętrzną; on w niéj jak w zwierciadle przejrzy się, obaczy własną treść swoją; ale będzie siebie widział nie przeczuwając, że z téj natury własny jego wizerunek na niego się patrzy! A gdy w téj treści ducha najcelniejszy jest pierwiastek, który go wiąże z wiekuistością, z bóstwem, więc też lud, nie rozgrzany jeszcze promieniem wiary zbawienia, w potęgach natury obaczy bóstwo i oblecze je własną naturą swoją; o ile tedy sam człowiek poczuje się być duchem, osobą, o tyle też te bogi jego będą osobami, duchami; o ile zaś on sam w sobie jeszcze mąci własną duchową istotę

swoją z potęgami natury materyalnéj, o tyle też te bogi będą materyalne i staną się dziwnym zamętem duchowéj a materyalnéj istoty! Widać też, że gdy człowiek, oprócz téj najwyższéj treści swojéj, którą jest bóstwo, ma i inną treść, odnoszącą się do ziemskich potęg, zatém też fantazya wyroi mu tłumy postaci o mocy podrzędnéj, stojącym na straży rzeczom doczesnym.

Te moce, przebrane w kształty fantastyczne, nawet i wtedy rozgoszczą się po świecie, gdy wiara prawdziwa rozjaśni wprawdzie wyobrażenia człowieka o Bogu, ale umysł ludzki nie rozpatrzy się jeszcze dostatecznie w naturze, i nie pozna tych praw odwiecznych, które są zakonem wszech rzeczy stworzonych. W takich epokach świat będzie się miał w dziwnéj sprzeczności do siebie samego, bo z jednéj strony co do rzeczy wiekuistych i Bożych będzie znał najwyższe prawdy, a z drugiéj strony zaludni świat tuteczny ciżbą jestestw fantastycznych, dziwacznych (rusałki, czarownice i t. d.).

Przekonywamy się tedy, że różne kształty, w których pojawia się fantazya ludów, najgłówniéj zależą od różnych wyobrażeń, których się lud jaki dosłużył o istocie ducha, a tém samém zależą od różnego stosunku jakim się zachowuje człowiek do natury i całéj rzeczywistości, która właśnie podaje mu treść a osnowę dla jego fantazyi.

Łatwo już nam teraz pojąć, że takowe różne wyobrażenia ludów, i te różne ich zachowania się do ducha i do natury, będą właśnie zasadą podziału historyi fantazyi na różne jéj epoki rozwoju i nadadzą tym epokom charakterystyczne piętno.

Gdy atoli w powyższém rozprawianiu mojém, w liście niniejszym, miałem głównie na myśli fantazyą ludu, to jest fantazyą powszechną, a gdy z drugiéj strony wyobraźnikami wydatnemi epok historycznych fantazyi są dopiéro dzieła sztuki, a zatém fantazya artystyczna; przychodzi mi tedy raz jeszcze rzucić okiem na stosunek mistrzów i wieszczów do fantazyi powszechnéj ich ludu.

Mistrz tak się ma do fantazyi powszechnéj swojego kraju, jak się mają wielcy ludzie historyczni do pierwiastku dziejowego, który żyje na dnie ich narodu lub stulecia. Człowiek wielki nie stwarza nic takiego, coby nie żyło już zarodem w jego narodzie, w jego czasie; on jedynie zna poczucie, drgające w przyszłości. Człowiek wielki rozumie ku czemu się ma lud jego i ku czemu prze historya świata, więc geniuszem proroczym wyrzeka to słowo, objawia ludziom własną ich treść, co robiła i pracowała w ich piersiach; tak staje się ogniskiem serc wszystkich duchów, a zarazem jasnowidzeniem geniuszu przeziera wskróś środki i potęgi, które mu staną przy boku i będą pomocą, by to słowo stało się ciałem, rzeczywistością.

Podobnie dzieje się z mistrzem; on też nie może się wyłamać z wieku swojego, on też nie może nie być synem swojego czasu i swojéj ziemi. Fantazya jego jest kwiatem na drzewie téj fantazyi powszechnéj; w nim płyną jéj soki, on z niéj bierze życie swoje; gdy

kwiat odpadnie od drzewa, pójdzie wiatrom na pastwę, zwiędnieje i zginie bez owocu. Niechaj się tedy mistrz trzyma wiernie drzewa, z którego wyrósł, bo w niém ma moc swoją i żywot swój; fantazya jego stanie się martwą, bez serca, gdy się przeniewierzy swojéj rodzicy — fantazyi powszechnéj. Dla tego, gdy mistrz należy jeszcze do narodu, w którym natura, dzieje i cała rzeczywistość nie staje jeszcze przed oczyma człowieka w prawdziwéj postaci, ale zasłoniona jest jakby czarodziejską oponą, wtedy i mistrz nie zdoła ujrzéć téj rzeczywistości, jaką jest sama przez się, ale bierze ją niby z rąk gminnéj fantazyi, więc taką, jaką się wydaje jego epoce i krajowi, który jest ojczyzną jego.

Przecież do wieszcza, do mistrza należy, aby takową osnowę surową, grubą, przyćmioną jeszcze pyłem żywota powszedniego podniósł do wysokości ideału piękności. Niechaj mistrz zbiera fantazyę ludową, co jako kwiaty rośnie po mogiłach, niechaj te kwiaty zwija w wieniec chwały, a ten wieniec stanie się i dla niego koroną czci i uczuć powszechnych. W nim wszyscy się obaczą, wszyscy się przejrzą w jego dziełach; a gdy te dzieła będą uwidomionym duchem powszechnym, ale podniesionym do ideału piękności, więc rozpromienionym zacnością i szlachetnością, nie dziw przeto, że wieszcz, że mistrz, jak się stał chwałą swojego ludu, tak będzie zarazem jego nauczycielem i kapłanem obyczaju. On nieskończoną potęgą wpłynie na ów świat, z którego wyrósł, z którego się zrodził; dzieła jego będą ołtarzem, na którym rozgoreje uczucie całego jego ludu na chwałę jego własną i na cześć niebiańskiego Ojca. Niechaj tedy mistrz oddycha tém powietrzem fantazyi rodzimėj, niechaj się spoufali z duchami swoich puszcz i krzewów i łąk swoich; te niechaj mu szeptają tajemnice swoje, wróżby swoje.

Przecież do wieszcza, do mistrza należy aby nie wypuszczał nigdy z pamięci, że on jest nie tylko synem czasu swojego, lecz co więcéj, że jest zarazem tak przyszłości jak przeszłości prorokiem, że mu nie wolno pozostać po za wiekiem swoim. Jeżeli tedy kraj jego wyrósł, choćby tylko w połowie zacniejszéj, z widziadeł fantazyi powszechnéj, zasłaniającéj mu prawdy rzeczywiste, wtedy i wieszczowi nie wolno już brać widma za prawdy, wtedy raczéj nie tak te widziadła ludowe, jak już sam ten lud winien się stać dla niego przedmiotem poezyi. Bo zważ, sztuka piękna, poezya nie jest żartem lekkim; biada jéj, gdy strąciwszy z siebie zacność swoją, ubliży sobie, zmyślając postaci kłamliwe, w które sama nie wierzy; sztuce, poezyi nie wolno schlebiać żadnéj z części onego ogółu, do którego mistrz należy; bo jak mu się nie godzi puszczać się za własnym kaprysem, tak nawzajem nie wolno mu się mizdrzyć do lada zachcianki swojéj publiczności, by od niéj wyżebrać jakieś łaski dla siebie.

Dla tego téż jedynie te dzieła sztuki przeżyły mistrza żywot doczesny, i przetrwały długie wieki, i przetrzymały nawet zwaliska grodów ojczystych jego, które się zrodziły nie ze służalstwa prze-

lotnym chwilom, ale z zacnego ślubu mistrza z fantazyą powszechną ludu jego, i ze zrękowin wieków zapadłych, i tych które się dopiéro wykluwały dla przyszłości jego. Takowe to dzieła są same jedne istnemi wyobraźnikami różnych ludów i epok historycznych, tudzież okazują ich pochód a znaczenie w dziejach fantazyi całego człowieczeństwa.

Jakie zaś są te wielkie epoki, na które rozdzielają się dzieje fantazyi? Toć skreślę tutaj kilku wyrazami. Skreślę je zlekka, ogólnie i w krótkości, bo jestem zdania, że w pracy lekkiéj i pobieżnéj, jaką są te listy nasze, wszelkie oznaczenie z góry epok i podziałów przed roztoczeniem treści saméj jest niewłaściwe. Jeżeli bowiem oznaczenie takowe ma być głębszéj wartości, wymaga, aby przecie było ugruntowane, więc powodami wsparte, a takowe znowu wymagają długich wywodów i rozpraw, bez których wtedy jedynie obejśćby się mogło, gdyby ta nasza historya fantazyi była częścią jakiegoś systematu filozoficznego; bo w takim razie już cały tok tych dziejów wypłynąłby ze systematu samego i w niéj miałby utwierdzenie swoje i usprawiedliwienie.

Gdy zaś przedmiot tych listów jest niby luźny i samodzielny, a gdy przytém pragnę uniknąć rozwleklych, usprawiedliwiających rozpraw, więc też przestaję na rzuceniu tutaj kilku konturów ogólnych tych epok fantazyi, by ci ułatwić z góry pogląd na całość naszéj osnowy; a przywołam sobie w pomoc właśnie te myśli, które powyżéj pobieżnie rzuciłem mówiąc o różnych stosunkach ducha ludzkiego do natury.

Rzekliśmy już nawet w tym liście naszym, że nieskończoność przebywa w człowieku od początku świata, od chwili gdy Bóg na niego tchnął duchem swoim. Ale ona zrazu przebywa zarodem w duchu naszym, a rodu ludzkiego właśnie jest powołaniem, aby rozwinął, wyrobił z samego siebie ten pierwiastek dany mu posagiem. Wszak powiedzieliśmy, że to wyobrażenie i zdobycie go na sobie jest zdaniem historyi powszechnéj; jakoż wiele wieków i długiéj pracy potrzeba, zanim nawet sam duch ludzki będzie świadom siebie, zanim przeczuje, co w nim robi i wre.

Gdy zaś, jak wiesz, fantazyi artystycznéj jest powołaniem, aby tę nieskończoność, ten pierwiastek wiekuisty wcielić we formy zmysłowe, czyli we formy z natury wzięte, zatém już znać, że wedle różnego stopnia rozwoju duchowego, fantazya też różnie użyje tych kształtów natury, aby w nich wyrazić treść duchową. Te różne tryby przeistoczenia form przyrodzonych okazują już zarazem i stosunek różny ducha do natury, a tém samém stanowią różne epoki rozwijającéj się fantazyi.

Pomijając w téj chwili epoki pomniejsze, uważmy, jakie główne

okresy nam już z istoty rzeczy wypłyną z tych różnych stosunków ducha do natury, w któréj on ma wyrazić treść swoją.

W téj mierze atoli stosunek może być tylko trojaki. Najprzód bowiem treść ducha ludzkiego o tyle się rozwinęła, że zdolna już być mistrzynią form przyrodzonych, że tedy zdolna przeniknąć je *wskróś* promieniem swoim. W takowéj epoce człowiek będzie się miał tym trybem do tego dzieła sztuki swojéj, że cała jego treść duchowa, wyrażona będzie w tém dziele piękności, a to tak dalece, że co będzie w treści, znajdzie się téż w dziele sztuki, jako w formie swojéj zmysłowéj, i że nawzajem wszystko, co jest w téj formie (więc w posągu, obrazie, pieśni i t. d.), stanie się wyrazem téj treści duchowéj; tak przeto treść duchowa i forma będą sobie zupełnie odpowiednie.

Łatwo ci zgadnąć, że to wzajemne równoważenie się treści i formy będzie miało, jakby po dwóch stronach swoich, dwie ostateczności, z których jedna będzie stopniem poprzedzającym ją, druga będzie stopniem następującym, późniejszym. Co do tego stopnia późniejszego, ten nastąpi wtedy, gdy treść duchowa tak już rozwinie siebie, tak rozpłonie wiekuistością, tak wyrośnie nieskończoności tchem, że już nie zdoła znaléźć odpowiedniego sobie wyrażenia we formach z przyrody wziętych, w dziełach piękności. Wtedy mistrz czuje, że treść jego wewnętrzna przerosła te formy wszystkie, że choć je napełni sobą, przecież zostanie się jeszcze wyższa część jego własnéj istoty, która się nie pomieściła w tych kształtach zmysłowych, w dziełach sztuki pięknéj.

Wręcz inny będzie ów stopień, który poprzedzi ową epokę równowagi; będzie to bowiem stopień pierwszy i najniższy, w którym treść duchowa tak mało jeszcze z siebie się rozwinęła, że nierównie wyższą od niéj treść zdołają wyrazić te formy natury, gdy będą przeistoczone na dzieła piękności. W téj tedy pierwszéj epoce treść wewnętrzna ducha stanęła poniżéj dzieł piękności.

Ta epoka pierwsza jest okresem fantazyi Wschodu, mianowicie starożytnego Wschodu. Epoka równowagi owéj, w któréj treść duchowa a forma zupełnie są sobie równe i nawzajem się wyczerpują, jest okresem sztuki klassycznéj, bo greckiéj i rzymskiéj. Epoka trzecia, w któréj treść duchowa przerosła wszelkie formy piękności, jest okresem sztuki chrześciańskiéj.

W epoce pierwszéj duch człowieka, jak się rzekło, pozostał poniżéj tych form uroczych, na które przeistoczone być mogą kształty natury pod natchnieniem mistrza. Pochodzi to ztąd, że duch nie zdolen jeszcze ująć potęgą nadświatną tych kształtów przyrodzonych, a tém samém, że nie uznał jeszcze własnéj potęgi swojéj, bo nie uznał własnéj swojéj istoty, górującéj nad naturą, bo jeszcze nie wié siebie być duchem, osobą.

Pojmowanie istoty ludzkiéj jako osoby jest niezmiernéj wagi, a jest przecież zarazem wyobrażeniem bardzo jeszcze ubogiem; bo osoba jest jestestwem wiedzącém siebie, odnoszącém się do siebie

myślą i wolą, a tém samém odgraniczającém się własną mocą swoją od zewnętrznego świata, jest oparciem się na sobie; a jak osoba wie o sobie, tak też umie się odróżnić od jestestw, które nie są nią samą.

Znać przeto, że wyobrażenie o sobie jest arcybiedném i głuchą abstrakcyą, gdyż nie uwzględnia téj nieprzeliczonéj a tak głębokiéj rozmaitości, jaka zachodzi między osobami. Nie uwzględnia nawet rozmaitości, zachodzącéj między ludźmi, więc nie baczy na ich wartość moralną, zdolności, usposobienie, i całą treść ich. Ale wyobrażenie o osobowości ducha jest przecież zarazem ogromnym a trudnym nabytkiem. Bo długo ludzkość się namocowała z sobą i napracowała, zanim zdołała wyrobić pojęcie o istocie osoby, zanim człowiek uczuł się być osobą.

Tego pojęcia nie miał Wschód starożytny! A jak tu człowiek nie wié jeszcze jasno, że jest osobą, tak też bogi, jego fantazyą stworzone, nie są jeszcze osobami. Niekiedy w tych bogach, a mianowicie w mitach o nich, widać wprawdzie jakiś zaród, jakiś zawiązek osobowości, ale takowy wnet się rozpływa, rozlatuje zarysem niepewnym, i ginie. A gdy człowiek nie wié się być osobą, więc też nie ma jasnéj pewności o wiekuistém trwaniu swojém, nie umie siebie odgraniczyć, odosobnić od natury, i poznać przepaść, która go, jako osobę i duchową istotę, odłącza od natury, od tych jestestw materyalnych. Ztąd duchowa jego istota mięsza się i mąci z tym światem zmysłowym; ztąd też jego bogi mięszają się i mącą z potęgami przyrody, co są bezprzytomne sobie i ślepe. To mącenie się najczęściéj stwarza kształty potworne w rzeźbie i w poezyi, w których wiekuistość a głucha bezrozumna materya szalonym zamętem są skojarzone z sobą.

Gdy atoli człowiek tą dziką chaotycznością mięsza się ze światem materyi, więc też nie ma jeszcze panowania nad tą naturą materyalną; ztąd fantazya jego, choć gorąca i wrząca, nie zdoła przeniknąć pierwiastkiem wiekuistości kształtów z natury wziętych, a zatém używa ich tylko za zewnętrzne, powierzchowne znaki swoich myśli. Tak patrzy na formy roślinne, zwierzęce, ludzkie i t. d., a spostrzegłszy w nich własność jaką, odpowiadającą niby myśli, którą chce wyrazić, bierze tę formę i wyrzyna ją w kamieniu, potęgując aż do przesady tę własność odpowiadania myśli, którą chce oddać tém swojém dziełem. Tak to dzieło samo istotnie będzie miało dwojakie znaczenie: jedno znaczenie własne swoje, znaczenie przyrodzone, a drugie znaczenie przenośne, które mu nadał człowiek; tym sposobem powstaje symbol (np. ręce są środkiem do działania, ztąd fantazya indyjska potęguje te ręce i tworzy postaci wielorękie; matka, jako niewiasta karmiąca dzieci swoje, staje się symbolem natury, gdy się zamienia na Izydę mnogopiersią).

Otóż symboliczność jest pierwiastkiem przeważającym we fantazyi starożytnego wschodu. Lecz właśnie dwojakie znaczenie

każdego symbolu wyjawia niedostateczność jego; co ztąd pochodzi, że Wschód nie wyrobił sobie jeszcze dostatecznego wyobrażenia o duchu i naturze. A jak w człowieku jeszcze trwa potworna walka i zamętne mocowanie się nieświadomego ducha z potęgami natury, tak też te symboliczne postaci, przez fantazyę Wschodu stworzone, są potwornym, chaotycznym objawem jego treści nierozdzierzgnionéj, nierozwiniętéj. Zważ, że ten brak rozgraniczenia materyi i ducha, ten zamęt ogólny, zapustny, jest także powodem, że z téj fantazyi wschodniéj rodzi się niekiedy i panteizm; bo i panteizm jest pomąceniem ducha i materyi, stworzyciela i stworzenia.

Dopiéro w Grecyi człowiek wié, że jest duchem, że jest osobą. On tutaj już umie siebie odróżnić od natury, a tém samém już i moce przyrodzone straciły nad nim przewagę swoją. Lecz z drugiéj strony lubo duch Hellady dorósł już natury, ale jéj jeszcze nie przerósł. Co tylko jest we wnętrznych głębiach człowieka, znajdzie wcielenie swoje w dziele sztuki, zatém we formie z przyrody pożyczonéj, i nawzajem cała ta forma jest przenikniona duchem. Duch mistrza i ludu jego pomieści się cały w dziele fantazyi artystycznéj, w niéj się przejrzy. Ta harmonia wzajemna między człowiekiem wewnętrznym a zewnętrznym, między duchem a naturą, myślą a materyą, czyni z Hellady duch prawdziwie artystyczny. Tutaj fantazya powszechna jest osnową już prawie wyrobioną dla poetów i mistrzów. Jego myśli są obrazami, a on obrazując myśli. Ztąd też Grecy, choć mają wyobrażenie o duchu, o osobowości jego, przecież wiążą go jeszcze z ciałem. Grecy nie mogą jeszcze wyobrazić sobie ducha bez ciała. Dla téj wdzięcznéj harmonii wewnętrznéj treści duchowéj a zewnętrznego świata, Grek w tym świecie zewnętrznym widzi siebie; tu nie ma przeto fałszywego, bolesnego wdzięku w życiu. Tutaj szczęście młodości kwitnie ludziom i bogom. Wszak te bogi same są ludźmi, ale uduchownionemi i wzniesionemi do piękności ideału, i w nich wdzięczne przymierze ducha i ciała. Jakoż właśnie dla tego, że bóstwo tutaj jest jeszcze cieleśnie pojęte, że się przedstawia w połączeniu z materyą, z ciałem, dla tego też występuje tutaj polyteizm, wielobóstwo. Bo materya, bo natura jest właśnie wielością jestestw, bo właśnie co jest jednością idei, rozpryskuje się w naturze na wiele jestestw osobnych.

Ale zważ, ta harmonia nie mogła długo ostać się na ziemi, bo w tym pięknym świecie klassycznym tętniło przeczucie wewnętrznéj sprzeczności. Bogowie są duchowo-zmysłowe jestestwa, są ciałem odziane a mają być nieskończone! To sprzeczność! Daléj, duch człowieka, wiekuistości syn, ma być w harmonii ze światem zmysłowym, przelotnym; i to jest sprzecznością!

Na te sprzeczności Grecya umarła. Duch przerósł formy tuteczne, doczesne, z natury wzięte, a to wzniesienie się jego nad świat ten rzeczywisty, było wyrokiem śmierci dla Hellady i jéj świata piękności. A tém samém pojawiła się już nowa epoka dziejom ludz-

kim, w któréj występuje właśnie ta wyższość ducha i treści jego nieskończonéj nad światem rzeczywistym. Tę nową epokę przedstawia historya fantazyi u chrześciańskich ludów. Tutaj człowiek, party nieskończoném poczuciem, wié, że jest tylko gościem na ziemi. Żadne szczęście ziemskie, żadna idealność z doczesności zrodzona, choć pełna uroku i wdzięku, nie zdoła ukoić, zagoić tęsknoty, która w nim robi i nie daje pokoju.

Widać, że w tym świecie nowym, nowy rodzaj fantazyi pojawi się w piękności państwie. Będzie to sztuka chrześciańska, co zwrócona jest ku wnętrzu, ku najświętszéj serca tajemnicy. Tutaj przeto rodzą się te rodzaje sztuki, które z najgłębszych przybytków serca występują na jaw. Teraz zabrzmi z ciszy serca poezya lirą, uczuciem głębokiém, tęskném, drgającém; teraz nastąpi epoka dla muzyki, téj sztuki, w któréj duch sobie daje posłuchanie, a tony, jakby anioły dosłyszane słuchem ziemskim, szepną o najwyższych prawdach i rozwiążą mu zagadki wszystkie świata, i wywróżą życia i śmierci, rodzenia i skonania tajemnice. I znów muzyki dosłyszane, w głębokości ducha żyjące, zbudują mu świątynie a katedry gotyckie, owe wielkie domy boże, co się staną kontrapunktem, w którym wiążą się wszystkie sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa architektury, akkordem i harmonią nieskończoną. Ta epoka atoli znów sama z siebie rozdziela się na dwa ustępy czasu, na dwa różne stopnie. W pierwszym duch przeczuwa, że doczesność, a mianowicie natura, nie jest odpowiednią téj wiekuistości, którą wiara roztworzyła w głębiach serca człowieka; więc duch człowieka odwraca się od doczesnego świata i przyrody a tonie w sobie, słuchając jedynie téj cichéj mowy wnętrza swojego, co mu jest prorokiem o nieskończonéj wartości jego, i wróżbitą światów nadgwiazdnych. A tak człowiek staje sam w sprzeczności i z tą zewnętrzną przyrodą i z własną naturą zmysłową ciała swojego (wieki średnie i romantyczne). Drugi zaś stopień téj epoki będzie zbliżeniem się człowieka do natury i rzeczywistości, pogodzenie się z nią; mimo tego atoli tęsknoty wewnętrzne nie ustaną choć się ułagodzą, nie zniknie też w człowieku treść nieskończona, którą rozwinęła w nim wiara chrześciańska — (sztuka nowożytna, od XVI stulecia poczynająca się).

Przestaję na tych lekkich rzutach, rysujących oblicze tych trzech głównych epok w dziejach fantazyi, mając dać obszerne ich roztoczenie w całym ciągu listów następnych. Zwracam tutaj tylko uwagę twoją, że możnaby i owe dwie pierwsze epoki, bo rzecz o fantazyi wschodniéj starożytnéj i o fantazyi klassycznéj, połączyć razem i uczynić je dwiema epokami jednego większego okresu. Bo obie mają to do siebie, że w nich duch ludzki nie przerósł natury, że człowiek oczyniony jest jeszcze jéj urokami, że nie przejrzał do dna własnéj wiekuistéj istoty.

Widzisz tedy, że tym trybem dzieląc historyę fantazyi, można kłaść I-szy wielki okres a w tym umieścić całą starożytność, więc

cały czas niechrześciańskich ludów; zatém w nim znajdą się dwie epoki: a) fantazya wschodu, b) fantazya klassyczna, która znów rozdziela się: 1) na fantazyę grecką, 2) na fantazyę rzymskich mistrzów. Potém następuje II-gi wielki okres, bo dzieje fantazyi u chrześciańskich ludów, który znów rozdziela się na dwie epoki, bo: a) na epokę czasów średniowiekowych i b) na czasy nowożytne, zaczynając od początku wieku XVI. Na ten podział chętnie się godzę, bo jest tém stosowniejszym, że wynika ze stanowiska chrześciańskiego zapatrywania się na świat, a tém samém uznaję ogromną różnicę, która zaszła we wszelkich stosunkach ludzkich od czasu wiary Jezusa Chrystusa. Lecz nie mogę się zgodzić z tymi estetykami, którzy z każdéj z dwóch epok (bo z epoki średnich wieków i z epoki czasu nowożytnego), które wedle nas składają ten II-gi wielki okres, czynią dwa osobne wielkie okresy, które, wedle zdania tych estetyków, tak się mają między sobą różnie, jak każdy z nich od okresu I-go, obejmującego ludy starożytne, niechrześciańskie. Ten pogląd zdaje mi się być mylnym, choć jest wymyślony przez znakomite powagi (np. Vischera), a powstał jedynie z chęci nadania protestantyzmowi przesadzonéj przewagi w historyi sztuki, więc z zarozumiałego uprzedzenia, jakoby dla protestantyzmu pojawiającego się właśnie w XVI wieku, sztuka miała się wskróś przerodzić. Obaczysz zaś w późniejszych listach, iż lubo prawdą jest, że ze XVI stuleciem nowa era nastaje dla sztuki, toć przecież i to prawda, że ta era nie jest bynajmniéj takiém zerwaniem z przeszłością chrześciańską, jak to mniemają estetycy owi, a co więcéj okaże się równie, że ten nowy zwrot sztuki w XVI wieku, ma jeszcze inne a głębsze powody.

Wszak duch, odprawiając te wielkie okresy i epoki w dziejach fantazyi, napasował się krwawym trudem przez długie wieki. A wiele narodów w téj pracy złożyło żywot swój na ofiarę historyi powszechnéj. Ztąd też ich rodzenia się i silenia i śmierć są treścią najwyższego znaczenia dla każdego myślącego człowieka.

Atoli w tych kilku listach, poświęconych rozwijaniu się ducha w sztuce, bynajmniéj nie mam zamiaru napisania historyi fantazyi ze wszystkiemi jéj szczegółami. Przestaniemy na oznaczeniu ogólném charakteru każdego okresu, dotkniemy się tylko zlekka każdego narodu, a bylebyśmy zrozumieli jego piętno właściwe, już nadać mu zdołamy stosowny stopień w historyi świata, i zgadniemy czém on był dla historyi fantazyi całego rodu człowieczego. Jest też niepodobna, by wspomnieć o wszystkich ludach, które tu położyły zasługi swoje. Przypatrzmy się jedynie gwiazdom pierwszego rzędu, onym jasnym konstellacyom, przyświecającym, jakby okiem Bożém, dziejom świata. Gdy wielmożność i potęga, oparte na głuchéj sile, spadły na ziemię niby suchy liść, idąc na pomiotłę wiatrom; te gwiazdy, te pierworodne córy ducha nie mrużą się nigdy, wiecznie żyją, wiecznie spokojne goreją chwałą rodu naszego. Ku nim nie sięgną zamieci ziemskie i kurzawy padołu żywota; one na wieki będą przy-

mierzem między człowiekiem a Bogiem, boć wszystko na téj ziemi tonie w niepamięci; to tylko trwa wiecznie, co z ducha Bożego i prawdy się rodzi. A my wszyscy jesteśmy potomkami tych jasnych gwiazd, synami ich światłości w historyi; oddajmy im tedy cześć.

Czyli zaś podołam téj wziętéj na się pracy? Czyli mimo dobréj chęci wywiążę się godnie z zadania mojego?

Mam ja przekonanie wewnętrzne, które mi dodaje otuchy do téj pracy. Gdy dzieje fantazyi roztaczają nam obraz silenia się historyi około tego, co wzniosłe i piękne na świecie, i gdy nam tedy okazują jakto ród człowieka dąży bez spoczynku do coraz większego uzacnienia i uszlachetnienia siebie; więc téż myślę, że każda, choćby najdrobniejsza, praca w tym względzie nie może nigdy być bez zupełnéj wartości, bo wypływa z wiary w nieskończony postęp świata, ze czci dla prawdy a wiekuistéj zacności, żyjącéj w ludzkim rodzie. I dla tego mniemam, że i ta skromna praca nie będzie może zupełnie straconą.

* * *

Niegdyś, w starych wiekach Indów, *Budda*, najwyższa cnota, istność istności wszelkiéj, odbierał cześć i pokłony od kraju całego. A cisnęły się zewsząd i króle i pany wielkiéj potęgi i władcy ludów, a czołem bijąc bóstwu Buddy, znosiły skarby swoje i klejnoty drogie. A mieszkała téż w miejscu tém zgrzybiała uboga staruszka, żyjąca o żebranym chlebie. Gdy obaczyła te stosy złotych i srebrnych sprzętów, i te skarby, co jaśniały w świątnicy Buddy darem i ślubem, przejęta żalem serdecznym, sama mówiła do siebie: „Jakąże ja winą moją przyszłam na tę biedę ostatnią, że nie mogę stanąć przed tronem cnoty najwyższéj, i rozsiewać ziarna zacności i zbawienia?“ I poszła żebrać między ludzi. Żebrała od świtu aż do późnéj nocy, a użebrała pół szelążka, i poszła do kupca prosząc go, aby jéj sprzedał oliwy. A on rzekł: „Niewiasto uboga, bardzo mało będzie oliwy za ten pieniążek twój. Lecz powiedz mi, do czego ci jéj potrzeba?“ „O, panie!“ rzekła staruszka, „ja żebrałam od rana do wieczora, i ten jeden pieniążek użebrałam sobie, a oliwę za niego poświęcę na cześć najwyższéj prawdzie“. A on ulitował się nad ubogą, i dał daleko więcéj oliwy niż żądać mogła. Żebraczka, przepełniona radością, nalewa nią drobny kaganiec, i stawia go na ołtarzu Buddy, i modli się do bóstwa rzewnie: „O ty istności nad wszelką istnością! Ten mały kaganiec jest całą ofiarą, którą ci dać mogę! O! gdyby ten płomyk skromny zdołał rozproszyć czarną ćmę niewiadomości i kłamstwa i winy ze świata całego! Gdyby zdołał rozświecić prawdę i zacność i uczcić, co wielkie na niebie i na ziemi!“— I przez noc całą gorzał kaganiec. A gdy z dniem porannym kapłan wstąpił do świątnicy i zbierał z ołtarza dary, dmuchnął i na ów kaganiec mały by go zagasić, ale płomień błysnął silniéj jeszcze, a kapłan już ręką, nakoniec szatą, chciał go przytłumić; lecz kaganiec

gorzał coraz to świetniejszym i potężniejszym płomieniem. A gdy tak daremnie się kapłan silił, Budda przemówił z ołtarza: „O! zaprawdę, nie przytłumisz ty płomienia tego, i nikt go przytłumić nie zdoła. A gdyby i wszystkie czterech mórz wody po nim przeszły, nie zagaszą go jeszcze, boć on mi jest darowany na cześć tego, co wiekuiste, a z czystéj wiary w zacność i prawdę!“ (Stara indyjska legenda.)

I. Fantazya u ludów wschodnich.

List czternasty.

Chiny.

Wstęp. — Ulica Kantonu. — Malarz chiński. — Teatr. — Muzyka. — Komedya. — Nauki u Chińczyków. — Astronomia. — Wojskowość. — Brama tryumfalna. — Zabawy. — Budowa świątnic. — Obrazy religijne. — Ogrody. — Brak treści wewnętrznéj w człowieku. — Moralność. — Rodzina i Państwo. — Formy zewnętrzne. — Dramat chiński. — Lira i powieść chińska.

Mając się puścić wędrówką przez świat i różnojęzyczne jego ludy, przez lat tysiące, a coraz zacniejsze epoki ludzkich dziejów, i podsłuchać ciche ducha powiewy w historyi, trudnoby nam przyszło pominąć owe rozłożyste przestwory azyatyckiego Wschodu, co go *Chinami* zowiemy. Tam, na zatyłkach starego świata, odsadzonych daleko od dziejów powszechnych ludzkiego rodu, roztacza się olbrzymim obszarem ogrom państwa, którego przestrzeń o sto tysięcy mil kwadratowych większa od Europy całéj, a ludniejsza od niéj o sto milionów mieszkańca. Ztamtąd starowieczne pieśni niosą nam podania o pradziadowéj cywilizacyi, o niezmęczonych nigdy pracach skrzętnych onego mrowiska ludów, co tu zamieszkały od przedhistorycznych czasów.

Chiny, to świat oddzielny i w sobie zamknięty; ścisnęły go granicą prawie nieprzebytą i duchowe i materyalne potęgi. Ku północy wzdęły się wierzchowiny martwe, milczące podbiegunowéj Azyi; z zachodu i z zachodniego południa wzbiły się w obłoki twierdze alpejskiéj natury, obiegając stromym okopem kraj; od wschodniego południa i wielkiego wschodu głębie oceanów zastąpiły od świata. Wszak to są one najogromniejsze zlewiska wód całego ziemskiego planety; wszak to ten morski świat Spokojnego Oceanu, co szerzy się w daleką dal, bo aż pod obie Ameryki. Lecz zważ, że ta nowa

część świata zwróciła się przodem ku Europie, bo biegiem swoich rzek i wyspami i całą rzeźbą geograficznego swojego ukształcenia; a przeciwnie zwróciła jakby nice swoje ku Chinom, ku „Spokojnemu Morzu“, pokazując mu jedynie brzegi bez odnóg, bez grona licznych wysp i bez rzecznych prądów.

Na tych przestrzeniach bezmiernych chińskiego świata rzeki potężne, niby tętna olbrzymiego ciała, zwaliwszy w poniża wody swoje, toczą się wspaniałym pochodem, i, zanim przepadną w morskich toniach, snują się po obszarach, zbogaconych pracą natury i własnym krwawym trudem człowieka. Ale jak te rzeki grają wiecznie jedną i tą samą pieśnią wartu swojego, tak i życie tutaj płynie wiecznie tą samą falą, tak i historya tutaj zawsze jedna i wiecznie ta sama. Tu od tysiąców lat krząta się trzysta milionów jestestw rozumnych, i krząta się i pracuje pilnie, nieznękanie, jakby pszczelnik ludzkiego rodu; ale od lat tysiąców, jak w pszczelniku, powtarza się wiecznie ta sama praca, ten sam trud i znój bez odmiany, bez cofania się, bez postępu! Tu nawet echem nie dobiegła wieść o rodzeniu się, o kochaniu narodów, o ich walkach i wieńcach ich sławy; tu cicho i głucho o tém wszystkiém, na co sobie zapracował świat, czego się dosłużył długowieczną męką historyi, co z głębin duchowych z boleścią na jaw wyważył. Tu nie dobiegła wieść o weselnych tryumfach, o łzach i rozpaczy stuleciów całych. Chiny stanęły same o sobie. Ztąd piętno oryginalności wybite na całym tym narodzie; a piętno to tak jest silne, przeważne, że obok niego zginęła cecha indywidualna ludzi pojedynczych, że obok niego zatarła się i zbladła różnica, rozdzielająca człowieka od człowieka. Nieubłagana, niewidoma, demoniczna moc zrównała tutaj, jakoby strychulcem, ludzki ród. A jak wszędzie znajdziesz tu wargi napuchłe, nosy przypłaszczone, nozdrza zadarte, oczy ukośne, brwi w górę skręcone; tak też znajdziesz tutaj w każdym pojedynczym człowieku ten sam obyczaj i zwyczaj, ten sam smak, dążność i ochotę, układność i myśl. Jak ciało, tak i duch tych wszystkich milionów jest jakby w jednę i tę samą formę wtłoczony; a jak dziwaczny jakiś rodzaj ryb oryginalnością kształtu różnić się może od wszystkich innych rodzajów, a jednak wszystkie pojedyncze ryby tegoż rodzaju nie różnią się między sobą, tak tutaj z człowiekiem się dzieje. Choć cały naród ma swoje właściwe a tak osobliwe piętno, iż w niczém nie jest podobny do innych narodów, toć przecież takie tutaj jest podobieństwo, taka jednostajność między pojedynczymi ludźmi, jak już w żadnym innym narodzie. W Chinach jest tylko rodzaj ludzi, człowieka nie ma.

Inaczéj też być nie może. Ogromne to państwo, odcięte od świata, ślepe, głuche na wypadki historyi powszechnéj, stęchło, zastało się w sobie, nie przyjmując nigdy w siebie nowych odradzających żywiołów. A jak jest odgrodzone od dziejów obcych ludów, tak i w sobie jednostajne; nie zna, co różnych pierwiastków gra, — nie zna, co ważenie się i mierzenie ich wzajemne. A jak tutaj czło-

wiek nie wyrobił własnéj indywidualności swojéj, nie wstąpił w głębie własnéj istoty, nie wydobył z niéj uczucia siebie; tak téż i naród cały, nie mierząc się i nie ważąc z innemi ludami, ugrzązł w zarozumieniu o sobie, nabrzękł pychą i uprzedzeniem ułudném o swojém znaczeniu na świecie.

W Chinach nie ma innéj różnicy przeciwległych pierwiastków, krom rozmaitości geograficznych potęg; tu jedynie mierzy się i waży północ i południe, wschód a zachód, wysoczyzny a poniża dolin, wody i suchy — tu jedynie gra przeciwległość klimatów. Z téj rozmaitości mocy przyrodzonych spadają na lud ten burze powietrzne, powodzie i mór; ztąd walą się na niego burze i wywroty polityczne, które przecież, nie tykając nigdy dna społeczności, odmieniają tylko dynastye; istota tego państwa zostaje zawsze jedna i ta sama. Chiny płacą te powodzie i mory, burze i zamęty polityczne milionami ludzi; poczém znów wszystko wraca do ładu i porządku, wraca do ciszy, spokoju i pracy.

Duch ten, tak jednostajny i wiecznie tkwiący w miejscu, stosowne téż dla siebie odebrał od natury uposażenie kraju. Owa sieć bogata, gęsta rzek, owe roztoczenie potężne morskiego pobrzeża spotęgowały ogół, massę całego ludu, ale nie tknęły się rozwoju pojedynczego człowieka. Ów żywioł wodny jak wszędzie tak i w Chinach rozniecił wcześnie potrzeby i ochoty a żądze zmysłowe, parł do przemysłu, handlu, wynalazków, wyćwiczył udatności do ręcznéj pracy, do rzemiosł i wyrobów, a rozwinął te dążności umysłu do tego stopnia, jak już w żadnym innym kraju na świecie (*). Jednostajność bowiem chęci i ta wspólność kierunku umysłowego sprzęgły twardo te wszystkie niezliczone miliony do wspólnéj pracy, a tak dokonały się dzieła mechaniczne, o których już gdzieindziéj nie słychać. Pomyśl sobie ów kanał „Cesarski“, co tysiąc stóp szeroki, co rusza bez przerwy przez bagna i zatoki, góry i doliny, i co tak długi, iżby połączył Bałtyk z morzem Czarném; lub chciéj przywieść sobie na pamięć ów sławny mur chiński, głośny na świat cały; wszak w nim jednym więcéj cegieł, niż we wszystkich domach całéj Anglii i Szkocyi, a tych domów przecież ze dwa miliony! Albo pomnij na owe olbrzymie mosty o trzystu filarach ciosowych! Zważ jeszcze, że Chińczycy wynaleźli proch, druk i igłę magnesową — więc trzy ogromne czynniki ludzkiéj historyi, — a wynaleźli je wtedy jeszcze, gdy się o nich nawet nie marzyło Europie.

Lecz pytasz, co się tu dzieje z potęgami ducha? czémże jest tu człowiek, co stworzony na podobieństwo Boże? w jakiéj się postaci objawia sztuka piękna, czém jest jego artystyczna fantazya, a czém fantazya powszechna ludu tego? — Rzuć okiem, choćby w polocie, na obyczaj i zwyczaje, na zabawy, na religię i prawa tego ludu,

(*) *Ritter*, Erdkunde T. IV. str. 726. — *Herder* „Ideen“.

a zajrzysz w serce samo duchowi, co tu włada, i zgadniesz, czy to anioł jasny, czyli ciemności demon, który tu zasiadł na panowaniu i rządzi losami tych nieprzebranych milionów.

Tłumnie, szumnie, huczno, gwarno na ulicach Kantonu. Cisną się, tłoczą bajarze, komedyanty, przekupnie, olejkarze, śpiewacy, a każdemu czegoś bardzo śpieszno, każdy biegnie lekkim kłusem, rzadko który się zatrzyma; śpieszą i biegną i gwarzą a śmiejąc się wrzeszczą. Cisną się wśród tłumów jeźdźcy na koniach, pchają się drążniki, warczą, turkoczą wozy i wózki, przemykają się lektyki. Wśród wrzawy i gwarów głuszących wznoszą się zapachy sprzedawanych kwiatów, olejków, wódek pachnących, dymy kadzideł, odory smażonych ryb, swędy tłuszczów przypalonych i pieczywa wszelkiego rodzaju. Po obu stronach ulicy ściany domów biją połyskiem tak świecistych pokostów, tak błyskotném szkliwem, iżbyś rzekł, że niektóre z tych domków są szczerozłote; u góry kryją się dachy wywijane, zadarte, o dzwonkach ruchawych, z wężem lub smokiem straszliwym po rogach. W domach rozwarte na oścież sklepy bogate, na sklepach napisy o barwach jaskrawych, żarzących, złocistych; kołyszą się latarki wielobarwne o fantastycznych przeróżnych kształtach. A w sklepach świecą towary kosztowne. Tu sprzedają wytworne szale jedwabne, lśniące haftów przepychem, tam znowu jaśnieją w słońcu srebrne, złote wyroby przepyszne, ondzie znowu składy snycerskie, tokarskie towary; więc szachy misterne, warcabnice w kamienie wysadzane, skrzyneczki, wachlarze, kubki, umbrelki i wszystkie te fraszki i próżniaki, te potrzebki niepotrzebne cywilizowanego, zbytkującego świata; a robota wszędzie tak sztuczna, tak wykwintna i wyborna, że im nie starczą ani one śliczne, smaczne cacka paryzkie, ani wykończenie wytworów angielskich. A te wszystkie towary chińskie tak bajecznie tanie, że się już trudno oprzéć pokusie.

Choć je atoli tak niby nizko zaceni Chińczyk, ofiaruj połowę, a on się zgodzi i jeszcze doda jakie drobiazgi w przyczynek. Bo tu trzeba ostrożnie z chińskiemi kupcami; otumanić kogoś, toć się im zdaje być żywiołem ich powołania, a gdy się poznasz na tych figlach, on się uśmiechnie i grzecznie odpowie, że arcy-rad poznać tak mądrego cudzoziemca! A liczy i rachuje, coś winien zapłacić, na skrzyneczce — w niéj druty, na drutach kulki — oto szczoty używane na północnym wschodzie Europy, w Rossyi zwłaszcza, a są chińskim dowcipnym wymysłem, który się tam nazywa Juan-pan (*).

Zaledwieś znowu na ulicy, aż tu opada cię jakiś krzykała i kła-

---

(*) *Davis*, China, T. II. — *W. Heine*, Wanderskizzen, Allgem. Augs. Zeit. N. 312 335 roku 1853. — *Du Halde*, Description de la Chine, w tłóm. niem. III. § 2. str. 290.

dzie ci gwałtem w rękę całą wiązkę adresów, któremi się polecają przeróżne składy, sklepy, kramy, rękodzielnie, a między niemi zachwala też roboty swoje szanowny Ling-tszing-fu-zu, malarz portretów, pejzażów, mapp — on nawet i nuty kopiuje. Siedzi w sklepie swoim warkoczny artysta i pracuje, śmiga pędzlem, że aż miło; a z nim razem pracuje z 10-ciu czeladzi. Spojrzyj w koło — są tu widoki i całego Kantonu i ogrodów i domków. Perspektywy ani w liniach, ani światłach, ani w barwach nie szukaj; bo masz wiedzieć, że artysta chiński trzyma się bardzo zdania, że malarstwo winno rzeczy wystawiać, jakie są same przez się; gdy tedy przedmiot jedynie oddaleniem się zmniejsza, skraca, toć jest złudzeniem oka, więc kłamstwem, które nie warto, by było uświęcone sztuką piękną! Nie ma też tu na tych obrazach cieniów. Niechaj pan Ling-tszing-fu-zu obaczy portret przez europejskiego artystę robiony, toć on, jako i wszyscy jego chińscy koledzy, widząc cienie i światła, zapytają się z podziwieniem: czyli rzeczywiście żyjący oryginał obrazu tego miał jednę stronę twarzy ciemniejszą a drugą jaśniejszą? Albo też, patrząc na cienie, uważają je za plamy pochodzące z uszkodzenia obrazu. Prawda, że ongi i sama Elżbieta angielska kazała się także malować bez cieniów, ale to uczyniła z czystéj życzliwości dla swoich poddanych; chodziło jéj o to, aby oni mogli bez przeszkody podziwiać płeć białą swojéj dziewiczéj królowéj! Zato z najściślejszą dokładnością odrysowane są karty geograficzne; możesz się nawet zupełnie zdać na liczby, wyrażające głębie wody na mappach morskich. Patrz atoli, jako nasz artysta maluje ptaki, kwiaty i rybki! On policzył piórka na ptaszku, wszystkie cętki na roślinach, policzył i zmierzył liście kwiatów i łuszczki na rybach, a tak wiernie, skrupulatnie, pracowicie kopiuje, iżbyś rzekł, że najdrobniejszéj drobnostki nie opuści; ten artysta to istny dagerotyp w postaci żywego człowieka! A jakież wyborne jego farby olejne, jakie wyborne płótno, jakie doskonałe techniczne wykonanie! Jeszcze też ślicznieisze, świecistsze obrazki malowane na chińskim papierze; a jakie to tanie! za kilkanaście złp. dostaniesz tuzin pomniejszych obrazów, lub jeden wielki na kilku stopach kwadratowych; a gdy troszkę się potargujesz, to artysta doda i ramy lakierowane; gdy zaś zakupujesz same ramy, zapłacisz tę samą prawie cenę; ale potarguj się trochę, a doda w przyczynku i obraz do ram kupionych! (*)

Pożegnawszy artystę, radbyś teraz daléj puścić się po bruku ciosowym, wybornym tych ulic zamętnych; ale to szczere niepodobieństwo! Zaciął się ruch tłumu na ulicach — cały sznur i pieszych i konnych, wózków, wozów i lektyk nagle się zatrzymał. Cóż się stało? Oto jakiś jegomość jadący ujrzał znajomego sobie śpieszą-

(*) *W. Heine* l. c. N. 312.

cego piechotą: więc zeskoczył z wozu, więc grzeczności, więc komplementa.

Pierwszy Chińczyk: Jakąż szczęśliwością błogą świeci oblicze twoje, o ojcze!

Drugi Chińczyk: Jest to, szanowny doktorze, blask szczęśliwości twojéj, który spływa na twarz moją.

Pierwszy Chińczyk: Czyli szczęśliwie kwitnie Jesion i luby Klon?... i t. d.

Masz wiedzieć o tém, że wyrazy „ojcze!“ „doktorze!“ są w Chinach najwyższą grzecznością, którą powiedzieć można; a jesion znaczy ojca rodzonego, a klon znaczy matkę. Przecież nie na tém kończy się dobre wychowanie obu tych ichmościów. Pierwszy składa ręce, błagając by „ojciec“ siadł z nim do pojazdu, drugi zaklina się, że tego nie uczyni nigdy; na to pierwszy oświadcza uroczyście, że nie ruszy z miejsca póki nie będzie miał z sobą przyjaciela. Drugi przysięga, że ani siędzie, ani pójdzie drogą, póki szanowny „doktór“ nie pojedzie. I daléj nowe frazesa, ukłony, ofiarowania służby swojéj, i afekta, grzeczności i formuły, a tu cała ulica zapchana czeka a czeka cierpliwie i uprzejmie, choć się jakoś na dészcz zbiera (*). Bo wiedzmy o tém, że nie ma już ludu na całym świecie, coby tak przestrzegał form grzeczności jak Chińczyki. W końcu przecież jakoś przeszorowała się ulica; kłąb ludzi się rozgmatwał. I wielki bo też czas, bo zdaleka słychać straszny gruch w kotły, w bębny; widać nad tłumem ulicznym wzniesione umbrety jedwabne, proporce, chorągwie olbrzymie; na nich malowane żółwie skrzydlate, smoki, węże i inne poczwary; a niosą na kijach wysokich deski czerwone, na deskach wypisane długie tytuły i godności zbliżającego się dygnitarza. Fraszka atoli umbrety, proporce, żółwie, smoki i napisy; najwięcéj powagi dodają mu pachołki krępe, barczyste, niosące zapasy bambusów (**). Otóż i sam Mandaryn, sam Tsong-tu pulchny, okrągły i tłusty sobie pan; niosą go w złocistéj lektyce; śliczna na nim długa wyszywana suknia; znać, że on mandarynem 5-go stopnia, bo na léjkowatéj czapce iskrzy kryształowa gałka, a na piersiach płat sukna, na którym haftowana papuga. Postrach bambusów uciszył ulice, w koło pusto jakby wymiótł; kto nie zdołał uciec do kąta, stanął kołkiem, bo skłonić się z europejska byłoby zbytnią poufałością (***). Aleć niechajby-no ten tu mandaryn o gałce kryształowéj spotkał w drodze innego mandaryna z gałką czerwoną, a choćby nawet z niebieską, widziałbyś, jakby się co tchu wytoczył ze swojéj lektyki i znów stanął przed tamtym jak wryty (****). Ponieśli go nakoniec, — i znów pełna ulica gwarnéj, krzykliwéj ciżby; odechnął

(*) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.
(**) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.
(***) *Du Halde* l. c. T. II, str. 37 — 39.
(****) Obacz *du Halde* l. c. dodat. 258.

każdy, bambusy znikły im z oczu, choć nie z myśli. Bo masz o tém wiedzieć, że bambus nie przebiera, że sięga i po najwyższych dostojeństwach; ani dworzanin zamożny, ani mandaryn, ani dowódzca wojskowy nie jest wyjęty z pod bambusa. Za lekkie uchybienia nawet spada karą bambus; co więcéj, karze on nawet za winy przeciw moralności, które u ludów chrześciańskich zostawione są sumieniu i uczuciu honoru. Jakoż znajdziesz w prawach chińskich jakby taryfę bambusów. Przytoczę ci choć kilka przepisów: 1) Naczelnik bióra, przedstawiający niegodnych na wyższe stopnie, bierze 80 bambusów. 2) Sługa, hałasujący w obejściu cesarskiego pałacu, 100 bamb., a pan jego 50. 3) Kandydat do urzędu, jeżeli się źle popisze na egzaminie, 40 bamb. 4) Sędzia, nie stosujący się do przepisów na miejscu zbrodni, więc niby przy visum repertum, 100 bambusów. 5) Jeżeli jaka kobieta frymarczy solą, wtedy mąż jéj bierze 100 bamb. 6) Kto, siadając do stołu, zasiada powyżéj starszego, 5 bamb. 7) Lekarz, piszący złe recepty, 100 bamb. 8) Mąż zalotny, kochający żony uboczne więcéj niż prawą małżonkę, 80 bamb. (*) Słowem bambus jest tutaj perpendykułem świata. Przecież nie jest on znowu tak straszny, jak się z wierzchu wydaje; nikt go téż sobie nie bierze zbytnie do serca; bo najprzód kara ta nikomu nie ubliża, nikt dla otrzymanych bambusów nie traci na czci publicznéj ani na poważaniu powszechném; jest szanowany jak dawniéj, urzęduje sobie jak dawniéj z całą powagą i uroczystością, słowem jest sobie tak podobny jak pierwéj (**). Bambus jest niby napomnieniem, karceniem ojcowskiém, niehańbiącém wcale. Następnie zważ, co nie mało znaczy, że skazany na bambusy może i nie być obecnym osobiście przy wykonaniu wyroku; bo są tacy, którzy z powołania swojego chętnie go wyręczają i zastępują miejsce jego, byleby im, jako słuszna, dobrze zapłacił; a ci ichmoście tak sobie téż zwinnie poczynają, że zanim się spostrzeże sędzia, przytomny przy egzekucyi, już po wszystkiém; kara jest wymierzona, nie doszedłszy atoli swojego właściwego adresu; albo téż sędzia, podarkiem ugłaskany, patrząc w inną stronę udaje, że nie spostrzegł zamiany osoby. Bo téż nigdzie przekupstwo urzędów tak nie grasuje jak w Chinach. Powiadają, że wyręczyciele a zastępcy takowi na tych antrepryzach robią dobre interesa, zbierają wielkie majątki (***).

Nie ma czemu tedy się dziwić, że na ulicach miast chińskich tak ludnych, tak tłocznych, wszyscy przecież tak grzeczni są, cierpliwi; nikt drugiego nie trąci, nie szturchnie, nie obryzga, bo na byle hałas jakby ze ziemi wyskakują policyanty, godząc po swojemu waśnie i kłotnie (****).

(*) *Tymkowski*, Podróż do Chin — T. II. str. 42 i nast.
(**) *Du Halde* i *Grossier*, De la Chine, T. V.
(***) *Du Halde* l. c.
(****) Choix des Lettres édifiantes écrites par des Missions étrangères. T. I. str. 32 i nast.

Zaiste, patrz, jak teraz co żywe śpieszy się w tamtą ulicę, każdy radby być pierwszy, a przecież mimo tłoku nie ma swarów i szturchańców; wszyscy rzucają się tłumnie ku owemu budynkowi z drzewna, co, od niechcenia i ladajako postawiony, teraz roztwiera wrota swoje, by przyjąć ciżbę krzykliwą. To teatr! Teatr, jaki prawie na każdéj ulicy chińskiego miasta widać; w samym Pekingu jest kilkaset trupp aktorskich; więc téż sobie grają od rana do wieczora, bo już nie ma drugiego narodu, któregoby paliła taka mania do widowisk scenicznych! (*) Gdy zamożny Chińczyk wyprawia ucztę u siebie, wtedy do sali jadalnéj wstępują zamówione aktory; dyrektor ich klęka przed gospodarzem domu, podając mu do wybrania spis sztuk, jakby swoje repertoryum teatralne; poczém popisuje się swoim talentem scenicznym.

Nie myśl atoli, że ta namiętność do teatru wpływa tu na rozwój i ukształcenie sztuki, — bynajmniéj; widowiska dramatyczne są dziś na tym samym stopniu, na jakim były lat temu kilkaset; aktory, to pozganiana hołota, co chwilowo puszcza się na komedyą, potém rozlatuje się włóczęgą na wszystkie wiatry. Z nich nikt nie czyni sobie powołania ze sztuki dramatycznéj, a do dziś dnia nie przyszło tam do stałéj truppy, do stałego teatru; a przecież bez tych dwóch warunków nie ma sztuki scenicznéj. Wszystkie budynki są mniéj więcéj jak ten, który tu przed sobą widzisz; jestto niby buda jarmarczna, mogąca być w chwili złożoną, w chwili rozebraną; kilka krokiew i desek, to cały materyał. We wnętrzu, na słupach ośm stóp wysokich, wznosi się scena, pokryta lekkim, wykręconym dachem; naprzeciw niéj loża ogromna dla dam; po prawéj i po lewéj inne dla płci niepięknéj. Tu zasiadły wielobarwne mandaryny, co milą się do siebie jedwabném słówkiem i częstują się herbatą, słodyczami i słodkawemi grzecznościami. Przestrzeń między lożami a sceną zajęta jest, jak u nas, parterem. Ależ ten parter wiecznie jest ruchawy niby fale morskie. Bo późniéj przybyli tłoczą się naprzód; ci zaś, co już bliżéj sceny, opierają im się z całych sił. Gdy zaś tamci, stojący u drzwi, przemogą, już publiczność, stojąca przed samą sceną, znajdzie się nagle pod podłogą teatru i, zamiast dramatu, widzi pale i słupy; ale gdy się jéj uda wziąść górę i przeprzéć najezdników, już widzowie, stojący w sąsiedztwie drzwi, znajdą się znienacka na ulicy. Nie ma się więc czego dziwić, że ten lub ów zuch spina się po słupach do wysokości lóż i ztamtąd patrzy się i na widowisko i na tłum poziomy, co pod nim szumi i huczy. Bywa téż, że czasem jeden z urzędników, przeznaczony do pilnowania porządku, sam skuszony miłością do teatru, wylezie tym trybem nad publiczność, oddaną mu w dozór. Przecież uciecha niedługa; wszystkie te wypadki przewidziane; znajdzie się inny dygnitarz służbisty z bambusem tak dłu-

(*) *Lay*, The Chinese as they are. Rozdz. XI.

gim, że i na wysokościach znajdzie winowajcę-amatora; więc wykrzyk! poczém chybko spuszcza się biedak na ziemskie niziny, — i znów cicho i porządnie (*).

Ale już krząka orkiestra, słychać tony! Spojrzyj na narzędzia muzyczne a zgadniesz okropności, jakie cię czekają. Skrzynki o jedwabnych strunach, darte żwawo smyczkiem, burczą i warczą; wtórują im cymbałki z drutów, bite niemiłosiernie pałką z bambusu; wrzeszczą klarnety krajowego wynalazku, piszczą piszczałki, brzęczą gitary, chrypią flety; daléj jeszcze trąby, dzwonki i bębny pomagają do straszliwego hałasu. Im przeraźliwsza muzyka, im krzykliwsza, tém ona cudowniejsza dla chińskich znawców. System muzyki u Chińczyków nie ma wyobrażenia o półtonach, a tém mniéj o kontrapunkcie; wszyscy w najszczęśliwszym razie grają unisono, a jak się już bardzo wysadzą, to jedni odzywają się o oktawę wyżéj lub niżéj od drugich; harmonia zdaje się im być chaotycznym nieładem (**). Wierzyłbyś tedy, że to w Chinach miała się najprzód urodzić muzyka! że Konfucyusz, układając śpiewnik swój, dobierał nuty z trzech tysięcy starych pieśni! że ten pięciotonowy system muzyki znany jest w Chinach od półpięta tysiąca lat, że miał przywędrować w poprzek Azyi aż do mglistych gór Szkocyi, kędy się po dziś dzień przechował w śpiewach górali! (***) A przecież muzyka jest w wielkiéj czci u Chińczyków; miło téż było czytać, jako po ukończeniu ostatniéj wojny z Anglią, chińscy generałowie, zaproszeni na ucztę na okręta angielskie, przy kielichach kolejnych na wyścigi śpiewali z gospodarzami swoimi. Sami marynarze angielscy przyznają, — a to nie mało znaczy, — że śpiewy nie były bardzo wdzięczne i dźwięczne, ale za to tak potężne, że się okna okrętowe trzęsły.

Lecz kortyna się porusza, podnosi się. — Występują na scenę dwa ogromne smoki, z całą uroczystą powagą wysuwają się naprzód; teraz kłaniają się mandarynom po prawéj, potém mandarynom po lewéj stronie. Bo w Chinach nawet smoki znają uszanowanie dla dygnitarzy! Stanęły już smoki nieporuszone. Teraz zjawia się na scenie księżyc w okazałéj pełni i śmiało staje wśród onych smoków straszliwych; smoki przypatrują mu się zjadliwém okiem, obchodzą go w koło, mierzą go, rozdziawiają paszcze; znać wyraźnie, że radeby go połknąć, ale w końcu ze wstydem poznają, że to rzecz niepodobna. Więc ukłoniwszy się mandarynom, siedzącym po prawéj stronie, potém mandarynom po lewéj, odchodzą „skonfundowane“ na

(*) *Davis* l. c. Rozdz. XVI.
(**) *Davis* l. c. T. II. Rozdz. XVII.
Lay l. c. Rozdz. XVII.
Klaproth, Asiat. Mag. I.
Du Halde T. III, § 2, 285.
(***) *Fink*, Wandelungen der Tonkunst. Rozdz. VIII i nast.

wielką pociechę i radość całéj publiczności. Księżyc zostaje jeszcze przez chwilę na miejscu, spokojny, pełen sprawiedliwéj a zacnéj dumy; w końcu, w uczuciu odniesionego zwycięztwa kłania się poważnie i odchodzi. Zasłona spada. — Wtedy z lóż, z parteru, z góry i dołu, z przodu i z tyłu teatru hukną oklaski; każdy z całego gardła: woła Hao! Hung! Hao! co znaczy po naszemu: Brawo! Brawo!

Chciéj baczyć, że tak w Chinach, jak i na całéj północy Azyi panuje mniemanie, że zaćmienia księżycowe ztąd się rodzą, że dwa smoki napadają na księżyc chcąc go połknąć, lecz że ten planeta zawsze się jakoś szczęśliwie wywija z niebezpieczeństwa. Warto też pamiętać, że astronomowie zwykli nazywać smokiem tę przestrzeń nieba (caput et cauda draconis) w któréj się zdarzają zaćmienia księżyca i słońca.

Nie ma kraju gdzieby nauki w ogólności tak były czczone jak w Chinach; nie ma literatury tak bogatéj w książki, jak chińska; nauki niby prowadzą do najwyższych dostojeństw, a przecież nie ma w nich postępu. Tutaj zaiste zegar ludzkiego rozumu stanął.

Tak i astronomia od wieków jest uprawianą i czczoną u Chińczyków. Przecież im zawsze trudna sprawa z kalendarzami bez pomocy europejskich missyonarzy. Cesarz Xun tak wielce szanował te umiejętności, iż ze szczerego złota i dyamentów sprawił sobie kulę niebieską; chował nawet na dworze swoim dwóch astronomów, z których jednemu było na imię Hi, a drugiemu Ho. Ci zacni panowie, zamiast patrzéć nieba, patrzali szklanek, nie zapowiedzieli tedy zaćmienia słońca. Cesarz Xun przeto wydał wyrok: I-o Zakazując astronomom pić wino. II-o Nakazując ściąć głowę astronomom Hi i Ho.

Wystąpiłeś znowu na ulicę, znowu ścisk i hałas; oddział wojska się zbliża! Każdy, jak może, przytula się do ścian domów. Na czele dowódzca niesiony w lektyce bogatéj. Dziwny to widok, ci rycerze! nie ma ani ładu, ani składu, ani karności w tym ich marszu. Każdy z żołnierzy, prócz fuzyi, niesie jeszcze pikę długą, a krom tego trzyma parasol od słońca i deszczu! a na dobitek każdy dźwiga jeszcze latarnią! (*) A jakież to karabiny, jaki to dopiéro tryb strzelania u nich! Jeden żołnierz trzyma rusznicę i niby mierzy, poczém odwraca głowę; potém przystępuje do niego drugi i palący lont przytyka do panewki. Zrozumiesz, iż nie trudno było też Anglikom w ostatniéj wojnie dać radę tym biedakom. Zważ jeszcze, że gdy to wojsko ma pomaszerować choćby tylko na jednę milę piechotą, by się nie „sfatygowało“, siada na wozy; toż samo czyni konnica; i ona odprawia pochód na wozach, bo jazda konna zbyt męczy kawalerzystów; konie tedy idą luzem, a co więcéj, kulbaki i całe ubranie koni także ładuje się na wozy, by się te rumaki nie męczyły zby-

(*) Journal des Débats, miesiąc Lipiec 1853 r.

tnie (*). Gdy tedy 300 żołnierzy puszcza się w pochód, trzeba im z tysiąc ludzi do podwód. Jaka piechota i jazda, taka i artyllerya. W ostatniéj wojnie angielskiéj działa chińskie pękały wśród bitwy, a tak szkodziły więcéj własnym kanonierom niż nieprzyjaciołom; z 91 armat zdobytych przez Anglików, jedna była tylko do użycia, a ta była roboty europejskiéj, i z téj jednéj właśnie trwożliwi Chińczycy nie śmieli dać ognia (**). A przecież oni to wynaleźli proch! — i znali go już wtedy, gdy się jeszcze Europie ani śniło o Szwarcu mnichu!

Przepchało się już około nas to wrzekome, nieboże wojsko, i zwraca się w ulicę główną, kędy zdaleka coś sterczy nad głowami; dwa słupy wkopane w ziemię, połączone u góry dwiema poprzecznemi belkami, z których wierzchnia pokryta dachem wywijanym chińskim; i tu smoki dla ozdoby i dzwonki; a wszystko to pomalowane na czerwono; na belce poprzecznéj napis złocisty. Tamtędy ciągnie wojsko. Te belki pionowe i poprzeczne, z dachem wywijanym, z dzwonkami i z napisem, to brama tryumfalna postawiona na uczczenie jakiemuś mandarynowi za zasługi cywilne lub wojskowe. Jeżeli ktoś bardzo i bardzo się odznaczy geniuszem i poświęceniem się za sprawę publiczną, wtedy budują mu jeszcze wspanialszą bramę, bo zamiast dwóch, wkopują w ziemię rzędem cztery kije; tak tedy brama taka ma aż trzy wchody, które wszystkie malowane na czerwono.

Poznałeś tedy już jeden przykład architektury monumentalnéj Chińczyków.

Radbym ci jeszcze pokazać jaką bożnicę; ona może jeszcze jaśniéj nam wyjawi, co się dzieje w głębi duszy tego dawnego a tak osobliwego ludu; nie braknie ich na przedmieściach i w najbliższéj okolicy Kantonu.

Po drodze przypatrz się tym różnym gruppom, co tu i ówdzie, już stojąc, już siedząc, bawią się pod cieniem olbrzymich drzew. Tu przysiadło do ziemi grono starców poważnych, brodatych, prawie każdy z nich patrzy przez olbrzymie okulary; zapewne radzą o ważnych sprawach kraju, o rzeczach ciężkiego znaczenia, o tém, co cieszy, lub co boli na sercu. Bynajmniéj — jeden z nich cmoka się z papugą, drugi ręką chwyta muchy, trzeci każe chrabąszczom koziołki magać, a kilku chłopców poważnie się przypatruje tym zatrudnieniom ojców swoich (***). Na ogolonych głowach tych chłopaków widać pełno blizn i ran głębokich — są to ślady miłości ich ojców i dowody przestróg, których nie szczędzili, wychowując synów swoich (****). Nieco daléj stanęło w kółko towarzystwo liczniejsze

(*) Journal des Débats. miesiąc Lipiec 1853 r.

(**) *Neumann*, Gesch. des englisch-chinesischen Krieges, str. 154. (Drugie wydanie tego dzieła wyszło w r. 1855. St.)

(***) *Davis* l. c. T. I, str. 321 i nast.

(****) *W. Heine* l. c. N. 339.

— słychać krzyki radości — znów się uciszyło; otóż oni zajęci zabawą wielce ulubioną w Chinach. W środku kółka miejsce puste i tutaj, niby na arenie, walczą z sobą dwie do kości wychudłe, wymorzone kuropatwy; wygłodzono te zwierzątka do ostatka; teraz postawiono je naprzeciw siebie, kładąc między biedne ptaki ziarnko ryżu; więc one o to ziarnko biją się i dziobią i ranią i trzepocą; arena pokryta mnóstwem wytarganych piórek (*). Podobnie też zabawą tu powszechnie ukochaną są zapasy dwóch świerszczów; Chińczyki póty je drażnią, póty dokuczają biednym tym żyjątkom, póki one nie rzucą się na siebie zajadłą walką, która też kończy się utratą członków lub życia jednego z zapaśników drobnych. Tuż obok téj gruppy stanął strzelec; zapewne to on dostarczył kuropatw owych; teraz trzyma pod pachą dużą czaplę, skrępował jéj boleśnie skrzydła, i, aby się nieszczęśliwy ptak nie mógł mścić dzióbem, oślepił go przewlókłszy słomkę przez powieki dolne i przewiązawszy mu ją na głowie (**).

Jeżeli prawda, com rzekł w jednym z pierwszych listów moich, że łacniéj poznasz, czém kto jest i co wart, z tego jak się bawi, niż z tego jak pracuje, tedy wyznasz, że te zabawy Chińczyków, tak okrucieństwa pełne, odsłaniają nam zaiste smętne, nocne wnętrze tego ludu. Mniemam, że stowarzyszenia, zawiązujące się teraz po wielu krajach w celu rozszerzenia uczucia litości dla zwierząt, są świetniejszym dowodem uczłowieczenia się Europy i zaiste wyższą dla niéj chwałą, niż wszystkie koleje żelazne, banki i machiny parowe, razem wzięte. Śmiałbym powiedzieć, że sposób obchodzenia się ze zwierzętami, okazuje jawnie stosunek człowieka do Boga, do Stwórcy wszelkiego życia.

Widzieliśmy zabawy Chińczyków, obaczmyż teraz jak się modlą Bogu.

Właśnie niedaleko od téj gruppy widać świątnicę, czyli raczéj zbiór świątnic to większych, to mniejszych. Całe obejście otoczone murem. Wchodzimy najprzód na podwórze pierwsze; tu rozpoczyna się już droga podwyższona nad ziemię, a wysadzona płytami granitu. Ta droga biegnie w prostéj linii na przestrzał, przez środek całego zakładu; na niéj widzisz rząd bożnic w różném od siebie oddaleniu, a znajdujących się na różnych dziedzińcach kratami od siebie odgrodzonych. Na pierwszém owém podwórzu zbudowane dwie świątnice; owa droga ciosowa przechodzi je na wylot, a tak czyni z nich niby rodzaj przysionków. Na drugim dziedzińcu widać inne świątynie, które ta droga z obu stron okrąża, tworząc jakby taras, poczém ciągnie daléj w linii prostéj ku następnym dziedzińcom i innym świątyniom. Od czasu do czasu, z lewéj i z prawéj, widać drobniejsze

(*) *Heine* l. c.
(**) *Heine* l. c.

świątnice, oddalone od téj głównéj drogi, lecz połączone z nią podobnie ścieżką wysoką i również wykładaną granitowemi płytami. Uważ jeszcze, że niektóre z tych budynków są podwyższone; do jednych wstępuje się po kilku, do innych po kilkunastu stopniach. Każda z nich ma cztery wchody, bo po jednym na każdéj stronie, wyjąwszy ostatnią, która ma tylko jeden wchód. Wszystkie pokryte owym znanym nam dachem chińskim, zadartym, wywijanym; dach spoczywa na słupach to kamiennych, to drewnianych. Słupy połączone są lekkiém drewnianém przezroczystém przepierzeniem, najczęściéj złożoném z łat, we wzorki strojne, zgrabne. Wszak te wrzekome ścianki sięgają tylko do połowy wysokości słupów, a tak nie braknie światła we wnętrzu świątnicy. Dach, słupy i ścianki powleczone w barwy świeże, jaskrawe, świeciste pokostem, często i gęsto błyszczą bogatą pozłotą. Wykonanie techniczne wszystkich szczegółów jest prawdziwie wzorowe; znać, że to rzemieślniki wyborne, pracowite.

W pewném oddaleniu stoją jeszcze na uboczy domki, zapewne mieszkania kapłanów; widać jeszcze małą sadzawkę, studnię, pojedyncze drzewa; a to wszystko umieszczone symetrycznie, składnie i ładnie.

Na stopniach jednéj z tych świątnic siedzi starzec z miną dobrodusznią; jakaś mu błogość na sercu; patrzy przez olbrzymie okulary tak wesoło i spokojnie na świat, że aż miło, a trzyma pod pachą książkę. Słuchaj, on śpiewa, a śpiewa sławne słowa, pełne zachwycenia, mędrca Tin-ki-szi:

O jakem szczęśliw żem się w Chinach rodził!
O jakżem jest szczęśliwy!
Mam dom, w którym sobie mieszkam!
Mam sobie co jeść, mam co pić!
Mam wszystkie życia wygódki!
Mam i suknie, mam i czapki!
O jakież błogie szczęście stało się udziałem moim! (*)

Te wyrazy są najpopularniejsze w Chinach, powtarzane są przez miliony serc, bo są wyrazem ogólnego przekonania. Zbliża się staruszek, spoglądając na nas tak figlarnie przez okulary swoje i wita słówkiem uczciwém „Czing-czing“ co znaczy: dzień dobry. Zagadniony, by nam przecież udzielił jakiś ustęp z onéj grubéj książki, roztworzył uroczyście i czyta: „Najuczeńsi mężowie są zdania, że stolica rozumu ludzkiego jest w żołądku“; osobliwa to filozofia téj książki! zwłaszcza iż wiadomo, że inni mędrcy chińscy są zdania, jakoby rozum w sercu mieszkał (**). Nasz staruszek ofiaruje her-

(*) *Davis* l. c. I, str. 267.
(**) *Davis* l. c. I, 322.

batę w maluchnych filiżankach; herbata przewyborna, choć bez cukru i śmietanki; potém z wielkim ceremoniałem a po różnych korowodach wykwintnéj grzeczności, przyjąwszy drobne cygaro chińskie, zaprasza cię do odwiedzenia wnętrza świątnic (*). Obiecuje wszystkie pokazać, krom ostatniéj.

W każdéj z onych dwóch wstępnych świątnic znajdziesz po cztery bożyszcza; bałwany te są ogromne, bo do 30 stóp wysokości, ohydne brzydaki, zwłaszcza jeden z nich, niby wojak groźny, patrzy się gniewnie na przechodniów, trzymając miecz olbrzymi w ręku.

Następne świątnice są prawie zupełnie między sobą podobne; w każdéj bożyszcze sążniste, a obok niego dwa pomniejsze. Któż nie zna tych chińskich bałwanów, które ongi tak często to z porcelany, to z kamienia wyrabiane, spotykano na kominkach w eleganckich salonach zeszłego wieku? lub te figury brzuchate, z miną dobroduszną, jowialną, o długich harcapach, jakby mrugające oczkami? Otóż takich bożyszczów tutaj więcéj, niż onych straszliwych, groźnych brzydaków. Przed niemi ołtarze dziwnie wystrugane, stoły gotowe do przyjęcia ofiar, które na nich ludzie nabożni składają; w każdéj bożnicy kadzielnica ogromna, z niéj wznoszą się dymki pachnące. Przy ścianach zasiedli kapłani, czytając, pisząc i pamiętając o podsycaniu dymów wonnych.

Patrz, w jednéj z tych bożnic klęczy na kobierczyku kobieta. Twarz bardzo szeroka, a nosek, usta, oczy niezmiernie małe, więc całe oblicze jest jakąś próżnią, jakiemś pustkowiem, niby bez wyrazu, czegoś mu brakuje. Jest to typ twarzy chińskiej, który mianowicie jest widocznym u niewiast; bo u mężczyzn broda i wąsy zasłaniają te pustki rozłożyste. Wszyscy atoli przyznają, że mimo tego wszystkiego, gdy uśmiech kobiety ożywia jéj oblicze, już ono nabiera wiele serdecznego wdzięku. Jeszcze atoli mocniéj się zdziwisz, gdy się twarzy téj pani z boku przypatrzysz. Profil dam chińskich jest iście uderzający, bo cała część środkowa twarzy, więc część między brodą a czołem, nadzwyczaj w tył cofnięta (**). Nie jeden z europejskich wędrowców, zachwycony urokiem damy chińskiéj, stracił ułudę swoją i przekonanie o jéj piękności, gdy twarz jéj przypadkowo z profilu obaczył (***).

Ta pani, klęcząca na plecionce, należy zapewne do zamożniejszéj warstwy społeczeństwa chińskiego; znać to po tych nóżkach małych, potwornych, skrępowanych jakby w pięść. Wszak to od piątego roku życia zaczyna się ta bolesna operacya; póty ściskają tę nogę, póty sznurują stopę, wywijając pod podeszwę palce, póki życie nie odrętwieje, póki ta część ciała tak cudnie przez naturę utworzona nie

(*) *Heine* l. c. N. 312.
(**) *Lay* l. c. Rozd. IV.
(***) *Lay* l. c.

obumrze, zamieniając się na kłąb potworny, martwy, bez życia (*). Przyznaj, że Chińczycy mają dziwaczne wyobrażenia o piękności i o wdzięku ludzkiéj postaci. Choć, prawdę mówiąc, ani Wenus Medycejska ani Kapitolińska, które przecież są wyrazem najwyższéj piękności niewieściéj, nie wciskały się nigdy w te bezlitośne, srogie nowoczesne sznurówki!

Widzisz, ta chińska dama trzyma w ręku puszkę małą, w niéj pełno drobnych patyczków, i póty nią wstrząsa, póki jeden z patyczków nie wypadnie na ziemię. Na patyczku litera, tę zapisuje kapłan na boku stojący. Nakoniec już i siódmy patyczek wyleciał z puszki, więc siedm liter zanotowanych. Teraz chwila stanowcza; kapłan zdejmuje ze ściany sznurek na którym ponawlekane żółte papierki, na których znowu popisane formułki i jakieś wyroki. Wybiera siedm papierków, niby wedle liter owych, i układa z nich wróżbę, niby kabałę po naszemu. Poczém dama bierze kadzidło obwinięte w skrawki papierowe, zapala je i zatyka przed bałwanami; dym rozpływa się wonią po świątnicy. Potém jeszcze pali papierki pozłacane, posrebrzane, i na tém już koniec jéj nabożeństwa (**).

Widzisz tedy, że to nabożeństwo nie jest bynajmniej skupieniem się ducha w sobie; człowiek tutaj nie daje jeszcze posłuchania bożym głosom, odzywającym się w sercu jego; ta pobożność cała jest jedynie wykonywaniem mechanicném czczych ceremoniałów, w których duch nie jest obecnym. Tutaj człowiek żyje cały na zewnątrz samego siebie, więc téż cackami, materyą bezduszną kwituje się z niebem i z własnym duchem swoim, a tak fraszkami świecistemi wiąże doczesność z wiekuistością, niebo i ziemię. Ale-bo téż tutaj i to niebo jego jest ladajakie! Duch człowieka nie zwrócił się jeszcze ku sobie, nie utonął jeszcze w świętych tajemnicach własnych głębin swoich. Ztąd téż jak nie zdoła odróżnić istoty duchowéj od materyi, tak nie zdoła poznać prawdziwego stosunku ducha i materyi; więc mięsza dziwnym zamętem oba te światy i dziwacznie w jego wyobrażeniach pogmatwały się niebo i ziemia, doczesność i wiekuistość. W téj dzikiéj atoli chaotyczności dwóch światów przeważają moce zmysłowe, materyalne. Czyliż tedy dziwno, iż tam lęgną się pojęcia, któreby zaiste były komiczne, gdyby nie były tak smutne, i byłyby smutne, gdyby nie były znowu tak śmieszne. Wystarczy, jeżeli wiernie opowiem, co się pewnego dnia przytrafiło Ojcu Le Comte, a powtórzę ci dosłownie wyrazy jego.

„Zdarzyło się pewnego razu, powiada on, że mnie wezwano abym ochrzcił chorego Chińczyka. Był to siedmdziesięcioletni starzec. Jakże wielce jestem wam, Ojcze, obowiązany, rzekł chory, żeście

(*) *Lay* l. c.
(**) *Heine* l. c.

przyszli by mnie z katuszy ostatnich wybawić! Ale wytłómaczę się bliżéj. Może wam wiadomo, że od dawnych lat żyję na łaskawym chlebie cesarza. Bonze nasi (kapłani), którzy przecież doskonale wiedzą, co się dzieje na tamtym świecie, zapewniają mnie, że będę musiał odsługiwać się za te łaski za życia doznane, że po śmierci dusza moja wstąpi w ciało konia pocztowego, że tedy będę obowiązany roznosić rozkazy cesarza w dalekie prowincye państwa. Napominają mnie przeto bym, gdy już tym koniem będę, sumiennie dopełniał powinności moich, bym nie wierzgał, nie rżał, nie kąsał, nie furkał! Kłusujcie żwawo, mówią do mnie, żryjcie mało, bądźcie cierpliwi, a łatwo być może, że bogowie z potulnego zwierzęcia uczynią was jeszcze znakomitą osobą i dostojnym mandarynem! Otóż ta myśl jest dla mnie okropną: drżę cały, dręczę się nocą, męczę się nią we śnie! Zdaje mi się czasem, żem już koniem pocztowym, co się wydziera, gdy go postylion biczem zatnie. Jak tylko się obudzę, jestem jakby w łaźni, i nie wiem, czylim jeszcze człowiekiem, czyli już koniem..... Powiadano mi, iż wyznawcy waszéj religii nie ulegają takiemu nieszczęściu..... Więc proszę was przyjmijcie mnie do waszéj wiary. Wiem, że trudno dotrzymać jéj przepisów, ale niechajże już i tak będzie, wolę być na tym świecie chrześcianinem, niż na tamtym świecie koniem pocztowym“ (*).

Czas jednak, byśmy się od tych uwag i gawęd puścili w dalszą przechadzkę; wszak po za świątynią naszą ciągnie się mnóstwo letnich pałacyków bogatych mieszkańców Kantonu. A każdy z tych dworków otoczony ogrodem; a w tych właśnie warto przejrzyć się po trochu, bo ogrody zaiste wyjawiają nam dokładnie stosunek każdego ludu do natury, a tém samém nastrój duszy jego pod względem sztuki, bo i fantazya artysty czerpie z natury osnowę swoją. Wstąpiwszy do jednego z tych zakładów, zdaje się zrazu, żeś wśród przepysznego angielskiego parku. Doliny miłące się, o trawnikach świeżych, wonnych, kwiatami przeszywanych; strumienie, potoczki srebrną wstążką bieżące po dolinie; a mruczą i wykręcają się kapryśnie po murawie; to znów kryją się pod bukietami krzewów kwitnących, to znów ciskają się ze stromych skał, a te skały dzikie, fantastyczne wznoszą się chaotycznym nieładem, a grożą i straszą, jakby były dziećmi onych gwałtownych wywrotów natury, które przeszły ziemią. Tu znowu stawy o rysunku grymaśnym: w nich rody ryb i roślin wodnych, ciekawe słońca, wyglądają na świat promienny z chłodnego błękitu kryształowych pałaców swoich. Tam gaik śpiewny uwieńczył pagórek łagodny, a wśród cieniów świeci się domek schludny, wesoły a przez strumienie przeskakują od niechcenia mosty sielskie z białéj brzozy. Słowem, gdy staniesz wśród ogrodu tego a spojrzysz w koło siebie, poznasz, że ogrody, zwane u nas angielskiemi,

(*) *Du Halde* l. c. III, — I Oddział § 54.

są czystym wynalazkiem chińskim. Że zaś tak istotnie się rzecz ma, toś mi świadectwem powaga najzacniejszych autorów (*).

Zdawałoby się tedy, że w zakładaniu tych ogrodów kierowała myśl szczęśliwa pomagania naturze, więc potęgowania przyrodzonych jéj uroków, więc nie przeszkadzania jéj w téj swobodzie, zradzającej rozmaitości bez końca; bo to właśnie ta gra ślepego przypadku tworzy jéj wdzięki najwyższe. Przecież ośmielam się powiedzieć, że byleś się tym ogrodom i tym opisom ich bliżéj przypatrzył, łatwo w nich dowidzisz, jako i tutaj chiński charakter nie odstąpił siebie. Rzekłbym, że naturalność jest tutaj przesadzona, a tém samém przerzuca się w drugą ostateczność, bo w wymuszoną sztuczność. Prawda, że dolinki w tych ogrodach nie są podobne do siebie, że każda jest inna; ale różnica jest tak wymyślna, tak wyrafinowana, że wyraźnie znać, że łopata i taczki były tą przypadkowością, tą igraszką natury. Skały sterczą niby tak strasznym, chaotycznym nieładem, iż łatwo poznasz, że ten nieład jest przygotowany, że ta chaotyczność jest skutkiem długiego namysłu. Nigdy też w naturze zdrój nie wytryśnie z takich skał i takim trybem, jak to widzisz w tych ogrodach chińskich, ani też żaden strumyk, żaden potok w naturze nie biegnie z takiemi grymasami, jak te wody chińskie. Otóż tutaj ta chińska natura jest więcéj przypadkowa i naturalna, jak natura sama. Tutaj gospodarzy przestarzała cywilizacya, sztuczność wykwintna, co udaje przyrodę i jéj prostotę, pełną naiwności, i dla tego właśnie tak jest wstrętna, tak obrzydliwa.

Zgodzisz się zapewne ze mną, że każdy zrozumie, gdy kobieta zechce niekiedy sztucznemi sposóbkami przyjść w pomoc mdłym wdziękom, i byleby w tém nie było przesady, toć już nikt tą chętką się nie zgorszy, bo ona tak jest naturalna, tak wrodzona niewiastom, że jest prawie ich powinnostką; a zważ, że tutaj ta sztuczność i upoetyzowanie odnosi się przecież jedynie do ciała, więc do zewnętrznéj strony człowieka, do wierzchu jego istoty. Inaczéj wcale się dzieje, gdy kobieta, co poznała świat a tajemne serca dzieje, co oddawna przejrzała stosunki ludzkie, udaje w ruchach i w zmyślonych uczuciach niewinność naiwną i naturalność pełną prostoty młodziuchnéj dziewczyny. Lecz prawdziwa naiwność a niewinna prostota pochodzi właśnie z uczuć nieświadomych siebie, z braku osądzenia siebie i świata. Sztuczność przeciwnie jest skutkiem jasnéj świadomości własnéj istoty i zupełnego ocenienia siebie i drugich; gdy tedy sztuczność takowa zmyśla prostotę i naiwność niewinną, już wtedy staje się wręcz przeciwną sobie saméj, i dla tego jest tak wstrętną, tak odrażającą. Tutaj nawet zmyślanie nie odnosi się już do zewnętrznéj strony, do powierzchowności ciała, ale raczéj do wnętrza, do du-

(*) Np. *Abel Rémusat*, Mélanges Asiatiques I, daléj *Grossier*, De la Chine, Rozd. VI.

szy; tutaj kłamstwo, fałsz gnieździ się w saméj myśli. Taka to więc jest, wedle mnie, ta wrzekoma natura tych parków chińskich.

Z téj też przyczyny stokroć milsze te ogrody Chińczyków, kędy już sztuczność i przymus występuje szczerze i bez maski. W tych ogrodach już drogi brukowane w kafle szkliwem błyszczące, strumyki jawną sztucznością ujęte w brzegi wymyślne, a mostki ich złociste, kwiatki sadzone w desenie misterne, nie udają żadnéj prostoty. Jest to ten rodzaj ogrodów, które kubek w kubek przypominają te malowania, które u nas spotykasz na wazonach, umbrelach, stolikach, obiciach chińskich. Nie braknie też roślin strzyżonych we formy zwierzęce, widujesz tedy krzewy udające jelenie, konie, orły, czaple; i nie trudno o całe stada tych zwierząt, a do tego wszystkiego za wzór chińskim ogrodnikom najczęściej służą jakieś ryciny europejskie. Podziwiaj cierpliwość wieloletnią, i prawdziwie nadludzką wytrwałość, któréj trzeba było do stworzenia tych wszystkich dziwaków. Krzew od maleńkiego już był naginany, krępowany, wiązany, nacinany, by nim choć z grubsza przygotować kształt i formę, którą miał przedstawiać. Aż nakoniec po wielu latach dzieło zostało dokonane, przystrzyżone ostatecznie. Robota się kończy na wprawieniu zwierzowi porcelanowych oczu.

Jeszcze dziwniejsze są inne wymysły. Pokazują ci bowiem kilkostopowe skrzyneczki, w nich świat miniaturowy; stoją stare pradziadowe drzewa, niby leśne patryarchy; kora na nich szorstka, zwietrzała, konary potężne, zuchwałe. Wśród drzew sterczą skały pokryte mchem, w koło zioła i trawy. Te drzewa starodawne, te patryarchy odwiecznéj puszczy wznoszą się zaledwie na jedną piędź od ziemi, a stosownego też ogromu są skały, które je otaczają. Słowem, jest to widok, jak gdybyś na świat patrzał przez przewróconą perspektywę teatralną. Sztuka wymyślna, zmudna, zadając gwałt naturze, poczyniła te potworne dziwadła i zmusiła roślinność do skarłowacenia (*).

Chińczycy znają się też z gruntu na sztuce złudzenia oka co do wielkości przestrzeni. Wstąp i do małego ogródka a zrazu zdawać się będzie, że on jest ogromny, rozłożysty i obszerny. Jeden ze sposobów, których w tym celu używają, jest np. ten, że na przedniém tle sadzają drzewa potężne o silnych konarach, o dużym liściu i mocnéj barwie, a im daléj, tém też mieszczą drzewa i krzewy mniejsze, o misternych gałęziach i liściach, o barwach bledszych; tak więc tumanią widza, co do odległości i obszaru całéj przestrzeni.

Tak przeto skleiłem ci, jak mogłem, na prędce obrazek tego dziwacznego narodu; te zlepki moje mają przecież tę główną zaletę, że

(*) *Heine* l. c. N. 338. Co do sposobu używanego przez Chińczyków, by skarłowacać drzewa, ob. *Voyage dans l'Intérieur de la Chine par Lord Macartney T. I. st. 61.*

się w nich trzymałem świadków naocznych, którzy na miejscu przypatrzyli się objawom duszy tych nieprzeliczonych milionów. Nie trudno nam teraz przyjdzie wywróżyć całe wnętrze ducha tego ludu i stosunek jego do fantazyi artystycznej; a to tém łatwiéj, że choć pobieżnie, już widziałeś pojawy téj fantazyi w niektórych sprawach sztuki chińskiéj.

Wiesz, że fantazya prawdziwa wypływa z tajnego, świętego zdroju wiekuistości ducha. Bóg tchnął w człowieka nieskończoność, a ona przebywa w nim i objawia się przeczuciem najwyższej prawdy, cichém proroctwem o Bogu. Ten pierwiastek tęskni w człowieku do Boga, jako do źródła swojego, a tak staje się poczęciem i gruntem Religii. Jak atoli znowu nieskończoność Boża żyje we wszech światach stworzonych i w nich ma odbicie swoje, tak ten pierwiastek nieskończoności, człowiekowi od Boga wlany, tęskni by się stał także po swojemu twórczym i aby miał w dziele, przez siebie utworzoném, odbicie własnéj wiekuistéj istoty jego; ale to dzieło będzie już dziełem piękności, będzie sprawą twórczéj, artystycznéj fantazyi człowieka. Tak tedy, jak już zkądinąd wiész, Religia każdego ludu a jego fantazya artystyczna są w ścisłym związku z sobą. Jak przeto prawdą jest, że każdy człowiek, każdy naród, wedle własnej wartości swojéj będzie miał wyobrażenie o Bogu, tak znowu to różne wyobrażenie uzmysłowi się w sztuce jemu właściwéj.

Chcąc tedy poznać fantazyą artystyczną Chin, pytaj się przedewszystkiém o ich wiarę, o ich religią.

Słusznie powiedziano, że Chiny mają trzy religie a żadnego Boga. Pierwiastek nieskończony, wiekuistości dech, drzémie jeszcze w nocnéj duszy tego ludu; on dopiéro czeka przebudzenia swojego. W piersiach człowieka głucho, pusto, smętno; więc téż on oddany jest zewnętrznym światom i magicznym natury potęgom.

Nie będę ci się tutaj rozszerzał nad religiami chińskiemi. Wiész że na 500 a może i na 600 lat przed erą naszą Lao-tse i Konfucius pracowali, by starodawną wskrzesić wiarę, co już od wieków poszła w rozsypanie (*). Przecież ujęli oni te pradziadowe nauki jałowym rozsądkiem, ujęli głównie tylko ziemską stronę człowieka. Świat zmysłowy jest tutaj przeważającym światem. Ztąd nie ma ustalonego wyobrażenia o Bogu; tu nie ma nawet właściwéj nazwy dla Boga. Dla jednych Bóg jest przestrzenią gwiaździstą, dla drugich niebios błękitem, dla innych znowu morzem powietrznem, a znów dla innych

(*) Główne dzieło *Lao-tse'go:* Tao-te-King (droga do cnoty), oraz *Konfucyusza:* Ta-Hio (wzniosła nauka), w nowszych czasach przełożone zostały na języki francuzki, niemiecki i angielski przez takich sinologów, jak: *Abel Remusat, St. Julien, Pauthier, Plaenckner, Marshman* i inni. Zob. szczególniéj przekłady *Plaencknera*, zaopatrzone w komentarze, rzucające zupełnie nowe światło na nauki starożytnych myślicieli Chin: *Lao-tse, Der Weg zur Tugend.* 1870. *Confucius, Die erhabene Wissenschaft.* 1875. — St.

osobą cesarza chińskiego, który tu zaiste jest pośrednikiem między niebem i ziemią. Te wyobrażenia dziwnie się między sobą mącą a mieszają. Gorzéj jeszcze się stało, gdy Buddaizm z Indyów przedarł się do Chin i wziąwszy na się imię religii „Fo“ wprowadził między lud chiński istny panteizm, czyli co jedno — ateizm, wlewając w te serca głuche i ciemne ową demoniczną naukę, że najwyższą prawdą, ostatecznym początkiem a końcem wszystkiego jest: nicestwo.

Czyliż tedy dziwno, że człowiek głuchy na duszy, nie mając Boga w sercu, nie ma téż wagi a treści we wnętrzu swojém, że żyje cały na zewnątrz, światem skończonym, zmysłowym, że nie ma nawet przeczucia o swojém wiekuistém nieskończoném znaczeniu. Słowem, tutaj duch ludzki nie utonął w sobie, nie ujął, nie uznał siebie; więc téż nie zna różnicy między własną istotą swoją a istotą natury. Duch człowieka dziwnie się poplątał i pomięszał chaotycznie z mocami przyrody; nie zebrawszy się w sobie jako w twierdzy, jest na łaskę oddany siłom natury; on im się korzy, w nich żyjąc, im się oddając. Tutaj człowiek nie ma w sobie treści głębszéj, nie wyrobił z siebie indywidualności silnéj, różniącéj ludzi pojedyńczych między sobą i nadającéj każdemu z nich tak wyraźne, osobnicze piętno.

Łatwo tedy nam téż pojąć można, że człowiek na takowém stanowisku religijném kwituje się z wiarą swoją bezdusznemi mechanicznemi praktykami; rytuał zewnętrzny zastępuje rozrzewnienie religijne; kadzidła, palenie papierków złocistych, toć jest ofiara, wiążąca go z wiekuistością. Jasna téż rzecz, że nie znając, jak rzekłem, ani własnéj istoty duchowéj, ani jéj różnicy rozdzielającéj ją od natury, żyjąc poplątany z tą naturą zamętem i niby w jedności z nią, chce panować nad nią sposobami zmysłowemi, — czarami. Ztąd tedy lęgnie się ów potworny, straszliwy zabobon tego ludu.

Zrozumiemy téż łatwo, że skoro świat tameczny, nadziemski tak mało ma wagi, a człowiek cały żyje żywotem tutecznym, już tém samém najwyższą zasługą Konfuciusa było jego zwrócenie się do życia ziemskiego, praktycznego, i skreślenie nauki, czyli raczéj nauk moralności. Wziąwszy te jego księgi moralne do ręki wyznasz chętnie, że w nich dużo uczciwości, dużo zdrowego rozsądku. A przecież trudno znaléźć książkę tak ckliwą, tak nudną, jak ta niby filozofia moralności Konfuciusa. Są to niby praktyczne przestrogi, jakie każdy może zebrać długiém życiem i bogatém doświadczeniem; są to ogadane, opatrzone od dawna maxymy, a dla tego głównie tak ckliwe i nudne, że w nich nie ma ani głębi filozoficznéj, ani téż religijnego uświęcenia. Te wszystkie prawidła nie trzymają się siebie, są niby ułomkowe, bo nie mają spólnego ogniska we wnętrzu człowieka. Ta nauka Konfuciusa, jak była li owocem doświadczenia, więc pozbierana w świecie zewnętrznym, tak téż nie przejęła sobą głuchego wnętrza człowieka, nie rozgrzała sobą serca, lecz została tylko przepisem zewnątrz niego istniejącym.

Konfucius atoli mimo wysokiéj osobistéj zacności swojéj, i pod względem saméj treści i kierunku, zwichnął myśl własnego ludu, bo w niego wmawiał że on cały jest tylko jedną wielką rodziną, i że tedy jako jedna wspólna rodzina urządzić się winien.

Ztąd w Chinach wyobrażenie rodziny jest tym silnym a przeważającym pierwiastkiem, przenikającym wszystkie stosunki prywatne i publiczne, jest pulsem wszelkiego żywota.

Tutaj rodzina właściwa jest niby otoczona czcią; najwyższą powinnością są obowiązki familijne; tutaj samo nawet państwo jest uważane za rodzinę.

Każda chińska rodzina składa cześć zmarłym członkom swoim a dziadom dawnym, udając się w pewne dni roku do sali umyślnie w każdym domu ku temu przeznaczonéj, w któréj są porozstawiane figurki, wyobrażające nieboszczyków. Przed temi posążkami odbywają się ceremoniały i obrzędy; ale te ceremoniały i obrzędy są czcze i puste. A przecież rodzina tak wielkie ma znaczenie, iż każdy Chińczyk uważa sobie za najwyższe nieszczęście wygasnąć bezpotomnie; a gdy cesarz pragnie wynagrodzić zasłużonego człowieka, wtedy nie jemu, ale jednemu z jego ojców zmarłych nadaje tytuły i honory i stopnie. Tak tedy własne zasługi nie czynią nikogo przodkiem sławnym potomków, a potomkiem sławnych przodków.

Jednak, mimo téj przewagi rodziny w Chinach, nie ma tutaj rodziny prawdziwéj, jak jéj nie ma na całym Wschodzie. Zdarzają się tam zaiste przykłady rozrzewniającéj miłości dzieci ku rodzicom swoim, boć i w Chinach trudno wyprzéć się głosu natury i bożych przykazań, wpisanych od stworzenia światów w serce człowieka. Przecież nie ma rodziny! Despotyzm ojcowski, wielożeństwo, zatém nieuznanie godności niewiast, są powodem, dla którego tu nie istnieje rodzina. Wszak prawo, służące ojcu, wyrzucania na ulicę własnych niemowląt w razie, jeżeli ich wyżywić nie chce, jawnie okazuje, jak tam uczucia są skręcone. Mniejsza o to, że nas zapewniają, jakoby donoszenia o tych okropnościach były przesadzone; dość na tém, że takie prawo istnieje i że bywają wypadki, w których ojcowie używają tego prawa.

Z drugiéj strony łatwo zgadnąć, dla czego Konfucius uważa państwo jako rodzinę. Rodzina jest jednością a połączeniem osób powiązanych z sobą krwią; ma tedy podstawę materyalną, zmysłową, choć uduchowmioną. Taka jedność, taka idea była tedy sama jedna zrozumiałą dla ludu, który sam jeszcze tak jest zmysłowy, tak materyalny, nieduchowy, jak lud chiński; taki lud nie był jeszcze w stanie pojąć wysokiéj, abstrakcyjnéj idei państwa. Konfucius uczynił państwo rodziną, a mięszając dwie idee różne spaczył i wyobrażenie o państwie i wyobrażenie o rodzinie. Rodzina, uczyniona państwem, straciła na świętości swojéj rodziméj, pierwotnéj, serdecznéj. Państwo, uważane za rodzinę, wylęgło się w potwór. Innego jest rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się winny ojcu, innego rodzaju

posłuszeństwo i uszanowanie, które się należą władzy zwierzchnéj i prawu. Pomącenie tych dwóch pojęć wylęgło okropny stan społeczny Chin. Tutaj człowiek, od kolebki do późnéj starości uważany za dziecko, wodzony na pasku, nie rozwinął własnych głębi swoich, nie stanął nigdy o własnéj sile, skarłowaciał w duszy. Ten brak uczucia siebie stał się brakiem uczucia honoru; ztąd kara bambusem dotyka wszystkich bez względu, ona tutaj nie ma nic strasznego w sobie, krom fizycznego, to jest zewnętrznego cierpienia.

Właśnie jednak brak treści wewnętrznéj, więc owo przeważanie się człowieka na zewnątrz, jest powodem, że w Chinach nie ma wewnętrznego przekonania o tém, co poczciwe lub złe; tutaj nie ma prawdy moralnej, istniejącéj saméj przez się; tutaj to jest złe, co ustawa pisana zakazuje; to jest dobre, co ona nakazuje lub pozwala. Ale co więcéj, właśnie dla tego braku treści duchowéj, ustawy moralne Konfucjusa, jako też prawa i przepisy publiczne państwa, nie przenikają wcale wewnętrznego człowieka, są li czémś zewnętrznem, nie znajdującém odgłosu w sercu a przekonaniu człowieka. Jeżeli tedy w państwie zdrowém, w stanie prawidłowém społeczeństwa obyczaj i prawo w ścisłym są z sobą związku, a każdy zaś człowiek poczciwy dopełnia ustaw i praw, bo w tém iści się honor jego i przekonanie, w Chinach ustawy i prawa nie mają sprzymierzeńca we wnętrzu człowieka; każdy stosuje się do tych praw o tyle, o ile jest do tego zmuszonym zewnętrznie, o ile tego prawa nie zdoła podejść pozorami prawnemi, więc kazuistyką, więc sposobami zewnętrznemi. Ztąd frantowstwo i zła wiara Chińczyków są znane w świecie całym, tak w stosunkach prywatnych jak i publicznych. Wszak w ostatnich układach rozbiegła się wieść po Europie, że rząd chiński miał podejść Anglią, i trzeba było odwołania w pismach publicznych, aby sprostować to zdanie; okazało się jednak, że rzetelność układów raczéj była skutkiem przezorności angielskich pełnomocników, niż dobréj wiary rządu chińskiego.

Z téj czczości wewnętrznéj rodzą się nie tylko one czcze dziecinne zabawy, ale z niéj lęgnie się też owo okrucieństwo straszliwe i względem ludzi i względem zwierząt.

Nawzajem atoli grzeczność przepisana, ceremoniały zewnętrzne, formy towarzyskie, właśnie dla tego, że są powierzchowne, bywają tutaj przestrzegane z pedancką ścisłością. A znajdziesz w Chinach grube księgi prawideł grzeczności. W tych księgach wyczytasz najdokładniejsze receptarze zachowania się; tam się zawierają przepisy co np. trzeba powiedzieć przy odwiedzinach, jak nogi stawiać, co powiedzieć wprzód, co potém, jak oczy stulić; daléj, jak listy składać w danych razach; a jest nieskończenie wiele sposobów składania listów, a każdy ma swoje osobne znaczenie; trzeba długiéj, mozolnéj nauki, aby się ich nauczyć i pamiętać; tutaj lokaje przyklękują, mówiąc nawzajem do siebie, a fisy grzeczniejsze niż gdzieindziéj niewydarzone eleganckie dandysy. Istnieje i osobny trybunał czu-

wający nad zachowaniem przyjętych form (*). Słowem, cały naród chodzi tu spięty, jakby sznurówką, dusznym ceremoniałem i formą grzeczności, i tak jest skrępowany w najdrobniejszych czynnościach swoich, że mu niepodobna nigdy odetchnąć całemi piersiami.

Wyznaję chętnie, że tylko barbarzyniec i człowiek źle wychowany cenią sobie lekko formy towarzyskie; jestem nawet zdania, że formy takowe, choć się tyczą tylko zewnętrznego człowieka, mają wielką wagę; one bowiem uczą czuwania nad sobą, tłumienia w sobie niesfornéj natury i trzymania na wodzy namiętności. Dobrze wiész, jak to często w Europie ten lub ów dopuściłby się sprawy szpetnéj plugawéj nawet, gdyby się nie obawiał zgrzeszyć formom.

Powyżéj widziałeś wprawdzie widowiska sceniczne, w których głównym bohaterem jest księżyc; wiész atoli zapewne, że przecież znowu nie cała dramaturgia chińska składa się z podobnych fraszek, że owszem jest nie mała liczba sztuk teatralnych zawierających w sobie istotnie wiele zalet. Jednak wyznaję, że wszystkie te piękne szczegóły nie wystarczą, by z tych sztuk uczynić dramat prawdziwy. Jeżeli Chinom, jak widziałeś, rzeczywiście brakuje objawów niższych fantazyi, jakże się spodziewać poezyi dramatycznéj, która iście jest najwyższym szczytem sztuki pięknéj!

Prawda, że przyrządy zewnętrzne, złudzenia teatralne, dekoracye, maszynerya i t. d. nie są warunkiem wartości dramatu, toć jednak znów pewno, że, w miarę jego wzrostu i rozwoju, i te przydatki wszystkie się udoskonalają i rozwijają. Obaczmyż, co pod tym względem w Chinach spotykamy? W teatrach chińskich sama tylko garderoba jest bogatą i wielce strojną, ale zato przedsiębierca nie łamie sobie głowy nad tém, co jest złudzeniem scenicznem. Gdy np. jaki generał chiński na scenie wyprawia się z wojskiem w oddaloną prowincyą, tedy podnosi jedną nogę, udając, iż siada na konia, lub, jak u nas pacholę, jeździ na lasce, trzaska z bicza, obiega scenę; inni tymczasem bębnią, trąbią, tupią nogami i wrzeszczą straszliwie; ów generał ciągle na kiju jeżdżąc obiega scenę; nakoniec się zatrzymuje mówiąc: „otóż przybyłem!“ Gdy taki generał dobywa twierdzy, wtedy dwóch lub trzech z jego żołnierzy kładzie się na sobie, udając niby wał forteczny. Kto ma na scenie otworzyć drzwi istniejące jedynie w myśli jego, czyni ręką stosowne poruszenie i powiada: „otóż i drzwi otwarte“ i t. d. i t. d. Widać, że te chińskie artysty razem z ich publicznością podobne są do naszych chłopiąt małych, którym linia mieczem, laska dzidą, stołek koniem, szafa fortecą. Prawda téż, że takie dziecięce pojmowanie przypomina początkowe teatra europejskie, z których sobie żartuje Shakespeare w „Śnie nocy letniéj“. Jakoż w téj sztuce jeden z aktorów ma wyobrażać ścianę; radzą mu tedy, by popruszył się wapnem lub bryłką gliny;

(*) *Du Halde* l. c. II. str. 119.

a gdy znów rzecz dzieje się w świetle księżyca, więc jeden z artystów staje się uosobionym księżycem; występuje tedy na scenę z latarnią w ręku.

Mniejsza atoli o te przyrządy, bo cechą jeszcze więcéj charakterystyczną, okazującą barbarzyństwo czyli raczéj dziecinność chińskiego umysłu, jest ta łatwość, którą sztuka dramatyczna przeradza się w widowisko hałaśne, krzykliwe, w łamane sztuki, w zręczność cielesną, zwinność gimnastyczną, słowem w to wszystko, co mniéj do ducha, jak raczéj do zmysłu zewnętrznego przemawia. Ztąd też zrozumiesz, że Chińczycy mistrzami są w puszczaniu sztucznych ogniów, w rozświecaniu nocy ciemnéj milionami przeróżnych latarń.

Widzisz, że to wszystko nie zapowiada bynajmniéj głębszego pojmowania sztuki, i rzeczywiście, o ile miałem sposobność poznania poezyi dramatycznéj Chińczyków w niektórych mistrzowskich tłómaczeniach, śmiałbym powiedzieć, że to są raczéj tylko powieści dramatyzowane albo raczéj dyalogowane, i to nawet nie bardzo zgrabnie ani szczęśliwie. Pomijam już, że dramata zwykle ciągną się przez długie lata, jako np. w onéj sławnéj tragedyi: „Sierota Chiński“; rzecz się rozpoczyna przed urodzeniem bohatera sztuki, a kończy się na 20 roku życia jego. Lecz krom tego znajdziesz i inne dziwactwa. Tak np. każda figura, pojawiająca się po raz pierwszy na scenie, zwraca się do widzów i sama się przedstawiając powiada, jak się nazywa, jaki jéj sposób myślenia, jakie jéj cele, zamiary i t. d., co tém osobliwsze jeżeli figura jest złoczyńcą; tak np. w Sierocie Chińskim występuje na scenę Tu-ngan-ku mówiąc: ja jestem Tungan-ku i pierwszym ministrem wojny; daléj porównywa się sam do tygrysa, co ciągle myśli nad zgładzeniem człowieka; daléj oświadczając, jaką nienawiścią goreje względem Tszao-tun, tłómaczy z bezczelną szczerością, jakich używa podstępów, zdrad i okrucieństw, by zgubić nieprzyjaciela swojego i jakie w téj chwili ma zamysły i t. d. A w dramacie Hoéi-lan-ki czyli w „kółku krédą kreślonem“ (*) pani *Ma*, co późniéj truje męża, tak się przedstawia publiczności: „Mężczyźni nieustannie wielbią powaby moje, więc téż chęci podobania się przypisać należy rumieńce na licach i barwy koralowe ust moich; ale wystarczyłaby miednica z wodą, by w okamgnieniu zniknęły te piękne kolory... Ja jestem pierwszą żoną pana „Ma“... udało mi się zawieść ufność mojego małżonka. W sąsiedztwie mieszka pewien pisarz sądowy“ i t. d...

Prawda, że ten zwyczaj oświadczania się publiczności znajdujemy téż niekiedy w greckich dramatach, ale tam zaiste ma inne znaczenie, a nadto ten widz, ten lud grecki inaczéj zupełnie waży w swojéj historyi ojczystéj, którą mu odgrywają na teatrze, aniżeli te

(*) Hoéi-lan-ki ou l'histoire du cercle de craie, drame en Prose et en Vers, traduit du Chinois par St. Julien. Londyn 1833.

chińskie biedaki w tych dziejach mdłych państwa swojego. A przyznasz zresztą, że jeżeli dzieła dramatyczne są arcydziełem greckiém, toć już pewno nie dla tego zwyczaju, o którym mówimy, a który jak nie jest zaletą teatru greckiego, tak też nie jest główną wadą teatru chińskiego.

Dramatowi zbywa w Chinach na warunku żywotnym. Świat chiński jest światem w sobie zwichniętym; więc też to pathos, to uczucie wszechmocne, tragiczne, porywające człowieka do działania, nie ma prawdy w Chinach; a lubo jest niby prawdą dla Chińczyków, toć właśnie dla tego, że jest krzywe w sobie, że jest uprzedzeniem dowolnie przyjętém (konwencyonalném), nie może mieć nawet u Chińczyków téj wagi głębokiéj, jaką mają prawdy czerpane z ogólnéj natury ludzkiéj, nieprzemijającéj nigdy. Uważ, że w tragedyi „Sierota Chiński“ rzecz głównie na tém się zasadza, aby ocalić chłopczynę, który sam jeden pozostał z całéj wyrzniętéj rodziny. Własna matka, widząc niebezpieczeństwo dziecięcia swojego, rozpacza wprawdzie, ale jéj rozpacz nie jest boleścią przejętego trwogą serca macierzyńskiego, lecz pochodzi jedynie z obawy, by nie zaginął mściciel zamordowanéj familii i dziedzic jéj imienia. Tsching-yng lekarz ocala pacholę; on własne dziecię swoje podstawił na miejsce onego malca na śmierć przeznaczonego. Do tego poświęcenia zaś zniewala go przekonanie, że gdy jego własna rodzina jest tylko uboczną gałązką onéj rodziny przeznaczonéj na śmierć, więc mu się zdaje, że lepiéj poświęcić gałązkę, niż konar główny. Wszak i on sam, straciwszy syna swojego, płacze nad nim, ale nie płacze rozdartą duszą ojca, lecz z rozpaczy, że dziedzica mieć nie będzie. Widzisz tedy, że się tutaj wszystko dzieje prawdziwie z chińska.

Przyznaję atoli, że wiele piękności jest w téj tragedyi, że niektóre sytuacye zręcznie obrachowane, że w niéj wiele uczuć rzewnych. Inaczéj wszelako być nie może. I Chińczyk jest człowiekiem, i w jego sercu żyje prawda, choć przygłuszona, choć oskorupiała przesądami.

Zwracam uwagę twoją na jeden jeszcze zwyczaj zachowany w tym dramacie, podobnie jak i we wszystkich sztukach teatralnych w Chinach. Rzeczy zwyczajnego, potocznego znaczenia wymawiane są przez aktorów zwykłym sposobem; gdy zaś występuje uczucie mocniejsze, głębsze, wyrażające czyli to boleść, czyli to radość, czyli niepokój lub strach, wtedy osoba dramatyczna przemawia śpiewając. Ta liryczność, wpleciona w dramat, wedle mnie dowodzi instynktu szczęśliwego dramaturgów chińskich i jest rzeczą nierównie właściwszą niż tryb naszéj europejskiéj opery, w któréj treść najbłahsza, najprozaiczniejsza, równie bywa śpiewaną jak uczucia gwałtowne i myśli wzniosłe. — Wróćmy atoli do naszéj tragedyi. Żal mi, że nie mogę korzystać z przygotowanéj dawnéj pracy, w któréj, rozwijając osnowę całéj sztuki, umieściłem najważniejsze ustępy; byłbyś więc tém łatwiéj przystał na moje zdanie o téj dramaturgii chińskiéj. Rzecz o tych Chińczykach jednak już i bez tego urosła mi zbytnie

pod piórem i zabrała więcéj miejsca, niżby się jéj słusznie należało. Dodaję przeto tylko jeszcze jedną uwagę. Jak społeczność chińska nie jest gruntem właściwym dla rozwijającéj się indywidualności człowieka, tak i w dramacie jéj charaktery nie zdołają się rozwinąć, figurom brakuje wnętrza, one nie mają ani głębi duchowéj, ani sumienia; a jak w téj społeczności nikt nie może się ruszać swobodnie i odetchnąć całemi piersiami, tak i na teatrze siatka nitek konwencyi, przesądów, i dziwactw krępuje dusze postaci działających. Ztąd tutaj atmosfera tak ciasna, duszna, dławiąca. Nakoniec zważ, że usposobienie umysłu chińskiego nie jest pewnie stanowiskiem, z któregoby przejrzéć można wskróś rządy świata, co niewidome dla oka zmysłowego, zewnętrznego, władają losami ludzi i świata całego.

Z tego, co rzekłem, z łatwością już odgadniesz jaka jest i lira chińska; nie zbywa nam na poematach chińskich tłómaczonych na języki europejskie. Uczucia w nich miękkie, łagodne, sentymentalne; te piosenki bywają słodkie, miluchne; ale im, równie jak całemu usposobieniu duchowemu tego ludu, brakuje głębi prawdziwéj. Spiewak nie zapuszcza się nigdy nurkiem w topiele duszy swojéj. W innych krajach boleści i uciechy, rozlane po wszystkich sercach, zbierają się w piersiach wieszcza, a on za cały lud swój cierpi, śpiewa i kona. Gdy ta pieśń zadrga w głębiach istoty wieszcza, już zatrzęsie posadą ducha jego, a wieszcz sam zatrwoży się pieśnią własną; własne dzieło jego uchwyci go lękiem. Bo co uczucia, co radości i żalu w tajniach ukrytych całego kraju, to zrywa się w duszy mistrza, wypada na świat ogniem grzmiącym, niby słupem żarzącym wulkanu i lawą kipiącą. A jak te moce, co wrą i palą się w podziemnych ciemnicach, i cisną się, zwierają z sobą aż rozsadzą piersi wulkanu; tak wieszcz opłaca często żywotem swoim te kipiące potęgi we własnych piersiach i jemu często boleści serce rozsadzą ogniem, co go trawi; opłaca je żywotem swoim, i jemu niekiedy pękają piersi z cierpienia.

Ale w Chinach lira nie jest tym wulkanem wzniosłym i hardym; to wzgórze łagodne, lube, co umajone w wonne zioła i kwiaty; lud ten spokojny i cichy wije sobie z kwiatów, z ziół, bukiety i wieńce i składa je u stóp kochanki, lub matki, albo stroi niemi podnóże cesarskiego tronu.

Lira chińska, to nie orzeł, co mieszka w samotni na skalnych wysokościach a bije lotem w nadobłoczne niebo; — piosenki chińskie, to stado gołąbków domowych, chowanych, pieszczonych, co czyste, miłe, białe, gruchające szczęściem i miłostką.

Poezya cała, a mianowicie lira chińska, nie jest córą natchnionéj fantazyi, ale za to jest łamigłówką pełną zagadkowych konceptów; tyle jest w niéj sztuczności wymyślnéj, tyle niby znaczeń ukrytych, dwójznacznych, że bez osobnego komentarza trudno zrozumieć misterne myśli autora. Jakoż ku temu celowi istnieją nawet dla Chińczyków słowniki poezyi a słowniki ogromne bo o 100 lub 200

tomach (*). Gdy właśnie ta poezya nigdy się nie wznosi po nad gwiazdy i skromnie a rozsądnie chodzi sobie po ziemi, dla tego zdaje mi się, że najwłaściwszym rodzajem dla niéj są powieści ze zwyczajnego życia wzięte, których téż tutaj nie brak wcale. Te powieści obyczajowe, jakby obrazki hollenderskie przez Chińczyków malowane, pokazują nam świat prywatny, codzienny tego dziwnego ludu.

Zamiast cobym się miał rozszerzać komentarzem nad naturą tych powieści, wolę przywieść ci jedną z nich, choć jéj treść wielce skrócić mi wypada, co nie zawadzi bo jest dość nudna i czcza. Ona niechaj ci będzie typem ogólnym wszystkich podobnych romansów (**). Wszak ona doczekała się w Chinach wydań nader licznych, co już świadczy jak przypadła do smaku swojéj publiczności. Tytuł jéj „Liść Kwiatu“.

Żył niegdyś w Chinach młody słuchacz akademii, młodzieniec wielkich nadziei, a było mu na imię Lyang. Pan Lyang atoli mimo talentu świetnego, mimo żądzy mądrości, trapiony był tęsknotą niewypowiedzianą, nieukojoném pragnieniem; bo dniem i nocą przemyśliwał nad tém, jakby sobie znaléźć małżonkę godną siebie. Daremnie „chadzał do ogrodu, by uszczknąć sobie kwiaty, daremnie miluchne ptaszki witały gościa z gałązek lubych, daremnie kwiaty otulały go wonnym obłokiem“, serce młodzieńca trawiła tęsknota. „Jakże mało ludzi, woła Lyang, dosięga szczęścia, którego doznają ptaki wodne Juen i Jing, które w umizgach wzajemnych i pieszczotach lubych pływają sobie około brzegów stawu! Jakże piękne jest życie, gdy się kocha wzajemną miłością i z całego serca!“ Nakoniec woła: „oto już ja ośmnaście wiosen przeżyłem i napróżno żyłem!“ (***)

Taki niby początek téj powieści; czynię ci tu uwagę, że niezmiernie często w chińskich romansach mowa jest o kwiatach, księżycu, potoczkach, liliach, woniach i t. d. — Koniec końców szczęśliwe natchnienie poprowadziło pana Lyang do ciotki. Tutaj student rozkochany błąka się i marzy, marzy i błąka się po nocach księżycowych. Aż tu pewnego wieczora, księżyc, co to bywa opiekunem i patronem wszelkich cierpień miłośnych, ukazuje mu ogród sąsiedzki, a w tym ogrodzie altankę, a przed altanką dwie panny, grające z sobą po księżycu w warcaby. Jedna z tych dam była tak przecudna, tak prześliczna, iż serce pana Lyang rozebrała niewypowiedzianą rozkoszą „a szczęściem, któremu już żadna ludzka mowa bynajmniéj nie wydoła“.

Ale wnet losy zawistne zachmurzyły oną rozkosz i ono szczęście naszego bohatera! Panna Yao-sian, bo tak się zwało owo piękności cudo, przybyła tylko w gościnę w tamte strony. Wróciła tedy wnet

(*) *St. Julien* w przedmowie do tragedyi: Hoéi-lan-ki.

(**) Ob. *Abel Rémusat*: Nouveaux mélanges asiatiques, i tłóm. p. Dr. *Kurz* téj powieści: Das Rosenblatt, St. Gallen. 1836.

(**) *Kurz* l. c. str. 5.

do ojca swojego, a ten ojciec był generałem a niegdyś towarzyszem szkolnym ojca pana Lyang.

Po odjeździe lubéj panny Yao-sian miłość tak już była posiadła duszę młodego akademika, że już w żaden sposób nie mógł sobie dać rady; więc puszcza się za kochaniem swojém, staje na miejscu; wtedy, biorąc się na sposób, kupuje ogród, przytykający do mieszkania generała. Potém z tytułu sąsiedztwa „prezentuje się“ w domu jego.

Zapomniałem ci atoli powiedzieć, że ponieważ panna Yao-sian miała wszystkie najwyższe zalety, więc była i poetką. Otóż złożyła prześliczne wiersze na „wierzbę płaczącą, co smutne gałązki kąpie w zwierciedle wód krystalicznych ogrodowego stawu“. Dziwnym trafem ten poemacik dostał się w ręce rozmiłowanego studenta, więc téż on nie leniąc się czémprędzej wystosował piosenkę, pilnie bacząc, aby w niéj zachowaną była ta sama miara wiersza, któréj użyła ulubienica serca jego; bo zachowanie miary znaczy w Chinach, że i serca sobie odpowiadają wzajemnym zapałem. I jakoś tak się rzeczy złożyły, że panna służąca ślicznéj Yao-sian była pośrednicą téj gorącéj miłości; nie dziw przeto, że kochankowie zeszli się z sobą w ogrodzie; takie schadzki atoli bywają w Chinach, jak słychać, rzeczą arcy-niebezpieczną, i dla tego téż bardzo rzadko się trafiają. Panna Yao-sian uznała pierwsza niebezpieczeństwo takowe, więc rzekła: „Spotykamy się pod śliwą i wśród grządek, na których pełno melonów“ (nie tłómaczę ci téj przenośni, znaléźć atoli możesz bliższe znaczenie jéj u Rémusata).

Za powtórném widzeniem się kochanków nastąpiły, jak to bywa, przysięgi i straszliwe zaklęcia. Lyang sam podaje swojéj damie rotę wspólnéj przysięgi, którą ona téż słówko po słówku za nim powtarza: „Bodajbym przepadł w piekło na wieki, bodajbym nie wrócił nigdy w koło istnienia, gdybym kiedyś miał złamać te śluby moje! Bodajbyś ty utonęła w nurtach bystréj rzeki, bodajby cię nie chybił topór, gdybyś miała zgwałcić przysięgi twoje!“

Pan generał i pani generałowa, przypatrzywszy się bliżéj młodemu Lyang, widzą że to człowiek wcale do rzeczy a wielce przyzwoity; nie sprzeciwiają się tedy bynajmniéj skłonnościom córki swojéj. I jakoś wszystko ma się ku najlepszemu, gdy one losy zazdrośne znowu cichaczem gotują zkądinąd cios okropny, albowiem ojciec kochanka, nic nie wiedząc o sentymentach syna, wybrał mu już inną żonę; — więc zmartwienia, a żale, a kwasy, a zazdrość i fochy.

A jakby nie dość jeszcze biedy, waleczny generał otrzymuje rozkaz, by bez zwłoki udał się na granicę państwa i gromił nieprzyjaciół. Wyprawa jego nie była nader świetną; generał otoczony został w kółko od nieprzyjaciół srogich, więc odcięty od swoich. Wtedy Lyang śpiesznie zdaje egzamina najwyższych stopni, a zdał je z wielką chwałą; więc wedle przepisów chińskich miał prawo dowództwa nad wojskiem. Oddano mu téż korpus, z którym on rusza na owe granice, by wyswobodzić ojca swojéj drogiéj pani. Przecież, nieste-

ty, i nowy wódz, podobnie jak poprzednik, otoczony został w kółko od nieprzyjaciół i odcięty od swoich. W stronach jego rozchodzi się nawet wieść, że zginął w krwawéj potrzebie; więc w domu płacz i narzekanie. Nieszczęście takowe podaje sposobność pannie Yao-sian wywodzenia najtkliwszych żalów a trenów i wierszem i prozą. Druga zaś narzeczona młodego bohatera z rozpaczy rzuca się w rzekę! Jakimś szczęśliwym trafem atoli zdarzyło się, że niedaleko na łodzi przechadzał się pan Lung Inspektor szkół; ten, widząc tonocą pannę, ratuje nieszczęśliwą. Gdy się to dzieje, jeden z towarzyszów akademickich biednego Lyang otrzymuje dowództwo nad trzecią armią; gwałtownym pochodem staje na owéj nieszczęśliwéj granicy, uderzył na wrogów i uwolnił starego i młodego generała. Wszyscy więc wracają z tryumfem. Cesarz, wynagradzając ich zasługi i cuda waleczności, nadaje wszystkim tytuł „*Pe*“ co znaczy tyle, co po naszemu „książę“. Wszyscy też bardzo szczęśliwi; jeden tylko Lyang się trapi, bo ma dwie narzeczone! Jednak wielce mądrze sobie radzi w téj trudnéj sprawie, bo, za zezwoleniem nader cnotliwéj i pięknéj Yao-sian, bierze sobie obie za żony. A żyli długo i szczęśliwie.

List Piętnasty.

Indye.

Wstęp. — Natura Indyi. — Jéj przewaga nad człowiekiem. — Kasty. — Pokutniki i pielgrzymki. — Gminna i artystyczna fantazya u ludów. — Bagawidgita. — Wnioski, wypływające z téj pieśni. — Pojęcia religijne tłómaczą zjawiska zewnętrzne. — Panteizm Indyjski. — Mitologia. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazya odpowiednia. — Cecha téj fantazyi w rzeźbie, w architekturze, w poezyi i muzyce. — Sakontala.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyą; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i pociechy jego; a póki lud jest sobą samym, póki jest świadom siebie, póty też i ta wnętrzna poezya nie umiera, a żyje życiem pełném, choć ją głuszą światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Tą poezyą jest owa fantazya *powszechna* wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich sercach, po wszystkich latach i wiekach; — a ta fantazya, choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inną a inną; ona tak mu własna, jak ma własną krew i uczucie i myśl. Więc choć powiewy przyniosą pieśni urocze ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznéj wiosny przyniosą dźwięki cudowne, ale cudze, toć przecież

w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane zdaleka pieśni a dźwięki ulecą jako woń zbladłéj róży, jako liść laurowy, oderwany od gałązki rodzinnéj. Gdy atoli z własnéj kości, z własnéj duszy, z własnych borów i gór, i z własnego nieba urodził się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń; wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdéj śpiewno, wrząco, uroczysto, świąteczno, i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtóruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściéj wloką się ich dni i lata w ckliwéj życia prozie; lecz i w tych szarych powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom téj poezyi swojéj, byleby był zdrów na sercu i myśli, znajdzie tę poezyą swoją, tę fantazyą sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niéj się dopatrzy rozpłynnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszy głosów, niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne.

Przecież i każdy pojedyńczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubém z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niémi się pieści i bawi, niémi się chłodzi i krzepi, gdy go znękają i złamią życia trudy; on pieści się, bawi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baje, i powieści, co mu tak błyszczą, tak świecą jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciste. Wtedy znów cudem fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno pomarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy, żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów ułudy; a co wspomnień człowiek uniesie z téj życia wiosny, toć już jego własnością a skarbem złoży się do grobu; a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie ciepło, wiecznie młodo i tkliwo.

Jedna też wszystkich dzieci na północy historya. Bo gdy zimowe wichry zerwą się wieczorem, gdy wirem szalonym zatoczą śnieżne zamieci, a goniąc i pędząc przed sobą białe tumany, biją w szyby dźwiękiem żałośnym, jękiem przeraźliwym, albo też, latając po polach, kniejach, huczą, szumią, i znów po dachach, strychach, kominach, niby dusze czyśćcowe kwilą i żalą się, i płaczą i świszczą; wtedy w izbie dzieci, zagrzane igrą i pustotą, zamilkły, tulą się kółkiem do piastunki swojéj a zanim wieczorny zmówią paciorek, chciwe są jeszcze posłuchać gadki czarodziejskiéj, co straszy i pieści, grozi i trwoży i bawi. Więc dzieci w naprężonéj ciekawości przejęte rozkoszą i lękiem umilkły, cała ich dusza w uchu, a w oczekiwaniu pukają serduszka małe. Ale piastunka stara sama się kłopoci i biedzi, bo się trwoży, że jéj może już i gadek nie stanie; a w siwéj głowie, w pamięci wyschłéj radaby jeszcze odgrzebać przypomnienia dawne. I trapi się i kłopoci piastunka stara! Ale na dworze wśród śnieżnéj zamieci, wśród ciemności zimowego wieczora, snują się

postaci dziewicze, ledziuchne, powietrzne, jakby ze mgły, a z poświaty brylantowéj śniegów utkane; krążą wirem i lotnym tanem, toczą koła, a koła te coraz bliższe a bliższe, aż widziadła w okna wejrzą, aż piastunkę i dziatwę obaczą; więc wpadną do domu, i chuchną na czoło piastunki i natchną fantazyą, a staruszki czoło się rozjaśni, a oczy zemdlone znowu zaświecą blaskiem; więc już natchniona prawi dziatkom baje i plotki o królu i królowéj, o królewnie złotowłoséj, o rozkochanym królewiczu, o wróżkach, o czarownicy złośliwéj, o czarnym kogucie, o onéj szczoteczce, co w las urosła, o drzewie grającém, o ptaszku mówiącym, o górze szklanéj. Gdy piastunka baje i gada, już owo grono lekkich dziewiczych postaci obleciało wszystkie domy i chatki, i dzieci i piastunki wszystkie, a zanim świt, już przez Tatry i morza, przez Arabią czarodziejską wróciły duchy do dalekiéj ojczyzny swojéj, do dalekiéj ojczyzny nadgangesowéj, kędy grody lodowe Himalajów stanęły odwiecznym Indyom na straży.

Zkąd dzieciom ta czarodziejskich bajeczek żądza? Zkąd onym pierwotnym ludom Wschodu, tym Arabom, tym Indom, ta miłość do nadprzyrodzonych powieści? — Zkąd to podobieństwo gadek arabskich, indyjskich, do powieści, co bają niańki dziatwie po wszystkich krajach? Zkąd! — Choć każdy lud, każdy naród ma sobie właściwą fantazyą, jak ma własne serce i własną krew, choć ta fantazya powszechna jest w każdym ludzie inna a inna; toć znów prawie wszystkie ludy w dziecięctwie swojém, jak wszystka dziatwa drobna, to mają wspólnego, że ideę najwyższą zastępują sobie obrazami swojéj fantazyi. Duch człowieka przeczuwa instynktem serca, że ten świat materyalny, że ten świat skończonych, dotykalnych, widzialnych rzeczy nie jest jeszcze całą prawdą; instynktem przeczuwa, że zjawiska powszednie, codzienne, są dopiéro pierwszym pojawem, zewnętrzną oznaką duchowych prawd, co wieczne i nie przemijają nigdy. Gdy jednak duch dziatwy i pierwotnych ludów niezdolen pojąć jeszcze onych prawd wiekuistych, gdy niezdolen rozmówić się z onym duchem, którego dech jest rzeczy stworzonych żywotem, gdy niezdolen ująć wszechjestestw rozumem, więc zamiast wiekuistego ducha, widzi duchy, na miejscu nieskończonéj mądrości, fantastyczność cudotworną, zamiast przedświatnych ustaw, rządzących niewidomie człowiekiem i naturą, a prowadzących opatrznie wszystko do celu, widzi czarnoksięzkie moce; — tak rozum i pojmowanie trzeźwe, głębokie zastępuje sobie fantazyą, fantazyą powszechną wszędzie rozlaną. Bajeczki i gadki, w których rozmiłowana dziatwa, powieści czarodziejskie, zrodzone z duszy onych ludów, są iście dowodem że duchowi człowieka nie starczy świat powszedni, materyalny, że tęskni, by się wznieść nad koło poziome rzeczy skończonych i marnych.

Jak każdy człowiek pojedyńczy w dziecięctwie swojém przebył wiek fantastycznéj życia ułudy, jak każdy naród stroi początki swoje fantazyi kwiatami, tak znów ludzkość cała, wszystka Historya

Powszechna prześniła, przemarzyła w Indyach ułudny wiek swojego pacholęctwa i poranne dzieje swoje. Życie Indyi jest zaiste życiem marzeń, tu ojcowizna fantastycznych widziadeł; więc też jak dawny świat, tak dawne narody wszystkie i ludy wszystkie tęskniły do Indyi, do młodości swojéj; do Indyi one wzdychały przez wieki całe, jako do rajskiéj dziedziny, nierozczarowanéj jeszcze młodości.

Ta tęsknota powszechna okazuje się nie tylko w powieściach, w tych wszystkich świecistych bajach, złocących wyobrażenia o kraju tym, ale nawet ku tamtéj stronie świata mieli się zdobywcy i pogromcy ziemi. Ztamtąd zawiała ochota na Macedońskiego Alexandra, onego króla o sercu młodzieńczém szerokiém, o fantazyi poety, by ujrzał brzegi świętego Gangesu, i parła go ochota, aż stanął nad Indusem. Ale tu dech nieznanego świata przeszedł mrowiem żelazne zastępy jego, — i zastępy zatrzymały się nieporuszone. Nadaremnie prosił Alexander i błagał, nadaremnie zamknął się smętny w namiocie, nadaremnie: — trwogi ujęły serca niezwyciężonych hufców; — i wrócił młodzieńczy król, z nieukojoném pragnieniem, i zesmutniał, i umarł. Znowu, po wielu wiekach, one rzymskie ludobójcze legiony, którym fantazya była niby bajką, poezya zaś cackiem, a jedyną prawdą szabla, nie zdołały się oprzéć wołaniu niewidomej poezyi, która wieje przez świat i ludy, — legiony dotarły tryumfem do Indyi. Ale i na tych pogromców świata padły oczynienia czarodziejskie, i było im dziwnie jakoś i markotno na sercu; zalatywały ich wonie obcych światów i głosy niesłyszane nigdy. Znowu ruszyły orły rzymskie ciężkiém skrzydłem do swojskiéj północy, kędy znów wróciło im się panowanie nad ludami i uczuciem własném, a historya zapomniała już drogi do Indyi.

A lubo świat zgubił sobie drogę do Indyi, przecież chętnie jeszcze o nich gawędził i bajał, jakby o wieści cudownéj, czarnoksięzkiéj. Średnie wieki, co już życiem wewnętrznem toną w głębiach własnego ducha i rade zamykały się w sobie życiem domaszném, przy ognisku domowém zebrane; te średnie wieki, co same tak fantastyczne i urocze, bajały i plotły o onym kraju, kędy tak dziwne a kosztowne rzeczy rosną, kędy pieprz się rodzi i korale i cynamon, kędy ślimaki żyją perłorodne, a świecą stosy szmaragdów i rubinów, kędy wonią kadzidła i straszą lwy, tygrysy i krokodyle ohydne, a bajały o kraju, z którego dla mądrego króla Salomona przychodziły i słonie i małpy i klejnoty, gdzie się niewiasty na stosie palą, a mądrość tak odwieczna i głęboka, jak te jego czarodziejskie knieje. I spłynęły snem same te średnie wieki, i uleciały niepamięcią same te zamki i pustelnie, krzyżowcy i piękne damy, trubadury i karły, i turnieje i pielgrzymy! Życie poetyczne średnich wieków przeszło marzeniem; świat zrozsądniał, zprozaiczniał; noc fantastycznych widziadeł stała się trzeźwém, jasném południem, a Indye — Indye zostały krajem niestarzejącéj się nigdy fantazyi, krajem cudów i czarów. Tutaj wiecznie kipi i pieni się odurzający puhar marzeń.

Wszak nawet samo dzieło najtrzeźwiejszego rozumu i politycznéj mądrości urosło na tym gruncie Indyi w ogrom fantastyczny, w dziwo do sennych widziadeł podobne.

Na szaréj ulicy starego Londynu, co jest olbrzymią głową maluchnéj wyspy w Europie, zbiera się dziś od czasu do czasu niepozorne grono kupców, niepozornéj postaci. A jak się zejdą, to radzą i myślą, liczą i kombinują, a każde ich słówko centnarem złota zaważy. Ci ludzie — to władzcy mitologicznego państwa Indyi, onego państwa, co się ciągnie wzdłuż przez świat przestrzenią jak Europa od sycylijskiéj Messyny do ostatniéj podbiegunowéj, lodowéj zatoki Norwegii, a ciągnie się wszerz, ot tak, jak od Lizbony do Smoleńska. W tém państwie, jedno sto milionów mieszkańców korzy się w zupełném poddaństwie, a drugie sto lennictwem uniżoném. Te kompanie kupieckie trzymają w posłuszeństwie królów o kilkunastu milionach poddanych, a starszych dynastyą niż rodzina Burbonów; to stowarzyszenie kupców ma na żołdzie swoim liczniejsze wojska niż Francya cała, a coby było dochodem nieostatniego królestwa w Europie, to ci kupcy płacą jako pensyą, jako chleb łaskawy indyjskim książętom, królom i jednemu cesarzowi, wziętym w niewolą. Czyliż to nie są dziwy! Czyliż ta sama prawda prozaiczna nie przybiera się tu w kształty a ogromy fantastycznych marzeń, udając mityczne, bajeczne postacie! (*) — Gdy zaś już sam dech Indyi rozniecił fantazyą płomienną we wszystkich ludach nowych i dawno pomarłych, na które wionęły tchem uroków swoich: gdy na téj ziemi dziwotwornéj sama nowoczesna polityka zrodziła potęgę olbrzymią, do marzeń podobną, pomyśl, czém dopiéro być tutaj winna sama fantazya tych rodzinnych ludów, co od lat tysiąców śnią i marzą w tym kraju cudów, jako w przedwiecznéj ojczyznie swojéj! — Zaiste, tutaj sama natura jest ową piastuną czarodziejską, co oczyniła ten lud, śpiewając mu pieśni rajskiéj ułudy, otaczając go cudami stworzenia, jakby sennemi obrazy; tutaj duch człowieka ukołysany mocami przyrody drzémie i marzy; on pod urokiem demonów zmysłowych przez sen prawi, niby dziecię gorączką trawione; to uśmiecha się rozkoszą anioła, to płacze przez sen.

Tak jest, duch indyjskiego ludu nie zdoła się wyzwolić z objęcia natury, która go trzyma czarnoksięzkim urokiem.

Jeżeli gdziekolwiek, toć zapewne w Indyach przyroda kraju wyjaśni nam fantazyą, która się rozwinęła na łonie jego; jeżeli gdzie, toć zaiste w Indyach natura jest czynnikiem przeważnym w życiu, religii i sztuce ludu.

Chciéj tedy ze mną rzucić, choć polotnie, okiem na usposobienie

(*) Pogląd ten na potęgę kompanii Indyjskiéj opiera się na dziele posła szwedzkiego w Indyach, *Björnstierna:* Das britische Reich in Ostindien. Przetłómaczone na język niemiecki i wydane r. 1839, dzieło to wielce zajmujące i polecenia godne.

téj indyjskiéj przyrody; spojrzenie to, choć lekkie, będzie samo przez się już dokonaną połową celu zamierzonego w tym liście moim.

Dwie rzeki ogromne: z zachodu Indus, ze wschodu Brahmaputra, zamknęły kraj ramionami swojemi; na południu ważą się fale Oceanów. Gdy ruszysz ku północy, rzeźba kraju wznosi się piętrami, buduje się coraz wyżéj, a w odległości mil czterdziestu obaczysz już na widnokręgu niby obłok ciemny; im daléj pociągniesz na północ, tém ten obłok rośnie, wzmaga się w kształty silne, zuchwałe, rozdziela się na turnie, grody, co potężnym, butnym zarysem odcinają się na błękitach indyjskiego nieba. W końcu to budowanie Boże staje przed wędrowcem w niewypowiedzianéj uroczystości majestatu swojego. Jestto Himalaja, — wzrąb nie tylko Indyi, nie tylko Azyi, ale całéj ziemskiéj kulicy, moc i więźba. Lodowce Himalajów i śniegi promienią się w słońcu, niby srebrne zwierciadła, rozświecając kraj w około, a poświata ich dziwnie zagląda w ciemne pomroki pomarańczowych i palmowych lasów, co odziały równiny, doliny, jakby tajemnicą świętą. — Himalaja! Wszak najwznioślejszy szczyt Alpów, ów Montblanc, mógłby mu być podnóżem; boć dwadzieścia rogalów Himalai, wyższe są niż Chimborasso amerykański. Tutaj ludzka noga nie zagości, tu życie nie sięga, tutaj wieczna cisza, wieczna niemota, jak przed świata stworzeniem; tu jedynie przemawia grzmot, pioruny walących się śniegów i gruchocących się lodów. Tutaj straszliwa wspaniałość natury biegunowéj i wiekuistych mrozów, w sąsiedztwie zwrotników skwarnych, palących, założyła panowanie swoje. Tutaj téż gorejąca fantazya Bramina zapala się płomieniem na widok Himalajskiéj natury i przeradza się w cudną, wzniosłą poezyą. Tutaj Bramin widzi swoich bogów i stolicę i tron; zarysy jasne lodów i śniegów są „uśmiechem Siwy, wielkiego boga!“ Na tych przyczołach błyszczących, sasiadł tysiącooki Indra, co skały kruszy; ów bóg błyskawiczny, co, rozsyłając po ziemi pociski piorunów, pokazuje ludzkiemu rodowi łuk swój tęczą na niebie. „Tamto, po przeczystym nurcie powietrznym, żeglują potężnym szeregiem srebroskrzydłe łabędzie, posłańce obłoczne wiekuistych bogów.“ W tych pałacach lodowych rodzi się Ganges święty, wypada z pod sklepów kryształowych, ubranych w ciżbę nieskończoną sopli błyszczących. Gdy te tysiączne sople zagrają w słońcu barwami, gdy wody rzucą się w przepaść, w dyamenty się rozpryskując, wtedy zadrży podziwem serce człowieka, jako już nigdzie więcéj na świecie, a natura majestatem uroczystym myśl jego uwięzi. Rzeka Ganges przybiera się w potęgę i toczy się na południe tak olbrzymiem łożem, że w porównaniu z nim i najogromniejsze rzeki Europy maleją w niepozorne potoki. Ganges, równie jak Nil, nabrzmiewa peryodycznie, zalewając jakby morzem kraj; ale zanim jeszcze wody jego z równin do Oceanu spłyną, już na te wody uderzają upały pory gorącéj, skwarnéj. Tak wilgoć parna, a spotęgowane ciepło, razem złączone, wykipiają w roślinność tak potężną, tak bujną, o jakiéj my

w naszéj części świata wyobrażenia nie mamy; więc wegetacya tameczna dźwiga się, wytęża w kształty gwałtowne, olbrzymie, potworne. Urodzajność téj ziemi, potęga przeważna klimatu, moce materyi, tak tu są silne i wszechwładne, że ta bezduszna natura przytłumia ducha, a ciało człowieka, to arcydzieło materyi, bierze górę nad myślą jego; tutaj myślenie jest marzeniem, rozum gorącą, senną fantazyą. Nawet mieszkaniec Europy, przybywszy do Indyi czerstwy, rzeźki i ochoczy, wnet uczuje się być pod urokiem magicznym téj natury, a życie jego, ukołysane miękkością i pieszczotami klimatu, popłynie mu na poły jawem, na poły snem uludnym, wśród téj przyrody czarnoksięzkiéj, cudownéj, majacznéj (*).

Przyroda Indyjska jest swieża, potężna, jaką była nazajutrz po stworzeniu świata, i podobna do téj natury dziwnéj, któréj szczęty znajdujemy skamieniałe we wnętrzach ziemi naszéj. Tam ćmią się po wzgórzach i dolinach kłnieje nieprzebyte indyjskiego dębu (tectonia grandis), który nie ma już równego sobie na świecie w budownictwie lądowém i okrętowém. Wszak pod Bagdadem dziś jeszcze sterczą jakieś olbrzymie gruzy starego grodu, które już od lat tysiąców rozsypały się w zwaliska, od lat tysiąców pokruszyły się jego ciosy, głazy twarde; lecz pałacowe belki stare, z tego dębu wyciosane, leżą na tych gruzach tak zdrowe, tak nietknięte przez krzywdzącą moc stuleciów i potęgę trawiącą żywiołów, jakby je dopiéro wczoraj przywieziono z puszczy. Albo ta palma kokosowa (cocos nucifera), tak urocza i pełna wykwintnego stroju! Ona strzeliła pniem prostym, wysmukłym, na 80 stóp wysokim, a u szczytu rozłożyła liście ogromne kilkołokciowe w kitę wzniosłą, wesołą, powiewną. Ta palma jest jakby świętość od ludu czczona, bo ona istnym obrazem opatrznéj natury. Indowie naliczyli 99 korzyści błogich, których to drzewo użycza człowiekowi: — olbrzymi orzech jest mu pokarmem, sok napojem; we dnie otula go cieniem, w nocy dostarcza pochodni (**); z niego drzewo na domy, na łodzie i t. d.

Trudnoby nam przyszło wymienić one wszystkie kadzidła kosztowne, lub owoce i korzenie drogie, które tutaj tak bogatym posagiem dostały się téj ziemi. Wspomnę tylko o jedném jeszcze drzewie tak dziwném, że aż nadaje osobne piętno téj stronie świata i działa zarazem tak potężnie na fantazyą tego ludu, że się stało jakby symbolem i godłem jego religii i filozofii. Jestto owa figa indyjska (bananowe drzewo, ficus Indica), która w sanskrycie *aswata* się zowie. — To drzewo jest tak odrębnéj istoty, jakoby do innego pierwotnego należało świata; rzekłbyś, że ono zapamięta pierwszy dzień stworzenia. To drzewo jest obrazem religii Indów, jest jakby panteizmem roślinnym: ciągle się odradzając, ciągle się przeradzając, nie umiera

(*) *Ritter* l. c.

(**) Porównaj *Ritter*, *Erdkunde*, Tom V i VI, obejmujące „Świat Indyjski“, oraz *Bohlen*, *Das alte Indien*.

nigdy; z jednego drzewa rozrasta się puszcza niezmierzona. Konary wytężają ramiona swoje, nachylają je ku ziemi, z końców ich gałęzi puszczają się korzonki napowietrzne, niby purpurowe frendzle; te zwieszają się ku ziemi, chwytają ją, w niéj rozrastają się korzeniem, z którego wznosi się nowy pień, nowe drzewo, które znów dźwiga się, wzmaga się i buja, i znowu wytęża gałęzie swoje, by nowe wydać drzewo, i tak daléj a daléj szerzy się tajemnicza praca natury; a korzenie téj figi tak ogromnéj potęgi, że wbijają się w opoki, rozsadzają skały i rozwalają świątnice we wnętrzach gór wykute. Każde drzewo jest jakby kolumną podpierającą konary poprzedniego, niby filarem dźwigającym zielone, gęste stropy liści. Więc zewsząd roztwierają się jakby sklepiaste kościoły, na tysiącu kolumn wsparte, wzniosłe krużganki; dźwigają się baniaste kopuły, gotyckie budowania, szerzą się pałace bezmierne, rozświecone zieloną pomroką. Słowem, jestto obraz a symbol onéj myśli, drżącéj na dnie ducha Indyi, onéj myśli ciągłego odradzania się, nieskończonego odtwarzania się; jestto uzmysłowienie onéj istoty, która jest we wszystkiém a przecież jest tylko jedną i tą samą istotą; jestto symbol onéj jednéj istoty we wszystkich jednostkach, a wszystkich jednostek w jednéj istocie. A te rosnące kościoły liściaste, pałace i kopuły zielone, te budowania natury roślinnéj są ustrojone, ozdobione, wysadzone wszystkiemi dziwami bogatéj natury. Od ziemi, od spodu drzew, spinają się przeliczne pnące rośliny, chwytają się gałęzi i po nich się snują, przędą, plotą, wyszywając je jakby robotą krzyżową, cudem swoich kwiatów, co lśnią barw przepychem i odurzają wonią. Cały strop kniei jest jakby namiotem z kobierców misternie haftowanych. Lecz na tym stropie, na tych kobiercach uwija się ciżba nieprzebrana ptaków złotopiórych; tu śpiewa Bulbut, słowik indyjski o „tysiącu pieśni“; tam kołysze się wśród kwiatów wykrygowany, utrefiony Altinga, co bywa ulubieńcem i godłem kochanków w Indyach; a wszędzie gęsta gawiedź papug malowanych w lśniące barwy jaskrawe; a roje te swawolne swarzą się i prawią i śpiewają i plotą od świtu do mroku. Gdy się zerwie i uleci ten cały ród próżniaczy, pustacki, toć już doprawdy słońce się zaćmi; a gdy siądą chmarą na polu ryżowém, toć w kilka godzin do źdźbła zrabują, poczém wrzeszcząc i krzycząc z łupem do puszczy wracają.

Tak tedy i ziemia i woda, powietrze, lasy i góry i doliny są pełne silnego życia; tu wszystko się raduje potęgą natury bujnéj, swawolnéj; tu przyrodzie bezdusznéj dobrze, miło i rozkosznie; tu wre i kipi życie w tysiącznych kształtach, a natura zaziera w ducha człowieka, mająca i oczyniając siły umysłowe. Tutaj siatka magiczna, niewidzialna, związała trzeźwą, jasną myśl i rozsądek zdrowy. Jakoż ta przewaga przyrodzonych mocy nad człowiekiem, ma jakby symboliczne wyrażenie w onéj wojnie, którą wydaje natura bezrozumna indyjskiemu ludowi, a zwłaszcza w oném panowaniu dzikiego zwierza nad biednym mieszkańcem tego ogromnego ziemi obszaru.

Pomijam już te tłuszcze śmiertelnego jadu, potwornego wymiaru wężów, onych alligatorów straszliwych, krokodylów ohydnych, zaczajonych na człowieka po błotach i młakach; jest tu jeszcze inny jego wróg a wróg najsroższy. Jakoż w Indyach ojczyznę swoją ma rodzaj najogromniejszych tygrysów. Jemu to na łaskę zostawiony lud biedny i nagi, co przed nim ucieka z chatką swoją, wieszając ją po urwistych skałach i warując ją, jakby twierdzę, palami. A przecież z pod téj nędznéj strzechy tygrys wynosi nieszczęśliwych mieszkańców, jako krwawe łupy swoje, a przecież wioska po wiosce pustoszeje bezludna, stawszy się ofiarą żarłocznego zwierza. Bo tygrys, wysunąwszy się ze trzciny, z pośród tłumu ludzi wywleka człowieka; lub rzucając się z drzewa jeźdźca i konia powali, a choć nikt przed świtem i po zachodzie nie puszcza się knieją, toć przecież rzadko który z biedaków, noszących listy przez puszcze, dochodzi celu swojego.

To władztwo bezduchowéj natury nad jestestwem rozumném tém jest okropniejsze, tém straszliwsze, że we własnym umyśle tego ludu jest jakaś ubliżająca mu pokora przed ślepą potęgą przyrody. Gdy nieszczęśliwemu mieszkańcowi wioski błyśnie z gęstwiny krwawe oko tygrysa, wtedy on składając ręce woła: „Momu! — jam dziecię twoje, przepuść mi życie“, bo u nich jest przekonanie, że ta prośba pomoże, gdyż widzą w tygrysie wcieloną duszę jednego ze zmarłych krewnych. Matki po trzcinach składają własne niemowlęta swoje, niby na przebłaganie ducha tygrysa. A zwierz ten powszechnie jest zwany: „panem na czarnéj skale“.

Jakoż Indowie mają w wysokiém poważaniu zwierzęta, opiekują się troskliwie najniższém życiem; owady i gady znajdują staranne, troskliwe współczucie.

Atoli to przemaganie mocy materyalnych nad myślą, nad duchem człowieka, nie tylko się wyjawia w klimacie, w żywiołach, w ukształtowaniu kraju i w olbrzymich widokach natury, nie tylko wyraża się wpływem potężnym roślinnego świata i zuchwalstwem okrutném zwierząt i w onéj czci dla nich; ale występuje jeszcze we formie panowania własnego ciała nad rozumem, a więc istoty zmysłowéj, materyalnéj człowieka nad potęgą umysłu jego. Przepuść mi opisy obrzydłe onych rozkołysanych namiętności, owego rozbestwienia chuci zmysłowych, co miotając człowiekiem odbierają mu przytomność siebie, wiedzę własnéj istoty swojéj, co jest tém smutniejszém zjawiskiem, że człowiek ów szał opętania, owo zapomnienie siebie w rozzwierzęceniu zmysłów, uważa być czcią bóstwu oddaną. Jakoż poświęcenie się na rozpustę ohydną, bezwstydną, sromotną, ma tutaj znaczenie religijne! — To wszystko pomijamy. Zważ atoli, że ta sama przewaga materyi własnéj cielesności występuje już najsilniéj tutaj w kastach indyjskich; bo te, jak ci wiadomo, oparte na rodowém i zmysłowém, cielesném pochodzeniu, gdyż chodzi między ludźmi wieść, że te różne kasty zrodziły się z różnych członków Brahmy,

najwyższego boga. Kasty indyjskie przygłuszyły uczucie jedności całego narodu; one nawzajem na siebie nie działając i nie oddziaływając, nie odtwarzając się nawzajem, trwały w odgrodzeniu od siebie, spróchniały w sobie; tak całość społeczeństwa strupiała, nie doszła nigdy do idei państwa.

Cztery były kasty. Najwyższą jest kasta Braminów — są to bogi wcielone. Kto z innéj kasty ujrzy Bramina, już pada przed nim na oblicze, wołając: „Tyś jest Bóg!“ Ich osoby nienaruszalne; najdrobniejsza krzywda im wyrządzona nie może być nigdy odpuszczona, odpokutowana; bo ktoby Bramina choć źdźiebełkiem uderzył jest przeklęty na wieki; ale sam Bramin choćby za najcięższą zbrodnię dotknięty bywa jedynie karą pieniężną. Bramini zdołają naturze rozkazywać i działać cuda. Aby zaś być Braminem nie potrzeba żadnego ukształcenia, bo Bramin jest tém, czém jest, z urodzenia; własne przyczynienie się do znaczenia, nadające wartość osobistą, byłoby przeciwko zasadzie; dla tego też ich obowiązki ograniczają się ceremoniałem czczym, bezdusznym, tudzież baczeniem na przepisy drobnostkowe, puste, bezrozumne (*).

Z drugiéj strony rzuć okiem na tę kastę wzgardzonych Puleasów; są to potępieńcy zohydzeni, im nie godzi się chaty stawiać; oni zniewoleni żyć pod strzechą ze wszech stron otwartą na wiatry i zimna, lub chować się po gałęziach drzew albo wandołach, na gotową pastwę dzikiemu zwierzowi. Nie wolno im oddychać tém samém powietrzem, w którém żyją inni ludzie, bo sam widok ich trefni człowieka innéj wyższéj kasty; gdy go tedy obaczą zdaleka, krzyczą i wyją przestrzegając o swéj obecności, i nim tamten nadejdzie, chowają się w gęstwinę lub na szczyt drzewa. Gdyby atoli, mimo tego, przypadkiem jakim zeszedł się przeklęty Puleas z kimkolwiek z wyższéj kasty, wtedy zabijanym bywa jakby zwierz dziki. Gdy głód wypędza ten ród nieszczęśliwy z boru, wtedy zdaleka od mieszkań ludzkich stawiają na ziemi koszyczki plecione swéj roboty i odchodzą, czekając, póki jaki wieśniak litośny, zabrawszy koszyk, nie położy na miejsce jego odpowiedniéj wartości zboża, lub innego podarku. Będąc przymuszeni z oddalenia wołać na ludzi, ci biedacy oduczyli się mowy ludzkiéj; ich głos podobny jest do ryku zwierząt. Gdy cień Puleasa padnie na wodę, już ona strefiona, i winna być oczyszczona promieniem słonecznym lub księżycowym. Puleas nie jest objęty księgą ustaw karnych; on nie ma żadnych praw, a więc obelgi, męki i śmierć jemu zadana, nie są wcale wyrządzoną mu krzywdą. A patrzajmy, ten Puleas jeszcze nie jest ostatnim w po-

(*) Braminowi np. nie wolno patrzéć się na żonę swoją, gdy ona ziewa, jé, kicha; ani przelazić przez postronek na którym ciele uwiązane; nie wolno mu chodzić po skorupach, ani pozierać na wschodzące lub zachodzące słońce i t. p., a jeżeli Bramin na starość uda się na życie samotne w puszczy, wtedy już wysokiego stopnia świętości dostępuje.

gardzie, on nie jest jeszcze najniższą kastą; ten Puleas jeszcze się mieni za szczęśliwszego od Pariasa; uważ, że w kaście Pariasów znów są trzy stopnie poniżenia, a myśl mrowiem przechodzi, iż w Indyach jest Pariasów trzydzieści milionów.

Taki los jest ogromnéj ilości ludzi w kraju, w którym, jakby na drwiny ludzkiego rodu, małpy uważane bywają za leśnych bogów, i razem z innemi bożyszczami odbierają cześć i hołdy; tutaj zwierzęta najpodlejsze, owady nawet, mrowki, mają szpitale opiekuńcze swoje i domy ochrony. Uważmy nadto, że ci Indyanie w ogólności są narodem miękkim, zniewieściałym i tkliwym!

Obejdzie się już bez dalszych przytoczeń, bo z tego, co tu wspomniałem, już dostatecznie widać tę straszliwą przewagę materyalnéj zmysłowéj natury, a mianowicie własnéj cielesności człowieka nad duchem, łatwo téż już z tego odgadnąć zdołasz, jako tutaj potęgi materyalne miotają umysłem ludzkim; jak ten krzywy stosunek duszy do mocy materyalnych wypacza właśnie jéj czynności a przedewszystkiém skręca fantazyę, która, jak wiesz, z istoty swojéj odziewa treść duchową w kształty zmysłowe z natury wzięte.

Lecz dziwna sprzeczność gnieździ się w sercu Indów! Obok brzemienia przyrody, co cięży snem okropnym na piersiach ludu tego, znajdziesz ostateczność drugą, bo właśnie najogromniejsze zrzeczenie się cielesności i uczuć zmysłowych, znajdziesz poniewieranie rozkoszy, pogardę dla najsroższych katuszy i boleści fizycznych, spotkasz jakąś żądzę szaloną zadawania sobie cierpień bez miary i mąk niewypowiedzianych. Przywodzę ci tylko na pamięć onych pokutników i pielgrzymów indyjskich. W odłączeniu od świata żyje pokutnik (Yogi); liść suchy i woda jest strawą jego, a odzieniem, jak się wyraża dawna pieśń, rośliny pnące, które obrastają mu ciało i kaleczą go i krępują, a barki i ramiona okrywają gniazda ptaków, a mrowisko przysypuje nogi jego. W innem miejscu siedzi inny pokutnik wśród czterech rozpalonych ognisk, a z góry słońce zwrotnikowe dopieka ciału jego. Owdzie znów inny wyciągnął ręce nad głową, chwycił się gałęzi, i trzyma je wytężone, póki już na życie całe nie stracą władzy, póki nie zeschną same na suche i martwe patyki. A znów inny pokutnik, tocząc się po ziemi, odprawia pielgrzymki dalekie; inny rzuca się na ziemię wzdłuż, i znowu wstaje, i znowu się rzuca, mierząc długością całego ciała swojego oddalenie do miejsc świętych. Inny nakoniec ścisnął ręce w pięść, aż przez długie lata paznogcie przebiły dłoń, przerosły na wylot rękę, i drugą stroną na jaw wyszły.

Jakoż odbywają się jeszcze podobne umartwienia na wielką i straszliwą stopę. W jedném zakąciu Indyi — gdzie wśród srogiéj, rozdartéj, alpejskiéj natury, orze się głębiną stromych skał rzeka Narbuda, i tłucze się pieniąc i szumiąc po opokach przepaścistego łoża swojego — czernią się w koło do chmur sięgające góry, porosłe ciemnym lasem, gdzie czarny tygrys ma panowanie swoje i gniazdo.

W miejscu, gdzie już najgwałtowniéj a z chyżością strzały przemyka się Narbuda, wody jéj rozszczepiają się w ramiona, tworząc wyspę Mandatę. Ta wyspa jest jedném z mnogich cudownych miejsc Indyi. Z dalekich kończyn kraju puszcza się pielgrzymką lud, by oddać cześć bożkowi Machadeo (Siwie), który tutaj czczony bywa wymawianiem bez końca zgłoski Om! Om! Na téj wyspie jest mieścina Omkar-Mandata i bożnica niewielka, lecz pełno około niéj wrzkomych cudów, skręcających mózg fanatycznym tłumom. Tamto rośnie drzewo Kuri, pod którego białą korą znaleziono litery sanskrytu, znaczące Ram! Ram! imię jednego z bożyszcz; tam są jaskinie, odpowiadające setném echem a głosem ogromnym na ciche zapytania, a widok już bożnicy cudem działa na pielgrzymów, bo uzdrawia kalectwa i choroby mnogie. Braminowie, służący świątnicy, bogate korzyści ciągnąc z wiary powszechnéj, podniecają jéj ufność bezmyślną i radzi są ze skręcenia rozumu łatwowiernéj tłuszczy. Więc téż jedni z pielgrzymów każą się na cześć miejsca żywcem w ziemię grzebać, inni zaś jeszcze okropniejszą sobie gotują śmierć. Jakoż powyżéj świątnicy wznosi się ogromne urwisko skały nazwane *ofiarną opoką;* ona sterczy pionowo nad zawrotną przepaścią; z niéj szaleńcy rzucają się w otchłań, by się nieba dosłużyć. W połowie téj przepaści czerwoną barwą naznaczona skała wskazuje im kierunek skoku; spadając w głąb' odbierają z boku pierwsze uderzenie, a tak następnie odbijając się od skały, przepadają w głębi 150 stóp i już z kością zgruchotaną dolatują dna. Chodzi atoli stara wieść między ludem, iż ktoby tu z żywotem uszedł, zostanie Rajazem, czyli księciem wyspy; więc Braminowie tameczni, jak słychać, trują każdego przed śmiertelném jego rzuceniem się w otchłań. Widzisz, że ci fanatycy, poświęcając się śmierci straszliwéj, nie mają nawet pocieszającéj pewności, że skonem okropnym zjednają sobie łaski Bóstwa (*).

(*) Jakoż, kto się wpatrzył w karykaturę ohydną, w jaką się myśl człowieka w Indyach wykrzywić może, temu zaiste, jakby mara, utkwiło w duszy imię Gangotri. W sąsiedztwie źródeł gangesowych, pod samém gniazdem wiecznéj zimy i na wysokościach odsadzonych od ludzi, znajdziem Gangotri, jedno z miejsc, będących celem gorącego pragnienia pielgrzymów indyjskich. A droga do miejsca tego już sama przez się jest pokutą, ciemiężtwem ciała i zrzuceniem z siebie zmysłowéj natury. W to miejsce grobowéj samotności ciągną oni kilkomiesięczną drogą. A trudno już rozwodzić się nad okropnością téj ich podróży i strachami, które im towarzyszą. Natura w srogiéj dzikości spiętrzyła tutaj góry powyżéj chmur; to strzeliła w iglice skalne, to rozwarła otchłanie bezdenne. Tu olbrzymie okruchy gór, waląc się ze szczytów, podcinają niby źdźbła starowieczne drzewa, z grzmotem przelatują bory i, gruchocząc wszelką zaporę, wycinają sobie przez puszcze drogę, a część jéj sprowadzają w głębie. W inném miejscu znów drabiny, uczepione nad kilka tysięcy stóp głęboką otchłanią, albo w obłokach zawieszone kładki wązkie, gibkie i kołyszące się, umyślnie pochyło położone, na kilkadziesiąt łokci długie, prowadzą od skały do skały po nad przepaści, których dna nie dojrzysz; wymagają one zwinności i wprawy skoczków, by żywcem je przebyć. Skały i góry granitowe tutaj przybrały kształty fantastyczne, olbrzymie, to wież i niby grodów jakich, to

Przypominam ci tylko jeszcze one okropności w Jagarnat, zapewne tobie zkądinąd znane, a przywodzę je z przyczyny, że w nich właśnie połączone są dwie ostateczności; bo tu spotykają się nawzajem rozzwierzęcenie chuci zmysłowéj obok najokropniejszego zrzeczenia się siebie i dobrowolnego skonu.

Szerzy się równina na mil kilkanaście pusta, głucha, piasczysta; zewsząd bielą się kości obłąkanych ofiar, a piasek skwarny przesiąkły ich krwią. Rozpoczęła się uroczystość: wytaczają woz ogromny, olbrzymi; tysiące mężczyzn i kobiet ciągną go, na nim bożyszcze ohydne, poczwara z twarzą wykręconą, z gębą rozwartą, krwawą; ręce jego ze szczerego złota, z drogich kamieni oczy błyszczące. Toczy się wóz; teraz ugrzązł w piaskach — w téj

---

znów straszydeł i upiorów stworzonych w wyobraźni gorączką rozpalonéj; wszędzie znać, iż trzęsienia ziemi lub pioruny potargały te skały i utworzyły te wymyślne postaci i kształty.

Fantastyczniéj atoli jeszcze, niż ta natura bezduszna, wyrodziła się tutaj myśl człowieka; i ona jest straszydłem dzikiém i ohydnym upiorem; bo mnogie tłumy wędrowców pędzi tą drogą fanatyzm religijny i zawrót rozumu, do téj świątnicy, głośnéj na kraj cały. Więc w Gangotri kąpią się w lodowatéj wodzie gangesowéj, by spłókać dawne winy życia; więc gromadnie rzucają się w znak na skalistych pobrzeżach wody, utopieni w sobie, oderwawszy myśl od wszystkiego co jest, aż im się zmysły zleją w chaotyczne nicestwo; świat w koło nich i niebo nad nimi mąci się wirem i kręci. Inni siedzą pogrążeni w sobie nad wodą, lepiąc kulki ze świętéj gliny, i rzucają je po jednéj w nurty, niby ofiarne dary po zmarłych. Tamci znów przybyli z daleka, by się tutaj głodem umorzyć; z wysuszoném ciałem, okiem w słup wywróconém, podobni do mary grobowéj, mrozem i głodem skrzepli rozdmuchują popioły zgasłego ogniska, by się ocieplić w czasie skonu. Gdy zajrzysz w gęstwinę kniei, otaczającą tę scenę w koło, z pomiędzy obsłony ciemnéj sosien brodatych wymykają się, niby cienie zmarłych, postaci pokutników; oni nadzy, twarz ich sina, włosy rozczochrane sterczącym kołtunem, oczy krwią zabiegłe, ciało wyschłe, cienkiém przepasane powrósłem i zwalane popiołem i błotem; chodzą krokiem wymierzonym, i niby widziadła przemykają się i znikają w leśnéj ciemnicy. Przecież nie tu koniec tego piekła za życia. Od miejsca tego idzie jeszcze pielgrzymka, drogą czterech dni, w naturę wiecznie świeżych śniegów i mrozów biegunowych. Idą tłumami szaleńcy biedni, ale mało kto ztamtąd wraca w koło żyjących; ze szczupłym wyjątkiem na pół drogi umierają z głodu i zimna, a usiadłszy pod skałą, konają z rozpaczy, że Machadeo (Siwa) nie dozwolił im dojść celu, iż zatém ofiarę ich życia odepchnął i wzgardził; umierają w osłupieniu wśród urągowiska i przekleństwa przechodzących; lecz choćby i doszli do miejsca samego, jeszcze nie są pewni, czyli ofiara ich łaskawie przyjętą będzie. Celem ich drogi bowiem, wśród téj mroźnéj natury, jest skała sięgająca obłoków; poniżéj jéj ciągnie się druga poprzecznie z ostrym jak nóż grzbietem, i na tę ze szczytu się rzucają. Kto w łaskach Siwy, temu ona skała przetnie ciało na dwie równe połowy; kto się rzucił mniéj szczęśliwie, ten na wieki przeklęty; przeto w chwili ostatniéj, po niewymownych cierpieniach i katuszach, w chwili najstraszliwszego poświęcenia, jeszcze nie ma pewności, czyli ofiara jego na korzyść mu pójdzie. A biada temu, kto, ujrzawszy przed sobą głębie, uderzony lękiem, cofnie się i wraca, tego pastuchy górskie kamieniami zabiją, boć jest ohydnym krzywowiercą i pastwą przyszłą piekła, a niesie z sobą klęski i nieszczęścia bez końca. Bramini, co sami nie wierzą w to, co w drugich wpajają, tuczą się darami i krwią obłąkanych. Patrząc się na nich, iście uwierzyłbyś, iż to szatańskie posłanniki, zastępujący wiekuistego wroga istoty ludzkiéj na ziemi.

chwili arcykapłan rozpoczyna pieśń, pieśń tak pełną bezwstydu i rozzwierzęconéj chuci, że już żadne pióro europejskie nie zechce się zbezcześcić powtarzając jéj treść; za każdą strofą tłumy odpowiadają chórem. Wóz się poruszył, toczy się, znów się zatrzymał; wtedy lada kto z ludu (za bytności Anglika Buchanana, chłopiec dwunastoletni) rozpoczyna jakieś krzyki, jakieś mowy, a sili się na wyrazy najbezecniejsze, które tém były ohydniejsze, że podrostek ten mówił w tak gorącym zapale, z tak głębokiém przekonaniem, i towarzyszył wyrazom sprosnemi, szkaradnemi giestami, a tłuszcza rozjuszona wtórowała głośnym wrzaskiem. Przecież wóz ruszył. Wtedy wyrywa się z ciżby w szale fanatyk, ciska się pod koła; koła gruchoczą mu kości, posoka czerwieni koleje wyciśnione w piasku; niezadługo ofiaruje się drugi obłąkaniec, i znów trzeci i t. d.

W obejściu téj świątnicy mieszkają tanecznice, bajadery — jako kapłanki bożyszcza!

Na te obchody w Jagarnat zbiera się niekiedy przeszło milion ludu. Tak tutaj występuje w dwóch ohydnych ostatecznościach: oddanie się szałom zmysłowym, a zarazem zrzeczenie się życia i poświęcenie się ofiarne.

Ale to zrzeczenie się siebie wyjawia się w Indyanach jeszcze innym kształtem, bo stłumieniem, zabiciem całéj wewnętrznéj treści duszy, swoich myśli, wyobrażeń, uczuć, pamięci, wiedzy siebie. Jakoż pokutnik siada w samotném odłączeniu od świata, powtarzając bez końca słówko Om! Om! powtarza je tysiąc razy, milion razy, aż odurzeje w sobie, zapominając o wszelkiéj treści duszy swojéj, o świecie, o niebie, o ziemi, o sobie, o tém co było, jest i będzie; w duszy pusto, głucho, ciemno; nicestwo otoczyło pokutnika w koło, wewnątrz nicestwo, duch próżnią przepaścistą, bezdenną; a jest wiara, że kto tego dokaże, ten zostaje najwyższą doskonałością, staje się Brahmą, bóstwem wiekuistém.

Jednak dość już tych okropności. Com dotychczas rzekł, stanie nam za wróżbę ogólną o charakterze fantazyi Indów. W téj fantazyi znać o sobie daje potęga wszechwładna natury, co ogromem majestatu pełnym, co siłą bujną, wrzącą, gwałtowną obstąpiła człowieka dokoła i magiczną mocą oczynia duszę jego. W téj fantazyi występują te ostateczności, co rzucają człowiekiem; bo on albo się oddaje na oślep rozhukanym namiętnościom zmysłowym i hołduje zapamiętale materyalnéj naturze, albo też znowu samowolnie niweczy siebie, ofiarując się na okrutne cielesne katusze i skon pełny męki, albo nakoniec tonie w czczości i zapomnieniu siebie. Łatwo zrozumiesz, jak w tych zjawiskach dziwnych człowiekiem pomiata rozigrana własna fantazya jego, ta fantazya powszechna indyjskiego ludu! I łatwo zgadnąć, jak znowu te same pierwiastki występują w jego fantazyi artystycznéj, w jego sztuce, więc w architekturze, rzeźbie, a już najwyraźniéj w jego poezyi. Ułomek z téj poezyi

będzie tedy wprost komentarzem téj fantazyi, co gore i pali w duszy tego ludu.

Obok świętych ksiąg Wedas, mają Indowie dwie pieśni bohaterskie ogromnéj długości: Ramajana i Mahabarata; one powstały na lat tysiąc przed narodzeniem Chrystusa. W Mahabaracie jest wstęp zwany Bagawadgita (śpiew boski), a wstęp w obszerności odpowiedni olbrzymim rozmiarom całéj téj epopei, bo sam się składa z ośmnastu długich pieśni. Gdy się zjawił w przekładzie stał się podziwem Europy; rozbierali go uczeni Anglii, Francyi i Niemiec. Bagawadgita była uznaną za podanie przechowane od trzech tysięcy lat; ona jest zaprawdę najcudniejszym kwiatem, co się rozwinął jeszcze w szarym brzasku historyi świata; treść jest odurzająca a forma majestatu pełna. Ten to ustęp wybrałem, a kładę go tutaj w drobnych wprawdzie ułomkach, które atoli oswoją nas i z naturą fantazyi poetycznéj Indów, i zarazem wyjawią zasady, które się stały podstawą wszystkich systematów religijnych i filozoficznych, które żyją nieskończoną mnogością w Indyach (*).

Osnowa Gity jest następująca. Bóstwo Wisznu zchodzi od czasu do czasu z nieba, przybierając kształty człowieka. Jedném a prawie najważniejszém jego wcieleniem jest pojawienie się jako Kryszna, i w téj postaci widzimy go w Bagawadgidzie. Drugą figurą jest bohater i wojownik Arszuna, najukochańszy uczeń i wybraniec jego. Sceną zaś Gity jest owa ogromna równina w okolicy, gdzie dziś Delhi; na niéj czernią się dwa nieprzyjacielskie wojska, by olbrzymią bitwą rozstrzygnąć wojny domowe, a chodzi o panowanie nad obszarem, co się rozkłada między śnieżnemi twierdzami Himalaja i południową kończyną Indyi, co się szerzy od Perskiego morza do Chin. Wojska gotowe do boju, czekają tylko hasła by uderzyć na siebie. Otoż początek Gity, otóż słowa pieśni naszéj:

„Wtedy wódz zawołał głosem ogromnym, niby rykiem lwa, całemi piersiami zadął w muszlową trąbę, by wzniecić odwagę w szykach Kuruów, a ze wszech stron odezwała się mnogość muszli nieprzeliczona i wojennych trąb, a huk ich grzmiący zalatywał w nieprzejrzaną dal. Okazał się teraz, stojąc na wozie bojowym a pełnym przepychu, Arszuna. Śnieżnemi końmi powoził Kryszna, a oba zagrzmieli w muszle niebiańskiego kształtu; wnet wszystkie wodze a zacniejsze wojowniki ozwały się muszlowemi trąby; jęk ich przeraźliwy przeniknął wskróś serca Kuruów, a ziemia i niebo zwracały go piorunnym odgłosem.

(*) *Stuhr*, Die Chinesische Reichsreligion und die Systeme der Indischen Philosophie. 1836. Porównaj rozprawę: Ueber die unter dem Namen Bhagawadgita bekannte Episode des Maha-Bharata von *Wilhelm von Humboldt*. 1826.

(Z pomiędzy nowszych prac, dotyczących religijnych i filozoficznych poglądów Indów, zasługują na uwagę: *Colebrooke*, Essays on the philosophy of the Hindus. Nowe wyd. z r. 1858. *J. Mullens*, The religions aspects of Hindu philosophy. 1860. *A. Ludwig*, Die philosophischen u religiösen Anschauungen des Veda. 1875. Tu należą prace *Maxa Müllera* nad literaturą sanskrytską i porównawczą mitologią. — St.)

„Gdy Arszuna obaczył wojsko, pragnące krwawego boju, i gdy już gromadne strzały świstały w powietrzu, wtedy wziął łuk swój i temi słowy mówił do Kryszny: — „„Zaklinam cię, o Kryszno! niechaj wóz zatoczy nas między oba wojska, bym poznał mężów, z którymi mi dziś walczyć przychodzi““. — Kryszna zagnał wóz na środek rozlegający się przestrzenią między obu wojskami. Arszuna długo w milczeniu przypatrywał się szykom, i widział ze wszech stron dziadów i stryjów, braci i wnuków, synów i nauczycieli, najbliższych pokrewnych i przyjaciół swoich; wtedy żałość zabiegła mu duszę, uczucia zadrżały w nim bólem, a serce jego jękło temi słowy: — „„O! Kryszno, drgają członki moje, ścina się serce, powstają włosy i cała istota moja wzdryga się lękiem; z rąk wypada Gandeko, łuk mój, skóra na ciele kurczy się i schnie; ja się łamię w sobie na dwoje, stać już nie zdołam, męty zachodzą rozum mój, a ze wszech stron napadają mię przeczucia smutku pełne. Jakież będę miał prawo do szczęśliwego życia, gdy zniweczę pokrewnych moich? O! Kryszno, już nie żądam zwycięztwa, ani pragnę panowania, ani radości; bo czémże jest radość żywota, czémże jest żywot sam, czém władza, jeżeli ci, dla których właśnie życzymy sobie panowania, i szczęścia i radości, stają naprzeciw sobie do krwawych mordów gotowi? . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

„„Nie — raczéj ścierpię, by na mnie uderzyły one szeregi mordercze, niechaj umrę, bronić się nie będę!““ I usiadł Arszuna wśród obu wrogich szeregów, złożył łuk i strzały, a jego serce jękło pod brzemieniem żalu.

„Kryszna uśmiechnął się i przemówił do zatopionego w duchu temi słowy: — „„Mędrzec nie smuci się nigdy ani żyjącymi ani umarłymi! Ja byłem od wieków, i ty sam byłeś od wieków, wszyscy od wieków jesteśmy. Te ciała, co sobą obtulają duszę, są przemijające i skończone. Jak człek zrzuca z siebie dawne szaty, przywdziewając nowe, tak i dusza porzuca jedno ciało, niby przyodziewę swoją, a bierze na się inną nową, jakby przywłokę nową; dusza jest wiekuistą, nieprzemienną, choć w przemiennéj i znikomej formie. .

. . . . . .

. . . . . Więc śmiało rzucaj się w boje, wszak wojownikiem (Kszatrya) jesteś! Gdy się w męztwie zachwiejesz, przywali cię hańba — za jedno niechaj ci będzie zysk i strata, życie i śmierć. Ten tylko w sobie przechowuje mądrość prawdziwą, kto przybytek istoty swojéj zamknie żądzom, i w sobie sam umieści szczęście swoje; temu i okropność żadna nie przyśpieszy serca bicia, i nie zazna niepokoju ani lęku. Wszak ja, wszak ty, wielekroć razy rodziliśmy się na świat; ty nie znasz rodzeń twoich, ale ja znam rodzenia moje! Choć nie umieram nigdy i panem wszech stworzeń jestem, przecież, władając moją własną istotą, przybieram z własnéj mojéj potęgi

postać widomą i w niéj pojawiam się światu na zbawienie sprawiedliwych i na zniweczenie złośliwych, od wieku do wieku ... Komu dusza cała utonęła w Bramie, temu zagorejąradości niezamglone nigdy.....

„„Kto równém okiem patrzy na rzeczy wszystkie, a we wszystkiém mię ogląda, tego ja nie opuszczę, a ten mię nie opuści nigdy! Kto w jedność bóstwa wierzy i mnie się modli, mnie wszechbytnemu, ten... o! Arszuno jest doskonałym Yogi. Jak świecy płomień w bezwietrznéj izbie gore w pokoju, tak gore dusza mędrca nieznająca namiętności burzy! Niechaj nurkiem w sobie utopi się człowiek, i w niwecz puści każdą serca osnowę, którą zradza osobista chęć, niechaj stłumi zmysłów i duszy swojéj treść i nie myśli o czémkolwiekbądź! Ja jestem świata poczęciem, ja jestem świata zniszczeniem! Nie ma potężniejszego krom mię, a wszystkie jestestwa przezemnie trzymane są niby rząd pereł na nici swéj. Ja jestem wilgocią wody, w słońcu i księżycu światłem, wezwaniem pobożném w księgach Wedas, istotą człowieczą w człowieku, gorliwością w gorliwym, żywotem żyjących; ja jestem nasieniem wszechrzeczy, mądrością mądrego, a chwałą i potęgą potężnego; ja nie znam żądzy, nie znam gniewu! Świat bywa zniszczony po trwaniu swojém, a gdy przychodzi na niego dzień, świat się znów odradza; ale co przy zniweczeniu i wywrotach świata się ostoi, to innéj jest natury, jak rzeczy widzialne; to jest wieczne, a w téj wieczności ja mieszkam, i ta wieczność najwyższa staje się dzielnicą tych, którzy się korzą Bóstwu!““

Patrząc się na te myśli świetne, a wyrażenia pełne powagi, rzekłbyś zrazu, że to perły, gorejące rubiny i przepyszne szmaragdy, osadzone w złocie korony wschodniéj. Przecież obaczymy do jakiéj treści mądrość tu zamkniętą sprowadzić nam wypadnie.

Ten ułomek, choć tak drobny i biedny, wystarczy nam przecież może, by z niego wysnuć dostatecznie całe usposobienie indyjskiéj fantazyi.

Kryszna żąda aby człowiek spłynął z bóstwem w jedność zupełną. Tego dosięga gdy wyrzuci z siebie wszelką treść duszy, gdy ogłuchnie w sobie, gdy myśl swoją puści w niwecz; człowiek winien nie być więcéj sobą samym, stracić właściwe cechy swoje, właściwe znamiona, różniące go od innych jestestw, powinien łamać się z sobą, by się stał tylko samą pustą jednostką, która niczém więcéj nie jest, tylko czczém, gołém istnieniem. Słowem Kryszna żąda, aby człowiek zamienił się na puste, abstrakcyjne istnienie, a wtedy dopiéro spłynie z bóstwem w jedność. Przecież właśnie z tego już wynika, że bóstwo takowe samo jest także tylko owém głuchém istnieniem; bo istnieniem bez żadnych znamion i cech.

Jakoż i Kryszna sam o sobie powiada, że jest wilgocią wody, że jest żywotem, że jest słońcem, człowiekiem i mądrością — słowem,

że jest wszelką istotą, że jest każdą rzeczą, a zatém, że znamiona, cechy właściwe tym różnym istotom, a różniące je między sobą, nie mają żadnego znaczenia, są obojętne; więc Kryszna jest w sprzeczności sam z sobą, gdy mówi o chwale, o hańbie, o złém i dobrém. Jeżeli zaś żadne cechy, żadne różnice nie mają znaczenia, więc widać, że to jest jedynie prawdą we wszech jestestwach, co im wszystkim jest wspólném, co jest tłem wszelkiéj bytności. Odgarnij wszystkie cechy, znamiona, własności od jestestw różnych, coż ci pozostanie? Czcze, gołe istnienie. Zaiste, głuche, puste istnienie będzie ich wspólném istnieniem; to przeto istnienie jest bóstwem Indyan; jest u nich ogólnym świata duchem, jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem.

Zważ atoli, że istnienie takowe, nie mające żadnych własności, żadnych cech, nie będące żadną rzeczą w szczególności, nie będące niczém w szczególności — jest niczém, jest naprawdę nicestwem.

Tak przeto, wedle filozofii a religii Indyan, najwyższą doskonałością a bóstwem, z którém się człowiek zjednoczyć winien, jest czcze, ogólne istnienie, jest rzeczywiście nicestwo. Prawda, że Indyanie trzymający się Bramaizmu sami nie spostrzegli się, że dnem ich wiary jest nicestwo, przecież dowodem nawet, że nasze rozumowanie jest prawdziwe, jest już sam Buddaizm, który jest dalszym rozwojem Bramaizmu; w Buddaizmie bowiem owo nicestwo już wyraźnie wyrzeczone jako początek i koniec wszechrzeczy.

Zanim atoli z onéj pierwotnéj zasady filozofii i religii Indyan wysnujemy ostatecznie istotę indyjskiéj fantazyi, pozwól, bym uczynił jeszcze lekką uwagę. Zrozumiesz teraz, że zabicie wszelkiéj treści w duszy, przytłumienie wszystkich głosów serca, prowadzi do połączenia się z bóstwem, z ogólném głuchém istnieniem; ale zrozumiesz, że także do tego samego celu prowadzą katusze dobrowolne, męczarnie i pielgrzymki straszliwe, i śmierć ofiarna: bo i te sposoby wszystkie są zatraceniem, zapomnieniem siebie, ogłuszeniem wszelkiéj treści, więc utopieniem się w istnieniu bezdenném, pustém, czczém. Jakoż jeszcze do tego samego celu dochodzą Indowie przez oddanie się na oślep namiętnościom zmysłowym i szałom rozhukanéj cielesności, boć i tym trybem człowiek traci wiedzę siebie, zapomina siebie i staje się głuchą jednostką. Tak tedy wyjaśniają nam się wszystkie zjawiska powyżéj ci przed oczy roztoczone.

Nie trudno już nam poznać, że ta cała nauka jest panteizmem, choć surowym i pierwotnym jeszcze. „Jestto panteizm w całéj straszliwości nocnego majestatu swojego; jestto owa nauka, co w ułudnéj postaci nadziemskiéj poezyi przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uśpiła Indye; a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wyssała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschłą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody Wschodu przystrojony w szaty niby głębokiéj filo-

zofii; ale mądrość téj filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jéj dżumą śmiertelną dla ducha“ (*).

Rozumie się, że wszelkie rozprawiania i wykrzykniki, utyski i gniewy, choćby z najuczciwszéj woli pochodziły, nic nie pomogą na panteizm; on jedynie powalony być może drogą ściśle umiejętną prawdziwéj filozofii. Przecież nie tutaj miejsce tych wywodów umiejętnych; spytajmy się raczéj, zkąd Indyanom przyszła ta nauka? — Indyanie nie mogli się zdobyć na wyobrażenie o bóstwie będącém jedném, ogólném, a obejmującém przecież w sobie nieskończoność treści, rozmaitości pełnéj; oni nie mogli się zdobyć na myśl o bóstwie duchowém, przytomném w świecie i władnącém wszechjestestwami, a będącém przecież czémś różném od świata, to jest istniejącém w sobie i o sobie, wiedzącém o sobie, słowem, będącém osobą. Bo osobą nazywamy jestestwo, co ma świadomość siebie, co wié o sobie. Umysł Indyan nie był dość silnym w sobie, aby zdołał połączyć wyobrażenie takiego bóstwa, coby było odrębném i wyższém od świata jestestwem, a zarazem objawiało opatrzną mądrość swoją w nieskończonéj rozmaitości jestestw, będących wyrazem nieskończonéj i rozmaitéj wewnętrznéj treści jego.

Do tych wyobrażeń o osobowości bóstwa doszli dopiéro Grecy, bo oni pojęli bóstwo, jako jestestwo duchowe; lubo to wyobrażenie wyjawia się u nich dopiéro we formie wielobożeństwa.

W Indyi panuje dualizm dwóch ostateczności, nieprzemożony nigdy. Z jednéj strony zamiast bóstwa o treści nieskończonéj, ziewa otchłań bezdenna, bo owo istnienie nieskończone, bezmierne, próżne, które u nich samo jedno jest prawdą; z drugiéj strony jest inna ostateczność, bo cały świat jestestw jednostkowych, odznaczających się i odróżniających między sobą cechami, znamionami właściwemi; po téj stronie tedy jest cały świat treści, a świat rzeczywisty, obejmujący i jestestwa zmysłowe i duchowe, i gwiazdę i człowieka i proszek ulotny, i ludy całe, i myślenie i robaczka, nawet bogi indyjskie, nawet całą mitologię indyjską i t. d. Ale ten świat rzeczywisty nie ma prawdy, on jest rozpłynném, rozwiewném zjawiskiem, nie mającém trwania; wszystko jest tu uludném widmem, kłamstwem zawodném. Cały świat i wszystkie te jednostkowe jestestwa występują z onéj otchłani głuchego istnienia, jakoby wyziewy grobowe, wiążą się i unoszą nad nią, niby widziadła chwilowe, i znów do onéj przepaści wracają, która je pochłania niby grób; — sam Kryszna jest tylko widziadłem takowém. Więc tutaj wieczne odbywają się zrodzenia, wieczne konania; tu nie ma bytu, coby trwał; — trwa tylko wieczna przemiana, i bogi wiecznie się przeradzają, wiecznie przybierają na się inne a inne kształty; wszystko, co się rodzi z téj otchłani, to są niby fale wzdymające się na bezdeni ciemnéj oceanu,

(*) Wykład systematyczny filozofii, T. II, § 208. przyp.

które, zaledwie co się wzniosą, rozpływają się bez śladu; są to bańki wodne, co świecą nad przepaścią barwy cudownemi, lecz ledwie co zaświecą a już rozpryskają się nicestwem niby sen. Ta otchłań „jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem“ ta otchłań jest Prabrahma.

Z tych wyobrażeń dzikich, chaotycznych wynikają następne wypadki.

Jak to istnienie ogólne, przepaściste jest bezmierne, tak też bogi, rodzące się z niego, o ile wyrażają to istnienie, same przybierają bezmierność; ich postać puchnie w potworne kształty, ich żywot wzdyma się w majaczne dziwactwo bez granic. Tu fantazya Indyan ma istny żywioł dla siebie; ona gorąca, opojona, zatacza się tanem zawrotnym nad tą przepaścią grobową. Ztąd mitologia indyjska, arcydzieło fantazyi tego ludu, jest tak pełna okropności, tak straszna jak nocne mary i dziwadła chorobliwe. Ztąd rzeczy duchowe, przeistoczone na zmysłowe, nabierają ogromu bezmiernego, rozmiarów olbrzymich. Ganges np. spływa po kędziorach bóstwa — pustelnik pokutuje lat tysiące, miliony. Ztąd pokutnik rozkazuje słońcu i gwiazdom, i mocen wstrzymać ich biegi; bo on sam przez pokutę i zatracenie siebie stał się ogólném głuchém istnieniem, więc bóstwem. Dla tego olbrzymiego, zmysłowego ogromu, i pieśni ich tak olbrzymie, że jeden ustęp, jeden epizod, rozmiarem swoim wyrównywa wielkim epopejom innych ludów. Tak epopeja Ramajana składa się z 24,000 sloków, z których każda znaczy dwa wiersze po 16 sylab; Mahabarata przez późniejsze przydatki urosła do 100,000 sloków.

Jak owo istnienie bezdenne, bezmierne, nie mając żadnych cech, żadnych własności, nie jest osobą, bo nie jest jestestwem wiedzącém o sobie, tak też wszystkie pojawy i widziadła nie są osobami w znaczeniu prawdziwém, tak też w Indyach człowiek nie wié jeszcze że jest osobą.

Gdy różnice, odznaczające między sobą jestestwa, nie mają znaczenia, gdy są marne i ulotne, więc też rzeczy wszystkie mięszają się dzikim nieładem, bez końca przechodzą na siebie, mącąc się chaotycznością fantastyczną, szaloną. Tutaj fantazya odprawia swoje dzikie zapusty. Fantazya rozkołysana mięsza nawet jestestwa duchowe i materyalne; tutaj drzewa, ptaki, słonie przemawiają ludzką mową, wyrokują najwyższą mądrością; tutaj świat jest światem czarodziejskim, czarnoksięzkim. Z tego pomięszania jestestw duchowych i materyalnych rodzi się owa cześć dla przedmiotów natury z krzywdą istoty rozumnéj człowieka; ztąd kasty, ztąd litość dla owadów obok okrucieństwa. W Sakontali jest gaj przeznaczony jako ochrona dla zwierząt, a Sakontala sama, polewając młode leśne rośliny, powiada, że tchnie miłością siostry dla tych krzewów biednych. Wszak widziałeś, że tygrysy uchodzą za uwidomienie duszy zmarłych krewnych.

Zrozumiesz, że do téj potęgi a znaczenia rzeczy materyalnych

i natury przyczynia się ogromnie ta przyroda indyjska tak gwałtowna a wspaniała, tak wielmożna, bujna i bogata, z całą swoją mocą magiczną.

Słusznie tedy przypatrzyliśmy się dokładniéj na wstępie listu tego naturze indyjskiéj tak czarodziejskiéj; ona zrosła z człowiekiem w jedno, z niéj tedy poznać możesz czém tu jest duch ludzki. Jakoż pomącenie rzeczy duchowych i materyalnych, przypisywanie przedmiotom zmysłowym potęgi duchowéj, jest podstawą wszelkiego czarodziejstwa. Czarodziejstwo to i dziwotworność, ten zawrót fantastycznych myśli, który panuje w téj fantazyi Indyi, jest właśnie tym pierwiastkiem, co ją czyni tak podobną do gadek, tak chciwie przez dziatwę słuchanych. Przecież, mimo tego, ta fantazya nie jest dziecinną wyobraźnią; tu nie dzieci prawią baje, to duch całego ludu, co z topieli swoich przemawia, a choć on w jęctwie natury, choć oczyniony tchem mocy materyalnych, wyrokuje iście z najgłębszych głębin istoty swojéj. Więc tutaj obok bezrozumu jest mądrość, tutaj buchają strzeliste błyskawice wśród ciemnéj nocy i słychać ułomki muzyki rzewnéj, choć przygłuszonéj łomotem burzy morskiéj.

Przecież właśnie gdy różnica między rzeczami jest wątła, nic nieznacząca, gdy wszystkie jestestwa mięszają się z sobą, więc téż tutaj nie panuje rozsądek. Bo rozsądek ma właśnie to do siebie, że rozgarnia rzeczy różne, porządkuje je i szykuje; takowéj zaś czynności duchowéj tutaj nie ma. Ztąd téż fantazya indyjska czy się pojawi w architekturze, czyli w rzeźbie, czyli w poezyi, puszcza się w sprzeczności i dziwactwa, ciska się z jednéj ostateczności w drugą; to niby rozumna i oględna, to niedorzeczna.

Jakoż to poniewieranie cechami różnemi jestestw, stanowiącemi właśnie ich istotę, to pomącenie szalone wszystkich rzeczy, choćby wręcz sobie sprzecznych, to nieuznanie ładu i pewnych praw w świecie, odbija się koniecznie w dziełach sztuki indyjskiéj. Tutaj nie ma prawideł, ustaw pewnych, stałych. A jeżeli je niekiedy dojrzysz, jeżeli obaczysz jakiś panujący charakter np. w dziełach architektury, albo w miarze wiersza, toć ten charakter mniéj jest wypływem zastanowienia się i jasnéj wiedzy, jako raczéj ciemnym instynktem, co niby przez sen przeczuwa istotę swoją.

Ten brak ustaw i praw stałych, to chaotyczne spływanie przedmiotów różnych, ten dziwny świat czarnoksięzki, w którym nie ma nic stałego, w którym nic nie jest oparte na sobie, w którym nic nie ma w sobie mocy i tęgości wewnętrznéj, w którym wszystko przesuwa się niby w latarni magicznéj, mieniąc się, migocąc i błyszcząc, — jest iście światem majacznym, sennym. Ta fantazya indyjska jest więc do marzeń sennych podobna; bo i we śnie przelewają się obrazy, mącą się z sobą i bujają, i hasają niedozorowane rozsądkiem, nieuszykowane rozumem.

Łatwo zgadnąć, że gdy tutaj stwórca i stworzenie, świat duchowy i materyalny, pomięszane z sobą, gdy tutaj nie ma uznania

prawdziwego stosunku Boga do natury, ani człowieka do téj natury; więc też tutaj człowiek nie zdolen jeszcze kształtów przyrody przetopić na ideał piękności, który właśnie jest jedynym trybem wyrażenia nieskończoności duchowéj, we formie materyalnéj, zmysłowéj. Zamiast téj prawdziwéj piękności, znajdziesz w sztuce indyjskiéj najczęściéj przepych świecący całém bogactwem zuchwałéj, wrzącéj fantazyi, znajdziesz olbrzymią wytrwałą pracę w dokonaniu dzieł ogromnych, bezmiernych.

Lecz uważ, że ten brak opierania się na sobie samym, ten niedostatek dzielnego hartu i samoistności występuje we fantazyi indyjskiéj osobliwą miękkością, jakąś biernością, jakąś niewieścią słodyczą a wdziękiem łagodnym, cichym. Toć widzieć można w poezyi, kędy prawie najcudniejsze miejsca właśnie tchną sentymentalném rozrzewnieniem i lubemi głosami serca; w posągach bogów te ciała nie mają niby kości; ręce, nogi, tak pulchne, jakby z ciasta ulepione; toż i w budowaniu linie łagodne, formy dalekie od wszelkiéj szorstkości. I dla tego też, jak dawno uważano, tak w rzeźbie jak i w poezyi najszczęśliwiéj stworzone są figury i charaktery kobiet; — niewymowny wdzięk, łagodność i słodka tęsknota rozlane są na tych żeńskich postaciach.

Treść duchowa chrześciańskich ludów jest tak głęboka, tak niebotyczna, że ona w części tylko może znaléźć wyrażenie stosowne w dziele sztuki, więc w zewnętrznem uzmysłowieniu, więc w postaciach a formach z natury wziętych, ale wzniesionych do piękności ideału; w części zaś ta treść duchowa nie zdoła się już pomieścić w postaciach zmysłowych, choćby najwyższym urokiem oblanych; ona zaiste znajduje w uczuciach jedynie religijnych i we filozoficznem rozumowaniu godny siebie i odpowiedni sobie wyraz swój. Inaczéj w Indyach. Jestestwa natury, choć bezduszne, choć same nie myślą, są przecież uwidomieniem myśli stworzenia, a im na wyższym szczeblu natury stanie które z tych jestestw, tém też wyższéj myśli jest wcieleniem. Otóż te myśli, promieniące się w dziełach natury, są nierównie więcéj z siebie rozwinięte, niż ono głuche jeszcze miotanie się a szamotanie sennego ducha Indyi. Duch ten nie dorósł jeszcze do téj wysokości, by pojął, by przeczuł tę mądrość, te myśli stworzenia; on chwycił te kształty natury, zwichnął je, skręcił, wykrzywił w karykatury, by w nich wyrazić to miotanie się, to zrywanie się senne swoje; i ztąd te dziwaczne postaci i figury w skulpturze i poezyi indyjskiéj. Otóż wytknąłem ci, ile się mi zdaje, wszystkie główne cechy fantazyi Indyan: wszak jedną z najważniejszych jest, jak wspomniałem, owa głęboka sentymentalność. Bo jeżeli w Indyach głównym charakterem tak fantazyi jak całego ducha jest brak rozgarnienia, brak trzeźwego zastanowienia i zimnego rozumu; toć rzekłbyś, że ten brak niby zastępuje uczucie; cały żywot staje się tutaj uczuciem, serdecznością. Zdawałoby się, że im więcéj cofa się myślenie prozaiczne, tém potężniéj tutaj gra uczuciowość; cała

duszy potęga przeważyła się w moc uczuć tkliwych, rzewnych. Jestto jakby życie niewieście w dumaniu serca utopione, w którém cała potęga ducha zamienia się na ciche wróżby, na proroctwa; serce to zgaduje, co lube i zacne, instynktem, jakiemś widzeniem duchowém. Dla tego podobno żaden naród w żadnym wieku nie miał nigdy poezyi tak czarującéj uczuciem, tak głębokiéj a lubéj sentymentalności jak Indyanie.

Dotknąwszy tym sposobem najcelniejszych znamion fantazyi Indyan, przywiodę ci tylko jeszcze niektóre przykłady z ich sztuki, które nam posłużą za wyjaśnienie powyższych wywodów.

Do naszéj rozsądnéj a tak trzeźwéj Europy, jakby przypomnienia dziwów sennych a marzeń nocnych, dochodzą wieści o owych świątnicach starego Hindostanu, co wykute pod ziemią we wnętrzu twardych skał. Jakby z innego świata gadki, czytamy opisy cudów téj podziemnéj architektury, którą słynie Salsette, Carli, Elefanto, Mawalipuram, Ajajanti, Ellora i tyle innych jeszcze stron Indyi, onéj staréj ojczyzny niesłychanych dziwadeł; przypatrujemy się widokom, rysunkom, rycinom, które już przeszły w obrazkowe książki dziatwy naszéj, a patrząc na obrazy te, zdaje się nam, że to istne baje czarnoksięzkie, które prawią jedynie niańki w naszéj przerozsądniałéj części świata, a którym nawet już i dzieci więcéj nie wierzą.

Te podziemne świątynie, nie są to pojedyńcze budowy, to zbiory świątnic, to miasta ukryte w łonie gór, to światy podziemne, wykute we wnętrzu nieużytéj opoki; tu ludność cała łamała się krwawym trudem, tu przez długie wieki pokolenia po pokoleniach pasowały się z potęgami przyrody, by dla bogów swoich zdobyć na naturze przybytki, by okupić świętą, niezmordowaną ofiarną pracą zrodzenia duchowe.

Gdy dziś wędrowiec z dalekich stron stanie wśród tych dzieł olbrzymich, gdy go obstąpią w koło te ciemnice przepychu pełne, o kształtach tak dziwacznych, fantastycznych, żeć mu się już zdają być wywoływane magicznem wróżki zaklęciem, wtedy już nie podziwienie ale nieme osłupienie go uderzy; posłyszy w koło siebie wołania onych pracowników tysiącznych, co tu położyły męki swojego żywota, by uczcić owe ślepookie potęgi natury, które miotały ich duszą, uchwyci wędrowca febralna gorączka, podobna do onéj, która parła te miliony ludności do wysileń bez granic. Prochy tych robotników poszły wiatrom na igrę, imiona ich od lat tysiąców rozpłynęły niepamięcią, ale ich dusza pozostała w tych podziemiach zaklęta urokiem; ona żyje w tych rzeźbach bogatych, które tutaj zewsząd wykwitły robotą tak bujną a tak pracowicie, tak wytrwale, z taką miłością dokonaną.

Tutaj znachodzisz całe góry wydrążone, przeistoczone na państwo podziemne, tajemnicze. Przysionki, chodniki, świątnice, komnaty, kaplice, schody, stawy, mieszkania dla kapłanów, dla pielgrzymów, ciągną się i cisną to obok siebie jak miastem, to znów wykute po nad sobą, niby w piętra olbrzymich pałaców i ogrodów. A na stropie,

na ścianie, na gzymsach, na filarach i kolumnach, lśni ta rzeźba ozdobna, a wyrabiana z tym wykwintem misternym, jak gdyby dopiéro wczoraj wyszła z pod umiejętnych złotniczych pilników, a te rzeźby przecież liczą wiek swój na lat tysiące! Przy migotnym, powiewnym płomieniu pochodni występują z ciemności posągi bogów wielorękich, wielonogich, więc potworne widziadła migocą, mrugają, a ruszają się; ich członki mnogie gramolą się i wiją, niby wężów gniazda.

W innych stronach kraju zdawać ci się będzie, że ta najstarsza, pradziadowa architektura indyjska wychyliła się już z pod ziemi, że się buduje na jéj powierzchni otwartéj, że te jéj dzieła na jawie dźwignione, na dniu jasnym, białym. Pod Ellorą, wśród samotnéj, butnéj a zuchwałéj natury, znowu podziwiać będziesz gromady świątnic podziemnych, co pieczarami wkuły się w skały. Tutaj każdy bóg indyjski ma swoją świątnicę; Siwa ma ich 20; więc słusznie te dzieła niesłychane noszą imię „cudów Ellory“, ztąd słusznie nazwano te miejsca Dewagiri (Bożą górą). Ale uważ, oprócz tych grot czekają cię tu inne jeszcze budowania. Znajdziesz się nagle wśród miejsca otwartego zupełnie z góry; niby to łom kamieni, niby rynek, lub ogromny dziedziniec. To miejsce w koło zamykają skalne ściany na sto stóp wysokie, a pionowe, a pilnie ociosane, ogładzone; w tych ścianach, niby w różnych piętrach, szerzą się komnaty, mieszkania wykute w skale. Lecz w oddaleniu od tych ścian, więc wśród tego olbrzymiego dziedzińca, stoją świątynie obszerności naszych kościołów i kaplice; a cokuły tych kaplic składają się z rzędów kamiennych słoniów, lwów dźwigających niby całe budowanie; do świątyń przystawione niby dzwonice; a te świątynie wszystkie od dołu do góry pokryte ciżbą ornamentów, rzeźby; tu i owdzie około nich jeszcze ustawione słonie kamienne ogromnych wymiarów. Pomyśl, że od szczytu tych świątnic szły kamienne mosty powietrzne olbrzymim łukiem do onych ścian otaczających dziedziniec, więc do komnat kapłańskich; dziś atoli te mosty w części runęły. Na pierwsze polotne wejrzenie zdawałoby się, że te świątnice, kaplice, te wszystkie budowy potężne dźwignęły się z powiązanych z sobą ciosów. Bynajmniéj! — Zważ, ten cały niby plac i dziedziniec były jedną górą, jednolitą skałą! — i dopiéro z niéj wykuto ten dziedziniec, zrównano jego ściany, w środku zostawiono części téj skalistéj góry niby ogromne kamienne bałwany, i takowe części dopiéro przeistoczono na świątnice, przystrajając je ornamentem rzeźbionym z wierzchu a wydrążając je w środku na bożnicę obszerną, bogatą, zdobną. Tak tedy ta całość: dziedziniec i przybytki, świątynie i słonie, one mosty i komnaty — słowem, wszystko wykute, wyciosane z jednéj sztuki! — z jednéj ogromnéj góry, jakby ziarno z łupiny.

Jednak, kędy niegdyś duch człowieka, tak twardo pasując się z uporną materyą, odbywał boleści rodzeń swoich, tam dziś hołotna chmara bezrozumnych papug broi i głuszy szwargotaniem naturę,

tam trzcina wysoka zarosła gęstwiną, tam tygrys gospodarzy, a lew trzyma straż, broniąc człowiekowi widoku pracy człowieka; tam węże potworne i dżuma i cholera się lęgną.

Nie będziem atoli dłużéj prawić o tych dziwach i cudach; pomijam budowanie onych Dagopów, które już stanęły nad ziemią a dźwignione trybem zwykłym choć słynne z ogromności swojéj. Bo nam nie chodzi wcale o charakterystykę wszystkich odcieniów fantazyi; dla tego przestaję na tych lekkich zarysach najdawniejszéj indyjskiéj architektury, nie dotykając budowania buddaizmu w Indyach, który zreformował bramaizm stary i zniweczył kasty i ostudził fantazyą Indyi; — chociaż, prawdę mówiąc, byłoby zaiste o czém szeroko się rozwodzić.

Właściwiéj podobno będzie zwrócić uwagę twoją na cechy architektury indyjskiéj, a będą nam one potwierdzeniem powyższego wywodu.

Otóż, te budowania podziemne są wyrazem ducha Indyi, co uśpiony jeszcze w głębokiém łonie natury; boć i nasz sen powszedni jest iście powrotem w objęcie sił przyrodzonych, jest zaiste przytuleniem się duszy naszéj do piersi matki-natury.

Bujanie zaś luźnéj fantazyi indyjskiéj, wyraża się silnie i potężnie w téj architekturze. Okazuje się zaś najprzód samém już labiryntném, zamętném budowaniem. Jak w całéj myśli Indyi żadna bytność nie oparta na sobie i nie ma ogniska swojego i środka w sobie saméj, jak tam człowiek, nie uznając się być osobą, nie odnosi się jeszcze sam do siebie, tak też i nie widać w tych gromadach świątnic podziemnych jednéj głównéj myśli przewodniéj, do któréjby się odnosiły jako do ogniska wszystkie owe tak fantastyczne przybytki. Brak im tedy organicznéj artystycznéj całości, brak ładu, który jedynie tam być może, kędy dogląda pracy fantazyi rozum trzeźwy obecny sobie, lub mądrość idąca z prawdziwego mistrzowskiego natchnienia. I dlatego właśnie duch Indyi jest party miotaniem wewnętrznem i żądzą wyszamotania się, wyrzucenia z siebie potęgi, co nim ciska; więc on się sili i mocuje, by dokonał dzieł tak olbrzymich; dla tego stulecia, całe pokolenia w tysiącznych robotnikach imają się téj pracy bezmiernéj, ogromnéj; robota i siła materyalna, rozmiary materyalne przestrzeni mają tutaj zastąpić ducha potęgę. Świat nie przeczuwa jeszcze, że kilka rysów węglem rzuconych ręką Michała Anioła, lub kamea, rznięta geniuszem greckiego mistrza, wyższém jest świadectwem wzniosłości ducha ludzkiego, niż te całe góry wydrążone krwawym znojem tych indyjskich ludów.

Jakże odpowiednie téj fantazyi sennéj są przybytki podziemne! — one tak daleko się ciągną wzdłuż i szerz a ciśnione stropem tak nizkim! tutaj duszno i parno; rzekłbyś, że zły sen przygniótł piersi uśpionego ludu.

Ta fantazya indyjska gorąca wyraża się tutaj jeszcze bujaniem

bez miary téj architektury rozigranéj; w niéj nie ma ładu, nie ma pewnych prawideł i praw; tu nie ma téż pewnego stylu. Stylem jest tutaj brak zupełny stylu. Bylebyś chciał, a już w tém budowaniu indyjskiém wszystkie obaczysz style: i łuki rzymskie i bizantyńskie, i one maurytańskie w podkowę wywijane, i gotyckie sklepienia, i brusy greckie i t d. Jeżeli zaś te wszystkie formy architektoniczne tutaj się przypominają, toć to mniéj jest stylem jak raczéj instynktowém parciem, dobywającém się z duszy nieświadomej siebie. Nie znajdziesz tutaj trzeźwości i chłodu rozumu, z którym z istoty zawsze winna łączyć się fantazya artystyczna. I z tego właśnie powodu w architekturze indyjskiéj nie są uwzględnione potrzeby techniczne. Najważniejszym tego przykładem jest kolumna. Kolumna z istoty swojéj jest podporą, dźwigającą brzemię architektoniczne; ale forma kolumny indyjskiéj, tak dzika, tak fantastyczna, nie odpowiada bynajmniéj swojemu zadaniu; jéj rysunek pękaty, napuchły, jak świadczy o swawoli fantazyi, tak jest raczéj zawadą zabierającą miejsce, niż podporą dźwigającą (*).

Architektura indyjska wysila się, wymyślając nowe coraz formy kolumn, ale wszystkie te formy świadczą o swawoli butnéj fantazyi, a żadna o rozwadze rozumnéj. Ta przerozmaitość fantazyi tak się rozigrała w Indyach, że nawet w naszych czasach, bo w roku 1623, (licząc bowiem na miarę indyjskiéj starowiecznéj historyi wiek XVII rzeczywiście już do naszych czasów należy) wystawiono salę olbrzymią o 124 filarach; — choć na pierwszy rzut oka rzeźba na wszystkich filarach zdaje się być do siebie podobna, za bliższém

(*) Porównaj słup indyjski z kolumną grecką. Kolumna grecka jest prawdziwém arcydziełem. Jéj forma jest cudnie piękna, a zarazem najdoskonaléj odpowiada celowi swojemu, bo ona, mimo wdzięku i uroku, jest podporą silnie dźwigającą. Jakoż w całém budownictwie greckiém nie znajdziesz architektonicznego członka, któryby nie był i ozdobnym przystrojem, i zarazem nie mógł być ściśle wytłómaczony z potrzeby technicznéj, bo z warunków mocy i trwania budynku. — Podobnie téż każda część i cząsteczka w głowicy i w podnóżu kolumny greckiéj ma swój powód rozsądny (praktyczny) a przecież przyczynia się do jéj piękności prawdziwie estetycznéj. Nie tak się rzecz ma z kolumną indyjską. Uważmy formę kolumny indyjskiéj, która już najczęściéj się powtarza w téj architekturze. Ta kolumna jest od spodu filarem czworościennym, z którego wyrasta trzon okrągły ścieśniający się u góry, a przewiązany trzema napęczniałemi pasami, a u samego wierzchu pokryty kulą spłaszczoną, która tak przyciśniona niby ciężarem, że obwód jéj występuje nawet po za krawędzie spodniego czworościennego filaru. Ta kula tedy, u wierzchu ściśniona będąc, bardzo małą powierzchnią dźwiga strop. Cały ciężar tedy spoczywa właśnie na téj małéj powierzchni drobnéj; a tém samém widać, że i występująca część onéj kuli i grubość trzonu i grubość owego czworograniastego filaru są niepotrzebnemi, bo nic dają żadnéj mocy, nic wcale nie dźwigają, i są raczéj zawadą zabierającą miejsce. Cała tedy forma słupa jest wymysłem fantazyi, ale nie ma usprawiedliwienia w rozsądku.

Lubo różne a przerozmaite bywają kształty kolumn indyjskiéj architektury, przecież żadna z nich nie odpowiada zadaniu naturalnemu, które podpora mieć winna.

jednak przypatrzeniem się obaczysz, że każdy z nich mieni się innym rysunkiem, inną głowicą, innemi centkami; słowem, ta fantazya jest niewyczerpana jak stworzenie, jak natura. Ba, i natura nie może pójść w porównanie z tą wyobraźnią migocącą się, promieniejącą się w różne barwy i błyski! Zważ naturę roślinną; ona podobno dość swawolna, swobodna, bujająca sobie całą wolnością nieoględną, a przecież ten świat roślinny zdaje się być dla fantazyi indyjskiéj jeszcze niewolniczym, jeszcze zbyt prawidłowym; więc ona chwyta te formy roślinne, zwija je i skręca, buja niemi i wymyśla i swawoli, stwarzając sobie kształty roślinne, o których nawet natura nie marzyła nigdy.

Z tego już wnosić możesz co się dopiéro dzieje z postacią ludzką, wypaczoną w one indyjskie bożyszcza. Indye nie wiedzą, co znaczy osoba, istniejąca o sobie, odnosząca się do siebie jako do ogniska swojego; ztąd téż wylęgły się owe poczwarne bogi, któremi się dziwaczy rzeźba indyjska. W téj Trimurtis, niby w troistości indyjskiego bóstwa, kędy Brama, Wisznu i Sziwa, niby w jedność są związane, widzisz pęk rąk i nóg, a nie wiedzieć która ręka, która noga do któréj się odnosi głowy, a tak wyraźnie znać, że i ta Trimurtis nie ma znaczenia osób; — albo przypominam ci onego słonia złożonego z samych figur niewieścich i t. d. i t. d. Rzeźba, podobnie jak architektura, zastępuje duchowy pierwiastek czynnikami materyalnemi, więc albo ogromem wymiarów (np. jeden z posągów w Bamian ma 70 stóp wysokości a drugi nawet 120), albo kosztownością materyału, bo wysadza posągi drogim kamieniem, wkładając mu oczy brylantowe lub rubinowe, zdobiąc ręce, nogi perłami ogromnéj wartości. Niekiedy te figury nie są już płaskorzeźbą, ale prawie zupełną skulpturą, bo przytykają tylko jeszcze nieco grzbietem do skały a przez to właśnie stają się objawem ducha, nieoderwanego jeszcze od potęg natury. Ta przemoc natury nad człowiekiem, to nieusamowolnienie się ducha tém jeszcze się wyraża, że tutaj nie ludzka głowa osadzona bywa na zwierzęcym kadłubie, dając znać o panowaniu myśli nad bezrozumną potęgą przyrody, ale odwrotnie widzisz głowę zwierzęcą, osadzoną na tułowie ludzkim; taka potworność atoli głosi bezecne tryumfy mocy materyalnych nad zacną istotą człowieka.

Napomknąłem ci już powyżéj, że brak samoistności dzielnéj, silnie na sobie opartéj, że brak hartu i twierdzy wewnętrznéj, jest piętnem w całym charakterze i duchu Indyanów; ta właściwość odbija się tak wyraźnie w tych członkach wiotkich, okrągłych, pulchnych, bezkostnych, gibkich skulptury indyjskiéj, w któréj nie widać ani muskułów, ani kości, ani męzkości; taka postać oddaje iście trafnie tęsknotę miłosną, bierną, gnuśną, tudzież ospałą zmysłowość i to rozpieszczenie całego nastroju duszy Indyanów. Mówiłem ci również powyżéj, że figury niewieście, które jakoś łacniéj

się do takowéj rzeźby nadają, bywają często wykonane z wielką lubością i wdziękiem cudnym, uroczym (*).

Przecież wypływa już z istoty rzeczy saméj, że ten wdzięk pełen najwyższego powabu, łagodny, tęskny wykwita już najcudniéj w indyjskiéj poezyi. Przeczucia bezmierne, tkliwe, ciemne, nieodgadnione, z cicha odezwały się w sercu tego ludu; jak młoda dziewica nocném marzeniem widzi rozpłynny obraz kochanka nieznanego jeszcze, tak poezyi tego ludu przyśniła się wiekuistość i niebian grono, żyjących w niezamąconym nigdy pokoju.

Ta poezya jest zaiste ogrodem marzeń rajskich; w niéj fantazya przechadza sie wśród wonnych kwiatów, słucha dźwięcznych natury pieśni, kocha i marzy. Niekiedy atoli z pośród krzewów i kwiatów, wśród szczęścia miłości błogiéj a pieszczot miękkich, wśród jasnych promieni i pysznych barw wesołych wzniesie się jakieś ciemne straszydło potworne, i grozi, trwoży, i kroczy, i już chwyta i dławi, ale się rozpłynie mrocznym dymem. Wszak ta poezya o instynkcie misternym ducha, o rzewnych wróżbach serca, dosłuchuje się tych cichych szeptów duszy, téj cichéj, tęsknéj muzyki, któréj nikt z powszednich ludzi nie przeczuwa, nie odgadnie. Najlżejsza, najmisterniejsza woń serca tchnie w téj poezyi tkliwéj, która jest rzeczywiście poezyą uczuć najrzewniejszych, a te uczucia wszystkie rosną i rozwijają się w świecie czarodziejskim, kędy już nie rozsądek i powszedni rzeczy ład, ale cudotworność niewidomie włada.

Wspomniałem ci powyżéj, że poezya indyjska jest przedewszystkiém poezyą uczuć, że sentymentalność głęboka zastępuje w niéj prozę rozsądku, że cała siła ducha uderza w uczucia, w nich przeważa potęgą; powiedziałem też, że życie poezyi indyjskiéj jest życiem niewieściém, że instynkt serca jest tutaj mądrością. Ztąd też żadna inna poezya, żadnego innego narodu nie wyrównywa w tych uczuciach delikatnych, misternych poezyi indyjskiéj. Powtórzę ci tutaj porównanie, które o téj poezyi indyjskiéj wyrzekł jeden z najgłębszych znawców piękności, a które wedle mnie jest również cudném jak trafném. Gdy młoda niewiasta zostawszy matką uśnie, wtedy przez sen marzy o szczęściu swojém, o dziecięciu; a uczucie błogie, radość duchowa, wykwita rumieńcem na bladém licu. Takim rumieńcem błogich marzeń i żwiastunem uczuć szczęścia pełnym jest indyjska poezya.

(*) Poeci indyjscy, jako znakomici znawcy w téj mierze, wyliczają 46 warunków piękności niewieściéj; gdy się wszystkie te 46 warunków zejdą, wtedy dopiéro wedle nich kobieta jest prawdziwie piękna. Winna miéć np. kędziory, co jak pawie pióra spływają po kolana, brwi zatoczone łukiem tęczy, oczy błękitne jak szafiry, usta świecące purpurowe jak korale na młodych liściach, zęby jak pączki jaśminu, stan cienki żeby się sama ręką objąć mogła, podeszwy bez wklęsłości i t. d i t. d.

Rozumie się, że nam mniéj chodzi o ocenienie estetyczne téj poezyi, jak raczéj o wyświecenie, że pierwiastki fantazyi indyjskiéj, przezemnie powyżéj wykazane, grają zarazem całą potęgą w jego poezyi.

Nie pozostaje mi dość miejsca, bym ci podał wyjątki z téj poezyi jako przykłady; przecież dziś już nie trudno o tłómaczenia arcydzieł śpiewaków indyjskich na różne języki europejskie; odsyłam cię do nich — ograniczę się jedynie na kilku słowach, dotykając się z lekka tych dzieł przecudnych.

Dwie są wielkie epopeje Indyan, jedna zowie się Ramajana a druga Mahabarata; tamta starsza, bo podobno powstała na 800 albo nawet na 1000 lat przed J. Ch. — Mahabaraty już dotknęliśmy się powyżéj; tutaj położę ci tylko wkrótce treść Ramajany, choćby w okruszynach, bo radbym ci okazać przelotne barwy całéj téj kompozycyi, która śpiewa chwałę Ramy, indyjskiego bohatera. Śpiewcą tego poematu jest Walmiki, ów wieszcz od bogów natchniony.

Wstęp. Dawno bardzo, bo trzy tysiące blizko lat temu, gdy Walmiki, samotników książę, żył w puszczy cichéj. — „Pewnego wieczora przed nim stanął Narada, bóg natchnień wieszczowych, i w wymownem zachwyceniu głosił mu cnoty, potęgę i piękność Ramy, co przyświecał duszy, niby księżycowa poświata. Tak Narada wlewał w piersi boskiego wieszcza chęć, by śpiewem zacnym zacnego uwielbił męża. I wypłynęła pieśń, i ustroiła światy potęgą swoich czarów. Kto się poi boską Ramajany krynicą, już nie ugasi nigdy swojéj duszy pragnienia! A niechaj będzie pochwalon, pochwalon na wieki, jako mędrzec pokory pełen i wolny od winy!"

„Dumał mędrzec (Walmiki), i postem i pokutą pobożną gotował ducha do wielkiego dzieła! I dumał nad dziełem tak wielkiém! Znagła zoczył parę rozkochanych ptasząt, tonących w rozkoszy miłości, ale strzała okrutnego myśliwca zabija samca! Ulubienica pozostała rzewnym żalem oblatuje ciało swojego kochanka. Wieszcz, litując się jéj cierpień, nad losem nieszczęśliwéj kochanki zapada w zamyślenie głębokie, i woła: „Biada tobie okrutniku puszczy! Biada! Niedługie będą dni żywota twojego, nie doczekasz się starości późnéj. Ty zabiłeś jedno z ptasząt pary, miłością upojonych!" O dziwy! Ta właśnie żałosna skarga wylewa się z ust jego wierszem rytmicznym, pełnym harmonii i miary! A tak cudem mistrz wynalazł rodzaj wiersza dla Ramajany, który z siebie miał zrodzić.

Samą treść Ramajany można objąć w kilku słowach. Rama jest jedném z wielu wcieleń bóstwa Wisznu. On na ziemi jest synem króla Dasaraty z pierwszéj żony. Lecz król ma drugą jeszcze małżonkę Koikę, i z niéj drugiego syna Baratę. Na prośbę téj drugiéj żony król Dasarata mianuje Baratę następcą i skazuje Ramę na wygnanie; ale wrychle ojciec, bolejąc żałośnie nad synem swoim umiera. Wtedy szlachetny Barata udaje się w głębokie puszcze,

kędy żyje Rama wygnany i ofiaruje mu koronę. Nie przyjmuje poświęcenia szlachetnego brata zacny Rama, ale cały pragnie oddać się wojnie przeciw rodowi ohydnych olbrzymów! W téj wojnie dzielnymi sprzymierzeńcami Ramy są: Hunaman i Sugriwa, co są książętami małp. Cały tedy naród małp bojuje z wielką walecznością w jego sprawie, a najważniejszém ich dziełem jest most skalny przez morze, bo tym mostem rusza wojsko Ramy do wyspy Lanki, która jest stolicą króla olbrzymów. Tam uwięziona Sita, małżonka Ramy; ona była uprowadzona przez króla olbrzymów, a teraz przez Ramę wyswobodzona jest z niewoli. Sita, aby dowieść małżonkowi niewinności nieskalanéj, przechodzi przez rozpalone płomienie, a płomienie nie tknęły się żarem ognistym niewinnéj niewiasty. „Wtedy radość dreszczem przeszła świata wszechnicę; co żywe, co istnie, było weselem przejęte; i radowali się wszystkie przodki dawne święte praszczury!....“ „Od téj chwili już pełen potęgi świat i wesela pełen, i dochował świat wiary słuszności i prawu. I był świat już wolen troski i nienawiści i przykréj tęsknoty. I nikt z grona tych szczęsnych wybrańców nie widział skonu ukochanego z serca syna; ustały strachy wszelkie w tém państwie wiecznéj uciechy; nie ma w niém trwogi z ognia zrodzonéj, nie ma trwogi z wylewu wód zrodzonéj. W tém państwie wiecznéj uciechy nie ma wdowich łez, nie ma człowieka o rozumie zamętnym; tutaj ani nędza trapi człowieka, ani trapi go niemoc żadna . . . . . .
A gdy po dziesiątku lat tysiąców i jeszcze po dziesięciu setkach lat, Rama opuści państwo swoje, wtedy on rozpłynie w świecie bóstwa wielkiego.

Jak owe podziemne pieczarskie przybytki znów obejmują w sobie drobne kapliczki, przyboczne świątnice, tak téż obie te epopeje objęły mnóstwo ustępów przecudnych (*).

(*) Wszak rozmowa Kryszny z Arszuną, przytoczona powyżéj, jest właśnie takim epizodem Mahabaraty a jest tak długa, że już sama w sobie jest poematem obszernym. Podobnie nie braknie tych epizodów i w Ramajanie. — Jednym z nich jest znany pod imieniem „Zestąpienie Gangi“, a bogini Ganga jest uosobieniem rzeki Gangesu, i tutaj obok skarbów poezyi nie brakuje na fantazyi cudaczącéj się dziwnie i potwornie. Tak zaraz pieśń ta rozpoczyna od króla Sugaras i opowiada, jako on miał dwie małżonki a smucił się bezdzietnością swoją. Król przez sto lat czyni pokuty, by potomków wyprosił od nieba. Po upłynionéj pokucie, wróżbita święty pobłogosławił obie królowe mówiąc: „ każda z was może się stać matką albo syna jednego, który atoli będzie pradziadem długiego szeregu potomków, albo może zrodzić sześć razy po dziesięć tysięcy synów“. Tak się stało; pierwsza małżonka cieszyła się jednym tylko synem, ale on okrutnego był serca, bo najwyższą jego radością i najmilszą zabawą było topienie młodych pacholąt — chwytał je i rzucał do rzeki Saraju i szydził z męki tonących i t. d. — Druga zaś małżonka Sumatis, co była siostrą króla wszystkich ptaków, wedle własnego wyboru stała się matką nieprzeliczonego potomstwa, bo o dziwy! powiła olbrzymie dynie, a gdy te dynie rozkrojono, zamiast ziarek ruszało się w niéj dziesięć sześć tysięcy chłopiąt małych. Tak marzy sobie daléj ten poemat, który, mimo podobnych dziwactw, jest pełen najwyższego wdzięku.

Ta fantazya uczuciowa Indów jest prawdziwie muzyką serca. W poezyi indyjskiéj lirycznéj pieśń jakby strumieniem wylewa się z duszy i płynie wśród czarnoksięzkich gajów, strojnych w kwiaty i wonie. Zaiste czém jest ta lira indyjska, to okazuje się z tego, czém u nich jest muzyka; bo muzyka jest właśnie sama przez się sztuką wyższéj liryczności. Zważ, że melodye u nich są uosobione, przybierają ciało; bo wierzą Indyanie, że gdy która z nich się na ziemi odezwie słodkim, czarownym wdziękiem, to wtedy już znać, że jedna z nimf zstąpiła z nieba wśród ludzi, a każda nimfa ma postać i oblicze, wyrażające charakter odpowiedniéj sobie melodyi. Głównych melodyj świętych jest 36, więc w niebie 36 nimf, a każda z nich ma swój dzień świąteczny na ziemi. Siedm też jest tonów muzyki, a każdy ton jest także nimfą. W niebie śpiewają pieśni liryczne i grają i hasają; tam pełno śpiewaków i melodyi i tańców. Wszak Aleksander Wielki i jego bezśpiewne Macedony wyznali, że nie ma ludu, coby się tak rozpływał dźwiękiem muzyki jak Indyanie, a jeden z królów perskich, wielce miłujący muzykę, posłał aż do Indów po graików i przyrowadzili mu ztamtąd aż dwanaście tysięcy muzykantów.

Pomyśl, w jakich-to pieśniach liryczność miłosna tu obchodzi święto swoje. Ów zbiór pieśni: „Gitogowinda" zwany, tak śpiewa miłość, jéj tęsknoty, radości i smutki i wesela, tak barwą promieniejącą maluje kwiaty i krzewy, i tchy powietrzne i niebo i ziemię, że już my biedaki na północy o takich pieśniach gorących i fantazyi takowéj pojęcia nie mamy.

Obok epopei i liry, rozwinął się też i dramat, a świeci się pełne chwały imię Kalidasasa. Dotychczas trzy mamy dramata jego: pierwszy Sakontala, drugi Wikramurwasi, trzeci Malawika i Agnimitra.

Göthe, przeczytawszy Sakontalę, uniesiony jéj cudnością uroków, sam wyśpiewał jéj chwałę w mistrzowskiém zachwyceniu.

Rozpoczyna się ona od prologu. Występuje Bramin i błogosławi dzieło i grę artystów. Poczém pojawia się dyrektor i wypraszając z gotowalni aktorkę rozpoczyna z nią rozmowę. Rozmowa pełna uprzejmości wzajemnéj i grzecznéj ogłady. Aktorka na prośby jego śpiewa dla rozweselenia publiczności wdzięcznemi tony.

Poczém akt pierwszy. Sceną puszcza indyjska z całym przepychem potężnym samotnéj natury, o którym wspomniałem na wstępie listu tego. Król Duszmanta poluje w kniei; jadąc na wozie ściga antylopę. Wśród pogoni rozmowa z woźnicą. Już już doganiają szybkie zwierzę, gdy słychać głos z za sceny: „O królu! ta antylopa w naszéj puszczy ma bezpieczne schronienie! Nie zabijaj jéj!" — Król każe zatrzymać wóz. Pustelnik i uczeń jego występują na scenę.

Pustelnik. Nie zabijaj o wielomocny władzco biednego młodego zwierzątka! Nie zabijaj go, ono u nas znalazło przytułek dla siebie.... — Król przyrzeka zaprzestać łowów... Pustelnicy odchodzą.

Król Duszmanta *(oglądając się do koła)*. Łatwo zgadnąć, żeśmy w pobliżu mieszkań pobożnych pustelników.

Woźnica. Po jakich oznakach poznać to można, o królu!

Duszmanta. Patrz pod owemi drzewami rozsypano ziarna dla samic papuzich, by miały czém karmić pisklęta bezpierze. Widzisz tam młode jelenie, jako pełne zaufania do człowieka, przywykły nawet do głosu jego, pląsają bez obawy. Powierzchnia rzeki czerwieni się korą święconą, która spływa falami jéj wód. Tam korzenie młodych drzew kąpią się w świętych stawach, a wody dygotają od lekkich igrających powiewów. Ondzie znowu jasny połysk liści młodych, obwiany jest na chwilę dymkiem wznoszącym się z ofiarnych ołtarzów. Widzisz, jak tam spokojnie, sarniątko młodziuchne skubie trawkę. . . . . .

. . . . . .

Duszmanta *(schodząc z wozu, oddaje woźnicy klejnoty kosztowne)*. Weź te drogie stroje. Z pokorą jedynie i bez światowych blasków trzeba wstępować do gajów nabożeństwu poświęconych. *(Głosy za sceną.)*

Duszmanta. Słyszę niewieście głosy *(patrzy przez krzewy)*. Dziewczyny młode niosą dzbany do polewania roślin. Jakaż ich postać luba! Dlaczego wdzięk dziewic ukrytego gaju nie pojawia się nigdy w pałacach? Niechaj ustąpią ogrodowe kwiaty, niechaj ustąpią miejsca kwiatom leśnym, co wdzięczniejsze wonią, wdzięczniejsze barw urokiem. *(Staje pełen podziwienia ukryty w gęstwinie krzewów.)*

Sakontala, Anusuja i Priamwada.

Anusuja. O Sakontalo, w twojém towarzystwie dopiéro widzę, jak przepysznéj i zachwycającéj piękności są te drzewa ojca naszego Kanny. Zaiste tobie, któraś tak podobna do świeżo rozkwitłéj maliki, przystoi polewać krzewy i kwiaty!

Sakontala. Nie tylko dlatego skrapiam kwiaty, że taka wola ojca naszego, choć i ta wola jego byłaby już dla mnie dostatecznym powodem; ale wyznaję wam, że tchnę miłością sieroty ku tym roślinom młodym.

Priamwada. Przyjaciółko moja luba! Krzewy przez ciebie skropione rozkwitną dopiéro latem, które zaledwie co się rozpoczęło. Chciéjmy pokrzepić i te roślinki biedne, których czas rozkwitania już przepłynął. Cnota nasza tém wyższa, im wznioślejsza nad miłość własną.

Sakontala. Wyborna twoja rada *(polewa rośliny)*.

. . . . . .

. . . . . .

Sakontala. Patrzcie, jak owo drzewo Amry przywołuje nas do siebie palcami liści swoich, rozkołysanych wietrzykiem łago-

dnym — zapewne chce nam szepnąć do ucha jakąś tajemnicę swoją. *(Wszystkie trzy dziewice zbliżają się do drzewa.)*

Priamwada. O Sakontalo! Spocznijmy tu na chwilę w cieniu jego.

Sakontala. A dlaczegóż właśnie tutaj?

Priamwada. Bo to drzewo Amry tobie zaślubione; tyś tak podobna do rozkwitłego powoju, co się oplótł około Amry lubéj.

Sakontala. Słusznie cię nazwano Priamwadą, czyli „miłomówną".

Duszmanta *(w ukryciu)*. Ona iście prawdomówna. Czyliż usta Sakontali nie świecą jakby listek kwiatu? Czyli ramiona jéj nie podobne do gibkiéj łodygi? Piękność młodociana opłynęła jéj postać całą!

Anusuja. Patrz, Sakontalo moja, jak to świeżo rozkwitła malika (powój), którąś nazwała Wanadosini, czyli „rozkoszą gaju"; ona wybrała sobie słodkie drzewo Amry za narzeczonego swojego.

Sakontala *(przybliżywszy się, wpatruje się z zachwyceniem drzewu i powojowi)*. Jakoż luba jest ta roku pora. Ona tak wdzięcznie obchodzi wesela miłosne kwiatów!

Priamwada *(z uśmiechem)*. A wiesz ty Anusuja, dlaczego Sakontala z takiém uniesieniem radosném patrzy na te rośliny?

Anusuja. Nie mogę zgadnąć, choć nad tém myślę i radabym bardzo wiedzieć.

Priamwada *(śpiewa)*:

„Gdy Wanadosini wybrała dla siebie kochanka, to i mnie zaślubiony będzie ulubieniec sercem wybrany!" Otoż widzisz, Anusujo, tak właśnie do siebie teraz mówi Sakontala nasza!

Sakontala. To są, Priamwado, marzenia wyobraźni twojéj.

. . . . . .

. . . . . .

Tak dramat ten płynie najcudniejszą sielanką, pełną tkliwości rzewnéj, słodkiéj. Zgodzisz się ze mną, gdym tę poezyą nazwał cichą misterną muzyką serca. Jest to sentymentalność pełna prostoty i słodyczy, a przecież nie słodkawa, nie sztuczna i umysłowa. Łatwo téż nam tutaj spostrzedz owo pokrewieństwo duszy z otaczającą w koło przeważną naturą i wielkie znaczenie tych cudnych jéj uroków.

Rozmowa dziewcząt młodych rozwija się daléj tą samą uroczystą prostotą, gdy pszczółka wyleciawszy z kwiatu maliki, brzęcząc oblatuje usta Sakontali. Ona broniąc się jéj, ruchami wdzięcznemi zachwyca ukrytego Duszmantę; gdy pszczółka coraz śmielsza, coraz zuchwalsza, Sakontala przejęta trwogą, woła ratunku; w téj chwili z za krzewów pojawia się król, śpiesząc jéj w pomoc. Skłopotanie się dziewcząt. Przecież zawiązuje się rozmowa z nieznajomym, w któréj atoli Sakontala dla swojéj nieśmiałości mniéj ma udziału..... W końcu Duszmanta dowiaduje się od Anusui, że Sakontala nie jest

bynajmniéj córką pustelnika Kanny, że ojcem jéj był książę Kausika a matką nimfa Menaka. Radość najwyższa i szczęście bez granic przejmuje króla, bo już żadna różnica kast nie zawadza mu do zaślubienia Sakontali. Lecz nie wydaje się ani z miłością swoją ani z imieniem. Sakontala z lękiem czując w sercu swojém nieznane jéj wróżby miłości, pragnie odejść; przyjaciółki ją wstrzymują. Duszmanta, uważając że dziewica zbyt utrudzona polewaniem roślin, imieniem kwiatów skropionych ofiaruje jéj pierścień kosztowny.

W drugim akcie: Scena na pograniczu puszczy, kędy rozpięte namioty króla. Przyjaciele i wodzowie Duszmanty, którym już ckliwe to życie w kniei, radziby go skłonić do powrotu ku stolicy. Ale król, przejęty miłością gwałtowną, pragnie pozostać w świętéj kniei. Daremnie nawet wzywa go matka do stolicy na religijną uroczystość nadchodzącą; ale że pustelnicy, mieszkający w kniei, błagają od niego pomocy przeciw duchom złowrogim, którzy się pojawili w kniei, król używa tego pozoru i nie wraca do miasta.

W akcie trzecim: Miłość tak rozebrała serce Sakontali, że blednieje, choruje, zwierza się przyjaciołkom swoim. Widzenie się kochanków. Trudnoby mi było, choć pobieżnie, podać ci treść a tém mniéj najcudniejsze ustępy tego dramatu, bo on nader długi i ciągnie się przez siedm aktów. — Kochankowie zaślubieni. — Wtedy dopiéro król myśli o powrocie; błaga atoli Sakontalę, by w rychle za nim pośpieszyła do stolicy. Sakontala, żegnając się, prosi by nigdy a nigdy nie zapomniał o ich miłości. Król pokazuje jéj, że na pierścieniu czarnoksięzkim, jéj darowanym, wyryte jest imię Duszmanta. „Wymawiaj każdego dnia jedną z tych trzech zgłosek, a gdy tak całe imię moje przeczytasz, zjawi się dworzanin mój i zaprowadzi cię do królewskiego pałacu".

Tymczasem Sakontala, zatopiona w swojém szczęściu bez granic, przez niebaczność nie oddała czci należnéj obcemu braminowi, idącemu przez las. On, gniewem zdjęty, rzuca na nią przekleństwo.

Nadchodzi czas, w którym Sakontala wyprawia się do stolicy. — Powiernice jéj i pobożny pustelnik Kanna, który zastępował ojca Sakontali, odprowadzają ją na granicę puszczy. — Scena pożegnania najwyższéj rzewności. — Sakontala przybywszy do stolicy staje przed małżonkiem. — On jéj nie poznaje! Podziwia jéj piękność, ale całe dzieje ich miłości wyszły mu z pamięci! Sakontala chce mu okazać pierścień, lecz pierścień zgubiony, zesunął się jéj z palca, gdy sięgała do poświęconego stawu. To nieszczęście, ta strata pamięci u króla są skutkiem przekleństwa bramina. Sakontala, zapomniana od męża, zelżona od dworaków, odchodzi z sercem rozdartém. Ona mniema, że Duszmanta zaparł się swojéj miłości.

Nie długo potém rybak, złowiwszy rybę, znajduje w niéj pierścień kosztowny; chcąc go sprzedać idzie do stolicy — schwytany, przyprowadzony przed Duszmantę. Na widok pierścienia nagle król

wraca do pamięci, wraca mu się uczucie najwyższéj jego miłości do Sakontali. — Żal i rozpacz króla. — W końcu Sakontala wynaleziona. — Szczęście obojga kochanków.

List Szesnasty.

Egipt.

Wstęp. — Natura Egiptu i historya. — Teby — groby (hypogee) tebańskie. — Zwaliska Teb. — Memnony. — Piramidy. — Labirynt. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca ztąd symboliczność jego fantazyi. — Cecha rzeźby i architektury egipskiéj. — Gadka stara.

Niekiedy i dobrze pomówić z umarłymi!

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby, przeżywszy już znaczniejszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianéj, rzewnéj tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniém, tych chwil, w których serce zachodzi bólami całéj naszéj przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych, i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata; a często umarli uleczą zbolałe dusze żywych.

A kto jeszcze przeżył długie lata w mieście jakiém, toć pewnie na cmentarzu jego będzie miał część własnéj przeszłości, część własnego żywota pogrzebaną pod ziemią. Dla tego też i na naszym krakowskim cmentarzu w każdéj prawie godzinie, w każdéj porze dnia znajdziesz kogóś z miasta na samotnéj pielgrzymce wśrod grobów.

Wczoraj i ja taką wędrówkę odbyłem.

Śmierć, to wielka nauka dla żyjących! Jakoż, kłopotki i zmartwienia codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy znienacka spadnie na ciebie całém brzemieniem skon drugiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojéj topieli, i z głębin ich wyrzucają na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją; co ziemskie, doczesne, zblednieje, skurczy się w karła, zniknie, uleci.

Wtedy poczucie wnętrzne ci wróży, że cię sam Bóg nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzącéj, gwałtownéj boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodyczy rzewnéj. Ale to dopiéro wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoi troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota.

Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na téj wczorajszéj wędrówce mojéj, po tym krakowskim cmentarzu!

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarzała te jasne nieba błękity; jéj wichry obdarły z krzewów i drzew ów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gzy mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta, kłębami przewalała się po świecie, w niéj jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy, rozpływając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, i stary Kraków nasz uderzył w swe kościelne dzwony, i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żałoby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i ta pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubéj mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu, na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słotą; obok szedł woźnica, — on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obsłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarły, i woźnica i ja składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, czasem trumna stukła, czasem zaklekotały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było podostatkiem; więc w rychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospodarzy na téj świętéj roli Bożéj. Blizko niego stos liści zżółkłych, nawianych wśród grobów; one, chwycone wiatrem, nagle się zerwały, skręciły się w słup, a słup wiercąc się i szumiąc poleciał daleko po nad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty żyjącéj. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub owdzie zgrzytły drzwiczki blaszane na starych pochylonych krzyżach, niekiedy na grobie sykły zioła zwiędniałe, powiewem poruszone; westchnął zwiędniały listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stękło pod ziemią — zapewne załamały się dawne spróchniałe

deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych. Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywéj; zdawało się jak gdyby te długie rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały na przeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać, że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój, i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich, łzawém zaprawdę pismem wyryte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi. Obejdzie się już bez pomników, — wszędzie ta ziemia jest święta, wszędzie sprawiona krwią i cierpieniem bez końca. — Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika téj cichéj historyi rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłéj skromnéj scenie domowéj, nieznanéj od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł napełnić księgi całe.

Przebaczysz mi zapewne, że ci położyłem ułomkiem wewnętrzne dzieje uczuć; aleć one nie są bynajmniéj osobistemi uczuciami; one przecież są wszystkim prawie ludziom wspólne, bo rzadkobyś znalazł serce, do któregoby nie zapukały choć z cicha myśli podobne; a wspomniałem ci o tém wszystkiém, dla tego, że z kolei przychodzi mi mówić o tym ludzie, którego życie całe było dumaniem nad śmiercią, o ludzie starego Egiptu, którego historya i kraj cały jest cmentarzem, kędy dech grobowy owionął wszystkie człowieka sprawy, od kolebki do śmierci.

Nieśmy atoli dzięki i chwałę ludowi, który pierwszy w staréj historyi głęboką wiedzą a instynktową wiarą uświęcił prawdę o nieśmiertelności duszy, który, uznając świat materyi jedynie za przybytek ducha a ciało za doczesne szaty jego, oddawał cześć ludzkim zwłokom; nieśmy, powiadam, cześć ludowi, który całe życie pracował by umarł i był pogrzebion z godnością.

Egipską ziemię zewsząd obsiadły tłumne narody, z których każdy w kolei wieków, niby na sejmach dziejów ludzkich, zabierał głos w świętéj sprawie człowieczego rodu; sam tylko Egipt zamyślony milczał w ciszy ducha swojego; on bez bojów hałaśnych, bez wojen światoburczych zdobywał na własnych głębiach duchowych skarby, któremi zapomógł wszystkie w koło ludy i zbogacił późne wieki. Na wewnątrz siebie zwrócony, podsłuchiwał wiekuistości zrodzenia i tonął we własnéj istocie, tonął w bezdeniach nieba; w nich, jakby

na zegarze świata, myślą ścigał wieczne gwiazd obiegi. Aleć bo też i sama ziemia rodzinna tego ludu, jakby na zadumanie a zebranie myśli stworzona. Niby ona jest wyspą samotną, odrębną, a przecież śród obszaru i twierdzy lądów stałych. Jakoż ze wschodu i zachodu dyszą dwie przestrzenie skwarne pustyń głuchych. Tam wszystko martwe, nieruchome, prócz piaszczystych zawiei; wszystko nieme, krom westchnień zbłąkanego wędrowca; tam jedyném życiem lew, tygrys, szakal lub kościste, trupie ramiona kaktusów, a nad pustynią bezmierną sklepi się tarcza nieba płomienna czerwonym żarem, rozpalając piaski i chaotyczne głazy pustyń barwą ognistą (*). Od północy wprawdzie morze Śródziemne bije otwartą falą swoją; lecz gdy dla innych narodów pomorza są wolnym, swobodnym oddechem ku światu i szerokim gościńcem, wiążącym społem ludy, dla Egiptu morskie wody są złowrogiém bóstwem; on ze wstrętem odwraca się od nich, wpatrując się jedynie obliczem niezmienném we własny kraj, niby w dom a dzieje swoje. Więc tylko od południa jedyna jest brama do téj zamkniętéj w sobie ziemi. Gdy bowiem Nil, spadłszy z Alpów Abissyńskich a przebrawszy się przez Nubią, dostaje się pod granice egipskie, już tutaj gruchocze nurty swoje o tysiące wysp opocznych i olbrzymie sterczące skalne samorody; a szumi i kipi, swawoli i pryska, zanim u samych wrót Egiptu z hukiem i grzmotem przewali się przez katarakty i progi. Tu w koło obstępuje go natura również dzika, zuchwała, groźna w przepaści i strome skalne ściany. Zaledwie atoli rzeka pominie Elefantynę, ostatnią wyspę przezwaną „wonnych kwiatów ogrodem“, na któréj święty grób Ozyrysa; zaledwie tu dotknie się gruntu Egiptu właściwego, a już miarkuje swoje wody, już upamiętawszy się płynie uroczysto, poważnie, w milczeniu, jakby ze czcią, z uszanowaniem przez ten kraj również uroczysty, poważny, i tak już zwolna, z cicha dąży w nieskończone morza objęcie.

Ale już przy wstępie do Egiptu zbliżają się do obu brzegów pasma gór, a ścianami rudawemi towarzyszą rzece bez przerwy, zostawując między sobą dolinę wązką, bo szerokości ledwie kilkomilowéj. Tym tedy pasem ciasnym, zielonym, bieży Nil nierozdwojoném łożem; z obu stron za górami ziewają owe pustynie samotne, głuche. Dopiéro gdy rzeka podpłynie w sąsiedztwo morza, oba pasma oddalają się od jéj brzegów, rozchodząc się w odwrotne sobie strony. Nil tutaj, wypuszczony z ciasnych karbów na przestrzeńszy kraj, rozstępuje się we dwa potężne konary, a tak zradza one sławne w świecie widły swoje — *Deltę*. Egipt tedy różni się postacią od

(*) Pan Tepa, jeden z najznakomitszych artystów naszych, odbywszy podróż po Wschodzie przywiózł nam szkice i studya z Egiptu: on pędzlem jakby w tych skwarach promiennych umaczanym przedstawił potężniéj i strachy i przepych tych pustyń, niżby tego dokonać zdołały wszelkie opisy moje.

wszystkich innych krajów na Ziemi; on cały jest tylko rzeką z dwóma długiemi a wązkiemi pobrzeżami i z płatem szerszym przy końcu; więc go też Herodot uważa być podobnym do cienkiéj zielonéj łodyki o jednym liściu u szczytu, a rzuconéj na czerwony piasek pustyni.

Jak do téj samotnéj doliny, odgrodzonéj od świata, rzadko tylko zalatują turkoty historyi i wrzaski wywrótnych wojen; jak w sercu ludu tego przebywa cichy, głęboki pokój, nie zamącony namiętności wojną, — tak téż i niebo jego ciche, bezchmurne; nie ujrzysz na niém onych wiecznie zmiennych kształtów i ruchawych barw obłocznych, onego dramatu, co, ciągle walcząc, ciągle się przeobraża w nadpowietrznéj scenie; tu spokojny błękitów strop zagląda milczący w kraj i w spokojne a ciche serce człowieka (*).

Jednakże najpotężniejszém znamieniem kraju, które się już nigdzie więcéj z tą dobitnością nie powtarza, jest Nil. On nabrzmiewaniem i opadaniem wód swoich zrodził w duszy człowieka niezachwianą myśl o rządzie i ładzie niezmiennym Świata, i rozdzielił rok Egipski na trzy silnie odgrodzone od siebie pory; on był drogą którą z południa przypłynęła cywilizacya. Na brzegach jego następują po sobie trzy dzielnice geograficzne kraju, trzy miasta stołeczne i trzy odpowiednie im epoki historyi. Jakoż oświata ze staréj Nubii, z pradziadowego a zapomnianego Meroe, założyła w wyższym Egipcie Teby; późniéj, z upływem wieków, dźwignęła w Egipcie średnim państwo Memfis i zbudowała owe piramidy swoje; w końcu, zatrzymując się nad morzem, wystawiła w Alexandryi tron Ptolomeuszów. Tutaj atoli już duch Grecyi zawiał Egipt i zmienił postać jego. Więc téż owe same dwie piérwsze dzielnice kraju a piérwsze dwie epoki historyi są istnym wyrazem fantazyi i właściwego żywota jego (**).

Znać ze wszystkich zjawisk, że Egiptowi sztuka przyszła z południa, z Etyopii; wszak ztamtąd nawet wstępuje do Egiptu owa archi-

---

(*) Co do natury Egiptu porówn. *Ritter*, Erdkunde T. I. od str. 677. — Śpieszymy zawiadomić czytelników, że niedawno przybyło do literatury Polskiéj dzieło nowe *Podróż na Wschód* przez *M. Manna*, w którém czytelnik znajdzie wierne obrazy natury i sztuki starego Egiptu, co tém dokładniéj przedstawią nam ten kraj niesłychanych cudów, że autor sam go zwiedzając pisał książkę swoją pod wrażeniem świeżém i żywém, którego doznawał na miejscu, otoczony będąc w koło scenami téj nadzwyczajnéj przyrody, i zabytkami nadzwyczajniejszego jeszcze ludu. Wyjątki z tego dzieła, dotychczas ogłoszone, dowiodły, że autor miał oczy i uczucia otwarte na świat, że dostrzegał nawet szczegóły, co, choć niby drobne, nie pomału przyczyniają się do kolorytu i tonu obrazów.

(**) Wiadomo nam, że w najświeższych badaniach historycznych znajdują się domysły, wywodzące inaczéj pochód historyi w Egipcie; ale owe badania dotychczas, o ile sądzić się ośmielam, nie poparły jeszcze dostatecznie twierdzenia swojego. (Nowsze badania nad historyą Egiptu znakomitych egiptologów, jak: *Lepsius*, Denkmäler aus Aegypten u. Aethiopien 1849—60, Das Königsbuch der Aegypter 1858; *Brugsch*, Historie de l'Egypte 1859, Recueil des monuments égyptiens 1862 i nast. potwierdzają w ogóle powyższe zarysy, podane przez Kremera. — St.)

tektura we wnętrzu skał wykowanych świątnic i w łonie gór wydrążonych przybytków, przypominających Indye; a lubo tutaj na ziemi egipskiéj budowanie usamowalnia się już z objęcia podziemnéj natury, przecież olbrzymie pieczary, tak rozłożyste a zdobyte pracą niesłychaną i żelaznym trudem, świadczą i o pochodzeniu swojém i o potężnéj niezłomnéj woli starego Egiptu. Bo jak ów robaczek z piersi swych wysnuwa jedwabną przędzę, i biedzi się i sili, by z niéj utkać grób dla siebie, co go kiedyś ma wypuścić lekkim skrzydlatym motylkiem, tak dusza ludu tego, niespracowana nigdy prządka, z siebie wydobywa nadczłowieczych prawie sił i wytrwania bez granic, i walczy ze skałą i mocuje się z nieużytą, twardą naturą, by sobie stworzyć pośmiertne mieszkanie, kędyby już mogła spocząc w ciszy i doczekać się zanim téż jéj wyrosną wiekuistości skrzydła.

Tak Egipt jest cały cmentarzem a jego najwyższą sprawą życia jest dumanie nad śmiercią, obrzęd pogrzebowy, i oddanie czci zwłokom umarłych.

Nad Tebami, na ścianach zachodniego pasma gór, co tak silnie odsadza czerwonawe kształty swoje od jasnych nieba błękitów, czernią się plamy, idące po sobie jakby następstwem otworów fujarki pasterskiéj; są to wchody do podziemnego, w górze wykutego, państwa umarłych. Gdy pustynia chuchnie, rozpieczone jéj tchy wlatują w głębie tych pieczar, a one jękną tonem żałosnym, długim. Więc téż z dawien dawna zowią te groty fletnią (Syrinx). Dziś, w pierwszych przysionkach do tajemniczego Świata przeszłości, znajdziesz rodziny na pół dzikich Arabów, którzy niby pasterze, niby rozbójnicy tutaj wraz z trzodami założyli legowiska swoje. Drgający płomień kagańca oświeca gospodarowanie barbarzyńców w tym świecie ponurym, tęsknym. Na pół nadzy rozkładają się na mumiach i czaszkach z wieków Faraonów i warzą sobie wieczerze przy ogniu roznieconym z trumien spruchniałych i z kości dawno zapadłych pokoleń; bają i prawią o przygodach, o rozbojach, o podstępach swoich, i chełpiąc się pokazują sobie wzajem naszyjniki, figurki, pierścienie i inne łupy wykradzione z głębin kośnic starych. Bo oni przywłaszczyli sobie puściznę po téj siwéj przeszłości Egiptu i rabują groby zgasłych stuleciów jego. Więc z szalbierska handlują swą zdobyczą, więc zazdrośni frymarku za ciężkim okupem dozwalają wstępu obcym do wewnętrznych pieczar grobowych. Lecz gdy w nie wstąpisz, gdy przy płomieniu pochodni rozpatrzysz się w tych nocnych przestrzeniach, już świat jakiś, zgrozy a uroczystości pełny, obejmie cię całą potęgą swoją; otoczy cię zamęt ulic, placów, przysionków, komór i t. d., za nimi ciągną znów inne krużganki, chodniki, a za temi znów inne i tak bez końca; tu schody w górę się spinają, tam inne idą w głąb'; tu schody wyprostowane, szerokie, tam skręcają się ślimakiem; tu na czworaku po ziemi pleść się potrzeba, tam znajdziesz salę przestronną, wysoką, słupiastą, gdzieindziéj znów zapadają, niby studnie, szyby pionowe i giną w głębiach niedojrzanych. Całe to

pieczar państwo gmatwa się labiryntem powikłanym, całe wykute w litéj opoce, całe założone zwłokami umarłych pokoleń. Setkami, tysiącami piętrzą się mumie na mumiach, na trumnach trumny; znać, że wiek po wieku wnosił tu zwłoki swoje i układał w stosy, budując z nich jakby twierdze śmierci i pomniki znikomości ludzkiéj.

Przez ten świat skonu i zniszczenia atoli wygląda życie starego Egiptu w całéj prawdzie, z całą treścią domowego obyczaju. Ściany w koło strojne w obrazy malowane, a tak barwami świeże jak gdyby wczoraj dopiéro wyszły z pod pędzla mistrza. Tu widzisz stolarskie, ciesielskie warsztaty, tam piekarze lub czeladź garbarska krząta się pilnie około pracy swojéj; indziéj znów uwija się skoczne grono tancerzy a wtórują im grajki i dudarze; często téż wśród tych scen codziennych zwyczajów wciskają się nieme a tak pełne wymowy przestrogi z innego świata. Przed pałacem wiekuistéj sprawiedliwości zasiada na sądzie Ozyrys, otoczony orszakiem swojego dworu; przed nim stanęła dusza zmarłego. Ozyrys na szali waży i mierzy sprawy jéj ziemskiego żywota i stanowi niezmiennym wyrokiem o losie jéj, o pokucie powtórnéj na ziemi, lub o nagrodzie w promienistéj krainie gwiazd. Tych sądów pośmiertnych znajdziesz tu gęsto: jedne malowane na ścianach, inne na papyrusach, dodane jakby posagiem mumiom w śmiertelne powicie. Niekiedy w końcu korytarza dygoce i mruga w kołyszącém się świetle pochodni postać rzeźbiona występująca ze skalnéj ściany.

Ale tu, gdzie niegdyś panował ład i ścisły szyk, dziś rozpustuje gburowata swawola. Widać, że tu często ręka świętokradzka, poderwawszy niższe warstwy trumien, zwaliła całe to misterne budowanie, a setki mumij rozsypały się po ziemi dzikim zamętem; kędy stąpisz przebijesz nogą cztery, sześć i więcéj ciał spróchniałych, a z nich miał gęsty, gruby, czarny unosi się chmurą, mięsza się z powietrzem, dławi oddech, grożąc zaduszeniem.

Te prochy brudne, ta tłuszcza nieprzebrana ohydnych nietoperzów, które, ocucone ogniem pochodni, ze świstem i piskiem wirują koło wędrowca głowy, wyziewy i cuch z nieprzeliczonéj ciżby umarłych ciał, zaducha skwarna niby rozpalonéj huty w tych sklepach smętnych, uderzają zgrozą zmysły i znękaniem ciało. A pamięć olbrzymiéj, tu pochowanéj przeszłości, żywa obecność śmierci i zniszczenia, trud i dzieje tylu pokoleń, cienie lat tysiąców, które tu przemieszkały, napominające a groźne oblicze historyi, to wszystko ciężkiém brzemieniem pada na duszę, i niby snem straszliwym nagli, by się wydobyć z objęcia tych widziadeł i odetchnąć swobodnie w jasném słońcu dnia i żywota.

Więc niby odrodzony znajdziesz się na wyżynach górujących owe katakumby; ale tu nowe, lubo inne, dziwy niewypowiedzianą siłą chwytają za serce wędrowca. Pod stopami, po obu pobrzeżach nilowych rozścieła się niedościgniona okiem morze zburzysk, rozwalin. Są to rozsypiska Teb, najstarszego miasta w staréj świata cywiliza-

cyi. Wszak Homer, temu lat blizko trzy tysiące, sławi głośną już wtedy potęgę i chwałę Tebańskiéj stolicy, a zdobywając się na wyrażenie najwyższéj zamożności śpiewa: o piaskach morskich zamienionych w złoto, lub o skarbach, które się w stobramnych Tebów liczą mieście:

Gdzie w pole każdą bramą idzie mężów dwieście,
Koni i wozów liczne prowadząc szeregi.
(Iliada IX. 382.)

Dziś ta pieśń wielkiego wieszcza żyje jak przed trzydziestu wiekami, ale ów lud budownik przebrzmiał niby struna lutni zerwana; a miasto jego, ognisko stołeczne staréj kultury ludzkiego rodu, strojne w grobowce, pałace, świątynie, zbogacone posagiem Indyan, Arabii, murzyńskich krajów i ludów zaoceańskich, — to miasto do imienia prawie przepadło w zapomnieniu. A jak nici pajęcze na drogich stłuczonych rzeźbach, tak dziewięć wiosek siadło, wraz z gruntami swojemi, na obaliskach jego; przylepiły dymne chatki i gołębniki swoje do przepychu wywróconych piękności dzieł, na które składały się robotników miliony i długi szereg wymarłych po sobie pokoleń. Te nędzne wioski nadają dziś nazwiska swoje dzielnicom osobnym roztrzęsionych Teb.

Teraz te gruzy, niby bawidełka naukowe, rozwożą po świecie. Każda stolica nasza radaby się pocieszyć, jakby cackiem, sfinxem rodzimego egipskiego pochodzenia, zapominając, że nasz własny czas jest sfinxem, co grozi zdławieniem każdemu, kto nie rozwiąże jego zagadki — kto nie zrozumie jego tajemnicy. Wszak z łona starych Teb przywieziono do Europy ów obelisk Luxoru i postawiono w Paryżu na ozdobne ubranie miasta. Gdy drugi, jakby bliźniak, jemu podobny obelisk świeci jeszcze swym blaskiem w egipskiém słońcu, tamten, wyrwany z pod boku jego, rysuje się i trawi w chmurach i mrozach północnego nieba. Obcy gość, z pod obcego nieba, z innych lat tysiąców stanął wśród pokolenia obcego sobie i przemawia hieroglifami do naszego stulecia.

Gdy nam w Europie pokazują malowane widoki egipskich budowli, gdy w zbiorach bogatych znachodzimy grobowce, posągi z nadnilowych brzegów sprowadzone, toć kształty téj architektury, téj rzeźby, tak nam się zdają podsadziste, grube, a postaci rzeźby egipskiéj tak niby chude i twarde, że nam już trudno dopatrzyć się w nich piękności jakowéj. Ale, powiedz, czyli ktoś zdoła nawet odgadnąć duszę choć małéj, ulotnéj piosenki, kto zarazem nie rozumie ojczystego jéj kraju, kto nie rozumie szeptu borów tego kraju i westchnień jego łąk, i muzyki jego wichrów i wód? kto nigdy nie przyłożył ucha i serca do gruzów, do mogił jego, i nie podsłuchał pulsów, bijących w głębi téj ziemi? — Więc téż dziełom Egiptu przypatrzyć się należy w Egipcie samym; gdy na nie tchnie powietrze ojczyste, gdy je opłynie poświata i barwy rodzinnego nieba, gdy zafarbuje

właściwemi kolory, wtedy owe zdrętwiałe kształty nabiorą życia i ruchu, uduchownią się, uderzą potężnym zarysem swych linij, i zagrają siłą swych świateł i cieniów, tak pełnych tajemniczego uroku. Tu na téj ziemi egipskiéj kolumny greckie, choć tak szlachetne i czyste w rysunku swoim, budowania rzymskie, choć tak śmiałe i harde, będą nikłe i omdlałe bez wydatnych cieniów i świateł, bez dźwięku i siły. Te greckie zwłaszcza budowania, postawione na ziemi egipskiéj, obok dzieł własnych Egiptu, będą śpiewem niewieścim obok grzmiących hymnem organów. Więcéj niż którakolwiek inna fantazya, fantazya egipska dossała się życia u piersi własnéj ziemi, dochowała się i urosła w objęciu ojczystéj natury. Nigdzie już więcéj nie spotykamy tak wspólnego nastroju tych dwóch potęg, tak różnych od siebie, bo spraw ludzkich i przyrody krajowéj. Dla tego téż w Egipcie sztuka tak do siebie zawsze podobna, tak sobie saméj wierna, tak wpływem wieków nie traci właściwego wyrazistego piętna, jak natura Egiptu zachowała wiernie rodzimą cechę swoją. Więc téż dość jest przypatrzyć się jednemu z dzieł egipskiéj fantazyi artystycznéj, aby sobie już wywróżyć ducha, spoczywającego na dnie wszystkich tych dzieł i we wszystkich dzielnicach kraju i we wszystkich epokach jego historyi.

Teby atoli są sercem całéj sztuki egipskiéj, a choć dla łatwiejszego upamiętania się podzielono zamęt ich gruzów aż na dwanaście grup osobnych, dla nas wszakże wystarczy wspomnieć o zburzyskach pałacu Karnak; szczęty jego szczęśliwiéj zachowane wystarczą za wszystkie inne. Nie będziem się téż wdawali w szczegółowe opisy, bo te już dziś w lada książce znaleźć możesz; chodzi mi jedynie tutaj o to, by odświeżyć w myśli twojéj zarysy Egiptu, byśmy się mogli tém snadniéj porozumieć z sobą.

Tuż od wschodniego Nilowego brzegu, sześć set kolosalnego wymiaru sfinxów, o głowie niewieściéj a lwim kadłubie, staje dwoistym szeregiem po obu stronach szerokiego gościńca. Ten późniéj rozszczepia się na dwie ulice sfinxowe. Jedna ma się na lewo i dobiega do świątnicy najdawniejszéj w całéj Tebaidzie; kolumny jéj ciężkie, kształty osiadłe, poważne, zadumane, a światło, po mistrzowsku użyte, nie wpada wprost w przestrzenie przybytku, ale odbijając się i łamiąc, rozlewa się z góry mistycznym i tajemniczym urokiem. Lecz to arcydzieło starodawnego Egiptu zmaleje, gdy się weźmiesz na prawo onego gościńca głównego i puścisz się drugą ulicą sfinxową, wiodącą ku pałacowi Karnak.

Sam wstęp już do tego dziwnego gmachu jest jakby wspaniałą przedmową do czarodziejskich wielkości, które czekają na wędrowca we wnętrzu starego grodu. Bo pilon wchodowy i przysionek wstępny jaśnieje i kosztownością materyału i dobraniem artystyczném jego barw; tu świetne marmury i granity różowe, i piaskowce rożnofarbne spływają w jedność wspólnego akkordu; przed bramą dwa olbrzymy, niby dwie warty kamienne, strzegą wejścia do świętego przybytku.

Więc z napiętą wyobraźnią a naprężoną bacznością wstępujemy do pierwszego dziedzińca, co ogromnie rozlega się niby rynek miejski. Tu wywróciska na wywróciskach piętrzą się w mogiły, w góry. Obalone kolumny, zgruchotane kolosy, stłuczone obeliski plątają się z sobą i sterczą szalonym nieładem. W koło dziedzińca obiegają podsienia, wsparte na długim szeregu kamiennych filarów. W środku, jak znać, dźwigały się dwa rzędy kolumn monolitowych (z jednéj sztuki) a wysokich niby dom czteropiętrowy (70 stóp), ale wszystkie trzęsieniem ziemi są strzaskane, prócz jednéj; one potłuczone w kręgi mięszają się z sobą niby porozciskane warcaby. Między te słupy przechodziły niegdyś ofierne kapłany i tłumy nabożnego ludu. Na drugiéj stronie dziedzińca, wprost wchodu, roztwiera się nowa brama, nowy pilon, nowy przysionek. Taż katastrofa natury, która wywróciła owe dziedzińcowe kolumny, obaliła jedną połowę wstępnéj bramy (pilonu) a gruzy legły tak potężnym chaosem, żeć się zdaje, jak gdyby się góra urwała z posad swoich i wysypała tu wnętrzności swoje. Tędy to wstęp do najogromniejszéj sali jaka jest na świecie. Bo ta sala tak rozłożysta, iżby kościół N. Panny w Paryżu w niéj pomieścił się z łatwością. Ta sala jest ze cztery razy obszerniejsza, niż nasze krakowskie Sukiennice (bo 318 stóp dł. 160 szer.), a tak wysoka, że kolumny podpierające strop sięgłyby prawie pod sklepienie tak śmiałe naszego maryackiego kościoła (88 stóp) — tych kolumn podpierających kamienną powałę jest niby las, bo jest ich 134, a wszystkie z jednego kamienia! a wszystkie tak grube, że na gzemsie, obiegającym ich głowice, sto ludzi wygodnieby stanąć mogło. Z téj sali wyprowadza nowa brama, znów olbrzymi pilon, za nim znów nowy dziedziniec, a za tym dziedzińcem znowu inny czwarty pilon z bramą: od niego dopiéro idzie wstęp do wnętrznych najbogatszych gmachów. Jeżeli już wszędzie poprzednio lśniały obrazy pozłoty i rzeźby, toć tutaj w tych świetlicach już niewyczerpana błyszczy bujność stroju i ozdób, i rzeźb. Processye, bitwy, ofiary, łowy, tryumfy, bogi i ludzie, obcy i swoi, przesuwają się na ścianach niby kamienna epopeja niesłychanego przepychu.

Zważ, to samo trzęsienie ziemi, co poderwało kolumny na dziedzińcu i połowę wstępnego pilonu, nie zdołało przemódz potęgi owéj sali. Walący się pilon dosięgnął i zgruchotał trzy najbliższe kolumny, uderzył i w czwartą, ale ta już nie zadrgała w sobie i do téj chwili dźwiga całe bezmierne brzemię onych chaotycznych gruzów. Natura, wojując swoją ślepą siłą materyalną, nie przemogła tutaj materyalnéj potęgi dzieł człowieka. Sala ta dziś w téj saméj postaci, w jakiéj była przed 3000 lat.

Trudno się upamiętać i uspokoić rozkołysaną imaginacyą; dusza tu widza ciągle, jakby na skrzypcu, od wrażeń potężnych przechodzi do silniejszych, do potężniejszych jeszcze. Dwadzieścia bram są tutaj wchodem do wewnętrznych komnat, sal, korytarzy, izb, rozdzielonych w sercu samém tego świata staréj architektury. Zrozumiesz

najwyższe zachwycenie wędrowca, jeżeli zważysz, iż te ogromy wszystkie, te wszystkie pilony, dziedzińce, bramy, sale, przysionki, zbudowane są na wspólnéj osi, na jednéj linii ocznéj, perspektywą olbrzymią. Zrazu, na przodzie, uderzają gwałtowne wielkością kształty i gwałtowne światła i cienie; te stopniami nikną, gasną, zbliżają się do siebie, aż na końcu w niedościgłéj dali mdleją, tonąc w błękitnéj srężodze atmosfery, niby tony oddalającéj się muzyki. To państwo niesłychanéj świetności otoczone było w koło murem, a tak składało się w całość, któréj już nie sprosta żadne budowanie w nowéj Europie. Zbliżał się może do niego Rzym swoją architekturą w czasie najwyższego górowania, gdy trzymał żelazną ręką cały ówczesny znajomy świat. Ale kościół Św. Piotra dzisiejszego Rzymu, wraz z kolumnadą dziedzińca swojego, znacznie jest krotszy (bo o 111 stóp), niż długość pałacu Karnak, licząc od sfinxów wschodniéj do zachodniéj bramy.

Słusznie ktoś z najpoważniejszych wędrowców powiada, iż rozwaliny tego pałacu w Karnak są najwspanialszym i najogromniejszym zabytkiem staréj i nowéj historyi. A Champollion, którego zapewne nikt nie posądzi o przesadę, tak się wyraża: „Egipcyanie zabierali się do dzieł takich, jak gdyby byli wielkoludami sto stóp wysokiemi. Taż wyobraźnia nasza, co snadno myślą wylatuje nad kolumny budowli europejskich, tutaj pada zemdlona u podnoża kolumn pałacu Karnak. Ani mnie też zbiera chęć skreślenia obrazu jego, bobym nie sprostał i w tysiącznéj części przedmiotowi; a nadto, gdybym nawet zdobył się na jakiś opis jałowy i bezbarwny, toćby mnie jeszcze w Europie przezwali zapaleńcem, alboby może i powiedzieli, żem na rozumie zaszwankował“.

Jużby ani słów, ani miejsca stało, gdyby mi przyszło choć pobieżnie wspomnieć o Luxoru chwale, o grobie Ozymandiasa, co zaludniony mnóstwem kolosalnych figur, o tym stropie kamiennym, który cały z jednéj sztuki, a świeci złotemi gwiazdami na lazurowém tle, lub o owych gruzach, które się zdają być rozwaliną miasta, a które przecież są tylko gruzami strzaskanych posągów o wymiarach ogromnych, lub o onym Hippodromie, miejscu widowisk i igrzysk, ćwierć mili długim, a półćwierci mili szerokim.

Wpośród zwaliska siwéj przeszłości, siedzą w spokoju i ciszy głębokiéj owe dwa olbrzymie Memnony z głazu wykute, a są tak ogromne, że je w koło o dwie mile obaczysz. Długi i przeciągły ich cień dosięga ścian oddalonych gór Libijskich, i niby widziadło starego Egiptu, krocząc mierzy uciekające światu godziny. Niegdyś te Memnony witały każdy wschód słońca głębokim dźwiękiem, niby pieśnią poranną; „był to dźwięk“ powiada Strabo „jakby zerwanéj struny“. Dziś Memnony nieme, i w tém milczeniu swojém znów przetrwają nowe lat tysiące. Przychodnie z Europy nocują przy ich stopach, by się z pierwszym promieniem słońca dosłuchać tajemniczéj ich mowy. W mroku nocy, przy migotach jasnych gwiazd przeczystego egipskiego

nieba, kształty olbrzymów rosną w ogrom straszliwy; w około słychać kwilące szakale, ze szczelin posągów wybiegają ze szmerem gromady jaszczurek, wiatr szepcze z cicha około głów Memnonów. Ale one same milczą; światło i promienne ciepło słońca, już nie budzi więcéj oniemiałych tonów. Już wszystkie struny pękły w piersiach dawnego Egiptu. Bo dla świata inne ciepło, inne światło, inne słońce weszło w sercu człowieczego rodu, a powitały je znękane miliony pieśnią radości i dziękczynienia. — Mowa tajemnicza Egiptu już jest poniewczasie.

Te przepychy i wysilenia ludzkie wywróciły już szalone siły natury, już owe, również ślepe i dzikie, z Azyi przybylce; a pierwszym z nich był ów Kambizes Pers, co to brodził we krwi, w winie, we łzach ludzkich, i wyprawiał burdy po świecie; on pijaną pięścią uderzył w tę siwą, zacną cywilizacyą egipską; lecz szalony zawadyaka zgruchotał jedynie głazy; duch Egiptu nie tknięty wzniósł się w niepokalanéj zacności i zasiadł na zburzyskach swéj stolicy, niby na tronie a majestacie swoim, i z nich patrzy na rodzące się oświaty potomnych narodów niby na wnuki swoje; a ów warchoł azyatycki przepadł w swém nicestwie.

Zważ, przez dwieście lat tu plondrowali i gruchotali Persowie, a przecież gruzy, co ich przetrwały, tak są piękności a rzewności pełne, tak wejrzeniem swojém grają w duszy wędrowca, że przejmują czcią i dreszczem uszanowania. Pomyśl, coby zostało z tych stolic naszych europejskich, z tych Londynów, Neapolów, Berlinów, gdyby się ziemia pod niemi zatrzęsła, gdyby w nich przez dwa stulecia gospodarowały barbarzyńskie burzyciele, gdyby jeszcze na dobitkę, jak w Tebach, po ich rozsypiskach przeorało się ciężkim pochodem dwa lub trzy tysiące lat? Może późny jaki wiek dokopałby się w ich rumowisku skorup dzwonów potłuczonych, jakich ułomków z oprawy ostrołukich bram, lub innych okruchów z dzielności średnich wieków; reszta zamieniłaby się w kupę gliny, tynku i błota!

Atoli rozsypiska, pozostałe w Tebach po pomnikach architektury publicznéj, po grobowcach, świątnicach, pałacach królewskich, zajmują dziś przestrzeń równą połowie Paryża, a przecież te budowania stanowiły niegdyś samo tylko ognisko miasta. Dodaj więc w myśli obszar okryty domami mieszkalnemi, zabudowaniem prywatném, rozciągającém się zaiste w głąb okolicy, a zrozumiesz roztoczystość téj staréj stolicy Egiptu.

Jakoż od samych granic Egiptu do Teb, i znów poniżéj téj stolicy, pobrzeże Nilowe wysadzone jest, jakby w klejnoty drogie, pomnikami architektury. Świątnice, groby, pałace stanęły szeregiem nad rzeką, a ich kształty urocze przeglądają się spokojnie w jéj wspaniałych wodach. Bliżéj Memfis rzednieją te budowania, ludność gęsta, przechody wrogich ludów zniweczyły bogate dziedzictwo z dawnych lat. Choć więc i starożytne Memfis zaginęło do śladu, choć wygasła pamięć życia jego, zostały przecież w całéj potężności pomniki śmierci po Memfickich władzcach — one Piramidy.

Być może, iż jak mówią, te grobowce bezmierne dźwignęły obce przychodne króle (Hiksos) i że z obcych krajów na ziemię egipską przeniosła się myśl tych mogił kamiennych; ale to pewna, że lud egipski, przyjąwszy już tę myśl za swoją, wykonał ją po swojemu na stopę niebotyczną. Dumanie nad śmiercią urosło tutaj w widziadło ogromne i skamieniało w Piramidy. Patrząc się na umiejętność pracowników, na ich wytrwałość bez granic, rzekłbyś, że te przybytki śmierci, są żyjących sławą. Ciężka opoka, twarda skała — materya głucha tutaj przemożona od człowieka, i zniewolona służyć na cześć jego zwłokom, boć one są przecież nieśmiertelnego ducha szatami. Więc ze szczytu tych piramid nie tylko czterdzieści wieków spogląda na świat: z tego szczytu patrzy jeszcze duch, zwycięzca bezmyślnéj natury; ten szczyt jest podnóżem jego chwały i tryumfów jego. Więc tu u stóp piramid, na pograniczu pustyni legł ów potężnych wymiarów sfinx; on symbolicznie broni życiodawczą rolą od piaszczystych zawiei; wszak i one są innym kształtem téjże materyi wiecznie zawistnéj pracom człowieka. Gdy tak duch w Egipcie przełamał skały i obronił się wiatrom, już i chwycił pod panowanie trzeci żywioł, bo wodę; więc wyżłabia kanały, stawia śluze, jazy, tamy, kopie owe wielomilowéj przestrzeni jezioro Meris, a tak zmusza wody by służyły łąkom, polom i ogrodom. Wśród tych atoli prac zwycięzkich, stanęło dzieło obłędu, jakaś zagadka kamienna — ów Labirynt! O nim stary Herodot, choć tak przejęty miłością dla swéj Grecyi, prawi: „Gdyby Helenowie nasi wszystkie budowy swojego stawiania razem złożyli, jeszczeby się nie zebrało na dzieło, jakiém jest Labirynt. Wszak mi nawet wyrazów nie starczy bym zdołał piramidy opisać, a cóż dopiero mam powiedzieć o budowaniu tém, o onych dwunastu ogromnych, dachem pokrytych dziedzińcach, o dwunastu pałacach jego, o 3000 komnatach! Nadziemną część, mówi dalej, sam widziałem, jest to dzieło wyższe nad siły człowiecze“ i t. p. *(II. 148)*.

Rzekłbyś, że na Egipt padło powołanie niesłychanéj pracy i silenia się z sobą, by położył podwaliny dla przyszłéj ducha budowy, lecz że ten świat duchowy był dla niego jeszcze obłędnym labiryntem, nie do rozwiązania zagadką. Wszak sam ten Egipt, niby w chwili jakiegoś somnambulicznego przeczucia, wyrokował o sobie owym, tak pełnym treści, napisem. W Sais wznosiła się świątnica bogini mądrości Neet, „która nie ma pochodzenia i sama z siebie idzie“; nad wstępem głównym wyryte były te słowa: „Ja jestem wszystkiém, co jest, było, będzie. Nikt ze śmiertelnych nie podniósł méj opony — owocem żywota mojego jest Helios — słońce, wiekuiste światło!“

Ten napis jest testamentem Egiptu, którym zapisał dorobek swój światu: poczém jakby narodów patryarcha położył się, by umarł.

A liczną, tłumną falą mnogie wieki spłynęły do wieczności łona,

mnogie pokolenia przeszły światem, a nikt nie podniósł onéj tajemniczéj opony, nikt nie rozwiązał onéj zagadki.

Aż gdy cielesność została ukrzyżowana, a Bożém zmartwychwstaniem „sama śmierć umarła“, już spadły wszystkie opony, a rozerwała się téż od wierzchu do dołu i owa zasłona jerozolimskiego kościoła, a z za téj opony wystąpił objawiony duch.

My dziś, bogate dziedzice przeszłości całéj, wykołysane dzieci Wiary, zbieramy niebiańskie róże, urosłe na cierniach dawno zamęczonych stuleciów. Dla nas w świecie ducha nie ma zagadki, bo nam się objawił sam Bóg. Prawda jest naszą najświętszą powinnością i najświętszém prawem naszém. Zdołamy więc zajrzéć w głębię duszy Historyi świata i zrozumiéć pulse wieków; zdołamy więc zakląć ducha zmarłego Egiptu, by przemówił o sobie językiem dzieł sztuki swojéj.

W Indyach dzikim zamętem mięsza się jeszcze duch i materyalna natura; tam człowiek opojony, oczyniony jeszcze czarodziejską mocą sił przyrody, daremnie się szamocze i miota, by się wydobyć z jéj objęcia. Do Egiptu, jakby dawne wspomnienia, dolatują odgłosy tego ducha Indów; jakoż i w Egipcie są kasty, i tu podziemne budowania w skale wykute, i tu bogi niekiedy wykręcają się w nadgangesowe dziwadła, i tutaj niekiedy w obrządki religijne mięsza się zmysłowość, i hołd oddany fizycznéj naturze; i w Egipcie dźwigają się ogromne roboty pokoleń całych w budowaniach olbrzymich i t. p. Ale porównywając te dwa ludy i ich sprawy, rzekłbyś, że duch i fantazya Indyan tak zawrotne, zapustne, uspakajają się nad Nilem, że zwłaszcza owa fantazya, ciągle ruchawa, rozkołysana, migotna, skamieniała w granitach egipskich. Przecież, za bliższém przypatrzeniem się spostrzeżesz, że jeszcze głębsza różnica rozdziela obie te fantazye. Jakoż fantazya indyjska, tak dziwaczna i senna, przeszedłszy na grunt egipski, dostała się udziałem ludowi, który tak rozgarniony, rozsądny i porządny jak ta jego natura, jak ten jego Nil. Trojaka pora roku, ściśle od siebie odgraniczona, wylewy rzeki nie chybiające nigdy w swoim czasie, te niezmienne nigdy prawa i prawidła natury kraju ujęły téż żywot i sprawy ludzkie i zatrudnienia wszelkie w ład i szyk a w pewne i niezmienne ustawy. Tutaj człowiek od natury uczy się rozgarnienia, rozsądku i porządku. On rolnikiem, więc baczność zwrócił na rzekę, co mu skrapia zbożne łany, więc prowadzi kanały, wykopuje jeziora jako zapasy wód, więc mierzy i pola i czas swój, a wprawiony w rozsądek nie mięsza rzeczy różnych, liczy i waży i rozdziela. I dlatego właśnie zaczyna téż już rozróżniać i istotę własną, istotę duchową swoją, od mocy materyalnych; a przeczuwając już tę różnicę ogromną, już tém samém przeczuwa i wróży sobie prawdziwe ducha znaczenie. I dla tego właśnie człowiek tu rozpoczyna walkę a walkę zwycięzką z mo-

cami przyrody, z przewagą materyi. Ztąd też to podobieństwo jego do Indyj jest raczéj pozorne. Jakoż w Egipcie różnice kast są ułagodzone; a obrządki religijne, ogrom pracy budowników, dziwaczność postaci bożyszcz i te wszystkie zjawiska, będące niby odgłosem Indyi, mają inne w Egipcie znaczenie.

Przecież te walki a pasowania się z mocami przyrody są tak ogromne, tak trudne i olbrzymie, że w Egipcie to zwycięztwo duchowe nie mogło być jeszcze w zupełności otrzymane; uznanie istoty ducha nie mogło być tutaj jeszcze ukończone w sobie. Jest to dopiéro pierwszy szary świt poranny, zwodny, niepewny i majaczny; lud Egiptu przeczuwa, że duch jest osobą, że tedy jest wolnéj woli, że wiekuiste jego jest pochodzenie, że przeto jest wyższym niż natura. Te atoli prawdy głębokie i tak ciężkiéj wagi nie rozpromieniły się jeszcze całą pełnością w Egipcie, wystąpiły dopiéro na poły ze swojego zmroku. Ztąd osobowość człowieka, wolna wola ducha i wiekuistość jego na poły są zrozumiane, a natura nie jest jeszcze ostatecznie przemożona.

To atoli przeczuwanie, to wróżenie sobie prawdy, obok niemocy wyjaśnienia jéj w zupełności, to zatrzymanie się przed samemi progami prawd, stanowi zagadkowość Egiptu. Lud ten sam przeczuwa, że się zderza z zagadką, którą sam tylko na poły rozwiązać zdołał, że on sam sobie jest zagadką, więc nie może znaléźć sobie pokoju. Ta niepewność, to powątpiewanie miota nim i kołysze, chociaż to miotanie się i rzucanie jest przecież inne, niż ów niepokój senny Indów starych. Życie Egiptu schodzi na sileniu się nad sobą, by sam siebie zrozumiał, by dla treści, która się w nim burzy, fantazya znalazła wyrażenie stosowne, odpowiednie. Przecież gdy treść ducha tutaj sama jest jeszcze nierozdzierzgniona dostatecznie, gdy myśl sama jeszcze omackiem chodzi, więc i fantazya biedzi się i mocuje i radaby to w tych, to znowu w innych formach znaléźć wyraz odpowiedni dla prawd, które się dopiéro wykluwają w duchu. Fantazya Egiptu, toć młoda dziewica głucho-niema, w któréj odzywa się pierwsza wróżba rodzącéj się w sercu miłości; nieznane jéj uczucie ją ogarnia, miota, ciska tém sercem; ona sama siebie nie rozumie, więc ogarniona nieskończoną tęsknotą w obliczu, w łezce, w giestach zagadkowych wyjawia potęgę, która ją owładła. Fantazya Egiptu, rozebrana miłością ducha wiekuistego, radaby wyrazić przeczucie i wróżbę swoją, ale jéj braknie słów jasnych, by się zamodliła do kochania swojego.

Ta zagadkowość, ta na poły ukończona praca, to zatrzymanie się przed samym progiem prawdy, ten niepokój jest całym żywotem Egiptu i piętnem jego fantazyi; jest więc powodem téj sprzeczności, w któréj duch Egiptu zostaje sam z sobą, a któréj przemódz nie zdoła.

Dziś milczą głazy, granity Egiptu, obrobione niewypowiedzianym znojem pradziadowego ludu. On po zgonie swoim nie zostawił nam

w dziedzictwie pieśni, w którychby wyśpiewał uczucia swoje; jego poezya, toć są te jego budowania olbrzymie; one to są epopeją, dramatem i skamieniałą lutnią jego. Tém więcéj tedy potrzeba nam posłuchać głosów religii Egiptu, bo jak te wyobrażenia jego religijne z jednéj strony są ostatecznem wyjaśnieniem fantazyi tego ludu i jéj rodnym gruntem, tak też z drugiéj strony są jéj żywém i wyrazistém odbiciem.

Na początku był Knef, przedświatny Bóg; on duchem, tchem, on jest czynną potęgą, on jest powiewem, co wiekuiście przenika istnienia wszechnice; on świata tajemną siłą i mleczą; on wodzi gwiazdy po niebie — a obrazowym znakiem i hieroglifem jego jest wąż zwinięty w pierścień, niby wszechświatów koło. Małżonką tego Boga-Ducha jest Materya — bogini Neit, wszech Bogów macierz i wszech jestestw wiekuista osnowa.

I znów jest druga para bogów pierwotnych: Sewech, czas, co nie ma granic, i z niego się rodzi bytność wszelka, w nim rozpływa bytność wszelka, a jego małżonką jest Paszt, przestrzeń nieskończona, co stanęła na straży porządku i ładu wszech rzeczom; ona ksienią jestestw stworzonych (*). Te bogi są prabogami, z nich poczęte wszystkie inne bogi, którym oddane jest władztwo nad światem, z nich pochodzą bóstwa, wyrażające naturę egipską, więc Ozyrys, Izys, Horus, Tyfon, Anubis, Tot i t. p. A choć te dzieje zrodzeń egipskich bogów właśnie w ostatnich czasach z całą głębią a bystrością ludzi genialnych zbadane zostały, toć przecież dla naszego celu wystarczy, jeżeli nieco bliżéj przypatrzymy się tym dwom parom pierwotnych bogów. One są niby jedném bóstwem, a przecież rozdzielają się na dwie odrębne pary, z których każda znów o tyle tylko jest jednością, o ile małżeństwo stanowi. Wprawdzie na reju ich jest bóg-duch, ale on sam nie jest jeszcze duchem w znaczeniu prawdziwém, on sam jest niby misterną materyą okryty; ten duch jest dechem, lekkim tchem. Nadto on połączony jest małżeństwem z boginią Neit — z materyą; ten stosunek więc objawia, że materya jest mu równą, że ona podobnież jest pierworodną, jak sam duch. Te cztery bogi są małżeństwem połączone, są tedy niby osobami, a przecież one, znacząc materyą, czas, przestrzeń, są abstrakcyą głuchą, bezosobową, są, że tak rzekę, pojęciem metafizycznem. Tak tutaj w zarodzie już spotykamy ową połowiczność, ową rozpoczętą a niedokonaną myśl. Tu jest jedność bóstwa, ale jeszcze niezupełna; duch jest w ciele, on światem władnie, a przecież ma obok siebie materyą, równą sobie z prawa i z rodu. Te bóstwa są osobami, ale ich osobowość jeszcze niezupełna, niedostateczna.

Takowy charakter religii i fantazyi Egiptu silniéj jeszcze prze-

(*) *Röth*, Geschichte unserer abendländischen Philosophie. Tom I. 1846 r. str. 133.

bija w tych mitach jego, w których mowa o stworzeniu świata i człowieka. Wszak i tutaj samo pojęcie stworzenia nie jest jeszcze zupełne. Świat jest niby sprawą bóstwa, ale nie sprawą samodzielną, samowolną; on jest raczéj wypływem, emanacyą bóstwa. Bo przyznasz, że kędy nie ma uznania zupełnéj osobowości bóstwa, tam téż nie ma woli samoistnéj, nie ma stworzenia.

Posłuchaj tego mitu. Bóg-czas złorodny (Sep, Kronos) dźwignął się wojną przeciw najwyższemu bogu, a tłumy bogów poszły za wrogim czasem. Przecież bóg-duch powalił je wszystkie zwycięztwem i wrócił światu dawny ład rzeczy, i puścił na ziemię potop, by z niéj zmyć grzeszne zakały. Litując się atoli nad duchami, co wojną bezbożną nastąpiły na majestat jego, chciał im wrócić dawne niepokalanie i pogodzić je z wiekuistą potęgą. Ulepił tedy ciała ludzkie, by w kształcie człowieczym demony grzeszne mogły odbyć na ziemi doczesném życiem pokutę i odkupienie. Dlatego w saméj chwili, gdy człowiek ma się zrodzić na ziemi, jeden z demonów winnych opuszcza nadgwiazdną stolicę, i pielgrzymką przez zwierzyniec niebiański po srebrnym łuku drogi mlecznéj postępuje ku ziemi. Wśród téj wędrówki atoli patrzą na niego i chuchają konstellacye gwiazd — to ich tchnienie a spojrzenia urok odezwie się późniéj w sercu tego rodzącego się człowieka uczuciem, charakterem, więc pokieruje jego sprawami i całym ziemskim żywotem. Gdy duch połączy się z ciałem, już wtedy rozpoczyna pokutę i odkup swój, a w poniżach ziemskiéj pielgrzymki, w trudach i biedach twardych, uwalnia się od onéj winy przed życiem doczesném popełnionéj. Śmierć jest tedy oswobodzicielką człowieka, ona wyzwala duszę z ciemnic doczesnych. Dusza, zwlokłszy z siebie ciało, staje w pałacach sprawiedliwości wiecznéj, kędy Ozyrys zasiada na sądzie w duchów swoich gronie: tam, wedle wyroku jego, dusza unosi się do wiecznobłogich nieba przestrzeni i zasiada w bogów stolicy, albo wraca powtórnie na ziemię na nowe pokuty, więc na nowe cierpienia w ciele ludzkiém lub zwierzęcém, albo nawet w postaci roślinnéj; a te nawroty do żywota doczesnego póty trwają, aż nie spadną ostatnie pyły winy i grzechów skalanie (*).

Widzisz, ta nauka jest iście kwiatem fantazyi Egiptu, więc nacechowana właśnie temi znamionami, o których ci powyżéj wspomniałem.

Otóż duch jest wiekuistym, życie pokutą a śmierć wyswobodzeniem duszy. Ztąd ciała zmarłych odbierają cześć; ztąd po Egipcie całym powiewają tchy niby ogromnéj kośnicy, a kraj cały ojcowizną umarłych a światem grobów. Ale i tutaj Egipt zatrzymał się przed progami prawdy, bo zamiast uczcić wiekuistość ducha, w którą wierzy, on uczcił śmierć, ciała bezduszne, umarłe.

(*) *Röth*, l. c. str. 153 i następne.

Ale jest inna jeszcze sprzeczność. Wszak widziałeś sądy nad duszą zmarłego i wyroki sprawiedliwe, tak więc znać, że człowiek jest uważany za osobę, więc za jestestwo o wolnéj woli; a z drugiéj strony przecież zostaje pod wpływem gwiazd! Konstellacye przyświecają mu w czasie rodzenia się jego, władają nie tylko jego losami, ale uczuciem, charakterem i sprawami jego, a tak i uzekają wolą jego i odbierają jéj wolność przyrodzoną. Ztąd dalsza sprzeczność; duch jest wiekuistym, jest jestestwem znającém dobre i złe, więc jestestwem rozumném, a jednak w razie nieodpokutowanéj winy ma miéć przeznaczone za mieszkanie a narzędzie swoje ciało zwierzęce! Jest to wiara w wędrówki duszy, tak potworna, tak przeciwna sobie saméj. Wiadomo ci, jak to w upływie wieków sprzeczność téj nauki wyświecił Arystoteles. Mądry Grek, wychowany w uczuciu własnéj zacności i w poważaniu siebie, orzekł, że samo przypuszczenie, jakoby dusza mogła w nieodpowiedniém sobie przemieszkiwać ciele, jest myślą dziką i spaczoną. Tenże powiada daléj, że każda dusza wedle usposobienia swojego ma zastosowane ciało, boć takowe jest jedynie uwidomieniem materyalném duszy.

Przestanę na wykazanych już sprzecznościach, dowodzących, jak to pod każdym względem lud Egiptu, już już mając dotknąć się prawdy, zatrzymuje się i odwraca się od niéj; jak to zawsze, mimo męki i trudów jego, prawda jest dla niego nierozwiązaną zagadką, jak to on na poły tylko poznał istotę swoją; a choć wie, że z istoty swojéj jest wyższym niż przyroda materyalna, toć przecież nie zdołał wskróś przemódz téj natury, ani poznać do dna, czém jest duch.

Teraz nie trudno nam będzie zrozumiéć, dla czego fantazya Egiptu jest symboliczną, dla czego symbolika jest główną i przeważającą cechą sztuki egipskiéj.

Zważmy dwie ostateczności.

Jeżeli człowiek jest w zupełności jeszcze oddany w ciemięztwo natury materyalnéj, wtedy materyi służy, a rzecz zmysłowa sama przez się jest dla niego bóstwem; to bożyszcze strugane, które podbiegunowy mieszkaniec niby karmi tłuszczem, tranem, upraszając sobie szczęśliwe łowy, a bije i sromoci, gdy się polowanie nie powiodło, — to bożyszcze jest fetyszem, bałwanem, bo tu ono nie jest obrazem niewidomego bóstwa, ale samo jest bóstwem; to drewno, ten kamień, którego się człowiek dotyka, jest bóstwem. Znać, że tutaj sztuki nie ma i być jéj nie może. Inaczéj się dzieje, gdy lud jaki całą treść ducha swojego przelewa w dzieło swoje, gdy w postaci zmysłowéj przez niego stworzonéj świeci, promieni się duch. Wtedy (a tak było u Greków) postać zmysłowa, z natury wzięta, cała jest nieskończoności ducha wyrazem, jest zwiastunem wiekuistości jego; i dlatego ta postać, choć od przyrody pożyczona, jest przetopioną, przelaną w duchu, przerodzoną w ideał piękności; w niéj nic nie pozostało takiém, jakiém było w naturze; nie tylko z oblicza, nie tylko z postaci całéj i postawy posągu przemawia

duch, ale on promieni się, świeci w szatach jego marmurowych, z włosów i rzemyków jego sandałów. I toć jest sztuka prawdziwa, toć są panowania i tryumfy prawdziwe fantazyi artystycznéj nad światem zmysłowym! Egipt stanął w środku między temi dwiema ostatecznościami. Bogi egipskie — toć już nie fetysze, aleć nie są jeszcze dziełami sztuki w znaczeniu prawdziwém. Egipt o tyle dopiéro przemógł naturę, że postaci jéj używa za wyrażenie treści duchowéj; ale jeszcze nie jest zdolen przerobić, przetopić w duchu tych jéj kształtów na ideały piękności. Egipt, chcąc wyrazić myśl jaką, wybiera z pośród natury przedmiot, mający jakąś własność, przypominającą tę myśl, która właśnie ma być wyrażoną; czyni tedy ten przedmiot symbolem téj myśli, biorąc go wprost jakim jest, a nie przerabiając go na dzieło piękności artystycznéj. Tak powstaje symboliczność; ona właśnie jest cechą główną i charakterem fantazyi egipskiéj; w symbolice tkwi owa połowiczność, zagadkowość, sprzeczność z sobą, a przytém refleksya, rozsądek w dobieraniu symbolów (*). Słusznie też mówiono, że lud egipski sam jest tym sfinksem, oném własném swojém godłem ulubioném. Sfinks jest zagadką tajemniczą; on na poły człowiekiem, osobą, na poły zwie-

(*) Tak np. kwiat Lotus, wół, krowa, skrzydła, krokodyl, kot, ptak, ibis, lew, krogulec i t. d. stają się symbolami. Jak tutaj te przedmioty nie są bóstwami wprost, nie są fetyszami, tak nawzajem nie chodzi tutaj o to, aby te przedmioty i kształty różne przeistoczyć na dzieła sztuki, ale raczéj o to, aby upatrzyć w przedmiocie jakieś podobieństwo z myślą, która ma być wyrażoną. Tak tedy symbol ma rzeczywiście dwa znaczenia: raz własne swoje znaczenie, treść przyrodzoną, rzetelną; drugi raz znaczenie, które mu nadał człowiek jako znakowi zewnętrznemu, np. skrzydło jest organem ptasim, drugi raz znaczy modlitwę do nieba się wznoszącą. Krowa oprócz znaczenia własnego wyraża jeszcze urodzajność życiodawczą natury i t. p. Widzisz atoli, że to symboliczne wyrażenie się myśli przedmiotem zewnętrznym jest wielce samowolne; bo choć w tym przedmiocie jest zaiste własność, która niby odpowiada myśli, którą masz wyrazić, toć on będzie miał zaiste także inne jeszcze własności, nadające się na oznaczenie innych myśli. Nawzajem i myśl twoja, którąbyś rad wymówić znakiem zewnętrznym, znajdzie nie tylko w tym jednym przedmiocie, obranym przez ciebie, odpowiednie wyrażenie, ale może go dojrzyć i w innych przedmiotach zupełnie różnych od tamtego wybranego przedmiotu. Wynika ztąd, że symbol sam przez się zawsze będzie tylko na poły zrozumiały, czyli będzie zagadką. Bo zagadka nie jest wcale niewiadomością zupełną; bo gdy dla kogo jest coś zagadką, ten wie zarazem, że istnieje jakaś tajemnicza prawda dla niego ukryta. Myśl Egipcyan to w jednym kształcie, to znowu w drugim, lub w trzecim szuka wyrazu myśli dla siebie, i ztąd ta niepewność tego ludu, ta sprzeczność a niezgoda jego; np. słońce, Nil, rok, sprawiedliwość, rolnictwo, te wszystkie wyobrażenia mają uosobienie w bogu Ozyrysie; i na odwrót znów Ozyrys ma za symbol każdy z tych przedmiotów; daléj wszystkie te przedmioty między sobą są wzajemnym siebie symbolem. Jest to niemoc ducha znalezienia obrazu dla siebie. A to przeczucie, co się kluje, te ciemne, głuche wróżby serca prą duszę Egiptu do wyrażenia siebie, więc do oglądania siebie w zewnętrznym przedmiocie. Widać atoli, że chcąc znaleźć symbol odpowiedni, trzeba rozsądku i zastanowienia, rozgarnienia.

Tak w saméj rzeczy w symbolu tkwi zagadka na poły wyjaśniona — niepewność i sprzeczność z sobą, a przytém rozsądkowość i rozgarnienie, mity, więc nawet powieści, które znów niczém innem nie są, tylko symboliką rozwiniętą.

rzęciem, bo głowa ludzka na ciele zwierzęcém; w nim więc godło ducha ludzkiego, wydobywającego się z mocy natury.

Lubo cała fantazya Wschodnia ma pierwiastek symboliczny w sobie, choć już początek jego jest i w Indyach, toć dopiéro znajdujemy go w Egipcie w całym kwiecie swoim.

Wszak i my mamy symbolikę własną (*). Ale nasza symbolika ma to do siebie, że obok jéj ciemnego i zagadkowego tłómaczenia się, mamy inne wyższe tryby wyrażenia treści duchowéj, bo wiara chrześciańska i długowiekowe łamanie się ducha ludzkiego w historyi rozjaśniły nam własne wnętrze nasze, i nauczyły wyjawienia téj treści, czy to w serca nabożeństwie, czyli w sztuce, czyli w jasnéj, przezroczystéj mowie.

W Egipcie pierwszy raz zdarzają się te dwa światy, bo duch i natura, wiekuistość i doczesność; te dwa światy wręcz są sobie odwrotne i sprzeczne z sobą, więc zwycięztwo wiekuistości na poły tylko dokonane; i dla tego symboliczność jest jedynym trybem, którym się zdoła wyrazić treść nieskończona, budząca się w duszy tych zacnych pracowników nadnilowéj doliny; ona téż przejęła wskróś ich sztukę. Dotknę się tu choćby tylko najważniejszych cech téj fantazyi, stosując do niéj wypadki powyższe poglądu naszego.

Fantazya symboliczna nie jest twórczą, ona nie tworzy, jako widziałeś, postaci piękności idealnéj; dla tego jestestwo zewnętrzne wzięte jest wprost z natury; dla tego nawet i żywe jestestwa są symbolem, np. żywy wół Apis, żywy krokodyl i t. d. Jeżeli zaś kształt jaki, o ile go natura przedstawia, nie wystarcza do wyjawienia myśli, wtedy po swojemu go fantazya egipska uzupełnia; tym trybem znajdziem i tutaj głowy zwierzęce (kocie, ptasie, krogulcze, krowie) na tułowiach ludzkich, a niekiedy nawet kształt jest złożony z wielu różnych zwierzęcych postaci; — prawda, że z tego tworzą się potwory, przypominające straszne bożyszcza indyjskie, ale w Indyach duch jeszcze omackiem się rzuca i śni, w Egipcie zaś jest trzeźwym, zastanawiającym się, głębszym; on tworzy z refleksyą rozumną te kształty, by były znakiem dla myśli jego.

Ta połowiczność, to na poły uznawanie się ducha okazuje się jeszcze tutaj tym trybem, że posągi egipskie nie są więcéj tak wiotkie, bezkostne jak indyjskie; owszem odznaczają się siłą, jędrno-

(*) Znak krzyża świętego, łódź, baranek i t. p., są symbolami religijnemi; życie zwyczajne pełne jest symboliki; suknie czarne lub wesołéj barwy, wianek na trumnie lub na skroniach narzeczonéj młodéj — lilia, róża, niezapominajka, ruta, rozmaryn, mirt; zdjęcie kapelusza, oddanie kluczy nowemu dziedzicowi, kądziel lub skórka zająca posłana niezbyt odważnéj młodzieży; czwórka siwa, arbuz, pawie piórko; uderzenie w dłonie przy ugodzie, rozmowa kochanków na kwiaty używana na Wschodzie i t. d., to wszystko jest symboliką. Ale właśnie dlatego, że tutaj zachodzi jeszcze zagadka, więc trzeba znać tę symbolikę, by odgadnąć jéj znaczenie. I sama natura ma swoją symbolikę, choć wyraźniejszą i mniéj zagadkową: łezka, rumieniec występujący na licach, ucałowanie i t. d.

ścią twardą, ale za to przechodząc w drugą ostateczność są chude, długie, bez swobody; ręce, nogi sztywne, przylegające do całéj postaci nieruchomej; nadto wszystkie dokonane są wedle tego samego prawidła i typu; one nie mają indywidualności, odznaczającéj je między sobą; twarz ich zdrętwiała, bez wyrazu, abstrakcyjna, uśmiech skamieniały, oczy niezwrócone w pewne ognisko, one patrzą gdzieś w przepaścistą, niedościgłą dal. Ta abstrakcyjność, ten brak wyrazu, jest powodem, że te posągi mogą się powtarzać jak kolumny nieskończenie wiele razy, bez sprawienia przykrego wrażenia. Pomyśl sobie, jak okropny, straszliwy byłby widok, gdyby te figury miały indywidualność pewną, gdyby były wizerunkiem jednego i tego samego człowieka, a były, niby na ozdobę architektoniczną, ustawione jakby gościńcem długim we dwóch szeregach nieprzejrzanych. To powtarzanie się téj saméj twarzy, tych samych wydatnych zarysów a podobnych do siebie, byłoby zaiste nie do zniesienia, byłoby okropném.

Ale niedokonane wyzwolenie się ducha pojawia się jeszcze w tém, że ciała tych figur doskonaléj są wyrobione niż ich oblicze, kędy promieni się dusza, kędy myśl o sobie przemawia, i dlatego też może tutaj kształty zwierzęce wyższéj są artystyczności niż ludzkie.

Posąg stojący sam o sobie jest wyrazem swobody, która atoli nie rozwinęła się jeszcze w Egipcie; z tego przeto powodu nierównie więcéj tu mają wartości płaskorzeźby, które jeszcze niby nie są wyzwoleniem od tła ogólnego przyrody; nadto w płaskorzeźbie nie chodzi o indywidualność i życie duchowe jednego pojedynczego człowieka, ale raczéj o wydarzenie jakie, o fakt, np. o bitwy, o uroczystości, obchody religijne, polowania, zatrudnienia codzienne. I płaskorzeźby Egiptu są pełne cech właściwych fantazyi jego, a mianowicie onéj symboliczności. Tak zważmy, że same rozmiary są symbolem: np. w bitwach, król jest ogromnego ciała i trzyma cały pęk nieprzyjaciół za włosy, a figury, wyobrażające nieprzyjaciół, są drobniuchne; tak podobnie w płaskorzeźbie i malowanych obrazach brakuje perspektywy, która właśnie jest pierwiastkiem duchowym; zamiast perspektywy przedmioty dalsze umieszczone są wprost nad bliższemi; nadto wszystkie figury ujęte z profilu; cieniów nie ma w malowaniach. — Nawet farby same mają znaczenie symboliczne, np. Egipcyanie i ich konie czerwonéj barwy, niewiasty żółtawe, nieprzyjacioły popielate, a bogi to błękitne, to zielone, to żółte, wedle różnych żywiołów, któremi władają.

Przewaga rozsądku, praktyczności, występuje głównie w doskonałém technicznem wykonaniu; jakoż same dawne łomy kamieni do dziś dnia są podziwem wędrowców europejskich; widzimy też wielką udatność w sprowadzaniu ogromnych skalnych bałwanów ze stron dalekich; następnie doskonała technika wyjawia się i w trwałości budowania, co się obroniło tylu tysiącom lat i w téj świeżości barw

obrazów, co świecą i błyszczą niby nie zwiędłe kwiaty grobowe po onych pokoleniach starych.

W Egipcie spostrzedz już możesz istotnie rozwój wszystkich rodzajów sztuki; ale one tutaj jeszcze nie ściśle odgraniczają się od siebie i przechodzą nawzajem na siebie. Ściany, filary, obeliski, piramidy, od ziemi do wierzchu pokryte taką ciżbą płaskorzeźby, że nie wiedzieć, czyli ta architektura jest dla rzeźby, czyli rzeźba dla architektury. Posągi, płaskorzeźby są malowane, co tutaj było tém potrzebniejsze, że skulptura najczęściéj jest wklęsła (bas-reliefs en creux).

Lubo atoli te rodzaje sztuki nie są rozdzielone od siebie, chociaż one wszystkie stają się wyrazem fantazyi egipskiéj, przecież nie trudno nam odgadnąć, że właśnie ten rodzaj sztuki najpotężniéj się w Egipcie rozwinął, który ze saméj istoty swojéj jest symboliczny, który, będąc również zagadkowy, przemawia do człowieka niby głuchoniemą mową, i niby przeczuciem, zwiastując o treści człowieka; jest to sztuka, co nie słowami ani postaciami, kształtami wyraźnemi, ale liniami w przestrzeni staje się tłómaczem duszy; tym rodzajem sztuki jest atoli architektura — ona najdokładniéj odpowiada fantazyi powszechnéj tego ludu.

Lud egipski jest ludem budownikiem; co się waży i żyje w sercu, co się kluje i tęskni w duszy, to kamienieje w tym kraju w budowaniach olbrzymich. Bóg, osobą będący, nie stanął jeszcze wśród ludu tego, ale on w zagadkowém przeczuciu wróży sobie o przybyciu jego, więc mu dźwiga mieszkania i święte przybytki, gotowe do przyjęcia nadgwiazdnego gościa. Przecież nie jest zdolnym, aby mu stworzył zacny obraz jego. Rzeźbione posągi bogów nie są tu dziełem sztuki, istniejącém samodzielnie, dla siebie, ale służą budowaniu, są li przystrojem architektonicznym, są środkiem a nie celem; co więcéj, ten brak indywidualności posągów, to wykonanie ich prawidłowe, geometryczne, to symetryczne ich ustawienie obok budynków, nakoniec same olbrzymie wymiary tych posągów, są dowodem, że tutaj skulptura jest architektoniczną, że architektura jest sztuką przeważającą. Podobnie malowanie jest wprost ozdobą, jest ornamentyką architektury.

Miotanie się i boleści zrodzeń duchowych Egiptu pojawiają się już w samym ogromie budowania, w onéj niesłychanéj pracy robotników twardych. Jak duch Egiptu nie opatrzył się jeszcze w sobie, jak nie wie jeszcze, że jest osobą, jestestwem o sobie stojącém, tak i budowanie jego nie jest całością w sobie ukończoną; pilony wstępne, dziedzińce, przysionki, sale, pałace, idą po sobie i obok siebie mogą być bez końca jeszcze pomnożone, bez nadwerężenia całości, bo takowéj nie ma jeszcze w architekturze egipskiéj. Kędy człowiek nie wie jeszcze o myśli opatrznéj Boga, władnącéj światem i do któréj się odnoszą wszystkie stworzenia, jako do ogniska swojego: póty też i w jego własnych dziełach nie będzie jedności, nie

będzie całości, bo nie będzie jednéj myśli, do któréj się odnoszą części wszystkie dzieła tego, jako do ogniska swojego i serca.

W architekturze egipskiéj wszystko jest symbolem: symbolem jest i pochyłość ścian zewnętrznych, przypominająca piramidy, i piramidy same, i liczba schodów, kolumn i obeliski, i ta podsadzista powaga, uroczysta, świąteczna, i to zadumanie głębokie, monumentalne, które tu tchnie po głazach. Do téj architektury formy roślinne są równie prawie żywcem przeniesione, one nie nabrały jeszcze architektonicznego rysunku, ale będąc także symbolem są prawie kopiami pączków, palm, kwiatów — natura w nich nie jest przemożona!

A wszędzie znać ducha porządku i ładu; samo założenie świątnic jest jakoby symbolem uroczystych pochodów świątecznych processyj; same te przysionki, sale, pilony, obeliski, rzędy podwójne kolumn, stojące na dziedzińcu, są także jakoby symbolem uroczystości religijnych; same ich bowiem rozstawienie wskazuje którędy mają ciągnąć obchody świąteczne, oddające bóstwu pokłon i hołd.

Pieśni święte śpiewane, hymny na cześć bogów, ogłuchły, oniemiały wśród tych granitów; nic wcale nam nie pozostało z téj poezyi starego Egiptu; na miejsce téj umarłéj poezyi znamy jedynie mity religijne, z których znów najpiękniejszym jest powieść o Ozyrysie i Izydzie, i o wrogu ich Tyfonie. Rozumie się, że ten mit jest allegoryą; — fakta, kształty w nim występujące odnoszą się wprost do natury Egiptu, do ciał niebieskich, do Nilu, pór roku i t. d.

Te mity atoli zanadto są znajome, bym ci je miał powtarzać; na ich miejsce przytoczę ci obrazek obyczajowy z życia Egipcyan wzięty. Pożyczam go z Herodota; a choć ta powiastka nie jest zmyśloną, bo ten zacny gaduła Herodot nie zmyśla nigdy, przecie gdy ona przechodziła z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, więc znać, że przypadła i do fantazyi starego Egiptu. Brak więc światowéj poezyi tego ludu niechaj nam zastąpi ta gawęda stara; ona bardzo stara, pewnie jedna z najdawniejszych na świecie, bo Herodot, który sam przecież urodził się bez mała na 500 lat przed erą naszą, prawi o niéj jako o dawnéj bardzo rzeczy.

Otóż żył niegdyś w Egipcie król Rampsenit, bardzo bogaty; miał złota, srebra, klejnotów co niemiara. Pragnąc ubezpieczyć sobie jakoś te skarby swoje, rozkazał budowniczemu, by mu wystawił skarbiec, niby wieżę z ciosów, któraby jedną ścianą dotykała pałacu. I stało się wedle woli królewskiéj. Ale podstępny architekt potajemnie umieścił jeden z ciosów tym trybem, że bez trudności mógł być wyjętym z muru przez dwóch ludzi, albo nawet przez jednego silnego człowieka.

Niezadługo on architekt śmiertelnie zachorował; przywołuje tedy przed skonem dwóch synów do siebie, i oświadcza im, że jako dobry ojciec wielce troskliwie pamiętał o ich losie, że dbał o ich przyszłe utrzymanie; powierzył im tedy tajemnicę swoją, opisując

najdokładniéj on cios ruchomy. Wkrótce też umarł ojciec. Synowie zaś, nie odwlekając sprawy, nocą udają się pod skarbiec — poznali kamień, odsunąwszy go nie żałowali sobie — nabrali mnóstwo złota i powrócili do domu.

Nie lada było zadziwienie Rampsenita, gdy nazajutrz, wszedłszy do skarbca, postrzegł głębokie szczerby w złocie, a tu ani zamki, ani drzwi, ani pieczęcie nie były tknięte! Zadziwienie króla codzień się wzmagało, bo co noc bracia odwiedzali skarbiec jego; co ranek tedy brakło to w worze złota, to znów jakichś klejnotów drogich. Zachodził w myśl król Rampsenit, jakby szkodzie zapobiedz. Nakoniec wziął się na sposób; porozstawiał w skarbcu sidła misternie, spodziewając się pomyślnych skutków. Gdy następnéj nocy bracia znów stanęli w skarbcu, jeden z nich, spostrzegając naczynie złociste, wabiące, pokusne, zbliżył się do niego, ale w tém siatka zapadła. — „Ratuj się mój bracie! zawołał, bo co do mnie, jam już zgubiony; utnij mi głowę proszę i zabierz ją sobie, by nas nie poznano!“ — Te jego słowa zdawały się być drugiemu wielce rozsądne, więc usłuchał i sprawił się wedle życzeń brata.

Z pierwszą chwilą poranku król Rampsenit wchodzi do skarbcu. Podziwienie, strach, zgrozy go porwały widząc wśród złota i klejnotów człowieka w sidłach ale bez głowy! a tu pieczęcie nietknięte, a w murach nigdzie choćby najmniejszéj szczeliny.

Nie wiedział król jakby sobie już miał począć; nakoniec po długich namysłach tak sobie poradził: kazał ciało złodzieja powiesić na murach miasta, postawił przy niém wartę, nakazując jéj aby miała ścisłą baczność na przechodzących i każdego chwytała, coby patrząc na wiszące ciało narzekał i płakał.

Matka onych dwóch braci dowiedziawszy się o tém, nie mogła na sobie przenieść boleści z poniewierania zwłok synowskich, nastawała tedy na żyjącego syna, by, bądź co bądź, uratował ciało brata od sromoty i oddał mu pogrzebną cześć; on perswadował matce, łagodził, ale naprożno; ona mu bez ogródki oświadczyła, że jeżeli nie dopełni jéj żądania, to wprost uda się do króla i wyda rzecz całą. Syn, któremu nigdy nie brakło wybiegów, zebrał osiełki swoje, obciążył je łagwiami wina, i pod wieczór zapędził pod mury miasta, kędy było powieszone ciało braterskie; gdy się już zbliżał do straży, rozpruł jednę z łagiew; wino ciekło na ziemię; on udając kłopot, przestraszenie, krzyczał, szamotał się wielce, niby rozpaczając. Co gdy widzieli żołnierze trzymający warty, przyskoczyli i pili żwawo ciekące wino. On niby się gniewa, swarzy, łaje; żołnierze jakoś go namawiają, by się w żalu miarkował, nakoniec rzecz całą obrócili w śmiechy i w żarty; więc też on udając, że się udobruchał, śmieje się i żarty stroi. I tak się niby z niemi zaprzyjaźnił, że ich jeszcze jedną łagwią uraczył, i został z niemi częstując wesoło gości; niezadługo straż na piękne spojona zasnęła. Złodziéj wtedy zdjął

zwłoki z muru i ostrzygł na hańbę straży brody a to z jednéj strony i poszedł.

Gdy się do króla doniosło, że ciało ukradziono, i że ostrzyżono brody jego żołnierzom, unosił się od gniewu Rampsenit, a uwziąwszy się, aby koniecznie odkryć przebiegłego filuta, ogłosił publicznie, że ofiaruje córkę swoją temu, ktoby jéj opowiedział sprawę swoją najsromotniejszą, a zarazem najdowcipniejszą. Zmiarkował on broiciel, co się święci. Uciął tedy bratu rękę od samego ramienia, wziął ją pod płaszcz i poszedł do królewnéj, szepnął jéj w uszko: „Czynem moim najsromotniejszym jest ten, żem uciął głowę rodzonemu bratu, a czynem najdowcipniejszym, że mi się udało spoić wartę królewską". Królewna w téj chwili chwyta go za rękę, chcąc przytrzymać, ale jakież jéj podziwienie, gdy złodziéj uciekł a ręka ucięta pozostała w jéj mocy.

Król Rampsenit już teraz wielbił naprawdę rozum onego figlarnego złodzieja, rozesłał uwiadomienie po wszystkich państwach z oświadczeniem, że daruje karę zbrodniarzowi i suto go nagrodzi. Zaufał sprawca, stawił się przed królem. Rampsenit, pełen podziwu, po długiém a głębokiém zadumaniu się, rzekł: Otóż Egipcyanie najmędrsi ze wszystkich ludów, ale ten mędrszy nad wszystkie Egipcyany; dajmy mu tedy córkę za żonę. I to się stało. Młoda para żyła długo i szczęśliwie.

List Siedmnasty.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp. — Nemrod. — Odkrycia uczynione przez Botta i Layarda. — Znaczenie tych zabytków w historyi sztuki. — Usposobienie umysłowe tych ludów. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażającéj się w dziełach sztuki. — Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniém między sztuką egipską a grecką. — Persya. — Persepolis, grób Cyrusa, groby królewskie. — Cecha téj fantazyi. — Zendawesta.

„Mene-tekel-upharsin! Zliczył Bóg królestwo twoje i do końca je przywiódł! Zważonyś na wadze, a znalezionyś lekki!" (Daniel V, 25.)

Te wyroki historyi, napisane palcem Bożym na ścianie pałaców Baltazara, uderzyły gromem na one olbrzymie mocarstwa wszystkie, co je powiła Azya, ludzkich rodów macierz. I runęły wszystkie te państwa ludowładne, poczęte jeszcze w szarém zaraniu dziejów świata; runęły wszystkie te państwa już od dawnych lat tysiąców,

i rozsypana jest ich moc; jako sen przeminęły ich pychy wielomożne, a ich tłumne narody rozwiane są jako liście jesienne.

Puść się myślą od himalajskich śnieżnych grodów ku Europie, kędy fale Śródziemnego morza wygrywają jakby wieści stare o kolejach historyi; przeleć myślą po tych niezmierzonych rozłogach, kędy bieżą Tygru i Eufratu wody, a zawieje cię zewsząd wspomnienie najstarszych ludzkich dziejów, zda ci się, że wody potężne tych rzek szepcą sprawy Ninusa, Semiramidy, Sardanapala, Nabuchodonozora, Cyrusa, Aleksandra. Posłyszysz, jako echa rozlegające się po pustyni, imiona Babilonu, Assyryi, Medyi, Persidy, Fenicyi. Jakby sen pacholęcy zamigocą się gadki o wiszących ogrodach, o wieży babilońskiéj, o królewnie Mandanie, i one powieści wszystkie, co ci były rozkoszą w dziecięcych latach, wysłane z krain dziwów i cudów.

Roztwórz księgi Herodota, zacnego wędrowca, i czytaj co nam prawi o Babilonie: „Miasto to ma 480 stadiów obwodu (15 mil geogr.); jest też ono otoczone w koło murem, a muru tego wysokość na 200 łokci, a grubość jego na 50 łokci — w nim sto bram ze spiżu ulanych. W Babilonie jest świątnica Belusa a w środku niéj ciosowa wieża, na któréj zbudowali drugą wieżę, na téj trzecią wieżę, na téj czwartą, tak, że aż ośm wież piętrzy się na sobie; w najwyższéj wieży jest świątynia, w niéj łoże a przy niém stół złoty. Niekiedy bożek zstępuje z nieba i sypia na tém łożu; tak twierdzą kapłani chaldejscy, ale ja temu nie wierzę“ (*).

Chciéj pomyślić, że ta wieża Belusa wysokością swoją przenosiła najwyższą piramidę egipską o 179 stóp, bo jéj było 800 stóp wysokości (**).

Ogromniejszém jeszcze niż Babilon było miasto Ninus. W niém Semiramis pochowała małżonka swojego, wysypując mu pomnik na $^1/_3$ część mili szeroki; w niém szalał rozpustą Sardanapal. Lecz wszelka bliższa wiadomość o téj stolicy Azyi ogłuchła. Nie wiedzieć nawet czyli to miasto Ninus jest oną Niniwą, o któréj Pismo Św. wspomina, jako o „wielkiém Bożem mieście“ co było tak ogromne, „że było na trzy dni drogi obwodu jego“ a do którego wysłany był Jonasz z Bożego rozkazania, by nawracał serce króla i ludu do pokuty, a w którém mieście żyło, wedle słów proroka, więcéj niżeli sto dwadzieścia tysięcy ludzi takich, „którzy nie umieli rozeznać między prawicą swoją a lewicą swoją“ (***).

Wieki minęły śpiesznym pochodem przez świat, a nikt już nie mógł wskazać, kędy się rozlegało to miasto niby mrowisko milionowe ludzkiego rodu; było zapomniane do imienia, do miejsca, na którém stało.

Dreszcze cię przejdą, gdy pomyślisz, że bajeczne, mityczne za-

(*) Herodot, I, skrócono 178 do 184.
(**) Wieża strasburgska ma jedynie 443 stóp.
(***) Jonasz, IV. 1.

wiązki starożytności klassycznéj, bo Grecyi i Rzymu, są prawie świeże, prawie nowoczesne, w porównaniu mrocznych dziejów tych miast Assyryi i Babilonu. Pomyśl, że one wyprzedziły dwoma tysiącami lat zbawienie świata, że od czasu ich najwyższéj potęgi przeleciało tysiąc lat, zanim zapadła mityczna wojna Trojańska i zabrzmiały pieśni Homera, a król Salomon dźwignął kościół swój na cześć Panu; a przeszło siedmnaście stuleciów, zanim ów młodzieniec młodzieńczéj Europy, ów Macedoński Aleksander, przeleciawszy świat umarł w tym Babilonie. Ba, tysiąc trzysta lat spłynęło po ziemi od czasu, gdy te Azyi siedziby były tronami starożytnego świata, aż do chwili, gdy Romulus, ów wilczy wychowaniec, założył pierwsze lepianki na pagórach Rzymu; i znów od tego Romulusa blizko tysiąc lat historyi rzymskiéj przeszumiało skrzydłem ociężałém, krwią spluskaném, zanim skonała Roma. Nowy teraz świat poczęty — wykluwały się nowe państwa, nowe narody pod ciepłem miłości Bożéj a prawdy chrześciańskiéj. Nastają stulecia średnie, — a jest ich dziesięć z okładem, — czas czarodziejskich mocy, wojen Krzyżowych i pieśni trubadurów; lśniącéj, migotnéj fantastyczności, a rycerskiéj i butnéj awantury; czas miłostek a skruchy rzewnéj, serdecznéj, — czas szlachetny a pełen barbarzyństwa — nakoniec zadniała na niebie dziejowém historya nowożytna, a otworzył jéj drogę Kolumb, Vasko i Magelan, co naokoło objechał planetę. Cisnęły się odkrycia za odkryciem, wynalazki za wynalazkiem, jak się parły pokolenia po pokoleniach. A wywędrowały ludy Europy w Amerykę kupczącą, bo już ciasno téj Europie w domu, bo jéj ludy w dni kilka parą przejechać ją będą mogły od końca do końca. Europie tak śpieszno z życiem i historyą; ona ogromne wypadki dziejowe, które niegdyś nie pomieściły się w setku lat, ścisnęła w jednym ich dziesiątku, jak ścisnęła wielomilowe przestrzenie w kilku godzinach czasu; a dzienniki, gazety, fabryki, pisma ulotne, nowe romanse, spekulacye, przedsiębierstwa, odkrycia, pędzą na wyścigi przez świat; każdy chwilą obecną zajęty, krząta się i biedzi prozą dnia każdego. A Assyrya, Niniwa, Babilon? — to gadki dziecięce! Zaledwie ojciec pozwala, by nauczyciel o tych plotkach prawił pacholątkom jego; bo te powieści wszystkie zmyślone przez gadułów starych, te wierutne bajeczki czynią z młodzieży nieprakty-cznych marzycieli, a tu czas goni, a tu życie prze, a tu trzeba być czujnym i mieć oczy, a oczy otwarte na rzeczywistość! bo ona tylko sama jest prawdą. Na co się komu zdadzą one obrazki senne, któremi się niegdyś durzył ów dawno zmarły świat — niedoszły w rozumie! Tak myślano lat temu dopiéro dziesięć, o ile ktoś o tém jeszcze myślał. Ale naszym czasom, choć tak prozaicznym, nie braknie nigdy cudotwornych dziwów; one pukają od czasu do czasu do drzwi powszedniego, trzeźwego, rozsądnego życia, przypominając, że są cuda, o których Hamlet powiada „ani śniło się filozofom naszym“. Za naszych dni przeszłość stara rozwarła groby swoje, a postać po-

śmiertna dawno zapomnianego Wschodu wystąpiła z pod ziemi i pojawiła się Europie, jak ongi ojciec Hamleta, i wystąpiła w całym rynsztunku wojennym z mieczem w ręku, z koroną na głowie.

List p. Longworth z Nimrud nad Tygrem, umieszczony w Morning Post d. 3 Marca 1847 r.

„Będąc w Mosul, wielce pragnąłem odwiedzić wykopaliny w Nimrud. Radbym atoli choć kilku słowami opisać wrażenia, które mnie uderzyły wśród tych gruzów pełnych dziwu. Wszystkie te zwaliska były pogrzebane w ziemi. Aby się do nich dobyć, Layard kazał odkopać ziemię do głębokości 12 lub 15 stóp; tak dostał się do wnętrza pałacu zbudowanego z płyt marmurowych. Tu przedstawił się istny zamęt labiryntny przysionków, świetlic, komnat, a ich ściany wszystkie widziałem pokryte płaskorzeźbą i onem pismem w klin pisaném; a te ozdoby i przystroje były jeszcze wybornie zachowane. Wyższa część murów zbudowana jest z cegieł i pomalowana w kwiaty i t. p. lśniące jeszcze najżywszą barwą. Dachy były zapewne drewniane — tu i owdzie sterczały jeszcze z nich ułomki rozsypane.

„Było to właśnie pod wieczór, gdym zstępował w te świetlice, więc długie cienie potęgowały jeszcze wrażenie, pełne lęku i grozy, tych przedmiotów, które mnie w koło otoczyły. Przyznaję, żem był wskróś poruszony, stanąwszy wśród przepysznego mieszkania starych assyryjskich królów, a nie potrzeba było przyłożenia silnego wyobraźni, by tu obaczyć zmartwychwstające widziadła zapadłéj wielkości i potęgi. Widma przeszłości napełniały zewsząd ciżbą ściany, po których, mówiąc słowami Byrona „rozpostarły się mgliste skrzydła trzech tysięcy lat“, one przedstawiały wędrownemu widzowi obraz onych mocarzy, co niegdyś władali tak wielką częścią téj ziemi, którąśmy dziś zamieszkali. Tutaj oni świecą w oryentalnym przepychu bogato wyszywanych szat, i w tym dziwnym swoim przystroju na głowach. Tutaj widać ich sprawy i w czasie wojny i pokoju; to udzielają posłuchania obcym ludom, to walczą w bitwach lub zdobywają twierdze, to na łowach ścigają lwy i t. d. Widok takiéj mnogości przedmiotów obcych, cudzych, przeniknął mnie do dna duszy. A postaci królów i ich namiestników były tak prawdy i życia pełne, i wyrobione tak piękną płaskorzeźbą, że się zdawało, iż w lada chwilę wystąpią i gniewnie powstaną na zuchwalców natrętnych, ośmielających się nachodzić ich samotność cichą. Tu i owdzie znów pojawiały się potworne kształty starych bóstw assyryjskich; ciała ich ludzkie, ale z obwisłemi długiemi skrzydłami a głowy o dziobach orlich. Tam znów u bramy przysionków opustoszałych, wiernie trzymają straż kolosalne postaci skrzydlatych lwów i wołów o twarzach ludzkich olbrzymiéj wielkości. Zdawało się, że w chwili mrocznéj wieczora wszystkie te figury, te wszystkie bożу-

szcza dawno umarłéj religii, podniosły głowę swoją ze snu długich wieków. Zaiste uczucie uszanowania, które mnie przejmowało, było podobne do uczucia hołdu, które dla nich mieli niegdyś pogańskie ich czciciele“ (*).

Otóż jest list pisany sześć lat temu, a niezadługo po chwili, gdy pogrzebione pomniki tego dawno umarłego świata zmartwychwstały, występując przed oczy żyjących.

Zacznijmy atoli od początku.

Chwała odkrycia pomników assyryjskich należy się zaiste Francuzowi Botta (**). Botta dopiéro 1843 r. na wiosnę opuścił Francyą, przeznaczony będąc na konsula do Mosul, miasta położonego nad Tygrysem. Pod Mosul sterczy kilka potężnych pagórków; zarysy ich są tak nadzwyczajne, że zrazu widać, iż one nie są dziełem natury, ale raczéj rozsypiskiem ogromnego budowania; a gdy między ludem tamtejszym chodzi wieść, że jeden z tych pagórów jest grobowcem Jonasza Proroka, więc téż te rozsypiska wszystkie uchodziły za gruzy dawnéj Niniwy „onego miasta trzech dni obwodu“ kędy kazał Jonasz, Boży wysłaniec.

Botta przeto, jako człek o szerokiém sercu a bystréj głowie, zajął się kopaniem w tych pagórach, ile mu tylko stawało czasu wolnego od spraw konsularnych; aleć krom napisów w klin pisanych (klinopismo), nie odniósł żadnéj ważniejszéj nagrody za trudy swoje. Atoli samo to miejsce nie było wielce korzystne do tego celu, bo te pagóry tak blizko znajdują się Mosulu, że zapewne ważniejsze zabytki, a mianowicie ciosy o płaskorzeźbach, dawno już były znalezione przez mieszkańców i obrócone na materyał do ich domów.

Mimo to wszelako Botta nie przykrzył sobie i starannie zbierał okruchy cegieł i alabastru, na których były ślady wyrzeźbionego pisma. W rychle włościanie przyległych wiosek znosili mu ułomki podobne, aż się téż zdarzyło, że jeden z nich, widząc jaką cenę Botta przywiązuje do tych zabytków, a słysząc, że radby przedewszystkiém znaleźć rzeźby, poradził mu żeby czynił poszukiwania w jego

---

(*) Ob. Austen Henry *Layarda*, *Niniwa i jéj zwaliska* 1848, oraz drugie dzieło *Niniwa i Persepolis* 1852, przez p. *Vaux* asystenta przy Muzeum Brytańskiem. Historya odkrycia pomników tych, które podam czytelnikom moim w skróceniu, czerpana jest po największéj części z dwóch tych ważnych dzieł.

(Nowsze badania *Layarda* opisane są w jego dziele: *Second expedition to Assyria* 1867. — St.)

(**) Paweł Emil *Botta*, znany podróżnik, syn włoskiego poety i historyka Karola Botta, ur. 1805; odbył podróż na około świata; od r. 1843 był konsulem francuzkim w Mosul, od roku 1847 konsulem generalnym w Jerozolimie, od r. 1857 żył w Trypolisie; umarł we Francyi 1870 roku. Najgłówniejsze jego dzieło: *Monument de Ninivé*, 5 tomów 1846—50, zawiera w sobie wspaniałe rysunki zabytków assyryjskiéj sztuki przez Flandina. — St.

rodzinnéj wsi Korsabat, i zapewnił, że tam przy stawianiu nowych domów mnóstwo podobnych rzeczy wykopują.

Poszedł za tą radą Botta, udał się do onego Korsabat, odległego od Mosulu na pięć godzin karawanowéj drogi. W Korsabat obaczył pagórek, który na końcu wschodnim wznosił się wysokim ostrokręgiem, zachodni zaś koniec pagórka rozdzielił się na dwa ramiona. Otóż w tém miejscu Botta zabrał się z całéj duszy do pracy, która téż najpiękniejszym skutkiem uwieńczoną została. W rychle dogrzebał się pałaców; w nich po ścianach napisy i płaskorzeźby, późniéj posągi kolosalne, na nich ślady farb, mury ścian powiązane z wielką technicznością, rysunek rzeźb pełen prawdy i natury. List pierwszy Botty dnia 5 Kwietnia 1843 roku, donoszący światu o tak ważnych odkryciach, sprawił téż we Francyi ogromne wrażenie. Rząd ówczesny postanowił nie szczędzić dla Botty środków, by mógł rozpocząć poszukiwania na wielką stopę. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Duchatel, przekazał mu znaczne summy, a Villemain, minister oświecenia, przyłożył mu się znakomicie, wysyłając do niego Flandina, który sobie już był sławę zjednał w Persyi, jako znakomity rysownik; — on miał przerysować te wszystkie zabytki rzeźb, których bez skruszenia nie można wyprawić do Europy. Przeznaczono téż fregatę osobną, by popłynęła do morza Perskiego, dokąd miały być spławiane Tygrem te olbrzymie zabytki starych lat, a ztamtąd zawiezione do paryzkiego Louwru. Botta okryty był zaszczytami od rządu swojego i narodu; kosztem publicznym wydane zostało dzieło pełne przepychu, obznajmujące świat cywilizowany z ważnością jego prac i mozołów. Żwawo i ochoczo postępowała teraz robota, a co chwila z ziemi wydobywano to napisy, to płaskorzeźby, to posągi ogromne, to małe figurki miedziane, to naczynia, to wyrabiania misterne na kości słoniowéj, a mianowicie uderzały wyobraźnię owe gigantyczne lwy i woły skrzydlate o głowach ludzkich. Znaleziono téż znaczną ilość stopionéj miedzi i ułomki drzewa spalonego na węgiel; ztąd wnosił Botta, że dach był drewniany, że był spojony gwoździami miedzianemi, a wreszcie, że budynek cały zapewne zniszczony został przez pożar.

Nic téż nie zdołało złamać odwagi Botta; żary dopiekające letnie, nieznośne nawet dla tamecznych mieszkańców, szerzyły morderczą cholerę między robotnikami jego, i samego przyprawiły o niemoc długą i niebezpieczną. Przecież nieznękana, twardo kuta wola tego zacnego człowieka, przemogła wszystkie zapory zawistne, a rychło Francya i Europa ujrzała się dziedziczką wielkiéj części spadku po królach assyryjskich, zmarłych przed tysiącami lat.

Niemniéj atoli, jak te wszystkie odkrycia, jak ta hartowna, niczém nie przełamana, wytrwałość i głęboka znajomość rzeczy, idzie Botty na cześć jego gorąca miłość do umiejętności, obok któréj nie podniosła już głosu żadna drobna zazdrostka i niechętka narodowa. On to Anglikowi Layard, bawiącemu właśnie podówczas w tamtych

stronach, podał rady szczere, z całém wylaniem udzielając mu swego doświadczenia. Poszedł za radą i przykładem Botty Layard i zabrał się do poszukiwań; ale mniéj znalazł współczucia w swoim kraju i w rządzie swoim, i wszystkie pomysły jego, tak pełne bogatych nadziei, byłyby poszły w niwecz, gdyby jeden człowiek nie był się ujął za nim. Tym był Sir Straffort Canning; on mu wyjednał środki, które, choć nie były wcale obfite, wystarczyły wszakże, aby rozpocząć robotę. Lubo późniéj te poszukiwania odbywały się kosztem i na rzecz Muzeum Brytańskiego, przecież nigdy siły, któremi mógł rozporządzać, nie wyrównały zasobom Botty. Zajmujące są słowa, któremi Layard opisuje stan duszy w onéj nocy, gdy nazajutrz miał rozpocząć pierwsze prace około odkopania pomników zapadłych; była to noc gorączki trawiącéj, stan, który był na poły jawem, marzeniem febralném. Rozwijały mu się widziadła podziemnych pałaców olbrzymich, potworów kamiennych i znowu przesuwały się przed oczami duszy figury dziwne; na kamieniu rznięte napisy bez liku majaczyły go czarodziejskiém widmem. Zdawało mu się, że już wymyślił sposoby wydobycia tych światów odkrytych z podziemnéj ciemnicy na świat jasny, widny; i znów marzyło mu się, że niby błądzi po labiryntnym zamęcie świetlic i izb, korytarzy, dziedzińców, z których szukał daremnie wychodu; gdy znów nagle całe to królestwo marzeń zapadło, zniknęło bez śladu, a pracownik biedny ujrzał się samotny na mogile gruzów chwastem zarosłéj. Te widzenia gorączkowe nękały go noc całą, aż złamany na siłach zasnął; nad ranem usłyszał głos sługi, zerwał się z kobierca, wystąpił z chaty i zabrał się do dzieła. *(Layard I część Rozdz. 2.)*

Rozpoczął pracę, a jak zaś szczęśliwe były jéj skutki, jak one nawet przewyższyły owe obrazy marzeniem gorączkowém zrodzone, widzieć możemy już z wyżéj przytoczonego listu Longwortha, który odwiedził w r. 1847 podziemne pałace w Nimrud, dopiéro co odgrzebane przez Layarda. Nie podobna już wypowiedzieć tych zawad i trudności, z któremi pasowali się ci zacni ludzie, pracując nad odkryciem tajemnic dawno umarłych ludów. Klimat niegościnny, niedostatek, bezdroża na pustkowiach natury, zła wiara robotników, brak wszelkich, choćby najdrobniejszych, wygód życia i inne wrogie potęgi broniły, jakby zawistne demony, wstępu do podziemnego świata; a już najzaciętszym nieprzyjacielem usiłowania był fanatyzm ciemny mieszkańców, popierany przez ciasnogłowych rządców onych prowincyj. Przytoczę ci tu tylko jeden wypadek. Pewnego ranku Layard wracał konno do wykopaliska swojego — wtém ku niemu jak konie wyskoczyć mogły pędzi dwóch Arabów. „Śpiesz się! śpiesz się, Beju! znaleźli Nemroda! Ałłach! To istny cud! widziałem go na własne oczy moje. Jeden tylko jest Bóg!“ A już nie mówiąc ani słowa, polecieli wiatrem ku namiotom swoim. Wstąpił Layard w głębie do szybu. Sługa jego Awad zaszedł mu drogę, prosząc o podarunek na uczczenie dnia tak ważnego. Spojrzał L. w koło

siebie, ale widział tylko stos ogromny koszów i płaszczów, a nigdzie Nemroda. Arabscy robotnicy w oka mgnieniu, rozebrali osłonę, na prędce z płaszczów i z koszów ułożoną, i w téj chwili przed L. zjawia się ogromna głowa, gigantycznych rozmiarów. I nie ma się czemu dziwić, powiada Layard, że widok jéj przerażający zmroził strachem Arabów; nie trzeba było zbyt gorącéj fantazyi, by w tém zjawisku obaczyć one okropne jestestwa, które, wedle starych podań chodzących wśród tego ludu, zwolna występują z podziemnego państwa, pojawiając się śmiertelnym. A przecież ta głowa była tak okazała, tak pełna pokoju! ona, przebywszy 2500 lat pod ziemią, teraz stanęła znów na jawie dziennym!

Niezadługo słychać było tentent koni, a Szeik-Abder-Raman z połową szczepu swojego ukazał się na brzegach wykopanego szybu. Sprowadzili ten tłum owi dwaj Arabowie, których L. spotkał w drodze. Bo zaledwie stanęli u namiotów, a już z wielkim krzykiem rozpowiadali dziwy niesłychane; wtedy kto mógł dopadał swojéj klaczy, wołając: „Nie ma Boga krom Boga, a Mahomet jest prorokiem jego!“ i wszyscy cwałem pośpieszyli, by oglądać cud. Nie łatwo było Layardowi namówić Szeika, by zestąpił w głębie wykopalisk, dla przekonania się, że przecież głowa, którą widzi, jest istotnie z kamienia. Szeik, przypatrzywszy się jéj długo ze wszech stron, zamyślił się głęboko. Nakoniec zawołał: „To nie dzieło ludzkich rąk, to jest sprawą owych niewiernych olbrzymów, o których prorok — pokój z nim — wspomina, że byli ogromniejszego ciała niż najwyższe drzewa daktylowe, a ta głowa, to jeden z tych bałwanów, które Noe — pokój niechaj będzie z nim — przeklął przed samym potopem!“ Na to zdanie pełne erudycyi zgodzili się wszyscy Arabowie.

Layard, chcąc ułagodzić umysły, wyprawił tego wieczora zabawę, racząc Arabów skopowiną; a muzyka wędrownych grajków, którzy właśnie tamtędy ciągnęli, nie mało dodawała ochoty; ze wszystkich téż stron zbiegano się przypatrzyć onemu dziwowisku, a zarazem by podzielać wesołą ochotę.

Lecz na tém nie skończyły się kłopoty; zaledwie owa głowa w nieobecności Layarda była odkopana, gdy jeden z Arabów, obaczywszy ją, dosiadł był czémprędzéj konia i popędził do Mosul; bez tchu przelatywał bazary wołając, ile miał głosu, że Nemrod zmartwychwstał! — Ogromny rozgłos po mieście. Kadi, niechętny oddawna L., zwołuje Muftego i Ulemów, by tę rzecz wspólnie rozważyć ze strony teologicznéj. Narada skończyła się na processyi uroczystéj do gubernatora prowincyi Ismaila baszy. Protestowano przeciw pracom L. jako obrażającym ustawy Koranu. Ale Kadi sam jakoś nie był pewnym, czyli odkryto obraz, czyli téż kości Nemroda, co był „możnym myśliwcem przed obliczem Pańskiém“ a jego excellencya Ismail basza znów nie mógł sobie przypomnieć, czyli ten Nemrod był prawowiernym prorokiem czyli téż ohydnym niewiernym.

W téj niepewności kazał polecić L., aby się ze szczątkami Nemroda obchodził z uszanowaniem, a zakazał wszelkich dalszych prac około nich. Po długich korowodach stanęło przecież na tém, aby na czas zawiesić roboty, póki się miasto jakoś nie ukołysze (*).

Zaiste wystarczy już, com powiedział o historyi pojawienia się tych zabytków na widok jasny cywilizowanéj Europy. Nie rozwodzę się téż nad poszukiwaniem komissyi francuzkiéj, zajętéj w téj chwili odkopaniem gruzów Babilonu. Ogromne pagóry odległe na milę od Birs-Nimrud okazują miejsce, kędy niegdyś wznosiły się budowania olbrzymie olbrzymiego miasta, a choć doszły nas najświeższe sprawozdania komissyi, przecież z nich jako i z dawniejszych znać, że praca około tych babilońskich rozwalisk dość jest niewdzięczna. Dotych czas nieznaleziono żadnéj rzeźby; a kawałki cegieł malowanych, składających niegdyś jakiś obraz, są po dziś dzień całym owocem trudów i wielce znacznych kosztów. Brakuje téż napisów o sprawach wojennych w gruzach Babilonu, a przecież napisy tak są gęste w ruinach Niniwy; również jest rzeczą wielce uderzającą, że nigdzie w babilońskich rozsypiskach nie widać śladu sklepień, gdy tymczasem w Niniwie znaleziono sklepione bramy, sale, korytarze, a na rzeźbach widać nawet mosty o łukach ciosowych.

Przepuścisz mi zaiste i bliższe opisy owych rzeźb wykopanych, i pałaców odkrytych w Niniwie, a zapytasz raczéj o wartość tych dzieł sztuki, o ich znaczenie w dziejach rozwijającéj się fantazyi artystycznéj. Na to właśnie pytanie trudno mi wielce odpowiedzieć. Dzieła sztuki ludów Staréj Azyi są dla nas zupełnie nową dzielnicą, bo dopiéro od lat dziesięciu istniejącą; nie było jeszcze dość czasu, by się w nich dostatecznie rozpatrzyć, a one téż uderzyły Europę znienacka takiém podziwieniem, że brakło jeszcze chłodnéj rozwagi, swobodnéj, niezamąconéj myśli do trzeźwego badania a bezstronnego sądu.

Gdy mowa o Grecyi lub Rzymie, o Egipcie lub Indyach, zdołamy prawie już, jakby na figurach geometrycznych, wykazać na ich dziełach istotę fantazyi tych wszystkich ludów; lecz gdy patrzymy na zabytki assyryjskie, jakiś tajemniczy duch, jakieś oczy nieznanego nam świata patrzą na nas z tych postaci dziwnych, a tak pełnych majestatu a okazałości olbrzymiéj. Przeczuwamy, że wiele jeszcze okrętów obciążonych skulpturą i napisami popłynie do Europy, że wiele wyjdzie jeszcze na świat rycin, dzieł i opisów, że wielu głębokich znawców i badaczy złożą prace całego życia swojego na ofiarę umiejętności, zanim zdołamy sobie zdać sprawę jasną o téj fantazyi, otwierając nam nowe królestwa w dziejach ludzkiego ducha.

Wszak filozofia ze swoją szkodą przekonała się nowemi czasy, a mianowicie we filozofii natury, jak to niebezpiecznie wyrokować

(*) *Layard*, Rozdz. IV.

zawcześnie w jakimkolwiek przedmiocie, gdy jeszcze niedostaje pewnych faktów.

Mam wprawdzie w téj chwili przed sobą rozłożone mappy, rysunki, ryciny, plany i t. d. assyryjskich pomników; ale wyznaję, iżbym nierad wysunąć się zarozumiale z jakiémś zdaniem zbyt zuchwałém, gdy inni lepsi odemnie, a którzy nawet widzieli na oczy i dotykali się tych pomników, tak nieśmiało odzywali się ze zdaniem swojém. Przyznaję ci się, iżbym był nawet całą tę rzecz chętnie pominął, gdyby się godziło nie wspomnieć o zabytkach tak ważnych, które w téj chwili poruszyły całą myślącą Europę; gdyby się godziło przemilczeć o tym ludzie historycznym, w tych listach moich, w których sobie założyłem choć zlekka dotknąć usposobienia artystycznego wszystkich narodów i epok, które w olbrzymich historycznych postaciach kroczyły po scenie dziejowéj ludzkiego rodu. Pomijając tedy nawet różnice niniwskiéj i babilońskiéj sztuki, o ile ją znamy czy z rzeczywistych dzieł, czyli z podań historyków, wypowiem kilka nieśmiałych wyrazów o wspólnym charakterze obu tych sztuk. Wyrazy moje tém mniéj będą śmiałe, że, jako rzekłem, zdania przez znakomitych znawców rzucone są jeszcze zbyt ułomkowe, aby mogły wesprzeć mnie dostatecznie powagą. Nie chciéj tedy rozprawy mojéj uważać za twierdzenia, któreby sobie rościły prawo do jakiegoś stanowczego wyrokowania o rzeczy.

Najprzód jest rzeczą niewątpliwą, że te zabytki stanowią ważne a dotychczas nieznane ogniwo w dziejach fantazyi artystycznéj; one zaiste uzupełniły przerwę w historyi rozwoju sztuki pięknéj.

Jakiż atoli jest charakter téj fantazyi przebijającéj się w téj puściźnie po tych starych pokoleniach Azyi? Patrzmy na kierunek i dążność ich duchową. Assyrya równie jak Babilon długą i przeważną potęgą panowały licznym narodom Azyi — władztwo ich było olbrzymie. Zdobycie sobie atoli takowéj potęgi i panowania było tém trudniejsze, jeżeli zważymy samo usposobienie tych wszystkich szczepów, które trzeba było przemódz i trzymać w karbach azyatyckiego posłuszeństwa. Nie rozprawiając obszerniéj pod tym względem, zwrócę tylko jeszcze uwagę twoją na samą naturę tych krajów, na których stanęły Babilon i Niniwa. Cała ta przestrzeń nie ma bynajmniéj granic od natury saméj tak ściśle zakreślonych, aby one zarazem służyć mogły za obronę państw jednolitéj istoty. Z tego wypływa, że tém więcéj potrzeba było siły i wewnętrznéj potęgi, aby sobie wywalczyć przewagę i utrzymać się, choćby przez czas niejaki, na panowaniu tak olbrzymiéj przestrzeni Azyi. I dla tego słusznie policzono te państwa do ludów czynu z okiem i duchem na zewnątrz zwróconém. Indye, usypiające w miękkich czarodziejskich marzeniach, nie złożyły nigdy litego państwa, one się jedynie zdobyć mogły na zbiór państw drobniejszych; ich właściwa historya nie wystąpiła nigdy po za obręby rodzimego kraju. A Egipcyanom, zadumanym, tonącym w sobie, łatwiéj było przyjść do całości politycznéj

odrębnéj, bo sama natura uczyniła z ich ojczyzny całość w sobie zamkniętą, a nie tylko odgrodzoną ze wszech stron od świata, ale mającą nawet piętno tak osobne, tak właściwe, jak już żaden inny kraj na świecie.

Niniwa i Babilon nie kołysały się w marzeniach jak Indye, nie dumały nad zagadką nadświatną człowieka i natury, jak Egipt; one były powołane do twardych spraw, do butnego działania, i stojąc jakby na strażnicy dziejów Wschodu, czujnym zmysłem patrzały około siebie, dostrzegając pilnie wszystkich zjawisk zewnętrznego świata.

Z tego, co rzekłem, wypływają następujące wnioski.

Te ludy właśnie dlatego, że działały, że się pasowały ze światem rzeczywistym, że dokonały spraw ogromnych, których odgłos rozlegał się po dziejach ludzkich — podawały innym narodom osnowę do dzieł fantazyi, mogły się stać przedmiotem sztuki dla obcych; ale za to same nie były ludem bogatéj fantazyi (*). Świat zewnętrzny, rzeczywisty, tak zajmował Babilon i Assyryą, tak potężnie ich wiązał, że im nie stało czasu, by ten świat ustroić, upoetyzować w ułudne kształty.

Gdy atoli do tego świata zewnętrznego, rzeczywistego, który tak ciężko ważył w duchu tych ludów, należy również i natura, w koło otaczająca człowieka, a nawet jego własna cielesność, więc już z tego ich usposobienia nowe możemy wysnuć wnioski.

Jakoż brak rozwiniętéj fantazyi, a przytém znaczenie wielkie rzeczywistości i téj istnéj natury, musiało być koniecznie powodem, że te ludy mniéj idealizowały, a trzymały się raczéj tego, co im rzetelna podawała natura. Wniosek ten sprawdza się téż wedle mojego zdania na ich rzeźbach. Kto tylko widział te skulptury, przyznaje im nie lada znajomość anatomii i znakomite studya natury. Widać wszędzie, że tym mistrzom chodziło o naśladowanie rzeczywistéj przyrody, że mieli zmysły rozwarte na kształty, które im przedstwiał świat materyalny; oni nauczyli się natury, nauczyli się rysować. Muszkuły w tych rzeźbach, mianowicie ramion, rąk i nóg, są tak wydatne i tak ściśle wyrażone, a twarze tak pełne indywidualności, iż wyraźnie znać, że mistrze ich patrzali na rzeczywistość dla téj rzeczywistości saméj. Przekonywamy się przeto, że te figury w niczém już nie są podobne do tych twardych, architektonicznych, sztywnych posągów egipskich, co to bez muszkułów, bez wyrazu na twarzy, a robione niby na pamięć, wedle raz na zawsze przyjętych proporcyj i rozmiarów. Wszak te oblicza królów, bohaterów assyryjskich są tak nacechowane charakterem właściwym, iż znać, że są wizerunkami osób żyjących. Dziwny to widok tych głów o włosach, brodach utrefionych, wyloczkowanych z najwyższą starannością,

(*) *Vischer* w Estetyce.

i strojnych w czapki wysokie, a suto i dziwacznie ozdobione. Ten naturalizm sztuki pojawia się i w tém jeszcze, że jak nam prawią wędrowcy, fizyognomie mają piętno dzisiejszych mieszkańców w owych krajach, że nawet draperye posągów przypominają sposób noszenia sukni dziś jeszcze tam używany.

Chciéj atoli baczyć, że gdy rozprawiając o tych rzeźbach mówimy o trafnym, poprawnym rysunku, o studyach natury, o umiejętności anatomii, trzeba mieć wzgląd na to, że i ta sztuka assyryjska, jak każda inna, miała epoki swojego rozwoju, najwyższego wykwitu, a późniejszego upadku. A sztuka assyryjska tém więcéj zaiste ulegała tym epokom różnym, że trwała życiem tak długiém i przeciągłém. Uważają atoli, że stała na szczycie swoim mniéj więcéj na 1000 do 2000 lat przed J. Chr. Zważ, że gdy dziś robotnicy odrywali od ścian pałacowych płyty marmurowe z płaskorzeźbami, spostrzegali, że te płyty były i z drugiéj strony rzeźbione we figury, więc ze strony do ścian wmurowanéj; przecież rzeźby te wewnętrzne były innego już stylu. Widzimy tedy, że te płyty należały niegdyś do starszych jeszcze pałaców, które rozebrano do nowszych budowli. Znawcy domyślają się, że takowe starsze rzeźby sięgają zapewne czasów Ninusa i Semiramidy!

Ale i tutaj to jest cechą wielce charakterystyczną, że ciało jest lepiéj rysowane niż oblicze, które właśnie jest ducha promienną stolicą, a znów kształty zwierzęce dokładniéj są wykonane, niż postać ludzka.

Prawda, że na tych rzeźbach i w kształtach ludzkich i zwierzęcych, widać niekiedy gwałtowne odstępstwo od natury; ale w takich razach to odstępstwo jest tak potężne, tak uderzające, że właśnie widać, że się stało z namysłu, że ma cel nadania téj postaci pewnego piętna i symbolicznego znaczenia.

Atoli i tutaj, jak na całym Wschodzie, rzeźba nie jest jeszcze sztuką usamowolnioną, ona nie istnieje jeszcze sama dla siebie, jest niby służebnicą i ornamentyką architektury; albowiem i człowiek, będący główną osnową dla rzeźby, nie jest wyswobodzony w zupełności z pod mocy natury. Przecież płaskorzeźby są, jak już powyżéj widzieliśmy, dzielnie występujące; one bynajmniéj nie są tak płaskie a tém mniéj wklęsłe, jak to widać w Egipcie.

To zwrócenie się tych ludów do natury, do życia zewnętrznego, jak jest powodem, że ich sztuka wiernie naśladuje naturę, nie idealizując jéj wcale, tak téż to usposobienie objawia się jeszcze i pod innym względem. Jakoż te ludy bitne, praktyczne, żyjące życiem zewnętrznem wysoko sobie ważyły siłę przyrodzoną, fizyczną; i dla tego właśnie nogi, ręce i ramiona są tak muszkularne i mocne w porównaniu z tułowiem. Podobnież blask zewnętrzny, przepych hardy, butny, widomy dla świata, jest tu wielkiego znaczenia. Rzeźbione postaci tych królów, pełne są okazałości i majestatu. One tak świąteczno, uroczysto patrzą na świat, że znać jako one i władały mno-

giemi ludami, i składały wspaniałe ofiary bóstwu na cześć. Szaty wyszywane, bogato strojne, są pełne powagi i grozy. Patrząc na te postaci, widzimy w nich jakby uosobione dzieje starego Wschodu.

Ta chęć okazałości, wypływająca z uczucia własnéj potęgi i z żądzy okazania jéj na zewnątrz, wyjawia się i w architekturze; ogrom pałaców, niesłychana wysokość, do któréj sięgają budowania Assyryi i Babilonu, i ta butność harda, głosząca ludom świata dzielność i siłę mocarzy, jest tutaj zupełnie właściwym wypływem nastroju całego ludu.

Zważ jeszcze, że gdy nad Eufratem i Tygrem człowiek żył raczéj życiem rzeczywistém, zewnętrznem, a niżeli duchowém, zatém też działo się tu inaczéj, jak w ciężko zamyślonym Egipcie. Tam bowiem większa część rzeźby i architektury ma religijne znaczenie, a najczęściéj jest hołdem śmierci oddanym; w Assyryi zaś fantazya jest niby świecką, światłową, ztąd rzeźbi najczęściéj fakta historyczne, wielbiąc swoich mocarzy i bohaterów. Budowania ogromne, okazałości i przepychu pełne, są właśnie pałacami, mieszkaniem tych królów i władzców. Co więcéj, te figury religijne są potworne, dziwaczne, bo są symboliczne; a przecież wedle sądu tych, co je widzieli — w nich znać jakiś zdrowy, rozsądny pogląd; ośmieliłbym się powiedzieć, że tutaj nawet symbolika jest harda i zuchwała, pochodząca z uznania swojéj wartości. W Egipcie krokodyle, kocie, krowie, krogulcze głowy, owady rzeźbione są ważnym pierwiastkiem symbolów; w Niniwie zaś orzeł, lew, skrzydła, wół w całéj potędze swojéj, ciągle i ciągle wracając się na rzeźbach, świadczą jaki to ten lud hardy i bitny i butny!

Te atoli figury religijne i bożyszcza, są jeszcze jawnym dowodem, że i tutaj bóstwo nie jest pojęte ściśle jako osoba; i tutaj w duchu nie ma jeszcze jasnego wyobrażenia o téj jedności ducha, do któréj jak do ogniska odnoszą się wszystkie promienie jego.

Téj jedności doskonałéj nie widać też w architekturze pałaców staréj Niniwy. Wpatrując się w jéj plany, a rozporządzenie wewnętrzne, znać, iż przy zakładaniu ich nie przyświecała jedna myśl przewodnia; te pałace nie są organiczną całością. Prawda, że to już nie są owe senne labiryntne marzenia w skale wykutych pieczar indyjskich; owszem jest niekiedy pewna symetrya w całym rozkładzie; izby i sale często odpowiadają sobie i co do wielkości, kształtu i wzajemnego położenia swojego; ale często także możnaby ująć, lub dodać mnóstwo świetlic i sal, a całośćby na tém nie traciła bynajmniéj. Słowem, i tutaj, jak na całym Wschodzie, nie pojawia się jeszcze owa architektura, którą dopiéro mogła Hellada stworzyć — architektura, w któréj każdy, choćby najmniejszy szczegół, odnosi się do całości swojéj, w któréj każdy szczegół jest zarazem przyczyną i skutkiem wszystkich innych, w któréj wszystkie części, choćby najdrobniejsze, nawzajem się tworzą i są wzajemnym warunkiem swoim.

Odważyłbym się orzec, że z powyższych faktów wynika, iż ta

sztuka Assyryi staréj, jest jakby ogniwem pośredniém między Egiptem a Grecyą. I w Niniwie symboliczność jest jeszcze pierwiastkiem ciężkiéj wagi, ale przecież obok niego przeważa sztuka świecka, która służy ku uczczeniu ludzi i bohaterskich spraw; figury nie są jeszcze ideałami w greckiém znaczeniu, ale nawzajem nie są też tylko znakiem niemym, jałowym myśli; one mają znaczenie same przez się, one w saméj rzeczy jako postaci mają wartość swoją, nie potrzebując pożyczonéj symbolicznéj treści.

Prawda, że ten naturalizm wyrażający się w całym kierunku tych ludów, jak z jednéj strony czynił je zdolnemi i do wielkich dzieł w życiu praktyczném, tak też z drugiéj strony wplótł w ich obrzędy religijne, sprosność zmysłową, a co więcéj, stał się przyczyną upadku tych olbrzymich państw. Po pogromach, po przemożeniu ludów w koło, zwycięzcy chętnie oddawali się rozkoszy bezmiernéj, miękkości niesłychanéj, zapadli w gnuśność sardanapalską, usypiając w objęciu czarodziejskich mocy zmysłowości, a tak znów stali się łupem drugiego podobnego do siebie ludu. Nie darmo też na cały świat, rozeszły się wieści i do późnych pokoleń dostały się podania, o rozpuście bez miary, o zniewieściałości bez granic życia w Babilonie. Aleć ta zmysłowość rozkołysana, to oddanie się, te zapadania się w uciechach rozkoszy materyalnych, są wielce różne od gnuśności zniewieściałéj owych Indyan. Bo tam człowiek jeszcze jest oczyniony bezwolnie magiczną mocą natury, która nim miota i włada, odbierając mu przytomność siebie; nad Tygrysem, nad Eufratem zaś zwycięzcy świata w rozkoszach zmysłowych zewnętrznych pragną nagrodzić sobie ciężkie trudy wojenne, pełne krwawego znoju. Oni teraz panami wszech ludów w około, więc z pełną wiedzą rzucają się w objęcie, w morze odurzającéj rozkoszy.

Możnaby zaiste wysnuć ci cały jeszcze szereg wniosków podobnych, które prawie same się nam rodzą, gdy się rozpatrzymy w rycinach tych zabytków, które nam się dziś wydobywają z kośnicy ciemnéj przeszłości; lecz myślę, że do naszego celu wystarczy, cośmy dotychczas o nich rzekli, a trudno też nam puścić się na hazard, oddając się zbyt zuchwale niepewnym, a zarozumiałym przypuszczeniom.

Nie mogę atoli odwrócić się od tego dawnego wschodu ludzkich dziejów, nie uczciwszy choć słówkiem starożytnéj Persyi, owego rodzinnego kraju Cyrusa, Daryuszów i Xerxesów, choć on o wiele, wiele stuleciów młodszy od owych grodów Babilonu i Niniwy.

I Persowie, choć innego szczepu i pochodzenia, byli również ludzie dzielni, ludzie czynu i męzkich spraw; i oni w swoim czasie zasiedli na tronie złocistym całego wschodu; oni nie ustąpili żadnemu z władzców zrodzonych w Azyi, ich powalił duch Europy, duch nowéj historyi, który się uosobił w Macedońskim Alexandrze. Persya padła w oném olbrzymiém pasowaniu się potęg przeszłości z przyszłością nową, do któréj miał należéć ludzki ród.

Dziś cicho i samotnie na rozwaliskach świętego Persepolis — mil-

cząc zasiadła historya wśród tego grobowego miasta następców Cyrusowych. W koło opuszczenie i głuchota; w szerz i w dal nie dojrzysz żadnego innego dzieła ludzkich rąk. Niekiedy tylko słychać krzyk szakala, lub przesunie się lis, albo lew ryknie; niekiedy słychać rżenie koni; — to jeździec na pół dziki, lub wędrowcy z Europy, co karawaną ciągną, by złożyć hołdy podziwu swojego gruzom, które, choć w poniewierce, tak jeszcze przepychu i cudów pełne.

Na wysokim terasie marmurowym wznoszą się jeszcze licznemi gronami kolumny wysmukłe, swobodne; brusy niegdyś je łączące spadły i rozsypały się w okruchy, zostały tylko prawie zachowane one wschody prowadzące na teras, wschody najwspanialsze na świecie; takich wschodów już żaden naród w historyi, żaden wiek zbudować nie zdołał! A obok wschodów lśnią płaskorzeźby bogate, świadki dawnéj wielkości. Widzisz bez liku postaci tłumne, co się cisną w czterech szeregach, nad sobą umieszczonych; te figury ciągną uroczyście, to rozmawiając z sobą, to niosąc puhary, laski, berła, ozdobne naczynia i sprzęty, a są uzbrojone w puginały, lub łuki i miecze. Jedne z tych postaci zwyczajem Medów odziane są szerokim płaszczem, inne w obcisłych z perska sukniach, a z wysoką tyarą na głowach; jedne ustrojone w łańcuchy na piersiach zwieszone, inne w kolczyki i w naramienniki. Na drugiéj stronie wschodów ciągną pochody świąteczne, — to uroczyste poselstwa, co od dalekich narodów niosą hołdy i cześć „królowi królów“. A pochód ich podzielony na grona osobne, z których każdemu przewodniczy mąż poważny odziany płaszczem, w ręku trzymający laskę wysoką, u boku jego miecz. A każde z tych gron inaczéj przybrane. W jedném widzisz posłów odzianych żupanem, o krótkich rękawach, na nich założony pas (w sposób polski), końce krótkie pasa spadają we frendzle. Inne grono składa się z figur, których włosy ujęte siatką, broda ich krótka, nogi gołe, z płaszczykiem zarzuconym. Nagie części ciała dobrze modelowane, anatomia zachowana ściśle. A wszystkie te posły niosą bogate dary „Wielkiemu Królowi“, to klejnoty, to futra, to kosztowne materye, lub prowadzą konie pyszne, wielbłądy, woły, wozy i t. d. — i kroczą wszyscy poważnie, uroczysto.

Persepolis, choć w gruzach i rozsypaniu, jest jeszcze pełne piękności, a te piękności, pełne dziwu i cudu, stały się ofiarą nieopatrznéj, słabéj chwili wielkiego człowieka.

Państwo Persów już zgruchotane w bitwie pod Arbelą; Persepolis wzięte. Tysiące a tysiące mułów i wielbłądów, naładowanych skarbami pałaców królewskich, ciągnie do Europy. Wojsko zwycięzkie Macedonów hula w Persepolis, nuży się w zbytkach bezdennych. Im czas bawić się i szumieć. Sam Alexander tarza się w życiu Sybaryty, odurzony szałem i dziką ochotą. — W Persepolis szumi wojsko wraz z królem swoim w wyuzdaném weselu. — A szlachetny Daryusz, nieszczęśliwy król Perski, ze życiem uchodzi przez pustynie głuche, bezludne; rzucił się za nim w pogoń oddział jeźdźców

macedońskich — i oni go dopadną w okropnéj chwili, gdy we krwi swojéj konać będzie odebrawszy cios morderczy od Bessusa, powiernika swojego, który ze wszystkich sług i przyjaciół przy nim sam jeden pozostał; tak go znajdą jeźdźcy Alexandra; jeden z nich pokrzepi umierającego wodą przyniesioną w szyszaku, a Daryusz pobłogosławi i poda mu prawicę omdlałą, — a wrogie twarde wojowniki zapłaczą nad królem królów, a panem Azyi. — Tymczasem hucznie, szumnie, ochotno w Persepolis! Grzmi biesiada w późną noc; pieśni i żarty, kwiaty i kobiety cudnego uroku i puhary dodają ochoty weselnéj — Alexander opity pychą i winem. — W tém powstaje od uczty Thais zalotnica i wyzywa go, by pożogą Persepolisa pomścił spalone niegdyś przez Xerxesa świątynie w Grecyi. I wszyscy rozgrzani puharem przyklasnęli. Sam król Alexander powstaje i zataczając się woła: „Zemsta za Grecyą“ i porywa głownią zapaloną, i rzuca ją w przecudne Xerxesowe pałace; za nim poszli wszyscy biesiadnicy, i wnet Persepolis morzem płomieni. Nazajutrz, po wyspaniu się, Alexander zarumienił się, rozkazał ratować — ale zapóźno. Macedonów wstyd było za króla. A był to przecież ten sam Alexander, który przez Hyrkanią, aż pod Kaukaz i morze Kaspijskie posyła pogoń za Bessusem, a ujętego mordercę każe tracić straszną śmiercią; był to ten sam Alexander, który tak zacnie i szlachetnie obszedł się z matką i małżonką i dziećmi Daryusza. Wszakto Daryusz umierający, podając rękę owemu żołnierzowi, co go wodą orzeźwił, rzekł: „najwyższą moją boleścią jest, że ci nie mogę wynagrodzić dobrodziejstwa twojego, — ale Alexander za mnie ci wynagrodzi, a bogowie Alexandra wynagrodzą za wspaniałomyślność wyświadczoną rodzinie mojéj; ja przez ciebie podaję mu prawicę moją“. Ten sam Alexander, co odurzony złą chwilą, w popioły, w gruzy obrócił święte Persepolis, starą królów perskich siedzibę, śmiercią karze rządzcę kraju Persidy, który w nieobecności zrabował grób i zbezcześcił zwłoki Cyrusa.

Ten grób Cyrusa arcy zajmujący jest pod względem architektury. Całość jest niby piramidą, na któréj szczycie stoi domek ciosowy o dachu szczytowym, także ciosowym. Piramida jest w ten sposób zbudowana, iż ze wszystkich czterech stron, prowadzi sześć stopni do szczytu, z których najniższy, będący podwaliną całości, jest prostokątem 44 stóp długości, a 40 szerokości, a wysokości 5 stóp 6 cali. Najwyższy zaś 25′ 8″ dług. a 21′ 8″ szer. Domek na wierzchu, czyli grobowiec, obejmował niegdyś ciało Cyrusa złożone w złotéj trumnie; daléj krzesło złote, daléj kosztowne klejnoty, kobierce, łańcuchy, szable, drogie kamienie i t. d., słowem nieocenione skarby.

Napis był taki:

> O człowieku! Jam Cyrus, perskiego państwa założyciel i władzca Azyi. Nie pozazdrość mi pokoju w grobie!

Następnie (wedle Strabona).

Ja Cyrus, król królów, tu leżę pogrzebiony;
Ja byłem przyjacielem przyjaciół moich,
Byłem najlepszym jeźdźcem i łucznikiem najlepszym,
Byłem najpierwszym myśliwcem,
I byłem wszechmożny w działaniu!

Ten grobowiec wielkiego pogromcy, choć bez napisów, bez skarbów, dziś jeszcze się wznosi w sąsiedztwie Persepolis. W téj saméj okolicy widać jeszcze inne groby królewskie, wykute w ścianach skalnych. Na 300 stóp od ziemi widać wystawę (facyatę) architektoniczną, ona jest podzielona na dwa piętra; w dolném cztery kolumny pół okrągłe, które miasto kapitelu zdobne w podwójne głowy jednorożca, dźwigające bogate brusy i gzymse. Między kolumnami środkowemi są drzwi z gzymsem bogatym, a przypominającym architekturę Egipską. Wyższe piętro przedstawia jakieś murowanie, wielce zdobne w rzeźby; na niém trójnóg mały, na którym pali się ogień święty, obok trójnoga figura brodata, otulona płaszczem; u góry słońce, a między płomieniem i figurą u góry, unosi się jeszcze jakaś inna postać dziwna, promienista.

Nie będę ci wspominał o innych zwaliskach pomników starych Persów. To co mamy przed oczyma, zarazem z tém, co nam ich księgi religijne prawią, dostatecznie już tłómaczy nam istotę perskiéj fantazyi.

I Persowie byli ludźmi czynu i oni, w świat rzeczywisty duszą zwróceni, mniéj błyszczeli własną fantazyą, a raczéj byli bogatą osnową dla obcéj fantazyi. Com rzekł powyżéj o Assyryi i Babilonie, stosuje się po większéj części i do Persów, z tém atoli ograniczeniem, że Persowie nierównie mniéj jeszcze byli ludem-artystą, niż one stare ludy siedzące nad Eufratem i Tygrem. Ich figury wypracowane pilnie, ale nie są bynajmniéj dziełem artystycznego natchnienia. A ich figury religijne o dziwacznych kształtach, są to raczéj rozsądkowe allegorye. Wielkość i przepych zwycięzców świata i tutaj występuje z całym okazałym, hardym majestatem.

Krótkie dzieje państwa Cyrusowego nie wystarczyły do rozwoju dzielnego ich narodowéj sztuki. Widzimy tedy jakieś wspomnienie z architektury Egipskiéj; często nam się téż przypomina i Babilon i Niniwa. Bo téż inaczéj być nie mogło. Persowie, możni pogromcy świata, przyswoili sobie formy zwyciężonych ludów. Mimo to przecież, narodowa ich fantazya, czyli raczéj właściwy smak przebija dość silnie w ich dziełach, mianowicie w architekturze. Te kolúmny lekkie, cienkie w niczém nie są podobne do egipskich, tak ponurych i zadumanych. A forma tych kolumn, ich kapitelów jest zupełnie perska (*).

(*) Zaiste te kolumny perskie, a szczególniéj ich kapitele odznaczają się najwyższą, prawie dziwaczną oryginalnością. Mianowicie są tu dwa kształty głowic wielce uderzające, a które się najczęściéj spotykają; — jeden z tych kształtów,

Więcéj atoli, niż te wszystkie kamienne zabytki, wypowiedziały księgi religijne starych Persów, zwłaszcza Zend-Avesta przez Zoroastra spisana. Zdaje się wedle najnowszych badań, że nauka Zoroastra powstała po upadku Niniwy z ułomków religii assyryjskiéj. Co w Assyryi było zarodem, toć rozwinął Zoroaster, czyniąc z dawnych wyobrażeń zmysłowych myśli oderwane.

Nauka Zoroastra jak sama, oparta będąc na abstrakcyach, na pojęciach ogólnych, okazuje brak fantazyi natchnionéj, umiejącéj obrazować treść duchową; tak równie, będąc podstawą religijną, jest niechętna wszelkiemu obrazowaniu przez sztuki piękne. Tutaj dwie potęgi występują jako władnące światem: Ormuzd, pierwiastek dobrego, światłości, użytku, — i Aryman, pierwiastek złego, ciemności. Oba pasują się z sobą walką — jest to sprzeczność, dualizm, który spotykamy na wschodzie, a którego ludy jego przemódz nie zdołają. Zważ równie, że tak pojęcie światłości, dobrego, użytku, jak pojęcie złego, ciemności i t. d. nie są bynajmniéj osoby rzeczywiste, postaci indywidualne; ale są to abstrakcye, pojęcia metafizyczne, słabo, rozlotnie uosobione w Ormuzdzie i Arymanie — i dla tego téż właśnie obie te potęgi nie mają rozwoju w żywocie swoim; do nich nie przywiązane są prawie żadne mity, opowiadające ich losy i czyny. One, jako myśli oderwane, są w sobie próżne i głuche. Ale takowe zapatrywanie się jak zrodziło światło-bożeństwo, cześć światła nie będącego osobą, tak téż dowodzi, że prozaiczność rozsądkowa, studziła fantazyą tego ludu, to jest fantazyą powszechną; a tém samém, widać, że Persów sztuka głównie téż z tego powodu nie mogła się rozwinąć.

Kładę ci tu drobny wyjątek ze Zend-Avesty; będzie on dostatecznym dla nas przykładem téj poezyi, bo cała Zend-Avesta brzmi prawie tym samym tonem (*).

Ormuzd przemawia do Zoroastra:

„Ja wyrzeknę ci ono słowo! — słowo przeczyste, przenajświętsze, słowo nieskończonéj tęsknoty, co było wtedy, gdy nie było Nieba ani wód! ani ziemi ani drzew! słowo co było przed ogniem i przed

---

przedstawia essownice (ślimacznice) jońskie, ale umieszczone w ten sposób, że one nie są położone poziomo, tylko przyczepione pionowo, więc do bocznych krawędzi kapitelu; a na każdéj krawędzi są dwie takowe ślimacznice. Ta część z ossownicami wyrasta niby w kielichu kwiatu, mającym tedy liście do góry zwrócone; ten kielich od spodu styka się z drugim kwiatem, którego atoli liście są ku ziemi zwieszone — a pod tym drugim kielichem dopiéro rozpoczyna się trzon kolumny okrągły, żłobkowany. Drugi rodzaj głowic składa się z dwóch koni, jednorożców lub wołów zrośniętych niby grzbietem z sobą; nogi przednie zwinięte pod ciałem występują po za obwód kolumny; między karkami jest ustęp, w którym umieszczano belkę. Niechaj to będzie przykładem tych osobliwych form architektonicznych. Nie opisuję już podnożów tych kolumn; one prawie również nadzwyczajne — i dla tego trudno je zrozumieć, nie mając zarazem i rysunku przed sobą.

(*) Obacz jeszcze wyimki w Wykładzie systematycznym filozofii T. I. § 149 przyp. i T. II. § 247 przyp.

człowiekiem czystości pełnym, przed światem i wszech narodami, co z Ormuzda poczęte są!

O Zoroastrze! wymów przeczyste słowo moje, wymów je, choć cię opuści mowa, i nadzieja cię opuści na skonania łożu. Kto w państwie światów moich wymówi słowo moje i wyśpiewa je pełnym wdzięków tonem, tego dusza uniesiona będzie w górne niebiańskie przybytki. Ja Ormuzd, ja sam uczynię mu mosty szerokie ku światłościom niebiańskim — on będzie czystym, jako niebiosa czystym! i będzie świecił niebiańską światłością. Ja sam — Ja Ormuzd majestatem odziany, wymówiłem to słowo z wysokości mojéj — a słowem tém wszechjestestwo czyste dostąpi Ormuzdowych światów. I teraz — i na wieczność całą, usta moje wymawiają to słowo — a błogosławieństwo ze słowa rodzi się światu.

..... Ja Niebios Pan stałem cię czynnym a zniknął władzca złego. Z pośród złych, z głębi przepaści zawołał głosem: Ja nie chcę miéć myśli o dobrém, nie będę mówił o dobrém — odrzucam precz mądrość i nienawidzę zakonu wszechrzeczy!“

List Ośmnasty.

Ludy Mahometańskie.

Wstęp. — Fantazya Arabów, Persów i Turków. — Fantazya perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów. — Niektóre pieśni. — Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie. — Nauka Mahometa i panteizm. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamickiego. — Rodzące się ztąd ostateczności w duchu ludów mahometańskich. — Fantazya czarodziejska. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednéj i ich znaczenie estetyczne. — Arabowie, ich życie, poezya i język. — Ułomek z Koranu.

Ktoś z geologów, chcąc podać obraz owych przemian, które nasza ziemska kulica przecierpiała, zanim zrodziła tę dzisiejszą naturę swoją, tłómaczy się, o ile pamiętam, mniéj więcéj w ten sposob. Wystawmy sobie w myśli Archanioła, co od czasu do czasu, opuszczając stopnie Bożego tronu, zwiedzał naszego planetę. Za pierwszym razem spostrzegł jedynie lotne tchy, pary płynące lekkim chuchem po wiekuistéj światów przestrzeni; ale już te tchy i pary poczęły się ścinać, tężéć w gęstszą materyą. I znów po długim, długim czasie wysłannik Pański obaczył planetę naszego, i widział jego lądy lśniące naturą bogatą, potężną; góry, doliny, płaszczyzny poszyte w puszcze palmowe, w lasy gęste drzew szyszkowych, a ziemie i wody pełne olbrzymich płazów: węże potworne, krokodyle i inne jaszczury ogrom-

nego ciała pluskały się po zatokach i grzały się na słońcu, a po powietrzu latały straszliwe pterodaktyle o głowach krokodylich i nietoperzowych, skrzydłach niby smocze potwory. I przepłynęły nowe, a długie wieki, niby jeden Boży dzień, gdy znowu stanął Archanioł na Ziemi naszéj i widział jako pod równikiem i pod biegunowém kołem, co teraz państwem wiecznych mrozów, wszystka kula ubrana była w tę roślinność przepyszną, dziś znaną zaledwie na skwarnym zwrotnikowym pasie. A po puszczach, knjejach, gajach, pasły się, goniły tłumy jeleni i stada słoniów, nosorożców; rozlegały się zewsząd ryki, wycie lwów, tygrysów, niedźwiedzi; a te kształty zwierzęce były tak przesadnego ogromu, o jakim nam dziś i zamarzyć trudno. Przecież wśród téj natury potężnéj, przemożnéj, Anioł nigdzie nie widział jeszcze śladu ludzkiéj stopy. A tak wiele, wiele jeszcze razy, po długich ustępach czasu, Anioł stawał na ziemi naszéj, a coraz inną widział scenę, coraz na niéj nowe odgrywały się dramaty Boże. A gdy już ostatni raz odwiedził wysłaniec niebiański naszego planetę, obaczył wielką jego dzielnicę wysadzoną, niby w klejnoty, w bogate, zamożne miasta; obaczył szerokie zbożne łany, ludzkich rąk błogosławną pracę, a na lądach, na rzekach, na morzach szerokich, parą przelatywały statki i wozy, i widział Anioł po miastach wspaniałe pałace, w nich rozłożone umiejętnie kości, odciski zwierząt, skamieniałe tropy jestestw olbrzymich, ślady roślin, które należały niegdyś do pierwotnéj natury, i widział ludzi, co w imię nauki zakląwszy te zabytki stare, pytali je o koleje i losy dawne téj naszéj ziemskiéj ojcowizny (*).

Zdarzyło ci się zapewne, a nieraz w życiu, że po długich latach znów wstąpiwszy do domu, do mieszkania, kędyś bywał często, niegdyś za lat dziecięcych, zastałeś innych ludzi, inną mowę i obyczaj, inne otaczały ciebie sprzęty, i obrazy na ścianach inne, tylko jedne mury te same pozostały: wszystko przeminęło, gdzieś umarło; znikły też dawne marzenia i uczucia twoje. A gdy znowu, po długim lat szeregu, powtórnie staniesz w tych samych izbach, smętne dziwy ci na duszę padną, gdy się rozpatrzysz w tych czasach, które znowu przeminęły; wtedy już i sam siebie nie poznasz, i już się nie doliczysz ani tych wypadków, co to nie głośne, nie widne dla świata, a przecież tak ciężko ważą w życiu rodzin i losach pojedyńczych ludzi; nie policzysz się nawet z treścią własnych piersi twoich, bo i w nich inne mieszkańce, inne głosy, inne obrazy, inne dzieje. Te same izby pozostały, ale ludzie i ich sprawy, ich serca historya, ich koleje losu posępne i świetne przeminęły, jako te cienie różnobarwne, przemykające się na ścianie dla zabawy pacholąt małych.

Podobnie, jak z historyą onych zrodzeń naszego planety i natury jego, podobnie jak z historyą każdego z nas, w tym powszednim ży-

(*) Porówn. Wykład systematyczny Filozofii T. II. § 283 przypis.

wocie, ma się rzecz z dziejami ludzkiego rodu, a z obszarami świata, kędy odgrywają ludy i narody dramat swój. W liście przeszłym patrzyliśmy się na wstającą z martwych Assyryą, oną pramacierz cywilizacyi Wschodu; złożyliśmy też cześć rozwaliskom w Persepolis świętém. Teraz proszę, byś się w duchu przeniósł w inne stulecia, w inne ludy i w inną historyą, zachowując atoli ten sam dom i ściany stare. Dramat odmienny — nowe aktory — sam jeden teatr pozostał z dawnych lat. Chciéj tedy od onéj pijanéj nocy, gdy macedońskie podpalacze, ze swoim królem na czele, płomieniem niweczą Persepolis, przeleciéć w myśli z jakie kilkanaście wieków i rozpatrzyć się znowu w tych samych przestworach, co zaległy świat od lodowatych pałaców himalajskich, aż do pobrzeżów, kędy kipią wody Śródziemnego i Czarnego morza. Patrz, jak tu gospodarzyła Historya! Ona rozorała stare zagony, rzucając na tę rolę swoją nową siejbę, nowe ziarno duchowe, co też zeszło bujnym kłosem, a bujniejszym jeszcze kwiatem — kwiatem, co lśni we wszystkie wschodniéj fantazyi barwy, jakby od klejnotów i drogich kamieni pożyczone. Dziwnym tłumem cisną się tu wprawdzie różnojęzyczne rody i szczepy, ale już najświetniéj ważą na tych przestrzeniach iślamickie ludy. O ich fantazyi wypada mi dziś pomówić, a tak już skończymy rzecz o téj zachodniéj Azyi, więc i o Wschodzie całym; bo o świętych pieśniach, co brzmiały na Syonie, i o budowaniu Jerozolimskiego kościoła, zamawiam sobie rozprawę w inném miejscu, co zacniéj odpowie treści takowéj.

Fantazya mahometańskiego Wschodu zajaśniała troistym promieniem, bo fantazyą arabską, perską i turecką; a choć każda z nich świeci właściwą barwą, to przecież wspólna jest ich istota. Téj istoty wspólnéj nie zbyt trudno się nam dopatrzyć; bo gdy fantazya Persów przewyższa ogniem swoim fantazyą Arabów i Turków, więc też ona jest pod wielu względami najdobitniejszym wyrazem fantazyi iślamickiéj; a gdy znowu ze wszystkich rodzajów poezyi perskiéj sufizm, czyli poezya mityczna, stała się najwyższym jéj szczytem, zatém też w tym rodzaju znajdziem właśnie najwyraźniéj ducha, który jest wspólném tłem fantazyi tych ludów. Co w innych rodzajach poezyi Persów, co w pieśniach Arabów i Turków jest dopiéro lekkiém potrąceniem i przepowiednią, — stanie się rozwiniętym w zupełności pojawem w poezyi śpiewaków Sufi. Posłuchajmy więc naprzód ich głosów, niechaj nam wyśpiewają pieśnią rzewną najgłębsze serca swojego tajemnice.

Znacie wieść o żeglarzu siwym, oną starą wieść? O żeglarzu, co wiele setek mil i żywot cały przepłynął na oceanu wodach?

Miał żeglarz ten pacholę drogie, urocze jak słońce w południe, lube jak księżyca spojrzenie, gdy kołysząc się na wieczornym obłoku patrzy na świat; pacholę było z różami na licach i z narcyzem w oku; postać jego niby powiewny cyprys młody.

Pobożnym był ojciec — był i z pozorów i z treści pobożnym. Niewinności rajskiéj był syn, a czysty jako wiosny poranny dech!

I znów miał na oceany dalekie puścić się ojciec siwy; a gorącą miłością wiedziony, kochanie swoje, syna pragnął z sobą zabrać na oceany dalekie.

U brzegów nadmorskich ciżbą tłoczy się lud, i płacze, żegnając się kupców grono; płacze, bo im tak bolesne, braci, rodziców, przyjaciół, kochanki, uściśnienie ostatnie.

I zawiał wiatr od Wschodu i na okręt ciżbą śpieszą tłumy wędrowne, a tłumy zestrachane drogą, bo droga tak daleka! Siadł na okręt i żeglarz stary a przy nim pacholę młode. Strzałą ścigał okręt wiatry, strzelał w świat daleki!

I rzekł młodzieniec: o ojcze drogi mój, dla czegoś poświęcił morskiéj fali, pokój cichy, luby żywota? Na wodach nie stanie nigdy miły dom, nie zakwitną nigdy na morzach ogrody!

Na to ojciec: Patrz jak rześko, jak śmiało za zyskiem biegnie świat! Jak unosi człeka na wsze strony zarobku żwawa ochota! Wszak po trudach, po morskich trwogach, czeka nas rozkosz, czeka nas cześć i wszystko życia wesele.

O ojcze mój! nie będzie z tego trudu ani czci, ani wesela. Sława i radość rodzą się z mary, rozpływają się marą! Biada, biada nam! Nie dobra mowa twoja, ojcze mój. Puść mnie na lądy! puść mnie na brzegi!

Duszy mojéj kochanie, woła żeglarz siwy, wszak droższym mi jesteś, niż wszech światów skarby! Złoto i srebro obok ciebie marnym dla mnie prochem. Wszędzie i wszędzie widzę tylko ciebie. Dla mnie księżyc i ziemia, słońce i niebo są jedynie oblicza twojego zwierciadłem. Gdy ty mnie porzucisz, porzuci mnie z tobą żywota dech! Wszak to jedynie z miłości ku tobie pędzę po falach i ścigam burze wichrowe!

Na to młodzieniec: ojcze mój drogi, nie znasz, ach! nie znasz tajemnic przepaści. Ja ci objawię światło prawdy bezwzględnéj, Jestem Simurg — Tronem moim nieskończoności szczyt. Z tych morskich topieli bije dla mnie objawienia zdrój! W morskich otchłaniach ujrzałem bezwzględnéj prawdy oblicze!

Duszo duszy mojéj, zawołał ojciec, wstrzymaj te mowy. Czyliż pragniesz, niedoświadczone moje pacholę, mądrością górować nad starce! Bezwzględna prawda! Ona zaiste nie igraszką pacholąt młodych. Niechaj ci starczy przykazania i zakonu powaga!

I znów młodzieniec: „Ojcze! nie odwiedziesz mnie, nie odwiedziesz z drogi mojéj! Oczu moich już nie odwrócę od ojczystego domu! Te morskie igry są dla mnie wzorem, jak się zniweczyć mam. Ja na własném jestestwie mojém kładę depcząc stopę! Miłości płomienne ognie, to przewodniki moje! Precz rozumie — ty nie jesteś mi potrzebą! Ja idę za miłości ścieżką, za miłością wiekuistą! Bo jeden — jeden tylko jest żądzą moją — wszystko inne strącam z sie-

bie, śpiesznie rzucam po za siebie. Jednego tylko widzę, śledzę żarów jego spojrzenia.

Wtedy ojciec uniesiony gniewem: — młodzieńcze! gdy nie umilkną bezbożne mowy, wtrącę cię w morskie bezdenie! Choć jesteś najdroższym żywota mojego klejnotem, przecież brak ci rozsądku, tobie nie przystoi bezwzględność, tobie niechaj starczy wiary powaga.

Miłością opojony młodzieniec, tak mu odpowie: wiedz, iż we wszelkim duchu ukryty drzemie wiekuisty kochanek. Wiedz, że ja sam sobie pojawiłem się jako wszechżywota ocean. Ciebie i istnienie wszystkie widzę w duchu moim. Dla czegożbym nie miał głosić widzenia! Wszak to nie moje jestestwo przemawia przezemnie. Ja sam znikam w obec siebie i mojemi słowami przemawia Bóg. Tyś mię chciał strącić w morskie topiele — nie odwlekaj ojcze! Gdy sam już rozpłynąłem nieskończoności falą, fala będzie mi żywotem. Ojcze, ja sam jestem kochankiem, ze serca tryska mi prawdy zdrój. Prawda mi się pojawiła. Słuchaj, co prawda przemawia! „Zachód twój jest wschodem twoim. W okresie przestrzeni i czasu jeńcem jest duch. Rzuć się w nurty Boże, a rozwiązane będą węzły wszech zagadek ducha“. Więc istnienie moje tonie w Bogu, jak tonie w morzu wody kropelka.

Tak woła i rzuca się z krzykiem radości w oceanu bezdenie! — Cisną się tłumne majtki, załamując ręce i płacząc z boleści, i widzą, że młodzieniec luby zniknął w wodach, jako znika śniegu płat w słońca promieniu. Stanął ojciec i patrzy, utopiwszy oczy w wodne prądy — i stanął i patrzy. W tém z głębin piersi jęknął westchnieniem, milczy i duma i myśli, i nagle się zrywa, potoczył wzrokiem do koła, zbliżył się na brzeg statku, — rzuca się sam w morskie topiele i przepada w kipiących bałwanach. Ogłuchnął strachem okrętowy lud i stanął nieporuszony — stanął zaklęty, jak osadzony w muszli morskiéj nieruchomy pereł rząd.

I znów inny głos zabrzmiał w zachwycie gorącym:

„Jam świata duchów sokołem! Jam opuścił wysokości niebiańskiego tronu. Chwycony łowów pragnieniem, wpadłem w sieci ziemskiéj bytności — ujęty ziemską postacią! Jam uleciał z gniazda mojego na Niebo!“

I znów trzeci głos tęsknoty śpiewa:

„Śledziłem wizerunku duszy mojéj, a nikt nie podał mi duszy mojéj obrazu. Wtedy zawołałem: o duszo moja! Znajdź wszech-stworzeń zwierciadło, a zaiste w zwierciedle tém znajdziesz i obraz twój!“ (*).

Tam znowu inny wieszcz odurzony życia rozkoszą, „winem“ ziemskiéj uciechy, śpiewa:

(*) Inne jeszcze podobne przykłady: Wykład systematyczny filozofii. T. I. § 50 przyp. § 168 przyp.

Śpieszno róży, śpieszno, by się z nicestwa narodziła wszechistnienia cudem!

Fjołek kornie róży bije czołem, i modli się do róży hołdem rzewnym:

Pójdź ze mną przyjacielu mój; spełnij wesoło poranny wina puhar!

Nie odkładaj do jutra radości uciech, nie zwlekaj ich do żywota końca.

Znajdź sobie lube kochanie, reszta nie warta i pustéj łupiny!

Nawróć do ogniochwalstwa wiary, bo tym ogniem jest miłość wrząca, a płomieniem życie.

Dech grobowy, dreszcze mroźne ziębią pokutnika dom.

Słuchaj, czego uczy wiosna luba; ona od wieków jedynym świata prorokiem młodym!

Czujesz świeże jéj powiewy? Roztwórz im piersi twoje, one same jedne są wszech prawdy tchem!

Ten powiew, to miłości duch, to zbawienia dech; on miłości rozkoszą, co płynie od woni milionowych kwiatów!

Powiedz, jaki to duch, co żyje w tych pieśniach dziwnych, tak rzewnych i gorących, tak tęsknych, a niby przepaścistéj głębi. Te głosy wszystkie, choć tak różne, są dziećmi jednego, wspólnego im wszystkim ducha, bo jak pieśń ostatnia żąda, aby człowiek zapomniał siebie w rozkoszy ziemskiéj i w weselach tutecznego świata, i radzi ulotnienia duszy w woniach kwiatów, w miłości i w powiewach wiosny młodéj; tak tamte pierwsze są spotęgowanym, tęsknym mistycyzmem, którego najwyższą mądrością jest rozpłynienie w onéj bezdeni abstrakcyjnéj, którą nazywa Bóstwem.

Jakoż w tym mistycyzmie wschodnim człowiek, tęskniąc do Boga, traci siebie, zapomina, że jest istotą w sobie osobną; a gdy się ten mistycyzm spotęguje, już wtedy istota ludzka mięsza się z istotą Stwórcy, w niéj ginie niby tchem lekkim, niby kroplą w topielach oceanu, w którym się rozpływa istnienie wszelkie.

Czyli zaś to stracenie siebie nastąpi z ulotnienia istoty człowieka w rozkoszy ziemskiéj (w materyalizmie), czyli to znikanie własnéj jednostki wyniknie z utopienia siebie w istności najwyższéj, zawsze i w każdym razie, takowe usposobienie ducha, o ile będzie spotęgowane do najwyższego stopnia, stanie się panteizmem. W każdym bowiem razie, człowiek traci wiedzę jasną o różnicy jestestw duchowych a materyalnych, w każdym razie spłyną dla niego jestestwa wszystkie w jeden ogół, w jedno istnienie, kędy już nie będzie rozdzielenia jednostkowych jestestw od siebie; w każdym razie zniknie jasna wiedza o Bogu-stworzycielu wszech rzeczy, będącym przytomną opatrznością we wszech jestestwach, a istniejącym przecież

samoistnie, jako osoba, za światem, i po nad światem jestestw stworzonych.

Zaiste, z tych powyższych pieśni wieszczów perskich patrzy na nas panteizm z całą straszliwością, który, już to uwieńczony różami, oddycha słodką ich wonią i brzmi w pieśni zakochanego słowika, kipiącym puharem natchnienia, upaja myśl człowieka, wabi i nęci do weselnych życia godów; już to znowu strąca z siebie, co tuteczne i ziemskie, a prze do okropności samobójstwa. Tu wszystko się mąci i mięsza: gwiazdka i robaczek, listek i duch, przyszłość i przeszłość, nędza i potęga ludowładna; tu wszystko spływa w jeden ogół, w jedno istnienie, tu wszystko obraca się hasem kołowrotnym. Panteizm, jakby wir na oceanie wszechistnienia, każdą bytność do siebie ciągnie, porywa, zatacza ją kołem szalonem, a na bezdeniach tego wiru czatuje jako topielec wrogi — nicestwo, i patrzy oczyma na człowieka, co, jak ów żeglarz młody, płynie na okręcie doczesności, na morzu żywota, a panteizm wabi i nęci człowieka, by się rzucił w morze wszechistnienia, co bije wiekuistą falą. Tu cały świat kręci się dzikim, bezprzytomnym szałem, jakby owym tanem zapamiętałym derwiszów mahometańskich.

Mówiąc o Indyach wspomniałem, że jedynie prawdziwa filozofia, umiejętność rzetelna, zdoła powalić panteistyczne stanowisko, wykazując nielogiczność jego. Zrozumiesz, że nie tutaj miejsce do głębszych, a gruntownych rozwojów, coby wykazały kłamstwo takowego zapatrywania się w samém założeniu, w samych węgłach jego. Dla naszego celu wystarczy, jeżeli wytkniemy wypadki niedorzeczne, do których prowadzi panteistyczność wszelka, i sprzeczności, w jakich ona staje sama z sobą we własnym swoim rozwoju, i jak te sprzeczności przechodzą w obyczaj, życie i odzywają się potężnie we fantazyi tych ludów. Jakoż ta panteistyczność, nie odróżniając dostatecznie jestestw duchowych od materyalnych, a tém samém nie odróżniając ściśle Stwórcy od rzeczy stworzonych, raz uważa jestestwa li jako nie mające znaczenia, patrzy się na nie jako na bańki wodne, które przez chwilkę błyszczą przepychem barw tęczy, i świecą i promienią, a wnet prysną, strzelą kropelką i rozpłyną w nicestwie; drugi raz ta panteistyczność przypisuje tymże jestestwom ogromną wagę, bo ściera różnice rozdzielające je od wiekuistego jestestwa, będącego zdrojem wszech rzeczy.

Ztąd wynikają z kolei wręcz sobie przeciwne odwrotności, bo raz hołdowanie rzeczom ziemskim, więc rozsądek prozaiczny; drugi raz pogardliwe odwrócenie się od rzeczy tutecznych, więc owa miłość panteistyczna do istnienia ogólnego, bezdennego — miłość, co jest podobna do „skonania motylka w płomieniu świecy z tęsknoty za światłem“.

W téj miłości panteistycznéj człowiek, jak ów młodzieniec w powieści, kładzie stopę „na własném istnieniu swojém“. A tak człowiek, nie uznając żadnéj bytności jednostkowéj, mając je wszystkie

i siebie samego za czcze mary, może zawołać: „Precz rozumie! ty nie jesteś mi potrzebnym“.

Zaiste rozum nie jest potrzebny panteizmowi, bo rozum ma właśnie to przeznaczenie, aby nie mącił rzeczy różnych, by je rozdzielił, a potém dopiéro wskazał, jak one nawzajem mają się do siebie, jak one, choć tak różne, i właśnie dla tego, że są różne, wiążą się cudną harmonią z sobą i podlegają wiekuistym prawom, niezmiennym i pełnym mądrości ustawom. Tego wszystkiego nie czyni panteizm, a nie wiedząc o Panu wszech światów, co jest ogniskiem wszelkich stworzeń swoich, nie pojmuje téj harmonii jestestw, co choć różne od siebie, wiekuistemi prawami nastrojone są jakby do jednego głównego tonu, co brzmi w nieskończoności. Panteista mąci wszech rzeczy ład i szyk; on uznaje różnice jestestw, ich stopnie jako przechodnie, rozpłynne pojawy, znosi więc wszelkie różnice, wszystkie szczeble, mąci wszystko z sobą, a tak nawet zaciera różnicę zachodzącą między nim samym, a owym ogółem wszech rzeczy, i w tym ogóle przepada zawrotną, pijaną miłością. Ale ta miłość sama jest kłamstwem i sprzecznością sama z sobą, więc sprzecznością z rozsądkiem. Bo miłość jest znalezienie, widzenie siebie w inném jestestwie, jest tedy jednością dwóch jestestw udzielnych, jest jednością różnic, a różnicą w jedności. Dla tego miłość siebie samego jest tak obrzydliwa, tak wstrętna, bo jest nielogiczna, bo tu jestestwo samo siebie kocha, bo w téj miłości nie ma różnic dwóch, lub więcéj jestestw, co jest warunkiem miłości wszelkiéj. Miłość więc, a tęsknota onego młodzieńca do wiekuistości, ta miłość, w któréj przepada i ginie jednostką jego, w któréj ginie wszelka różnica, nie jest miłością, ale właśnie grobem wszelkiéj miłości, jest miłością skłamaną! jest to „pochodnia, co świecąc sama się trawi“.

Rozumiem, że dostatecznie ci wykazałem sprzeczności, w których sama się gmatwa i sidła panteistyczność wszelka. Nie może téż być inaczéj, bo gdzie założenie błędne, tam kłamstwo, niby grzech pierworodny, zradza ciągle nowe kłamstwa i sprzeczności. Niechaj sobie wrzekomi uczyciele co chcą bają, to pewna, że żadne rozumowanie nie trafi samo z sobą do końca, nie rozdziergnie zagadek świata, jeżeli za węgieł swój nie położy wiedzy o Bogu, który jest jedném ogniskiem mądrości wiekuistéj osobą, do któréj się wszystko odnosi, jak to uczy wiara chrześcijańska, a podaje każda filozofia prawdziwie umiejętna, wypiastowana na jéj łonie.

Niechaj człowiek wie, że w głębi ducha jego przemieszkuje wiekuistość, ale niechaj oraz wie, że ten nieskończony pierwiastek w nim jest ziarnem Bożém, które Pan Niebios włożył w serce jego, by je rozwinął zacnością, by poznał siebie, by wiedział o Bogu, i swoim stosunku prawdziwym do Ojca na Niebie, o prawdziwéj miłości. Mistycyzm panteistyczny wschodu patrzy się w siebie, patrzy w głębie piersi swoich; lecz w nich widzi jedynie otchłań jasności, co go oślepia; w tych światłach on nie widzi treści, nie

przeczuwa, że ta światłość bije od skrzydeł anioła, co się z miłości zamknął w sercu człowieka, nie wie, że ten anioł jest tylko wysłannikiem Pańskim, zwiastunem miłości nieskończonéj, któréj nie zdołają ogarnąć gwiaździste przestrzenie. Na tych ogromnych rozłogach starego Wschodu człowiek nie wie jeszcze, że na miejsce doczesności zstąpiła owa niebiańska miłość bez granic, że ona w cierpieniach i skonie ziemskim nie utraciła wiekuistości istoty swojéj.

Zrozumiesz zaiste, że byłoby pewnie wymuszoném naciąganiem rzeczy, gdybym, przechodząc dzieła téj wschodniéj fantazyi, chciał wszędzie w nich wytykać panteistyczność, boć ona zaiste znaléźć się tylko może w ostatecznym wyskoku fantazyi tych ludów wschodnich; ale za to proszę cię, byś nie wypuszczał z pamięci tych sprzeczności dotkniętych powyżéj, które właśnie wyrosły z tego samego gruntu, z którego rozwinęła się owa panteistyczna dążność, — te właśnie sprzeczności posłużą nam, jakem już rzekł, do zrozumienia i żywota tych ludów i dziejów ich państw i obyczajów ich a mianowicie ich fantazyi. Zanim atoli zabiorę się do roztoczenia takowego, uważmy jeszcze, zkąd się mógł zrodzić ten panteizm wśród nauki Mahometa, która przecież tak twardo i potężnie stanęła przy wierze w jednego, w jedynego Boga?

Mahomet! to poeta-prorok i zakonodawca! on zachwytem proroczym tchnął na naród dopiéro co pasterski żądzą podbojów; on Wschód uczynił zdobywcą połowy cywilizowanego świata; moce płomienne jego nauki stopiły duszę różnorodnych ludów jakby w jedną całość. Mahomet zwołał je wszystkie pod wspólny sztandar wiary, on wyswobodził te ludy od guseł i zabobonu. Tego wszystkiego zaiste dokazać zdołał Mahomet, ale nie zdołał przecież sięgnąć do najgłębszego gruntu serca ludzkiego!

Mahomet głosi, że Bóg jest Bogiem, że tylko Ałłach jest Bogiem, że on sam jednym prawdziwym Bogiem, który sam na sobie przestaje; on wspomina nawet o aniołach, i maluje barwą gorącą, palącą i zgrozy ostatecznego sądu i rozkosze rajskie; a przecież te nauki jego nie mogły wystarczyć, one nie napełniły treścią ducha ludzkiego, one nie zamieszkały wszystkich toni serca, więc mimo téj jego nauki ogromna próżnia pozostała w sercu. Dla czego? Bo Bóg Mahometa jest abstrakcyą, bo wyobrażenie o Bogu nie jest u niego rozwinięte, bo Ałłach jest tylko bóstwem (numen) bez dziejów bożych, jest pojęciem oderwaném bez dalszéj, roztoczonéj treści. Więc też to pojęcie tak ubogie nie mogło już przeniknąć, przejąć wskróś człowieka i ogarnąć wszystkich stron uczuć i serca jego.

Patrz, my, cośmy wypiastowani wiarą chrześcijańską, my od kolebki do grobu żyjemy jakoby w atmosferze wiekuistości, nią oddychamy, nią żyjemy, nią czujemy. Ona przeniknęła wskróś całe jestestwo nasze, nasza wiara ma treść nieskończoną, ma dzieje; każdy czyn nasz, każde uczucie, każda myśl znajdzie odpowiednią prawdę w zasadach wiary, które łączą ogniwem świętém niebo i ziemię,

wiekuistość i doczesność. Inaczéj w islamizmie; w nim nie ma Bożych dziejów, on w istocie swojéj zupełnie jest podobny do wiary tych, którym się zdaje, jakoby już ogromnie wiele wyrzekli, gdy przystają na byt „istności najwyższéj“ (être suprême!), i rozumieją, że taką abstrakcyą zdołają zastąpić Bożą historyą na niebie i ziemi. Ale, kto jedynie wie i jedynie wierzy, że jest „istność najwyższa“, ten rzeczywiście mało bardzo wierzy i mało bardzo wie, i sam mimowolnie wyznaje, że u niego nie głęboko w rozumie, ani głęboko w sercu. Ubogi ten na duchu, kto, jakoby na jałmużnie, przestaje na wiedzy, na wierze o „istności najwyższéj“, na téj biednéj i jałowéj abstrakcyi. Ta nędza umysłowa tém więcéj litości godna, że on żyje przecież w świecie chrześcijańskim, w świecie wiary i wiedzy i umiejętności głębokiéj, a nie korzysta z tych ogromnych zasobów duchowych, których się dosłużyła cywilizacya świata łamaniem się i pracą tylu wieków.

Podobnie oderwaném pojęciem jest Ałłach islamicki, i właśnie ta abstrakcyjność jego, jakem dopiéro rzekł, jest powodem, że ta wiara nie zapełnia wszystkich tęsknot serca ludzkiego, że nie przenika wskróś uczuć, które tak są bogate, tak nieprzebranéj treści. Dla tych uczuć i tęsknot nieskończonych nie wystarczy bynajmniéj ono wieczne, ckliwe powtarzanie: Bóg jest jeden! Bóg jest wielki! A Mahomet jego prorokiem!

Weź Koran do ręki. Mimo ognia a wrzących barw, mimo tego, że z każdéj Sury (oddziału) patrzą na ciebie niby żarem chłonące oczy proroka, że czujesz z nich bijący na cię oddech skwarnéj pustyni; przecież nie lada trudem jest to czytanie w téj grubéj księdze, w któréj powtarzają się te same ogólniki, te same wyobrażenia bez dalszego rozwoju a powtarzają się bez końca. Do znękania czytasz a czytasz treść tę samą, rdzeń książki zawsze jedna i ta sama, bo abstrakcyjna i głucha, choć ustrojona w przybory obce, bo w ułomki poetów arabskich, bo w upoetyzowane powieści biblijne. Prawda, że cała osnowa Koranu jak zarzewie działa na palną, chwytną fantazyą tych wschodnich ludów, ale nie przenika ich serca, nie zagrzewa ciepłem życiodawczém, jednostajném od kolebki do śmierci.

Trzeba innéj jeszcze treści, aby zaspokoić wszystkie te ciche wróżby w duszy, aby nie zostawić w niéj głuchoty a ciemnic nierozświeconych, a tęsknot nieukojonych.

Z tego abstrakcyjnego a jałowego pojmowania bóstwa wynika, że człowiek w téj wierze czuje się luźnym, że wyobraźnia jego nie trzymana na wodzy, buja bez miary, miota się, ciska, że duch człowieka przerzuca się z jednéj ostateczności w drugą a w téj burzy serca nie ratuje go wiara jego, która tak pusta i bez treści w sobie.

Następnie baczmy, że bóstwo Koranu tak abstrakcyjne, ogólne a nierozwinięte ani w myśli, ani w uczuciu człowieka, z istoty swojéj już zbliża się do głuchego, beztreściwego, abstrakcyjnego ogółu, który jest dnem wszelkiego panteizmu, i który, jak widzieliśmy po-

wyżéj, równie z siebie rodzi to rzucanie się bez końca, to miotanie się po sprzecznościach wręcz sobie odwrotnych. Zrozumiesz jeszcze bliżéj to wyrodzenie się wiary Mahometa w mistycyzm panteistyczny, gdy zważysz, że wyobrażenie tak beztreściwe bóstwa, tak słabo rysujące osobowość jego, wnet się musiało rozpłynąć, ulotnić w pojęcie bezosobowe, rozpłynąć w ogół bezdenny. Albowiem dążność panteistyczna wszędzie tam się rodzi, gdzie się ulatnia wiara w Boga, będącego osobą.

Zważ, jak z jednéj strony islamizm nie był mocen wstrzymać bujania fantazyi, jak, podając jedynie słabe zarysy osobowości Bożéj, sam stał się potuchą mistyczności, wyradzającéj się w panteizm; tak z drugiéj strony ta mistyczność była oddziaływaniem (oppozycyą) tych szczepów, które się opierały idei Mahometa. A kto wie, azali przypomnienia z dawnéj perskiéj wiary, z onéj nauki oderwanéj o dwóch pierwiastkach: światłości, więc dobrego, a ciemności, więc złego, które także są abstrakcyą głuchą, nie przyczyniły się do całego stanowiska duchowego? Wyznaję atoli, że o ile sądzić mogę, ten wpływ nie jest jeszcze dziś dostatecznie wyjaśniony.

Tak ten mistycyzm panteistyczny zapowiada, że tu spotkamy pojawy, przypominające dzieje człowieka w Indyach; ale znowu trudno nie spostrzedz zrazu ogromnéj różnicy, zachodzącéj między światem nadgangesowym a życiem islamickich ludów. Wszak inny jest panteizm indyjski a inny ten, który się rozwinął u mistyków mahometańskich; tamten jest jakby marą pierwotnéj niemocy ducha, oczynionego magią demonów natury, ten zaś zrodził się z zapadania ducha w sobie i z nieskończonéj tęsknoty jego, pojawił się na łonie nauki, kładącéj przecież za węgieł a podwalinę wiarę w jedynego Boga; tamten jest niby złém marzeniem, cisnącém piersi ludu, którego całe życie jest ciężkim, kłamliwym snem, ten zaś jest filozofią, zachwytem narodów, które żyją na jawie i żyją w czynach i dzielności rycerskiéj, w uczuciach gorących, namiętnych. Lecz jak w Indyach tak i na wschodzie mahometańskim miotają się ostateczności wręcz sobie przeciwne — bo duch i materya, świat oderwany a rzeczywisty, głuchy ogół a świat jednostek pojedynczych, rozkosze ziemskie a nadświatne dzielnice, fantastyczność bezmierna, nie mająca ładu ni praw, a rozsądek prozaiczny, powszedni, codzienny. W Indyach atoli te ostateczności są wskróś pomącone z sobą, są dziką mięszaniną jakby dwóch różnorodnych płynów w naczyniu zamkniętych, które, gdy je gwałtownie zakłócisz, rozbiją się na cząstki osobne, chaotycznie z sobą pomącone, a które przecież połączyć się z sobą nie zdołają. W mahometańskim świecie obie te ostateczności podobne są do tych dwóch płynów, gdy się już ustoją, a każdy, zlewając cząstki swoje, do czysta się od drugiego odgraniczy.

Zaprawdę, przypatrując się, choć pobieżnie, życiu, obyczajom mośleminów, wszędzie znajdziesz one ostateczności wręcz sobie prze-

ciwne obok siebie i po sobie istniejące, i ściśle od siebie odłączone. Człowiek w islamizmie zapada w abstrakcyą głuchą, dumając a nie myśląc, tonie w bezdeni, co nie świeci, nie grzeje. Ztąd ta cisza duchowa tak głęboka, ten pokój uroczysty duszy, ta świąteczna męzka powaga, owo zadumanie, co tak lekce sobie waży troski i zabiegi światowe i pogardza tą grą ulotną żywota, zdając się na fatalizm wszechmożny. Znienacka atoli w tę ciszę bezwietrzną, w ten wrzekomy chłód duszy, w tę obojętność wpadnie iskra, a już, jakby błyskawicą, zajmą się palne uczucia człowieka; on się zrywa gnany żarem wewnętrznych płomieni, pędzi wichrem uraganów na pogrom świata, i gromi świat. Ale w rychle gaśnie w sobie, usypia, i znów tonie w miękkiéj bezczynności pieszczotliwego życia.

Islamita to przestaje na małém, miarkuje i kiełzna swoje ochoty i przemaga zacném męztwem niedostatek i głód, to rozpływa się w rozkoszach zmysłowych, pieści się i kołysze ziemską uciechą, stwarzając około siebie urocze światy; chętnie nawet wzywa sztucznych sposobów (opium), zapada w marzenia, przenosząc się w krainy czarodziejskie ułudnych fantastycznych widziadeł, kędy, jakby we śnie, giną wszelkie prawa rozsądku, wszelki ład i rozumowy związek wszechrzeczy, a kalejdoskopem tu przesuwa się świat, hasając dziwnym zamętem.

Islamita hardy, niekiedy okrutny, dumnie spogląda na cały ludzki ród, poniewiera nim; bo ludzie, to jednostki marne, nie mające znaczenia. A często znów z milczącém sercem sam zstępuje z wysokości władzy na poniża biedy, obojętnie nawet nakazanéj śmierci się oddając i samego siebie za nic ważąc.

Moslemin, to wśród rzeczywistego życia mierzy, liczy i waży rzeczy najprozaiczniejszym rozsądkiem; to znów się szarpnie, zerwie nitki, co go ze światem powszednim wiążą, a wolny i swobodny jak ptak, cały świat czyni ojczyzną swoją, i na „latawcu wiatronogim ściga sępy“ i skwary piaszczyste, ale ściga i goni bez celu.

Tak tutaj wieczne kołysanie się ducha między dwiema ostatecznościami, tu nie ma praw stałych, pewnych, tu nie ma trwania, tu wszystko migoce się, błyska i gaśnie. Wszak nawet dzieje same, te żywoty samych państw, są tak migotne i majaczne, jak dzieje duchowe pojedynczych ludzi. Wspomnij te kalifaty w średnich wiekach, co jakby brylantem błyszczały w ciemnéj nocy, a świeciły od Bagdadu przez Azyą, Afrykę, aż w głęboką Hiszpanią, a w rychle znów niespodzianie rozprysnęły się w iskierki płomieniste i zgasły. Dzieje ich to istne bajki arabskie, w których nic nie ma trwania, stałości. Te dzieje tém dziwniejsze, że przecież te państwa arabskie były piastunami umiejętności europejskiéj w średnich wiekach; wszak to ówczesne arabskie kalifaty słusznie patrzały się na ludy Zachodu, jako na nieobłaskawionych, grubych barbarzyńców. Przecież ci Arabowie byli wielkimi lekarzami, oni to rozwinęli matematykę, fizykę, astronomią, oni nauczyli się starych Greków, oni pisali

komentarze nad filozofią Arystotelesa. Wiesz, jedni z ich mędrców zabrali się do Koranu, filozofią go rozświecając; co więcéj, byli i tacy między nimi filozofowie, co w uniesieniu najwyższego zachwytu pragnęli spłynienia z Bogiem, a tak głosili światu naukę panteizmu i rozwarli bezdenne jego przepaści. Nastaje téż między Arabami filozofia, zaprzeczająca wszelkie prawidła, wszelkie ustawy świata; wedle nich wszystko, co się dzieje w świecie, tak fizycznym jak duchowym, dzieje się z chwilowego Bożego dopuszczenia. Człowiek, wedle téj nauki mógłby być tyli, co góra; a owad tyli, co słoń; ptak mógłby być zwierzęciem ssącém; że się nie tak dzieje, to jedynie dlatego, że taki niby zwyczaj przyjęty w stworzeniu, ale przyczyny rozumowéj nie ma żadnéj, nie ma żadnych praw rozumnych, stałych, trwałych.

A tak sama nawet filozofia mahometańska roztworzyła furtkę do państwa czarodziejskich dziwów, do fantastycznych widziadeł.

Znasz Babią Górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku krakowskiego nieba; ta góra — to od czasu do czasu gospoda onéj staréj czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radośne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyczajona i czycha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziejesz, okryje się płachtą z brudnéj ciężkiéj mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednéj nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Daremnie broni natura te swoje dzieci lube, wnet i ona, urzeczona od staréj złośnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jéj nie przebudzi powiew wiosny młodéj.

Teraz zima broi na dworze i ziębi, słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ckliwo, bo nam podobno gorzéj jeszcze, niż naturze, drogi bracie mój; przecież do niéj wrócą światła i kwiaty, wrócą i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły i zgasły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz, choć ci czasem samotno i ckliwo, zaproś w gościnę inną czarodziéjkę dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczór zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. — Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani; te biedaki są jéj oddane w jęctwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzy-

nią! Ale pozwól-no jéj stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jéj figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadać niekiedy kropli na odmłodnienie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszczéj pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj téj bałamutnéj psotnicy, pozwól broić téj wróżce figlarnéj: boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym — ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci, co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazya podobna do świerczka w kominie: póki ona się odzywa, toć znać, żeś nie przemarzł do szczętu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń téj psotnicy lubéj progów twoich, owszem niekiedy pomóż jéj dokazywać i broić! A jeżeliby ci brakło weny, a jéjmość fantazya się miała zdrzémać na piękne, toć zrzuć pychę z serca i siadaj między dziatwę, poigraj z pacholętami, a fantazya znów się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to iście pany na zamkach czarnoksiężkich: ona to w królestwie cudów i dziwów, jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządny w świecie ład, w ich duszy złocisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wigilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz, co się dzieje w ich duszy, gdy sosenka przyniesiona z Bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złocone, gdy na gałązkach jéj, zamiast szyszek, zahuśtają się wiarusy wąsate, warkoczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki, i świecą barwiste stoczki, a w pudłach i pudełkach pełno dziarskich ułanów i groźnych piechurów. Posłuchaj co się tam migoce, mieni, w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwa się światek, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszedniego ładu świata: więc téż one tak chciwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dlatego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia siadaj między dziatwą i praw im historyjkę, naprzykład tym trybem:

„Otóż tedy, jak wam powiedziałem, dzieci, Sindbad biedny zostawiony był samiuteńki na owéj wyspie odludnéj. Chodził biedak a chodził, gorzko płacząc a desperując, a tu w koło ani śladu żywéj duszy; wdrapał się nawet na drzewo wysokie i patrzał na morze, ale tu ani śladu statku, tylko fale bezmierne a niebo głębokie. Już go ostatnie strachy przejęły, gdy zobaczył tuż nad brzegiem jakąś kulę ogromną; zbliżył się, patrzy, obszedł ją w koło i zmierzył krokami, a było jéj ze sześćdziesiąt kroków, a była ona biała, miękka i gładka. Stanął tedy, dumał i myślał, coby to być mogło? Wtedy znienacka jakby zmierzch nocny padł na świat; zdało mu się, że

jakaś chmura gęsta słońce zaćmiła, ona z szumem i hukiem przylatuje bliżéj a bliżéj; wtedy ze strachem poznał Sindbad, że ta chmura to nie chmura, ale ów olbrzymi ptak Rokk (Skała), o którym tyle nagadali mu niegdyś podróżni, i domyślił się, że ta kula to pewnie jaje Rokkowe! I zgadł — Ptak spuścił się na jaje, by je wysiedzieć, a jak siadł toć i Sindbada przykrył sobą. Wpadł tedy biedak na myśl śmiałą a szczęśliwą, bo rozwinąwszy z głowy zawój, co tchu przywiązał się do ptasiego uda, co było tak ogromne jakby pień najstarszego dębu. Ledwie to zrobił a jużci tu zrywa się Rok i unosi z sobą Sindbada tak wysoko, że i świata już nie widać; więc leci przez wiele lądów, i leci, leci przez morza, a spuszcza się tak szybko, tak nagle, że Sindbadowi tchu nie stało. Otóż przecież Rokk już na ziemi. Sindbad czémprędzéj odwięzuje się od nogi, wtém widzi, że i t. d.“.

Dalszy ciąg téj historyi znajdziesz w zbiorze gadek, co je zowią „Tysiąc Nocy i Jedna“.

Te powieści słusznie uważane są za najcudniejszy a najwięcéj charakterystyczny kwiat arabskiéj fantazyi. Dla téj fantazyi fraszką, bajką, konieczny rzeczy szyk, w niéj przypadkowość rozigrana założyła władztwo swoje. Ta fantazya samowolnie sobie gospodarzy w świecie a uśmiechająca się kuglarskim figlem wywraca, mąci jestestw porządek; to wywoła węże skrzydlate co się przemienią w cudnéj piękności panie, strojne w złoto i klejnoty drogie, to czarem w kamienie przemieni ludność wesołego miasta, to stworzy komnaty sypialne oświecone, jakby lampą, blaskiem ogromnego brylantu, to wyprowadzi z morza olbrzyma zazdrosnego; on w szkatułce, którą trzyma pod pachą, chowa najulubieńszą kochankę swoją i t. d. A jak ta fantazya drwi sobie ze znaczenia istotnego każdéj pojedynczéj rzeczy, które wplata w powieści swoje, tak też i „całość takowéj powieści nie ma znaczenia głębszego; darmobyś w niéj śledził jakiéjś głównéj myśli a dążności moralnéj, obyczajowéj, nie spodziewaj się tutaj nawet ani satyry, ani allegoryi na dnie tych powieści“ (Göthe); rozumiałbyś, że one są jako ptaszki, co śpiewają bezświadomie z całą duszy swobodą, bo im tak miło i lubo śpiewać, na nic się nie oglądając; są to wdzięczne drwiny ze świata i z ludzi, za które gniewać się nie można.

Choć te powieści arabskie nie mają rozumowego gruntu pod sobą, choć pisane są jakby dla pacholąt małych, przecież w nich żyje ukryty głęboki a samorodny fantazyi prawdziwéj pierwiastek, i dla tego właśnie one i starszych tak czarują niewypowiedzianym urokiem.

Chcesz-li podpatrzyć ich zrodzenia, to pamiętaj, że i tutaj gospodarzą owe dwie powyższe ostateczności wręcz sobie przeciwne. Tutaj najprzód wylatuje na scenę fantazya, jakby upojona zachwyceniem tanecznica, i w szale, drwiącym z rozsądku, wywraca zamętem jestestw naturę, a w zapustnéj wesołéj ochocie hula i buja i stwarza sobie światek cudów i dziwów i awantur, i rozsypuje, jakby do stroj-

nego sadu, złociste owoce, dziewczęta, rybki i wojaki na gałęziach rosnące. Gdy atoli swojego dokona, już znika jak przyszła, i ulatuje, aby znów gdzieindziéj puszczać się na figle i sztuczki i drwinki. Wtedy występuje z kolei na scenę rozsądek rozważny, prozaiczny, i zbiera skrzętnie one złociste, dziwaczne dary lekoskrzydłéj psotnicy, i wiąże je w sad, co równie jest bez korzeni i nie ma gruntu pod sobą, i przyczepia na nitce do gałązek jego te dziwy świeciste, obstawi świeczkami, a tak i powieść gotowa. Jednak, ten sam rozsądek, co tak chłodny i trzeźwy i rozważny, gdy obaczy własną swoją robotę gotową, pełną dziwów błyskotnych, mieniących, sam odurzeje widokiem swojéj sprawy, sam się opoi, i puści się tanem zawrotnym w koło dzieła własnego, tanem ochotnym, fantastycznym, oczyniony czarodziejstwem, które sam wywołał. Tak tutaj one dwie ostateczności nigdy nie wiążą się w organiczną całość, one nie przenikają się z sobą; i jakby w somnambulizmie to rozsądek czuwa na jawie, to jakieś jasnowidzenia z kolei panują nad człowiekiem; a oba te stany są ściśle od siebie oddzielone.

Otóż i żywot i kraj Arabów jest taką powieścią cudowną; i tutaj nie ma nic stałego, trwałego; wszystko jest dziwem lśniącym, mieniącym. Człowieka w kapryśnéj, samowolnéj swobodzie przez życie całe podrzuca fantazya; całe życie jego jest awanturą, przypadłością, hasem zapustnym. Dziewica arabska zaślubia się swojemu kochaniu, a gdzieś daleko, daleko staje się matką, a gdzieś indziéj znów wychowuje dzieci swoje, i znów gdzieś daleko umiera. Jakby w powieści czarodziejskiéj nikt nie zgaduje, co się zdarzy, zanim słońce nazajutrz spadnie na widnokręgu pustyni.

Ta pustynia zaległa w koło świat, ona niema, cicha, niekiedy tylko po pagórach jałowych, po piaszczystych równinach przelatują głosy; jękną — konają gdzieś w niedosłyszanéj dali. Niekiedy znowu przez ćmę kurzawy, patrzy się na świat słońce obumarłą, zżółkłą twarzą, a po ziemi hulają wzniesione w słup i palą się chmury piaszczyste ciemną purpurą, niby pożarem natury, a pędzą szalejąc, kręcą się i wirują, i szukają wędrowców, by w ich krwi i skonie znalazły ugaszenie pragnienia! Dygoce strachem zdjęty tygrys, przycisnęła się do ziemi hyena z cicha szlochając, ryknął zgrozą lew, a płazy jadowite zwinęły się w skalnych szczelinach; natura odegrywa straszliwy, a fantastyczny dramat. Ale patrz, wśród pustyni skwarnéj, jakby wyspa na oceanie głuchym, zieleni się i uśmiecha szczęściem błogiém oaza, ojcowizna czarodziejskiéj rozkoszy. Palmy rozkochane lekkim wspaniałych liści szeptem powierzają sobie miłości swoje. Gaje migdałowe poszyły pagóry tchnące rosą świeżą, a figi gęstolistnych gałęzi splotem rozpięły namioty, kędy brzmią wdzięczne ptasie pieśni. Tam znów daktyle związały się w strojne bukiety, a wśród murawy łąk kwiecistych płynie strumyk, i cieszy się i raduje, że on tego wszystkiego szczęścia i wesela sprawcą cudownym. Gdy w koło na pustyni głucho i pusto, a skwary duszne życie wy-

ssały, gdy tam ciąży niemota cicha jakby na natury cmentarzu, w oazie tak lubo, wdzięczno, rozkoszno, żeć się już zdaje, że ona błogiém, senném widziadłem wędrowca, mdlejącego wśród piasków skwarnych nieużytéj pustyni.

Przecież choć na oazie lubo i błogo, choć tu przyroda ustrojona jakby do ślubu ze szczęściem, a choć na pustyni cicho i skwarno, Arab kocha sercem gorącém tę pustynię żarzącą. Wszak on jéj dziecięciem, ona jego światem, on w niéj jakby w domu swoim; tu mu zdrowo odetchnąć, i puścić się za słońcem, za gwiazdami na rumaku lotnonogim. I tygrysy i węże, lwy i chmury piaszczyste, i wszystkie strachy pustyni są dla niego fantastyczną poezyą, a walka ze śmiercią to rycerskie dla niego igry i turnieje, jakby lekka gimnastyka, gdy pójdzie o płatne z innym wrogim szczepem, co również synem pustyni, z którym jeszcze od pradziadów toczy się bój zemsty śmiertelnéj, krwawéj. Bo na pustyni zemsta nie umiera nigdy; ona wołaniem tajemniczém rozpływa po pustyni głuchéj, umarłéj „nią dygoce grot żelazny łaknący krwi, ona błyszczy i żarzy się w oku rumaka, zemstą tchną kości poległych, zbielałe na piasku żółtym“. Tu nie prawo, nie sądy rozstrzygają spór, ale męztwo, ale rycerskie zuchwalstwo; tutaj człowiek jest jednostką niczém nie krępowaną, nie uznającą praw ogólnych; więc pędzi i biegnie, kędy go unosi serce kipiące a fantazya w duszy żarem paląca.

Gdy boje na chwilę ucichną, gdy i pustynia zaśnie w koło, a gwiazd nocnych tłumy, jakby pochodnie, jasnością przeczystą zapłoną na niebie; wtedy około ogniska Araba rosną powieści i gadki i pieśni; wtedy, miłość i śmierć, przeszłość i przyszłość, i natury dziwy, i męztwa zuchwałe cuda, odziane w szaty urocze poezyi, jakby wdzięczne geniuszki rozchodzą się od ognisk we wsze strony pustyni, siejąc kwiaty duchowe po jéj piaskach jałowych. Kwiaty te, niedojrzane wzrokiem doczesności, mienią się cudem, stają się widome, żyją niezwiędłém życiem; gdy na nie spojrzysz okiem fantazyi, wtedy te puste, umarłe, nieme arabskie rozłogi, te cmentarze głuchéj natury stają się czarodziejskim ogrodem.

Nie trudno tedy już zrozumiéć, że fantazya Arabów wypada z piersi wieszczów najradziéj poezyą liryczną. Bo w saméj poezyi lirycznéj żyje cała swoboda uczuć człowieka, w niéj jednostkowe piętno jego znajduje wyrażenie swoje, w niéj wieszcz jedynie sam od siebie zawisł, nie zna co względy i więzy zewnętrzne. Dla tego téż, gdy się Arab zabierze, by wyśpiewał grzmiącą epopeją, czyny pełne chwały szczepu swojego, już obrazy téj epopei stają się liryzmem, stają się raczéj odbiciem osobistych uczuć śpiewaka, niż opisem zewnętrznych wydarzeń. Bo ta fantazya, luźna i wolna, nie rada się stosować do zewnętrznego świata. Albo téż, jeżeli opowiada i kreśli zewnętrzne wypadki, toć znowu z taką swawolą, z takim żartem z ustaw wiążących naturę, iż to opowiadanie staje się właśnie ową cudotworną arabską powieścią z Tysiąca Nocy i Jedna.

Równie z tego, co rzekłem, wyraźnie znać, że tutaj nie ma nawet mowy o dramacie, bo figura dramatyczna jest sobą samą, działa wedle siebie; wypada tedy aby poeta dla tych figur zrzekł się sam siebie, aby treść wewnętrzną swoją uosobił na zewnątrz, nadał jéj ciało i uczynił ją niby niezawisłą od siebie; lecz te wszystkie warunki dramatu są wbrew przeciwne téj lotnéj, gorącéj, niczém nieumiarkowanéj fantazyi, która, li na własnéj osobistości oparta, wylewa się gwałtem niby dzikie wody wśród burzy i grzmotów. Z tych powodów też nie tylko Arabowie, ale żaden lud mahometański nie ma dramatu, ani go mieć nie może. Daremnie tedy niedawno rozumiano, że odkryto dramat między ludami temi; te słabe kompozycye są może nawet o wiele niższe, niż dyalogi średniowiekowéj Europy. Obaczymy też później, mówiąc o fantazyi romantycznéj średnich wieków, że tam podobne zjawiska wystąpią, bo i tam liryczność przeważa, i tam człowiek nie ma oczu rozwartych na świat zewnętrzny, i tam duch tonie w sobie, stwarzając sobie własną rzeczywistość fantastyczną. Obaczymy atoli również, że wielka zachodzi różnica między romantycznością ludów mahometańskich a chrześcijańskich, któréj przeoczyć się nie godzi.

I uważ, ta bujająca, szalejąca fantazya Wschodu znienacka znów rzuca się w drugą odwrotność, i staje się prozaiczną, rozsądkową, czasem nawet pedancką uczycielką. Obok liry kipiącéj warem, palącéj się jasnym płomieniem, obok czarodziejskiego świata powieści, stają zbiory ogromne przysłów, maxym, rad, sentencyj, a są tłumy nieprzejrzane téj dydaktycznéj poezyi; jakoż jeden z tych zbiorów zawiera ich siedm tysięcy. To przerzucanie się z jednéj ostateczności w drugą tłómaczy się już samo przez się z powyższych ogólnych zarysów ducha islamickich ludów.

Nie trudno też wywróżyć kształt tych poezyj, a mianowicie téj ognistéj liry. Myśli, uczucia wylatują słowami niby błyskawice; wyrazów nie wiele, ale też za to biją jakby gromem (*). Te pieśni podobne szkicom wielkich malarzy — kilka rysów śmiałych, butnych, farby zuchwałe niby na hazard rzucone, co palą się, goreją, promienią — wystarczą do zupełnego obrazu. Zrozumiesz tedy również, że w ludzie rozsypanym na szczepy, hulającym w pierwotnéj swobodzie po nieprzejrzanéj przestrzeni ojczyzny, poezya jest prawie cała poezyą gminną, fantazyą powszechną, wszechbytną; ona rośnie jak dzikie kwiaty w całym przepychu swojéj siły świeżéj, rodziméj. Arabia późno dopiéro, a to tylko przelotnie i niedostatecznie, zaznała

(*) *Hammer-Purgstall*: Literatur-geschichte der Araber. Wiedeń, 1850 i nast. 7 tomów. To dzieło jest podobno najważniejszém ze wszystkich prac nowszych, a odnoszących się do literatury arabskiéj. Téj też książki radziłem się głównie, wspominając tu tak zlekka o poezyi i języku Arabów. (Nader ciekawemi w tym względzie są także dzieła: *Schack*. Poesie u. Kunst der Araber. 1865 — w dwóch tomach; oraz Julius *Braun*. Gemälde der mohamedanischen Welt. 1870. — St.)

wpływów świetnych dworów, co iściły przepych, czarodziejstwo, o którym gwarzyły powieści cudotworne; ta świetność przemijających ognisk nie uczyniła nigdy doprawdy poezyi w Arabii dworską poezyą; ona z istoty nigdy nie przestała być sprawą narodu całego, sprawą ogólną, wspólną wszystkim. Poeci tedy walczą z sobą o prym wśród nieprzeliczonéj ciżby ludu; chwała poetyckiego zwycięztwa jest chwałą ich szczepu, w obec wszystkich szczepów. Na wstępie do bożnicy Kaaba w Mekkie zawieszone były siedm pieśni wyszytych złotemi głoskami na perskich makatach; one niegdyś odniosły nagrodę w obec nieprzejrzanych tłumów ludów, które rok rocznie gromadzą się na targach w mieście Okkadh. Przy téj fantazyi poetycznéj ludu, co jest jego powietrzem, którém oddycha — krwią, która mu w sercu tętni — czyliż dziwnó, że spory prawne, tak między pojedyńczemi osobami, jak między szczepami odbywały się mocą wszechwładnéj u nich poezyi. Rzecznikami stron bywali poeci; oni pieśnią wysławiali zacność, chwałę, męztwo i dzielność i słuszność swoich klijentów; i sędziami sprawy byli wieszcze szerokiéj chwały, a wygrana stała się tryumfem poety-rzecznika i nagrodą jego wieszczego natchnienia.

Tak tedy poezya arabska jest kopalnią bogatą, nieprzebraną drogich kamieni i złota dla Europy, znachodzącéj coraz nowe a nowe cuda i dziwy. Pomyśl sobie, że w szczupłym przeciągu czasu sto czterdziestu lat, licząc ich sto przed Hedżyrą, a czterdzieści lat późniéj, śpiewało 300 poetów, między którymi było 16 królów, a 45 poetek; a tak i w następnych stuleciach mienią się i rodzą i bujają coraz to nowi wieszcze, i rosną jakby gęstym gajem czarodziejskiéj poezyi (*).

Pytasz atoli, jakże się miała ta bujność poezyi, ten świat śpiewów i pieśni do nauki i wiary proroka?

Mahomet, zakonodawca-prorok, zanurzył ten czysty przecudny język arabskiéj pustyni w krynicy wiary, a nadając mu formę stałą, uświęcił go, natchnął szlachetnością pełną wzniosłego uroku. I trafnie i bystro rzekł temi dniami jeden z najcelniejszych badaczy i znawców arabskiéj literatury (**): „język starego Egiptu i Persów i Medów, Sanskryt i święta mowa Hebreów dawno przebrzmiały w rzeczywistości. Cienie jednych z tych języków zaklęte są w napisach rzeźbionych, po grobach, w budowaniach zapadłych, i zaledwie wskrzeszone być mogą szczęśliwym trafem i mocą czarodziejską badaczy; inne z tych języków żyją tylko w księgach uczonych i plątają się marą po szkołach. Ale język arabski żyje życiem niezwątlonem, żyje wieczną, nigdy nie zgasłą młodością w dziełach poetów i w ustach ludów; on rozwinął panowanie swoje po ogromnych przestrze-

(*) Hammer l. c.
(**) Hammer l. c. przedmowa str. XVIII.

niach trzech części świata, a był nawet czas, gdy ta mowa arabska była panującą w świecie duchowym, bo w dzielnicy nauk i umiejętności, i zajęła tron wszechwładny, opuszczony wtedy przez język rzymski, ów język pogromców starych ludzkich dziejów". Patrz, jakto geniusz Mahometa ciężko zaważył w duszy tych ludów! on do szczętu wytępił mity stare z pogańskich lat, a przecież, jak wspomniałem, nie zdołał wytępić z serca swoich ludów miłości gorącéj do gadek i powieści cudotwornych. Bo on, choć się gniewa, że go nazwano poetą, jest sam wielkim poetą.

W Al-Koranie, jak rzekłem powyżéj, obok rdzeni prozaicznéj jego zasad głównych, obok jałowego rozsądkowego pojmowania, widzimy powieści biblijne, ale cudnie ubrane w palące, żarzące barwy fantazyi arabskiéj; te powieści są upoetyzowane, wystrojone do niepoznania. A tak i tutaj widać owe ostateczności świata islamickiego obok siebie istniejące: bo rozwagę, namysł, obok namiętności płonącéj, bo chłód rozsądkowy obok porywającéj, zataczającéj się wyobraźni. Mógłbym ci przytoczyć wyjątki z nie jednéj Sury (oddziału) Koranu na poparcie mojego orzeczenia, ale trudno mi wystąpić po za obręby listu tego. Nie mogę się atoli oprzéć chęci uczęstowania cię choć ułomkiem drobnym owych dziejów miłośnych Jussufa i Sulejki, osnutych na treści Koranu przez Czami, jednego z poetów perskich. A wyrośnie nam z tego korzyść dwojaka, bo obaczysz jak Koran obchodzi się z powieścią biblijną, a przytém będziesz miał przykład poezyi perskiéj, o któréjbym ci jeszcze choć w krótkości pragnął wspomnieć. Zrozumiesz przecież, że jedynie mam na myśli, aby ci podać ogólne kontury ducha i fantazyi tego ludu, a dla tego chciéj te wyjątki uważać jedynie za okruchy okruchów tego prześlicznego poematu. Zrozumiesz równie, że nawet nie mogę rościć sobie prawa, aby te ułomki uchodziły za tłómaczenie, bo do tego trzebaby umiéć języki wschodnie, a zarazem być poetą; a ja ani do jednéj, ani do drugiéj z tych zalet nie mam pretensyi.

Jussuf, o którym tu mowa, jest to Józef biblijny, syn Jakóba Patryarchy; a Sulejką nie kto inny, tylko pani Putyfarowa. Mahomet poświęca całą dwunastą Surę Koranu historyi Józefa, którą po swojemu amplifikuje, zdobi i stroi, a tak zaciera pierwotne, pełne prostoty i rzewności, opowiadanie Pisma Św. Zaczyna od chwili, gdy niby Józef powiada do Jakóba: O ojcze mój! Jam widział we śnie jedenaście gwiazd oddających mi pokłon! I widziałem, jako mi się kłaniał księżyc i kłaniało się słońce! — Synu mój! odpowiada Jakób, nie wspominaj o widziadle tém braciom twoim, bo szatan jest ludzkich serc zaprzysięgłym wrogiem! Tobie zaś te widziadła senne niechaj będą wróżbą, że Pan ukocha cię miłością najwyższą i udzieli ci wiadomości wyjaśnienia ciemnych wyroków. Pan łaskę swoją uczyni świetną na tobie i na pokoleniu Jakóbowem i t. p. Kończy zaś Koran na chwili, gdy rodzice, przybywszy do Egiptu i stanąwszy w obec Józefa, chcą upaść do stóp jego, by okazać mu uwielbie-

nie swoje, ale Józef wstrzymuje ich, w rozczuleniu oddaje zgrzybiałym starcom cześć, na tronie ich sadzając.

Poeta perski Czami trzyma się wprawdzie Koranu w opowiadaniu swojém, ale obiera sobie za ognisko pieśni nieszczęśliwą miłość Sulejki do Jussufa, chcąc wyświecić jaskrawemi barwy, jako Jussuf polegając na ufności w Bogu jest niepokonanéj siły duchowéj; ale słaba niewiasta, nie mająca oparcia w sobie, miota się bez ratunku na falach namiętności swojéj, aż i jéj serce zostaje ukojone wiarą prawdziwą. Taką dążność bowiem prawie powszechnie przypisują téj powieści.

Ale widzę, że list ten jakoś zbytby mi urosł, wolę tedy zachować sobie do przyszłego listu historyą o Jussufie i Sulejce i wszystko co mi jeszcze o fantazyi ludów islamickich mówić wypadnie.

List Dziewiętnasty.

Ludy Mahometańskie.

(Dalszy ciąg.)

Powieść Jussuf i Sulejka. — Fantazya Perska. — Schachname. — Dwojakie pieśni wieszczów perskich, a mające wspólne tło. — Ułomki z obu tych rodzajów. — Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów. — Cechy ich budowania.
Dopisek. Rzut oka na listy i stanowisko całego tego dziełka.

„Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściorodna jak młodości błogi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem a umilkły nawet spracowane wieści dzienne. W świecie całym, w téj przedziwnéj altance bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartém chodziły po niebie! Noc ukradkiem uniosła wartom baczność czujną, i milczały dzwonów zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałe miecze, a maki zasypały grodowéj straży oczy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosy na modlitwę Panu!“

„W téj nocy wdzięcznéj spoczywała na łożu Sulejka miodousta, snu słodycze pokryły jéj oczu narcyzy. Dziewica użyczała węzgłowiu włosów wonnych fale, a łoże ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznych róż. Zmysłowe jéj oczy tonęły we śnie lubym, lecz jaśniały drugie niewidome serca oczy! Zdawało się jéj, że widzi przed sobą młodzieńca obraz. — Młodzieńca? O nie! to widziadło przeczystego ducha! Oblicze jego, jaśniejące promienną światłością, niebiańskim hurysom odebrało rajskie uroki i czarownych wdzięków moce. Cyprysu wzrost, tak wolnością swobodny, zdaje się być nie-

wolnikiem obok postaci młodzieńczéj. Kędziory spływają po ramionach cudnych, jako więzy, co krępują rozumu potęgę! Przed blaskiem czoła jego skłania się kornie twarz słońca świecista. Łuki oczów jego to ołtarz modlitw świętych, to namiot ambry, co cieniem mroczy zasypianie lube, pełne rozkoszy cichéj. Oblicze jego, to Bożych Edenów księżycowa poświata; od rzęsów biją w serca strzały!

. . . . . .

„Gdy jéj oczy ujrzały to z nieba zjawienie, już jakby gromem zapłonęło serce miłością. Światłość jego lica i wdzięki nadziemskiéj postaci związały ją serc tysiącem. Ona już w świecie nie widzi innego istnienia, krom jego uroków. Bujnie rozkwita miłości gałązka w jéj sercu osadzona. Oblicze jego ogarnia jéj duszę ogniami, co chłoną i cierpliwość i ufność wiary“ . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

„Już noc, owo ciemne pachołę, uleciała światu, już kur na poranie zawołał radośnie, a słowik pieśnią rzewną podniósł z róży pączka obsłonkę, już fijołek i jaśmin w rosy kropelce omyły główki swoje; a jeszcze Sulejka spoczywała na łożu snem słodkim złożona. To nie sen! To błogie zmysłów odurzenie, to radość i podziw lubéj, błogiéj, przemarzonéj nocy“.

„Zbliżają się niewolnice urodne i całują rączkę śnieżną; ocknęła się — jéj oczął para szczęściem upojona, szaty spadły z jéj oblicza, jako obłoki wschodu przed słońca promienistą twarzą. Ona patrzy w koło, bez śladu rozpłynęła postać pięknolica! Sulejka w sobie stula uczucia, niby w pączku młodym; boleścią chwycona, jak róża liście, tak ona chce podrzéć szaty swoje, ale rękę wstrzymuje, wstyd ludzi utrzymuje jéj stopę na umiarkowaniu progach. W sercu kryje tajemnice swoje, jak szyb górski kryje rubiny płonące. Ona tak słodko przemawia do niewolnic grona, dusza jéj żali się cierpką boleścią; gdy łagodnie i lubo płyną z ust jéj mowy, jéj uczucie bucha iskier tysiącem. Daremnie widzi inne młodzieńcze postaci, daremnie, — na wieki jéj serce przykute do sennego obrazu. Wszak w tych miejscach, kędy ona bawi, stało widziadło lube, co jéj serce uniosło. W niém jedynie spoczęło ukojenie jéj duszy, w niém utopiła wszystkie pragnienia serca; a gdy to serce przemówi uczuciem, toć do drogiego przemawia widziadła!

„Do nocy, do téj oblubieńców przyjaciółki, do nocy, co stróżą tajemnic kochanków, zwracały się najdroższe jéj duszy tęsknoty. Bo gdy dzień podnosił oponę rzeczywistego świata, już noc spuszczała zasłonę na niebiańskie zjawienia. I nadeszła noc! — Sulejka podobna arfie, zgięta w sobie, oparta o cierpień mury, zamiast w struny, nawiązana w strugi łez, co, do dźwięku duszy nastrojone, brzmiały żalem serce przenikając, i wygrywały całą gammę tonów boleści tęsknéj. Obraz kochanka unosi się przed duszą jéj, perłami wysypują się z ust boleści słowa, perłami ciekną łzy z oczu cudnych.

„Powiedz, o powiedz, któreż głębie górskie zrodziły cię o klejnocie drogi mój! Dla ciebie to, dla ciebie oczy moje perełki leją; ty wziąłeś mi serce a nie wyrzekłeś nawet twojego imienia, ani kędy twój dom. Któż mi powie imię twoje, któż mi wskaże ojczyzny twojéj ślady! Jeżeli królem jesteś, powiedz, jakże zowią stolicę twoją. Jeżeliś promieniem księżyca, powiedz, kędyż twoich wdzięków tron! O! niechaj nie cierpi nikt, com przecierpiała biedna! Serce straciłam, i straciłam kochanka serca mojego. Widziałam obraz twój, on mi zabrał sen, wycisnął z serca krew, i krew z oczu wycisnął! Jam bezsenną, uczucia moje zostały w pożarach gorejącéj miłości. Ja byłam różyczką na kwiecistéj młodości niwie, byłam świeżą, cichą, jak strumień błogiego żywota; nigdy mnie nie zawiał wicher srogi, ani ciernie nie zraniły stopki mojéj. Ty jedném spojrzeniem oddałeś mnie burzom, a cierniami boleści usłałeś łoże moje! a przecież ja tkliwsza jestem na ciernie, niż róży listek!“

„Tak wzdycha nieboże aż do świtu zarania, i oskarża wizerunek kochanka fantazyą zrodzony. I uleciała noc.“ . . . . . .

. . . . . .

Tym trybem cudna ta powieść roztacza się w swoim uroku; poeta opisuje teraz, jako niewolnice spostrzegając odmianę w Sulejce, radzą a radzą między sobą: jedna mówi, że to oczynienie; druga, że ją urzekł Diw (niby jeden z czeladzi wrogiego Arymana); trzecia, że zapewne czarnoksiężnik jaki umatnił ją w sidła; czwarta zgaduje, że to miłości brzemię. Mamka Sulejki, trapiąc się zbiednieniem drogiéj dziewicy, nalega na nią i zaklina, by jéj prawdę wyznała. Sulejka wtedy opowiada jéj sen swój. Mamka potajemnie udaje się do ojca; ten zdziwiony jéj słowami, nie wiedząc jednak jak temu radzić, rzecz całą zdaje na Bożą wolą. I drugi raz zjawia się jéj we śnie Jussuf. Wtedy miłość gwałtowna tak wstrząsa jéj duszą, że Sulejka oddana okropności obłąkania. Ojciec zwołuje radę, ta uchwala, aby nałożyć biednéj miłośnicy kajdany — kajdany złote wysadzane rubinami, perłami i t. d. Jussuf zjawia się po raz trzeci, lecz teraz już widziadło czarowne, poruszone rzewném, tkliwém błaganiem, oświadcza, że mieszka w Egipcie, gdzie piastuje godność Wielkiego Wezyra. Sulejka wyzdrawia, zdejmują z niéj kajdanki złote.

Niezadługo rzeczywiście przybywają posłowie z Egiptu, prosząc o rękę królewny dla egipskiego wezyra. Z rozkoszą w sercu wybiera się Sulejka do narzeczonego. Przepyszny wjazd jéj do Egiptu. Alę jakaż jéj boleść i rozpacz, gdy wiedziona tęsknotą miłośną przez szparę namiotu obaczyła wezyra. To szpetny Putyfar! to nie obraz czarujących wdzięków we śnie trzykrotnie widziany!

Tymczasem Jussuf, od braci zaprzedany, przybywa do Egiptu; puszczony na sprzedaż publiczną, kupiony od Sulejki. Przecież jéj wdzięki nie poruszają serca jego. Oskarża go przed małżonkiem. Lecz niemowlę przemawia, zaświadczając niewinność młodzieńca. Ztąd plotki i bajki po mieście. Panie, znajome Sulejki, wzięły jéj

sławę na złe języki, ztąd złośliwe komeraże, docinki i dowcipy. Sulejka pragnie ukarać obmównice. Zaprasza więc te panie do siebie na ucztę pełną przepychu. Po obiedzie dano wety. Sulejka zaś każdą z dam uraczyła pomarańczą; bo jéj barwa ciemnożółta jest lekiem na zazdrościwą niechęć. Potém Sulejka tak przemówiła do dam: „O wy panie, wdzięków pełne! Wy, co jesteście najwyższéj piękności wieńcem! dla czego zaprawiacie goryczą usta moje, za to żem ujęta gorącą miłością ku słudze mojemu! Gdyby on spojrzenie wasze zapełnił światłością uroków swoich, zaiste wina moja byłaby mi przebaczona!“

Panie wszystkie proszą i nalegają, by im przecież ukazała Jussufa, zapewniając, że go już kochają, choć go jeszcze nigdy nie widziały. Sulejka wyprawia po niego niańkę. Ale Jussuf głuchy na prośbę. Wtedy Sulejka śpieszy sama do niego, błaga i błaga rzewnemi łzami i zaklina rzewnie, by nie rzucał na nią hańby i sromu ostatniego w obec wszystkich niewiast całego Memphis. Nakoniec Jussuf, litością poruszony, zezwala by go ustroiła w szaty przepyszne, co wzmogły jeszcze uroki jego i wzniosły je do piękności, „dla któréj już nie ma wyrazu“.

„Z ukrycia występuje piękności najwyższy skarb, rozkwitniony we wdzięki jako pole róż kwitnących. Gdy niewiasty ujrzały to pole róż kwitnących, już każda z nich uszczknęła spojrzenia różę, a to spojrzenie zabrało szczęście jéj żywota; każdéj wypadła z ręki uzda krępująca wolą. Wszystkie, uchwycone podziwem tych uroków, oniemiały i skrzepły mrozem, jak gdyby już umarły!“

Panie w tém osłupieniu i zapomnieniu siebie, zamiast rozkroić pomarańcze, kaleczą sobie paluszki. Teraz wszystkie ujmują się za Sulejką, radzą by Jussufa skruszyła więzieniem. Zaledwie to uczyniła, gdy ciężki żal przejmuje jéj duszę. To posyła do niego niańkę swoją, to sama wychodzi na wzniosły szczyt swojego pałacu, by choć ujrzéć dach więzienia Jussufa — Wyratowanie jego z kaźni — Putyfar umiera — Sulejka buduje dom za miastem obok drogi, którą codzień przebywa Jussuf, i rozkosz jéj gdy słyszy choć tentent konia jego. — Ale Jussuf ciągle nieczuły — Wtedy Sulejka odstępuje pogaństwa i nawraca się do wiary prawdziwego Boga, tak staje przed Jussufem, on przyjmuje ją tkliwie; za pośrednictwem prośby jego Pan wraca jéj pierwszą młodość i dawne wdzięki. Nakoniec z bożego rozkazania Jussuf pojmuje ją za małżonkę — zobopólne szczęście, — Jussuf umiera — z żalu po nim umiera i Sulejka — Uwagi moralne poety, — koniec.

Otóż jest treść jednéj z tych nowszych powieści perskich, które nas od czasu do czasu dochodzą, jakby woń z wieńca wschodniéj poezyi.

Ta fantazya perska jest córką arabskiéj; ona téż ognista, o krwi płomiennéj, lecz o sercu lekkiém, radośném; znać, że ona nie wyrosła na pustyni dzikiéj, głuchéj, że ją wychował dwór, niby dziecię lube,

pieszczone. Jéj upłynęło życie wśród różanych ogrodów, wśród pałaców, najświetniejszych przepychów szacha, kędy rycerskość i wdzięk niewieści są przystrojem najwyższym. Nie dziw tedy, że ta fantazya, co tak z natury gorąca, namiętna, przecież umié miarkować gwałtowność swoich uczuć i nie ubliży nigdy dobremu wychowaniu i wytwornemu smakowi; a mimo tego nie jest wymuskaną, czczą formą, ale pełną świeżości i życia. Com tedy powyżéj rzekł o arabskiéj fantazyi, znajdziesz i pierwiastkiem w Persyi; ale ten pierwiastek przybiera się tu w kształty nowe niesłychanego uroku i rozwija się we formy poetyczne, różnobarwne. Poezya perska jest teraz jakby ogrodem cudownym, w którym duch roztula się różnobarwnym, czarownym kwiatem i w krzewy wonne, w których brzmią chórem pieśni słowicze. Ogród takowy raz tylko zjawił się wieczną wiosną w dziejach świata, bo w Persyi.

Przecież już najcudowniejszego władztwa dostąpiła poezya, gdy szlachetna postać Mahmuda zasiadła na stolicy Persyi. Po kraju, między ludem plątała się jeszcze tłuszcza zabobonów i guseł pogańskich, gdzie niegdzie nawet straszyło jeszcze widmo czczéj bezwiary. Mahmud znał potęgi drzémiące w głębi duszy swojego narodu, znał jego tajemnicze tchy; więc czarnoksięztwem poezyi pragnął rozproszyć upiory pogańszczyzny, i wskrzesić one moce śpiące w piersiach ludu. W rychle przeto królewski gród otacza się zastępem czterystu wieszczów; oni pieśnią mają zdobyć serce człowieka i zawładnąć duchami. Wiara otula się w złoto-tkany poezyi płaszcz, wieńczy się różami i zaśpiewała ludowi cześć Bożą i chwałę proroka. A gdy tak zeszły mgły ciemne z duszy, gdy serca zapłonęły wiarą Koranu, Szach téj saméj wszechmocnéj potęgi chciał użyć, by te serca zapukały jeszcze uczuciem perskiéj ziemi i miłością do perskiéj sławy.

Od pradziadowych stuleciów lud przechowywał księgę starą w tysiącznych odpisach. Była to zbutwiała kronika — Bastanname; w niéj od porannych dziejów przechowane były wieści mglistych starych lat i święte podania o bohaterach wielkiéj przeszłości zmarłéj; w niéj złożony był cały żywot Persyi, niby zasuszony kwiat. Mahmud, zagrzany chęcią wskrzeszenia z grobu staréj historyi, zamierzył przetopić ją w poezyę, a wszystkie koleje Persyi, jéj wielkie czyny i wielkie imiona rozwinąć przed ludem, jakoby obrazem, w jednéj ogromnéj epopei, — w Szachnamie. Wybiera tedy siedmiu ze swoich wieszczów, każdemu wyznacza jakiś ustęp z onéj kroniki; pragnął bowiem doświadczyć ich geniuszu, zanimby któremu z nich powierzył dzieło całe.

Nadszedł oznaczony dzień. Jeden ze siedmiu wieszczów, Ansari, czyta pracę swoją; pieśń zachwyca potęgą fantazyi, wdziękiem niewysłowionym harmonii. Pieśń ta to grzmi niby gromów łomot, to znów zcicha kwili i płacze, albo téż świeci cudownéj piękności obrazem. Szach zachwycony mianuje wielkiego poetę księciem wieszczów, oddaje mu berło duchowe, by panował w państwie duchowém, otacza

go dworem pełnym świetnego przepychu, czyni wielkim kapłanem poezyi i najwyższym sędzią w piękności krainie. Nie jestże to dziwne, jedyne zjawisko w dziejach ludzkich, to dostojeństwo wieszcza! Jakoż utrzymuje się ono i w późnych pokoleniach; obok Szacha, panującego nad wolą ku ziemi zwróconą, władnie poeta-król nad myślą i uczuciem, które z wiekuistości ród swój wiodą i do niéj tęsknią.

Wieszcz-zwycięzca Ansari, choć otoczony chwałą i najwyższym zaszczytem odziany, daremnie się broni smętkom i żalom, co mu na duszę padły. Czyliż on podejmie się dokonania olbrzymiego dzieła? czyliż ulegnie pragnieniu przeistoczenia całych dziejów perskich na epopeję, a tak może na szańc wystawi sławę promienną, już tak szczęśliwie zdobytą. I lękliwo mu i trwożno na duszy, i tonie w zadumaniu, myśląc, któremuby z wieszczów miał oddać lutnię złotą. I duma i marzy, a z ciężkiém brzemieniem na sercu pewnego wieczora usiadł z dwoma poetami, przyjaciołmi swoimi, wśród cieniów wdzięcznego ogrodu. W koło ptaszki stroją zalecanki różom, i kwiaty tęskne patrzą się miłością ku sobie, i brzmią po krzewach ciemnych pieśni, i szmerzą wieczorne powiewy i prawią strumieniom gadki swoje, i dech kochania i poezyi powodzią zalewa świat, a co żywo cieszy się życiem lubém. Wtedy grono troiste poetów spostrzega młodego wieśniaka, który butnym krokiem ku nim się zbliża. Ansari, zwracając się ku niemu z uśmiechem, rzecze: Braciszku mój, do wieszczów jedynie wieszczom wolny wstęp! — I ja poetą jestem, zawołał gość. Wtedy Ansari wprost z natchnienia zaczyna pieśń wierszem, jeden z przyjaciół jego dodaje wiersz następny, a drugi z poetów tworzy wiersz trzeci; lecz wtedy, jak błyskawiczną improwizacyą, wpada nieznajomy, i z ust jego wylewa się ciąg dalszy rozpoczętéj pieśni. I jak czarem uderzył w duszę słuchaczy oniemiałych, bo i wiersz przedziwnéj harmonii, i treść jego wyjawia głęboką znajomość ojczystych dziejów. Tym wieśniakiem-poetą jest ów *Ferdusi*, najcudniejsza gwiazda na niebie perskiéj poezyi. On był synem ogrodnika w mieście Tus, który służył u zamożnego człowieka; tak sama młodość jego wypiastowana była w ogrodach, wśród kwiatów.

Wnet młody poeta deklamuje przed sułtanem ułomek z dziejów perskich. Sułtan słucha i milczy i znów słucha; te wiersze zdały się być wołaniem z nadludzkich światów. Taka była ich moc czarodziejska i urok oczyniający, że sułtan w końcu, podziwieniem i rozkoszą natchniony, rozkazuje płacić za wiersz każdy pieniądz złoty i poleca Ferdusemu napisanie całéj epopei Szachname.

Byłoby co prawić, gdybym ci zechciał roztoczyć koleje, które przebył Ferdusi w życiu; słowem, było to życie poety. To uwieńczony chwałą mieszkał w złocistych pałacach, piastowany będąc od szczęścia, to na wygnaniu błąka się o głodzie, ścigany wrogą nienawiścią.

Przytoczę tylko ostatni akt téj rzewnéj i pełnéj smętku komedyi. Ferdusi, po wielu biedach, żyje przecież cicho, skromnie, ale w po-

koju, w mieście Tus, kędy niegdyś kolebka jego stała, a żył ze swoim zgrzybiałym nauczycielem Essedi. Nie długo przed śmiercią rzekł do starego przyjaciela swojego: „Nic mnie już tak nie trapi i nie ciąży na duszy, jak myśl, żem nie zdołał ukończyć Szachnamy, brakuje tylko jeszcze czterech tysięcy wierszy, ale ich nikt nie dorobi w duchu moim i w myśli całości!“

Essedi. Uspokój się, podejmę się ukończenia dzieła, byle mi żywot starczył.

Ferdusi. Choć żywota może nie zabraknie, aleć sił ci nie stanie.

Essedi. Ukończę, jeżeli się to zgodzi z wolą Bożą!

I poszedł Essedi i nie było go widać przez dobę całą; poczém przyszedł. — Dokonałem dzieła! zawoła, i doprawdy w dwudziestu czterech godzinach napisał 4000 wierszy przecudnych. Ferdusi umarł spokojnie.

Tymczasem sułtan wypuścił już od dawnych lat z pamięci osiwiałego wieszcza. Raz atoli w przytrudnéj sprawie zapytał Wezyra o radę. Wezyr odpowiada wyimkiem stosownym ze Szachnamy. Sułtan pyta o wieszcza. Wezyr wymownie i z ciepła za nim przemówił, dodając, że Ferdusi żyje starcem samotnym w Tus. Wtedy sułtan rozkazuje obładować dwanaście koni indygiem, perłami i klejnotami, i posyła je w darze opuszczonemu poecie. Karawana, wchodząc do bramy miasta Tus, spotyka orszak pogrzebowy, niosący ciało wieszcza (r. 1030).

Siostra jego odmówiła przyjęcia przysłanych skarbów.

Zaiste, ten blady obrazek z życia poety jest prawdziwym przyczynkiem charakterystycznym do dziejów fantazyi na Wschodzie. Zda się, że w téj Persyi same powiewy roznoszą nasiona poezyi, że rosa, że słońca spojrzenie, że ptaszków szczebioty wywołują pieśni. Tutaj ziemia i niebo, wody i lądy grają i nucą, a epopeja olbrzymia, wspaniała, ogarniająca życie całego narodu i szereg długich wieków, rodzi się w chwilce jak żarcik poetyczny, lekki niby motylek lub sen poranny.

Widziałeś, jak się poemat Szachnamy zawiązał, jak wyrósł w pieśń niepodobną już do żadnéj innéj na świecie; w niéj wszystko, com tylko rzekł powyżéj o fantazyi Wschodu, znalazło wcielenie swoje. Powiedziałbym, że może mimo wiedzy, mimo woli samego wieszcza ten dech panteizmu tchnie niewidomie w tym dziwnym, fantastycznym świecie tego poematu. Szachname nie objęła sobą ani szczegółowego historycznego zdarzenia, ani też nie ma za ognisko jednéj figury głównéj, ale sięga zrodzeń pierwszego człowieka i ogarnia całe epoki dziejowe i lat tysiące; a choć tu wypływają na jaw figury heroiczne jak np. Rustana i Aleksandra Macedońskiego, choć sułtan zdaje się być ogniskiem Persyi i pieśni saméj, to przecież prawdziwym bohaterem i tłem jest tutaj potęga dziejów, co choć niewidoma, niespostrzeżona, włada ludzką historyą, ale włada nią jako abstrak-

cya bezosobowa, niby idea bezświadoma siebie, a nawet złamana w sobie na dwa pierwiastki: jednym z nich jest światłość, moc wyrażająca się Persyą, Iranem; drugim ciemność, to jest ludy wrogie Turanu; jestto jakby odgłos daleki owéj walki Ormuzda i Arymana — światła i ciemności.

I tutaj moc wyobraźni zapustnéj wzywa na rozkazy swoje gryfy i węże skrzydlate, ptaki cudowne, smoki i czarodzieje, twierdze i grody z miedzi kute; tutaj tłumem cisną się przez scenę postaci mieniące się, co błysną, zaświecą nadprzyrodzoną potęgą i znowu ulatniają się bez śladu, jakby pochłonione w dziejowych bezdeniach. I nawzajem, właśnie znów dla tego, że te figury i bohatery mają tylko przelotne znaczenie, że nie mają ogólnych prawd w sobie, coby je podtrzymywały, któreby je wiązały, więc téż one na sobie wyłącznie się opierają, oddając się osobistemu natchnieniu. Ztąd te figury tak samowolne, butne, tak zuchwałe, rycerskie, śmiałe; słowem, zradza się postać romantyczna a fantastyczna perskiego Pelwana. Pelwan toć prawie awanturniczy europejski rycerz średnich wieków; i jego najwyższym skarbem rumak i broń dzielna, lśniąca; jego żywiołem łowy i bitwy, igry rycerskie i pieśni. Niedostaje mu atoli wiary chrześcijańskiéj i brakuje mu jeszcze drugiego potężnego pierwiastku, który tak wszechwładnie odzywa się w rycerzu chrześcijańskim, nie dostaje mu bowiem miłości, bo ta nie zradza się nigdy bez czci dla niewiast. Obaczymy, jak już rzekłem, późniéj różnice między światem romantycznym średnich chrześcijańskich wieków, a romantycznością ludów muzułmańskich.

Jak figury atoli pojedyncze, jak natura cała nie uznaje w Szachname prawideł, tak téż i wypadki płynące po sobie, jakby senne fantasmagorye, nie łączą się z sobą w organizm ścisły. Nad temi dziejami nie czuwa Opatrzność! Jeszcze w pierwszéj swojéj części Szachname, wyśpiewując mity i mgliste podania, jednoczy je choć zlekka tchem geniuszu; ale gdy zapuści się następnie w czasy historyczne, gdy Iskander (Aleksander Macedoński) zjawia się na scenie, już mimo magii poetycznéj barwiącéj, złocącéj dziejowe wypadki, obrazy coraz luźniejsze wypadają z za kulis fantazyi. Epopeja płynie ciągle wspaniałym nurtem geniuszu, lecz podobna do nabrzmiałéj dzikiemi wodami rzeki zalewa powodzią w koło świat i unosi bez ładu i szyku łupy, co znajdzie na wywrotnéj swojéj drodze. Tu wszystko się ciśnie dzikim pędem; uderzają o siebie wypadki, jedne z nich przepadają w toni, drugie puszczają się falą w dal, aż nakoniec wszystko znika — i epopeja dobiegła ujścia swojego!

Znać przeto, że i sama ta epopeja nie stanęła na gruncie prawd ogólnych, estetycznych. Słusznie może czynią ci, którzy porównali Ferdusego z Homerem; lecz pamiętajmy, że on jest Homerem, ale dla Persów tylko. Nie spodziewaj się w Szachnamie mistrzowskiego zestrojenia szczegółowych części w jednę całość niby w posąg cudny, jak to widzisz w każdéj z osobna pieśni greckiego wieszcza, którego

natchnienie poetyckie było też najwyższą mądrością, tworzącą od razu jakby gromem plan, na którym osnuł każdą z nieśmiertelnych pieśni swoich, niby całość dla siebie istniejącą.

Zważ, to panteistyczne tło, które dopiéro nieśmiało przegląda poprzez obrazy Szachname, występuje już niezadługo późniéj wprost w postaci samodzielnéj i wyjawia się nawet w postaci dwoistéj, a wręcz sobie odwrotnéj (*).

Dawno już powiedzieli estetycy, że śpiewacy perscy rozdzielili się jakby na dwa chóry, mające wręcz sprzeczne sobie dążności, tchnące nawet niechęcią ku sobie, a przecież ich poezye mają wspólne panteistyczne źródło. Z jednéj strony stoją wieszcze, oddający się całą duszą tutecznym rozkoszom; oni pływają po morzu ziemskich radości, nucą i kochają się, bawią się i śpiewają miłość i wino, i róże i wszelkie światowe wesele. Z drugiéj strony słychać chór mistyków, owe głębokie tony i poważne, onych uroczystych Sufi, co ująwszy islamizm w najgłębszém znaczeniu swojém, wynieśli z topieli jego miłość dla nieskończoności, pragnienie wrzące, kipiące zlania własnéj istoty z Bożą istotą w jedność nierozdzielną; co tuteczne, co ziemskie, nie ma dla nich wagi i znaczenia, bo w nich prze i woła owa miłość nieogarniona, a nie daje im spoczynku i folgi w życiu. Mnieby się zaś zdawało, że te dwa chóry rzeczywiście śpiewają jednę i tę samą pieśń, choć ją śpiewają z innego tonu! Bo powiédz, czyliż oba te grona mistrzów nie są zwiastunami jednéj i téj saméj myśli? Oba pragną zapomnienia siebie, utopienia swojéj jaźni; jedni atoli nurzą ją w powodzi szczęśliwości doczesnéj, w bezkłopotnéj, bezchmurnéj wesołości ziemskiéj, drudzy zaś pogrążają ją w otchłaniach wiekuistéj bezdeni, w któréj, jakby w oceanie głuchym, jaźń rozpływa kochaniem rzewném, rozpływa kropelką, bańką znikomą. Gdy tamci w urokach niewiasty, w kochaniu się, w puharze wina znajdują błogie zapomnienie troski i żywota, i rozpływanie własnéj istoty, przeciwnie u wieszczów mistycyzmu, kochanką, w któréj znajdują siebie, jest abstrakcya wiekuista, a winem jest odurzenie ducha, opojenie się ducha stworzonego na myśl jedności swojéj ze wszechistnieniem.

Przecież zważ, że i mistycyzm, choć tak rzewny i zamętny, nie jest przecież ponurym, jest on radością zachwytną, weselem serca, godzący się z sobą i z istnieniem wszech rzeczy, wyśpiewując sercem lekkiém tęsknoty swoje. Tu nie ma tych tonów smętnych, grobo-

(*) Odsyłam czytelnika do wyjątków Szachnamy, tłómaczonych przez Lucyana Siemieńskiego; tak świetnym talentem, a umieszczonych w Bibl. Warsz. w zeszycie wrześniowym r. 1853 i następnych. Zdaje mi się, że nie można dość podziękować Siemieńskiemu, że nam podał choć w ułomkach ten cudowny poemat, a oddał w tak mistrzowskiém tłómaczeniu, jak gdyby było pisane pierwotnie po polsku. S. nie ma atoli powodu uniewinniania się, iż nie znając pieśni w oryginalnym języku zabrał się do tłómaczenia tego, bo nam nie chodzi bynajmniéj o dosłowny przekład pieśni, ale o uchwycenie ducha całości, a nadto długoby wypadało czekać zanimby się znalazł oryentalista, będący zarazem poetą równym Siemieńskiemu.

wych, które tak mrożą i straszą w Indyach; tu panuje jakieś ochocze, wesołe oddanie się przeznaczeniu i pogodzenie się z losami.

Mimo tego, zwykle estetycy i badacze literatury, choć uznają fakta, nie uznają wspólnego tła obu tych dążności; mniemam atoli, że kilka przykładów usprawiedliwi i wyjaśni do syta powyższe rozumowanie.

Chciéj tylko jeszcze zważyć, że ten mistycyzm ma różne stopnie swoje, i że, rozwijając się stopniowo coraz silniéj, na szczycie swoim staje się dopiéro mistycyzmem panteistycznym. Przykłady, które ci teraz przytoczę, będą uzupełnieniem tych pieśni, które położyłem ci na początku listu tego.

Słuchaj, co śpiewa Hafis, naczelnik Samtego, pierwszego orszaku wieszczów.

„Płyną z nieba słodkie wonie, tulą duszę lube rajskie tchy! Gdy w jaśni górnéj tonę okiem, ckliwo mi na świecie tym! Duszo moja! roztocz skrzydła twoje. Uleć, uleć na rajskie jasne szczyty! Biada, biada ci! W koło ciebie kraty, w koło ziemskiego jęctwa szranki!

Ale nie — nie chcę skarżyć się, nie chcę żalić się. Nie chcę lecieć na rajskie jasne szczyty; nie chcę, choćby pękły kraty, choćby padły ziemskie szranki!

Bo co piękne, co kochane, co drogie sercu, jedynie kwitnie na saméj ziemi téj! Owe rajskie, jasne szczyty, zwierciedlą tylko cienie blade ziemskich rozkoszy, i dla tego ci tak tęskno do jasnych niebios szczytów! Choć cię wabi próżnia głucha, choć cię łudzi bezdeń cicha, ona niegodna i zmiętego listka róży!

Po grodzie nieskończonych światów gospodarzy myśl, nieznająca granic, nieznająca więzów myśl! Ona wysokości zawrotne i przepaści bezdenne zwiedziła skrzydłem lotném, a puszcza się na wyścigi z wichrami wszystkich burz.

Lecz biada jéj! Harda myśl jękła niepokojem cierpień pełnym; ona walczy sama z sobą — ona chora! Biedna myśl! Ona czuje, że dla niéj tak głuchy, tak próżny ten wielki świat! Ona téż nie zdoła znaléźć spoczynku! Biedna myśl! A miłości tak lubo, tak miło w komnatce małéj!“

Jednak podobno więcéj, niż te wszystkie próbki, świadczy za naszém zdaniem co następuje:

Niechaj pierzchnie jaźń i siła jéj.
Miłość włada — precz jaźni samolubna!
Ulatuj ze mnie, gdy błyśnie miłości oko!
Najcudniejszą pięknością jest istota twoja, gdy rozpłynie w uczuciu
[bez granic!
Jakże smętny, jak i ponury jest przepych jaźni hardy!
Niechaj się w popioły spali serce miłością ujęte!
Niechaj je wiatry rozwieją!
Zwiastując w obec świata, jak wielką jest miłości potęga!

Gdy na wstępie do ostatniego listu położyłem ci pieśń Altara, należącego do drugiego grona wieszczów, zatém wystarczy, jeżeli uzupełnię ci rzecz krótkiemi wyimkami z Czeladin Rumi, gdyż on najwyższym poetą mistycyzmu panteïstycznego, co rozwiany jest od brzegów świętego Gangesu aż do Bosforu. Pieśni Czeladina nastrojone do dźwięku wszechświata, do tonu, którym gwiazdy obiegają słońce i grzmią mórz bałwany, a szepcze owadek błyszczący w porze miłości swojéj. Rozpiąwszy gorące loty fantazyi, wieszcz uderza niemi jakby akkordem pełnym, unosi się do wysokości wiekuistych, a pędzi go a wiedzie przez nieskończoność burza uczuć i pożar gorącéj duszy. Przecież i na wysokościach nadgwiazdnych, kędy mu znika świat i doczesności życie, kędy tylko wieszcz widzi nieskończoność bezdeni — pieśń jego pełna majestatu i dziwnego uroku.

Nie pytaj co miłość, co być kochanym, nie pytaj;
Nie poznasz tajemnicy, gdy nie przemówi do ciebie miłość sama.

Gdy słońce błyśnie w ziemskie ciemnice,
Powiędz — czém kagańca płomyk biedny?
Gdy w obec ciebie stanie przyjaciel Bóg, coś go kochał sercem rzewném,
Powiedz, na co tobie posłańca od niego!

O duszo moja zamieszkuj w duszy Bożéj,
Duszo moja, czyliż bez ojcowizny nie tęskno, nie ckliwo ci?

W nurtach trosk dopija się miłość szczęśliwości wina!

Znasz ty powód świata stworzenia!
Z miłości pojawił się w nicestwie Bóg!

Gdy dusza cofnie się z duszy;
Dusza będzie martwą jak bez duszy ciało!

Tajemnic tysiące pojawią się w duchu,
Których nie dowidzi oko, nie dosłyszy ucho.

Był gęślarz wiekiem znękany, troską zbiedzony. Nie stało zarobku — chleba zabrakło biednemu. I wziął lutnię, a sercem modlitwą wezbraném westchnął. Szedł i szedł na cichy, święty cmentarz Medyny. Przemówił ze łzami: „Tu usłyszy moje granie Bóg! Ałłach! niechaj ci będzie wdzięczne moje brzdąkanie biedne!“ Długo, długo brzmią struny jego — on płacze — pada na lutnię — i, zasnął; boleść przyniosła mu sen. W téj chwili zapomniał, że go jeszcze więzi ziemskie jęctwo. Wyswobodził na wolność grajka sen — wyswobodził na wolność śpiewaka, wyswobodził i lutnię jego.

Wyzwolony był od ciała, wyzwolony od pełnego boleści świata! W duchów krainie wyrosły skrzydła duszy jego. Więc z radością zaśpiewał: „O! na tych niwach rozkoszy, pozwólcie bym został, o przyjaciele moi! bym pozostał na wieki — na wieki! Jakże byłbym szczęśliw na tym nieskończonéj wiosny świecie, upojony we-

selem, na roż i tulipanów łonie! Wędrowcem byłbym bez stóp, bez skrzydeł; tu bez ust spełniałbym najwyższych uciech kielich! z myślą wolną od trosk, z sercem wolném od mąk bawiłbym się z niebian jasném gronem. Okiem zamkniętém widziałbym światy! Bez rąk zbierałbym róż i tulipanów zwoje, jako wodny ptak nurzyłbym się w słodyczy morzu; w zdroju Hiobowym spłukałbym duszy skazy!

Taniec derwiszów.

(Tamburyny bębnią.)

Jam bóstwa ptak! — *Bakrabaku!* (tamburyny).
Odurzony jedności winem! — *Bakrabaku*,
Jam drogą zbawienia i modlitwą i psałterzem, *Bakrabaku!*
Ja tajemnic głębie znam, *Bakrabaku!*
Ja jestem wiekuistym losem, i upojonym słowikiem — bębnię *Bakrabaku!*
Choć od ludzi zrodzony, od wieków treścią modłów jestem, — *Bakrabaku!*
Ja jestem chorobą i lekiem!
Ja jestem wszechświatów zdrojem! jam mędrcem na drodze i szaleństw wąt-
[kiem, *Bakrabaku!*
Ja proszkiem w słońcu jestem! *Bakrabaku!*
Ja nie jestem mną, ja we własném ciele nie jestem mną, *Bakrabaku!*
Ja jestem szachem i żebrakiem, księżycem i niebem, ja środkiem i celem, *Ba-*
[*krabaku!*
Ja jestem płomieniem i lampą, jestem i kołującém niebem, światłem i bły-
[skiem; ja i porankiem i wieczorem jestem, *Bakrabaku!*
Ja słońcem wiary, ja jestem pewnością zaprawdę! Jam niewiarą i wiarą,
[a bębnię, *Bakrabaku!*

Dość tych przykładów. — Mniemam, że nikt téj poezyi mistycznéj nie odmówi ogromnéj, przepaścistéj głębi, a formy cudownéj. O ile zaś treść jéj ma w sobie śmiertelny zarod błędu, toć zlekka już wykazałem na inném miejscu, mówiąc o panteizmie mistycznym islamickiego Wschodu, którego właśnie ta poezya jest wykwitem najwyższym. Jakoż gdyśmy rozprawiali o poezyi arabskiéj, widzieliśmy, że ta fantazya islamickich ludów, rodząc się z wyłącznéj, osobistéj treści człowieka, lekce sobie waży prawa obowiązujące świat zewnętrzny i prawdy, opierające się na saméj istocie przedmiotów, i dla tego nigdy nie była zdolną do stworzenia dramatu. Dramatu nie miała poezya arabska, i perska także mieć go nie mogła, bo ta, choć rozwinięta we formy tak różne a czarodziejskiéj piękności, wybujała przecież tak silnie panteizmem, który właśnie wszelką osobowość ulatnia, który wszystko zlewa w jedność nieskończoną, a tém samém jest wręcz przeciwny figurom dramatycznym, opartym na sobie i na własnéj treści wewnętrznéj, osobowéj.

Z téjże przyczyny znać, że i malarstwo i rzeźba nie mogły być sztuką odpowiednią téj fantazyi mahometańskich ludów. Widząc obraz malowany, islamita odwraca się od niego ze wstrętem, wyrzucając malarzowi, że uczynił ciało, nie mogąc mu nadać życia!

Inaczéj z architekturą. Tutaj nie występuje już osobowość na sobie oparta, tutaj najcichsze duszy dźwięki i głosy grzmiące we wnętrzu człowieka występują na zewnątrz, tężejąc w budowaniu, szepcząc linią lekką, misterną, swawoląc arabeskiem, uderzając potęgą swoich kolumn i wznosząc się łukiem śmiałym, misternym. W architekturze téż islamici, a mianowicie Arabowie wyrobili sobie styl osobny, właściwy.

Rozumiem teraz, że pojmowanie nasze fantazyi mahometańskich ludów dostatecznie się już wyjaśniło przykładami z poezyi Persów i Arabów; dla tego poezyę turecką pominąć mogę, a to tém więcéj, że ona jest ich córą a naśladownicą wdzięczną; trudno mi atoli opuścić świat fantazyi islamickiéj, by choć okiem nie rzucić na tę jego architekturę tak fantastyczną, butną, igrającą tak swawolnie, a przecież tak lubo i wdzięcznie.

Wiesz już, jak w duchu mahometanina dwa światy wręcz sobie przeciwne, dwie sprzeczności odwrotne graniczą z sobą, nie przejmując się atoli nigdy organicznem życiem; tutaj proza rozsądkowa myśli, liczy i mierzy obok tanów szałem opojonéj fantazyi; tu zrzeczenie się mistyków, tęskniące do światów nadgwiazdnych, obok wesołości hulającéj z lekkiém sercem po ogrodach ziemskiéj rozkoszy; tutaj gnuśność leniwa, tonąca w bezczynnych marzeniach obok gwałtownych mocy, co porywają wojownika w dal nieznaną na podbój świata. Tutaj, mimo ścisłych przepisów wiary, dusza człowieka z całym tłumem swoich uczuć, żądz, pragnień i marzeń znajduje nieskończone dla siebie pole; tutaj Koran sięga po tradycye do Pisma Świętego, a to podanie, tak prostoty pełne, tak poważne, ubiera w błyszczące szaty rozpalonéj fantazyi; tu wieszcz Ferdusi kronikę, historyę swojego ludu i macedońskich bohaterów oświeca płomieniem bengalskim swojéj poezyi, a tak puszcza je, niby widziadła fantastyczne latarni magicznéj, przed zdumione oczy czytelnika. Podobna téż jest cecha mahometańskiéj architektury. A widzimy tę cechę nawet w meczetach, więc w architekturze religijnéj, a przeto w tym rodzaju budownictwa, który, będąc najwyższym ze wszystkich, jest właśnie najdzielniejszym środkiem do rozwoju właściwego stylu w każdym narodzie. Wszak i tutaj duch islamizmu nie mógł się wyrzec swojéj istoty butnéj, lśniącéj czarodziejstwem. I tutaj znajdujemy te dwie sprzeczności, te dwie ostateczności, które, jakby niewidoma nić, przechodzą przez żywot mahometańskich ludów. Pierwiastkiem prozaicznym, rozsądkowym są w budowaniu meczetu różne jego części przeznaczone do różnych obrządków religijnych; te części objęte téż są wyraźnemi prawidłami. Podobnie atoli jak obowiązki przepisane przez Koran, owe modlitwy, posty i jałmużny nie tamują swobody nieskończonéj, która podżega płomienne namiętności wyznawców jego, tak téż owe zimne przepisy i prawidła do budowania meczetów są jedynie ogniskiem prozaicznem, około którego puszcza się lekkoducha, wolnoskrzydła fantazya, stwarzając

bajeczne, czarnoksięzkie budowania swoje. I zważ, te przepisy tém mniéj tamują polot zuchwałéj, twórczéj wyobraźni, że lubo one oznaczają części meczetu, nie podają jednak prawideł, wedle których te części winny być obok siebie umieszczone. Ztąd też kształt tych bożnic to przypomina stare bazyliki chrześcijańskie, to znów zakrawa na bizantyńskie budowanie, to wreszcie mieni się w inne formy; i dla tego też właśnie mahometanizm, podbiwszy świat z taką łatwością, przyswoił sobie świątnice ludów zupełnie różnéj wiary (*), i dla tego także właśnie w meczetach, z umysłu stawianych, daremniebyś nawet śledził środka, ogniska architektonicznego, do któregoby się odnosiły wszystkie te części budynku, któreby imało i zbierało je wszystkie w jedność i całość; tego silnego wskróś przenikającego ogniska nie ma meczet, jak go nie ma wiara Mahometa, jak go nie ma Szachname. Tutaj kopuły, nawy, nisze, dziedzińce, wodotryski, kolumny, arkady, przysionki zbiegły się z sobą bez koniecznego związku. Przechadzając się po meczecie nie spostrzegłbyś braku, gdyby znienacka jednę z tych części uniósł czarodziéj, który je postawił. A gdy właśnie fantazya architektoniczna nie czuje tu prawideł wiążących, przeto cała wylewa się powodzią ornamentów, ona cała staje się dekoracyą. Ta architektura jest strojnicą wykwintną, pełną ozdób, krygów i fioszków zalotnych, ale strojnicą wybornego smaku, gracyi lekkiéj, cudnéj.

Jako atoli zadanie i przepisy nie krępują fantazyi, téj pięknéj, ognistéj i płochéj córy pustyni arabskiéj, tak też nie ściskają jéj względy na estetykę i prawidła mechaniki. Ciężkość, bezwładność materyi, jéj nieużytość a uporne dążenie ku ziemi — to żarty, to fraszki dla téj fantazyi; i słusznie powiedziano, że onaby rada budować się na obłokach, stawiać minarety swoje w powietrzu a z promieni słonecznych splatać sobie kopuły.

Gdy w architekturze starego Egiptu znać ciężkie brzemię granitów, cisnące tak poważnie i uroczysto na podpory swoje; gdy w Grecyi, jak obaczymy późniéj, ciążące massy a siły dźwigające najcudniejszą są nawzajem do siebie zastosowane i zestrojone pełną wdzięków harmonią, a ten zestrój wyraża się jawnie we formach architektonicznych; w islamickiém budowaniu na to właśnie sadzi się sztuka, aby ukryć, schować prawa materyi, aby odjąć jéj ciężkość, brzemię, i tak omajaczyć widza czarodziejstwem. Słowem, jak bajeczka czarnoksięzka, arabska, drwi sobie i żarciki stroi z praw ogólnych przyrody, tak architektura, jéj odpowiednia, drwi sobie ze wszelkich ustaw statyki i mechaniki. Gdy w staréj Grecyi wiele zależy na tém, aby części, członki architektoniczne, zrodzone samą już przez się potrzebą techniczną, wystąpiły wyraźnie na zewnątrz

(*) Porównaj np. dzieła Ramée. Kuglera Historyę sztuki, mianowicie Schnaasego Historye sztuki T. III. do str. 328.

i stały się zarazem strojem i ozdobą budynku; islamicka fantazya, jakby ją wstyd było słuchać prawideł technicznych, maskuje architektoniczne części i swawoli sobie z niemi, drażni się z techniką, udając, że ją sobie lekce waży. O przykłady nie trudno.

Przypatrz się łukowi maurytańskiemu, co wznosząc się w kształcie „podkowy“ wyraźnie sobie drwi z ciążenia materyi. Narysuj sobie koło, odetnij z niego małą cząstkę, co zostanie, niby ta większa część, jest maurytańskim łukiem. Widzisz jak tutaj oba końce łuku, spoczywające na podporach swoich, zamiast od razu, jak to zwykle bywa, dążyć do połączenia się u góry, wbrew temu naturalnemu prawu z początku wznosząc się oddalają się od siebie, rozchodzą się, a tak swawolą sobie i żartują z brzemienia, które dźwigają, a dopiéro późniéj, jakby sprężyna wygięta, strzelają ku sobie, znienacka się imając i wiążąc. Te arabeski, to są figle genialne, których nazwa sama przypomina ich pochodzenie od téj fantazyi, co igra pracując, a pracuje igrając. Patrz, jak te linie biegną wstęgami, jak się łamią, rzucają, splatają z sobą, potém się nawzajem puszczając, zradzają figury geometryczne, jakby przez maga kreślone. Tu utworzyły wielokąt, odleciały od siebie, niby gniewając się na siebie; ale zalotnice znów się dopadły, i, obiegłszy gwiazdkę, znów od siebie uciekają; w tym zaś szale zamętnym swoich tanów mają przecież tyle przytomności, że unikają kąta prostego i przekątni, a w tym niby nieładzie swoim przypadkowym mają wyrachowanie misterne, więc też rysują wzorki niesłychanego wdzięku. Te linie swawolne, figlarne, strojące sztuczki i psotki, one iście są łamigłówką dla myśli, coby je chciała odgadnąć; i słusznie też twierdzą estetycy, że te arabeski czy to prostokreślne, czyli kulistą drogą bieżące, mogły się tylko zrodzić w dowcipie misternym, wyćwiczonym na algebrze, a subtelnéj filozofii grecko-arabskiéj. A dodaj do téj gry linij znowu kombinacye ich barwy, gdy zabłysną to purpurą, to błękitem, śnieżną bielą lub złotem, czy fioletem, a przyznasz, że tutaj na jaw wypływa ona dwoistość duchowa, jako obok brojącéj, bezuzdnéj, kapryśnéj fantazyi stanął rachunek matematyki, co różne myśli wiąże i kombinuje (*).

Rozumie się, im wyżéj stanęło chwałą życie islamu, tém pełniéj rozwinęła się ta cecha jego fantazyi w architekturze; tak odbywszy to budowanie jakby młodsze epoki swoje w Azyi i Afryce, nakoniec roztuliło się całym przepychem w Hiszpanii, a mianowicie w Grenadzie. Tutaj ta fantazya dosięgła własnego szczytu swojego i jako czarnoksiężnica zbudowała Alhambrę, to złociste gniazdo swoje. Jak powieść z tysiąca nocy i jedna, świecą tutaj te pałace maurytańskich królów i zagrzewają serce sprozaiczniałéj Europy, jakby śpiewką rusałek z dawnych lat. Wśród krzewów mirtowych i róż, wśród

(*) Schnaase l. c. 331.

tchu cytrynowych i pomarańczowych drzew, wśród ziemskiego raju natury stanęła Alhambra, jakby poezyi klejnot, a ciągle, ciągle żyje ta jéj poezya w podaniach, w powieściach gminnych, co, jako kwiaty przeszłości, świecą i wonią niby mirtów krzewy, niby cytryn i laurów gaje; te podania pną się, jako stubarwny powój, po ścianach, po kolumnach, po stropach złocistych, i płyną, i mówią i szepczą, niby śpiewy ukrytéj miłośnicy, cudnéj, uroczéj. Boć tutaj i życie było niegdyś poezyą rozkoszną, tu brzmiały maurytańskich i chrześcijańskich rycerzy turnieje, w obec ogniookich piękności wschodnich; tu marzeniem rozpływała myśl rycerzy po wojennéj chwale i czynach wielkich. Teraz wszystko ucichło; niekiedy tylko słychać skrzydełko jaskółki, co pilnuje pałaców starych, jakby czekając dawnych gospodarzy, słychać strugę srebrną wodotrysku, co szepcze z cicha, tęsknie jak przed staremi laty. Przewodnik w sukniach żebraczych a z powagą granda pokazuje na posadzce ślady krwi; to krew wymordowanych Abenceragów, a było ich trzydziestu sześciu, a wymordował ich Boabdil okrutnik, co i zazdrość srogą zwrócił przeciw sułtance o urokach cudownych; więc też pokazują ci tchnące rozkoszą mieszkanie niegdyś Zoraidy i prawią ci jako rycerze chrześcijańscy walczyli na ostre, świadectwo dając o niewinności sułtanki; jak oszczercy krzywdę opłacili krwią i życiem, jak ona sama rozpaczą zdjęta utopiła puginał w piersiach śnieżnych (*). I pięknie też i do twarzy téj architekturze w tym uroku powieści dawnych, co ją niby powiewy wieczorne, niby rumieńce zachodu otulają w koło. Tonąc myślą w tym świecie dziś umarłym, znajdziesz jakby komentarz do niego w kształtach téj architektury. Tu biegną kolumny jaspisowe, cienkie, lekkie, eteryczne, niby kwiatu łodyga — tu wyrosła jedna kolumna, tam łączy się z drugą, a one podtrzymują ściany jakby dekoracya, jakby kobierce haftowane w prześliczne wzory. Tam znów fantastyczne sklepienie łamie się we formy dziwne, a u sklepienia niby stalaktyty wieszają się sople dziwnie wyrabiane, rzeźbione; ondzie znów ściana na wylot dziergana w koronkę, a przez koronkę z kamienia świeci jasny nieba błękit. Zewsząd grają z czarodziejska barwy jasne, świeciste i zestrajają się z pozłotą bogatą; kopuły wiążą się dziwną tkanką i awanturują się w niewidzialne nigdy kształty; miejsce gzymsów zajęły napisy poetyczne, a litery ich splatają się wdzięcznie z arabeską kapryśną, jak obrazki w powieści zmieniają się kolumn kapitele, a korytarze, a świetlice, a sale zalane wiecznie mieniącém się światłem, a przecież tak lubém i har-

(*) Alhambrę a przedewszystkiém legendy do niéj przywiązane opisał pięknie W. Irving.

(Washington *Irving*, pisarz amerykański, ur. 1783 um. 1859 r. Dzieło o Alhambrze wydał w roku 1832. Z pomiędzy nowszych opisów Alhambry zasługują na szczególną uwagę: *Gosche*, Die Alhambra, 1854, oraz odpowiedni rozdział w Historyi Architektury *Lübkego*. — St.)

monii pełném. Zaiste, tutaj niby uleciały wszelkie względy na konstrukcyą, na moc, na istotę ziemską materyi; tu nie ma ogniska wspólnego, całości organicznéj, tu pierzchły pedantyczne reguły rozsądkowe, tu fantazya igra, bawi się i figluje, a przecież tu harmonia uczuć wszędzie rozlana; fantastyczność rozmaitości pełna nie razi, nie jaskrawi się, jest-to taniec swawolny, figlarny geniuszków lubych.

Jeżeli się znajdziesz w jakiéjś świetnéj europejskiéj stolicy na operze czarnoksięzkiéj, patrzysz w koło siebie i w górę i w dal; stupłomienne świeczniki potopem jasności zalewają salę; u góry i u dołu, z prawéj i z lewéj, zasiadły grona strojnych pięknych dam, i cały elegancki świat, co zostawił na chwilę te kwaski żywota i szczypliwe kłopotki w domu, a tu jak może pojawia się z twarzą bezchmurną postawą świąteczną. A gdy muzyki zdroje wytrysną potokiem, gdy uwertura mistrzowskiéj kompozycyi zaleje budynek, gdy jéj fale spłyną z falami światła i ozdób świecistych, malowanych bogatéj sali, gdy skąpią tłumy widzów nurtem eterycznym; wtedy do reszty z nich zabiorą biedki, spłuczą kurzawy domowe; a dopiéro gdy z nagła podleci kortyna i postawi cię wśród czarodziejskiego świata, to zabłyśnie budowanie przez duchów stawiane, a w koło ogrody cudowne, w kwiatach kołyszą się śpiące, zaklęte królewny; spuszcza się z obłoków całe niebo zaludnione hurysek wdzięcznych ludkiem, a rycerze i cuda, tańce i śpiewy, i barwy i stroje i muzyka tak otumanią duszę, tak napojem zawrotnym zmysły odurzą, że nie możesz dać rady sobie, że się trudno upamiętać i pochwytać w nawale tych wrażeń; dopiéro gdy znajdziesz się znowu w czterech ścianach domu twojego, kędy szaro a prozaicznie, gdy tłum rzeczy powszednich drwi, wydrzeźnia i żartuje sobie z ułudy twojéj, wtedy się zdaje snem ta opera i te widziadła skoczne, te śmiechy i barwy i cuda i dziwy! Takież uczucie nas przejmuje, gdy złożywszy plany, rysunki, wizerunki Alhambry, kończymy rzecz z tym światem Wschodnim i z tym tłumem dziwnych jego gadek, a nawracamy do powszednich, codziennych zatrudnień.

Dopisek.

Czasem i dobrze gdy wędrowiec, przebywszy jakąś część drogi swojéj, zatrzyma się, spocznie i spojrzy myślą wstecz za siebie, by sam przed sobą zdał sprawę, o ile w téj podróży swojéj zdołał odpowiedzieć celowi, który sobie zamierzał wybierając się z domu w świat. Takowe bowiem policzenie się z sobą zradza mu dwojakie a nie lada korzyści; bo jeżeli się poczuwa do popełnionych błędów, już łatwiéj na przyszłość uchronić się ich zdoła; jeżeli zaś spostrzeże, że zamie-

rzonéj pracy, ile sił swoich, sumiennie a uczciwie dokonywał, toć już uspokoiwszy się w sobie ze lżejszém sercem i z Bogiem ruszy w dalszą wędrówkę. Tak i mnie podobno przydać się może, jeżeli teraz porachuję się z treścią tych listów moich, dotychczas napisanych, i sam siebie zapytam, czylim się téż uiścił z zadania, wziętego na siebie? Bo widzisz, bracie mój, ja myślę, że w ocenieniu słusznem każdéj pracy mniéj chodzi o oznaczenie bezwzględnéj jéj wartości, jak raczéj o to, aby ją porównać z nią samą, więc z myślą główną, z któréj wzięła zawiązek swój, a zatém z celem, który swéj książce położył sam piszący.

Tak tedy nasuwa się przedewszystkiém pytanie, czylim rzeczywiście w tych powyższych listach moich wywiązał się z zamiaru wyrażonego w owym pierwszym, wstępnym liście moim? A mianowicie czyli ta praca rzeczywiście odpowiada dzisiejszemu stanowisku nauki, czyli na prawdę jest choć nie obrazem, tedy przynajmniéj odbiciem się pojęć filozoficznych o estetyce, ustalonych już w świecie umiejętnym? Powtóre, czyli sposób wykładu jest właśnie zastosowany do czytelnika, który, lubo rad poznać się z tém wszystkiém co rośnie i kwitnie w dziedzinie współczesnéj nam umiejętności, zajęty atoli będąc odrębném powołaniem, nie ma ani swobody, ani sposobności po temu aby się sam pracowicie rozpatrywał we wszystkich pojawach umysłowych? Słowem, czyli te listy moje są zastosowane do ciebie, jako do czytelnika, który, wykształciwszy się wielostronnie, nie masz atoli, jak powiadasz, pretensyi liczenia się do ludzi uczonych z powołania — i pragniesz, czytając książkę, znaléźć nie mozół dla siebie, ale folgę i rozerwanie umysłu po zatrudnieniach powszednich?

Czylim zaś zadość uczynił obydwóm tym warunkom, nie mam żadnéj pewności, wiem tylko, że ile mnie stać było, pragnąłem dokonać tego dwoistego mego zadania.

Nie litowałem pracy, ani trudu aby te listy były iście odgłosem współczesnéj nam literatury; obeznałem się z pracami najcelniejszych pisarzy o sztuce, ze wszystkiemi nowszemi dobytkami w różnych gałęziach wiedzy, będącemi w jakimś stosunku do treści tych listów; korzystałem tedy ze wszystkich zasobów literatury powszechnéj, o ile takowe były mi przystępne; nadto, obróciłem na użytek własny wszystko, co mi nastręczyły ustne rozmowy z artystami i znawcami sztuki, lub własne zapatrywanie się na arcydzieła piękności.

Zrozumiesz atoli, że lubo mam we czci należnéj znakomite powagi, przecież wypadało je o tyle jedynie uwzględnić, o ile się zgadzały z własną myślą moją zasadniczą, więc ze stanowiskiem mojém filozoficznem, z którego się zapatruję na sprawę sztuki pięknéj. A mając ciągle na baczności, że listy moje nie są bynajmniéj przeznaczone dla czytelnika, będącego z powołania uczonym, przywodzę głównie tylko te dzieła, które wedle mnie najwięcéj się nadają do

oznajomienia młodych lubowników z ogólnym rysem sztuki i jéj historyi (*). A jak pewien jestem, że człowiek uczony, który się dorobił głębszéj znajomości estetyki, nie wiele dowié się z tych listów moich, tak znowu mam nadzieję, że czytelnik, za jakiego ty siebie uważasz, nie bez użytku przebiegnie tę pracę moją. Bo rozumiem, że forma jéj nie jest przytrudną, ani téż nieprzystępną dla głowy, mającéj ogólne wykształcenie. Ztąd pozwalałem sobie nieograniczonéj swobody pod względem formy i trybu całego wykładu, dając tokowi rzeczy własne indywidualne piętno i barwą swoją, a to tém bardziéj, żem się i pod względem treści tych listów nie czynił bezwarunkowym naśladowcą obcych prac i myśli, żem nie tracił zgoła swojéj niezawisłości, żem wcale nie był przerabiaczem cudzych zdań i poglądów. Może więc czytając te listy znajdziesz rzeczywiście jakieś rozerwania i odpocznienie umysłowe. Spodziewam się zaś tego tém śmieléj, że sam kreśląc je doznaję w tém zajęciu folgi i ochłody po codziennem poważniejszém zatrudnieniu. Niech ciebie tedy nie dziwi, że tu i owdzie dotykam się może za lekko przedmiotów ogromnéj treści, i że tak często puszczam pióro dokąd je usposobienie chwilowe poniesie. Jeżeli to nie dobrze, mniejsza moja w tém wina, bo korzystam z dozwolonéj mi formy listów, tak wielce w tym względzie dla mnie dogodnéj, a nadto życzliwe przyjęcie pierwszego ich tomu dodało mi otuchy, bym i w dalszym ciągu téj pracy nie krępował się ściśle przedmiotem, ale kreślił niekiedy co mi doba na serce lub na myśl przyniesie.

Co do drugiego wydania pierwszego tomu (**), mało tam miejsc odmiennych, mniéj jeszcze wyrzuconych, ale za to wiele dodanych. Pomnożyłem bowiem ów tom niektóremi ustępami, które wedle pierwotnego założenia mojego miały być dopiéro objęte w następnym ciągu rzeczy, a które po późniejszym rozmyśle stosowniejsze znalazły miejsce w pierwszym tomie. Co się zaś tyczy ustępów odmienionych lub opuszczonych, wyznaję, że te są głównie takowe, które się do polemiki literackiéj odnosiły. A lubo mam przekonanie, żem w tych naukowych sporach nie ubliżył nikomu, bom sobie samemu nie chciał ubliżyć, przecież myślę, że od tych ostatnich lat dwunastu wiele się w piśmiennictwie polskiém zmieniło! Dziś podobno nastał czas, w którym wszystko rodzące się z miłością przytulić wypada, w którym każdy człowiek poczciwy chucha na to wszystko, co się kluje i rozwija, cieszy się każdym kiełkiem, z którego się kwiatu lub owocu

(*) Niekiedy zniewolony jestem przywodzić własną książkę „Wykład systematyczny filozofii“; powodem tego naturalnym jest właśnie to, iż książka ta równie jak i listy niniejsze są wypływem jednego i tegoż samego stanowiska filozoficznego, że cały mój pogląd na sztukę piękną jest wprost wypadkiem tych zasad ogólnych, które wyłożyłem w owém dziele systematyczném i ściśle umiejętném.

(**) Jest tu mowa o pierwszych dziesięciu listach, które stanowiły I-szy tom dawnego wydania i wyszły po raz drugi w r. 1855. — St.

spodziewać może; a co więcéj, dziś małoby się kto znalazł, coby go można godnie na krześle sędziowskiém literatury posadzić, choć jest natłok taki co sami się na nim radzi sadowią; lecz ja ani do pierwszych, ani do drugich nie należę. A z resztą, cóż przyszło literaturze z owych krytyk jakie najczęściéj pojawiają się u nas? one jeszcze nikogo nic nie nauczyły, nikt im się poddać nie chce. Kwasy, gniewy, zawiści zjadliwe, a często bardzo kłótnie i niegrzeczności, wzajemne są najczęściéj całą korzyścią, całym ich owocem. Na widok tych boksów smucą się ludzie poczciwi, śmieje się gawiedź, źli się cieszą, a djabeł swoje broi. Dla tego też zamiast ujmować zasługi moim współpracownikom w téj winnicy Pańskiéj, wolę witać serdecznie i życzliwie każde usiłowanie i radować się tém co dobre i piękne, gdzie tylko je znajdę, przebaczając już słabostkom, które przecież w każdém ludzkiém usiłowaniu pojawić się muszą. Niechaj kto chce zajmuje się chwastkami i osetem, jeżeli mu ta strawa tak po sercu, niechby nam tylko nie włazili w szkodę, jak to często bywa, i nie tratowali uczciwego zasiewu na téj roli, tak bolesnym a krwawym skropionéj znojem.

Żal mi tylko żem w ciągu tych listów nie miał dość sposobności wspomnienia jeszcze o tych wszystkich pisarzach i artystach naszych, co urośli na radość nam i chwałę, a zaprawdę niemała jest ich liczba. Żal mi tego, ale to dla mnie, nie dla nich; bo mnie pominęła pora tak miła dogodzenia uczuciom moim, dla nich zaś te wspominki moje może były obojętne. Bo jak najhałaśliwsze wychwałki nie zdołają ochronić od zapomnienia dzieła, co się już umarłe na świat zrodziło, tak też nagany niesprawiedliwe, kłamliwe i czernidła, zwykle z lichéj głowy lub krzywego serca się lęgnące, nie dokażą swojego, i, jak każde złe, rozbiją się o mękę Bożą.

Nie mniemaj atoli, że ja o tém wszystkiém dla tego tak prawię, że myślę jakoby w tych listach moich nie było licznych uchybień a ważnych pomyłek. Każdy pisarz najlepiéj podobno zna co nie dostaje pracy jego, a zwykle już bardzo jasno postrzega błędy i usterki w niejakim czasie po wydaniu jéj na świat. Więc ja jeden nie mogę być wyjątkiem, i żleby już ze mną było, gdyby mi przyszło na takie zuchwałe a śmieszne zarozumienie. Bo mam to przekonanie, że autor uważający swe dzieło za doskonałe ma słuszność, ale co do siebie tylko, bo dowodzi, że on sam już nic doskonalszego stworzyć nie zdoła, że się już zatrzymał na równi z książką swoją; ale nie ma słuszności co do przedmiotu samego, bo on będzie rósł i rósł jak wszystko co ludzkie, jak wszystko co duchowe. Jeżeli taki pisarz zarozumiały jest jeszcze młodym, tedy z niego nie będzie pociechy, bo już nie urośnie; jeżeli starszym, wtedy znać, że już z pola zchodzi. Zważ tedy, jakieby to było strapienie dla mnie, gdybym już nie mógł spostrzedz niedostatków w pracy mojéj! Lecz gdy ich się sam już dopatruję, jakże tu wymagać po innych, aby takowych nie widzieli! Prawda! ale każdy autor ma prawo do spra-

wiedliwego sądu, ma prawo aby go przedewszystkiém ocenił i zważył „sąd parów“ czyli sąd ludzi, którzy, na podobném pracując polu, znają już wszystkie téj pracy kolce. Nadto jeszcze każdy autor ma prawo tuszyć sobie, że trud jego życzliwie, serdecznie przyjęty będzie, i dla tego wdzięczen ci jestem, jeżeliś sobie nie przykrzył czytając dotychczas napisane listy moje, a zarazem proszę, abyś się z równie życzliwém sercem zabrał do następnych.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.

LIST PIERWSZY.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów. — Stanowisko całéj osnowy. — Usprawiedliwienie formy. — Str. 1.

LIST DRUGI.

Ogólny widok na sztukę.

Stosunek dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury. — Zjawiska nam współczesne, dowodzące budzącéj się miłości do sztuki. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu. — Sztuka ma cel swój sama w sobie. — Sztuka jest ogniwem, łączącém świat duchowy z cielesnym. — Historya sztuki jest obrazem rozwijania się duchowéj potęgi ludzkiego rodu. — W świecie chrześciańskim sztuka straciła wagę swoją. — Str. 6.

LIST TRZECI.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka stwarza doskonałość. — Różne zdania co do saméj drogi prowadzącéj do pię-

kności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach piękności. — Tow. Przyjaciół Nauk Warsz. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjném rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie. — Str. 19.

LIST CZWARTY.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyalnego nad duchem. — Sztuka nie jest kopiowaniem natury. — Wielkie dzieła natury; Tatry. — Stosunek rzetelny sztuki do natury. — Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdém dziele sztuki. — Różnica między dziełami prawdziwemi sztuki a dziełem będącém naśladowaniem natury. — Wrażenie jakie te ostatnie na nas czynią. — Zofiówka, — figury woskowe, udawanie zwierząt. — Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki. — Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki. — Przykłady. — Przestrzeń niebios. — Puszcze pierwotne i ich cuda — Natura przedpotopowa. — Piękność natury i piękność sztuki. — Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnéj wagi dla ducha człowieka.
Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém. — Str. 28.

LIST PIĄTY.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącemi w stosunku do sztuki pięknéj. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowéj w sztuce dowodzi jéj poniżenia. — Czas malarzy Huet i Boucher. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego. — Skon. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye. — Shakspeare i Leonardo da Vinci. — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknéj na różne jéj rodzaje. — Str. 49.

LIST SZÓSTY.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszéj. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani wskazówką postępowania naszego.—

Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma na celu wzbudzanie uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłém uważany. — Smak estetyczny — Styl.
Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana pani Sand. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć. — Str. 70.

LIST SIÓDMY.

Istota sztuki.

Różne rodzaje piękności. — Str. 95.

LIST ÓSMY.

Sztuka. — Wiara. — Filozofia.

Stosunek sztuki do religii, — do filozofii. — Zwyczajne zdanie o filozofii. — Uwłaczanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylne na filozofię. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą. — Str. 111.

LIST DZIEWIĄTY.

O ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota ideału. — Stosunek ideału do natury fizycznéj. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyńcze, żyjące. — Okolica i pejzaże. — Pomniki historyczne.
Sztuka i draperya. — Figury dramatyczne. — Obrazy hollenderskiéj szkoły. — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock. — Kraszewski. — Boz. — W wyższéj sferze ideału rzeczywistość mniéj jeszcze wystarczyć może. — Słowa Rafaela. — Zdanie Cycerona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodeta. — Zastosowanie rzeczy téj do komiczności. — Don Quixot. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry. — Trzy sfery ideału. — Str. 128.

LIST DZIESIĄTY.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału. — Dzieje Polski. — Murdelion Kaczkowskiego. — Świat sielankowy. — Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy. — B. Zaleski, Pol. — Czasy bohaterskie Grecyi. — Wieki Romantyczne. — Cooper. — Walter-Skot. — Romanse morskie, powieści ukraińskie.
Działanie ideałów. — Sytuacya. — Panteony chrześciańskie. — Indye i Egipt. — Figury ze sytuacyą spokojną. — Przykłady z rzeźby klassycznéj i nowoczesnéj. — Małgorzata we Fauscie. — Julia Shakspeara. — Kollizya. — Powody, które wywołują kollizyę. — Powody przyrodzone. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo. — Rebeka Walter-Skota; Ofelia. — Kollizya wywołana czynem. — Potęgi porywające człowieka do działania. — Przykład na tragedyi Romeo i Julia Shakspeara.
Złe. — Powody działania w sztuce. — Pathos. — Miłość. — Charakter. — Achilles. — Romeo. — Mohort Pola, Książę Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki; Kraszewski i Korzeniowski.
Pożegnanie czytelnika. — Str. 156.

LIST JEDENASTY.

Fantazya i bliższy jéj rozbiór.

Wstęp. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem. — Fantazya posagiem ducha ludzkiego. — Fantazya, mądrość, cnota. — Fantazya i rzeczywistość. — Fantazya jako czynność duchowa wszystkim ludziom wspólna. — Fantazya strojąca rzeczywistość. — Ale takowa fantazya nie jest jeszcze fantazyą artystyczną. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza. — Walka mistrza z trudnością techniczną. — Henryk Stattler. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwéj w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki. — Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki. — Allegorya nie jest dziełem prawdziwéj fantazyi. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału. — Zdanie Platona. — Str. 187.

LIST DWUNASTY.

Fantazya i bliższy jéj rozbiór.

(Ciąg dalszy.)

Kompozycya. — Natchnienie i kompozycya i w innych dziełach duchowych człowieka. — Ogólne zasady estetycznéj kompozycyi. —

Kompozycya charakterów. — Przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki. — Dalsze uwagi nad kompozycyą. — Powód częstych wad w kompozycyi i przykłady z malarstwa i muzyki. — Improwizacya. — Deotyma.
Talent i geniusz. — Powołanie geniuszu. — Stosunki jego do świata. — Rozmaitość fantazyi artystycznéj. — Ztąd podział jéj. — Treść listów następnych. — Str. 215.

CZĘŚĆ DRUGA.

DZIEJE ARTYSTYCZNÉJ FANTAZYI.

LIST TRZYNASTY.

Historya Powszechna i Historya Fantazyi.

Wstęp. — Opatrzność i dzieje ludzkie. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historyi. — Ludzie historyczni. — Historya fantazyi i rozwój dziejów ludzkich. — Fantazya każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznéj. — Szczyt historyi i poznawanie fantazyi u każdego ludu. — Różność ludów pod tym względem. — Stosunek natury materyalnéj do fantazyi ludów. — Wypływające ztąd różne epoki w historyi fantazyi. — O zadaniu listów następnych. — Str. 243.

I. FANTAZYA U LUDÓW WSCHODNICH.

LIST CZTERNASTY.

Chiny.

Wstęp. — Ulica Kantonu. — Malarz chiński. — Teatr. — Muzyka. — Komedya. — Nauki u Chińczyków. — Astronomia. — Wojskowość. — Brama tryumfalna. — Zabawy. — Budowa świątnic. — Obrazy religijne. — Ogrody. — Brak treści wewnętrznéj w człowieku. — Moralność. — Rodzina i państwo. — Formy zewnętrzne. — Dramat chiński. — Lira i powieść chińska. — Str. 267.

LIST PIĘTNASTY.

Indyc.

Wstęp. — Natura Indyi. — Jéj przewaga nad człowiekiem. — Kasty. — Pokutniki i pielgrzymki. — Gminna i artystyczna fantazya u Indów. — Bagawidgita. — Wnioski wypływające z téj pieśni. — Pojęcia religijne tłómaczą zjawiska zewnętrzne. — Panteizm in-

dyjski. — Mitologia. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazya odpowiednia. — Cecha téj fantazyi w rzeźbie, architekturze, poezyi i muzyce. — Sakontala. — Str. 295.

LIST SZESNASTY.

Egipt.

Wstęp. — Natura Egiptu i historya. — Teby; groby (Hypogee) tebańskie. — Zwaliska Teb. — Memnony. — Piramidy. — Labirynt. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca ztąd symboliczność jego fantazyi. — Cecha rzeźby i architektury egipskiéj. — Gadka stara. — Str. 329.

LIST SIEDMNASTY.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp. — Nemrod. — Odkrycia uczynione przez pp. Botta i Layard. — Znaczenie tych zabytków w historyi sztuki. — Usposobienie umysłowe tych ludów. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażającéj się w dziełach sztuki. — Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniém między sztuką egipską a grecką. — Persya. — Persepolis; grób Cyrusa, groby królewskie. — Cecha téj fantazyi. — Zendawesta. — Str. 353.

LIST OŚMNASTY.

Ludy mahometańskie.

Wstęp. — Fantazya Arabów, Persów i Turków. — Fantazya perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów. — Niektóre pieśni. — Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie. — Nauka Mahometa i panteizm. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamickiego. — Rodzące się ostateczności w duchu ludów mahometańskich. — Fantazya czarodziejska. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednéj i ich znaczenie estetyczne. — Arabowie, ich życie, poezya i język. — Ułamek z Koranu. — Str. 371.

LIST DZIEWIĘTNASTY.

Ludy mahometańskie.

(Dokończenie.)

Powieść Jussuf i Sulejka. — Fantazya perska. — Szachname. — Dwojakie pieśni wieszczów perskich, a mające wspólne tło. — Ułomki z obu tych rodzajów. — Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów. — Cechy ich budowania. — Str. 407.

Dopisek. Rzut oka na te listy i stanowisko całego tego dziełka. — S. 407.

DZIEŁA

JÓZEFA KREMERA.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I PODOBIZNY PISARZA NAPISANEGO
PRZEZ HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM V.

LISTY Z BRAZYLJI.

WARSZAWA
NAKŁADEM DRUKARNI E. ŚLIWICKIEGO
Nowy-Świat, № 33.
1877.

DZIEŁA

JÓZEFA KREMERA.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I ROZBIORU PRAC KREMERA
ORAZ NOTATEK UZUPEŁNIAJĄCYCH,

PRZEZ

HENRYKA STRUVEGO.

TOM V.

LISTY Z KRAKOWA.

TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr. 39.

1877.

Józef Kremer.

LISTY Z KRAKOWA.

TOM II.

DZIEJE ARTYSTYCZNÉJ FANTAZYI.

CZĘŚĆ DRUGA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr. 39.
1877.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 4 Іюня 1877 года.

Listy z Krakowa.

DZIEJE ARTYSTYCZNÉJ FANTAZYI.

II. FANTAZYA LUDÓW KLASSYCZNYCH.

List Dwudziesty.

Grecya.

Wstęp. — Stosunek Grecyi do starego Wschodu. — Stanowisko Grecyi w Historyi Powszechnéj. — Znaczenie fantazyi klassycznéj. — Piękność i młodość cechą Grecyi. — Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków. — Jak Grecy pojmują obyczaj. — Idealizują nawet potrzeby cielesne. — Uczucie piękności rozpowszechnione. — Mitologia grecka. — Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową. — Te szczepy jednoczą się językiem, religią i wspólnemi igrzyskami. — Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zradza charaktery niby z jednego odlewu. — Z téj harmonii i historya grecka jest arcydziełem. — Aspazya wyrazem ducha greckiego. — Sokrates. — Czasy greckie i nowożytne. — Grecya umiera na piękność.

Może i ty doznałeś, w latach młodości swojéj, owych uczuć, pełnych niewymownego szczęścia i uroku, gdy po ciężkiéj, długiéj niemocy, po przebytéj złowrogiéj chorobie, jakby odrodzony, wczesnym porankiem, pierwszy raz stanąłeś wśród świeżéj natury, co równie odrodzona wiosną, równie jak ty tchnęła rozkoszą i weselem.

W tych chwilach błogich zapomniałeś wszystkich przemożonych cierpień twojego ciała, uniosły się z duszy wszystkie męki fizyczne, któreś przebolał, lecz została przecież, jakby na rąbku wspomnień, pamięć smętna owéj duchowéj niemocy, która cię niby zmora gnębiła w czasie choroby twojéj; została pamięć owych krzywd sromotnych, wyrządzonych jasnéj myśli od demonicznych potęg natury; jeszcze straszą ciemnym zarysem widziadła ohydne, gorączkową fantazyą wymarzone, co cię trwożyły wśród jasnego dnia, a nawiedzały w nocach długich, jak wieczność; jeszcze jakbyś widział one twarze stra-

szliwe a larwy dziwaczne, które, ciągle przeradzając się w nowe a zawsze w okropniejsze poczwary, unosiły się zawrotnym tanem a szyderczym chichotem nad łożem boleści twojéj.

Lecz teraz na serce twoje młode tchnęło zaranie świeżego żywota natury i rozbudziło w niém radości weselne, dawno oniemiałe. Odetchnąłeś głęboko, szeroko; owe straszydła potworne, owe mary uciekły w dal, straciwszy swoją groźną moc, jak ucieka chmura nocnéj burzy na ostatni rąbek nieba, gdy ją złoci i barwi promień magiczny młodego dnia.

Ten piękny Boży świat teraz otacza cię do koła, uderza na duszę falą rozkoszy, nie zdołasz się pojąć w tém morzu szczęścia! Wszystko w koło gra i śpiewa, cała natura jest muzyką czarowną. Wiosna, dziewica skrzydlata, z wysokości niebios spuściła się na ziemię i przebudziła geniuszki śpiące w pączkach, a geniuszkom ciasno i duszno w pączkach, więc odemknęły sobie liście malowane i siedzą w otwartych wonnych kwiatach, i kołyszą się i śpiewają. I patrzysz w siebie; a wiosna młodego życia przebudziła aniołki niebiańskie w piersiach twoich; przebudziły się wiary, nadziei i miłości aniołki; a tym wieczności dzieciom nie ciasno, nie duszno w sercu twojém, i one śpiewają radości i szczęścia pieśni, bo im tak szeroko, domaszno w tém sercu, w którémby się już w téj chwili świat cały pomieścił. Geniuszki kwiatów kołyszą się na wonnych liściach i nucą ziemskie piosenki swoje, a roje pszczółek i robaczków oskrzydlonych, bucząc, brzęcząc, wtórują ich śpiewkom i spijają rosę z kwiatów, a nie bronią im téż tego geniuszki, bo te robaczki i pszczółki to przecież ich grajki nadworne a skrzypki weselne. Otóż i w szafirach niebiańskich odzywają się chóry skrzydlatych muzykantów, i drzewa i krzewy grają, bo i tam świergotny a lekkomyślny ludek ptasi założył szmaragdowe pałace swoje, więc baja i gada i śpiewa i roznosi plotki miłosne. Świergocą role, łąki i dąbrowy, bo i tam ludno i wesoło. Ale już najpiękniejszy koncert wygrywa światło samo, jakby po klawiszach przebiera po tym pięknym cudnym świecie; tam grzmią tonem głębokim ciemne boru tajemnice; ówdzie znów dźwięki najwyższéj jasności spinają się po szczytach drzew, grodów, wież dalekich, aż nie ulecą na lekkie złociste obłoczki; tu światło drga na dygocących liściach; tam znów, niby echem przeczystém, opływa fioletem eterycznym dalekie góry, i nuci światło, i brzmi we wszystkie barwy i cienie i dźwięki; ztąd w tobie rozwarło się serce tkliwością i stanęło na rozcież otworem. A aniołki w piersiach twoich rozmawiają z tą całą przyrodą uroczą, rozumieją ptasie gadanki, znają mowę brzęczącéj pszczółki, słuchają gry światła i cieniów, i same śpiewają tak cudną harmonią, tak wdzięcznie i rzewnie, że téż nakoniec cała ta drużyna weselna natury — grajki i skrzypki, organisty skrzydlate, przodem — wstępuje radośnie do piersi twoich, jakby do weselnie ustrojonego domu. Wtedy w piersiach ludno i ochoczo i skoczno; promień z góry wgląda w te niedawno puste ciemnice

duszy, co teraz tak jasne, radośne, pełne wieńców i świeczek. W duszy kołyszą się wonią kwiaty i śpiewają i śmieją się aniołkowie niebiańscy i geniuszki ziemskie, i grają światła i brzęczą i buczą muzykanty i mlaskoty wesołe (*). Bo w sercu twojém niebo i ziemia obchodzą weselne śluby swoje, geniuszki natury i anioły wieczności wiążą się miłości przymierzem. Ztąd ci się już zdaje, żeś i ty jednym z tych kwiatów, jednym z akkordów dźwięcznych, jednym z tych jasnych promieni. I rozpłynęła istota twoja w téj naturze i zda ci się, że ty i natura to jedno, że to jeden i ten sam Boży raj. Ale czyli to tylko z tą przyrodą, tak cudów pełną, zawarłeś to kochania przymierze? O nie! I ludzie i świat i życie, rzeczywistość całą zamknąłeś w objęciu twojém; jeszcze pełném życiem żyje w tobie wiara w ludzi, nadzieja przyszłości, i miłość, co ogarnia świat. Wszystko co jest, co tylko istnieje, jest ci tak lubém, tak drogiém, jakbyś je wynosił w ciepłych piersiach twoich, jakby ci się było zrodziło we własném sercu twojém. Patrzysz oczyma ducha na zewnątrz siebie, a wszystko co tam widzisz, jest niby zwierciadłem własnéj, wewnętrznéj twojéj treści; rzeczywistość a myśli i uczucie zestrojone, nawzajem sobie wtórując, spływają w jedną harmonię szczęścia pełną. Tu jeszcze nie wdarł się dźwięk fałszywy! Tutaj jeszcze nie cofnąłeś się w siebie, a serce nie zabolało jeszcze żadną raną! Jeszcze kochasz tę rzeczywistość, i ona cię serdecznie miłuje, niby kochanka swojego. Bo sam jéj kochankiem będąc, użyczasz jéj co jeno w tobie najzacniejszego i stroisz ją i zdobisz własnemi skarbami duszy twojéj.

Otóż, takim porankiem błogim, cudnym, taką chwilą młodości i wesela była dla dziejów ludzkich Grecya. Człowiek już przebolał, przebył one czasy jęctwa swojego, gdy oddany na łaskę demonicznym potęgom natury, straszony, gnębiony larwami gorączkowéj fantazyi, przebywał długie wieki pod oczynieniem ślepookich mocy materyi. To sponiewieranie jasnéj myśli się skończyło. Widma, obrazy potworne indyjskich bogów, dręczące, miotające zagadki egipskie, zeszły jakby chmura słoty nocnéj, z jasnego nieba myśli na ostatni horyzontu rąbek. A człowiek w wiośnie młodości swojéj stanął wśród natury, a ta natura nie jest mu więcéj panią ciemiężką, złowrogą, ale kochanką lubą. Chaos zamętny, Uranus i Gea, i wszystkie one pierworodne bogi, co dopiéro były głuchemi potęgami materyi, spadły z tronu wszechrzeczy, i powalone są straszliwe Tytany, sturękie potwory (Hekatoncheiry) i ród ogniowładny Cyklopów. Po nich zasiadł na panowaniu Kronos (Saturn) zwycięzca — Czas, chłonący własne dzieci swoje. Ale czas, choć sam przez się nie jest więcéj materyą, jest atoli jeszcze trzonem a dnem wszech materyi, a potomstwem jego są wszelkie rzeczy skończone, rodzące

(*) Grajki krakowskie.

się i umierające po sobie. Ztąd siłą ducha świadomego siebie dźwignął się przeciw niemu Jowisz i zatrzęsła się ostatnia twierdza wrogiéj materyi, runęło z kolei szerokowładne królestwo Saturna, a on sam wtrącony do najgłębszych ciemnic Tartaru — tam żyje na wieki bez czci i sławy. Nie spoczęły atoli jeszcze owe moce ślepéj przyrody. Zuchwałe i pełne pychy Tytany podniosły się wojną a buntem na Jowisza. I znów łamały się siły bezrozumne z Bogiem-Duchem. Słuchaj o téj wojnie starą pieśń, którą zabrzmiała arfa Hezyoda przed trzema tysiącami lat; posłuchaj dźwięku ze szarych świtów ludzkiéj historyi, a głosu wieszcza o postaci mglistéj, rozwiewnéj: „Wzdęła się grzmotnym szałem nieskończoność mórz! Łamie się przepaścią ziemia, jękły wysokich niebios sklepienia; w najgłębszych posadach swoich zadrżały Olimpu szczyty. Zadudniły nawet Tartaru nocne otchłanie i zatrzęsły się od huku łomotnych hałasów i pocisków ciężkich; a w koło grzmot walki wznosił się wzgórę, bijąc o gwiaździsty strop... Lecz bogi niebios jasnych przemogły. — Tytani, rzuceni w piekłów głębie, tam w czarnych bezdeniach, w gardzieli wiekuistych ciemnic, u kończyn świata legli. — Posejdon (Neptun) ścisnął ich w koło murem i przywalił bramą śpiżową.“

Tak jest! W Grecyi wybawiony świat z pod przewagi ciemnych sił przyrody, co odparte od kończyn wiedzy straciły swoją ślepą moc.

W Grecyi pierwszy raz stanął ród ludzki w wieńcu zwycięzkim; tu zabrzmiały wiekuiste tryumfy jego. Ta natura, któréj dawniéj był poniewierką, która go niegdyś dławiła ciężką przemocą, teraz promieni się jego duchem, stała się wyrazem jego chwały i zwiastuną jego treści. Tu, na téj ziemi błogiéj Hellady, duch z nieba zrodzon obchodził święto młodości swojéj. Ani dawne wschodnie ludy, ani wieki, które były późniéj zrodzone, nie zaznały już więcéj tych ślubów ducha a przyrody, téj harmonii wewnętrznéj treści a zewnętrznego świata. Bo i ludzki ród, jak i człowiek pojedynczy, raz tylko jest młodym, raz tylko kwitnie wiosną życia; a ta wiosna młodości jest niepowrotną nigdy.

Jakoż, chciéj baczyć, owe pradziadowe rody Azyi i Egiptu, choć się migocą tak różną między sobą barwą, mają wszystkie to sobie wspólnego, iż natura zmysłowa, górując nad duchem człowieka, trzyma go na uwięzi swojéj; pierwiastek niebiański u nich gore przyćmiony ziemskim wyziewem. Religia, społeczność, fantazya, myśli i uczucia ich ulegają przemocy materyi, a dzieje tych ludów są jedynie szamotaniem się, sileniem instynktowém, by się wydobyć z pod brzemienia przewagi natury. Tu jest wprawdzie jedność ducha i materyi, wewnętrznego a zewnętrznego świata; ale ta jedność jest raczéj pomięszaniem dwóch pierwiastków, jestto jedność, rodząca się z panowania natury nad myślą człowieka, ale nie z harmonii swobodnéj tych dwóch światów.

Po skonaniu Grecyi odwrotny dramat występuje na widownię historyi. Wtedy duch wzrasta w olbrzyma, bo uznał siebie; góruje

nad materyą i nad magią jéj zjawisk; on późniéj nawet odepchnie od siebie naturę, jako wroga, nie uzna bynajmniéj rzeczywistości, która go w koło otacza; ona go więcéj nie zadowolni, będzie obcą dla niego. Duch i przyroda, wnętrzne światy a zewnętrzne jękną dysharmonią, struny duszy się pozrywają, a dzieje rodu ludzkiego gorąco zapragną ukojenia boleści i ziemskiéj tęsknoty.

Otóż w samym środku tych dwóch ogromnych epok dziejowych staje szczęśliwa, uroków pełna Hellada. Jak tutaj duch człowieka nie podlega już naturze, tak też jéj nie przerósł jeszcze; on jéj nie odepchnął od siebie; stawając z nią na stopie równości, łączy się z nią harmonią. To miłośne przymierze nie jest już bynajmniéj oném pomięszaniem zamętném dwóch światów; bo duch ludzki w tych ślubach swoich z naturą wie, że on jest czémś inném, czémś różném od niéj. Przecież zważ: mimo tego, że lud grecki umiał już oddzielić istotę duchową od przyrody, przecież nie zdolen był jeszcze sobie wyobrazić ducha samego przez się, lecz, wzywając na pomoc fantazyę, odziewał go niby szatą ciałem materyalném. I nawzajem, Grek nie zdoła zrozumiéć, iż naturą, temi zjawiskami fizycznemi, rządzą pewne abstrakcyjne ustawy, prawa odwieczne; ale uważa jakoby jestestwa duchowe były władcami tych zjawisk, jakoby się w nich pojawiały. Tak w Helladzie nie ma materyi bez ducha, nie ma ducha bez materyi. Treścią jest duch, a natura, materya — formą; nie ma treści bez formy, nie ma myśli bez ciała; Grek myśląc obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. Tu przeto nieskończoność istoty duchowéj odziewa się w postaci widome z natury wzięte; a toć właśnie jest stanowisko piękności (List XI i XII) i to właśnie jest powodem, że Hellenowie są ludem wskróś artystycznym. Gdy tutaj duch, treść z jednéj strony, a natura, forma z drugiéj są sobie odpowiednie co do potęgi, gdy się równoważą, zatém wszystko, co jest w treści, wyrazi się w formie, i nawzajem wszystko, co jest w formie, w wyrażeniu zewnętrznem, znajdzie się w treści; aleć to właśnie, jak wiesz, jest stanowisko ideału; ztąd Grecya jest mistrzem nad mistrzami. (Tamże.)

Te kilka słów rozświecają nam serce tego wielkiego, choć tak nielicznego ludu; możemy go tedy już przejrzéć wskróś. Co tylko jeszcze o Grekach powiemy, będzie tylko dalszym rozwojem tych pierwszych lekkich naszych zarysów. Chciéj atoli pamiętać, że jakim trybem zachowuje się duch Hellady do natury, do materyi, takim też trybem staje do całego zewnętrznego świata, do całéj rzeczywistości, do całego rzeczywistego otoczenia swojego i w niém się przeziera, jakby w miłości swojéj. Ztąd też ta Grecya tak szczęśliwa! Jéj tak lekko, tak błogo na sercu; ona nie zna, co rozdwojenie wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata; u niéj co jest w duszy, to znajdziesz i w rzeczywistości. Grecya więc w dziejach swojego ludu, w mitach religijnych, w posągach swoich bogów, w pieśniach, w prawie, w obyczaju swoim, we filozofii wypowiedziała całą treść

wewnętrzną duszy swojéj, nic już w tajnych piersi przybytkach nie zostawując; człowiek tutaj żyje z tym światem jakby ze sobą samym, jakby z kochanką, która rozumie najcichsze głosy ducha jego. Dla tego też Grecya w każdym kierunku cielesnego i umysłowego życia jest mistrzem, bo każdy, choćby najskrytszy, pierwiastek ducha jéj znajduje wyrażenie swoje zewnętrzne, a tak iście zamienia się na piękności dzieło.

Uważ, powiedzieliśmy dopiéro, że w Helladzie właśnie każda treść duchowa znajduje swoje wyrażenie i zewnętrzną formę swoją, a formę zupełnie wyczerpującą, tak dalece, że co jest w treści, to i w formie, a co w formie, znajduje się oraz i w treści duchowéj; otóż ta zupełna równowaga, to zupełne odpowiadanie sobie tych obu stron, ta doskonała ich harmonia stanowi właśnie istotę fantazyi *klassycznéj*.

Wnet obaczymy, że ta wdzięczna harmonia raz tylko pojawiła się w ludzkich dziejach; do téj harmonii tęskniły późniejsze ludy, dorabiały się jéj ciężkim trudem a pasowaniem się z sobą, nie widząc atoli nigdy końca swojéj pracy a krwawego znoju Wszelako Grecya miała ją darem, bo jako skutek prosty swojego stanowiska w dziejach ludzkich; ona z nią przyszła na świat, ta harmonia była jéj naturą, ona nawet nie przeczuwała dźwięków fałszywych; jéj usposobienie duchowe, uczucia jéj i świat cały w koło są usposobieniem, uczuciem, światem młodzieńczym; boć wiesz, że i na wiosnę żywota, duch i rzeczywistość, zaślubione wzajemném kochaniem, śpiewają razem radości hymny. Hellada przez życie całe była młodą, ztąd też tak trafnie powiedziano, że dwóch młodzieńców mogiły wznoszą się na dwóch kończynach dziejów Grecyi: na jednéj stanęła Achillesa postać, jakby gwiazda poranna, przyświecająca zrodzeniom dziejów greckich, a na mogile drugiéj, jakby łuna zachodu, promieni się nad skonem Hellady młoda postać Macedońskiego Aleksandra. Bo gdy inny duch miał nastać w świecie, gdy człowiek miał cofnąć się w siebie, wtedy Grecya umarła, a umarła za młodu. Ztąd też lud ten w pełném uczuciu szczęścia swojego widzi świat tak błogim, uroczym, a życie tak piękném; ztąd zadrgał w sobie niewymowną rozkoszą i wieńczy się w kwiaty i rodzi z siebie ideały cudne, a te ideały, niby orlęta młode, wzbijają się na jasne niebios wysokości, kędy zasiadło wesołych bogów grono; bo co w sercu ludzkiém zacne, piękne, wdzięczne, — tutaj — staje się bóstwem. Jakoż widzisz, zjawiska natury, jéj potęgi, uderzające myśl człowieka podziwem, były tylko lekkiém zewnętrznem potrąceniem fantazyi, która też owe potęgi, owe zjawiska odziała w postaci cudne, uosobiła w niebiany urocze. Tak tedy całe grono olimpijskich bogów wywodzi z własnéj duszy człowieka rody swoje. — Olimp niebiański wprzód tu zamieszkał w piersiach człowieka, zanim zasiadł na tronie świata. Na ziemi nie ma krwawego trudu, nie straszą więcéj potworne Indyów potęgi, ustały walki z nieużytym granitem,

zamknęły się ciemne katakumby Egiptu, owo głuche państwo umarłych; a natomiast brzmią zewsząd pieśni wesela i radości; życie uśmiecha się wieczną wiosną, strzela pączkiem wonnym, nigdy niezwiędłym kwiatem; a to życie hoże, świeże, przepływa bezkłopotnym tanem wśród dźwięku i kochania. Wszak tutaj wszystko jest piękności ideałem, „śmierć nawet nie jest straszydłem ohydném, to geniusz, pełen wdzięków, z wieńcem kwiatów na bladém czole, co wywraca żywota pochodnią“ (Schiller), a zanim uprowadzi w elizejskie ogrody, zanim zcałuje z ust bladych boleści skonania, przyśpiewuje duszy umierającego starą pieśń pociechy — pieśń Homerową: „Ciebie prowadzą sami bogowie na ziemi kończyny, poprowadzą do cichego szczęścia elizejskich pól, kędy mieszka Radamant błogi. Tam bez trudu, w pogodnym, nigdy niezamąconym pokoju żyją śmiertelni! Tam nie ma śniegów, ani zimowéj zawiei, ani gromów, ani deszczów. Tam wiecznie szepcze tchem lubym zarania powiew zachodu, a posyła go Oceanus łaskawy, by ochłodził rozpalone trudem śmiertelnym czoła.“

I na Olimpu jasnéj wysokości płynie bogom bezkłopotne, wiecznie młode życie; na czole ich wiecznie rozlany pokój i wesele; więc zchodzą na ziemię i wplatają się do spraw ludzkich, bo i na ziemi tak pięknie, tak wesoło a miło, i córy ludzkie tak urocze a wdzięku pełne i tęskne kochania! A wszędzie obecną i wśród bogów i ludzi jest Venus Aphrodite, owa przeważna pani, a wszędzie broi jéj synek, owo skrzydlate, swawolne pacholę. Choć się przeto z sobą niekiedy i pokwaszą i poważnią urocze mieszkańce niebios, one znów się godzą w Olimpie, gdy zakipi czara ambrozyi i nektaru; przy puharze wraca im się pamięć nieśmiertelności, wraca przyjaźń i jedność, wesele i żarty, a radośnym, serdecznym śmiechem bogów brzmią niebiańskie pałace.

Co w sercu ludzkiém radości, smutku, rozkoszy, tęsknoty, toć żyje całą pełnią i w bogach nieśmiertelnych, choć uzacnionych fantazyą i wzniesionych do ideału; bogowie Grecyi, to Grecyi arcydzieła! Człowiek ideałami swojemi zaludnił Olimp. Widzisz tedy, jak tu człowiek wstęgą uroczą fantazyi połączył się z bogami a spokrewnił się z całém gronem mieszkańców niebios. Więc też syn Hellady proroczém, choć bardzo ciemném jeszcze przeczuciem odgadł pierwiastek niebiański, tlejący we własnych piersiach jego. Dla tego uważał tę swoją postać cielesną za dzieło piękności, bo te formy cielesne, również jak dzieło sztuki, są zmysłowym objawem nieskończonej istoty ducha. Zrozumiesz przeto, że Grek uzacniał nawet to ciało swoje, uszlachetniał je by z niego uczynić posąg żywy, bogom podobny. O tém wszystkiém atoli obszerniéj jeszcze pomówimy; te dotychczas rzucone słówka niechaj ci będą przegrywką wstępną do przyszłéj rozprawy naszéj o tym ludzie, nad którego nie było wyższego w sztuce, o tym ludzie tak ukochanym od natury i od bogów swoich.

Uwierzysz mi téż przyjacielu mój, żem z całego serca rad, że przecież razem już z tobą stanąłem na téj błogiéj ziemi Hellady, w téj ojczyźnie piękności, przebywszy wędrówką one wszystkie dawne zapadłe stulecia i zamroczne ludy. Niechaj nas przeto tutaj witają słowa Sofoklesa, nad którego świat zaiste nie zaznał wyższego wieszcza; posłuchaj pieśni, którą niegdyś ateński jego chór uczcił Edypa króla-wygnańca, przyjmując starca znękanego na attyckiéj ziemi: „Tu z gajów zamrocznych liści splotem, z pod sklepu powojów ciemnych, dzwoni tłumnych słowików pieśń! A pieśń się żali rzewną miłości tęsknotą. W tych gajach nietkniętych stopą śmiałą, w tych gajach świętych cieniów, złocistych owoców, nie ma wichrów, nie ma burzy. W tych gajach sam jedynie weseli się radości bóg, co wodzi za sobą ochotne drużyny i orszaki nimf cudnych uroków. Tu pod niebios wonną rosą, pod zwojem nocnym jagód winnych, wiecznie rośnie, wiecznie kwitnie narcyz bujny; a szafrany świecą złotem, a nie zasną nigdy strumieni szepty, co się toczą od Kefizu wód, pojone kryształową nieba strugą, a szerzą się tu w koło miękkie pagórza, kędy pląsają nieśmiertelne muzy; tych pagórów nie omija nigdy miłości bogini.“

Gdy się przypatrzysz téj krainie, która się zwała dawniéj Grecyą, wyznasz, że ona w porównaniu z ogromem dzisiejszych państw jest niby żarcikiem ducha historyi, a przecież ta krainka zaważyła tysiącami lat w cywilizacyi ludzkiéj; my żyjemy ciągle i żyć zawsze będziemy spuścizną jéj. Gdyby téj Europie staréj przyszło oddać to wszystko, co albo wprost wzięła spadkiem po Grecyi, albo czego się dorobiła za potrąceniem ducha Hellady, zaprawdę pod wielu względami powtórzyłaby się bajeczka o onéj kawce, ustrojonéj w obce piórka. Wierzaj, gdyby kiedyś utonęło w nocy grubéj barbarzyństwa, co tylko zacnego i pięknego na świecie, gdyby człowiek miał kiedy zapomnieć o wiekuistém pochodzeniu swojém i zapaść się w otchłani nieuctwa i zmysłowości; mógłby jeszcze z głębi swojego poniżenia, z pośród sromoty swojego upadku podnieść się i urość samém wspomnieniem staréj Hellady; sama pamięć, że duch Grecyi był przecież także duchem ludzkim, byłaby ratownym talizmanem wracającym mu uczucie własnéj godności jego; ten duch napoiłby ufnością i wydźwignąłby z rozpaczy i pogardy siebie. Dziś z tych gruzów ateńskich, z tych kilku ułamków starych kolumn, z tych kilku ksiąg, z tych posągów marmurowych wieje na świat dech ożywczy, co ratuje późne pokolenia od zgnilizny a dżumy duchowéj.

Powiedziałem wyżéj, że stanowisko Greków w dziejach ludzkich zrodziło właśnie ową równowagę, harmonią między duchem człowieka a naturą, między myśleniem a rzeczywistością, między całą treścią wewnętrzną a zewnętrznym światem; zgodzisz się zaiste ze mną, iż to stanowisko jest tak jedyne w świecie, tak oryginalne, tak wyjątkowe, iż warto, byśmy choć lekkim przelotem przejrzeli wszyst-

kie objawy greckiego żywota, a wtedy cecha fantazyi tego ludu wypłynie nam już sama przez się.

Spojrzyj na samo ukształtowanie geograficzne ziemi Hellenów, czyliż ona sama nie jest już jakoby sztuki dziełem? Zaprawdę tutaj natura sama stała się artystką. Ta kraina grecka, to kamea kosztowna; widzisz jakby misterném dłutkiem, czy pilnikiem powycinane pobrzeża morskie i zatoki, kształtne góry, doliny, przylądki; cała rzeźba wyrobiona niby wedle rysunku genialnego mistrza. I znów obacz, jak te formy lądów dziwnym splotem wiążą się z żywiołem wodnym. Tak przeto już w téj twardéj i głuchéj naturze masz wypisane hieroglifem stworzenia losy Grecyi; te jéj rzeźby geograficzne — toć nieme nuty do przyszłéj pieśni czarującéj. W budowie azyatyckich lądów, jakby w grubéj kamieniarskiéj robocie, uderza cię potęga tak olbrzymich rozmiarów, iż wyraźnie widzisz, że człowiek, uchwycony ich mocą, staje się jeńcem natury własnego kraju swojego, że tutaj lud od ludu odcięty to przegrodą nieprzemożoną górskiego pasma, to piaszczystym grobem umarłéj pustyni, to stepem tęsknym, nieskończonym. W Helladzie, przeciwnie, rzeźba i cała natura kraju jest dość silną, aby wpłynęła na usposobienie różnych szczepów i wplotła się w ich historyą i kulturę, jednakże, z drugiéj strony, ta przyroda nie jest znowu tak przeważną, by zdołała ujarzmić niewolą mieszkańców i wziąść ich pod wyłączne panowanie swoje. A klimat! Tu nie ma ostateczności złowrogich, tu nie ma śnieżnych zamieci, nie ma mrozów ścinających życie ciepłe, ani spieki pustyni arabskiéj. Tu żywioły splotły się wdzięczną harmonią, żaden ich przemagający ton nie głuszy téj czarodziejskiéj muzyki natury; a lądy i morza, góry, skały i rzeki, niebo, światła i barwy, niby służebnice téj błogiéj krainy ubrały ją na świątnicę piękności, na ojczyznę tego co zacne i wielkie na świecie.

Takowe jest pierwsze zestrojenie ducha a materyi, człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata, czyli téj geograficznéj przyrody jego ojczystéj ziemi; tu spotykamy tedy pierwsze akkordy onéj harmonii, będącéj tonem żywotnym Grecyi i czyniącéj tę geograficzną naturę kraju ziemią klassyczną. Dla tego téż w Grecyi zapukało serce pierwszy raz gorącą miłością dla ojczystych drogich stron; tém ciepłem duszy swojéj Grek uduchownił i ziemie swoje i pobrzeża i góry i doliny swoje. Téj miłości nie ma na Wschodzie, bo tam natura jest dla człowieka hardo-władną panią; téj miłości nie znajdziesz w krajach przecywilizowanych, kędy człowiek, skurczony na sercu, wybuja jałowym rozsądkiem; wtedy strony ojczyste i ich głosy ogłuchną, oniemieją dla niego; on tę naturę czyni swoją sługą a wyrobnicą. Natura Hellady nie jest dla Greka ani panią ani sługą; on jéj sercem zaślubiony, on ją kocha jako przyjaciela, małżonkę lub oblubienicę swoją. Ulisses wśród rozkoszy, którą go czaruje Kalipso, tęskni do Penelopy, życia swojego połowicy drogiéj;

on tęskni do wyspy rodzinnéj, a serce mu zadrgało dreszczem radości na wspomnienie dymu z chatek ojczystych.

Drugim pierwiastkiem przyrody jest pochodzenie szczepowe. Zaiste te różne greckie szczepy nigdy nie starły z siebie piętna właściwego, które każdemu z nich było przyrodzone a które tak silnie odróżniało je między sobą; lecz z drugiéj strony te szczepy wszystkie połączyły się razem w jeden wieniec cudny, bo te różnice od natury pochodzące ugłaskał, ułagodził ogólny duch Grecyi, uduchownił je i nastroił do siebie jako do wspólnego kontrapunktu. Tak ów męzki, butny, hardy, pełen grozy a powagi charakter dorycki stanął obok pełnego wdzięku a słodyczy miękkiéj jońskiego szczepu; tak wszystkie różnice przyrodzone, nie tracąc siebie, pogodziły się w związku a sojuszu ogólnym. Widzisz tedy jako ten ród szczęśliwy Hellenów umiał nawet te rozmaitości swoje, z natury pochodzące, obrócić na zdrowie a korzyść dla siebie, bo i tu zespolił ducha ogólnego harmonią z potęgami rodowemi.

A uczucia serca, a skłonności jego i tęsknoty? Wszak i one, rzekniesz, są tą potęgą od natury człowiekowi wrodzoną, — jakże się do nich zachowuje Hellada?

Widziałeś jak tam w głębi Azyi, w Indyach zapadłych, albo katusze zadawane ciału i serca uczuciom, albo utopienie duszy w rozpuście bezdennéj, zapomnienie zawrotne siebie w chuci, oddanie się na pastwę rozhukanym zmysłom jest sprawą zasługi, idącą na chwałę bóstwu Sziwy.

W nowożytnéj Europie, przeciwnie, wznosi się głos potężny, głos mędrca sławnego w poprzek świata (Kant), co na cię woła: „Wyplew, jako chwast wymietny, co jeno miłe a drogie sercu, ogłuchnij w duszy, choć zapłoną uczucia boleścią; niechaj istota twoja będzie wolną, pustą świątnicą filozofii, kędy jeden tylko wznosi się ołtarz, na nim samotny rozumowéj powinności majestat. Przed tym ołtarzem zabij na ofiarę wszystkie skłonności serca, wszystkie uczucia twoje, bo tu jedynie czyn pójdzie ci w zasługę, którego dokonasz wbrew serca dążnościom z czystéj czci rozumowéj dla ustawy moralnéj, wskazującéj ci postępowanie twoje.“

Słuchaj co radzą mędrcy Greccy: „Zajrzyj w siebie, we własne piersi twoje, spytaj się popędów, uczuć, pragnień twoich, one ci same wskażą jak sobie postępować masz; lecz nie oddawaj się równie naoślep tym wrodzonym ci potęgom, bobyś spadł poniżéj siebie, i ugrzązł w zwierzęcości twojéj natury; — uduchownij żądze i popędy twoje, by były godne istoty ludzkiéj. Dosięgniesz zaś harmonii między tą naturą twoją a duchem, jeżeli same wszystkie te popędy, ochoty, pragnienia, skłonności razem zestroisz także harmonią; boć one są wielce między sobą różne a nawet sobie przeciwne, więc żadnemu nie pozwalaj zbytecznie wybujać, by nie przytłumił sobą innych, niechaj wszystkie się nawzajem miarkują i ważą, bo miara jest doskonałością wszech rzeczy. To miarkowanie i zestrojenie

wszystkich dźwięków twojéj istoty wykonane być może jedynie pod sterem ducha twojego; — duch, wiążąc je wspólną harmonią, sam się harmonijnie z niemi wiąże.“ (Arystoteles.)

Tak tedy tu obyczaj poważny zestroił ducha i naturę, sprzymierzył rozum ze sercem; tak też ta zgoda i jedność dwóch światów przejęła sobą nawet zwyczaje powszednie, bo ona doleciała dźwiękiem do spraw codziennych człowieka i uszlachetniła nawet fizyczne potrzeby jego. Powiédz, czyli może już być niższa proza jak potrzeba pokarmu i napoju? — otóż i tu Grek jest artystą, on zidealizował, upoetyzował tę prozę i pozłocił urokiem fantazyi. Ucztę, choćby najwykwintniejszym wymysłem przyprawioną, zwał biesiadą beocką, jeżeli w niéj brakło soli attyckiéj, niby dowcipu attyckiego. A wiesz, że Beocya, to szary kąt Grecyi; mieszkańcy jéj poszli na języki, na drwinki a przycinki, boć nie grzeszyli podobno zbytnią bystrością; ale za to nikt im nie wyrównał przy uczcie bogato zastawionéj. Wstyd nas, gdy czytamy te biesiady greckie, to zaiste poemacik mały — więc wieńce na głowach i kwiaty, i strojno w sali i strojno w duszy; więc żarty, wiersze, pieśni, tańce i muzyka, zagadki, igraszki dowcipu i śmieszki, — a to wszystko tak grzeczne, tak uprzejme, lekkie i gładkie, iżby nam się już trudno było na coś podobnego zdobyć, nam, cośmy tak już wyschli powagą, czyli raczéj zgburowacieli na duszy. O tych biesiadach, co to iście klassyczne, raz jeszcze mówić będziemy.

A przypatrz-no się teraz tym ich łożom, stolikom, lampom, dzbanom, słowem, wszystkim sprzętom i narzędziom codziennego życia, co je wykopano w zapadłych onych miastach starych, — a zdziwisz się, ile tu smaku i poezyi, ile artystycznéj elegancyi! A wiesz dla czego? Oto te sprzęty wszystkie, że służą potrzebom fizycznym, tę fizyczność trzeba było zakryć, zidealizować, trzeba ją było owionąć tchem ducha, co jest swobodny i wolny, trzeba było i w tych drobiazgach okazać idealność istoty ludzkiéj, co, choć do materyi przykuta, kładzie przecież na niéj piętno duchowéj swobody. Pomyśl coby Grecya uczyniła z lokomotywy naszéj, gdyby ją zaznała, jakąby fantazyą ją przybrała!

Słowem, czego się ta Grecya dotknęła, wnet jakby czarem przybierało formy urocze, wdzięczne, boć ona była co się zowie ludem-artystą. Miło też było przed takim ludem popisywać się malarstwem, rzeźbą i nie żal było czytać mu choćby najgłębsze poezye, bo miał instynkt artystyczny w oku, w sercu, w słuchu! Ztąd też zdarzały się u niego rzeczy, które nam dziś ani przez myśl nie przejdą; naprzykład razu jednego Sofokles, młody poeta tragiczny, będąc dopiéro na dorobku swojéj sławy, zerwał się, by o prym pójść z Eschylesem, okrytym już dawno wieńcem jasnéj chwały. Zbierają się do teatru niezliczone tłumy widzów; po odegraniu obu tragedyj pytanie, która lepsza? —Wrzawa, spór zacięty, zagrzewają się serca i głowy, namiętności kipią; na szczęście, wśród téj burzy wchodzi do

teatru wódz naczelny Cymon, — on wraca z tryumfem z wyprawy perskiéj, za nim dziesięciu generałów, towarzyszy jego zwycięztw; więc laury na skroniach, więc w koło okrzyki radości, więc ciżbą tłoczą się tłumy z uwielbieniem w sercu, w oku, na ustach. Szczęśliwi jak bogi Olimpu, wojownicy wchodzą do teatru; w téj chwili lud okrzykuje wodza i generałów sędziami tragedyj. Nieprawdaż, że to dziwnie! coś podobnego nie tak łatwo by się dziś stać mogło, — Sofokles odniósł pierwszeństwo. Zważ, późniéj, po kilku latach, ten sam Sofokles, za napisanie swojéj tragedyi *Antygona*, został wraz z Peryklesem obrany naczelnym wodzem! Toć podobno jeszcze dziwniéj! to podobno trudniéj jeszcze dziś by się zdarzyć mogło! Lubo Perykles po skończonéj wyprawie orzekł o poecie: „nie ma co mówić, żołnierz dzielny, ale wódz nie osobliwy!“ Posłuchaj jeszcze, ten sam Sofokles, ot tak sobie poeta, był nawet i w starości troszka hulaką, więc na wesołych kompanijkach hojnie szafował majątkiem. Syn jego Jophon zażądał od sądu kuratora majątku, twierdząc, że ojcu dla późnego wieku zabrakło już rozgarnienia. Wesoły tragik pozwany staje przed sądem, ale, zamiast obrony, trzyma w ręku świeżo napisanego *Edypa w Kolonie*, przeczytał, i pyta — cóż się wam zdaje, mamże rozgarnienie? — Sędziowie odpowiedzieli grzmiącém twierdzeniem, a Jophon sprawę przegrał.

Jednak czas wielki na nas byśmy nawrócili do rzeczy! Widziałeś jak Hellada umie łączyć w harmonią ducha i materyą, jak tedy po mistrzowsku uduchownia świat fizyczny — naturę. Przecież właśnie z téj dążności zradza się ich wielobożeństwo. Bo gdy oni nie pojmowali istoty ducha saméj w sobie, ale w postaci zmysłowéj, ztąd téż ich idea bóstwa rozpromieniła się, rozszczepiła się na mnóstwo jestestw duchowo-zmysłowych; bo co zmysłowe jest zarazem jednostkowém, bo aby wiedzieć o Bogu jedynym trzeba pojąć istotę ducha jako czystą i wolną od materyi. Te bogi ich, z jednéj strony, są własną treścią człowieka uosobioną, a tak stają się pogodzeniem wewnętrznego człowieka a formy zewnętrznéj, lecz z drugiéj strony też bogi są potęgami, siłami natury, którym tu człowiek fantazyą nadaje znaczenie duchowe, użyczając im postaci ludzkiéj, czyniąc je osobami. Te bogi tedy są razem i treścią ludzkiego ducha (jego uczuciem, skłonnością i t. d. i t. d.) i mocą fizyczną, naturą, (np. znaczą powietrze, ogień, urodzaj i t. d.), one tedy łączą w sobie dwojakie znaczenie; a to właśnie dla tego, że Grek sam z istoty swojéj jest zespoleniem ducha i natury. Ta dwojakość istoty bogów okazuje się właśnie w tém, że widzimy w nich duchowość odzianą ciałem. Ale to właśnie jeszcze obszerniéj wyłożymy.

Tak niebios wysokości, obłoczne pałace, knieje ciemne, tajemnicze, i góry i strumienie, i morskie zuchwałe przestrzenie, kwiaty, wichry zaludnia fantazya grecka bogami i drobniejszą ich czeladką. Cała natura pełna duchów wcielonych, wszystko w koło oddycha, czuje, raduje się, smuci, tęskni i weseli niby człowiek. Cała głębia

piersi ludzkich i wszystko, co w nich żyje, jest wyczerpaném w tych bogach, przybiera ich kształty pełne poezyi; boć w tych postaciach ich jest nieskończoność, co świeci nieprzymroczonym nigdy piękności promieniem, i dla tego właśnie one są najwyższém fantazyi dziełem. Bogowie Hellenów są duchami, ale obleczonymi w ciało ze sercem ludzkiém; tak one przeto są harmonią ducha i przyrody, i dla tego znów właśnie człowiek sam siebie w nich przegląda.

Tutaj nie spotkasz widoku pełnego ohydy a poniżenia, owych głów zwierzęcych na ciele ludzkiém, owych potworów spaczonych, straszliwych. Te formy skręcone i zwierzęce kształty straciły tu na znaczeniu, one poszły jakoby na gawiedź dworską i służą u głównych bogów, przebrawszy się w satyry, syreny, trytony, nereidy, dryady, harpie; a co więcéj, ta cała niższa przyroda niekiedy jest tylko prostém godłem panów Olimpu np. paw' Junony, gołąbki bogini miłości, orzeł Jowiszowy. Nakoniec uważmy, że ta przyroda zwierzęca przypomina się lekkim odgłosem w saméj postaci głównych bogów; pan nieba potrząsa włosy niby lew grzywą, z czoła u Posejdona spływają kędziory, jako fale morskie burzą kołysane, Apollo wiatronogi, śmigły, lekki jakby jeleń skoczny. A lubo te bogi wszystkie są wprawdzie wyobraźnikami potęg natury, nad któremi oni czuwają, niby baczne ich opiekuny, jednakże ta strona przyrodzona ulatnia się i znika obok znaczenia duchowego bogów. Rzekliśmy dopiéro, iż każdy z tych niebian greckich wyraża głównie jeszcze jakąś treść żyjącą w sercu człowieka; nie rozumiéj atoli, że te bogi są jedynie jałowym symbolem, czczą allegoryą, abstrakcyą téj lub owéj serca ochoty lub zdolności umysłowéj. Owszem każdy z nich ma swoją historyę a żywot pełny wdzięku i uroku; fantazya tak bogata a lekkomyślna Hellady przypięła każdemu z nich jakieś powiastki genialne, a czasem nawet jakieś swawolne, awanturnicze komeraże i plotki. W tych jednak mitach i plotkach najczęściéj żyje myśl głęboka a znaczenie wzniosłéj mądrości, odzianéj w cały urok nadziemskiéj poezyi. Te mity rosły jakby kwiaty polne, bezświadome siebie; nikt ich nie siał; nikt nie sadził, one się same rozwinęły po różnych greckich ziemiach, jako dech i uczucie serdeczne różnych szczepów. Później dopiéro uszczknione, zwite w jeden wieniec, złożone zostały na ołtarzu boga, do którego się odnosiły, stanowiąc całość dziejów jego (*).

Chciéj baczyć: z postaci bogów spadły niedostatki i wszelka nieudolność ziemskiéj natury; ta postać, wolna od krzywd materyalnego świata, króluje na wysokościach w młodości wiekuistéj a w nieśmiertelnym wdzięku; a przecież — przecież każdy z tych bogów odziany jest postacią indywidualności pełną, nadającą mu charakter osobny, właściwy, odróżniający go od innych niebiańskich

(*) Ob. Vischera Estetykę o fantazyi różnych ludów, od § 434.

mieszkańców. Z drugiéj atoli strony, choć w tém wielobożeństwie, tak w sobie rozdzieloném, znajdziesz najwyższą rozmaitość indywidualną, choć w niém rozstrzelona jest, jakby różnobarwnym promieniem, całość treści duchowéj człowieka i jedność bożéj idei, toć znowu wszystkie te promienie, te różne bogi zlewają się w całość swobodną. Jakoż przewodniczy im wszystkim Olimpu Pan, ów niebowładny Zews; on jest ich wspólném ogniskiem i głową; jednak rządy jego nie są panowaniem ciężkiém, on niby pierwszy między równymi, więc zwykle to złagodzi, to pogodzi; tu pogłaska, tu poswata, czasem się zmarszczy i przywołuje do porządku; słowem, jak może radzi sobie z temi niebianami swojemi. Lecz krom téj powagi Jowiszowéj, jest jeszcze inne połączenie tych bogów, jest to ono głuche bezdenne fatum, owo przeznaczenie, będące niby ciemném tłem, na którém rysują się żywe, ciepłe postaci bogów i ludzi; ale to fatum grozi i straszy ludzi, grozi i straszy bogów nieśmiertelnych. Fatum samo jedno nie jest osobą, nie ma postaci, nie ma ciała; jest to głucha abstrakcya, moc przepaścista, bezdenna, nieznana, i dla tego tak okropna; jest to jako bezkształtna moc natury, a przecież rozumna, a przecież sprawiedliwa! Śmiałbym powiedzieć, że to fatum, co siłą nieznaną zawieszone jest nad światem, na którego wspomnienie przejęte są zgrozą i lękiem bogi wszystkie i sam nawet gromowładca Zews, — że to fatum, które wedle starych a niezłomnych wyroków strącić ma wesoły Olimp z wysokiéj świata stolicy, jest z jednéj strony jeszcze lekkiém zidealizowaniem, odgłosem cichym indyjskiego Bramy, a z drugiéj strony jest ciemném przeczuciem o innym Bogu — o Bogu, przed którym kiedyś zestąpią z podnóża Olimpijskie bóstwa i, opuszczając świątnice religijne, schronią się do artystycznych piękności przybytku.

Uważ następnie, że te niebiany łączą się jeszcze z sobą innym trybem, bo ogniwami natury; wszak one, jak wiesz, nie zaparły się bynajmniéj ziemskich serdeczności, więc ich wiąże urok wzajemnego pokrewieństwa i rodzinnych ogniw; ci dwoje, to brat i siostra; a tamta dama, toć znów córką onego boga; a owa pani, co tak harda i gniewna zasiadła obok Jowisza, co tak się sępi, a duma a myśli, to jego małżonka zazdrośna; zapewne doleciała ją jakaś świeża plotka o małżonku niewiernym; może pan Olimpu, jakto on lubi, incognito spuścił się na padoły ziemskie, a przebrawszy się za jakiego tam łabędzia, czy za obłok lub wołu zwykłe figle płatał. Znasz kopciem zaczernionego Wulkana; inne bogi nie rade się z nim parać, gdyż on „reprezentuje“ jeszcze jedną z potęg przyrodzonych, bo ogień, a oni przecież duchy z duchów, więc on nie równy im z pochodzenia a rodu. Wszyscy pamiętają, jak go niegdyś nawet wyrzucono z Olimpu na ziemię, z czego téż okulał. Teraz „intruza“ już jako tako „tolerują“, a co więcéj jeszcze, najszpetniejszemu z bogów najcudniejsza z niebianek, Wenus, oddała rączkę swoją — oczywisty „mezalians“! Ale cóż począć, kiedy tę biedaczkę tak już ogadali,

że już dla saméj „reputacyi“ swojéj zdecydowała się pójść za kulawego kowala. I dobrze obojgu z tém, boć niechaj sobie gadają co chcą, on tam nie dba na przycinki, plotki, dowcipki i komeraże. Zresztą, inni nie lepsi; nie jeden z nich ma pokrewnego w jakimś śmiertelniku ziemskim, więc gdy temu dokuczy jeden z olimpijskich mieszkańców, on u drugiego znajdzie protekcyą i dobrodzieja, co jakoś tę sprawę jego nadrobi i sprostuje.

Widzisz tedy, iż te bogi Hellenów, choć każdy z nich samodzielnego osobnego piętna, pod każdym względem wiążą się jednak w całość, a pod ich panowaniem nie najgorzéj jeszcze wiodą się rządy świata.

Jakie rządy na niebie, takie i na ziemi. Tutaj jeden duch, jeden ród Grecyi rozstrzelił się niby na różnobarwne promienie, na różne państwa, co choć drobne miniaturki polityczne, a przecież każde z nich miało pretensyjki do własnego piętna, i nawzajem, lubo każde gospodarzyło po swojemu u siebie, a przecież znów wszystkie wiedziały się być jedną całością. Wspólny język, wspólne bogi, wspólne pochodzenie i wspólny sąd, rozstrzygający spory między niemi, wiązały te ludki i ziemie różne w jedną całość; a przypominały ciągle tę ich jedność owe uroczystości zacnych zabaw a igrzysk, co, jako święta religijne a polityczne, od czasu do czasu pukały do serca Hellady, wzywając do wielkich czynów a szlachetnéj ochoty.

Jakby rzewną a wzniosłą epopeją spływały ludy starogreckie na święcone równiny, by oddać na tych igrzyskach bogom a raczéj własnemu duchowi cześć i chwałę.

Jakeś okiem puścił, szeroko, daleko rozlały się niby falą żywą o sercu wrzącém nieprzeliczone tłumy, co stojąc gronami, lub zasiadając na pagórach czy chodząc i prawiąc, gruppując się instynktem przyrodzonym piękności, gotowały się ku radosnéj chwili, kiedy urodziwość ciała, zwinność i moc, szlachetność jego ruchów i mężna odwaga pasując się z sobą wystąpiła w szranki. Tu przepych form ludzkich, dźwięczność muszkułów zagrała w postaci człowieka jako w arcydziele natury; w téj dzielności a piękności cielesnéj duch Grecyi siebie obaczył i sobie samemu oddał pokłon, bo w nich ujrzał uwidomienie swoje, boć w tych formach cudownych zamieszkał jako w przybytku swoim. Tak przeto stapiało się ciało i duch w muzykę niemą, widomą, pełną wymowy i dźwięku.

Przebrzmiały te poemata żywéj rzeźby, a cisza święta, uroczysta zamknęła słowa w piersiach wszechwidzów nieprzejrzanych; milczenie nabożne czcią przejęło duszę, — z wzniosłego pagórza toczą się słowa poważne, świąteczne.

Słuchaj — brzmią akkordy głębokie; teraz wieszcz przygrywa na lutni, przebiera w tonach, jak w barwnych promieniach ducha, i splata i wiąże dźwięki strun. Zamarł wszelki głos na ustach ludu, oczekiwanie napręża się, potęguje się serca jego uderzenie; bo lud przeczuwa, że pieśń wieszcza sprowadzi bogów na ziemię. Mistrz

z lutnią w ręku słucha dźwięku jéj złotych strun, i dusza jego tonie w błękitach niebiańskich pałaców; on miał poczucie bogów we własnych piersiach, bogi są w nim obecne, więc uwierzył w nie, więc je uczcił w sobie, on z bogami rozmawia na pieśni, on ich poufałym kapłanem. Ztąd wieszcz na tłumy ludu patrzy tak dumnie, on jakby wszystkich serc król, on wielomocny ich mistrz. Ta piękna Grecya, te ludy wszystkie i serca wszystkie, to jego państwo, on tém państwem włada jako królestwem a domem rodzinnym, jakby własną wolą swoją. Gdy się w nim odezwą gromem bogi, gdy go posiędzie ich potęga, wtedy, porwany ich natchnieniem, wznosi się, ulatuje z ziemi, wzbija się pod obłoczne dzielnice i z zawrotnéj wysokości patrzy na lądy, na morza, na miasta, toczy okiem po starych upłynionych dziejach i duchem widzi senne postaci nadchodzących pokoleń, i mierzy czas i waży żywych i umarłych, a pieśń jego tak dumna, tak hardego majestatu! On sam w promienistéj koronie rozdaje korony chwały najwyższéj, on bogów wybrańcem, przemawia ich językiem; myśli niebian, ich uczucia i potęga płyną jego pieśnią jak światłości rzeką.

Gdy dotknie umarłych, już tony jego lutni promieniem odzieją wzniosłą ich pamięć, już on ją postawi na jasnych wysokościach. „Kogo z żyjących z wysokości wspomni słówkiem, to słówko splata się w wieniec nigdy niezwiędłéj chwały, już on szczęśliwym wybrańcem; bez posągu, bez pomników rzeźbionych staje się nieśmiertelności synem, i żyć będzie na wieki w pieśni, bo pieśń na skrzydłach promiennych uniesie go w późne stulecia, w cudze narody, w obce lat tysiące.“ (Pindar.)

Innym razem, na innych igrzyskach, gdy oniemiała wesoła wrzawa, milczenie przeleciało po ludzkich rojach, znów z podwyższenia słychać głos! — Kto to? — Historyk czyta greckim ludom ustępy z ojcowskich dziejów, a tych ludów fale stanęły niewzruszone, zaklęte; cała ich dusza cofnęła się w serce, wszystkie ich zmysły utonęły w słuchu. Jako pierwszy powiew rannego wschodu dreszczem budzi śpiącą dąbrowę, a dąbrowa szepnie, zadrga w sobie, i zatrzęsie się drzewo każde, i zadygocze listek każdy, a niewidomy duch od listka do listka, od drzewa do drzewa rozniesie po całéj kniei tajemniczy szept; tak na głos przeszłości zadrgały dreszczem każde piersi, zadygotały najgłębsze uczucia, a niewidomy duch rozniósł po tysiącznym słuchaczu przeszłości głos. Cisza święta, uroczysta padła na ciżby tłumne, zatrzymał się dech, każdy słyszy tylko własnego serca gwałtowne bicie; te ludy wszystkie, choć tak różne, mają jedno serca uderzenie — jedno wielkie, wspólne serce. Stanęło nieruchome morze zgromadzonych tłumów, nad równiną żeglują milczące złociste obłoki; wszystko oniemiało, słychać tylko loty orłów, co płyną po wysokościach; słowa dziejów wionęły z ust proroka przeszłości i przywiały tchem cienie maratońskie i postaci z Termopilów i obrazy Salaminy. Po nad ludem kroczą widziadła ojców, słychać

ich pochód i oddech i szczęk broni i wołanie tryumfów. I patrz, każdy w téj ciżbie, choćby maluczkiego serca, choćby wątłego ducha, rośnie w olbrzyma, w bohatera, dźwiga się sam nad siebie. Bo wielka przeszłość jest wielkiéj przyszłości zasiewcą.

Przeminął już dawno historyka głos, umilkł prorok ojcowskich spraw, a w duszy ludu wzniosło, uroczysto, świąteczno; piersi każdego stały się jako panteon wysokich imion o jasnéj sławie.

Takie były zabawy, takie igry Greków! Widzisz jak w ruchach ciała, i w dziejach, i w pieśni Grek sam własnego ducha obaczył, jak wnętrzna, najświetniejsza treść jego znalazła w zacnéj formie zacne wyjawienie swoje, jakto ludy różnéj natury przecież spływały mocą duchową w jedną całość, nie zacierając atoli przyrodzonego piętna.

Wszak te same ludy łączą się jeszcze w jeden wielki naród mocą wyroczni, a te wyrocznie same, choć wiodą z natury poczęcie swoje, są jednak natchnione, zidealizowane duchem. W wyroczniach greckich: w Dodonie, w Delfach, proroczéj natura mocy; szeleszą liście, gaworzą gaje święte, szumią strumienie tajemniczą pogadanką; tam znów Pitya na trójnogu, owiana ziemskim wyziewem, bezprzytomna sobie, rzuca słowa bezświadome. Zaiste, szelesty i gawory drzew, pomruki wodne, ciemne wyrazy pityjskiéj kapłanki, toć jeszcze mowa tajemnicza bezrozumnéj natury; lecz kapłani ujęli te głosy duchem, wysłuchali z nich mowę bogów i przetłómaczyli ją na język poetyczny, pełen mądrości a harmonii; a tak i tutaj widzisz uduchownienie natury w najszlachetniejszém znaczeniu. Pomnij, gdy nadejdzie w Grecyi czas, w którym o prawdzie przemówi wyrocznia we własném wnętrzu człowieka, wtedy Grecya skona; lecz ten czas jest daleki; jeszcze żyją stare wyrocznie, jeszcze natura zewnętrzna uzacniona jest ducha jaśnią, jeszcze treść głęboka znajduje zacną a odpowiednią zmysłową formę swoją.

Patrz, ta harmonia, która, jak mówiłem, jest istotą Grecyi, wiąże też każdego z pojedynczych ludzi z kraikiem, w którym żyje; ogół téj drobnéj społeczności jest obrazem własnéj istoty jego, ogół i człek pojedynczy są wzajem siebie wtórowaniem. Ztąd też każdy człowiek jest tutaj jako posąg z jednego odlewu. Bo jego życie, jego sprawy, ochoty, jego wiara i myśli i uczucia są wszystkie z sobą w zgodzie, i w zgodzie jest człowiek z rzeczywistością, która go otacza. On więc zawsze jest jeden i ten sam. Tu przeto ojczyzna charakterów. Jakoż i charakter jest zgodą treści wewnętrznéj a formy zewnętrznéj, bo harmonią zasady i przekonania a całego wątku żywota. Gdy w Grecyi treść jest pełna, niesprzeczna z sobą samą, ztąd i żywot cały jest z jednego odlewu. Stulecia nowożytne są tak ubogie w charaktery, bo albo znajdziesz ludzi, co przędą to życie swoje jednostajnie, bez walki, bez treści, albo też są inni, których życie pełne treści, ale w ich piersi ta różna życia treść budzi co chwila inne moce, które same między sobą walczą, pasują się i szar-

pią a zwycięztwo każdéj z nich od chwili zależy; więc nie znajdziesz zgody i powiązania tych potęg, bo brak siły, któraby je ujęła i zestroiła akkordem. Nie dziw też, iż nie jeden, gdy go spłoszy rzeczywiste życie, chowając się sam przed sobą, cofa się jak ślimak do najskrytszego zacisza duszy swojéj.

W Neapolu, w oném światosławném muzeum, wśród oniemiałych dziś bogów, wśród orszaku bohaterów, co niby skamieniałą epopeją przemawiają do biednego wędrowca z północy; wśród tych wszystkich marmurowych cudów piękności, które po dawno już pochowanych świetnych stuleciach dostały się puścizną karłowatym pokoleniom, stanął, jako żywy wizerunek, posąg Arystydesa. Jestto jedna z tych postaci, co gdy je choć raz w życiu obaczysz, już nigdy więcéj nie ustąpią ze świętych głębin duszy twojéj. Taka postać, zamknięta w przybytku piersi naszych, może być przypylona kurzawą powszedniego życia, mgły słotne świata mogą ją pokryć jakąś oponą żałobną, ale przecież obraz téj postaci nie zamrze nigdy w sercu. W godzinach szczęśliwych, gdy choć na chwilkę zajaśnieje pogoda w wnętrzu naszém, gdy do ducha naszego, jakby do czystego przybytku, wstąpi posłaniec Boży i przyniesie pokój domowi temu, wtedy rozwiane są posępne tumany a rozświéci się ta postać cudowna i wystąpi w pełnym a cichym majestacie swoim. Widzisz jakby oczyma tu na jawie to oblicze nadziemskiéj ciszy a przecież tak pełne nieskończonéj treści; rysują się te kontury czyste, melodyjne, widzisz wszystkie fale spływających włosów, każde zagięcie miękkie draperyi. Tak jest, — wołasz ze czcią radośną i serdeczném zachwyceniem — toć to jest perskiéj dziczy pogromca! toć wybawca swojego kraju, toć jest ten obywatel co spokojnym ducha majestatem patrzał na rozhukany lud, który w złéj chwili zapomnienia nie mógł wielkiemu człowiekowi przebaczyć wielkości! i powiesz: tak jest, z tém obliczem Arystydes przechadzał się wśród tłumów nieopatrznych, gdy one tego najzacniejszego syna Aten wskazywały na wygnanie; z tém też obliczem głębokiego pokoju wrócił, gdy kraj znowu jego usługi potrzebował; to jest całkowity, to jest klassyczny człowiek! Nie będę tu prawił o piękności artystycznéj dzieła tego, które jest arcydziełem sztuki; wszak sam Thorwaldsen nawet oznaczył na posadzce miejsce dla widza najstosowniejsze do wpatrzenia się w to dziwo piękności; ja przywodzę je tylko jako najpotężniejsze, najzacniejsze objawienie się charakteru. Kogóż nie uderzy ta powaga, ta moc woli, niby ze śpiżu ulanéj, a jednak splecionéj z nieskończoną słodyczą i uśmiechem dobroci, ta niebiańska jakby pośmiertna spokojność na téj twarzy, obok najwyższego udziału w tém wszystkiém, co innych boli i weseli? Tutaj widzisz treść ogromną duszy, treść ogarniającą wszystkie stosunki człowieka, a przecież spływającą z sobą głębokim i pełnym wdzięku akkordem. Tutaj, w téj twarzy marmurowéj a tak jaśniejącéj życiem najwyższém promieni się zgoda człowieka ze światem, z ludźmi, z losem i z sobą

samym. Cała ta postać otulona płaszczem, nawet rękę znać tylko z pod szaty, trzyma ją na piersiach; a przecież ten charakter, ten sam duch płonie w całym marmurze, niby w czystém kryształowém przezroczu, żyje w każdéj linii, w każdym zarysie, w każdym załomku téj szaty jego. A przecież, a przecież to nie zjałowiały pedant o skurczoném sercu, to nie pełen cynicznéj pychy stoik; on Grekiem, on zna życia radośne wesela, ale je uszlachetnił, on je umiał uduchownić i podnieść do zacności obyczaju i utulić artystycznym wdziękiem. W nim tedy zaślubiona treść człowieka z jego formą, bo żywotem zewnętrznym, w nim zespolony duch z naturą; tu przeto klassyczność występuje w całéj potędze swojéj. Dla tego wierzaj, że taki posąg, taka postać może być tylko wizerunkiem Greka; tu znać, że Arystydes jest także artystą w najszlachetniejszém znaczeniu; samo życie jego jest arcydziełem sztuki jego, ten żywot jest także posągiem, jest formą doskonale objawiającą treść wewnętrzną ducha. Patrząc się na tę postać, czujemy, że człowiek takowy mógł rozgrzać zacnością, wznieść szlachetnością całą społeczność swoję, mógł się treścią ducha podzielić ze wszystkimi, a przecież zbogacić jeszcze samego siebie tym podziałem. Wstyd bierze nowoczesną Europę, gdy pomyśli jakich to Hellada rodziła mężów! Cóż dziwnego, że jakby z instynktem własnego niedostatku w sercu, rzucamy się pełni tęsknoty w objęcie owego ludu, że radzi otrzéć się o niego choć myślą, by przecież, ile siły naszéj, samych siebie uzupełnić. Zaiste, uczucia nasze, myśli nasze, wypuszczone z duszy, jakby pszczółek rój, ulatują po nieśmiertelnych kwiatach Grecyi, pijąc z nich osłodę i pokrzepienie w życia naszego goryczy i omdleniu duchowém.

I chciéj baczyć, że jaki był tu żywot pojedynczego człowieka, taka téż była historya całego ludu tego; jak wielkie charaktery, będąc mistrzami siebie samych, wyrabiały się na własne arcydzieła, tak téż cała Grecya artystyczną potęgą stworzyła swoje dzieje niby rzeźbą cudowną. Żaden kraj, żaden naród, nie miał takiego żywota, coby był tak zupełnie całkowitością ukończoną w sobie, tak doskonałém objawieniem wewnętrznéj treści. I historya Hellady jest z jednéj sztuki, z jednego odlewu, ona jest zawsze wierną saméj sobie. Grecya nigdy nie zaznała różnorodności sprzecznych sobie pierwiastków, co przywiane z obcych ludów, z obcych stuleciów, matwają się z sobą, a tak czynią zbyt często narody niepodobne do siebie samych. Grecya od nikogo nie pożyczała swoich obyczajów, zwyczajów, swoich praw i religii; bo cokolwiek z obcych żywiołów w pierwszych czasach do niéj przyplątać się mogło, toć ona przeistoczyła w sobie nie do poznania, przerobiła na własną krew, na własne soki, a tak rozwijała samoistnie dzieje swoje.

Ona sama sobie wymyśliła początek pradziadowéj historyi swojéj, ona niby sama siebie poczęła, sama siebie zrodziła; Grecya wszystko sobie saméj winna, ona jest własném swojém dziełem. Ztąd téż, nad wszystkie inne historye, historya Greków tak jest

ucząca; jest-to wzór dziejów narodu, jest-to wyrocznia historycznéj mądrości. Tu nie ma gwałtownych przeskoków, ani przerw w wątku żywota, tu nie ma cofania się przed nowym postępem, tu nie ma zaparcia się siebie. W tych dziejach każda epoka tak przezroczysta i zrozumiała, w każdéj epoce możesz policzyć pulsa, podsłuchać pukanie serca tego ludu, tu nie ma zagadkowych zjawisk; Grecya od kolébki do skonu nigdy nie odstąpiła siebie. Te dzieje są iście dramatem artystycznie ukończonym w sobie; rzekłbyś, że jakiś arcymistrz odważył wszystkie figury, wszystkie akta, każdą scenę w téj cudownéj kompozycyi. Czytając te dzieje Grecyi widzisz w nich prawidła jak naród się rodzi, rośnie, dosięga szczytu swojego, zstępuje z niego i kona.

Niechaj nas tedy nie dziwi, że grecki historyk, opisujący dzieje ojczyzny swojéj, jest również artystą, mistrzem; jego opowiadania i przedstawienia, to plastyka cudowna, to marmurowe rzeźby, nic dodać, nic ująć nie zdołasz. To są arcydzieła; a przecież są u nas, którzy nie pojmują, za co to literatury i języki starożytne są uznane za warunek wszelkiego wychowania rzetelnego — „wszak wystarczą nam tłómaczenia!“ wołają zewsząd. — Tłómaczyć ich nie można, boć to są dzieła sztuki, mające nie tylko treść ale i formę, tu forma artyzmem; i o nią to właśnie chodzi, ona jest rzeczą. Tłómaczenie! Dla czegoż każdy się zgodzi, że litografia nie zastąpi ci oryginałów Rafaela, a litografia przecież odda ci zupełnie treść jego obrazów? Treść jest dana, forma zaś to dzieło ducha!

Zrozumiész przeto, że ta historya Hellenów, tak w sobie jednolita, tak artystyczna, gdy stanęła na szczycie swojego żywota, rozwinąć się musiała najwonniejszym kwiatem swojéj istoty, bo czcią i hołdem serdecznym dla wdzięków i urody duchowéj, dla istnéj piękności. Wszak to właśnie w samo południe chwały greckiéj pojawiła się w Atenach Aspazya, co jakby gracya niebiańska zamieszkała wśród ludzi; a patrz! Perykles, ten szlachetny wielki człowiek, co skinieniem swojego geniuszu prowadził losy swojéj ojczyzny, ten Perykles zaślubił sobie Aspazyę, a tym trybem uwidomił śluby historyi i wdzięków w Grecyi. A jak u Hellenów jedna i taż sama świątnica bywała przybytkiem Muz i Gracyi, tak téż dom Aspazyi stał się świątnicą, kędy się zbierali wybrańce muz, ludzie jaśniejący chwałą to w umiejętności, to w sztuce, to genialnym dowcipem. Wszakże nie sama piękność ciała była magiczną siłą, którą czarowała Aspazya, ale raczéj te powaby niewymowne duszy, woń rozmowy, wdzięki uroku pełne trzymały wielkich mężów jakby w zaklęciu misterném. Wymienię kilku z tych ludzi; oni zaiste ludźmi nie na małą stopę! Bywał w domu Aspazyi najprzód głęboki Anaxagoras, który pierwszy wyrzekł, że pod szatą rzeczy zmysłowych, że na dnie gry atomów żyje w świecie myśl, co rządzi wszech jestestwy, a tak w jego filozofii pierwszy raz z głębin ciemnych natury spojrzały na człowieka jasne oczy ducha. Obok filozofa, Phidias;

wszak usta nasze jeszcze w pacholęcych latach wymawiały ze czcią to imię, a dziś kornie pamięci jego oddajemy cześć, boć on arcykapłanem piękności! Daléj Sokrates, męczennik prawdy, co gotował ścieżki wyższym jeszcze prawdom w dziejach ludzkiego rodu; daléj Alcybiades, awanturny geniusz, co wielki w cnoty, wielki w występki, w światła i cienie, co potężnym wrogiem i potężnym ratownikiem ojczyzny swojéj, choć błyszczącéj sławy, był przecież zwiastunem, iż w Grecyi już dojrzewa choroba i śmierci zaród. Wszyscy ci ludzie, pomijając innych, znajdowali wdzięczną rozkosz w towarzystwie Aspazyi; te imiona, toć świeciste gwiazdy, które ona wplotła sobie w kwiaty wieńca swojego. Przyznasz, że ten „salon literacki“ Aspazyi nie ma dziś równego sobie w świecie, boć w nim bywali ludzie, z których każdy w swoim sposobie stanowił epokę w dziejach ludzkiego rodu. Od tych imion liczymy wypadki obchodzące świat cały; one nie do historyi greckiéj należą, one są historyi powszechnéj własnością.

Uważ naprzykład jednego z nich — Sokratesa; on uczynił zwrot myśli człowieka. Na samotnych przechadzkach niekiedy stawał, jakby martwym posągiem, jakby bezprzytomny siebie, nie słysząc, nie widząc wrzawy światowéj i ruchów powszedniego żywota; lud nazywał te stany katalepsyą, chorobą, snem na jawie i litował się nad biednym nauczycielem; aleć to raczéj ten lud sam śnił na jawie, świat to współczesny drzémał bezprzytomny. Te chwile wrzekoméj bezprzytomności były chwilami świętemi, bo duch nieskończony, wszechobecny i przytomny we wszystkiém, co jest, obecny więc i w człowieku, wybrał sobie za pierwszego świadka a kapłana swojego czyste Sokratesa serce, zapukał w duchu mędrca i dawał mu znać o sobie; i słuchał mędrzec pukania tego; to nie bicie serca jego ciała, toć serce świata w nim biło. I słuchał Sokrates tajemnych szeptów, uczących o najwyższéj bezwzględnéj mądrości. Tak sam zwlokł z siebie zwyczajnego codziennego człowieka, a gdy z utonienia nawrócił do siebie, nie rozumiejąc, co mu się stało, wmawiał w siebie, że jakiś geniusz (demon) w nim szepcze. Wyrzekł przekonanie, że człowiek w sobie ma miarę wszech rzeczy, że się niczego ze zewnątrz nie nauczy, że uczenie się jest rozwijanie treści wewnętrznéj naszéj, jest wyśledzeniem tego, co od wieków w nas zarodem spoczywa. Słuchaj jeszcze: gdy Sokrates tonął w przepaściach duchowego poczucia tego, gdy na poły tylko sam rozumiał wieszczę głosy przemawiające w nim, a tęsknił rzewnie, a bolał za uczniem, coby zdołał rozsnuć te myśli jego, zdarzyło mu się jednéj nocy, że go nawiedził proroczy sen; śniło się bowiem jakoby piastował na kolanach młodziuchnego łabędzia, a łabędź ten tak był śnieżnéj bieli, tak cudnych kształtów, tak luby a potulny, że się już nim nie mógł dość nacieszyć, napieścić. Lecz, patrzy, a tu o dziwy! młode skrzydła ptaszęcia nagle zaczęły rość i rość, i rosły w olbrzymie loty, i o dziwy! łabędź zaśpiewał cudowną, wdzięczną pieśnią

i rozwinął te loty swoje i uniósł się w górę, uleciał nad ziemię, i wyżéj i wyżéj ulatywał, i wyżéj i wyżéj dzwonił pieśnią swoją, wzbił się nad świat, i śpiewając zniknął w niebie! Nazajutrz, gdy Sokrates myślał nad tym dziwnym snem swoim, przyprowadzono mu nowego ucznia, młodego *Flatona*, który, gdy urósł w skrzydła geniuszu, z wysokości nadświatnych zaśpiewał, wszystkim stuleciom i wszystkim rodom przyszłości na podziw, mądrości pieśń.

O tym śnie Sokratesa, o łabędziu, pełna była wszystka starożytność i wierzyła marzeniom proroczym, a wyznaj, że ta powieść, idąca z pokolenia w pokolenie, nie tylko poszła uczniowi i mistrzowi na cześć, lecz i na chwałę całemu ludowi owemu, co umiał tak wielbić wielkich ludzi swoich, że ich aż odziewał poetycznym fantazyi urokiem.

Chodzi i druga wieść z pokolenia do pokolenia. Oto szeptano sobie, że ten Sokrates, co mądrością swoją dał hasło nowéj epoce w dziejach świata, że ten Sokrates sam tęsknił miłością ku Aspazyi! A Aspazya? Aspazya nawet miała pisywać do niego jakieś poemata, jakieś dźwięczne wiersze, niemi go pocieszając. Oto głęboka mądrość znalazła siebie, przejrzała się we wdzięku niewieścim.

Przecież dość tych moich bladych zarysów owego pięknego i pełnego życia, co kipiało całym warem uczucia i świeciło całą barwą radosnego wesela. Tutaj wszędzie a wszędzie we wszystkich sferach rzeczywistości znajdziesz cudowny zestrój treści wewnętrznéj a zewnętrznego objawu. Wszak widziałeś tę harmonią ducha Hellenów i z naturą geograficzną ich kraju i ze szczepowém ich pochodzeniem; widziałeś jak się u nich splotła powinność z rozumu płynąca z tęsknotą sercu wrodzoną, jak nawet potrzeby cielesne były uzacnione tchem duchowym. I też same wdzięczne akkordy dwóch wtórujących sobie światów właśnie sprawiły, że człowiek, czując się współdźwiękiem wszech rzeczy, wszędzie sam obaczył siebie, bo wszędzie uduchownił materyę i nawzajem wszędzie ducha ubierał w szaty materyi; więc obaczył się też i w swoich bogach, w tych jestestwach duchowo-zmysłowych, ujrzał się całkowicie w społeczności swojéj i w igrzyskach swojego ludu, i w dziejach własnéj ziemi, i w wielkich ludziach tych dziejów. Otóż i sami ci wielcy ludzie byli artystami swojego żywota, i widzieli się we własném życiu, tak jak się widział historyk-mistrz w arcydziele swojém, jak się przejrzał mędrzec ich w najwyższym wdzięku niewieścim. Tutaj wszystko jest artystyczném, bo wszędzie duch przybiera na się ciało godne jego istoty nieskończonéj, słowem, co było w głębiach ducha występowało radośnie na jaw; cały człowiek wewnętrzny wypowiedział się na zewnątrz.

Inaczéj przeto tam było, niż w naszych posępnych stuleciach o namarszczoném czole; w Grecyi dusza rozkwita tysiącznym pączkiem wiosennym, a choć te kwiaty jéj z ziemi zrodzone, przecież kąpią się w powodzi światłości słonecznéj, pojone rosą niebiańską, pieszczone

powiewem promiennego dnia. W nowożytnych serca dziejach inaczéj bywa. Najzacniejsza, najświętsza treść duszy wtedy się rodzi, gdy życie zgaśnie dokoła, gdy oślepną wszystkie zewnętrzne barwy i światła; wtedy dopiéro w przepaściach duszy wschodzą gwiazdy, i płoną i goreją niewidzialne dla ludzi, zapoznane od świata; ale ufajmy, że ten sam Bóg, co na miłości skrzydłach unosi się od planet do planet, od słońca do słońca, tą samą miłością, którą strzeże firmamenty przez siebie stworzone, jest téż obecny tym gwiazdom, zrodzonym w piersiach śmiertelnego człowieka. A choć je zapoznają ludzie i nie przeczuwa świat, Bóg zna te gwiazdy, i kiedyś zabierze je do swojéj chwały, by były klejnotem, strojącym Jego nieskończoności tron.

I Grecya umarła, ale wszystkie zacniejsze ludy, ludy-wybrańce dziejów oddały cześć téj uroczéj dziewicy. Grecya umarła, „bo wszystko co piękne umiera“, bo duch nigdy nie zdoła na zawsze zaślubić się skończonemu światu i materyi śmiertelnéj; te śluby zradzają wprawdzie piękności dziwy, ale te śluby są doczesnemi ślubami, piękność nie jest jeszcze najwyższą prawdą; duch jest wiekuistości synem, on przerasta materyą, zrywa związki z doczesnością znikomą, ona mu nie wystarcza, a wtedy piękność kona. Nie dziw tedy, że Grecya umarła na piękność, będącą jéj żywotnym pierwiastkiem.

List Dwudziesty Pierwszy.

Grecya.

(Dalszy ciąg.)

Pestum. — Świątnice posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiéj, jako ściśle klassycznéj. — Wróżba o skonaniu Hellady. — Mit o Prometeuszu i Herkulesie. — Torso belwederski Herkulesa. — Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiéj, zatém rzeźba jest sztuką najwięcéj celującą w Helladzie. — Wysokie znaczenie urody cielesnéj u Greków, ztąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota. — Uczta ateńska i Sokrates.

„Jeszcze chwileczkę cierpliwości, signori! jeszcze troszkę, a staniemy na miejscu!“ Tak wykręciwszy się na koźle do ciebie przemówił veturino, chłop przepysznych kształtów, piękny jak posąg z bronzu i zaświecił oczami dużemi, co wilgotne a płonące jako węgiel żarzący, a zaświecił śnieżnemi zębami i poprawił kapelusza, zrzucił do reszty kurtkę aksamitną, zawieszoną na lewém ramieniu,

zatrząsł kolczykami i zaciął konie, a rześko daléj a daléj popędziły koła po równinie brunatnéj, przepalonéj na popiół.

Słońce bije pionowo w ziemię i ssie z niéj ostatki życia; natura w koło mdleje w żarach skwarnych; oddychać jéj ciężko. Tu i owdzie po pustkowiach głuchych zabłąkały się jakieś drzewa chude, jakieś krzewy ubogie, a te drzewa i krzewy smętne, samotne wygnańce ze szczęśliwych stron; żaden powiew nie ucałuje ich liści biednych, żaden szept nie pocieszy; stoją w milczeniu oniemiałe. Powietrze rozpalone płonie, dygoce, skacze, więc się zdaje, że wszystko w koło się rusza, i trzęsie się i łamie, niby febryczną gorączką dotknięte. Każda gałązka na drzewie drży, wije się, łamie z osobna; rzekłbyś, że to drzewo potwór sturęki, że to ramiona olbrzymich gramolących się polipów. Równina bura, głucha, ociężała zaległa cię w koło zaspana, i marzy bezprzytomna, a słońce strzela ogniem i pali żarem; słyszysz tętna bijące w skroniach, czujesz wary we własnych pulsach.

Tu i owdzie pastuch na poły nagi, wycieńczony, schorzały przepędza krowy i kilka kózek; tu i owdzie siedzi i duma chatka obdarta, wykrzywiona, spaczona, i sapie i ziewa, a gdzie niegdzie rozlały się błotne młaki, co dyszą złośliwym wyziewem, w nich rusza się gad, nad niemi chmury komarów; w trawach przepalonych świerszczą świerszcze, — toć jedyny głos wśród grobowéj ciszy. Nad równiną burą sklepi niebo złociste błękity swoje; one tak głębokie, czyste, pogodne, jakby wesołe, wiecznie spokojne mieszkanie starych bogów téj ziemi. A tęskno ci do tych gór, co w dali się piętrzą jakby ziemskie pałace tych bogów szczęśliwych; tam na wysokościach wieją chłody, tam szumią strumienie świeże; tam co żywe, oddycha szeroko, głęboko, a kontury szczytów, lekkie, eteryczne spływają z jasném nieba tłem. Te góry, niby napowietrzne grody, ochuchane to złotem różowém, to fioletem promiennym; a te barwy tak lekkie, tak czyste, jakby rumieniec pierwszéj miłości dziewiczéj; te góry tak eteryczne, przezroczyste, jakby malowania na szybie kryształowéj przeświecanéj światłem słonecznem.

Pędzą daléj a daléj koła równiną skwarną, spiekłą. Gdy puścisz okiem po tych pustkowiach głuchych, po tych umarłych bagnach i stęchłych młakach, uwierzysz, że tu czatują w lęgowiskach swoich wrogie febry, nieprzerwane nigdy, idące smętném dziedzictwem z pokolenia na pokolenie, niby jedyna spuścizna tych pastuszków nagich, co, jako upiory przed śmiercią, wloką to życie nędzne, starzejąc się za młodu; uwierzysz, że obok febry jadowitéj hulają tu jadowite węże, jedyne żywe stworzenia, którym tutaj zdrowo i ochoczo. Znów wykręca się na koźle veturino i pokazując biczyskiem w dal, woła: „Vedete — Pesto!“ Zdala na równinie rysują się budowania jako grobowce stare; są to pradziadowe świątnice pradziadowych lat, cel twoich pragnień i wycieczki z Neapolu. One dziwnie się odbijają

na tle płynnych szafirów morskich fal, co posypują się siejbą złotych iskier w promieniu słonecznym.

Tak jest, to Pestum Rzymian, a niegdyś Posidonia Greków. Ta tu równina, co dziś jest cmentarzem niemym, lęgowiskiem moru i zdradnéj zarazy, a panowaniem zatrutego gadu — niegdyś, przed bardzo dawnemi laty, była onych Sybarytów rajską ojczyzną; bo Pestum to osada ze Sybaris! Tutaj przeto mieszkał ów ludek z uśmiechem nigdy nie zwiędłym na ustach, co duszkiem spełniał wszech uciechy i radości ziemskie; tutaj to on żył i śpiewał, tutaj się kochał i pieścił, tutaj rozkoszował, ciesząc się niezamąconém życia weselem; on to przetłómaczył sobie całą treść życia i świata i natury na rozkosze doczesne, i płynął mu wiek mlékiem i miodem wśród woni róż. Zaiste, wśród róż, bo cała starożytność sławiła Posidonii róże, co dwa razy do roku rozwijały przepych swojéj cudobarwnéj woni. Choć Rzym późniéj śpiżową pięścią zadławił życie rozkoszne, pełne słodyczy i wdzięku, i zabił kwiaty w ludzkich sercach, toć te róże zostały, a umizgały się do nich rzymskie wieszcze. Wirgiliusz wyznaje, że gdyby nie był party pośpiechem, jeszczeby zawrócił statkiem i dobił do brzegów cudnych i zaśpiewałby o kwiecistych ogrodach bujnych, hodowanych troskliwą miłością — zaśpiewałby o różach, co dwa razy do roku roztulają liście wdzięczne chuchając zapachem. A ten biedak Owidiusz, wygnaniec ze stolicy świata, wykwintu i smaku, za to iż podobno wmięszał się w miłostki Julii, onéj zbyt tkliwych uczuć córki Augusta — ten Owidiusz, marząc gdzieś na północy i biedując wśród Getów, zaklinając się woła: „Wprzód Babilon nie zazna ognistych skwarów, wprzód Pontus straci mrozy swoje, wprzód nagietki apteczne zagłuszą wonie pesteńskich róż, niż.....“ i t. d. A Martialis, co tak dowcipny a ucinkowy, choć człek o ciepłéj duszy, pragnąc obłaskawić dla siebie serce jakiéjś rzymskiéj damy, zapewnia, że jéj usta walczą o prym z różami Posidonii.

Patrząc się dziś na tę naturę głuchą, co niby całunem ciemnym, śmiertelnym rozwlekła się nad życiem wszelkiém, zaiste, one wieści czarowne o starych stuleciach, są jakby snem i niby senném marzeniem; zdaje się też, gdy pomyślisz, żeś to dopiéro wczoraj wyjechał z Neapolu, zdaje ci się, że na setki mil gdzieś zostały one pomarańcze i pieśni wesołe, one makarony i bukiety, tarantelle i kawiarnie szkliste, Wezuwiusz i pulcinelle, okręta masztowe i osiołki dzwoniące, one oficery świeciste i damy o strzelistych oczach, lemoniady i serenady i pomidori!

Stanąłeś przed nędzną locandą, dochodzisz do onych budynków, które dźwigły stare czasy, na pół tysiąca lat przed chrześciańską erą; należą one do najszczęśliwiéj dochowanych pomników po Grekach starych. Jakoś ci w sercu świąteczno, uroczysto, niespokojnie, bo masz obaczyć dziwy, o których ci się niegdyś w młodości przyśniło!

Teraz już zatrzymujesz się w obec najwyższéj z trzech budowli, patrzysz się na świątnicę *Poseidona*, co go Rzymianie Neptunem nazwali.

Ale czy to doprawdy ta sama świątnica, o któréj tyle się nasłuchałeś, naczytałeś, która ci tak często obrazem wplotła się w marzenia twoje? To budowanie przed tobą takie drobne, takie nikłe! wszak ono nie wyrównywa ogromem nawet w części wielkim świątnicom chrześciańskiego świata!

I żal ci się robi na duszy i smutno ci. Spodziewałeś się gwałtownych wrażeń, olbrzymiego dzieła, coby zatrzęsło całą istotą twoją, a tu budowanie tak skromne, ciche! czyli to znów jeden z zawodów w życiu? Radbyś podziwiać, bo cię wstyd, że cię jednego niby nie rozpala uniesieniem widok, którym się wszyscy zachwycają; więc zaledwie sam sobie wyznajesz, żeś nie tego się spodziewał! Może ten brak wspaniałości spodziewanéj pochodzi téż ztąd, że ta świątnica nie należy jeszcze do czasu najwyższego rozkwitu sztuki helleńskiéj, to nie geniusz Peryklesowych czasów, który stawiał te świątnice, więc téż dla tego one nie zagrzewają chętnéj miłości twojéj.

Pocieszając się radbyś tedy obaczyć w tém budowaniu choć pomnik starych wieków i ludów, co dawno już przemknęły się sceną historyi; wpatrujesz się w wyszczerbione głazy, śledząc tropów wielkich wydarzeń, które tędy przeszły, zanim przebrzmiały jako jęk ostatni wędrowca na głuchéj pustyni. Zioła, krzewy, kwiaty powiewne wyrosły na połamanych murach i umaiły zwietrzałe ciosy; toćto wianek śmiertelny, którym natura ustroiła skronie przeszłości zmarłéj.

Ale, wśród dumania, wśród marzeń twoich cóś zadrgało w tych głazach! cóś gada w tych martwych ciosach! I patrzysz i oczyma toniesz w zwaliskach, a one się ruszają, i jakieś dźwięki dziwne wionęły po gruzach, gruzy zmartwychwstają, kolumny rosną, dźwigają się majestatem, rośnie potęgą kapitelów, biją wdzięczną falą linie, grają światła i cienie. To budowanie, dopiéro tak skromne, drobne, teraz urosło olbrzymem! jakże wspaniałe, uroczyste, jak poważne i pełne grozy! schyliłeś czoło oddając wielkości zapoznanéj przez ciebie pokłon i cześć! Teraz cię wstyd, żeś wielkość massą mierzył, żeś ją mierzył na stopy i kroki! — Wszak na naszéj północy chodzą wieści o dziwnych obrazach malowanych; w zaśniedziałych ramach bieleje jakaś postać zapomniana, obraz spłowiały, przypylony o omdlałych zarysach; mówią téż ludzie, że są pewne dnie i godziny nocne, gdy rozświécą się barwy, gdy postać ożyje, odetchnie, wystąpi z ram i odrodzona wdziękiem cudownym rozpowie dzieje swoje; lecz usłyszy, obaczy postać uroczą tylko ten, kto w łasce, kto rozumie mowę duchów — kto ma oczy ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu. Tak, bądź w łasce, znaj się na mowie duchów, zapadnij w tych gruzach całém sercem, całą myślą, a ze starych, spłowiałych rozsypisk wy-

stąpi piękności geniusz, i obaczysz postać jego odrodzoną wdziękiem cudownym, obaczysz ją na własne oczy twoje — ogromną, niebotyczną. Jakimże dziwem ta świątnica tak skromnych wymiarów urosła w tę wspaniałość wzniosłą, w ten majestat dumny a potężny? — Bo to budowanie jest ducha wcieleniem, bo jest harmonią skamieniałą, bo w niéj wszystkie szczegóły, każda kolumna, każdy kamień, każda linia spływa wspólnym akkordem z całością; dodaj, zmień, ujmij choć drobnostkę, a już znieważysz tę harmonią, pełną tak cudownych dźwięków i obrazisz ją tonem fałszywym. Jak w organizmie ludzkim, w tém arcydziele stworzenia, każdy organ, każdy członek odpowiada każdemu innemu w szczególności, a tém samém całéj budowie żyjącego jestestwa; tak też w téj architekturze cudownéj zespolenie wszystkich szczegółów czyni z niéj organizm dziwnego zestroju, co brzmi i śpiéwa, jakby one starodawne muzyki kościelne, co tak proste i rzewne, a przecież budzą wtórujące dźwięki w piersiach twoich, nawet tobie samemu nie znane. I to jest zaprawdę cała tajemnica téj potęgi czarodziejskiéj, którą ten stary budownik grecki przygrywa na strunach duszy twojéj. Bo zważ — i duch nasz jest także całością, także ogółem pełnym treści różnéj; on jest morzem uczuć, myśli, tęsknot, wyobrażeń tak różnych między sobą a związanych przecież jednością harmonijną; więc dla tego też ma za mieszkanie dane sobie ciało, które, będąc również doskonałém zestrojeniem rozmaitości w jedność, jest wyrażeniem zmysłowém, godném téj harmonii ducha naszego. Ztąd też to budowanie greckie jest jakby zwierciadłem duchowéj istoty; w niém przeziera się duch nasz i w niém znajduje ducha ludu, który je stworzył. Ten starodawny lud umarł dla zmysłowego świata, ale część jego wiekuista oddycha w tych głazach martwych, ona z niemi zaślubiona, ona odziała je nadziemskim urokiem; więc byleś miał oczy duchowe, a już przez organizm kamienny téj świątnicy, przez to głuche ciało głazów dojrzysz ducha, który w nich mieszka, a on cię powita jako brata w piękności; on, choć dawno umarły i zapomniany od ludzi, dla ciebie wieczne młody, wiecznie odradzający się nieskończonym wdziękiem. Zrozumiesz tedy, dla czego ta architektura jest tak wspaniałości pełną, dla czego ona się dźwiga tak dumnym majestatem!

Widzimy także jak się tutaj w architekturze najprzód prawdzi zasada wyrzeczona o Grecyi w liście ostatnim, że w niéj duch w dziele sztuki znajduje doskonałe wyrażenie swoje jako we formie zupełnie odpowiedniéj; a tak i budowanie Hellenów jest klassyczném budowaniem.

Stary Egipt przez całe swoje życie szamotał się i łamał z materyą, a łamał się z nią aż do śmierci, aby ją przezwyciężył; ztąd olbrzymie rozmiary jego budowania, ztąd ogrom straszliwy jego granitowych ciosów, ztąd chmurotyczne piramidy, a praca niesłychana, niewypowiedziana męka są jedyną oznaką jego tryumfów nad mar-

twą, głuchą materyą; lecz ta architektura jego nie jest jeszcze wizerunkiem istnym ducha, w niéj nie znajdziesz organicznéj harmonii, onego zestrojenia rozmaitości szczegółów w jedną całość. W Egipcie, równie jak w Indyach, w Chinach, nie obaczysz architektonicznéj całości; możesz dobudować drugie tyle gmachów, komnat, dziedzińców, bram; możesz zburzyć ich połowę, a całości nie pogwałcisz, bo jéj tutaj nie ma. Tak podobnie dzieje się w naturze nieorganicznéj — możesz roztrącić ów kamień, a każda część będzie także kamieniem, tylko drobniejszym. W Grecyi nie znajdziesz tych wymiarów tytanicznych, bo ona nie pragnie już grubych tryumfów nad materyą, samą tylko mocą siły fizycznéj dokonanych; te tryumfy są li ujemne, negacyjne, one są mniéj godne Hellady; jéj tryumfem jest raczéj uduchownienie głazów, zatém jéj celem jest architektura, będąca symboliczną mową jéj ducha.

I zważ dobrze, owa harmonia wszystkich części nie jest bynajmniéj harmonią dla samego tylko oka, nie jest samym zestrojem estetycznym; tu zestrój a wzajemne zestosowanie wszystkich części jest ugruntowane na technice, jest obrachowane wedle praw mechaniki, statyki, tutaj najściśléj obliczona ciężkość, moc materyału. Otóż, jak nie możesz zmienić najdrobniejszych szczegółów bez znieważenia piękności ogółu i zgwałcenia estetycznego uczucia, tak też zmiana tych szczegółów byłaby zgwałceniem praw mechaniki, nadwerężającém moc i trwałość budynku. Co tu jest pięknością artystyczną, jest zarazem techniczną potrzebą, i nawzajem; w budowaniu greckiém możesz rozumowaniem wyprowadzić znaczenie każdéj części. Podobnież, gdy cię uderza proporcya i piękność członków w jakiéjś postaci ludzkiéj — możesz śmiało wnosić o sile i czerstwości człowieka tego. Chciéj baczyć, ta zgoda artystycznéj piękności z potrzebą techniczną jest właśnie zgodą i harmonią ducha a materyi. To zastosowanie się ścisłe estetyki a praw fizycznych natury jest właśnie powodem, dla którego architektura grecka jest wiecznie młodą i kwitnie nieskończoną nigdy wiosną; tu masz rozwiązanie zagadki, że to helleńskie budowanie nie jest bynajmniéj tylko budowaniem jednego narodu, jednéj epoki, ale jest własnością świata i wszystkich stuleciów. Tak przeto i tutaj znów wypłynęło nam zestrojenie dwóch światów, stanowiące klassyczność greckiéj fantazyi. Obaczysz w innym liście, iż nasza, tak urocza a pełna właściwych sobie wdzięków, architektura średniowiekowa jest jakby wołaniem, że duch chrześciańskich ludów już przerósł materyą, że na skrzydłach wiary wzniósł się nad wszelkie jéj prawidła, że uleciał tchem duchowym. Ztąd też ta ogromna jéj różnica od budowy greckiéj. Patrz na gotyckie śmiałe budowania: tutaj zaiste właśnie chodzi o to, aby ukryć prawa materyi, aby ona, wbrew swojéj ciężkiéj natury ku ziemi cisnącéj stała się lekką, eteryczną; słupy w świątyniach naszych niby nie dźwigają sklepienia, one, jak pieśń nabożna, strzelają w górę, a sklepienie z nich zrywa się, rozwija się jako ko-

nary palmowe; zważ te wieże ciosowe, dziergane w koronkę; tutaj kamień przezroczysty, przez niego świeci, promieni wiekuisty błękit niebiański; te przypory ciosowe, z których, jakby ogrody Boże, wyrastają kwiaty, gałęzie kamienne a igrają i bawią się, wdzięcznym splotem budując kapliczki wysoko wzniesione na mieszkanie ludzi. W świątnicy gotyckiéj nie chodzi o naturę, bo tutaj zakryte jest stosowanie się ducha do jéj praw; tutaj znać o sobie daje swoboda duchowa, nie dbająca o rzecz, ale pragnąca wyrazić siebie w rzeczy, w świecie zewnętrznym.

Spojrzyj na tę Posejdona świątnicę — lat tysiące i promienie słoneczne oblały ją barwą ciemnego złota, a koloryt ten tak ciepły i miękki, a jednak tak poważny; rysuje się ona na czystych głębokich nieba lazurach, w koło cicho i spokojnie; cała natura umilkła nabożeństwem; niekiedy tylko stado dzikich gołębi przelatuje po nad gruzy, jak przelatywały z kolei stulecia długim szeregiem, dotykając ciężkiém skrzydłem swojém świątnice ludów starych. Tu, w stolicy dawnego szczęścia i ziemskich rozkoszy, oparł się teraz na kolumnie chłopczyna schorzały w łachmankach — i żebrze; daléj na gruzach siadła matka blada, bawiąc zgłodniałe dziecię Madonną zawieszoną na szyi.

W koło otoczył uroczyste budowanie zastęp doryckich kolumn potężnych; słupce nie są wcale czczym przystrojem, one dźwigają doprawdy brzemię budowy jak bohaterów szereg, na którym spoczywają losy drogiego im kraju; a moc podpierająca tych kolumn, a ciężar cisnący najcudniéj zestrojone z sobą; praca dźwigania zaiste nie lada, nie łatwa, lecz ona im przychodzi bez męki i zbytniego mozołu; one nie mają podnóża, bo dzielne ich zgrubienie od dołu zastępuje im podstawę; lecz aby znowu ułagodzić ich butność zbyt poważną, fantazya artystyczna poprowadziła wzdłuż ich żłóbki głębokie kanelury (rówki), w których mienią się światła i cienie lekką falą, a od góry głowica, dzielnie występując, podtrzymuje brus a zarazem wdzięcznie łączy się z okrągłym trzonem; a tak każdy słupiec jest prawie całością dla siebie i prawie sam w sobie harmonią. Te kolumny przemawiają tutaj jakby ludzką mową, duch przez nie spogląda, one są więcéj niż ciosem, niż martwym nieczułym kamieniem. Ba! wszak nawet do kolumn swoich Hellenowie, jakby do swoich bogów, przypięli legendy a mityczne podania, a tak tchnęli na nie życie indywidualne i wyraz duchowy. Posłuchajno co nam baje Vitruvius o powstaniu kolumn greckich; on, arcyprozaiczną rzymską duszą będąc, bierze za prawdę te podania i wierzy im co do litery, nie pojmując téj poezyi, co nam w nich płynie z dawnych lat. Osadnicy greccy w Jonii, powiada, pragnąc stawiać świątnice, a nie mając prawideł sobie danych, wzięli się na sposób, chcąc otrzymać kolumnę poważną, butną; zabrali się do mierzenia postaci męzkiéj, a gdy stopa męzka jest właśnie szóstą częścią całego ciała, „więc, powiada Vitruvius, uczynili kolumnę mającą te same wymiary, a tak zrodził

się dorycki słup". Innym razem znów „osadnicy, radzi widzieć kolumnę lekką, pełną uroku a strojnego wdzięku, jęli się mierzyć wysokość postaci niewiasty i jéj stopę, a tak z bezkształtnego bałwana, niby wdzięczna dziewica, wyskoczyła na jaw kolumna jońska, w któréj podnóże jest tylko ósmą częścią wysokości, a przystroili téż jéj głowicę w lube zwoje ślimacznic, udających jakby włosy niewieście, wijące się w drobne kędziory, a kanelury, idące po kolumnie, udają długie szaty spływające fałdami". Otóż masz w téj powieści zaślubienie ducha i materyi, jestto odgłos daleki postaci ludzkiéj, oblatujący nawet kolumnę grecką.

Przed laty, a jest temu bardzo dawno, umarła w Koryncie dziewczyna młoda, i była zaniesiona do grobu jako nieroztulony pączek kwiatu, od śmierci podcięty; umarła dziewczyna, zostawując łzy i serdeczne żale po sobie. Płakała ją téż w zaciszy z boleścią rzewną niańka stara, boć ona dziecię wykołysała na ręku miłością gorącą, a płakała dniem i nocą niańka biedna, aż pragnąc ukoić cierpienia duszy swojéj chodziła po domu i pozbierała ze łzami bawidła i sprzęciki, które niegdyś najmilsze były zmarłéj dziecinie, i ułożyła je wszystkie w koszyczek schludny i z koszyczkiem poszła na grób kochania swojego, i złożyła go na grobie, a chroniąc od słoty zimowéj przykryła koszyczek cegiełką małą. Gdy atoli na wiosnę nad grobem odezwały się pieśni ptasząt, przebudziły pieśni rośliny śpiące, przebudził się téż acanthus, co także był drzémał w grobie, obok śpiącéj dzieciny; on ożył i puścił łodygi zielone i strzelił w liście, a liście jego objęły miłośnie koszyczek, zwijając się misternie pod cegiełką ową. Zdarzyło się, iż przechodził tamtędy rzeźbiarz Kalimach, człek, co miał w oku serce, i patrzy, i zachwycony wdzięcznym widokiem siadł i przerysował koszyczek, i cegiełkę i liście, i uczynił z tego głowicę do kolumny; i taki to jest początek korynckiego kapitelu, a opowiedziałem go biorąc sobie za tło podanie Vitruviusa.

Otóż tu podchwyciliśmy grecką fantazyę na uczynku; ona z niewinnych bawidełek i z liści wyrosłych na grobowcu młodéj dziewczyny, stworzyła sobie architektoniczną formę, ochuchawszy kolumnę tchem poezyi lubéj. Proszę cię nie myśl atoli, jakoby ten kapitel koryncki, choć strojny we formy od roślin pożyczone, był naśladowaniem natury; w Grecyi już natura przemieniona, ona tutaj jest tylko jeszcze szatą dla ducha, przezroczem lekkiém, przez które on się patrzy.

Te liście korynckie — toć nie kopia rzeczywistości, te wesołe drwinki, lekkie żarty igrającéj fantazyi greckiéj; ona uśmiechając się przetwarza sobie formy roślinne na ornament architektury. A tak i pod tym względem widać zaślubienie ducha a natury.

Hellada nie jest Egiptem, nie jest Azyą; ona wié, że kolumna nie jest łodygą, że kapitel nie jest pączkiem ani kwiatem. Dla tego Grecy równie nie lubili Karyatyd onych postaci ludzkich wyrzeźbionych, co zastępują dźwigające kolumny; im jakoś było wstrętno,

duszno patrzéć się na to poniżenie form ludzkich, które przecież są ducha przybytkiem. Przepych takowy chętnie zostawiali barbarzyńcom wschodu, rzadkim tylko wyjątkiem używając postaci ludzkich zamiast słupów, bo jedynie wtedy, gdy chodziło o pamiątkę odniesionych tryumfów; a tych przykładów na palcach się doliczysz. Owe zaś Kanefory, owe dziewice marmurowe cudownéj piękności, niosące koszyczki na głowie a podtrzymujące tram w jednéj z kapliczek ateńskich, pewnie nie raziły uczucia, boć te dziewice tak hoże i wdzięczne, belkowanie zaś z umysłu uczynione tak lekkie i eteryczne, a wejrzenie niewiast tak spokojne, iż znać, że ich praca istnym żartem.

Dla instynktu artystycznego Greków wystarczyło, by samą proporcyą kolumn oznaczyć ludzką postać, a nawet płeć. Różne zaś porządki słupów wypłynęły z różnego uczucia różnych szczepów greckich. Jońska i koryncka kolumna mają podnóża, a tak każda z nich, choć do ogólnéj całości budowli należy, jest znowu jakby całością o sobie stojącą. Dorycka kolumna zaś nie ma osobnego podnóża, ona z całym szeregiem swoich rówiennic osadzona na wspólnéj podstawie. Tak też działo się w rzeczywistym świecie; w państwach jońskiego pochodzenia rozwinęła się swobodnie indywidualność każdego z osobna obywatela, w państwach zaś doryckiego rodu indywidualność była starta; ogół brał górę nad odosobnieniem się ludzi, on był im wspólną ogólną podstawą. I zważ, że gdy w Atenach tak rześko, tak świeżo i bujnie zakwitła indywidualność ludzka, więc też tutaj wcześniéj, niż w innych ziemicach właściwéj Grecyi, rozwinął się joński porządek. A lubo prawda, że w czasie najświetniejszego rozwoju sztuki pięknéj za czasów Peryklesa, porządek dorycki był w Atenach przeważający i dla tego właśnie tracił tam swoje wejrzenie ponure i butne, a kolumna dorycka wyzwolona z pod ucisku wznosiła się pełna swobody i nabierała kształtów wysmukłych; co więcéj, ona w arcydziele architektury owoczesnéj (w Propyleach) wdzięcznie umiała się łączyć z kolumną jońską — był to jakby cudowny śpiew męzkich i żeńskich głosów, któremi duch Hellady śpiewał chwałę swoją.

Z tych różnych kolumn, różnych szczepów, mógłbyś wywróżyć różnicę usposobienia tych ludów, różnicę ich żywota, ich losu i skonu. Te dwa porządki kolumn mają się do siebie jak Solon łagodny, a twardy Lykurg, jak Ateny a Sparta.

Patrząc na tę naszą Posidońską świątnicę, znać, że ona wyprzedziła Peryklesowe czasy, że te jéj kolumny zachowały jeszcze całą starą zadumę zuchwałą; one spoglądają na cię tak hardo i poważnie, tak są uroczystości i grozy pełne, a przecież spojrzenie ich tak rzewne i tkliwe, tak serdeczne a poruszające, że już na widok ich same ci się powtarzają w duszy słowa owego termopilskiego grobowego napisu: „Przychodniu! powiedz Sparcie, żeśmy tu legli, posłuszni jéj prawom!“ Tu, wędrowiec z zimnéj północy, sercem gorącém,

miłością wrzącą wlałeś uczucia twoje w te głazy południowego świata, wskrzesiłeś do życia świątnice zmarłéj przeszłości, a Poseidon, stary gospodyń domu tego, miłość miłością płacąc, życie za życie dając, przemienił nawzajem serce twoje na świątynię, — na świątynię tego, co wielkie i zacne na ziemi; on w tych piersiach twoich zamieszkał, więc też się patrzysz na to budowanie Hellady własnemi jego oczyma.

Jak Hellady serce żyło w harmonii ze światem zewnętrznym a wesołym dramatem natury, tak też jéj świątnice zwracały na zewnątrz całą piękność architektury swojéj; i ta nasza świątynia nie ukryła się wewnątrz siebie, ale zwróciła te jasne, wesołe podsienia, te kolumny swoje do świata, na znak zgody z naturą i przymierza z ludźmi.

Ztąd te podsienia zalewa radośnie powódź światłości; do nich miał przystęp ów lud mówny, ruchawy, o jasném oku a sercu wesołém, poufałący się z bogami swojemi. A pięknie też tym kolumnom, co tak uroczo rysują kształty swoje na jednostajnéj ścianie świątnicy, bo w tych ścianach nie ma okien, coby krzyżowały, niepokoiły, bałamuciły kontury kolumn.

Gdy szerokość budynku wyrównywa prawie połowie długości jego, ztąd też te wymiary tak cudownie się miarkują i równoważą. I takąż równowagę znajdziesz w stosunku wymiarów poziomych do wysokości całéj. Tu nie obaczysz ani rozchodzenia, szerokiego rozczołgiwania się budynku po ziemi jak w Indyach, ani sennego zrywania się w górę piramid Egiptu. Nie ma też tu przesady w przystrojach rzeźbionych jak w budowaniach nadnilowych, kędy czasem trudno zgadnąć czy rzeźby są dla budynku, czyli budynek dla rzeźby. Grecka fantazya oszczędnie używała skulptury, nie zacierając nigdy właściwéj cechy architektonicznéj; owszem ta rzeźba, również jak malowanie, jak pozłota była budownikowi tylko pomocą, by charakter każdéj części, każdego członka architektonicznego podnieść, uwyraźnić i spotęgować.

Lecz słońce, mając się już ku zachodowi, rozpływa złotem po téj ciosowéj poezyi i zapala na niéj światła różowe i pełne głębokie cienie bronzowe; nie czas ci już prawić o tym mistrzowskim rytmie, którym sobie wtórują części belkowania, o współdźwięku, którym się odzywa brus, stropowie i wieniec. Odbuduj sobie jedynie w myśli dach, który zaiste od lat tysiąców runął. Chciéj baczyć, iż jak w Egipcie szczegółowe budynki, pilon, dziedzińce, choć należące do jednéj i téj saméj świątnicy lub pałacu, nie wiążą się przecież w organiczną całość; tak też każdy z tych budynków nie jest całością w sobie skończoną, a nie jest taką całością już nawet i dla tego, że dach nie jest widny dla płaskości swojéj; brakuje tedy estetycznego zamknięcia z góry, uzupełnienia całości. W Grecyi, przeciwnie, widzisz dwa szczyty po dwóch węższych bokach świątnicy, i im odwrotne po dłuższych bokach dwa połacie dachu, dwa okapy; sam

kierunek kalenicy tedy okazywał kierunek całego przybytku. Tak tedy pochyłość piramidalna, będąca w egipskich budynkach formą przeważającą, tutaj w greckiéj architekturze odzywa się tylko jeszcze w kształcie dachu, stała się tylko jednym z pierwiastków całości.

Zważmy, jeżeli na wschodzie, a mianowicie w Indyach, fantazya budownika, będąc bezmiernem senném marzeniem, miota się i szamocze, nie znając praw rozumu, w Grecyi istnieją prawa i ustawy sztuki; ale wśród tych ustaw znowu z wolnością i swobodą porusza się geniusz artystyczny. Jest prawo, że świątnica jest domem podłużnym, zamkniętym w sobie, otoczonym w koło kolumnadą, każdy porządek ma sobie dane liczebne proporcye, a przecież fantazya może swobodnie urozmaicić całość świątnicy. Podobnie, też prawidła, odnoszące się do liczebnych stosunków i proporcyj, kładą jedynie im pewne granice (stanowią jedynie ich minimum i maximum), których przestąpić nie wolno. Dla tego, mimo tych przepisów sztuki, nie znajdziesz w całéj Grecyi dwóch świątnic zupełnie do siebie podobnych. Tak i tutaj, jak i we wszystkich kierunkach żywota greckiego, prawo zewnętrzne i indywidualność osobista człowieka zaślubione są wolném, swobodném przymierzem; i tu nie ma ani swawoli bezuzdnéj, ani duszności krępującéj.

Wstąp teraz do wnętrza naszéj świątyni Neptuna. Ten wnętrzny przybytek spokojny, cichy jak serce zacnego starca po burzach żywota i krzywdach światowych. Ziemię zasłały ogromne, zgruchotane ciosy, spiętrzone w pagóry, a na pagórach jakby na grobach wyrosły bujne krzewy kwieciste i zioła pachnące; ścigają się po nich motyle, owe maluchne zmartwychwstania wieszcze. Tam, pod ochroną długiego cienia kolumny, zasiadł samotny artysta — i on, jak widać, synem obcéj dalekiéj ziemi; pędzlem, ołówkiem chwyta wizerunek tych dziwów, by mu już towarzyszyły na zawsze przez świat. Szczęśliwy to ród tych artystów! Ich życie także motylim żywotem; kędy się roztworzy piękność barwą i wonią, tam zlatują i ssą słodycze niebiańskiéj uciechy i karmią się nieskończoności kwiatem. Co piękne, co urocze a wdzięczne, to jest ich ojcowizną, to ich własnością.

Jak świątynię na zewnątrz otoczyły kolumny, tak we wnętrzu, w kierunku długości, stanęły dwa ich rzędy; na nich spoczął ogromnéj potęgi brus ciosowy, na którym znowu wznosi się drugi rząd kolumn nierównie mniejszych. Dziś z tych słupów zwierzchnich pięć tylko przetrwało potrącenie stuleciów, co tędy do wieczności przegnały, inne spadły z wysoka, drzémią śmiercią wśród ziół i kwiatów. Uważ, te wierzchnie mniejsze kolumny niegdyś podpierały dach. Zapewne i tutaj ten dach, jak wszędzie w większych świątnicach dla ich oświetlenia, był w środku wycięty szeroko; w mniejszych bożnicach otwory wązkie w stropowiu wystarczały dla celu tego. Tak tedy środkowa część wnętrzna miała niebo za strop, a słońce i gwiazdy patrzały się w serce świątnicy, opływając jasnością posąg boga,

który się tutaj wznosił w milczącym majestacie. Ta postać jego była olbrzymia w porównaniu przybytku samego; całe budowanie, choć pełne wspaniałości, malało, skromniało w obec olimpijskiego mieszkańca. Świątynia Hellenów nie była już pustą łupiną jak egipska, ona w rzeczy saméj jest domem a mieszkaniem gospodynia, co tu włada uosobioną potęgą.

Rozpuść raz jeszcze oczy i uczucie twoje po tych głazach, niechaj ci ta lira kamienna raz jeszcze zaśpiéwa pożegnaniem, niechaj ci po raz ostatni jéj dźwięki uroczyste a lube wsiąkną w duszę, byś je uniósł z sobą kędy zimne wieją wichry, kędy natura lodami krzepnie a gorące serce w piersiach żyje. Raz jeszcze, i już na zawsze, pożegnaj przybytek ten! spojrzyj na niego po raz ostatni; a choć ci smętno i chmurno w duszy, pomnij, że i chwilka mała, co ci upłynęła w obec piękności, zaważy długie lata tego zwyczajnego, tak biednego żywota; chwilka takowa, choć przelotna, w któréj ci się udało oko w oko obaczyć piękność i rozmówić się z tém, co zacne i wielkie na świecie, jest zaiste szczęśliwém podejściem własnego losu i ogromną, niespodzianą wygraną w życiu!

I patrzysz się na tę świątynię, a trudne, a boleśne z nią rozstanie; aleć bo i jéj saméj czegoś tak smętno i chmurno, może i jéj żal pożegnać się z tobą! Może i jéj mile było i lubo, że ktoś zrozumiał tajemniczą jéj mowę; a żeś te nieśmiertelne jéj wdzięki sercem ukochał, uwielbił, żeś podsłuchał jéj ukryte, a tak głębokie boleści, ztąd téż i ona, przy rozstaniu z tobą, nastroiła tony żałobne, wtórujące strunom duszy twojéj. Ba! téj świątnicy téż smętno i chmurno; ona zaiste od urodzenia swojego, od poczęcia już ukrywa w sobie boleści głębokie! Stanęły w świątnicach bogi radością, weselem promienne, z uśmiechem pokoju na ustach, otulone w uroki i wdzięki niebiańskie. A tym bogom rodziły się téż ludy o sercu radośném, weselném — dzieci szczęścia i ziemskiéj rozkoszy. Kwiaty i wieńce i wonie składały te ludy na ofiarne swych świątnic ołtarze; a brzmiały, pieśni i lutnie i tany bogom na dzięki, na cześć za żywot tak błogi, za losy bezchmurne, za wiosenne ich dzieje, za urok tak młody. Kwitły tym ludom róże miłości, kwitły im róże na ścieżce żywota.

Lecz gdy noc głęboka samotna po ziemi, po niebie rozleje swe cienie, gdy mrokiem smętnym obejmie te wdzięczne bogów postaci, już one są tak zadumane, tak tęskne, a boleścią tak rzewną, tkliwą owiane, żeć się zdaje, że ta cicha kropelka, co po ich spływa obliczu, nie jest nocnéj rosy kropelka, ale lęku i troski łza.

Czegóż te cienie, te mroki nocne tak smucą, trwożą tych bogów postaci? zkąd tym bogom ta żałość bolesna, zkąd im te lęki i tęskne przeczucia? — Słuchaj, od wieków, od wieków zapadłéj przeszłości idzie zgrozy pełna wieść — wieść, co jęczy w cichych nocnych powiewach, co szeleści w liściach oliwnych, w gajach cyprysów i laurów, bogom poświęconych, co się żali w szeptach strumienia, którą nawet słyszą bogi w cichém kwiatów i ziół westchnieniu. Słuchaj

co niesie straszna owa wieść! Gdy jeszcze panował rodzącym się dopiéro ślepym potęgom przyrody Kronos, ów złowrogi, chłonący dzieci swoje Czas, gdy jeszcze nie było na stolicy świata Jowisza, boga bogów, ani jeszcze żyła Hera, niebomoca pani, ani żył Poseidon morzowładny, ani żaden z jasnych niebian Olimpu, wtedy noc ciemna, bezdenna zrodziła dzieci swoje, dzieci okropności pełne. Wystąpiła z łona jéj Ker — śmierć blada, „wichroskrzydła“, „sercołomna“ śmierć; a drugim ciemnym porodem nocy było Przeznaczenie, owo nieprzebłagane, nieodwrotne głuche Fatum. A zrodziła noc te straszliwe dzieci, bez małżonka, bez miłości. Ker ściga ludzi, a Przeznaczenie potężniejsze nawet niż niebian potęga. Więc niesie wieść, że ta córa nocy zamknie kiedyś w swych otchłaniach ciemnych, bezdennych całe jasne grono promienistych olimpijskich bogów. Tę to wieść szepczą strumienie, szeleszczą liście gajów i nocne powiewy; tę wieść proroczą wyrocznie. Ztąd więc tym bogom tak smętno, tak straszno, tak rzewno i bolesno, gdy zapada noc — ich przeznaczenia zwiastuna. Bo co piękne, ze światem doczesnym jest zaślubione; co piękne, tego śmierć jest przeznaczeniem!

I ziściły się straszne przepowiednie; otworem stanęły otchłanie bezdenne, ciemne, a z jasnych świątnic, pływających w powodzi światłości słonecznéj, wystąpiły bogi, a bogi smętne, żałobne ciągną długim pogrzebnym orszakiem; za niemi płyną nieprzejrzanym tłumem ich ludy ukochane; a bogi i ludy wchodzą razem do otchłani bezdennéj, ciemnéj. Fatum jako grób przyjęło nocą nieprzespaną nigdy i Olimp jasny i ludzi radośnych i cały ten wdzięczny, luby świat.

Spełniły się straszne wróżby twoje, o ludu biedny! Na ciebie i na bogi twoje padło przeczucie tęskne, bolejące, że umrą bogi twoje, boć one są z tego świata bogi, bo one, jak i ty, doczesności dzieci! Chmurno ci było i smętno; boleśno i żałośno było bogom twoim, bo ciebie i niebian twoich miała otulić ciężka gruba noc. Lecz ta ciężka noc waszego skonu stała się dla świata wiekuistéj światłości zdrojem, ona stała się dla świata nocą Zmartwychwstania! stała się Wielką-Nocą! Tobie zgasły gwiazdy wszystkie, ale zapaliła się owa gwiazda Boża nad betleemską strzechą; w onéj nocy zrodziło się świata Zbawienie! — Zbawienie z ciemnéj nieprzespanéj nocy! Spełniły się proroctwa, bo śmierć umarła nocą. Śmierć nie jest więcéj nieprzespanym snem, śmierć stała się żywotem. — Sama tylko pusta świątnica stoi, i duma, i marzy w upadku swoim; jéj tylko saméj boleśno i żałobno po tych jéj bogach zmarłych.

Ale nie! te bogi nie zmarły; one ustąpiły z wysokiego Olimpu, ustąpiły z rządów świata; one już nie wodzą słońca po niebie, ani rozkazują morzom, one już nie wywołują kwiatów z ziemi, ani sądzą już więcéj umarłych pośmiertnym sądem; lecz im oddane inne panowanie, inne świątnice. Te bogi wprawdzie otuliło nocne fatum bezdenne, one zniknęły z żyjącego świata; ale o dziwy! dwanaście

stuleciów przeszumiało ciężko nad ludzkim rodem, — dwanaście długich stuleciów, — wtedy bogi powstały z długiéj sennéj niemocy, podniosły się z ciemnicy grobowéj, a nie wróciły już do Olimpu, lecz zostały z nami, — z nami na ziemi; one zebrały się w piękności świątyniach i tam, odziane marmurową bielą, stanęły posągiem na wzniosłém podnóżu; tam promienią się i świécą wdziękiem nieskończonym. Patrz, tam w wiekuistéj Romie dźwigły się watykańskie pałace i Świętego Piotra gród, a obok apostolskiéj stolicy, w samych watykańskich pałacach dziś zgromadziły się dawne Olimpu mieszkańce w bogato dla nich ustrojonych przybytkach. Wiara z miłością użyczyła przytułku wiecznie żyjącéj piękności dawno zapadłych ludów.

Zaprawdę, w owéj Wielkiéj-Nocy dokonane było, co drgało poczuciem w tych starych ludach, bo i w nich żyła wiekuistości wróżba, a świata zbawienie poruszało się w sercu zapadłych narodów i dawało znać o sobie to widmem sennem, to tęsknem marzeniem i przemawiało przez usta proroków; o niém wieszczyły Sybille natchnione i tajemnicze wyroczni słowa. To przeczucie zbawienia tak pukało w duszy ludów i ubierało się w poezyę ich mitów, jak młode serce dziewczyny, nie zaznawszy jeszcze miłości, przeczuwa ją atoli we wróżbie uczuć i w postaciach fantazyą stworzonych, jak lekkie obrazy i gry porannego snu wyprzedzają prawdę jawną i rzeczywistości pełną.

W Grecyi chodziła z pokolenia do pokolenia dziwna wieść, co ją zrodził lud przeczuciem z głębi ducha swojego i odział fantazyą najcudniejszéj poezyi, a wieść, jako mit uroczy, żyła w ustach i piersiach ludu. Hezyod wyśpiewał ten mit proroczy swojéj arfy dźwiękami, a Eschylus uosobił go i unaocznił w tragedyi.

Wierzył helleński lud wiarą serca, że w zaraniach ludzkiego rodu biedził się twardo z życiem człowiek, że na myśli jego cisnęła ciężka pomroka, „więc patrzał a nie widział, i słuchał nie słysząc“, powiada starożytne podanie.

Ulitował się atoli rodu ludzkiego jeden z Tytanów, ów światłodawca Prometeusz, boć w trwożne serce człowieka zaszczepił choć ułudne pośmiertne nadzieje, a spiąwszy się w niebo, uniósł zazdrośnym bogom ogień niebiański, i światłem nadziemskiém rozjaśnił ludzkiéj duszy ciemnice. Człowiek przejrzał: więc zaznał siejby polne i nauczył się jak wschodzą i zachodzą gwiazdy, jak zrozumieć wróżby rzeczy przyszłych i jak proroczy ptasi polot; a wiadomość wszelka i sztuka wszelka wstąpiła w głuchą myśl człowieka. Lecz zawistny ludzkiego szczęścia Zews (Jowisz) zemstą nieużytą rozkazał przykuć Tytana do samotnéj skalnéj iglicy odsadzonego od świata Kaukazu, i nasłał nań sępa, który wiecznie mu rozdzierał wiecznie odrastające wnętrzności. Cała natura w koło przychodziła chórem żałośnym płakać nad przeznaczeniem dobroczyńcy ziemi; wystąpił z przepaści ciemnych Okeanus wodowładny i bałwany za-

grzmiały żałośnym jękiem, i przypłynęły rzeki i zdroje westchnęły stroskaniem, a ile ludów zamieszkało świętéj Azyi równiny, tyle bolesnego współczucia, tyle było łez wylanych w ofierze; nawet Tartaru otchłanie i urwiska nocne jego odezwały się głuchym smętkiem. Prometeusz trwał w cierpieniu, bo jasném przeczuciem widział, że i Jowisza doczesne jest panowanie, że i on runie ze stolicy rządów nad światem.

Przepłynęły stulecia po stuleciach, przeleciały lat miliardy a Prometeusz cierpiał nieskończone i niewypowiedziane katusze. I znowu umierały i rodziły się nowe stulecia w mękach bez granic, aż z Jowisza, najwyższego króla Olimpu i Alkmeny, śmiertelnéj niewiasty, zrodził się Herkules; ztąd też dwojaki w bohaterze tym ważył się pierwiastek; ojcowski unosił go ku bogom, gdy pierwiastek po matce zatrzymywał jeszcze na ziemi, nakazując cierpienie i twarde pasowanie się z życiem i pracą, trudu pełną, by się nieba dosłużył i aby się stał jako jeden z bogów. Tak żywot jego jest pasmem poświęceń krwawych i trudem trudów. Herkules, jeszcze dziecięciem będąc, dał świadectwo przyszłości swojéj, dławiąc dwoje wężów w kolebce niemowlęcéj; a gdy wyrosłszy na młodzieńca stanął na rozdrożach żywota, już odwrócił się od dziewicy, wabiącéj przelotną ziemską rozkoszą, a poszedł za drugą, co, polecając ścieżkę cierniów i boleści, zwiastowała mu tryumfy nieśmiertelne.

Poszedł światem bohaterów wśród zwycięztw, okupionych walką a cierpieniem i stanął pod Kaukazem. Poznał go Prometeusz, — a poznał, że właśnie ten najukochańszy syn Zewsa będzie zbawcą jego. Pomodlił się bogom strzałosławny Herkules i przeszył krwiożerczego sępa, i wybawił z mąk Tytana i wyzwolił z długowiecznych katuszy; a Prometeusz na oznakę swojéj winy i pokuty uwieńczył czoło koroną oliwną i nadział na palec pierścień żelazny, jako przebytego jęctwa znamię. I znów poszedł Herkules przez świat szeroki, by wyswobodzić człowieczy ród i przemógł hydrę stugłową i ludożercze rumaki i srogie szaleństwem woły, i lwy zajadłe, i potwory, co na poły ludzkiéj, na poły zwierzęcéj potęgi! — Tak padło pod ciosami jego, co tylko tchnęło chucią zmysłowéj natury; i przemógł też Cerbera, stróża ohydnego piekłów i wywlókł go na jaw dzienny. Cięższym atoli trudem nad te wszystkie prace były cierpienia, które wytrzymał Herkules, oddając się w służby poniżające, a posłuszeństwo dobrowolne z ubliżeniem zacności swojéj.

Zwalczał Herkules trudy po trudach, aż znalazł w bolesnéj śmierci ukoje ziemskich prac. Małżonka Dejanira krwią niecnego centaura Nessusa skropiła szatę białą bohatera, by go oczynić miłością wierną na wieki. Zatruta krew potworu, zrodzonego z mlaku materyi, żarem jadu paliła członki; Herkules zrzuca z siebie zdradną szatę, lecz z nią zdarł zarazem poszarpane ciało swoje, — ciało doczesne przystępne jadom doczesnym. Przeto, na górze Oeta sam wzniósł sobie stos ofierny i wśród płomieni umiera oczyszczon z zu-

elic ziemskich; umiera atoli samą tylko śmiercią tuteczną, bo na płonące ognie stosu spuszcza się obłok, a Herkules, uniesiony do nieba, został zaślubiony z Hebą, młodości wiekuistéj boginią, z oną wdzięczną cześnicą bogów nieśmiertelnych, co im naléwa napój wiekuistéj radości i niebiańskiéj uciechy. Sam jeden Herkules ze wszystkich ludzi wzięty jest do Olimpu, on sam jeden stał się równiennikiem niebian z cierpień i dosługi.

Tak w téj staréj Herkulesowéj mitycznéj wieści znajdziesz w połączeniu niebiański i ziemski pierwiastek i tryumfy ducha nad chucią zmysłową; tu widzisz uzacnioną materyę, ciało duchem świecące, — obraz człowieka łamiącego się z życia trudem o wieńce wiekuiste. Przecież to wszystko jest dopiéro marzeniem nocném pierwiastkowéj, nieprzebudzonéj jeszcze historyi ludzkiéj; są to widma, wróżące we śnie o nowym żywocie, co się kiedyś zrodzić miał w dziejach świata! są to przepowiednie o zbawieniu rodu ludzkiego, zamknięte jeszcze w pączku Bożego kwiatu! W tych proroctwach sennych a poczuciach duch nie jest jeszcze duchem w sobie; on jeszcze zmysłami oczyniony i odziany jeszcze powłoką cielesną, choć uzacnioną, promienistą! Ta stara wieść, niby fosforescencya duchowa a błędne nocne światełko, miała zgasnąć za nadejściem porania prawdy, a wschodem niebiańskiego słońca.

To podanie pradziadowe o Herkulesie było wyrażeniem istoty greckiego ludu, owéj harmonii ducha a ciała uzacnionego poświatą jego; téj istoty, będącéj zestrojeniem treści wiekuistéj z formą uwidomioną w materyi. I dla tego ten Herkulesowy mit jest sztuki i piękności zwiastunem. Bo i piękność jest wiekuistością odzianą we formy materyi, i ona dwoistego jest pierwiastku: jeden z nich z nieba, drugi z ziemi pochodzi. I piękność wybawiła świat z grubéj zwierzęcéj ochoty i przemogła dzikie materyi potęgi; i dla tego ona zostawia zwłoki ciężkie na poniżach natury a wyswobodzona ogniem od doczesnych zuzelic, ciałem przeczystém unosi się do Olimpu; tam żyje w wiekuistéj młodości, w niezamąconém weselu. Zrozumiesz przeto, że podanie o Herkulesie dziwnie się nadawało greckim wieszczom i artystom.

„Zgruchotany, sponiewierany do ostatka, bez rąk, bez głowy, bez nóg pojawia się nam posąg ten; lecz kto zdolen wpatrzyć się w tajemnicze tonie sztuki, obaczy go w promieniach dawnéj piękności jego. Mistrz w tym Herkulesie wykonał ideał wzniesiony nad zwyczajną przyrodę, a ideał przyrody nieskończenie wyższych stuleciów, spotęgowanéj do szczęśliwości niebian. Ta jego postać pojawia się nam oczyszczona z doczesnych pyłów, zasiadająca nieśmiertelnością w pośród bogów stolicy“. Temi słowy zachwycenia zawołał niegdyś Winkelman, gdy ujrzał owe marmurowe dziwo, ów okruch posągu, który dziś zowiem *belwederskim torso*.

Z gorącą czcią w sercu, z niemem milczeniem na ustach wstępujesz w progi Belwederu w Watykanie Rzymskim. Przed tobą

bieży galerya, jakby ulica sklepiona długości nieprzejrzanéj. Ona dziełem nieśmiertelnego Bramante. Wspaniale, a przecież lekko sklepi się nad galeryą strop; strop lekki, eteryczny, by cię nie cisnęło tęsknotą to olbrzymie budowanie. Choć cię Rzym nazwyczaił do ogromnych wymiarów, choć cię wyuczył mierzyć rzeczy ludzkie na lat tysiące, na wielkości światowładne, choć cię oswoił ginąć okiem w niedościgłych przestrzeniach ręką ludzką zbudowanych; choć w tym Rzymie wszystko, na co kiedyś patrzałeś i co kiedyś przesunęło ci się myślą, kurczy się w karła, — toć przecież ten korytarz z całym rzędem nieprzeliczonych okien swoich przemawia do ciebie, jakby ustami długich wieków.

Pochód tą galeryą jest iście podróżą. Od dołu, od góry, z prawéj i z lewéj, wzdłuż ścian cisną się grobowce, popielnice, napisy, sarkofagi, jedne puścizną pierwszych chrześcian, inne nieme świadki starych pogańskich stuleciów. Zatrzymujesz się niekiedy, słuchając rzewnéj mowy cichych głazów, ale cię prze do pośpiechu jakiś niepokój wewnętrzny. Na inną chwilę zostawując te pomniki stare, udajesz się w dalszą pielgrzymkę, i znów daléj a daléj towarzyszą ci ciżbą nowe szeregi napisów, pomników, grobowców. Daleko jeszcze przed tobą ciągnie się ta galerya, teraz widzisz atoli już wyraźnie jéj granice; tam schody marmurowe wznoszą się ku bramie żelaznéj, przezroczystéj, zdobnéj, ale do końca galeryi, do tych stopni jeszcze daleko. Na uboczy pod ścianą siadł na stołku prostoduszny syn Alpów, gwardzista szwajcarski; halabardę średniowieczną oparł o sarkofag, hełm złożył na posadzkę; i strojno mu i dobrze w téj sukni opiętéj, uszytéj ze skrawów błękitnych, żółtych i czerwonych wedle rysunku, jak prawią, Rafaela; szwajcar podkarmioną świecistą twarzą ziewając patrzy i na te pomniki dawne i na podróżnych gości. I znów daléj się puszczasz wzdłuż korytarza, i teraz już przy ścianach obok siebie, nad sobą ustawione posągi, popiersia, gruppy, postaci bogów i bogiń, bohaterów. Te stoją hardo opierając się na sobie, te spoczęły zadumane, owe witają cię z uśmiechem na ustach, te z obłokiem gniewu na czole; jedne pomniejsze, inne kolosalne. Nakoniec minąłeś i ten Olimp kamienny, już stanąłeś w końcu galeryi. Ze stopni wspaniałych rzuciłeś jeszcze spojrzeniem na przebieżoną drogę, jakby na całe długie życie, któreś przewędrował przez szereg lat. Wstępujesz po za ową bramę kraciastą, a objął cię w koło przysionek niewielki, lecz poważny jak kaplica piękności, pełna prostoty a dumy szlachetnéj. W środku téj świątniczki na sześciennym głazie jakby na ołtarzu: Torso belwederski!—kadłub — od ramion odtrącone ręce, od kolan nogi, z głowy pozostała tylko część szyi, i piersi nawet uszkodzone; na podstawie wyryte słowa: „Apollonius syn Nestora z Aten“.

Jest-to zaiste Herkules spoczywający, bo o tém przekonywa skóra lwia na któréj siadł, a dziś już bystrość badawcza odkryła, że przy nim stała druga postać, pewnie Hebe; więc bohater już do nieba

wzięty, już świecący w chwale niebiańskiéj po przebytych trudach, po boleściach. Ten okruch posągu jest całym światem piękności! On zdrojem marmurowym, co bije krynicą nigdy niewyczerpanych rozkoszy duchowych. I obchodzisz do koła ten cud wdzięków najwyższych, a wpatrujesz się w każdą linię, w każdy ruch, w każdy ton tych muszkułów, co tu występują to potężnie i silnie, to miękko i łagodnie. Jakże pełne wysokiéj prawdy te słowa Winkelmana, gdy w dalszym ciągu tak o tym torsie prawi: „Niechaj artysta podziwia zarysy tego ciała, jakto te formy jego nawzajem z siebie wypływają, i jak one niby fale to wzbierają, to niżą się, by się znów z sobą spoić i zlać harmonią. Pozna artysta, że nie zdoła być pewien siebie gdy się zabierze do odrysowania tych cudownych kształtów; bo gdy mu się zdawać będzie, że już, już dojrzał kierunku jakiéjś formy, że mu się już tylko trzymać jéj biegu, a jużci niedostrzeżonym zwrotem forma zlekka zboczy i z czarodziejska złudzi i oko i rękę jego.“

Stajesz to z téj, to z owéj strony, a coraz to nowe niewidzialne piękności budzą ci się w tym zimnym marmurze, a z każdą chwilą wzmaga się magia, która cię trzyma i czaruje. Radbyś wykąpać oczy tym urokiem nadziemskim, by je na zawsze uświęcić na służbę piękności, byś siebie samego wychrzcił ze wszelkiéj skazy i zmazy tutecznéj, byś serce twoje wyzwolił od pyłów powszedniego żywota. I zaiste, głos wewnętrzny ci szepcze, żeś w téj chwili urosł nad siebie, żeś wyszlachetniał; jakże w téj chwili najczystszéj uciechy zdają się być marne i drobne te troski, te biedy, które cię tak bolały w żywocie twoim! Rzekłbyś, że duch, przebywający w tym posągu, tchnął w serce twoje, że ten cichy jego majestat nadświatny rozniecił w tobie przeczucie onéj błogiéj nieskończonéj spokojności pośmiertnéj, zagrobowéj! I stajesz i wielbisz starego mistrza, który w tym Herkulesie i siebie uwielbił i uwielbił zacność ludzkiego ducha.

Lecz serce nasze ludzkie za słabe, by zniosło na długo wielkie rozkoszne wrażenia, jak nie znosi długo głębokich boleści. Ztąd radbyś pofolgować wzruszeniu, przerwać uczucia; w przysionku, na przeciw torso, na uboczy postawiona z marmuru ławeczka, na niéj siadasz, byś duchem odetchnął. Spojrzałeś oknem na zieloną tak artystyczną rzymską naturę; zlekka kołyszą się mirty dziewicze, ciemne pinie, smętne cyprysy, laury harde i kwitnące oleandry; w dali, w przezroczy różowéj rysują się cudowną falą sabińskie góry. Znów oczyma do przysionku nawracasz. Iście ten Rzym, toć stolica dziwów, wiecznie nowych, wiecznie się rodzących. Naprzeciw siebie, za torso, obok ściany, widzisz sarkofag ciemny, pełen grozy; on zdobny fryzem doryckim, między tryglifami róże, na nim napis: Cor. Lucius. Scipio. Barbatus. — Scipio! i on walczył z trudem żywota, a łamał się ze światem pełen chwały!

I znowu czarem pociąga cię do siebie torso, i znów duchem w nim toniesz; zdaje ci się, że duch twój a ta postać w jedno spłynęły!

Co kto przejdzie, stanie w milczeniu; nikt się nie waży dotknąć nawet ledziuchno dzieła tego, bo każdy, choćby nieświadomy sztuki, instynktem czuje, że ten ułomek jest własnością wszystkich stuleciów, wszystkich narodów, że jest klejnotem całego ludzkiego rodzaju. Już tedy przeszły i przechodzić będą, niby rzeką, długie fale różnojęzycznych pokoleń, a każdy z wędrowców zatrzymuje się tutaj z hołdem i podziwieniem, i choćby już wiele, wiele razy był widział Herkulesa tego, nie opuści Rzymu, by mu po raz ostatni nie oddał pożegnalnéj czci. A tęskno ci a boleśno, gdy cię uderzy myśl, że i na ciebie niezadługo przyjdzie rozstania chwila!

Już podobno nie ma czego prowadzić cię po innych skarbach Watykanu; ten torso, ten kadłub zgruchotany wystarczy nam za wyobraźnika najwyższéj piękności rzeźby greckiéj.

Ale, zkąd téj greckiéj rzeźbie ta magia nadziemska, co cię unosi po nad własną istotą twoją? Zkąd tym posągom ta uroda niebiańska? — Lud Hellenów jest arcymistrzem nad wszystkie ludy powszechnéj historyi. Ale co więcéj! ze wszystkich znów rodzajów sztuki, rzeźba jest sztuką Grekom właściwą, ona jest ich sztuką żywotną, narodową. Prądem pełnym światłości uderzyła dusza Hellenów w skulpturę, w niéj się zbierając jako w ognisku swojém; uboczne tylko promienie padły na architekturę, malarstwo i poezyę.

Prawda, że te Greków świątnice, ich malowane obrazy i mozaiki ich wieszcze jaśnieją po przez wieki, rozświecając ducha prawnuczych pokoleń, rozgrzewając ich serca wzorami najwyższych, najczystszych wdzięków; toć przecież stolicą żywota Grecyi, najświętszém jéj sercem jest rzeźba. Widzisz tedy, zkąd przyszła tym posągom ta magia nadziemska, ta uroda niebiańska: oto, że cała potęga ducha Hellady wstąpiła w skulpturę. Ztąd też także architektura tutaj była organiczną całością, niby ledziuchném przypomnieniem ciała organicznego, które właśnie jest główną osnową rzeźby; ztąd też ów lekki oddźwięk postaci ludzkiéj, odzywającéj się nawet w kolumnach greckiego budowania.

Ujdzie ci, choćbyś porównywał Shakespeara, Dantego z Homerem i Sofoklesem lub Eschylem, nasze tumy gotyckie ze świątnicą Hellenów, bitwę Konstantyna w Stanzach Rafaela z bitwą Aleksandra na mozaice pompejańskiéj, ale Thorwaldsen sam nie śmiałby się równać z arcydziełami rzeźby greckiéj, — a Canowa? temu źle się przysłużono umieszczeniem w Watykanie jego Perseusza w sąsiedztwie Apollina belwederskiego i Laokoona. Słusznie ktoś rzekł, że „wieki i ludy, idące po Grekach, wyrobiły sobie właściwą architekturę, osobną i wielką szkołę malarstwa i muzyki, zrodziły sobie właściwą rodzimą poezyę; ale co do rzeźby są tylko słabymi naśladowcami i uczniami Greków“. Fantazya Hellady jest wskróś plastyczną.

Pytasz atoli, dla czegóż znowu skulptura jest tą sztuką od Grecyi wybraną i ukochaną nad wszystkie inne, dla czegóż właśnie ona

a nie inna stała się formą a wyobraźnikiem jéj duchowego żywota? Wiele o tém rozprawiano i szeroko pisano. Może mnie się uda choć w krótkich słowach porozumieć się z tobą; co tém snadniéj nam przyjdzie, jeżeliś się zgodził na zdania, objęte we wstępie poprzedniego listu.

Wiesz, że istotą ducha Hellady, że piętnem jéj fantazyi jest owo zestrojenie ducha a materyi, owe pełne miłości zrękowiny nieba i ziemi. W tym współdźwięku dwóch światów, żadna strona nie przeważa; tutaj duch przenika materyę wiekuistą poświatą swoją, a nawzajem natura staje się powłoką przejrzystą ducha. Wszak to porównanie tych dwóch potęg było właśnie powodem, że Grecya, choć wiedziała o duchu i znała go być osobą, toć jednak nie umiała jeszcze pomyślić ducha bez ciała. Właśnie dla tego jéj bogi obok niebiańskiéj istoty odziane są ziemską naturą; wiesz równie, że to doskonałe równoważenie się treści i formy, ducha i materyi stanowi klassyczność sztuki greckiéj. Lecz z tego wszystkiego wprost wypływa, że dopiéro postać ludzka jest najwłaściwszym przedmiotem dla fantazyi Hellenów. Bo cielesność człowieka iście już sama przez się jest ducha przybytkiem, więc objawem osoby; tutaj istotnie brzmi harmonią zestrojenie onych dwóch światów, ducha i materyi, nieba i ziemi, wiekuistości i doczesnego żywota. Postać ludzka, jéj ruchy i rytm, jéj fizyognomia i postawa, owa tajemnicza muzyka ciała — są odgłosem ducha obecnego we formach widomych cielesności. Ztąd idzie téż ogromne znaczenie, jakie miało u Greków ciało rzeczywistego, żywego człowieka, a zarazem poznać możesz, że doprawdy ono było osnową najwięcéj odpowiednią artystycznéj fantazyi Hellady. Tak tedy się dzieje, że architektura, lubo brzmi w Grecyi w tak cudownych formach, nie mogła być przecie sztuką odpowiednią w zupełności usposobieniu Hellady; budowanie nie wyraża jeszcze w zupełności ducha, nie objawia go wprost; jest ono dopiéro symbolizowaniem jego i echem dalekiém. Dzieło architektury nie ma jeszcze własnego swojego ducha, w niém dopiéro żyje duch pożyczony od mistrza, który je stworzył. Sama świątnica nie wyraża osoby; sama świątnica bez niebiańskiego mieszkańca jest dopiéro głuchą łupiną, piersią upiora bez serca. I dla tego właśnie ludy Wschodu, stojące poniżéj Grecyi, a mianowicie Egipt, były dopiéro ludami budownikami; bo nie znając ducha istoty, nie wiedząc go być osobą, w architekturze znalazły dostateczne, wystarczające wyrażenie swoje.

Zgodzisz się tedy już ze mną, że architektura nie była sztuką najwłaściwszą dla fantazyi Greków, i że raczéj sztuka, mająca za osnowę postać człowieka, nierównie więcéj była odpowiednią ich artystycznemu usposobieniu. Spytasz się jednak, dla czegóż takową sztuką właśnie miała być koniecznie rzeźba, gdyż przecie i malarstwa najzacniejszym celem jest ludzki kształt z całym dźwiękiem tonów duchowych, odzywających się w nim. I spytasz daléj, czém się

to dzieje, że wieki późniejsze, a mianowicie ludy chrześcijańskie nie miały również celować w rzeźbie, boć to przecież na łonie wiary Zbawienia dopiéro wypiastowała się wiedza o istocie duchowéj, o znaczeniu duchowém osoby? — Wytłómaczę się, ile zdołam najkrócéj.

Jakoż widzieliśmy, że w Grecyi chodzi o zestrojenie ducha i materyi, o zupełną równowagę tych dwóch światów, wypada tedy, aby duch nie przemagał nad materyą, aby ona zachowała istotę swoją. Istotą zaś materyi jest jéj byt w przestrzeni, więc trzy wymiary przestrzeni, zatém wysokość, długość, szerokość; daléj istotą materyi jest ciężkość. W malarstwie zaś, w obrazie malowanym ta istota materyi ginie; obraz jest li powierzchnią, ma tylko dwa wymiary: długość i szerokość, a ztąd same przedmioty malowane mają jedynie wymiary zmyślone ale nie rzeczywiste; milowe oddalenia, skrócenia, perspektywa, ciężkość, cienie i światła i t. p. są tutaj jedynie złudzeniem zmysłów, są jedynie idealne, duchowe, istnieją tylko dla widza, ale nie mają rzetelnego, materyalnego istnienia. Ta przewaga duchowości nad materyą w malarstwie okazuje, że ten rodzaj sztuki będzie mniéj właściwym dla Grecyi, która jeszcze równoważy ducha i materyą, a stanie się rodzajem sztuki właściwym dla ludów chrześcijańskich; boć w nich materya jest przemożona, starta, a duchowi wyrosły wiekuistości skrzydła. A cóż dopiéro muzyka! w któréj przestrzeń przypomina się tylko jeszcze drganiem muzycznego narzędzia i dygotaniem powietrza, onego jakby duchowego pierwiastku ciężkiéj materyi. Muzyka, która jakby nie z tego świata zrodzona, która jakby aniołem, co nas wita przelatując do nieba, będzie zaiste po nad wszystkie inne sztuką chrześcijańską.

W rzeźbie, przeciwnie, znajdziesz wszystkie trzy wymiary właściwe przestrzeni, zatém materyi. Tutaj ducha zmaterya lizowanego ciałem widzisz przed sobą, możesz się nawet dotknąć jego form czarownych. Tutaj oddalenia, skrócenia, kształty, nie są złudzeniem, ale rzeczywistością, a cienie i światła nie są udane, ale są rzetelne, same się rodzą. A ciężkość? — Ba, tu nie tylko materya, nie tylko ten marmur lub śpiż ciąży, ale sam posąg ciąży na sobie, na swoich członkach, on sam opiera się na sobie. Słowem, co tu widzisz, to jest rzeczywiście; co istnieje dla ciebie, dla ducha, toć istnieje i zewnątrz ciebie i materyalnie; tak i pod tym względem jest zgoda ducha i materyi — człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata. A gdy w Grecyi właśnie chodzi o wyrażenie ducha w cielesności, ztąd tutaj piękność i forma ciała jest głównym warunkiem; przeto też draperya nie ukrywa cudności tych form, lecz właśnie służy aby wyświecić ich urok i najwyższy wdzięk.

Chciéj baczyć, że w tém całém rozumowaniu nie miałem bynajmniéj na celu przeczenia, jakoby wieki chrześcijańskie nie szczyciły się wieńcami chwały Michała Anioła lub Thorwaldsena, albo jakoby Hellada nie wykwitła arcymistrzami malarstwa; chodziło mi raczéj

o wskazanie dążności artystycznéj, przeważającéj we dwóch światach, tak wskróś różnych od siebie. Ten splot wiekuistości a świata fizycznego w sztuce plastycznéj Greków jest powodem, że potęgą cudowną rzeźby ich bogi uwidomiły się na ziemi; wszak i bogi są nieskończonością uzmysłowioną; ztąd one ubłagane mistrza fantazyą spuściły się z wysokiego Olimpu, stanęły wśród ludzi i pojawiły się oczom śmiertelnym.

Właśnie atoli dla tego, że skulptura była sztuką wybraną, najukochańszą Greków, ztąd też Hellada cała się jéj powierzyła, w nią wlała całą miłość swoją, w niéj złożyła całe własne życie i wszystkie tajemnice duszy swojéj. Nie dziw tedy, że rzeźba w Grecyi żyła długą nieprzekwitłą wiosną, odradzając się ciągle arcymistrzami nowymi, że ona przetrwała wszystkie inne sztuki Hellenów, że przeżyła nawet byt polityczny ich ojczyzny. Dawno już owa Roma nieużyta, harda i twarda położyła brzemię miecza swojego na pełnéj wdzięków Helladzie; dawno już, dawno i poezya nawet z ostatnim lutni dźwiękiem umarła na ziemi i uleciała w nadświatne krainy, by w nich przeczekać długą, kilkunasto-wiekową noc, co miała paść grubą, ciężką ćmą na ludzki ród. Przeczucie smutne cisnęło serce świata, niby zły sen, niby mara, dręczyło duszę zwolna konającéj Grecyi; wtedy sama jedna skulptura została z Helladą, jakby matka u śmiertelnego łoża najukochańszéj swojéj córy i przebyła z nią cierpienia i boleści wszystkie; i pocieszała ją długo jeszcze szeregiem postaci marmurowych bogów, co świeci pięknością wśród tęsknego mroku, a bogi zstępowały na smętną ziemię jako wspomnienia przeszłości wielkiéj chwały, uczuć dawnych i upłynionych dziejów. Nie było już pieśni radości, wszystkie tony przebrzmiały w głuchocie. Po ziemi Hellady wdziękiem uświęconéj, teraz gruzami zasłanéj, grzmiał jedynie pochód ciężki, śpiżowy rzymskich legionów. Lecz geniusz Grecyi, zanim się uniósł do nieba Historyi, jeszcze długie lata przemieszkał w cichéj nadziemskiéj piękności tych posągów; one śnieżne, bez skazy, z uśmiechem innego świata, broniły długo jeszcze ród ludzki od rdzy barbarzyństwa, a uzacniając nawet onych synów od wilczycy karmionych, chroniły długo jeszcze Historyę od wrogiéj potęgi nadchodzącéj już nocy.

Uważ, że co było u Greków powodem tego przeważnego znaczenia skulptury, stało się też powodem owéj ogromnéj wartości, jaką miały u nich postać i ciało rzeczywistego żywego człowieka. Piękność i urodziwość ciała uchodziły u nich za zasługę, dla tego też gimnastyka stała się tak celnym warunkiem greckiego wychowania; lecz ona nie była bynajmniéj owém samém rubaszném ćwiczeniem muszkułów i kości i pięści, gotującém obrońców, gdy o płatne pójść miało; zacniejsza strona gimnastyki imała się duszy człowieka, ucząc młodzież jak wyrobić estetycznie, muzycznie ciało, aby cała postać i wszystkie jéj ruchy stały się ducha wyrazem, aby osoba cała była żywym posągiem, do bogów podobnym. Kto tego dokazał,

nazywał się u Greków muzycznym człowiekiem. Gdy zaś te bogi same są wiekuistością uwidomioną w najwyższéj piękności, cóż już dziwnego, że ułożenie, że ruchy pełne wdzięku, że taniec ściśle się łączył z obrządkiem religijnym i z ofiarą, którą człowiek czynił niebianom swoim. Zaiste wiele ludów starych odprawiało tańce na cześć bóstwa, ale sami Grecy, ów lud-artysta, zaprawdę znał istotę prawdziwą jego. Tutaj, pod tym głębokim nieba błękitem, a przecież wiecznie promiennem, jasném, — tu, w ojczyźnie wszystkich wdzięków, taniec był zaiste sztuką piękną, bo był rzeczywiście wcieleniem nieskończoności ducha i odbiciem nadzmysłowego świata; tutaj duch a natura, bo ciało, zaślubione wieszczem natchnieniem, równoważyły się harmonią artystyczną. Dla tego też nie tylko nogi, ręce, były wyjawieniem wiekuistéj treści człowieka, ale i głowa i oblicze i całe ciało splatało się mimiką i pantomimą cudowną.

Dla tych to właśnie ślubów ducha i cielesnéj postaci, uczuć i natury, taniec nie przekraczał nigdy naturalności granic, nie znieważał gwałtami zadanemi ciału przyrody jego, i z téj to właśnie przyczyny taniec grecki jest sztuką piękną; a z tego także właśnie powodu, balet nam współczesny jest często raczéj sztuką łamaną, przeistaczającą te szlachetne formy ludzkie na fruczki, kołowrotki, sadząc się na skoki desperackie i na to wszystko, co jest wbrew przeciwne piękności przyrodzonéj. Wszak i między naszemi towarzyskiemi tańcami znajdzie się i taki co jest jawném świadectwem barbarzyństwa naszego czasu, taniec, w którymby się nawet nie puścił i Faun grecki bez ubliżenia sobie. — Faun grecki! — W muzeum neapolitańskiém jest Faun z bronzu, znaleziony w jednym z pompejańskich domów. Kto widział, przyzna, że ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie, ani w Warszawie nikt piękniéj nie tańcuje jak ten wisus mały. Jakaż to lekkość, jaka nieskończona gracya w téj drobnéj figurce! To ułożenie jego, ta fizyognomia tak jest pełna radości, iż ci się już serce śmieje, gdy się patrzysz na tego malca. On cały piosenką wesołą; to anakreontyk, to cały świat uciech i szczęśliwości niczém niezamąconych. On wcale z twarzy nie ładny, ani też bardzo młody; owszem, znać po nim, że już wiele w świecie nadokazywał; ależ jakże on zgrabniutki, jaki śliczny! jaki on kontent z siebie i ze świata! Ta radość a wesele, rozlane na całéj jego postaci, od stóp do głowy, występuje w każdym muskule, w każdym ruchu, więc on też może dla tego taki piękny i wdzięczny. Wszak on blizkim sąsiadem onych tanecznic herkulańskich, onych małych obrazków, co się stały podziwem ludzi. Dziś te małe obrazki zblakowały, przygasły, ale któraż ze sławnych dam tańcujących dziś po Europie w baletach przewyższyć je zdoła! A jeżeli która z pań tych istotnie porywa poezyą swoich ruchów, toć zapewne o tyle, o ile się zbliża w pojmowaniu tańca do Greków, o ile, nie hołdując panującemu smakowi, prostuje go raczéj, ucząc świat, czém jest taniec, jako sztuka piękna.

Ideał rozwija się w duszy mistrza obrazem z natchnienia zrodzonym; i ideał rośnie, wzmaga się, wznosi się w toniach twórczych mistrza, aż mu zaboli w duszy, aż mistrz, folgując wewnętrznym cierpieniom, wcieli ideał w duchu poczęty, to w rzeźbę, to w malowanie lub architekturę, lub wypuści go z piersi na świat uskrzydloną pieśnią. Gdy atoli ideał jednym gromem uderzy w duszę, gdy w jednéj chwili płomieniem ogarnie całego człowieka, gdy owładnie, uchwyci, jakby czarodziejską potęgą, własną osobę jego, wtedy ruch wewnętrzny duszy występuje na jaw poruszeniem ciała, a ideał wciela się w taniec. Wszak ruch jest zmianą przestrzeni odbywającą się w czasie, a zmianą czasu w przestrzeni. Ztąd ruch uduchowniony wyraża się jako przestrzeń pięknością linii, a jako czas rytmicznością (taktem). Jak taniec w ogólności jest harmonią ducha i ruchów ciała, tak piękność linij tych poruszeń i ich rytmiczność w każdéj jednostkowéj chwili objawia się harmonią wszystkich członków. One wszystkie zatém razem tworzą w téj chwili artystyczną całość, kompozycyą, one są jakby jednym widomym akkordem. Następnie znów wszystkie odmiany ruchów, we wszystkich po sobie upływających chwilach, zlewają się znowu w jedną całość wielką, w jedną wielką kompozycyą.

Taniec u Greków jest doprawdy rzeźbą żywą, uwidomioną poezyą, muzyką niemą; ztąd téż towarzyszy mu pieśń i dźwięk lutni. Spadanie i wznoszenie się tonów muzyki wciela się w poruszenia ciała, a rytm lutni jest ich miarą i prawem. Lecz gdy muzyka wtóruje tanom, toć nawzajem i taniec towarzyszy muzyce. Muzyka podnieca, podsyca duszę ogniem niebiańskim, by wystąpiła na jaw ruchem ciała; przecież znowu rytm muzyczny trzyma dzikie potęgi natury zmysłowéj na wodzy, miarkuje je i łagodzi, by te moce bezprzytomne przyrody nie buchły ślepą, niezacną ochotą.

Gdy taniec jest wystąpieniem na zewnątrz wewnętrznego człowieka, przeto téż Hellenowie najczęściéj tanom towarzyszyli śpiewem, bo i on wytryskuje z głębin wewnętrznych, z duchowego zdroju, jest tedy właściwszym dla człowieka, niż muzyka wydobyta na martwém narzędziu, która zawsze jest czémś obcém i cudzém i niby zewnętrznem.

Widzieliśmy w liście poprzednim, jak Hellenowie, jak ten ludarcymistrz nadawał nawet sprawom codziennym fizycznego życia artystyczne piętno, jak nawet naczynia i sprzęty, służące potrzebom powszednim, za dotknięciem się jego ręki przybierały postać estetyczną; otóż podobnie umiał on sobie upoetyzować i prace i roboty zwyczajne, mające na celu zaspokojenie potrzeb przyrodzonych. Każda z tych prac miała piosenki osobne do siebie zastosowane, a każda z nich była również przedstawioną sobie właściwym tańcem; były tańce udające winobranie, żniwo, pieczenie chleba i t. d. Takiego drugiego ludu już nie będzie na świecie; on sam siebie umiał wyrobić na arcydzieło piękności, on sam z siebie uczynił pieśń uro-

czą, posąg pełen wdzięków cudownych. Ta gracya postaci ludzkiéj, ten instynkt ułożenia stały się zaiste wonią całego ludu Grecyi; on potém poszedł do Italii i spadł pradziadowém dziedzictwem na współczesne nam ludy Włoch; patrz, jak ów transteveranin rzymski, okryty gałgankami, trzyma się, jak on stanął lub jak usiadł. Miałby mu czego pozazdrościć nie jeden elegant krajów północnych, kędy już dziś nawet do arcyrzadkich dziwów należy, jeżeli kto umié porządnie chodzić.

Nie będę ci prawił o Orchestyce, o owéj wyższéj sztuce tańców w Helladzie; byłaby to zbyt obszerna osnowa. Lepiéj podobno uczynimy, jeżeli puścimy, choć mimochodem, oczy w ściany domowe Greka i obaczymy, jak się bawił, gdy się z przyjaciołmi zebrał na ucztę wesołą. Tutaj żywcem uchwycimy artystycznego ducha tego ludu, a o to właśnie najwięcéj nam chodzi. Nie braknie nam téż materyałów, mamy je nawet z pierwszéj ręki, a z jakiéj jeszcze! Oto, z pióra Platona i Xenofonta; każdy z nich opisał biesiadę takową, a na każdéj z nich był obecny Sokrates, ich nauczyciel wspólny. Pierwszy z nich wieszcz-filozof urósł nie tylko swojéj Grecyi, ale wszystkim ludom i krajom i stuleciom, ba, całemu rodowi ludzkiemu na chwałę. Wszak to nasza dzisiejsza Europa, wykluwając się z ciemnic średniowiekowéj myśli, świeciła przed obrazem Platona dniem i nocą lampy, obchodząc jakoby święto odrodzenia swojego, a zarazem chcąc uczcić pamięć wielkiego męża, i sama pochwalić się zachwyceniem, którém rozgorzała dla olbrzymiego geniuszu jego. Xenofon również jak i Plato był uczniem Sokratesa. Gdy Plato potęgą mądrości natchnionéj uchwycił mistrza swojego porozrzucaną ułomkami naukę i z niéj dźwignął budowę — wysoką, — a tak wysoką, że aż w niebo zaglądała; Xenofon wprawdzie nie został filozofem, bo jakoś zbyt z żołnierska zabierał się do spekulacyi, ale za to stać go było na co innego. Oto, któż nie słyszał o odwrocie dziesięciu tysięcy Greków! Otóż to właśnie był ten sam Xenofon, który ich krajem obcym manowcami przez kilkaset mil zwycięzko przeprowadził. Wyznaj, że to wódz nie na żarty! Gdy boje ucichły, Xenofon zawiesił szablę na ścianie domowéj, bogów świątnice ustroił w laury zdobyte i zabrał się do pióra i jął się pisać historyę. Dokonał téż arcydzieła na wzór wszystkim wiekom. Wszak dziś, po dwóch tysiącach lat z okładem, młodzież po szkołach uczy się na jego książce i długo się jeszcze na niéj uczyć będzie kunsztu pisania historyi. Wiązała téż Xenofonta cześć serdeczna do Sokratesa; on się nie nauczył od niego filozofii, lecz nauczył się zacności prawego, niczém niezachwianego żywota. Wszyscy téż w Atenach wiedzieli, jako Sokrates, co to także nie czczy teoretyk, raz w krwawéj bitwie widząc Xenofonta powalonego dzidą z konia, wziął go na barki, a odcinając się tłumnym nieprzyjaciołom mieczem, wyniósł z ciżby. Odsłużył mu się też nawzajem Xenofon. Nie mogąc odeprzéć wyroku, którym był Sokrates na śmierć skazany, wystąpił z całą

uczciwą odwagą, broniąc czci i sławy swojego niesłusznie potępionego nauczyciela.

Dość już tych przedmów, wypiszę ci najważniejsze ustępy z Xenofonta malującego ucztę, na któréj był i Sokrates obecny. Żal mi, że cię nie mogę uraczyć tłómaczeniem całego opisu, bo to rzecz bardzo długa; niechaj ci tedy wystarczą te pojedyncze kamyki kosztowne, które ci podaję, domyślisz się z nich całego obrazu téj mozaiki prześlicznéj. Wyimki te chciéj uważać za dosłowne tłómaczenie.

Zaczyna Xenofon opis swój od wyrazów: „mniemam, że wieczystéj pamięci są godne nie tylko poważne sprawy wielkich mężów, lecz że warto zachowania i to wszystko, co czynią na żart i zabawę; dla tego tutaj publicznie ogłaszam rzecz, na którą sam się patrzałem!“

Zaiste i dla nas rzecz ciekawa i wielce zajmująca wejść do sali jadalnéj tych starowiecznych ludzi i patrzyć się na nich i słuchać, co rozprawiali przy obiedzie dwa tysiące trzysta lat temu. — Scena w Atenach, we dworku nad morzem.

W Atenach żyje Kallias, człek bogaty, lubiący wyprawiać obiadki literackie. — Otóż zdarzyło się, że przyjaciel jego, młody *Antolikus*, przecudnéj urody młodzieniec, odniósł nagrodę na wyścigach konnych. Kallias, pragnąc uraczyć zwycięzcę, zaprasza go wraz z ojcem na ucztę, a gdy mu zarazem przyszła myśl zaszczycenia domu swojego obecnością ludzi znakomitych, bardzo mu było na rękę, gdy obaczył grono mężów słynnych po przez Grecyę całą, stojących razém, rozmawiających z sobą o sprawach ważnych i zajmujących kraj cały. Był to Sokrates, Kritobulus, Xenofon, Antysthenes i kilku innych. Co się tyczy tego Antysthenesa, przypominam ci, że on był wprawdzie początkiem szkoły Cyników, ale proszę, byś go nie mięszał z onemi obszargańcami starożytnego świata, u których nieochędóstwo moralne i fizyczne a bezczelność stanowiły całą filozofię, obyczaje zaś uliczne i dowcip brukowy całą mądrość. Antysthenes był iście postacią zacną i szlachetną, daleką od wszelkiego baragulstwa. Kallias zbliża się tedy do onego kółka, wzywa na obiad do siebie, puszczając się więc w komplementa powiada: „wierzajcie mi, że będę ucztę moją za nierównie świetniejszą uważał, gdy mężowie czystego serca bytnością swoją przyozdobią dom mój, niż wtedy, gdy przyjmuję u siebie dowódzców jazdy lub takich, co gonią za dostojeństwy“. Oni téż, trochę się podrożywszy, poszli. W końcu obiadu wstępują do sali jadalnéj aktor ze Syrakuzy, mając z sobą wyborną flecistkę, daléj tanecznice, a nakoniec pacholę przedziwnéj piękności. Chłopczyna ten tak już cudownie przygrywał na cytrze i tańcował z tak niewypowiedzianym wdziękiem, że goście unosili się z radości.

Wtedy *Sokrates* do gospodarza: „Jak mi Zews miły, doskonale nas podejmujesz, bo i obiad przewyborny a teraz jeszcze uraczasz oczy i uszy najwyższą przyjemnością!“

— *Kallias:* „Pozwólcie, proszę, bym kazał jeszcze przynieść pachnącéj wody, radbym was woniami uczęstować“.

— *Sokrates:* „Daj temu pokój!— zostawmy pachnidła niewiastom, ot zdałoby się dla córek naszego Kritobula, zwłaszcza iż, jak słyszę, te panienki za mąż idą. Lecz co do nas, chciéjmy zważyć, iż lada kto może skropić się wódką pachnącą, a jaki taki może pod tym względem wyrównać najzacniejszym ludziom. Już to dla nas mężczyzn nie ma zapachów wyższych, jak woń czynów szlachetnych; tą jedynie odznaczyć się możemy nad innych.“

Tymczasem trwały tańce urocze, a te ruchy młodéj tanecznicy zachwycały wszystkich. — *Sokrates*, wpatrując się w wyraz duchowy jéj postawy, w harmonię artystyczną jéj poruszeń, zawołał:

„Przypatrzcie się dobrze téj dziewczynie, a przyznajcie, że kobiety w niczém nie są niższe od nas. Ich zalety przyrodzone zaiste wyrównywają naszym. Kto tedy z was ma żonę, niechaj ją kształci, a może być pewien, że się wszystkiego nauczyć zdoła!“

— *Antysthenes:* „Jakto! i tyż to tak mówisz! dla czegóż sam nie wyedukujesz sobie wprzód twojéj Xantyppy, dla czegóż żyjesz z kobietą najnieznośniejszą ze wszystkich, które są, będą i były na świecie?“

— *Sokrates:* „Jużcić to prawda! nie ma co mówić! — Lecz zważ, — ja pragnąłem nauczyć się obcowania z ludźmi, — wybrałem sobie zatém tę niewiastę, bo myślałem, że jeżeli mi się już uda znieść taką żonę, toć mi z innymi ludźmi pójdzie jakby z płatka..... Ale cóż wam się zdaje, czyli ten chłopczyna nie stokroć piękniejszy w tych poruszeniach wdzięcznych, niż wtedy, gdy w miejscu spoczywa?“

— *Charmides:* — „Ty coś wysoko cenisz sobie taniec, Sokratesie!“

— *Sokrates:* „I wielce, bo widzicie, jak to całe ciało, nogi i ręce i szyja i głowa wchodzą do gry, a tak wszystka postać nabiera giętkości wdzięcznéj..... Ot, wiesz co Syrakuzaninie, jabym się chciał tych puruszeń i kroków od ciebie wyuczyć!“

— *Syrakuzanin:* „A tobie co po tém?“

— *Sokrates:* „Jak Zews żywy, tańcowałbym!“

— Uśmiechnęli się wszyscy, bo każdy wyobrażał sobie tańcującego Sokratesa, co i podeszły i słynny ze szpetności swojéj i z tuszy obwisłéj i t. p. — Sokrates, sam wytykając te niedostatki swoje, na poły doprawdy, na poły żartem dowodzi, że właśnie dla sprostowania tych niedostatków ciała zdałby mu się taniec, nakoniec woła:

— „Otóż macie tutaj obecnego nam Charmidesa, pytajcie go, czy mnie dziś rano nie zastał tańcującego“.

— *Charmides:* „Na Zewsa, prawda! wyznaję, żem się z razu nie mało przestraszył, byłem pewien, że cię coś złego opadło. Gdym jednak później słyszał, jak zdrowo a mądrze rozprawiałeś, więc przyszedłszy do domu, nie tańcowałem wprawdzie, bom się tego nigdy nie uczył, ale machałem przynajmniéj rękami na wszystkie strony“.

— *Kallias:* „Pamiętajże Sokratesie, proszę cię, daj mi znać, gdy się będziesz miał uczyć tańcować, będę chętnie twoim współuczniem“.

Tak wśród ciągłéj muzyki i tańców toczyła się żartobliwa gawęda, przeplatana niekiedy i bardzo poważną i bardzo głęboką rozmową. Nakoniec, na wniosek Sokratesa, stanęło na tém, aby każdy z kolei wyznał, którą ze swoich zalet najwięcéj sobie ceni.

— Bogaty *Kallias* chwali szczodrość, bo powiada, że „ona wspierając ubogich uprzedza złe, rodzące się najczęściéj z biedy i nędzy“.

— *Nikerat:* „Ojciec mój, pragnąc mieć ze mnie uczciwego człowieka i wychować w cnotach i prawości, dopilnował mnie, abym się nauczył Homera. Otóż ja umiem całą Illiadę i całą Odysseę na pamięć; i to właśnie ważę sobie najwięcéj ze wszystkich przymiotów moich. Homer śpiewał o wszechrzeczach ludzkich, — kto tedy z was chce być doskonałym gospodarzem, albo rządcą, albo wodzem, ten niechaj się mnie trzyma, a ja mu doradzę“.

— *Kritobulus:* „Wszak nieraz przysięgaliście, żem bardzo piękny i urodziwy, a wam wierzę, bo was mam za ludzi rzetelnych i uczciwych. Wiedzcież o tém, żebym ja téj mojéj urody nie ustąpił za całe ogromne państwo Wielkiego Króla (perskiego); — bo pięknością można wpłynąć wszechwładnie na ludzi, pięknością zdołamy wpoić w nich miłość do pracy, do umiarkowania, do wstydu i dodać im męztwa w ciężkich potrzebach. Ja uważam tych za szaleńców, którzy nie wybierają sobie chętnie pięknych ludzi na naczelników wojskowych! Wiecie, że ja się gniewam na noc, która ciemnością zasłania mi Kliniasa, który tak przecudnéj urody, a z całéj duszy wdzięczen jestem słońcu, że mi pokazuje jego postać uroczą! Wyższby dla mnie było przyjemnością oddać wszystkie moje majątki Kliniasowi, niż przyjmować od innych skarby..... Powiadacie, że uroda wnet przemija, ale ja wam powiadam, że kto był piękném pacholęciem, będzie i młodzianem i mężem pięknym, i w późnym wieku nie straci wdzięków swoich. Wszak wiecie, że dobierają najurodziwszych starców, by nieśli gałązki oliwne przed pochodem uroczystym, i t. d. — i t. d“.

Otóż masz gorącą apoteozę piękności! — powiedz, za coby miano człowieka, któryby się w naszych czasach podobnie odezwał? Zdanie Kritobulusa było prawie powszechném przekonaniem u Greków; wszak Krotona wystawiła Filipowi posąg jedynie za to, że był tak prześliczny.

Sokrates z kolei uważa, że „najwyższą zaletą w człowieku jest sztuka jednania sobie serc ludzkich i wiązania ich między sobą wzajemną przyjaźnią, bo tym trybem można wiele dobrego na świecie dokonać“.

Tak następnie ciągnie się rozmowa, która się kończy na sporze, pełnym dowcipu, żartów i konceptów między szpetnym Sokratesem a urodziwym Kritobulem; Sokrates dowodzi, że jego nos zadarty,

oczy wystające, usta duże i t. p. odpowiadają jak najdoskonaléj przeznaczeniu swojemu, są arcydziełami natury i że są przeto nierównie cudniejsze niż cała piękność Kritobula. Nie mogąc go przekonać, żąda sądu i głosowania; padły kréski za Kritobulem. — „Sędziowie przekupieni!“ zawołał Sokrates.

Tymczasem przy gawędzie, muzyce, tańcu i winie, coraz to głośniejsza wrzawa i gwar, wszyscy mówili razem a mało kto słuchał. Wtedy *Sokrates:* „Ponieważ wszyscy radzibyśmy mówić, więc zaśpiewajmy razem!“ i zaintonował piosenkę wesołą.

Gdy zaś tanecznica w końcu zaczęła wyprawiać jakieś sztuki łamane, wtedy *Sokrates* do Syrakuzanina: — „Prawda, że to są rzeczy trudne i dziwne, ale czyli maganie koziołków, a skakanie przez miecze dobyte są miłém dla widza? czyli jest wdzięczniejszém niż wejrzenie na ciało kwitnące pięknością i pełne spokojnego powabu? Słuchaj, ja mniemam, iż gdyby tanecznicy twoi wykonywali mimiki przypominające nimfy, gracye i Hory, toćby im łatwiéj przychodziło, a nam sprawiłbyś widok uroczy i stosowniejszy dla uczty“.—„Zgoda!“ odrzekł tamten; więc na zakończenie biesiady odegrano pantomimę: „Spotkanie się młodego Bachusa z kochanką swoją Aryadną na wyspie Chios“. Przedstawienie było tak czarujące, zaloty kochanków tak pełne wdzięków, że goście patrzący zagrzmieli pełnym, hucznym oklaskiem; uniesieni najwyższém zachwyceniem, głośnym okrzykiem oddali piękności hołd.

Podziękowawszy serdecznie gospodarzowi, wrócili jedni pieszo, drudzy konno do domu.

„Tak się skończyła ta uczta,“ powiada Xenofon.

Z uczty opisanéj przez Platona, pozwól, bym choć jeden przywiódł zarys. — Agathon, młody poeta, otrzymawszy wieniec za napisanie tragedyi, w radości serca wyprawia gody, zaprasza na nie przyjaciół swoich, do których należy i Sokrates. Biesiada trwa trzy dni. Drugiego dnia Sokrates nakłonił towarzyszy, aby pili z umiarkowaniem. Gdy wszyscy bawią się wesoło, ale spokojnie, wpada do świetlicy jadalnéj Alcybiades już nieco podochocony. Widząc wszystkich trzeźwych, rad był ich wznieść z prozaicznych nizin rozsądku i postawić na wysokości własnego natchnienia. Bierze puhar do ręki, ogłasza się królem biesiady, pije z kolei do wszystkich, pomija atoli Sokratesa, mówiąc: „tego nie warto zaczepiać, praca stracona, bo chociażby spełnił najrzęsistsze puhary, nie zmieni się i będzie zawsze jeden i ten sam“. Udało się też Alcybiadesowi: — wszyscy z kolei zasnęli na wezgłówkach. Budzą się dopiéro na zajutrz z rana, a z wielkiém podziwieniem spostrzegają Sokratesa, jak sobie stał najspokojniéj z puharem w ręku, rozmawiając z Arystofanesem, owym sławnym pisarzem komedyj; — rozbierali oni głęboko istotę tragedyi i komedyi, a mianowicie pytanie, czyli ten sam człowiek może być zarazem wielkim autorem tragedyi i komedyi.

Potém, jakby nigdy nic, Sokrates udał się wprost do swoich dziennych zatrudnień.

W tych moich wypisach, choć tak niedostatecznych, nie znajdziesz zaiste ani wyrazu, któryby nie był potwierdzeniem tego, com dotychczas powiedział o usposobieniu artystyczném Greków, tego nadzwyczajnego ludu. Obejdzie się tedy bez komentarzy, bo zrozumiesz powód, dla którego te ustępy przytoczyłem, choć w skróconéj treści.

Zważ tylko jeszcze, ten Sokrates nie jestże wskróś Hellenem; ten cały jego stosunek do życia powszedniego, do natury, do obyczaju, nie jestże wiernem wyrażeniem i przedziwném odbiciem téj harmonii cudownéj, wiążącéj treść duchową z całym zewnętrznym światem? A treść duchowa w tym Sokratesie zaważyła ludzkość, ona była ogromna, olbrzymia. Ta treść, zrodzona w duchu jego, stała się, jak już rzekłem, nową epoką wykluwającą się w ludzkich dziejach; stała się onym nawrotem ogromnym świata do wewnętrznych głębin duchowych. Nauka, co płynęła z ust Sokratesa, usłała ścieżki dla wiekuistych prawd, które po trzech stuleciach miały odrodzić człowieka i wyświecić go na pracownika Bożego zakonu. Powiedziałem już dawniéj, że silnie a potężnie biło wielkie serce tego człowieka, a w toniach jego ducha szeptały głosy jakiéjś na pół zrozumiałéj wyroczni; — lecz to serce, które w nim tętniło, było zarazem sercem świata, sercem całego ludzkiego rodu, — a te głosy, które w nim szeptały, były mową ducha historyi. Ten duch ludzkich dziejów wszechobecny, choć rozlany po wszechistnieniu, choć wszędzie przytomny, jeszcze milczał, odezwał się jedynie w duchu Sokratesa, w przeczystém sercu jego. Ten Sokrates był dziejów wybrańcem, a zapłacił téż życiem to wybranie swoje.

Widziałeś jakim on był na tych biesiadach z przyjaciołmi swoimi; on, choć tak wielki a niebotyczny, nie jest pysznym, hardym pedantem, — a zaiste nie jest hardym, bo jest prawdziwie wielkim człowiekiem. On czuje po ludzku; on jest chętnym uczestnikiem darów zwyczajnego żywota, a tak mile umie podzielać uciechy ludzi powszednich! Ale już w téj chwili, gdy z ust jego płyną żarty lekkie i ironia uprzejmości pełna, i słodycz serdeczna, już około głowy jego, przez historyę na śmierć namaszczonéj, opływała aureola wybrannictwa jego. Jakoż on z tą samą słodyczą na ustach i lekkiém sercem umierał. Kochał to życie i kwiaty jego, a przecież nie chronił się skonu, choć mógł go uniknąć; on umarł, bo uważał, iżby było nieprzyzwoicie niechcieć umrzeć, gdy padł taki na niego wyrok współziomków jego.

Gdy w przybytku duchowym tego człowieka położone były ostatki jednéj epoki a zawiązki drugiéj, następnéj, — gdy w nauce jego wyrzeczony był nawrot umysłu ludzkiego ze świata zewnętrznego do własnych głębin duchowych; ztąd téż ta nauka, mimo wiedzy samego Sokratesa, była zwiastunem skonania pierwiastku żywotnego Grecyi,

bo owéj harmonii wewnętrznéj treści a zewnętrznego świata, owéj harmonii, stanowiącéj właśnie piętno fantazyi klassycznéj, greckiéj.

Grecya i fantazya jéj umarła na filozofię Sokratesa, lubo on sam w życiu towarzyskiém swojém był jeszcze tak wiernem wyrażeniem a prawdziwém odbiciem onéj cudownéj harmonii. Lecz o tém obszerniéj jeszcze pomówimy w liście najbliższym.

List Dwudziesty Drugi.

Grecya.

(Dokończenie.)

Poezya grecka. — Jéj charakterem jest plastyczność. — Bliższa cecha poetów greckich. — Homer i świat jego. — Lira grecka. — Tragedya grecka. — Tragedya w Helladzie jest wróżbą jéj skonu. — Znaczenie tragiczności w świecie greckim i nowożytnym. — Eschilus. — Sofokles. — Eurypides oznaką blizkiego skonu. — Arystofanes. — Sokrates i Arystofanes. — Grecya umiera na filozofię Sokratesa. — Epikureizm, stoicyzm i sceptycyzm u Greków. — Sokrates i Antygona Sofoklesa. — Filip i Aleksander Macedoński.

Pamiętasz zapewne, że mi w tych kilku listach bynajmniéj nie chodzi o to, abym ci rozwinął obraz historyi sztuki; wziąłem jedynie na siebie obowiązek skreślenia w kilku lekkich rzutach dziejów fantazyi; i ztąd mniemam, że to wszystko, com dotychczas o Grekach powiedział, mogłoby już zupełnie wystarczyć, zwłaszcza żem nieco za obszernie się rozpisał, mówiąc o architekturze i rzeźbie Hellady, a tak wyjaśniłem, jakoby przykładami, pojmowanie nasze o jéj fantazyi. Uwolnisz mię przeto zapewne od bliższéj charakterystyki jéj malarstwa i muzyki, ale za to pozwolisz, że jeszcze dodam tu kilka słów o poezyi Hellenów. Trudno ją pominąć milczkiem, boć to jest poezya, która odrodziła nowożytną Europę. Grecya umarła niby dziewica młoda, złożona z wiankiem kwiatów do grobu. Lecz wianki kwiatów, choć w grobie, nie zwiędły nigdy, a lutnia Grecyi, uniesiona do nieba przez geniuszów piękności, tam zawieszona na obłoku, niedowidziana z poniżów ziemskich, przeczekała w milczeniu siedmnaście stuleciów. Gdy atoli nocne ćmy wieków średnich, rozwiane tchem ducha historyi, pierzchnęły ze sceny świata, a dzieje ludzkie znów zaświeciły wiosną młodą, kwiaty wyrosły z grobu, a lutnia owa, dawno zapomniana, ożyła i zagrała z nadziemskich wysokości— jakby skowronek zadzwoniła z pod obłoku na zaranie, na podziw światu i serdeczne wesele. W sercu słuchających ludów odezwały

się pieśni echem, niby muzyka nowa a przecież jakby kiedyś dawno w młodości słyszana; a dusza ich, pięknością odmłodniona, nurzyła się w falach tych tonów, jakby w pierwszéj kąpieli po odrodzeniu swojém.

Dziwne to losy téj Grecyi, — poezyą był jéj żywot, poezyą jéj skon i rodzenie. Na szczytach stromych północnych, w dolinach głębokich Tracyi i Tessalii urodziła się poezya Hellenów. Tam, na wzniosłych Helikonu przyczołach zabrzmiała owa cudnowdzięczna pieśń sióstr dziewięciu, a gdy muzy śpiewały o prym, Helikon skalny, uchwycony czarem tonów, unosił się ku niebu; ale zatrzymał górę w polocie i utwierdził ją na ziemi Pegaz; a kędy uderzył nogą rumak skrzydlaty, trysnął z Helikonu hipokreński zdrój, — zdrój co daje wieszczom natchnienie, co ich unosi do stolicy nieśmiertelnych bogów. Na téj północy Orfeusz zaśpiewał cześć i wielbienie bogom, a Hezyod uczy Helladę o bogów zrodzeniach i wiąże wieści o losach w jeden wieniec akkordem swéj lutni, bo oni kapłani i wieszcze swojego ludu. Lecz wnet ożywcze, świeże, górskie powiewy zaniosły na południe helleńskie te pieśni; więc na nizinach, na wyspach, na jońskich pobrzeżach zagrała poezya, jakby na strunach Apollina — śpiewnego boga, — wszędzie budzą drzémiące w kwiatach pieśni, a pieśni, owiane ciepłem jasnego bezchmurnego nieba, rozwinęły się wonnym poezyi ogrodem.

Pierwsza Jonia zabrzmiała Homerowym śpiewem — Iliada i Odyssea wyniańczyły bohaterskiego ducha Grecyi; w nich wieszcz kapłanem i filozofem i prawodawcą zarazem. Dziś pytają się nawzajem, badają i radzą, azali rzeczywiście istniał jaki Homer? Czyli może nie było nawet więcéj Homerów? Otóż te pytania i badania dowodzą właśnie, czém była poezya u Greków; ona żyła w sercu, we krwi, ona żyła w powietrzu; śpiewała w drzewach, szeptała w strumieniach, gadała w ptakach; poezya była wszędzie obecną, żywą. Iliada, Odyssea, ba, cała poezya grecka była warunkiem żywotnym Hellady, a zarazem objawem koniecznym jéj żywota. Ona rosła, kwitła, nie siana, nie sadzona; sama strzeliła z serc, z ziemi; ona należała do natury tego kraju i tego ludu. Ztąd téż ten lud zaśpiewał, — zaśpiewał z wolnych szerokich piersi, z całéj duszy, bo nie straszyły go więcéj mary fantastyczne, bezmierne a rozpłynne, rozwiewne Indyów, ani grobowe zagadki w granitach egipskich zaklęte. Hellada odetchnęła całemi piersiami i zaśpiewała, bo nie mogła nie śpiewać. Ta poezya sama siebie zrodziła, powstała bez wzorów, lubo się stała wzorem dla wszystkich późniejszych stuleciów, powstała bez prawideł i reguły, nie była więc bladém, wymokłém dziecięciem rozumowania i krytycznego rozbioru (*).

(*) Ob. co do literatury starożytnéj *Małeckiego* „Prelekcye o Filologii“. Kraków. 1851, daléj dzieła, które skreślili *K. O. Müller*, *Bernhardy*, *Herrmann*, *Petterson*, *Schöll*. Dla początkujących miłośników literatury greckiéj najwięcéj godne

Z drugiéj strony atoli nie była to już fantazya opojona bezprzytomnym szałem Wschodu, który nieobecny sobie szamocze się podniecany marzeniem senném. Hellada śpiewała z natchnienia, ale ten zachwyt nie był nasłańcem ślepych a ciemnych potęg natury, on był darem, idącym z jasnych wysokości Olimpu, był nawiedzeniem bogów. Więc wieszcz grecki, choć uniesiony zachwyceniem, nie tracił siebie; w nim przemieszkiwał duch, co obecny sobie miarkuje i mierzy i waży sprawy swoje. Tutaj duch i natura, treść i forma, przedmiot zewnętrzny i człowiek wewnętrzny wiążą się w dźwięczną jedność; poezya grecka jest wskróś plastyczna, i toć jest główną jéj cechą.

Wytłómaczę się, ile możności mojéj, jeszcze dokładniéj z téj plastyczności. Rzekłem powyżéj, że plastyka, że skulptura jest sztuką, będącą ze wszystkich rodzajów sztuk najwierniejszém odbiciem artystycznego ducha Grecyi i jéj fantazyi, zatém znać, że i poezya Greków jest jakby rzeźba, że ich postaci poetyczne są jakby posągi. Że tak istotnie rzecz się ma, krótkie zastanowienie się wyjaśni. Okazałem bowiem powyżéj, że malarstwo jest sztuką nierównie więcéj należącą do wewnętrznego człowieka, niż skulptura. Jakoż wymiary, oddalenia, kształty, cienie i światła i t. p., które widzimy w obrazie, są tylko udane, są tylko malowane, one nie istnieją doprawdy w obrazie, ale przemieszkują tylko w nas, w człowieku, w wewnętrznym przybytku naszym. Rzeźba zaś to ma do siebie, że jéj formy, oddalenia, światła i cienie i t. p. istnieją rzeczywiście, że nie są złudzeniem, że przebywają w dziele sztuki, w przedmiocie samym zewnętrznym. Choć i malarstwo, równie jak rzeźba, winno mieć oczy i dusze otwarte dla natury, inaczéj atoli, jak widzisz, zachowuje się malarstwo do zewnętrznego świata, a inaczéj rzeźba. W plastyce treść duchowa, wewnętrzna najściśléj zaślubiona jest formie materyalnéj; ta treść wewnętrzna nie istnieje duchowo, ale przemieszkuje w przedmiocie zewnętrznym, widomym, dotykalnym; w posągu dotykalną, zmaterya lizowaną jest myśl i treść duchowa mistrza. Lubo tedy w rzeźbie duch przeistacza tę rzeczywistość zewnętrzną, tę naturę, tę postać żywą na ideał, na dzieło sztuki, toć jednak nawzajem i ta rzeczywistość, ta natura nie wypuszcza go na chwilę z objęcia swojego; ona mu się ciągle przypomina, wiecznie przemawia do niego, stając mu żywcem na oczach. A gdy plastyka

---

polecam dzieło *Munka*. Jakoż co do literatury starożytnéj najwięcéj zasługi dziś położyli filologowie niemieccy.

(Z pomiędzy nowszych prac na tém polu, prócz nowszych wydań przytoczonych powyżéj dzieł, szczególniéj *Bernhardyego* i *Munka*, zasługują na szczególną uwagę: 2-gi tom dzieła *M. Carriera, Die Kunst im Zusammenhang der Culturentwickelung. Hellas und Rom.* 3-cie wyd. 1877; *H. Göll, Die Weisen u. Gelehrten des Alterthums.* 2-gie wyd. 1876; jest-to historya literatury i nauk u starożytnych, przedstawiona w szeregu nader pouczających szkiców biograficznych. U nas ogłosił *historyę literatury greckiéj* prof. *Z. Węclewski*. Warszawa, 1867 r. — St.)

właśnie odnosi się do téj rzeczywistości, więc téż rzeźba potężniéj, niż którykolwiek inny rodzaj sztuki, chroni ducha, by nie puścił się luzem, by nie zbudował sobie we wnętrzu swojém światów osobnych, nie będących w żadnym związku z rzeczywistością, z przedmiotem rzetelnym, z postacią żywą. Rzeźba ma przedewszystkiém oczy otwarte na świat rzeczywisty.

Jeżeli tedy mówimy, że poezya Hellenów jest plastyczną, do rzeźby podobną, rozumiemy pod tém wyrażeniem, że ona najściśléj wiąże się z rzeczywistością; ona z jednéj strony, idealizując w pieśniach swoich przedmiot zewnętrzny, wzięty ze świata rzetelnego, uświęca go na dzieło sztuki, z drugiéj strony uzmysławia po mistrzowsku treść duchową, wewnętrzną. Ta poezya grecka oddycha przeto w przedmiocie rzetelnym, jako w świecie prawdziwym, jako w żywiole swoim, nie odrywając się nigdy od niego. Wieszcz grecki nie zna nowożytnego cofania się duszy w siebie, nie zna tego utonienia w cichych tajniach piersi, kędy rodzą się mistyczne przeczucia, kędy szepczą tęskne głosy nieznanego świata; on nie zna owego niezgłębionego morza uczuć i osobistych sentymentów, które w każdym człowieku mogą być inne, bo nie zostają w żadnym związku ze światem rzeczywistym, zewnętrznym, który dla wszystkich jest jeden i ten sam. Grekom atoli za to obcą była ta uczuciowość, tak często chorowita, która się chowa w głębi duszy, jakby przed świętokradztwem zewnętrznego świata.

Zaiste, jak już dawniéj rzekłem, szczęśliwym Grekom nie było jeszcze znane owo ogromne a pełne boleści rozdwojenie między światem wewnętrznym a zewnętrzną rzeczywistością. Owe radośne zrękowiny ducha i natury, serca a rzetelnego świata — będące, jak wiesz, istotą Hellenów, — uczyniły ich ludem artystą, nacechowały ich fantazyę i uświęciły ich poezyę. U nich co w sercu to w lutni; tu nie było ciemnych duszy zagadek, tu nie było treści, któraby była li wyłączną wieszcza własnością; on nic dla siebie nie zachował w piersiach swoich, on wszystko z siebie wyśpiewał pieśnią; cała treść jego wystąpiła uzmysłowioną na jaw jasny, stała się widoczną, dotykalną jakby rzeźbą, posąg. A nawzajem co życie, co świat podawał, owa cała bogata treść rzeczywistości, stała się poezyi osnową i zaświeciła w jasności ideału. Ztąd treść wewnętrzna równa się zewnętrznéj formie, a forma wyczerpuje treść; — wszystko co w duszy wieszcza tchnęło, było téż prawdą w świecie, prawdą ogólną, rzeczywistą. Dziwnoż tedy, że Grek w swoim wieszczu widział kapłana uczuć wszystkich, swojego zakonodawcę a mistrza! Hellada przezierała się w tych pieśniach, jako w uzacnionym, opromienionym wizerunku swoim.

Ztąd téż, dla téj wrodzonéj jedności wewnętrznego człowieka a zewnętrznego przedmiotu, grecki mistrz nie uczył się prawideł estetyki, obchodził się bez szkoły; prawidła i szkołę zastępowało u niego sumienie estetyczne, instynkt artystyczny i jasna świado-

mość rzeczy, która nie była pożyczoną, przyuczoną, ale była wyrobioną we właściwym duchu jego; on miał oczy duchowe, duchowy słuch; zatém wieszcz grecki dojrzał, dosłyszał, czego przedmiot jego poetyczny sam przez się wymaga; pod tchem artysty przedmiot sam się rozwinął w rękach jego, sam urosł, jak rośnie sama roślina — on tylko hodował tę roślinę, przyświecając jéj promieniem swojego geniuszu, ciepłem serca i pojąc rosą swojego natchnienia. Grecki mistrz jasném okiem ujmuje zjawiska świata, widzi głębokie znaczenie w nich skryte, ujmuje ich duszę, nie uwodzi go ani samowolne zapatrywanie się na rzeczy, ani przypadkowe osobiste nastrojenie duszy. Nie było w poematach planu wprzód z góry obmyślanego, a przecież nie znajdziesz nigdzie w rozwoju ich treści ani jałowych suchot, ani przesadzonych zbytków. Tak, jak w ciele organiczném, będącém osnową dla rzeźby, jak w budowaniu Greków, tak też rzecz się ma z ich poematem; co w nim jest, jest, bo tego wymaga przedmiot, a czego przedmiot wymaga, to pewnie znajdziesz w dziele poetyckiém. To umiarkowanie skromne fantazyi, ta jéj wstydliwa wstrzemięźliwość wléwa w tę poezyę grecką spokojność uroczystą i prostotę wzniosłości pełną, będącą zarazem cechą ich postaci rzeźbionych. Patrz np. na ich figury dramatyczne, — to istne posągi; tutaj nie doznasz tego naprężenia wszystkich namiętności, téj ciekawości demonicznéj, którą cię prą nowożytne, zwłaszcza najnowsze autory dramatów, byś brodził z nimi przez to ich błoto krwawe od sceny do sceny; i brodzisz i patrzysz z duszą jakby na męki wziętą, a zgadnąć nie zdołasz jak się to wszystko jeszcze obróci, na czém się to skończy, ani wiesz, czego się ta lub owa figura straszliwa jeszcze dopuści lub czego się uchroni; aleć ta figura sama siebie nie jest jeszcze pewną, bo nią szarpią i podrzucają wbrew sobie przeciwne uczucia i żądze, ona jest pastwą jędz i wewnętrznéj walki. W tragedyach greckich nie ma tych zagadek; bajka w nich zupełnie prosta, opowiesz ją w kilku słowach; tak też i postać każda w niéj jest prostoty pełną, wyobraża tylko jedno uczucie, a wyobraża go z całą jasnością; ta figura jest tedy w zgodzie z sobą, odlana niby z jednéj sztuki. Jedna scena, jedna chwila wystarczy, byś tę postać wskróś przejrzał; a na tém właśnie zależy plastyczność; wszak i w rzeźbie, więc właśnie w rzeczywistéj plastyce, także widzisz figurę tylko w jednem chwilowém jéj poruszeniu, w którém skamieniała, a przecież ta chwila wystarcza, zrozumiałeś zupełnie tę postać i mógłbyś się już szeroko rozpisać o jéj znaczeniu, o wrażeniu, którém cię za serce chwyciła.

Ztąd, wedle mnie, najwyższym, najprawdziwszym komentarzem, tłómaczącym poetów greckich a zwłaszcza dramaturgów, jest galerya posągów starożytnych; gdy cię w koło obstąpią te postaci marmurowe z tym głębokim a wzniosłym obrazem na obliczu, wtedy iście przemawiać będą do ciebie językiem Homera lub Sofoklesa, i powiesz sobie, że tylko ta mowa wielkich wieszczów może być wła-

ściwą tym figurom. Lecz też dla tego czytujesz i znów odczytujesz te poezye Greków, nie mogąc się do syta napoić ich pięknością; to tajemnicze ich życie jest dla ciebie samego jakby zdrojem własnego żywota twojego. I stulecia i pokolenia i ludy różnego rodu, idące po sobie w dziejach świata, piły u tego zdroju, a dopiły się w nim ochłody z trudu a poniżenia. Tymczasem owe, powyżéj wspomniane, nowożytne dramata, choć tak bujne w pogmatwaną intrygę, a wypadki napinające duszę, lubo szaleją warem kipiącéj fantazyi, one raz przeczytane wystarczą, rzucasz książkę rad, żeś się z nią pokwitował na zawsze.

Dopiéro lat kilka upłynęło, gdy świat, jakby palony febrą gorączkową, pochłaniał tę literaturę, a dziś, dziś ją mało kto weźmie do ręki; ona zapomniana mimo świetnego talentu swoich pisarzy. Jest to pokuta i kara. Kto się wyświęca na kapłana sztuki, niechaj służy jedynie prawdziwéj piękności, która jest wiecznie jedna, wiecznie ta sama; niechaj nie znieważa talentu swojego mizdrzeniem się do smaku i ochoty współczesnego wieku, bo mistrz niechaj będzie mistrzem swojego czasu, ale nie jego służalcem i zausznikiem. Smak się odmieni, nastaną inne ochoty, ów zausznik pójdzie w zapomnienie, wymieciony po za progi historyi.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości nie tylko uczyła Greków, jak widzimy, właściwéj miary w roztoczeniu treści, lecz była mistrzowi światłem przewodniém pod każdym względem. Jednym rzutem myśli odgadywał, czyli ten lub ów przedmiot nadaje się do epopei lub liry, albo dramatu; tym samym błyskawicznym instynktem przeczuwał styl właściwy dla pewnéj treści, miarę wiersza i t. p. — Buffon niegdyś rzekł: „le style c'est l'homme“ i to jest prawdą, ale dla nowożytnych; dla Greków zaś, styl był wypadkiem i człowieka i treści czyli osnowy jego (*). Smak jest raczéj zupełnie osobistym pierwiastkiem. Grecy dla smaku nie mieli nawet nazwy; a lubo w Grecyi do stylu mistrza każdego wplatało się jego usposobienie duchowe, indywidualne, przecież takowe było tylko lekkim odcieniem, nie paczącym treści, a strojącym się do niéj harmonią. Jeżeli, jak to bywa często między nami, styl niewłaściwy zastosowany jest do przedmiotu, wtedy treść jest zgwałconą, wykrzywioną pod wpływem wewnętrznym, osobistym autora; wtedy nie widzimy rzeczy, o którą chodzi, ale raczéj pisarza; wtedy też pisanie takowe nie jest już stylem, lecz naciąganiem, manierą. Cóż dopiéro się dzieje, gdy treść właściwa np. dla epopei, romansu, wciśniona zostaje w dramat. Te nierządy bezecne odbywają się codziennie pod oczyma naszemi. Gdy jakaś powieść plugawa i krwawa, znieważająca święty obyczaj domowy, przypadła do smaku grymaśnéj, bo choréj publiczności, już

(*) List VI, tam powiedzieliśmy w jakim sensie wypadałoby brać to zdanie Buffona, aby się zgodzić na orzeczenie takowe. (Zob. T. I, str. 85.)

wtedy pojawiwszy się we felietonach i w książkach illustrowanych i nie illustrowanych, przeszedłszy wszystkie piętra i pięterka, strychy i zatyłki towarzystwa, przewędrowawszy od bogatych złocistych salonów do garderoby, kuchni, warsztatów, wytarłszy wszystkie kąty, zostawiwszy wszędzie jad swój, w końcu przeistacza się w nowy kształt, bo wrzekomy dramat, na wielką radość umysłowéj gawiedzi i kassy teatralnéj; a ze sceny idzie prosto na odstawkę między rupiecie literatury, przeżywszy to życie kilkoletnie w nierządzie i bezwstydzie, ale hucznie, ale szumnie. Mało która z główniejszych literatur europejskich nie przedstawiała tego dziwnego, ale niepocieszającego zjawiska.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości w Helladzie rozświeciła również w wieszczu jéj onę instynktową świadomość własnego usposobienia; on patrzał w siebie i widział się, przejrzał do dna własnéj istoty; ztąd nieomylném przeczuciem odgadywał właściwy dla siebie rodzaj poezyi; liryk np. nie zabierał się do epopei ani do dramatu. Widziałeś nawet powyżéj jako Sokrates z onym wielkim Arystofanesem rozbierają wątpliwość, czyli tragik może być zarazem komikiem. Stary mistrz umiał się mierzyć i miarkować, on znał rodzaj odpowiedni jego zdolnościom.

Co więcéj, ta poezya Greków rozwijała się jeszcze w różnych epokach ich Historyi i wśród różnych rodowych szczepów, osiadłych po licznych jéj ziemiach. Jak tedy każda roczna pora roku występuje w wianku właściwych sobie kwiatów, jak każda składa właściwe owoce na cześć natury, tak fantazya Hellady, przeobrażając się w dziejach tego ludu, w każdéj epoce występowała właściwym jéj rodzajem poezyi: tak najprzód epopeją, późniéj lirą, nakoniec dramatem. Co było na czasie, zabrzmiało w sercu, rosło i przybrało formę poetyczną, w któréj się zwierciedlił czas. Każdy rodzaj poezyi był w swoim czasie całą poezyą grecką, każda z tych postaci rozwinęła w téj sobie właściwéj epoce cały żywot swój, a gdy przeszła wszystkie jéj przemiany, już skonała na zawsze, nie budząc się już nigdy z martwych. Nakoniec zważ, że każdy z tych rodzajów poezyi wyrastał znów ze serca szczepu właściwego sobie: Jonia wypiastowała epos, ród dorycki zabrzmiał hymnem, a ta Attyka, co tak mowna, tak skora do przypatrywania się rzeczom ze wszech stron, rozdzieliła te różne stanowiska pojmowania na różne osoby i stworzyła dramat.

Tak przeto każdy szczep i ziemia, każdy peryod dziejowy, każdy wieszcz ograniczał się ściśle w sobie, nie przekraczając kończyn własnéj istoty swojéj; za to téż w niéj był jakby sam u siebie, oddawał się całém sercem téj poezyi jemu przyrodzonéj, był w niéj, jakby we własnéj duszy, w niéj zaważył całą pełnią ducha, nim nie miotały chęci i pokusy obce jego fantazyi; nie zaznał téż przeto nigdy powątpiewania o sobie — o swojéj zdolności. Mistrz, dla onéj harmonii, wiążącéj ducha jego z przedmiotem, był téż ściśle zaślubiony

swojemu rodzajowi poezyi; ta poezya, jemu przyrodzona, stała się jego własną istotą nieodłączną, on w niéj żył, w niéj umierał.

Przecież z drugiéj strony znowu cała poezya grecka była jedną całością cudowną. Tak jest! bo w Helladzie jak się uzupełniały ziemie i rodowe szczepów pierwiastki, tak uzupełniały się nawzajem rodzaje poezyi i wieszcze sami, składając jeden wielki Olimp mistrzów. Byli to ludzie, z których żaden nie zapragnął być każdym i wszystkiém; każdy z nich znał się być tylko jednym dźwiękiem w tym wielkim akordzie Grecyi całéj, i w tém umiarkowaniu widział chwałę swoją. Byli to ludzie na ogromną miarę, na olbrzymią historyczną stopę; byli to ludzie wielcy, bo umieli się ograniczać, bo umieli przestawać na swojém. Otóż widziałeś, że poezya Hellenów, jak cała ich sztuka piękna, miała za cechę to zespolenie wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ta istota jéj odbiła się téż w ludzie Grecyi; on téj poezyi słuchał z ust żywych, on słuchał śpiewców epopei, słuchał i widział liryka, gdy uniesion zachwytem wielbił Bogów na Olimpie, lub zacnych mężów na Ziemi. Lud ten patrzał i słyszał, gdy przez widownią sceny kroczyły wielkie dramatyczne postaci; co tylko w widzu, w słuchaczu odezwało się we wnętrzu głębokiém, toć słyszał i widział przed sobą w dziele mistrza.

U nas inaczéj się dzieje: my mamy książki; cofnąwszy się tedy w siebie z biedą samotnego ślimaka, czytamy, przenosimy się na chwilę w obce światy, żyjemy i czytamy w sobie i dla siebie. Ale gdy się książka zamknie, znów nas obleje zimna wodnista rzeczywistość, w koło nas stanie dawno opatrzona, wymokła proza, nie znająca żadnego związku z pieśnią, powieścią czytaną; ten świat poezyi, książkowy wydaje się tedy marzeniem, cackiem dziecinném wobec grozy żywota. Za to téż chłoniemy książkę za książką, pędzimy na wyścigi, kto liczniejsze półki książek spożyje, kto je rychléj zapomni.

W pierwszych chwilach młodego zarania, gdy ziemia, morza Grecyi tchnęły lekką powiewną mgłą, jakby lubą dziewiczą nadzieją, na niebie wschodniém grono obłoków, palących się złotem, stanęło wieńcem w koło, słońce witając. Te obłoczne kształty świeciły w barwy mieniące, i, niby widma lekkiéj fantazyi, budowały się to w baszty, to w grody, to w statki żaglowne, to malowały dziwnym zarysem postaci mężów zbrojnych szyszakiem i włócznią, to znowu spływały w miękkie niewieście formy. Te widziadła świeciste, napowietrzne — to Homerowy świat.

Śpiewał wieszcz w Iliadzie chwałę męztwa i butność wojowników, i śpiewał w Odyssei dziwne czarnoksiężkie przygody i mądrość bohaterów wśród trudu pielgrzymki, co wiodła ich powrót przez świat, przez życie, do ojczystéj ziemi.

Śpiewy wieszcza nie czytane, nie pisane, — on powierzył pieśni swoje rodzinnym powiewom i ustom swojéj ziemi, a pieśni te, rozniesione tchem po krajach, po ludach, po pokoleniach, wpisały się w serce ludzi, wpisały się na wieki w duszę! Pieśni te przetrwały

budowania marmurów hardych, przetrwały pamięć złożoną w mogiłach, bo wieszcz nie siebie śpiewał, on cały się stał pieśnią, on rozpłynął w naturze, w głębiach ludzkiego ducha, — on był niewidzialnym w téj pieśni swojéj; natura, ludzki duch, prawdy odwieczne przemawiały przez usta jego. Ztąd też postaci jego tak są wyraziste, tak pełne krwi i życia; zoczył je mistrz świeżém, jasném okiem duchowém, — one tak potężne, tak prawdy pełne jakby dzieło saméj przedwiecznéj przyrody; a przecież te kształty wszystkie owiane, uszlachetnione wdziękiem nieskończonym fantazyi. Te bohatery, te wojowniki Homerowskie, — to dzieci ziemskich padołów, one cierpią i weselą się po ludzku; niemi podrzuca zemsta i miłość, niemi miotają tryumfy i trwogi, a przecież w nich puka sercem ciepłém natura ludzka, wzniesiona do ideału, podobnego bogom. Tłem tych postaci, tych obrazów jest spokój niebiański, niezamącony nigdy, a ten spokój jest ową ciszą duchową wieszcza, co składa, wiąże, szykuje i splata części w całość artystyczną. Gdy mistrz przeniknął do dna prawdy, żyjącéj w tajniach świata i w sercu człowieka, gdy podsłuchał w nich bicie pulsów, przeto też rozlał uczucie głębokie obyczaju po świecie przez siebie stworzonym. W lekkich i pełnych uroku tonach, w wierszach, co kroczą niby lotne gracye, płynie chwała zacności, a wstręt do winy. Trojańskie boje okazały Grekom, że jeden jest ich ród, jedno pochodzenie, a pieśni Homerowe postawiły ołtarze tym wspólnym bogom i wspólnéj Greków sławie. Księgi Homerowe, to księgi rodzaju pradziadowéj mądrości dla Grecyi; na ich obrazach, malowanych niezgasłemi nigdy barwami, Hellada uczyła się własnéj duszy swojéj, uczyła się czytać tajemnice natury i własnego serca.

Zaiste, te pieśni są zakonem obyczaju nieznanego Wschodowi,— w nich pierwszy raz występuje na świat wysokie znaczenie kobiety. Wszak wdzięki niewieście rozpalają wojnę Trojańską i stają się piastą Iliady, a Penelopa znów jest ogniskiem duchowém, idealném Odyssei, bo ostatecznym celem tęsknoty Ulissesa. Dla niéj on cierpi, dla niéj zwalcza trudy ciężkie i rozliczne przygody swojéj podróży, bo ku małżonce również jak ku ojczyznie zwrócone serce i myśli jego. Daremnie pełna wdzięków Kalipso oczynia go czarodziejstwem uroków i szczęścia, napróżno ofiaruje mu wieczną młodość i życie nieśmiertelne; on wyznaje, że niebianka iście cudownéj nadziemskiéj urody, że lata długie a przebyte w samotnéj tęsknicy dotknęły zaiste boleśnie wdzięków małżonki, a przecież jedynie do żony śmiertelnéj zwrócone myśli jego i serce; tęsknota do niéj, do ojczystéj ziemi jest jego gwiazdą przewodnią. Cześć ta, którą Homer, a z nim cała późniejsza Hellada, otacza niewiastę, była zarodem uczciwego obyczaju, który się atoli dopiéro w całéj pełni w chrześciaństwie rozwinął. Wszak kobiety są kapłankami ogniska domowego i miłości rodzinnéj. Czuł wieszczym geniuszem tę prawdę Homer, gdy kreślił postać tak zacną jaką jest Penelopa; rzekłbyś,

że ona wychowana w świętym obyczaju chrześciańskim — tak przeczysta, tak szlachetna i wzniosła ta postać! Oddawna rozchodzi się wieść, że jéj małżonek już nigdy nie wróci z pod Troi na ojczyste brzegi, więc ją otacza tłum zuchwałych zalotników o jéj rękę; w samotnéj, smutnéj komnacie, przez długie, głuche lata wiernie dochowuje i rękę i serce pierwszéj i ostatniéj miłości swojéj, i tkała zcicha szatę ową, a praca dla niéj tak nieskończona jak jéj miłość, jak i tęsknota, jak wiara jest nieskończona. I czeka i wierzy, kocha i kryje łzy i nadzieje, uśmiechy i tę miłość co nigdy nie umrze w jéj sercu. Nareszcie, gdy po długich smętnych latach pojawia się żebrak schylony starością na grodzie Penelopy; gdy pociesza serce królowéj, troskami skołatane, wiadomością o małżonku, ona, najwyższą radością zdjęta, przyjmuje go ze czcią w pałacu, jakby przyjaciela, jakby brata od dawnych czasów, stroi i pieści żebraka. Wtedy senne widziadła wróżą jéj blizkie przybycie małżonka, bo się jéj śniło, że orzeł, co wytępił jéj gęsi na podwórzu, przepowiada blizki powrót Ulissesa. (Oddys. XIX, 545.) I ziściły się marzenia: żebrak zwleka szaty biedne i przed Penelopą staje jéj miłość, jéj małżonek — Ulisses w postaci odzianéj cudowną męzką urodą! Toć jest obyczaj w całéj piękności swojéj. A ta Nauzyka, — to niezapominajka niewieścia, to cudowny kwiatek młodziuchny! Ulisses, rozbitek morski, sam jeden ze wszystkich towarzyszy falą wyrzucony na wyspę, kędy króluje jéj ojciec. Nauzyka nieznajomego biedaka opatruje w szaty, i, by uniknąć plotek zawistnych, zatyłkami miasta prowadzi do rodzicielskiego pałacu (*). Nikt nie zna przy-

(*) Trudno mi się wstrzymać od przytoczenia krótkim wyimkiem ustępu z Odyssei, tak prześlicznie tłómaczonego przez L. Siemieńskiego. Rzecz taka. Nauzyka królewna wybrała się ze służebnicami na brzeg morza dla prania bielizny. Po skończonéj robocie, dziewczęta stają do piłki; wśród zabawy Nauzyka przyśpiewuje towarzyszkom; w tém piłka, rzucona ręką Nauzyki, omija dziewczęta i wpada do wody; ztąd śmiech i wrzaski. Aleć to właśnie tam w krzewach spał Ulisses, wyrzucony przez morze, zwalany morskiém błotem. Obudzony głośną ochotą dziewcząt, w niepewności co czynić, zbliża się. Dziewczęta uciekły; jedna Nauzyka, jako wyższa duchem i sercem, została; wtedy już Odysseus, natchniony przez Palladę, w ten sposób do niéj w prośby się udaje:

Błagam cię, bądź-eś bóstwem, bądź panną śmiertelną,
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną.
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona.
A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu,
Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,
Błogosławieni bracia! Jakżesz im gdzieś rośnie
Serce przy tobie, jak się rozpływa radośnie,
Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!
Lecz szczęściu oblubieńca nie może nic sprostać,
Gdy po kosztownych darach zawiezie cię do dom!
Różnym jam się napatrzył, przeróżnym narodom,
A równéj nie znam tobie.

chodnia, on opowiada cierpienia swoje, i trudy i prace przebyte, i wzdycha, i gdy mu się na płacz zbiera, szatą okrywa oblicze. Pewnego razu Nauzyka stanęła w zaciszu niewidziana, Ulisses przechodzi, — dziewica długiém, przeciągłém spojrzeniem utonęła w obliczu jego i rzekła uskrzydlonemi słowy: „niechaj ci życie będzie radością! lecz chciéj też i na ziemi ojców swoich pamiętać o mnie, boć

Tak zacząwszy, prosi by mu królewna dostarczyła szat, i przywodzi nieszczęście swoje, przecież nie przyznaje się być Ulissesem, i daléj mówi:

A bogi cię najmilszą opatrzą nagrodą:
Dadzą męża i domek; przenajświętszą zgodą
Pobłogosławią! skarb to najcenniejszy w świecie,
Kiedy męża z małżonką tkliwa miłość splecie,
A pokój włada domem. Wróg na to się skrzywi,
Cieszą druhy, a oni nad wszystkich szczęśliwi! —
Śnieżnoramienna panna w te ozwie się słowa:
„Widno, żeś człek nie podły ani miałka głowa.
Darmo! woli Jowisza nikt się nie wybiega,
I czy pan czy chudzina losowi podlega.
Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię.
A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,
Okryjem cię, na niczém nie będzie ci zbywać,
Co tylko obcy tułacz może potrzebować.
Do grodu drogę wskażę, dam ludu nazwisko;
My Feaki, tę ziemię zamieszkujem wszystką.
Jam córka Alkynoja — wyższego tu nie ma,
On władzcy i potęgi w ręku berło trzyma".

Poczém zawołała Nauzyka na służebnice by mu podały szaty chędogie, a Odysseus, oddaliwszy się, zmywa z siebie morskie brudy i piany. Bogini Pallas-Atene rozlała na całą postać jego urodę i krasę męzką — tak „iż był piękny bez miary".

Ujrzawszy go królewna, wielce zdziwiła się,
Więc po cichutku prawi do drużyny swojéj:
„Słuchajcie-no dziewczęta! tak mi się cóś roi,
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,
A teraz jak bóg który, niebianin promienny.
O, gdyby mi się trafił mąż coby mu sprostał
Z młodzi naszéj, lub gdyby on sam moim został! —
Ależ jadło, napitek, co tchu mu zanieście!"

(Orędownik, rok 1844 Nr 45.)

Otóż jest ułomek z owéj pradziadowéj pieśni, którą wyśpiewał Homer bez mała przed 2700 lat. Widać, iż co piękne i wielkie zawsze pięknem i wielkiém zostanie; a co do tłómaczenia, wyznaj, że jest takowe jakoby było napisane oryginalnie po polsku. Taką właśnie zaletę znakomitą a tak rzadką mają wszystkie tłómaczenia L. Siemieńskiego; zdaje mi się, że gdyby się zabrał do przetłómaczenia całéj Odyssei, jużby ta praca nie ustąpiła tłómaczeniom żadnéj literatury.

(Wiadomo, że życzenie to naszego estetyka przed niedawnym czasem w sposób świetny spełnioném zostało przez ogłoszenie całkowitego przekładu Odyssei *L. Siemieńskiego*. Kraków, 1876 r. — St.)

to ja przecież uratowałam ci życie!“ I słusznie ktoś z estetyków powiedział, że nikt tak nie umie jak Homer kilku słowami skreślić pierwszy pączek przeczystéj miłości, kłującéj się w sercu niewinnéj dziewczyny bez własnéj jéj wiedzy! Przypomnijmy sobie jeszcze postać smętną a tak uroczystą jaką jest Andromacha, i znów ową wykwintną ale uzacnioną zmysłowość w Kalipsie, albo grubą ziemską namiętność, wyrażoną w Cyrce, albo gminne pojmowanie życia i nieszlachetne uczucia w służebnicach Penelopy, a wyznaj, że Homer z mądrością głęboką skreślił wszystkie barwy i odcienia natury niewieściéj. — A któż to jest ten Homer, kiedyż on żył? — Niewiedzieć! żył może na ośmset lat, może na tysiąc lat przed Chrystusem!

W Epopei artystyczny geniusz Hellady nauczył się czystém, niezamąconém sercem, wolném od osobistych uczuć patrzéć na świat; — więc mistrz własną duszę swoją przetłómaczył na postaci olimpijskich bogów, na bohaterów swoich, na sprawy ich i walki, — sam siebie przeistoczył na sceny wielkie przyrody, na kołysanie szumiących mórz, na cisze uroczyste wieczora, na lekkie dymy ojczystych chat, i na ten cały dramat natury, co zawsze jeden a zawsze świeży, nowy i zawsze wielki. Jak serce, chwycone miłością, traci siebie, ginąc w przedmiocie ukochanym, tak w epopei greckiéj osoba mistrza przepadała w treści pieniów jego; on tonął w świecie zewnętrznym, jakby w duszy kochanki swojéj.

Lecz zważ, właśnie ta istota epopei, spotęgowana do ostatecznych granic, nawróciła fantazyą Greków do nowego rodzaju poezyi. Gdy bowiem ta epopeja dobiła się szczytu swojego, gdy człowiek ujął już swoją istotą cały ten świat zewnętrzny, gdy go przepatrzył we wszystkim objawie jego, — teraz dziwnym, a jednak koniecznym nawrotem, ten świat nawzajem wstąpił we wnętrze człowieka i przetłómaczył się na głosy serca, na uczucie własne duszy jego. Cały przeto ten dramat przyrody, wszystkie te bogi, bohatery, wypadki radośne i smętne ludzkiego żywota wkroczyły w serce wieszcza i zagrały mu na uczuciach, jakby na wewnętrznych strunach, a tak zrodziła się *liryka* grecka.

W lirze serce wieszcza jest światem jego. Gdy przeto treścią epopei jest rzeczywistość cała roztoczona w obrazach, treść liry zebrana jest w sercu jako w ognisku swojém, — tą treścią są uczucia mistrza. I toć właśnie stanowi tę wyrazistą cechę liryki greckiéj, będącéj wzorem po wszystkie wieki. Uczucia i budzenia się ich nie zależą od człowieka; uczucia są jednostkowe, a im które potężniejsze, tém silniéj wyłącza inne; ztąd każda pieśń liryczna ma tylko jedno uczucie za duszę swoją, za treść swoją; od uczucia zależy zrodzenie pieśni i ukończenie jéj; jest to część duszy, część siebie, którą z siebie wypuszczają serca przybytki. Co w piersiach się budzi, wyrywa się teraz na jaw, — to bogosławnym hymnem unosi się w obłoki, lub śmiałoskrzydłą odą wielbi czyny pradziadowe, — to

wypływa potokiem rzewnéj, tkliwéj elegii, — to wyskakuje znów ze serca śmiejącą się, radośną ochotą Anakreontyka, ową lubą piosenką, co hula rzeźko, dziarsko, brzmiąc chwałą miłostek i puhara!

Chciéj atoli baczyć, że ta fantazya liryczna Hellenów, tak różna, tak bogata, choć wypadała zdrojem z wnętrza wieszcza, nie była przecież samym tylko osobistym wypływem jego, i tém ona różni się całą przepaścią od téj liry nowożytnéj, co bywa najczęściéj fałszywie sentymentalna. Bo co mistrz grecki zaśpiewał, toć było iście tonem zrodzonym za potrąceniem zewnętrznego świata; te tony i dźwięki wieszczowych piersi, toć one właśnie są tym światem, ale przybranym niby w osobiste uczucia śpiewaka. To nie on sam, to świat, co w nim śpiewa i gra, ale świat już przeistoczony na własną duszę wieszcza. Treść duszy poety wzniesiona jest do ogólnego znaczenia; w lirze śpiewa nie ten pojedyńczy człowiek, którego lud słucha, na którego się patrzy, ale w pieśni śpiewa i nuci ogólna wiekuista natura człowieka. Nie jest to liryczność nowożytna, nie jest to pieśń, co jest li osobistym śpiewem, co tak często chorobliwa tęskni i żali się, że świat nie rozumie uczuć, zrodzonych w tajniach serca wieszcza.

W lirze greckiéj słychać wprawdzie także osobiste, własne uczucie mistrza, lecz właśnie dla tego, że wieszcz był szerokiego, wielkiego serca, że żadna ciasnota samolubna nie odgraniczała go od świata zewnętrznego, nie krępowała jego swobody — dla tego właśnie ta rzeczywistość cała, bogata, pełna treści zdolna była wstąpić w tajne przybytki duszy jego. Co on zaśpiewał, choć party niby osobistém uczuciem, to rodziło się z rozwartych, wolnych piersi, to budziło uczucia wszystkich, — odbiło się echem w sercu wszystkich i po wieki wszystkie. Mógł przeto Pindar zaśpiewać „jam człowiek jeden, a powołanym dla całéj społecznéj sprawy“. W piersiach jego tchnęły bogi same, gdy śpiewał bogom. Ztąd też gdy raz w Delfach, uchwycon potęgą natchnienia, uwielbił niebian na wysokim olimpie, tłumny słuchający lud, uderzony jakby obecnością bogów, zapada w zapomnienie siebie, staje słupem niemym, a grono kapłanów świętéj wyroczni kroczy ku niemu w uroczystym pochodzie i wzywa wieszcza do świątyni na gody. Apollo, obecny w mistrzu i w śpiewie jego, wzywa śmiertelnego człowieka na ucztę do siebie, do domu swojego. Wieszcz — bogów gościem; on od nich uraczony, uczczony.

Rosa niebiańska błyszczy na listku, zbiera się w kroplę, co się pali jasnością słonecznych żarów, a im więcéj kropelka się wzmoże, tém mocniéj ona promieni wszech tęczy barwami; a gdy już zaświeci najcudniéj całym niebios przepychem, spada, ginąc w ziemi, w matce wszystkiego żywota. Jest też stara gadka między ludźmi, że skon i kochanie — to dwa anioły bliźniaki; bo w miłości, w najwyższym życia nastroju, już zarodem budzi się śmierć. Tak tragedya Grecyi,

będąc najwyższym jéj piękności tryumfem i najzacniejszą jéj fantazyi postacią, — jest zarazem zwiastuną już kroczącego jéj skonu.

Gdy w Helladzie przeminęło dawno ono pierwszéj wiosny tchnienie, co zrodziło śpiew epopei, gdy lira już ciszéj, a ciszéj brzmiała w sercu śpiewaka, wtedy stanął wśród ludzi dramat, bo on jest zespoleniem zewnętrznego świata epopei a świata wewnętrznego lirycznéj poezyi. Dramat roztacza wspaniały obraz ludzkich czynów jak epopeja, lecz tych ludzi już widzisz tuż wobec siebie, słyszysz jak w lirze te tajemnicze głosy, co je prą do czynu. Jak w lirze sam śpiewca wyjawia wnętrze swoje, tak w dramacie każda jego figura jest wyobraźnikiem uczucia, co w nim robi a warzy; i znowu wszystkie te figury i ich uczucia splatają się w jedną całość artystyczną jak w epopei, a ta całość tém więcéj jest w dramacie ścisłą, artystyczną, iż te figury nawzajem się uzupełniają organicznie, tak dalece, że każda z nich wymaga koniecznie bytności drugiéj. Ta ścisła łączność liry a epopei w dramacie objawia się jeszcze pod innym względem, bo w chórze tragedyi greckiéj. Chór należy wprawdzie do gry, ale udział jego jest tylko liryczny, a znów jest niby aktorem, a przecież znów tylko widzem, zachowując się jedynie biernie do wypadków, odbywających się na scenie. Chór grecki godzi i miarkuje rozkołysane uczucia tragicznych bohaterów; on radby pojednać strony, które się zderzają całą potęgą namiętności swoich. Chór atoli jest bez mocy, wysilenia się jego daremne; on świadkiem i walki i skonu wrogich pierwiastków. On ma słuszność po walce, po zgonie; jest to demos, lud, owa potęga ogólna, co zostaje i nie ginie wśród gromów łomotnych, wśród skonu figur dziejowych. Chór ma słuszność; co on orzeka jest prawdą ogólną, którą przytłumiły w sobie figury główne, działające; jest tedy (wedle mojego zdania) odgłosem owego fatum, będącego tłem tragedyi całéj; i dla tego (śmiałbym powiedzieć) chór grecki i *przeznaczenie* zostają w ścisłym związku z sobą. Co się w chórze dzieje niby biernie, co u niego jest śpiewem, jego wewnętrzną treścią, staje się w dramacie czynem, występuje na zewnątrz. Ztąd każda postać tragiczna zderza się z inną a inną postacią, którą znów inne włada uczucie. Bo co w sercu zamknięte, to nasze, — co czynem się jawi, toć świata własnością, to bije w ludzi i w rzeczy, a tak rodzi się kollizya, zwarcie się potęg wrogich. (List X.)

Kollizya pierwiastków żywotnych nieznana była jeszcze w życiu Grecyi, — ona pierwszy raz pojawiła się w sztuce tragicznéj proroctwem poezyi. Hellenowie patrzali się na te walki i łamania się wrogich mocy, co się wcieliły na scenie w osoby starogreckich bohaterów, królów i ich rodzin. Te postaci zamroczone, te dzieje mityczne, żyjąc tylko tradycyą wśród ludu, zdawały mu się historyą dawno odbytą, niepowrotną nigdy. Te króle i bohatery pradziadowych lat wystąpiły ze mgły przeszłości, świecąc całym urokiem piękności tragicznéj, stanęły przed tym ludem i niby smętne zwia-

stuny przywiodły mu na oczy walki i zderzenia, okropności pełne; — lud Grecyi patrzał na te obrazy zdumiony, struchlały. Zgroza serce ścisnęła; rozbierały duszę jego trwogi i żale, a lud ten nie przeczuwał, że na téj scenie, wobec siebie widzi własne dzieje łzawéj przyszłości swojéj; nie przeczuwał, że ta walka i zwarcie się potęg wrogich zestąpi nie zadługo w rzeczywistość, że doprawdy na jawie Grecya odegra dramat, tragedyą, że umrze na tę walkę własnych pierwiastków swoich, że pękną struny cnéj harmonii.

Grecya umarła na walkę tych pierwiastków swoich! bo owa ich harmonia, będąca żywotnym warunkiem, duszą Hellady, pękła rozsadzona za dotknięciem się ducha dziejów ludzkich, co idzie przez świat.

Ten cudowny, harmonijny zestrój wnętrza człowieka a zewnętrznego świata, ducha i natury, serca i rozumu, to zespolenie pełne wdzięków człowieka z prawem, obyczajem i bogami jego nie mogło się długo ostać w świecie greckim. Na dnie téj harmonii roztwierała się niewidomie sprzeczność bezdenna, jakby otchłań grobowa, osłoniona różami wonnemi. Gdy nadszedł czas, ziewnął ciemny grób i pochłonął róże wonne i Grecyą.

To zespolenie i harmonia były tylko chwilą piękną, ulotną w ludzkich dziejach; Hellada wprawdzie wiedziała o różnicy owych dwóch odwrotnych światów; to jéj przeczucie jednak nie było dostatecznem, ona nie zdołała rozdzielić tych światów wskróś, do dna, i dla tego właśnie nie umiała uznać wzajemnego ich i prawdziwego stosunku i związać ich rzeczywistą harmonią. Grecya wiedziała o różnicy ducha a materyi, a przecież nie stało ją na to, by pojąć ducha bez ciała, więc i bogi swoje oblekła zmysłowością, ciałem! — Nieskończoność była tedy u nich na wieki materyi zaślubioną. Bogi były wiekuiste i nieskończone,—ale nieskończoność ta jest sprzeczna wielości ich, bo gdy było wiele bogów, już każdy z nich był koniecznie odgraniczony od wszystkich innych, był więc w sobie ograniczonym, a przecież on miał być nieskończonym. Te bogi były wiekuiste a cielesnością odziane! Dla tego téż one w swoich posągach, choć z uśmiechem niebiańskim na obliczu, tak czegoś tęskne i rzewne, — po tym uśmiechu płynie łza! Jakby w przeczuciu smętném téj sprzeczności, Grecy uznali fatum, ową straszliwą przeznaczenia moc, co grozi ludziom i bogom. Ztąd znów dalsza sprzeczność bogów a przeznaczenia, ztąd znowu następnie sprzeczność w samém ciemném łonie téj mocy wrogiéj. Bo fatum nieubłagane, to raz ślepe, uderzające z przypadku, jakby obłąkaniec w ciemnicy porwany bezprzytomnym szałem — to znów sprawiedliwe i mszczące krzywdy, — to zawistne szczęściu ludzi, pełza milczkiem niewidomie i zabija; ono wszędzie obecne a niedostrzeżone, aż nie uderzy całym nieszczęścia gromem. W Grecyi człowiek jest już wolnéj woli i mistrzem swoich czynów, a przecież odpowiada za przodków swoich; zbrodnia pradziada wlecze się chyłkiem za późném pokoleniem i ściga furyami

wnuków. Te sprzeczności zradzały inne a inne, rysując najgłębsze podwaliny greckiego żywota; fundamenta Grecyi się zapadały; zrazu te szczeliny lekkie, niedostrzeżone, rozwierały się zwolna jako rany śmiertelne, niewyleczone nigdy.

Tragedya Greków była cichą, dziś ledwie dla nas dosłyszaną wróżbą przyszłego jéj skonu, a więc téż najwyższém górowaniem sztuki Hellady. Trzy imiona przesławne jaśnieją téż jako wyobraźniki jéj, a te imiona gromadzą się w około najświetniejszych tryumfów dziejów greckich, bo ich piastą jest owa Salamińska bitwa, — w niéj Greków duch przemógł milionowe Xerxesowe tłumy. Eschylus, żołnierz-poeta, walczy jako mąż dojrzały w téj bitwie; skronie jego już wieńczy chwała tragedyi głośnéj sławy, a piersi jego jaśnieją uczczone już bliznami z pod Maratonu. Naówczas szesnastoletni Sofokles wśród grona najurodziwszych młodzianów, uroczystym tanem oddaje dzięki bogom za odniesione to zwycięztwo, i właśnie znów w dzień téj potrzeby salamińskiéj rodzi się Eurypides. Grecya za młodu umarła, — było jéj śpieszno z tém życiem. Liczny szereg wielkich mężów swoich i wielkich spraw streściła w krótkiém życiu, nie rozwlekając ich na stulecia i lat tysiące.

Wszak z dawniejszego listu i z tego, co powyżéj rzekłem, wiesz czém wedle nas jest tragiczność (List X) (*). Tutaj każda z postaci jest wyobraźnikiem jednego z tych uczuć, które rządzą sercem człowieka, ale żadna nie jest całą prawdą, prawdą, która łączy i jednoczy wszystkie szczegółowe prawdy i uczucia, która jest dnem światowładném wszechrzeczy, która właśnie owe szczegółowe uczucia i prawdy wysyła z siebie niby promienie pojedyńcze. Postać tragiczna tedy, oddając się wyłącznie jednéj z tych prawd i urzeczywistniając ją czynem, obraża inne figury tragiczne, bo z nich każda przyznaje się do innego osobnego uczucia, a tém samém każda z nich potrąca i znieważa prawdę wszystkich prawd, będącą ich wszystkich trzonem a podwaliną, będącą samą prawdą wiekuistą i nieskończoną. Postać przeto tragiczna z jednéj strony jest w swojém prawie, ma słuszność, bo uczucie, które ją podżega do czynu i prze, jest przecież jednym z tych promieni téj prawdy nieskończonéj; z drugiéj strony atoli na téj saméj postaci ciąży całém wrogiém brzemieniem wina, boć ona, nieopatrznie gruntując się na tém jedném swojém wyłącznem uczuciu, nie uznaje uczuć innych, a tak nie uznaje téż onéj prawdy bezwzględnéj, nieskończonéj. Ta prawda zrazu niewidziana, będąca oddaloném tłem, wysuwa się zwolna, strasznie z za kulisy świata, rośnie majestatem niebotycznym i uderza gromem, karząc winę skonem! Kara ta i skon mrozi strachem serce widza, sięgając do ciepłych głębin jego zimną, nieubłaganą ręką, bo widz uznaje, że to jest sprawiedliwość wiekuista, co tu karze!

(*) Zob. T. I str. 176 i nast.

I znów zarówno widz uznaje, że to uczucie, za które skonem płaci postać tragiczna, mieści się w jego własném sercu, że to samo uczucie jest obecne w nim, we widzu, niby demon śpiący, a gotowy co chwila się obudzić i porwać go w nieszczęścia otchłanie; i dla tego widz truchleje, — ztąd jego współczucie tak jest głębokie!

Chciéj jednak baczyć, że inne ma znaczenie tragiczność w sercu wypiastowaném mądrością nowoczesnego świata, a inaczéj wcale ona zaważyła w Grecyi. U nas tragiczność i skon jest zgładzeniem winy, pogodzeniem się człowieka z sobą i z prawdą wiekuistą, bo w naszém sercu tak głęboko! tak przepaścisto! My instynktem, przeczuciem, wiedzą, wiarą chrześciańską wiemy, że ta prawda wszystkich prawd jest w nas samych zarodem, że jest naszym własnym pierwiastkiem; ba, że jest własną istotą naszą wiekuistą! Ztąd wiemy, że wina, że oddanie się jednemu uczuciu wyłącznie, będące obrazą prawdy wiekuistéj, odstępstwem od niéj, jest zarazem odstępstwem od właściwéj istoty nieskończonéj naszéj; gdy przeto ta prawda uderzy karą, toć uznajemy własną istotę naszą w niéj, więc godzimy się z nią, niby z sobą. Zważ! tu zaiste zawarte są najgłębsze głębie duchowego naszego żywota! Kto się wyrzeka winy swojéj, kto w niéj widzi jedynie błąd złéj chwili, kto się jéj zaprze całą gorącą, serdeczną żałością, ten już zaiste nawraca z niéj ku wiekuistéj a przeczystéj prawdzie, i w téj prawdzie miłością tonie. Wtedy już wina owa przestaje być winą, wina staje się dla niego obcą potęgą — ona zgładzona; a człowiek nietylko w przekonaniu swojém osobistém, ale rzeczywiście, naprawdę uwolniony jest od winy; on staje znowu w zgodzie z sobą i z ową prawdą wiekuistą, przedwieczną. Kara uderza jedynie w błąd jego, ale nie w jego istotę; ona jest zniesieniem chwilowego obłędu, pogodzeniem się przez skon z sobą, z prawdą nieskończoną, nawrotem przez miłość do Boga; na grobie pokutnika wyrasta palma — godło przebaczenia. Jest to tragiczność żywota ludzkiego w najgłębszém znaczeniu.

Takowéj tragiczności nie znała Hellada, ona nie zaznała tych głębin ogromnych, przepaścistych ducha. Grecya żyła ze światem zewnętrznym w harmonii, pełnéj wdzięków; świat zewnętrzny był tedy brzemiennéj dla niéj wagi. Nie zdołając utonąć we własnych bezdeniach, Hellada korzyła się przed życiowładném fatum, ślepookim losom przypisując przewagę nad sprawami i żywotem człowieka. Jakoż oparcie się na sobie, zapuszczanie się nurkiem we własnych toniach, rozsadzające ową harmonią, byłoby antygreckiém.

Niech się tedy święci po wszystkie wieki geniusz tragików greckich, bo Eschylus, bo Sofokles wzięli na się jako zadanie swojego żywota przywieść ludowi na oczy sprawiedliwość bożą, karzącą złe, mszczącą krzywdy; oni uczyli jak miarkować serce, jak ważyć namiętności. Oni wskazali, jak człowiek łączyć ma wolną wolą swoją z rządem niebian losowładnych, jak czcić obyczaj i prawo, jak godzić rzeczy boskie i ludzkie. Tę drogę pierwszy wyłamał geniusz

tytaniczny Eschyla, co wznosi się nad świat całą fantazyą Wschodu, a mądrością i umiarkowaniem Grecyi; co tak zuchwały a potężny jakby natury moce, jako burze morskie, jak zrywające się ognie podziemne, jak trzęsienie ziemi lub pożar ciemnéj nocy.

Treść w jego tragedyi prosta; ona kroczy zwolna, harda, pełna grozy i głębi jako chmura, co niesie pioruny i grom. W tropy za nim idzie Sofokles. Sofokles — on tragikiem połowy świata! Ród ludzki czekał dwa tysiące lat, bo czekał aż się Shakespeare urodził, a z nim tragedya innego rodzaju. Sofokles i Shakespeare — to jakby dwaj reprezentanci dwojéj tragedyi. Możnaby powiedzieć, że nie ma tragedyi, tylko ta, co staje przy Sofoklesowéj sztuce, albo ta, co idzie wzorem Shakespeara; tu środka jakby nie ma. Choć okażemy w innem miejscu, że ta odwrotność nie dochodzi bynajmniéj do gruntu samego rzeczy, że gdy jedna jest piękność, więc tragedya Shakespeara i grecka, czyli prawdziwie klassyczna, mają wspólne sobie tło i podstawę, i są może więcéj z sobą spokrewnione, niż się z wierzchu zdaje. Są to dwa dęby olbrzymie, łączące się pod ziemią w spólny pień, w spólne korzenie.

Sofokles treść powiązał z mistrzowska; figury jego są pełne, plastyczne, niby światem w sobie zupełnym, skończonym; z piersi ich płynie *pathos*, jako rzeka wspaniała, głęboka. A co w sercu jego bohatera rodzi się, to porywa inne figury, boć to jest uczucie włożone od wieków w duszę człowieka i żyje w niéj nieprzemożoną nigdy potęgą, i żyje w świecie, jako jego krew a tętno. Sofokles roztwiera skarby, obłędy ciemne, zamknięte w duszy człowieka, podnosi opony zasłaniające historyą serca i świata, a z wysoką sztuką splatając w jeden obraz dzieje tragiczne figur swoich, dotykając się wszystkich uczuć, niby klawiszów brzmiących, wydobywa z nich i jęki i żale, boleść, trwogi i gniew i szał i wszystkie ochoty i namiętności ukryte; aż w końcu te dysharmonie różnych dźwięków, te zderzenia się ich i walki cichną, korząc się przed powagą ustawy obyczaju. Bo ta ustawa jest konieczną, niewywrotną a przecież ugruntowaną na woli człowieka, na téj woli, będącéj z wierzchu tak ruchomą, kołysaną wichrem namiętności, a spoczywającą przecież na trzonie niewzruszonym i wiecznym.

Tak tedy Eschylus i Sofokles światłością geniuszu swojego rozjaśnili nocne tło przeznaczenia, okazując uosobiające się na niém postaci sprawiedliwych bogów i odsłaniając występującą z ciemnicy jego Nemesis, co ściga zbrodnie.

Tak ułagodzona jest nieużytość twarda nieubłaganego fatum w poezyi tych wielkich tragików; ale przecież i oni, jako cały świat grecki, nie zdołali go zgładzić, zetrzeć na zawsze. Rzekłem albowiem, że nie było w onym świecie starym owéj głębi chrześciańskiego serca, bo ani Eschylus ani Sofokles nie zdołali zanurzyć się w topielach własnego ducha i zerwać do dna z potęgami, co broją zewnątrz człowieka. W nich nie ma tego głębokiego pogodzenia

człowieka z wiekuistą prawdą w znaczeniu wielkiém nowoczesnego świata, nie ma tego zupełnego, całkowitego nawrotu do siebie; bo do tego trzeba, aby człowiek wiedział, że prawda wiekuista, nie ginąca nigdy, mieszka w nim samym, że jest jego własnym istotnym pierwiastkiem; do tego trzeba było wiedzy żywéj o nieśmiertelności ducha człowieka. Żywot pośmiertny u Greków był cieniem bladym, smętnym, nierównie niższym, niż życie doczesne wśród jasnéj promiennéj rzeczywistości. Skon nie ma u Greków tego znaczenia wysokiéj prawdy jak u nas, cośmy dziećmi innéj wiary, innego świata.

Dla tego właśnie, że nieśmiertelność ducha stawała w lekkim rozwiewnym obrazie przed oczyma Greków, ztąd też oni żyli całą istotą swoją w rzeczywistości tutecznéj, i dla tego też właśnie nie rozdzielali do dna wiekuistości od doczesnego świata; wynikało ztąd, że najwyższym szczytem dla ich ducha była ta harmonia owych dwóch światów, owa piękność fantazyi. Dla nas zaś, cośmy duchem urośli, dzieła piękności, te lube fantazyi dzieci, wystarczą by sobie upięknić, umilić tę ziemską tymczasową gospodę, ale ich nie stać, by nam zastąpiły wieczność; a piękność jest nam o tyle drogą, o ile nam jest wieczności ziemską zwiastuną. W naszéj tragiczności, czyli ona się roztoczy na teatrze, czyli w życiu, grom, który spada na człowieka, choć piorunny, śmiertelny, znajduje usprawiedliwienie swoje we własném sercu, we własném przekonaniu tego, na którego uderza cios; bo karząca go wiekuista, władnąca światem sprawiedliwość, zarazem zasiada w sercu jego. U Greków zaś karze fatum.

Dziś w estetyce słusznie przeważa zdanie, że fatum nie jest jedyną mocą działającą w tragedyi greckiéj, bo to fatum, choć jest raczéj mściwe niż karzące, choć kary jego straszliwe nie bywają w stosunku do winy, toć z drugiéj strony prawda, że to fatum nie jest ślepą mocą, bo ono wywołane bywa z ukrycia przez własną winę człowieka. Zaiste, to zdanie estetyków jest słuszne, lecz trudnoby mi przyszło zgodzić się z tymi, którzy przesadzając twierdzą, jakoby fatum żadnéj władzy nie miało w tych greckich tragedyach. Fatum nie było starte ze świata, bo nie była jeszcze starta moc cielesna, bo duch nie był jeszcze w Grecyi samoistnym, samodzielnym.

Grecya była ludem młodym, prawie pierwotnym, ona była jedną z pierwszych córhistoryi; przeszłość dziejowa, która ją wyprzedziła, była jeszcze tak krótką, tak niedawną, przeto też i treść w człowieku nie była jeszcze w Grecyi tak bogatą, tak pełną osnowy jak w naszych stuleciach, które się wychowały długiém pasowaniem się przez lat tysiące, które są wypadkiem wielkich cierpień, boleści niewymownych i tryumfów łzawych a krwawych. Z tego też powodu charaktery greckich tragedyj były prostoty pełne, a to nie tylko dla tego, że były stworzone przez wieszczów, należących do tego pierwotnego ludu o treści prostéj, ale nadto dla tego, że wzięte nawet

były z historyi pierwotnéj, z mitów tego pierwotnego ludu, z czasów porannego świtu jego. Ztąd wynika prostota tych charakterów; każdy z nich wyobraża tylko jedną wyłącznie myśl, jedno wyłącznie uczucie; a jest cały tą myślą, tém uczuciem. W tragedyach np. Shakespeara, każdy z charakterów jest wprawdzie także wyobraźnikiem jednego uczucia, jednéj myśli, ale oprócz tego pierwiastku, panującego w nim i będącego w nim główną sprężyną działania, on jeszcze chowa w sercu treść bogatą, w nim waży się i kipi wiele uczuć i myśli, które razem wzięte dopiéro stanowią jego indywidualność, jego właściwą fizyognomią duchową. Każda z tych figur brzmi wprawdzie jednym tonem panującym, ale z nim zarazem słychać i inne wtórujące akordy, a co więcéj, prawda wiekuista, jako boży pierwiastek udzielony człowiekowi, nie usypia nigdy w sercu, a choć przygłuszony, budzi się przecież jako anioła głos, co woła na ostateczne sądy Boże. Tego nie ma w tragedyach greckich, w nich nie ma téj bogatéj, różnorodnéj treści, ujętéj w jedność wiekuistą; w nich figury są niby niezmienne maski o nieruchomej twarzy, bo w nich jedno tylko uczucie włada, a pierwiastek wiekuistéj prawdy jeszcze nie zapukał w głębiach duchowych.

Nadto, warto nam jeszcze i na to zwrócić uwagę, że te figury przyszły Grekom tradycyą, podaniem z dawnych lat, jako typy nietykalne, których zmieniać nie było wolno; wieszcz nie ośmieliłby się był nigdy przedstawić bohatera z dawnych lat wedle swojego własnego zapatrywania się; on go tak stawiał przed oczy widza, jak żył w wyobrażeniu i sercu ludu. Z drugiéj strony te charaktery i typy już gotowe, już dane, były nieprzebranym skarbem dla wieszczów jakim był Eschylus i Sofokles; oni zbadali tajemnicze i pełne wagi znaczenie tych typów, oni przeprowadzili je w obec ludu, jakby filozofią ojczystych dziejów. Ztąd Arystoteles rzekł, że tragedya wyższa od sztuki pisania historyi, „bo ta jedynie przedstawia rzeczy jak były z całą przypadkowością swoją, tragedya zaś bada duszę dziejów i dotyka się ich tętna“. Przyznasz mi jednak, że właśnie dla tego, iż Eschylus, że Sofokles uczyli czci dla bogów i praw i obyczajów, że przywodzili w obec ludzi wieczną sprawiedliwość, już tém samém uznali potrzebę tego nauczania, a tak stali się dla nas wróżbą, że stara Grecya i harmonia jéj z obyczajem i religią usuwała się już z dramatu rzeczywistego życia. Przyznasz, że gdy ta tragedya nakazuje człowiekowi rozpatrzenie się we własném wnętrzu swojém, już tém samém była cofnieniem się jego w siebie i pierwszym zaczątkiem rozwodu między światem wewnętrznym ducha a rzeczywistością zewnętrzną.

Ta cecha przeradzającéj się, a raczéj konającéj Grecyi występuje z całą prawdą swoją w tragedyi Eurypidesa—on synem wskróś odmiennéj epoki. Nastał czas gorączkowy; wyrywało się osobistą chęcią serce ludzi miotane namiętnością i podrzucane innemi potęgami, które dotychczas, trzymane na wodzy czcią ogółu, milczały na

dnie duszy. Podwaliny pradziadowe społeczności, zakon dawnego obyczaju, straciły świętość swoją, a człowiek zdanie swoje jednostkowe, te chętki piersi własnych uważał za prawdę, za wskazówkę postępowania swojego. Popękały dawne ogniwa, każdy uważał się być całością osobną dla siebie, a nie stojąc na zasadach ogólnych jako na fundamentach swoich, nie brał też sił i żywotnych pierwiastków z głębin prawd rodzimych; ztąd stał się wiotkim i słabym, bo był-li tylko na sobie oparty. Drzewo zeschło, a te liście, co niegdyś silnie trzymając się drzewa, jako wspólnego tła, były czerstwe i zdrowe, teraz zżółkły, spadły, idąc na poniewierkę lada powiewom. Takim jest Eurypides, takie są jego figury. Owa harmonia, która była żywotną istotą Grecyi, czyniąc z jéj ludu lud-artystę, która była dla nas wątkiem całego rozwoju naszego, ta harmonia znikła niepowrotnie ze sceny świata. W Eurypidesie nie ma owych potężnych i wspaniałych charakterów, w których żyje rdzeń żywota całéj Grecyi, ale jawią się figury, popisujące się błyskotkami swoich osobistych sentymentów. Postaci Sofoklesa działały parte wewnętrznym pathos; tém pathos było nie tylko ich uczucie osobiste, ale prawda istotna, ogólna, i dla tego tak olbrzymiego wrażenia. U Eurypidesa figury są rozwojem psychologicznym, są roztoczeniem swawolnéj osobistéj chętki sofistycznéj; niémi miota jakaś tęsknota, jakieś na pół zrozumiane chorobliwe pragnienie. Gdy u tamtych tragików właśnie to pathos, jako ogólne, wystarczało aby poruszyć wskróś widza i zatrząść sercem jego; Eurypidesa figury nie mają same przez się téj potęgi; więc rade zająć jeszcze widza sztucznem powikłaniem bajki tragicznéj, wymyślném naprężeniem ciekawości, wznieceniem jakiéjś tęsknoty nieukojonéj. Te tragedye były wyrazem dziejów, które nastać miały w rzeczywistości, gdy już każdy w Helladzie uczynił się odrębném ogniskiem samego siebie, gdy Grecya rozjednostkowała się na atomy osobne. Był to czas wojny Peloponezkiéj, w któréj również one wszystkie ludy Grecyi, zrywając ogniwa jednoczące je w całość, stanęły do siebie kollizyą a bratobójczą walką. Tę wojnę opisując Tucydydes, mistrz dziejopisów, powiada, że: „dużo było rozkazujących a słuchających mało, że każdy upatrywał przyczynę każdéj przegranéj właśnie w tém, że jego tam brakowało, boć on byłby niby złemu zaradził“.

Słowem, ów, niegdyś cudnéj piękności, żywot Grecyi wypaczył się, wydrzeźnił w ironią — on dojrzał w osnowę dla komedyi. Bo gdy zniknęła cześć dla rzeczy publicznéj, gdy zewsząd pchała się prywata, gdy interes osobisty rozpierał się po świecie, siebie za piastę wszech rzeczy mając — wtedy zachodziła sprzeczność między tém, czém każdy się być mniemał, a czém w istocie był, a przekonanie się jego własne o téj sprzeczności zrodziło komiczność. I znalazł się tu komik! znalazł się starogrecki człek z krwawą boleścią w sercu, ze łzą w oku, ze śmiechem na ustach, a z jadem żółci w mowie: był to Arystofanes, komik długo zapoznany a przecież tak

olbrzymi. On pisał tym Grekom komedye, a lud śmiał się na komedyi, chichotał z dowcipów, z konceptów lubieżnych, ze scen tak pociesznych! Ale na dnie tych dowcipów, konceptów był wyrok śmierci na lud ten; w nich brzmiał jego sąd ostateczny, w nich śmiała się rozpacz konającego.

Arystofanes palił dowcipem rany śmiertelne Grecyi; pod wesołością lekką ducha, pod drwinkami rozpusty chował uczciwe, prawe nadzieje wyleczenia ludu swojego i nawrócenia go do starego obyczaju, do przeszłości; on się łudził, że zdolen wlać nowe życie w ten biédny kraj swój, on pieścił się myślą, jakoby ta choroba Hellady była jedynie przechodnia; on za mało sobie ważył te pojawy nowego pierwiastku, który się na świat rodził. Ten pierwiastek, mający przeistoczyć dzieje ludzkie, już był obecny, już pukał pod ziemią, unosił się w atmosferze. Grecya nie tylko dla tego umierała, że była popsowana w sobie, ale psuła się, bo wybiła godzina, gdy inny zwrot miał nastać w historyi ludzkiego rodzaju. Tym zwrotem był nawrót człowieka ku sobie, utonienie jego w duchu.

„Mężowie! ci wszyscy którzy podrobili świadectwa nastające na mnie, równie jak ci, co od nich wyuczeni świadectwa dawali, krzywoprzysięztwem je uświęcając — są to zaiste ludzie przekonani w duchu o nieprawości i bezbożności czynu swojego. A czyliż mnie przystoi, abym w téj chwili mniéj siebie ważył, niż przed zapadłym wyrokiem waszym? Wszak nie dowiedliście mi żadnéj winy, o którą przed was przyzwany zostałem. Bo świadkiem mi Zews i Hera (Juno), żem nie czynił nigdy ofiar żadnym nowym bogom, anim też nie przysięgał nigdy na imie ich, anim ich kiedykolwiek uczcił bogów imieniem!... A czyliż ja mogłem psuć młodzież? ja, com ją uczył zawżdy, jak się miarkować, jak cierpieć! Śmierć moja niesprawiedliwa, nie jest dla mnie wstydem, ale jest tylko hańbą tym, co mnie skazują na skon! Wiem, że nie tylko czasy przyszłe, ale cała przeszłość będą mi świadkiem, żem nikogo nie krzywdził w życiu mojém, żem nie gorszył nikogo, owszem, że świadczyłem tyle dobrego, ilem tylko mógł, tym wszystkim, z którymi przestawałem; i to pewna, że uczyłem bez nagrody żadnéj, jak to być zacnym człowiekiem na świecie“.

(Przemówienie się Sokratesa po skazaniu go na śmierć — z Xenefonta).

Wiadomo ci zaiste, że Plato w dyalogu swoim „Phaedo“ powtórzył rozprawę, którą miał Sokrates z uczniami przed skonem, a mianowicie cały rozwój nauki jego o nieśmiertelności duszy człowieka— rozmowa, która po wszystkie wieki i po wszystkie ludy zostanie arcydziełem mądrości i filozoficznéj głębi. Słusznie też powiedziano, że chwile uroczyste przedśmiertne mędrca oblały poświatą swoją ten

zacny przedmiot rozmowy, i nawzajem, że zacność przedmiotu uświęciła i podniosła ostatnie chwile i skon jego. „Phaedo“ kończy się temi słowy: „ów zaś sługa więzienny, który mu podał truciznę, pokazał nam jako Sokrates stopniowo od nóg drętwiał, i dodał: „gdy to dojdzie do serca, będzie po wszystkiem!“ — Niezadługo, drgnęło nim, sługa odkrył twarz, oczy zgasły. — Widząc to Kriton zamknął mu usta i powieki. — Taki był koniec naszego przyjaciela, tego męża, który wedle przekonania naszego jest najdoskonalszym człowiekiem, i pewnie też najrozumniejszym i najzacniejszym ze wszystkich.“

Zaiste był to człowiek najdoskonalszy, był to człowiek, co się urodził na chwałę rodzajowi ludzkiemu, a przecież ten człowiek bezświadomie, bo party duchem przyszłości w nim żyjącym, przez naukę swoją dał hasło na śmierć Hellady. Od powiewu jego filozofii zerwała się harmonia wewnętrznéj treści człowieka a rzeczywistości — ta harmonia, która była Grecyi żywotem; — więc uleciała i fantazya artystyczna Grecyi, owa fantazya klassyczna, któréj oddechem a istotą była właśnie owa harmonia wdzięków pełna.

Dziwném to zrządzeniem ta sama fantazya, któréj szczytem była tragedya, ta fantazya umarła na naukę męża, którego skon sam jest tak wysoką tragicznością. Dziwny to splot dla nas, ale nie dla Grecyi, bo ona jest taką całością pełną konsekwencyi! bo jéj życie samo jest jakby arcydziełem sztuki!

Łatwo cię przekonać, że tak istotnie się rzecz ma; zechciéj tylko przypomnieć sobie, co gdzieś wyżéj rzekłem. Powiedziałem, że duch dziejów wszechobecny, krocząc przez ludy i stulecia, widział, że nadszedł czas, by człowiek uczynił nawrót ku sobie i zapuścił się w zapadliny głębokie własnéj istoty swojéj. Ten duch obrał sobie za świadka a kapłana swojego czyste serce Sokratesa, a usta jego za wieszcza nadchodzącym stuleciom. Duch dziejów zapukał w jego piersiach i dał mu znać o sobie. A Sokrates, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, nie przeczuwając, zkąd ma to parcie duchowe, przypisywał owe wnętrzne wołania w duszy jakiemuś geniuszowi, co mu szeptał ciche wróżby, i zatonął, młodzieńcem jeszcze będąc, w onym napisie na wyroczni delfickiéj: „poznaj siebie samego“. I Sokrates myślą zapadał się w duchu swoim, i poznał go, i dokonał zadania onéj wyroczni; w sobie znalazł wyrocznią wszelkiéj prawdy, więc też owa zewnętrzna delficka Pitya oniemiała, — umilkła. Gdy sam duch człowieka z głębi własnych rozpoczął proroctwa swoje, ona ustąpiła wyższym wieszczom. — Ale to nurkowanie, to zapadanie się ducha w sobie, było zarazem cofnieniem się jego z rzeczywistego świata, więc skonem harmonii, którą płynęło owo piękne życie Hellady. Serce jéj ciszéj a ciszéj biło, — w rychle miało stanąć i umilknąć na zawsze. Duch dziejów ludzkich oko swoje zwrócił na wnętrze swoje, więc dla niego świat doczesny, słoneczny stracił wartość. Duch przewidział. Te dawne, pełne piękności marmurowe posągi bogów były bez źrenicy, bez wzroku!

one już miały zestąpić z wysokiego podnóża! (*) Rozumiesz przeto, że sam ten Sokrates jest tak głębokiego tragicznego znaczenia. On ma słuszność, bo przez usta jego objawia się pierwiastek nowéj nadchodzącéj epoki świata, — i w tém jego prawo; ale z drugiéj strony, choć bez wiedzy swojéj, on zarazem obraża i śmiertelnie rani Grecyą, która umrze na ten właśnie nowy pierwiastek, — i w tém jego wina. Nawzajem Ateńczycy, nastając na mędrca głoszącego prawdę, klującą się w dziejach, stali się winni w obec zakonu historyi; lecz zaiste to nastawanie było znów ich prawem, bo było własną obroną Grecyi i jéj żywota. Toć jest zderzenie się, kollizya tragiczna dwóch stron odwrotnych.

Ateńczycy instynktem przeczuwali, że filozofia Sokratesa stanie się skonem Hellady; — oskarżają go tedy, że nie wierzy w dawnych bogów, ani w stare wyrocznie, lecz w demonium, co w nim przemawia, że lekce waży obyczaj rodzinny, że młodzież psuje, uwodząc ją nauką swoją. Utorował im już dawniéj drogę Arystofanes — ów genialny komik — wierzący w możność nawrotu do starogreckich obyczajów. On całém natchnieniem swojéj żółci uderza na Sokratesa, szarpiąc dowcipem, szargając szyderstwem uczciwą, nieskalaną sławę zacnego nauczyciela. Ateńczycy, zrazu na komedyą oburzeni, wnet sami wytoczyli Sokratesowi gardłową sprawę i zadali filozo-

---

(*) *Sokrates* był zaiste pierwszym z Greków, który zwrócił myśl na wnętrze duchowe, na myśl samą, a tak nauka jego już w zarodzie chowała pierwiastek antygrecki, bo gotowała zerwanie człowieka ze światem zewnętrznym, więc zerwanie harmonii ducha z całą rzeczywistością, bo tak z naturą, jak i ze społecznością; — a wiemy, że ta harmonia była właśnie pierwiastkiem żywotnym Grecyi, jako klassycznego ludu. Lecz gdy to zerwanie było dopiéro zarodem zamknięte w nauce Sokratesa, więc nie rozumiéjmy jakoby ono zaraz, bezzwłocznie i w całéj pełni wystąpiło z jego filozofią w świat; owszem ten nowy pierwiastek pojawia się dopiéro w całéj wyrazistości w późniejszéj nierównie filozofii i w późniejszéj epoce historyi greckiéj.

Jakoż, uważmy, to zwrócenie się Sokratesa do wnętrza duchowego wyraża się głównie tém, że Sokrates uważa, iż pierwszym warunkiem wszelkiego prawdziwego poznania przedmiotu jest: „aby człowiek zwracał baczność na własne pojmowanie swoje, aby myśl własna stała sobie saméj na straży“. Widzimy tedy, że Sokrates jak z jednéj strony cofa myśl we wnętrze ducha, a poznanie własnego trybu poznawania czyni warunkiem wszelkiego istotnego poznawania, — tak z drugiéj strony nie zaprzecza prawdziwości rzeczywistych przedmiotów. Uczeń jego, *Plato*, posunął się jednym stopniem wyżéj; u niego bowiem jedynym prawdziwym przedmiotem są myśli, są pojęcia — ale nie zwyczajne myśli ludzkie, ale myśli światorodne, idee istniejące we wszechbytności, wyrażające się w przedmiotach; świat zewnętrzny zaś, przedmioty rzeczywiste, otaczające nas do koła, są jedynie odbiciem, odgłosem tych idei. — Te idee, te myśli rządzące światem są, wedle Platona, rzeczywistością prawdziwą; to zaś, co ludzie zwykle przedmiotami rzeczywistemi zowią, więc ten świat zmysłowy, materyalny, dotykalny, jest tylko cieniem onych myśli. Widzimy tedy, że Plato z jednéj strony zrywa ze światem zewnętrznym, zwykle zwanym rzeczywistością, ale z drugiéj strony na miejscu jego sadza prawdziwą rzeczywistość — idee, które nie tylko mają istnienie wewnątrz człowieka, ale są prawdami i zakonem świata. Wszelako Platona filozofia ten ma niedostatek, że nie zdołała wytłó-

fowi śmierć. — Nie wrócił już atoli stary obyczaj, a lud ateński w rychle po skonie mędrca swojego, sam już przesiąkniony nowemi prawdami jego, skazuje onych oskarżycieli na śmierć lub wygnanie. W sercu własném całego ludu staje gościem wrogim, — rozdwojenie.

Gdy się tak zerwały ogniwa między światem zewnętrznym a wewnętrznym, już nadaremnie późniejsze filozofie greckie pracowały, by połączyć oba te światy. Każda z nich trzyma się ostateczności. „Rzucaj się wyłącznie całą duszą w objęcie zewnętrznego, zmysłowego świata, on sam jeden jest prawdą“ tak woła *Epikureizm* późniejszy, zepsuty. — „Odepchnij od siebie tę rzeczywistość, pomiataj zakonem jéj; zmysłowość jest kłamstwem, szukaj w sobie prawdy“ uczą *Stoicy*, co, cofnąwszy się w ducha, otulają się dumą cnoty i przestawania na sobie. Nakoniec człowiek rozpacza i o treści ducha i o rzeczywistości i o myśli własnéj, i o tém wszystkiém co istnieje; rozpacza tedy o wszelkiéj prawdzie, o sobie samym — a tak zradza się *Sceptycyzm*. Sceptycyzm złożył zwłoki Grecyi do grobu i stanął na jéj mogile, a serce człowieka spustoszało i ogłuchło. Świat w boleści swojéj wołał ratunku.

Tak tedy słuszne było twierdzenie moje. Owe podania mgliste pierwotnych dziejów greckich, owe postaci poranne a mityczne historye, co się zdawały być greckiemu ludowi niepowrotną już nigdy

---

maczyć stosunku między dziedziną tych nadświatnych idei a rzeczywistością zmysłową, widzialną i t. d. To właśnie w nim gani uczeń jego *Arystoteles*, który dla tego całą potęgą geniuszu ku temu się ma, aby wytłómaczył styczność między ideami a światem widzialnym, między duchem a materyą. Główną myślą w tym względzie jest u Arystotelesa zasada: że ten stosunek i styczność jest stosunkiem formy do osnowy; że myśli, że idee są formą, a rzeczywistość zmysłowa materyałem, czyli osnową dla téj myśli a idei.

Nie rozszerzając się dłużéj nad tym naszym rozwojem, wystarczy gdy powiemy, że filozofii Arystotelesa nie udało się rozwiązanie tego zagadnienia; stosunek formy do osnowy był niedostatecznym by zrównać łączność dwóch odwrotnych światów. Ztąd znać, że on, całym geniuszem pracując nad połączeniem dwóch tych odwrotnych biegunów, tém samém pragnął zatrzymać ową harmonią między myślą a materyą, między człowiekiem wewnętrznym a rzeczywistością zewnętrzną. Była to więc dążność, pracująca w nim mimo wiedzy, aby utrzymać właśnie to, co było charakterem i warunkiem żywotnym Grecyi i świata klassycznego. Lecz z jednéj strony, sama ta dążność jego, a z drugiéj strony niedoprowadzenie do skutku téj dążności, tego zamiaru, okazuje, że również jak w Platonie, jak w Sokratesie, — tak i w Arystotelesie widzimy naprzód zerwanie ducha ze światem wewnętrznym a rzeczywistością, a powtóre widzimy także, iż to zerwanie, że ten zwrot ducha ku sobie jest tutaj dopiéro w pierwszym swoim stopniu.

Dopiéro po Arystotelesie następuje nowa epoka filozofii greckiéj — cofnienie się człowieka staje się zupełném, bo filozofowie nawet uczą: że człowiek opierać się winien sam na sobie, i w sobie samym szukać spokoju i zadowolnienia, że świat nie da mu nigdy tego zadowolnienia. Ten kierunek w najwyższéj potędze okazuje się w filozofii *sceptycznéj*, która wyraźnie orzeka, że człowiek nie zdolen poznać prawdy, że nie zdolen poznać przedmiotu; a tém samém ta filozofia orzeka, że nie ma już żadnego związku między myślą człowieka a przedmiotami, między duchem a rzeczywistym światem.

przeszłością, odżyły naprzód poezyą wielkich tragików jego, prorocząc mu własną smętną przyszłość; a wnet też owe zderzenia się i walki zestąpiły ze sceny w rzeczywisty świat. Stało się przeto, że najwyższe arcydzieło poezyi: *Antygona* Sofoklesa, a losy Sokratesa, najzacniejszego męża Hellady, co był wróżbitą skonu ojczyzny swojéj, dziwnie są odpowiednie sobie (*).

(*) Dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, przypomnę tutaj treść Antygony. . . . . .

Rzecz tak się ma. — Dwaj bracia Antygony walczą o tron zmarłego ojca Edypa. Eteokles z krzywdą brata zasiadł na stolicy Tebańskiéj. Polynikes, dochodząc prawa swojego, na czele hufców obcych najeżdża miasto rodzinne. Ztąd oba winni. W bitwie krwawéj obaj bracia nawzajem zabijają się bratobójczą walką. Teraz Kreon, wuj ich, owładnął rządy w Tebach. On, jako wyobraźnik prawa i ustawy publicznéj, chowa zwłoki Eteoklesa z całym przepychem i czcią należącą obrońcy miasta; ciało zaś Polynikesa zostawia na pastwę ptastwu i dzikiemu zwierzowi a śmiercią grozi każdemu, ktoby je śmiał pogrzebać. Mimo ogłoszonego rozkazu tego, Antygona, idąc za natchnieniem miłości rodzinnéj, powierza ziemi zabitego brata, a tak działając wbrew publicznemu prawu, winną się staje. Schwytana przy dopełnieniu powinności pobożnéj, jest skazaną na zamurowanie żywcem w grobowcu. Toć jest cała treść tragedyi.

Kreon i Antygona zderzają się kollizyą jako dwa uosobnione, wręcz przeciwne sobie pierwiastki, — są to dwie główne postaci smętnego dramatu. Obok Antygony staje siostra jéj Ismena; ona przedstawia słodycz niewieścią, łagodność i bierność charakteru, a tak tém potężniéj rysuje figurę siostry swojéj. — Obok Kreona znowu Hemon, syn jego, narzeczony Antygony; on przemawia imieniem miłości; ujmując się za kochanką, zderza się z ojcem, zapomina o czci jemu należnéj, a tak sam przewinił obyczajowi domowemu, powinnościom rodzinnym. Nakoniec kapłan i wróżbita Tyresias, starzec ciemny, od dziecięcia prowadzony, napomina imieniem bogów Kreona by się pomiarkował i nie obrażał świętych odwiecznych ustaw. — On jest głosem sumienia, radą serca; ślepota zakryła mu świat zewnętrzny, ale oko duchowe otwarte i czuwa, jasno wgląda w najdalsze, dla innych niewidzialne prawdy.

Każda z tych figur tragicznych ma słuszność, bo jest wcieleniem jednéj z onych prawd; ale każda z nich, tém jedném uczuciem porwana, pomija względy należące się od niéj innym prawdom: — ztąd brak umiarkowania, ztąd zderzenie z niemi a spadający grom nieszczęścia. Lecz każda z nich w końcu godzi się, miękniejąc traci szorstkość swoją. Antygona, w obliczu okrutnéj śmierci, wraca do słodyczy i łagodności niewieściéj, a mężne i szlachetne jéj serce płacze nad własnym losem swoim. A Kreon, co nieużyty i twardy, bo jest uosobioną ustawą, rozpływa w końcu rozczuleniem nad losem rodziny swojéj, którą sponiewierał. — Obraził bogów podziemnych nie grzebiąc ciała poległych nieprzyjaciół; jakoż dziki zwierz, ptastwo, roznoszą krwawe ich członki, kalając ołtarze ziem pogranicznych. Ludy sąsiednie ciągną gęstym zastępem, pomścić się świętokradztwa znieważonych ołtarzów bogów swoich.

Hemon, syn jego, zadaje sobie śmierć, nie chcąc przeżyć kochanki. Eurydyka, żona Kreona, rozpaczając nad śmiercią syna, ginie skonem samobójczym. Tak grom po gromie spada na głowę Kreona. On dawno już odwołał wyrok srogi, ale Antygona zamknięta w grobie sama sobie życie odebrała; — serce jego kruszy się pod brzemieniem nieszczęścia. Kończy się tragedya, oddając upamiętaniu cześć i napomina śmiertelnych, by samowolą nie bluźnili bogom.

Zaiste warto byśmy te rozprawy nasze o fantazyi greckiéj ukończyli kilku słowami z Antygony. Podaję ci tylko okruchy ułomków, a przecież one jakby klejnoty drogie zbogacą kosztownie tę biédną pracę moją. Nie ośmielam się korzystać z mistrzowskiego tłómaczenia pana Kaszewskiego, bo mając, jak rzekłem, podać

Sokrates i Antygona! Dwadzieścia i trzy stulecia minęły, gdy natchniony geniusz Sofoklesa udarował ród ludzki tą tragedyą swoją. A dopiéro kilka lat upłynęło, gdy teatra Berlina i Paryża, pragnąc przecież jakąś nowością podrażnić znudzoną, zużytą publiczność swoją wprowadziły Antygonę na scenę. Tłumnie garnie się gadatliwa, dowcipkująca, wytworna ciżba, by się przypatrzyć dzi-

---

jedynie okruszyny téj tragedyi, nie radbym zadać gwałtu pięknym a wdzięcznym wierszom tłómacza i spaczyć tak wielce zasłużoną a zacną pracę jego.

Antygona, słysząc o zakazie pochowania zwłok braterskich, pyta Ismeny czyli zechce razem z nią dokonać pobożnego dzieła.

I s m e n a. Pomnij, że my niewiasty nie zrodzone by wbrew przemocy mężów stanąć do walki! — Ja się modlić będę umarłym o przejrzenie méj winy, żem zmuszona korzyć się przed powagą doczesnéj ustawy . . . . . .

. . . . . .

A n t y g o n a. Więc ja sama jedna zmarłego pochowam. I umrę radośnie po dziele tém, i złożę głowę moją obok mojego przyjaciela, ukochana od niego. . . . . Tym, co są pod ziemią, dłużéj podobać się godzi niż żyjącym na ziemi, boć kiedyś przyjdzie na zawsze spocząć obok nich! Ty znieważaj prawa przez bogów uczczone!

. . . . . .

Straż donosi Kreonowi, że zwłoki Polynikesa pochowane ręką niewiadomą. Kreon grozi straży śmiercią, jeśliby nie odkryła sprawcy, a gdy Chór starców powiada, że przeczucie jakieś mu mówi, iż pogrzeb ten stał się z nakazania bogów, Kreon. . . . . Umilknij! a umiarkuj nieopatrznéj mowy! — Śmiesz mówić, że bogi zasłaniają paiżą swojéj opieki tego, co na ich świątnice w kolumny strojne, i bogate w dary ofiarne, niósł pożogi, co w kraj ich opieki rzucał gwałcenie ustaw i praw! . . . . . .

. . . . . .

Zaczajona u grobu straż dostrzega Antygonę, czyniącą błagalną ofiarę i chowającą zwłoki brata. Kreon pyta, czyli znała ogłoszony rozkaz jego, i pyta, zkąd jéj ta śmiałość działania wbrew jego woli? Ona, przyznając się do czynu, powiada:

Ani od Zewsa, ani od bogów podziemnego świata płynęło rozkazanie twoje; ono nie jest wzniesione nad boże prawa, co niezmienne nigdy, nie pisane nigdy, nie dzisiaj, nie wczoraj zrodzone, żyją bez końca, a nikt nie wié kiedy stanęły wśród ludzi! więc mnie nie trwoży żadna groźba ludzka, bym miała gwałceniem tych praw wywołać na się bogów sądy! — Zaiste! nie minie mnie skon! - Lecz choć mię i przed czasem zabierze, będzie dla mnie wygraną. Bo kto mnie podobien, wśród katuszy wiedzie żywot swój, temu zaprawdę ukojeniem żalów jest śmierć. . . . . Śmierć nie jest dla mnie boleścią, ale boleścią mi widok niepogrzebionego własnéj matki syna! —

. . . . . .

K r e o n. Ty go czcząc znieważasz drugiego brata!

A n t y g o n a. Zaiste, sam umarły nie sądzi sądem twym! —

. . . . . .

K r e o n. Ten pustoszył kraj, tamten umarł w obronie jego! —

A n t y g. Państwo umarłych żąda dla obu jednakiéj czci!

. . . . . .

K r e o n. Nieprzyjaciel nawet i w śmierci nie jest kochany. —

A n t y g. Ja nie znam, jak nienawidzieć wspólnie z innymi, ja tylko kochać umiem wspólnie z innymi.—

wowisku, co zaklęte występowało z zapadłych zbutwiałych grobów. Cisną się i garną ze zdaniem już gotowém: „Zapewne ten Sofokles był wielkim poetą na swój czas a lud; ale przecież od téj epoki, przez blizko półtrzecia tysiąca lat, tyle i tak dzielnych narodów pracowało nad cywilizacyą świata, a do tego o tyle wyższych od Greków smakiem, uczuciem, obyczajem, krajem, stanowiskiem, pojęciem

---

Przyprowadzona Ismena chce dzielić z siostrą winę i śmierć.

Ismena. Nie chciéj o siostro pogardzać uczestnictwem mojém w skonie, i czcią, którą uświęcę umarłego brata! —

Antyg. Nie umieraj wspólnie ze mną, ani nazywaj twojém dzieła, któregoś się nie tknęła nigdy. Moja śmierć wystarczy! . . . . . .
. . . . Tyś pragnęła życia, ja wybrałam śmierć.
. . . . Ty żyjesz, a dusza moja już skonała, by pójść umarłym w służby.

(Obie siostry odprowadzono pod strażą do pałacu; występuje Hemon; zrazu rozmowa jego z ojcem łagodna, lecz w miarę jak Hemon traci nadzieję skłonienia ojca do przebaczenia winy Antygonie, namiętność wzrasta w sercu młodzieńca oburzeniem. Rozjątrzony Kreon nakazuje bez zwłoki wykonanie wyroku na Antygonie, Hemon grozi samobójstwem).

Wyprowadzają Antygonę.

Antygona. Patrzcie na mnie, ziemi mojéj synowie, jako śpiesznie ostatnia wiedzie mnie droga, jako widzę ostatnią jasność promienną dnia, dziś i na wieki! Żywą wprowadza mnie podziemny bóg do Acherontu brzegów. Ja nie uradowana nigdy pieśnią ślubną i tanem uroczystym weselnym. Idę do weselnéj Acheronta komnaty. —

Chór.

Lecz idziesz chwały pełna, czcią ustrojona do umarłych grodu. Ty nie zaznasz męki długiéj a zwolna trawiącéj niemocy, ani od miecza nagrodnéj zapłaty. Ty żywa wstępujesz do państwa ciemnic sama jedna, a wedle własnéj woli a własnéj ustawy twojéj — . . . . . .
. . . . . My śmiertelni z ludzkiego rodu! Ztąd chwała, gdy choć w śmierci doznajemy losu, jakiego doznają bogowie! —
. . . . . .

Antygona. Te potoki zdrojorodne i ten pełen rozkoszy tebański gaj, i cały świat w koło, wzywam na świadki jako bez płaczu przyjaciół, jako za onym wyrokiem zstępuję do więzień grobowych, pod sklepy skalne niesłychanéj zgrozy! Biada! Ja nieszczęsna nie będę ani wśród umarłych, ani wśród żywych, ani wśród ludzi, ani wśród martwych zwłok.
. . . . . .
. . . . I ty bracie mój — ty umarły zabijasz mnie żywą! . . . . . .
. . . . Nieopłakiwana, nieukochana, niezaślubiona, boleści pełna idę przygotowaną już drogą. Nigdy, nigdy nie obaczę już onéj światlistéj dnia pochodni a jasnego niebios oka! — Nikt z przyjaciół nie westchnie nad samotném skonaniem mojém! . . . . . .
. . . . . (Kreon wchodzi.)
. . . . Idę do was! — Wiem, że mnie ojciec przyjmie miłością, przyjmie i matka serdeczném kochaniem! Boć i ja umarła uczciłam was miłością, własną ręką umyłam ciało wasze i przyniosłam pośmiertne ofiary. . . . . I ty bracie mnie przyjmiesz, bo czcząc zwłoki twoje, te zbieram nagrody . . . . . .
. . . . . (Antygona odprowadzona.)
. . . . . (Tyresias, kapłan prowadzo-

rzeczy i t. d. Pójdźmy! obaczymy przecież jakąś odmianę wśród téj jednostajności nudów śmiertelnych". Tak rezonując, zasiadają na ławach. Podniosła się zasłona. Spojrzyj po widzach, — uśmiech litości i pobłażania — tu owdzie poziewają, szepcą żarciki, dowcipki. Ale tragedya roztacza się jakby burza daleka; duch starego wieszcza kroczy przez scenę; szepty umilkły, drwinki oniemiały, pręży się uwaga. Cisza głęboka, — każdy słyszy własny oddech swój. Coraz potężeje, dźwiga się tragedya, bije trwogą i strachem; — rzewność i litość rozbiera słuchaczów; uczucia dawne, senne, co przycichły w sercach, teraz dygocą i jęczą i bolą, — głębiéj a głębiéj przenika duszę ta dziwna poezya. Spojrzyj w koło — łzy zrazu wstydzące się, ukryte, w rychle już jawne — bo powszechne. Zapadła kurtyna, — jeszcze cisza, — teraz już grzmiące, serdeczne okrzyki i cześć staremu poecie, a te lekkoduche dzieci nowożytnego świata ściskają się nawzajem w najwyższém rozczuleniu. „Tak! co prawdziwie piękne żyje na wieki i nie zna różnicy lat tysiąców ani narodu", powiada Jules Janin, kończąc w swoim felietonie powyższe swoje zdanie sprawy o przedstawieniu Antygony i wrażeniu, jakie uczyniła na publiczności paryzkiéj.

---

ny od wróżbity, wstępuje na scenę — Kreon . . . . . .
. . . . . .
. . . Tyresias (do Kreona). Wiedz! nieliczne już obieży kołowroty swoje słońce, a ty umarłym z własnéj krwi twojéj za umarłych zapłacisz! — Ty zgrzeszyłeś bogom nadziemskim, wtrącając pod ziemię życie żyjące, a bluźniłeś bogom podziemnym, bo zatrzymałeś ich własność, nie pogrzebując zbezczeszczonego umarłych ciała! — One przeto potęgi, co niszczą bezbożności zbrodnię, już tropią ciebie, czyhając by cię umatnić równém nieszczęściem! . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
Kreon w objęciu swojém trzyma zwłoki syna. . . . . Ciało Eurydyki przynoszą na scenę . . . . . .

Kreon. Biada! piętrzą się nieszczęścia, cierpienia; w objęciu dźwigam dziecię drogie i przed oczyma ciało matki jego — Biada ci Matko — Biada ci . . . nieszczęsne dziecię! . . . . . .

Ach, ach szczują mnie strachy! Przeszyjcie obosieczném żelazem piersi moje!— Patrzcie na mnie! Biada! Przepadam w okropności morzu! . . . . . Nikt z ludzi niechaj nie ma winy, na mnie samego zwala się całe zbrodni brzemię. — Ja — ja sam zamordowałem się w szale moim. Tak jest, ja sam mordowałem siebie! — Uchwyćcie mnie, trzymajcie mnie, odprowadźcie mnie śpiesznie, bo ja nie jestem już niczém na świecie! . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Chór.

Najwyższém ze wszech darów dobrém jest mądrość! — Nie bluźnij bogom! bo słowo potęgą, gromem gwałtownym. Lecz przypłata za butne zuchwalstwo uczy na starość upamiętania!

Toć się stało przed kilku latami, a przed kilku znów wiekami, właśnie w tém XV i XVI stuleciu, wtedy gdy Europa zmiatała z siebie średniowiekową pleśń, a wróciła się całém uwielbieniem do Greków, odgrzebując ich poezyą, — wtedy znów dała po swojemu dowód swojéj czci dla Antygony. Wystaw sobie, ten przeczysty kwiat ludzkiego serca, — ta Antygona tak wówczas wszystkich zachwyciła, że rozbierano uczenie pytanie, ażali ta dziewica, choćby sama jedna z pogańskiego świata, nie zasłużyła na żywot wieczny?!!

Jak Sokrates taki Antygona zderzają się z prawami kraju swojego; gdy atoli w nim, jak w mężu, prze i robi rodzący się przyszłości głos, Antygona, niewiastą będąc, idzie za natchnieniem przyrodzonego uczucia; ona staje na straży miłości rodzinnéj i życie za nią daje; boć niewiasty są kapłankami domowego ogniska i zacnego rodzinnego obyczaju. Nazwano też tę tragedyą słusznie tragedyą miłości. Jest to jednak miłość przeczysta, wolna od potęg zmysłowych, bo nie dla kochanka poświęca się Antygona, ale dla brata. W téj miłości gra wprawdzie i różnica płciowa, ale idealizowana, ale wyswobodzona od samolubstwa materyi.

Sokrates i Antygona! obie te postaci były porwane potęgą wewnętrzną, — Antygonę parło uczucie przyrodzone, — Sokratesa duch przyszłości; w niéj natchnienie idzie do serca, na Sokratesa wionął duch filozofii. Obie te postaci zerwały ze światem zewnętrznym, obie łamią się ze światem, z prawdami istniejącemi między ludźmi, i zerwana jest harmonia między człowiekiem zewnętrznym a wewnętrzną ogólną prawdą. Obie te postaci giną, bo śmierć — to ich tragiczne prawo; ale zginie także ten świat zewnętrzny, rzeczywisty. To rozdwojenie się rzeczywistości zewnętrznéj, które Sofokles przedstawił w tragedyi swojéj, a które w filozofii Sokratesa, samo stało się rzeczywistością, wstąpiło w świat zewnętrzny, w historyą. Demon wyłączny parł w każdym greckim ludzie; inaczéj więc one uderzyły na siebie wojną Peloponezką; zerwała się harmonia między wewnętrznem uczuciem tych ludów, a zewnętrzną ogólną prawdą, bo prawdą, która te ludy greckie czyniła jedną całością. Uderzyły na siebie te ludy i skonały z ran nawzajem sobie zadanych. Rozwiązał tę tragedyę Filip i syn jego Aleksander, król Macedonii.

List Dwudziesty Trzeci.

Rzym.

Wstęp. — Forum Romanum. — Zadanie Rzymu w historyi. — Idea panująca w Rzymie. — Ztąd usposobienie jego duchowe. — Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześciańskich. — Duch historyi rzymskiéj (utylitarność). — Rodzina

rzymska. — Wielkość rzymska. — Bogowie rzymscy i greccy. — Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi. — Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym ani filozoficznym. — Zemsta bogów. — Z tego usposobienia ducha wypływa też piętno ich fantazyi. — Architektura rzymska i techniczność. — Rzeźba. — Kilka słów o poezyi rzymskiéj.

Wróciłem do domu już dość późnym wieczorem. Noc cudnie piękna, całe miasto nasze kąpie się w powodzi księżycowéj jasności. Wyznaj, że to jednak dziwna sprawa z tym księżycem, choć tak ogadana i oklepana od dawna. On spowiednikiem miłości młodéj, do niego wzdychają kochankowie i jemu się żalą z tęsknoty a biedy swojéj; a on duma i słucha niby i jak tam może pociesza, udając, że i on bardzo się frasuje ich troską. Lecz niechno stary ten ćwik podpatrzy gdzieś razem tę parkę, a już ją tak urzecze spojrzeniem swojém i tak ją zmatni, że to już na życie całe zostanie! Bo on, choć sam tak zimny, tak blady i samotny, lubi przecież być swatem lic rumianych i miłości wrzących a serc ognistych.

Na tych magicznych nocnych promieniach płyną też wielkich mistrzów pieśni, boć poezya sama jest tylko księżycową ducha naszego poświatą. „Niechaj nam żyje zdrów nasz stary druh! Do ciebie księżycu pijem!“ wykrzykuje wesoły ludek artystów, poetów! Dla tego też każdy młodziuchny wieszczek, choćby ze sławą jeszcze w pestce zamkniętą, puszcza się w komplimenta do księżyca; więc jak porwie nieboraczkę gęśl swoją, to ci pewnie, jak na gwałt, zaśpiewa o dziewczynie, o strumyku, o księżycu i słowiku.

Cicho, spokojnie w izbie; — noc głęboka — słychać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholątko śpi w kolebce, a tu księżyc milczkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę i świeci aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę; bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę; a ono w téj jasności smętnéj takie blade, jakby umarłe; i trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jéj dziecinie i nie wyssała oczek niebieskich. Ba! inne jeszcze, a coś nie bardzo dobre rzeczy prawią o tym księżycu. Tak, np rozgadali o nim, że to on promieniem swoim wyprowadza ludzi z komnat sypialnych, każąc im się spinać po dachach i gzémsach i skałach zawrotnych, że miewa jakieś konszachty na Łyséj górze, że owe złe ziółka, co to na śmierć lub na miłość służą, to w jego obecności zbierane, że to on przyświeca na cmentarzach w pewne noce tanom zapustnym, gdy szkielety hulają po grobach. Przecież nie mówmy o tém; mogę cię zapewnić, że nigdy nic podobnego nie widziałem; więc wolę wierzyć, że to plotki i bajki wierutne przez poetów zmyślone, i nie wierzę aż się osobiście przekonam. Ale za to wiem, że księżyc czasem i bardzo usłużny; ten lub ów tak zapada po uszy w księgi, w szpargały nowe i stare, a tak się zaduma nad niémi, że już nie wié o sobie ani o bożym świe-

cie; wtenczas niekiedy księżyc w całéj paradzie solennéj występuje po nad dachy miejskie i brudne kominy, i jak ciśnie zadumanemu światłością, tak i obudzi, i da znać, że prócz papieru i atramentu jest przecież jeszcze i natura na świecie!

Co do mnie, jestem mu rad z całéj duszy, bo, widzisz, ja jeszcze z dwóch powodów mam serdeczną słabość do niego. Zważ tylko — księżyc jest dla nas istną przypominajką (przepuść wyraz); jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką dobro-duszną twarz swoją zwróci do biednéj ziemi naszéj i jasném spojrzeniem poleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy płacze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli ckliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz — ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarówném kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątnice i żyjących i umarłych. On mogiłom i świątnicom, żyjącym i umarłym na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń, pieśń o innych światach, kędy nie ma trudów życia, kędy nie ma łez i lęku skonania. A tak gdy, wśród téj pieśni jego, w sercu i myśli uśnie troska dzienna, gdy z duszy uleci ciemna chmura, wtedy odetchniesz choć na chwilę i spojrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą, chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara geniuszów nocnych, skocznych, lekkich, krząta się, zwija i lata i biega: ciałka ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i śpieszy i lata, i biega czeredka, i dźwigi kulisy, kurtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi, — a już gotowa scena z dawnych lubych lat,—i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojéj występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odegrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich: — i patrzysz i weselisz się i poklaskujesz w dziecznéj komedyi, któréj sam jesteś widzem i autorem. Tak, niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy, i raz jeszcze, choć na chwilkę, nawracamy do uczty weselnéj, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi: „nie prawdaż? tak samo ci się uśmiechałem — tam! wtedy — pamiętasz?“ Tak jest, ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stają przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary jasności nocy magicznéj. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i łudzi, jednak pieści a koi. Ale o tych wskrzeszonych księżycem wspomnieniach lubych potém jeszcze więcéj powiem.

Teraz naprędce o drugiéj przyczynie mojéj przyjaźni dla księży-

ca. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę tchnie sentymentem parafiańskim, ale może i ta parafia nie lada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżyc za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski! Trzeba ci było być ze mną przed chwilą, i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu też ślicznie w poświacie księżycowéj! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe tynki, to wszystko gdzieś się skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu. Za dnia te domy, — to tak sobie dawne kamienice — usiadły w kółko, niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, śpiczastym niby w czepku czubatym; inne powykrawały sobie wierzchy we falbany, w cętki dziergane; inne, jakby marząc o królowéj Bonie, udają włoszki i chowają dachy po za jakieś frontony. A już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym, rannym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych świateł zaleje miasto, wtedy proszę spojrzéć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! Niechnoby one poczęły bajać, gadać a opowiadać, jużby stało czém zapisać grube księgi wieściami temi, a byłoby też po co czytać te stare baje. Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni.

Wśród rynku, jakby zamknięta arka przymierza, ciągną się *Sukiennice* krakowskie; a choć one same opylone, obleciałe i połatane, podpierają przecież jakieś starowieczne jatki i sklepiki i tulą do siebie domki i przylepki jak z opłatków sklecone, to większe, to mniejsze, to proste, to krzywe. Zwyczajnie jak to stary pan, który, choć bieda około niego, wspiera jeszcze respektowe szerepetki i, jak tam może, żywi szarą czeladkę wziętą dziedzictwem po ojcu. My, mieszczanie krakowscy, co to znamy każdy strzęp naszego gniazda, cośmy z lat dziecięcych, młodzieńczych, w tych domach i gmachach krakowskich po kawałku duszę naszą zostawili, my, czasem nie wiedzieć nawet po co i na co, ciągniem jakoś przez *Sukiennice* — ciągnie nas miłość do starych, tak ukochanych gratów naszych. Stachowicz, co także dziecko krakowskie, raz w życiu swojém ruszył z Krakowa, a to z księdzem Woroniczem, i to do Warszawy. Zajechali. — Stachowicz co tchu w świątecznéj kapocie, w ręku trzcina srebrem kuta, czapka zuchwała z barankiem, na bakier, puszcza się na zwiady po stolicy — i czegoś szuka, czegoś pyta, zaczepia ludzi i lustruje i biega i mruczy. Wrócił do domu: — „Jedźmy sobie do Krakowa, Mości księże Biskupie! nie ma tu co robić!“ — „A cóż to wam znów panie Michale!“ — „Co mi to za miasto Excellentissime! Biedaki nie mają Sukiennic!“ — Wiesz, że to istne factum historyczne; lecz nie mów tam o tém Warszawianom. — A co prawda to prawda, może pan Michał i miał racyą! Bo trzeba widzieć, te Sukiennice, gdy biją pełnym blaskiem nocnych światłości. W ko-

ło cisza, jak w kościele, niby to oryentalny bazar, niby olbrzymi grobowiec. Podwójne ostro-łukie bramy już z późnym mrokiem zatrzasła stara krata żelazna, w środku gęsta noc, a dziwaczne jakieś o tém ciemném wnętrzu chodzą wieści; starzy prawią o jakichś płochych światełkach, co się migają, gonią i tańcują, i gdzieś giną w piwnicach zapadłych; prawią o gwarach różnojęzycznych ludów, co je wysyłał Zachód zamorski, i głęboki Wschód; o owym nożu ojcobójczym, który, choć od wieków do swéj ściany na łańcuchu przykuty, niekiedy w pewne pory kapie jeszcze krwią czerwoną, ciepłą. Ale lepiéj nie mówmy o tém wnętrzu, — co nam do tego! — patrz raczéj na to, co na widoku księżyca. Ciągną się długie boczne ściany, u góry wystrugane we floressy i essy kamienne, niby snycerskie koncepta prababczynych apteczek domowych. I za każdym essem jakaś głowa czy maszkara ciosowa wycina się na tle nieba. Osobliwe to i straszne te głowy i twarze. Póki dzień biały, to jeszcze jako tako; snuje się wrzawa targowa i handryczy i huczy i gwarzy, i tysiączny przejdzie i ani się spostrzeże, co się tam u góry nad nim święci. Gdy się zaś spuści nocna ćma, a miesiąc weźmie ciskać światło swoje, gdy się rynek wyludni a miasto zaśnie, gdy ty sam jeden w téj kompanii zostaniesz, wtedy, jeśliś zuch, przystąp i patrz się tym ichmościom oko w oko. Ten rozdziawił szeroką gębę i śmieje się do rozpuku, a śmiech jego iście z piekła rodem; na głowie czub zadarty w różki kończate; tam daléj drugi powieki zamknął i śpi i niby już umarł; trzeci, ciężko zadumany, spuścił wargi i waży i myśli o czémś głębokiém a przemądrém; aleć z obu stron od twardych skroni potężne odstają uszy; sąsiad jego wywrócił głowę w tył, a oczy w słup, usta rozwarte, krzyczy, — on cierpi męki nie z tego świata! Tam znów jakiś zuchwalec szydzi i drwi, coś mu bardzo na sercu rado i śmieszno; a ów dalszy sąsiad jego ciska się i złości, najeżywszy czuprynę, a gniew jego piorunny, zacięty. Tak daléj a daléj, a co twarz, to inna a inna. Księżyc lunął im w ślépie; ale właśnie w to im graj; cienie i światła migocą, majaczą po tych twarzach; więc te dziwaki mrugają, ruszają brwiami i gębą i wydrzeźniają się i krzywią, udając niby że żywe! ale ktoby im tam wierzył! — Tuż obok Sukiennic stanęła nasza stara wieża, ongi ratuszna, dziś samotna sierota; jéj suknię, z gotycka wyszywaną, posrebrzyła światłość nocna. Wierna strażnica, po staremu wywołuje miedzianemi usty godziny, przelatujące nad miastem, i długim przeciągłym cieniem znaczy w koło na domach księżycowe wędrówki na niebie. Nad zegarem, na czterech rogach ustawione jakieś cztery pękate urny, o metalowych złoconych płomieniach; choć urny jakoś dziś już nie statkują, choć one płomienie zczerniały, jednak księżyc, poczciwiec, po staréj znajomości spuszcza się ku ziemi i jeszcze zapala na onych płomieniach iskry dygocące, niby gwiazdkę białą, by się biedaczka wieża miała choć czém pocieszyć po nieboszczyku swoim mężu — ratuszu.

Z drugiéj strony Sukiennic w głębokich cieniach przyklęknął do ziemi skromny kościołek Św. Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownéj nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczona gwiazda: tam jaśnieje światłość wiekuista, widna dla oczu duchowych, z niego wyszedł na świat dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościołka wyszło niegdyś wołanie anioła, głoszące ludowi, śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościołka zamknięty kamień, z którego niegdyś Męczennik Święty siał w lud wiarę zbawienia. W koło świątniczki wianek zielony topoli, — tych cyprysów i mirtów naszéj północy. Spadają i odradzają się ich liście, świątniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jéj drzewa, a pokolenia po pokoleniach, same odradzając się, dochowują staréj czci i na miejsce zwiędłych sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Po nad rynek i miasto, po nad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto, kościół Maryacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materya bezwładna, tu uskrzydlona pobożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na tle głębokiém nieba; on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną — ztąd postać jego, — podobna do tajemnicy Wiary, co niby okryta mrokiem świętym, a przecież rozwidniona serca poczuciem — jest wiekuistości zwiastowaniem. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżéj ziemi, bliżéj doczesności i jéj spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką a przecież tak poważną! a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy, i w nich się nurzy i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną wiary. Znowu wyżéj i wyżéj piętrzy się budowanie i dosięga promienistéj korony, którą ludzie uczcili Boga-Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżéj korony i u podgwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata godło; nad kulą, nad światem, chorągiew, — miłosierdzia sztandar, — na niéj imię Maryi, pośrednicy Ziemi i Nieba!! Świątnica czuwa nad miastem, jako orędownica jego; w niéj złożone jego nadzieje i miłości i ciche wierzenia; w niéj nas Krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niéj wiążą ślubem „aż do śmierci“, w niéj nas Bogu oddają. W tym przybytku zamknięta Alfa i Omega wszystkiéj naszéj ziemskiéj wędrówki!

Kościół oblekł się szatą uroczystą nocnych cieni, wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu stromym rozpłynęła rosa niebiańska, a po rosie téj księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego

ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w liliją śnieżną, w drobniuchną, eteryczną świątniczkę gotycką; ścianki jéj przejrzyste z marmurowéj koronki — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, liści, słupków, i wdzięcznym splotem przerosła dach, i bieli i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia. W kapliczce próżno, w niéj nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam gospodyn, jest! tylko nie widny z dołu; tam, w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają aniołkowie na straży małych dziatek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na ziemi. Gdy dziecię chorę, matka nocą chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, huśta i płacze i wstrzymuje tchy, i przemaga łzy, by nie przebudzić śpiącéj dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serca ją tuli, a nie wié, że dziecię już umarło, że aniołek z bieluchnéj kapliczki już całuje i pieści jéj dziecię, ulatując z braciszkiem — aniołkiem do nieba.

Raz jeszcze objąłem okiem i sercem ten rynek krakowski, i te domy i gmachy stare, wieże i kościoły lśniące w świątecznym uroku nocnéj natury i wróciłem do domu. Przebacz, żem się tak bardzo rozgadał, że marzę o tém mieście naszém, ile mnie stać, miłością je stroiąc; ale ty pewnie nie potępisz roślinki biednéj, co, wyrosłszy ze szczelin starego grodu, zdobywa się na kwiatek mały i rozsypuje wonne listki jego po tych kamieniach siwych, jako ofierne dary miłości swojéj. Bo widzisz, choć my Krakowianie między sobą wydziwiamy niekiedy na to nieboże mieścisko nasze, toć jednak gdy kto do Krakowa przyjedzie a pochwali przed którym z nas tę uczciwą chudobę naszą, i tę Wisłę naszą, i te góry, doliny i mogiły i kościoły nasze, tak go za serce uchwyci, jakby mu rodzonego ojca uczcił.

Po téj pielgrzymce koło rynku naszego jakoś mi było uroczysto i świecisto w duszy i tak czegoś rzewno i nabożno, żem z cicha zapadał sam w sobie słuchając gwaru różno-mownych uczuć moich. Tymczasem księżyc zaziérał przez szyby do izby, i po szafach, po książkach i szpargałach porozstawiał świeczki magiczne; po swojemu jął mrugać, jakto zwykle czyni, gdy nam chce przypomnieć jakąś noc wrażeń świątecznych, którąśmy kiedyś, gdzieś przeżyli, gdy on podobnie jak dziś jasnością swoją otulał świat. Więc téż głosy zapadłych a uroczych chwil, obrazy dalekich żywota scen przemykały się w duszy mojéj, to wypływając z morza wspomnień, to tonąc w jego głębiach. A tu znowu owa czeladka gnomków wyroiła się z kątów i z kącików i nuż się krzątać i kręcić i zwijać, aż mi książki i szafy i szpargały stopniały w oczach i gdzieś znikły, a na miejscu skromnéj izby widziałem pagór ciemny, na nim gmach stary, groźny i sterczące samotne kolumny; w koło rozsypiska i bramy tryumfalne ze szczytem w kwiaty porosłym, z podnożem w gruzach pogrzebioném; tam daléj dźwigły się sklepienia szare, potężne, jakby dzieła skalne zbuntowanéj przyrody; one na poły spadły, na poły wyciągają ramiona groźne w ciemną noc; w dali piętrzy się w rzę-

dy łuków, jakby upiór ze starych lat, jakieś tytanów budowanie okrągłe, wyszczerbione, a spojrzeniem umarłém trwoży, mrozi serce późnych pokoleń. Tam na uboczy pagór ubrany w roślinność południowéj natury; z gęstwiny wonnéj jego brzmią nocne słowików pieśni, a nad nim rysuje kształty swoje cyprys żałobny, pinia rozłożysta i wawrzyn hardy. Świecisto i uroczysto było mi w duszy, rzewno i nabożno, boć to *Forum Romanum*, to rynek starego Rzymu — rynek, co był ogniskiem świata i ludzkiego rodzaju panem przez lat tysiąc. Ten stary Rzym tak jeszcze straszny, choć umarły, tak jeszcze wielkiego majestatu, choć już pod stopą twoją w rozsypaniu kości jego. Tak jest, tutaj, na to forum spływały dzieje a losy powszechne świata; wszak ten pagór ciemny — to Kapitolińskie wzgórze, ten szary na nim groźny gmach, — to starorzymskie tabularium; z jego szczytów, jakby ze strażnicy historyi ludzkiéj, obaczysz przemożne ziemi przestrzenie. Od Szkockich jezior do brzegów Indu, od skał Gibraltaru do pomorza Kaukazu — wszystko to, co ztąd okiem ducha obejmiesz, wszystko to Rzymskie panowanie. Po prawéj Kapitolu — przepaść Tarpejska; po lewéj — duszne, czarne Mamertyńskie więzienia; w nich zamorzony głodem Jugurta, wyobraźnik zamordowanéj Afryki; w tych to podziemiach konały króle i wodze zgruchotanych w koło państw; w nich wyzionęli życie spólnicy Katyliny, co był jadowitym wyrzutem śmiertelnego moru, który miał stoczyć Rzym; tu czekał śmierci męczeńskiéj on Apostoł, co był opoką, na któréj zbudowana Wiara. Patrz pod siebie, — tam w głębi odgrzebali szczątki mównicy odkopanéj — to dawny bruk, to głazy, po których chodził Cezar i Pompejus, Sulla i Marius, Nero i Tytus. Tuż przed tobą brama tryumfów nad odwieczną Azyą: zczerniałe rzeźby na niéj prawią o zgromionéj Arabii, o zdeptanéj Babilonii, o upokorzeniu Eufratu. Tam w dali druga brama: ona stanęła, gdy Rzym bezświadomie dokonał proroctwa o zgładzeniu z ziemi Jerozolimy i o upadku świętego Syonu. Powyżéj tego pomnika tryumfów łzawych wznosi się ów pagór czarodziejskich ogrodów — to Palatyńska góra! Tutaj-to ów, od wilczycy wymamczony bratobójca położył kamień węgielny Romie; tutaj dziś, wśród splotu krzewów wonnych, a ciżby laurów i cyprysów, wśród nocnéj słowików pieśni stanął cały świat zwalisk. Po nad wawrzyny i cyprysy wyzierają padające się ściany, popękane sklepienia, oberwane filary; te rozsypiska dziś jeszcze zdobne są w szczątki rzeźby marmurowéj i w strój rożnobarwnéj mozajki; tu pod rumowiskiem spoczywały cudne postaci, posągi, co je niegdyś stwarzała Grecya, od Rzymu w służby wzięta. Te nagie, zwietrzałe mury, jakby olbrzymów szkielety, oplotły szatą zieloną, w kwiaty szytą, powój, latorośl winna i kaktus zwiesisty o pięknem i hardém kwieciu. Ten świat rozwalin, to szczątki pałaców Cezarów — tu Augusta gród, tam Tyberyusza, Domicyana złote gniazdo sępie, krwią oszargane, trupem cuchnące.

Z Palatynu wprost patrzysz się na one tytaniczne okrągłe budo-

wanie; stają łuki na łukach, dolne piętro już dziś w ziemi ukryte, najwyższe tu owdzie runęło z wysokości. Straszy to budowanie i serce wznosi świętości uczuciem, i lękiem mrozi, i rozgrzewa wzniosłością pamiątki, to jest *kolizeum*. — Tu świat stary konał wśród własnych tryumfów, tu świat nowy się rodził, a potoki własnéj krwi były pierwszą kąpielą jego. To jest ów amfiteatr krwawéj pamięci, kędy tysiące Chrześcian męczeńskich walczyło z tysiącami dzikiego zwierza. Ale krew — to ziarno; śmierć — to żywot. Dziś zapadły się ławy ciosowe, z których niegdyś w sto tysięcy był zebrany widz; cisnęła się ciżbą rozhukana gawiedź; od ziemi, od dołu do najwyższego piętra, wszerz i wzdłuż, wkoło zapchana jest przestrzeń tym świetnym, hardym a rozjuszonym motłochem; olbrzymie budowanie zdaje się być doliną, utworzoną z nieprzeliczonych ludzkich żywych ciał, a te tłumy, jakby ptastwo drapieżne, jakby zwierz posoki łaknący, przyciągnęły tu, bo nęci je nadzieja krwi świeżéj i cuch przyszłych trupów. W oczach wywróconych, rozpalonych rozkosz okropności, obłąkana chuć: — źrenice opojone krwią roną w zamęcie bitwy; walki, krzyki radości, wesela — Cezar kontent ze swoich zwierząt. — U góry, na niebie ciągną obłoki różowe, na nich stoją anieli z palmą w ręku; uśmiechają się anieli ze łzą, z niebiańską perełką w oku. — Na dole, na ziemi, w arenie, zrazu kłęby i tumany kurzu, wnet kłęby pogmatwanych ciał ludzkich i zwierzęcych — bagno krwi i błota — ryk, wycie, jęki; pieśni, wściekłość lwów, tygrysów, — psalmy, modlitwy konających.

Dziś tu cicho, spokojnie, — dzieło dokonane. — W środku areny krzyż prosty, dwa drewna w poprzek zbite wyciągają ramiona, by obtulić świat. Po tém drewnie spinał się słowik, śpiewając pieśń niebiańskiéj miłości, i spiął się na szczyt krzyża, i śpiewał, i piersi mu pękły! — (Stara legenda.)

Dwieście lat stała ta arena, gdy na przeciw niéj znów wzniosła się owa brama tryumfów, a tryumfów wiary; dźwignął ją Konstantyn W. po zwycięztwie w znaku tego krzyża!

Od tego forum, od podnóżka Kapitolu, niegdyś biegły bite gościńce na wsze strony świata; — te śpieszyły przez Gallią do kończyn Brytanii, tamte pod podnóża jerozolimskiego Syonu; po nich grzmiały żelazne Rzymskie legiony a prowadziły je orły złote na pogrom narodów i państw. — Dziś cicho, milcząco na tém forum, — po gruzach wiją się chwasty, przechadza się bydło; sąsiadami Kapitolu chaty biedne, gospody rzemiosł rozmaitych i wyrobników. I w dzień nawet tu głucho i pusto; niekiedy tylko przemknie się tędy wieśniak lub przeczołga się żebrak, lub stanie zadumany wędrowiec, lub pogonią swawolne pacholęta, puszczając w powietrze papierowe orły; i znów cicho w kruchcie zmarłych wielkości. — Głucho i pusto, tęskno i śmiertelno, ale świecą jasno ścieżki, któremi przechodził anioł Pański, przednik wielkich dziejów na ziemi.

Rzym podbił świat, i nie było świata, tylko rzymski; ludy i państwa ciągnęły rydwan jego tryumfów, a bogi narodów zabitych, sprowadzone jeńcem do Rzymu, stawały w jego Panteonie, jako pośmiertne upiory.

Rzym ogarnął całą świata osnowę, cały dochowek jego i zamknął je w sobie. Gdy umierał na złotém łożu swojéj boleści, cisnęły się ludów roje po dziedzictwo. Na wychrzczoną nowym żywotem ludzkość spadła spuścizna długich wieków, spadł dorobek duchowy staréj Azyi, zapadłéj Afryki i arcydzieła dawno zgasłéj Hellady. Jego pracą a dosługą wykarmiła się wędrowna dzicz Wschodu; wszak cała Europa, wszak my wszyscy owocom trudu jego i znoju dotąd żyjemy, rozsiadłszy się szeroko na ojcowiźnie jego. Rzym był dwóch światów pośrednikiem; wszak to i on oborał rolę Pańską, na któréj siał zasiewca Boży; — a język nawet światobójczéj Romy stał się językiem wiary zbawienia i miłości. — Taka sprawiedliwość Boża!

Rzym bezlitośną pięścią ścisnął ludzkości serce, a ludzkość wśród mąk niesłychanych, wśród poniżenia bez miary, wśród ogniów swojéj boleści krwią wypociła z siebie pogańskie uczucia i parcie swawolnéj chuci. Serce ludzkości, wypalone w płomieniach cierpień bezdennych, stało się jako zgliszcze świątnicy, puste, głuche ale czyste i spokojne, godne by do przybytku jego wstąpił panujący Pan.

Zaiste, pod ferulą żelazną Rzymu świat skruszał; wzięty w karby nieubłagane, przywykł do zrzeczenia się własnéj istoty swojéj; nauczył się zaparcia się bez granic osobistych uczuć, samowolnych sądów; a tak w mękach i w żarach katuszy wytopił z siebie pierwiastki barbarzyństwa i dzikości i ukorzył się na głos wołającéj wiekuistéj prawdy, a budującéj się we własnym duchu jego. Tak! Rzym jest przygotowaniem rodu ludzkiego do nauki zbawienia, on jest ołtarzem ofiarnym, na którym człowieczeństwo składa treść duszy swojéj, zanim przystąpi do ołtarzów nieskończonéj miłości Bożéj.

Takie było powołanie Romy, takie też było odpowiednie usposobienie rzymskiego ludu! Ten lud hardy i twardy miał jedną, jedyną tylko ideę, któréj się poświęcał, któréj duszę swoją, żywot swój zaprzedał, któréj poprzysiągł ciężkie swoje służby; — tą ideą była wielkość jego Romy. Tą ideą lud rzymski żył; ona mu była religią, sumieniem, boleścią i rozkoszą; dla niéj on się rodził, dla niéj umierał; słusznie powiedziano, że lud ten „wierzył, że same bogi chcą wielkości Rzymu; — Kurtius, Decius poświęcają się za Rzym piekłom. Lud rzymski wierzył, że Rzym powinien, że będzie światem władał, — więc też ta wiara jego stała się prawdą — bogi nawzajem i jemu dochowały wiary," a dochowały mu wiary i dodały sił do wzrostu i potęgi, dla tego, że ten lud rzymski stał na nieskalanéj prawości, bo idea Rzymu wyrzuciła z niego wszystko, co małe, niegodne; bo czystość, prostota obyczaju, cześć dla prawdy i życia prywatnego bez plamy i zmazy, i cnota były jego siłą i mocą.

Państwo rzymskie jest arcydziełem rzymskiego ludu. Ale państwo, wielkość jego, mądry rząd, jest sprawą najwyższą rozumu a bynajmniéj artystycznéj fantazyi kwiatem! — Państwo, fantazyą stworzone, nie ostałoby się w świecie, rozbiłoby się w historyi o rzeczywistość, — bo historya nie jest fantazyą, ale jest rozumem, jest logiką, któréj kartami są epoki dziejów ludzkich, a jéj oddziałami narodów żywoty. Rzymski lud był przedewszystkiém logicznym i rozumnym. W téj pańszczyznie pełnéj znoju a cierpień umilkły dla rzymskiego ludu wszystkie serca głosy; tu nie ma mowy o sztukach, owych lubéj fantazyi dzieciach; żywot był napawany grozą, łamaniem się i posłuszeństwem dla onéj idei. — Lud rzymski nie miał czasu chodzić, marząc po księżycu! W téj Romie niktby nie był się rozpisał o poświacie księżycowéj, jak ja to uczyniłem na wstępie listu tego; nikt nie byłby czytał obrazków takowych, jak to ty uczyniłeś. Przecież my jesteśmy téż synami innego świata; dla nas rzeczywistość zewnętrzna nie jest całą istotą naszą; my we wnętrzu naszém chowamy sanctissimum w siebie zwrócone, co jest drugim a bezdennym dla nas światem; do niego się uciekamy, do niego wstępujem w rzewności chwilach. Z tych cichych przybytków serca, patrząc na otaczającą nas rzeczywistość, odziewamy ją poświatą naszego ducha i strojemy ją i ubieramy lśniącą szatą naszéj fantazyi, a tak znowu się godzimy, ile nas stać, z tém otoczeniem naszém. Ów mój wstęp do listu tego choć na to się może zdał, by wyświecić różnice między naszym światem a rzymskiém pojmowaniem; to nasze pieszczenie się z naturą wypływa z uczuć, których Rzymianie nie znali, znać nie mogli, i znać nie chcieli póki budowali i dźwigali tron Jowisza kapitolińskiego na podwalinach zgromionych ludów i państw. Tak, jest to prawdą niezachwianą, że Rzymianie sami nie mają fantazyi w sobie, że nie są poetami, ale są ogromnym niewyczerpanym przedmiotem do poezyi (*). Odwrotnie, dzieje Hellady są mniéj poetyczne, choć sami Hellenowie wskroś są ludem-artystą. Rzymianie są dopełnieniem Greków, co się rozpoczęło w Helladzie, doprowadzone było do ostateczności w Rzymie. Może jednak te zarysy i lekkie rzuty nie są dość wyraziste, wytłómaczę ci się z nich bliżéj jeszcze.

Wiemy z listu przeszłego, że w Grecyi harmonia szczęśliwa, dźwięczna wiąże ducha ludzkiego z naturą i całą zewnętrzną rzeczywistością. Cała treść istoty ludzkiéj, więc zmysły i uczucia, rozum, tęsknoty serca, myślenie, ochoty, i miłości jego, znajdują zaszczenie w świecie zewnętrznym. Świat wewnętrzny a zewnętrzny zupełnie się równoważą, całkowicie są do siebie nastrojone, są to tony jednego akordu. Ten zestrój i harmonia są Hellenom dane z urodzenia; Hellenowie z nią na świat przychodzą, ona jest skutkiem stanowiska Grecyi w ludzkich dziejach. Grek nie zrozumiałby

(*) Vischer, Estetyka §§ 442—446.

żywota bez téj harmonii. — Wiész równie, że ta harmonia i współdźwięk, ta zgoda dwóch światów stanowi właśnie to, co my klassycznością zowiemy. Ztąd też u Greków i fantazya jest klassyczną, bo treść, mającą się uwidomić w dziele sztuki, znajduje w niém zaiste swoje uwidomienie doskonałe. Zatém pierwiastek duchowy tak zupełnie wciela się i uzmysławia w formie zewnętrznéj, że co jest w treści, znajdzie się wyrażone w formie, i nawzajem forma zawiera w sobie całą treść, ale też nic więcéj krom treści takowéj. O tém jednak prawiłem ci już w trzech listach poprzednich; tutaj przypominam jeszcze, że gdy duch Hellenów ku skonowi się ma, wtedy pęka ta harmonia; świat zewnętrzny nie zadawalnia więcéj ducha, człowiek cofa się w siebie. Otóż to zerwanie z rzeczywistością, ten rozwód wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata iścić się ma do ostateczności w Rzymie, choć dopiéro w dalszym okresie żywota jego ziści się nawet w całéj okropnéj postaci swojéj.

Wszak i Rzym należy do okresu klassycznego historyi powszechnéj, ale nie zupełnie w tém znaczeniu jak Grecya. — Rzekłem powyżéj, iż w Rzymie nie cała już pełnia w treści duchowéj znaduje ziszczenie swoje w świecie zewnętrznym, lecz tylko jedna myśl téj treści, a tą jest, jakeś widział, idea państwa, idea wielkości Rzymu. Te ideę Rzymianin wciela w świat; on się sili i łamie, aby tę ideę urzeczywistnił, aby ten Rzym historyczny był iście takim, jakim go zapragnęło jego niezachwiane przekonanie, — aby tedy stanęła harmonia między rzeczywistością jego ojczyzny a duchem, czyli tém niezłomném przekonaniem wewnętrzném. Ten Rzym rzeczywisty jest przeto jakby formą, jakby uwidomieniem wewnętrznéj treści duchowéj człowieka, jest naczyniem jego boleści i rozkoszy, jego krwi i znoju. Ta możność uiszczenia treści wewnętrznéj w świecie zewnętrznym, w Romie, ta harmonia i zgoda obu stron, jest właśnie głównym względem, dla którego Rzymian podobnie jak Greków klassycznym ludem nazywamy. Zważ, że i Grek kocha i miłuje z serca chwałę ojczyzny swojéj; u niego atoli idea polityczna jest tylko jedną z wielu stron istoty jego; on obok téj idei ma inną jeszcze treść, któréj ziszczenie znajduje w rzeczywistości. On cały jest tedy wskróś ludem klassycznym. A gdy cała pełnia istoty jego wewnętrznéj znajduje odpowiednią sobie rzeczywistość zewnętrzną, dla tego też żywot jego jest tak błogi i młodociany, tak kipiący radością a szczęściem. Rzym zaś właśnie dla tego, iż żył poświęceniem się i zrzeczeniem, iż przygłuszał wszelką inną treść swojego serca dla jednéj wybranéj idei, — dla tego żyje w ciężkiéj a twardéj służbie téj idei, i ztąd też jest tak poważny, zadumany, tak posępny i pełen grozy a uroczystości. Grek się rodzi w téj harmonii, a Rzymianin dokupuje się jéj okropném sileniem i mocowaniem z sobą i ze światem.

Ludy chrześcijańskie nie są z istoty swojéj klassycznemi, bo w nich już się przebudził pierwiastek wiekuistości, który nie znajduje ziszczenia swojego w świecie tutecznym; ten pierwiastek nie

będzie nigdy w harmonii zupełnéj z tą rzeczywistością tego świata; żadne szczęście ziemskie nie zdoła ukoić nieskończonéj serca tęsknoty; daremnieby nas doczesność pieściła i usypiała; i we dnie i w nocy, i we śnie i na jawie patrzą się na nas oczy, co nie z tego świata. U nas rzeczywistość gospodą, żywot wędrówką, grób przemienieniem, a człek przez życie całe obcym na téj ziemi. Dla tego téż Rzym tak mrozi i nasyła dreszcze na serca nasze; on całego siebie poświęcił, on zabił siebie; on, choć nie zna niebiańskich nagrodnych nadziei, odwraca się przecież od uczuć ziemskich, zadaje sobie męki bez granic, płaci krwią serdeczną, by ziścił ideę, która jest tylko ideą tuteczną— ideą wielkości doczesnéj! A ta idea, ta wielkość będąc rodem z tego świata „przeminęła jako liść i uschła jako zioło polne!“

Widzisz tedy, że wszystka inna rzeczywistość, że wszystka inna treść duchowa, która nie była ideą ową, stała się w Rzymie tylko podrzędną i o tyle jedynie ważyła, o ile mogła służyć za środek dla téj idei politycznéj, jako dla celu swojego, zatém o ile była użyteczną wprost dla wielkości Rzymu, lub o ile się nadawała, by ustroić, by stać się ojczystéj chwały zwiastuną. Użyteczność, utylitarność jest przeto główną tętnicą żywota Rzymskiego. Więc co się nie może zdać wprost jako środek dla Rzymu, nie ma wartości, jest głuchą łupiną, dziecinną igraszką, czczém próżniactwem. Aby zaś umieć poznać, na co się co zdać może, aby umieć powiązać środki i cele, na to potrzeba, jakem rzekł, rozsądku, rozumu praktycznego, obcego wszelkiéj fantazyi. — Nie było téż drugiego już ludu w dziejach powszechnych, równego pod tym względem Rzymianom. Oni, bystrością błyskawiczną, zgadując co na zdrowie ich państwu, genialnym praktycznym instynktem umieli obracać na korzyść swoją dorobki duchowe ujarzmionych ludów. Rzymianie nigdy nie byli ślepymi naśladowcami obcych pomysłów; lecz, co im tylko narody i państwa złożyły na klęczkach kornym hołdem, to przerobili, przeistoczyli, by służyło Romie za podnóże wielkości jéj światowładnéj.

Ta logika nieubłagana, ta proza matematycznéj rachuby, odbiła się na całéj umysłowéj historyi Rzymu. Patrz — każdy lud, gdy wzrośnie w siły, gdy się poczuje na sercu, lubi sobie złocić i maić i zdobić pierwsze zaczątki żywota swojego; wieści urocze, podania, pełne poezyi, dolatują z zapadłych wieków i przynoszą mu kwiaty, które urosły w krainie niemowlęcych jego lat, i te kwiaty cudowne fantazyi wplata w laurową koronę, zdobytą długim trudem i pracą krwawą. Jego góry i bory, mogiły i zwaliska stare, i błonia i rzeki zaludnione duchami z dawnych lat, co pieszczą i koją, prawią, gadają i stroją te wszystkie w koło ziemice. Lecz te powieści, podania i gadki są przejrzadłem serca ludu, on w nich siebie widzi i poznaje, boć to dech własnéj duszy jego, toć to pierwiastki własnéj jego krwi, a wykwit cudowny rodowéj jego istoty. Rzymianie nie znali tych przystrojów początkowych historyi, ubranéj we wdzięki fantazyi czarującéj, bo nie znali oni wspólnego ojczystego domu, ani

wspólnego pochodzenia rodowego, ani wspólnéj krwi; wszak każdy z onych siedmiu królów był z innego narodu, a Rzym w swych początkach, jako niesie wieść, był zbiegowiskiem różnorodowéj awanturniczéj gawiedzi. Kto ścigany od swoich, kto za progi własnego kraju wyrzucony z życiem uchodził, zbierał się też około Romulusa, dzikiego herszta zuchwałéj bandy, a on ujął tę rozhukaną czerń ręką śpiżową; nie mogąc jéj zakląć na bogi wspólne,—bo ich nie miała, — ani trzymać obyczajem wspólnym, — bo każdy był gwałcicielem obyczaju, — więc okuł ją w prawa twarde i w karność bez serca. Bo prawo nie patrzy na różnobarwność usposobień ludzkich, pomija różnice wiary, pochodzenia, rodu, uczuć, zdolności, wieku, ale bierze człowieka w abstrakcyi głuchéj, beztreściwéj, żąda posłuszeństwa i łamie indywidualność. Prawo tedy, samo puste w sobie, jest ogniwem żelaznem, łączącém pierwszych Rzymian. Prawo było warunkiem wewnętrznym bytu i siły; a na zewnątrz trzeba było się bronić od ściany wrogim sąsiadom, tchnącym nienawiścią i pogardą;— zatém miecz i wojenne rzemiosło było drugim żywotnym pierwiastkiem Rzymu.

Tak urósł tu człowiek w jurystę-żołnierza, a jak prawo bierze człowieka w abstrakcyi, nie wdając się we wnętrzną jego treść, tak i żołnierz był abstrakcyą: karność ślepa i bitność tu żywiołem, reszta obojętna. Sztuka wojenna Rzymian, żołnierski ich duch podbił świat; pod jego ciosem padały państwa i ludy; runęła i Kartagina, waląc się na 700,000 ciał wyciętych mieszkańców. A na takowe prawo, jak je miał Rzym, żaden już naród się nie zdobył; prawo rzymskie i ścisłość matematyczna jego pojęć, jest do dziś dnia wyćwiką dla prawniczego rozumu; uczymy się go też na uniwersytetach, bo bez prawa rzymskiego można być i wymównym mataczem, ale prawnikiem — nigdy.

Prawo, żołnierz — otóż dwa pojęcia tak dalekie od wszelkiéj fantazyi, tak abstrakcyjne i głuche w sobie jak sama idea Rzymu, któréj one służą. Ta idea potężna a groźna pomiotła też i świętą miłością rodzinną; Remus zabity od własnego brata, bo zbuntował się prawu, bo chybił karności. Rzymianie porywają niewiasty sąsiadów, bo rodzina, bo obyczaj jest czczém, pustém słowem, gdy chodzi o dobro Rzymu. A czémże jest ta Rzymska rodzina! Jak każdy lud stroi sobie w kwiaty kolebkę pierwotnéj historyi swojéj, tak dla każdego niezepsutego człowieka, pamięć ojcowskiego domu otula się w złocisty obłok miłości i poezyi; uśmiechy ojca, pieszczoty matki, to posag na życie dalekie, na świat szeroki; i unosisz je w duszy z sobą niby talizman święty, co cię broni od złego uroku i niedobréj serca przygody. A choć liście na drzewie żywota twojego zżółkną i pobladną, rzeźwią cię jednak i krzepią wspomnienia drogie z dziecięcych lat. — Zaiste, co w którym z nas dobrego, jest dobréj matki zasiewem, a często pamięć na matkę umarłą, więcéj ma jeszcze mocy, niż jéj przestrogi za życia dawane. Jak Rzymianie

nie znają lubych i wdzięcznych mitów, strojących im pierwsze założenie ich państwa, tak i wspomnienia, wyniesione z ojcowskiego domu, nie tulą zaprawdę duszy ich wdzięcznym urokiem. Rzymska rodzina nie zaznała téj błogiéj, cichéj miłości; tu nie postały pieszczoty, a ciepło przyrodzone serca zmroziła groza i despotyzm ojcowski. Ojciec jest panem życia i śmierci dzieci swoich: — on może sprzedać syna; syn nie posiada własności: czego się on dorobi twardą pracą, jest ojca majątkiem; a najwyższe dostojeństwa w państwie nie wyswobadzają od nieubłaganéj władzy ojcowskiéj, która jeszcze i na wnuków i na prawnuków całém brzemieniem spada. Gdy syna usamowalnia ojciec, używa formy pedanckiego prawa, sprzedając go pozornie po trzykroć mocą ważek i pieniążka. Wszak i małżeństwa zawiązują się kupując żonę, lub przedawaniem, jak gdyby chodziło o rzecz jaką bezduszną.

Wierzymy chętnie, że mimo téj grozy, odzywały się uczucia serca, jako wiekuiste prawo potężniejsze niż wszelkie ludzkie ustawy; — lecz przecież samo istnienie tych ustaw jawnie okazuje, jak nieśmiałe i lękliwe były głosy natury w obliczu posępnéj powagi prawodawstwa. Jakże tu strasznie, jakże duszno było we własnym domu i ojcu i dzieciom! Miłości skromne, wykwitające z duszy młodéj dziewicy, te pierwsze ducha rumieńce, one tu były wątłą roślinką, którą w rychle zwarzył szron, która nie wypuściła nigdy lubego pączka fantazyi, co zamyka w sobie tęsknoty, nadzieje, i marzenia, i sny kochania pełnego szczęścia. — Ale za to téż niewiasta Rzymska jako matrona, jako matka-obywatelka, wychowująca synów dla Rzymu, świeciła pełnym uroczystości majestatem.

W tym ludzie, tak olbrzymim a tak nieużytym, rodzina była twardą szkołą, gotującą do twardszych jeszcze powinności publicznych; wszak cenzora oczy wglądały w tajemne ściany domowe, w zacisze prywatnego życia, a kto chybiał obyczajom, prawu, na kogo padł cień czynu nieuczciwego, niegodnego, był strącony z urzędu, choćby ze senatorskiego krzesła.

Tak Rzymianin poświęcał to bezhałaśne a głębokie szczęście domowe, co się tak wdzięcznie uśmiecha ludom chrześcijańskim, żyjącym życiem na wewnątrz zwróconém. W zamian, atoli, za tę szczęśliwość błogą, skromną domowego życia w naszém rozumieniu, wstąpiła tu do głuchego wnętrza człowieka idea wielkości ojczystego państwa i zasiadła w niém, jako na tronie swoim. Idea ta rozparła serce, — serce nabrzmiało ufnością i dumą szlachetną; tak Rzymianin dźwignął się w olbrzyma, wzniósł się nad samego siebie. Obok téj idei wielkiéj, nic drobnego, nic niezacnego ostać się już mogło; w duszy ogłuchł egoizm samolubny; prawość nieugięta, cnota wzniosłości pełna, dotrzymująca wiary i swoim i wrogom, poczciwość bez skazy w sprawach prywatnych i publicznych, harde przekonanie o powołaniu Rzymu i o własnéj osobistéj godności, stanowiły istotę obywateli rzymskich. Oni czuli się być wyobraźnikami, kapłanami

wielkiéj myśli, a to kapłaństwo chroniło ich od wszelkiéj zmazy moralnéj, od zbrudzenia uczuć swoich, od wszelkiéj nikczemności. Czytaj tych historyków rzymskich; — cnota niezachwiana ani strachem ani złotem, poświęcenia bez miary, czyny nadludzkiego heroizmu, któreby inne ludy rozniosły, prozopopeją nadętą, chełpiąc się i szumiąc, były w starym Rzymie wypadkiem codziennym, rzeczą powszednią, która się niby sama przez się rozumiała; zatém takie czyny są wspomniane w ich dziejopisach zaledwie kilku jałowemi wyrazami. Lubo późniéj uleciały cnoty i poświęcenia starorzymskie, zostało jednak jeszcze wysokie uczucie przyzwoitości i poszanowanie siebie; Cezar, umierając w senacie, wśród morderców swoich, zasłania sobie płaszczem oblicze, by boleścią ostatniéj chwili wypaczone rysy twarzy nie ubliżyły jego godności.

Możemy nie lubić tych Rzymian, ale czcijmy ich cnoty pierwotne, korzmy się zarumienioném czołem przed ich wielkością. W téj idei duchowładnéj Rzymu tkwi tajemnica tych figur tytanicznych, które, jakby galeryą olbrzymów ze śpiżu ulanych stanęły w świątnicy dziejów ludzkich. Na taki szereg postaci nie zdobył się żaden naród w świecie, z takimi ludźmi Rzym mógł zagrać w kości ze światem — o świat. I Rzym wygrał ogromną stawkę. Przyczyń jeszcze w duchu rachubę mądrości politycznéj, która przez siedmset lat snuła się kalkułem ścisłym, nie odstępując na chwilę od siebie saméj. Ztąd téż ten organizm państwa, chłonący w sobie wszystkie siły tych ludzi na stopę olbrzymią, był rzeczywiście arcydziełem mądrości ludzkiéj, gdy przeciwnie skład rządów Greckich był w porównaniu z nim próbką dziecięcą, niedonoszoną, która dostać nie mogła gwałtowniejszym zdarzeniom.

Patrz — ten Rzym jest jeszcze wielki nawet w pierwszych chwilach, gdy mu się już zbiera na ostatnią chorobę. Gdy na miejsce starorzymskich cnót występują z za kulis świata zbrodnie potworne, te zbrodnie dziś jeszcze przerażają trwogą, mrowiem straszą duszę, ale nie budzą pogardy; są to zbrodnie, odziane jakąś wielkością piekielną. Marius, Sylla, Tyberius kroczą przez teatr historyi, jako nieszczęścia olbrzymie demony, niosące na barkach swoich losy ludzkiego rodu; i oni są wielcy po swojemu, i oni geniuszami na kolosalną stopę; im téż chodziło o ogromną sprawę, ich żarła chuć władania Rzymem i poigrania ze śmiertelnie chorym światem. Późniéj gdy wiara w bogów wygasła w piersiach człowieka, gdy na miejsce kapitolińskiego Jowisza stanął na jego podnożu Kaligula, Klaudius, Nero, i cały ten szereg słabogłowych władzców, cóż dziwnego, że myśl panowania światu spiekła im krew i zakipiała w mózgu obłąkaniem! Olimp dla nich był pusty, bez pomocy, wyludniony z bogów; w sercu tych ludzi nie było więcéj bojaźni istot nadziemskich; oni zostali w osamotnieniu, pełném okropności, bez równych sobie na ziemi, bez wyższych od siebie na niebie. Ci ludzie straszliwi są jeszcze ludźmi na ogromną stopę, podobne do ślepowładnych mocy natury, nieświa-

domych złego, podobni do fatum, co ciemném skrzydłem zaległo świat. Tak się stało, jakem rzekł, iż choć Rzym sam jest bez fantazyi, zdolen jest rozpalić ogniem fantazyi nawet najgnuśniejszą wyobraźnię.

Olimp rzymski wymarł śmiercią, sam przeto Rzym był blizki skonania. On swoim bogom sam gotował mór zabójczy. Bo zważ — ta właśnie utylitarność, ta proza rozsądkowa, dławiąca wszelką fantazyę, była jadem śmiertelnym, który zatruł ziemię i niebo. Tu okazuje się z całą potęgą otchłań, oddzielająca Greków i Rzym. Bogi Hellady ród swój wiodą z nadziemskiéj krainy poezyi; Hezyod, Homer uderzyli pieśnią w struny lutni swojéj, a struny zabrzmiały cudownemi tony; ulatujące dźwięki lutni uosobiły się w bogów Hellady; postaci tych bogów tak urocze, napowietrzne, nadziemskie, jak akordy tonów, jak fantazya mistrzów natchnionych; i jeszcze płyną pieśni one i zradzają rojami powiastki i mity cudne o tych bogach, a wieści te, jakby swawolne, skrzydlate geniuszki lekkim dworem oblatując niebian postaci, wybajały ich kochania i tęsknoty i słabostki i cały ich żywot wdzięczny. Ztąd też te bogi i czarowne o nich plotki nie były owiane grubym tchem nizin ziemskich; one — swobodne dzieci swobodnéj fantazyi — bujały na wysokościach przeczystych, kędy nie sięgają sprawy doczesne i biedy potrzeb codziennych. Te bogi Hellady i te prześliczne a lube o nich mity, chowały w sobie wprawdzie głęboką treść i wzniosłe prawdy, ale ta mądrość rodziła się bezświadomie, ona wypłynęła z zachwytu, z jasno-widzenia poety, ona nie jest bynajmniéj bezbarwnym owocem rozsądkowego zastanowienia się i chłodnéj obrachowanéj rozwagi. Tutaj jedném uderzeniem, jednym gromem powstała treść i forma. Dla tego też-to bogi greckie są arcydziełem fantazyi i najwyższym piękności szczytem. (Ob. List XI.)

Inaczéj w Rzymie. Imiona jego bogów podszyły się wprawdzie pod cudowną fantazyę Hellady, pod ten piękny Olimp grecki, ale one same nie zrodziły się z wieszczego natchnienia, są to robione trupie kwiaty, wydrzeźniające życie, one wyrosły wprost z potrzeby doczesnéj, więc też służą ziemskiéj potrzebie. Całe niebo Rzymian jest gronem praktycznych myśli przebranych w ludzkie kształty, a wszystkie odnoszą się do Rzymu, jako czeladź do wszechwładnego pana swojego. Ztąd też na czele bogów stanął Jowisz Kapitoliński — uosobienie państwa rzymskiego; obok niego podrzędne bogi-pomocniki, wyrażające znów środki dla głównéj idei; a poniżéj tych znowu stają niższe środki, niższe bogi, jakby sługi sług. Tak, mury miasta, pokój, wojna, granica, piec piekarski, febra, moneta i t. p., mają opiekuńczych bogów, niby bacznych stróżów pilnujących dobra Rzymu. Ile razy zjawiła się nowa potrzeba lub spadł jakiś nowy kłopot lub bieda, już też, jakby na rozkazanie, wyrósł nowy jakiś bóg, jakby na zawołanie nowy sługa. Zważ, że te bogi nie były niczém same w sobie, one nie miały swojéj osobistéj historyi, swojego

żywota dla siebie, ale były-li tylko środkiem pomocniczym dla ludzi i nic więcéj. W Grecyi bogi rodzą się naprzód po swojemu i wedle istoty swojéj; każdy z nich ma niby biografią swoją, a Hellada dopiéro późniéj w skutku tego ich żywota czyni ich opiekunem to téj, to owéj sprawy ludzkiéj. Ztąd też te bogi greckie tak poetyczne obok jałowéj prozy rzymskich bóstw. Rzym bogów swoich uczynił służalcami, wyrobnikami doczesności; on ideę religijną, choć pogańską, poniżył, splugawił, czyniąc ją niewolnicą ludzkich spraw.

Ale te bogi zemściły się sponiewierania swojego.

Jakoż, potrzeby i tryb zaradzenia im są rzeczą rozsądnéj baczności; ztąd te bogi są dziełem rzemieślniczém rozsądku. Są to myśli grubego praktycznego rozumu, które uosobiono, dobierając dla nich kształtów. Treść tedy, to jest owa myśl, a forma nie rodziły się razem w ścisłéj jedności, nie były dziełem natchnienia fantazyi.

Rzymianie dla myśli już gotowéj dorabiali, jakby na urząd, formę (nowego boga), wyrażającą niby symbolicznie ową swoją treść; tak tutaj forma jest wymyślona, wymuszona, naciągana. Treść i forma nie stopione tutaj w jedność, odstają od siebie; jest to jedném słowem allegorya, jest cechą Rzymu, on jest głównym jéj wynalazcą i hodownikiem, ona jest arcydziełem, na które się chłodna prozaiczna jego fantazya zdobyć może. Jego bogi — to allegorye. Allegorya zawsze tam się rodzi, gdzie treść jest dziełem rozumu zimnego, i gdy zarazem dla téj treści, którą jest jakaś myśl, rozum dobiera formy. Ale o tém szeroko już mówiłem dawniéj (List XI). Ta forma allegoryczna, zależąc atoli od wymysłu rozumu, może być różna bardzo, choćby dla jednéj i téj saméj treści; i nawzajem, taż sama forma nadać się może dla wiele różnych treści. Ztąd węzeł obu stron jest wiotki; one nie trzymają się siebie. Z tego też powodu trzeba było Rzymianom uwyraźnić znaczenie tych postaci godłami, attrybutami, symbolami i inną łataniną; więc te bogi ich takie zimne, abstrakcyjne, tak głuche, jak idea Rzymu, jak pojęcie osoby prawnéj. Te bogi, jako abstrakcye, skostniały w sobie, one nie mają życia, nie mają dziejów, nie mają powieści; żadne mity nie łączą ich z sobą zwojem kwiatów; te bogi są samotne na swych podnóżach i dla tego tak posępne, tak groźne, tak nieużyte.

Widziałeś dla czego Rzymianom tak łatwo o stwarzanie sobie nowych bogów; otóż, z téj saméj przyczyny nie trudne im było przyswojenie bogów obcych. Oni ze zrabowanych świątnic wszystkich ludów uwieźli bogi pojmane na tryumfy swoje. Bóstwa Azyi, Egiptu, Grecyi zaludniły Rzym w kamienne postaci. W obec niemych tych posągów stawał zwycięzca barbarzyński i palcem gburowatym je wytykając, pyta po swojemu o znaczenie, o treść rozsądkową tych figur? Gdy mu ta treść przypada na rękę, przyjmuje bóstwo obce do inwentarza nieba swojego, dając mu w niém obywatelstwo. Wydobywając jednak treść z formy, zabija i treść i formę. Rzym wycisnął dusze, treść z tych bogów i bogi umarły; ciała ich — toć już

martwe, trupie zwłoki. Takowe to są zawsze sprawy rozsądku, gdy się on rozzuchwali i sięgnie do wyższych dzielnic duchowych, do których nie urósł z istoty swojéj. Rozsądek jest wprawdzie pierwszym warunkiem powszedniego żywota człowieka; bez niego nie obejdą się ziemskie sprawy, bo on rozsądza rzeczy różne, by się nie majaczyły zamętem. Ale właśnie też dla tego właściwą jego ojcowizną jest świat przedmiotów nawzajem się odróżniających, odgraniczających od siebie: a zatém przedmiotów ograniczonych, skończonych. Sferą właściwą rozsądku jest świat doczesności. Zatém go nie stać, by mistrzował w dzielnicach wiekuistości a nieskończonych prawd, które właśnie są odwieczną harmonią różnic, kontrapunktem różnorodnych dźwięków, akordem zlewającym niebo i ziemię, śmierć i żywot, tuteczność i wiekuistość. Powiedz, czyli rozsądek wystarczy gorącéj serca twojego wierze, gdy do przybytku duszy twojéj zapuka Pan! Czyli ci on wystarczy, gdy anioł muzyki unosi się do nadświatnych krain, kędy nie dolatują doczesne westchnienia? Gdy w chwilach świętych żywota twojego spojrzysz w głębie nocnego nieba, i spojrzysz w głębie piersi twoich, a tu i tam obaczysz światła gorejące — ono pismo gwiaździste, którém Bóg wypisał zakon i przykazanie światu; gdy w tych chwilach uroczystych odezwą się we wnętrzu twojém głosy, niby archaniołów wołania, i przemówią o zacności, o wiekuistości twojéj bezśmiertnéj istoty, o sumieniu, o Bogu; — czyli w chwilach takowych jeszcze rozsądek winien być sędzią twoim? Gdy w około natura rozłoży się obrazami swoich cudów, gdy w tych szczytach górskich śnieżnych, do nieba się pnących, w grzmiących organach morskich fal, w mroku zielonym śpiewnych gajów i w promienistych błoniach obaczysz i usłyszysz własnego serca tęsknoty, modlitwy, nadzieje i uciechy twoje, gdy spłyniesz rozkoszą z tym cudownym bożym światem, i utoniesz w nim nieskończoną miłością, czyli wtedy, w tych chwilach rozsądkowanie nie powinno się ukorzyć i umilknąć przed tém wewnętrznem duszy nabożeństwem? Kto o wierze, o miłości rozsądkuje, nie ma ani wiary, ani miłości, i sądzi o niéj, jako bezoki o światłach, o wdzięku barw (*).

(*) Ta wrzekoma filozofia, która w zeszłym wieku tak zuchwale rozpierała się po świecie, czémże ona wojowała, jakąż bronią rzuciła się na wymordowanie tego wszystkiego, co człowiek jako wielkie, święte i wiekuiste piastował i tulił w sercu swojém? Tą taktyką a bronią było rozsądkowanie, dowcipem naostrzone! Całą mądrość téj filozofii negacyjnéj, w jakąkolwiek była przybrana formę, można sprowadzić do zarzutu jednego, który ona niby głownią rzuciła w duszę człowieka. Jest to ciągle przez nią czynione pytanie: „Jakto wy, gdy wam chodzi o rzeczy powszednie, codzienne, o rzeczy marne i zmysłowe, wy nie wierzycie omackiem, ale chcecie dowodu naocznego, dotykalnego, używacie ciągle rozsądku, a wy na oślep wierzycie co wam uczucie wasze gada, co wam majaczy przez sen serce wasze o rzeczach nadziemskich, zaświatnych? Wy wierzycie wbrew rozsądkowi, mając z sobą rzeczy wręcz sobie przeciwne; i ucho wasze nie słyszy dysharmonii własnych mniemań waszych!“ Wiesz co się wtedy stało? Serce uległo, bo nie

Nawróćmy atoli do Rzymu. Powiedzieliśmy, iż Rzymianie poniżyli bogów, czyniąc ich służbami celów doczesnych, ziemskich, że przybierali tłumy obcych bóstw, że wycisnęli z bogów treść rozsądkową, a tak wypruli z nich serce, zostawując ich ciała, jako głuche łupiny i bezduszne lalki. Te tłumy bogów umarłych pomściły się swojéj krzywdy, bo pomnażając coraz potężniéj zastęp swój, dokonały zawrotnego zbałamucenia w duszy ludzkiéj; wielość bezmierna rzymskich bogów, nie będąca kołem w sobie zamkniętém jak u Greków, ale mnożąca się bez końca, wylęgła z siebie zobojętnienie dla wszystkich bogów.

Niewiara mroźna padła dżumą na ducha. Zdawało się, że te bogi bezduszne zstępowały w ciemnościach nocnych z podnóżów swoich, i jakby upiory wyssały śpiącym zwycięzcom świata krew serdeczną i mściwie wydławiły z nich nawzajem treść żywotną. Te bogi z kolei uczyniwszy teraz z Rzymian czcze mary, rzuciły ich na pastwę przesytu, zwątpienia, rozpaczy i samobójstwa. I zważ, jak Rzymianie nauczyli się wyjmować treść z bogów, tak, że treść, fantazyą zrodzona, umarła bez ciała będąc, a to ciało stało się zwło-

było zdolne obronić się napaści téj nauki, walczącéj rozsądkiem, umilkło w głuchocie, zrabowane z całéj treści swojéj. Uległo uczucie, bo serce umié tylko czuć, ale nie jest umiejętnością; bo umié tylko instynktem wróżyć, ale nie jest filozofią. Przyznasz, że na ową filozofią ujemną, negacyjną, skręconą, był tylko jeden sposób, jedna tylko broń — tę filozofią wrzekomą, złowrogą mogła tylko zwalczyć filozofia prawdziwa. Bo co nauka krzywa zepsuje, to jedynie przez samą umiejętność rzetelną sprostowane być może! Trzeba więc było wtedy filozofii, którąby była wykazała, że ów rozsądek gospodarski jedynie rozstrzygać może o rzeczach skończonych a nie zdolen wznieść się do wysokości nieskończonych prawd; że do tych wysokości podniebnych wcale innego rodzaju rozumowanie może rościć prawo. Trzeba było naówczas filozofii rzetelnéj, głębokiéj, którąby była przyszła w pomoc onym wewnętrzym a cichym serca poczuciom, którąby była drogą ścisłą, umiejętną przypominała światu, że jedynie rzeczy ułomkowe, tuteczne, więc przypadkowe, mogące być lub nie być, lub mogące być inaczéj, wymagają naocznych dowodów. Taka filozofia byłaby okazała, że te głosy wewnętrzne są mową prawd wiekuistych, koniecznych, i obejdą się bez onych dowodów; że one są prawdami, co władają wszechrzeczami od początku światów, że one są tchnieniem Bożém wiejącém i po przez naturę bezduszną i po przez państwo duchów. Następnie umiejętność prawdziwa, okazawszy, że te głosy prorocze serca są iście bożém tchnieniem wiejącém po przez wszystkie jestestwa, byłaby orzekła, że ono jest wszech-przytomne, wszech-obecne, a ztąd wypłynąłby wniosek, że jak ten duch boży staje się ustawą dla martwego kamienia, że on to jedynie wedle pewnego prawa matematycznego spadać może, że jak ten dech boży staje się prawem dla rośliny, że ona tak a nie inaczéj rozwijać się winna, tak téż równie te tchnienia boże są i obecne i przytomne i żywe w sercu człowieka, i w tém sercu o sobie znać dają owém proroczém przeczuciem, i kołacą i wróżą. Te głosy, wróżące o najwyższéj prawdzie, póty są ciemne, póki umiejętność prawdziwa, ogarnąwszy od nich chętki osobiste, chwilowe, doczesne, nie ujmie w głębiach naszych tych niebiańskich wróżbitów i nie wysnuje z nich umiejętnego wątku i nie zestroi tych różnic i sprzeczności, którym poradzić nie zdołał rozsądek. Właśnie jednak wtedy, gdy owa wrzekoma filozofia negacyjna, rozsądkowa i drwiąca, wjadała się rakiem w duszę ludzi, nie było filozofii, coby obroniła wewnętrznéj skarbnicy duchowéj od napaści. Serce więc, zwątpiwszy o sobie, umierało na czczość i rozpacz sceptyczną.

kami trupiemi; tak późniéj rzymskie państwo, będące wcieleniem wszystkich uczuć, całéj duszy rzymskiego ludu, będące arcydziełem i formą wszelkiéj treści duchowéj jego, stało się mimo wielkości swojéj także marą głuchą i upiorem bez serca; bo lud ten późniéj sam wycofnął z tego państwa, z téj światowładnéj Romy duszę swoją, swoją treść; treść nie miała już formy odpowiedniéj dla siebie. To państwo, co dawniéj było tą formą, stało się bezduszną łupiną, postacią bez serca i krwi, zatém runęło w końcu, przywalając rozsypiskiem swojém późne pokolenia dawnych budowników swoich.

Podobno cała nasza powyższa rozprawa zdoła już wystarczyć, by okazać, czém w istocie jest fantazya Rzymian; dość nawet wiedzieć jako się oni obeszli z bogami swojemi, aby osądzić ich usposobienie artystyczne. Mniemam atoli, że nie zawadzi, gdy choć przelotnie rzucimy jeszcze okiem na niektóre szczegóły ich życia i sztuki, bo nam to wyjaśni do ostatka wszystko com powiedział dotychczas o właściwéj im fantazyi.

Chciéj tylko, proszę, mieć w pamięci wypadki główne całego mojego wywodu; one będą kluczem do zrozumienia dobitnego przykładów i pojawów, które ci jeszcze choć ułomkowo przywiodę. Miéj tedy przed oczyma najprzód ową wszystko chłonącą ideę Rzymian o potędze i wielkości ich państwa; daléj ich rozum prozaiczny, praktyczny, szukający w każdéj rzeczy użytku; pamiętaj, że utylitarność była ich godłem. Następnie pamiętaj, że dążność do symbolizowania i allegoryi oznacza brak ścisłego zestrojenia formy i treści, co właśnie jest warunkiem żywotnym wszelkiéj piękności. Nakoniec, chciéj baczyć, że z owego braku wypłynęło późniejsze wycofanie się treści duchowéj człowieka z zewnętrznéj rzeczywistości, a mianowicie ze saméj Romy, będącéj arcydziełem tego ludu.

Fantazya ta lekka i swobodna, „ta kapryśna a przecież tak wdzięczna córa Olimpu“ (Göthe), zrodzona w nadświatnéj krainie poezyi, stała się tutaj wyrobnicą najemną owéj idei Rzymu; ona, jako niepraktyczna, nie zdołała pomódz do ujarzmienia świata, więc jéj nakazano złocić i stroić rydwan tryumfujących zwycięzców; ona poniżona by floresem zdobiła i ubierała w hafty świecisty płaszcz rzymskiéj sławy. Fantazya staje się tutaj przepychem bez miary, rośnie w hardą dumę i pańskość; jest zwiastuną głoszącą po wszystkie ziemie potęgę Romy, by świat znał olbrzymią wielmożność jéj majestatu.

Z tego już zrozumiesz, iż po nad wszystkie inne sztuki Rzymianie ukochali architekturę, boć ona więcéj, niż którakolwiek inna sztuka piękna, zdołała unaocznić moc gigantyczną panów świata i uwidomić ją w przestrzeni materyalnie; bogactwo i bajeczna zamożność Rzymu mogły być tu mierzone na sążnie i ważone na massy piętrzących się marmurów. Tutaj pompatyczna uroczystość uderza przychodnie ludy ogromem zuchwałéj wielkości swojéj. Ztąd ta

„grandezza“ harda architektury, służąc do uwidomienia potęgi, była, właśnie dla tego jakby czémś utylitarném.

Hellada ograniczała się szczupłością wymiarów swojego budowania, bo jéj chodziło o ducha a nie o materyę. Rzym kocha bezmierność; on co mieczem powalił świat, on rozkazuje ciężkiéj, nieużytéj materyi; a materya się korzy i słucha swojego pana — pana którego zawiał tchem wielkości wschód azyatycki.

Nadto, co, jak wiesz, wielce odpowiadało duchowi Rzymu, architektura jest nadewszystko sztuką symboliczną; wzniosłość i wspaniałość, światowładztwo butne, nie wyrażały się téż postacią ludzką jak w rzeźbie, ale ruchem linij w przestrzeni, co choć nieme, równie tak butne i wzniosłe, tak głośne i grzmiące. Nakoniec zważ, że budowanie najczęściéj łączy się jeszcze z utylitarnością we właściwém znaczeniu, bo z jakimś celem praktycznym, co właśnie poszło Rzymowi w smak. Widzisz tedy, że on miał czego kochać architekturę, więc ją téż z taką miłością pielęgnował.

Stań przed jaką staro-rzymską ścianą — co to za wykonanie! co to za robotnicy! Tutaj to znać ludzi systematycznych, porządnych, pilnych, co nie pracują byle zbyć. Łuk do połowy zgruchotany; druga połowa, niby ramię, sięga w błękity powietrzne; puściła się na niém roślinność bujna, cisną się drzewa, zioła, kwiaty w napowietrzne ogrody; na tém ramieniu budowaném odpoczywają wędrowne obłoki, o niego biją wichry, burze i słoty od tysiąców lat, a ramię kamiennego olbrzyma sterczy i grozi jak przed tysiącem lat. Ba! aby tak budować trzeba było właśnie Rzymian, więc ładu, a ducha porządku, więc wytrwałości, więc dzielnego rzemieślnika, praktycznego rozumu, obchodzącego się bez fantazyi.

Fantazya! Uczucie piękności! Uważ — Greków cisnęło i parło uczucie potężne do dzieł sztuki, a co robiło, co wrzało im w sercu, to ulatywało pieśnią, drgało życiem niebiańskiém w marmurowym posągu, lub zdumiewało ludzi cudem budowanego przybytku. U nich duch panem — a duch, syn nadświatnéj krainy, wzniósł się nad przepychy ziemskie, nad bogactwa materyi; on nie potrzebuje olbrzymich obszarów w przestrzeni, bo jego celem jest piękność, a piękność jest duszą Hellady. W Rzymie zaś chodziło tylko o Rzym i potęgę jego. Tutaj, im budowanie ogromniejsze i zuchwalsze, im głębsze wyczerpuje skarbce, im rzęsistszym znojem robotników skąpane, tém piękniejsze; bo tém potężniéj roznosi sławę światogłośnéj i ludobójczéj Romy. Ona przystraja się w łupy świątnic Azyi, Egiptu, Grecyi, rabuje rzeźbione ich odrzwia, bramy, progi bronzowe, wyważa kolumny cudne i kosztowne; piłą odcina od murów malowane na nich arcydzieła. Tysiącami posągów obciąża okręty, a z tym zaborem wraca do domu, i, zadowolniona z siebie, ubiera niemi świątnice schlebiając swoim bogom, lub zdobi widowiska, Termy (łaźnie), mizdrząc się do pospólstwa, drugiego swojego boga, co głodny i z nudów ziewający, więc straszny, gdy krzyczy: *chleba i igrzysk!* Ztąd

jeden z konsularnych hardych korzy się, a potrzebując łaski tego ludu, buduje teatr na ośmdziesiąt tysięcy widza; jedno piętro jego odziewa marmurem, drugie szklaną mozaiką, trzecie pokrywa złotem, i trefi w 360 kolumn cudownych a w 3,000 śpiżowych posągów, a kędy miejsce próżne rozścieła wschodnie kobierce lub rozstawia obrazy ukradzione Helladzie. Drugi chwycił się oryginalniejszéj myśli: stawia dwa teatra, wprawdzie drewniane, ale posłuchaj — teatra półkuliste, odwrócone od siebie; przeto na obu jednocześnie odegrywano sztuki sceniczne, nawzajem sobie nieprzeszkadzając. Gdy się zaś dramata skończyły, teatra oba dziwnym przyrządem mechanicznym zaczynają się poruszać, wraz z widzami, nawracają się na czopach ku sobie, już się złożyły w jeden amfiteatr, w jedną arenę, kędy już gotowe gladyatory do wzajemnych mordów na wielką pociechę, a huczny oklask rozszalałéj zgrai. A Termy? — to łazienki publiczne gratysowe, dziś ich gruzy rozkładają się jakby miastem; w jednéj z nich liczą trzy tysiące izb na łazienki — tu na rozkazy kąpiele, to zimne to letnie, to gorące; w tych termach są jeszcze teatra lądowe i wodne, galerye obrazów, biblioteki, amfiteatra, widowiska różnego rodzaju, wszędzie ściany wyzłacane, wszędzie posadzka z mozaiki. Wszak dziś jeszcze, puszczając się po tych zwaliskach, w kroku potrącasz o sztukę barwnéj mozaiki, o przepych zgruchotanych kapitelów, wyrabianych misternie gzémsów; wszak pod tym gruzem odgrzebano Herkulesa i Wołu Farnezyjskiego, Laokoona i wiele tych dziwów piękności, nad które świat nie zna cudowniejszych arcydzieł mistrzów starych.

Daremnie podobno prawiłbym ci o innych a niezliczonych robotach rzymskiéj architektury, wzdętych przepychem i ogromem bez miary. Ktoż nie wie, jaki szał parł i prywatnych, gdy ich opadła żądza przesadzania się we wspaniałości swoich siedzib wiejskich, jak to oni równali góry, wybierali doliny, zamieniali morze na ląd, a ląd na morza, by dogodzić kapryśnéj ochocie; stwarzali pełne wspaniałości pałace dla każdéj pory roku, dla każdéj zachcianki, i t. d. Ten zbytek, walczący o prym z marnotrawstwem wschodu, zawiązał się jeszcze za czasów Republiki a wzmaga się i potęguje w cesarskich stuleciach. Patrz — sam ten Hadryan, co stawia wszystkim bogom świątnice, a w żadnego nie wierzy, co unosi się nad pięknością idealną, niebiańską sztuki greckiéj, a rozpasany na chuć zwierzęcą; co lubi filozofią, a wierzy w gusła i czary; on jest pełen tkliwych sentymentów, a podejrzliwy i okrutny; on twardy i zahartowany, a zarazem nurzy się w morzu miękkich pieszczotliwych rozkoszy; on lekarzem i muzykiem, poetą i matematykiem, gramatykiem i astrologiem; on umie na pamięć książki przeczytane; on nawet zna na pamięć imiona wszystkich żołnierzy swéj armii; ten Hadryan jednym razem zerwał się i rusza, aby piechotą, z gołą głową zwiedzić cały ówczesny świat rzymski i rusza pieszo i z gołą głową przez lat wiele i zwiedził państwo swoje od końca do końca.

A gdy wrócił do Rzymu, nuż własnoręcznie rysować plany, nuż w Tiburze, co dziś zowią Tivoli, budować sobie cały świat w miniaturze; i buduje świątnice i licea, termy i teatra, akademie, prytanea i amfiteatra, pałace i galerye; a buduje z grecka i z egipska, po syryjsku i po persku, i mieści obok siebie bogów z różnych krańców świata, i stworzył sobie i piekła i pola elizejskie i Tartarus i Lete i Styx i już nie widzieć co; a gdy tego wszystkiego dokonał, pojechał do Bajów i tam, tęskniąc do Tiburu, umiera. (*). Dziś dzień cały chodzisz i jeździsz po téj willi jego; wśród bujnéj, pełnéj natury, wśród zuchwałéj, a przecież wdzięcznéj roślinności stoją gruzy, zalegając ogromną przestrzeń zamętnym labiryntem; i zamętem także skręca się myśl i ani się pochwytać, ani upamiętać możesz w tym świecie wielkości dawnéj.

I zaiste, te budowania rzymskie z taką potęgą gwałtowną uderzają wyobraźnią, jakby wielkie dramata, które niekiedy odegrywa natura w obec uległonéj duszy człowieka. Gdy patrzysz bowiem na te dzieła, przenika cię uczucie, jakbyś widział burzę, co łomotem pędząc przez kraje, gruchoce puszcze odwieczne i pomiata mieszkaniem ludzi; zdaje się, że słyszysz grzmiące wichry i gromy piorunne, że patrzysz na rozjątrzone morze i buntowne fale jego, na powódź, na pożar, na Alp szczyty; ztąd mimowolnie korzysz się tym budowaniom, tym prorokom zapadłych stuleciów, i powtarzasz mimowolnie: „co to za wielki naród! co za przeszłość olbrzymia!“

Zważ atoli — sztuka jest wolną córą ludzkiego ducha; ona niczyją sługą, niczyim środkiem; ona, użyta za środek, spacza się i skręca. Tak się stało w Rzymie — architektura, skazana na służebnicę hardości i dumie, nie zniosła upokorzenia i ukarała budowników, wykrzywiając ich w rękach czyste formy piękności. Dziś patrzymy się na te zwaliska rzymskie, jako na grobowce wielkoludów historyi; przecież, gdy je bliżéj zbadasz, obaczysz, że tym robotnikom hardym brakło estetycznego sumienia, że poniewierali sztuką i prawami jéj tak jako poniewierali światem. Wśród przepychu, ogromu wspaniałego, wśród kosztowności materyału dźwięczą dysharmonią architektoniczne błędy (**).

(*) Mniéj więcéj w ten sposób jeden z badaczy dziejów skreślił ten charakter tak dziwaczny a tak znakomity cesarza Hadryana. (O Hadryanie ogłosił w r. 1851 monografią znany historyk niemiecki *F. Gregorovius*. — St.).

(**) Nie będę ciebie nużył głębszą krytyką występków popełnionych w Rzymie przeciw estetyce, a mianowicie przeciw prawom kompozycyi (List XII); dotknę się jedynie kilku wyrazistszych przykładów, pochodzących ze źle zrozumianéj żądzy przepychu.

Przysionek grecki o kolumnach, tak szlachetny i wzniosły, i w oczach Rzymian uchodził za arcydzieło architektury, i słusznie; ale zważ, co się dzieje. Mniejsza o to, że porządki greckie zdają się im być zbyt skromne, że budownicy rzymscy łączą głowice strojną Koryntu z ogromem ślimacznic kapitelów jońskich i tworzą kapitel rzymski tak hardy i bogaty — o to mniejsza; zważ atoli, że same wymiary

Rozumie się, że dwory wiejskie, świątnice, fora, pałace, ogrody, wymagały zaludnienia posągami. Zaradzono też téj potrzebie, posyłając do Grecyi i jéj osad okręta, które wracały tonąc pod brzemieniem dzieł arcymistrzów. Już to stary konsul Mummius umiał rabować na stopę wielką i systematyczną, choć, jak okazuje, nie był osobliwym znawcą. On zdobywa Korynt. Wszedłszy do miasta, jako człowiek lubiący porządek, rozkazuje odstawić na bezpieczne miejsca, co kosztowniejsze, potém puszcza żołnierstwo na rabunek, rzeź — Korynt w płomieniach! Czego kilko-dniowym pożarem nie

---

kolumn greckiego portyku nie wystarczają ich żądzy ostentacyi i okazałości pańskiéj; ztąd Rzymianie wznoszą kolumny kolosalne, olbrzymie. Rzecz jasna, iż w stosunku wzmagającéj się wysokości i grubości tych słupów trzeba było i powiększyć przestrzeń między temi kolumnami i oddalenie ich od ściany. Lecz to było rzeczą niepodobną, bo brusy i tramy (belki) marmurowe, mające u góry łączyć kolumny między sobą i ze ścianą, z natury rzeczy nie mogły miéć wystarczającego ogromu. Kolumny tedy te olbrzymie umieszczano zbyt blizko siebie. Tak tedy zrodziła się ciasnota a duszność przysionku. Pomyśl następnie, że obok tych gigantycznych a jedno-piętrowych przysionków, budynek sam ma wiele pięter, jako np. w teatrach lub amfiteatrach. Każde z tych pięter oznaczone jest na zewnątrz rzędem kolumn, choćby udanych, dekoracyjnych. Więc te kolumny są znów drobnostkowe i maluczkie w porównaniu do onych olbrzymich kolumn przysionku i wszystkich jego ogromnych rozmiarów. A tak zgwałcona była harmonia całego budynku.

Baczmy następnie, że do architektury rzymskiéj przybył nowy pierwiastek, który stanowi ważną niezmiernie epokę w budowaniu; jest to sztuka stawiania sklepień. Tę sztukę wzięli wprawdzie Rzymianie od starych Etrusków, ale ją rozwinęli potężnie i wspaniale; bo też to była forma piękności tak dziwnie przystająca do ducha rzymskiego! Jak bowiem on rozpina nad światem potęgę swoję, tak sklepienie rozpina się nad budowaniem, ogarniając sobą olbrzymie przestworza jego. Sklepienie jest tedy pierwiastkiem żywotnym rzymskiego budownictwa. Sklepieniem tedy głównie odróżnia się architektura rzymska od greckiéj, która tylko zna stropy brusowane, zatém płaskie. Ztąd też budynki greckie tak są pełne prostoty, a tém samém wielce do siebie podobne, gdy przeciwnie rzymskie tak są różne i tak bogate w rozmaitość. Lecz tutaj właśnie znajdujemy lęgowisko nowego błędu w architekturze rzymskiéj; wszak ten dwojaki rodzaj pokrywania, bo płaski (poziomy), więc tramowany, a zaokrąglony czyli sklepiony, są wręcz od siebie różne. Rzymianie atoli, nie mając głębszego uczucia piękności, mięszają dziwnym zamętem oba te rodzaje, kładąc je też obok siebie. Z czego znów wynikło, że często bardzo ich kolumny nic wcale nie dźwigają i są czczą prawdą, nieusprawiedliwioną przez potrzebę.

Ten brak taktu estetycznego przywiódł ich równie do tego, iż używali wysokich kolumn za podnóża posągów, co jest błędném; bo kolumna jest wprawdzie jakby całością, ale przecież gdy jest przeznaczona na podporę budynku, przeto znowu nie jest do tego stopnia całością, by mogła stać osobno i odrębnie. Kolumna np. Trajana w Rzymie jest wprawdzie wielce okazałą; ona harda i pełna majestatu spoziera na mrowiska ludzkie, krzątające się u jéj stóp; szczegóły jéj są prześliczne i szlachetne, ale całość jest grzechem przeciw ścisłéj piękności, a zwłaszcza gdy około kolumny obwinięta jest w śrubę, wstęga płaskorzeźb wyobrażających świetne sprawy cesarza; linie przeto téj wstęgi nie zgadzają się z linią pionową samej kolumny, a tak rodzą dźwięk fałszywy w całém dziele. Gdy atoli i całą Europę na początku naszego stulecia zawiał powiew z Rzymu, więc też i suknie damskie hafty i krzesła i świeczniki i herbatnice, imbryki i t. d., po wszystkich państwach

zniweczył Mummius, każe gruchotać taranami; poczém sprzedaje niewiasty i dzieci w niewolę i puszcza na licytacyą obrazy i posągi. Wysłannik króla Attalusa za jakiś cudny obraz ofiaruje (na nasze pieniądze licząc) 10,000 dukatów. Konsul Mummius co tchu każe zatrzymać ten obraz, bo jest przekonany, że niepodobna, aby malowidło samo miało mieć taką wartość, że tedy zapewne do obrazu jakieś czarodziejskie moce są przywiązane. Wnet też spostrzega, że jacyś żołnierze jego niezgrabnie i gburowato zabierają się do przenoszenia posągów, więc też krzyknął: „Ostróżnie tam z tém! bo jak który co złamie, to każę mu nowe zrobić!“

Takie to zrazu były dzieje arcydzieł greckich w rękach rzymskich. Jednak znowu nie sądźmy, jakoby każdy z wodzów rzymskich, zwłaszcza z późniejszych, był Mummiusowi podobny. Nie ma wątpliwości żadnéj, że i Rzymianie wyższego ukształcenia doznawali rozkoszy nieskończonéj w podziwianiu dzieł artystycznych; a wysypując skarby za nie, zaiste nie zawsze uważali posągi jedynie za sprzęty kosztowne, dogadzające czczéj próżności. I pod ich nawet opieką aż do czasów Trajana sztuka rozwijała się w całéj pełnéj piękności. Uważ też, że na palcach dziś zliczyć można rzeźby w Rzymie, o których jaką taką mamy pewność, że sięgają czasów kwitnącéj Grecyi, i że ztamtąd przywiezione były. Te dzieła z małym wyjątkiem przepadły w wywrotnych burzach historyi. Te cuda rzeźbione przeto, które spotykamy po muzeach rzymskich, neapolitańskich, florenckich i po innych galeryach europejskich, po większéj części wykonywane były za czasów Rzymian i z ich polecenia. Rzeźby przywiezione z Grecyi, choć niezliczone, nie wystarczyły potrzebie; wreszcie i dla bóstw właściwie rzymskich trzeba było właści-

---

zarywały na formy rzymskie: wrychle też dźwigła się kolumna Vendôme na wzór kolumn Cezarów staréj Romy; i tu wstęga, i tu rzeźby, których oczyma gołemi nie dojrzysz. Dla tego wolę gładką kolumnę Zygmunta w Warszawie — ona mniéj okazała, lecz też ma mniéj „pretensyi“.

Następnie — Grecy byli ludem-artystą, czuli tedy, że dzieło budowane, jak każde inne dzieło sztuki, powinno być wyrazem jednéj panującéj w niém idei; dla tego też, mimo rozmaitości świątnic greckich, tak łatwo zdefiniować czém być powinna prawidłowa świątynia helleńska. Wystarczy powiedzieć, że ona jest prostokątem, którego szerokość jest prawie połową jego długości a przytém wkoło obwiedzionym kolumnadą. W Rzymie nie ma téj idei panującéj, dla tego też trudniéj o definicyą ich świątnic.

Nakoniec zważ, że w Grecyi wszystkie członki architektoniczne w budynku, nawet najmniejsze części w kolumnie mają swój powód w technice; każdy z tych szczegółów może być usprawiedliwiony potrzebą, i toć jest właśnie chwałą geniuszu artystycznego Hellenów, że u nich to, co jest ozdobą i przystrojem architektury, jest zarazem wynikiem z przyczyny technicznéj i nawzajem. Inaczéj u Rzymian. Oni zapomnieli pierwotnego znaczenia szczegółów architektonicznych, uważają je za przystrój, więc nadużywają ich, nadając im kształty przepyszne, bogate, ale nieodpowiednie ich przeznaczeniu. Co więcéj, oni mieszczą kolumny tam, gdzie ich niepotrzeba, i dla tych kolumn wymyślają ciężary, gzemsy, bramy, i t. d., które są li dekoracyjne, a nie są bynajmniéj wypływem z saméj istoty rzeczy.

wych form, a mianowicie allegorycznych. Pamiętaj atoli także, iż w tym całym spisie mistrzów, pracujących dla Rzymu, ani jednego nie ma znakomitszego artysty pochodzenia rzymskiego! Najczęściéj są to Grecy, którzy pracują około sztuki.

Wpatrując się w te postaci rzeźbione, które po świecie starożytnym na nas spadły, wyraźnie znać w nich, jakby dwie cechy różne: jedne są idealnéj nadziemskiéj piękności, dokonane stylem iście greckim, inne zaś mają na sobie piętno smaku Rzymian. Z tych ostatnich przeziera żywa rzeczywistość, występująca z całą, silną, zdrową prawdą; tu znać, że artyście chodziło o uchwycenie głębokie indywidualności oblicza i całego piętna żyjącego wzoru, który miał przed sobą; a przecież mimo téj prawdy a ciepłéj rzeczywistości, mimo téj fantazyi rzymskiéj, trzymającéj się ziemi, te prace tchną szlachetnością a zacną dumą, i są dalekie od gminnego, grubego pojmowania rzeczy, jak tego dowodzą nie tylko popiersia i postaci znakomitych mężów i cesarzów, ale nawet i osób prywatnych. W muzeum kapitolińskiém niezmiernie téż zajmującym jest ów zbiór ludzi bez głośnéj sławy, niby galerya „obscurorum virorum“, co przeżyli to życie swoje w zaciszu domowém, nie wysuwając się na widownią historyi; na tych twarzach kamiennych nie ma wielkich światonośnych myśli, ale za to ta proza powszednia, te kłopoty, biedki, radostki, ochotki codziennego życia, zostawiły wyraziste ślady swoje. Patrząc na te oblicza, czujemy żeśmy między równymi sobie, między swoimi. Znać, że te głowy są podobne do żywych swoich wzorów. Bo Rzymianin utylitarny uważał, że jeżeli popiersie ma być wizerunkiem, niechajże będzie podobném a nie idealném, bo inaczéj szkoda pieniędzy. Ta wierność i prawda jest pod pewnym względem dla nas nieoszacowana; możemy się spoufalić z tymi poczciwcami, co żyli tutaj prawie przed dwoma tysiącami lat. Plinius, istny Rzymianin, sam wyraźnie powiada, iż sztuka rzeźbiarska właśnie na to wynaleziona, aby oblicze umarłych w najwierniejszém naśladowaniu dostało się następcom (!). Ale ta chęć do wiernych wizerunków stała się upadkiem smaku, bo się wyrodziła w przesadę, która doszła do tego, że np. włosy wyrabiano w najdrobniejszych szczegółach, bo nawet świdrem je dziergano. W muzeach spotykamy marmurowe damy z rodzin cesarskich z fryzurami podobnemi do peruk dawnych markizek francuzkich; co więcéj, z niektórych tych popiersi zdjąć można tę fryzurę kamienną; znać, że ją odmieniano, gdy zaszła nowa moda.

Za przykład stylu rzymskiego smaku, trzymającego się prozy życia, przywodzę ci jeszcze gruppę z galeryi neapolitańskiéj. Dwóch setnych drabów stanęło przy kotle. Jeden z nich podmuchuje ogień, trzymając się ręką za kocieł, drugi sprawia nierogaciznę. Oba te hultaje żywcem z rzeczywistości wzięte; mianowicie jeden z nich, — rzekłbyś, żeś go gdzieś spotkał na ulicach. Bądź pewien, że ta gruppa zrodziła się we fantazyi jakiegoś rzymskiego Teniersa. Ba, w ogól-

ności mówiąc, śmiałbym twierdzić, że smak rzymskiéj rzeźby najczęściéj tak się ma do nadziemskich ideałów greckich, jak one malowania niderlandzkie do Rafaelowych anielskich widziadeł. Krom téj cechy w stylu rzymskich rzeźb, wypływającéj z ich praktyczności, są jeszcze inne. Wspomnę tylko o jednéj z nich, będącéj prostym skutkiem chęci okazałości, — jest to upodobanie w ogromnych wymiarach posągów. Jak wszędzie tak i tutaj Rzymianie wielkość mierzą łokciem. Tak np. cesarz August polecił ulanie posągu Jowisza Kapitolińskiego, który był tak gigantyczny, że go było widać od spadów wód tyburskich aż do albańskich pagórków; a Nero nakazał wykonać własny posąg swój ze śpiżu 110 stóp wysokości.

Te budowania Rzymian, majestatu pełne, te uroczyste kamienne postaci, rozpłynęły w muzyce ich poezyi; bo, co milczącém proroctwem zapowiadają marmury, co w barwie malowanych obrazów patrzy na nas niemém ducha spojrzeniem — to staje się istnym żywotem w ustach wieszczów natchnionych. Wszak poezya, owa najukochańsza fantazyi córa, jest wierną duszy narodów malownicą, jest spotęgowaném biciem serca ludów i jasnym komentarzem zagadek, wypisanych w tajném ich wnętrzu. Ta treść bezdenna, te pączki światów, co ciśnione doczesności mrozem zimują w piersiach naszych, one wszystkie się budzą życiem pełném, gorącém, nieśmiertelném, gdy po nich zawieje wiosenne poezyi tchnienie. Naród każdy samego siebie widzi w pieśni swojéj, ale już się widzi w ulotnionéj postaci, swobodą nadziemską uskrzydlonéj, tak jak się widzi kochanek w miłości swojéj. Ta poezya jego jest jego duszą bezśmiertną, wzniesioną nad doczesne doliny, nad niziny tuteczne; ona okiem archanioła ogarnia lat tysiące co dawno pomarły, ona widzi lat tysiące co dopiéro mają być poczęte w wiekuistości łonie; dla niéj wszystko jest obecnością żywą, jest mapą Bożą, w któréj czas się zatrzymał, stając się widzialną przestrzenią. Poezya wielkie czyny przeszłości i przyszłych czasów wróżby promienne i wesela i smętki obecne splata w jeden harmonii wieniec, jakby dla swojego ludu koronę. Ta poezya zbiera kwiaty z grobów i z cmentarzów pokoleń dawno pogrzebionych, i tchnie duchem na te kwiaty grobowe, zmarłe, a kwiaty ożyją, zapłoną światłem, jako te gwiazdy co, bożą miłością uskrzydlone, rozpromieniły przestrzeń nieskończoną, niemą, głuchą, przepaścistą. Poezya ma serce wielkie jak wieczność; ona rozumie i drganie duszy nieświadomej uczuć swoich dziewczyny, i błyskawiczne myśli wielkich ludzi w historyi, przeistaczające świat, — ona sercem rozumie i westchnienia mogił ciche. Ta poezya sprawia cuda, a jéj mocą cudowną jest miłość nieskończona; ona świat cały pomieści w sercu swojém, ona kochaniem odchucha co mrozem tutecznym zziębione, co zapoznane od ludzi, i odzieje jasności aureolą; ona stwarza czarodziejskie pałace, które przecież są prawdy najwyższéj przybytkiem; ona stwarza jakby bajeczki dla

wych form, a mianowicie allegorycznych. Pamiętaj atoli także, iż w tym całym spisie mistrzów, pracujących dla Rzymu, ani jednego nie ma znakomitszego artysty pochodzenia rzymskiego! Najczęściéj są to Grecy, którzy pracują około sztuki.

Wpatrując się w te postaci rzeźbione, które po świecie starożytnym na nas spadły, wyraźnie znać w nich, jakby dwie cechy różne: jedne są idealnéj nadziemskiéj piękności, dokonane stylem iście greckim, inne zaś mają na sobie piętno smaku Rzymian. Z tych ostatnich przeziera żywa rzeczywistość, występująca z całą, silną, zdrową prawdą; tu znać, że artyście chodziło o uchwycenie głębokie indywidualności oblicza i całego piętna żyjącego wzoru, który miał przed sobą; a przecież mimo téj prawdy a ciepłéj rzeczywistości, mimo téj fantazyi rzymskiéj, trzymającéj się ziemi, te prace tchną szlachetnością a zacną dumą, i są dalekie od gminnego, grubego pojmowania rzeczy, jak tego dowodzą nie tylko popiersia i postaci znakomitych mężów i cesarzów, ale nawet i osób prywatnych. W muzeum kapitolińskiém niezmiernie też zajmującym jest ów zbiór ludzi bez głośnéj sławy, niby galerya „obscurorum virorum“, co przeżyli to życie swoje w zaciszu domowém, nie wysuwając się na widownią historyi; na tych twarzach kamiennych nie ma wielkich światonośnych myśli, ale za to ta proza powszednia, te kłopoty, biedki, radostki, ochotki codziennego życia, zostawiły wyraziste ślady swoje. Patrząc na te oblicza, czujemy żeśmy między równymi sobie, między swoimi. Znać, że te głowy są podobne do żywych swoich wzorów. Bo Rzymianin utylitarny uważał, że jeżeli popiersie ma być wizerunkiem, niechajże będzie podobném a nie idealném, bo inaczéj szkoda pieniędzy. Ta wierność i prawda jest pod pewnym względem dla nas nieoszacowana; możemy się spoufalić z tymi poczciwcami, co żyli tutaj prawie przed dwoma tysiącami lat. Plinius, istny Rzymianin, sam wyraźnie powiada, iż sztuka rzeźbiarska właśnie na to wynaleziona, aby oblicze umarłych w najwierniejszém naśladowaniu dostało się następcom (!). Ale ta chęć do wiernych wizerunków stała się upadkiem smaku, bo się wyrodziła w przesadę, która doszła do tego, że np. włosy wyrabiano w najdrobniejszych szczegółach, bo nawet świdrem je dziergano. W muzeach spotykamy marmurowe damy z rodzin cesarskich z fryzurami podobnemi do peruk dawnych markizek francuzkich; co więcéj, z niektórych tych popiersi zdjąć można tę fryzurę kamienną; znać, że ją odmieniano, gdy zaszła nowa moda.

Za przykład stylu rzymskiego smaku, trzymającego się prozy życia, przywodzę ci jeszcze gruppę z galeryi neapolitańskiéj. Dwóch setnych drabów stanęło przy kotle. Jeden z nich podmuchuje ogień, trzymając się ręką za kocieł, drugi sprawia nierogaciznę. Oba te hultaje żywcem z rzeczywistości wzięte; mianowicie jeden z nich, — rzekłbyś, żeś go gdzieś spotkał na ulicach. Bądź pewien, że ta gruppa zrodziła się we fantazyi jakiegoś rzymskiego Teniersa. Ba, w ogól-

ności mówiąc, śmiałbym twierdzić, że smak rzymskiéj rzeźby najczęściéj tak się ma do nadziemskich ideałów greckich, jak one malowania niderlandzkie do Rafaelowych anielskich widziadeł. Krom téj cechy w stylu rzymskich rzeźb, wypływającéj z ich praktyczności, są jeszcze inne. Wspomnę tylko o jednéj z nich, będącéj prostym skutkiem chęci okazałości, — jest to upodobanie w ogromnych wymiarach posągów. Jak wszędzie tak i tutaj Rzymianie wielkość mierzą łokciem. Tak np. cesarz August polecił ulanie posągu Jowisza Kapitolińskiego, który był tak gigantyczny, że go było widać od spadów wód tyburskich aż do albańskich pagórków; a Nero nakazał wykonać własny posąg swój ze śpiżu 110 stop wysokości.

Te budowania Rzymian, majestatu pełne, te uroczyste kamienne postaci, rozpłynęły w muzyce ich poezyi; bo, co milczącém proroctwem zapowiadają marmury, co w barwie malowanych obrazów patrzy na nas niemém ducha spojrzeniem — to staje się istnym żywotem w ustach wieszczów natchnionych. Wszak poezya, owa najukochańsza fantazyi córa, jest wierną duszy narodów malownicą, jest spotęgowaném biciem serca ludów i jasnym komentarzem zagadek, wypisanych w tajném ich wnętrzu. Ta treść bezdenna, te pączki światów, co ciśnione doczesności mrozem zimują w piersiach naszych, one wszystkie się budzą życiem pełném, gorącém, nieśmiertelném, gdy po nich zawieje wiosenne poezyi tchnienie. Naród każdy samego siebie widzi w pieśni swojéj, ale już się widzi w ulotnionéj postaci, swobodą nadziemską uskrzydlonéj, tak jak się widzi kochanek w miłości swojéj. Ta poezya jego jest jego duszą bezśmiertną, wzniesioną nad doczesne doliny, nad niziny tuteczne; ona okiem archanioła ogarnia lat tysiące co dawno pomarły, ona widzi lat tysiące co dopiéro mają być poczęte w wiekuistości łonie; dla niéj wszystko jest obecnością żywą, jest mapą Bożą, w któréj czas się zatrzymał, stając się widzialną przestrzenią. Poezya wielkie czyny przeszłości i przyszłych czasów wróżby promienne i wesela i smętki obecne splata w jeden harmonii wieniec, jakby dla swojego ludu koronę. Ta poezya zbiera kwiaty z grobów i z cmentarzów pokoleń dawno pogrzebionych, i tchnie duchem na te kwiaty grobowe, zmarłe, a kwiaty ożyją, zapłoną światłem, jako te gwiazdy co, bożą miłością uskrzydlone, rozpromieniły przestrzeń nieskończoną, niemą, głuchą, przepaścistą. Poezya ma serce wielkie jak wieczność; ona rozumie i drganie duszy nieświadomej uczuć swoich dziewczyny, i błyskawiczne myśli wielkich ludzi w historyi, przeistaczające świat, — ona sercem rozumie i westchnienia mogił ciche. Ta poezya sprawia cuda, a jéj mocą cudowną jest miłość nieskończona; ona świat cały pomieści w sercu swojém, ona kochaniem odchucha co mrozem tutecznym zziębione, co zapoznane od ludzi, i odzieje jasności aureolą; ona stwarza czarodziejskie pałace, które przecież są prawdy najwyższéj przybytkiem; ona stwarza jakby bajeczki dla

małych pacholąt, ale te bajki jéj są tak ciężkiéj wagi jak mądrości najgłębszéj wyroki.

Poezya — to wróżka nadniebna, zesłana aby ukoić cierpienia, by ochłodzić twardy ziemski trud, — krocząc przez ludy i wieki, stanęła wśród synów nieubłaganéj Romy. Bo i Rzymianie przecież dzielne pracowniki na téj ciężkiéj roli ludzkich dziejów. Lubo prawda, że wszystkie ich łamania się i silenia nie mają człowieka i uzacnienia jego na celu, ale jedynie ku temu zmierzają, aby dźwignąć ukochany Rzym swój; lubo prawda, że ten Rzym jako dzieło doczesne doczesnéj idei runął, toć przecież i to pracowanie się ludu tego nie było stracone i poszło na zdrowie światu i cywilizacyi człowieka. Te robotniki znojem swojego trudu i krwią ciepłą, serdeczną torowały ścieżkę aniołowi, co miał przejść światem — światu na zbawienie. Tak przeto, choć ta poezya rzymska nie może sprostać greckiéj, jednakże i ona zasługuje bym jéj poświęcił list osobny. Jak bowiem jest widokiem wielce zajmującym i nie lada, gdy obaczymy jak to poezya, z wyższych światów gość, przytula i swoi do siebie onych hardych synów cudowładnéj Romy, tak też sprawą jest nie małéj wagi poznanie choć pobieżne téj literatury, co wiąże świat staroczesny z nowożytnym, a nie jest to pewnie rzecz marna przypatrzenie się téj poezyi, co przemawiała językiem, który ogarnął wszystkie ludy oświecone i po dziśdzień żyje wśród nas żyjącą spuścizną.

List Dwudziesty Czwarty.

Rzym.

(Dokończenie.)

Poezya i język rzymski. — Wiek Augusta. — Piętno téj poezyi, odpowiednie usposobieniu tego ludu. — Allegoryczność. — Horatius i Wirgilius. — Przewaga poezyi dydaktycznéj. — Owidius. — Tybullus. — Dramaturgia. — Satyra, właściwa poezya rzymska. — Skon Rzymu.

Ideały nadświatne piękności nieskalanéj — a logika nieubłagana powszedniéj życia prozy! — Poezya i Rzym! To są sprzeczności jakby dwóch wbrew odwrotnych światów! A jednak te przeciwieństwa zaślubiły się z sobą w Rzymie. Bo piękność, również jak prawda, jak cnota, od wiekuistości ród swój wiedzie, więc w samém wnętrzu człowieka ma swojego sprzymierzeńca, pełnego potęgi. A łatwiéj zagasnąć gwiazdom na niebie i olśnąć słońcom, niż zaginąć téj wiekuistości w człowieku; żyć ona będzie w nim choćby

w letargu, choćby życiem pogrzebiona, i odżyje bylebyś znał słowo, co ją zbudzi z martwych. Poezya ufała téj wielkiéj prawdzie, więc stanęła wśród Rzymu, a rozebrana nieskończoną miłością zapragnęła umaić tym robotnikom czystém duszy weselem krwawe prace i brzemie ckliwego żywota. Litując się chwały Rzymskiéj tak wielkiéj, tak bogatéj w ofiary bezmierne i w cierpienia bezmierne, zrzekła się postaci niebiańskiej, przybrała na się doczesne formy, a tak stała się widzialną oczom rzymskim i przemówiła do twardych wojowników zrozumiałą im mową. Poezya w Rzymie wzięła na się rzymskie formy, śpiewa wojownikom to piosenki wojenne, to starodawną ojców ich chwałę, to wtóruje ich hasom i weselom, to ich bawi komiką figlarną, to uzacnia serca odą wzniosłą, to uczy, lub znowu przytula piosenką miłosną. Ta niebianka długo została na ziemi, wśród Rzymian; ona dotrzymała im dłużéj wiary, niż sława wojenna, i wtedy dopiéro ustąpiła z ziemi, gdy Rzym sam zapomniał siebie, gdy go za żywota toczył już pośmiertny robak zepsucia; wtedy poezya rzymska ze łzą w oku, z raną bolesną w sercu wróciła do niebiańskiéj ojczyzny swojéj.

Ta poezya rzymska miała téż za szatę swoją mowę pełną uroczystego majestatu. Ten język rzymski jest to muzyka poważna, pełna szlachetnéj dumy i uczucia własnéj godności i potęgi.

Słysząc ten dźwięk i te fale téj mowy rytmu, rozumiałbyś, że to jakieś pochody uroczyste muzyki Bethowenowéj, że to oratorya, unoszące się na grzmiących skrzydłach organów kościelnych. Dziwisz się np. okazałości w mowach sejmowych Skargi, a majestatowi miary i brzmieniu jego peryodów? On podsłuchał pulsów łaciny, zastosował je do mowy polskiéj; — w tém tajemnica téj wspaniałości poważnéj, a tych dźwięcznych akordów jego języka. Ztąd téż mowa Skargi podobna do rzymskiéj mowy; ztąd ona kroczy to jakby uroczystym pochodem arcykapłana w święto Boże, to jakby tryumfem bohatera, uwieńczonego wawrzynem zwycięzkim. A cóż dopiéro ta rozumna a logiczna budowa mowy rzymskiéj, która tamuje swawolę, nie broniąc swobodnych ruchów myśli, która żąda dobitności i siły, ścisłego rysunku wyobrażeń i dokładności najwyższéj w znaczeniu słów. Grammatyka łacińska — toć najznaczniejsze wyćwiczenie dla rozumu, ona nadaje myśli logikę, wagę i podwalinę, na któréj stanąć może, jako na ciosowém podnożu. Ztąd téż aż do końca żywota poznać zdołasz w iście naukowych ludziach piętno, które im nadała nauka łaciny, odróżniające ich od wychowania pochwyconego na dorywku, na żarty, z amatorstwa.

Słowem, język łaciński jest tak dzielnym a mianowicie tak rozumowym i praktycznym, jak sami Rzymianie. Ztąd widać, iż mniéj nadaje się dla fantazyi, że jest mniéj językiem poezyjnym, lecz za to stał się językiem wszechświata. Nie przeczę bynajmniéj trafności zdań, przywodzących fakta historyczne, dla których ten język rozlał się na wszystkie ludy cywilizowane i dochował się w całéj pełni do

naszych czasów; nie zaprzeczam tych powodów, ale one są tylko przyczyną zewnętrzną, która nie byłaby wystarczyła do wyjaśnienia tak osobliwego i jedynego w historyi pojawu, gdyby w samym języku tym, we wnętrzu jego, nie było powodu prawdziwszego, a tym jest właśnie języka tego abstrakcyjność, rozumowość, jego istota ogólna, naginająca się tak doskonale do wszelakiéj treści rozumowéj, przeto do każdéj nauki i umiejętności, stosująca się do ducha każego ludu, i do tętna każdego wieku, do wszystkich epok cywilizacyi (*). Przyznasz mi, że te różne okresy, któremi przechodził ten język, te nawet spaczenia się jego w średnich wiekach, dowodzą zasobów i sił żywotnych nieprzebranych jego istoty. A zawsze i wszędzie dochował swojéj potęgi tak czerstwéj i zdrowéj. On równie dzielnie się toczy we wierszach Lukretiusa i w mowie Cycerona, jak w „Dies irae“ lub „Stabat mater“. I prawodawstwo i filozofia scholastyczna i pieśni kościelne przyjęły ten język, czyli raczéj były przyswojone przez niego. Zaiste Rzym umierając zapisał testamentem mowie swojéj świat cały i wszystkie cywilizowane narody; on przekazał jéj na dziedzictwo długie wieki i lat tysiące. Rzym umarł tylko cieleśnie, ale mowa jego, niby duch jego zwycięzki, przebywa między nami, jest w atmosferze naszego żywota, nim oddycha myśl nasza.

Powyżéj roztoczyłem ci ducha ludu rzymskiego, teraz wspomniałem o języku jego; to już niechaj będzie dostatecznem, by zgadnąć jaka jest i poezya Rzymu. Nie pisząc bynajmniéj historyi literatury, wspomnę tylko o niektórych rzymskich śpiewakach z czasu najwyższego zakwitu poezyi, i tych nawet jedynie zwierzchu i przelotnie dotykając.

Tryumwiraty mordercze już umarły; krew proskrypcyi wsiąkła w ziemię; porosły ją zioła kwieciste; August cesarzem; cicho na świecie, jak po ogniu, po morach — pokój głęboki otulił ludzki ród. Poczucia przyszłości z lekka tylko zadrgały wróżbą w łonie dziejów; orły rzymskich legionów gdzieś przepadły na północy dalekiéj w mrocznych kniejach dziczy germańskich, a na południu weszła na niebo ona gwiazda wschodu i zatrzymała się nad strzechą Betleemską! August płacze straty legionów, choć nie przeczuwa wróżby, co nań woła z południa; a wieść o gwiaździe onéj nie doszła uszu jego. Na świecie cicho, spokojnie; teraz czas się bawić i brząkać na lutni, i śpiewać i pieścić się i miłostkować! A August zachęca do lutni, do piosnek jako do cacka, i pielęgnuje sztuki, i buduje marmu-

(*) Co do języka i literatury Rzymian obacz głównie dzieła: Bernhardy, Bähr, Hermann, Krause; wielce godne polecenia; przypominam również tutaj powyżéj przywiedzione dziełko Małeckiego; daléj Wirgiliusza wzorowie rozbiera Wagner, a Tybulla Richter T. I § 9.

(Z pomiędzy nowszych prac o *literaturze rzymskiéj* zasługują na szczególną uwagę: 5-te przerobione wydanie dzieła *Bernhardiego* z r. 1869; 4-te wyd. *Bährа* 1873, wreszcie dzieło *Teuffla*, 2-gie wyd. 1871. — St.)

rowe miasto na miejsce starych świątnic i domów ceglanych, poszarzanych czasem i poplamionych ludzką posoką. August niekiedy sam robi wiersze; a za przykładem z góry i cały Rzym wykształcony wierszami się pieści. Bo w stolicy świata, co morzem namiętności, szaleństw, kaprysów, dziwactw, przepychu i ogłady, krystalizuje się teraz towarzystwo wytworne, wykształcone, wybrane, bawiące się w poezyą i literaturę. Lecz nad tych elegantów, świecistych i strojnych dowcipem i smakiem, wznoszą się o głowę od nich wyżéj poeci, co na prawdę wieszcze o talencie potężnym, o zacném sercu i uczuciu czystém.

Z całego grona tych poetów wybiorę ci na pokaz trzech tylko, którzy wedle mojego zdania najtrafniéj wyobrażają całą poezyą rzymską. Wyznaję znów atoli chętnie, że i ci poeci są istni Rzymianie; ich nie porywa natchnienie o skrzydłach wichrowych, ich nie zagrzewa zachwyt od Bogów idący, w nich nie robi geniuszu potęga, wzbijająca się wiekuistą swobodą nad świat. Z tych wieszczów przemawia poezya, która „odetchnęła wonią ziemskich owoców, i przybierając uczucia Rzymian, ich chęci i duszy pragnienia, przemawiała zrozumiałą im mową“. Ta poezya, to nie samorodne puszcze wolnéj natury, co pod tchem powiewów a urokiem rosy niebiańskiéj i promieni słonecznych wystrzeliły w chmurotyczne dęby, odziane w sploty powojów kwiecistych, w bujne zioła i mchy bogate; ta poezya — to grządki kwiatów prześlicznych, sadzonych artysty ręką, co je pieści sztucznie i pielęgnuje z miłością.

Chceszli miéć pojęcie jedném słowem o téj poezyi Augustowskich czasów, przypominam ci, że pod tę epokę właśnie kochano się w Rzymie w ogródkach, które z górą tysiąc sześćset lat późniéj niby wymyślił *Le Nôtre* (*) na tak wielką admiracyą hardego Ludwika XIV, iż go nawet serdecznie wycałował! Słowem wtedy szalano w Rzymie za ogrodami w szpalery strzyżone, w chodniki wymuskane i strojne w krzewy i drzewa, udające kształty zwierząt lub postaci ludzkie; były w nich bukszpany wysadzane w cyfry, w imiona i t. d. Brakowało tylko przechadzających się robronów, korków czerwonych u trzewików i chłopiąt małych w jedwabnych frakach, długich kamizelkach, ze szpadą u boku.

Choć tedy poeci owocześni, jako ludzie nie na lada stopę, nie ulegali ślepo bezsmakowi swojego wieku, przecież i oni nie zdołali się w zupełności wyzwolić z pod tchu współczesnéj im atmosfery. Ich pieśni nie są skutkiem wszechmocnéj potęgi co prze, i wre, i kipi w sercu, lecz talentu świetnego, wytwornego smaku; są to ludzie umiejący doskonale literaturę grecką, ale nie są jéj niewolniczymi naśladowcami, bo w nich całą potęgą żyje hart rodzimy rzymskiéj

(*) *Andrzéj Le-Nôtre* ur. 1613 r., um. 1700 znany twórca francuzkiéj sztuki ogrodniczéj; założyciel ogrodów w Versailles, St. Cloud, Meudon, Fontainebleau, St. Germain i wielu innych. — St.

ojczyzny. Ich fantazyi towarzyszy rozum, ten rozum rozsądkowy, który wszystko waży, liczy, mierzy i wiąże w ład i szyk. Z tą fantazyą łączy się wytrwałość niesłychana i pracowitość, co ich czyni dzielnymi mistrzami słowa i władzcami języka; ztąd w nich najwyższe wykończenie formy. Otóż więc te poezye, jak ktoś słusznie rzekł, są „istne arcydzieła złotnicze, dokonane nieznękaną pilnością, osadzone w perły i brylanty, szafiry, szmaragdy błyszczące, wyszlifowane z mistrzowską; tu najdrobniejszy szczegół do ostatka wyrobiony“. Nie tylko jednak w téj formie zewnętrznéj okazuje się rozumowość praktyczna Rzymu, ona występuje i w dążności przeważającéj do utylitarności, a co więcéj odzywa się nawet i w istocie poetycznych obrazów. Te obrazy, jako szaty myśli, najczęściéj nie są dziełem szczęśliwéj natchnionéj chwili, ale są raczéj troskliwie dobierane do téj myśli, jakby szaty na jéj miarę zrobione; są tedy skutkiem rozwagi, refleksyi, a tak stają się allegoryami.

Po Tivoli, wśród skalnych ścian, szumów wodospadów srebrnych, powiewów lekkich, pieszczących, wśród cyprysów i gajów oliwnych, przędzie się wzdłuż przepaści dróżka chędoga, wysadzana kwiecistém krzewem; z daleka równina „Kampanii“ Rzymskiéj, zalana powodzią mglistego światła; a na ostatnim rąbku widnokręgu w srężodze różowéj rysują się lekkie kształty kopuł i wież stolicy świata. Na dróżce téj zwykle ciągnie na osiołkach, konikach grono pań i obcych ichmościów, — słychać gadatliwe koncepta i żarty i dowcipy, aż w końcu cała kawalkada, jakby na komendę, staje. — Przed nią zwaliska, sklepione sieni, otwory okien, bram, w koło gruzy, tu owdzie ze szczelin powiewa oleander dziki i cyprys smętny. Te gruzy, prawi przewodnik, to resztki z willi, owéj lubéj zaciszy Horatiusa.

Tuż znowu przy Neapolu jest góra opoczysta; w niéj wydrążona owa ulica długa a wysoka, którą nazwali grotą Pausilipo. Nad tą grotą, na zawrótnéj wysokości, samotnéj, odosobnionéj od świata, od ludzi, jakby na napowietrznym przylądku skalnym, jest przestrzeń mała, ścianami opoki otoczona, na niéj plezą się bogate zwoje bluszczowe, i rozwiesił się kaktus pnący o purpurowych kwiatach. Tu aloësy urosły w drzewa, figi ciemnolistne stoją nieporuszone, a długie zioła rozesłały się bogatym kobiercem. Widać Neapol, otulony obłokiem kurzawy palącéj się w gorących słońca promieniach; wrzawa hałaśna najkrzykliwszego na świecie miasta splata się i kłóci z hukiem sąsiednich morskich błękitnych fal, a znów pod tobą w głębi głucho dudni gwar, turkot przytłumiony, ryk, krzyki, dzwonki, — to wozy, konie, kocze strojne, trzody, i tysiące pieszych ludzi, co się cisną przez pausilipską grotę. Życie dolatuje cię tutaj jedynie przytłumioném echem. Na téj samotnéj wysokości skalnéj, na tej przestrzeni drobnéj, oddzielonéj od świata, wyrósł mały

wawrzyn, tuż przy nim wstęp do komory czworograniastéj, wykuty w skale. Ten wawrzyn sadził niegdyś Petrarka, a odnowił go świeżo Delavigne; ta komora, jak nam prawią, jest grobem Wirgiliusa!

Horatius i Wirgilius, — imiona wdzięczne i ukochane! Wszak do nich przedewszystkiém stosują się owe nasze zarysy rzymskich poetów.

Horatius, ów wielki mistrz mowy i rytmu, on pisze zwolna i rozważnie; i gładzi i struże i dłutkiem dzierga te myśli swoje, jakby figurki cudne z kości słoniowéj, sztuczne i misterne, i dodaje im złota i kamieni drogich. Znać, że te pieśni jego nie urosły od razu jakby pod rószczką czarodzieja; każda z nich jest arcydziełem mozolnéj rozwagi i pracy niezwątlonéj, a znać nawet, że różne części jéj dorabiane w różnych ustępach czasu. Horatius zna świat i ludzi, on bystrém okiem rozumu przeniknął życie do dna, i dla tego też w jego poezyi pełno maxym, sentencyj tchnących prawdą głęboką. Naucz się Horatiusa na pamięć, a znajdziesz do każdéj pory życia, do każdego wypadku w rzeczywistości, do każdéj chwili czy radośnéj, czyli smętnéj, trudnéj czyli wdzięcznéj, wiersz, co niby ustawa starodawna i uczy i radzi, i karci i pociesza. Jego poezye mniéj może dogadzają młodszym sercom, ale są rozkoszą istotną starości doświadczonéj, chłodnéj. Ody jego, to nie potoki, wypadające wywrotną potęgą ze serca alpejskich szczytów; to ciche i spokojne strumienie, które czystym zdrojem wylewają się z duszy wytrawionéj życiem, a płyną wśród brzegów kwiecistych, strojnych ręką ludzką. One płyną z czystego serca! — Horatius był uprzejmym, ale bez podłości; on nikomu nie dworaczył jak twierdzą niektórzy oszczercy, zawistni obcéj sławy.

Horatius pisze też i satyry. Satyry te atoli, choć tak drwiące, burczące, są znów tak grzeczne a gładkie i uprzejme, iż widać, że to człek dobrego wychowania, światowiec genialny, który lubo uśmiechem pogani, ironią lekką ukarze, nie zrani przecież ani obrazi. Satyry Horatiusa podobne do owéj pięknéj pani, któréj dowcip lekki, gracyjny niby skrzydełka motyle, uśmieszkiem, słówkiem, spojrzeniem, ulotnym żarcikiem ogromną prawdę wypowie; lecz tak wdzięcznie się sprawi, iż zanim się spostrzeżesz, już ów dowcip zwinął skrzydełka swoje i uleciał, kędy trudno za nim pogonić.

Ale zważno — satyra to rzeczywiście rodzaj poezyi na gruncie rzymskim zrodzony; chciéj baczyć, iż satyra, jako poemat, zwraca się przeciw stanowi społeczności, co właśnie znów ma głębokie znaczenie, bo wróży, że rzeczywistość, że ten świat obyczaju, nie odpowiada więcéj idei swojéj, że już nie jest tém, czémby być powinien, że idea a myśl żywotna, która winna być treścią społeczności, ustąpiła z niéj jako z wyrażenia i widomej formy swojéj, że treść nie znajduje się więcéj w rzeczywistości, że jest jedynie ideałem, przemieszkującym już tylko w piersiach satyryka, a że świat rzeczywisty

stał się pustą, bezduszną łupiną. Satyry Horatiusa radeby sprostować, poprawić ludzi; ale nie poprawią, nie sprostują one, choć tak gładkie i wdzięczne i grzeczne; raczéj wróżą, że zawistne Rzymowi potęgi już robią i pracują pod ziemią.

Horatius pisze też tę sławną „ars poetica“, co to na poły satyrą, lekką ironią na poetków-wierszokletków, a na poły poematem dydaktycznym; — niby z niechcenia rzucona estetyka poezyi. Jeżeli tedy Horatius i w odach i starych uczy praktycznie, na przykładzie jak pisać, w poemacie o „sztuce poetycznéj“ staje się wprost nauczycielem, podającym teorye.

Współczesnym Horatiusa a przyjacielem jego od serca był Publius Wirgilius Maro. — Drugi człowiek zacny i szanowny. — Na świecie było cicho i spokojnie. Rzym dochodził południa swojéj wielkości; był tedy czas zaśpiewać mu dzieje jego ziarna, ozłocić, ustroić kolebkę jego i umaić zmyślonemi przez poetę mitami prozaiczne początki Rzymian. Zadzwonił Wirgilius w lutni swojéj struny, uzacniając i wielbiąc ideę ludowładnego Rzymu. Zaśpiewał więc Eneidę, co jest epopeją-hymnem. Wszak on sam woła wdzięcznym wierszem: „Niechaj inni tchną życie w marmury, niech udzielają duszy śpiżowym posągom; sztuką prawdziwie rzymską jest pogrom narodów i panowanie nad światem.“ Słusznie ktoś z krytyków rzekł, iż obrazy Homera są malowaniem, tchnioném na przezroczach eteru, a obrazy Eneidy są mozajką lśniącą, cudną, złożoną z kosztownych i drogich kamieni. Boć w téj pieśni ślicznéj nie znajdziesz zaiste onego duchowego widzenia, co rozsuwa mgłę starych heroicznych czasów. Wirgilius patrzy na dawnych bohaterów, odzianych całą gigantyczną ich potęgą; — te postaci jego ruszają się, mówią i działają jako ogładzeni Rzymianie z wytwornych czasów Augusta; to nie burza zachwytu, co unosi ducha wieszcza, to talent świetny, znakomity, i studya i praca wytrwała (*).

Wirgilius pisze jeszcze Eklogi, to jest sielanki. Dziwne to goście, te sielanki, które jakby bose dziewczęta wiejskie chodzą po złocistych pałacach Rzymian; lecz nie wierz tym maseczkom; wszak patrz jakie małe, zgrabne ich nóżki, jakie rączki białe; one pewnie nie były u żniwa, a daremnie udają prostotę w mowie; ich wyrażenia tak dobrane, iż widać, że to salonowe wytworne damy; one dla fantazyi a kaprysiku przebrały się za wieśniaczki, by w odmiennéj postaci doświadczyć mocy swoich powabów i wdzięków, jak to czyniły owe głośne damy głośnych Ludwików francuzkich.

Jakoż wieśniaki i pasterze tych sielanek — to przebrane znakomite figury Rzymu: jest między niemi nawet i umarły już Julius Caesar, jest i sam autor; — słowem, te sielanki są po prostu allegoryami. Wykwintny Rzym nie pojmuje, jakby się zadawać można

(*) Ob. dzieło Bährа.

z rzeczywistymi rolnikami, bartnikami, pastuchami, a on, jak wiesz, tak lubi allegorye. Te sielanki miały jeszcze przypomnieć zbytkującym, płochym i psującym się panom świata, uczucia rzewne i żywot ich ojców, pełen prostoty i poczciwego obyczaju; te pieśni sielskie są tedy zwierciadłem, w którém się miała przejrzeć społeczność i obaczyć, obok tych postaci czystych i niezepsutych, własne rysy twarzy, w karykaturę wykrzywione.

Jeżeli zaś Eklogi zlekka prostują i uczą, toć Wirgilius, śpiewając Georgiki swoje, wprost staje się nauczycielem, ale nauczycielem najmilszym w świecie. Rzecz tak się ma. August patrzał z żalem — a kto wie — może i z wewnętrznym wyrzutem sumienia na opustoszałe pola Włoch, zniszczone długoletnią wojną; namówił tedy, jak słychać, naszego wieszcza, aby zatrudnienia wiejskie przyodział urokiem czarodziejskim wdzięcznéj poezyi swojéj. Ba! wtedy i serca były pustkowiem, a dusze zapyrzyły się chwastem; a ty wiesz, jak to zaprzyjaźnienie się z naturą, jak ta zacna praca około zagona uspokaja rozmiotane namiętności, jak ona koi rany od ludzi zadane; gdy osa ukąsi, mówią, przyłoż ziemi, a ziemia pomoże na żądło. Miał słuszność bardzo on August, jeżeli mu to wszystko przez myśl przeszło.

Śpiewa tedy Wirgilius o hodowaniu pszczół i drzew, o roli, o siejbie i zbiorze, a śpiewa tak cudnie i lubo i słodko, że nawet niekiedy pogodzić się możesz z niejednym szkolnym próżniaczkiem,— który, gdy mu już do żywego doskwirzy łacina, greczyzna lub matematyka, na gwałt pragnie oddać się gospodarstwu, jako rajowi ziemskiemu, kędy godziny nie biją, kędy nie ma słychu o książkach a przepadły egzamina na wieki.

Rozum praktyczny Rzymu, upatrujący wszędzie użytku, kochał się też wielce w poezyi uczącéj, dydaktycznéj. Wszak pojąć można łatwo, iż ten rodzaj poezyi właśnie dla tego, że ma za swoją treść naukę, więc rozumową osnowę, nie jest dziełem swobodnéj fantazyi, — treść a forma nie są ściśle z sobą zlane; — ta poezya, służąc jakiemuś obcemu celowi, nie odpowiada już ściśle istocie sztuki, która właśnie ma cel sama w sobie.

Bądź jak bądź, Georgiki Wirgiliusa brzmiały też we wszystkich ustach, a przed nim i po nim dydaktyczne poemata wschodziły gęsto, niby posiane, na niwie poezyi rzymskiéj. Jeden zaśpiewał o astronomii wierszami, drugi o ptakach, trzeci poeta udaje geologa i pisze wierszem o Etnie i powodach jéj wybuchów. Lucretius nawet, ten wieszcz znakomity, zabrał się do filozofii Epikura i z téj nauki jego, która jest pewnie najjałowszą metafizyką, jaką zaznała kiedy filozofia, uczynił prześliczny poemat. Owidius pisze rodzaj kalendarza, poetycznie wywodząc święta i uroczystości Rzymian; ale mniejsza o to. Lecz, co więcéj, wystaw sobie, ten Owidius wierszami napisał cały kurs sztuki kochania! Daléj ten sam wieszcz swawolny, niedyskretny, napisał inny poemat: „Remedia amoris“, co znaczy środki,

niby lekarstwo na miłość! — i napisał jeszcze jedną pieśń: „Medicamina faciei“, w któréj podaje sposoby na podratowanie a podwyższenie piękności! Niechaj mi wierzą wszystkie piękne panie, że ten Owidius w tych naukach swoich wcale nie jest bakałarzem pedanckim. On podobno nawet tak wysoko zastosował do praktyki te teorye swoje, iż August, co to przecież dość wyrozumiały na poetów, uczuł się osobiście obrażonym. Nie wiem, co iście zgrzeszył Owidius o miłującém sercu, i nikt tego nie wie i wiedzieć nie będzie; rzecz cała jakby w wodę wpadła. To tylko pewna, że się przesiedział aż do śmierci jako wygnaniec gdzieś na północy, podobno słowiańskiéj, między grubemi Getami. Przeto wśród mrozów, biedaczysko chłodził zapały miłośne i na wieczernicach uczył gospodarzy swoich łacińskie wiersze składać.

W pieśniach Owidiusa błyszczy, świeci dowcip, humor lekki, figlarny, fantazya ciągle na zawołanie, łatwość szalona do wierszy; sypią się obrazy jakby na wyścigi; a obrazy te malowane w gorące, przepyszne barwy, zwroty nowe, niespodziane, pełne świeżego i niesłychanego wdzięku. Ale cóż z tego, gdy mi trudno bliżéj rozprawiać o tych poezyach. Te amorki jego, śliczne wprawdzie pacholęta, gładkie to i dowcipne, zwinne i powabne; przecież znów takie to chłopięta swawolne i rozpustne, że podobno lepiéj nie zaczepiać ich wcale; a ten Owidius tak nieidealnie pojmuje miłość, on tak „niedyskretny“ i zuchwały! Więc jakże tu pisać o tych pieśniach! — Chybaby może po łacinie! A to znów niegrzecznie! Dajemy więc temu pokój, a powiedzmy słówko o Tybullu, który wprawdzie także rozkochanego temperamentu człek, ale przecież już inny jak Owidius.

I w Tybullu uśmiecha się miłość ziemska z niewypowiedzianą lubością i wdziękiem; lecz ta miłość ziemska jest uszlachetnioną, zidealizowaną; ona się wprawdzie na ziemi zrodziła, ale jéj wyrosły tęczowe skrzydła Psychy; ztąd ona przypomina niebiankę na Olimpie poczętą. — Elegie Tybulla — to nie kwiaty w szklance chowane, one nie wyciśnięte z mózgu zimną reflexyą. Dusza śpiewaka uciekła z zewnętrznego świata, bo jéj ten świat niemiły, tak zimny, pusty, bezsercy; utonęła tedy sama w sobie, własnym tajnym uczuciom dając posłuchanie. A te uczucia tak tkliwe i rzewne! tak głębokie, a tak prawdziwe! Uczucia te z razu z cicha szepcące, wzmagają się potęgą, i mówią i śpiewają, i nucą w piersiach poety; a co mu zanucą, co mu zaśpiewają, toć on pisze, a tak zjawia się śliczna, dźwięczna i tkliwa elegia. Te pieśni Tybulla wyśpiewało serce po swojemu; nie znajdziesz tedy w nich rozumowego układu, artystycznego planu, ani ścisłéj jedności, bo o tém wszystkiém nie wié serce; są to słowiki, co sobie śpiewają od ducha, ale właśnie téż dla tego te pieśni są tak wdzięczne, tak urocze. — Na tych miłościach Tybulla, jakby na fijołkach młodych, drga jeszcze łezką rosa poranna.

Czyliż może być wdzięczniejsza, wyższego carodziejstwa poezya, nad ten bukiet pieśni nazwany Sulpicia. Tutaj Tybullus mistrzem miłości — mistrzem światów, żyjących w sercu niewieściém. Sulpicię słusznie nazwano Heloizą rzymską, pogańską; żary namiętne ochłonęły jéj duszę, świat cały nie ma dla niéj znaczenia; sercem jéj serca, jéj światem jest ulubieniec; ona go czci i kocha, miłuje i wielbi. Jéj miłość daleka od idealności chorowitéj, kłamanéj, ale téż daleka od ziemskich ogniów, nieuzacnionych głębokiém, bogatém duszy uczuciem. Poświęcenie się jéj jest bez granic, a przecież bez sromu a poniżenia, — Sulpicia dumna swoją miłością. Kochanie jest jéj chwałą i tryumfem jéj wartości.

Zważ jednak, — ta elegia jest odwróceniem się od świata, od rzeczywistości, a zwrotem duszy ku sobie! W téj poezyi przeto tkwi wróżba, że duch cofa się z rzeczywistości, ze świata zewnętrznego, że ten Rzym już nie zadawalnia, że go opuszcza duch, który już w sobie się zwinął, obojętniejąc na sprawę publiczną; słowem, że treść duchowa rozstaje się z formą zewnętrzną; znać tedy, iż, jakby wąż, z cicha, niepostrzeżenie od ludzi, zbliża się milczkiem przeznaczenie Rzymu.

Dość już o poetach rzymskich! Com o nich rzekł, wyświeca dostatecznie istotę fantazyi Rzymian, wyłożoną powyżéj. Nie ma więc czego rozszerzać się nad ich dramaturgią, a to tém bardziéj, że ona nie wyrównywała doskonałością innym rodzajom poezyi. Wzory dramatu greckiego, takie świetne i wielkie, odbierały rzymskim autorom odwagę mierzenia się z ich geniuszem. Naśladowano tedy Greków i, o ile się dało, naciągano ich formę gwałtem do rzymskich stosunków i obyczajów. Brakło téż dramatowi publiczności jednéj, wielkiéj, litéj, mającéj jedną wspólną duszę. Kółko patrycyuszów ogładzone, wykształcone, ze smakiem wyrobionym na Grekach, z lekceważeniem dumném patrzało na zabawy grube i dowcipy nieokrzesane teatru, który bawił większą część mieszkańców. Co tedy było w rym ludowi, było odrazą patrycyuszom, a w czém się ci kochali, było niezrozumiałe, a może jałowe i nudne dla ludu. Po co nam atoli wchodzić w dalsze a głębsze przyczyny niepowodzenia w Rzymie dramaturgii; dość przypomnieć kilka faktów. — Wiesz, aktorowie dramatyczni pochodzili albo z cudzoziemców, albo z klassy najbiedniejszéj, albo nawet z niewolników, bo nikt sobie takiém aktorstwem nie chciał ubliżyć, bo na artystów scenicznych spadła plama infamii; uważano ich sztukę za nikczemne a pogardliwe rzemiosło. Baczmy jeszcze, że komedya, chcąc się podobać ludowi, musiała mu się zapisać na służby błazeńskie, a tak pozbyć się godności swojéj: — cel jéj była zabawa, to niby użytek płynący z niéj. A jaka tego upodlenia nagroda? Oto, odegrywa się komedya pełna dowcipu i żartów, lud się cieszy, chichoce i poklaskuje; w tém słychać, że przybyli skoczki i mistrzowie sztuk łamanych; lud każe przerwać komedyą i dla skoczków ustąpić aktorom! — Pod gruzami

Pompei, zasypanéj przez Wezuwiusz w 79 lat po nar. Jezusa Chrystusa, znaleziono téż bilet wstępny do teatru; znać z niego, że miano grać właśnie wtedy jedną z komedyj Plauta. Gdy atoli ten człowiek z tak świetnym talentem kwitnął na 200 lat przed erą naszą, widać tedy już, że najmniéj przez lat 280 był ulubionym komikiem rzymskiego ludu, choć trudno wątpić, że nierównie jeszcze dłużéj sztuki jego napełniały teatralne ławy. Otóż ten Plautus wtedy, gdy talent jego okrył go już był sławą, gdy imię jego chodziło już z ust do ust, zapadł właśnie dla teatru w długi, oddany był przeto wierzycielom jako niewolnik i zmuszony był pracować za parobka w młynie. Nie popłacały téż na scenie docinki i żarty strzelające tu lub ówdzie. Naevius żartobliwy swój humor odpokutował w więzieniu, a późniéj na wygnaniu. Tragedya jeszcze mniéj była narodowa, mniéj świetna; kluła się jak mogła niby roślinka exotyczna, w doniczce na oknie chowana.

Widzisz tedy — i z rozwoju ducha Rzymian, i z historyi, i ze składu społeczności im właściwéj — rodzaj ich fantazyi. To rozumowanie nasze potwierdza sama sztuka i poezya rzymska; wszędzie spostrzegłeś, iż cechą téj fantazyi jest allegorya, utylitarność, idea Rzymu, a przedewszystkiém brak ścisłego zlania treści i formy. Raz już powyżéj rzekłem, iż Romie saméj brakuje téj ścisłéj jedności formy i treści; formą jest państwo rzymskie, a treścią duch Rzymian. Lecz idea ziemska, doczesna, nie była zdolną, by w sobie pomieścić całą treść ducha człowieka; zatém poszło, że śluby między duchem jako treścią, a Romą jako formą, nie były ścisłe, że się ta jedność ich rozwiodła, bo była gwałtowną. Ten zaród śmierci, który w przykładach powyższych, wziętych z epoki najświetniejszéj Rzymu, odzywał się dopiéro lekkim proroczym szeptem, dawał znać o sobie coraz potężniéj, głośniéj, aż w końcu zagrzmiał wołaniem ostatecznego sądu nad konającym Rzymem.

Satyra, co niegdyś tak uprzejma z uśmiechem żartobliwym przyganiała wadom, staje się w ustach Persiusa i Juwenala ponurą, groźną, żółcią palącą, bo rzeczywistość zewnętrzna, wykrzywiona w poczwarną maszkarę, jest coraz mniéj tém, czémby być winna wedle prawdy swojéj; między tą formą zewnętrzną a treścią coraz okropniejsza roztwiera się przepaść. Rzym psuje własny język swój, bo on stracił sumienie siebie, sam siebie zdradza i zapoznaje; on nie umiejąc własnéj wewnętrznéj istoty swojéj, nie umie już odziać jéj ciałem a formą swojéj mowy.

Zerwała się tedy harmonia między duchem a rzeczywistością zewnętrzną. Człowiek nie zdołał już powiązać tych dwóch światów. Rzeczywistość jest teraz w Rzymie bezduchową łupiną; a duch już nie ma w sobie rzeczywistéj treści. Więc człowiek albo porzuca z pogardą ten świat, zamyka się w sobie i dla siebie wymyśla harde teorye, osobną treść, nie będącą w żadnym związku ze światem rzeczywistym, którym pogardza, dla którego już nie ma współczucia,

a tak czyni się niezawisłym w sobie, otula się płaszczem dumy swojéj, słowem staje się filozofem stoickim; albo też, odwrotnie, nie mogąc wytrzymać otchłani próżnéj własnego ducha, rzuca się w objęcie rzeczywistości zewnętrznéj, którą dla niego jest teraz sama natura zmysłowa; rzucza się zatém w rozkosze cielesne, a szukając zapomnienia siebie, w chuci bezdennéj, zmysłowéj chce utopić istotę duchową swoją, — i to nazywa filozofią epikurejską; — albo nakoniec Rzymianin teraz w nic nie wierzy, niczemu nie ufa, rozpacza o wszystkiém, o sobie, o prawdzie, o rozumie, a tak sam staje się uosobioném nicestwem, słowem oddaje się sceptycyzmowi — onéj filozofii rozpaczy. Te trzy filozofii rodzaje: bo Stoicyzm, Epikureizm i Sceptycyzm, które u Greków były tylko nauką, systematem filozoficznym, teoryą, w Rzymie stały się straszliwą, okropną praktyką.

Świat stał się cmentarzem, kruchtą psujących się zwłok, i psuło się przez stulecia to ciało umarłéj potęgi. Ród ludzki wzywał ratunku, anioł stróż dziejów świata wołał zbawienia. A z nieba szedł głos przez świat, przez ludy i przyszłość: „wy wszyscy, co pracujecie, przyjdźcie do mnie a ja was pocieszę!... a ja zostanę z wami aż do skończenia światów!“

Gdy w złocistym Rzymie szał rozkoszy, boleści straszliwe, krzyki namiętności rozzwierzęconéj i rozpacz hulają w dzikie zapusty; — pod ziemią, stuka i puka przyszłość. — Pod ziemią, pod Rzymem, w głębiach wyłomów kamieni modlą się, i płaczą, i radują się i cierpią, — to chrześcijanie, robotniki i czeladź Boża! Z głębin tych katakumb ciemnych wyrośnie zasiew niebiański!

Na szerokich, niezmierzonych Azyi rozłogach, na przestrzeniach, co toczą się do ostatniego Wschodu, kędy słońce wstępuje na świat, szum w powietrzu, szelest, brzęk, niby w pasiece ludzkiéj, gdy się wyroić mają mieszkańce milionowe. To szczepy, to ludy i rody, nieprzebrane tłumy, one mają porzucić błonia nieprzebyte i stepy, niemające granic, i puścić się wędrówką na Zachód im nieznany. — Ich prze siła niewidoma, opatrzna, mądrość żyjąca w dziejach ludzkich; ta mądrość, niby matka pszczelna, wiedzie ich przeczuciem w nieznajome świata strony, jak wiedzie stada ptaków wędrownych przez morza, przez kraje, do nowéj siedziby. I ich starodawne dzieje umarły, przebrzmiała przeszłość pradziadowa, bo na świat woła przyszłości duch. — Są to szczepy azyatyckie, germańskie, słowiańskie; one idą na odrodzenie światu.

Dreszczem przeczucia zadrgały serca rodów nieznanych Rzymowi, serca ludów na Wschodzie zapadłym, na stepach bez granic, i serca ludów na Północy aż na onych skałach morskich, na górach mgłą odzianych. Ossyan śpiewa pieśń z dawnych lat, z lat, które przeszły dawno, pieśń o dziejach pradziadowych, które skonały dawno. I śpiewa bard samotny, jeden, tęskny na skalistym brzegu, śpiewa o bohaterach, które ustąpiły w kraj nieznany, i płyną w postaciach mglistych, rozwiewnych. I śpiewa bard: „Lube są pieśni

dźwięki! Słuchaj pieśni moich, słuchaj ich samotny mężu, co dumasz na skale mgłą odzianéj! Ty, coś na obcéj ziemi zrodzon, chciéj posłuchać pieśni moich! Rozbudziła się dusza we mnie i pełna jest treści upłynionych dawno czasów; wróciła mi się radość młodych moich lat.“ I śpiewa bard, i słuchają pieśni jego w koło pagóry zielone, a pieśni jego słuchają rozsypiska starych grodów, i zioła, co porosły stary tron, i słucha ich tarcza, w któréj się lęgnie puszczyk. Ale mąż samotny na skale milczał i dumał. On na obcéj ziemi zrodzon, on w kraje mglistych rozwiewnych postaci, on w kraje bardów, w ojczyznę Fingala przyniósł wiarę zbawienia, on w Chrystusie wychrzczony, on nowego świata wysłannikiem!

List Dwudziesty Piąty.

III. Żydzi.

Przegląd ludów, mieszkających nad morzem Śródziemném. — Palestyna. — Powołanie ludu hebrajskiego. — Architektura. — Przybytek. — Kościół Salomona i dzieje jego. — Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie. — Język hebrajski. — Pieśni święte. — Dzieje Hiobowe. — Pieśń Mojżesza dziękczynienia. — Późniejsze czasy. — Muzyka hebrajska. — Psalmy. — Kaplica Syxtyńska w Rzymie.

Ucichło, oniemiało dziś na forum dziejowładnéj Romy; jéj mównicę przywaliły rozsypiska świątyń dawnych bogów, bramy jéj tryumfów porosły w kwiaty i zioła, jakby wieniec śmiertelny. Dziś samotno, milcząco na forum rzymskiém. Tu nie zalatują gwary dzienne życia; tu nigdy wrzawa drobnych ludzkich kłopotów nie znieważa téj ciszy świętéj.

Gdy się zmruży słońce, gdy zaśnie dzień i uśpi się cała w koło natura, wtedy historya chodzi wśród tych ruin i duma nad ludami i wiekami przyszłości, które jeszcze nie zrodzone spoczywają zwinięte w wieczności łonie. Wśród nocy milczącéj duma historya na rzymskiém forum. A od Śródziemnego morza, co sąsiaduje z Rzymem, śpieszą duchy onych ludów, co na pobrzeżach jego napracowały się w służbie dziejów świata. Boć te wody Śródziemne śpiewały falami pieśni swojéj tym ludom, gdy one, niby niemowlę w kolébce, nie marzyły jeszcze o wielkości i potędze światomożnéj, która na nie w życiu z kolei czekała. Te wody rozniosły późniéj wieści o ich sławie, gdy z kolei stawały na reju państwom, prowadząc je na odrobienie onéj pańszczyzny, którą im przeznaczył Pan. Te same wody śródziemne śpiewały tym ludom pieśni grobowe na cześć ich skonu i twardego żywota!

I śpieszą duchy tych ludów z brzegów Azyi, Afryki i Europy na rzymskie forum, kędy im wszystkim historya daje posłuchanie.

Patrz, to duch starego Egiptu! On przez życie całe zanurzony w przepaściach własnego wnętrza swojego, i badał i dumał, i mocował się, by rozwiązać zagadkę ducha ludzkiego. I podsłuchiwał Memnony swoje, gdy tęskném wołaniem witały słońce wschodzące, i czekał azali Sfinx nie roztworzy ust kamiennych, prawiąc o tajemnicy śmierci. Ale Egipt nie zdołał zrozumieć Memnonów wołania, nie przemówiły do niego Sfinxy i milczały też własne serca przepaści; i umarł zacny pracownik-lud. Może on dopiéro przed śmiercią, może jakby w błyskawiczném jasnowidzeniu, w chwili skonania ujrzał rozdartą oponę, co mu przez życie całe zakrywała prawdę? Obok niego występuje inny duch, jego niegdyś sąsiad od zachodu, co za żywota swojego na ziemi dźwignął miasto morzowładne; on z raną śmiertelną na skroniach; historya uwieńczyła blade, krwawe czoło jego laurem, co świeci nocą niby aureola święta. Jest to duch Kartaginy. On przez życie całe frymarczył i kupczył i rozsyłał okręty swoje po wszech świata krańcach i dufał skarbom i złotu, i niemi kupował obrońców zdradnych i pułki najemne; a przecież ten duch wyświecił się zacnością, bo zacnie stanął do walki rzymskim legionom, i gdy mu przyszło bronić krwią i śmiertelnym bojem ognisk swoich, i bogów swoich, i gdy mu wypadło już umrzéć, umarł poczciwie, na tarczy, na wzór późnym pokoleniom. Gruzy palącéj się Kartaginy pogrzebały kilkakroć sto tysięcy jéj synów, ale też te płomienie palącéj się Kartaginy zaświeciły w serce rzymskiego wodza, rozjaśniając mu straszliwe wróżby o własnéj jego ojczyznie. A jeszcze daléj — ku zachodowi téj królowéj mórz, po dziś dzień plątają się po świecie zwłoki żywe maurytańskiego ludu, którego duch już staje przed sądem historyi. Duch ten, póki żył na ziemi, świetności i cudów pełen, śpiewał miłość i cześć dla kobiet, i wypiastował uczucia rycerskie i budował Alhambry czarodziejskie, i nauczył się greckiéj mądrości, i strzegł pilnie ołtarzy nauk w onych mrocznych wiekach, gdy inne ludy nie wyleniły jeszcze myśli swojéj z pierwotnéj surowizny a barbarzyństwa. Runęła Granada, a duch Maurów przeniósł się do dziedziny historyi, ustępując pirenejskiego półwyspu dwóm nowym ludom, z których jeden stanął Europie na czele, prowadząc ją przez dalekie, bajeczne oceany do mitycznego świata Indów, a drugi zdobył dla cywilizacyi świata nową świata połowę, a jaśniał chwałą ten naród i promienił wielkiemi czynami, aż razem z onym ponurym okropnéj pamięci Filipem był pogrzebiony w ciemnych sklepach grobowych Eskurialu.

Niedaleko od tych brzegów Hiszpanii, wody Rodanu niosą do morza wieść o trudach nowożytnych ludów, o ich dziejach, co rozpoczęte długo przed lat tysiącem, przecież jeszcze są tak młode i świeże, iż się zdaje, że te wszystkie europejskie ludy przebyły dopiéro jeden zupełny okres swojego żywota; — tak to one są głośnym dowodem, że wiara chrześcijańska nadaje pierwiastek całego odrodze-

nia i wyzdrowienia z niemocy narodom, co się wychrzciły wiekuistością na zacne sługi Zbawiciela.

I znów Italia wiecznie młoda, wiecznie rozkoszy pełna ziemia, ona trzech części świata sąsiadą, ona po dwakroć w tym samym Rzymie dźwignęła stolicę a ognisko wszech dziejów. Niegdyś Rzym mistrzował światu żelaznym orężem swoich legionów. Późniéj wzniósł wielki ołtarz wiary, co świeci na świat, i zacną gościną przyjął u siebie dzieła sztuki staréj, promieniejące pięknością, i przyjął je gościną i przytulił do serca, choć te dzieła — to bogi ludów, co nie przeczuwały jeszcze wiary, która miała przyjść na świat, ludzkości na zbawienie. I stanął duch Italii na rzymskiém forum przed historyą, i stanął w uroczéj postaci, jako jeden z najszlachetniejszych robotników około uzacnienia człowieczego rodzaju; duch ukoronowany koroną wysadzaną, jako klejnotami, gorejącemi gwiazdami, a temi gwiazdami korony jego: to Decius i Fabricius, to Scipio, Cezar i Pompejus, Grzegorz W., Dante i Petrarka, Kolumb, Leonard da Vinci, Michał Anioł i Galileus i Pergolese i Palestrina, i wiele, wiele jeszcze świeci gwiazd na koronie Italii; one świeciły za życia i świecą po za grobem światłem przewodniém państwom i ludom. Więc też stworzenia Mądrość, budując twierdze lądów Europy, dodała Italii w posagu grono wysp, których imię grzmi głośno w historyi starego i nowego świata, bo dodała jéj Sycylią i Sardynią, dodała jéj jeszcze Korsykę i Elbę!

Gdy Italia patrzała się w świat szeroki i słuchała, co jéj szeptały Śródziemnego morza fale, oto, do jéj południa, do jéj Sycylii, zawitali goście, co jéj przynieśli hołdem i kochaniem dary piękności, a przybyli z krainy niezbyt dalekiéj, bo z owéj ojczyzny najwyższéj artystycznéj fantazyi, kędy śpiewali wieszcze natchnione chwałę wielkich bogów na Olimpie, wielkich ludzi na ziemi, kędy stały świątnice wesołe, strojne w uroki budowania, strojne w kwiaty i wieńce wonne, a kędy postaci marmurowe bogów, wdziękiem niebiańskim oblane, przemawiają śmiertelnym ziemi mieszkańcom, że piękność na doczesnych dolinach jest zacną wysłannicą nieskończonéj prawdy, że ona ściele ścieżki, po których przyjdzie na świat wiekuistość bez opony, nie odziana już więcéj w szaty zmysłowe, zasłaniające prawdy Boże. Wszak to Hellada jest tą ojczyzną piękności wdzięcznéj, ona to zabrzmiała pieśniami, ona to uczciła się urokiem swoich świątnic, ona to pierwsza w arcydziełach marmurowych postaci ujrzała zacność człowieka i oddała nieskończoności cześć. Ta Hellada dziś sama skamieniała marmurową postacią, co niema, bezduszna z wysokiego podnóża na nas spogląda; oczy jéj bez źrenicy, postać jéj zimna, usta jéj nieme; lecz byleś miłością gorącą Pigmaliona przytulił do duszy te zimne marmury i rozcieplił je rzewnością serdeczną, już te mroźne głazy ożyją, zatętnią życiem głębokiem, oczy przewidzą a usta nieme roztworzą się pieśnią i za miłość twoją zapłacą, i zaśpiewają pieśnią cudowną, harmonii pełną

o wszech wielkich synach Hellady; i ożyje chwałą Leonidas, Arystydes, Cymon, Perikles, Epaminondas i Homer i Sofokles, Pindar i Plato i Sokrates, i płynąć będzie z ust rzeka wielkiéj sławy. I staniesz przejęty podziwem, że ta kraina o tak szczupłych rozmiarach, o dziejach tak krótkich i przelotnych, zrodziła ten świetny orszak znakomitych ludzi, tak wielki i liczny, że Grecya, odstępując ich połowę innym ludom, podniosłaby ich nieskończenie w znaczeniu, a mimo to sama byłaby jeszcze ludem najbogatszym w zacną chwałę, byłaby jeszcze pierwszą mistrzynią w uszlachetnieniu człowieka! Więc téż historya wita z miłością ducha Hellady, a wita go jako wybranego i najukochańszego syna swojego.

Na północ Grecyi mieszkał lud twardy i surowy, śmiały i mężny; on wszystkie uczucia swoje, wszystkie myśli swoje zebrał w postaci młodego Aleksandra, króla swojego. Aleksander zwyciężył bojem żołnierskim Grecyą, a po zwycięztwie oddał się w służby jéj wierne i zacne, roznosząc dobytki jéj ducha po szerokich obszarach Azyi, siejąc język, nauki i myśli Hellady po ludach pradziadowych, gotując je do nowéj epoki dziejów, która miała zadnieć nad światem.

Na wschód od Macedonów błyszczy miasto Konstantyna i świeci w złociste kopuły, przezierając się w toniach krystalicznych morza swojego, a natura w koło, sama czarodziejka, ustroiła się cudami swojemi, co, oczyniając człowieka, wznoszą go jako hymnem w nadobłoczne wysokości, to urzekając rozkoszą miękką usypiają duszę. Wszak państwo Bizantyńskie, stawszy się połowicą wschodnią dawnego rzymskiego świata, o tysiąc lat przeżyło zdobycie i zrabowanie Rzymu przez dzicz westgocką; ono więc przeszło lat tysiąc było upiorem na ziemi, więc zgnuśniało w sobie, spróchniało na mocy, wysilając się obłąkaniem wojen domowych, ulicznych mordów i okrucieństw szalonych. A przecież, gdy duchowi Bizantium zebrało się na skonanie, umarł bohaterem; w godzinie śmierci swojéj błysnął pamięcią starych dziejów, a szanownym bojem i krwią serdeczną zmył swoje winy, i został uczczony od dziejów, co sądzą i mierzą i przebaczają błędy, gdy one zacną śmiercią zmazane. A za Hellespontem, na południu rozwija się bożą mappą Azya Mniejsza i Jonia. Tam stała Troja i mogiła Achillesa; tu śpiewał Homer i dumał Tales i głębokiéj treści Heraklitos; tu stał Efez, pyszniący się kościołem swojéj Dyany, co był cudem świata; tutaj Milet, miasto ojczyste Aspazyi. A jeszcze więcéj na południe wzdłuż morza, rzędem stanęły porty fenicyjskie, w nich krzątał się ów ludek, co śmiały i mądry, awanturniczy, handlowny i żeglowny, puszczał się gdzieś przez Gibraltar, oceanem Atlantyckim, Kategatem na Pruskie pomorza po bursztyn, i posyłał karawany w Egipt i w Indye. Między Fenicyą starą a Egiptem, który rozpoczął przegląd historyi, wcisnęła się kraina mała, drobna; jéj długość zaledwie ciągnie się na mil trzydzieści a szerokość ledwie na mil dwadzieścia; na dalekim widnokręgu budują się góry jednostajnych rysunków bez

szczytów, bez wierzchołków śmiałych, a lasem cedrowym poszyte. Słuchaj — ta drobna krainka, co na poły pustynią głuchą, na poły czarodziejskim ogrodem, ona jest dla dziejów niebiańskich i ludzkich Ziemią Świętą, ziemią obiecaną; te góry, to — Liban, ta kraina drobna, to — Palestyna! Ta ziemia mała — ona była od ludzi poniżoną, zdeptaną, ona była zoraną od światoburzców Azyi, ona była karmiona łzami, a przecież Bóg ją uzacnił i uczynił odkupienia ołtarzem. Nad wioską téj ziemi zatrzymała się gwiazda przewodnia, co sama jedna świeciła ludzkiéj historyi, gdy wszystkie gwiazdy pogasły na niebie, a nadzieje wszelkie już zagasły na świecie i w sercu ludzkości, gdy noc padła na świat i duszę człowieka. Wśród nocy samotnéj, ciemnéj, gwiazda wieczności błysnęła krzyżem na Golgocie — i Bóg umierał.

Tysiąc lat z górą przeminęło od pojawienia się gwiazdy-zwiastuny w ciemnéj nocy, gdy Europa wyroiła z siebie krzyżowców miliony, co, parte tajemniczą potęgą, skrapiały krwią serdeczną stopy krzyża; a nowe i nowe zastępy śpieszyły tłumnie, by umrzéć na ziemi uświęconéj śmiercią i zmartwychwstaniem Boga. Ludy różnéj mowy, różnego rodu, u stóp krzyża umierały we krwi wspólnéj, uznając się braćmi w duchu. Ale łzy i krew, boleści i śmierć, nie idą światu w zapomnienie. Europa utraciła grób święty, ledwie co zdobyty, ale sama zmartwychwstała z ciemnéj nocy duchowéj; uznał człowiek człowieka bratem w Zbawicielu, a duch ludzki, na krzyżu rozpięty, uwolniony od katuszy i poniżenia, uczczony był jako wysłannik Pański na doczesności doliny!

Wszak to w téj drobnéj krainie, kędy stanęło Betleem a Golgota, zachowana była światu od wieków wieków wiara w Boga jedynego, co jest Stworzycielem Nieba i Ziemi, a który duchem jest. Zachowana jest wiara, która była objawiona ludzkości przy stworzeniu jéj, a która poszła w zapomnienie gdy człowiek odstał od Boga i własnéj, wiekuistéj istoty swojéj, oddając się złowrogiéj zmysłów potędze.

Lud hebrajski sam jeden uniósł przez wieki w sercu wiernie cześć prawdziwemu Bogu, aż nie przyszła na świat zbawienia chwila; więc wyrzekł się obrazów i posągów, chroniąc się od demonów bałwochwalstwa, które oczyniły inne stare narody w koło. Tak w pierwiastkach swoich i zawiązku lud ten zerwał z całym Wschodem; Wschód starożytny umarł na wiarę hebrajską, jak sam hebrajski lud umarł na wiarę Zbawiciela. On przechował wiarę w jedynego Boga; z jego łona narodziła się nowa era, nowy czas nastał w dziejach bożych i ludzkich; wtedy lud hebrajski spadł z żywego drzewa historyi, jak, gdy ziarno dojrzeje, łupina pęka i spada na ziemię, idąc wiatrom na pomiotło. Ztąd lud ten jest ogniwem między Wschodem a Zachodem, między staroczesną a nowożytną historyą. I dla tego też dopiéro w tym liście o nim mówić nam przystało.

Co więcéj — gdy lud ten z rozkazu Bożego wyrzekł się obrazów

i posągów, wszelkiego uzmysłowienia swojéj wiary, gdy wiernie stał przy prawdzie, którą miał objawioną sobie, ztąd też rozprawiając o nim, nie możemy o nim mówić trybem zwykle przez nas zachowanym, gdy rozbieramy istotę duchową innych ludów. Obok prawdy objawionéj temu ludowi, obok ogromnego jéj znaczenia, sztuka piękna i wszystko, co połączone z pierwiastkiem zmysłowym, traciło na wadze, malało i nikło.

Widać przeto, że nam wolno będzie rzecz całą o tym ludzie zamknąć w szczupłych rozmiarach.

Gdy roztworzysz Pismo Św. starego zakonu, zawieje cię jakby dech od trzech tysięcy lat. W nim, jakby w testamencie dziejów Bożych na ziemi, słyszysz i dawne mowy, i obyczaj pomarłych wieków, i sztuki starowieczne pomnikiem złożone.

Jak człowiek w biedach i trudach ziemskich ściera z siebie niedostatki duchowe i wśród ciężkiéj pielgrzymki przez życie myślą nawraca ku Bogu, ufając, że przecież znajdzie miejsce, kędyby już mógł spocząć po twardym trudzie i rozpatrzyć się w téj wędrówce przebieżonéj długą męką i znojem, tak i ten lud hebrajski ciągnie z Egiptu przez pustynię jałową. W koło głucho, samotno i ciężko mu na sercu, a wśród boleści, biedy i mozołu wyswobadza się z obłędu i ułomności duchowéj; starcy zwolna wymierają po pustkowiach, jako wyobraźniki dawnéj winy, ale lud cały wiedzie przecież ta otucha, że się dosłuży obiecanéj Ziemi Świętéj, kędy znajdą żyjący strzechę spokojną, a umarli grób spokojny wśród swoich. A on myślą i sercem zwrócił się ku Bogu i na rozkazanie Jehowy buduje przybytek Pański.

W tym przybytku nie upatruj sztuki architektonicznéj, ale raczéj ofiary, którą uczynił lud cały „sercem dobrowolném jako podarek uczyniony Panu“ (ks. Mojżeszowe II, 25. 2.) a żydzi „uczynili Bogu świątnicę, aby mieszkał w pośrodku ich“ (l. c. 8). Nie było w téj świątnicy wizerunków bożych, ale sam Bóg w niéj zamieszkał.

Przybytek, jak żywot ówczesny całego ludu, był wędrownym namiotem, który łacno było rozebrać i złożyć wedle potrzeby: deski i kobierce, otóż główny wątek tego przybytku; skromnych też był wymiarów (długość 30 łokci, wys. i szer. po 10 łokci). Lecz gdy w nim nie tak chodziło o sztukę samą, jak raczéj o ofiary złożone podarem, więc deski były powleczone blachami złotemi (l. c. 26, 29), a stały na „podstawkach ze szczerego srebra“. Były też „bogate opony umocowane na pętlicach a haczykach złotych“ (l. c.).

Cały przybytek stał umocowany na słupach srebrem powleczonych. Rozdzielony był na świątnicę i na świątnicę przenajświętszą, przez „zasłony z hyacyntu i szkarłatu i z karmazynu dwakroć farbowanego i z białego jedwabiu kręconego, a na téj zasłonie robotą haftarską uczynione były Cherubiny“ (l. c. 31 do 33). W przenaj-

świętszéj stolicy stała skrzynia czyli arka, w któréj „było złożone świadectwo Pańskie“; opis téj arki w szczegółach równie znajdujemy w Piśmie Św.: była ona z drzewa akacyowego, lecz wewnątrz i zewnątrz powleczona złotem. Ona przykryta błagalnią (wiekiem) szczerozłotą; na niéj ze złota wyrabiane Cherubiny, osłaniające ją skrzydłami. I rzekł Pan do Mojżesza: „tam (w przenajświętszéj świątnicy) z tobą się schodzić będę i z tobą rozmawiać z ubłagalni, z pośrodka dwu Cherubów, którzy będą nad skrzynią świadectwa“ (l. c. 22). I jeszcze uczyniono stół akacyowy powleczony złotem czystém z koroną złotą w koło; na ten stół kładziono chleby pokładne. Wyrobiono też świecznik o siedmiu konarach, rozwijających się kształtem roślinnym w „orzechy migdałowe i kwiaty“; daléj ołtarz miedzią powleczony i inne sprzęty i naczynia święte unaoczniają sztukę owych starych wieków, W koło przybytku szerzył się dziedziniec utworzony ze słupów, na których zawieszano kobierce i makaty kosztowne.

Słowem — w tym przybytku lud składał się ze swojéj chudoby; stawiając namiot pełen przepychu, czynił ofiary z rzeczy doczesnych, materyalnych na cześć i chwałę Jehowie, najwyższemu Panu, a tak sam dał świadectwo sobie, że w obec Stworzyciela, co odziany nieskończoności majestatem, przedmioty tuteczne, skończone nie mają wagi, że nikną i ulatniają się, gdy je owionie nieskończoności duch. Bo światy i słońca wszystkie i stulecia są jedynie rąbkiem jego szaty, a same niebiosa gwiaździste są podnóżem jego tronu, na którym kładzie stopy swoje.

Wiele lat upłynęło. Lud hebrajski zdobył sobie obiecaną ziemię, rozgospodarzył się na spuściźnie ojców swoich. Niewola egipska, co była twardą szkołą, stała się już jedynie echem, podaniem z dawnych lat i dawnego poniżenia. Wtedy po Dawidzie, owym królu-pasterzu, zasiadł na stolicy izraelskiéj Salomon, syn jego. On sławą swoją olśnił Wschód cały, mądrość jego poszła w przysłowie, a azyatyckie ludy swoje baje czarodziejskie wplotły w pamięć jego potęgi, mądrości i chwały, niby nić złotą, co choć się tu i ówdzie ukryje, znowu wystąpi pełnym blaskiem świecąc i błyszcząc. Wszak Talmud i ludy islamickie usnuły sobie o królu Salomonie mity a wieści tak czarodziejskie, iżbyś rzekł, jakoby wielki ten człowiek był iście bohaterem powiastek z Tysiąca nocy i jednéj! Cudotworność a dziwy otaczają jego postać obłokiem magii fantastycznéj. Tak Talmud prawi o pierścieniu, co go Salomon nosił na palcu; na sygnecie tym wyrznięte było tajemnicze słowo, którego już nikt wymówić nie zdołał. Tym pierścieniem Salomon stawał się świata panem; gdy go na palcu obrócił, z dala i z blizka, z dołu i góry śpieszyły zastępy nieprzeliczonych demonów, by słuchać rozkazania króla Izraela; gdy Salomon podniósł rękę w górę, władał falom wodnym, i płomieniom ognistym, i wichrom i deszczom i rośli-

nom i zwierzętom, i rozumiał głosy natury i rozumiał mowę ptasząt. Pieczęci, przyłożonéj tym sygnetem, już żadna ręka odjąć nie zdołała.

Wszak nawet i przez całe średnie wieki postać wielkiego króla wplatała się w powieści cudotworne, a sygnet jego nabierał symbolicznego znaczenia w naukach tajemniczych i ukrytych.

Nie ma się téż czemu dziwić rozgłosowi téj wielkiéj sławy Salomona po całym mu współczesnym świecie, po wszystkich ludach i po wszystkie następne wieki. Pełen mądrości politycznéj bystrém, przenikliwém okiem odgadł potrzeby swojego ludu, przejrzał wskróś stosunki swoje do mocarstw ościennych. On otworzył morze handlowne izraelskiemu ludowi, a zhołdował narody obce berłu swojemu. Więc państwo jego rozpromieniło się blaskiem niesłychanym, więc lud oddał mu cześć najwyższego podziwienia, a tłumy cudzoziemców dążyły do Jerozolimy, by obaczyć wielkiego człowieka, i napatrzyć się wystawie i świetności jego dworu, i téj stolicy jego, jaśniejącéj przepychem, który nawet lśnił oczy nawykłe do wystawności pełnéj zbytku mocarzy wschodnich. Wszak przyjechała i królowa Saba z dalekiéj Etyopii „usłyszawszy sławę o Salomonie i imieniu Pańskiém, aby go doświadczyła we wróżbach“ (Król. III, 10, 1, i Kroniki II, 9). Gdy królowa obaczyła wszystkie przepychy i wspaniałości jego majestatu, zdumiała się bardzo i mówiła do niego o wszystkiém, co miała na sercu i rzekła do króla: „Prawdziwać to mowa, którąm słyszała w ziemi swojéj o sprawach twoich i mądrości twojéj. Alem nie wierzyła powieściom onym, ażem sama przyjechawszy oglądała to oczyma swemi. Ale mi tego nie powiedziano i połowy. Większa jęst mądrość i dobroć twoja, niżeli sława, którąm słyszała“ (l. c.). Potém czytamy dokładne rozwody nad wzajemnemi podarami, któremi się uczcili król i królowa obcéj ziemi.

Wśród takowéj epoki gorejącéj świetnością, stanął ów głośnéj sławy kościół Salomonowy w Jeruzalem, na przyczołach góry Moria, lat tysiąc przed onym czasem gdy Boży-Syn rzekł do Apostoła swojego, że jest opoką na któréj zbuduje Kościół swój.

Wszak kościół Salomonowy jest zagadnieniem trudném do rozwiązania dla historyi sztuki, bo mimo opisów szczegółowych, które o nim znajdujemy w Piśmie Świętém, mimo najświeższych badań i prac około przedmiotu tak wielkiéj wagi, trudno nam uczynić sobie dokładny obraz tego budowania, co był cudem dla współczesnych, a promienił najwyższém bogactwem.

Same już przygotowania do téj budowli były ogromne. Salomon posyła do króla Tyrskiego, aby mu pozwolił drzewa z lasów cedrowych Libanu; poczém Salomon wybiera „robotniki ze wszystkiego Izraela, a było wybranych trzydzieści tysięcy mężów, które słał do Libanu po dziesięciu tysięcy na każdy miesiąc na przemiany: i po miesiącu mieszkali na Libanie, a po dwa miesiące w domu swym. Miał téż król Salomon siedmdziesiąt tysięcy tych, którzy nosili ciężary, a ośmdziesiąt tysięcy tych, którzy rąbali na górze (na Libanie)“.

A oprócz tych robotników było „przedniejszych urzędników trzy tysiące trzysta“, którzy byli przełożeni nad ludem odprawującym robotę“. (Król. III, 5. i Kron. II, 2.)

Praca ta trwała lat siedm.

Widać z opisu, że kościół Salomona był zbudowany wedle wzoru pierwotnego przybytku, choć z przepychem a okazałością odpowiednią potędze ówczesnéj Żydów.

Dwa wielkie dziedzińce otaczały do koła kościół. Ściany ich składały się z trzech warstw ciosowych a jednéj belek cedrowych. Środkowy dziedziniec przeznaczony dla kapłanów, zewnętrzny dla ludu. Świątynia sama była prostokątem, a było jéj wzdłuż na łokci 60, a na 20 łokci wszerz, wznosiła się też na wzwyż na 30 łokci. Widzisz, że wielkość całego budynku jest arcyskromna, gdy ją zechcesz porównać z ogromem budowli starego Egiptu lub z tumami chrześciańskich ludów. Ten budynek był w środku w poprzek rozdzielony przepierzeniem (?) na dwie części, z których pierwsza stanowiła właściwy kościół (cella), a druga była świątnicą przenajświętszą, czyli Sanctissimum, w którém umieszczono arkę. Gdy zaś właściwy kościół (cella) miał długości 40 łokci, więc na świątnicę przenajświętszą przypadało 20 łokci; długość tedy kościoła była 40 łokci, szerokość 20, a wysokość jak się rzekło 30 łokci. Sanctissimum zaś wedle tego, co powiedziałem, 20 łokci wszerz i wzdłuż, a zarazem 20 łokci wysokości; było tedy doskonałym sześcianem. Lecz tutaj spotykamy wątpliwość główną, bo pytanie, jeżeli wysokość całéj świątyni dochodziła 30 łokci a Sanctissimum jedynie do 20 łokci, cóż się działo z 10 łokciami wysokości, które jeszcze zbywały? Może tam była świetlica na chowanie sprzętów świętych, może była otwarta od góry. To pytanie nierozwiązane dostatecznie. Ale jest jeszcze druga wątpliwość. Na wstępie do kościoła był przedsionek, którego było wzdłuż 10 łokci, ale wysokość jego niepewna, choć wiemy, że był nierównie wyższym niż świątynia sama. Do tylnéj ściany świątnicy i do dwóch jéj boków dłuższych przytykały budynki na trzy piętra, w których były komory, zapewne skarbce i schowania dla sprzętów i szat do nabożeństwa służących; te budynki, przylegające do ścian kościelnych, były jedynie na 10 łokci szerokie. Dach, jak się domyślają, był płaski, jak to bywa na całym Wschodzie.

Trudniéj nierównie wystawić sobie zewnętrzny kształt całego kościoła; wiadomo tylko, że jego ściany były pionowe a nie ukośne, jak to bywa w Egipcie, i że nie był otoczony kolumnami w koło. Pismo Święte wspomina, że na wstępie do przysionku stały dwie kolumny, z których jedna nazwana jest Boas, to jest moc Boża, a druga Jachin czyli utwierdzenie w wierze. Nie wiemy przecież, czyli te kolumny były rzeczywiście podporami, czyli stały wolno, mając tylko znaczenie symboliczne, cobym uważał za podobniejsze do prawdy; bo, o ile się zdaje, one dopiéro po wybudowaniu świątnicy

ulane były przez Chyrama z Tyru. Kolumny te były ze śpiżu ulane, trzon ich miał wysokości 13 łokci, krom tego głowica była bardzo potężna, bo na 5 łokci wysoka. Każda była ozdobiona w lilie, otoczona dwoma rzędami jabłek granatowych i ustrojona w siatki robotą dzianą i w sznury nakształt łańcuchów (Król. III. 7. 17 i następne, daléj 41 i następ. jeszcze Kroniki II. 3). Rzeczą jest wielce niepewną, jako rozumiéć mamy te sznury; niektórzy twierdzą, i zdaje się, że słusznie, że te sznury niby przyczepione były do głowic kolumn i otaczały w koło świątnicę (*).

Widzimy tedy dostatecznie, iż świątynia Salomona mniéj była dziełem sztuki architektonicznéj w ścisłém znaczeniu, jak raczéj, podobnie jak ów pierwszy przybytek, kosztowną ofiarą złożoną Bogu przez lud, który się błogosławieństwem Jego wzmógł i dźwignął z poniżenia w chwałę i potęgę. Że ten kościół nie był, ściśle mówiąc, dziełem sztuki, znać z tego, że osnowa najwłaściwsza dla prawdziwéj architektury, bo ciosy, mniéj były w poważaniu u żydów. Wszak mury składały się na przemiany z trzech warstw ciosów, z jednéj warstwy belek cedrowych, a opis wyraźnie wspomina, że nigdzie nie było widać kamieni (Król. III 6. 18).

Bogactwa i kosztowność budowy można sobie jedynie wytłómaczyć ze świetności panowania Salomona, który i wytknął był drogi handlowe żydom, dopiéro co pasterskim, i zgromił ludy obce, zmuszając je do płacenia haraczu. Zadumienie pełne podziwu uderzało zapewne przychodnia, gdy wstąpił po za progi téj świątnicy Bożéj. Gdzieś spojrzał, świeciło złoto całym blaskiem swojéj okazałości; bo cały strop, wszystkie ściany do koła, nawet podłoga, wyłożone były blachą złotą! Kędyś okiem potoczył: i z góry i z dołu i z boków, jakoby w zwierciadłach złocistych, odbijały się jasności gorejących szczerozłotych świeczników; a było ich 10, a każdy o siedmiu konarach, więc 70 płomieni rozświecały te bogactwa, okazałości pełne. W świątnicy stał ołtarz złocisty, i stół szczerozłoty na chleby pokładne. Ze świątnicy prowadziły do Sanctissimum drzwi z drzewa oliwnego, a na tym wchodzie pozawieszano kobierce drogie i złote łańcuchy, na znak nieprzystępności i świętości miejsca. Samemu nawet arcykapłanowi raz tylko do roku wolno było wstąpić w tę przenajświętszą świątnicę. W niéj stała arka przymierza, a było jéj wzdłuż $2\frac{1}{2}$ łokcia, a $1\frac{1}{2}$ wszerz i tyleż wzwyż, a była z drzewa akacyowego powleczonego złotem, a wieko zaś było ze szczerego złota; obok arki stały dwa Cherubiny (10 łok. wys.) o rozpiętych skrzydłach, które tak były wielkie, że gdy skrzydło każdego ze-

(*) P. Selvatico w Historyi estetyczno-krytycznéj sztuki 1852 T. I. str. 139 widzi w tych łańcuchach, obwodzących kościół w koło, zwyczaj, który zwykle zachowywany bywa u niektórych kościołów włoskich, niby łańcuchy jakie widzimy około naszego kościoła Maryackiego, i innych świątnic Krakowskich. — (?)

wnętrzne końcami dotykało bocznéj ściany, skrzydło drugie, to jest, wewnętrzne, schodziło się w środku nad arką ze skrzydłem wewnętrznem drugiego Cherubina.

Tak po siedmiu latach stanął ten dom Boży gotowy; budowano go z kamienia już wyrobionego, który przywożono, „a młota, ani siekiery, ani żadnego naczynia żelaznego nie słychać było w domu, gdy budowano“ (Król. III. 6. 7).

Wystarczy nam tedy ten ogólnie i z lekka narysowany obraz kościoła Salomona. Nie będę się też już rozwodził nad innem budowaniem króla tego, choć wyznaję, że opis pałacu, który sobie wystawił, dałby nam wyobrażenie bliższe o sztuce hebrajskiego ludu, gdyż jego architektura światowa, będąc wyrazem fantazyi wolnéj i swobodnéj, wyświeciłaby nam dokładnie artystyczny jéj kierunek. Ale podania o tym pałacu są tak niedostateczne, że z nich trudno zbudować sobie w myśli obraz wierny; z tego atoli, co o nim wiemy, zdaje się, że można upatrzyć w nim jakieś podobieństwo do perskiego budowania, choć kosztowność materyału i ozdób była przeważającym charakterem w tym pałacu Salomonowym.

Dopiéroco cztery wieki stały Salomońskie pomniki w blasku i przepychu, gdy od Babilonu zerwał się światobójca Nabuchodonozor i wziął miasto Jeruzalem, i króla oślepił, i okuł w łańcuchy, i zawiódł go do Babilonu; potém przyciągnął „Nabuzardan, hetman żołnierski, sługa króla babilońskiego, i spalił dom Pański, i dom królewski, i wszystkie domy w Jeruzalem, owe wszystkie budowania kosztowne popalił ogniem. Mury także jerozolimskie w około rozwaliło wszystko wojsko chaldejskie, które było z onym hetmanem żołnierskim“. (Król. IV. 25.) A dawniéj za pierwszym najazdem „wszystko Jeruzalem, i wszystkie książęta, i wszystek lud rycerski zaprowadzono do Babilonu; a teraz po spaleniu i rozwaleniu Jeruzalem, ostatek ludu, który był został w mieście i zbiegi, którzy zbiegli byli do króla babilońskiego, i inne pospólstwo przeniósł Nabuzardan hetman żołnierski“ (Król. l. c.). Bo Pan rzekł: „podam to miasto na spustoszenie i na świstanie; każdy idący mimo zdumieje się a świstać będzie nad wszystkiemi plagami jego! — Tak stłukę ten lud i to miasto, jako gdy kto tłucze naczynie garncarskie!“ (Jerem. XIX.)

Wiadomo, jak to po pół wieku babilońskiéj niewoli Cyrus dozwolił żydom powrotu do ojczyzny. Wtedy Zerubabel postawił nowy dom Boży w Jeruzalem (około 520 pr. J. Chr.), który zaiste, jak się zdaje, był wiernem naśladowaniem kościoła Salomonowego, lubo mniéj bogatym, z powodu mniejszéj już zamożności żydowskiego ludu. Aż dopiéro Heród, na 20 lat przed samą erą chrześciańską, dźwignął świątnicę pełną okazałości a majestatu, co już była przesławna na wszystkie ziemie w koło. Przecież sztuka rzymska a mianowicie grecka na ówczas już przejęła sobą świat, więc też ten kościół Heroda o tyle jedynie był przypomnieniem kościoła Salo-

mona, o ile służba Boża wymagała rozkładu części zastosowanego do siebie, ale styl i szczegóły, i duch cały artystyczny był greckim. Ta to jest świątnica, która się tak ściśle wiąże z dziejami Chrystusa Pana; jéj kolumny a stropy patrzały się na zbawienie świata, które się gotowało rodowi ludzkiemu w tych świętych przestrzeniach. Atoli te mury, uczczone obecnością Syna Bożego, nie dostały nawet stu lat, padły pod ciężkiem uderzeniem Rzymu; padło na zawsze Jeruzalem i nie podniosło się więcéj z grobu swojego. Dziś nawet niepewne miejsce, kędy niegdyś stał kościół, a potomki onych mieszkańców, jakby ich widma pośmiertne, błąkają się między nami, wśród świata obcego sobie, jako lud, co kona od wieków a umrzéć nie może.

Dziś w sąsiedztwie forum, wśród ciszy samotnéj i natury prawie wiejskiéj, dźwiga się budowanie, co okazałe, szlachetne, patrzy jakby z wysokości dziejów na sprawy ludzkie. Jest to brama tryumfalna Tytusa, pogromcy Jerozolimy, ona mu była postawiona po zgonie na oznakę ubóstwienia zwycięzcy. Dziś widać postać cesarza uniesioną przez orła ku niebu; gdy staniesz pod jéj łukiem, bogate płaskorzeźby roztaczają ci, niby pismem kamiennem, historyą łzawą, co spełniła wieszcze proroków słowa. Wśród ciszy sielskiéj, która cię w koło tu otacza, patrzysz na płaskorzeźby; widzisz mężów, niosących skrzynie i lichtarz siedmioramienny: są to sprzęty święte z kościoła jerozolimskiego, niesione na tryumfie Tytusa; one użyte były ako świecidła by dodać blasku hardéj uroczystości nieużytych zwycięzców. Gdy dziś tryumfalne bramy zwycięzców hardych stoją samotne, niby grobowe pomniki na cmentarzu przeszłości,—gdy i po ludzie zwyciężonym, zgruchotanym nie zostały nawet miejsca, kędy stawiał budowanie swoje; gdy wszystko, co materyą, runęło w rozsypaniu, — zostało przecież światu spuścizną słowo,—została światu na dziedzictwo ona księga święta, co jest świętym testamentem dla ludzkiego rodu. W niéj żyją głosy, które nie umilkną nigdy, w niéj żyją pieśni, które po wieki wieków budzić będą wtórujące im dźwięki w sercu człowieka; ta księga już jakby deszczem niebiańskim zrosiła serca wszech ludów różnéj mowy, różnego szczepu; a już nie znajdziesz kraju, ani wyspy na oceanach, ani pustkowia, ani wysokości śnieżnych, kędyby te księgi nie przemówiły słowem Bożém i pociechą niebiańską.

A godne też i przezacne szaty znalazły te pieśni w mowie hebrajskiéj. Jak puszcza pierwotna Bożą ręką zasiana, po któréj nie postały wrzawy ludzkiego żywota, po któréj nie prowadzą ścieżki, a wędrowiec wedle kory drzew a gwiazd kieruje kroki swoje, takim jest ten hebrajski język. Znawcy języków wschodnich, bystrością głęboką, czyniąc porównania między hebrajszczyzną a innemi pobratymczemi językami, nie mogą się nadziwić téj mocy a świeżości, téj dzielności męzkiéj mowy hebrajskiéj; w niéj żyje cała potęga i moc pierwotna ducha, niezwątlona, nieskalana. W tym języku słowa

żyją, ruszają się, tchną oddechem, w nich płynie krew ciepła, żywa. Tutaj słowa czasowe nawet są jakby uosobieniem, są upostaciowaniem, a przymiotniki rodzą się z powiązania wyrazów, więc i one są żywe, niby myślące, czujące jestestwa. Do téj mowy, co czystym zdrojem płynęła od świata początku, sięgali po słowa historycy i od Boga natchnione wieszcze! A te słowa wyrzeczone są obrazem; każde zdanie przybiera ciało i krew, i dycha i woła, raduje się lub żali. Tutaj każda myśl wciela się w przenośnie, w porównania; każdy wyraz już sam przez się wyjawia istotę rzeczy, maluje naturę jestestwa, o które chodzi. Wszak sam Pan, „gdy stworzył z ziemi wszelki zwierz polny, i wszelkie ptastwo niebieskie, tedy je przywiódł do Adama, aby obaczył, jakoby je nazwać miał“. (Mojżesz I. 2. 19.) A tak nazwy stworzeń powstały, gdy człowiek obaczył na żywe swoje oczy jestestwa przez Boga stworzone. I dla tego ta mowa jest malownicą przecudną, dla tego wyraz jéj każdy jest obrazem, dla tego słowo żyje, i jest przenośnią i uzmysłowieniem ogromnéj głębi i znaczenia. O przykłady nie trudno. „Dwa uczynione są od Boga światła wielkie: światło większe aby *rządziło* dzień, a światło mniejsze aby *rządziło* noc i gwiazdy“. (Moj. I. 1. 16.) „Wody *wywiodły* płaz i ryby. Krew Abla *woła* do Pana z ziemi! A ziemia *otworzyła usta* swoje, aby *przyjęła* krew brata z ręki brata!“

Ztąd ta mowa tak uderzająca i potężna; ona płacze i weseli się, chwytając za serce czytelnika, ona unosi z sobą myśl do Boga i przenika je trwogą, ona pieści duszę i straszy ją strachem.

A ten sam język, który zrazu jest niby tak uzmysławiający, obrazujący, przecie w późniejszych wiekach znów nagina się do wyrażenia myśli i pojęć rozumowych i głosi światu najwyższe prawdy.

Gdy wszech ludy w koło odstały od wiary w Boga jedynego, gdy świat w koło ociemniał a wszechnarody odpadły się od wiary przekazanéj ludzkiemu rodowi od chwili jego poczęcia, ta Boża wiara dochowała się w sercu, jako w przybytku, jedynego tylko izraelskiego ludu. Czyliż tedy dziwno, że on, wierząc w Boga, który duchem jest, sam utonął w głębi ducha swojego, i był w przymierzu z Panem, że stał się iście ludem wybranym? Gdy inne narody lgnęły do bogów materyi, co dowidzialne dla oczu cielesnych, lud żydowski sam jeden ze wszystkich widział Boga oczyma serca swojego, więc skupił się w sobie, a zebrawszy się w duchu swoim, oddziaływał całą potęgą na bałwochwalstwo, i bronił się zarazie, co się rakiem rozjadła w świecie, tocząc duszę zepsuciem.

I dla tego właśnie, póki lud żydowski stał wiernie przy wierze swojéj, póty téż fantazya jego, będąc trzymana w karbach, nie zbłąkała się ani w bałwochwalstwo, ani w światy czarodziejskie imaginacyi, ani w panteistyczność, jak to czyniły inne ludy, u których fantazya była tworzycielką religii. I dla tego téż, jak do téj ziemi i tych dziejów jéj nie możemy stosować miary, którą mierzymy inne ludy, tak téż te jéj pieśni już nie ulegają ani zwykłym sądom, ani

rozbiorom używanym przy rozpatrzeniu się w sztuce innych ludów. Z tego powodu zrozumiesz, jak już wyżéj rzekłem, dla czego w tém miejscu dopiéro mówimy o żydach i o ich pieśniach natchnionych tchem Bożym, i dla czego to nasze rozprawianie o nich, jest jakoby przysionkiem do świata chrześcijańskich ludów.

Z tych przyczyn tedy ograniczamy się li na wypowiedzeniu tych uczuć a wrażeń, jakie one czynią na duszy każdego człowieka, który został zdrowym na rozumie i zdrowym na sercu.

Chciéj baczyć, że gdy lud ten oczyma ducha swojego widział Boga i zebrał się we wnętrzu ogniska duszy swojéj, więc téż zrodziło się w nim uczucie liryczne niewypowiedzianéj głębi i odezwało się w nim jakby westchnieniem głębokiém. A jak on nie stwarzał sobie obrazów malowanych i rzeźb, tak téż i w pieśniach nie dokończał obrazów i przenośni rozpoczętych. Najczęściéj się dzieje, że obrazy dopiéro się rodzące już rozpływają się na inne a inne.

Tutaj zaiste dusza, gorejąc płomieniem świętym, który Bóg w niéj rozpalił, nie ma dość spokoju w sobie, by dokonała w zupełności rozpoczętych obrazów i przenośni! A zważ, że się to dzieje mimo języka tak plastycznego, którego same słowa już, jak rzekłem, są obrazem, a same zdania już są przenośnią malowniczą. Niechaj ci się atoli nie zdaje być sprzecznością ta liryczność uczuć z jednéj strony, a plastyczność języka z drugiéj strony. Bo rzekłbym, że gdy właśnie w tym języku każde słowo jest rozpoczęciem obrazu i przenośni, już tém samém każdy wyraz następny nie jest rozwojem obrazu rozpoczętego przez słowo poprzednie, ale sam staje się znów zarodem nowego obrazu. Niechciéj zarzucić, że znajdujemy to w księgach Hiobowych, to w Psalmach, obrazy natury najwyższéj doskonałości plastycznéj, będąc na wieki wzorem, jak malować naturę. Prawda, aleć ja téż w powyższéj charakterystyce kreśliłem tylko ogólne cechy tych pieśni świętych; a nadto zważ, że tam nawet, gdzie obrazy uderzają nas podziwieniem, najczęściéj one złożone są z wielu po sobie idących obrazów, a co więcéj, te malowania natury wszystkie bez wyjątku mają to właściwe sobie znamię, że w nich mniéj chodzi o naturę samą, jak raczéj o to, aby wystawić Majestat i Moc Bożą; te obrazy są złotym haftem na rąbku szaty Pana na Niebie. Jak cała natura nie ma znaczenia przez się i jest jedynie podnożem Bożego tronu, tak téż te opisy wspaniałe natury mają o tyle znaczenia, że są spotęgowaniem uczuć lirycznych, które wypływają pieśnią na chwałę a uwielbienie Pana!

Ta liryczność gorąca, serdeczna, wylewa się hymnem, odą, psalmem; te pieśni święte, niby kadzidło ofiarne, wznoszą się ku niebu, otaczając Boży tron. A tchną one tęsknotą nieskończoną, miłością gorącą; w téj tęsknocie rzewnéj a miłości gorącéj płacze serce za Panem; ale te pragnienia duszy, te upały serca, one dopiéro znajdą ukojenie swoje, gdy sam Pan, sam Zbawiciel świata, stanie się człowiekiem i zestąpi wśród ludzi.

Wśród jéj liryczności głębokiéj a tęsknoty nieskończonéj, opowiadanie Bożych łask, przez naród cały i pojedynczych ludzi doznanych, rosą pocieszenia uśmierza żary wewnętrzne i głębokie serca pragnienia. Jakoż te zdarzenia, w których lud żydowski miał jawne świadectwo łaski Bożéj zawsze i wszędzie mu obecnéj, opowiedziane są tchnieniem z góry idącém, więc też poruszają serce czytelnika w najcichszych głębiach i grają mu rzewnością w duszy jego.

Wspomnij np. na historyą Agary.

Abraham wstał bardzo rano i, wziąwszy chleb i łagiew wody, dał Agarze, i to włożywszy na jéj ramię, odprawił ją z dziecięciem.

Agar z dziecięciem błąka się sama jedna wśród pustyni. Ale nie stało wody w łagwi! Matka złożyła dziécię pod drzewem. I odeszła, siadła naprzeciw niego tak daleko, jako na strzelenie z łuku. Bo mówiła: nie będę się patrzała na umierające dziécię.

A tak siedząc naprzeciw niemu, podniosła głos i płakała!

I wysłuchał Bóg głos dziecięcy. I zawołał anioł Boży Agarę z nieba. I wołał: co czynisz Agar! Nie bój się, wysłuchał Bóg głos dziecięcia z miejsca, na którém ono jest! Wstań, podnieś syna i wzmocnij nim rękę twoją. Bo ja w naród wielki rozmnożę go. Wtedy Bóg roztworzył oczy jéj, że ujrzała źródło wody; i poszedłszy do niéj napełniła łagiew wodą i dała pić dziecięciu.

I był Bóg z tém dziecięciem. Ismael urosł i mieszkał na pustyni i stał się strzelcem (Mojż. ks. I, r. 21, w. 14).

Patrz, równie wyniosłym a pełnym prostoty jest opis następujący.

Jakób, w podróży do Mezopotamii, pewnego wieczora zaszedł w miejsce bezludne, opuszczone od świata. Słońce już zaszło. Tutaj Jakób chciał nocować. Wziąwszy jeden z kamieni, które leżały na tém miejscu, położył pod głowę swoją, i spał na témże miejscu. I śniło mu się, że widzi drabinę, stojącą na ziemi, a wierzch jéj dosięgał nieba, a anioły, Boże wysłanniki, wstępowały i zestępowały po niéj. A na jéj szczycie stał Bóg i rzekł: Jam jest Jehowa, ojca twojego Bóg!..... Oto ja jestem z tobą i strzedz cię będę, gdziekolwiek pójdziesz, i przywrócę cię do téj ziemi, i nieopuszczę ciebie, aż uczynię com rzekł!

A gdy się ocknął Jakób ze snu swojego, rzekł: Zaprawdę Pan jest na tém miejscu! — A jam nie wiedział! — i przeląkł się w duszy, i mówił: O jakże to miejsce straszne! Tu Boże mieszkanie! Tu brama niebiańska!

Świt pokazał się na niebie. Jakób wstał bardzo rano. I wziął kamień, który był podłożył pod głowę swoję i postawił go na pomnik i nalał oliwy na wierzch jego. I nazwał miejsce to Betel, Bożym domem. I uczynił ślub, mówiąc: Jeżeli będzie Bóg ze mną, a będzie mię strzegł na drodze, którą idę, i da mi chleb i szaty, jeżeli się wrócę w pokoju do ojca mojego, tedy Jehowa będzie mi za Bo-

ga! A ten kamień, który wystawiłem na znak, będzie Bożym domym!

Te lęki, które padały na Jakóba, to widzenie, które miał we śnie, należą do historyi młodości jego. A on urosłszy w męża, pasuje się z aniołem oną mocną walką, która cię przejmie dreszczem byleś w niej duchem utonął. (Mojż. I, r. 32, w. 25) (*).

Jeżeli dusza zabiegnie ci boleścią nieubłaganą, gdy na serce padnie powątpiewanie i smętek nocny, pełen rozpaczy, wtedy roztwórz księgi Hiobowe i naucz się, że świętokradzkiém zuchwalstwem są wszelkie twoje sądy o rządach Bożych; naucz się, że płoche i grzeszne będą twoje szperania, gdy z nieszczęścia doczesnego lub szczęścia doczesnego zechcesz odgadnąć winy albo zasługi człowieka przed Bogiem. Że taką naukę wyniesiesz w życie z ksiąg Hiobowych, toć jest zdanie uświęcone orzeczeniem ludzi wielkiéj powagi; toć jest prawda, którą potwierdzi własne serce twoje, byleś czytał te księgi ze skupieniem się w sobie! Księgi Hiobowe uczą byś stał wiernie przy Bogu i ufał całą głęboką ufnością w łaski Jego, a w końcu Bóg poda ci rękę i nie będziesz zawstydzony przed ludźmi w ufności twojéj w Panu, a w nadziejach położonych w nim. A gdy cię Bóg nawiedza, to ufa tobie, że się nie zachwiejesz w sobie. A któryż człowiek, który z narodów tak pewny przyszłości swojéj, by dufał, że na niego nie przyjdą dni Hiobowe, dni łez i poniżenia, że nie dozna, co nawiedzenie Pańskie!

Zrozumiesz, że tutaj jedynie w wielce skróconéj treści podać ci mogę dzieje Hiobowe; wszak one należą do najstarszych podań ludzkiego rodu.

Był mąż w ziemi Uz, imieniem Hiob, a ten mąż był doskonały i prosty, i bojący się Boga, a nie czyniący złego. I urodziło mu się siedm synów i trzy córki. A miał Hiob siedm tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów, i pięćset jarzm wołów, i innego dobytku bardzo wiele, tak, iż on mąż był najmożniejszy nad wszystkie ludzie na Wschód słońca.

I schadzali się synowie jego i sprawiali uczty i posyłali do siostr, aby biesiadowały z nimi. I tak z kolei odprawowali uczty, a gdy biesiady obeszły w koło, wtedy wyzwał ich do siebie Hiob, i wstawając rano czynił tyle ofiar, ilu było synów. Bo mówił Hiob u siebie: może zgrzeszyli czém synowie moi i nie błogosławili Bogu w sercach swoich! — Tak czynił Hiob po wszystkie dni...

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się, że przed Pana stanęli synowie Boży, a był też między nimi i szatan. I rzekł Pan do szatana: Zkąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Okrążyłem ziemię i schodziłem ją. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłżeś się słudze mojemu Hiobowi, że mu niemasz na ziemi po-

(*) Wykład systematyczny Filozofii T. I. § 149, str. 217 i nast.

dobnego? Mąż to doskonały i prosty i bojący się Boga i nieczyniący złego.

I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Azaliż się Hiob darmo Boga boi? Błogosławiłeś sprawom rąk jego, i dobytek jego rozrósł się po ziemi! Ale ściągnij tylko rękę twoją a dotknij wszystkiego, co ma, a obaczysz czyli w oczy złorzeczyć nie będzie!

Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojéj, tylko na niego samego nie ściągaj ręki twojéj! — I odszedł szatan od oblicza Pańskiego.

Stało się pewnego dnia, że przybieżał posłaniec do Hioba i powiedział, jako przypadli Sabejczycy i zabrali woły orzące i pasące się oślice, i pozabijali sługi mieczem, a uszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przyszedł drugi i rzekł: ogień Boży spadł z nieba, i uderzywszy na sługi i owce spalił je. Jeszcze ten mówił, gdy przyszedł inny i rzekł: Chaldejczycy, rozsadziwszy się na trzy hufce, wypadli na wielbłądy i zabrali je, i sługi pozabijali ostrzem miecza i uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przybieżał inny i rzekł: synowie twoi i córki twoje jedli i pili wino w domu brata swojego pierworodnego; a oto wiatr gwałtowny przypadł od onéj strony pustyni i uderzył na cztery węgły domu tak, że upadł na dzieci twoje i pomarły, a uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił!

Tedy wstał Hiob i rozdarł płaszcz swój i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. I rzekł: Nagim przyszedł na świat, nagi się wrócę. Pan dał, Pan odjął; jako się Panu podobało, tak się stało. Niechaj będzie imię Pańskie błogosławione.

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się pewnego dnia, że przed Panem stanęli synowie Boży, przyszedł też szatan między nich i stał przed oczyma jego. I rzekł Pan: Przypatrzyłżeś się Hiobowi słudze mojemu, że mu niemasz podobnego na ziemi; mąż to doskonały i bojący się Boga, a zachowujący niewinność swoją, choć trapiony bez przyczyny! I odrzekł szatan: Wszystko co ma, człowiek oddaje za duszę swoją, ale ściągnij tylko rękę twoją i dotknij się kości jego i ciała jego, a ujrzysz, czyli w oczy złorzeczyć nie będzie. Tedy rzekł Pan do szatana: Oto w ręce twojéj jest! Wszakże żywot jego zachowaj!

Wyszedłszy tedy szatan zaraził Hioba niemocą i raną od stopy nogi jego aż do wierzchu głowy jego.

Wtedy przyszła własna jego żona do niego i rzekła: Jeszcze trwasz w bogobojności twojéj! Błogosław Bogu i umrzyj!

I rzekł do niéj Hiob: Izali tylko dobre przyjmować będziemy od Boga, a złego przyjmować nie będziemy!

A miał Hiob trzech przyjaciół dawnych; ci, gdy usłyszeli to wszystko złe, które nań przypadło, przyszli każdy z miejsca swojego, przyszedł Elifas i Bildad i Sofar. Bo się byli zmówili, żeby pospołu przyszedłszy nawiedzili go i cieszyli. A podniósłszy zdaleka oczy

swoje, nie poznali go, i zakrzyknąwszy płakali, a rozdarłszy szaty swoje sypali proch na głowy swe ku niebu.

I siedzieli z nim na ziemi siedm dni i siedm nocy, a żaden do niego słowa nie mówił, bo widzieli, że się wzmagała gwałtownie boleść jego!

Wtedy Hiob otworzył usta swoje i złorzeczył dniowi i nocy urodzenia swojego. I mówił: Dzień on niech się obróci w ciemność, niech się o niego nie pyta Bóg z wysokości! Niech go zaćmią światłości i cień śmierci! Noc onę ciemny wicher niech zasiędzie! aby nie szła w liczbę dni rocznych i niechaj nie będzie policzona w miesiącach. Bodaj noc ona była samotna i aby w niéj nie było śpiewania! Bodaj się były zaćmiły gwiazdy mrokiem jéj, a czekając światła, aby się nie doczekała, ani oglądała zorzy porannéj! Czemuż nie umarłem przed urodzeniem, albo czemu urodziwszy się nie zginąłem! Czemuż mnie piastowano na kolanach, czemu byłem karmiony piersiami. Teraz bowiem odpoczywałbym i miałbym pokój!

Bo tam niebożnicy przestawają straszyć i tam odpoczywają spracowani siłą. Tamże więźniowie sobie wydychają, a nie słyszą głosu trapiącego ich. Mały i wielki tam sobie równi są, a niewolnik wolny od pana swojego. Czemu nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są utrapionego ducha, którzy czekają śmierci a nie przychodzi, choć jéj pilniéj szukają, niż skarbów ukrytych?

Wtedy Elifas gromi Hioba dla niecierpliwości jego, a powiada, że te utrapienia nań przyszły od Boga dla grzechów jego, bo Bóg niewinnego nie karze.

I tak mówił Elifas: Jeżeli będziemy mówili z tobą, czyliż ci nie będzie bolesno? Otóż ty wielu innych uczyłeś i wzmacniałeś ręce obce, gdy omdlewały, upadającego wspierały mowy twoje, a kolana zemdlone posilałeś; a teraz, gdy na ciebie przyszła plaga, ustałeś w mocy twojéj i strwożyłeś się! Czyli pobożność twoja nie była ufnością twoją? Gdzież teraz jest moc twoja? Słuchaj! doszło mnie słowo ciche i dosłyszało szepty jego ucho moje. — Było to w godzinie nowych widziadeł, gdy sen twardy ludzie zmorzy — zdjął mię strach i drżenie — i wszystkie kości moje strachem zdjęte były! Duch około mnie szedł, szedł tuż przed twarzą moją! a włosy stanęły na mojéj głowie! — I stanął! Stanął ktoś, a nie znałem twarzy jego. Kształt tylko jakiś był przed oczyma memi — oniemiałem — i słyszałem głos jako cichego powiewu: — Czyliż człowiek, porównany Bogu, będzie usprawiedliwion; czyli człowiek czyściejszy niżeli Bóg? —

Na to Hiob okazuje, że ciężéj cierpi niż zasłużył, uskarża się na przyjaciół ciężko, że go opuszczają. I rzekł Hiob: Daj Boże, aby grzechy moje, któremi na gniew zasłużyłem, i nędza, którą cierpię, były włożone na wagę, a nędza ukazałaby się cięższą niż morskie piaski. Ztąd dla boleści moich nie stawa mi słów.

Ale wy na łajanie słowa stroicie, a przewiewacie mowy utrapionego! Na sierotę targacie się i chcecie wywrócić przyjaciela waszego. Wszakoż coście zaczęli, dokonajcie; nadstawcie ucha i obaczcie, czyli mowa moja kłamstwem jest. Odpowiedźcie proszę bez swaru, a mówiąc, co jest sprawiedliwe, osądźcie. I nie znajdziecie w ustach moich nieprawości.

Daléj powiada Hiob czém żywot ludzki jest, mówiąc: Bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi, a jako dni najemcze są dni jego. On jako niewolnik pragnie cienia, a jako najemnik czeka końca pracy swojéj!

Potém Hiob woła do Boga, śmierci żądając, i mówi: Wspomnij, o Panie, że żywot mój powiewem jest. Jeżeli rzekę do siebie: pocieszy mnie nocne łoże moje i ulży mi się, gdy będę z sobą mówił na pościeli, tedy mnie straszysz przez sny, i widmami trwogą trząsasz! Sprzykrzyłem sobie żywot! Zaniechajże mnie, bo marnością są dni moje! Cóż jest człowiek, że go tak wielce ważysz, że go nawiedzasz na każdy zaranek? I że w każdéj chwili doświadczasz go?

Teraz Bildad Elifasowi wtóruje, gromiąc Hioba, i domawiając mu do żywego, rzecze: Takież, jak twoje, są drogi wszystkich, którzy zapominają Boga, i tak nadzieja obłudnika ginie. Podcięta bywa nadzieja jego, jako siatka pajęcza, i ufanie jego.

Tak tedy wzmaga się spór jątrzący duszę Hioba. Przyjaciele coraz groźniéj i twardziéj nastają nań, mówiąc, że on grzesznikiem wielkim jest, bo go Bóg tak srodze karze, że jego prawość dawna, sprawiedliwość była obłudą, a teraz zawstydzon jest w obliczu ludzi. A Sofar prawi, jako Hiob dwakroć większe karanie zasłużył. Tak każdy z nich, a każdy wedle własnego trybu a patrzenia swojego, przykrą a niesłuszną nauką jątrzy serce Hiobowe. Wtedy Hiob, nie będąc już siebie mocen, wywiaduje się od Boga przyczyny utrapienia swojego, woła: Jeślim bezbożny, biada mi! A choćbym też był sprawiedliwy nie podniosę głowy mojéj, będąc nasycony pohańbieniem! Czemu mnie na żywot wywiodłeś! Ach bym był umarł, żeby mnie było oko nie widziało!

A późniéj w chwili, porwany gorączką sporu i uniesienia, jakby zapominając siebie, woła: Przecież niepobożni żyją, starzeją się, wzmagają się w bogactwach, a oni weselą się przy odgłosie muzyki! — Lecz wrychle cofa zbyt śmiałe orzeczenie i z boleścią, pełną rozrzewnienia, przywodzi sobie na pamięć dawną błogość swoją. O bodajby mi się wróciły miesiące dawne! i dni one, w których jeszcze Bóg był mi opiekuńczym stróżem, gdy pochodnia jego świeciła jeszcze nad głową moją, a ja w jéj promieniach przechodziłem ciemności! gdy za dni młodości mojéj Bóg, siadając pod strzechą moją, był mi radą w żywocie moim! Wtedy Bóg był jeszcze przy mnie, a około mnie dziatki moje. Kędym stąpił ścieżki płynęły mlekiem, a ze skały płynęła oliwa strugami. Gdy wchodziłem bramą do miasta, na rynku rozpostarto dla mnie kobierce; widząc mnie młodzi

ukrywali się, a starcy powstawszy stali, a książęta ucichli. Bo każde ucho słuchające błogosławiło mnie, a każde oko widzące dawało o mnie świadectwo; bom ja wybawiał ubogiego wołającego ratunku, byłem pomocą sierocie, który nie miał pomocy; mnie błogosławił, kto już miał zaginąć, a serce wdowy napełniałem radośném śpiewaniem. Ja przyoblekłem się sprawiedliwością jako szatą, przyodziałem się prawem jako płaszczem i zawojem, byłem niewidomemu okiem, chromemu stopą, byłem ojcem ubogich, i ujmowałem się nawet za prawem nieznajomych mi..... A teraz synowie tych, których niegdyś z pośród ludzi wygoniono, za którymi wołano jako za złoczyńcami, brzydzą się mną i oddalają się odemnie; stałem się śpiewką ich!

W końcu przeciwnicy Hioba umilkli, przemożeni wywodami jego. Ale występuje jeszcze czwarty rzecznik, Elihu, co był młodzieńcem; on, widząc milczących, strofuje starce z niemądrości, że nie umieli Hioba przekonać; namawiając tedy do słuchania, pokazuje nieprawość Hiobową i długo się wielce rozwodzi, lubo jemu już nikt nie odpowiada.

Ale w tém wichry zagrzmiały, a Pan przemówił z wichrów. I przemówił Pan do Hioba. Któż to jest, co zaciemnia wyroki moje nieroztropnemi słowy! Gdzieżeś był, kiedym zakładał węgły światu? Któż uczynił rozmierzenie jego, gdy śpiewały wespół gwiazdy poranne, i radowali się wszyscy Boży synowie! Kto postawił bramę morzom, gdy się wyrwały na świat, jako rodzące się; kto morzu, jakby niemowlęciu zrodzonemu, dał obłoki za szatę jego, a ciemność z pieluchy jego! Czyliż ty skinąłeś na świtania i okazałeś, kędy mają wschodzić zorza? Czyliż ty widziałeś śmierci wrota? Wrota ciemne śmierci widziałeś ty? Powiedz, kędy droga do miejsca, w którém się rodzą światłości, lub w którém mieszkają nocne ciemności? Czyli umiesz powiązać z sobą gwiazdy niebiańskie, albo czyli możesz rozerwać związek gwiazd Oryonu, czyli powiedziesz gwiazdy południowe, czyli powiedziesz wóz niebiański z gwiazdami jego!

. . . . . Któż przygotował krukowi pokarm jego, gdy wołają dzieci jego do nieba, tuląc się; gdy nie mają pokarmu? Azali na twoje zawołanie wzbija się orzeł w górę i składa sobie na wysokich miejscach gniazdo swoje?

Tak Pan przywodzi na oczy i dalsze sprawy wszechmocnego majestatu swojego.

Wtedy Hiob korzy się Panu i wyznaje błąd swój. A Pan zwrócił się do Elifasa i dwóch przyjaciół jego, strofując ich, że nie mówili o Bogu z tą prawością jako Hiob sługa Boży. A Pan każe im czynić całopalenia ofierne dla oczyszczenia, i poleca, by prosili Hioba, aby się modlił za nich, bo jego oblicze przyjmuje Pan. A oni uczynili jako nakazał Pan, a Bóg przyjął oblicze Hiobowe. I gdy Hiob modlił się za przyjaciołmi swojemi, Bóg powrócił mu wszystko, co

dawniéj miał we dwójnasób, a Pan błogosławił późniejszym czasom Hiobowym więcéj niż początkom jego.

Potém Hiob żył długo i oglądał syny swoje i syny synów swoich, i umarł Hiob, będąc starym i dni sytym.

Te są dzieje Hiobowe. One należą do najdawniejszych pomników ludzkich dziejów, bo im pewnie 3,000 lat z górą. One przekazane światu, by ludzie wzięli je sobie do serca.

Widzisz w tém opowiadaniu onego wielkiego Bożego dramatu liryczność, wylewającą się z najskrytszych zdrojów ludzkiego ducha. A cóż dopiéro się dzieje w prawdziwéj pieśni lirycznéj.

Mojżesz po długich walkach a pasowaniu się wywiódł lud swój z egipskiego jęctwa, wszystkie tabory izraelskie już przeszły z dopuszczenia Bożego przez morze Czerwone, a zastępy egipskiéj pogoni już pochłonione są w topielach, pochłonione jeźdzcy i konie i wozy wojenne. Wtedy nad morzem stanął Mojżesz, wybawca swojego ludu, a uczucie dziękczynienia wzdęło mu serce i natchnęło piersi jego, i zaśpiewał! I wtórował mu chór mężów, i wtórował chór niewiast. I śpiewał Mojżesz, wybawca ludu swojego!

Ja śpiewam Chwałę Panu. Bo mocny jest Bóg! Bóg, co wtrącił w morze i konie i wozy wojenne! Mocą moją i Chwałą moją Pan, i stał mi zbawieniem Bóg. On jest Bogiem moim, i wielbić będę Boga, co jest ojca mojego Bogiem . . . . . (Mojż. ks. II, roz. 15.)

A jest druga jego pieśń przedśmiertna. Gdy po mozołach a długiém pracowaniu i trudzeniu ujrzał nakoniec tę Ziemię Obiecaną, otuloną w dali śrężogą, niby przejrzystą oponą. Wtedy wyszedł Mojrzesz i rzekł: Sto dwadzieścia lat jest mi dziś, a powiedział mi téż Pan: nie przejdziesz za Jordan, i ty zajdziesz między ojcami twojemi! A Mojżesz, przewidując odstępstwo żydów od wiary, napisał słowo drugiego zakonu, a gdy je napisał, kazał je włożyć do Arki Przymierza i rzekł do ludu: Ten zakon będzie tam przeciw tobie świadectwem. I mówił do ludu: Znam ja upór twój i kark twój twardy. Oto, póki ja jeszcze dziś z wami żyję, byliście upornymi, cóż dopiéro kiedy ja umrę! (Mojż. ks. V, r. 31, w. 27.) Wtedy w obec wszystkiego zgromadzonego ludu zaśpiewał pieśń: Słuchajcie niebiosa mowę moją; słuchaj słowa ust moich! Jako deszcze, niechaj płynie uczczenie moje, niechaj słowa te roszą jako wilży rosa, jako deszcz ziele młode, jako rosa wilży trawę wszystką. Bo wielbię imię Boże; oddajcie Panu cześć! Opoką jest Bóg, i bez chyby jest dzieło jego! I wszystkie drogi doskonałe są! Bo On jest bez błędu; Bóg sprawiedliwy i wierny jest . . . . .

i Salomona. Wszak czasy Sędziów, wyprzedzające panowanie królów, były pełne trudu twardego i pełne walki ze sąsiedzkiemi szczepami, a jak lud cały żydowski nabrał hartu, jak urosł w one bohaterskie postaci: Jeftego, Gedeona, Samsona, tak i mowa jego zmężniała w sile a mocy, godności pełnéj. W téj epoce męzkiéj rozwinął całe swoje głębie i wdzięki swoje właśnie wtedy, gdy i państwo stanęło w całym blasku swoim. Dodaj jeszcze, że muzyka, równorodna siostra pieśni, nastroiła je do melodyj a harmonij swoich. Dawniéj pieśń miała-li za miarę swoją instynkt serca; jéj rytmem były uczucia i natchnienie bezświadome siebie; gdy się atoli złączyła z muzyką, już te obrazy, pieśnią objęte płynęły na falach tonów, a tak pieśń sama winna się była stosować do tonów tych, a tak nabrać muzykalnego rytmu. To poślubienie muzyki z pieśnią było bardzo dawne. Wszak ów hymn Mojżesza nad morzem Czerwoném był śpiewany chórem przy odgłosie narzędzi muzycznych. Wiemy téż, że przerozmaite były narzędzia muzyczne, i że ich miało być 63 rodzajów; lecz choć wiemy, jak się nazywały, przecież trudno nam odgadnąć ich znaczenie i kształt. Wszak i wyobrażenia nasze o całéj muzyce hebrajskiéj są wielce niedostateczne. Jeśt atoli pewna, że lud, tak pierwotny jak żydzi, nie mógł miéć zapewne muzyki sztucznéj, że jego melodye były zaiste pełne prostoty. Mimo tego jednak wątpić nie można, że muzyka ta ogromną potęgą chwytała duszę; bo całe usposobienie żydów było wskroś liryczne, muzykalne. Samo podanie owo o Dawidzie, który śpiewem i muzyką urzekał obłąkanie Saula, i zaklinał ducha złego, który nim miotał, dowodzi i wykształcenia téj sztuki u tego ludu, i jéj mocy nad sercem jego. Jakoż Dawid, zostawszy królem, ustanowił cztery tysiące Lewitów, mających wtórować muzyką służbie Bożéj; wiemy również, że do tego celu za jego czasów byli osobni nauczycieli śpiewu i 284 śpiewaków. Zdaje się, że to usposobienie żydów do muzyki przetrwało wieki i wszystkie ich losy i koleje. Rozpatrz się w całym poczecie dzisiejszych wielkich muzyków, a obaczysz, że nieporównanie większa ich część jest starozakonnego pochodzenia, gdy tymczasem tak rzadko znajdziesz ich mistrzami w innych rodzajach sztuki.

Łatwo zrozumiéć, że liryczność dosięgła najwyższéj wysokości swojéj w psalmach Dawida. Arfa jego była mu za dni młodości jego pociechą i utuleniem w żalu, ona mu śpiewała ufnością w Bogu.

Gdy na niego przyszły strachy, gdy lęki płoszyły serce jego, wtedy pieśń i muzyka dodawała mocy, a dźwięki jéj uniosły z duszy ciemne grozy. A gdy znów zajaśniały dni pogody, gdy radości uczyniły z serca jego przybytek wesela, wtedy, niby Anioły Boże, ze strun harfy ulatują hymny uwielbienia, niosąc cześć Panu na wysokościach. Czyliż ci więcéj mam prawić o tych pieniach Dawidowych? Gdybym się i najwięcéj nad niemi rozwodził, to by słów brakło; boć one są najwyższą lirą, jaka kiedy pojawiła się między ludami. Żadna literatura Zachodu i Wschodu, żaden wiek ani sta-

rożytnéj ani nowożytnéj historyi, żadne stulecie nie ma takich pieśni, takich hymnów, jak są te psalmy Dawidowe. Któż ich nie zna! Komuż one nie są towarzyszem przez życie. Jakoż dzięki niechaj będą Janowi z Czarnolesia — bo on je uczynił własnemi pieśniami, on je uczynił talizmanem każdego domu naszego, każdéj naszéj rodziny. Matki czytają te psalmy jego nad śpiącém niemowlęciem, te psalmy czytają i nad konającym starcem, czytają je mali i wielcy, w nieszczęściu i w utrapieniu, w jasnych i ciemnych chwilach.

A z psalmami już nazawsze brzmieć będzie w duszy pieśń nad pieśniami Salomona i będą myśli przyświecać przypowieści jego.

Czyli ci wspomnieć o wieszczych głosach proroków! Wszak one są jakby wyrocznice, które Bóg umieścił w sercu, świecąc w niém światłem. Boże myśli, co ogarniają gwiazdy, ześlubiają przeszłość i przyszłość, rządzącą światami, co są wszechobecne, wszędzie rozlane, jako pulsa wszechistnienia i niewidoma jego krew a żywot, — te myśli Boże są także obecne i w sercu człowieka, bo są tchem Bożym, tchnionym na niego przy stworzeniu jego. A wedle czasu i wieku, narodu i człowieka, ten Boży dech, to przytłumiony, zaledwie błyśnie w sercu iskierką mdłą sumienia, tęsknego przeczucia lub sennym obrazem, to znów rozpłomieni się jasném światełkiem; lecz gdy człek Bożym jest wybrańcem, wtedy już w nim buchnie ogniem płomiennym i ogarnia całą duszę; cała dusza śmiertelnego człowieka zajmie się pożarem Bożym i gore ogniem proroczym za łaską a dopuszczeniem Bożém; — wtedy Pan sam przemawia przez usta śmiertelne.

Michał Anioł na stropie Syxtyńskiéj kaplicy roztoczył historyą zrodzeń świata; a u góry między ścianą a sklepieniem widzisz proroki, męże od Boga natchnione, co widzeniem duchowém, słuchem nie z tego świata poczętym, widzą i słyszą nadchodzące dzieje ludzkiego rodu! I przed nimi księgi przyszłości rozwarte, i obok nich stoją Aniołowie, wysłanniki Bożych dziejów, i szepcą i mówią. Obok proroków mistrz pokazał Sybille ludów pogańskich; niemi miota przeczucie; przeczucie nieznane, senne zapala im oczy, wstrząsa lękiem serce; bo do nich doleciał duch — duch, co wróży o przyszłém świata zbawieniu. I znów około okien kaplicznych widzisz świat cichy rodzinnego życia; tutaj jaśnieje świętość domowego obyczaju, uosobiona w postaciach przodków Panny Przenajświętszéj. Oni od pokolenia do pokolenia piastują w sobie wiarę, że z ich rodziny wyjdzie Matka-Dziewica, Matka Zbawiciela; więc czekają chwili onéj wielkiéj, gotują się do niéj. Te postaci, piękności pełne i wdzięku pełne, są jakby uobrazowaniem téj tęsknoty, tych żalów rzewnych, tych pragnień, co brzmiały w pieśniach świętych izraelskiego ludu, które żyły w sercu wszystkich dziejów jego. Więc z zebraniem serca czekają przodkowie Panny Przenajświętszéj spełnienia się Niebios łaski, czekają w świętości nieskalanego obyczaju i gotują się do onéj Wielkiéj Nocy, w któréj się spełnią proroctwa proroków. I spełniły się! Na ścianie wielkiego ołtarza Chrystus Pan Zbawiciel stanął

na sądzie, by sądzić żywych i umarłych. Nad nim Bóg Ojciec i Duch Święty, obok Niego Rodzica Jego Przenajświętsza; trąby Archaniołów zagrzmiały na sąd, ziemia się rozstąpiła groby jako kretowiska się poruszyły; ziemia pęka, umarli zmartwychstają, i piekło się rozwarło; szatany, złego potęgi, roztwarły na oścież państwo swoje. I niebo się rozerwało — tam pasowanie się potępieńców z szatanami, tu wniebowzięcie wybranych i niewypowiedziane wiekuiste wesele. Jest to Sąd ostateczny Michała Anioła w kaplicy Syxtyńskiéj.

IV. FANTAZYA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

List Dwudziesty Szósty.

Średnie wieki.

Wstęp. — Wielki ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza. — Widok wewnętrzny kościoła. — Ś-te Postaci na W. ołtarzu. — Wrażenia, których doświadcza widz. — Charakterystyka tego dzieła. — Porównanie téj sztuki z grecką rzeźbą. — Bliższe opisanie Stwoszowego dzieła. — Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele. — Dramatyczność. — Wpływ wiary Zbawiciela na mistrzów chrześcijańskich. — Nowy kształt świata. — Sztuka zmienia znaczenie swoje. — Romantyczna fantazya. — Porównanie powołania sztuki w Grecyi a ludów chrześcijańskich. — Zastosowanie téj prawdy do dzieła Stwosza. — Miłość niebiańska i legenda. — Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje. — Skrucha. — Dokończenie o dziele Stwosza. — Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świecie chrześcijańskim. — Rzeźba dla tych samych powodów, dla których jest sztuką odpowiednią światu klassycznemu, staje się sztuką mniéj właściwą dla ludów chrześcijańskich. — A natomiast pojawiają się inne sztuki, odpowiednie duchowi czasów chrześcijańskich. — Fantazya romantyczna.

Wierzaj, ten podeszły krakowski gród jest jakby galeryą zabytków sztuki staréj, zostawionych od dawno-zapadłych czasów spuścizną na artystyczny dorobek pokoleniom późnym. Wszak historya świata, przechodząc wędrówką po ziemi, nie mijała téż nigdy naszego mieściska; a co który wiek nowy pojawił się w ludzkich dziejach, znalazł téż gościnę od serca w tym podsiwiałym domu; więc téż każdy z nich, z kolei do wieczności się wyprawując, zostawił w nim jakąś pamiątkę swojego pobytu, a na znak wdzięczności za uczciwe przyjęcie obdarował upominkiem, by się téż miało czém pochwalić a ustroić miasto nasze. Ztąd ten Kraków stanie za obrazkową książkę, w któréj się doczytasz gadek starych o uczłowieczeniu się

człowieka, i o pracach jego wdzięcznych około umajenia doczesnego żywota.

Gdy ci spokojnie w piersiach, a cicho na dworze, na świecie, weź się przechadzać po tych ulicach, rynkach, kościołach, domach i szarych kątach naszych, a nie mało się nacieszysz, byleś miał oczy ku widzeniu, a troszkę uczucia, co to nie głuche, nie twarde na to wszystko, co ludzi obchodzi.

Ledwie się puścisz na taką wędrówkę estetyczną, a już cię zagadnie rzeźba mistrzowska, co na chwałę starych wieków wmurowana w ścianę kamienicy pradziadowéj. Rzeźbione święte figury, — to arcydzieła sztuki gotyckiéj; one oddychają pobożnością umarłych czasów i, jakby pacierzem na kamieniu wyrytym, modlą się za one wszystkie pokolenia, które pod ich stopami długim szeregiem przebiedowały życie tuteczne. Postaci rzeźbione kwitną młodością wiekuistą swoich uroków, a owe pokolenia o drgającém sercu, o krwi ciepłéj, żywéj, przeminęły jako sen. A znów nieco daléj zatrzyma cię na drodze kaplica kościelna, ubrana od ulicy, jakby na święto, w przecudny Zygmuntowski renesans. Ta zacna sztuka szesnastego stulecia, przebudzona z nocnych magicznych widziadeł wieków średnich, tak szlachetna i czysta, powitała świat uśmiechem wdzięków świeżych, a ufna w siły swoje a wiosenne czary, patrzała na swoją przyszłość, pełną nadziei tak bogatéj a przecież tak kłamliwéj, zawodnéj. Widząc te szlachetne linie, któremi tu biegną wyrabiane jéj ciosy, tę muzykę rysunku, te pełném uczuciem piękności wyrabiane liścianki, rosety, bisiórki, serce ci smętkiem zabiegnie na myśl, że chmury słotne, mroczne następnych stuleciów padły na ten cudnie piękny świat, i samowolnie nasunie ci się obraz dziewicy młodéj, — co wyrosła z marzeń sennych, zrodzonych ciemném serca przeczuciem, co ufna swoim wdziękom, narzeczona szczęściu, zaślubiona swojéj miłości, pełna nadziei, otwartém sercem, jasném okiem wita przyszłość uroczą, — bezświadoma chmurnych słot i nieszczęść, przyczajonych milczkiem na dalszéj drodze jéj żywota.

Indziéj znowu, gdzieś w zakąciu zapylonéj sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazya średnich stuleciów, owa wróżka czarnoksięzka, oplotła je zwojem gałęzi i liści misternych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiewające, drzewa, co rodzą, jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baje czarodziejskie, słyszane niegdyś w dziecięctwie od nianiek przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królewne zaklęte, lub smoki i karzełki, kur czarny i czarownice, i zbójców dwunastu; oto, że cię przywita znowu ta cała hołotka drwiąca, świecista, psotna, co ci była strachem i radością, kochaniem i trwogą w chłopięcych latach. Oj nie! — ta furta od dawna zamurowana, za nią dziś komtoar han-

dlowy! Nie roztworzą się więcéj te progi, nie wystąpi z nich ów czarnoksięzki wdzięczny świat, zamknięte też na zawsze one tęsknoty młodości twojéj i marzenia złote i sny dziecięctwa twojego. W pobliżu tych gotyckich ozdób misternych, w ustroniu, na jakichś ciemnych schodach, odziane wielokrotną powłoką wapna, stanęły, jakby na straży, dwie wysłannice z dalekiéj nadmorskiéj stolicy; one przechodniów witają cichym szeptem, ale witanie ich niedosłyszane, a mowa niezrozumiała, ona obca, cudza; są to dwie smętne i samotne kolumny bizantyńskie; one poważne, przysiadłe, wyrzynane w pierożki i o posępnéj głowicy. Znać, że w tym Krakowie, tuż obok siebie zeszła się fantazya gotycka Zachodu ze sztuką Wschodu; te kolumny, to graniczniki dwóch światów, dwóch cywilizacyj różnych a odrębnych od siebie.

Przejdź się kilka kroków, a zamizdrzy się znowu do ciebie brama kamieniczna epoki króla Sasa Drugiego, wykrygowana w rokoko, wyfiokowana niby dawna dworska galantka; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale uprzejma, zgrabna. Biedaczka ta brama! Ona marzy o czasach, kiedy była młodą, śni jéj się o świecie dowcipnym, gładkim, delikatnym, pełnym czci dla dam; więc jéj markotno i ckliwo w tém naszém stuleciu na pół zdziczałém, o mowie zgrubiałéj.

Widzisz, jak tam ze ściany kościoła Ś-éj Barbary na ulicy wyrósł cudnym kwiatem przypornik kamienny; rzekłbyś, że liście jego, miłości tchem rozwite, roztulają się wonią niebiańską i życiem nieskończoném. Jednak krzywdy żywiołów, gwałty wichrów, mroźnych zawiei, zamieci śnieżnéj, przeszły przez kwiat kamienny i odrywały po kawałku te jego liście cudne, rozsypując po ziemi okruchy; tak daremnie téż dusza nasza roztuliła się kwiatem miłości nieskończonéj i niebiańskiéj woni; bo gdy ten duszy kwiat zmrożą krzywdy światowe, gdy nań zawieją szarugi słotne życia, już po jednemu odpadają liście jego, odpadają miłości i nadzieje, wesela i tęsknoty, i rozsypują się po ziemi, idąc wiatrom na igrzysko!

Tak, kędy spojrzysz, kędy oczyma ducha się zwrócisz, odezwie się do ciebie jakaś niezabudka z czasów starych; chodzisz, jakby po muzeum sztuki, po tém mieście naszém. Chcesz-li atoli uradować się najwyższą radością i rozkoszować się arcymistrzowstwem średnich stuleciów, i obaczyć się oko w oko ze sztuką, którą romantyczną zowią, wstąp do naszego kościoła Panny Maryi i wpatrz się w arcydzieło, którém się świeci ołtarz wielki.

Jest dawna wieść, wieść, co wróżbą chodzi między ludźmi, jako umieranie człowieka podobne jest skonaniu kagańca. Płomyk przed skonem dygocze, drży, mruga; lecz zanim zgaśnie na zawsze raz jeszcze strzeli jasném światłem i rozwidni całe otoczenie swoje. Tak się dzieje z człowiekiem. Zanim skona, dygocze, drży serce z lęku, bo życie jest przecież „tak lubém nawyknieniem“ (Göthe), — lecz wśród ciemnego śmierci potopu, duch raz jeszcze strzeli wiekui-

stości płomieniem i rozwidni mu przeszłość i nieskończoność przyszłą. Co było w życiu potęgą mocy wielkiéj, staje się bajką w skonie, a prawdy bezdenne, niezgłębione stają się tak proste i łatwe jak uczucia pacholęce. — Doczesność i jéj troski i uciechy, jéj trwogi i radości, natura i jéj gwiazdy, góry i łąki i bory, i wszystkie ludzkie zabiegi rozpływają się niby dymek obłoczny, ulatują jakby sen poranny, a tajemnice wieczności i życia, zagadki okryte dla oczu doczesnych obłokiem, występują teraz na obecny widny jaw; rozdarta jest ich obłoczna opona, jak rozdartą była opona jerozolimskiego kościoła w chwili Bożego skonania. Jest-to wiekuistości jasnowidzenie.

Tak umiera człowiek, tak umiera epoka w dziejach ludzkich, tak skonała historya wieków średnich. Ona przed śmiercią zebrała siły gasnące, wzmogła je raz jeszcze w jasne promienie, w błyskawiczne światło, i zajaśniała nadchodzącym pokoleniom. Ona te ostatnie swoje promienie odziała w wielkie mistrze, a zajaśniała przyszłym pokoleniom dziełami tych robotników swoich. Jednym z tych mistrzów jest *Wit Stwosz* (*), a jedném z tych dzieł jest „*Zaśnięcie N. Panny*“ w naszym kościele krakowskim. — Zaśnięcie Przenajświętszéj Panny! Wszak w tém zaśnięciu promienie Boga-Rodzicy błysnęły na ziemi jasnością jéj skonu.

Wybierz sobie jednę z tych chwil, w których umilkną w duszy ziemskie głosy, w których słyszysz kluwanie się własnych uczuć w głębinach serca twojego, w których słyszysz uderzenie skrzydeł wzbijających się myśli twoich, wtedy, stanąwszy pod ołtarzem wielkim Maryackiéj świątnicy, daj posłuchanie duchowi. Godzina popołudniowa, — kościelne przestrzenie samotne, milczące powiewne tchy wieczności płyną przez budowanie świątyni, ty sam na sam z duchem pozostałeś. Polotne sklepień wiązania uniosły się ku niebu w wysokości zawrotne, splatając się w gwiazdy i w krzyże misterne, pod niemi mroczą się wiekami przyćmione obrazy; malowane ich postaci niby widne, niby we ćmie utopione, one jakby uczucia twoje na poły jasne i jawne, napoły ukryte dla ciebie, robią i pracują w tajnéj serca topieli. Na podniosłych gzémsach obiegają kościół ganki lekkie, nad niemi światłość promienista, pod niemi na dole mroczno, wieczorno — te ganki jakby ścieżka ziemskiego żywota między niebem a doczesnością ziemską zawieszona. Jeszcze niżéj, niżéj, na ubocznym chórze drzémią, jakby śmiercią, organy; one

(*) *Wit Stwosz* urodził się w Krakowie, niewiadomo pewno w którym roku; między 1438 a 1447. Połowę żywota swojego przebył w mieście rodzinném, następnie przesiedlił się do Norymbergi. Umarł 1533 roku. Zobacz co do jego życia i prac: *Rastawiecki*, w Bibliotece Warszawskiéj za Grudzień 1859 roku; *Lübke*, Geschichte der Plastik 1863, str. 546 i nast. *Łepkowski*, Sztuka. Zarys jéj dziejów. 1872, str. 370 i nast. Wiadomo, że ostatniemi czasy upamiętnił smutne dzieje Stwosza *Wincenty Rapacki* w pięknym dramacie, noszącym imię wielkiego rzeźbiarza. — St.

umarły, ich metal głuchy, drewno martwe, oniemiały jako bezczułe zwłoki duchowych harmonij; gdy jednak przyjdzie chwila oddania czci wiekuistemu Panu, bezczułe i martwe zwłoki ożyją, w nich wstąpi duch, a harmonie umarłe zmartwychwstaną, a pod akkordem tonów zadrga życiem metal i drewno.

Jako krystaliczne wody potoku rzucają się z przepaści skalnéj, grając różnobarwnym tęczy promieniem, — tak tu, przez wyniosłe ostrołukie okna a kolorowe szyby spada rzeka słonecznych światłości, mieniąc się barwami malowanych na szkle obrazów. I te przejrzyste malowania i one również uczciwém dziełem sztuki staréj, i pobożności dawnéj pracą ofierną. Na nich jaśnieją, jakby napowietrzne, promienne, niebiańskie widziadła, dzieje Boga-Rodzicy, i palą się w słońcu szafirów, szmaragdu przepychem, pożarem rubinów, a ta troistość barw jest jakby troistém wiary, nadziei i miłości godłem. Tak, światło słońca jest tu wyrazem jasności niebiańskich, co przeczyste, wiecznie jedne i te same mienią się barwami ludzkiéj istoty, gdy wpłyną w serce człowieka.

Rozlewa się powodzią po przestworzach kościelnych wielobarwna światłość słoneczna, i drga po potężnych filarach i po marmurowéj posadzce i zapala złocistym ogniem śpiże odgrodnych balasów u wielkiego ołtarza. I cicho w świątnicy i spokojnie. Jesteś sam na sam z duchem; powiewne wieczności tchy kroczą milcząc przez kościół; słyszysz tylko klujące się uczucia w piersiach twoich i słyszysz skrzydła wzbijających się twoich myśli. Te myśli, one, niby ptaki wędrowne, one, choć na ziemi zrodzone, ciągną w jesieni żywota w niebiańskie krainy, choć jéj nie widziały nigdy, ciągną w nieskończoności ojczyznę, — kędy nie ma zimy. Powiedz, kto ptaki wędrowne, kto myśli człowieka nauczył téj drogi?

Dumasz i myślisz, a z wdziękiem niewymownéj serdeczności patrzą na ciebie z ołtarza postaci, co się zrodziły w ciepłych piersiach Wita Stwosza. Mistrz stary je wystrugał ze suchego drewna, ale w to drzewo suche tchnął nieskończoności dech i w drzewo to wlał tętno wiary, bijące w sercach milionów. Więc to drzewo stało się drzewem żywota, co nie więdnieje nigdy, co wiecznie zielone, wiecznie młodą wiosną sieje nieśmiertelne kwiaty w serce ludzi. Te postaci, — to nawiedzenia Pańskie, a miłości i przebaczenia proroki. Są chwile w których serce pęka nieznaną, niewypowiedzianą tęsknotą, w tych chwilach burze i troski żywota nie przytłumią cichych płaczów w duszy; w takich chwilach, choć wśród ludzi, przecież na świecie i w piersiach głucho, pusto; zdaje się jakbyś chodził po popiołach spalonego rodzinnego miasta, jakbyś stał na pogorzelisku ojczystego domu, kędy gnają wiatry po zczerniałych, popękanych ścianach, słoty gzą się po pustkach; ledwie się dopatrzysz śladów dawnych izb, a mury, co niegdyś były ochroną i przybytkiem domowego życia, dziś sterczą jako straszydła wrogie i chwiejąc się radeby cię zagrzebać w gruzach. Kto w takich chwilach szuka dla

schorzałéj duszy ukojenia w Bogu, już mu nieme usta tych postaci cichą mową szepną z ołtarza anielskie powitanie: „pokój sercu temu!“ Znów w zbiedniałéj duszy jego, jakby po długiéj zimie, roztulą się pączkiem stokrotki Boże, dawno niewidziane goście, a serce jego znów ożyje żywotem, nadzieją w siebie i w świat!

Zważ, — iż gdy się opatrzysz sam z sobą i rozpoznasz się w duchu swoim, jakby w domu własnym, wtedy zrozumiesz, że trojaka potęga płynie z tych postaci do duszy twojéj. Bo najprzód jakiś daleki głos brzmi głębokim, rzewnym akkordem; na jego wolanie modli się serce w ciszy uroczystéj; są to uczucia religijne, wiekuistości wróżby. I znów słyszysz, jakby westchnienie puszczy, gdy zimny oddech północy przelatuje, jak chuch, przez starowiecznych dębów szczyty; to jest przeszłości westchnienie a chuch tych pokoleń, co tu z kolei modlić się przychodziły, co w téj tu posadzce przed tym ołtarzem wypłakały stuleciami żywot swój; dziś ich groby nieznane, zapomniane, dawno już trawą i knieją porosły. — Znów cię porusza trzeci głos: jest to przemówienie anioła wdzięków nadziemskich a przecież widomych, jest to dech anioła sztuki chrześciańskiéj; on niebiańskim wysłannikiem, co opuścił wiekuistą ojczyznę swoją, wzywając uczucie piękności, drzémiące w sercu człowieka, na sprzymierzeńca wiekuistych, religijnych prawd.

Ztąd też chciéj nurkiem zapuścić się w siebie i chciéj ściśle, o ile możesz, rozróżnić w sobie te trojakie uczucia i sam siebie zapytać, ile w tych akkordach brzmiącéj w tobie muzyki jest brzmieniem uczucia piękności, przebudzonego dziełem starego mistrza; pytaj o ile sama sztuka jego poruszyła ducha twojego.

Orszak tych świętych postaci na ołtarzu otoczył gronem Boga-Rodzicę. Ona, ukoronowana koroną nieba i ziemi, zasypia skonem, który jest nieskończonym żywotem, nieskończoną chwałą. Ona i matką i dziewicą, „różą i lilią niebiańską“. Jakoż i ziemia nie zna wyższéj miłości nad matki miłość, nie zna wyższéj czystości, nad niewinność dziewicy. I dla tego nam tutaj tak błogo, tak rzewno i ufno w sercu.

Patrząc na te męże święte, cześć, uwielbienie niewypowiedziane, urzeczenie innego świata ima duszę twoją; — a przecież, mimo hołdu i czci, mimo uwielbienia, nie zna tu serce lęku, — ta świętość nie jest poniżeniem dla ciebie; jest to majestat bez dumy, jest to wielkość duchowa a tak pełna słodyczy, — jest to świętość, a przecież tak poufna, potulna; na tych twarzach tyle dobroci słodkiéj, tyle serdeczności rzewnéj; z nich tchnie powiew niebiański, a przecież w nich nie ma zgrozy i grozy! Słowem, im więcéj oczyma, sercem zapadniesz w tych postaciach, tém silniéj jakieś wspomnienia lube echem dolatują z dawnych lat; rzewność dziwna rozbiera duszę, a odmładzają się radości, niegdyś uczuć twoich piastuny, i znów ci zaśpiewają w duszy piosenki tak miłe, tak wdzięczne! — Toniesz w przeszłości, i przebierasz w obrazach pamięci, i dumasz i myślisz,

aż, jakby serca błyskawicą, rozwiązują się zagadki uczuć twoich. Te echa, te pieśni, te wonie a radości dawne, toć wspomnienia drogie zmarłéj matki twojéj, co liczyła tchy duszy twojéj, co promieniem serca swojego tonęła w piersiach twoich, co cię strzegła miłością dniem i nocą, i w pobliżu i w dali, a ta miłość jéj była proroctwem i jasnowidzeniem nieznającém co oddalenie w przestrzeni, co oddalenie w czasie; życie jéj syna było dla niéj obecnością nieprzemijającą nigdy. Więc téż otoczyłeś jéj postać czcią i uwielbieniem, uwieńczyłeś jéj oblicze aureolą jasną twojéj miłości i czci. Otóż widzisz, czém jest dla ciebie téj matki twojéj pośmiertne oblicze, świętą jasnością oblane, tém są te postaci co na ciebie patrzą z ołtarza. Czujesz, że dla nich nie masz w sercu tajemnicy, radbyś pożalić się im z tego, co cię i trapi i boli, wyspowiadać się nawet z winy jeślić jaka na duszy ciąży, pewien, że znajdziesz pociechę i ochłodę, radę i utwierdzenie na téj drodze żywota twojego przez świat; a choć czujesz płynący od tych postaci wieczności powiew, nie znasz jednak co lęk, co groza, znasz tylko miłość i cześć.

Rzekłem dopiéro, że z troistego wrażenia, które w serce nasze płynie, winniśmy z naszego stanowiska uwzględnić wyłącznie pierwiastek estetyczny, nie tykając mianowicie strony religijnych uczuć brzmiących w sercu naszém. Weźmy tedy pod sąd osobny pracę artystyczną naszego mistrza i uważmy, jak się pod tym względem wywiązał ze swojego zadania. Najprzód patrzmy się z wierzchu na dzieło jego i zdajmy sobie sprawę z faktów zewnętrznych, które mamy przed sobą.

Otóż zaraz uderza nas osobniczość, indywidualność tych twarzy; każda z tych figur ma fizyognomię tak osobną, tak sobie właściwą, tak do niéj wyłącznie należącą, iż znać wyraźnie, że widzisz wizerunki osób niegdyś żywych, które chodziły doprawdy po téj ziemi. To piętno indywidualne, tak dobitnie się wyjawia w tych obliczach, iż od razu, za pierwszym rzutem oka rozpoznasz te same głowy, gdy je znachodzisz po raz drugi wśród grupp wyrzeźbionych na drzwiach wielkiego ołtarza. Te oblicza wszystkie zaiste w niczém nie są podobne do tych rysów zatartych, spłókanych, do tych twarzy powszednich, które tak często spotkasz w życiu zwyczajném; to iście głowy wysokiéj szlachetności. Na czole jaśnieje myśli potęga, wejrzenie głębokie a przecież otwarte, uśmiech pełen wdzięku rozlany na ustach, a zacność i wyższość duchowa rozpłynęła po całém obliczu. A przecież te twarze, tak rzewne a serdeczne, nie są greckich mistrzów nadziemskim ideałem; one nie są ową pięknością klassycznego świata, zrodzoną w nadgwiazdnéj ojczyźnie uroków nieskończonych; to nie są z wysokiego Olimpu przychodnie! — Wskrześ sobie w pamięci kształty greckich bogów, odziane marmurową bielą, i porównaj je z wyrazem téj naszéj rzeźby chrześcijańskiéj, a obaczysz jakto te bogi greckie wystąpią z całą wyrazistością swojéj cechy; ich natura tém porównaniem dopiéro stanie się zupełnie dla

nas jasną i zrozumiałą. Te greckie posągi bogów, one tak obce, tak cudze sercu twojemu, bo one tak chłodne i harde i dumne pięknością swoją! — Te bogi wprawdzie zstępują niekiedy na ziemskie doliny, one niby kochają, czują i cierpią jako człowiek; ale te kochania ich i cierpienia nie sięgają głębi ich istoty, dotykają tylko wierzchu jéj i przechodzą lekkim powiewem, nie poruszając falą wiekuistego ich żywota. Te postaci greckich bogów nie straciły nigdy błogiéj ciszy, głębokiego pokoju; ztąd też one tak dumne w milczącym majestacie swoim. Mieszkańcy Olimpu z nadobłocznych wysokości patrzą się, jako z bezpiecznéj złocistéj stolicy, na mocowanie się i łamanie bolesne biednego ludzkiego rodu. Zrozumiesz tedy, że ta piękność ich nadludzka trzyma w nieśmiałém oddaleniu znękane ziemi mieszkańce i strapione doczesności syny. „Te bogi skamieniałe, te ich nieme, nieruchome posągi milczą, nie udzielą nam rady; w ich zimnych twardych marmurach nie zatętni krew ciepła, ani serce nie zapuka; one nie zestąpią z podnóżów swoich, — nie zawitają w rzeczywistość naszą, — i z nami i nad nami nie zapłaczą, i nie zasiądą z nami do uczty życia i wesela“ (*).

Oblicza tych bogów — to nie są wizerunki, wzięte z koła rzeczywistości tutecznéj, one więc też nie mają na sobie indywidualności piętna; ich piękność nie jest z tego świata, ona jest abstrakcyą piękności, bo oderwaniem się od ziemskiéj niziny, od ziemskich krzywd, i ztąd też te wszystkie ideały greckie, ogólnie mówiąc, są do siebie podobne. Wszak żywot ich na wysokim Olimpie płynie im wszystkim jednako, płynie bez burzy w nieskończonym pokoju, więc też nie wycisnął na nich tak silnie cechy osobniczéj, żywéj i wyłącznéj.

Odwrotnie w tych figurach Stwosza znać, że burze cierpień, głębokich boleści do dna roztworzyły te piersi ich, zostawując ledwie ukojone blizny na sercu; widać, że w ich duszy również kwitnęły tęsknoty i smętki, a roztulały się radości i wesela ziemskie, prawdziwie ludzkie, że pragnienia i chęci świata, przyczajone na dnie ich istoty, zrywały się nadzieją i ochotą światową, a anioły niebiańskie, przebywające w ich sercu, zwijały niekiedy skrzydła swoje. Znać, że te postaci po naszemu walczyły i pasowały się ze światem i z sobą, że wiele przebolały w życiu. Może te figury są wizerunkiem braci a przyjaciół od serca naszego snycerza, może powierniki jego trosk i radości domowych, opiekuny a obrońce jego żony i dzieci, gdy się wybierał za robotą artystyczną do dalekiéj Norymbergi. Te twarze też z taką baczną miłością, a tak pilnie wyrobione, iż znać, że były jego sztuki ogniskiem. Zaiste, te głowy są arcydziełem; każda z nich jakby epopeją opowiada długie dzieje zacnego, świętobliwego żywota na ziemi.

Jeżeli zaś oblicza w dziele chrześcijańskiego mistrza nie zbliżają

(*) Wykład systematyczny Filozofii. T. I. § 124. przyp. str. 168.

się do najwyższych ideałów sztuki klassycznéj Greków, tém mniéj zbliżają się do owych ideałów nadziemskich inne części ciała, a mianowicie ręce i nogi. Lubo ani wątpić, że i one są wypadkiem pilnych studyów przyrody, toć one są przecież jawnym dowodem, że w téj średniowiekowéj sztuce sama tylko twarz była ogniskiem najtroskliwszéj baczności, reszta zaś ciała stała się jedynie czémś podrzędném a ubocznem. Dążność takowa znowu wbrew przeciwna jest fantazyi Hellady, bo tam właśnie natura jest w prawie swojém, zatém właśnie tam ciało w nagości swojéj jest cudem nad cudy uroków idealnych. Ztąd téż tam i draperya ma inne znaczenie. Szaty greckich posągów są istnym poematem, płynącym na wdzięcznych falach lutni; draperya tam nie jest ukryciem ciała, ale raczéj objawem ruchów i mimiki, téj niemiéj, tak czarodziejskiéj muzyki jego. Ta draperya u Greków jest przeto raczéj środkiem uwidomienia ciała, które przez te szaty świeci promieniem, jakby kagańca płomień zapalony w przezroczu lampy strojnéj. Zupełnie inaczéj się dzieje u Wita Stwosza; tutaj szaty są istném zakryciem cielesności, a one choć wspaniałe, poważne, choć fałdy miękkie, są jednak sztywne, niby sztuczne; rzekłbyś, że tu ciężkie a przemokłe sukno łamie się w różne tryby; one nie są idealizowane, więc nie dziw, że puściwszy oczy po téj grupie, one od draperyi, od rąk i nóg ciągle nawracają do twarzy; wabi je ku sobie tajemniczém oczynieniem jakiś urok niesłychany, jakieś przeczucie nieodgadnionéj jeszcze głębi (*).

Zaprawdę, cudny to być musiał widok, gdy cała ta kompozycya figur, nagle odsłoniona ludowi, zagrała po raz pierwszy koncertem kształtów, barw i złota! Bo wiedzmy o tém, że te postaci rzeźbione są jeszcze z najwyższą starannością malowane i złocone; i to jest dla nas nową charakterystyką téj sztuki dawnéj. Nie mów, że polichromii używali i greccy rzeźbiarze. Wszak wiadomo, że w Helladzie owa polichromia, owo powlekanie posągów barwą nie było nigdy istném malowaniem, lecz miało raczéj ten cel, aby rozmaitością zlekka rzuconéj farby oznaczyć silniéj różne części posągu, aby tym sposobem ulżyć fantazyi widza, która tak z cicha potrącona mogła tém łatwiéj uzupełnić sobie cały obraz idealny mistrza. Grekom, malującym niekiedy rzeźby swoje, wcale nie chodziło o zbliżenie się do natury, co już poznać można ze saméj wielkiéj liczby arcydzieł śpiżowych, które nam się po nich w dziedzictwie dostały; a nie zadawali sobie téż oni żadnéj pracy, aby malując śpiż farbą naśladо-

(*) Co tutaj mówimy o tém arcydziele Stwosza, stosuje się téż prawie do całego snycerstwa i malarstwa średniowiekowego w północnéj Europie; obaczymy w późniejszym liście, że sztuka we Włoszech znów osobnym a sobie właściwym trybem wyraża ducha tych stuleciów średnich. Sztuka we Włoszech, mając ciągle przed oczyma dzieła starożytnego świata, ciągle obwiana była tchem klassyczności. Inaczéj zupełnie dzieje się w Europie północnéj.

wali ściśle naturę. Bo Grecy albo nie tykali wcale metalu, powierzając go téj prześlicznéj barwie rodzimėj i jemu właściwéj, albo też jęli się takich środków, które właśnie są dowodem, że dbali jedynie, jakem rzekł, o lekkie potrącenie fantazyi, a bynajmniéj o ściślejsze udawanie przyrody; tak np. mając ulać Jokastę a chcąc przypomnieć jéj cierpienia, przymieszali do śpiżu srebra, by ją uczynić bladą. Wszak pokazują ci w Neapolu one aktorki tragiczne z Herkulanum, porywające nas ponurym majestatem; one stanęły jakby do chóru Sofoklesa, głosząc śpiżowemi usty wyroki niezłomne światu. Te figury ciemne mają wprawione szklanne oczy, a rąbki u tuniki pozłacane i na tém poprzestał ich twórca starożytny. Zważ jeszcze,— iż te marmury greckie tak są szlachetne, tak przeczystéj bieli, iż powlekanie ich farbą byłoby istném barbarzyństwem, niewłaściwém owemu ludowi z tą wysoką czujnością i czułością artystyczną. Inaczéj się dzieje z naszą gruppą krakowską; figury jéj są z drewna, wymagają więc koniecznie barw; malowano je téż ze wszystkiemi szczegółami choćby najdrobniejszemi, pragnąc niby jak najwierniéj kopiować naturę. Ten naturalizm najsilniéj się odbija na twarzach, włosach; boć i pędzel, jak widać, miał za cel indywidualność i oddanie wizerunków osób żywych, rzeczywistych, które były modłą dla artysty. Jeżeli w posągach greckich oko jest najczęściéj bez źrenicy, tutaj przeciwnie ono jest żywym wróżbitą duszy, przebywającéj we wnętrzu cielesném. Błyszczą przeto barwy czerwone, zielone, błękitne i fiolety, a wśród nich obszerne przestrzenie pozłoty. Téj to pozłocie świecistéj i szkleniu się barwy zawdzięczamy przedewszystkiém, że te rzeźby, choć kolorowane, w niczém nie są podobne do trupich a tak wstrętnych figur woskowych. Inne ważniejsze tego powody wypłyną nam jeszcze późniéj. Zwracam tylko uwagę, jak tutaj malarstwo w téj rzeźbie o przewadze swojéj znać daje.

Malarstwo atoli wplata się do téj rzeźby jeszcze pod innym a głębszym względem; ta gruppa postaci ma bowiem jeszcze rzeźbione tło, słowem perspektywę, która jak wiesz, jest cechą malowania właściwego, nie zaś skulptury. Tę perspektywę silniéj jeszcze widać na płaskorzeźbach, strojących drzwi ołtarza i stalle.

Stalle w kilkunastu wystruganych obrazach roztoczyły historyą Najświętszéj Panny, a choć są niższéj wartości, i, jak się zdaje, dokonane przez innego, późniejszego mistrza, dziwnie wyjawiają ducha średniowiekowéj fantazyi. Tutaj wglądasz w izby głębokie, w ulice miejskie, w świątnice, w domaszne ciche komnaty; widzisz powyrzynane wschody, to wyrzeźbione sprzęty domowe, porozstawiane perspektywicznie po izbie; spostrzegasz okna na poły zamknięte lub otwarte, daléj naczynia, dzbany, stoły, krzesła, i te wszystkie lube towarzysze zacisza domowego, co choć martwe i bez czucia stają się przez długie lata przyjaciołmi naszemi. Tak np. widzisz i obraz rzeźbiony: *Zwiastowanie*. Panna Marya modli się w komnacie na klęczniku poduszką pokrytym, przed nią książka, w oddaleniu

dwa okienka, udany strop, posadzka, i t. d., przez drzwi otwarte anioł wstępuje do izby; Boga-Rodzica zwraca ku niemu oblicze. Za nią stołek gotycki, na stołku kotka stulona w sobie, jakby przestraszona widziadłem, i t. d.

Zważ, że wyobrażenia zwierząt domowych często bardzo się powtarzają w dziełach sztuki średnich wieków; wszak np. na drzwiach samego ołtarza widzisz powtarzane jeszcze dwa razy kształty zwierzęce; naprzód na oddziale wystawującym narodzenie Zbawiciela. Najświętsza Panna klęczy modląc się, przed nią w koszyczku dzieciątko święte. A przy niém rozłożył się na ziemi wół potulny i cichy. Ale co więcéj, w oddziale następnym widać trzech królów, oddających pokłon nowo-narodzonemu Panu; jeden z nich podniósł wysoko nad głową czapkę, jako na znak hołdu; za nim stoi jego konik siwy, co sobie spokojnie trawkę skubie. Nie tylko atoli same wizerunki zwierząt są zaiste charakterystyką sztuki w téj epoce, ale nawet błędny ich rysunek ma tutaj również znaczenie swoje.

Krom tego, uderza nas bogactwo architektonicznych ozdób wplatające się w tę rzeźbę. Wszak od stropu, nad grupą główną, spuszczają się głęboko łuki, przystroje w kwiaty gotyckie, a tak tworzą jakby podniebek przezroczysty, grubo pozłacany. Wszak i przedziały na drzwiach ołtarza odosobniły się między sobą strojną architektoniczną przegrodą. Ta architektura silniéj jeszcze splata się z górnym oddziałem wielkiego ołtarza, ustawionym wprost nad tą ową celną grupą jego. Ta przewaga architektury na tém wyższém piętrze tłómaczy się i samą naturą przedmiotu. Jakoż gdy w głównéj części ołtarza „Zaśnięcie Panny Maryi“ jest jakby dramatem świętym, odbywającym się jeszcze na ziemi, przeciwnie u góry Najświętsza Panna, już do nieba wzięta, jako królowa świata stanęła w jasności swojéj chwały i światłości wiekuistéj; jest to liryczność, hymn, Hosanna, śpiewane przez ziemię i wszech duchy stworzone na uwielbienie i cześć Matki Boga. Gdy tutaj przeto już nie ma dramatyczności, ztąd postać Bożéj Rodzicy w swojéj aureoli podobnie jak i reszta figur są więcéj pomnikowe (monumentalne), są odosobnione, bo oddzielone od siebie architekturą własną. Każda z tych postaci staje pod misternym podniebkiem (baldachimem) strojnym, złocistym, będącym jakby osobną świątniczką, ale przezroczystą, przepromienioną niebios jasném światłem.

Mówiłem o dramatyczności figur tych. Zaiste, choć średnie wieki, jak obaczymy, nie mają właściwego dramatu, toć te na ołtarzu postaci splecione są z sobą, jakby dramatem, odnoszą się nawzajem do siebie, wiążąc się w jedną całość, w jeden zupełny obraz, jak to bywa na dziełach malowanych. Rzekłbyś, że pierwiastek wewnętrzny duchowy poślubił te wszystkie postaci z sobą. Tę dramatyczność znajdziesz nie tylko na ołtarzu, ale i na drzwiach jego, ale i na stallach.

Chciéj zważyć, że tego wzajemnego powiązania postaci nie znajdziesz w greckiéj sztuce, wyjąwszy na ich płaskorzeźbach, lubo i tu nawet splot figur nie jest jeszcze ściśle dokonanym. A posągi, zdobiące otoczyny (fronton) wystaw greckich świątnic, nie tak odnoszą się nawzajem do siebie, jak raczéj do faktu zewnętrznego, który wprawdzie obchodzi wszystkie te figury, ale przecież nie jest bynajmniéj potęgą duchową, zrodzoną w ich wnętrzu (np. w gruppie Eginitów, Niobidów i t. p. (*). Dla tego też prawie każda z tych figur greckich grupp ma zawsze niby cechę pomnika, jest jakby całością dla siebie; każda z tych postaci, dumna swoją pięknością nadziemską, opiera się sama na sobie Zważmy jeszcze, że taki zbiór postaci greckich, jak nie był ścisłą całością, tak też ma za główny swój cel przyozdobienie architektonicznéj przestrzeni, a tém samém jest zniewolony stosować się do miejsca, które właśnie zostało wolne — próżne. On nie istnieje dla siebie.

Przestańmy na tém lekkiém wyliczeniu tych kilku cech charakterystycznych; wiem, iżby można jeszcze wiele innych przytoczyć, lecz te, które tutaj przywiodłem, wystarczą zupełnie dla naszego celu. Wytłómaczmy sobie atoli teraz bliżéj tych cech znaczenie.

Wyznaj naprzód, że te wszystkie fakta, pochwytane na dorywku i przezemnie tu pośpiesznie nadmienione, byłyby głuchonieme, martwe, gdybyś wypuścił z pamięci, że w tę uczciwą pracę swoją snycerz stary „tchnął nieskończoności dech, że w postaci te wlał tętna wiary, bijące w sercu milionów“. To dzieło drewniane jest pacierzem gorącym, rzewnym całego stulecia; uczucia wrzące, kipiące rozsadzały piersi ludu, a mistrz, by ulżyć sercu, zamienił uczucia w dzieło sztuki swojéj. Obaczymy tedy jeszcze jaśniéj, że te postaci bynajmniéj nie są prostém natury kopiowaniem, jako nam się za pierwszym rzutem oka powyżéj zdawało. Te cechy były dopiéro uchwycone li zmysłami naszemi, duch nasz nie znachodził jeszcze ducha, przebywającego w tém dziele.

Anioł Zwiastun — wysłannik Pański, niosąc rodowi naszemu zbawienie, wstąpił do wnętrznego przybytku człowieka — roztworzyły się przed Zwiastunem niebiańskim bezdenne ludzkiego ducha głębie, a w tych ducha przepaściach drzémał drugi anioł; i przebudził go ze snu anioł-wysłannik, przebudził drzémiącego brata swojego, brata w światłości; a powitał w imieniu wiary i wiekuistego żywota. Przestrzenie duchowe, mroczne, nocne, za przebudzeniem się anioła, rozpromieniły się jasnością. Ludzki ród zadygotał w sobie dreszczem, jak dygoce puszcza ciemna, gdy się ocknie na powiew wschodzącego dnia; bo anioł, przebywający w duchu człowieka, zatęsknił do ojczyzny swojéj, i ludzki ród westchnął tą tęsknotą

(*) Dramatyczność rzeźby greckiéj wykazuje się dopiéro w późniejszych czasach, jako w Laokoonie, w gruppie wołu farnezyjskiego.

nieskończoną; a nieznana rzewność zapłakała mu w duszy, i zapłakała radością i lękiem; mrowie trwogi i miłości przeszło istotę jego; poczucie tajemnicze, dziwne wróżyło o gościu niebiańskim, co przemieszkuje w duchu stworzonym. Ztąd też myśl człowieka cofnęła promienie swoje ze zewnętrznego świata, zebrała się sama w sobie jako w ognisku siebie; a tak dokonany jest nawrót ogromny ku własnéj wewnętrznéj, nieskończonéj istocie. Człowiek, utonąwszy w sobie samym, w swojéj treści, wyzwolony jest od potęg doczesnych. Przemówiło wiekuistości słowo, a doczesność przemożona została; śpiewali aniołowie wyzwolenie ludzkiego rodu, i starta jest doczesności potęga, i śmierć jest starta; ona „sama umarła śmiercią“. Gdy tak w człowieku odezwało się poczucie głębin wiekuistości, roztwierających się w duszy jego, już wtedy świat cały rodzi się w jego wewnętrznéj istocie; ten świat jemu własny jest teraz ogniskiem, do którego on się odnosi, jako do najwyższéj bezwzględnéj, absolutnéj prawdy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały i są dla człowieka tylko jawidłem marném, ale co każdy w głębiach swoich przechowuje, to teraz jest prawdą. Ta treść atoli nie jest bynajmniéj już rozumowaniem rozwinięta, ale pojawia się dopiéro uczuciem.

Ludzkość jest teraz morzem punktów świecących, iskier wiekuistych; każdy człowiek jest taką iskrą, taką jednostką odrębną, co w siebie samego patrzy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały; teraz mało waży świat ustaw i praw zewnętrznych, nie waży świat zmysłowy, natura. Słowem — nic nie waży, nic nie ma znaczenia, co z zewnątrz przyszło, chyba o tyle, o ile głos wewnętrzny, własny osobiste dał temu zewnętrznemu zjawisku uświęcenie i świadectwo. Te światy zewnętrzne stają nawet tylko środkiem, aby człowiek na nich wyraził tę nieskończoność treści swojéj; lecz z drugiéj strony przepaść, którą się rozdziela ta nieskończoność żyjąca w indywidualności człowieka, w jego wnętrzu, od doczesnego świata, jest tak ogromna, że ta treść wiekuista nie zdoła nigdy już znaleźć wyrażenia w téj tuteczności przemijającéj.

Przecież, gdy duch cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznych, gdy sam w sobie pozostał, wtedy mu ckliwo, smętno w téj samotności; nieskończona tęsknota rozbiera mu serce, bo czuje sprzeczność w sobie. On umieszczony na ziemi, w dolinach doczesnych, a niebo ojczyzną jego. I znów — obłożony będąc ciałem, otoczony naturą zmysłową, przecież w sobie ma wiekuistości wróżby!

Ztąd sprzeczność pełna boleści. Walka i rozdwojenie jest jedną z głównych cech a piętnem romantycznéj fantazyi; jak to obaczymy jeszcze następnie wyraźniéj.

Gdy zaś świat zmysłowy już nie starczy duchowi, gdy nie zdoła być dostatniém ducha wyjawieniem, gdy treść nieskończona, bez granic, zamieszkała w nieśmiertelnéj istocie człowieka, już w rodzie ludzkim stanęła prawda przeczuciem, że sztuka, będąca właśnie

uwidomieniem, wcieleniem ducha, nie zdoła być zupełnym wyrazem jego, że piękność nie jest jeszcze prawdą najwyższą, szczytem szczytów dla najwyższych prawd. Piękność nie wyczerpuje teraz bynajmniéj wiekuistego pierwiastku, który mieszka w piersiach człowieka, a jest wzniesionym nad wszystko, co zmysłowe, co widome.

Teraz z jednéj strony prawda nieskończona żyje życiem wiary w człowieku, jest pewnością, już daną, już gotową, jest już dokonaną przed wszelkiém dziełem sztuki. Tak téż sztuka jest teraz jedynie wypływem pragnienia, które prze i robi w człowieku, aby tę prawdę, już istniejącą i gotową w duchu, wprowadzić w naturę, aby z natury uczynić dzieło sztuki, aby tę prawdę, o ile to być może, uwidomić w materyi, we formach doczesnych, w jestestwach materyalnych. Z drugiéj strony — istnieje natura bezduszna, z któréj duch wycofnął promienie swoje; jest tedy, jak rzekłem, rozstąpienie się zupełne między wiekuistością a doczesnym fizycznym światem. Zrazu to odstanie jest zupełne, ale zwolna, stopniowo pasuje się i mocuje ludzki ród, aby obie te strony niby zbliżyć do siebie, aby ciężkim trudem zdobyć cały zewnętrzny świat i uczynić go odpowiednim téj prawdzie, która odzywa się w duszy.

Powiesz tu jednak może, że każda fantazya artystyczna właśnie na tém zależy i tę ma istotę a przeznaczenie, aby uzmysłowiała wdzięcznemi formami zewnętrznemi treść duchową; jeżeli tedy u ludów chrześcijańskich treść duchowa tak przerosła wszelką formę zmysłową, że takowa już jéj nie wystarczy do uzmysłowienia się jéj, już tém samém ta fantazya traci cechę, czyniącą ją fantazyą artystyczną.

Oto — zarzut takowy jest mi iście na rękę, bo wyjaśni nam rzecz w zupełności. Uważ, że fantazya chrześcijańskiego świata ma właśnie to powołanie, aby w formach swoich wyraziła właśnie to górowanie ducha nad formami temi! Uważ daléj, że gdy w saméj téj treści duchowéj jest niby przeczucie o téj sprzeczności między nią (to jest tą treścią duchową) a formą zewnętrzną, zatém to przeczucie, ta wiedza o téj sprzeczności sama już należy do téj treści i stanowi jéj piętno, a tém samém fantazya chrześcijańska, wyrażając we formach zewnętrznych, w dziełach sztuki, tę sprzeczność, już wyraża i główną istotę téj treści duchowéj, wyraża główną jéj cechę. Widzisz tedy, że i ta fantazya romantyczna odpowiada warunkom każdéj prawdziwéj fantazyi. W liście późniejszym, dokładniéj jeszcze ten przedmiot rozbierając, wykażę zarazem, że już sama osnowa, która się nastręczy fantazyi romantycznéj, będzie właśnie środkiem wyświecenia téj sprzeczności powyżéj wspomnianéj, jako piętna, które jest jéj cechą charakterystyczną.

Z tego zaś wszystkiego, co się rzekło, znać, że jak z jednéj strony ta sprzeczność między prawdą wiekuistą a formami zewnętrznemi będzie się wyrażała już w tych formach stworzonych przez fantazyą romantyczną, tak z drugiéj strony historya silenia się ducha aby

nieskończoność treści swojéj wyjawił w tych formach, a zatém aby zniósł ową sprzeczność będzie stanowiła zarazem i historyą fantazyi u ludów chrześcijańskich.

Téj pracy a mocowaniu się towarzyszy przecież jakby na poły zrozumiana a tajemnicza wróżba, że ziszczenie się zupełne tego pragnienia jest niepodobne, że wyrażenie się prawd wiekuistych ma miejsce właśnie dopiéro po za granicą widomego świata, po za kończynami rzeczy materyalnych. Ztąd (jak ktoś z estetyków rzekł) „nieskończona tęsknota, jakiś żal słodki, miękki, uczuciowy, brzmi jakby tonem elegii w całéj sztuce średnich wieków i dolatuje odgłosem rzewnym aż do naszych czasów. Bo piękność pracuje i pasuje się nad zadaniem, którego nigdy w zupełności nie dokona; i ztąd jéj żal i tęsknota rzewna, ztąd w sztuce romantycznéj ta sentymentalność“ w najzacniejszém znaczeniu swojém. Podobne zjawisko rozpoczyna się i w innych sferach w sercach czysto ziemskich. W świecie chrześcijańskim człowiek daremnie się mozoli i biedzi, aby w rzeczywistość wprowadził ideały rozkwitłe w duchu jego.

Inaczéj się działo w sztuce klassycznéj, zwłaszcza u Greków. Tutaj nie było jeszcze prawdy danéj, gotowéj, łaską użyczonéj, a duch ludzki o tyle się dopiéro rozwinął z pączka, iż mógł jeszcze być w zupełności wyrażony w świecie zmysłowym. Człowiek wewnętrzny a zewnętrzny świat równoważyły się harmonią (obacz List XX i nast.). Duch Grecyi nie zerwał jeszcze z naturą. On tedy, jéj zaślubiony kochanek, w niéj siebie widział, cały siebie jéj oddał, nic dla siebie nie zostawując. Tutaj przeto cały duch Hellady świeci i goreje w tych posągach marmurowych, one są w nim, on jest w nich. Piękność była bóstwem Hellady, ich religia była religią piękności. Grecya nie miała prawd wiekuistych gotowych, danych; dla tego też duch jéj, uzmysławiając się w świecie przyrodzonym, stopniowo sam poznawał siebie, sam dopiéro dochodził do obaczenia siebie w dziele piękności; on ujrzał bogów swoich w formie idealnéj piękności, jako wyszły z rąk arcymistrzów swoich. Grecya, pracując około piękności dzieł, dopiéro się dorabiała wiedzy o nieskończoności ducha, a dosługiwała się téj wiedzy o tyle tylko, o ile ta nieskończoność może mieć wysłowienie swoje w dziele sztuki, o ile zdoła być poznana w formach doczesnych. A gdy Grecyi już nie starczyły te formy piękności zewnętrznéj, wtedy ona umarła.

Ten nawrót do siebie ludzkości chrześcijańskiéj nie był nigdy dokonany w świecie starożytnym w całéj prawdzie. Grecya, Rzym, jakeśmy widzieli, przy skonaniu swojém zerwały wprawdzie z rzeczywistością, człowiek i tu zebrał się w sobie samym; ale to zebranie było dopiéro jedynie skutkiem niezadowolnienia ze świata i uznania jego doczesności; było to stuleniem się ducha w sobie i niby ucieczką ze świata zewnętrznego, dumą zacną, uznaniem własnéj godności, rozpaczą nad światem, wobec rzeczywistości rakiem stoczonéj. U tych ludów starożytnych atoli takowe stulenie się

w sobie, ta ucieczka do własnego duchowego przybytku, nie były jeszcze wypływem rozstąpienia się na oścież głębin duchowych i przekonania o wiekuistości, tętniejącéj w sercu człowieka. Ta wiekuistość a Boża prawda, bijąca jasnym płomieniem w duszy naszéj, zrodziła się dopiéro z wiary Zbawiciela. Człowiek w świecie starożytnym, tonąc w sobie, znalazł w ognisku swojém dopiéro zasady ludzkie, uczucia osobiste, ziemskie, albo w najszczęśliwszym razie jakieś proroctwa, wyrocznie, jakieś Sybille na poły zrozumiane, przemawiające jeszcze do niego jakby mową sfinksową.

Skreśliliśmy sobie przeto, lubo zlekka, charakterystykę téj nowéj epoki świata i téj fantazyi romantycznéj. Wszystkie przez nas przywiedzione powyżéj cechy rozwiniemy sobie jeszcze bliżéj za kilkakrotnym nawrotem. Chciéj atoli zważyć, że te znamiona są właśnie tłem ogólném dla artystycznéj fantazyi wszystkich ludów chrześcijańskich i do dziś dnia podwaliną prawie powszechną ich sztuki, choć różne ludy te i różne czasy ich rozwoju odznaczają się znowu różnym odcieniem téj głównéj a wspólnéj im wszystkim barwy.

Obaczmy przeto dokładniéj jeszcze i w szczególności, jako wieki średnie stosują po swojemu ten ogólny charakter do dzieł sztuki swojéj. Ołtarz Wita Stwosza będzie w téj mierze wystarczającym dla nas wzorem i przykładem. Proszę atoli byś miał się na baczności i pamiętał, że z tego, com dopiéro powiedział, wypływa, że cechy, które w nim obaczymy a tém samém i wnioski, które z nich wyprowadzimy, będą koniecznie dwojakiego rodzaju; bo jedne wynikają wprost z tego ogólnego piętna fantazyi chrześcijańskich ludów, a drugie rodzą się znów z właściwéj istoty wieków średnich. Dalszy ciąg naszych rozpraw wystarczy zupełnie do rozróżnienia tych dwojakiego rodzaju cech.

Gdy człowiek uznał wiekuiste znaczenie swoje, gdy sam spuścił się nurkiem we własną istotę, podsłuchując pieśni przebudzonego w nim anioła światłości, wtedy téż, jakem rzekł wyżéj, wycofnął ducha swojego z natury. Ta natura i jéj wesela, tchnące ziemską radością, przygasły, obumarły; przyroda zobojętniała w jego oczach, ona raczéj stała się teraz jakoby pokusnym wrogiem, mącącym hymny niebiańskie, które duch nieśmiertelny śpiewał na cześć Panu.

Tak przeto fantazya średnio-wiekowa nie tykała się niby zmysłowego świata, zostawiła go jakim był sam z siebie, nie rozpromieniając w nim piękności nadziemskiéj. Rozumiemy tedy ów naturalizm Stwosza, pojmujemy dla czego te figury na pierwszy rzut oka zdają się być prawie naśladowaniem natury; mistrz w nich prawie zostawił naturę jaką była przez się i przeniósł w dziedzinę sztuki te indywidualności rysów, przypominające niejako wizerunki osób, które mu stały za modłę. Zważ nadto, iż gdyby mistrz był uczynił z figur swoich piękność najwyższą w greckiém znaczeniu, już tém samém byłby je przeistoczył na piękność abstrakcyjną, niemającą już téj silnéj, wybitnéj indywidualności. A przecież właśnie czło-

wiek indywidualny, pojedyńczy, nabrał w chrześcijaństwie nieskończonego wiekuistego znaczenia, bo on właśnie jest okupiony niebiańskim, nieskończonym okupem; tutaj chodzi o wszystkich ludzi pojedyńczych a bynajmniéj nie o samą abstrakcyą ogolną ludzkiego rodu.

Widzisz następnie, że gdy tutaj celem głównym jest duchowa istota człowieka, a takowa wyraża się najpotężniéj w obliczu jego, jako w widoméj jéj stolicy, ztąd téż u figur Stwoszowych fizyognomie, twarze, są wyrobione z najwyższą staranną miłością; one są ogniskiem jego sztuki i pracy artystycznéj. Po rysach twarzy tych przelatuje echem wewnętrzna mowa duchowa. Wspomniałem już powyżéj, że te posągi greckie, mimo najwyższéj piękności swojéj, najczęściéj nie mają źrenicy — one mają światło zewnątrz siebie, ale nie w sobie; tutaj w sztuce chrześcijańskiéj rozwarła się źrenica, zdjęta już jest katarakta duchowa — te oblicza patrzą, widzą, bo w nich jest duch, we wnętrzu ich istoty jest światłość, która jaśniejąc sama świeci i oświeca. Zważ — te twarze to są portrety, w nich silnie wybita indywidualność. Widziałeś, że gdy w chrześcijaństwie każdy pojedyńczy człowiek nabiera wiekuistego znaczenia, a więc téż ta sztuka dąży ku temu, aby tę indywidualność jak najdobitniéj wyrazić; ku temu celowi zmierza nawet i malowanie tych figur, wykonane z najściślejszą bacznością.

Widzisz, na wysokiéj a śmiałéj tęczy naszego Maryackiego kościoła unosi się Zbawiciel ukrzyżowany; sama postać Jego i oblicze lubo bywają tak odmienne w różnych wiekach i przez różnych mistrzów przedstawione, są przecież w głównych indywidualnych zarysach zawsze do siebie podobne, mają zawsze jedno i to samo główne piętno swoje. Bo Syn Boży zaprawdę dokonał dzieła nieskończonéj miłości, zaprawdę zstąpił z nieba na doczesności doliny, stał się człowiekiem, — jednym pojedyńczym, indywidualnym człowiekiem — i umarł na świecie za świat; i odkupił z miłości ludzki ród, każdego pojedyńczego człowieka.

Wracajmy atoli do pracy naszego Stwosza. Gdy te postaci jego wpływają do uczuć widza, potrącając najcichsze nawet struny duszy, — gdy i dygocą i grają te nieśmiertelności struny, jako tony arfy eolskiéj, skoro na nie wionie od obłoków wianie, znać przeto, że te formy tych figur, choć na pozór z rzeczywistości wzięte, nie są by najmniéj iście wiernemi kopiami natury Ten pozór ścisłych wizerunków, ta indywidualność ma jeszcze znaczenie głębokie, znaczenie wspólne całéj sztuce chrześcijańskiéj. Tutaj dopiéro wiekuistość istotnie zstępuje z wysokości niebios na doczesności doliny, przybiera na siebie postać ziemską, by pośredniczyć między niebem a ziemią; i toć jest sprawą miłości niebiańskiéj. Każda miłość jest widzeniem siebie w drugim, jest przeistoczeniem siebie w przedmiot ukochany; ztąd téż miłość mądrości podobna, bo i mądrość widzi i poznaje w drugim własne myśli swoje. Miłość niebiańska, nieskończona,

będąca też najwyższą mądrością, zrzeka się wiekuistéj ojcowizny swojéj; przeistaczając się w postać doczesną, poświęca się z miłości. Gdy niebo na ziemię zstępuje, ziemia ku niebu się zbliża. Niebo roztwiera się ludzkiemu rodowi. Wysłannik Boży budzi niebian w sercu człowieka, budzi je z miłości nieskończonéj.

Zaiste człowiek nie dotrzymałby widoku wiekuistéj prawdy, gdyby mu się zjawiła w jéj właściwéj promienistéj postaci, lecz gdy ją obaczy odzianą w cielesność rzeczywistego człowieka, z całą indywidualnością, ze wszystkiemi cechami tutecznych bolów i doczesnego pasowania się z żywotem i ze światem — już wtedy biedny mieszkaniec ziemi nie spłoszy się lękiem, poufali się z wysłannikiem Bożym, który mu się zdaje, jako jeden z ludzi śmiertelnych; — więc zwabiony niebiańskiém oczynieniem słyszy jakby wołające na niego głosy, co utonęły gdzieś w dawnéj — w dawnéj bardzo przeszłości, lubéj, świętéj. Coraz bliżéj atoli nęci go wiekuistość i ku sobie pociąga miłością. Bliżéj, choć jeszcze z sercem nieśmiałém przystępuje do niéj człowiek, — ono dziecię boleści i cierpień, — bo on sierotą na ziemi! Bo jemu tak tęskno, tak ciężko w duszy, iżby rad wyżalić, wypłakać z siebie te biedy i te smętki swoje; a im bliżéj się przysunie do wiekuistości, tém ona potężniéj pociąga go do siebie i nęci go i wabi uśmiechem niewypowiedzianéj lubości i tajemniczego uroku, aż go obejmie miłością swoją i niebiańskiém kochaniem przytuli do łona, a człowiek, ono boleści dziecię a ziemski sierota, sam staje się wiekuistości synem, żyje życiem niebiańskiém, nieskończoném. Przecież właśnie dla tego, że samo niebo odziało się postacią rzeczywistego, osobnego człowieka, że właśnie człowiek pojedyńczy nabrał nieskończonego znaczenia, ztąd też i człowiek, stając się wiekuistości synem, nie traci siebie; — nie traci osobności swojéj osoby, żyjąc życiem niebiańskiém, nieskończoném.

Wszak nie raz ci się przyśniła twoja matka zmarła? Widywałeś ją we śnie, jakby żywą była, choć odziana jakoby niebiańską poświatą; ona ci niosła radę i moc, wytrwanie i przestrogi. Powiedz mi, czyli nie przenikało duszę twoją przeczucie, że to są anioły niebiańskie, przebrane w postać lubą, drogą zmarłéj matki twojéj?

Za prawdę takie są cuda miłości niebiańskiéj, a miłość najwyższa najwyższém jest poświęceniem.

Małoż to wieści z tych stuleciów dawnych o miłości cudach! Posłuchaj jednéj z nich; ona zaiste tkliwa, rzewna jakby słowicza pieśń, przywiana z dalekich mrocznych ducha twojego gajów, kędy rodziły się przeczucia święte młodości twojéj.

Słuchaj! — Przed staremi laty, na urwistéj hardéj skale urósł siwy, dumny gród; on wieżycą sięgał w przelotnych obłoków walki i patrzał na fale rzeki, co w głębi na wyścigi śpieszyły w daleką nieznaną dal. W zamku żył rycerz młody. On dumaniem sięgał nad obłoki, co płyną po jasnych niebios błękitach, a duszą tęsknił w daleką dal. Dumał i tęsknił, bo ze wschodu, od Syonu, dolaty-

wał głos o hufcach zbrojnych, co ciągną do grobu Chrystusa; głos o walkach w Świętéj Ziemi, kędy Zbawiciel zbawił świat; ale rycerza młodego trzyma w oczynieniu do małżonki miłość, bo jéj serce czystsze niż przeczystéj rzeki fale. Przecież, jak grzmot daleki, od wschodu, od Syonu potężniéj i potężniéj dolatywał głos o hufcach, o walkach za Świętą Ziemię!

Poszedł za wołaniem głosu rycerz młody.

Mijały wiosny o krzewach i drzewach kwitnących, o leśnych skrzydlatych śpiewakach; a krzewy i drzewa w jesieni listkiem po listku płaciły za wiosenne kwiaty swoje; a leśne śpiewaki milczeniem umarłém płaciły za wiosenne pieśni i kochania swoje. Zima nocna objęła świat. I pani na zamku samotna, — serce jéj zaszło zimą nocną, a z liców spadły róże kwitnące; ona smętkiem w duszy płaciła za kwiaty, za pieśni weselne za kochania młodego życia. Wracały wiosny, a z niemi wracały liście i kwiaty, pieśni i kochania skrzydlatych śpiewaków. Lecz w serce głuche młodéj małżonki nie wróciły więcéj śpiewne wesela, ani ziemskiéj miłości rozkosze; nie rozkwitły już nigdy jéj róże na licach, nie zeszła już z duszy nocna zima mroźna, bo nie wrócił już nigdy z Świętéj Ziemi serca jéj kochanek. Ona zaślubiona na zawsze wdowieństwu; samotnéj tęsknocie zaślubiona na zawsze.

Ale chociaż w sercu nie zakwitły już nigdy ziemskie miłości, ani dusza światowém kochaniem, przecież serce zapłonęło inną miłością, bo zapłonęło niebiańskiém wiary uczuciem. Wiesz — choć zima zalegnie kraj, choć pora nieużyta mrozem ściśnie przyrody ochotne wesela, choć skamienieje lodem życie młode, i pulsa natury zewnętrznéj bić przestają, przecież ta ziemia nasza ma własne ciepło swoje. W głębinach planety goreją ognie; one rzadko tylko buchną słupem złowrogim, płomiennym, rozrywając piersi wulkanów; ale wiecznie grzeją, wiecznie płoną w sercu planety. Im głębiéj więc zapuścisz się szybem górniczym w jéj otchłanie, tém gorętsze jéj ukryte tajniki. Te ognie bronią ziemską kulicę by zewnętrzne chłody zimowe nie przestudziły jéj serca, by jéj wskróś nie przejęły mrozy. Podobnie bywa i z ludzkiém sercem. Mniejsza o mrozy światowe, mniejsza o chłody, mniejsza o mrozy co od życia, co od ludzi, od pory przemiennéj zimowéj na uczucie twoje wieją; jeśli te uczucia twoje głębokie, nie wygaśnie w nich ciepło; uczucia tylko z wierzchu skrzepną, lecz w piersi głębinach tętnieją zdrojem wiecznie wrzące uczucia, a ognie święte, ciągle płonące bronić będą serce, by nie przeszły go wskróś mrozy. Tak się stało z pobożną w zamku niewiastą; choć serce jéj z wierzchu zabiegło ziemskich uciech zimą, Bóg w głębiach jéj zachował zdrój ciepły, ognie płonące chrześcijańskiéj miłości, co zbudziły inne wesela, inne nieskończone pociechy. Jakby aniołów posłannica, zjawiała się po chatach nizkich, niosąc pocieszenie strapionym i chleb zgłodniałym; ona była już matką sierotom opuszczonym przez ludzi. Kędy postała, z pod jéj stóp ustroiła

się w róże wdzięczne ścieżka łzawa ziemskiego żywota; gdy się dotknęła cierniów doczesnego świata, ciernie zakwitły wonią i barwą a boleści radośném ukojeniem; więc ją też czcił w koło lud biedny, jako Świętą, jako Boże kochanie.

Raz wieczorem, — gdy zima miała ustąpić wiośnie młodéj panowania nad przyrodą, a świat czekał jedynie skowronków pobudki, jakby porannego dzwonka, co wzywa do życia i rozkoszy śpiącą snem naturę — Pani przechadzała się w mroku po obejściu zamkowém, rozmyślając o Bogu na niebie, a biednych ludziach na ziemi. Zrazu, zdziwiona w sercu swojém stanęła, bo zoczyła krzew cierniowy okryty bielą jasną, co świeciła wśród mrocznego wieczora. Czyli to jeszcze zimy pożegnanie śnieżne? czyli to już wiosny kwieciste powitanie? — I przystąpiła bliżéj Pani; o radości! ciernie bezlistne, ostre, suche, obsypane, jakby gwiazdkami, rozkosznym kwiatków rodem. Uszczknęła gałązkę, by nią ustroić obraz Boga-Rodzicy, który chowała z miłością w komnacie, spuścizną po dziadach pobożnych. I uwieńczyła obraz w komnacie, jako cierniem doczesnego trudu, rozkwitłym wiekuistości kwiatkami, i ślubiła sobie w duszy, że z każdym wieczorem świeżą gałązką uwieńczy Pannę Przenajświętszą.

Wróciła przeto nazajutrz wśród zmierzchu zachodzącego wieczora, ale lęki przeszli jéj duszę; krzewy cierniowe biły jakąś promienną jasnością; zdawało się, że goreje poświatą wdzięczna ciżba kwiatów! — Zkąd kwiatom te jasne promienie, czyli to robaczków świecenie błyszczące, czyli może rozbójników utajone czaty! Trwoga przejęła duszę niewiasty, lecz pomna swoich ślubów, drżąca, z wejrzeniem spuszczoném, zatrzymując tchy zbliża się do krzewów i dygotną ręką uszczknęła gałązkę i zaniosła na wieniec ofierny Boga-Rodzicy. Noc przeszła jéj na dumaniu i myślach, bo w niéj robi i nie daje pokoju pragnienie, by rozwiązać tajemnice onéj dziwnéj promiennéj poświaty. Gdy przeto znowu nazajutrz dzień z nieba spłynął, a nocne namioty rozpinały się nad ziemią, nad zamkiem, opuszcza Pani ciche samotne komnaty swoje, z nią sługa siwy, powiernik jéj stary, i kapelan, wierny sługa boży. I widzą, jak wśród wieczornych cieniów goreje krzew jasną poświatą, a jaśniéj i jaśniéj rozgorzał światłością. Uklękło grono, śpiewając hymny na cześć Panu. Przystępuje kapłan do świecących cierni, dłonią drżącą roztula gałązki kwieciste, świecące, — a wśród krzewów i kwiatów promieni się blaskiem niebiańskich jasności wizerunek Panny Przenajświętszéj. „Bądź pozdrowiona Maryo! łaskiś pełna!“ zawołał kapłan, — a wszystko troje z sercem rozebraném radosną trwogą, zaśpiewali litanię na cześć Matki Boskiéj; jakby w uczuciu niewymównego szczęścia; a tkliwiéj i rzewniéj brzmiały pieśni serdeczne, mocniéj a świetniéj jaśniał wizerunek święty Matki-Dziewicy. Obraz pełen prostoty, z drzewa rzeźbiony, pomalowany farbami, on to był onych jasności stokiem, on to promienił poświatą w ciernio-

wych krzewach kwiecistych, on i teraz promienił weselem nieskończoném w sercu tych trojga ludzi. I zaniósł kapłan obraz cudowny do zamkowéj świetlicy; za nim idąc, Pani i sługa stary śpiewali koronki.

W świetlicy, w niży postawili obraz; ustroili go w kosztowne lichtarze i bogate sprzęty; noc całą przemodliło to zacne grono, a rzewne, serdeczne składali dzięki za łaskę tak wielką, że królowa niebios wstąpiła za progi doczesnego ich domu. Nazajutrz gromadzą się znów na modlitwę przed wizerunkiem świętym. Aleć, jakiż był przestrach i gorący żal ich duszy, gdy nie obaczyli więcéj Boga-Rodzicy; ona znikła z niży bogatéj, strojnéj! Daremnie przenikają najskrytsze tajniki swojego serca, pytając czyli może jakieś uczucie światowe, jakaś myśl doczesna nie wplotła się w ich pobożność i nie skaziła modlitw i pieśni świętych! Pani atoli, wiedziona wewnętrzną tajemniczą wróżbą, poszła nawiedzić krzewy cierniowe, a dreszcze rozkoszy nieskończonéj przejęły jéj serce, gdy już zdala spostrzegła krzewy w powodzi jasności, a wśród kwiatów i gałązek promieniejący obraz Panny Maryi! „Niechaj się stanie wola twoja święta! Na tém miejscu niechaj się wzniesie przybytek wybrany i dom!“ zawołała niewiasta. Wkrótce też na miejscu cierniów zbudowany jest kościół, budowników cudo; — wspaniały i świetny darami całego kraju w koło; zdobny w rzeźbione na kamieniu konary i gałązki gotyckie, a poświęcony „Przenajświętszéj Pannie w cierniach kwitnących.“ Nie zadługo też stary rycerski gród ustąpił miejsca grodowi wiary, bo na podwalinach jego wzniósł się okazały klasztor dla niewiast pobożnych, które, cofnąwszy promienie ducha swojego z zewnętrznego świata, odwróciły się od uciech doczesnych, co ulatują jako sen, jako rosy rannéj kropelka na listku drżącym, gdy ją wyssie skwar pod życia południe. Pani starego zamku, ulegając prośbom i czci powszechnéj, stała się pierwszą tego zgromadzenia matką. I przewodziła domowi, aż Cherubiny Pańskie śpiewem niebiańskim nie ukołysały jéj bożym snem i nie przeniosły w one światy, kędy w nieskończonéj jasności roztulają się już bez cierni kwiaty wiekuiste.

Spłynęło światem stulecie jedno i drugie, a w ustach ludu żyła dziedzictwem pamięć o cudownem powstaniu świątnicy i o Pani pobożnéj. Zawsze i zawsze w klasztorze tak już bywało, że jedna z dziewic z jéj rodziny była ksienią kaplicy onego cudownego wizerunku Panny Przenajświętszéj. Stało się tedy, iż jednego razu wybraną była na ksienią Bożenna młoda, wdzięcznéj urody dziewica. Jéj duszy nie zawiały kłamliwe tchy światowe, jéj uczuć nie doleciała wieść o grzechu doczesności ziemskiéj. Jéj serce przeczyste jak lilia śnieżna było mieszkaniem aniołów, co jéj przynosiły wieść o królowéj nieba i ziemi, i znów pacierzem, z westchnieniem gorącéj, pobożnéj miłości dziewicy wracały do nieba, niosąc jéj pacierze, westchnienia w ofierze Maryi Pannie, co się święci w wysokościach

nadgwiazdnych. Bo też najwyższém kochaniem dziewicy, najrzewniejszą jéj serca tęsknotą była miłość ku Świętéj Pannie, onéj lilii niebiańskiéj, któréj poświęciła młody swój żywot i wszystkie tchy duszy swojéj. Całą treść serca wylewała przed tym wizerunkiem, składając mu łzy radości w ofierze, niby perły kosztowne. Co wieczór, co ranek, odwiedzając kaplicę cudowną, świeżym zwojem kwiatów stroiła przybytek Panny Przenajświętszéj; co dzień rozwiewny dymek kadzideł wonnych lekkim obłoczkiem otoczył obraz, a przez obłoczek świeciły, jakby gwiazdki, lampy błyszczące jéj ręką rozświetlone. Więc jéj się zdało, że razem z królową niebios uniosła się już po nad obłoków i gwiazd krainy. Jak motylek w rajskich ogrodach przelatuje z kwiatów na kwiaty, tak jéj przelatywało życie po niewinnych uciechach, w niezamąconym nigdy serca pokoju.

Otóż, zdarzyło się, iż pewnego razu chłopek przyniosł wieść straszliwą, jako nieznany rycerz młody, ciężko od rozbójników ranny, zemdlony, z ostatkiem życia przeniesiony był do chatki poblizkiéj. Niewiasty świętobliwe były słynne po przez kraj cały znajomością leków, a nad wszystkie już celowała przeczuciem szczęśliwém Bożenna młoda; ona też przeznaczona została na opatrzność ziemską konającemu młodzieńcowi. Z sercem ufności pełném w moc leków, a z wyższą ufnością w pomoc Bożą, młoda służebnica Przenajświętszéj Panny zwróciła staranne troski swoje by wskrzesić umarłe życie w rycerzu nieznajomym. Walczyła dniem i nocą, by przemódz ohydne śmierci straszydło, stojąc przy łożu boleści jego. Co ranek oddawszy swojéj niebiańskiéj Pani czesne służby swoje i pokłon serca, splotami kwiatów umaiwszy świetlice Królowéj świętéj, śpiesznie wracała do chatki nizkiéj.

Jak po długiéj zimie klują się ledwie dostrzeżone okiem trawki młode, wywołane wiosennego słońca spojrzeniem, tak u młodzieńca, pod spojrzeniem jasném dziewicy, wykluwały się pierwsze nadzieje znowu wracających sił; — lecz te nadzieje młode drżały, dygotały lękiem, by powrót mroźnych powiewów nie ścisnął skonem dopiéro co rodzących się zdrowia oznak. Rzewnie, z duszą pełną gorącéj wdzięczności modliła się swojéj Pani dziewica; w radości jéj serca zdało się, że jeszcze wdzięczniejsze kwiatów zwoje, że wonniejsze kadzideł obłoczki, że świetniéj jeszcze jaśnieją lamp srebrnych gwiazdki błyszczące.

Dzień po dniu Bożenna witała wróżby bliższego a bliższego wyzdrowienia w wojowniku młodym. Spojrzenie jego już niekiedy błysnęło jakby słońcem myśli; w sercu, jakby ptaszków wiosennych tęskne śpiewy, odzywały się uczucia za światem, za życiem, a purpury wschodu z lekka już ochuchały lica jego.

Rzewnie, z duszą pełną gorącéj wdzięczności modliła się swojéj Pani dziewica i stroiła radością przybytek jéj i dom. Ale, do modlitw, do pacierzów i pieśni pobożnych wglądały jakieś dziwne, ja-

kieś niewymowne uczucia, jakieś zgrozy a uciechy zagadkowe. Ciężko jéj było na sercu i łzawo, — serce zadygotało, bo głosy lube, słodkie, rozkoszne, a przecież obce, trwożące wznosiły się z głębin nieznanych jéj duszy; to straszyły, to nęciły z kolei, a pieszcząc i grożąc przechodziły mrowiem jéj istotę. Jak gołębica spłoszona, tuliła się myślą do Boga-Rodzicy, pragnęła wypłakać strachy i lęki ze serca swojego, lecz przez łzy widziała postać Panny Przenajświętszéj jakby za mglistą, ciężką oponą.

Biada niewinnéj dziewicy! — Jeszcze trwały powinności jéj nałożone, — jeszcze i jeszcze zniewolona była wracać do chatki młodzieńca, a one niepokoje, one nętne, pieszczące, słodko-śpiewne głosy mocniéj a mocniéj brzmiały w piersiach jéj! Jakieś postaci lube, z przymilającym się uśmiechem, lekkie i urocze niekiedy otaczały ją tańcem hożym, wabiąc i pieszcząc piosenką dźwięczną. Te atoli postaci z innego pochodziły świata, ich uśmiech, to nie uśmiech niewinności rajskiéj; — te piosenki, to nie pieśni śpiewane na cześć lilii niebiańskiéj. Każdego wieczora, gdy, miotana niewypowiedzianém uczuciem, opuszczała chatę, zmierzając do zaciszy klasztoru, jeden z owych aniołków, co przemieszkiwali w jéj sercu, ulatywał do nieba, a co który uleciał, już więcéj z nieba nie wracał do Bożenny biednéj. Rzucała się krzyżem u stóp ołtarza w cichéj samotności świętego przybytku, i modliła się i płakała, i drżącą ręką opatrywała w kwieciste wieńce i rozświetlała kagańców płomienie; ale kwiaty, jakby chore, pochylały swoje główki wdzięczne, a płomyki lamp srebrnych mrugały smętnie i gasły. Oblicze Najświętszéj Maryi tak teraz bolesne i poważne! I wnet też opona łzawa zakrywała ją przed dziewicy spojrzeniem!

Bliżéj, bliżéj otoczyła Bożennę siatka potęg zdradnych, siatka z róż ziemskich spleciona, i liczniéj a liczniéj gromadził się orszak mocy czarodziejskich, wezwanych wrogą sztuką złego młodzieńca. Zawrotnym wirem one postaci i widziadła hasały około biednéj dziewicy, a słodsze a wdzięczniejsze były pieszczoty ich pieśni. Już aniołki, w jéj sercu żyjące, po jednemu uleciały na wysokości, i już nie wrócił z nieba żaden z nich. Jeden tylko aniołek pozostał w sercu Bożenny, sam jeden, samotny; tym aniołkiem była — miłość jéj dla Maryi Świętéj!

Pewnego późnego wieczora Bożenna blada, drżąca, ze spuszczonym wzrokiem, o chwiejącéj stopie wchodzi do kaplicy i padła krzyżem przed Boga-Rodzicą. Tyś mnie opuściła, o Maryo! zawołała ze łkaniem boleści, już ja nie dotknę się tych kwiatów nieskalanych, tych sprzętów świętych, jam już nie godna, bym była służebnicą twoją, już ja więcéj tobie służyć nie będę! Przyjmij, o Matko Bolesna, łzy moje gorące, świadki mojéj żałości serdecznéj i katuszy! — I opuściła kaplicę i klasztor cichy, młodych czystych rozkoszy raj.

Przeszła noc, uleciał dzień, jeden, drugi i trzeci, a Bożenna stanęła wraz ze zdradnym młodzieńcem na ojczystéj jego ziemi. Tu

zabrzmiały w koło niéj ziemskie uciechy; tu zapieniła się odurzająca czara światowych rozkoszy. Szał zabaw hucznych, szumnych unosił jakby wichrem niewiastę młodą, a roje młodzieży wytwornéj, gładkiéj, o duszy zepsuciem stoczonéj, składały służby swoje jéj wdziękom cudownym, otaczając ją dworem świecistym, złocistym; zewsząd słówka jedwabne, zwody schlebne, mowy słodkie opajały jéj myśl. Obsypana darami, strojem wykwintnym, cackiem klejnotów, porwana dziką, zapustną zmysłów ochotą i rozhasanych namiętności wirem, nie zdolna była upamiętać się w bezdeniach zamętu. Przecież, gdy choć na chwilę przebrzmiały czarnoksięzkie czynienia, gdy się obaczyła sama z sobą, wtedy jakby od dziecięcia wymarzone obrazy senne o klasztorze, o kaplicy, o Najświętszéj Pannie Cudownéj snuły się przed oczyma jéj duszy i pokazywały jéj wrota zamknięte utraconych na zawsze rajskich ogrodów. W tych chwilach cichych żałość bez granic zabiegła jéj serce, rzewność pełna palących niewymownych uczuć rozbierała jéj duszę; — wtedy ona dobywała szkaplerza z wizerunkiem „Maryi w cierniach kwitnących“ i tonęła nabożeństwem w tym obrazie przeczystym, bo szkaplerz i wizerunek święty były zawsze jeszcze najdroższym klejnotem uniesionym z czasów dawnych, tak szczęsnych, błogich i niewinnych. Wszakże nie śmiała dotknąć się skalanemi usty świętego obrazu, tylko łzy kipiące żarem boleści padały na szkaplerz, na obraz; a aniołek samotny, co sam jeden pozostał w sercu Bożenny, uśmiechał się radością niebiańską.

W rychle atoli, gdy samotność ustępowała wrzawie ochotnéj, błyszczącéj, znów zabawy, festyny huczne, strojne, znów opojenie światowe zalały powodzią serce niewiasty biednéj, i uchwyciły prądem gwałtownym i zaniosły daleko, daleko jéj umysł od wspomnień drogich. Tak kilka lat przeszumiało wśród hucznych mamideł, świetności ponętnych, wśród wrzaw burzliwych i opojenia rozkoszy zmysłowéj, gdy ów młodzieniec, zdradny zwodźca, opuścił kochanie swoje.

Bożenna stanęła sama jedna na szerokim złym świecie. W koło niéj rozstawione na czatach demony grzechu, co wiecznie czujne, wiecznie stroją zasadzki nieopatrznemu sercu, które choć raz jeden powierzyło się ich kłamstwom pokusnym. Nieszczęsna niewiasta opuszczona, ujęta w matnie własnéj swojéj piękności czarownéj, parta podstępem, zdradą i mocą nawyknienia, odrzucona światem, zstępowała na coraz niższe szczeble sromu i straszliwego poniżenia. Silniéj a silniéj osidlały ją demoniczne potęgi, a w końcu pogrążyły w trzęsawiska, z których świat nie zna wybawienia. Do poniżeń i sromu przyłączyły się niedostatek i nędza sroga. Szaty wykwintne, stroje kosztowne, klejnoty błyszczące już od wielu lat rozpłynęły; choroba nieubłagana, widmo śmierci głodowéj zaziérały w oczy, — to jedyne już jéj towarzysze przez resztki życia. Żebraczka o proszalnym chlebie, o siłach zwątlonych i postaci chwiejącéj, jakby żywe

wyszydzenie dawnych uciech, wlokła drżące stopy swoje, błagając ratunku. Często u wrót zamkniętych, nieużytych, padała ze czczości. Wtedy koleje przeszłe i przyszłość, świat cały, zakręciły się hasem kołowrotnym, dzikim; bezuzdnym pędem przemykały się demony chichotne. Długi szereg lat, długi jak wieczność, upłynął w tém powolném, powolném konaniu. Lecz przez ten długi szereg lat nie ustępował z jéj piersi szkaplerz z wizerunkiem Panny Maryi, „w cierniach kwitnących“.

Na ustroniach samotnych, umarłych, kędy nie dochodziły wrzawy uliczne, dobywała szkaplerza swojego i z zeszklonemi oczyma zapadała sercem w niegdyś niebiańskie kochanie swoje. Wszakże już łzy palące, gorące nie padały na obraz święty, bo już łez nie stało, one wszystkie już wypłakane; w cercu atoli mieszkał jeszcze ten aniołek miłości ku Maryi Świętéj; choć samotny, choć sam jeden ze wszystkich braciszków swoich, które już dawno do nieba uleciały, on jedyny, samotny kwiateczek niebiański pozostał na cierniach żywota Bożenny.

Jakby długa noc, wlokło się wolne konanie nieszczęsnéj niewiasty; jakby noc boleści nieprzepłakana, nieprzeżyta, trwały katusze nędzy i cierpień bez granic. Wsparta na kiju, w męczarniach czyscowych szła od wsi do wsi, od miasta do miasta, z kraju do kraju, szukając miejsca, kędyby mogła już spocząć na wieki; lecz nigdzie nie mogła znaléźć grobu dla siebie.

Pewnego razu zapadły ją ciemności wieczorne, ponure, bezgwiazdne, mroźne jak życie; w koło zamieci śnieżne, wichry lodowe; w koło pusto, głucho — jęki zimowe same hulają po umarłéj naturze. Żebraczka mdlejąca źrenice topiła w ciemnicy wieczornéj. Zewsząd pustkowie przyrody bezludne; zdala tylko na rąbku widnokręgu mrugało światełko. Czyli to może już ostatnia gwiazdka przewodnia na drodze pielgrzymki doczesnéj? Czyli to kaganiec, co mrugał ze samotnego domku? Ku światełku zmierza chodem omdlałym, ociężałym, płacąc poruszenie każde ostatkiem opuszczających sił. Wątpienie padło na jéj serce, czyli zdoła dosięgnąć jeszcze migocącego płomyka, azali może nie przyjdzie na samotném polu umrzéć wśród zgrozy i mrozów! Idzie, idzie długo, przyciskając szkaplerz swój do serca, które już bić przestawało, dźwigając z wysileniem schorzałe, zdrętwiałe zimnem członki. Dosięgła nakoniec celu.

Na wzniosłości pagórków urwistych stał gmach wspaniały, niby pałac, niby gród; z okien wzniosłych biły jasności w ciemną noc. Z natężeniem ostatecznem doszła bramy. — Zadzwoniła — głos dzwonka wywołał jakby echa z jakichś dawnych, dawnych lat — zadzwoniła — i padła nieprzytomna sobie; już jéj brakło sił.

Z wskrzeszoném życiem spojrzała w koło żebraczka, potoczyła okiem — te miejsca, kolumny i sklepienia, otaczające je w koło, tak dziwnie na nią spoglądały, jakby senne wspomnienia dawnych, da-

wnych wieści czarownych. Jakoż zakonnica pełna miłosierdzia cuci, dodaje sił wzmacniającym napojem.

„Gdzie jestem!“ pyta żebraczka. „Alboż to nie wiesz biedna niewiasto moja, żeś w klasztorze Maryi Świętéj w cierniach kwitnących!“ Dreszcze żalów, ognie radości mroziły, paliły serce nędznéj kobiety — i milczała długo. Nakoniec rzekła: „Bywałam i ja niegdyś w tych murach świętych, ale to już dawno, już bardzo dawno, było to przed wielu laty, wtedy, gdy jeszcze siostra Bożenna żyła w klasztorze“. — „Lecz — rzecze siostra furtyanka — siostra Bożenna ciągle jeszcze między nami.“ — „Matko moja — rzekła drżąca żebraczka — ja mówię o téj siostrze Bożennie, która niegdyś była ksienią kaplicy cudownéj, i tak, tak niegodnie, jak było słychać, zdradziła śluby swoje święte.“ — „Niechaj ci Bóg przebaczy, niewiasto biedna; aleć ta sama właśnie siostra Bożenna jest zawsze jeszcze ksienią kaplicy cudownéj. Ja od pół wieku żyję w tym drogim przybytku naszym, a żadna ze siostr nie skaziła nigdy ślubów swoich. Siostra Bożenna za prawdę jest nam laską Bożą, ona nam wszystkim wzorem świętobliwego żywota i uczuć świętych nieskalanych. Cały kraj w koło ma ją we czci najwyższéj, boć ona wszystkim wzmocnieniem, otuchą niebiańską. Ale ona właśnie znajduje się w kaplicy— wszak znasz drogę — idź niewiasto moja i z nią się przywitaj.“

Żebraczka w napięciu duszy, bez tchu, bez upamiętania przechodzi przysionki, korytarze, ganki, co były niegdyś dla niéj światem całym a światem tak błogim rajskim. Już wstąpiła za progi kapliczne — tutaj uklękła, legła krzyżem, biła czołem w posadzkę kamienną. I widzi, widzi zakonnicę strojącą ołtarz świeżym kwiatów zwojem i rozświetlającą lampki błyszczące. Zakonnica zwróciła się ku niéj chodem niedosłyszanym i już się zbliża. Lęk, niepokój przejmuje serce Bożenny — ta siostra! To ona sama! To sama ona Bożenna! To jéj wizerunek żywy! To jéj własna postać i oblicze! Ale jéj wizerunek, jakim była niegdyś, przed laty, żyjąc w klasztorze jeszcze w wiośnie młodości niewinnéj, nieskalanéj. Zakonnica, przystępując do drżącéj żebraczki, rzekła: — „Witam cię ukochana córo moja! Ja długo na ciebie czekałam, ale wiedziałam, jak mnie kochasz, że twoja miłość dla mnie znów cię tutaj napowrót sprowadzi. Gdy byłaś daleko odemnie, jam przybrała postać twoją, jam za ciebie służyła, by cię osłonić od sromu, od wyrzutów. Teraz poznałaś ten świat, wiesz jaka wartość jego, już jesteś moją na zawsze! Już teraz będziemy razem z sobą, razem na wiekuistość całą! Witam cię dziecię moje! W twojéj celi znajdziesz swoje dawne szaty; gdy je przywdziejesz, wrócona ci będzie z dawną postacią i młodością dawna niewinność i pierwotne nieskalanie, i będziesz czém byłaś niegdyś!“ Gdy to wyrzekła z uśmiechem anielskiéj miłości wstąpiła postać na ołtarz i przemówiła tylko jeszcze: — „Pozdrawiam cię siostro ksieni! Kochaj Maryą, jak ona cię kochała!“ — Rozpromieniła się majestatem jako Boga-Rodzica i Nieba Królowa!

W ten dzień na niebie obchodzono święto radośne, a na ziemi dnia tego wszystkie ciernie zakwitły kwiatem!

Czyliż ta powieść nie jest wymowniejszym świadkiem o zwrocie ogromnym rodu ludzkiego, niż wszystkie choćby najgłębsze rozbiory naukowe! Ona jest jasnością, rozświecającą znaczenie świata, który teraz nastaje w dziejach ludzkich, i dla tego pozwoliłem sobie tak się rozszerzyć z tą powieścią; jest ona jedną z tych cudnych historyj, które nam w naszych tu stronach za lat dziecięcych opowiadano, a która podobno utkwi w sercu na życie całe, z całą formą tak pełną wdzięku a prostoty. Boć też każdy, kto ją raz usłyszał, nosił ją w sercu swojém, jakby klejnocik od matki na pamiątkę darowany. Cieszyłem się gdym ją przed kilku laty widział skreśloną przez jednego z autorów francuzkich; gdym ją czytał, zdało się, że wieloletni pył ścierał się z tego obrazku wspomnień pacholęcych; a lubo z tych powodów wiele winien jestem rzeczonemu autorowi, zdało mi się atoli, że może zbyt nadał téj legendzie barwę romansu; wolałem ją tedy opowiedzieć po swojemu, trzymając się przytém wspomnień z młodości porannéj; boć i one są podobnie „kwiatkiem na cierniach suchych żywota“. Lecz mniejsza o to. W każdym razie myślę, że ta legenda, jedna z najpiękniejszych, godna była przełożenia, zwłaszcza, iż nam się tak nadaje do celu naszego. Przyznaj, że ówczesny świat, który w duszy swojéj piastował podobne obrazy niebiańskie, sam wprzód odrodził się wiekuistością i wychrzcił się z więzów materyalnéj natury a przemijających, jako sen, uciech jego. Ten świat z tych powieści, jakby z przeczystego zdroju, pił nieustannie tę prawdę, że niebo samo zstąpiło na ziemię, że przybiera na się postać ludzką, że miłością nieskończoną ku naszemu rodowi oddaje się w służby doczesności i że z nim cierpi i płacze, bez granic się poświęcając.

Zaiste, człowiek zrazu nieśmiało, z lękiem w sercu zbliża się do gości wiekuistych; przyciągniony jednak kochaniem bezdenném, rzuca się w ich objęcia, im się zaślubiając na wieczność całą. Przyciąga go własna wiekuistość, miłością obudzona. Im potężniéj żarem roznieci się w nim ta miłość, tém potężniéj w nim prze i robi bezmierna ku niebu tęsknota, i tém też nawzajem potężniéj płynie prąd w serce jego od miłości nieskończonéj, która w niebie króluje; tém też nawzajem i niebo silniéj tęskni ku niemu.

Prawda wiekuista bynajmniéj nie jest samą wiedzą, przez rozum i pasowanie się myśli nabytą; ona jest i uczuciem, miłością gorącą serca naszego. Bo choć nie przeczymy, że w sercu zarazem gnieżdżą się i złe uczucia, owe demony siatniki, co, lęgnąc się z doczesnéj naszéj natury, a przebrane w kłamliwe urocze postaci, mamią i stroją nieopatrznym ochotom sieci zdradne; choć tedy nie przeczymy, że tu potrzeba myśli oględnéj, by stanęła na straży i po przez wdzięczne kształty poznała pokusne złego wysłańce i odróżniła je od niebiańskich zwiastunów; toć przecież wyznać potrzeba, że prawda nieskoń-

czona, samą pracą rozumową zdobyta, że sama chłodna wiedza nam nie wystarczy, jeżeli zarazem nie przejdzie w ciepłe serce i nie stanie się żywém, obecném w nas uczuciem. Chciéj zważyć, iż każda nauka, wiadomość, któréj się pracą myśli dorobiłeś, którą sobie przyswoiłeś, jest wprawdzie twoją, jest twoją własnością; ale dla tego, iż jest dopiéro własnością twoją, nie jest jeszcze tobą samym. Wszak ty sam odróżniasz siebie samego od tych nauk, wiadomości twoich. Co jednak w sercu twojém żyje, co czujesz, co wierzysz, toć jesteś ty sam, to twoja istota. A lubo uczucia same jedne nie wystarczą, to jednak, gdy ich braknie, nie mogą być zastąpione samym rozumem; dla tego żądamy, aby wiara była w sercu, aby się stała sama istotą człowieka.

Jak umiejętność każda i mądrość jest poznaniem wewnętrznego znaczenia przedmiotu, zatém poznaniem myśli tkwiącéj w nim, więc przeniesieniem téj myśli jego do naszéj własnéj myśli; tak téż uczuciem odpowiedniém mądrości jest miłość, bo i miłość jest znalezieniem, widzeniem siebie w przedmiocie ukochanym. Jak zaś najwyższa mądrość jest poznaniem wiekuistych prawd, tak miłość najwyższa jest ukochaniem prawd wiekuistych — jest miłością ku Bogu. Bo miłość odnosi się już koniecznie do osoby; pojęcie ogólne, abstrakcyjne, jakiém jest prawda — idea — może jeszcze odnosić się do jakiegoś rozumowego celu; ale serce, ale miłość, uczuciem będąc, zwraca się do osoby. Dla tego idea, rozum wiekuisty i inne podobne wyrażenia abstrakcyjne nie wystarczą dla serca; dla miłości trzeba Boga, będącego osobą, Bogiem żywym; ale i dla rozumu one abstrakcye nie wystarczą, gdyż są niedokończonym wypadkiem; sam rozum party jest potęgą, koniecznością logiki, by te abstrakcye daléj rozwinął, by stanął u celu, który wywróży to serce jasnowidzeniem, przeczuciem swojém.

Gdy taka miłość nieskończona zapłonie w sercu człowieka, już on zwróci się w siebie, na wewnątrz, ku słońcu, które w nim rozgorzało jasnością, wtedy człowiek zrazu cały tonie w samym sobie, przepada we własnéj wiekuistości swojéj, nurzy się we wnętrzu swojém. Co tedy na zewnątrz niego istnieje, co doczesne, tuteczne, światowe, zrazu gaśnie, zmiera. Wtedy cała treść, tkwiąca w zewnętrznych rzeczach, ustępuje, znika; ten świat staje się dla niego bezduszną, bezjądrną łupiną, bo człowiek cofnął ducha swojego promienie z tego wszystkiego, co cielesne, co zewnętrzne jest. Odwraca się od tego doczesnego świata, co już jest bez znaczenia i obcym dla niego (*).

(*) Uważ, że te zjawiska wszystkie zrazu się pokażą, bo w pierwszych chwilach ludzkość, czując w sobie gorejącą wiekuistość, olśniała jéj światłem: nie widziała przeto zewnętrznéj rzeczywistości. Trzeba było długiego czasu zanim ród ludzki, *nie tracąc wiedzy i uczucia o wiekuistości przebywającéj w nim*, zająć się zdołał i naturą i rzeczywistością, więc całym światem zewnętrznym. Otóż, temi

To nieprzyznawanie się do świata zewnętrznego, to wyrzeczenie się a utonienie ducha w sobie, dochodzi téj mocy, że się człowiek nawet wyrzeka własnych czynów swoich, boć i one należą do zewnętrznego świata; więc i one stać się mogą czémś obcém i cudzém względem nas. Aby zaś te własne sprawy stały się rzeczywiście czémś obcém i zewnętrznem, potrzeba aby z niego boleść wytopiła wszystkie pomyłki, jako ziemskie, marne i przemijające; wtedy to dopiéro zaprawdę duch, wstąpiwszy w siebie do głębin swoich, uznać zdoła te błędne sprawy swoje, jako zjawiska tylko zewnętrzne, które nie poszły z istoty jego, ale jedynie ze słabéj i nieopatrznéj chwili; uzna tedy, że te sprawy nie były i nie są nim samym. Wtedy nawracając do przybytku wnętrza swojego, znajdzie w nim wiekuistość, w któréj już będzie jako w domu ojczystym, i będzie obchodził święto nieskończone pogodzenia się z samym z sobą i z Bogiem.

Tak tedy z rozumowania powyższego widzimy znaczenie powieści przez nas przytoczonéj. Wiekuistość istnieje w duchu, zatém człowiek zrywa z naturą, ze światem zewnętrznym, i czuje nieskończoną swobodę zamknąwszy się w sobie. Przecież gdy on ma również byt w świecie, w cielesności, więc następuje w nim walka dwóch pierwiastków, bo nieba i ziemi. W téj walce może chwilowo uledz potęgom tutecznym, ziemskim, przecież gdy wiekuistości swojéj nie traci, więc nieskończona tęsknota rozbierze serce jego, usłyszy wołanie w sobie, bo duszy tęskno do matki, do wiekuistości. Jeżeli tedy żal, żal serdeczny, głęboki wypalił z serca pomyłki i winy, już one staną się obce, jakby nie nasze; one z nas spadną, a dusza staje w czystéj, pierwotnéj swojéj nieskalanéj niewinności anielskiéj.

Może tedy jaśniéj jeszcze teraz wypłynęła ci prawda, już powyżéj powtórzona, że sztuka piękna, odziewając nieskończoną treść człowieka w postać cielesną, już nie wystarcza nowéj epoce świata; bo co materyalne, cielesne, zewnętrzne, straciło już wagę swoją i nie zdoła być wyrazem wiekuistości w całéj jéj bezdeni, jak ją teraz pojmuje ludzki ród.

Ta powieść rzewna, przytoczona przezemnie, posłuży może i za komentarz ostateczny dzieła naszego Stwosza. Zdaje mi się bowiem, że z niéj dostatnie wytłómaczyć sobie zdołamy i te wszystkie uwagi, które nam powyżéj wypłynęły z zapatrywania się na tę zacną pracę jego.

Chciéjmy sobie jeszcze wyjaśnić niektóre fakta, na które powyżéj zwróciłem baczność twoją.

---

pierwszemi chwilami, onemi chwilami utonienia w sobie i odwracania się od zewnętrznego świata, temi chwilami dla ludzkości są Wieki Średnie, trwające 1000 lat, a ze stuleciem XVI-tym, jak obaczysz w późniejszych listach, rozpoczyna się nawrot do rzeczywistości, bez utracenia skarbu wiekuistości, żyjącéj w duchu.

Patrz — to cofnienie się w siebie, to życie wewnętrzne, które, rozpromieniając się najwyższą potęgą, staje się miłością nieskończoną, objawi się odpowiednią sobie formą, gdy będzie zastosowane do sfery rzeczy ziemskich; a najbliższym objawem takowym będzie życie rodzinne i ten cichy i święty obyczaj domowy; bo dom, bo rodzina jest równie cofnieniem się od świata, i tutaj człowiek słucha jedynie tętna własnych uczuć swoich.

Zaiste — rodzina w znaczeniu prawdziwém występuje dopiéro na łonie wiary Zbawiciela. Wszak z tego, co już rzekłem, widać, że dopiéro u ludów chrześcijańskich uznane być mogło znaczenie niewiasty. U Greków, u Rzymian znaczenie to już wprawdzie pojawiło się w pączku swoim, który się dopiéro mógł rozwinąć w całéj pełni, gdy duchowa istota człowieka uznana została w głębokiém znaczeniu swojém. Wszak bez uznania i uczczenia wartości niewiasty nie ma rodziny, pojętéj w całéj jéj prawdzie. Wiara z istoty swojéj dokonała tego uznania. Następnie, niewiasty chrześcijańskie dokupiły się czci najwyższéj krwią męczeńską niewiast świętych, które śmiercią swoją podniosły jeszcze nawet w obliczu świata całą płeć żeńską. Zważ, że to życie uczuciowe, wewnętrzne, to zwrócenie w siebie, będące charakterem nowego świata, jest właśnie wyrażone przez niewiastę; ona jest kapłanką domowego obyczaju. Mąż jest zaiste i teraz głową i rozumem rodziny, małżonka zaś jest jéj sercem i jasnowidzeniem.

Tak pod *osłoną* cnót domowych niewiasty chrześcijańskiéj stanęła jakby na opoce twierdza domowego życia; o ściany tego domu rozbijają się fale dzikie zewnętrznego świata; choć tam szumią wichry i mroźne zamieci, człowiek sam siebie odzyska, sam do siebie nawróci, gdy przestąpi progi swojego domu. Tu znajdzie ukojenie swoich trosk, gdy go owionie uśmiech małżonki, co matką domowi; tu gdy jego serce burzą świata skołatane, niesmakiem żywota zmrożone, niechaj spojrzy na śpiące niemowlę swoje, a ten pokój głęboki, anielski na twarzy dziecięcia ukołysze mu duszę pokojem, wygoi serca boleści (Chateaubriand). Wszakże pacholęta krakowskie wierzą, widząc niemowlę śpiące, że dusza jego bawi się z aniołkami, biegając z niemi po łąkach i kwiatach. Mniejsza już o słoty zewnętrzne, o słoty światowe; ognisko pod własną lubą strzechą rozciepli uczucia, rozświeci, rozjaśni chmurne czoło. W ścianach zacnego obyczaju domowego wszystkie uczucia członków rodziny, choć każdy ma różną indywidualność, wiążą się wzajemną miłością w jeden wspólny wieniec wśród szczęścia domowego.

Czyliż tedy dziwno, że w sztuce średniowiekowych mistrzów, że w dziele rzeźbioném Stwosza, wglądasz w to zacisze domowe, w komnaty, w izby, w tę widownią rodzinnych kolei, w tę historyą skromną ścian domowych? Czyli dziwno, że tu nawet widzisz, jakem rzekł powyżéj, porozstawiane sprzęty i te domowe graty, boć i one są towarzyszami przez życie; a serce, co przekipiało uczuciem,

i im udzieliło po cząsteczce swojéj treści rzewnéj, swojego kochania; te martwe, bezczułe przedmioty są przecież świadkami przeszłych wydarzeń domowych, przeszłych ciemnych i jasnych chwil; one się patrzały na trwogi, na radości, na biedy i na uroczyste obchody rodzinne; one userdecznione uczuciem, uduchownione wspomnieniem, stają się jakby symboliczną kroniką własnego naszego żywota. Jeżeli zaś bezduszne sprzęty domowe nabierają już tyle wagi, tém więcéj jeszcze mają znaczenia zwierzęta domowe, boć i one te senne uczucia swoje wplatają w losy owéj naszéj strzechy, boć i my wglądamy oczyma ducha naszego w te obrazy zatarte ich marzeń; a one czują te spojrzenia nasze, jakby promień wpadający z góry w niepewny mrok ich duszy.

Chciéj jednak zważyć, że te komnaty, izby, ulice, są w saméj rzeczy wystrugane na tych rzeźbach, że tedy udają perspektywę; ale perspektywa, jak wiesz, jest przecież jedynie malarstwu właściwą! Gdy do tego zważymy, że te rzeźby wszystkie są nadto rzeczywiście starannie i pilnie umalowane, więc już, jak powyżéj rzekłem, najwyraźniéj znać, że tutaj rzeźba przechodzi w malarstwo, zatém w rodzaj sztuki zupełnie od niéj różny; rzeźba opuszcza właściwe sobie granice i wstępuje w obręb obcéj sobie sztuki.

Wszak to snycerstwo i w innym kierunku splata się jeszcze z trzecim rodzajem sztuki, bo z budownictwem, jak to znać z ozdób i opraw architektonicznych nadających cechę tak wybitną całemu dziełu Stwosza. Na oba te fakta atoli zwróciłem już baczność twoją; teraz raczéj zapytajmy się, jaki powód tych właściwości, które tutaj tak silnie występują.

Otóż — skulptura z jednéj strony bierze na się piętno malarstwa, z drugiéj strony architektury; rzeźba niby wzywa na pomoc obie te sztuki; ona sama siebie opuszcza, jakby nie ufała swojéj mocy. Toć znaczy zaiste, że fantazya średniowiekowa a raczéj fantazya ludów chrześcijańskich nie jest dostatecznie zadowolniona ze saméj skulptury, że jéj jakoś nie dowierza w zupełności; jest to instynktowe przeczucie, że rzeźba nie jest dla niéj sztuką właściwą, że to raczéj malarstwo i architektura jest objawem więcéj odpowiednim treści, która pracuje i robi w duchu.

Lecz dla czegóż skulptura mniéj odpowiada fantazyi ludów chrześcijańskich? Oto, rzeźba dla tych samych powodów jest sztuką mniéj odpowiednią fantazyi chrześcijańskiego świata, dla których była właśnie sztuką najwięcéj właściwą fantazyi klassycznych ludów. Rozprawiając o fantazyi Hellady, szeroko się rozwodziłem, dla czego właśnie skulptura była sztuką najłatwiéj przypadającą do fantazyi greckiéj; odwołuję się przeto do tego wszystkiego, com już tam powiedział (w Liście XII). Tutaj z lekka tylko przypomnę, co tam rzekłem o architekturze, malarstwie i muzyce.

Jakoż okazaliśmy w tymże powyższym liście naszym, że jak z jednéj strony architektura, będąca sztuką wyprzedzającą rzeźbę,

nie zupełnie już odpowiada geniuszowi Greków, tak z drugiéj strony malarstwo i muzyka, występujące w dziejowym rozwoju i z saméj istoty swojéj później niż rzeźba, są rodzajami sztuki nadającemi się mniéj dla fantazyi Hellady. Jakoż architektura z natury swojéj jest sztuką symboliczną, a tém właśnie okazuje, że tylko przybliżenie zdoła wyrazić treść duchową we formach zewnętrznych; w architekturze duch przemawia jakby przez hieroglify na poły zrozumiane. Myśl grecka atoli właśnie dla tego, że była w zgodzie z sobą i ze światem, że była harmonią ducha i natury, że tedy była jasną i zupełnie siebie świadomą, mniéj ma skłonności do symboliki zagadkowéj.

Rozbierając istotę malarstwa, rzekliśmy podobnie, że tutaj materya się ulatnia, ustępując duchowi, który silniéj już przeważa w dziełach malowanych. Zaiste, obraz właściwy jest tylko płaszczyzną, ma tylko dwa wymiary, ztąd wszystkie warunki materyi, bo oddalenie, perspektywa, ciężkość, światła i cienie, są tutaj tylko zmysłów złudzeniem, są czémś idealném; znajdują się tylko we widzu i w mistrzu, ale nie tkwią już w rzeczywistości, nie istnieją materyalnie w dziele samém; słowem tutaj świat wewnętrzny, duchowy bierze górę nad materyalnym, a tak równowaga tych światów znika.

Więcéj atoli jeszcze to przemaganie duchowości nad światem materyalnym wyjawia się w muzyce, w któréj wymiary materyalne przestrzeni sprowadzone już są do oscyllacyi a drgania narzędzi muzycznych; tony, przelatując lekkiém skrzydłem, potrącają struny duszy naszéj, która pieśnią wewnętrzną wtóruje téj muzyce ziemskiéj.

Wypłynęło nam przeto z téj istoty malarstwa i muzyki, że żadna z tych sztuk nie mogła być pełną wyobraźnicą fantazyi greckiéj, że atoli na ich miejscu skulptura była tak przeważna w Grecyi, iż nawet, jak w owym liście rzekłem, zrodziła gimnastykę w najzacniejszém znaczeniu; co więcéj, że i poezya Hellenów ma piętno plastyczne. O téj zaś plastyczności poezyi greckiéj rozwodziłem się już szeroko. Tutaj chciéj raczéj baczyć, iż właśnie dla téj ogromnéj różnicy, która oddziela świat chrześcijański od świata klassycznego, rzeźba jest sztuką mniéj właściwą dla téj nowéj epoki, dla téj fantazyi romantycznéj; że w niéj raczéj występują sztuki z przewagą pierwiastku duchowego, zatém, że sztuki z ulatniającą się materyalnością stają się teraz przedmiotem ulubionym artystycznéj fantazyi. Pojmujemy przeto, że malarstwo naprzód z całym cudem uroków zamieszkało w tym świecie nowym; że tu geniusz muzyki, czarodziejski władzca uczuć i serc, rodzi się teraz w doczesności chacie, by dźwiękami ulotnemi swojéj harmonii przypomniał ludziom nadziemskie światy, co niewidzialne, niedojrzane od oczu ziemskich niedotknięte czuciem cielesném drgają w najświętszém wnętrzu duszy, śpiewając jéj pieśni, których nuty na niebie zostały.

Widzimy tedy, dla czego w dziele Stwosza rzeźba przechodzi w architekturę i malarstwo; bo oba te rodzaje sztuki są więcéj odpowiednie duchowi chrześcijaństwa, niż rzeźba. Co o istocie malarstwa mówiłem dopiéro powyżéj, wystarczy; tutaj powiedzieć jeszcze wypada słów kilka o architekturze.

Wszak architektura jest sztuką symboliczną, bo jéj formy wyrażają silenie się ducha, aby w nich wypowiedzieć serca tęsknoty; dla tego właśnie architektura staje się sztuką panującą prawie we fantazyi chrześcijańskiego świata. Architektura zaiste jest najdobitniejszym wyrazem fantazyi romantycznéj. Jeżeli inne rodzaje sztuki mienią się różną barwą, wedle różnego narodowego tła ludów chrześcijańskich, tak, iż trudniéj dopatrzyć już w nich charakteru wspólnego im wszystkim; sztuka budowania zachowuje znamię więcéj ogólne, co znów właśnie ztąd wypływa, iż architektura jest sztuką więcéj symboliczną, zatém więcéj abstrakcyjną; a dla tego właśnie już trudniéj poddaje się różnicom mniejszéj wagi, zachodzącym między różnemi narodami chrześcijańskiego świata. I w tém właśnie widać rozdział między architekturą a muzyką. Bo choć obie te sztuki są niby symboliką uczuć wewnętrznych, to przecież architektura ma do czynienia z massą głuchą materyi, która wymaga umiejętnego obchodzenia się z nią, wymaga pracy wielu lat, nie jest rzeczą chwili; więc téż ta symbolika, która się winna budowaniem wyrażać, winna miéć piętno ogólniejsze, przyjęte powszechnie; a to tém więcéj, że dzieło architektoniczne, z istoty swojéj, mając być dziełem zewnętrznem, mając ostać się w świecie, wymaga charakteru i wyrazu, któryby trafił do ogólnego, powszechnego uczucia. Inaczéj dzieje się z muzyką, bo ta nie wymaga już, do wyrażenia treści duchowéj, ciężkiéj nieużytéj materyi; ona, co tylko chwila w sercu poczęła, przebiera w tony ulotne, a nawet w dźwięki własnego głosu człowieka; więc téż lekki geniusz natchnienia, ulatując na skrzydłach melodyi, promieni się jasną barwą i świeci duszą kraju i ludu, kędy się rodził. Z drugiéj jednak strony, oba geniusze tych sztuk odwrotnych, właśnie dla tego, iż są odwrotne, są do siebie podobne i zaślubiają się serdeczném kochaniem.

Dawno już, i słusznie bardzo, nazwano architekturę muzyką skamieniałą; czém w muzyce są tony, tém tutaj są massy materyi; czém tam jest rytm kroczący w czasie, tém jest tutaj wymiar w przestrzeni; gdy w muzyce przepływają z kolei tony w czasie, wiążąc się w akordy i melodye, w architekturze wzrok twój przepływa z kolei po przestrzeniach; to podlatuje pod wysokie łuki, to spuszcza się i potrąca o filarów podnóża; to wpatruje się w melodyą głębokich cieniów i świateł jasnych, to buja po ogromnych przestrzeniach, to znowu bawi się splotem wdzięcznym szczegółów, co spływając w całość uderzają akordem. A jak w muzyce tak i tutaj gospodarzy jedno żywotne a niewidzialne prawo, jest to

statyka, co wszechbytna, niedostrzeżona, jest budowania kontrapunktem.

Ten kontrapunkt — on zaiste jest ustawą żywotną, a uderzeniem serca ludzkości odrodzonéj; wszystkie tony nieba i ziemi, wszystkie dźwięki serca, i wszystko, co się na dnie ducha i natury święci, i gwiazdy, co się klują w przestrzeni nieskończonéj, i epoki ludzkich dziejów, co jeszcze drzémią w przyszłości, wiąże ten kontrapunkt wiekuisty. On rozwiązuje dysharmonie wszelkie i wszelkie dźwięki fałszywe, zlewając je w jeden zestrój, w jedno oratoryum. Przecież w następnych listach nawrócimy do téj muzyki i architektury chrześcijańskiéj; tam przeto, czegośmy się tutaj zlekka dotknęli, rozwiniemy dokładniéj, obszerniéj.

Pytałeś się, zkąd się bierze ten splot wdzięczny figur Stwoszowych, to ich wzajemne do siebie odnoszenie a spływanie w jedną dramatyczną całość? — One się splotły w jedną całość, harmonii pełną, bo i we wnętrzu ich rozwarły się wiekuistości głębie, co brzmią dźwiękiem pieśni nieskończonéj; a choć tony ich duszy są różne, zlewają się przecież w jedną harmonią jednym zestrojem i kontrapunktem prawdy nieskończonéj. Ich kontrapunktem jest miłość niebiańska. Te postaci gromadzą się około Boga-Rodzicy, co zasypia niebiańskim żywotem, łącząc przymierzem miłości niebo i stworzony świat, a nad tą gromadką unosi się Duch Święty, który ją ogarnia; ta gromadka jest wyobraźnikiem jedności Kościoła, jedności połączonéj przez wiarę.

Tak ogólnym zarysem skreśliwszy charakterystykę téj nowéj epoki, przychodzi mi w liście przyszłym okazać, jakie formy ona zrodziła w stosunkach ziemskich, czysto ludzkich, a mianowicie, czém była fantazya artystyczna tego nowego świata, którą zwykle *fantazyą romantyczną* zowiemy. Już teraz widzisz, że to głębokie bezdenne wnętrze chrześcijańskiego ducha jest przepowiednią, że i w tych ludzkich stosunkach liryczność, płynąca z serca tajnéj krynicy, że uczuciowość, serdeczność rzewna, że muzykalność fantazy będzie tutaj piętnem głównem.

List Dwudziesty Siódmy.

Średnie Wieki.

(Dalszy ciąg).

Wstęp. — Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średnio-wiekowego. — Powód figur podobnych w wiekach średnich. — Bliższe ich oznaczenie. — Wojny krzyżowe. — Fantastyczność; poezya romantyczna. — Cechą tych wieków honor. — Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy. — Miłość ziemska jest przejściem do miłości niebiańskiéj. — Dante, Petrarka, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda. — Ziemskie pierwiastki życia romantycznego. — Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę. — Witellio i Roger Bako. — Dwie wręcz sobie odwrotne filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła. — Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą. — Katakumby. — Symboliczność. — Cimabue i Giotto. — Indywidualność inaczéj występuje w dziełach sztuki włoskiéj a inaczéj na północy. — Angelico da Fiesole. — Poezya romantyczna. — Fantastyczny świat.

Było to za onych czasów, — gdy w Łobzowskim ogrodzie nie wznosiła się jeszcze Estery mogiłka, którą natura, litując się miłośnicy biednéj, co wiosna stroi w pierwiosnki i fijołki ciche, aby, gdy ludzie odmówili napisu grobowego, choć same kwiatki świadczyły, że tu kochanie pogrzebione; — było to za owych czasów, gdy w rynku krakowskim naprzeciw Świętego Wojciecha pysznił się jeszcze w gotyckie floresy i dziergane okna starego Wierzynka zdobny dom, kędy gospodarz posadził do uczty cesarza i czterech królów majestat; — było to w owe lata, gdy postać wspaniała Wielkiego Kazimierza, co dziś marmurem na Wawelu legła, żyła jeszcze życiem pełném, tchnęła sercem ciepłém, uczuciem tkliwém, ludom mądrością władając. Otóż gdy tak jeszcze na świecie było, w Awinionie, mieście francuzkiém, zebrało się grono ludzi z nad Wisły i Warty, co radząc i ważąc rozmawiali o sprawach publicznych i o kraju i o Ojcu Świętym. Nie lada też było to ich zebranie, a najzacniéj w niém ważył ksiądz Janko, co był Archidyakonem gnieźnieńskim.

Zanim zaś o tym szanownym księdzu Janku więcéj opowiem, przypomnę, że to właśnie pod te lata w tém mieście stało jeszcze promienne Apostolskie krzesło; więc jak krew do serca, tak do Awinionu, jako do wielkiego ołtarza wiary a ogniska Kościoła, napływały wysłańce ze wszech stron świata a wyobraźniki różnojęzycznych ludów. Ciągnął tam i pielgrzym skruszony, by u stóp Ojca Św. wybłagać, wypłakać łaski duchowe, by ulżyć sercu, co konało pod ciężkiém brzemieniem tajemnéj winy. A byli znów i tacy, co z duszą swobodną, z myślą lekką, wesołą, wybierali się do téj pełnéj uroków stolicy, co ich nęciła, wabiła, jakby pieśń ukrytéj wdzięcznicy. Bo i w ustronia, najdaléj od świata odsadzone, dolatywały wieści o błogiéj naturze téj szczęśliwéj prowansalskiéj ziemi, o tém niebie jéj, co tak cudnych jasnych lazurów, o tych pagórach ubranych

w gaje oliwne, w gęstwiny chłodne figowych, migdałowych drzew, a bajały wieści, że tam pomarańcza, cytryna wita wędrowca siejbą kwiatów wonnych a dziewice oczkiem jasném, jakby spojrzenie gwiazdek na niebie.

Wszak w téj naturze tak lubego uśmiechu wybujała też i poezya jakby w ogrody, jakby w gaje pieśni dźwięcznych. Boć to tutaj przecież prowansalów, trubadurów ojcowizna! Tutaj, na téj ziemi gniazdo swoje miały ich harmonie czarowne, co tak rozkochane, tęskne i rzewne, i znów tak wesołe, ochocze, rozleciały się po świecie, niby ptasząt śpiewnych stado. Tutaj muzyka i miłość i piosenka umiały żywot ziemski. Obok ciżby posępnéj ponurych, wyschłych pielgrzymów, ubranych we włosienice ciemne, w kapelusze muszlą naszywane, przyciśnionych brzemieniem winy, zabłysnął orszak lekki urodnych, śpiewnych trubadurów w szatach błyszczących, w czapeczce z piórkiem, w powiewnym płaszczyku a z lutnią w ręku: a z lutni strun, z ust urodzonego śpiewaka zrywają się kancony, i serenady, ballady i pastorelle i cały tłum piosenek światowych, co oblatywały, jakby amorki figlarne, piękne panie, szepcąc im i prawiąc i bając, aż też nie jedno serce rozebrały rzewném, tęskném marzeniem. I te pieśni wdzięczne, lube, miłosne, śpiewały od świtu do zmierzchu, od wieczora do zarania, a śpiewały przez dwa z okładem stulecia.

Patrz, trubadurów poezya nie umilkła jeszcze, tu i owdzie jeszcze brzmiała ich śpiewka, jakby pieśń słowika spóźnionego w miłości i kochaniu, gdy, pewnego razu, w tymże Awinionie, — w Poniedziałek, w sam wielki tydzień, — w kościele świętéj Klary, pojawiła się postać niewieścia, oblana poświatą wdzięków najwyższych. Włosy jasne aureolą opłynęły niebiańskie oblicze, z pod długich rzęsów patrzały słodycze duszy anielskiéj, szata błękitna, w złote gwiazdki wyszywana, otuliła kształty idealne, nie z tego świata zrodzone. Zdawało się, że widziadło nadziemskie, obłoczne, zestąpiło z wysokości rajskich wśród ludzi. Modliła się ta postać, cudów pełna, — modliła się rzewnie, gorąco, jakby jeden z aniołów, gdy się modli za cały człowieczy ród. Obaczył ją młodzieniec, oparty w zaciszu samotném o kolumnę kościelną. Obaczył ją, i jakby błyskawicą rozjaśniły mu się wszystkie własnego ducha głębie, — jakby wiekuistości iskra rozświetliła wszystkie jego piersi tajniki. Przyszły na niego strachy i dreszcze, mrozy i radości niewymowne; lęk tajemniczy, a wesele i tryumfy, mrozy i upały przejęły duszę jego; bo z przepaści duchowéj dźwigła się owa potęga, co niby własna a przecież obca, co cudza a przecież swoja! — Błyskawica miłości rozpaliła w duchu płomień geniuszu.—Młodzieniec, tą chwilą na wieszcza uświęcony, stał się prorokiem miłości po przez wszystkie czasy i wszystkie ludy. Bo miłość tych obojga kochanków, — ona tylko duchów ślubem; ona czysta, nieskalana ziemskim tchem, nieznieważona niezacném uczuciem wywołała z piersi młodzieńczych nieśmier-

telne pieśni, co tchnęły serca upałem, a przecież były tak czyste, co śpiewały melodyą cudowną, a były tak rzewne, uczuć tak głębokich! Młodzieniec śpiewał sonety, kancony, w których miłość jego, choć na ziemi zrodzona, promieni się światłem niebiańskiém; te kancony, sonety będą na wieki świadectwem żywém, nigdy niezwiędłém o mocy niewiasty, gdy jéj wdzięki najwyższe, na ziemi zrodzone, prześwieca uczucie bez skazy i niewinność anioła. To kochanie w piersiach wieszcza było mocniejsze niż śmierć, i przetrwało kochanki skon. Ulubienica zapaliła płomień natchnienia w piersiach śpiewaka, co go poprowadził na szczyt chwały, na kapitol Rzymski, po korony laurowe; — a wieszcz, tchnąc w swe pieśni cześć i uwielbienie dla kochanki duszy swojéj, udzielił jéj własnéj promienistéj chwały, udzielił nieśmiertelności swojéj na ziemi; więc już godłem nieskalanéj, przeczystéj miłości stało się na zawsze jasne Petrarki i Laury imię.

Widzisz tedy, że iście było po co ciągnąć do Awinionu wyobraźnikom różnorodnych ludów i wszystkich świata stron. Lecz też i dobrze wiesz, że choć tam w dalekiéj dali może piękniéj bywa i świetniéj i wspanialéj, toć tam przecież braknie własnéj strzechy i ojczystego nieba, co to drogie a miłe; lubo strzecha tak biedna, a niebo tak zimne i szare, choć tam w dalekiéj dali może piękniéj i świetniéj i wspanialéj, toć tam człek, jakby drzewo przesadzone, odchorować musi swoje, — a częściéj jeszcze nie wychoruje się nigdy ze serca tęsknoty; a choć będzie w pełni lata swojego życia, zżółkną jednak, jakby w późnéj jesieni, liście duszy jego, i opadną liście zwiędłe, i nierozkwitnie już dusza myślą świeżą i ustanie w niéj krążące życie; człek będzie, jako drzewo wyschłe, upiorem samego siebie. Ztąd w dali zaświatnéj, luby ci i wiatr z północy, i miłe wędrowne ptaszę, co żegluje przez morza do krajów, kędy nie ma mrozu; i witasz wiatry zimne, i ptaki wędrowne, jakby posłańce od ojczystych borów, od domowych chat. Ztąd tak lubo i błogo, gdy pod obcém niebem, wśród obcych ludzi, swój swojego obaczy; bo i miło razem z sobą pogwarzyć, i łatwiéj już i poradzić się, i pocieszyć, i rękę sobie podać i obronić się biedzie jakiéj. Tak już za granicą, wiele nie przebierając, tulą się łatwo swoi do swoich, jak to lgną do siebie powinowate pierwiastki, co lubo rozpuszczone w płynie zbierają się w kryształki. Nie ma tedy dziwu, że i w Awinionie mieli się do siebie ludzie wspólnego pochodzenia, wspólnéj mowy, zbierając się razem w różne grona, wedle różnego obyczaju domowego i rodowych chęci. Tam założyli gospodę zamorskie Angliki, ondzie słychać śpiewne grono Włochów, tu Niemcy poważnie radzą, tam Hiszpany harde ważą honoru sprawy; więc też trzymali się i Polacy razem, a przewodniczył im, jakem mówił, ksiądz Janko; bo też to był mąż i wielkiego wzięcia i zacnéj powagi: on przyjacielem od serca swojego Arcybiskupa. Wszak to on bywał i przy królu Kazimierzu Wielkim, on późniéj pilnował chorego pana swojego na zamku

Krakowskim, on stał przy śmiertelném jego łożu; on to, pomyśl, on widział na własne oczy, jak konał ostatni Piast. Prócz tego, ten ksiądz Janko napisał nam jeszcze kosztowną kronikę współczesnych dziejów, z któréj wyjąłem obrazek, który ci tutaj kładę (*).

Otóż, jakeśmy rzekli, Polacy w Awinionie ręka w rękę żyli z sobą, a choć różne ich były sprawy w papiezkiéj stolicy, przecież wzajemnie u siebie bywali i zwykle każdy znał każdego. Jednak wtedy żaden z nich nie przeczuwał, że nie daleko od Awinionu, w posępnym, od ludzi odbiegłym klasztorze żył mnich, ich ziomek, wielkiego rodu pan, krewny ich króla. On przybył do Awinionu właśnie w czasie, gdy jeszcze żył Petrarka a Janko bawił jeszcze w tém mieście. Zaledwie jednak ten mąż tajemniczy ukazał się na dworze papiezkim, — gdy już nagle zniknął, zagrzebując się żywcem w tęsknych murach zakonnych,

Pod grubym habitem piekło się serce niepokojem bolesnym dręczone, pod kapturem ukryła się twarz, jakby pogorzelisko namiętności gwałtownych, przytłumionych, ale niewygasłych. On, uchodząc przed światem, przed sobą samym, schronił się do celi klasztornéj, samotnéj; modlił się i płakał, i pościł, i martwił ciało swoje — daremnie. Po ścianach posępnych klasztornéj, samotnéj celi przemykały się obrazy żywe przeszłości, sceny dawnego żywota, ale jaskrawo oświecone magią onych nieubłaganych potęg, co raz w sercu przebudzone już nigdy nie usypiają, nigdy nie zmrużą czujnego oka. Daremne modły i łzy, posty i samowolne ciała katusze; dniem i nocą przed oczy stawała postać kobieca, wdzięczna, luba, która niegdyś była jego życiem i kochaniem najwyższém. Zaledwie ten obraz rozpłynął się marą a już na jego miejscu dźwiga się jawidło krwawe z raną śmiertelną na skroniach, co gniewne i groźne straszy i serce lękiem ziębi. Ten mnich — to książę Gniewkowski Władysław, co go lud zwał Białym. On żył niegdyś w szczęściu błogiém, możny na Kujawach pan, z sercem rycerskiém i butném; wtedy on u króla był w łaskach, a we czci u narodu. Wyższym jednak nad światowe blaski było to szczęście, co mu kwitło radośnie w domowych ścianach. Umysł z przyrodzenia hardy i zuchwały, serce burzami miotane znalazło ukojenie w miłości małżonki. Ona uśmiechem, spojrzeniem, jakby talizmanem zażegnała cierpienia duszy jego, nakazując ciszę rozhukanym namiętności falom.

Wszak pewnego razu, w oddaleniu od małżonki, w nieopatrznéj chwili, demony przyczajone w sercu jego pchnęły go w kłótnię o granice ze sędzią Kujawskim; moce zdradne oczyniły myśl gnie-

(*) Jest tu mowa, jak wiadomo z historyi literatury ojczystéj, o *Janku* czyli *Janie z Czarnkowa*, czyli *Czarnkowskim*, Kronikarzu XIV wieku, który umarł około r. 1389. Kronika jego najstaranniéj wydaną została w nowszych czasach przez *Bielowskiego* w drugim tomie jego *Pomników do dziejów polskich* (Monumenta) 1873 r. — St. —

wem — sędzia ciosem śmiertelnym legł z ręki Władysława. Widok własnéj zbrodni wtrącił go w dumę i upór zacięty. Głuchy na rozkazanie królewskie, nie stawia się przed sądem, ubliża nawet majestatowi króla zuchwałą mową. Wtedy, jakby z bożego dupuszczenia, spada na niego grom niebios — małżonka, kochanie jégo, umiera. Już na on czas duch Władysława, wstrząśniony do dna, korzy się i kurczy w boleści bez granic. Samowolnie odstępuje i lenności królewskich i dziedzictwa po dziadach; z przemożnego pana czyniąc się pokutnikiem, jako pielgrzym idzie do Jerozolimy, aby u grobu Zbawiciela znalazł ochłodę palących boleści. Znienacka atoli, wróciwszy ze ziemi Świętéj, pojawia się w Pradze na dworze cesarskim; tu otoczony wykwintem i blaskiem wysokiego rodu swojego, rzuca się w zabawy zawrotne, świetne festyny, w turnieje; więc pieśni, więc muzyka, więc uroki niewieście zagłuszają na chwilę wewnętrzne niepokoje. Wnet atoli napił się do przesytu uciech dworskich, a znudzony, znienacka, na podziw wszystkim, przyodziewa się w rynsztunek wojenny, rusza do Krzyżaków, przystaje do nich i wojuje Litwę pogańską. Na miejsce dworskiéj wystawy, błyszczących uczt i tańców i śpiewów, teraz wołanie umierających, konających jęki, obożne śpiewy, bitwy, łamanie się, gra o życie i śmierć, obstąpiły go do koła.

Wnet przecież, przykrząc sobie wojenne krwawe rzemiosło, Gniewkowski książę bierze na się postać skromną zwyczajnego wędrowca i dosięga granic Polski. Jak złe sumienie unika światła i ludzi, przebywa tajnie Kujawy, swoją ziemię ojczystą, zdaleka widzi wieżyce własnych niegdyś zamków, słyszy z za boru głosy dzwonów rodzinnych kościołów. On milczkiem przeprawił się, od nikogo niepoznany, przez ziemie i kraje swoje i obce, aż doszedł do Awinionu pod czasy, gdy tam, jak już wiemy, mieszkał właśnie Archidyakon Gnieźnieński. Rzekłem ci również, iż Władysław bez wiedzy swoich wstąpił do zakonu, naprzód do Cystersów, późniéj do Benedyktynów (habitum griseorum et nigrorum mutavit, jak docinając wyraża się Janko) (*). Tu pogrążony w sobie żył modlitwą, dumaniem posępném, srogie odbywając pokuty; ze ściany cichy krzyż, a przez okna błękity niebios wglądają w serca jego tajemne pracowanie. Tak nad głową znękaną przeleciały lata, lata samotności głębokiéj, smętnéj.

Razu jednego, wśród ciszy klasztornych wbiegła lotna wieść o skonaniu króla polskiego Kazimierza. Wtedy zakonnik odtrąca precz od siebie pokuty, zrzuca kaptur a przeistoczony w butnego

---

(*) Sommersberg Silesiacarum rerum Scriptores T. II. pag. 111.

(Przytacza tutaj Kremer pierwsze wydanie kroniki *Czarnkowskiego*, sporządzone przez Sommersberga w r. 1729 w powyższym zbiorze pisarzy o sprawach szlązkich. — St.)

rycerza pędzi przez Strasburg, przez Niemcy na Węgry. Tam siostrzenica jego jest małżonką królewską. Władysław wyprosił od Węgierskiego króla świetne poselstwo z którém ciągnie do Ojca Świętego, by wybłagać rozwiązanie zakonnych ślubów. Odprawiony z niczém od apostolskiéj stolicy, wziął się na zuchwałe, i na sobie tylko polegając, własnéj potędze ufając, wichrem przelatuje ogromne przestrzenie krajów, staje w Kujawach, a mając z sobą jedynie czterech towarzyszy, którym także drwinką strachy, a życie stawką marną, zjawia się znienacka w Inowrocławiu. Sam widok księcia korzy mieszkańców; potulnie przysięgają dawnemu panu na wierność. Zanim się mógł obaczyć starosta Kujawski, Władysław, to podejściem wojenném, to wstępnym bojem, to przestrachem zabiera gród po grodzie, miasta po miastach. Tak dokazał swojego. W rychle rozpiera się na panowaniu całych prawie Kujaw, a nawet myśli o koronie, która mu czy marą czy nadzieją promieni z daleka. Butnie stawia czoło staroście i zastępom orężnym króla Ludwika; sztandary jego również szczęśliwe, jak zuchwałe, powiewały zewsząd na wysokich wieżycach zamków Kujawskich.

Jakby mu atoli jedynie chodziło o igry z losem, a krotochwile ze szczęściem i walką, wnet sckliwił sobie i boje i władze i rządy; porzuca zdobyte zamki, oddając je samochcąc Sędziwojowi, staroście; zamyka się w odludnym zamku Ordzińskim. Zniknął światu z oczów; nikt go już nie widział; kto przechodził, obchodził z daleka Ordziń, a patrząc na te mury i baszty, jakby na gniazdo orła, natężał zmysły, azali znów nie usłyszy potężnego szumu skrzydeł jego. Ale w zamku Ordzińskim cicho, opuszczono, samotno.

Rok cały Ordzin przeczekał w milczeniu. Wtém jednego poranku powitała Wielkopolan wieść bajeczna, senna; słychać, że Władysław dostał w jęctwo Krystyna, starostę na Złotoryi, że uderzył na gród Raciążski, że wziął siłą orężną Gniewków. Pogłoski te jak burza rozbiegły się po Kujawach a nabrzmiały w olbrzyma, przewalając się od wsi do wsi, od zamków do zamków, przenikając trwogą i podziwieniem.

Nie mało by mi przyszło pisać, gdybym chciał choć polotem skreślić jakie to nowe teraz fantastyczne koleje miotały życiem Władysława, na jakie on znowu puszczał się harce szalonéj śmiałości, jako zdobywa grody warowne i znów je traci i znów odbija; jak raz odbieżony od swoich sam jeden ucieka Wisłą na łodzi, jak wnet znowu, nagle się pojawiwszy, gromi i bije i trwoży i straszy, i znowu dopada władzy; jak Władysław, swawolnie grając niby z losem w kości, wszędzie i zawsze całego siebie na hazard stawia, a jak los, co to zwykle kocha się w śmiałkach, podrzucił go też na wysokości władzy.

Władysław jednak stroi sobie w końcu drwinki z losu, pogardza nim i znowu wypuszcza powtórnie samochcąc całą zdobycz, okupioną tak twardym trudem i tysiącznemi przygody, oddaje zamki i grody,

ale to pod jednym warunkiem: — jemu jeszcze chodzi o to, aby opuszczając kraj rodzinny opuszczał go jako rycerz, ze czcią, z honorem. Stosownie do umowy tedy, gdy wyjeżdża w całym rynsztunku rycerskim przez most zwodzony zamku Złotoryi, czeka na niego Bartosz z Weisburga, rycerz nieskalanéj sławy, a czeka na koniu, w zbroi, z kopią w ręku. Wedle układów złożyli kopie. Władysław ugodzony ciężko w ramię; mimo tego atoli dotrzymuje danego przyrzeczenia nieprzyjaciołom, ustępując z kraju.

Książę Gniewkowski, dopiéro co przemożny władzca, teraz tak ubogi, że przeciwnicy jego wspierają go zasiłkiem pieniężnym; Władysław ciągnie na Węgry, tam zostaje — opatem Benedyktynów! Czyliż tu koniec tego fantastycznego życia? Bynajmniéj. Opuszcza znów klasztor i t. d. Ale, com dotychczas opowiedział, wystarczy do celu naszego. Nie jest-że to dziwne a fantastyczne zjawisko ta postać Władysława! Zaiste, nam ludziom dziś tak spokojnym, statecznym, potulnym, ten jego żywot lóżny, błędny, sprzeczny z sobą, migocący się we wszystkie światła i barwy, wydaje się jakby bajeczką wymyśloną na przekór codziennéj, wymokłéj prozie współczesnego nam świata. A jednak ta cała figura awanturnicza jest typem wieków średnich; ba, to czasy romantyczne uosobione, wcielone w kości i krew! (*) Duch historyi chodził po ówczesnéj Europie, siejąc tę siejbę swoją, ona téż bujnie wschodziła; zewsząd po wszystkich krajach i ludach rodziły się postaci podobne do naszego Władysława; wszak niejedna z nich nawet zasiadła na tronie, odziana purpurą, a z hełmem rycerskim na skroniach.

Te postaci fantastyczne są pierwszą osnową dla fantazyi romantycznéj, jak obaczymy jeszcze dokładniéj poniżéj. Przecież ta fantastyczność awanturna niekiedy przekroczyła daleko po za progi średnich stuleciów; zjawia się i w dziejach nowożytnych; przypominam ci one postaci, co występują w wojnie 30-letniéj, jakby spóźnione romantyczne rycerze. W Polsce ten duch powiewał jeszcze bardzo późno; przykładem są sprawy Elearów polskich, niegdyś Lissowczyków, co się biją w sprawie cesarskiéj pod Wiedniem, a potém znajdziesz ich w stosunkach i do Bawarów i Hiszpanów, i znajdziesz ich w Badeńskiém i nad Renem i nie wiedzieć już gdzie; a czyny ich wojenne tak zuchwałe i śmiałe, że czytając je w książce ich kapela-

(*) Ten Władysław Biały, wedle mojego zdania, mógłby być wyborną osnową dla powieściopisarzy naszych. (Szczegółowy życiorys Władysława Białego podaje *K. Wł. Wójcicki* w swych *Szkicach historycznych*. 1869. str. 72 i nast. Co do estetycznego obrobienia tego tematu, zasługują na szczególną uwagę: piękna rycina *Matejki*, z roku 1868, przedstawiająca chwilę, gdy posłaniec z kraju podaje księciu miecz w klasztorze Dižońskim (Album Matejki, Nr. 40), oraz tragedya *J. Kościelskiego*, w 5-ciu aktach p. t. „Władysław Biały, książę Gniewkowski". 1874. Zob. także szczegółowy rozbiór téj tragedyi, wykazujący zarazem główne dramatyczne momenta w życiu Władysława ze stanowiska estetycznego w *Bibliotece Warszawskiéj* za Lipiec 1874 r. — St.).

na ks. Dębołęckiego, zdawałoby się, że to powiastki wymyślone, cudotworne, fantastyczne. Nie trudno o podobne zjawiska i późniéj jeszcze w Polsce. Przecież takowe figury są jedynie wyjątkiem w ostatnich stuleciach, a prawidłem w wiekach romantycznych, bo w nich się rodzą, niby w rodzinném gnieździe swojém.

Zkąd zaś wzięły się figury takowe w tych średnich wiekach, nie trudno zrozumiéć, byleś się zgodził na wywody objęte moim listem ostatnim; a które ci tu z lekka na pamięć przywiodę. Rzekliśmy dawniéj, że istotą ludów klassycznych był zestrój, harmonii pełny, łączący treść wewnętrzną człowieka ze światem zewnętrznym, więc też ducha z naturą. U ludów zaś chrześcijańskich nastaje ów ogromny nawrót ducha do siebie samego. „Anioł, wysłannik innych światów, roztworzył we wnętrzu człowieka głębie wiekuistych prawd, okazał mu nieskończoność, przemieszkującą w bezśmiertnéj jego istocie.“

Tak, teraz człowiek czuje się być wyzwolonym od zewnętrznego świata; doczesność została przemożona; — natura traci panowanie swoje. Atoli świat średniowiekowy jeszcze surowy, jeszcze nieskruszony w butności swojéj, zuchwały i twardy, zrazu dopiéro po ludzku pojął te prawdy nieskończone, zastosował je też po swojemu do rzeczy ludzkich, bo wedle doczesnéj ziemskiéj ochoty swojéj; a tak uczucie nieskończoności, wyswobodzenie od więzów doczesnego świata, przetłomaczone z ludzka do ludzkich stosunków, zrodziło butność, dufne opieranie się na sobie i swobodę nieskończoną. Każdy chce być teraz wolnym też od węzłów społecznych; każdy teraz tonie w sobie, w siebie się patrzy, staje się samoistny i odrębny. Ztąd społeczność cała jest teraz niby morzem iskier odrębnych, zbiorem punktów świecących, indywidualności osobnych, z których każda odnosi się do siebie saméj, jako do własnego ogniska swojego; tak rodzi się społeczność feodalna, a wyrażeniem kamiennem tego rozjednostkowania są one zamki rycerskie rozpojedyńczone, okrywające ówczesną Europę. Nie ma jeszcze ogólnego tła, nie ma jeszcze silnych ogniw, łączących owe jednostki osobne w jedną ścisłą całość; a tém samém świat takowy jest właściwą sceną, po któréj te jednostki mogą bujać samopas, samotnie, niczém niezwiązane. Każda teraz indywidualność w sobie wyłącznie znajduje środek własnéj istoty, ona do siebie się odnosi, z siebie czerpie cały żywot swój, — ona jest wskróś liryczna. Ona cofa promienie duchowe ze świata zewnętrznego, cofa je ze społecznego składu i z natury. Ten świat zewnętrzny a przyroda, to teraz zwłoki bezduszne, puste i głuche w sobie, więc tracą dawne znaczenie swoje, i niby o tyle tylko jeszcze ważą, o ile są środkiem do wyrażenia téj przewagi i przemocy indywidualności człowieka nad tym światem zewnętrznym. Lecz w tém wyrażeniu się człowiek słucha tylko siebie samego; on z tego własnego, osobistego wnętrza bierze modłę postępowania swojego. Nieskończoność atoli, odzywająca się w nim, nie jest jeszcze rozwinięta myślą, rozumowaniem; ona występuje dopiéro ciemném, nieod-

gadnioném parciem, pojawia się jako uczucie. Przez barwiste więc szkiełka uczuć człowiek patrzy się teraz na świat; on wykonywa to, do czego go prze własne serce jego.

Gdy zaś ten zewnętrzny świat jest już teraz dla ducha ludzkiego bez znaczenia, gdy mu jedynie tyle zostało wartości, aby duch mógł na nim położyć oznakę nieskończonéj przewagi swojéj, przeto znać, iż ta zewnętrzna rzeczywistość cała nie zdoła już wystarczyć duchowi; bo on radby obaczyć wizerunek własnéj istoty swojéj, a obrazem takowym nie może już być więcéj tuteczny świat; bo w duchu odezwało się wiekuistości poczucie, lubo jeszcze niepewne, ciche, instynktowe, a świat ten z doczesności się rodzi, jest sam tylko przemijającém, marném zjawiskiem. Ztąd ród ludzki jest teraz jakby tęsknotą duszy młodzieńca o uczuciach niewymownych, z których sobie sprawy zdać nie zdoła; tęsknota nieskończona, niewytłomaczona brzmi w sercu jego; ta tęsknota robi w nim i pracuje i prze do czynów, wypiera w świat daleki; radby on cóś stworzyć, cóś zdziałać, obaczyć własną siłę swoją w dokonanych sprawach. To uczucie nieskończonego jakiegoś braku wzmaga się i rośnie, a rośnie w potęgę, nie dając pokoju. Więc człowiek rzuca się w świat; a wodzi go przez świat, jak rzekłem, samo uczucie, a nie treść wyrozumowana, myśleniem rozwinięta. Ztąd w tém parciu nie ma pewnego oznaczonego celu; radby on jedynie wytrząść z siebie ten niepokój gwałtowny, wyrzucić z siebie tę burzę, a w łamaniu się z tą rzeczywistością wysilić z siebie te moce, co nim miotają; radby położyć na świecie zewnętrznym cechy swojéj potęgi i śmiałości samoistnéj. Szuka tedy przygód nadzwyczajnych, fantastycznych, puszcza się na awantury, igrając z losem. Jestto niepokój młodzieńczy; dlatego właśnie one czasy rycerskie butne i zuchwałe, oblane są urokiem tak czarodziejskim dla serc młodzieńczych, żyjących jeszcze życiem wewnętrznem duszy.

Otóż i tu widać ogromną różnicę ducha awanturniczego średnich wieków od przygód bohaterów w świecie klassycznym. Można zaiste Odysseę homerową nazwać poematem romantycznym klassyczności; ale mnie się zdaje, że to porównanie, podobnie jak wiele innych, choć dowcipne, jest powierzchowne, bo miesza dwie rzeczy zupełnie różne. Gdy najgłębszym gruntem swoim odróżnia się świat romantyczny od klassycznego, więc i pojawy ich winny być wskróś różne od siebie. Duch grecki, właśnie dlatego, iż jest w harmonii ze światem zewnętrznym i rzeczywistym, ku temu się też ma, aby treść swoją, swoje uczucia uiścił w rzeczywistości; słowem, jemu chodzi o cel swoich spraw. Ulisses w Odyssei przebywa wprawdzie awantury, jakby rycerz błędny, ale on nie szuka tych przygód dla przygód samych, one mu się nawijają same, on ich nie zaczepia, ma się tylko obronnie do nich, on dąży do pewnego celu; jemu chodzi o powrót do domu, do żony, do ojczyzny; on przemaga przygody częściéj roztropnością, a w ostatnim razie dopiéro używa męztwa.

Przeciwnie zaś, charakter na sobie oparty, odważny, śmiały, sadzący życie na igry, aby właśnie okazać swobodę zuchwałą, niekrępowaną. jest głównem tłem, na którém rysuje się postać rycerza średnich wieków... Ta odwaga, to męztwo różni się od męztwa klassycznego tą właściwą sobie cechą, że rycerz waży życie, choćby bez celu (więc bez odnoszenia się do świata zewnętrznego), że je waży choćby tylko dla tego, aby okazał światu swobodę duchową i najwyższą niezawisłość, a co więcéj, aby sam się uczuł w téj swobodzie, w téj dzielności butnéj. Ztąd zabawy i gry rycerskie, turnieje nawet często zabarwione krwią i skonem. Jak zaś u rycerza ta czynność zuchwała, to pasowanie się z rzeczywistością wyjawia przewagę ducha nad światem zewnętrznym i posuwa lekceważenie téj rzeczywistości aż do igier a żartów swawolnych z życiem; tak znów odwrócenie się od świata tego, zrzeczenie się przyrody i społeczności, pogarda tego, co życie daje, zamknięcie się we własnych duchowych głębiach przemieszkuje w ścianach klasztornych. To życie zakonne jest również przewagą ducha nad rzeczywistością i pogardą a lekceważeniem jéj; jest również wycofaniem ducha ze świata, z własnego ciała, z życia, choć zupełnie w inném, różném znaczeniu, bo jest życiem czysto duchowém. We Władysławie, rycerzu-zakonniku, widzimy dwa te powołania uosobione w jednéj i téj saméj postaci, choć w różnych czasach. Oba zaś w średnich stuleciach spływają razem w zakonach rycerskich.

Czas ten, lubo tak kalejdoskopowy, lubo tak rzucający się bez oznaczonego celu, tworzy charaktery potężne, i ludzi dzielnych, Trzeba umieć życie ważyć, jeżeli tego potrzeba, by hartem wyrobić ducha swojego. Młodzieniec, który nie przeszedł nigdy niebezpieczeństwa życia, nigdy nie widział śmierci przed sobą, który się nigdy nie obaczył z nią oko w oko, czyli to trafem, czyli w dopełnieniu powinności, ten nie wychrzcił się na męża; duch jego wiotki jest niby bezkostnym mięczakiem.

Widać, że w średnich stuleciach istota człowieka rozpękła się na dwoje, bo duchowa strona przerosła zmysłową, idealna wzniosła się nad rzeczywistą; obie te potęgi zerwały przymierze swoje i nie łączą się więcéj harmonijnie z sobą. Właśnie zaś dlatego, że człowiek jest istotą zmysłowo-duchową, gdy niezdolen wyrzucić z siebie potęg natury, zatém się téż dziać musi, iż te moce zmysłowe, choć na czas uśpione, nie mogą być zniweczone i dopominają się o prawa swoje w nieopatrznych chwilach, a odzywają się tém gwałtowniéj, że odstały od idealności, że się rozstały z duchem, coby je uszlachetnił, uzacnił. Ztąd występują obok siebie i z kolei ostateczności, które miotają człowiekiem. A gdy, jak rzekłem, społeczność nie była jeszcze uorganizowaną, nie była powiązaną ścisłym węzłem towarzyskim, gdy nie znała tysiącznych nitek, trzymających indywidualność w karbach prawa, obyczaju i zwyczaju; dlatego tém gwałtowniéj pojawia nam się teraz wszędzie to dziwne przerzucanie się

z idealności nadgwiazdnéj w nizkie młaki grubéj zmysłów ochoty, — z uczuć rzewnych, miękkich, tkliwych w barbarzyństwo twarde, okrutne. Ostateczności atoli, które teraz ciskają człowiekiem, nie rosną już w kształty potworne, które przerażają, trwożą myśl w Indyach. Bo w świecie chrześcijańskim idealność nie jest już więcéj oną abstrakcyą głuchą, bezdenną, która niby topielcem ciemnym chłonie i naturę i człowieka; tę idealność teraz napełnia treść głęboka, rozwinięta, przepromieniona prawdami wiary zbawienia; a z drugiéj strony też świeci nadzieja, że zmysłowa surowizna natury będzie obłaskawiona, okiełzana nauką chrześcijańską. Możnaby raczéj twierdzić, że średnie wieki pod wielu względami przypominają romantyczność mahometańskich ludów; ale zważmy, że zachodzi przecież ogromna różnica w pojawach obu tych światów. Abstrakcyjne wyobrażenie o Bogu w Islamie ma tylko potęgę ujemną, ale nie ma treści dodatnéj, nie przenika wszystkich stosunków człowieka, nie wznosi osoby jego do nieskończonéj wartości. Wiara chrześcijańska zaś przejmuje go wskróś, napełnia wszystkie serca przybytki, uświęca wszystkie drogi życia jego i nadaje mu znaczenie wiekuiste.. Lecz zanim nauka ta Zbawiciela zdołała skruszyć, przemódz dzikie barbarzyństwo średnich wieków, długo jeszcze pasował się w sercu człowieka anioł światłości z demonem ziemskim; więc długo jeszcze umysł ludzki, pełen sprzeczności, kołysze się niepokojem, wykazując to jasne, to ciemne strony istoty swojéj.

Takim był człowiek pojedyńczy, takiemi były narody — ba, cały ówczesny chrześcijański świat. Rycerz błędny o jednym koniu i rynsztunku, tak party jest niepokojem w daleki świat, jak Marco-Polo, co się puścił w zapadłe, nieznajome ludziom strony Wschodu, jak cała Europa, gdy nad nią hasłem zagrzmiało imię Grobu świętego.

Wyznaję chętnie, że wojny krzyżowe miały za jeden z głównych pierwiastków swoich uczucia wiary i pobożności głębokiéj, ale też trudno zaprzeczyć, że europejskie ludy parte były tęsknotą fantastyczną, nieskończoną. Kipiąca żądza przygód, awantur, zaledwie nie rozsadzi piersi młodzieńczéj Europy; trzeba było tylko słowa, nadającego nazwę tym uczuciom niewymownym, aby to słowo wcieliło się w serca wszystkich ludów i zapracowało w nich wrzącém uczuciem. Piotr pustelnik, ów pielgrzym zbiedniały, opasany powrósłem, wyrzekł to słowo, a ono wpadło zarzewiem ognistém w duszę palną Europy, a ta stanęła pożarem, co ogarnął ówczesny świat od końca do końca, i wszystkie ludy i stany.

Ciągną więc do Grobu świętego: Godfryd z Bouillonu, książę Normandzki Tankred, Rajmund, hrabia Tuluzy, i wszystkie one postaci świetne, szlachetne, rycerskie, i biegną do Grobu świętego tłumy tysiączne pacholąt, dzieci zbiegłych z rodzicielskiego domu, i przewala się na Wschód ów motłoch bez liczby, co obrawszy sobie za przewodnicę gęś i kozę, rabuje, morduje po drodze, aż znów kupy onéj gawiedzi z kolei wyrżnięte były do nogi; bo z dwóch kroć sto

tysięcy awanturników, z których się składały, żaden nie ujrzał Ziemi świętéj — wszyscy legli trupem jeszcze na europejskim lądzie.

Gdy hufce regularne dosięgły pierwszych palestyńskich pagórków znagła stanęła na widoku święta Jerozolima — cel życzeń serdecznych, a tęsknot gorących — oblana światłem różowém młodego świtu. Jęk radości niewymownéj przeleciał długie wojenne zastępy; rzucają się twarzą o ziemię; płacz rzewny rozebrał stwardniałe oddawna uczucia; modlą się, płaczą, błogosławiąc godzinę, w któréj się na świat rodzili, kwilą serdeczném dziękczynieniem; więc obejmują się uciśnieniem wzajemném radości; znikły nienawistki drobne, płaczą pancerne męże, rozczulone serce do serca przytulając.

Runęły warowne baszty i mury Jerozolimy; przez wyłomy taranów wpadają tłumy orężne. Wojownicy, dopiéro tak tkliwych uczuć, tak roztropnego serca, teraz, jakby morderczy zwierz pustyni, rzucają się na mieszkańców; — ryk wściekłego szału, jęk, od ulicy do ulicy, od domu do domu gonitwa, mord, śmierc; bruki, ściany mieszkań posoką spluskane; kupią się trupy niewiast, dzieci, niemowląt stosem na stosach. W meczecie Omara zwycięzcy brodzą powyżéj kostek we krwi. Trwają mordy dzień i trwają noc; w końcu umilkły, bo nie stało sił zabójcom, nie stało i ofiar.

Jeszcze nie ostygła krew, tu i owdzie dopiéro z pod kupy zabitych słychać ostatnie umierających westchnienia, — już zastępy Europy przerzucają się w ostateczność, i znów ze łzami w oczach modlą się i płaczą, miękkie i czułe, niby kobiety lub niewinne pacholęta.

Krzyżowcy nie widzą przedmiotu, czém jest w samym sobie, ale czém je czyni własna indywidualność wewnętrzna człowieka; jéj szkiełkami patrzą na świat i własne dzieła swoje.

Lubo dotychczas w lekkich zarysach przypomniałem ci dopiéro jedną stronę dziejów ludzkich w wiekach średnich, będącą osnową dla fantazyi romantycznéj, przecież myślę, że z niéj już widać, iż ta sama epoka historyi powszechnéj, która z siebie zrodziła fantazyę romantyczną, nastręczyła jéj zarazem bogatszą jeszcze osnowę, aby ta fantazya, ten cudowny kwiat miał się czém żywić w piękności swojéj, by znalazł i ziemię, z któréjby brał sobie soki i siłę do rozwoju swojego.

Zaiste, zechciéj zważyć, że w saméj téj butności samowolnéj, rycerskiéj, puszczającéj się samopas przez życie, że w tym fantastycznym harcu, słuchającym jedynie natchnienia własnych osobistych uczuć swoich, zdradzającym więc sprawy tak różne i lóżne, tkwi jakiś pierwiastek, który zestraja te sprawy rozmaite, stojąc im za wspólne tło i dno. Zgadujesz zapewne, iż właśnie dla usposobienia, będącego cechą romantycznych wieków, ów pierwiastek również sam

będzie potęgą wewnętrzną a odnoszeniem się ducha do siebie, jako do ogniska swojego; — on będzie również odwoływaniem się do indywidualnych, osobistych uczuć, jako do najwyższych wyroków swoich. Tym pierwiastkiem a zakonem władnącym jest cześć, jest *honor*.

Jak różne barwy w obrazie łagodzą jaskrawość swoją tonem wspólnym, co rozpływa, jakby chuchem, po całém malowaniu, nadając mu harmonię dźwięczną; tak i one sprawy awanturne, przygody lóżne, różnorodne nabierają jakiéjś harmonii i całości, bo im wszystkim przyświeca honor, jako gwiazda, oblewająca je wszystkie wspólną poświatą lekką, duchową.

Wszak honor i cześć, jak wszystkie pierwiastki rodzące się w średnich wiekach, pochodzi z własnych głębin człowieka, z opierania się jego na sobie samym; jakoż honor i cześć jest uczuciem zupełnie indywidualném, wypływającém z własnych osobistych głębin, z własnego sposobu zapatrywania się na świat. Każdy człowiek sam jest stroną i sam sędzią w sprawach swojego honoru. Co dla jednego jest obojętném, jest dla innego ciężką obrazą. Drobnostka, nie mająca sama przez się żadnego znaczenia, nabiera ogromnéj wartości, gdy człowiek właśnie tę drobnostkę uważa za wyobraźnika swojéj osoby, swojego wnętrza. Tak tedy i tutaj przedmioty zewnętrzne nie są więcéj uważane za to, czém są same w sobie, ale za to, czém je miéć chce indywidualne przekonanie człowieka. Widzisz więc i tutaj przewagę ducha nad zewnętrznym światem! Dlatego wyrządzenie szkody materyalnéj, choć ogromnéj, nie jest obrazą honoru, jeżeli nie płynęło z chęci obrazy, jeżeli czyn przeciwnika nie wypłynął, również jak honor, z wewnętrznych przybytków serca jego. Świat klassyczny nie znał honoru w znaczeniu ludów chrześcijańskich, bo ani w Grecyi ani w Rzymie nie roztworzyły się jeszcze do dna wiekuiste głębie człowieka, bo tam duch żył jeszcze w harmonii z rzeczywistym światem, z naturą i społecznością, żył jeszcze życiem zewnętrznem, i dlatego właśnie człowiek był raczéj obywatelem, niż człowiekiem. Jak przeto w starożytności téj człowiek nie uznaje jeszcze ogromnéj wartości swojéj jako człowieka, tak téż żyjąc życiem zewnętrznem, uznaje jedynie dostojeństwa, które na niego jako na obywatela spływają, które mu tedy idą z zewnątrz, ze społeczeństwa; widzisz przeto, że tam nie ma jeszcze honoru, ale są dopiéro honory. Wszak jeszcze bohatery i króle Homerowe lżą się i przezywają ostatniemi słowy, którychby nikt dziś nie przeniósł na zimno; ale za to ich blizko obchodzi, co jest rzeczywistém, zewnętrznem, np. wszelkie niesprawiedliwe rozdzielanie łupów, a zatém krzywdy na własności dokonane; i toć to jest iskrą, podpalającą sławny gniew Achillesa za porwanie Brizeidy; ona nie jest jego kochanką w naszém znaczeniu, ale własnością, ale niewolnicą, nie mającą głosu w téj sprawie.

Wyobrażenia zaś o honorze mogą wystąpić w najprzerozmaitszych kształtach; to się jawią w formie zdrowéj, pierwotnéj suro-

wości, to znów toż uczucie honoru kaprysi i przeradza się w dziwactwa chorobliwe.

Najdobitniejszych tego przykładów dostarcza Hiszpania, która właśnie jest krajem, kędy wyobrażenia o honorze rozwinęły się w całéj bujności swojéj. Któż nie słyszał o téj ciżbie pieśni, co zaśpiewały setkami sławę Cyda „el Campeador“ (*); to był rycerz w całém znaczeniu; on przecież „był urodzonym w szczęśliwéj godzinie, on w szczęśliwéj chwili pasowany na rycerza“. Wiesz, że Cyd kocha Ximenę, córkę Germaza, że ten shańbił starego Diega, ojca Cyda, że Diego żąda od syna krwi okaziciela, że Cyd waży się w boleści serdecznéj między miłością a honorem, że w końcu uczucie honoru przemaga, a ojciec ulubienicy pada z ręki młodzieńca; wszak to już wiemy wszyscy z Corneilla, nam atoli mniéj o to chodzi; daleko więcéj, jak myślę, do naszego celu nadaje się scena następna. tak charakterystyczna, a znajdująca się w jednéj z tych starych pieśni. Gdy jeszcze Diego, rozpaczając nad zadanym sromem, szuka mściciela z pośród trzech synów swoich — oni stają przed ojcem. Starzec pragnie doświadczyć ich dzielności. Choć głowę pokrywa siwizny biel, uczucie honoru dodaje sił olbrzymich staréj zlodowaciałéj krwi. Ująwszy ręką dwóch starszych synów prawicy, tak je ścisnął, że obaj młodzieńcy, krzycząc z boleści zawołali „puść nas ojcze, bo umrzemy“. Wtedy skonała prawie nadzieja zemsty w sercu ojca. Zbliża się atoli jeszcze do najmłodszego syna, którym właśnie był Cyd, i jego prawicę uścisnął ojciec; ale młodzieniec obrażony tym czynem ojca, rozgorzał śmiałością i szałem, jak tygrysowi Hirkanii zabiegły z gniewu oczy krwią i krzyknął na ojca: „Odstąp ojcze, bo „biada tobie! odstąp, bo ani będę zważał, żeś ojcem moim — ani zważać będę na żadne słowne przeproszenia; ja, jakby puginałem, témi „palcami mojemi przebiję wnętrzności twoje!“ — Wtedy ojciec zapłakał z radości i zawołał: — „O synu duszy mojéj, twój gniew jest „dla mnie pociechą — twoja tkliwość na obrazę jest najwyższą rozkoszą moją. Ty mi zdobędziesz honor utracony!“ — Ojciec błogosławi syna i podaje mu własną szpadę, i t. d.

To się dzieje w XI-m wieku, za naszego króla Kazimierza I-go. (Mnicha), a 600 lat późniéj Kalderon (**) w tragedyi „Lekarz swojego honoru“ przedstawił, jak Don Gutierre zabija małżonkę swoją ukochaną niewinną; zważ, że w tém zabójstwie on nie tak szuka zemsty krwawéj z powodu niewierności i popełnionéj winy, jak raczéj dlatego, że małżonka „w oczach świata“ nie promieni już w czy-

(*) Nader zajmujące dzieło o Cydzie, tym narodowym bohaterze hiszpańskim, ogłosił *Villemaers* p. t. Le Cid. Son histoire, sa légende, ses poètes. Bruxelles. 1873. — St.

(**) Najgruntowniejsze studyum krytyczne nad utworami dramatycznemi Kalderona ogłosił *Schmidt, Die Schauspiele Calderons.* 1857; zob. także jedyną w swoim rodzaju *Historyę dramatu Kleina*, tom XI-ty, 1874 r. — St.

stości nieskalanéj; więc nie miłość, śmiertelnie raniona, ale raczéj utrzymanie honoru przed światem wymaga śmierci małżonki. Dlatego po dokonaném zabójstwie, Don Gutierre powiada do króla:

Kto rzemiosłem się trudni,
wyjawia je wywieszonym znakiem;
mojém rzemiosłem honor jest,
a ta ręka krwawa znakiem moim!
Honor obmywa się krwią!

W końcu téj tragedyi ten sam Don Gutierre na rozkaz królewski zaślubia się małżeństwem Leonorze. On jéj nie kocha, ale winien jéj to zadosyćuczynienie honorowe, bo był niegdyś jéj narzeczonym, a opuścił, podejrzywając ją o lekceważenie honoru jego. Wszak powiada do Leonory:

wiedz, że byłem honoru mojego
lekarzem, a nie oduczę się
umiejętności téj!

Lubo sprężyny, działające w téj tragedyi, nie są prawdziwém patos, wypływającém z głębin czysto ludzkiéj istoty, to przecież całe zapatrywanie się jest nierównie jeszcze zdrowszém, niż owa kazuistyka z gruntu chorobliwa, którą w innych tragedyach hiszpańskich spotykamy.

Przecież jak w każdéj ostateczności tkwi jéj uleczenie, tak i samowolne wyobrażenie o honorze, dotarłszy do ostateczności swoich, nawraca w siebie, znów się miarkuje. Zaiste, uczucie honoru wypływa z własnego wnętrza człowieka, ale z drugiéj strony znów na tém stoi, aby przecież honor był także uznany od innych ludzi; otóż to oglądanie się na innych ludzi już miarkuje, łagodzi osobiste, ciasne, zacięte wyobrażenia, zbliżając je do ogólnego zapatrywania się w świecie, zatém do ustaw rozumu, bo te zaiste są ogólnemi prawami.

I ciemności były nad głębokością. (Genesis. 1. 2.)

Ciemne były i próżne światów bezdenne przestworza; lecz wśród nocnych przepaści, wśród głuchéj bezdeni wstąpiła miłość, miłość światłością promienna. Więc wśród próżnéj ciemnicy, wśród głuchéj otchłani przebudziły się gwiazdy, ocknęły się gwiazdy do wzajemnéj miłości, ocknęły się z marzeń ciężkich, a z głuchego snu. Gwiazdy jasne, słońca świeciste, jako druhy stworzenia, puściły się kołem weselném, wieńcem radosnym, i śpiewają i grają Bogu na cześć, miłości na cześć. Bo miłość jest nutą światów, a tonów ich miarą. Gdyby jednego z tych braci jasnych, świecistych brakło w kole weselném, jużby zmarły ich tany, jużby gwiazdy wszystkie wróciły do nocnéj ciemnicy, do głuchego snu; więc te światy niebiańskie, miłością wzajemną złączone, w każdym rówieniku swoim wszystkie widzą

siebie, a każdy z nich we wszystkich kocha i miłuje własny żywot swój; w każdym świeci się i zwierciedli cały naród gwiazd na niebie, i tany ich, i życie ich.

Ziemia śpi i marzy — dech jéj ulata ku niebu i buduje się w obłoczne grody i wiąże się w fantastyczne chmur postaci, niby śpiącéj ziemi widziadła senne. Niebo kochaniem wzajemném odpłaca za duszy jéj widziadła, za świeciste grody obłoczne, bo rozpływając się dżdżem po niwach jéj i gajach jéj, poi życiem, poi rozkoszném weselem.

Miotają się w boleści morskie kipiące topiele, grzmi piorunny oceanu szał; to dęba stają kędziorne dzikie fale, to nikną, rzucając się w otchłanie pieniące. Lecz choć miota się boleścią, choć grzmi szałem przepaść morskich wód, wzajem liczą, wzajem ważą, mierzą ruchy swoje rozhukane morskie fale; każda z nich, czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest i skutkiem ruchów innych fal; każda czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest wzajem i skutkiem całéj morskiéj dzikiéj gry.

W domku drewnianym mieszka igiełka mała, co jéj wiecznie tęskno, tęskno do biegunowych gwiazd; choć odwrócisz ją przemocą, choć przetrącisz nawet, ona sili się i mocuje, by ci wskazać piasty świata. Igiełka cicha, nieporuszona patrzy, kędy ją miłość ciągnie, a miłość jéj na dwóch nieba kończynach. Ona cicha, nieporuszona, niby śni i marzy o kochaniu swojém; lecz niespodzianie, nagle czegoś zadygotała w sobie, czegoś się rzuca, drży, jakby ocknęła się w niéj dusza, i miota się, i ciska to na wschód, to na zachód, to główkę wysoko podźwignie, to ją głęboko spuści i kołysze się i drży, jakby strachem; lękiem niepokojona. W téj saméj godzinie, w téj saméj chwilce, po całéj części świata, wszystkie igiełki, choć zamknięte w ciasnéj izdebce swojéj, choć o setki mil od siebie odległe, miotają się, ciskają strachem i lękiem. Zkąd igiełkom te niepokoje i trwogi? Na biegunie, na piaście świata, mocują się i łamią, i walczą potęgi natury, pokrewne igiełce; igiełka czuje ich pasowanie się, i jakby jasnowidzeniem serca odgadła wszystko choć zamknięta w domku małym. Ztąd jéj lęki i trwogi!

Pszczółka brzęczy wesoło — brzęczy poranny paciorek swój, i pozdrowiła kwiatek, co tęsknił miłością i biedził się miłością, a kwiatek dał jéj miodu i powierzył pszczółce tajemnicę kochania swojego, i poleciała pszczółka w posły do drugiego kwiatka, co i przyjął oświadczenie lube, i także słodko podziękował pszczółce, a ona tak się sprawiwszy, ulatuje i brzęczy wesoło. Latem kwiat-miłośnica przeistoczył się w owoc wonny, złocisty i wdzięczny. W owocu tym ziarnka małe, a w ziarnkach we śnie zwinięte przyszłe drzewo, przyszłe kwiaty. Ten owoc wonny, złocisty, i te ziarnka małe, toć zaiste kochania kwiatów i pszczółki brzęczącéj sprawy!

I był ogród, w nim tłumne rody ślicznych kwiatów, co postrojone w sukienki cudnie wyszywane, a wystroiły się i ubrały kwiatki, bo

były miłości tęskne. Jedne rade hołdom pszczółek, co im grały i śpiewały piosenki zakochane; inne patrzały za motylkami, co utrefione w barwy światowe, lekkim rojem oblatywały kwiaty zalotne; inne kwiatki smutne, że bez hołdów pszczółek, a służby motylków, zwiesiły główki i patrzały w ziemię, drobnym świecącym robaczkom dając posłuchanie; jeden tylko kwiat samotny w górę zwrócił oblicze swoje i w niebo patrzał. A niebo spuściło na kwiaty rosę swoją, a i wszystkim kwiatom udzieliło po rosy kropelce. Więc i onym kwiatom motylki, drugim pszczółki wypiły rosy kropelkę, a kwiatki, co w górę patrzały, wypłakały swoją kropelkę, co była niebios darem, a ona, jak boża perełka, spłynęła, spadła i zginęła w ziemi niewidomie. Ten zaś kwiatek, co w niebo patrzał, niebu posyłając wonie na ofiarę, zachował kropelkę jakby oczko błyszczące, a w tém oczku jego przezierało się niebo całe.

Zaprawdę, co stworzone jest, tęskni miłością, tęskni miłością do innych jestestw, co równie wykluły się na ciepłéj Stworzyciela dłoni; zaprawdę, wszystko co stworzone jest, zmierzone, zważone jest wedle innych stworzeń, jest zarazem środkiem i celem wszystkich stworzeń; zaprawdę, wszelkie stworzenie brzmi tonem we wszech światów harmonii, a im wyżéj postawi Ojciec jedno z jestestw swoich na szczeblach stworzenia, tém ono ściśléj zestrojone do całego koncertu natury, tém wyraźniéj z niego wysnuć zdołasz całość wiekuistéj kompozycyi i miary jéj i akkordy; tém wyraźniéj w niém złożona zarodem cała myśl stworzenia. Czyliż człowiek ma stanąć niżéj gwiazdy, lub obłocznéj igry? niżéj ptasząt gromady i rozhukanych wód? niżéj kwiatka lub owadu lub igiełki bezdusznéj? Wszak człowiek jest przyczołem jestestw stworzonych; na nim spoczęły pierwsze promienie i ostatnie promienie myśli światorodnéj; z miłości dla człowieka Bóg stworzył świat, więc człowiek był powodem stworzenia. Wszak Bóg stworzył człowieka, gdy świat stanął już gotowy przed Bożém obliczem, i gdy „wszystko, co było uczynione, było uczynione dobrze“ (Genes. I.); tak człowiek był i skutkiem stworzonego świata a zarazem powodem jego. Więc téż w nim złożony zaród, z którego się snuje całość onéj wiekuistéj kompozycyi; ten zaród jest w duchu jego, w duchu myślącym, czującym. Duch człowieka ogrzany, oświecony Bożą poświatą, rozwinął myślą zaród ten, rozsnuwając samego siebie, rozsnuwając się tęsknotą nieskończoną, miłością bez granic; bo duchowi stworzonemu tak ckliwo, tak tęskno i duszno w tém samotném oddzieleniu od Boga.

W piersiach człowieka świeci ducha kwiat, a na listkach kwiatu drży rosy kropelka, niby oczko niebiańskie; niechaj się duch ku niebu zwróci, a w duchu przejrzy się wiekuistość cała. Wiara Zbawienia zwróciła ducha kwiat ku niebu, a nieskończoność rozpromieniła się w sercu.

Ckliwo i tęskno duchowi ludzkiemu, by wiekuistość swoją obaczył. Zanim zaś anioł śmierci, zesłannik Pański, zdejmie kataraktę

z oczu duchowych, wprzód, by nie olśnęły nieskończoną bożą jasnością, prowadzi jakoby za rękę człowieka na wyższe a wyższe szczeble, do wyższéj a wyższéj światłości; i anioł wiedzie go zwolna od ziemi na szczyty niebiańskie. Człowiek nawzajem, w miłosnéj tęsknocie ujrzenia nieskończonéj istoty swojéj, pragnie gorąco rozświecić nawet ziemskie zjawiska, rozświecić je tym promieniem, co w nim światłością płonie. Takto ziemskie zjawisko, choć samo z nizin doczesnych zrodzone, staje przed nim w gloryi niebiańskiéj chwały; bo wszelkie nawet uczucia ziemskie, byle przepromienione owym ogniem bożym, nabiorą świętości nieskalanéj i wiekuistego znaczenia, a z niemi téż i przedmiot ów, do którego uczucia tęsknią, otuli się nieskończonym, nadziemskim urokiem.

Tak się tedy dzieje, że gdy tęsknota bez granic rozbierze niewymownem uczuciem serce młode, czyste, niezniewažone grubym zmysłów pyłem, już wtedy miłość na świat się rodzi, miłość, któréj przyświeca wiekuistości płomień, miłość pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka.

Postać ukochana jaśnieje wdziękami nie z tego świata, bo serce miłujące użyczyło jéj własnego nieba swojego; co zacności, co uniesień szlachetnych, co uczuć świętych a prawd wiekuistych w sercu kochanka, tém wszystkiém on przyodział postać ulubienicy swojéj. Te anioły wszystkie, mieszkające w sercu jego, jako w niebie swojém, ustroiły postać drogą, lubą w kwiaty wiekuiste, uzbierane w rajach Bożych. Tak duch kochanka przeziera się w postaci ulubienicy swojéj; im tedy on sam bogatszym będzie treścią głęboką, im on sam będzie wyższéj wartości duchowéj, tém wyższym urokiem, tém wyższą świętością oblany pojawi mu się wizerunek téj jego ulubienicy. Tą kochanką jego jest iście sam duch jego własny; on się w niéj widzi, sam się w niéj kocha. Ten obraz jéj jest jego własną duszą, jego własném życiem duchowém, więc on téż za tę miłość swoją chętnie daje ziemskie życie. Tak miłość ta trwa po za groby, ona mocniejsza niż śmierć.

Gdy ta miłość jest najwyższym szczytem ducha, więc gdy znajdzie wzajemność, już wtedy na nią pada szczęście najwyższe, bo wzajemność jest świadectwem dla kochanka o własnéj wartości jego. Tak miłość rozdaje i radości nadziemskie i rozpacze bezdenne; z miłości „wykwita i róża czerwona błogiego szczęścia, i róża biała skonu“.

Ta miłość duchowa, idealna, romantyczna, nieznana pogańskim narodom, pojawiła się ludzkim dziejom w wiekach średnich; ona również poczęła się światu, gdy głębiny wiekuiste roztworzyły się w sercu człowieka, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, zmysłowego, we własne przybytki, w świat idealny, nieskończony; jest ona echem śpiewów anielskich. Wszak Dantego u wrót niebios przyjmuje Beatryxa, co niegdyś była kocha-

niem jego na ziemi, życiem duchowém w doczesnym żywocie; ona go prowadzi przez wiekuiste państwo nieskończonych radości.

Słuchaj śpiewu wieszcza tego: „Jako orzeł w słońce ulubienica patrzała w jasności Boże, i spojrzała w oczy moje; a to spojrzenie błyskawicą wpadło przez oczy do wnętrza ducha mojego i rozpaliło w nim potęgi nadziemskie; więc już wzniosłem śmiało w górę wzrok, wzniosłem go śmiało do wieczności zdroju; lecz olśniony, nie wytrzymałem żarów iskrzących, spuściłem źrenicę! A ona znowu patrzy się w jasne niebios kręgi; a ja, odwrócony od wysokości płomiennych, ssałem oczyma światłość z oblicza jéj — wyssałem zachwycenie! Zachwycenia tego nie wypowie już żadna ziemska mowa; rozumie zachwycenie tylko ten, kto łaską przebudzony! Czyliż byłem w téj chwili duszą tylko? Powiedz mi, o miłości, ty niebios przewodnico! coś mię na promieniach światłości twojéj uniosła — uniosła do wiekuistych sfer.“ (Paradiso, pieśń 1.) (*)

„I znowu spojrzała na mnie ulubienica moja; z oczu płonęły miłości ognie, z oczu, co przeczyste, jasne, jak Boże źrenice, a ja przemożony już spuściłem wejrzenie moje, tracąc samego siebie, a ona rzecze: — Jeżeli ci jaśnieję miłości żarem, jaśnieję światłością nieznaną na ziemskich padołach; jeżeli promienie oczu moich mroczą źrenicę twoją, niechaj nie będzie ci dziwem; mój wzrok rozpalony jest owém widzeniem, co im w głębszych nurtuje światłościach, tém potężniéj pociąga ku sobie.“ (Koniec pieśni IV i początek V)

A Petrarka po śmierci Laury śpiewa:

„Niebios szlakami uniosłem się na lotach duchowych, bym obaczył w niebie, co zniknęło dla ziemi! I obaczyłem ją otoczoną trzecim niebios kręgiem; ona teraz ochuchana wdziękiem wiekuistym, ona teraz już bez dumy podała mi rękę i rzekła: W tém jasności kole zaślubieni będziem na wieki; ja jestem miłością twoją, za którą mocowałeś się niegdyś tak ciężką walką, jam opuściła ziemską pielgrzymkę przed żywota mojego wieczorem. Rozum ludzki nie obejmie szczęśliwości mojéj, oczekuję jedynie jeszcze ciebie, co tak długo kochałeś szaty doczesne, co już pochowane na dole — na ziemi.“

Tak jest, ta miłość idealna, romantyczna, ona pojawiła się światu, gdy się rozstąpiły niebiańskie głębie w duchu człowieka; ta miłość jest pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka; ona mogła pojawić się jedynie u ludów chrześcijańskich, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, bo kochanek w ulubienicy nie widzi, czém iście ona jest, ale widzi, czém ją uczyniła miłość jego. Miłość ta, będąc również, jak uczucie honoru, życiem wewnętrznem człowieka, na sobie się opiera, w sobie ufa. Gdy atoli honor jest wyrazem najwyższym samoistności, miłość odwrotnie żąda zrzeczenia się siebie,

(*) Przypominamy, że przywiedziony tutaj *Raj* Dantego stanowi trzecią część jego *Boskiéj komedyi*. — St.

i oddania własnéj istoty. Butność młodzieńca i hardość łamie się o potęgę miłości; tutaj egoizm po raz pierwszy się ściera; młodzieniec zuchwalstwo swoje, samolubstwo i upór dumy, zacięty składa u stóp kochanki. Miłość jeszcze potężniéj i głębiéj niż honor jest odnoszeniem się do wewnętrznych uczuć człowieka; więc jeszcze mniéj niż honor ogląda się na obce zdanie, na wtrącenie się, na rozsądkowanie cudze, boć ona przecież nie powstaje w skutek rozsądkowania i siebie świadomego myślenia, a jest mocą, która owładnęła ducha, stając się jego mistrzynią a panią. Miłość jest patosem, co porywa, unosi bezświadomie, mimowolnie, i w tém podobna do geniuszu, który zarazem jest potęgą niby obcą, a przecież swoją. W miłości jest rozłamanie się ducha na dwoje; bo zarazem człowiek niby działa wedle woli swojéj, a przecież jest bezwolny, — w nim świeci myśl jasna, a przecież oczyniona — on jest sobą, a przecież nie swój, nie jest sam sobą.

Barbara Radziwiłłówna pisze do Zygmunta listy pełne tęsknoty rzewnéj i ufności bez granic, „Jeżeli W. K. M. pan mój ze mną, któż przeciwko mnie?“ i znów w inném miejscu: „Posyłam ja też W. K. M. pierścionek od wiecznéj niewolnicy swojéj, racz W. K. M. miłościwie przyjąć on zegareczek odemnie, bodajby mnie rychło oznajmił fortunną a wesołą godzinę przyjechania W. K. M. sam do nas.“ W tych wyrazach pełnych prostoty i uczucia znać, że Barbara kochała Zygmunta Augusta, choćby i nie był królem, i dlatego też gdy gromem spadła na niego śmierć ulubienicy jego, on w słoty i burze odprowadza jéj zwłoki do grobów wileńskich; przez ciemne puszcze Litwy idzie droga do przybytków śmierci — czarne konie ciągną karawan, na którym Barbara w trumnie; obok karawanu na koniu król ze smętkiem w sercu. On wiedział, że Barbara kochała w nim nie króla, ale kochanka (*).

Więc też posłuchaj, co pisze w téj mierze Heloiza przeszło czterysta lat wcześniéj.

Heloiza do Abelarda w jednym ze swoich listów łacińskich tak się wyraża (**). „Bogiem się świadczę, gdyby Augustus (cesarz), pan wszechwładny ziemi całéj, uznał mię godną pojąć za małżonkę swoją, gdyby mi oddał cały świat pod panowanie moje, toćbym przecież uważała być wyższéj zacności stać się ulubienicą twoją, niż świata panią. Niechaj się żadna z kobiet nie łudzi, niechaj wié, że jedynie sprzedaje osobę swoją, gdy się zaślubia chętniéj bogatemu niż ubogiemu mężowi; niewiaście takowéj należy się raczéj zapłata pieniężna, niż miłości cześć“ i t. d.

(*) Ob. L. Siemieński w dodatku do „Czasu“ r. 1850 Nr. 12.

(**) Zajmujące przedstawienie wzajemnego do siebie stosunku tych dwóch kochanków zawiera praca *Stefana Pawlickiego* p. t. *Abelard i Heloiza*. 1866. (Odbitka z Biblioteki Warszawskiéj.) — St.

Miłość zaiste nie radzi się myślenia. Póki miłość w sercu panuje, póty też człowiek nie zdoła odróżnić siebie od tego uczucia swojego; nie zdoła przeto ważyć i badać téj miłości swojéj; bo gdy ją bada, rozbiera, gdy nad nią rozumuje, myśli, już wtedy odróżnił się od niéj; już wtedy ona jest czémś różném od istoty jego i już nie masz miłości. Właśnie zaś z powodu, iż miłość jest tą mocą czarodziejską, tém uczuciem patetyczném, co czyni człowieka bezwolnym i wolnym zarazem, co go unosi, porywa, nurząc się w najgłębszych toniach duszy jego; właśnie dlatego miłość tak jest niewyczerpaną, tak nieprzebraną nigdy osnową dla fantazyi chrześcijańskich ludów. Jak zasiew w maju, tak puściły się pieśni miłości, i na wschód, i na zachód, na północ i południe Europy, i brzmiały te pieśni w ludach chrześcijańskich, i germańskich i słowiańskich. Miłość wylewała się dźwiękiem lirycznym, uosobiała się w postaci epopei, aż i w późniejszych wiekach, w następnéj epoce, stworzył się dramat miłości, który śmieje się i żartuje w komedyi, lub kona w tragedyi.

Nie zaprzeczam ci, że ta miłość romantyczna, tak idealna, właśnie dla téj idealnéj natury swojéj porywała człowieka często w drugą ostateczność, w drugą sprzeczność, więc w grubą, brudną, zmysłową ochotę. Boć ostateczności są, jak wiesz, cechą średnich wieków. Tak obok wdzięków niebiańskich, niebolotnych Dantego i Petrarki, nie brakło w całéj ówczesnéj Europie przygódek, jakie nam maluje Boccaccio, lub przedstawia żywot niejednego z lekkosercych Trubadurów. Bywały historyjki podobne do owych scen, które się odbyły między Walkierzem i Wisławem, a panną Helgundą, królewną frankońską, która tak się roztkliwiła pięknemi śpiewkami, które jéj nocą pod oknami nucił nasz Walkierz, że się też dała wyśpiewać z ojcowskiego zamku i uprowadzić aż tu do nas pod Kraków, na zamek Tyniecki. Przypominam ci, jako ta dama zagraniczna spisała się w Polsce — jakto ona zachwyciła się urodą Wisława, którego Walkierz trzymał w wieży Tynieckiéj, jakto ona w nieobecności małżonka, uwolniwszy ślicznego rycerza, uszła z nim do Wiślicy, i jakto Walkierz, wróciwszy z wojennéj wyprawy, po scenach, które pomijam, jedném cięciem zabił oboje kochaństwo. Wszak długo późniéj jeszcze widziano kamień, w którym wyrzeźbione były sceny Walkierza i pani Helgundy, jako na przestrogę a naukę moralną sercom kochającym.

Zgadzam się też chętnie i na to, że ta miłość idealna wyradzała się w przesady dziwaczne; wolno ci się uśmiechać, gdy sobie pomyślisz owego rycerza, co się wałęsa, błąka po świecie, i wyzywa i walczy i goni na ostre z każdym, coby śmiał wątpić o piękności damy, któréj poświęcił służby swoje. Wolnoć żartować z owych piękności, które przyrzekały rączkę i serce wielbicielowi swojemu pod warunkiem, aby np. za rok sześć niedziel złożył u stóp jéj pół kopy wizerunków damskich, odebranych innym rycerzom walką krwawą. Niechaj sobie drwi dzisiejsze pokolenie z owéj miłości idealnéj, roman-

tycznéj, przesadzonéj, aleć mnie się zdaje, że choć sobie może żartować z owych czasów, jednak mu niewolno niemi pogardzać; zacniéj podobno dziwaczyć się z ideałami w sercu i gonić się uczuciem po nad gwiazdy, niż tarzać się w mlakach samolubnych; z tym szałem bezrozsądnym piękniéj podobno ówczesnym rycerzom, niż wielom z dzisiejszych, których miłość spekulacyą, a duszą tabliczka mnożenia.

Zważ jeszcze; — jak miłość uczciwa, idealna, serdeczna łamie, jakeśmy rzekli, butność zuchwałego chłopca i kruszy w nim samolubstwo, tak też i ta miłość romantyczna głównie się przyczyniła do przemożenia barbarzyństwa dzikiego wieków średnich; ona pomogła do strącenia surowizny uczuć twardych, upartych, butnych, ona przekłuła serce, nieużytą skorupą odziane, i tak przygotowała Europę do cywilizacyi i kultury.

Otóż fantastyczność awanturnicza, dzielność samoistnych charakterów, śmiałe męztwo, honor, miłość idealna, były ziemskiemi pierwiastkami, które składały życie romantycznego świata. Moglibyśmy tu inne jeszcze wytknąć potęgi, które podobnie robiły i kipiały w sercu tych poetycznych czasów, lecz te, które wymieniłem, wystarczą. Chciéj tylko zważyć, że wszystkie te pierwiastki, weszły w krew i soki nowożytnéj Europy, że w niéj żyją i tętnią pulsem żywym, choć często niewidnym.

Te pierwiastki wszystkie właśnie stanowią fantazyę powszechną (List XI); fantazyę rozlaną w duszy ludów, a która jest osnową bogatą, a morzem nieprzebraném, wiecznie żywym zdrojem, z którego czerpie fantazya artystyczna wieków romantycznych; ta osnowa staje się jeszcze obfitszą, bezdenną, jeżeli będziesz baczył, że te pierwiastki nietylko występują po jednemu, z osobna, ale najczęściéj ważą się z sobą, walczą w sercu, zderzają się i krzyżują kollizyę, a tak nowe a nowe zradzają osnowy, których nie znała fantazya starożytna. Zważ jeszcze, że te moce i pierwiastki same znów odziane są w promienie wiary, nadającą cechę tak przeważną fantazyi chrześcijańskich ludów, jak to widziałeś w liście moim ostatnim.

Ta osnowa wszystka — toć zaiste kopalnia nieprzebranych skarbów, co ukryte w podziemnych, nocnych przepaściach górskich, strzeżone przez demony zazdrosne; lecz ile razy zjawi się mistrz, zwiastun przeszłości, już różczką czarnoksięzką odgadnie te skarby; one zapłoną ogniem, a zazdrosne demony uciekną, spłoszone potęgą magiczną prawdziwéj poezyi.

Cała ta atoli osnowa, wszystkie pierwiastki fantazyi powszechnéj rodzą się właśnie z owych głębin duchowych, które rozpromieniły się we wnętrzu człowieka; one wszystkie były wypadkiem onego nawrotu ducha ku sobie i jego odstania od rzeczywistego świata, one więc wszystkie mają cechę rozdwojenia się wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ztąd też osnowa téj fantazyi powszechnéj jest odpowiednia współczesnéj, artystycznéj fantazyi, więc dziełom sztuki

czasów romantycznych. Bo jak poczucia nieskończoności, zrodzone nie z tego świata, rozdzielają ducha człowieka od rzeczywistości, tak też i w dziele sztuki znać, że nieskończoność a dzieło, w które ona jest wlana jako we formę swoją, nie są sobie odpowiednie, znać, że treść nieskończona nie zdoła się pomieścić w dziełach sztuki, jako w wyrażeniu swojém zewnętrznem.

Otóż wiemy jakie były pierwiastki duchowe w tych wiekach, wiemy, jaka była fantazya powszechna, a tém samém jaka była osnowa dla fantazyi mistrzów tych średnich stuleciów. Przecież to wszystko tém jaśniéj wyświeci się, tém szczerzéj roztworzy nam duszę swoją, jeżeli zwrócimy jeszcze baczność, jakto zapatrywał się człowiek w średnich wiekach na rzeczywistość zewnętrzną, a mianowicie na świat zmysłowy, czyli na naturę, i na świat duchowy, zwłaszcza na dzieje powszechne ludzkiego rodu. Nie trudno ci wywróżyć, co nam się pod tym względem wyjawi, byleś chciał miéć na myśli całe usposobienie umysłowe średnich wieków, rozwinięte powyżéj: więc owo pogrążenie się ducha w sobie, a odwrócenie się od rzeczywistości, od natury, która go otaczała do koła; a przedewszystkiém chciéj już pamiętać, com rzekł powyżéj, że właśnie dla tego usposobienia swojego duch o tyle tylko sobie ważył świat ten zewnętrzny, te formy natury, o ile były mu środkiem do wyrażenia treści swojéj indywidualnéj, która w nim pracowała, miotając nim i robiąc.

Jak będziesz kiedy w Krakowie, przejdź przez Wisłę, potém weź się na prawo, zostaw po za sobą i mogiłę Krakusową i ów samotny, dziki jar opoczny, co go lud szkołą Twardowskiego zowie; bo podobno on tam, jak słychać, miał się uczyć po nocach od szatana elementarza czarnoksięzkich sztuczek swoich; a gdy już miniesz całą ścianę skalną stromych krzemionek, wtedy miéj się ciągle pod wodę, a niezadługo staniesz w Borku. Borek — to wioska, co warta pamięci i czci. Bo widzisz, będzie temu lat sześćset, gdy ludy europejskie dumały, marząc w ciemnéj nocy duchowéj; zegar dziejów ludzkich zaledwie był wybił północ głuchą; wtedy, jakby ptaki nocne, ciężkiém skrzydłem wałęsały się po świecie roje zabobonów i guseł, a snuły się po ziemi straszydła szkaradne, a chodziły wśród żyjących spragnione upiory. Otóż w téj grubéj nocy, siedział właśnie w tym Borku szlachcic, co się bawił światłem. Zwał się on Witellio, bo się ciołkiem pieczętował (*). Otóż ten szlachcic od rana do wieczora kreślił jakieś figury matematyczne, liczył i rachował, i badał światło, i uważał, jakto się promienie jego odbijają, jak

(*) O Ciołku ogłosił ostatniemi czasy monografią dr. *Wituski* p. t. *O życiu i dziele optycznem Vitelliona.* 1870. — St. —

się łamią, i nadstawiał im to płaskie, to wklęsłe, to wypukłe zwierciadła, i znów czasem ostrokręgowe; i prawił o zbieraniu się światła, o ognisku tych zwierciadeł, nawet był przekonany, że mocą takich zwierciadeł i ogień rozniecić można! Znów rysował i liczył i tłómaczył teoryą ludzkiego oka. Patrzał też często to na słońce, to na księżyc, i dla tego nieraz wychodził na górę Lasotę, a nawet na stojącą na niéj mogiłę Krakusa; bo tam mógł więcéj nieba i świata obaczyć. A gdy się już dużo napatrzył, i narachował, i figur nakreślił, jął się pióra i napisał Optykę; a co on skreślił w téj książce swojéj, toć potwierdził i uczony Paryż; szkoda tylko, że dopiéro w pół tysiąca lat późniéj. Widzisz, że nie ma się czemu dziwić, że go współcześni za czarodzieja mieli; ale szczęściem dla niego, iż oni dopiéro po śmierci tak się na nim poznali. Właśnie w te same lata, gdy nasz Ciołek sobie chodził z dworku swojego na Krakusową mogiłę, a z mogiły do dworku, żył daleko od niego, bo za morzem, bo w Anglii mnich, nawet mu z imienia nieznany. Lecz choć się oni nie znali, oba byli przecież braćmi z geniuszu i natchnienia. *Roger Baco*, bo tak było na imię mnichowi temu, także był za czarnoksiężnika, ale za życia jeszcze, uznany (*). Wysechł więc w katuszach więziennych, w podziemnych ciemnicach, odgrodzony od ludzi i od słońca, a głodem morzony. I on bawił się światłem! A ciągle sobie roił po głowie niestworzone rzeczy, a co mu się uroiło, toć i zapisywał w wielkiéj księdze (opus majus). Zważ-no, co on w niéj pobajał: „Można sprawić zwierciadła, co przybliżą słońce i księżyc do ziemi, a pacholę, przez zwierciadła takie widziane, powiększy się w olbrzyma; połącz razem saletrę i siarkę i węgiel, a będziesz miał zaprawdę co udaje doskonale błyskawicę i grom, a siła jéj tak potężna, że i miasta rozwali. Nie cuda też złożyć wozy, powiada, coby i bez pomocy zwierzęcéj przebiegały z szybkością wichrów ogromne przestrzenie; możnaby też takie wymyślić statki, któremiby zdołał pokierować sam jeden człowiek; ktoby chciał, mógłby też za pomocą machin nawet unieść się w powietrze jak ptak, albo spuścić się w bezdna morskie i obaczyć ciemne wód tajemnice.“

Patrz — takowe to geniusze świeciły na onczas gwiazdą płomienną! Choć atoli świeciły jasnością, a choć i światłość była ich ulubienicą, któréj oddawały służby i życie swoje, przecież ciemno, nocno i głucho było po ziemi. Natura i zjawiska jéj, one bezduszne wiekuistéj mądrości zwiastuny, były jeszcze dla ludzkiego rodu księgą tajemniczą, na siedm pieczęci zamkniętą. Cała umiejętność

(*) *Roger Baco*, mnich angielski, który już w trzynastym wieku wskazywał na potrzebę odrodzenia nauk. Za pisma swoje, domagające się reformy duchowieństwa, wtrąconym został do więzienia, w którém przez lat 10 przebywał. Umarł 1294 roku. Nowsze prace o nim: *Charles*, Roger Baco, sa vie, ses ouvrages, ses doctrines. 1861 i *Schneider*, Roger Bacon. 1873. — St. —

bawiła się dwojaką filozofią. Jedna była owa scholastyczna; dla téjto filozofii nie było natury, ani rzeczywistości; ona popisywała się bystrością osobistą w sylogistyce sztucznéj, będącéj jedynie wyskokiem subtelności rozumowéj; nie zostawała więc w żadnym stosunku do zewnętrznego świata. Obok téj filozofii scholastycznéj, zasadzającéj całą mądrość na formach rozumowania, na sztukach łamanych logiki ówczesnéj, żyła w średnich wiekach druga, dla któréj zdrojem prawdy było widzenie wewnętrzne, patrzenie się w objawy prorocze własnego ducha, kontemplacye tajemnic własnego serca; słowem, była to filozofia mistyczna, głęboka, bezdenna a pragnąca w zapadaniu w sobie połączyć się z Bogiem. Obie te filozofie średnich wieków, lubo sobie odwrotne, były przecie koniecznym wypadkiem ducha téj epoki, one obie są wzajemném siebie dopełnieniem, obie nie uznają znaczenia natury i rzeczywistości.

Duch człowieka w średnich stuleciach, w siebie się patrząc, miał dla cudów przyrody olśnione źrenice. Natura — to wroga, to pokusna potęga, — ona przyczajona rozpina zdradne sidła nieopatrznéj zmysłowéj ochocie. Ztąd pogarda dla pięknych, uroczych form; ztąd człowiek wzdryga się na myśl wcielania, zmateryalizowania prawd świętych w postaci wzięte ze zmysłowéj natury. Fantazya, odwrócona od cudów przyrody, była głuchą na jéj muzykę, ślepą na jéj wdzięki czarowne. Duch modlił się w sobie, uczucia płakały z rozrzewnienia w cichym, samotnym serca przybytku.

Dopiéro późno, bardzo późno, gdy brzask młodego dnia rozwidnił świat średnich stuleciów, zwolna znikała mglista opona z dramatu natury; a po jednemu roztwierały się okienka duszy, i powiew świeżego zarania ocucił zadumaną Psychę; a ten powiew zarania i pierwsze łuny świtu nowéj epoki wynęciły duszę z samotnéj wewnętrznéj świetlicy w ten piękny boży świat. Późno, bardzo późno zjawiło się przekonanie w duchu, że najwyższa świętość na niebie w najwyższéj piękności na ziemi znaléźć winna zacne uwidomienie swoje.

Zapuść się pielgrzymką w zamętne Rzymu lub Neapolu katakumby. Tu miasto boże rozrasta się labiryntem podziemnych konarów. Uliczki wązkie, nizkie, biegną, krzyżują się; znów odstępują od siebie i znów się wiążą; wszędzie i wszędzie u góry, u dołu, we wszystkie strony, i z prawéj i z lewéj w ścianach wykute niże podłużne, kędy robotniki w winnicy Pańskiéj złożyły kości swoje — one spoczęły około męczenników wiekuistéj prawdy, jako umierają pszczelne roje około swojéj matki. Gdy zaświecisz w te niże, obaczysz jedynie popioły i kostki martwe, lecz słyszysz w nich tajemne bicie ich serca; słyszysz i odgłosy ich tryumfów w skonaniu. I zewsząd ciągną się ulice, krużganki śmierci, i groby przy grobach; zewsząd towarzyszą ci na podróży po ciemnicach umarli, umarli w światłości a za żywot wiekuisty. Wędrowcy, przyświecając sobie drogę zapalonemi gromnicami, ciągną długim sznurem światełek błędnych, jakby orszakiem pogrzebnym, po przybytkach zmartwych-

wstania. Niekiedy rozstąpią się ciasne korytarze i dźwignią się wysokim stropem, — to niegdyś kaplica; ława kamienna, jama u góry, — to niegdyś ambona; grobowiec świętego męczennika, bożego wybrańca — to ołtarz, ołtarz ofiarny. Podnosisz pochodnię, co niepewném światłem drży po ścianach, a po ścianach, po stropie dygocą przedwieczne malowania. Rzekłbyś, że psalmy, hymny, pieśni święte, łzy i płacze wcieliły się w te malowania, co jak krzewy wonne rozpięły się po ścianach, po stropach kaplicznych. I toniesz okiem w tych obrazach, i toniesz z lękiem i czcią w sercu w tych postaciach, co tu jakby bożém przykazaniem żyją i mówią wśród popiołów, wśród cielesnéj niemoty. Te malowania rozkwitły tu po grobach przed półtora tysiącem lat w owych pierwszych wiekach chrześcijańskich, kiedy ziarno boże puszczało lekkie kiełki z pod wrogich mrozów świata. Te malowania tak rzewne, tak niewypowiedzianym wyrazem wglądają w duszę twoją; i ty nawzajem toniesz w nich myślą i sercem.

Zrazu dreszcze i uwielbienia i lęki przebiegły cię mrowiem, a braknie upamiętania, zebrania w sobie, byś zdołał widzieć artystyczność, która władała pędzlem starego mistrza; bo ty zrazu, podobnie jak on, jedynie oczyma ducha widzisz te dzieła jego; milczą zmysły cielesne, olśnione nadświatnym promieniem.

Gdy się nieco rozpatrzysz i nawrócisz do siebie, wyznasz, że w rzadkich wyjątkach tylko znajdziesz formy ściśle artystyczne, a to jedynie o tyle, o ile je zawiały jakby przypomnienia z umarłéj już sztuki klassycznéj Greków; o ile zaś one urosły samoistnie z ducha pierwszych chrześcijan, o tyle znać w nich lekceważenie sobie natury i w postaci i w draperyi. A przecież mimo braku ścisłego rysunków, mimo twardości i skostnienia tych figur, one ogromną potęgą uderzają na widza, bo przez te formy nieartystyczne wygląda treść wiekuista; treść ta przerosła formę, która pęka niby łupina wymietna, wypuszczając z siebie boże ziarno, owoc niebiański. Tutaj wszędzie znać kompozycyą ogromną, pomysł całości genialny, obok niedostatku w samém wykonaniu; wszędzie widzisz, że forma zewnętrzna, widoma sprostać nie zdoła treści tak nieskończonéj jak wieczność. I tutaj, jak i wszędzie w tych stuleciach, poznajesz, że świat zewnętrzny, że ta natura, że życie doczesne nie ma znaczenia dla człowieka, dla ducha, że ono o tyle jedynie waży, o ile jest dla niego środkiem a znakiem do wyjawienia jego treści wiekuistéj. Te malowania, to iście hymny i psalmy; jest to modlitwa, co śpiewa w duchu człowieka, jest to zdrój, co wypada z serca pełnym potokiem bez względu już kędy popłyną wody jego; jest to malowania liryczność najwyższa.

Widziałeś tedy jaki był powód głęboki braku artystyczności i natury w pierwszéj sztuce chrześcijańskiéj; już ten powód spoczywał na dnie ówczesnych wieków i tkwił w nich nawet bez ich świadomości jasnéj. Średnie wieki, choć nie znały ducha, co w nich żył,

miały wstręt instynktowy do form uroczych natury, więc do pięknych obrazów, do cudnych posągów i same tłómaczyły sobie tę niechęć swoję niby obawą, aby te dzieła sztuki nie były przypomnieniem pogaństwa.

Zważ jeszcze, że gdy ta prawda już wyświeciła nam się jasno ze samego wykonania tych obrazów, toć ona jeszcze silniéj nas uderzy, gdy zwrócimy baczność na ich osnowę. Jakoż najczęściéj w tych cichych przybytkach żyjących-umarłych przedstawia się postać dobrego pasterza, statku miotanego burzą, baranka, palmy i t. d.; aleć podobne obrazy są symbolami; a symbol właśnie ma dwojakie znaczenie, bo jedno widoczne, dotykalne, niby zmysłowe, a drugie znaczenie nadane, duchowe. (Palma np. raz znaczy wprost palmowe drzewo, drugi raz pokój niebiański.) A to znaczenie duchowe właśnie tutaj waży, ono jest duchem tych obrazów; te przedmioty nie dla siebie istnieją ale dla znaczenia swojego; one są tylko środkiem dla wyjawienia się ducha, są widocznym jego znakiem; znaczenie ich naturalne, przyrodzone tak nie waży, jak i natura sama. Wszak późniéj znajdziesz wprawdzie sceny z Pisma Św. Starego Zakonu, ale i te mają znaczenie symboliczne; są to allegorye, bo się odnoszą do prawd wiary chrześcijańskiéj (np. Abraham, ofiarujący syna, jest przenośnią, wyrażającą Niebiańskiego Ojca, co Syna jednorodzonego poświęca światu na zbawienie).

Owo pomiatanie naturą znajdziesz i w starych mozaikach, które ubrały kościół Wenecki Św. Marka, lub świecą tak poważnie po najdawniejszych bazylikach Rzymu. Znajdziesz to lekceważenie form przyrody na całym chrześcijańskim wschodzie w owém bizantyńskiém malowaniu; te oblicza ciemne, oczy rozwarte, pełne grozy, ten nieruchomy wyraz twarzy, ta draperya i układ jéj, one zaiste nie zrodziły się z zapatrywania się na naturę, co tak pełna krwi i życia i ruchu. W tych postaciach nie tętni serce ciepłe, ustały pulsa i tchy. W koło też nich nie widać natury, pełnéj wesela, nie widać drzew, łąk kwiecistych, zdrojów strumiennych. Zamiast wizerunków malowanych téj przyrody żyjącéj, grającéj, błyszczy złote tło, wyciskane w różne wzorki, niby kobierce świeciste. To tło, błyszcząc i jaśniejąc, potęguje jeszcze wyraz grozy owych ciemnych, uroczystych twarzy. Ztąd też widok ich uderza jakimś głuchym strachem; patrząc się na te oblicza, czujesz jakieś oczynienie i zawianie duszy jakimś chuchem z innych światów.

Jakoż zwolna, stopniowo wyzwalała się sztuka. — Po jednemu, niby ptaki wędrowne, wróżbity nadchodzącéj wiosny, pojawiają się długim szeregiem wielcy mistrze, wysłanniki nowéj epoki sztuki. Tak przodem staje *Cimabue* (*). On roztwiera serce swoje przyro-

(*) *Giovanni Cimabue*, urodził się we Florencyi 1240 roku, umarł 1302; jest on twórcą nowszego włoskiego malarstwa. Główne dzieła jego pędzla znajdują się

dzie, a choć się jeszcze nie zdoła wyswobodzić z pod urzeczenia bizantyńskiéj sztuki, toć przecież jego malowane oblicza, jego pojmowanie natury tak do serca przemawia, tak jest lube i wdzięczne, że wykończenie jego obrazów staje się świętem narodowém dla ludu i dumą najwyższą zacnych jego ziomków. Wszak wizerunek jego Najświętszéj Panny przenoszą uroczystym pochodem z pracowni mistrza do kościoła, a orszak świetnego rycerstwa i grono możnych książąt włoskich towarzyszy uniesionemu radością ludowi.

Raz, pewnego wieczora, aniołek malarstwa wyprowadził mistrza w dalekie łąki i gaje. Wśród skał samotnych spostrzega Cimabue pastuszka, co, leżąc po swojemu na ziemi, rysował kamykiem wizerunek swojéj kozki ulubionéj. Cimabue bierze za rękę bose pachołę i wiedzie z miłością do przybytku sztuki, i uczy i pieści chłopczynę, aż z niego wypiastował onego *Giotto* (*), który był również wielkim mistrzem w architekturze i w malarstwie i w rzeźbie. Właśnie to on zwrócił sztukę na nową drogę, któréj nie przeczuwał nawet świat. Giotto, również jak przyjaciel jego od serca — Dante — uczy się na starożytnych mistrzach i patrzy się naturze w serce i w oczy, i pyta ją o radę. On ją z serca ukochał. Ta jednak miłość jego jest jeszcze nieśmiała; jest to jakby pierwsze kochanie młodzieńcze, trwożne, bojaźliwe, nie ufne sobie. Giotto, otoczony w koło bogactwem nieprzebranéj rozmaitości téj kochanki swojéj — natury, chodzi lękliwie po jéj pałacach, i nie ośmiela się przebierać wśród tych kształtów rozmaitych; więc téż jego obrazy jeszcze wiązane są jakąś architektoniczną symetryą, jego oblicza malowane mają jakiś wspólny sobie typ; brak im indywidualności. Ztąd już wyraźnie znać, że one nie tak są uniesione z natury, jak raczéj wszystkie, niby braciszki rodzone, mają jedno wspólne gniazdko swoje,—a tém jest właśnie serce i duch samego mistrza.

Baczmyż przeto teraz na różnicę włoskiéj a północnéj fantazyi. Różnica ta dobitna, choć tu i tam panuje jeden i ten sam pierwiastek, bo cofnięcie się ducha w siebie i lekceważenie sobie natury. Widziałeś na dziele Stwoszowém krakowskiém silnie wyrażającą się indywidualność na postaciach rzeźbionych; bo mistrz, nie mając innych wzorów, trzymał się natury, czyniąc z niéj wizerunki, portre-

---

w kościołach S. Maria Novella i S. Croce we Florencyi, oraz w kościele Św. Franciszka w Asyżu. Najznakomitszém nowszém dziełem o malarstwie włoskiem jest: *Crowe* i *Cavalcaselle*, History of painting in Italy. 1865 do 1876. — St. —

(*) *Giotto* (ur. 1276 um. 1336) wynalezionym został przez Cimabuego wśród ludności wiejskiéj w Vespignano pod Florencyą i stał się w następstwie jednym z pierwszorzędnych przedstawicieli nowo-włoskiéj sztuki. Na polu architektury i rzeźby najznakomitszém dziełem jego jest wspaniała dzwonnica przy katedrze Florenckiéj, ozdobiona licznemi figurami jego dłuta. Jako malarz znany jest z całego szeregu wielkich dzieł, jak np. obrazy w kościele S. Maria dell' Arena w Padwie, w niższym kościele Św. Franciszka w Asyżu, w małym kościele S. Maria incoronata w Neapolu, i t. p. — St. —

tując ją, ale nie zdołał téj naturze nadać własnéj swojéj indywidualności, nie zdołał wyrazić zmysłowo własnych uczuć swoich, które mu w sercu grały. We Włoszech zaś to samo przebywanie ducha we wnętrzu swojém wyraża się właśnie tém, że mistrz siebie, swoje własne osobiste zapatrywanie maluje w obrazach swoich, i dla tego te postaci, pędzlem jego stworzone, są tak podobne do siebie; nie są wzięte z natury, nie mają właściwéj indywidualności, któraby je różniła między sobą, i dla tego są tak idealne, duchowe i wyrażają uczucia mistrza. Tak indywidualność, będąca cechą wieków średnich, występuje w północnéj Europie tym trybem, że tu mistrz wyraża ją w dziele swojém, jako w wizerunku, wziętym z rzeczywistości; a we Włoszech owa indywidualność objawia się tém, że mistrz w dzieło swoje wciela wprost treść idealną, wewnętrzną, swoją własną indywidualność, nie bacząc jeszcze na naturę i jéj rozmaitość. W obu zaś tych razach widać jeszcze rozdzielenie ducha, bo treści wewnętrznéj mistrza a zewnętrznego świata, czyli natury. To zaś rozdzielenie, ten dualizm, jak wiesz, jest właśnie piętnem ogólném, wspólném wszystkim wówczas krajom i ludom (*).

Wracając atoli do Giotto, uważ, że u niego pierwiastek ogólny i tém się jeszcze wyjawia, że obrazy jego lubią allegorye, bo znaczenie przenośne, choć to nie są czcze, głuche allegorye, ale takie, co mają w sobie życie i krew. Jak ten pierwiastek tkwi, z jednéj strony, w mistrzu samym i w jego ludzie i w czasie, tak z drugiéj strony i przyjaźń jego z Dantem, przemawiającym tak często przez allegorye, a nadto echa, dolatujące ze symboliki pierwotnéj sztuki chrześcijańskiéj, były téj allegoryczności Giotta przyczyną zewnętrzną.

Mimo atoli tego, że Giotto nie oswoił się jeszcze z naturą, przecież niesłychany wdzięk żyje w tych malowaniach jego; one tak piękne i lube, że znać, że to kochanek natury malował oblubienicę

(*) Zważ jeszcze, że mistrze włoscy mają tu ciągle przed oczyma zabytki kosztowne staréj sztuki klassycznéj, które właśnie są tak idealne, ogólne; — co więcéj, duch starożytnego świata żył jeszcze w tradycyi, żył w urządzeniu, w składzie i ładzie miast włoskich, a historya kraju włoskiego w średnich wiekach jest historyą miast włoskich. Tutaj przeto indywidualność ludzka nie mogła tak wybujać samodzielnie jak w Europie północnéj, bo wzięta była w karby przez wspólne prawa, ustawy, obyczaj i t. d., więc przez moc również ogólną. Przeciwnie na północy rozkołysał się tak silnie feudalizm, że prawa ogólne mniéj miały wagi, ale za to indywidualność, każdemu właściwa, wyrosła butnością i z całém zuchwalstwem mocy, która sobie ufa i żyje oparta na swojéj potędze. Otóż, o ile sądzić się ośmielam w téj sprawie, takowy jest powód różnicy fantazyi ludów północnych a włoskich mistrzów. Odważam się przy tém powiedzieć, że téż odpowiedni téj różnicy jest historyczny rozwój sztuki. We Włoszech idealność ku temu się ma, aby się indywidualizować, a na północy indywidualność postaci ku temu dąży, aby się zidealizować! Każda z tych fantazyj dąży do tego, aby idealność i naturę, — indywidualność a piękność nadziemską zestroić w jeden dźwięk, słowem, aby ześlubić z sobą fantazyę romantyczną i klassyczną wspólném przymierzem; co się téż ziści, jak obaczymy, w przyszłéj epoce bo w XVI stuleciu, które jest szczytem sztuki nowożytnéj.

swoją, choć lękliwie i nieśmiało. Trudno mi wspomnieć o tych wszystkich wielkich mistrzach, którzy zacnym promiennym orszakiem przeszli po włoskiéj ziemi. Mimo różnicy ich i co do geniuszu i rodzaju ich talentu, na nich wszystkich jednak spoczywa już choć z lekka tchnienie romantycznéj fantazyi.

Patrząc się na ich dzieła, rzekłbyś, że już naturę opłynął świt różowy, odsłaniając stworzenia cuda, lecz że we własnym domu ducha jasno płonące światłości olśniły jeszcze oczy fantazyi, że jéj tedy trudno rozpoznać kształty, które już dniały na tym pięknym świecie Bożym. Rzekłbyś, patrząc na ich obrazy, że nie tak widzisz przedmioty malowane, jak raczéj głębiny wewnętrzne duszy każdego z tych mistrzów zacnych; ich dzieła, to liryczna pieśń, która z piersi wytrysła, by ulżyć sercu, co przepełnione kipiącém uczuciem, a pieśń ta i jéj dźwięki i uczucia krystalizują się i ścinają w barwy i światła obrazów malowanych, uczuciowych a pełnych sentymentalności miękkiéj. Tak na pograniczu prawie średnich wieków a XVI stulecia klęczy pobożna postać zakonnika-malarza o uczuciach niebiańskich, czystych jak pieśni aniołów około Bożego tronu; więc go też nie darmo zwano Giovanni *Angelico da Fiesole* (1387 † 1455). On zakonnikiem, on maluje bez zapłaty, li z serdecznéj miłości dla Boga i ludzi, on pracuje na cześć Bożą i Matki Jego przenajświętszéj; a gdy maluje, płacze z rozrzewnienia, bo widzi te święte niebiańskie postaci przed sobą, i modli się i krzyżem leży, i z duszy błaga Boga-Rodzicy, by też na niego zesłała łaski swoje, by go natchnęła błogosławieństwem swojém. W klasztorze florenckim Św. Marka, po celach, po korytarzach, po kaplicach widzieć możesz dzieła jego; to jego modlitwy malowane, to jego łzy, to jego tęsknoty ku niebu; one przybrały na się kształty widome, a tak przeczyste jak ta lilia promienna, co mu tchem Bożym w duszy rozkwitła. Ztąd też Kościół beatyfikacyą uczcił anielskiego malarza. Otóż na jego obrazach nie szukaj ścisłości rysunków form cielesnych; ale za to ułożenie tych figur, wyraz ich oblicza, — to z nieba przychodnie, co stanęły w celi obok mistrza, by miał wzór świętości przeczystéj, a barwy jego tak lube, tak pełne wdzięcznéj harmonii! Mówią, że mu się postać szatana nie udawała; zaiste, bo go nie miał w sercu!

W miarę jak człowiek w tęsknocie swojéj zbliża się do natury, podpatrując jéj kształty i podsłuchując jéj mowy, coraz też więcéj a częściéj występuje ta przyroda bezduszna w obrazach. Więc pojawiają się już zwolna widoki okolic, niebo, drzewa, góry dalekie, otaczając ludzkie postaci; a dzieje się to i na południu i na północy. Przypominam ci te urocze kompozycye *Jana van Eycka*, onego arcymistrza staréj flandryjskiéj szkoły (*). Lecz zważ, że natura jest

(*) Założycielami tak zwanéj staréj flandryjskiéj szkoły malarstwa byli bracia *Hubert* i *Jan van Eyck*; pierwszy z nich ur. 1366 † 1426, drugi ur. 1390 † 1441 r.

tutaj wszędzie niby dopiéro oprawą dla postaci człowieka; ona nie istnieje dla siebie, ale istnieje jako środek dla figur ludzkich. Natura nie pojawia się tutaj nigdzie jeszcze samoistnie i odrębnie; słowem, nie masz jeszcze tego, co nazywamy malowaniem pejzażu, kędy natura jest przedmiotem głównym, a figury ludzkie jedynie dodatkowym środkiem do spotęgowania jéj znaczenia, a tém mniéj znachodzisz w téj epoce malowania, roztaczające samą naturę bezludną, samotną, żyjącą dla siebie i w sobie. Uważ, że ta cecha, niby ta nieśmiałość do natury, tak silnie jeszcze władnie w dziełach fantazyi romantycznéj, że spotkać możesz nawet jeszcze jéj ślady w następnéj epoce sztuki, więc w epoce, gdy one geniusze olbrzymie, one kapłany piękności w XVI wieku stwarzają cuda, światu na uwielbienie. Patrz na bitwę Konstantyna w Stanzach watykańskich, malowaną przez Rafaela; konie, jak dawno uważano, są błędnie rysowane obok postaci ludzkich nadświatowego uroku.

Ten sam duch, który żyje w malarstwie romantycznych stuleciów, śpiewa również i w ich poezyi. Rzuć okiem, czy to na epopeje, czyli na liryczne pieśni, i Francuzów i Niemców w średnich wiekach, a wszędzie i zawsze obaczysz, jak oszczędnie wieszcze malują naturę, dotykając się jedynie mimochodem jéj uroków czarodziejskich. Nawet w miłosnych piosenkach trubadurów i minnesengerów usłyszymy wprawdzie jakieś potrącenie o struny otaczającéj ich w koło przyrody, ale dźwięki tych strun nie zlewają się nigdy wdzięcznemi akkordy z treścią główną saméj pieśni. Kochankowie w tych pieśniach, jak mówi jeden z dzisiejszych estetyków, niby dużo i często prawią i o słowikach i o różach i o porach roku; zważmy jednak, że te słowiki i róże i wiosny tak słabo łączą się z treścią poematu, że jakby stereotypy wracają przy każdéj pieśni, i słusznie powiedziano, że to są zewnętrzne arabeski, otaczające rysunek ramką w koło, ale nie splatające się z rzeczą samą. Te wspomnienia natury są kwiatkiem, który bynajmniéj nie rozwinął się z samego gruntu pieśni, ale jest gdzieś tam urwany i przypięty powierzchownie do niéj; słowem, te obrazy natury nie wiążą się organicznie z poematem, ale stanęły obok, z lekka o jego treść oparte.

Prawda, że Dante cudownie umie śpiewać wdzięki przyrody; lecz téżto Dante wykarmiony był na klassykach starożytnych, a, jak wiesz, sam Wirgiliusz był jego przewodnikiem przez piekło, czyściec i niebo. W ogólności chciéjmy pamiętać, że wczesne rozwinięcie się Włochów w średnich wiekach stanowi ważną ich różnicę od ludów Europy. Bo oni duszą gorącą patrzą na naturę i rzeczywistość.

W nowszych czasach historycy sztuki skłonni są oddać pierwszeństwo w sztuce Hubertowi, dowodząc, że Jan korzystał w znacznéj części z dobytków geniuszu i pracy starszego brata i rozwijał tylko daléj wielkie pomysły jego. Zob. w tym względzie szczególniéj gruntowne dzieło estetyka *Hotho*, Die Malerschule Huberts van Eyck. 2 tomy, 1858 r. — St.

a do tego wcześnie byli wychowani na sztuce klassycznéj, greckiéj i rzymskiéj. Wszelako o tém już mówiłem właśnie powyżéj. A przecież znów, mimo tego wszystkiego, Petrarka, co także Włochem, co także wyuczony od starożytnego świata, podróżując po Francyi, Anglii i po Renie, ani słówkiem nie wspomina o naturze tych krajów, jak to Humboldt uważa (Kosmos T. II). Znać, że Petrarka, mimo klassyczności swojéj, czuł się pod tchem właściwym średnich wieków.

Ten charakter poezyi średniowiekowéj już był wyświęcony przez nie jednego ze znawców téj literatury francuzkiéj, niemieckiéj i włoskiéj; aleć ja myślę, że nawet i poezya słowiańska średniowiekowa, co tak świeża, pierwotna jak puszcza boża, nie znieważona gwałtami człowieka, że ta poezya słowiańska jest podobnież potwierdzeniem naszych uwag powyższych. Niezmiernie rzadko, a oszczędnie, i to kilku słowami znajdziesz w niéj odrysowany pejzaż jakiś natury, np. w ruskiéj wyprawie Igora, czytamy: „Drugi dzień rano zorza z krwawym wschodem świt wiodą, tucza w chmury się piętrząca ciągnie od morza zaćmić cztery słońca. Drżą sine błyski, piorun po piorunie bije, i z Donu strzałami deszcz lunie“ (tłómaczenie Aug. Bielowskiego); albo: „Już noc z północnéj chyliła się pory, rzedniały cienie nad szarawym rankiem; cyt, mówił Wyhoń do księcia Oldrzyka i t. d.“ (Oldrzyk i Jarmir, królodworski rękopism tłóm. z czesk. L. Siemieńskiego). Wyszli na górę — stanęli — kraj lasu; tam milczy Praga w zaranném marzeniu, Wletawa mglistą kurzyła się parą, za Pragą góry w błękitnym cieniu, świt za górami wdziewał barwę szarą (tamże).

Takowych dłuższych rozwiniętych obrazów natury nie wielebyś znalazł w pieniach ludów słowiańskich; najczęściéj pieśń ledwie potrąca o naturę, ledwie ją czyni lekkiém tłem, na którém odbywają się sprawy ludzkie, np. stoją góry z prawicy, stoją góry z lewicy, na ich wierzchy kończatę zsyła słońce oświatę (Czestmir i Własław, tamże).

Ten stosunek człowieka do natury jest wprost skutkiem nastrojenia lirycznego duszy w średnich wiekach, która raczéj tonie we własném wnętrzu swojém, a mniéj ma zmysłu dla świata, roztaczającego w koło nas wdzięki swoje.

To nastrojenie, wręcz przeciwne usposobieniu Greków, było powodem, że i jestestwa, któremi świat klassyczny zaludniał naturę, winny były być wbrew różne od tych jestestw, któremi ją napełniała fantastyczność wieków romantycznych. Widziałeś z naszego wywodu bogów i niższych bóstw starożytnego świata, że one stworzone są tym trybem, iż ich pierwszy początek pochodzi zawsze od potrącenia, które fantazya odbiera od natury; człowiek spostrzega zjawisko w przyrodzie, które go uderza, więc uosabia moc w niéj ukrytą, a tak rodzi się zawiązek jednego z bogów. Wiesz atoli równie,

że taki początek ideału, idący od zewnętrznego potrącenia, jest prawdziwie artystyczny i dla tego te bogi greckie są tak piękności pełne. Choć atoli to potrącenie idzie od natury, choć zawiązek rodzi się z spostrzeżenia zjawisk zewnętrznych, przecież Grek chwyta ten zawiązek twórczą potęgą fantazyi swojéj, rozwija go i roztacza mity, uroczą bajeczkę o tym bogu, tak pełną wdzięku i poezyi jak te ich rzeźby i budowania i pieśni.

Inaczéj, a nawet zupełnie odwrotnie, ma się rzecz w średnich wiekach. Wiara chrześcijańska zagrodziła tutaj wprawdzie fantazyi tworzenie sobie bóstw, ale za to ta fantazya zaludnia naturę jestestwami nadprzyrodzonemi; bo roje upiorów, karłów, gnomów, rusałek, strachów, czarownic, czarodziejów i innych dziwaków, djablików burmistrzują po świecie. Te wszystkie jestestwa, co straszą, broją i stroją figle ludziom, najczęściéj biorą swój początek nie tak z potrącenia natury, jak raczéj z własnego wnętrza człowieka; dla tego one nie mają na sobie cechy właściwéj potęg przyrody, dla tego one nie są odpowiednie bynajmniéj z istoty własnéj żywiołom, w których sobie broją i gospodarzą (wodzie, podziemiom górniczym, lasom i t. d.); owszem one są wprost kapryśnym wymysłem fantastyczności swawolnéj człowieka, który patrzy na naturę, ale jéj jeszcze nie widzi. Ztąd też ta wszystka czeladź rzadko tylko jest piękną, i ubiera się jedynie we wdzięki ile razy czyha pokusą na ludzi; zresztą najczęściéj są to garbate, szpetne, kulawe i jakieś dziwne potwory; bo jak tutaj nie znajdziesz pięknéj, greckiéj mitologii, tak nie znajdziesz i rozumu i dowcipu i uroku greckich bogów. Przecież te same uczucia własne serca, wyprawiane w świat zewnętrzny, nie zawsze biorą na siebie kształty osobne, na ich własną miarę wymyślone, ale te uczucia odziewają się w jestestwa już zupełnie w naturze gotowe; do tych jestestw ma się tedy człowiek jak do własnych uczuć swoich, z niemi rozmawia, jakby z sobą samym. W onéj prześlicznéj pieśni serbskiéj dwa czarne kruki siadają na wieży Kruszewca, one przybyły z Kosowego Pola i widziały klęskę krwawą; więc gdy głucho w zamku i cicho, jeden z kruków zakrakał do drugiego: „Czy to zamek sławnego cara! czyliż nie ma nikogo w wieży?“ Caryca Milica, usłyszawszy rozmowę kruków, wychodzi z wieży i rzecze: „Bóg z wami, dwa czarne kruki! Zkądże tak wczesnym rankiem, czy może nie z Kosowego Pola?“ — A kruki na to: — „Bóg zapłać Caryco Milico, z Kosowego Pola lecimy...“ i t. d. i tak następnie daléj roztacza się ta przecudna pieśń. W Igorze, rankiem w maju kukułka kukaniem się żali; — a w Zbychowiu (czeskim)“ „Lata gołąb' siwy i po drzewach siada, los swój nieszczęśliwy lasom rozpowiada:“ latał ja w te lasy w lepsze nieraz czasy i t. d. i t. d. (Królodworski rękop.). Lecz po co nam dalekie przykłady? takie cechy i zwroty codziennie się koło nas rodzą w poezyi ludu jak po-

ziomki w borze, jak kwiaty na łąkach. Puść się przechadzką w wioski nam przyległe a znajdziesz je żywe w powiastkach, w krakowiakach, w przypowieściach i bajach.

List Dwudziesty Ósmy.

Średnie wieki.

(Dokończenie.)

Bliższe określenie średniowiekowéj fantastyczności. — Ściślejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznéj.—Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznéj.—Za to występuje liryczność potężna i muzyka.—Św. Ambroży w Medyolanie.—Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodów muzyki kościelnéj. — Muzyka światowa. — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich. — Porównanie jéj z Islamickiém budowaniem. — Architektura ta jest wprost wypływem cech fantazyi romantycznéj, powyżéj wykazanych.

Widziałeś tedy, jako pierwiastkiem a cechą średnich romantycznych stuleciów było owo cofanie się ducha we własne głębie, więc lekceważenie zewnętrznego świata a mianowicie natury; poznaliśmy również niektóre najgłówniejsze tryby wyjawienia się tego pierwiastku w świecie, i w życiu i w sztuce. Obaczymy teraz jeszcze inne wypadki, które również wypłynęły koniecznie z tego samego usposobienia Europy w średnich wiekach. Wszak gdy człowiek w owych czasach mniéj znaczenia przywiązywał do natury, więc téż nie uznawał praw niezmiennych, będących tłem jéj zjawisk i zakonem. Ztąd powstała wiara w magiczne, duchowe potęgi, w ich przewagę nad przyrodą, ztąd przyszła moc czarów, czarownic, czarnoksiężników i t. d. Tak dziwna sprzeczność objawia się i pod tym względem w średnich wiekach. Bo człowiek niby rozsądnie się zachowuje do rozsądku natury, a przecież znów w niéj widzi potęgi magiczne, co łamią i gwałcą ten rozum natury i jego prawa.

Tak na miejscu natury prawdziwéj, rzetelnéj wysuwa się inna mieniąca, błyszcząca jakby świat czarodziejskiéj opery, która zasłania średnim wiekom przyrodę rzeczywistą. I to jest także jedna z głównych cech stuleciów romantycznych, o któréj jeszcze w liście następnym obszernie pomówimy. Teraz zważ tylko, że podobnie się dzieje z historyą powszechną. Wypadki dziejowe, figury historyczne, oddzielone od siebie przestrzenią krajów i stuleciów, bohatery Grecyi i Rzymu, i króle i rycerze chrześcijańskie, olbrzymy i bogi greckie i czarowniki mieszają się w kalejdoskopie podań, powieści i sagów. Człowiek stwarza sobie i w dziejach i naturze świat oso-

bny, a co mu się zradza w głębiach uczuć jego, to wszystko wynosi na zewnątrz i rozstawia jakby przyrządy naturalne, malowane, czarodziejskie ogrody, drzewa śpiewające, pałace zaklęte, zamki brylantowe. Więc gdy sobie to wszystko umieści wśród rzetelnego i prawdziwego świata, wśród przedmiotów rzeczywiście istniejących, już wtedy tak zmieni ten świat prawdziwy, iż sam nie pozna, co zmyślone a co rzeczywiste, a to tém więcéj, że fantazya oświetli ten cudotworny świat sztucznemi ogniami, lampkami kolorowemi i zapuści go rusałkami, dziwożonami, upiorami, djabłami, karłami, strachami i innémi mieszkańcami swojego chowu, co tam czmychają, hulają, broją i dokazują. Świat cały się teraz mieni, błyszczy i mąci z sobą niby maski zapustne. A życie średniowiekowe, już samo przez się fantastyczne i awanturnicze, jeszcze się potęguje dziwami i migoce się pod tchem fantastyczności rozhukanéj, rozbujałéj.

W téj pięknéj ziemi klassycznéj, w onéj cudnéj Grecyi, fantazya zradzała bożków i bogów; w średnich wiekach zaś czarnoksiężników, straszydła, zmory, karłów zradzała fantastyczność. Grecya była w harmonii z naturą i z sobą; jéj wolno było wywodzić bogów swoich, jakby z zarodów, z potęg przyrodzonych; wolno jéj było wierzyć, że te bogi i bożki, choć są jestestwa jednostkowe, ciałem odziane, władają światem. Średnie wieki zaś były już uduchownione, były wzniesione nad jestestwa fizyczne, a przecież miały wiarę w takowe jestestwa; były tedy te wieki i pod tym względem w sprzeczności same z sobą, a ta sprzeczność i rozdwojenie stanowi właśnie ich fantastyczność. Wszak wewnętrzna sprzeczność wszędzie i zawsze jest cechą ogólną téj epoki. Jest to ta sprzeczność fantastyczna, która rycerza tęsknotą nigdy nieukojoną pędzi przez świat na awantury, nie dając pokoju; która go czyni niepodobnym do siebie samego i wręcz przeciwnym samemu sobie; jest to ta sprzeczność, która, jako uczucie samowolne honoru, w drobnostce pokłada znaczenie całéj osoby i godności swojéj, a pomija sprawy większéj wagi; jest to ta sama sprzeczność, która w onéj idealnéj, nadziemskiéj miłości tchnęła wiekuiste znaczenie na postać ukochaną, co przecież sama, z doczesności zrodzona, jest śmiertelną; jest to ta sprzeczność, która stawia człowieka wśród uroczego dramatu przyrody, a znów go odwraca od rzeczywistości, bawiąc go fantasmagoryą cudotwornych widziadeł. Wszędzie też widzimy zstąpienie ducha w głęboki szyb własnéj swojéj istoty, a wszędzie widzimy ów rozwód głęboki treści wewnętrznéj człowieka a zewnętrznego świata; ztąd dusza, nie wiązana światem zewnętrznym, to buja nieskończoną swobodą, to znowu niby harfa brzmi samotną tęsknotą, rzewną, uczuciową, lubą, bo jéj struny wtórują głosom niebiańskich chórów, dolatującym z wysokości nadświatnéj.

Dawniéj, w liście XI powiedzieliśmy, że fantazya jest dwojaka, gdyż jedna powszechna a wspólna wszystkim ludziom, bo każdy człowiek ma przecież mniéj więcéj fantazyi sobie dodanéj; a drugi ro-

dzaj fantazyi jest ten, który niektórym tylko wybrańcom szczęśliwym dostał się udziałem, bo mistrzom, poetom; słowem, który jest artystów posagiem. Otóż w całym liście poprzednim rozprawiałem o fantazyi średniowiekowéj, bo romantycznéj, ale nie odróżniłem jeszcze dostatecznie obu tych rodzajów fantazyi; zatém teraz nastręcza się nam pytanie, jakże się ma w tych wiekach średnich fantazya *powszechna*, rozlana po całym ówczesnym świecie, zatém fantazya gminna, ludowa, do fantazyi artystycznéj?

Widzisz, jak sobie gospodarzy w średnich wiekach fantazya powszechna, wszystkim właściwa, — fantazya ludu. Ona, jak rzekłem, stwarza sobie osobną naturę, przyrodę czarodziejską, osobną historyą, która jéj zasłania naturę rzeczywistą i historyą prawdziwą. Średnie wieki patrzą się na świat rzeczywisty, ale go nie widzą; one widzą jedynie świat wywołany magią fantastyczności swojéj, one się patrzą przez szkiełka czarodziejskie na rzeczywistość otaczającą w koło człowieka.

Gdy atoli już téj fantazyi ludowéj, powszechnéj istotą i cechą jest owo zanurzenie się w duchu, a odwrócenie się od rzeczywistości, przerobienie i przeistoczenie jéj po swojemu, zatém znać, że ta cecha i istota nie tylko winna się znaléźć także i we fantazyi artystycznéj, ale winna w niéj zakipić w stopniu wyższym, spotęgowanym.

Jeżeli tedy fantazya powszechna, to jest fantazya ludu, gminu, biorąc sobie za osnowę rzeczywistość, takową sobie fantastycznie przerabia i przetwarza; fantazya artystyczna nie przestaje na tém, ale najczęściéj bierze sobie za osnowę ten świat, już przeistoczony przez fantazyą gminu, i przerabia go raz jeszcze.

Widzisz tedy, że słusznie już od dawna orzeczono w literaturze naszéj, że sztuka romantyczna zwykle pożycza osnowę swoją z podań ludu, z wieści gminnéj; brakowało tylko bliższego określenia téj prawdy.

Tak tedy, rozwijając głębiéj ten rodzaj sztuki, wskazaliśmy teraz przyczynę, dla któréj zwykle sztuka romantyczna udaje się właśnie do tych podań i wieści gminnych, jako do osnowy swojéj. Powyżéj zaś oznaczyliśmy właściwy charakter i istotę téj osnowy; albowiem przyznasz mi, że samo obrobienie artystyczne podań ludowych nie stanowi jeszcze istoty sztuki romantycznéj; potrzeba zrozumiéć dla czego te podania ludów chrześcijańskich są właśnie dla sztuki a mianowicie dla poezyi romantycznéj osnową stosowną, bo inaczéj wieszcze i mistrze greccy i rzymscy byliby także romantykami, o ile czerpali z podań ludowych.

Teraz wypada jeszcze odpowiedziéć na jedno pytanie. Zważ bowiem, czyli to samo spotęgowanie się fantazyi powszechnéj wystarczy, aby ją zamienić na artystyczną? czyli doprawdy już będziesz poetą, byleś czerpał z podań gminnych, z wieści ludowéj? I na odwrót, czyli sięganie po osnowę do podań ludu ma być już konieczną i niezbędną cechą poezyi romantycznéj? czyli poeta, nie

czerpiący osnowy z podań gminnych, ale sam z siebie ją wydobywający nie może być poetą romantycznym?

Wiemy już z listu XI, że fantazya artystyczna nie tylko stopniem wyższym spotęgowanym różni się od ogólnéj, powszechnéj, lecz się różni od niéj nawet rodzajem swoim, trybem swojego postępowania. Obaczymy właśnie teraz, jak ta prawda stosuje się do danego nam wypadku.

Fantazya romantyczna, jeśli jest doprawdy artystyczną, niechaj bierze za osnowę dzieł swoich całą treść, którą jéj podaje fantazya powszechna, gminna; niechaj ją przyjmie z całą sprzecznością i walką, tkwiącą w niéj, z całém jéj wewnętrznem rozdwojeniem, bo tym sposobem właśnie ta fantazya artystyczna wyrazi w dziełach swoich, że ona sama należy do czasów romantycznych, to jest do epoki dziejowéj, w któréj duch odstał od rzeczywistego świata, w któréj on jedynie słucha wróżbitów serca swojego, wróżących mu o nieskończoności tęsknotą rzewną. Tak ta fantazya artystyczna w dziełach wyjawi tę walkę, tę sprzeczność, którą się rozstąpiło własne wnętrze człowieka.

W tych dziełach okaże się przeto owo rozdwojenie między duchem a materyą — doczesnością a światem wiekuistym, między istotą nieskończoną a naturą przemijającą, między treścią niebiańską a formą zewnętrzną z ziemi zrodzoną. Takim sposobem fantazya artystyczna dopiéro będzie iście miała na sobie cechy średnich wieków i stanie się fantazyą romantyczną.

W tém, co rzekłem, okazuje się już związek między fantazyą artystyczną a powszechną średnich wieków; obie są romantyczne, bo obie mają za istotę sobie wspólną owo rozdwojenie wewnętrzne a rozłamanie się człowieka na dwoje.

Atoli obaczmy również różnicę głęboką między tą fantazyą powszechną a artystyczną. Fantazya powszechna w średnich wiekach ma wprawdzie onę dwoistość wewnętrzną za dno swoje, bo ona jest cechą ogólną ówczesnego świata duchowego, ale fantazya powszechna, choć ma w sobie tę sprzeczność, toć przecie nie wie o téj sprzeczności; ta sprzeczność ją boli i płacze w duszy, lecz lud i fantazya jego nie pojmuje jasno, co ich boli, co w sercu kwili i płacze. Fantazya ta gminu nie pojmuje tego rozdwojenia własnego, bo sama jest bierną, bo sama jest aktorem w walce tych przeciwnych sobie pierwiastków i nie pojmuje, co nią podrzuca i ciska. Aby pojąć to rozdwojenie i sprzeczność tych potęg walczących, do tego potrzeba wzniesienia się nad samo to mocowanie się a walkę, potrzeba patrzyć się na pasowanie się pierwiastków z wysokości; a tego dokazać jedynie może artystyczne natchnienie. Mistrz zdoła ujrzéć to rozdwojenie a sprzeczność okiem geniuszu i dla tego on zdoła wyrazić to rozdwojenie w dziele sztuki swojéj, które téż właśnie dla tego staje się dziełem romantycznem. Nie rozumiéj atoli, jakoby mistrz miał wiedzę wyrozumowaną, filozoficzną o téj sprzeczności i rozłama-

niu się ducha w sobie, bo w razie takowym dzieło jego, będąc jedynie uzmysłowieniem zimnego rozumowania, nie byłoby więcéj dziełem sztuki, kwiatem żywym fantazyi, ale kwiatem robionym, martwym. Mistrz, jak rzekłem, poczuciem swojego natchnienia, instynktem artystycznym, jasnowidzeniem geniuszu odgaduje ją i przeczuwa, bo takowa jest właśnie istota fantazyi artystycznéj (*).

(*) Czytając te wyrazy moje, może uczynisz mi zarzut, jakoby w samém rozumowaniu mojém była sprzeczność zamknięta. Powiesz może, że wszelkie dzieło sztuki, czyli należy do fantazyi klassycznéj, czyli do romantycznéj, winno być w każdym razie wyrażeniem, uzmysłowieniem nieskończonego pierwiastku, przebywającego w człowieku. Z tego wynika naprzód, że to dzieło sztuki winno być wcieleniem treści duchowéj samego mistrza, a powtóre, że to dzieło samo, wzięte w sobie, właśnie dla tego, że jest wcieleniem takowém, winno być w sobie doskonałą jednością, całością; bo ta idea, którą to dzieło wyraża, uzmysłowia, uzewnętrznia, sama jest jednością i całością w sobie. Z tych warunków, które powinny towarzyszyć każdemu dziełu sztuki, wyprowadzisz może następne wnioski i powiesz, że ponieważ fantazya romantyczna gruntuje się właśnie na rozdwojeniu ducha, to jest wiekuistego pierwiastku, a świata zewnętrznego, zmysłowego, wynika ztąd, że *naprzód* treść duchowa, przebywająca w mistrzu, będąc w rozdwojeniu ze światem zewnętrznym, zmysłowym, nie zdoła się wyrazić w dziele sztuki, bo się nie zdoła uzmysłowić w świecie zewnętrznym; *powtóre*, gdy w duchu mistrza także mieszka to rozdwojenie pierwiastków sprzecznych, będące piętnem jego wieku, zatém też ta treść duchowa jego, wcielona będąc w dzieło sztuki, sama uczyni to dzieło czémś rozdwojoném i nie da mu téj jedności i całości, która przecież jest warunkiem każdego dzieła sztuki; co więcéj, to dzieło sztuki samo, właśnie dla tego, że jest dziełem romantyczném, winno się stać odbiciem onego rozdwojenia i sprzeczności, i tak z tego powodu nie będzie ową doskonałą jednością a całością w sobie. Przypominasz sobie może, że już w inném miejscu z lekka potrąciłem o stosunek sztuki romantycznéj do warunków sztuki w ogólności. Przecież rzecz cała zanadto jest ważna, byśmy nie mieli poddać jéj pod ściślejszy jeszcze rozbiór.

Wracam tedy do zarzutów twoich.

Zgadzam się zupełnie na te warunki, które kładziesz każdemu dziełu sztuki, bo one wypływają z całego wykładu tych listów naszych; nie mogę się atoli zgodzić na twoje zastosowanie ich do sztuki romantycznéj. To zastosowanie byłoby zupełnie w swojém miejscu, gdyby chodziło o fantazyą powszechną, gminną, nie artystyczną. Lecz gdy, jakeśmy rzekli, prawdziwy mistrz unosi się nad te walki i rozdwojenia, właściwe wiekowi swojemu, gdy on o nich wie natchnieniem, z tego już wynika, iż nad niemi panuje, iż je zdoła przemódz w sobie, a tém samém, że z jednéj strony treść jego wewnętrzna, którą wciela, którą uwidamia w dziele sztuki, a z drugiéj dzieło same nie będą od siebie rozdwojone. Następnie, gdy mistrz zdoła przemódz to rozdwojenie, więc widać, że w samym mistrzu, w treści ducha jego także to rozdwojenie jest przezwyciężone; dla tego on choć w dziele swojém, jako w romantyczném, wyrazi to rozdwojenie i sprzeczność, przecież, mimo tego, to dzieło będzie co do formy rzeczywiście jednością i całością artystyczną. Mistrz w niém okaże walki i sprzeczności, właściwe wiekowi swojemu, a przecież uczyni samo dzieło jednością.

Zaiste, sztuka romantyczna i sztuka klassyczna to mają sobie wspólnego, że każda z nich winna wyrazić treść wiekuistą ducha w pojawach zmysłowych, z rzeczywistego świata pożyczonych, bo taki jest warunek każdéj sztuki; różnią się atoli osnową swoją. Sztuka klassyczna, jak ów cały świat jéj współczesny, ma za osnowę swoją harmonią ducha i natury; sztuka romantyczna ma za osnowę rozdwojenie ducha a natury, wewnętrznego a zewnętrznego świata; więc też ona to rozdwojenie wyjaśnia w dziełach sztuki, a tém samém wyjaśnia treść ducha współcze-

Zdaje mi się, że to wszystko, co już w tym i w ostatnim liście powiedziałem, wystarczy do lekkiego określenia fantazyi romantycznéj w średnich wiekach. Obejdzie się téż zupełnie bez przeglądu szczególnych rodzajów sztuki, by niemi jako przykładami objaśnić, com powyżéj rozwinął, a tém mniejsza tego potrzeba; gdym powyżéj już się dotknął, przy sposobnościach różnych, tych wszystkich rodzajów sztuki. Tutaj zwrócę tylko uwagę twoją na kierunek właściwy téj fantazyi, więc na te rodzaje sztuki, które najsilniéj przeważać musiały w téj epoce dziejowéj.

Przyznasz mi, że z całego naszego rozwoju wypływa sama przez się cecha i dążność poezyi średniowiekowéj. Wszak to zapadanie się człowieka w sobie, to odnoszenie się jego do wnętrznych przybytków ducha jego — słowem, to nastrojenie jego liryczne jest powodem, że poezya ówczesna będzie miała także głównie charakter liryczny. Liryka, która czerpie z wnętrza duchowego, jest daleko właściwszym rodzajem poezyi dla średnich wieków, niż epopeja; dramatu zaś wcale tu nie znajdziesz. Bo téż inaczéj dziać się nie mogło w średnich wiekach. Kto chce widzieć zewnątrz siebie widziadło swojéj fantazyi, powinien niby siebie zapomnieć, utonąć na zewnątrz. Tego nie zdołała dokonać fantazya średnich wieków; ich duch nie zdołał wystąpić z siebie na zewnętrzny świat, nie mógł sam wychylić się z siebie, bo cała jego waga ciążyła na wewnątrz. Duch w téj epoce świata tak był zajęty sam z sobą, treść wewnętrzna tak mu śpiewała i grała, tak mu lśniła i świeciła, że stracił wzrok i słuch duchowy dla zewnętrznego świata (*).

Jak tedy rzeźba, plastyczność była właśnie sztuką najwięcéj Grecyi właściwą, sztuką wybraną, najwięcéj od niéj ukochaną (obacz List XII), tak téż poezya plastyczna, któréj wyobraźnicą jest epo-

---

snego jéj. Przecież, mimo tego, samo to dzieło jest znów w sobie jednością harmonijną — całością artystyczną.

Spytasz się atoli może teraz, czyli wedle tego, com rzekł, mistrz romantycznych stuleciów nie ma już żadnéj innéj cechy, sobie właściwéj? Owszem jest w nim i bardzo silna cecha. To rozdwojenie świata wewnętrznego a zewnętrznego, bo odwrócenie się od rzeczywistości zewnętrznéj a utonienie we wnętrzu swojém, będące właściwe wiekom romantycznym, okazuje się także w mistrzu romantycznym tém jeszcze, że średnie wieki nie wszystkim rodzajom sztuki poświęcają się z równém zamiłowaniem i szczęściem, że te jedynie rodzaje sztuki są dla mistrza właściwe, które płyną ze samego wnętrza ducha, jak to zaraz obaczymy.

Jakoż nie odwołuję się wcale do ciżby pieśni lirycznych, która jest tak ogromna w porównaniu epopei, ale spostrzedz łatwo, że same te epopeje mają na sobie cechę liryczną. Im brakuje unaocznienia, brakuje plastyczności; co już najdobitniéj okazuje się we figurach, które nie dość silnie są wyrobione i nie dość wydatnie występują z ogólnego tła, na którém są malowane.

(*) Brakło tedy i w tych epopejach panowania nad światem zewnętrznym; to samo usposobienie ducha okazało nam się w figurach Stwoszowych sposobem odwrotnym, bo jakąś niemocą wzniesienia postaci rzeczywistych (z natury wziętych) do idealnéj piękności.

peja, stała u kolebki tego szczęśliwego ludu, i jako niańka wypiastowała go na śpiewach Homerowych, — a jak plastyczność i rzeźba była rodzajem sztuki najmniéj odpowiednim epoce wieków średnich (obacz list przedostatni), tak też i w poezyi plastyczność ich figur rozpłynęła, gdy zaśpiewała lira całą głębią uczuć, nutą, którą układali aniołowie w nadprzyrodzonych światach.

Nie chciéj nazwać lekkodusznością, że niby jednym kolorem oznaczyłem poezyą wszystkich ludów europejskich, przecież tak różnych między sobą. Lecz właśnie dla tego, że one tak rozmaite między sobą, wolno mi mówić tylko ogólnie bardzo o wspólnym charakterze ich poezyi. Nadto zważ, że ta różnica przelicznych narodowości nie była tak silną w średnich wiekach, jak jest dziś. Bo ta różnica i indywidualne piętno każdego narodu wyrabia się dopiéro najgłówniéj przez historyą, przez wielkich ludzi, przez rozwój literatury i języka. Narody tém podobniejsze do siebie, im bliższe swojego dziecięctwa, bo wtedy jedynie zachodzą różnice, idące od usposobienia szczepowego, przyrodzonego, a te różnice wszelkie, właśnie jako to wszystko, co od natury pochodzi, mniejsze miały znaczenie w średnich wiekach. Przypomnij sobie nadto, jak się nawzajem mieszały narodowości w owych czasach, w wyprawach krzyżowych, na uniwersytetach, na jarmarkach, turniejach, pielgrzymkach, cechach i t. d.

Nie będę ci wcale przytaczał przykładów, abym wskazał brak plastyczności figur w epopejach średniowiekowéj Europy; biorę jednę z tych pieśni, która zaiste należy do najświetniejszych pojawów poezyi i niemałém podziwieniem przejęła każdego, umiejącego czuć, co piękne i charakterystyczne. Mówię tu o pieśni „Wyprawa Igora na Połowców“. Patrz np. na postać samego Igora. Igor nie ma postaci wydatnéj, plastycznéj, własnego indywidualnego oblicza; jego postać jest raczéj wyobraźnicą całego ludu. Kontury obłoczne téj figury rozpływają się pod tchem gorącym uczuć lirycznych. Rzekłbym, że w téj pieśni mniéj o Igora chodzi jak raczéj o losy, o płacze, o tryumfy Rusi saméj; tutaj serce Rusi jest śpiewcą i bohaterem zarazem. Więcéj wprawdzie mają indywidualności i rysunku wydatnego bohaterowie w owych prześlicznych poematach serbskich (choć późniejszych); ale i tu cechą wielce charakterystyczną jest brak silnego zarysu indywidualnego figur pojedyńczych. Patrz np. na onych braci Jugowiczów; oni zupełnie do siebie podobni: myślą, działają, mówią nawet temi samemi wyrazami. Nie są to akkordy, ale tony jednobrzmiące, co wtórując wrażeniom ogółu potęgują je silnie i ogromnie. Jugowicze, razem zaproszeni do uczty razem siadają do stołu; wszyscy dziewięciu odzywają się do ojca razem, zachęcając, by pił wino; — wszyscy dziewięciu temi samemi słowami doradzają, jak wynagrodzić giermka; wszyscy dziewięciu zrywają się od stołu, dobywając, pełni

gniewu, szabel, gdy słyszą, że ich siostra Milica ma być giermka nagrodą (*). A gdy zajść miała potrzeba pod Kossowem, Milica każdego Jugowicza z kolei jako brata prosi, by został z nią na zamku białym, a każdy z kolei odpowiada prawie temi samemi słowy — każdy z nich śpieszy do bitwy — i wszyscy dziewięciu polegli.

Dla téj przemagającéj liryczności, dla tego samego usposobienia ducha w średnich wiekach, nie znajdziesz tutaj, jak rzekłem, rzeczywistego dramatu; jest wprawdzie już zarod silnéj komiki, ale komedyi jeszcze nie ma. Bo do dramatu, mianowicie do tragedyi trzeba znać zakon, którym się rządzą dzieje ludzkie, trzeba pojąć ład i szyk moralny świata i te potęgi opatrzne, które stoją na straży światu, mierząc i ważąc losy człowieka i ludów; temu wszystkiemu jednak nie podołały średnie wieki, one nie umiały czytać w rzeczywistości, a tém mniéj znały potęgi tajemnicze, które mistrzują losami ludzi sprawiedliwém choć nieubłaganém prawem.

Widzisz atoli, że ta liryczność, ten żywot wewnętrzny obudziły w średnich wiekach właśnie tę sztukę, która również wewnętrznie

---

(*) Wykrzyknęli ku ojcu synowie:
„O Rodzicu, sędziwy Bohdanie!
Czemu wina nie pijesz z téj czaszy,
Którąć Łazarz doręczył z pokłonem?“
Odpowiedział sędziwy Jug Bogdan:
„Dziatwa moja, mili Jugowicze!
Czaszę wina spełniłbym z ochotą,
Ale myślę, przemyślam w méj głowie,
Czém nawzajem obdarzyć Łazarza“.
I wołali na nowo synowie:
„Łacno Tobie obdarzać, nasz Ojcze!
U nas koni, sokołów dostatek,
O! dostatek i piór i kołpaków“.

Wnet się zręcznie przymówił car Duszan:
„Łazarz dosyć ma koni, sokołów,
Ma tu dosyć i piór i kołpaków,
Łazarz tego wszystkiego nie chciwy,
Łazarz łaknie Milicy dziewicy,
Owéj ślicznéj Milicy Mizinéj,
Lubéj siostry braci Jugowiczów“.
Na te słowa wszyscy Jugowicze
Poskoczyli równemi nogami,
I sierdzišci jęli się do mieczów.
Aby natrzéć na cara przy stole.
Modlił synów sędziwy Jug Bohdan:
„Stójcie, stójcie przez Boga żywego,
Na gościnie, kto dotknie się Cara,
Na wiek wieków niech będzie przeklęty!“

Tłóm. *Boh. Zaleskiego.*

dygoce w duszy człowieka, która również rodzi się w najtajniejszych głębiach duszy, która także wolna od zewnętrznego świata, wolna i oswobodzona od natury i jéj praw, która podobnie jest zestrojeniem wszystkich duchowych potęg; — tą sztuką jest *muzyka*. Muzyka jest sztuką wewnętrzną, ona więcéj odwrócona od świata zewnętrznego, niż którakolwiek bądź inna.

Turnia tatrzańskich granitów, gwiazd sąsiada, milczy w cichym majestacie, milczy w nieméj samotności harda i dumna. Na dole, pod nią, w głębi niedojrzanéj mrowią się sprawy ludzkie i klują się stulecia i lat tysiące i narodów losy, a niewidna i niespostrzeżona kroczy historya świata. Turnia tatrzańska harda i dumna nie dowidzi dziejów ludzkich, nie dosłyszy ani jęków, ani tryumfów rodzących się i konających pokoleń. Ona milczy; u podnóża jéj swawolą obłoki, biją się i harcują bezduszne natury potęgi, lęgną się gromy i błyskawice, hasają wichry i burze. Turnia milczy i patrzy w gwiazdy. Przelatują wieki po wiekach; — lecz chyłkiem, nieznacznie u stóp turni pracują zdradne przyrody moce; one nie usypiają nigdy, nie spoczywają nigdy; — dniem i nocą, latem i zimą, od roku do roku, od wieku do wieku robotnice nieznękane trawią hardéj, nieméj turni twarde podnóże, jak cierpienia i żale trawią serce, co dumne w niebo się patrzy, jak życie życiem się trawi. Pracują zdradne robotnice, a ziarnko po ziarnku opuszcza granitowe turni podnóże, i porywają ziarnko wichry, i unoszą je w przepaść ulewy. Turnia dumnie bardzo milczy, — aż nagle grzmot głuchy, łoskot pioruny zadygotał w koło krajem, przeleciał go lękiem: turnia runęła! — Ona, co wiecznie milcząca i niema, w upadku swoim jękła jękiem boleści, ona zawołała grzmotem w skonaniu.

Ocean legł w dolinach przepaścistych ziemskiego planety, i cicho i spokojnie patrzy się w niebiosa, — on się kocha w niebiańskiéj bezdeni, więc ubiera się w barwy ulubienicy swojéj, on podziela jéj uczucia, on zwierciedli jéj ciemne i jasne chwile, — na obliczu jego błyszczą jéj gwiazdki; on się weseli, gdy kochanka zajaśnieje światłością promienną, on się rumieni, gdy purpury zarania zapalą się na kochanki licach; a cicha jest ta miłość oceanu, a niema jego cześć dla niebios bezdeni. Ale gdy zerwą się wichry, gdy huknąą szałem burze, gdy potęgi dzikie przyrody uderzą na siebie, ścigając się gonitwą i walcząc po oceanu wodach; wtedy on się zmarszczy, postawi strome fale i zagrzmi gniewem; a fale jak struny piorunne zahuczą, i sykną piany wrzące, i łomot zamętny strachem uchwyci serce żeglarzy.

Wszak i puszcza milczy świąteczno, uroczysto; ona zbudowała się w tajemniczy natury kościół, wydźwigła swoje drzewa w kolumny potężne i przysklepiła je gęstym stropem konarów, gałązek i liści. W mrokach zielonego splotu, ziemia ziołami się modli; tutaj

w zaciszu niedojrzane odbywają się tajemne roślin miłości, i zrodzenia i skonania; w każdym listku, w każdéj gałęzi, trawce lub meszku natura słyszy swoich pulsów pukanie. Ona duma i myśli w tych drzewach pradziadowych, czuje kwiatkami i tęskni w zalecankach swych ptasząt. I cicho w borze i spokojnie. Dopiéro gdy powiew przeleci nad puszczą i dotknie się jéj skrzydłem ciemném, dopiéro gdy burza znieważy głębokie milczenie i uderzy bór; wtedy szarpną się drzewa, poruszą gniewnie konary; i bronią się i grożą konary jakby olbrzymów ramiona; strop puszczy rozkołysze się, zagrzmi falą, każda gałązka zakwili, każdy listek westchnie sykiem, bo w każdéj gałązce, w każdym listku dygoce lękiem i gniewem demon osobny, niewidzialny; on się obudził ze snu i woła i jęczy. Organy leśne zahuczą pełnym, głębokim, piorunnym akordem; wszędzie i wszędzie rozlega się krzyk, hałas i świst.

Tak i granit i fala przepaścista i bór ciemny milczą, one nie mają z siebie głosu; dopiéro, gdy zewnętrzne potęgi w nie uderzą, gdy w nie biją obce, cudze im moce, wtedy one jękiem, łoskotem, hukiem, brzękiem, szelestem dają znać o sobie, a wedle wewnętrznego składu tych różnych jestestw, wedle różnego powiązania ich cząstek, różne też będą i głosy ich, któremi się odezwą za potrąceniem zewnętrznem.

Dopiéro w tym gwarnym, hałaśliwym świecie zwierzęcym natura odzywa się samodzielnym głosem; zwierzę w głosie własnym samo siebie słyszy, słyszy i czuje wewnętrzną budowę ciała swojego. Jak atoli dusza zwierzęca jest dopiéro niby zidealizowaniem materyi, jéj wonią, tak i głos zwierząt jest dopiéro echem, dosłyszalném odbiciem ich żywota, ich chcenia i wstrętu, które także są materyalne, także do rzeczy zmysłowych się odnoszące. Głos zwierząt jest dopiéro wyrazem boleści lub radości fizycznéj, objawem ochoty, tęsknoty cielesnéj; jest odniesieniem się materyi do materyi. Zwierzę odzywa się głosem, bo czuje, że jest tylko ułomkiem w ogóle zmysłowego świata; głos zwierzęcy jest jeszcze skutkiem stosunków ze światem zewnętrznym. Jednak wśród gwarnéj wrzawy a łoskotnych hałasów bezrozumnéj przyrody, wśród brzęków i szelestów bezduchowego żywota słychać muzykę. Muzyka! Ona nie z natury poczęta; te jéj tony przywiało tchnienie boże z nad gwiazd na ziemskie poniża. Ton nie jest natury głosem; on głosem duchów, on słyszalnym promieniem wiekuistéj jasności. Natura nie ma tonów; tony są dziełem sztuki, wrodzonéj człowiekowi; one są instynktową umiejętnością; one są matematyką uczuć.

Wytłómaczę ci się bliżéj.

Powietrze otuliło ziemską kulicę morzem przejrzystém i sklepiło ją w jasne błękity; w niém oddycha żywot wszelki zmysłowy, w niém rodzi się i żywot duchowy, bo mowa i muzyka.

Gdy materya, gdy ciało jakie zadygoce w sobie, wtedy już, jakby po zwierciadle cichém jeziora, rodzą się po tém morzu powietrz-

ném kręgi po kręgach; one niewidome rozpływają się w coraz większe pierścienie, aż nie uderzą w słuch. Zważ, gdy morska fala, bijąc w skalne brzegi, wraca się, a w tym powrocie spotyka drugą nadchodzącą falę, już obie zderzają się z sobą, łamią się, i razem ogromnym kipiącym bałwanem wznoszą się, wzbijają w górę, a tak bez końca u brzegów powtarza się ta gra; tak też grają w słuchu fale powietrzne, co idą od drgającéj materyi. Zważ atoli, gdy ciało jakie np. struna dygoce tym trybem, iż drgania się powtarzają jednostajnie, bo w jednakowych ustępach czasu, wtedy też w jednakowych ustępach czasu każda fala, już odbita, wracając się, spotka nową nadchodzącą falę, a tém samém i w jednakowych ustępach czasu odbędzie się owo wspólne ich wzniesienie się, wzbijanie, co uderzy w słuch. Otóż ta prawidłowość i jednostajność zdradza ton muzyczny. Gdy zaś te fale nie będą nadchodziły w jednakich ustępach, wtedy się zrodzi zamęt bałamutny fal nowo nadchodzących a już odbitych, wtedy nie będzie tonu muzycznego, wtedy się zrodzi łoskot jako grzmot walącéj się turni, jako gwar puszczy, jak owa swawolna gra i szum morskich bałwanów, jak ryk i świst, wrzawa zwierzęcego świata; słowem, powstają te wszystkie głosy niesforne przyrody, których nie zdołasz udać żadnym tonem, których ująć nie zdołasz żadną sztuką ani nutą. Natura bezduchowa dygoce w sobie, ale jéj dygotanie nie odbywa się prawidłowo, nie w pewnych ustępach czasu. Ona nie oblicza matematycznie tych drgań swoich, i dla tego nie zna muzycznych tonów. Zważmy następnie, że różnice tonów, że zniżenia i podwyższenia ich są właśnie skutkiem różnéj ilości tych drgań w jednym i tymże samym czasie. Jeżeli zaś ton ma się godzić z drugim tonem, wtedy potrzeba, aby liczba drgań jednego tonu w pewnym czasie zostawała w pewnym matematycznym stosunku do liczby drgań, które odbywa ten drugi w tymże samym czasie (np. jeżeli w tym czasie jedna struna odbywa dwa razy tyle drgań, co druga, wtedy zrodzi oktawę; jeżeli zaś jedna w tym samym czasie odbywa dwa drgania kiedy druga trzy, wtedy powstaje kwinta i t. d. (*).

Te tony są iście dopiéro żywiołem pierwotnym, początkowym materyałem, z którego muzyka buduje czarodziejskie a rozwiewne pałace swoje. Powiesz atoli, zkąd ów pastuszek tatrzański, co zna tylko trzodkę kozek swoich na ziemi, a drugą bożą trzodkę gwiazdek na niebie, przyszedł do téj matematyki? zkąd mu te tony pieśni jego, co radośnie jak wiosny tchnienie, świeże jak zioła błyszczące rosą niebiańską? Pytasz, zkąd pastuszkowi te rachuby sztuczne? Wszak on na samotni skalnéj rozmawia jedynie z echem, odgrodzo-

(*) Klassycznem w nowszych czasach dziełem ze względu na fizyczne podstawy poczucia *muzykalnego* jest praca professora *Helmholtza* p. t. *Die Lehre von den Tonempfindungen als physiologische Grundlage für die Theorie der Musik*, wydana kilkakrotnie od roku 1865. — St.

ny od świata obłokiem, co żegluje nadpowietrznym statkiem pod stopami jego! — Przecież wiesz, że prawdy, na których spoczął świat, drzémią zwinięte w piersiach każdego człowieka, czekając rozkwitnienia swojego. Jakoż prawdy o Bogu, o nieśmiertelności, o tém wszystkiém, co zacne i sprawiedliwe westchnęły już wszystkie uczuciem, instynktem w piersiach naszych, zanim późna filozofia roztoczyła je całością umiejętną. Tak i matematyka natury, co mierzy i liczy stworzenia potęgi, co wodzi krążące gorejące światy po wiekuistéj przestrzeni nieba, wprzód zamieszkała w bezświadomém sercu człowieka i w niém żyje jako przeczucie, jako instynkt, zanim umiejętność przedstawiła je kalkułem rozumowym dla jasnéj wiedzy jego. Jest to, jak rzekłem, matematyka uczuć, umiejętność wrodzona duchowi człowieka; te tony są sztuką naturalną; człowiek z nią na świat przychodzi. Ta matematyka jest tylko duchom właściwa, nie wie o niéj materyalny świat, on nie wie, co muzyka; ba, nie zna nawet co tony. Głosy, na które się przyroda zdobyć może, mają się do muzykalnych tonów, jak materya a duch, jak niebo a ziemia, jak doczesne pojawy do wieczystego trwania. Farby przypylone, pomieszane na palecie malarza, to są dźwięki wymuszone gwałtem zewnętrznym na przyrodzonych jestestwach, a promień słoneczny, niebiański rozszczepiony w pryzmacie krystalicznym na siedm przeczystych barw tęczowych, to są siedm tonów muzyki.

Wszak, gdy każdy ton zostaje w pewnym stosunku matematycznym do innych tonów, więc już każdy ton z istoty swojéj tęskni, by ten stosunek swój w rzeczywistości objawił, tęskni do powiązania się z innemi tonami, jako uzupełnieniem swojém. On zaś wiązać się może trybem dwoistym. Bo albo łączy się w następstwie czasów, gdy ton po tonie się rodzi, a tak powstaje melodya, albo gdy więcéj tonów razem się rodząc spływają się z sobą, a tak dają początek harmonii.

Melodya i harmonia, to dwa Boże anioły, które pozostały na ziemi, gdy ona utraciła niewinności raj — te nieba posłannice śpiewają w onéj harmonii i melodyi, co wiąże wszechistnienia stworzone w jednę kompozycyą wiekuistą. Te anioły Pańskie śpiewają o myślach Bożych, które żyją życiem tajemniczém we wszech światach, i witają hymnem anioła-dzieciątko, co się zrodziło w ciasnéj chatce serca twojego, otulone promieniem, światłością powite. Melodya owa nieskończona płynie od wieków, płynie przez światy od pierwszego stworzenia dnia; jéj falami lat tysiące, jéj tonami — to gwiazdy na niebie, to narody na ziemi; a harmonia wiąże te lat tysiące i gwiazdy i ludzkie dzieje, i wiąże skon i zrodzenie, przeszłość dawną, zmarłą i przyszłe stulecia, co się zrodzić mają; ona wiąże ciemności i światła, i cierpienia i wesela, żale serdeczne i nadzieje w jedne wspólne akordy. Ta harmonia doleciała odgłosem z gwiazd do ducha Platona, ale ona była dla niego tylko szczęśliwym snem wróżącym; on jéj dosłyszał w jednéj chwilce szczęśliwego zachwytu; ona dopiéro powodzią światła otuliła chrześcijańskie ludy; świat chrześcijański dopiéro usłyszał

tę harmonią świętą, co goi i koi sprzeczności i odstępstwa od ducha, co jest snem i jawem, śmiercią i zmartwychwstaniem. Téj melodyi, téj harmonii spisał nuty wiekuisty kompozytor, zanim stworzył gwiazdy, zanim zagrał na promieniach światłości swojéj; téj melodyi, téj harmonii odgłosy ciche żyją w muzyce ziemskiéj, żyją w sercu człowieka.

Już dawno przedemną inni okazali, jako natura nie zna melodyi, ona nie zna harmonii; ona zna jedynie, i to bardzo rzadko, najniższy pierwiastek muzyki, bo rytm (tak np. krople spadające mogą wypukiwać rytm, koń czwałujący lub kłusujący kopytem, przepiórki głosem —wybijają rytm, przeznaczony im od stworzenia świata. Lecz i ten rytm jest tutaj tylko przypadkowy, bo bezświadomy, a w muzyce on tylko jest podścieliskiem melodyi i harmonii. Tak jak ton, takt, melodya i harmonia są wykwitem a dziełem swobodném ducha, jego dziełem samoistném, wzniesioném nad świat materyalny.

Gdy w malowanych obrazach, gdy w rzeźbionych dziełach żyje choćby przypomnieniem natura zewnętrzna, więc jéj ludzkie postaci i kształty, zwierzęce i roślinne, i kwiaty, i owoce, i góry i wody i obłoki; — w poezyi i w dramacie żyją dzieje ludzkie, i uczucia serca i sprawy człowieka; w muzyce nie ma tego przypomnienia; w niéj brzmi, maluje się, rzeźbi się jedynie państwo duchowe i mieszkańce jéj w głębi piersi zrodzone. I dla tego też możesz odpowiednio słowami wypowiedzieć treść obrazu, rzeźby, poematu, ale nie zdołasz opowiedzieć treści kompozycyi muzykalnéj; bo muzyka zerwała ze światem rzeczywistym; bo muzyka jest rozmową ducha z sobą. Nie zdołasz opowiedzieć treści kompozycyi muzykalnéj mocą słów, wyrazów, bo mowa ludzka jest wyjawieniem myśli, a muzyka jest rzeczą uczucia; uczucie zaś jest niewymowne, nie da się słowami określić. Słowa, jak myśli same, odnoszą się zawsze do przedmiotu jakiegoś wyraźnego, oznaczonego, bo i przedmiot każdy, choćby należał do zewnętrznego, zmysłowego świata, jest szatą myśli, — myśli stworzenia.

Chciéj teraz spojrzeć wstecz na to wszystko, cośmy dotychczas o muzyce powiedzieli.

Naprzód okazało się, iż każde brzmienie odbywa się w czasie i przestrzeni, a choć wszystkie jestestwa zmysłowe istnieją w czasie i przestrzeni, jednakże czas i przestrzeń nie są zmysłowe. Tak tedy już samo brzmienie, jakiekolwiek będzie, jest jakby cieniem bezśmiertnym jestestw zmysłowych. Widzieliśmy również, iż brzmienie objawia skład mechaniczny, wewnętrzny jestestw, pochodzi z ich wnętrza, jest jakby symboliką ich istoty wewnętrznéj. Tak się rzecz ma z każdém brzmieniem, a cóż dopiéro rzec o tonie, który stosunkiem liczebnym, mogącym być jedynie pojętym przez duchów, odróżnia się od brzmienia. Między tonem a brzmieniem nie ma ogniw pośrednich, jak nie ma ogniw pośrednich między naturą bezrozumną (choćby ona była najzmyślniejszém zwierzęciem), a duchem rozumnym człowieka.

Jak atoli brzmienie okazuje układ mechaniczny, wewnętrzny jestestw materyalnych; tak ton, tak melodye i harmonie, tak muzyka jest wyrazem duchowego wnętrza człowieka, najgłębszego wnętrza jego; ona rodzi się tedy z uczuć i jest uczuć objawem — a uczucie jest właśnie to, co jest najwięcéj wewnętrznem, najwięcéj osobistém w duchu człowieka. Każdy człowiek ma prawo do uczuć własnych; bo co myślą pojął, to jest jego własnością, co czuje, to jest on sam. Jeżeli zaś tony muzyki nie są więcéj materyą, ale jedynie jéj zidealizowaniem, jeżeli są jakby symboliką uzewnętrznienia się wnętrza jestestw, jakby zerwaniem stosunków ducha a grubéj natury zmysłowéj; jeżeli muzyka jest ducha nawrotem i pogrążeniem się jego w sobie, więc już znać, że to właśnie muzyka ze wszystkich innych rodzajów sztuki odpowiada najsilniéj usposobieniu duchowemu ludów chrześcijańskich, że jest sztuką wybraną, ukochaną ich fantazyi, która również jest zerwaniem ze światem materyalnym, która również jest wskróś liryczną. Widać przeto, że muzyka jest sztuką chrześcijańską w najwyższéj swojéj potędze. Gdy sztuka każda stoi właśnie na pogodzeniu dwóch światów sprzecznych, bo ducha i materyi, głębin wnętrznych i zewnętrznéj rzeczywistości, ztąd to pogodzenie sprzeczności idealizuje się w muzyce, bo się staje zestrojem tonów odwrotnych sobie.

Obaczymy atoli zaraz, że wieki średnie rzuciły dopiéro siejbę téj sztuki anielskiéj, a siejba ta weszła dopiéro w dziejach nowożytnego świata (*).

Rzekliśmy powyżéj, że fantazya romantyczna, o ile jest doprawdy artystyczną, właśnie tę ma istotę, iż ona tę sprzeczność, to rozdwojenie, te więc tęsknoty współczesne sobie wyjawia w swojém dziele; ale je godzi, koi i goi, a tak staje się wyrazem nieskończoności ducha, nieskończoności owéj, która zlewa, zestraja razem sprzeczne światy wspólną harmonią. Ta potęga godząca, kojąca właśnie wyjawia się w muzyce, a przedewszystkiém w harmonii. Tak tedy nastąpiło koniecznie, że ludy chrześcijańskie z tą głębią w sercu, w duchu, która im się roztworzyła na wołanie wiary zbawienia, zrodziły z siebie harmonią i stały się pierwszemi piastunami prawdziwéj muzyki. Takiéj muzyki nie miała starożytność, bo nie miała harmonii. Nie ma muzyki prawdziwéj, krom muzyki ludów chrześcijańskich, a tę poczęły właśnie w sobie stulecia średniowiekowe.

Muzyka wykwitła na ołtarzach wiary zbawienia. Jest temu półtora tysiąca lat, gdy Ś-ty Ambroży rzucił ziarno przyszłéj muzyki w Medyolanie, a Ś-ty Augustyn tak mówi o tych śpiewach medyo-

(*) Co do *historyi muzyki* zob. między innemi następujące dzieła: *F. Brendel, Geschichte der Musik.* 4 wyd. 1868. *Ambros, Gesch. d. Musik.* 3 tomy. 1868. *Gevaert, Histoire et théorie de la musique.* 1875. W języku polskim opracował *Historyą muzyki* Kazimierz *Łada*. Warszawa 1862. Dzieło zaś Brendla przełożył W. T. Lipsk. 1866. — St. —

lańskich: „Głosy wpływały w duszę moją, prawda wiekuista sączyła się w serce, a nabożeństwa uczucie wylewało się radości łzami, pełnemi słodyczy“. Później Grzegorz Wielki zasiadł na stolicy apostolskiéj a na tronie muzyki (r. 590); on zakładcą pierwszéj szkoły śpiewów. W trzysta lat potém, zakonnik we Flandryi, ów Huckbald, ośmielony geniuszem, owiany tchnieniem anioła tonów, zanurzył się w tajnikach bezdennych harmonii i wyniósł na świat zaród pierwszy kontrapunktu, więc poczęcie nowéj muzyki, co miała dźwiękami przerodzić serce Europy. A już od dawnych lat organy głosem uroczystym, grzmiącym, łączyły się z nabożeństwem po pobożnych domach. I znów niezadługo przeradza Guido z Arezzo tryb ujęcia tonów w znaki pisane — w nuty. Tak to poczęte zostało zacne dzieło muzyki pod błogosławieństwem nieba, a było ogrzane sercem rzewném i przeczystą pobożnością wielkich mistrzów, a szerzéj, szerzéj roztwierało się czarowne państwo tonów. Obok muzyki kościelnéj, co płynęła rzeką wspaniałą, pełną, uroczystą, ciekły téż świeżym, krystalicznym zdrojem strumyki muzyki światowéj. Śpiewają trubadury, minnesengery, towarzysząc melodyą pieśniom lekkim, pieśniom uciechy i światowego kochania.

Przecież wiadomo ci może, że średnie wieki niezdołały rozwinąć tych pięknych zarodów muzyki kościelnéj; ona straciła późniéj swoją głęboką, uroczystą i świętą grozę, wyradzając się w sztuczność, w czcze, pedanckie formy, co trwało aż do XVI stulecia. Zkąd to poszło? — Ośmielam się wytłómaczyć to zjawisko, właśnie z całego naszego pojmowania powyższego. Duch cofnął się w siebie; to zapadanie się w siebie miało — jak wiesz — dwojaki skutek. Raz duch ujrzał w sobie samym najświętsze tajnice istoty swojéj, prawdy wiekuiste, rękojmie nadziemskie, łączące go z niebem i z nieskończonością. Z drugiéj strony jednak to zapadanie się w sobie, to uczucie siebie zrodziło téż wypadki ziemskie, bo ludzkie pomyłki; to samo poczucie siebie wydało bowiem, jak wiesz z powyższego listu, ową nieograniczoną dufność w siebie, która okazywała się tak często w chęci awanturowania się, w swawoli pragnącéj nacieszyć się swoją swobodą, uczuciem téj swobody nieskończonéj, osobistéj. Ztąd poszło owo rzucanie się w świat, goniące za przygodami; ztąd poszły one wszystkie zjawiska, właściwe średnim wiekom. Ztąd téż zrodziła się owa filozofia scholastyczna, swawoląca sylogizmami, mająca upodobanie w popisywaniu się bystrością osobistą. Ta filozofia, dufając sobie, a niedbając o prawdę, która tkwi w rzeczach samych, pragnęła nacieszyć się zwinnością awanturną swojego sztucznego rozumowania, nie mającego w sobie treści. Zupełnie podobném zjawiskiem była muzyka; i ona się wyrodziła, i ona mniéj dbała o prawdy, tkwiące w muzyce saméj, żyjące w jéj głębiach. Kompozytorom chodziło o to, aby się popisać sztucznością, aby awanturować się wedle kaprysów swawoli, aby gwałcić prawa kontrapunktu i melodyi, byle zadowolnić osobiste swoje zachcianki. Widzisz te-

dy, że i ta muzyka była objawem swojéj nieskończonéj a spaczonéj dufności w sobie.

Może się zgodzisz na takowe moje tłómaczenie muzyki ówczesnéj; w późniejszym liście okażę, ile mię stać będzie, dla czego to właśnie wiek XVI był stuleciem odrodzenia muzyki. Tutaj tylko chciéj jeszcze zważyć, że gdy tym trybem muzyka umiejętna, uczona, paczy się i skręca szkolnictwem, muzyka gminna, bliższa natury, bliższa serca ludzkiego, płynęła ciągle zdrojem skromnym ale świeżym, krystalicznym. Jak śpiewki ptasząt, brzmią pieśni trubadurów, minnesengerów, minstrelów, towarzyszą im melodye lekkie, wdzięczne o uczuciu lotném, skrzydlatém, o sercu ciepłém, kochającém.

Te tchy nadziemskie, a niewymowne tęsknoty, co żyją w kościelnéj muzyce, te jéj melodye i harmonie, akordy i tony, gdy nie ulecą ku niebu, lecz zatrzymane na ziemi uwidomią się oczom śmiertelnym, już wtedy skamienieją głazem, stają się architekturą tumów i onych świątnic uroczystych, co je nam przekazały średnie wieki, jako Boże strażnice a zadatki święte naszego przymierza z wiarą i z duchem dawno pomarłych pokoleń.

Wszak od dawnego już czasu ludzie genialni porównywali tę muzykę z architekturą. To porównanie trafne dokonywali ich następcy coraz dobitniéj i ściśléj. Nie rozwodząc się zbyt szeroko, pragnę w kilku słowach podać ci wypadek ostatni ich badań szczęśliwych, odsyłając cię po bliższe roztoczenie przedmiotu do dzieł, których nie brakuje literaturze europejskiéj. Zaiste i muzyki i architektury pulsem jest liczba i matematyczny stosunek. Obie te sztuki liczą i mierzą i wiążą. Jak muzyka, płynąc tonami, rodzi się i przemija w czasie, tak budowanie dźwiga się i szerzy w przestrzeni. Muzyka buduje sobie z tonów własne domy Boże, a budowanie gra na głazach, jako na strunach święte psalmy i hymny, i z nich wydobywa i rytmy i harmonie i melodye swoje. Jak muzyka przeistacza niesforne głosy natury, one łoskoty i szumy i szelesty na tony przeczyste, tak architektura przerabia skalne, niesforne opoki na ciosy, na figury geometryczne, i nadaje im kształty piłą, dłutem i młotem. Dla tego też architektura, równie jak muzyka, nie pożycza sobie kształtów od natury, nie odziewa treści duchowéj w szatę jestestw zmysłowych; więc też obie te sztuki jako siostry rodzone wyzwalają się od zewnętrznego świata; każda z nich stwarza sobie osobny dla siebie świat. Muzyka rodzi go z serca i w nim żyje, w nim tonie nie słysząc wrzawy tłumnéj rzeczywistości przyrodzonéj; architektura, budując dzieło swoje, odgradza się również od zewnętrznego świata; stwarza własne sobie przestrzenie swoje i przebywa w nich, jako w domu własnym. Muzyka i architektura są serca hieroglifem, symbolem przeczucia, co robi, co się rusza i mówi na pół zrozumiane w duszy, a wciela się we formy tonów i formy architektoniczne. Gdy atoli architektura, krom surowego, dzikiego materyału, nic wcale nie unosi z natury, gdy ona używa jedynie natury za środek do objawienia

potęgi duchowéj, gdy przyroda ma jedynie dla niéj znaczenie ujemne, gdy ona podobnie jak muzyka, całą osnowę swoją czerpie z tajników najskrytszych piersi naszych, gdy ona po ideał swój sięga do głębin duchowych; więc też ona jest najwolniejszą córą fantazyi artystycznéj każdéj i każdéj wielkiéj epoki w dziejach ludzkich. Gdy zaś architektura, jak już w innem miejscu rzekłem, tém znów różni się od muzyki, że ona już nie ma do czynienia z dźwiękiem ulotnym, rodzącym się w chwili i znikającym w chwili, gdy ona buduje przez długie lata, a niekiedy i wieki, gdy jéj dzieło jest rzeczą jakby całego ludu i stulecia, a ma zostać w świecie zewnętrznym na widoku wszystkich ludów i narodów; ztąd znać, że architektura nie jest wyrazem jednéj fantazyi indywidualnéj, fantazyi jednego pojedyńczego ludu, ale jest jakby wykwitem serc tysiąców i milionów, że tedy architektura więcéj niż którakolwiek sztuka spoczywa na fantazyi, którąśmy fantazyą powszechną, ogólną nazwali, więc jest symboliką uczuć powszechnych. I zaiste, pomijając tę architekturę bazylik, w których tak potężnie i uroczo występuje duch chrześcijański, cofający się do wnętrza swojego; pomijając również architekturę bizantyńską, zostawując na uboczu budowanie romańskie, które wypiastowały wzory architektury klassycznéj, zwrócimy się wyłącznie do budownictwa w środkowéj Europie, które zwykle gotyckiém zowiemy. Ono właśnie jest tą architekturą, która w całéj wolności, bez wzorów i reguł narzuconych, wyrosła z serca średnich wieków. Ono też jest najwyraźniejszém odbiciem fantazyi romantycznéj i usposobienia duchowego średniowiekowych ludów.

W tych tedy tumach gotyckich na oczy własne dotykalne zobaczymy i zerwanie ducha z naturą, i cofnienie go w siebie, owo zwrócenie ku sobie od zewnętrznego świata, utonienie w sobie, a zatém uczucie nieskończonéj swobody, niewiązanéj już zewnętrznemi względami. Obaczymy zatém z jednéj strony wybujanie zuchwałe, fantastyczne osobistéj indywidualności istoty człowieka, lekceważenie natury zmysłowéj; a z drugiéj strony uczucie sprzeczności wewnętrznéj; ta sprzeczność niewymowną rodzi tęsknotę, jakby nieśmiertelnego ducha za wiekuistością wołanie. Lecz znów zarazem ta architektura, jako dzieło fantazyi artystycznéj, będzie zestrojem téj sprzeczności, tego rozdwojenia, — ukojeniem tego rozstania się dwóch światów.

Obejdź kościół nasz Maryacki, albo Dominikański, lub katedrę w Krakowie; przypatrz się, jak te kaplice, kruchty, zakrystye, skarbce i te wszystkie budynki drobniejsze przeróżnym trybem występują na zewnątrz; spojrzyj potém na górę, na te dachy strome, co w odmiennych bardzo wysokościach pokryły różne części kościoła, a wyznasz, że całe założenie tego budynku bynajmniéj nie miało na względzie zewnętrznéj strony jego, że tutaj budowała się myśl, patrząca się we wnętrze swoje, że ta architektura odwróciła się od otaczającego ją wkoło świata, że jest zebraniem się w sobie, cofnie-

niem się we własne tajne przybytki, w sobie się budując i w duchu się modląc. To cofnienie się do wnętrza a skupienie się w sobie, jest pierwszą cechą każdego gotyckiego budynku, mianowicie kościoła, wyrażającą się nawet i tam z całą potęgą, kędy nie ma tych występujących budowli pomniejszych, i gdy, jak to najczęściéj bywa, gmach składa się z jednéj całości; bo wszędzie obaczysz, że zewnętrzny kształt jakby nie istniał dla siebie, że ma wprost tylko znaczenie ujemne, jak natura, jak cały świat zewnętrzny. To zewnętrze świątnicy jest wprost wypadkiem budującego się wnętrza. Kościół gotycki, jest obrazem kupienia się w sobie, onego zmrużenia się zmysłów światowych, utopienia się w sobie. Dla tego gdy cię obstąpią wewnętrzne, święte przestrzenie, gdy cię otoczą w koło cichym, niemym majestatem i nawy i filary, i łuki i chór i sklepienia śmiałe, gdy cię uderzą, akordem harmonii pełnym, i światła i cienie i perspektywa uroczysta; wtedy odezwie się budowanie całe pieśnią tajemniczą i przejmie duszę dreszczem niewymownym; wtedy uczujesz, że te wnętrzne przybytki są iście jednością artystyczną, zamkniętą i ukończoną w sobie; że tutaj zebrały się promienie całéj budowy, jako uczucia zbierające się w piersiach twoich. A sercem tego wnętrza, a ogniskiem tych promieni jest ołtarz wielki, co króluje spotęgowanym przepychem zdobnych bogactw i sztuki.

Chciéj teraz przywieść sobie na pamięć świątnicę staro-grecką. Tutaj wszystko inaczéj się dzieje. Wszak istotą fantazyi Hellady była właśnie równowaga ducha a materyi, świata wewnętrznego a rzeczywistości zewnętrznéj. Ztąd téż świątnica jéj buduje się i ku światu; te zdobne frontony, te przedsienia urocze a kolumny strojne, są zaiste całą jedną połową świątnicy, a one również, jak ich bogi, patrzą uśmiechając się na świat, na naturę, milą się ludziom, zwracają się wdzięcznie i poufale do żywota ziemskiego, co robi radością i weselem. Podobnie téż i od góry świątnica Greków często bardzo nie odgradza się od natury: ona i od góry nie zamknięta. Dach otwarty, wykrojony, czyni wnętrze świątnicy niby dziedzińcem odkrytym. Więc promienie słoneczne opływają swobodnie posąg boga, a nad nim rozpina się wesoło jasny niebios sklep, a przelatują obłoki, a przelatuje ptasia lekka gawiedź. Duch Grecyi nie był skupionym w sobie, nie tonął w sobie. Ołtarz ofierny nawet stał najczęściéj na zewnątrz, przed świątynią, kędy zbierał się lud, oddając bogom wesołym pokłon wesoły. Aleć i pod innym względem, jak ci wiadomo w tych budowaniach greckich iści się ten cudowny zestrój ducha i przyrody czyli materyi. Wszak fantazya Hellady obliczyła się ściśle z prawidłami mechaniki, statyki, bacząc pilnie na wszystkie warunki materyi, więc na warunki mocy i trwania budynku. Takowe atoli właśnie stosowanie się jéj do natury, do głuchéj materyi stało się dla Grecyi źródłem architektonicznéj piękności (List XII); technika, jako wzgląd na naturę i jéj prawa, stała się zarazem estetyką, bo względem duchowym na wdzięki i urok artystyczny. Har-

monia przecudna wszystkich części świątnicy jest zarazem rękojmią jéj trwałości i mocy, a każdy członek architektury, jak może być wytłómaczony rozumowo z potrzeby technicznéj, tak również jest zarazem przystrojem i ozdobą. Tutaj ciążenie massy ku ziemi, właściwe materyi, nie jest ukryte; występuje owszem na jaw, ale będąc zestrojone z siłą dźwigających kolumn, spływa z nią wdzięcznym akordem.

Inaczéj się pojawia fantazya w architekturze gotyckiéj. Sklepienie tutaj nie ciąży na filarach, ale z nich wyrasta, z nich się unosi. Żyły sklepienia, nadające im utwierdzenie potężne i kształt i rytm, już często nawet istnieją w zarodzie w filarach samych, przechodząc przez ich głowicę, a z tych znowu, strzelając w górę w żyły sklepienia, jako konary palmowe rozpinają się po sklepieniach siatką kształtną, łącząc filary między sobą. To ostrołukie sklepienie jest najwyższéj swobody wyjawem; tutaj ciężkość ku ziemi cisnąca, ów pierworodnéj materyi grzech, jest starta, pokonana; tu materya odrodzona zmartwychwstaniem, uskrzydlona duchem, lekko ulatuje w górę, zrywa z rzeczywistością; a kościelne sklepienie, błękitne, zdobne patrzy się gwiazdkami złotemi z zawrotnéj wysokości na mrowienie się ludzkie, co jeszcze na ziemi, co jeszcze doczesnością nękane. Tak tutaj lekkość form, dźwigających ogromne massy, jest zwiastuną przewagi ducha nad naturą i przemożenia ciężkiéj materyi. Podobne tryumfy ducha nad przyrodą obaczysz, spozierając na ściany kościelne. One odgradzają świątynię od zewnętrznego świata, ale to nie ściany, to raczéj filary wysokie, śmiałe, połączone olbrzymiemi oknami; tutaj znika potęga jednostajnéj, kupiącéj się materyi.

Okna, sklepienia ostrołukie wzlatują ku niebu — im ckliwo na ziemi. Ta forma ostrołuka zaprawdę jest tętnem téj architektury i świadczy, że duch już przełamał linią poziomą, równoległą do poziomu, będącą w Grecyi wyrazem onego ciśnienia materyi ku ziemi. Te linie gotyckiego ostrołuku chwytają oczy i serce widza i unoszą nad gwiazdy nieskończoném przeczuciem. Lecz już w wieży potęguje się najsilniéj ta kipiąca tęsknota; tu wezbranie uczuć a wrzących pragnień niewymownych, tu oderwanie się od rzeczywistości, od nizin doczesnych, od świata i gwarnego jego żywota. Te wieże kościelne strzałą lotną, budowaniem nadpowietrznem w dzierganą koronkę, wzbijają się w niebiańskie błękity. Głazy, z przepaści ziemskich wydobyte, teraz sąsiadują ze światem obłocznym, piętrzą się senne, przejrzyste, eteryczne, niby prorocze głosy onych milionów serc, co pozostały na pielgrzymce żywota. Przez tkanki przezroczyste, plecionki wyrabiane, hafty ciosowe tych wież przeziera niebo i przeglądają gwiazdy, prawiąc ludziom, że materya złamana, zidealizowana stała się matką zwycięztw duchowych. Ta strzelistość a podlotność, ten kierunek pionowy, ta tęsknota ku niebu a silenie się, by się oderwać od ziemi, wyjawia się i tętni w całéj świątnicy,

i w ostrołuku, i w sklepieniu, i w bramach, i w filarach i w wieży, nawet w więźbie i zrębie stromego dachu. Nie myśl bowiem, jakoby ta spadzistość jego była względem technicznym na północne śniegi; ona się zrodziła wprost jako wypadek ogólny charakteru i całéj dążności onéj fantazyi romantycznéj; bo z odwróceniem się od natury nastaje niby lekceważenie technicznych względów (*).

Rzekłbyś, patrząc się na tumy średniowiekowe, że duch onych starych ludów stroił sobie żarty z żywiołów, które przyroda zawistna urokom dzieł ludzkich wysyła jako czeladkę swoją, by je trawiły, psowały nieznękaną nigdy pracą.

(*) Przypominam atoli, że jeżeli tu mówimy o lekceważeniu sobie zasad technicznych i o strojeniu sobie żartów z potęg natury, toć się rozumie, że te lekceważenia i żarty są tylko czémś pozornem; techniczność jest tutaj ukrytą, choć zachowana z pewném zuchwalstwem a wyzywaniem sił przyrody. Nie mieszajmy tedy architektury gotyckiéj z arabską; choć obie są wielce do siebie podobne, choć gotycka pewnie doznała wpływu tchu budowania maurytańskiego, który jéj zawiał z Hiszpanii, i choć nakoniec obie te fantazye są jakoby spokrewnione z sobą i obie są fantastyczne. Z drugiéj strony jednak przypomnij sobie, jako powyżéj rzekłem, że każda z tych fantazyj jest fantastyczną sobie właściwym sposobem, że fantazya wschodnia ma się do fantazyi ludów średniowiekowéj Europy, jak abstrakcyjny, głuchy deizm islamski, — przeradzający się tak łatwo w swawolny panteizm — do wiary zbawienia, co tak pełna głębokiéj wiekuistéj treści, przenikającéj wszystkie życia kierunki. Otóż ta moc ducha chrześcijańskiego przeniknęła sobą i przemogła zacnie potęgi natury, ale nie puszcza się w swawolę w tych architekturach swoich; ona dochodzi do najwyższego stopnia śmiałości w przezwyciężeniu materyi, ale igrając niby z niebezpieczeństwem umie mu zapobiedz. Czyliż inaczéj te misterne tumy, te przezroczyste wieże mogłyby przetrwać tak długi szereg wieków i dochować się naszym stuleciom? Architektura gotycka ukrywa tylko baczenie swoje na techniczne względy, ale ich nie gwałci; i dla tego ona rzeczywiście jest budownicą, ona doprawdy buduje, ona nie jest kuglarstwem jak maurytańska; jéj dzieła nie są dekoracyjne; nadto, duch artystyczny natchnieniem prawdziwém przenika całe to budowanie i czyni je całością organiczną.

Inaczéj dzieje się w maurytańskiéj architekturze. Tam fantastyczność jest swawolą, drwinkami z materyi; tam fantazya oczynia materyą, oczynia widza czarnoksięzką sztuką. Ta moc czarodziejska a pełna wdzięku tego budowania, ma atoli sprawę z innym klimatem; a zresztą, jak ci wiadomo, jest czasem li dekoracyjną np. w onéj Alhambrze i w innych budowach maurytańskich, w których gęsto bardzo znajdziesz wrzekome tylko sklepienia, bo nie z ciosowych cegieł ale z kawałów drzewa pilnie, misternie ułożone, a w innych miejscach znowu sklepienia są raczéj oszalowaniem belek dachowych. Niedziw, tedy, że takie sklepienie, udające murowanie, spocząć może na istotnie cienkich słupach i uderzyć podwyższeniem czarodziejskiém. Nie przytaczałbym téj właściwości, saméj przez się może drobniejszéj, gdyby ona zarazem nie przypomniała nam onéj istotnéj cechy ducha i fantazyi Arabów, bo onego bujania bez granic, co raz senne, bezuzdne, opojone, a znów zamienia się na jałową rozsądkową prozę, tak, iż tam chwila uniesienia, zachwycenia fantazyi nie jest zarazem chwilą mądrości, onego artystycznego jasnowidzenia. Tak, jakem rzekł dawniéj, na wschodzie, po chwilce upojenia, przystępuje rozsądek, co wiąże i waży i rafinuje. Ztąd te ornamenta i przystroje maurytańskie, nie będąc kwiatem natchnienia, nie są niby z jednego odlewu; one równie jak wschodnia poezya, jak cała architektura, nie są organiczną całością.

Toć jest, jak mnie się zdaje, istotna różnica onych dwóch fantastycznych fantazyj, bo europejskiéj średniowiekowéj a islamickiéj; toć jest różnica onych dwóch architektur, choć obadwa te światy są romantyczne i na pozór podobne do siebie.

Właśnie te wyrabiane, misternie dziergane ciosy, te załomki, zakręty przerozmaite, tak właściwe gotyckim budowaniom, jawnie świadczą, że mistrz nie oglądał się na żywioły, niszczące dzieła rąk ludzkich, że budował im na przekór, i wyzywając je jakoby do zapasów i walki. Zważ, że to samo sklepienie nawet jest tak misterne i lekkie, że nie zdoła wstrzymać pożaru, skoro płomienie ochłoną wiązanie dachu, jak tego smutnym dowodem nasz rok 1850 (*).

A czyliż same olbrzymie rozmiary tumów średniowiekowych, przypominające budowanie starego wschodu, nie świadczą równie głośno pod tym względem, że duch człowieka potęgą swoją przeparł materyą, że jéj przyznaje tylko wartość ujemną, zostawując na niéj oznaki swoich tryumfów? Sam ogrom świątnic świadczy, że duch człowieka położył tutaj stopę swoją na bezdusznéj naturze, jako na podnożu wiekuistości swojéj. I zaiste, jeżeli ludzie nazywają ojca zacnym, co z miłością w sercu dla swoich dziatek szczepi drzewka, o których wie, że już nie jemu zaświecą owocem; cóż rzec o tych szanownych pokoleniach, co nie litując krwawego trudu, z wysileniem bez granic, z nabożeństwem w sercu a miłością gorącą dźwigały te tumy ogromne, choć przewidywały, że nawet ich późne prawnuki nie doczekają się końca téj pracy a mocowania się. Przystępowało pokolenie po pokoleniu, zmieniając się w robocie, i umierały i rodziły się z kolei pokolenia, a dom boży rósł a rósł na chwałę wiary i na cześć narodu, który w nim złożył świadectwo głośne, wymowne, że umiał żyć i umierać dla myśli, która się stała pulsem jego serca, żywotem ducha jego na ziemi.

Choć atoli one wieki i pokolenia zacne, ręka w rękę, ramię w ramię, wspólną pracą, jedném wspólném sercem jęły się budowania tego, toć przecież po tych dziełach ich znać, że to były „czasy, w których indywidualność ludzka wybujała swobodą samodzielną, a człek każdy uważał się za jednostkę osobną, o sobie stojącą“; słowem, były to czasy, w których, jak to w inném miejscu rzekłem, „społeczność cała była zbiorem punktów świecących, iskier odrębnych, z których każda odnosiła się do siebie saméj jako do ogniska swojego“ (feudalność — list poprzedni). I zaiste znać w téj architekturze, że przeczucie nieskończonéj wartości roztworzyło głębie bezdenne w duchu, że człowiek każdy czuł się być jednostką osobną, o sobie stojącą. (Obacz oba listy poprzednie.)

Jako, gdy drzewo się rozwija w konary, w gałęzie, gałązki i liście, każdy konar, każda gałązka, każdy listek jest jakoby całością dla siebie, osobném drzewem, osobną rośliną; tak podobnie

(*) Jest tu mowa o owym strasznym pożarze który 18 Lipca 1850 roku wybuchł w Krakowie i zniszczył znaczną część miasta, między innemi cztery kościoły, pałac biskupów i wiele innych większych gmachów. — St. —

w budowaniu średniowiekowém każda jego część, każda cząstka, każda nawet drobnostka rada niby stać się całością odrębną, rozwijając się po swojemu, nie oglądając się na inne; więc każda, udając całość, w siebie się cofa i w siebie się patrzy. Gdy u Greków znajdziem najprostsze założenie świątnicy na prostokątnéj jéj podstawie, — w gotyckim kościele całość rozszczepia się na mnóstwo kaplic, kapliczek, drobniejszych świątnic, z których każda jest odrębnym dla siebie kościołem, z których każda ma ognisko własne w sobie i do siebie się odnosi. Ba, niekiedy nawet te kaplice, to obszernością swoją, to umieszczeniem swojém względem głównéj świątnicy, nabierają niby znaczenia rzeczywistych kościołów odrębnych a przecież należą do wspólnéj całości; przykład nie daleki; wszak sam lud, i słusznie, nasz kościół franciszkański w Krakowie nazywa kościołem o siedmiu kościołach (*).

Podobne rozjednostkowanie się na osobne całości i całostki znajdziesz w budowaniu wież. Spojrzyj na nasze dwie wieże maryackie. Owa niższa wyrosła wierzchołkiem baniastym swoim; lecz obok niego osiadły cztery jemu podobne, z których niby każdy jest dla siebie całością. Wyższa zaś wieża, tak śmigła i strzelista, otoczyła się u góry ośmią wieżyczkami, co równie strzeliste, śmigłe, z których każda o gałce i chorągiewce pokazuje po swojemu prądy wietrzne i drogę obłokom. Wyznaję, że forma téj wieży jest oryginalna, i, o ile mi wiadomo, nie ma nigdzie sobie równéj. Natomiast na zachodzie i na germańskiéj północy, cała przednia strona świątnic a mianowicie już wieże ustroiły się w bogactwo bujne, niedoliczone ornamentów zdobnych. Bujają, cisną się tłumem, przędą się i spinają niby bluszczem wyżéj i wyżéj, szerzéj a szerzéj najcudniejsze skamieniałe dziwy fantazyi, a każda ich cząstka jest niby czémś osobném, odrębném, niby samoistną całością. Jeżeli zaś już na rękę téj fantazyi są formy ze świata roślinnego wzięte, zatém sploty i zwoje gałęzi, konarów, kwiatów, owoców i liści, a nawet formy zwierzęce; toć zgadniesz, że z istoty swojéj najwięcéj się rozkochać musiała w owéj drobnéj, niby miniaturowéj architekturze, w onych niżach, baldakinkach, kościołkach, kapliczkach, wieżyczkach; słowem, w tych zdrobniałych architektonicznych całostkach, bo takowe właśnie są niby czémś zupełném w sobie, odnoszącém się do siebie, do wnętrza swojego, jako do własnego ogniska. Tak na przyporach, trzymających zewnątrz ściany kościelne, wytrysły takie miniatury kościołków, splecionych jakby ze zwojów gałęzi, konarów; one wyrosły wysoko nad okap dachu; często bardzo znów te świątniczki

(*) Powie może czytelnik, że przecież w Grecyi i Rzymie widzimy podobne zjawisko! Ale w Grecyi i Rzymie dwie lub więcéj świątnic, budowanych około siebie, nie składają jedności, ale są to całości materyalne tylko powiązane z sobą, a z istoty są zupełnie odrębne.

oznaczone szczytem gotyckim; a częściéj, a gęściéj jeszcze, ba prawie zawsze na tych szczytach, i kędy tylko miejsce się zdarzy, sterczą one wieżyczki czworościenne, występujące w świat jedną krawędzią, a przykryte dachem śpiczastym, co to o czterech okapach i z kwiatem na wierzchołku a z perełkami na krawędziach. Te wieżyczki są pełne, niewydrążone, one są niby niewykończoną, ślepą kapliczką, w któréj miał być umieszczony posążek.

Słowem, kędy spojrzysz, obaczysz założone niby świątniczki, zamarzone kościołki, rozpoczęte szczyty; rzekłbyś, że mimowolnie one się rodzą w rysunku mistrza. Wszak i we wnętrzu znajdziesz niże, niby kapliczki osobne, świątniczki obstępujące filary; nawet w kształt kościoła budowany często bywa ołtarz wielki, ławki, konfesyonały, ambony, ba nawet święte sprzęty kościelne, np. monstrancye średniowiekowe najczęściéj wyrobione są trybem kościołków gotyckich, nawet często opatrzone w rury, niby na ściek wody, zakończone w głowy, w paszcze fantastyczne, jak to bywa u prawdziwych kościołów.

Widzisz, że te wszystkie rozpojedyńczenia się, rozjednostkowania, te wszystkie zewsząd kipiące stroje i ornamenta to mają do siebie, że ciągle, wiecznie strzelają w górę, mają dążność pionową, i, ile ich stać, rade przełamać, poprzecinać linią poziomą; daléj uważ, że one nie są w żadnéj styczności z naturą, z rzeczywistością; one są wykipieniem swobody duchowéj i jéj wykwitem, bo nie rodzą się bynajmniéj, jak greckie ozdoby architektoniczne, z praw i warunków technicznych, i nie mogą być wyjaśnione rozsądkiem prozaicznym, bo one nie są uzasadnione potrzebą.

Pomyśl téż, co się dzieje, gdy promienie słoneczne przejrzą się po tych ornamentach; cienie i światła ostre, dobitne, wązkie, potężne, odcięte od siebie, uderzą całą siłą swoją. Widok ten jest tak różny od gry światła na świątnicy greckiéj, gdzie i jasności i cienie, mroki zwolna łagodnieją, spływają z sobą przelewając się niespostrzeżonym tonem.

Chciéj baczyć, że to rozjednostkowanie się w odrębne niby niezawisłe całości, z których każda do siebie się odnosi, o sobie stoi, wyjawia się najpotężniéj, gdy znajdzie uosobienie swoje, — a toć właśnie się dzieje w onych rzeźbionych osobach, figurach, posągach i posążkach o przerozmaitych wymiarach, co tłumną ludnością ożywiły i zewnętrze i wnętrze kościołów gotyckich. Te figury wysadziły węgary i podwoje kościelne, mieszkają po wieżach, stanęły pod baldakinem na spornikach, pod podniebkami; to znów stanowią kapitele filarów, to znów patrzą się na ludzi ze szczytów, ganków, przypór i t. p.

Te posągi i posążki święte tak płyną ze samego serca i ducha téj

architektury, że wykwitają nawet na wzniesieniach, z dołu okiem niedostrzeżonych (*).

Rozumiem, że com powyżéj powiedział, wystarczy, by ci wskazać tę dążność do indywidualizowania się, do swobody odrębnéj, niezależnéj, do wyjawienia jakby osobistości oddzielnéj, która, jak widziałeś, występuje we wszystkich kierunkach życia średniowiekowego i świeci niby iskrami, niby błyszczącemi punktami udzielnemi, odrębnemi.

Proszę byś, obok téj cechy tak wydatnéj, miał na pamięci greckie świątnice, te ich ściany zewnętrzne tak jednostajne bez okien, bez niż (bo te nierównie późniéj się zjawiają). W gotycyzmie ta dążność do indywidualności, do odrębności ściśle się łączy z dążnością przemożenia wielkich mass ciężkiéj materyi, i nadania jéj lekkości duchowéj, idealnéj. Tak filary kościelne rozjednostkowały się na cienkie, odrębne kolumny; są tedy raczéj pękiem, wiązką, snopem filarów. Czasem one są bez kapitelów i wprost, strzelając w górę, przeistaczają się na żyły sklepienia; czasem znów, a to najczęściéj, każdy z tych cienkich misternych słupków ma kapitel swój własny, a tak okazuje indywidualność swoją. Niekiedy pęk kolumn cienkich, strzelających z dołu, u góry kończy się spornikiem, na którym stoją figury pod podniebkiem, od którego znów te słupki cienkie wznoszą się w górę, rozwijając się, niby gałęzie, w żyły sklepienia, jak to widzisz w głównéj nawie katedry krakowskiéj.

Takowe rozjednostkowanie się niekiedy tak bywa potężne, że spotykamy w jednéj i téj saméj nawie kościelnéj rozmaitość, zatém odrębność i udzielność; tak np. w głównéj nawie naszego kościoła Świętéj Katarzyny, po prawéj stronie kończą się kolumny zdobnemi szczytami gotyckiemi; poczém, po małéj przerwie, nad temi szczytami sznuruje gzéms, na tym gzémsie stanęły podnoża nowych kolumn, te kolumny wznoszą się pod sklepienia, gdzie zamieniają się na ich żyły. Po lewéj stronie téj saméj nawy, słupy idąc od dołu dosięgają gzémsu przecinającego i strzeliwszy bez przerwy pod sklepienia tam rozszczepiają się na żyły sklepienia. Jeżeli tedy po stronie prawéj gzéms panuje, przerzynając kolumny, na stronie lewéj władztwo przeważne ma kolumna, boć ona przerywa gzéms. W tym samym kościele kaplica Świętéj Moniki i zakrystya tém się oznaczają, że ich sklepienie opiéra się na słupie jednym środkowym ośmiokątnym. W kaplicy żyły rozwijają się z krawędzi słupa, w zakrystyi zaś wyrastają ze środka jego ścianek. W kościele krakowskim „Bożego-

(*) Uważ np., że samo zewnętrze marmurowe katedry medyolańskiéj liczy tych figur półpięta tysiąca, z których większa część osadzona w onych wieżach i wieżyczkach dzierganych, przezroczystych. One wszystkie marmurowe, misternie, pilnie wyrobione i wyrzeźbione, a tak drobne, że chcąc je obaczyć trzeba stanąć na tym płaskim dachu kościelnym, a tu nawet zda ci się szkło bystre, byś ich wdzięk i sztuczność mógł podziwiać.

Ciała", w nawie głównéj, słupki cienkie wznoszą się jednostajnie aż pod sklepienia, kędy rozkładają się w konary jego; w nawach pobocznych zaś — z jednéj strony żyły na ścianie kończą się w sporniki, a na ścianie przeciwnéj kończą się w ostrza misterne i t. d. Inaczéj się znów dzieje w kościele dominikańskim, inaczéj w kollegium Jagiellońskiém i t. d.

Przypatrz się teraz oknom gotyckim kościelnym — one, choćby równéj wielkości, najczęściéj przecież każde odróżnia się od innych właściwą sobie indywidualnością; w każdém środkowe słupki i węgarki wysmukłe rozgałęziają się osobnym wzorem, osobnym rysunkiem, w każdém tedy inne kontury szybek; co więcéj, te środkowe węgarki niejako znów podzielają okna na dwa, trzy, cztery i więcéj okien. A jak całe okno ma osobny swój szczyt a w nim np. swoją różę, tak znowu każde z tych okien pomniejszych ma swój szczyt i w nim różę własną, często i własny rysunek swój. Tak się dzieje przynajmniéj najczęściéj, najgęściéj. W kościele Świętéj Katarzyny jedna z pobocznych naw ma okna od siebie oddzielone, w drugiéj okna umieszczone są parami.

Otóż to rozjednostkowanie, ta indywidualność, ta swoboda i odnoszenie się do siebie powtarza się i w najdrobniejszych szczegółach; wszak nawet te żłobki, tak płytkie w greckiéj architekturze, są tutaj głębokie i nurzą się w téj głębi swojéj, a tak okazują to odnoszenie się do siebie, do swojego wnętrza, to cofanie się w siebie. Jak cała świątnica u Greków występuje na zewnątrz, tak téż u nich cały rysunek gzémsów, opraw występuje w świat; w gotycyzmie zaś właśnie ten sam rysunek okazuje cofanie się na wewnątrz. Krawędzie, które u Greków pojawiają się jako kąt prosty, tu zaś jako kąt ostry lub rozwarty (*).

Wszak już dość tych skazówek, boć i tak nie miałem na celu wyczerpania rzeczy całéj, pragnąłem jedynie niektóremi przykładami potrącić baczenie twoje; chodziło mi mniéj o poparcie całego rozumowania, roztoczonego w tych trzech listach moich, jak raczéj o wyjaśnienie bliższe całego sposobu zapatrywania się naszego.

Racz przeto jeszcze pozwolić, bym ci i w architekturze wskazał ono rozłamanie się na dwoje, oną walkę dwóch pierwiastków, oną sprzeczność, będącą istotą i cechą wieków średnich, a zarazem ze-

---

(*) Ob. co o téj architekturze gotyckiéj pisze: *Vischer*, *Hübsch*, *Kugler*, *Schnaase*, *Ramée*, *Bourasse*, z których tutaj korzystałem. Rozumie się, że autorowie protestanccy mniéj życzliwie oceniają te gotyckie budowania, uważając je za katolickie.

(Z pomiędzy nowszych prac na tém polu należy wymienić: dalszy ciąg historyi budownictwa Kuglera, opracowany przez *Burckhardta* T. IV. 1867. T. V. 1873; nowe wydanie dzieła *Ramégo*, *Histoire de l'architecture*. 1868; a jako zupełnie nowe opracowania tego przedmiotu: *Lübke*, *Geschichte der Architektur* 4-e wyd. 1870; *Fergusson*, *History of architecture*. 3 tomy. 1870. — St.)

strojenie tych dwóch pierwiastków mocą fantazyi artystycznéj, — i pogodzenie ich i zlanie w jedną pełną harmonią. Otóż i pod tym względem kilka wskazówek zupełnie nam wystarczy.

Pierwsza sprzeczność jest właśnie ta, o któréj teraz mówiłem. Cały budynek jest zaiste całością i dąży, by był jednością; tymczasem, jakoby sam sobie był przeciwny, wykwita w nieskończone drobne całostki, z których każda rości sobie prawo, by była czémś osobném, osobistém, odrębném. Powtóre, gotycka świątnica cała odnosi się do wnętrza swojego; ona jest utonieniem w sobie, duch tutaj cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznéj; kształt więc zewnętrznéj strony ma tylko znaczenie ujemne. A tak masz w téj odwrotności strony zewnętrznéj a wewnętrznéj pierwszy dualizm a sprzeczność tego budowania.

Aleć znów nową sprzecznością jest sama ta zewnętrzna strona, bo ona niby nie ma mieć znaczenia dla siebie, a przecież znów jest tak bogato ustrojona! Mianowicie też wystawa naczelna (front) nabiera tak ogromnéj wartości, że się zdaje, jak gdyby to ona była przeważną częścią całéj budowli; tak i podwoje główne ubrane najwyższym przepychem, utkane w rzeźby misterne, wykwintne.

Lecz w tych samych ozdobach znów jest sprzeczność, bo one zdobią zewnętrzną stronę kościoła a przecież każda z tych ozdób ma cechę odnoszenia się do swojego znów wnętrza, do siebie; wszak one są świątniczkami, kapliczkami, podniebkami i t. d.

Tak i wieże również są częścią zewnętrzną; a one właśnie są spotęgowaném arcydziełem sztuki gotyckiéj, dźwigającém się z całém wysileniem onych pracujących stuleciów. Słusznie też powiedziano, że one często więcéj kosztowały trudu i roboty i wydatków, niż sam kościół, którego są przyczynkiem i ozdobą.

Zważ nową sprzeczność; te same wieże ulatujące w obłoki, a krypta podziemna!

Świątnica gotycka jest całością w sobie, a wieża, do niéj będąc jakoby przybudowana, roztrąca tę jedność na dwoje.

Ale te sprzeczności mnożą się, są jeszcze dalszym nieskończonym szeregiem. Tak zważ ogrom okien, ich wysokość i szerokość; one są tak olbrzymie, iż, jak rzekłem powyżéj, zostawują między sobą przestrzeń, będącą raczéj filarem niż ścianą; znać tedy, że chodzi niby o powódź światła, która pełną rzeką wpływać ma do wnętrza świątnicy. Te ściany atoli, właśnie osłabione ogromem okien, zradzają znów potrzebę przypór zewnętrznych a nawet łuków przyporných, a często znowu nad temi łukami piętrzą się drugie i trzecie bogate, zdobne łuki. Te jednak przypory i łuki przyporne wstrzymują światło, ściemniają okna, a tak niby okna te nie osięgają pierwotnego celu swojego, a to tém mniéj, że te okna znów pysznią się w malowane szyby, co mroczą barwami święte wnętrzne przestrzenie świątnicy.

Gotycka architektura buduje świątnicę, w niéj okazując zebranie się w sobie i skupienie wszystkich promieni w jedném wspólném ognisku (np. w wielkim ołtarzu); a przecież wbrew téj dążności, stwarzając obok głównego ołtarza wiele innych ognisk pomniejszych (pobocznych ołtarzy, kaplic, naw pobocznych, poprzecznych), rozsypuje znowu duchowe promienie dopiéro co w jedném ognisku zebrane, i z kolei znów je kupi i zbiera. To kolejne bez końca zbieranie się i rozsypywanie, będące jedną z wielu sprzeczności, właściwych budowaniu gotyckiemu, gra w światłach, co strugą barwną, migotną, wpłynąwszy malowanemi szybami, mieni się i świeci po całéj świątyni.

Dzieło architektury romantycznéj jest całością, jednością; a z drugiéj strony wykwita bogatym światem ornamentów, przystrojów, z których każdy jest całostką osobną. Budowla jest z prawa swojego architekturą; przecież znowu ornamentów kamieniarskich i rzeźbiarskich jest taka ciżba, że pokrywają ściany całe, że właściwa architektura kryje się i chowa i cofa przed nawałem innego rodzaju sztuki. Rzekłbyś, że budownictwo jest tu tylko tłem dla rzeźbiarza, by miał po czém bujać, cieszyć się i tworzyć.

Architektura ta zuchwałe sobie żarty stroi z ciężkiéj, nieużytéj materyi, nadając ciosom dłutem, młotkiem formy fantastyczne, dziergane, przezroczyste; ale wnet, znów zniewolona uznać prawa materyi, przekuwa żelazo na kotwy, zwory, naciągi, aby niemi pospinać i utwierdzić te ciosy i mury.

Patrz — w tych kościołach wszystko tchnie świętą powagą, głęboką uroczystością; a obok rzeźb rzewnych, religijnych widzisz znów często figle, koncepta, karykatury wyrobione z kamienia, sceny komiczne, nawet burleskiady, często wcale nie skromne; prawda, że to są przenośnie, niby symboliczne wyobrażenia, ale one wręcz są sprzeczne innym rzeźbom i całemu duchowi budynku.

Otóż takich sprzeczności możnaby wiele jeszcze przytoczyć, bo dużo téż rozprawiano o tém wszystkiém w architektonicznym świecie. Przywiodę atoli jeszcze jedną tylko okoliczność. Wszak tu panuje wolna, niczém niekrępowana fantazya, co buja, igra i przędzie z siebie te świątnice i stroje, to zdobne, przepyszne bogactwo ornamentów; a przecież zdaje się, że na dnie téj fantazyi, niby bez granic wolnéj, były prawidła krępujące ją, nakazujące przeróżne kombinacye i przeróżne połączenia liczb, figur geometrycznych. Tutaj wielkiéj wagi były trójkąty, sześciokąty, sześciany i t. d. Obok tedy fantazyi swobodnéj znalazły się prawidła wiążące jéj butność i swawolę. Ztąd téż być może słuszne twierdzenie tych, którzy są zdania, jakoby umiejętność budowania była tajemnicą przechowaną wyłącznie w cechu budowników. To być może, zwłaszcza, że architektura średniowiekowa nie jest wypadkiem saméj natury i istoty rzeczy i prawideł podanych przez względy techniczne, jak to było w Grecyi: ale jest raczéj córą fantastyczności, trzymanéj na wodzy

przez prawidła dowolne i wyobrażenia przyjęte. Bądź jak bądź, fantastyczność a matematyka! czyliż może być przeciwieństwo silniejsze, ogromniejsze?

Zwracam ci uwagę, że jako już w inném miejscu rzekłem, architektura jest sztuką symboliczną; widzisz tedy, że to wszystko, com dotychczas mówił o architekturze gotyckiéj i co jeszcze powiem o niéj, okazuje się symbolicznie w całém budowaniu; duch średnich wieków w ciosach wyraża, co się we wnętrzu jego dzieje, ale wyraża to bezświadomie; ta symbolika rośnie z głębin jego niby kwiat; on sam nie zna własnéj sprawy swojéj. Przecież obok téj symboliki bezświadomej jest druga świadoma; mistrz, budujący w średnich wiekach, rysując plan kościoła, już w położeniu jego, w rysunku poziomym, w rozmiarach, w stosunkach liczbowych z najzupełniejszą wiedzą wyraża myśli symboliki tajemnicze odnoszące się do wiary kościoła. Ta sama symbolika jeszcze potężniéj okazuje się siebie świadomą w ornamentach, w figurach ludzkich i zwierzęcych, fantastycznych i t. d. Lecz do rozpraw o téj świadoméj symbolice nie staje nam miejsca; a do naszego celu też daleko więcéj się nadaje i nierównie więcéj jest zajmująca ta symbolika instynktowa, bezświadoma, która prze w najgłębszych toniach średniowiekowego mistrza.

Com powyżéj rzekł dostatecznie nam dowodzi owego rozdwojenia, onéj walki i pasowania się w średnich wiekach; wszak to wszystko było właśnie przedmiotem tych naszych trzech listów o fantazyi romantycznéj. Widzieliśmy wszędzie tę sprzeczność, bujającą całą nieskończoną swobodą, wolnym szerokim oddechem; wszędzie spotykaliśmy tę treść duchową, która kipiała i warzyła się w sercu człowieka. Natura z całym zachwytem porywającym a duchowość w sobie zamknięta, rzeczywistość hałaśna, wesoła, tłumna a pokutne zamknięcie się w sobie i wstąpienie do wnętrznéj pustelni serca, dzikość twarda, okrutna a skrucha miękka, topliwa, rozpływająca się rzewnością, doczesność z wieńcem różowym, a wiekuistość w gwiaździstéj koronie, śmiechy światowe a łza samotna, paląca, spokój cichy słuchający pieśni cherubinowych a awanturne miotanie się po świecie, tęsknoty nieukojone, unoszące duszę w nieznaną dal, a lekkie, skoczne, ziemskie radości, kipiący puhar uciech doczesnych a ostateczne sądy, śmierć i życie wieczne, kolebka i dół grobowy, żarty i drwiny i gromy piorunne; słowem to wszystko, co się roi i burzy, i tętni i żyje w sercu człowieka, słowem wszystkie rozdwojenia i walki, co robią w duszy naszéj, zebrały się, spłynęły w te sprzeczności, które skamieniały w architekturze świątnic gotyckich, które nas w koło otaczają niby bożym światem, niby wszechnicą stworzenia. Te walki a rozdwojenia są niby wbudowane w tę architekturę, bo istnieją w duszy średnich wieków, bo są pulsem ich serca i uderzeniem.

Przecież zkądże, mimo tych sprzeczności, tego rozdwojenia, ta

świątnica uderza cię taką potęgą niewymowną? Zkąd ci to mrowie uszanowania, te dreszcze czci i podziwienia chodzą po duszy? Dla czegóż nie widzisz, nie czujesz tych sprzeczności, téj walki pierwiastków, gdy świątnica ta, jakby wieczność, obstąpi cię do koła? Wszak, gdy spojrzysz na te przybytki, nie możesz się upamiętać, a twoje życie całe, treść cała ducha twojego ożyje w piersiach; w nich przeszłość zmartwychwstanie, a przyszłość żywota twojego, nieurodzona jeszcze, ubierze się w lekkie, eteryczne, barwne okien promienie i przemówi w falach organów, w światłach i cieniach sklepienia i kolumn.

Zkąd to budowanie, co niby tak pełne sprzeczności, a przeciwieństw, zaśpiewa ci jednak tą kamienną, niebiańską harmonią i uspokoi, zagoi wszystkie rany, wszystkie sprzeczności bolejące w sercu, i zaleje pociechą nadziemską palące rany duszy twojéj? — Pytasz zkąd się biorą te dziwy, te cuda! Oto — bo to budowanie jest jako boży świat, jako wszechnica stworzenia! — bo mistrz był na prawdę mistrzem, bo on, jak powyżéj rzekłem, wyraził w dziele budowaném swojém sprzeczność, dwoistość, i pasowanie się i łamania, będące znamieniem epoki świata, z któréj on wykwitł, niby z ziemi swojéj. Ale mistrz ten, właśnie dla tego, że jest mistrzem, wyrażając tę sprzeczność w osnowie swojego dzieła, umiał ją zarazem zestroić współdźwiękiem, harmonią; on mistrzem będąc, wzniósł się nad ostateczności rozdzierające świat mu współczesny, a tak je przemógł, przezwyciężył i w duchu z sobą pogodził, pojednał; on piersiami objął ten kontrapunkt, w którym zlewają się, topnieją dysharmonie rzeczy skończonych.

Tak jest, ta świątnica gotycka, niby sama tak pełna najgłębszych sprzeczności, goi i koi i łagodzi sprzeczności bolejące serca twojego, — bo ona jest jako boży świat, jako wszechnica stworzenia.

Przypatrz się życiu i światu w szczegółach, a znajdziesz nieprzebrane morze sprzeczności, tak, że każda jednostka będzie zagadką nierozwiązaną; znajdziesz walkę i wojnę wszystkich jestestw, wszystkich potęg, znajdziesz bezpotrzebne katusze i męki, rozpacz bezdenną, cierpienia bez winy, szczęśliwość bez zasługi; obaczysz miliony pączków zwarzonych mrozem, zanim rozwinęły się w kwiaty, obaczysz miliony pączków ludzkich, złożonych w trumienki, pogrzebionych po cmentarzach, zanim wykwitły ku gwiazdom uczuciem pełném, jasną wiedzą ku Bogu. Obaczysz, jak to w tém życiu nie dochodzą najświętsze, najgorętsze serca pragnienia, jak to rzeczywistość nieubłagana, nieużyta, szydzi z tęsknot, z nadziei, co umiera j samotne, nieznane w piersiach naszych, jak to same ślepe, grube potęgi, bezwiedne, bezuzdne moce w niwecz obracają nawet najświetniejsze arcydzieła ducha ludzkiego, co miały pójść na chwałę całego naszego rodu. W życiu, w świecie słychać jęki, kwilenia boleści, słychać gwałty i krzyki rozpaczy, widać rządy wrogiego przypadku, co jakby fatum, jakby zmora ciąży na duszy rodzaju człowieka.

Tak jest, tak się istotnie rzecz ma, gdy się zwrócisz ku światu krótko-wzrokim zmysłem doczesnym, gdy patrzyć się będziesz jedynie na szczegóły, na jednostkowe jestestwa we wszechstworzeniu, wtedy dostrzeżesz jedynie dysharmonie i usłyszysz jęczące dźwięki fałszywe. Ale gdy, natchniony mądrością, gdy wzniesiony uczuciem wiekuistości nad te ułomki i okruchy biedne, obejmiesz światy wszystkie i doczesne i wiekuiste, i światy materyi i światy duchowe, niekonające nigdy; wtedy nie dosłyszysz już dysharmonii, zostawisz je na tutecznych nizinach; okruchy, ułomki zrosną się w jedną całość, jak kości rozsypane ludów zmarłych na ostatecznym sądzie; rozdwojenia się i sprzeczności, wszelki dźwięk fałszywy, przetopią się w jedną ogromną harmonią, w jeden hymn, w jedno oratoryum, które słyszą anieli; świat materyi skończonéj i nieskończonéj, doczesny i wiekuisty, złożą jeden wielki boży dom. Tak i gotycka świątnica w szczegółach sprzeczności pełna; jéj zaś całość, ogół jest przeczuciem harmonii nadgwiazdnéj, odgłosem innych światów, co tu zebrał się w kamienne budowanie i pozostał wśród ludzi, wśród ziemskiego żywota.

List Dwudziesty Dziewiąty.

XVI-te Stulecie.

Wstęp. — Wysłańcy nowéj historyi. — Kolumb, Kopernik, Keppler. — Franciszek Bakon, Böhme, Des Cartes i Malebranche. — Machiavelli. — Paracelsus. — Wynalazki. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznéj. — Charakter i istota fantazyi artystycznéj w XVI stuleciu. — Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w téj nowéj epoce. — Zestrój ducha i natury, będący istotą téj nowéj poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassyczności dawnéj, starożytnéj. — Sztuka klassyczna nowożytnych czasów. — Różnica jéj od fantazyi klassycznéj starożytnych ludów. — Inne znamiona téj nowéj fantazyi. – Fantazya późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI. — Powody tego zdania i przykłady.

Gdy słońce opuści tamtę, nam odwrotną, półkulę naszego planety, — gdy pożegna nieskończone jéj oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata, — gdy jego tarcza, ta pani światłodawcza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spojrzenie swoje po naszéj północnéj połowie ziemi; już wtedy ogrzane jéj promieniem duchy natury obudzą się po długim śnie zimowym, i, przeciągając się, leniuszki ziewną, spojrzą w koło siebie, i zabiorą się ochoczo, rzeźko do wydzielonéj im pańszczyzny. Jedni z tych duchów-wyrobników imają się łąk, gajów i gór i roli, i chu-

chają na wszystko, co rosnące, kwitnące, więc na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i przędą cieniuchne włókienka, i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tchną na nie wonią — a wnet Karpaty, co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jéj objęciu śpieszą na Baltyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodniały wiosną i z wysokości swojéj patrzą kwiatkami na błonia i gaje i na grody stare. Ba, wszak i na jednéj z zsiwiałych baszt krakowskich, na jéj samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jéj bukiet ślubny. Tym ogrodnikom a gospodarzom niewidzialnym są też niepomału na rękę innego znów cechu braciszkowie, co ulatując w powietrze, wzgórę, wysoko siadają na obłoczkach, na chmurkach, a płyną na nich, jakoby na statkach niebiańskich, i wszędy patrzą ciekawie, a kędy posucha, tam kierują te rozpłynne statki swoje, to kropią dżdżem, luną ulewą, to zasłaniają nasze pszeniczne łany chmurną oponką od skwarów palących; a tak co sił pomagają onéj czeladce na dole, co to od urodzajów wszelkich a chlebodawczych plonów. Inna drużyna ma znów oddane sobie wszystkie żyjące, więc zaraz z wiosną pierwszą co tchu wyprawiają się w zamorskie południe i wnet wracają przez Tatry, wiodąc za sobą gęste bocianów pułki, i wskazują drogę przez powietrzne morze jaskółkom domasznym, i sprowadzają nad Wisłę wszystkie one zmarzlaki skrzydlate, co ciągną pod jesień, pod zimę tam, kędy pomarańcza kwitnie a ryż i daktyl rośnie; bo im biedakom tak chłodno i srogo i dygotno u nas wśród mrozów sarmackich. A czeka je też z tęsknotą bocian biedny przed gankiem staroczesnego dworu; on sam jeden się zabałamucił i został z nami na północy, więc wita braci radośnie i gościnnie, i rozpowiada biedy swoje zimowe i chłody i smutki.

Po ziołach, po trawach i liściach, po wodzie i trzcinie coś się szmerzy i rusza i szumi i kluje i burczy — to owadki, robaczki o zbrojach błyszczących, o szmaragdowych, rubinowych pancerzach, jakby żywe stworzenia klejnoty; inne rozpinają jak żagle skrzydełka błękitne i muskają po wodzie, przezierając się zalotnie w jéj szklistych zwierciadłach. Wszędzie tego życia pełno, wszędy się coś burzy i robi, i huczy, i roi; i w liściu, i w krzewiu, i w strumieniu, i w powietrzu i w ziemi i w trawce, na grobach i w ogrodach.

I wierzaj, choć to sam człek, jako natury pan, zasiadł na myśli swojéj tronie — choć się udrapował hardą purpurą swojéj wiedzy, toć jednak nie wie, że i on sam oddany jednemu z tych niewidomych cechów. Te robotniki natury, choć udają, że mu są potulne i posłuszne i korne, rade go przecież omajaczyć, oczynić, i najczęściéj też postawią na swojém. One chichocząc z cicha wabią i kuszą, byś czasem westchnął, patrząc wśród zimy na góry, na bory i jary, co zamknięte w ramkach zawiesiłeś na ścianie; to znów przebierają się

za wróbla, rozpustnego paliwodę, co czepia się u okna i dziobem puka w szybę zmarzłą, drwiąc sobie z ciebie, coś zamknięty w izbie, jako w więzieniu zimowém. Ot, te duchy przez całą zimę grają z tobą „w zielone“; one się czają na ciebie w tych biednych ogródkach, coś je porozstawiał w doniczkach na oknie, lub się kryją w bluszczu, co nie wiedzieć po co pnie się od stolika, lub sobie żarty stroją, jawiąc się w trupich kwiatach robionych, lub w owocach z cukru i wosku.

Niechajno atoli wiosna już na prawdę zawita, toć to dopiéro z tych ichmościów wielomocne, czarnoksięzkie pany, one ci cały dom przewrócą i na głowę zburzą w nim ład zimowy. Gdy pierwszy raz na oścież roztworzą się okna, wtedy też szeroko, na oścież roztworzy się dusza, i odetchniesz serdecznie, głęboko; wtedy zewsząd do mieszkania wpadną one duchy odmłodnionéj przyrody, i nuż się krzątać, nuż wietrzyć; wyścigają cały zimowy tryb oknem i kominem, wypłoszą ckliwość stęchłą i plotki i bajki, owe niedorodne dzieci staréj zimy, i wypędzą je precz — aż na Łysą Górę.

Gdy z wiosną, na święto nasze miejscowe, od wielu wieków i pokoleń mnogich obchodzone, wyroi się miasto nasze jakby z ula, gdy się wyroi co żywe do słońca, do powiewów świeżych, do ptasich pogadanek; wtedy dziwnie się coś i w duszy zaświeci, i coś się w niéj kluje, i rusza, szmerzy i burzy i roi i brzęczy; jakieś przeczucia wróżby w piersiach gwarzą i szepczą, i tęsknotki westchną, i znowu jakieś swobody, słodycze koją, tulą biedki kwilące, i pieszczą te uczucia, co to grymaśne, zdrażnione w sercu chorują.

A cóż dopiéro dzieje się w sercu młodém, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodziuchny podrostek trzyma fijołki w ręku, oddycha ich wonią, i dusza rada im się wyspowiadać, ale jéj słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fijołki w jéj piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jéj się w nocy przyśniły, że to owe marzenia, co ją dniem pieściły, rozbierając serce rzewną, tkliwą tęsknotą — nieskończoném proroctwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha, a duchy przyrody po krzewach, po gajach ukryły słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne; aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jéj sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jéj duszy nie rozsadzą. Nadleciał też i motyl wietrznik, siadł tuż przy niéj na kwiatku, i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jéj hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksięzkie przeczytać — i duma i myśli i tęskni. Któż jéj rozwiąże owe wróżby i przeczucia, owe wonne i śpiewające proroki? Kto jéj przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify, popisane na skrzydełku motylém?

Oto — jak w świecie przyrody, tak bywa i w świecie historyi; dzieje też ludzkiego rodu mają swoich duchów, bożych wysłańców. Gdy się kończy jedna epoka, jedna pora rozwojów dziejowych na

ziemi, a gdy nastaje nowy rzeczy zwrot, już wtedy, jakby na wiosnę, wszędzie pełno szeptu, szmeru, wszędzie się coś kluje i burzy i rusza i robi, bo duchy historyi, rozpuszczone po krajach, po narodach pukają zrazu zcicha, wnet mocniéj i mocniéj do duszy, do wnętrza owych ludzi, co sercem, co głową wyrośli nad miarę powszednią, codzienną, co zdolni przeczytać hieroglify, popisane na skrzydełku tych duchów historyi.

Taką epoką dziejową, taką porą nową a zwrotem duchowym było szesnaste stulecie. Przecież historya już w końcu piętnastego wieku wyprawiła zacnych wysłańców, a promiennych geniuszem gońców swoich, by gotowały ścieżkę nową, po któréj chodzić miały dzieje ludzkiego rodu—o nowéj myśli, o przerodzonéj artystycznéj fantazyi.

Jaki to był kierunek téj myśli, jaka to nastała nowa cecha fantazyi? — Łatwo zgadnąć, byleś chciał pójść ze mną i podpatrzyć onych wysłaników historyi, i uważał, jakich ludzi oni do pracy wzywali, i jak każdy z wezwanych wybrańców dokonywał wydzielonéj mu roboty na téj roli Pańskiéj. Zdołasz téż dokładnie ocenić i cel ich mozołów twardych i silenia się zacnego, jeżeli nie wypuścisz z pamięci, że średnie wieki zeszły już z widowni dziejów, że inny nowy dramat ma wystąpić z po za kulis świata, że tém samém cecha, stanowiąca istotę stuleciów romantycznych, miała teraz odbyć przemienienie swoje na inną, zupełnie od niéj różną. A wiesz, że ową cechą było właśnie ono odwrócenie się od natury, zatopienie się wyłączne w głębinach wnętrznych, duchowych, a opieranie się na osobistém, indywidualném nastrojeniu umysłu. Ztąd téż wypływało owo rozdwojenie ducha i przyrody, myśli a zmysłów potęgi, owe dualizmy a sprzeczności i złamanie się człowieka na dwoje; ztąd ona tęsknota niewymowna, ztąd téż niepokój miotający człowiekiem i ścigający go przez życie awantur i przygód. Wszak przypominasz sobie również, że te moce wewnętrzne, żyjące w duszy człowieka, stwarzały sobie na miejscu natury i historyi osobną naturę, osobną historyą, pełne widziadeł magicznych, oświeconych czarodziejskim płomieniem. Tak w średnich wiekach rzeczywistość cała, zasłonionа światem złudzeń optycznych, czarnoksięzkich, nie istniała niby dla ludzkiego ducha. Otóż te wszystkie moce, robiące w sercu wieków romantycznych, doznały w szesnastém stuleciu przestroju i ważnéj przemiany.

Wśród głuchéj oceanów pustyni, co samotna jak grób, rozłożysta jak wieczność — kołysze się statek — pod nim ziewają wodne, ciemne otchłanie i patrzy stuoka śmierć; nad nim ciche, spokojne niebios bezdenie, kędy mrugają gwiazdki ufnością, nadzieją. Upłynęły długim szeregiem dnie, upłynęły tygodnie, miesiące — jak widmo senne zniknęły wędrowcom obrazy brzegów ojczystych; już drwinami gaje, góry, strzechy domowych stron, już bajką, lądy i stała twierdza; pod stopami kołysze się statek, a serce kołysze się strachem, szałem rozpaczy, gniewnym buntem. — Statek goni — śpieszy

na zachód, bo na rozpięte żagle jego tchnął duch historyi! — Europie duszno, dławno, brak jéj oddechu, pobrzeża jéj ciasne, ona już sobie nie wystarczy; duch ją prze, by wystąpiła z siebie. Na statku Kolumb (1436—1506) sam jeden, jak te gwiazdy na niebie, cichy i spokojny w sobie, choć w koło wre szał rozpaczy i strach i rokosz mściwy. Bo Kolumb w jasnowidzeniu geniuszu obaczył wizerunek całego, ziemskiego planety; on natury prorokiem, on dziejom ludzkim ma roztworzyć nowe pracownie, nowe zawody, by człowiek dorabiał się własnéj a nieznanéj mu istoty swojéj, by się doczekał chwały i pociechy z siebie. Kolumb, sam jeden na statku, jest synem nowoczesnéj epoki; jego towarzysze, toć jeszcze wyobraźniki średnich stuleciów; ich ściga, goni przez morskie przestrzenie żądza przygód i awantur. Kolumb prorokiem natury i kochankiem jéj. Jak ulubieniec o wdziękach kochanki swojéj, tak on prawi o urokach przyrody odkrytego przez niego świata (*). Opisuje, malując pędzlem natchnienia, i palmy powiewne, i gaje wiecznie strojne w liście gęste, bujne, w kwiatów tłumy, w owoce cudnego wejrzenia. Dniem i nocą podsłuchuje ciżbę ptaków śpiewnych i świerszczków świergotanie, i pogadanki krystalicznych wód strumieni, — i dziwi się i raduje, gdy patrzy na harde góry, co czarnoksięzkiém malowaniem rysują szczyty na czystém niebios przezroczu. Uczucia serdeczne, wzniosłe czynią blizko 70-letniego żeglarza malarzem, poetą, gdy roztacza obrazy téj nowéj, niewidzianéj jeszcze natury, i żali się i boleje, że ręka jego, „oczyniona“ czarem uroków przyrody, nie zdoła opisać tych Opatrzności cudów, że języków tysiące nie sprostają tym niewymownym wdziękom, które go otoczyły do koła; więc śni czarodziejskiém marzeniem, więc woła, że mu się zdaje, jak gdyby nigdy, nigdy nie mógł pożegnać tych rajskich, pełnych piękności, cudnych stron. Tak ludzka myśl, uosobiona w Kolumbie, obchodzi śluby swojéj miłości z naturą.

Zaledwie duch Europy puścił zagony swoje w młody, odkryty świat, a już drugi anioł Pański, zwiastun Bożéj chwały, rozpina skrzydła i zbliża się z nowém wysłannictwem do naszego planety. Anioł, nocą spuszczając się na ziemską kulicę, ujrzał w blasku księżycowéj poświaty wstęgę Wisły srebrną; wysłannik nadgwiazdny stanął wśród milczących murów starego krakowskiego grodu. Oniemiałe błyszczały świątynie, uśpione rynki, ulice. Anioł dumał i myślał, kogoby z naszych uwieńczyć miał koroną wiekuistéj sławy, ku uczczeniu téj ziemi całéj, która od dawna i krwią serdeczną wychrzciła się na wierną Bogu służebnicę. A w tych murach żył mąż, co dumaniem zapadał w topielach ducha swojego; w nich jakby na firmamencie paliły się myśli, niby gwiazdy, a to niebo w piersiach jego było bezobłoczne, przeczyste, żadna chmurka samolubna nie przyćmiła niebiańskiéj pogody duszy. Tak ten mąż, łamiąc się z so-

(*) Ob. Humbold „Kosmos“. T. II.

bą, uświęcił się na mądrości Bożéj wieszcza, na zacnego tłómacza wszechstworzenia dzieł. Bo kto duchem ma sięgnąć w sprawy wiekuistéj miłości, niechaj sam wprzód będzie w doczesnym żywocie miłości obrazem; kto się chce zaślubić jéj mądrości nieskończonéj, niechaj sam wprzód wystąpi z ciasnych, dusznych szranków samolubstwa; niechaj wyrzuci z siebie myśl, jakby wnętrze jego osobiste było wyłącznem ogniskiem prawdy wszelkiéj; niechaj, nie tracąc siebie, wie przecież, iż jest tylko jednym tonem w współdźwięku wszech jestestw, żyjących w wiekuistym zakonie.

Zaprawdę, w téj miłości nieskończonéj skąpał ducha swojego Mikołaj Kopernik. On dumał w samotnéj komnacie i czuwał gorejącą myślą wśród snem uśpionego miasta. Roztaczał w duszy umiejętności stare podania; i ważył i badał naukę, co ją był przywiózł z Padwy, Bononii i Rzymu na ziemię ojczystą; z miłością przechodził słowa Brudzewskiego, co mu był niegdyś pierwszym w umiejętności przewodnikiem w Krakowie, w Jagiellońskiéj szkole. I dał gwiazdom posłuchanie i ważył je i mierzył i zgłębiał; tęsknił głęboko za prawdą i wierzył nabożeństwem serca w łaski Boże, i ufał im jako twierdzy niezachwianéj. Wtedy Bóg z duchem jego rozmówił się na gwiazdy, wtedy stanął anioł prawdy, wysłaniec niewidzialny, obok Kopernika, i tchnął tchem na dumające czoło; wtedy dreszcze, idące od Ojca na niebie, przejęły mrowiem duszę, a myśli stworzenia, dawniejsze niż światów poczęcie, zrodziły się po raz drugi w nieśmiertelnym duchu człowieka. Jak w onym dniu, gdy się wykluwały gwiazdy, rozgarnęły się ciemności od światłości, tak w téj chwili w myśli Kopernika jasność rozgarnęła się od mroku wątpienia. Rozstąpił się strop nizki samotnéj komnaty — anioł uniósł w górę ducha wybrańca swojego. Mijali gwiazdy, księżyce, mijali światy płomienne, przyświecające im niby kagańce natury po ciemnéj, nieskończonéj przestrzeni. Kopernik na własne oczy duchowe widział kołowroty planet około słonecznego ogniska i słyszał psalmy aniołów, co je wiodły przepaścią bezdenną, bez chyby — jako boże zegary.

Nowy system świata zrodził się dla umiejętności ludzkiéj, a zrodził się miarkując, łagodząc potęgę uczuć osobistych, a dufanie w siebie pełne pychy. Planeta ziemski uznał, że to dawniejsze uważanie siebie za ognisko wszech jestestw, za środek wszech ciał niebiańskich jest kłamliwém samolubstwem. Za Kopernika słowem, ziemia wystąpiła z ciasnych szranków miłości własnéj, uznała, że sama jest jednym tylko tonem w onym współdźwięku gwiazd żyjących, w wiekuistym Bożym zakonie. Przejrzał planeta ziemski i obaczył, że on oraz z innemi światami, braćmi swoimi, obchodzi ognisko światłości, zkąd im wszystkim płynie jasność i ciepło i wszelkiego żywota zdrój. Mikołaj Kopernik nieskalaną, niebolotną a śmiałą i pobożną myślą przemógł ducha wieków średnich, poślubiając znów serce człowieka z naturą a ścierając zarozumiałe odnoszenie się do sie-

bie, jako do ogniska a środka wszelkiéj prawdy. On przyprawił myśli ludzkiéj skrzydła, by się puściła w one „boże ogrody“, kędy klują się planety, niby zioła, a słońca, jako kwiaty.

Kolumb i Kopernik, toć dwaj bracia po duchu. Kolumb oduczył starą półkulę ziemską, a Kopernik oduczył całego planetę pychy samolubnéj. Obaj roztworzyli na oścież dla myśli nowe nieznane światy, by duch człowieka w swojéj tęsknocie za nieskończonością, za wiekuistą prawdą, miał kędy oddychać w doczesnym żywocie, by się wychowywał, gotował i rósł w sobie, zanim go cherubin zmartwychwstania nie poprowadzi przed oblicze Wszechmocności i nie pokaże całego gospodarzenia mądrości wiekuistéj aż do kończyn światów. Kolumb otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy historya doczesna rozwija pole dla ziemskiéj pracy; Kopernik otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy jak gwiazdy płomieniste, chodzą nasze przeczucia o tamecznym żywocie, kędy wznoszą się tęskne serca naszego proroki i wróżby ciche.

Miał swoich następców Kolumb w onych genialnych a dzikich awanturnikach, na poły rycerzach, a na poły zbójcach, co je wysyłała Hiszpania na zrabowanie Ameryki i uświęcenie jéj krwią pierwotnych mieszkańców dla przyszłych dziejów ludzkości. Miał swoich następców Kopernik w tych ludziach, co, podjąwszy nić wielkich myśli jego, snują i przędą w cichości ducha tę nić, po któréj spinać się ma nauka pod stolicę wiekuistéj mądrości. Są to one szanowne umiejętności zakonniki, co żyjąc tylko dla téj jednéj myśli wybranéj, dla idei umiejętnéj, wyrzekają się świata i jego uciech, żyją wśród trudów cierpkich, walki ze światem i z boleścią własnego serca. Takim pracownikiem był Keppler. Kopernik wyrzekł, co się dzieje na niebie, Keppler duchem wywróżył, *jak* się to dzieje; wywróżył duchem prawa świata światów. Gwiazdy zwierzyły się geniuszowi jego z ustaw matematycznych, które je wodzą po przestrzeni bez granic. Gdy do Kepplera mówiły myśli Boże, chodzące płomiennemi drogami po niebie, niedostatek głodowy zazierał do domowych jego ścian; gdy geniusz jego jasnością rozświecał tajniki pierwszego dnia stworzenia, na małżonkę jego padła noc obłąkania, w skutek okropności ówczesnéj wojny.

W tych właśnie latach, w których Keppler mocował się ze światem o chleb powszedni dla siebie i dla swoich, wtedy właśnie żył w Anglii wielki pan, przemożny lord, hr. de St. Alban, wielki kanclerz połączonych królestw Brytanii. Swiecisto i butno i hardo było w przepysznych pałacach a zamkach magnata; strumieniem płynęło złoto z rąk jego, słowo z ust jego władało publiczną sprawą, a w myśli jego pracowały zdolności tak genialnie, że miały rozwidnić ścieżkę do umiejętności dla przyszłych pokoleń. Tym lordem a kanclerzem był Franciszek Bakon na Werulamie (*). Choć atoli on był

(*) Ur. 1561 † 1626 r.

imiennikiem onego szanownego ziomka swojego mnicha Rogera Bakona, co uzacnił sobą całe średnie wieki; (*) choć hardy lord, równie jak korny zakonnik, przesiedział wielką część żywota swojego w więzieniu, przecież byli oni wręcz odwrotni sobie charakterem. Roger Bakon umiejętność swoją opłacił więzieniem; wielki kanclerz Brytanii, potomek sławnych zasługą przodków, choć przemożny władzą a świecący bystrością talentu, znieważył się niecném przekupstwem, matactwem; ztąd mu poszła utrata dostojeństw i czci, ztąd więzienie jego.

Niechaj mu jednak odpuszczone będą te winy, boć one i tak od dawna przez ludzi zapomniane. Co Bakon zgrzeszył sercem, wynagrodził sowicie światu głową, i toć zostało we wdzięcznéj pamięci. Wszak to on przetarł oczy Europie ówczesnéj i kazał się patrzéć na zjawiska natury zmysłem zdrowym, nieomajaczonym; on spłoszył widma fantastyczne, czarodziejskie, zasłaniające przyrodę, bo nauczył, jak to czynić spostrzeżenia, doświadczenia, jak badać pojawy zmysłowego świata: on podał ludziom metodę w dochodzeniu prawd.

Bakon jest wskróś Anglikiem, jest człowiekiem z gruntu praktycznym; sponiewierał on wprawdzie idealność w zapatrywaniu się na rzeczy: on był właśnie twórcą téj filozofii podsadzistéj, materyalnéj, téj filozofii, co zaklęła myśl w kółku ciasném zmysłów, która temu jedynie ufa, czego się ręką dotknie, a to tylko wiedzieć chce, o czém się na oczy zmysłowe przekonać może. Prawda, że taka filozofia nie jest jeszcze najwyższą filozofią, ale i to prawda, że Bakon, przysłużył się ogromnie światu swoją metodą zdrową, trzeźwą, nie mającą bielma na oczach, że się stał wzorem jasnego języka, że wymiótł po za progi nauk, jako śmieci, one syllogizmy i czcze gadaniny filozofii scholastycznéj średnich wieków, że pogodził człowieka z naturą, że potłukł kolorowe szkiełka, przez które dawniejsze stulecia patrzyły się na rzeczy, a tak widziały nie rzeczy, jak raczéj swoje własne osobiste usposobienie i własne marzenia.

Gdy Bakon jeszcze był młodzieńcem a już stał się podziwem otoczenia swojego, i już podobno myślał nad napisaniem książki: „O stanie Europy“, którą w rzeczy saméj wydał mając lat dziewiętnaście; wtedy, zdaleka od świetnego, błyszczącego angielskiego panicza, — bo w Gorlicach, w miasteczku Luzacyi, siedziało zamyślone, ubogie pacholę w drobnym szewckim kramie. Było to z wieczora, — małe chłopię, zostawione samo w sklepiku, czegóś się oddawna głęboko zadumało. Ocknęło się przecież, bo drzwi skrzypły, otwarły się i jakiś obcy zapytał się o cenę pary trzewików. Chłopczyna w kłopocie, — bo nie był upoważniony od majstra do sprzedaży, — więc zacenił bardzo drogo swój towar; nieznajomy zapłacił żądane pieniądze i wyszedł. Lecz z ulicy zawołał: „Jakóbie, wyjdź téż do

(*) Zob. powyżéj str. 208.

mnie“. Chłopiec zdziwiony, że nieznajomy wiedział, jak mu było na imię, wyszedł. „Słuchaj, Jakóbie, — rzekł do niego obcy, z twarzą serdecznéj życzliwości, a głosem uroczystym, — słuchaj Jakóbie, tyś jeszcze mały, ale ty tak urośniesz w chwałę; że aż się świat będzie wielkości twojéj dziwił! Bądź pobożnym, miéj bojaźń bożą w sercu, a cześć dla słowa Jego! Doznasz wiele biedy, ubóstwa i prześladowania w życiu; ale ty stój przy Bogu, bo Pan Bóg łaskaw na ciebie!“

Otóż ten szewczyk mały, toć ów sławny Jakób Boehme (*), ów philosophus teutonicus, co się stał praszczurem całéj filozofii mistycznéj nowożytnych czasów. Przez życie aż do śmierci pilnował sumiennie uczciwego rzemiosła swojego, a przy tém, choć nieuczony prostaczek, pokochał filozofię, i ona go téż pokochała wzajemną miłością.

Mądrość Boehmego jest widzeniem, natchnieniem. Iskra geniuszu, tlejąca w duchu jego, niewidzialna dla ludzi, jemu samemu nieznana, czekała tylko lada przyczyny zewnętrznéj, lada podwiania, by buchnąć jasnością promienną. Toć się i stało. Pewnego poranku, wtedy Boehme już był majstrem został, słońce całą światłością zajrzało przez wązkie okienko do izby szanownego rzemieślnika, i uderzyło w sprzęt miedziany, błyszczący na półce; sprzęt, niby zwierciadło, odbił blaski słoneczne, i jakby rozgorzał płomieniem. Widok ten rozebrał serce Boehmego, i iskra jaśnią płomienną rozgorzała mu w duszy. Jak światła słoneczne przyświecające planetom przejrzały się w biedném naczyniu, tak światło wiekuiste, co jest wszech duchów światłem, przejrzała się w duchu nieumnego prostaczka. Gdy Boehme zoczył one blaski na sprzęcie, już sobie nie mógł dać rady; ledwie mu serce nie pękło. Wybiega z domu, wybiega za bramę w pola zielone, w laski zielone, by się jakoś upamiętać wśród natury, by nawrócić do siebie. Odtąd on już, choć jego ręka ociężała pracą, w chwilach wolnych zabiera się do pióra i skreśla te pisma swoje, które przez długi szereg lat leżały w zapomnieniu, pogardzone od szkolnych pedantów, jako od biednego, nieumiejętnego szewca popisane, dziś zaś odebrały cześć sobie należną. Zaprawdę, gdy weźmiesz do ręki te dzieła jego, toć zajmujący będzie widok popatrzyć, jak tu miota się geniusz głęboki, jak się sili, by dla téj treści nieskończonéj znaléźć formy, znaléźć wyrażenia i słowa. I zaiste Boehme pasuje się i sili z językiem, z mową, w którąby rad ubrać treść, co mu się tak w duszy warzy i kipi. Ale, aby słowami ująć treść, którą natchnienie podaje, aby tę treść już ujętą, zrozumianą, wydać jasnemi, odpowiedniemi słowy, do tego potrzeba wykształcenia naukowego i wprawy, a tych warunków właśnie brakło Boehmemu. Zatém myśli abstrakcyjne, myśli najgłębszéj spekulacyi ubiera w wyrazy oznaczające rzeczy zmysłowe, materyalne. Tak

(*) Jakób Boehme, znany mistyk i teozof niemiecki, ur. 1575 † 1624 r. — St.

rozprawiając o prawdach, klujących się w wiekuistości łonie, obejmujących pierścieniem niebo i ziemię, o zakonie żywym, który istniał przed świata stworzeniem, używa wyrazów: saletra, merkuryusz, siarka, słodycz, kwas, gorycz, separator, tynktura i t. p. Takowa forma barbarzyńska téj książki, obok głębokiéj, przepaścistéj spekulacyi, czyni dzieła jego tak ciemne, mroczne, zagadkowe, jak ten rysunek położony przy tytule jego dzieła.

Przecież te pisma jego—to nocne podmorskie ciemnice, w których rosną korale i perły kosztowne. Lubo książka „Aurora we wschodzie“ jest najważniejszém z jego dzieł, toć przecież nas tu obchodzi osobliwie druga książka, co ją nazwał: „Signatura Rerum“. W niéj to widzisz, jak on zacnie roztworzył duszę swoją przyrodzie; on ma to wewnętrzne przekonanie, że na kim duch Boży spocznie, już wejrzéć może w serce roślin, kamieni i gwiazd, że zdoła z zewnętrznych postaci rzeczy stworzonych odgadnąć ich duszę i ich wiekuiste znaczenie. Bo u niego natura jest zmateryalizowaną myślą Bożą, słowem Bożém, które się stało światem, a treść każdego jestestwa stała się jego formą zewnętrzną. Tak i Boehme, również jak Bakon, przywrócił niby dobrą sławę, ogromne znaczenie naturze; Bakon wziął ją ze strony zmysłów, Boehme uczcił tę naturę, jako usymbolizowaną myśl Bożą. Boehme jest odwrotnym Bakonem, nietylko pod względem położenia zewnętrznego do świata i życia, nietylko pod względem jasności tłómaczenia się, ale głównie z powodu, że droga obu jest odwrotna. Bakon bierze rzeczy przyrodzone materyalnie, zmysłom tylko wierząc, — jest z gruntu empirykiem; zmysły u niego gotują dopiéro treść dla myśli. Boehme odwrotnie rozpoczyna od myśli, i bez doświadczeń bliższych, bez badań, z kształtu zewnętrznego jestestw natury chce z góry natchnieniem wywróżyć ich serce, ich duszę. Obaj są wcieleniem dwóch ostateczności, i dlatego właśnie jak Bakon tak i Boehme nie dosięgnęli celu swojego.

Przecież choć Boehme nie osiągnął celu swoje, choć jego filozofia jest mistyczną, choć tedy nie poprowadziła wyrazistych granic między duchem stworzonym, a mądrością wiekuistą, światem władnącą; toć jednak z nią się mierzyć nie mogą one bezmózgłe mistycyzmy, co straszą po głowach w nowożytnéj Europie; a które zapewne dlatego tak wiele znalazły zwolenników i chętnéj czeladzi, że podawały wielce wygodną zasadę, ucząc: że się obejdzie bez pilnego badania, bez trudu a skrzętnéj pracy, że najwyższą mądrością jest pogrążenie we własném wnętrzu. Ztąd też lada kto poszedł za tą radą i pogrążał się w tém wnętrzu swojém, wierząc prostodusznie, że z tych pustkowiów, niezbogaconych pracą i nauką, że z téj czczéj, niewidnéj nocy wyniesie tanim kosztem, ba, za bezcen, mądrość głęboką i proroctwa, któremi rozwidni świat. Nie ma się też czemu dziwić, że każdy zacniejszy na sercu a wyższy na rozumie, choćby na chwilę oczyniony tą wrzekomą tajemniczą nauką, w rychle wy-

zdrowieje z téj chorobliwéj pychy serca, a zwróciwszy ducha do rzeczywistości otrzeźwieje prawdami staremi jak historya i świat.

Co w Jakóbie Boehmie jest dopiéro natchnieniem, poczuciem, toć rozwinął rozumowo, umiejętnie Des Cartes (*), choć nie znał uczciwego majstra z Luzacyi. I Des Cartes bowiem również rozpoczyna od wnętrza duchowego, od myśli. Trzy słówka; „myślę, więc jestem“, przez niego wyrzeczone, stały się węgłem całéj nowożytnéj filozofii. Te słówka, na pozór biedne i puste, choć dopiéro łączą myśl z jéj własném istnieniem, mają w sobie jakby w zarodzie zwinięte ogromne zadanie. Na tych słówkach Des Cartes zbudował dowód o bytności Bożéj, dowód tak ogromny, że gdy go przeczytał pierwszy raz Malebranche, osłabł i zachorował na serce. Te słówka, tak na pozór biedne, wpłynęły potężnie na całe przyszłe dzieje następnéj filozofii, bo rzuciły jéj zadanie, aby rozsnuła najprzód myśl ludzką, i wykazała w tém roztoczeniu wszystkie jéj coraz wyższe stopnie, a potém, aby stosowała tę myśl, tak już rozwiniętą, do rzeczywistości całéj, do wszelkiego istnienia, więc do natury i do świata duchowego. W tym atoli świecie duchowym, wśród innych nauk, wielce waży historya. I do niéj swoją miłość zwrócił świat odrodzony. A już przed innemi jaśnieje Machawelli, — ten wielki, skrzywdzony, zapoznany człowiek; on, krom ogromnéj wagi dzieł, napisał historyę téj cudnéj ojczyzny swojéj — Florencyi; w tych jego księgach płynie mowa tak czysta, że jest już sama arcydziełem geniuszu, a ta mowa, jeszcze rozwijająca najgłębszą sztukę pragmatycznego pisania historyi, świadczy, że autor zrozumiał moce władnące w ludzkich dziejach, że przeniknął ich najskrytsze tajemnice.

Jak tedy w naturze tak i w świecie duchowym roztworzyły się duchowi nowe światy, a światy niezmyślone, światy rzetelne i prawdziwe.

Słowem, dech nowy, świeży zawiał całą Europę; gdy wionął po krajach, narodach i ludziach, wszędzie dał znać o sobie i odezwał się w przeróżnych zjawiskach. Zrozumiesz łatwo, że gdy ogarnął ludzi o mniéj potężnéj myśli, już ich upoił szałem, przyprawił o zawrót głowy, miotając nimi a podrzucając. Tacy ludzie, oczynieni duchem, który na nich padł, sami nie wiedząc, co im się stało, co ich posiadło, wykręcali się i wypaczali w karykatury polityczne lub umiejętne. Tak, wiele lat wcześniéj od Boehmego, żyjącego w zaciszu pokornem, w głębokości ducha swojego, zaszumiał, zahuczał po Europie ów hałaśnéj sławy Philippus Aureolus Theophrastus Paracelsus Bombastus de Hohenheim (**), co tak buńczuczny jak to imię jego. On ciężko wyćwiczony po wszystkich wszechnicach europejskich, a uczył się jeszcze, jak sam powiada, i od mądrych i od niemądrych,

(*) Kartezyusz, ur. 1596 † 1650 r. — St.

(**) Znaczny lekarz i badacz przyrody XVI-go wieku, ur. 1493 † 1541 r. — St.

od zakonników i cyrulików, od czarodziejów i katów; on był iście uosobieniem tego opętania i niepokoju, który pada na ród ludzki, gdy jakaś nowa epoka się rodzi, a stara epoka umrzéć jeszcze nie chce i nie może. On zwiedził świat od Lizbony do Litwy, od Londynu do wyspy Rodus, od Wołoszczyzny do Paryża. Sam był mędrcem i szarlatanem, niby geniuszem i obłąkańcem, kuglarzem. Przecież mniejsza o to wszystko, dla nas on tu ważny jako człowiek, który, mimo dziwactwa i wrzaskliwéj zarozumiałości, miał tę wielka zasługę, że również zwrócił cały zapał do badania przyrody. On na głos woła, że natury nie można się nauczyć przy kopciu lampy, w zapylonéj komnacie, ale przy jasném świetle słońca; więc publicznie na rynkach wznosi stosy i pali stęchłe pisma średniowiekowe o sztuce lekarskiéj. Paracelsus sam się mianuje królem i ogłasza ludom, że jego monarchią jest natura cała i woła na wszystek świat: „Wy, coście z Montpellier i Paryża, wy, co żyjecie w Szwabii i Miśnii, wy z ponad Renu i Dunaju, wy Włochy i Dalmaty, wy wyspy na morzu! I ty Grecyo, i ty Arabio, i ty Izraelu! daléj za mną, daléj za mną do mojéj monarchii!!!“

Przecież dość już tych przykładów, mógłbym ci na oczy postawić cały jeszcze szereg znakomitych figur, jako wysłańców nowego nadchodzącego zwrotu w dziejach ludzkich. Com atoli dotychczas rzekł, wystarczy do naszego celu.

Jak na wiosnę zewsząd cóś się gotuje, roi, rusza, szmerzy i rośnie; w powietrzu, w wodzie, pod ziemią, w ziołach, w kwiatach pełno życia i niepokoju; — tak wszędzie już zaiste spostrzegłeś w tym XVI stuleciu wystąpienie człowieka z pogrążenia się w jego wnętrzu osobistém, roztworzenie się jego oczu na świat, który go w koło otacza; wszędzie już brzmi uczczenie natury, i niby przywrócenie jéj dobréj sławy. Odtąd osobiste uczucia, w sobie, jakby w twierdzy, zamknięte, nie są więcéj wyłącznym zakonem w świecie, — odtąd owo opieranie się uporne na sobie znika z pośród ludzi. Przywiedź sobie na pamięć wszystkie one wypadki, które zatrzęsły szesnastém stuleciem, a wyznasz, że one wszystkie zmierzały ku temuż samemu a wspólnemu celowi, boć one wszystkie rosły ze wspólnego tchu, który wówczas przeszedł światem. Przypomnę ci tylko trzy potęgi, które nastały w dziejach ludzkich. Pierwszą jest druk; on choć dawniéj wynaleziony, dopiéro w tém stuleciu staje się potęgą, a potęgą, co upowszechniając wiedzę ludzką, wyprowadzając tedy myśl z ciasnoty osobistéj, nadaje jéj cechę ogólną, zbliżającą wyobrażenia do siebie. Obok téj potęgi staje druga, również dawniéj znana; nabierająca atoli właściwéj sobie wagi w szesnastym wieku; jest-to wynalazek prochu. Obie te potęgi są niby sobie odwrotne, bo jak druk jest pierwiastkiem duchowym, tak broń palna jest potęgą fizyczną, materyalną, a przecież obie zarówno łamią przewagę osobistą, ludzi pojedyńczych; jak bowiem drukowane księgi przekonywają że zdanie osobiste, opierające się li na sobie, nie wystarczy, a tak

zniewalają człowieka do poddania się ogólnym prawdom i zasadom, uznanym w świecie, tak broń palna przekonywa, że dufanie rycerskie swojéj osobistéj sile cielesnéj i odwadze serca, słowem swojéj indywidualności już więcéj nie wystarcza, a tém samém zniewala do poddania się zewnętrznemu ogólnemu szykowi bojowemu, więc zasadom sztuki wojennéj. Dodajmy jeszcze, że szesnasty wiek spotęgował powagę monarchiczną, uosabiającą się przez świetny poczet wielkich ludzi, zasiadających właśnie wtedy prawie na wszystkich tronach, a pojmiemy, że na onczas konał feudalizm romantycznych stuleciów, które uczyniły, jak już rzekłem, „ze społeczności zbiór punktów świecących, odrębnych, z których każdy odnosił się do siebie, w siebie dufając, na sobie się opierając“.

Łatwo nam zgadnąć, że ten zwrot blizkiéj historyi w szesnastém stuleciu był i zwrotem fantazyi artystycznéj; nie trudno téż z tego, co dotychczas powiedziałem, oznaczyć choć ogólnemi rysami téj fantazyi cechę a oblicze.

Patrzmyż, — duch człowieka wychylił się z siebie i godzi się z rzeczywistością, więc z historyą a mianowicie z naturą; on po długiém, tęskném rozstaniu z przyrodą Bożą, odnawia z nią zrękowiny swoje. Fantazya objęła tę naturę promieniem, prześwieciła ją jasnością, ociepliła płomieniem swoim a natura się uduchowniła, a duch przemienił naturę, i tak znów w niéj znalazł wyrażenie swoje. Teraz duch człowieka, co wyszedł z ciepłéj dłoni miłości nieskończonéj, i natura, co dla niego jest stworzona, poznały się po długiém, tęskliwém niewidzeniu się. Fantazya żyje więc teraz ręka w rękę z naturą, a obie wypiastowały arcydzieło piękności.

Teraz ugładza się tedy ono przełamanie człowieka na dwoje, teraz miały ucichnąć w sercu jego walki i mocowanie się ducha a ciała; wiekuiste a doczesne potęgi połączyły się przymierzem; — sprzeczność, rozdzierająca tak długo duszę człowieka, tęsknota do natury, nieukojona, niezagojona, teraz przebolała pokojem, ciszą.

Widać przeto, że teraz natura nie jest więcéj ową naturą fantastyczną średnich wieków. Człowiek teraz już własnymi oczyma patrzy na przyrodę; nauki zażegnały moce magiczne, które broiły po świecie stworzonym; pogasły ich lampki czarodziejskie, migotne, błyskotne; poświata, majacząca ducha, spłynęła z rzeczywistości; ów ludek karłów, ondyn, olbrzymów, czarnoksiężników, spłoszony uciekł gdzieś do ciemnych nieprzystępnych jarów, pochował się w zapadłe doliny, w zaświatne góry, kędy nie zazierał świt duchowy, kędy nie dochodziły wołania nowéj epoki. Teraz już gdzieś podziały się upiory, gnomy i uroki psotne, pokusne, swawolne, drwiące, chichotne, co broiły między ludźmi; — słowem zmyślony, choć pełny wdzięków, świat skończył się, jakby opera czarodziejska; ten świat uleciał niby sen, niby mgła nocna; a na miejscu przyrody ułudnéj pojawił się oczom rozumu i fantazyi artystycznéj, świat rzetelny i natura w prawdzie swojéj. Fantazya otrzymała teraz z pierwszéj rę-

ki naturę, to wspaniałe Boże dzieło, tę księgę obrazkową wiekuistéj mądrości. Teraz umiejętność wzięła na siebie powołanie, by się ucieszyła naturą, by przejrzała jéj zagadki a rozświeciła jéj tajemnice; teraz jest powinnością fantazyi artystycznéj, a mianowicie poezyi, by się obeznała, choć ogólnie, z tym dorobkiem bogatym umiejętności, by jéj nie były obce nauki przyrodnicze. Te nauki i umiejętności właśnie będą pomocą główną dla fantazyi do stworzenia obrazów i przenośni, do wcielenia treści duchowych w kształty zmysłowe, z natury wzięte. Boć przecież te uzmysłowienia, te przenośnie a obrazy są duszą fantazyi; bez nich nie ma sztuki, nie ma poezyi. Zaprzyjaźnienie się mistrza z naturą, jak mu potęguje ducha i nadaje siłę i dzielność, tak również staje się nigdy niewyczerpanym światem postaci i figur poetycznych.

Co z naturą, toć się dzieje również i z historyą i z rzeczywistością całą.

Teraz się kończy ona historya fantastyczna, gmatwająca sobą figury z różnych epok, odległych między sobą o stulecia i lat tysiące; dzieje ludzkie przestały być gadką czarodziejską, po któréj hulają i dokazują moce magiczne, cudotworne. Umiejętność teraz ku temu się ma, by w saméj rzeczy wywieść na jaw zdarzenia wielkie, by wskrzesić postaci dziejowe, przemawiające o drogach, któremi opatrzna mądrość prowadziła ludzki ród. Ta mądrość, to opatrzne oko Boże, czuwające nad dziejami świata, jest tak cudów pełne, że się fantazya artystyczna już obejdzie bez onéj cudotworności czarnoksięzkiéj, zmyślonéj, czyniącéj z historyi dziwaczny kalejdoskop fantazyi; podobnież i zapatrywanie się na naturę obejdzie się już teraz bez wiary w magiczne moce; zjawiska zmysłowego świata, w swojéj prawdzie pojęte, wystarczą, by podziwiać z uwielbieniem uzmysłowione w nich wiekuiste słowo, i wysłuchać w nich nieme modlitwy i psalmy wszech jestestw stworzonych.

Zaiste, właśnie dla tego, że jedna ogromna epoka się skończyła, że one lat tysiąc, stanowiące historyą średnich wieków, już do przeszłości należą, — właśnie dla tego w szesnastém stuleciu fantazya genialna może się spojrzéć wstecz za siebie, na tę przeszłość, którą ród ludzki przebył, może zrozumiéć historyczne znaczenie każdego z tych wieków i zajrzéć w duszę wielkim ich wydarzeniom i dopatrzéć się wiekuistéj ręki, która wiodła wielkich ludzi po dramacie świata.

Chciéjmy się atoli porozumiéć; wszystko, com dotychczas wyrzekł o pojednaniu się fantazyi artystycznéj z naturą, z historyą i rzeczywistością całą, nadaje się do szesnastego stulecia o tyle, że w tém stuleciu ten nowy zwrot fantazyi ma swój początek i zaród; lecz ziszczenie się tego nowego pierwiastku sztuki miało być zadaniem następnych wieków. Wiész albowiem, że historyi nie śpieszno nigdy; ona ma wiele czasu do szafunku swojego. Jak dalece

zaś te późniejsze epoki dokonały zadania owego, o tém wspomnimy późniéj, choć kilku słowami.

Spytasz się atoli, czyli ten tak wdzięczny, zajmujący fantastyczny świat romantycznych wieków, już ma być stracony dla nowożytnéj sztuki? czyli ta natura i historya z całą ludnością swoją magiczną, majaczną mają pójść na odstawkę, jako już niegodne fantazyi artystycznéj? Czyli podania ludu, owe wieści gminne, owe wdzięczne kwiaty fantazyi powszechnéj, o ile wprowadzają do siebie świat czarnoksięzki, — już zupełnie dla nas przepadły? — Bynajmniéj. Fantazya mistrza w nowożytnych czasach, zyskując dla siebie naturę i historyą rzeczywistą, zbogaciła się nieprzebranym skarbem, a nie traci przecież fantastycznego świata średnich wieków; — winna jednak miéć na pamięci, że ten świat fantastyczny nie ma już dawnego znaczenia, że spadł na wartości swojéj; a powtóre, mistrz nowoczesny niechaj nie wypuszcza z uwagi, że jego stosunek do tego czarodziejskiego świata różni się wielce od stosunku, którym się miał do niego mistrz średniowiekowy. Wytłómaczę ci się dokładniéj.

Świat fantastyczny, ułudny, zmysłowy stracił dla sztuki na znaczeniu swojém, bo obok niego stanął świat przeczysty, a rzeczywisty tak pod względem natury i historyi. Ów świat fantastyczny przeto już dla tego jest mniéj ważnym, iż przestał być jedyną, wyłączną osnową dla fantazyi artystycznéj, a następnie dla tego, że nie zdołał się równać ani z pochodzenia, ani z godności, ani z treści ze światem rzeczywistym. Świat fantastyczny jest zrodzeniem samowolném osobistych uczuć człowieka, kapryśną igraszką omajaczonego umysłu jego; świat rzeczywisty jest uwidomioną Bożą mądrością, jéj wcieleniem i szatą, — on jest symboliką myśli wiekuistéj.

Mistrz nowoczesny niechaj pamięta, że zachodzi walna różnica między nim a mistrzem stuleciów romantycznych. Ten wierzył sam w gusła i czary, w całą gawiedź duchów i strachów, mącących rozumny ład świata; mistrzowi naszych czasów nie wolno jest okazać téj wiary swojéj w dziele sztuki, bo albo wyjawiłby tém, że nie jest synem swojego stulecia i uczyniłby się śmiesznym, — albo téż udając wiarę, któréj nie ma, pisałby bez natchnienia; dzieło jego wymuszone byłoby jałową pracą, wysileniem się niepoetyczném. Dla tego poeta, roztaczający świat czarodziejski, niechaj nam w niéj raczéj przedstawia lud, który ten świat wynosił, wypiastował w swojéj fantazyi; osnową artystycznego dzieła będzie tedy nie tak sam świat czarowny, nadprzyrodzony, jak raczéj lud, który jest jego piastunem. Siadłeś nocą przy ognisku razem z gruppą górali tatrzańskich; — zdaleka ciche gawory wodne Morskiego Oka wtórują szumom stuletnich świerków, górskie szczyty obstąpiły cię dokoła, otulone światłem i cieniem księżycowéj poświaty; w ich szczelinach granitowych pochowały się orły, — zasnęły kozy dzikie; — po wądołach i jarach wysokich, wzniosłych, po ostrych szczytach hasają

wichry; a światła czerwone rozpalonych ognisk dziwnie się migocą po twarzach onych chybkich a fantastycznych tatrzańskich synów. Wtedy słuchaj, co prawi juhas (pasterz), jeżeli chętny do gadek, — słuchaj co mu się baje o téj cudotworności jego gór, borów, przepaści i jezior. I baje i baje góral o królu co zaklęty w tych skałach czeka póki nie stopnieją śniegi po jarach, i z nim czeka tysiąc rycerzy na koniach; a rycerze w rynsztunku, z brodami po pas; te rycerze drzémią i czekają, póki na nich nie zawoła król; — i znów mu się plecie o wężu ogromnym, widzianym od starego stryja, co śpi na dnie Morskiego Oka, i jedynie po długich latach głowę z wody wystawi i ziewnie i wróży i połknie kilka owiec i t. d. To wszystko widział rodzony dziad juhasa-gaduły. Jeżeliś poetą a gracko się sprawisz, ucieszysz nas śliczną powieścią, lecz pamiętaj przecież, że w téj powieści sam ten góral-pleciuga winien stanąć na głównem a przedniém tle; niechaj ciebie nie będzie tam widać, boś ty sam niewierny, ten góral jest tutaj poetą; on osnową dla siebie; on sam primadonną téj powieści twojéj. Słowem niechaj będzie znać, że ty nie do prawdy mówisz. Możesz tedy duchów i czarownic i czarnoksiężników użyć w znaczeniu symboliczném; możesz w nich wystawić owe moce, co nie zewnątrz nas, ale w nas samych mają lęgowisko swoje, — one moce, co jakby albo anioły do zacności wodzą, albo jako pokuśnice złego wtrącają w przepaść zbrodni. Możesz także téj czeladki użyć za figury komiki; możeż téż z rzeczą całą obchodzić się jako z żartem poetyckim. Nie będziemy się gniewali, jeżeli, opatrzony świetnym talentem, tak nas omajaczysz, oczynisz powieścią swoją, że na chwilę się sami oswojemy z duchami i strachami, i że nam się zdawać będzie, jakoby taki świat dziwaczny na prawdę mógł istnieć; ale tego wszystkiego wtedy jedynie dosięgniesz, gdy mocą genialności twojéj rzeczy nadnaturalne naturalnemi się wydadzą, gdy w tym bezrozumie znajdzie się rozum, bo wtedy dopiéro sobie powiemy: gdyby były na świecie strachy i upiory, toćby zaiste one się właśnie tak sprawowały a nie inaczéj. Pamiętaj przeto, że do téj fantastyczności ogromnego talentu potrzeba, a to właśnie dla tego, że, jak rzekłem, tytaj nienaturalność ma być naturalną, a nierozum rozumem. Pamiętaj przeto, że lada bezrozsądne androny i duby, że niedorzeczności, które ten lub ów prawi jak na mękach, nie są bynajmniéj poezyą fantastyczną. Choćbyś atoli miał talent najświetniejszy w opowiadaniu fantastycznych powieści, przecie nie zapominaj, że one zawsze są tylko żartem poetyckim; co właśnie okazać się winno nawet już samym drobnym ich wymiarem. Któż nie zna *Hoffmana* (*), onego genialnego fantasty? Jemu, jak pra-

(*) Jest tu mowa o znanym niemieckim poecie, kompozytorze i rysowniku *Erneście Hoffmanie*, ur. w Królewcu 1776 r. um. w Berlinie 1822. Pisma jego, odznaczające się nadzwyczajnym dowcipem i bujną fantazyą, ogłoszone zostały w nowém wydaniu 1871 r. — St.

wią, najszaleńsze koncepta się roiły, gdy siedział nocą w podziemnych knajpach berlińskich. Tu wśród wrzawy ochoczéj kompanii. wśród kart, lamp i świeczek, wyziewów piwnych i dymów fajczanych kłębami dziwacznemi snuły się i wiły i wiązały, wydrzeźniały straszydła, postaci senne, mary, szatanice i djabłęta. Hoffman tu widział świat fantastyczny; a co tu zobaczył, wplótł w powieści swoje, wplótł tak z mistrzowska w życie codzienne, prozaiczne, iż ci się zdaje, że te straszydła a dziwaki, wglądające w ten powszedni ład domowy, a mieszające się w prozę życia, rozumieją się same przez się, że nie są niczém nadzwyczajném; więc z podejrzeniem patrzysz na tego lub owego uczciwego jegomości z myślą, czy to nie jaki przemajaczony demonek. Mimo tego wszystkiego, te powiastki genialne Hoffmana byłyby nie do zniesienia, gdyby które z nich były kilkutomowéj długości, jak one czarnoksięzkie romanse, które dziedzictwem na nas spadły po wiekach romantycznych. A ów Holender Brueghel (*), co tak maluje strachy, straszki, szatanów i czarownice, iżbyś rzekł, że te figury, co na połowy węże, niby krokodyle, niby małpy, niby ryby, niby niewiasty zrodziły się w mózgu gorączką przepalonym; ale choć ten Brueghel szaleńcem, toć przecież jakby po przez tę okropność widzisz drwiącą z ciebie twarz mistrza; a genialnym instynktem te sceny piekielne mieszczą się w szczupłych ramkach; są to najczęściéj małe obrazki, bo inaczéj byłby żart za gruby. Krótko mówiąc, prawidła są tu zbyteczne; instynkt, zmysł artystyczny sam powie prawdziwemu poecie, jak się ma obejść z fantastyczną pracą swoją.

Teraz zważmy, że ta cudotworność jest tylko podrzędnym pierwiastkiem fantazyi romantycznéj; obaczymy jeszcze, jaki obrót wzięła ta fantazya pod innym a ważniejszym względem.

Mówiłem, że fantazya w XVI stuleciu po długiém, tęsknym rozstaniu z naturą, znów się jéj zaślubia, znowu ziemia patrzy się na kochanie wzajemne Psychy, onéj córy z doczesnego świata zrodzonéj a boga piękności — boga, co zstąpił z wysokiego Olimpu. Teraz tedy nastaje serdeczne zapatrywanie się człowieka na przyrodę. Sztuka rozpoczyna od najgłębszych studyów zjawisk zmysłowego świata. Teraz i ta cicha, martwa natura, jéj skały i góry, wody i powietrze, obłoki i światła, dźwięki i tony, wszystkie królestwa roślin i kwiatów, borów i błoni, i państwo zwierząt, i kształty i formy człowieka są przedmiotem sumiennych i pełnych miłości badań. Fantazya teraz ogarnia już całą rzeczywistość, niby ojcowiznę swoją; więc się też uczy i duchowego żywota. Ona podsłuchuje, jak uczucia pukają

(*) *Piotr Brueghel* młodszy, zwany *piekielnym* (Brueghel d'Enfer), jeden ze znakomitszych przedstawicieli szkoły flamandzkiéj, ur. około 1565 r. um. 1637. Do najgłośniejszych dzieł jego pędzla należą: *Orfeusz* przygrywający duchom piekielnym, w galeryi pałacu Doria w Rzymie, i *Pokusa S-go Antoniego* w galeryi Drezdeńskiéj. — St.

w sercu człowieka, ona wziera w głębie charakterów ludzkich, wróżąc potęgi, co pracują niewidzialnie w głębiach duszy, do działania porywając. Podobnie też fantazya bada i serce ludzkiego rodu, co pracuje w dziejach świata; fantazya proroczy o potędze, co prze do dzieł i czynów stulecia i narody, i występuje na jaw dzienny wcielona w postaci wielkich ludzi i bohaterów światowładnych.

Tak mistrz, promieniem geniuszu od nieba danego, przenikając naturę i rzeczywistość wszystką, czyni z nich ciała dla swojéj treści nieskończonéj; on je przemienia na krew, na kości swoich dzieł; on cały ten świat zewnętrzny, widomy zamienia na naczynia swojéj chwały.

Powiesz atoli, że ten zestrój ducha z naturą i całą rzeczywistością musiał już zrodzić w XVI wieku powrót do klassyczności, bo klassyczność starożytna, a zwłaszcza grecka, jest właśnie tym zestrojem i tą harmonią cudnych onych dwóch różnych od siebie światów.

I tak się też stało. Gorącą miłością wzięto się do wzorów sztuki i poezyi klassycznéj. Imiona wielkich mistrzów rzymskich i greckich stały się przedmiotem czci serdecznéj. Otworzył się nowy świat! Kto żył pięknością, całą duszą oddawał się studyom starożytnych mistrzów; dech Hellady zawiał na fantazyą Europy i przerodził ją i orzeźwił. Ten dech wiać będzie aż na późne stulecia, a póki on wiać będzie, uratuje świat od zepsucia, od znieważenia godności swojéj (*).

(*) Zanim atoli bliżéj się téj rzeczy przypatrzymy, chciéjmy się pozbyć do dna uprzedzenia i przesądu, który i dziś jeszcze dość powszechnie a gęsto chodzi między ludźmi. Jakoż najczęściéj nasłuchać się i naczytać można zdania, jakoby ten nawrót do klassyczności był skutkiem studyów pilnych i głębokich około wskrzeszonych wzorów starożytego świata; jakoby właśnie zdobycie Konstantynopolu w XV wieku przez Turków, więc napływ ztamtąd do Włoch uczonych Greków, unoszących zabytki staréj sztuki Hellenów, nie mało się przyczynił do przebudzenia z martwych téj zacnéj fantazyi artystycznéj dawno umarłéj, i rozszerzenia się jéj po Europie. Takowe zdanie jest nowym przykładem, jak to często, sądząc o dziejach, bierzemy skutek za przyczynę, a przyczynę za skutek; jak nam skoro i łatwo czepiać się wypadków zewnętrznych, płynących po wierzchu, na widoku, im przypisując światowładną moc, a pomijamy inne potęgi, które właśnie działają w głębiach historyi i wysyłają one wypadki a zdarzenia widoczne na świat, jako sługi a wyrobniki swoje. Jeżeliś bowiem przystał na cały powyższy rozwój mój, zgodzisz się też ze mną, że zwrót świata do klassyczności był skutkiem koniecznym całego rozwoju historyi ludzkiego rodu.

Średnie stulecia dobiegły swojego kresu z końcem XV wieku; one dogorzały i dla dziejów świata i dla fantazyi artystycznéj, a tém samém i badanie zjawisk natury, które było wręcz przeciwne duchowi średnich wieków, właśnie obudzić sie musiało z całą miłością, z całą potęgą. Prostym skutkiem tego zwrotu fantazyi do natury, było uczenie się wzorów sztuki klassycznego świata, bo w nich właśnie również tętniała pulsem ona harmonia wdzięczna ludzkiego ducha z całém państwem przyrody. Zważ jeszcze, że fantazya XVI stulecia, przestając być fantazyą romantyczną w znaczeniu dawném, straciła zrazu podstawę wszelką pod sobą, a będąc

Lecz, mimo téj ogromnéj potęgi, którą wpłynęła sztuka starożytna na nowożytną fantazyą, zachodzi pytanie, czyli fantazya XVI stulecia i następnych wieków, słowem, czyli nowożytna sztuka mogła się stać z gruntu klassyczną? Na to odpowiadam: nowożytna fantazya jedynie ułagodziła oną dufność nieskończoną w sobie, ale jéj nie zniosła. Jak ta fantazya umiarkowała tylko nieskończoną tęsknotę i wewnętrzną sprzeczność w sercu człowieka, tak ta fantazya ani się stała, ani mogła się stać do prawdy i w całém znaczeniu klassyczną; jéj nawet nie wolno było chciéć być do dna klassyczną i spłynąć w jedno ze sztuką Hellady i Rzymu. Ta prawda wyświeci się nam do syta, jeżeli zechcemy porównać świat klassyczny i nowożytny, a porównać oba te światy pod różnemi względami.

Świat klassyczny, mianowicie grecki był klassycznym *pierwotnie, bo z rodu swojego; on* tę harmonią ducha i natury, stanowiącą istotę klassyczności, wziął z urodzenia swojego, ona była jego duszą, pierwiastkiem jego żywota. Grecya z urodzenia była uwidomieniem, wyjawieniem zewnętrznéj téj harmonii i wdzięcznego zestroju. Ta harmonia była tedy istotą, ba, całą istotą i żywotnym warunkiem Grecyi.

Inaczéj zupełnie się rzecz ma wiekiem XVI i z artystyczną jego fantazyą.

Sztuka XVI stulecia, jak cała fantazya nowożytnych czasów, nie mogła być klassyczna w tém znaczeniu, jak nią była fantazya grecka, a to już naprzód dla tego, że stulecia nowożytne nie *były klassyczne pierwotnie ze samego urodzenia swojego.* Świat chrześcijański wprzód napasował się, nałamał z sobą przez półtora tysiąca lat, zanim znowu zbliżył się do natury, zanim pełen dla niéj miłości serdecznéj objął w objęcia swoje rzeczywistość całą, a tak zbliżył się do téj harmonii zewnętrznéj, która klassyczność stanowi. A gdy po tak długim czasie ten świat zabrał się do klassycznych wzorów starych mistrzów, te wzory nie były przecież własnemi wzorami jego, one nie powstały z własnéj kości, z własnéj krwi chrześcijańskich ludów; te wzory były przybrane, obce, wzięte po ludzie zupełnie różnym, po epoce w dziejach świata wcale innéj i która dawno już

---

jeszcze za młodą, żeby się zdołała opatrzéć i nową, właściwą sobie, pójść drogą, rada była chwycić się wzorów sztuki helleńskiéj, znajdując w nich spokrewnionego ducha; te jéj studya około starożytnéj sztuki były przeto nie przyczyną, ale skutkiem całego nawrotu tego fantazyi. Prawda, że właśnie w tym czasie wypadki historyczne w samą porę nastręczyły, czyli raczéj ułatwiły światu sposobność nauczenia się arcydzieł, sztuki klassycznéj, ale temu nie ma się dziwić; bo mądrość, władająca dziejami rodu ludzkiego, ile razy wywołuje nową epokę, by odświeżyła świat, podaje jéj zarazem i sposobność, by urosła, by się spotęgowała, jest to ta sama mądrość, co pamięta o rozwijającéj się lilii polnéj, o pisklęciu, co się dopiéro wykluło ze skorupy swojéj. Bądź co bądź, to jednak pewna, że z nową odradzającą się klassycznością, że ze zmartychwstaniem cudów starożytnéj sztuki, owianéj najwyższą pięknością, i sztuka chrześcijańska wzmódz się musiała urokiem idealnym, jakby nie z tego świata zrodzonym. Piękność klassyczna staje się przeto teraz jednym z pierwiastków, z cech głównych nowożytnéj sztuki.

ustąpiła z dramatu dziejów powszechnych. Tak przeto z góry już spostrzegamy, że klassyczność dawna nie zdołała w całéj prawdzie swojéj przyjąć się na gruncie nowożytnéj historyi.

Z tego, co właśnie teraz rzekłem, już widzimy, że sztuka nowożytna zamyka w sobie klassyczną jako jeden ze swoich pierwiastków, lecz właśnie dla tego nie jest w zupełności klassyczną; tak jak ciało żywe zamyka w sobie ten i ów organ, a przecież ciało całe nie jest tylko tym lub owym organem. W dziełach nowożytnéj sztuki znajdziesz równie i ducha starożytnego, klassycznego świata, ale znajdziesz w niéj jeszcze inne jéj właściwe pierwiastki; wszak nawet w arcymistrzowskich naśladowaniach poezyi klassycznéj uczujesz jeszcze powiewy nowożytnego ducha. Ta prawda potwierdzi nam się jeszcze dokładniéj gdy porównamy pod innym względem starożytność klassyczną z nowożytnym światem.

Jakoż, uważ jeżeli w Helladzie treść duchowa z rodu swojego była w harmonii zupełnéj z naturą i z całym światem zewnętrznym, rzeczywistym, to ta harmonia miała miejsce znów dla tego, że duch Grecyi właśnie o tyle był urósł, że cała treść jego mogła się jeszcze zupełnie pomieścić w rzeczywistości zewnętrznéj; więc też ta treść ducha Hellady w formach z natury wziętych a zidealizowanych, zatém w dziełach sztuki, mogła znaléźć zupełnie odpowiednie a najwyższe wyrażenie swoje. Wyrażenie zaś takowe było tak zupełne, ta harmonia między treścią a formą była tak doskonała, że co było w treści téj, czyli co istniało w człowieku wewnętrznym, znalazło w zupełności odbice i wcielenie swoje w formie zewnętrznéj; to jest w jego prawach i naukach, w jego religii, w historyi jego; co więcéj, człowiek zostawał nawet w harmonii z naturą fizyczną swojego kraju a ukształtowaniem jego powierzchni, z klimatem i t. p.; słowem, cały świat rzeczywisty, zewnętrzny był tylko uwidomieniem treści wewnętrznéj człowieka. Tém więcéj Grecya w dziele sztuki, jak w wolném i swobodném dziele ducha swojego, mogła się przejrzéć i obaczyć całą istotę swoją; przeto w pieśni, w posągu, w świątnicy budowanéj Grecya wypowiedziała całą treść ducha swojego, nic już w sobie nie zachowując; i nawzajem też ta forma właśnie tyle jedynie miała w sobie osnowy, ile służyło do wyjawienia treści owéj, ani więcéj ani mniéj. Tak przeto w Grecyi co było w treści, było i w formie, a co w formie istniało, toć się znalazło w treści. Tę całą myśl przeprowadziłem przez owe trzy listy, w których rozprawiałem o fantazyi greckiéj. Tam również rzekłem, że stanowisko takowe *raz tylko* w historyi świata pojawić się mogło, a potém przebrzmieć bezpowrotnie. A tak i klassyczność prawdziwa nigdy już nie mogła wrócić się światu; nie wróciła się też nigdy, bo w dziejach rodu ludzkiego nie ma nic starego, co się tu rodzi, rodzi się po raz pierwszy i po raz ostatni. Historya jest wiekuiście młoda.

Otóż takowéj ścisłéj harmonii między treścią duchową a światem zewnętrznym, rzeczywistym, takowéj harmonii jedynie Grecyi wła-

ściwéj, takowéj tedy klassyczności nie było, ani być nie mogło w stuleciu XVI, ani też w całéj sztuce nowożytnéj. Treść duchowa już nie zdołała się pomieścić w rzeczywistości, bo w formie zewnętrznéj w naturze, choćby podniesionéj przez fantazyą w krainy nadziemskie ideału. Wiara chrześcijańska nawiedziła wnętrzne tajnice serca ludzkiego, rozwarła w niém głębie wiekuiste, nadała im treść nieskończoną. Jak przeto teraz człowiek w świecie zewnętrznym, rzeczywistym, jako doczesnym, nie znajdzie wyrażenia treści swojéj, tak też téj treści bezdennéj człowiek nie zdoła wyśpiewać pieśnią, nie zdoła jéj wyjawić obrazem malowanym ani rzeźbą. To co istnieje życiem wiekuistém, co żyje w przybytkach piersi twoich, tego nie zdołasz uzmysłowić arcydziełem piękności; boć właśnie co jest najwyższą treścią twoją, to nie jest z tego świata zrodzone. Dzieło piękności będzie jedynie tchem nieśmiertelnego ducha, ale nie będzie nim samym. Choć się ustoi ten gwałtowny niepokój, co miotał wnętrzem człowieka, ciskając go po ostatecznościach wręcz sobie przeciwnych; choć się ułagodzi ochota do przygód nadzwyczajnych i awantur; przecież zostanie na dnie ducha ukryte niezadowolenie z rzeczywistości doczesnéj i z siebie samego, — zostanie w głębinach istoty naszéj niewypowiedziana tęsknota, rzewność bezdenna, żałość słodyczy pełna, odzywająca się w chwilach cichych, spokojnych z całą potęgą — dusza uczuje, że jest gościem na ziemi, i że ziemia jest przemijającą gospodą. Ten nastrój, będący piętnem ducha nowożytnych, znajdzie też wtórowanie swoje i w sztuce nowoczesnéj. W nadniebnych widziadłach madonny Rafaelowéj usłyszysz tęsknoty aniołów, usłyszysz je w mszach świętych Palestryny, w akordach Bethowenowych; owa tęsknota rośnie i dźwiga się w sprzeczność, staje się niekiedy śmiertelną boleścią, rozłamując serca wieszczów, jakim jest Byron. I właśnie dla tego, mimo zbliżenia się człowieka do natury a rzeczywistości, nie uleciała i w nowych dziejach ona dufność człowieka w siebie, ono opieranie się na sobie, ona sprzeczność we wnętrzu duchowém. Te pierwiastki jedynie się umiarkowały, ułagodziły, ale nie znikły.

Widzieliśmy tedy, że mimo onéj przybranéj klassyczności swojéj, nowożytna fantazya całym światem rozdzieliła się od sztuki helleńskiéj.

Lecz chciéj mieć baczność, że obie te fantazye przegrodziła jeszcze inna ogromna różnica, a różnica odnosząca się nawet do rzeczy ziemskich, tutecznych. Grecya była ludem żyjącym wśród zarania ludzkich dziejów, i ona przeminęła tak rychło, jak spływają purpury z porannego nieba — życie Hellady tak było krótkie! Ona, mimo genialności, nie miała czasu zdobyć sobie treści tak bogatéj, tak pełnéj, jakiéj się dosłużyć jedynie może lud, który liczy żywot swój, doświadczenie swoje, na długi szereg wieków. Inaczéj dzieje się z Europą XVI wieku; ona tak wiele już była przecierpiała, tak wiele przebolała! Historya średnich wieków, toć to była szkoła

twarda a długa dla ludów chrześcijańskich; ta szkoła uczłowieczyła świat, ona nauczyła go czci dla kobiet, a wpoiła uczucie honoru i uszanowania siebie i drugich. Ta długa tysiącoletnia walka rodu ludzkiego, napełniając ludzi bogatą, nieprzebraną treścią, a treścią przerozmaitą, wyrobiła zarazem barwę osobniczą, indywidualność odznaczającą tak silnie ludzi między sobą.

Widzieliśmy w poprzednich listach, że ta indywidualność, będąc skutkiem wiary chrześcijańskiéj, jest jedną z cech sztuki romantycznéj, a nie zatarła się ona i w nowożytnych dziejach; owszem ona się jeszcze silniéj spotęgowała, jak rzekłem, przez długą historyą, przez doświadczenie tak twarde tych ludów chrześcijańskich. Ta indywidualność nadająca osobną, że tak rzeknę, fizyognomią duszy każdego człowieka, wycisnęła się na jego dążnościach, na rysach jego twarzy, w ruchu i w mimice jego. Ale co więcéj, te wszystkie potęgi, które się przyczyniły do wyrobienia téj indywidualności, nadały téż głębokość ogromną człowiekowi, o któréj nie ma śladu w sztuce starożytnéj. O téj głębi w duszy, będącéj piętnem sztuki nowożytnéj, będziemy jeszcze mówili w liście następnym. Tutaj proszę tylko, byś porównał posągi bogów greckich między sobą, a znajdziesz, ogólnie mówiąc, wielkie między nimi podobieństwo, a treść ich tak prosta, że niby cała wykwitła na wierzch; gdy odwrotnie madonny Rafaela, choć tak liczne, choć one wszystkie mają jedno wspólne piętno, choć one wszystkie jakby marzenie śniącego o niebie anioła, przecież one wszystkie są inne a inne; każda ma swoją indywidualność i jedynie do siebie saméj tylko podobna. Każda z nich ma treść głęboką jako niebo całe, o każdéj mógłbyś napisać dzieje rzewne a długie jak wieczność. Porównaj figury tragedyj greckich z figurami Shakespeara a wyznasz, że tamte, jakem już wyżéj powiedział, są podobne do posągów, bo cała treść ich mogła zkamieniéć w jednéj chwili; gdy przeciwnie figury Shakespeara potrzebują długiego rozwoju w dramacie, aby nam wykazać tę treść głęboką, bogatą, nieprzebraną, która w nich przebywa a która jest wypadkiem onéj pracy ciężkiéj, którą się mocował ród ludzki przez lat tysiące (*).

Takowych różnic, oddzielających fantazyą nowożytnych mistrzów od sztuki klassycznéj, moglibyśmy wiele jeszcze wytknąć; one

(*) Widziałeś w liście XXII, w którym kończyłem rzecz o Grekach, jak cudowną jest tragedya Sofoklesa *Antygona*. Wspomniałem ci o zachwyceniu, w które wprawiła widzów teatru paryzkiego, bo co piękne, jest wiecznie piękne; a przecież mimo tego każdy naród, każda epoka nadaje swojéj właściwéj fantazyi całość, tchnienie i barwę, i rade siebie widzieć w dziele sztuki; i dla tego téż, mimo zachwycenia publiczności pięknością Antygony, rzadko bardzo ta tragedya bywa przedstawianą na teatrach, o ile mi wiadomo. Dotychczas pojawiła się w czterech czyli nawet w trzech tylko miastach europejskich.

Nikt tak nie umiał naśladować Horacyusza, jak nasz Sarbiewski; to mistrzowstwo przyznała mu cała Europa, a przecież, czyli właśnie dla tego, poezye jego są prawie dla nas egzotycznym kwiatem.

wszystkie zrodziły się z téj głównéj prawdy, że mimo nachylenia się sztuki nowoczesnéj do klassycznéj fantazyi, pierwiastki duchowe, właściwe ludom chrześcijańskim, były tak potężne, że nie mogły pójść w zapomnienie, że żyły z całą świeżością w nowożytnych mistrzach. Owszem, duch chrześcijański, jak coraz potężniéj przenikał wszystkie świata stosunki, jak coraz silniéj a silniéj przejmował wszystkie tajniki duszy, tak i teraz był tłem głównem, i życiem i sercem artystycznéj fantazyi; i teraz tedy sztuka romantyczna trwa i nie ginie, ale ona ułagodziła swoje barwy jaskrawe, swoje sprzeczności sztuką klassyczną i nią się wzmogła i uzacniła. Tak tedy pod tym względem mają słuszność estetycy, którzy twierdzą, że sztuka nowoczesna jest cudném połączeniem romantycznéj i klassycznéj fantazyi. Pamiętajmy atoli, że to połączenie nie jest bynajmniéj obojętném istnieniem obok siebie tych dwóch różnych żywiołów; to połączenie jest organiczną jednością, jest onym zestrojem, akkordem dźwięcznym dwóch odwrotnych sobie tonów. Tak tedy powołanie sztuki nowoczesnéj jest ogromne, olbrzymie, ale dla tego właśnie niezmiernie trudne. Mistrz nowożytnych czasów nie dopełni powołania swojego, jeżeli nie zanurzy ducha swojego w krystalicznym zdroju piękności klassycznego świata, a przytém nie zachowa piętna własnego swojego czasu i narodu, do którego należy.

Przekonywasz się przeto, drogi przyjacielu mój! jakie są cechy główne téj sztuki nowożytnéj. W niéj znajdziesz idealność klassyczną, a zarazem całą głąb' uczuć chrześcijańskiego świata, pogodzenie się z naturą i całą rzeczywistością, a zarazem tęsknotę zaświatną, rzewność pełną słodyczy i wdzięku, daléj piękność niebiańską nadgwiazdną a zarazem indywidualność wyrobioną, pełną siły a potęgi. Czyliż mam wyliczać daléj jeszcze znamiona żywotne, będące tętnem téj nowoczesnéj fantazyi? Rozumiem, że ci samemu już nie trudno będzie roztoczyć jeszcze ich szereg długi, byleś zechciał zgodzić się na cały wątek rozumowania naszego. Złóż i powiąż razem z sobą to wszystko, com ci rozwinął w dawniejszych czterech listach moich, mówiąc o Grecyi i Rzymie, z tém, com znów rzekł w trzech listach poprzednich, rozprawiając o fantazyi średnich stuleciów, a już same przez się wypłyną dalsze cechy sztuki nowożytnéj, a mianowicie XVI stulecia.

Historya fantazyi nowoczesnéj, doprowadzona aż do dni naszych, jest tak bogata, tak treści pełna, że bynajmniéj nie ośmielam się, choćby ogólnym zarysem, skreślić ci jéj wizerunku. Gdybym się chciał jako tako wywiązać z podobnego zadania, gdybym miał zwłaszcza jeszcze oznaczyć charakter sztuki różnych ludów w tych ostatnich stuleciach, wypadałoby mi popisać całe te tomy takich listów; bo inaczéj sądy moje byłyby czczemi ogólnikami, wyrokowaniem zuchwałém, trąciłyby niepomału zarozumiałością lekkomyślną. Przestanę tedy i skończę rzecz na wieku XVI.

Tutaj atoli odpowiedzmy sobie tylko, choć z lekka, na pytanie,

czyli rzeczywiście sztuka piękna w ostatnich wiekach ziściła w zupełności zadanie swoje? Czyli jéj dzieła są w saméj rzeczy wyrażeniem doskonałém tych cech, właściwych nowożytnéj fantazyi, zrodzonéj w XVI-tém stuleciu. Śmiało odpowiadamy, że jedynie w dziełach niektórych geniuszów wybrańców, a szczęśliwych namaszczeńców piękności, a zwłaszcza żyjących w tém XVI stuleciu, iści się duch nowożytnéj fantazyi z całą świetnością nieskończoną. Najczęściéj zaś, a to mianowicie w późniejszych stuleciach, dzieła sztuki nie sprostały jeszcze zadaniu, które na nie włożyły dzieje świata, a które zapowiedziane były przez ten cudny wiek szesnasty.

Zdaje się, że Europa dzisiejsza nie skończyła nawet pierwszego okresu téj epoki sztuki, która się zawiązała z oném stuleciem szesnastém. Prawda, że fantazya artystyczna miała arcytrudne zadanie, znalazłszy się z nienacka w obec istnéj natury i całéj rzeczywistości prawdziwéj, która stanęła na miejscu owéj fantastycznéj, zmyślonéj; — fantazya nie mogła się zrazu obaczyć, upamiętać, czując, że jéj nagle zabrakło podstawy, na któréj przywykła stać przez lat tysiąc onych wieków średnich. Co więcéj, to zadanie było jeszcze dla tego tak trudne, iż było tak wielkie a ciężkiéj wagi; zasadzało się bowiem na zestrojeniu romantycznego a klassycznego świata, a zatém dwóch ostateczności wręcz przeciwnych sobie; tak przeto sztuka nowoczesna miała być współdźwiękiem a harmonią najwyższą tych wszystkich cech, tych wszystkich pierwiastków, z których kilka wyliczyłem ci powyżéj.

Temu zadaniu tedy tak trudnemu często bardzo nie zdoła sprostać nowożytna fantazya; ona często nie była dość silna, aby jemu poradzić, aby ująć i zespolić te różne a rozmaite dźwięki. Działo się tedy, że często te różne tony odstały od siebie, że te pierwiastki nawzajem się odstąpiły, że każdy z nich samopas, z osobna, odrębnie się rozwinął bez drugich współdźwięków, że zbyt wśród innych wybujał, nie będąc już trzymanym na wodzy przez tamte pierwiastki. Gdy zaś te pierwiastki z istoty swojéj miały właśnie przeznaczenie, aby się zlewały z sobą, więc téż każdy z nich, gdy pozostał sam jeden, nie tylko wybujał zbytnie, ale musiał koniecznie się jeszcze wypaczyć i zwichnąć.

Do naszego celu wystarczy, bym ci natrącił, choć dla wyjaśnienia, kilka przykładów. Tak np. jednym z pierwiastków, zapowiedzianych przez to wielkie i świetne stulecie szesnaste, była znów owa wskrzeszona miłość do natury; ten pierwiastek, puszczając się sam bez idealności, doszedł do ostateczności, zrodził przeto późniéj ową sztukę zmysłową, materyalną, zakochaną w naturze grubéj, poziomej, powszedniéj a nie zidealizowanéj tchem duchowym (np. obrazy Caravaggio i innych późniejszych naturalistów).

Albo się téż stało wręcz przeciwnie; bo wychyliła się jakaś idealność fałszywa, która bez zapatrywania się na rzeczywistość, bez słuchania praw, którym z natury swojéj ulegają przedmioty zewnętrz-

ne, chciała być najwyższéj piękności mistrzynią. Ta idealność, sama sobie oddana, a nie uświęcona natchnieniem artystycznem, wypaczała się w swawolę kapryśną, majaczyła w dziwaczne kształty, w których nie dojrzysz istoty rzeczy saméj, ale raczéj chorowitość epoki, uosobioną w mistrzu (przypomnij sobie np. one rzeźby, udające postawy złych komedyantów; one budowania, kędy kamień i mury fryzowane, wycinane, powykrawane jakby papierki, — słowem, on czas rokoko; — przypominam te malowania „manierowane“, mianowicie widoki natury, drzew, na pamięć robione, one sztuczne, poetyczne figle wymuszone i płaskie, kędy koncepta udają skoczków na linach i t. d.). Tego odstania od rzeczywistéj treści, od natury nie mieszajmy atoli ze zjawiskiem sztuki romantycznéj, bo w wiekach średnich ono odstanie od natury, ono pogrążenie się w duchu właśnie dla tego, że było pierwiastkiem rodzimym, zrodziło ten cudowny kwiat fantazyi romantycznéj; przeciwnie w nowożytnych czasach to odstanie od rzeczywistości, od natury zradza często one chorobliwe, osobiste zachcianki, które niekiedy niby uśmiechają się i milą, ale częściéj są dziwaczkami, które udają fałszywą sentymentalność, lub chodzą na szczudłach skłamanéj wielkości.

Wiesz równie, że jednym z owych pierwiastków jest także techniczność; jest ona warunkiem ogromnéj wagi dla mistrza. — Lecz ona sama jedna wybuja, wtedy zamienia się na wirtuozostwo, co bezpłodne, co oczynia, oślepia na chwilę, a potém znika, gaśnie bez śladu wśród stuku i puku, jako sztuczne ognie.

Jeszcze jeden przykład:

Wszak sztuka nowożytna ma w sobie jako pierwiastek i klassyczność; występuje tedy klassyczność a mianowicie we Francyi. Wyżéj zwróciłem już uwagę twoją, że wskrzeszenie prawdziwéj klassyczności w nowoczesnéj sztuce, było istném niepodobieństwem; a samo pokuszenie się o to, co niemogło być osiągnione, ściągnęło na się konieczną karę. Otóż właśnie tragedya francuzka stała się niby klassyczną pod względem zachowania formy zewnętrznéj. Ona trzyma się ściśle prawideł greckich, a zwłaszcza żyje w ciągłéj obawie, by nie ubliżyć prawidłom Arystotelesa o trzech jednościach dramatycznych (*).

Naśladowano klassycznych tragików co do formy, ile ich tylko

(*) Wiész, że po dziś dzień te prawidła wrzekome Arystotelesa uchodzą za przykazania nietykalne, za powagę świętą. Przecież, mówiąc po prawdzie, każdy poeta prawdziwy i bez Arystotelesa powinienby czuć, że bez jedności w czynie dramatycznym nie ma dramatu, jak nie ma żadnego dzieła sztuki. Co do jedności czasu, téj wcale nie podaje Arystoteles, jako prawidło, wspomina o niéj zupełnie przypadkowo, przygodnie a to raz jeden tylko, i to jeszcze jako zwyczaj, który zachowany bywa. Co się zaś tyczy jedności miejsca, o téj ani słówka nie ma w całym Arystotelesie. Otóż przykład jak studyowano starożytnych autorów, i jak łatwo uprzedzenia się rodzą w świecie, jak wystarczy, by ktoś wyrzekł zdanie choć mylne, a już wszyscy powtórzą za nim gadkę, a nikt się nie przekona, nikt nie zajrzy w źródło, by obaczyć, czyli téż owo twierdzenie jest prawdziwe!

można naśladować, a przecież mimo tego, mimo mocy a wzniosłości Corneilla, mimo nieskończonych wdzięków i harmonii Racina, mimo zgrabności zwinnéj Voltaira, — ta dramatyczna poezya nie tylko nie jest dziś powszechnie uznana za klassyczność prawdziwą, ale, co więcéj, ośmieliłbym się powiedzieć: jest wręcz odwrotną klassyczności prawdziwéj. Bo jeżeli ta opiera się właśnie na harmonii ducha z rzeczywistością i naturą; w onéj wrzekomej klassyczności nie ma ani natury, ani rzeczywistości. Występują tam figury tak głuche i zimne jakby allegorye jakie; są to uosobione myśli abstrakcyjne bez krwi i ciała, których nie ma w naturze; są to figury bez treści, bez barwy indywidualnéj, bez fizyognomii własnéj. Autor w nich nawet nie stosuje się ani do rzeczywistości wschodu, ani do starożytności, z któréj bierze osnowy swoje; nadto on nie stosuje się ani do rzeczywistości, która żyje w jego własném współczesném stuleciu, zbogaconém treścią i pracowaniem się tyle wieków, która żyje w narodzie własnym autora. Bo ta poezya jest dworską, nawet dworacką, zamkniętą w kółku osobném, oderwaną od reszty świata. Więc te postaci bez treści głębszéj mają treść przyuczoną, udaną; nie czują, nie działają, ale deklamują rozprawy o uczuciu, o sercu, o działaniu i t. d. Te figury same są uosobioną abstrakcyą od rzeczywistości; popisują się osobistą treścią, a treść sama jest zmyślona, nie rzeczywista, bo nie jest z życia wzięta. Prawda, że to wszystko może i ztąd poszło, że nie Eschylus, że nie Sofokles, ale Eurypides był wzorem téj poezyi. Przecież ten Eurypides, choć jest Grekiem, jest właśnie wyobraźnikiem późniejszéj greckiéj historyi, boć w nim już brzmi zerwanie ducha z naturą i rzeczywistością, które się dopiéro u niego wyradza w popisywanie się sentymentami, w rozprawianie o uczuciach, o powinnościach, w sentencye i maksymy. O ile zaś Eurypides jest jeszcze Grekiem, o tyle wyrządzono mu gwałt, gdy mu kazano zmartwych wstać i wystąpić przed dworem Ludwików francuzkich. Lecz cała rzecz ta już była nadto ogadana, aby nam było potrzeba rozwodzić się jeszcze w téj mierze; powiedzmy raczéj, że mimo tych niedostatków studyowanie klassycznych tragedyj francuzkich i po dziś dzień może pójść nie jednemu na zdrowie. Nie mówię już tutaj o szlachetności Corneilla, ani o cudności wiersza Racina; bo któż ze wszystkich poetów do téj chwili, pisze piękniejszym, wdzięczniejszym wierszem? To wszystko już pomijam; — jest atoli inna korzyść stanowcza, którą wynieść możemy z czytania tych klassyków francuzkich. Jak bowiem tá klassyczność wzięła w karby dziką i surową wyobraźnią północnych ludów, i nie tylko Francuzów ale całą Europę oduczyła gburowatości i rubasznéj swawoli, tak dziś jeszcze może być napomnieniem nie dla jednego autora, by tę muzę swoją, źle wychowaną, nie umytą, rozczochraną jakoś przecie uczynił przyzwoitszą, by ją ogładził i ucywilizował (*).

(*) Godzi się téż aby ze czcią wspomnieć tutaj o naszych tragikach a miano-

I powiedzmy prawdę, w najnowszych czasach jaśniały zaiste w wielu krajach Europy znakomite talenta w téj szkole, co się romantyczną zowie; lecz gdy im się bliżéj przypatrzysz, poznasz, że ta romantyczność, mimo talentu niezaprzeczonego autorów, najczęściéj jest tylko potęgą ujemną; moc tych pisarzy rodzi się bowiem najczęściéj, że tak powiem, „z opozycyi“ przeciw onéj fałszywéj klassyczności, niby z chęci zrzucenia z poezyi przewagi cisnącéj a cudzéj, czyli to greckiéj, czyli nałożonéj przez inne obce a współczesne narody. Jeżeli zaś znajdziesz geniusze promieniste, co obok téj siły ujemnéj mają jeszcze w sobie pierwiastek twierdzący, własny, twórczy, toć zapewne zdołasz się ich na palcach doliczyć.

Przestaję na tém, com dotychczas powiedział; obejdzie się bez wywodzenia innych jeszcze pojawów w sztuce, które podobnie ztąd się zrodziły, że pierwiastki fantazyi artystycznéj, właściwe epoce nowożytnéj, zamiast się zestrajać z harmonią, odstawały od siebie. Tak tedy często jeden z tych pierwiastków a żywiołów, zbyt się rozpierając, przytłumił inne; a z tego powodu koniecznie dzieła sztuki musiały się wyradzać i zwichniéć. Wszak gdy w ciele organiczném jeden z organów zbytnie się rozwinie, już tém samém głuszy działanie innych i psuje całość, hamuje organizm, wypaczając go w chorobę.

Obejdzie się przeto już i bez rozbioru bliższego onéj poezyi zatrutéj i trującéj, co w rozpaczliwym przesycie, obmierzywszy sobie rze-

---

wicie już o szanownym wieszczu Franciszku *Wężyku*. Wczytanie się w takowy dramat, jakim jest jego „Barbara Radziwiłłówna“ może pójść wielce na zdrowie poczynającym talentom, bo nauczy formy artystycznéj i przyzwoitości a przedewszystkiém nauczy jak to kochać to wszystko co historya uczciła serdecznym hołdem. Dawnoż to, gdy jeden z młodych pisarzy, ze zdolnością prawdziwie świetną, ale jakby przepojony szałem poetyckim, brudném piórem dotknął się téj przeczystéj postaci Barbary i skalał to, cośmy od wieków szanowali i kochali, oszargał pamięć Barbary, aby uczynić może swój dramat (czyli liryczność?) więcéj effektowym. Myślę iż każdy przyzna, że owi starzy tragicy francuzcy bez wątpienia są mistrzami w swoim *rodzaju*, ale się téż zgodzi, że te ich figury są abstrakcyjne i głuche, bez wyrazistéj indywidualności; o przyczynach tego niedostatku nieco rozprawiałem powyżéj, przecież niechaj o jednéj z nich wspomnę wyraźniéj jeszcze kilku słowami. Ci tragicy francuzcy wprowadzają figury to rzymskie, to greckie, albo nieco żydowskie lub azyatyckie, to historyczne, to mitologiczne, a mimo tego żadna z nich nie ma piętna ani swojego narodu, ani wieku, ani cechy osobistéj indywidualnéj, bo one wszystkie wciśnione są w formy dworskie króla Ludwika XIV, one wszystkie nie mają prawdy. Inaczéj u Wężyka. Figury jego są rodzime, swojskie, one urodziły się na téj saméj ziemi, któréj językiem przemawiają. Zygmunt August nie jest wcale takową abstrakcyą, on się poecie zrodził z historyi rzeczywistéj, więc jest indywidualnością, więc rusza się i działa, czuje nawet i mówi tak, jak go nam kroniki przechowały. Zatém widzimy tutaj formę klassyczną połączoną z treścią historyczną, a z treścią swojską tak serdecznie od autora ukochaną. I w tém właśnie jest moc i potęga Wężyka. Do przesytu już nasłuchać się można, że formy klassyczne są przeżyte. Przecież pół stulecia minęło od pojawienia się Barbary Wężyka! a od półstulecia nie znalazła się u nas żadna tragedya, coby obok niéj stanęła.

czywistość, zerwawszy z nią do dna, zamyka się w sobie i po to jedynie występuje między ludzi, aby z prawdziwą lub skłamaną boleścią poniewierać całym bożym światem, niby łupiną pustą, wymiettną. Czyliż mamy znowu wdawać się w wyroby owych niewydarzonych poetów, co, pożegnawszy się z rozsądkiem, częstują czytelników bezsensem i andronami, nazywając je kwiatem genialności fantastycznéj! — A cóż dopiéro owa poezya, co po śmieciskach towarzyskich poluje na osnowę dla siebie, a jakby z krynicy kastalskiéj czerpie natchnienie z płuczysk stęchłych społeczności!

Bez tego wszystkiego iście się obejdziem, zwłaszcza, że nad światem jaśnieje przecież konstellacya gwiaździsta prawdziwych wieszczów i artystów. W to piękności niebo się patrzmy! One niech nam przyświecają i rozświecają duszę, w chwilach gdy zajdzie smętkiem i życia żałobą!

Zrozumiesz, że znamiona fantazyi nowoczesnéj, skreślone powyżéj, są ogólną, bardzo jedynie ogólną i lekką charakterystyką; wszak te cechy mieniły się wielce pod wagą wielkich wydarzeń historycznych, pod wpływem znakomitych okresów dziejowych; roztoczenie atoli tych zrodzeń nie jest tutaj zamiarem naszym. Nie trudno równie zgadnąć, że każdy lud wywiązywał się po swojemu z powołania wziętego na siebie; możnaby przeto i tutaj okazać jakto usposobienie ogólne, duchowe każdego nowożytnego narodu odbiło się w jego fantazyi artystycznéj, jako np. Bakona filozofia zapowiada cechę angielskiéj fantazyi, tak jędrnéj, zdrowéj, ujmującéj z gruntu rzeczywistość i rzetelny świat, i jako znów Boehmego teozoficzna filozofia, w sobie tonąca, mistyczna, wewnętrzna, jest wysłannicą onéj głębokiéj liryki niemieckiéj, zwróconéj w świat wewnętrzny; jako np. znowu duch Kolumba odpowiada téj fantazyi ludów romańskich południowéj Europy, téj fantazyi gorącéj, ognistéj, żyjącéj z naturą w wieczném, nigdy nie rozerwaném przymierzu.

Przecież, puszczając mimo się to wszystko, napomknę jeszcze słówkiem o owym wypadku dziejowym ciężkiéj wagi, który podzielił Europę na dwie połowice, odróżniając się tak potężnie pod względem umysłowym. Tym wypadkiem są wywroty religijne XVI stulecia. Nie wspomniałem o nich powyżéj, natrącając twojéj pamięci pierwiastki dziejowe tego wieku XVI, bom pragnął właśnie dla ich ważności przytoczyć je z osobna.

Protestantyzm, zwłaszcza niemiecki, ulotnił wiarę; ona z ciepłych, tajnych duszy przybytków, z głębin serca przeniosła się do głowy; co było proroctwem świętém uczuć, staje się tutaj pojęciem rozsądku, abstrakcyą rozumową. Ale rozsądek, pojęcie, wiedza, myśl nie rodzą natchnienia, nie znają, co zachwyt artystyczny. Myśli i pojęcia filozoficzne, choćby wcielone w formy zmysłowe, nie stworzą dzieła piękności; one, jak rzekłem tyle razy, zrodzić zdołają jedynie allegoryą zimną, głuchą, bezsercą. Wszak też mówiłem już przy innéj sposobności, że co człowiek wié, co rozumem ogarnął,

co myślą zbadał, toć jest wprawdzie jego własnością, ale własnością tylko przyswojoną, a zatém nie jest jeszcze jego istotą; co zaś człowiek czuje, co on wierzy — to on sam, i to jedynie właśnie może się stać natchnieniem jego i przybrać na się formy sztuki pięknéj, w których się przeziera nieskończona wiekuista natura ludzka. Widzisz przeto, jakto protestantyzm sam się pozbawił jednéj z najważniejszych osnów sztuki, i dlaczego obrazy, jak je maluje np. Angelico da Fiesole, lub Madonny Rafaela stały się niepodobnemi dla protestanckiego artysty; co więcéj, zarazem z tém ochłodzeniem wewnętrznem serca, rozpłynął ów świat legend, podań religijnych wspomnień cichych a rzewnych, co są przedmiotem tak cudownym, osnową już gotową dla natchnionéj fantazyi uświęconego mistrza.

Przecież czas bym ukończył list ten i nawrócił do właściwego naszego przedmiotu, bo teraz przyjdzie nam choć leciuchnym zarysem oznaczyć w liście następnym kierunek, który nabierał każdy rodzaj sztuki w tym czasie. Łatwo zgadniesz, że ten kierunek, będzie właśnie wypadkiem ogólnéj cechy całego stulecia, a tém samém stanie się i ostateczném jéj wyjaśnieniem.

List trzydziesty.

Stulecie XVI.

(Dokończenie.)

Architektura XVI wieku. — Bramante. — Palladio. — Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz. — Leonardo da Vinci, Rafael, szkoła Wenecka. — Muzyka i Palestryna. — Tasso, Ariosto i Kamoens. — Cerwantes. — Jan Kochanowski. — Shakespeare.

Dopisek. Wyprawienie tych listów.

Znasz te uczucia, co grają na pół zrozumiane, na poły dosłyszane w serc toni? Znasz te uczucia, co żyją i tętnią w duszy, jako głuchy szum podziemnych wód — jako grzmotny huk ogniów, ukrytych w ciemném ziemi wnętrzu? Oto — co tam w sercu żyje uczuciem, to występuje na jaw we własnych postaciach przez fantazyę powszechną stworzonych, przez tę fantazyę gminną, wszędzie rozlaną. Gmin tę treść swojéj duszy, na poły mu zrozumianą, odziewa w legendy, powieści, klechdy; on ją wyśpiewuje piosenką, albo wypuści z głębin duszy melodyą swojéj muzyki; a te piosnki, te muzyki swoje wyczytuje jakoby w piśmie kamiennem, w szczytach, w liniach świątnic, które mu stawiali mistrze jego. Zaiste, te budowania, te z ciosów dźwignione fantazye, te architektoniczne linie są jedynie arty-

styczną przenośnią tych uczuć zagadkowych ludu, są jedynie symboliką serca gminu.

Wiesz, że w romantycznych stuleciach główną osnową dla mistrza była treść, podana mu właśnie przez fantazyę powszechną; on ją ujął miłości pełen, przerobił na dzieło artystyczne, a co wziął od ludu swojego jako kwiatek polny, oddał mu jako kwiaty niebiańskie, uwite w wieniec chwały promiennéj.

Wiesz atoli równie, co się stało w XVI wieku? Choć i w tém stuleciu, jak po wszystek świat i po wszystkie czasy, mistrz nie przestawał być synem swojéj epoki i swojego narodu — choć on zawsze był jeszcze wyobraźnikiem jego uczuć, choć i teraz w nim słychać tętno serca całéj ziemi i tchy rodzinnych powiewów, i gawory jego gajów i wód, przecież dla mistrza ta fantazya powszechna, te powieści, legendy i klechdy, te symboliki uczuć ogólnych nie były już główną osnową jego dzieł artystycznych; on teraz najczęściéj zaczął udawać się do rzetelnéj historyi, do prawdziwéj natury po treść swoją. Tak tedy już z tego względu fantazya mistrza a fantazya powszechna odstawały od siebie. Ale nadto sama ta fantazya powszechna osłabła w sobie i zwątlała, bo straciła jednolitą swoją moc; nowa nastała epoka, runęły wieki średnie, zewsząd nowe wyobrażenia powodzią wylały się na Europę, uczucie nie mogło się upamiętać; więc i fantazya powszechna się zachwiała, ta fantazya, co była dawniéj tchem żywotnym, wszędzie rozlanym; ona, co była dawniéj jakby akordem wszystkich tonów, wszystkich serc, ona teraz pozrywała struny, w sobie mącąc się i bałamucąc. I tać była druga przyczyna, dla któréj fantazya artystyczna zerwała dawną ścisłość ślubów swoich z fantazyą powszechną gminu, i z tą symboliką jego uczuć.

Lubo zaś to zerwanie było stratą dla mistrza, przecież ją sobie wynagradzał w poezyi, malarstwie i rzeźbie; trudno mu jednak było zastąpić tę stratę w tym rodzaju sztuki, która właśnie jest wskróś symboliczną, która więcéj niż którykolwiek inny rodzaj sztuki jest odbiciem zagadkowéj treści, zamkniętéj w serca głębinach, w uczuciach na poły zrozumianych. Tą sztuką, jak ci wiadomo, i jak dopiéro co rzekłem, jest przedewszystkiém architektura. — Ona jest wskróś symboliczną, ona nie przemawia postacią uosobioną, wyraźną jak rzeźba i malarstwo, ona nie przemawia słowami, mową jasną jak poezya; jéj wyrazem jest symbolika płaszczyzn i linij; w niéj ona składa przeczucia swoje i zagadki serca na poły zrozumiane, żyjące na dnie serca całego ludu; ona, więcéj niż którakolwiek inna sztuka, spoczywa na uczuciach ogólnych, wszędzie rozlanych, i na fantazyi powszechnéj; boć ona nawet nie ma, jak inne sztuki oparcia i pierwowzoru w formach przez samą naturę podanych, w onych postaciach ludzkich, kształtach zwierzęcych, widokach kraju i wód i gór.

Jasna tedy rzecz, że gdy powszechna ta fantazya, ta symbolika ludu stała się w XVI stuleciu czémś obcém dla mistrza, gdy ona

w sobie omdlała, zwątlała, — już tém samém i architekturze XVI stulecia zabrakło rodzimego zdroju; nie stać było téj sztuki na zrodzenie wskróś nowego rodzaju budowania, nowego architektonicznego stylu. Jeżeli zaś sobie zarazem przypomnisz, iż właśnie ten wiek szesnasty nawrócił do klassyczności, więc rzecz jest jasna, że architektura teraz, w tym braku rodzimego, swojskiego pierwiastku, udaje się do wzorów, które jéj zostawił świat starożytny. Z tego zaś powodu ten nawrót właśnie się najwcześniéj odbyć musiał we Włoszech, jako w kraju, który nawet przez całe średnie wieki patrzył własnemi oczyma na spuściznę umarłego klassycznego świata. Gdy we Włoszech łacniéj było o wspaniałe i majestatu pełne zwaliska rzymskie, co jeszcze harde i pyszne, choć w upadku i poniewierce, niż o wzory helleńskiéj architektury, ztąd téż Włochy raczéj z tych gruzów rzymskich, w których żył zaklęty duch pogromców świata, brały wzory dla swojéj architektury. Tak stanęło budowanie, tchnące wspomnieniami Rzymu, owiane atoli chrześcijańskim powiewem; tak zrodził się ów pierwszy prześliczny *Renaissance*.

Ten styl renessans choć rzymski, przecież łagodny i wdzięków pełen, uśmiecha się bogatym przystrojem, brzmiącym harmonią cudowną. Te ozdoby jego tak misterne, jakby były onych trzech gracyj lubém marzeniem, a przecież są dziwnéj szlachetności i czystości rysunku; te przystroje są tak zamożne, bujne, a przecież w nich nie widać napuszystości popisującéj się próżnością; tutaj dobrze zrozumiane bogactwo obok zacnéj prostoty; a lubo tu są wskrzeszone rzymskie formy, przecież w nich żyje świętością wiara. Jak to widzieć możesz mianowicie na budynkach, któremi zagrał na duszy melodyą kamienną Bramante (*); wszak on jest jednym z ówczesnych wyobraźników téj odrodzonéj architektury (stylu *Renaissance*).

Jeżeli atoli zapragniesz zajrzéć w samo tajemnicze serce starorzymskich budowników, a zarazem obaczyć, czém się staje ta architektura klassyczna, gdy ją wywoła geniusz nowożytnych czasów, wtedy patrz na dzieła Andrzeja Palladio. Ten wielki mistrz, a istny syn szesnastego stulecia (**), w okruchach a zwaliskach zapadłéj Romy podsłuchał życie dawnéj klassycznéj fantazyi i umiłował ją jako oblubienicę swoją, i w tém swojém kochaniu stał się arcywładzcą téj harmonii, co się rodzi z dźwięcznéj proporcyi, a wymiarów w przestrzeni. Palladio atoli wskrzesił przeczyste architektoniczne formy starożytnych ludów, a jednak nie stracił siebie samego a własnéj samodzielnéj oryginalności, którą od natury wziął posagiem w świat; on do zmartwychwstania wezwał myśli, które niegdyś robiły w duchu artystów-budowników, będących chwałą wieku Au-

(*) *Donato Lazzarini*, zwany *Bramante*, znakomity budowniczy, malarz i pisarz włoski, ur. 1444 † 1514 r. — St.

(**) Ur. 1518 † 1580 r.

gustów, Trajanów, a przecież ten wielki mistrz, stawiając kościoły chrześcijańskie, dźwigając twórczą potęgą okazałe pałace, daje znać, że go wykołysała wiara Zbawiciela, i że się wskróś przejął potrzebą, dążnością, smakiem, obyczajem i całą atmosferą nowożytnych czasów (*).

Przecież, mimo potęgi tych geniuszów, mimo silenia się tych świetnych mistrzów, architektura VI stulecia nie miała w sobie zarodu wielkiéj przyszłości. Bo gdy ta sztuka nowoczesnego budowania nie miała, jak się rzekło, własnéj podstawy pod sobą, gdy jéj brakło rodzimego żywotnego pierwiastku, z któregoby się mogła rozwinąć i urość sama z siebie, dlatego nie dziw, że się téż wnet wypaczyła, że jéj przemiany późniejsze nie były bynajmniéj postępem. Co więcéj, do dziś dnia nawet nie stać nas, by stworzyć właściwy nam styl architektoniczny; dzisiaj najwyższym szczytem sztuki budowania jedynie są studya gruntowne stylów całéj przeszłości i umiejętne ich naśladowanie! Przypatrz się budowom dzisiejszym; najlepsze z nich są najczęściéj te, które są mistrzowskiém powtórzeniem dawnych czystych stylów, a te, które żadnéj nie mają wartości, które są „murowaną niedorzecznością“, najczęściéj bywają arlekinadą pomieszanych stylów.

Zważ jeszcze, że ten brak żywotnych warunków w architekturze nowoczesnéj stał się przyczyną, że ona tak łatwo zmieniała się i przeradzała za dotknięciem schorzałego już czasu, lub w kapryśnych rękach wielkich mistrzów. Tak przecudnéj piękności *Renaissance* zo-

---

(*) Zaiste żałować mi przychodzi, że szczupły zakres tych listów nie pozwala nam bliżéj przypatrzyć się, jakto pod tchem odradzających się sztuk i nauk klassycznych wykluwał się w architekturze styl renesansowy. Byłoby to rzeczą arcy zajmującą obaczyć, jak on się zachowywał do wyprzedzającéj go architektury średniowiekowéj. Lubo mówiąc w jednym z powyższych listów o architekturze średniowiecznéj, ograniczyliśmy się stylem gotyckim, bo on najwydatniéj i najsilniéj przedstawia nam ducha owych czasów, toć przecież i styl romański jest także, choć już słabszym i mniéj wyraźnym, odgłosem téj głębi duchowéj, téj indywidualności, która była piętnem średnich wieków. Gdy atoli styl ten przez długi czas był przeważającym we Włoszech, więc w kraju, w którym właśnie najwcześniéj rozwinął się renesans, więc tém trudniéj wykazaćby nam przychodziło stosunek tego renesansu do poprzedzających go stylów i wykluwanie się jego z nich, nie wyświeciwszy wprzód istoty architektury romańskiéj; a która znowu była głównie wypadkiem stylów chrześcijańskich, więc bazylikowego i bizantyńskiego, choć za przyczynieniem się innych jeszcze wpływów, a mianowicie za działaniem rozwijającego się coraz postępu duchowego.

Dla uniknienia pomyłki czynimy atoli tutaj uwagę, żeśmy pod jedném ogólném imieniem *renesansu* objęli i styl Bramantego i Palladiusa; dlatego, bośmy tą ogólną nazwą pragnęli oznaczyć całą epokę odrodzenia. Przecież niechaj zechce pamiętać młodszy nasz czytelnik, że style tych dwóch mistrzów, lubo oba się poczęły pod wpływem sztuki klassycznéj, są wielce od siebie różne. Prosimy również mieć na pamięci, iż styl tak wdzięczny, który zwykle w życiu renesans zowiemy (np. kaplica Zygmuntów w Krakowie), lubo jest także stylem odrodzenia (w ogólném znaczeniu), ma swoje właściwe cechy, które go różnią od czystego prawie klassycyzmu, co go stworzył Palladio.

stał zwichnięty w genialnym a zuchwałym ręku Michała-Anioła Buonarottego (*); — on, tytan w ludzkiéj postaci, dźwignął świątnicę św. Piotra w Rzymie, na podziw światu, na tryumf śmiałości sztuki, przemagającéj bezmierne massy i przestrzenie; ale te wszystkie tryumfy nie są tryumfem najwyższéj artystycznéj piękności.

Ten sam Michał-Anioł jest rzeźbiarzem: on młotem uderzył w głuche marmuru bałwany, a jak z przedświatnych bezkształtnych zamętów wystąpiły na Boże skinienie światłości i słońca i księżyce, i wszystko żyjące; tak za uderzeniem dłóta mistrza tego, z bezkształtnych marmurowych bałwanów wystąpiły postaci jego. Te postaci, to nie wizerunki ludzi śmiertelnych; w nich żyją całe pokolenia, z nich patrzą na nas całe epoki i lat tysiące, one są odziane siłą i potęgą, jakby ich wykarmiły moce natury, wstrząsające światem; a przecież na nich wyciśnięte piętno indywidualności; gdy stajesz w obec nich, czujesz, że to oblicze, te rysy, te ruchy w kamieniu raz tylko w świecie się pojawiły, że one nie są ślepą, bezduszną abstrakcyą — w nich tętni prawda życia. Patrz na posąg Mojżesza, co jest najwyższym klejnotem jednego z rzymskich kościołów. Zasiadł zakonodawca tak poważnie i uroczysto, jakby na stolicy wszech ludów, w oczach jego i wejrzeniu, i w obliczu całém, w jego rękach, ba w szatach, w falach téj długiéj, spływającéj brody tchnie i goreje duch męża, co sam na sam rozmawiał z Bogiem, wśród obłoków i błyskawic i gromów. Czujesz, widzisz duchem, że to jest mąż, co stworzył naród; owszem, co więcéj dokazał, bo dźwignął z upodlenia naród swój, naród, co widział i Faraonów Egiptu i przepych Babilonu i Assyryę ludowładną, co zapamiętał, kiedy Rzym się rodził, co był przy skonaniu jego; który przeżył wszystkie ludy, państwa, wszystkie tysiące lat, a przecież jeszcze snuje się pomiędzy nami, chodzi wśród ludów nowych prawnuczych, bo żyje swoją wiarą, choć w rozsypaniu, choć jest niby upiorem pośmiertnym przeszłości zapadłéj. Buonarottego geniusz, sam tak olbrzymiego a posępnego majestatu, zrozumiał onego prawodawcę bogochwalczego ludu, więc obaczył oblicze jego wśród błyskawic własnego swojego geniuszu.

Ten sam Michał-Anioł widział, jakby na własne oczy swoje, strachy i grozy ostatecznego sądu; on jakby stworzenia prorok patrzał na chwilę zrodzeń natury, na losy pierwszego człowieka, na jego winę i upadek; i chwycił za pędzel i w Sykstyńskiéj kaplicy Watykanu w malowanych obrazach zostawił i ten *Sąd ostateczny* i te wszystkie widzenia swoje, jakby epopeję Bożą, jakby dramat wiekuistości, i zostawił te widzenia swoje nadchodzącym pokoleniom na spuściznę po sobie, a piorunne „memento“ swojego przejścia po ziemi.

A lubo Buonarotti jest malarzem, jakby od wiekuistości w służby wziętym, toć nie on przecież jest wyrazem a uosobieniem malarstwa

(*) Ur. 1474 † 1564 r.

XVI stulecia. Michał-Anioł nie jest wyobraźnikiem ani żadnego stulecia, ani żadnéj w szczególności sztuki, ani żadnego narodu; on sam siebie jest wyjawem, i dlatego wyobraża wszystkie czasy, wszystkie sztuki, wszystkie narody. Ztąd też nie Buonarotti ale Leonardo da Vinci (*) stanął na reju temu świetnemu pochodowi malarzy wielkich, którzy przeszli stuleciem szesnastém przez świat na uczczenie rodu ludzkiego. Leonardo jest zaiste pierwszém uosobieniem i poczęciem sztuki nowoczesnéj, on jest klassykiem i romantykiem zarazem. Z jego obrazów spogląda idealna piękność Grecyi i indywidualność chrześcijańskiego świata; tutaj wdzięki natury odziały ciałem one proroki, co wróżą o zbawieniu w głębiach człowieka.

Leonardo bada przyrody tajemnice, on zgłębia prawdy matematyki, dokonywa cudów w matematyce; a przytém harcuje na koniu i składa się orężem jakby rycerz średniowiekowy; on najurodziwszym mężem swojego czasu, on wielbi swoje panie, a obok ziemskiego kochania żyje w sercu jego niebiańskiéj miłości kwiat; więc też Franciszek I, król francuzki, co sam był uosobieniem monarchii XVI stulecia, uczcił sam siebie uwielbieniem i serdeczną przyjaźnią dla malarza, który w skonaniu umarł w objęciach króla, a umarło i arcydzieło mistrza: owa Wieczerza Pańska w refektarzu medyolańskim! (**) Moce bezmyślne natury, a dziksze jeszcze barbarzyństwo ludzi zabiły, sponiewierały na ścianie te postaci święte! Przecież w téjże lombardzkiéj stolicy, w jednéj z bogatych jéj galeryj (***) znajdziesz dziś na jednéj ze ścian zawieszone ramki skromne — za szkłem papier zmięty o roztrzępionych, podartych brzegach, na nim malowanie o lekkich rzutach, niedokończone, tu i owdzie przebijają jeszcze zarysy ołówka — to głowa Zbawiciela, to karton do onéj Wieczerzy — on się zrodził w natchnieniu, w zachwycie nadziemskim Leonarda. Zaiste, gdy zanurzysz duszę w tym strzępku papierowym, wyznasz, że łaska Boża tchnęła na duszę mistrza, by dreszczem przeczucia rozebrał serca ludzi, by je przejął rozrzewnieniem gorącém, bezmiernem. Mistrz przywiódł tu na oczy cielesne i żal niebiański do zdradnego ucznia, i przebaczenie i słodycz nadziemską. Wiekuistość i doczesność spłynęły w tém obliczu. Znać, że Leonardo widział oczyma geniuszu dzieje Boże; widział, jako ludzki ród uwiedziony samowolą odstaje od miłości wiekuistéj, jako wiekuista miłość zstępuje do niego na ziemię, i sama staje się człowiekiem, i w postaci ludzkiéj cierpi jak człowiek, umiera jak człowiek, a tak ześlubia znów człowieka z niebem, godzi wiekuistym okupem wiekuistość z ziemskim żywotem.

(*) Ur. 1452 † 1519.

(**) Jest tu mowa o refektarzu byłego klasztoru *St. Maria delle Grazie* w Medyolanie. — St.

(***) W galeryi *Brera*. — St.

W sąsiedztwie starego rzymskiego forum i mamertyńskich więzień, tuż pod kapitolium, w akademii św. Łukasza jest także malowanie nadpsute; treść jego taka: malarz pracuje nad obrazem Najświętszéj Panny; oczy mistrza jaśnieją blaskiem nie z ludzi poczętym — oblicze jego goreje światłem promiennem. Obok na poły dokończonéj pracy jego stanął mu wzór — widziadło lekkie, przejrzyste, wdziękiem nadświatnym odziane, — to sama Boga-Rodzica. I wpatruje się mistrz w niebiańskie widziadło; więc jaśnieją oczy jego blaskiem nie z ludzi poczętym! Obok krzesła natchnionego malarza stanął młodzieniec urodny; z napiętą duszą wpatruje się w pracę starego mistrza i tonie w powstającym obrazie, i uczy się, jako malować Królowę Nieba, uczy się wcielać i w barwę i w postać widomą, niewinność anielską, dziewiczą i kochanie, co nie ma granic. Otóż tym mistrzem malującym, któremu modłą jest widziadło nadniebne, tym mistrzem jest Łukasz św.; a młodzieńcem, co uczy się od niego, jak malować Matkę Bożą i niewinność anielską dziewiczą i kochanie, co nie ma granic, — tym młodzieńcem jest Rafael Sanzio z Urbinu (*). Wszak ten obraz cały w akademii jest jego ręki (**).

Powiedz, jeśli pomyślisz duchem o wizerunkach Boga-Rodzicy, onéj przeczystéj lilii niebiańskiéj, czyliż duchem nie złączysz jéj postaci ze wspomnieniem o Rafaelu, co czyste niby lilia ziemska! Tak w duszy twojéj ciałem przyćmionéj, żyją i wizerunki niebiańskiéj Maryi Świętéj, i żyje pamięć Rafaela malarza z Urbino — co rodził się w Wielki Piątek i umarł w Wielki Piątek — w dniu najwyższéj boleści i najwyższéj chwały Boga-Rodzicy.

Słuchaj słów, które wyrzekł o Rafaelu współczesny mu Vasari (***): „O szczęśliwości i błogosławieństwa pełny duchu! O tobie z rozkoszą człek każdy rozprawia i sławi czyny twoje, i podziwia dzieła twoje. Zaiste, gdy mistrz ten umarł światu, mogło umrzéć i malarstwo; gdy on zamknął powieki, mogła téż olśnąć sztuka na zawsze!... Niebo tyle mu udzieliło miłości, że wszyscy artyści nasi, którzy z nim wspólnie pracowali, łączyli się związkiem serdecznym, wzajemnym; a gdy on w ich kole się zjawił, już z serca każdego ustąpiła wszelka żądza niedobra; na sam widok mistrza tego uleciała każda zła, niezacna, pozioma myśl. A to się stało, bo każdy był oczyniony jego uprzejmością i artystycznym geniuszem, a więcéj jeszcze czystém sercem jego, które już było tak szlachetne i tak miłości pełne, że nietylko ludzie ale i zwierzęta oddawali mu cześć!“

(*) Ur. 1483 † 1520 r.

(**) Obraz, o którym tu mowa, tylko w małéj części malowany przez samego Rafaela; większość wykonaną została przez innego malarza, jako obraz do ołtarza w *S. Martino*. — St.

(***) Giorgio *Vasari*, znany autor życiorysów znakomitych malarzy, rzeźbiarzy i architektów, ur. 1512 † 1574 r. — St.

Podobno trudno nam już dodać więcéj do tych słów zacnego Vasarego; wspomnij sobie tylko jeszcze ten orszak szkół, które chwałą wiekami nieprzeżytą rozwinęły się po miastach włoskich, a mianowicie te szkoły, co je urodziła Wenecya. Wszak mistrzowie Wenecyi malowali tak, jakby już to czyste niebo nad niemi, pálące się w barwy tęczowe, było ich paletą malarską, a o których tak trafnie wyraża się A. Raczyński, mówiąc, że ich obrazy, to kwiaty żywe, rozsypane na tle jasnego srebra. W Wenecyi geniusz malarski nawrócił silnie do natury i pokochał ją rzewną, gorącą miłością; na tych obrazach postaci cudowne tchną radością i weselem doczesném; a przyroda w koło i jéj góry i morza i rośliny i zwierzęta obchodzą jakby święto stworzenia swojego.

Wszelako nie brakło i europejskiéj północy wielkich malarzy; więc na północy, na południu i na wschodzie i na zachobzie obaczysz miłość do natury, lecz miłość ta wszędzie unosi naturę w świat niebiański miłości idealnéj. Piękność ta nietylko uczciła ideałem postać człowieka, ona sercem szerokiém, wielkiém i zacném rozlała promienie swoje na całą naturę, a nawet i na tę cichą, bezduszną w koło przyrodę; ona uduchowniła swojém kochaniem wszystkie stworzenia ziemskie. Tak też zrodziło się na świat piękności malowanie widoków natury — pejzażów, co już jest najwyższą oznaką ześlubienia się powtórnego sztuki z przyrodą.

Już dawniéj rozwinąłem ci zdanie, że rzeźba z saméj istoty swojéj jest nad wszystkie inne sztuką klassyczną; widzieliśmy zarówno, że malarstwo ma to do siebie, iż w nim nikną wymiary materyi, że oddalenia, skrócenia, światła i cienie nie istnieją w rzeczywistości, ale istnieją jedynie dla widza obrazu, że tedy malarstwo jest sztuką już więcéj idealną, duchową, niż rzeźba. Otóż zrozumiéć możemy, dlaczego i w XVI wieku mimo geniuszu Michała-Anioła, że i późniéj za naszych czasów, mimo świetności dłóta Thorwaldsenów, rzeźba była zawsze i wszędzie uczennicą klassycznéj skulptury, gdy przeciwnie malarstwo chrześcijańskie roztworzyło sobie nowe światy dla swojego żywota i swojéj chwały.

Gdy zaś ludom chrześcijańskim odsłoniły się czarodziejskie dziedziny malarstwa, cóż dopiéro się dzieje z muzyką, z oną sztuką duchową, o eterycznéj postaci, któréj stopa nie dotyka się już przestrzeni ani czasu, i jakby zwłoki doczesne zmiata z siebie szaty materyi. Wszak muzyka niby woń przywiana z rajskich ogrodów, niby szept miłości wiekuistéj, ona nie dojrzana śmiertelnemu oku — dowidzisz jéj zjawienia tylko po łezce rzewnéj, po rumieńcu, co obłoczkiem przelatuje po licach, po tęskném serca pukaniu. Muzyka nade wszystkie sztuki jest sztuką idealną; ona przemieszkuje w sanctissimum duszy naszéj, ona tą kapłanką świętą, co najwierniéj pilnuje ognia niebiańskich uczuć człowieka.

Wiesz, jak to w wiekach średnich w ród ludzki padł błogi zarod muzyki przyszłéj; wszak już z niego miały się cudownym kwiatem

rozwinąć tajemnice kontra-punktu. Te średnie stulecia atoli z istoty swojéj nie zdołały wypielęgnować téj roślinki niebiańskiéj. Bo choć w sercu ludzkości wiara rozwarła bezdenie nieskończone, a tak nauczyła człowieka czuć ogromne swoje znaczenie; toć właśnie, jak już dawniéj rzekłem, to znaczenie wiekuiste było po ziemsku poczute i wyrodziło się w dufność w siebie bezmierną, w samowolę osobistą, w kapryśną ochotę popisywania się samym sobą a pomiatania rzeczą. To odnoszenie się do siebie samego a poniewieranie rzeczywistością i prawami, które w niéj władają, wylęgły z siebie w średnich wiekach oną filozofią scholastyczną, co ślepa na istny, zewnętrzny świat, na zakon, którym się rządzą i rzeczy duchowe i zmysłowe, puszczała się luzem w subtelności czczych syllogizmów, w których już nie o to chodziło, co jest prawdą w istocie, ale o to, aby okazać misterność własnéj (osobistéj) bystrości rozumowéj; tak tedy wyradzała się w sztuczne, pedanckie gadaniny. Otóż to samo odnoszenie się do siebie a poniewieranie rzeczywistością i prawami jéj, ta sama dufność w osobistą, samowolną powagę pogwałciła świętokradzko muzykę. Muzyka, ta córa nadziemskiéj krainy, była zwichnięta kaprysem kompozytorów, spaczona grymaśną ich ochotą popisywania się. Tak zwolna melodya zupełnie zaginęła, a na jéj miejscu występuje silenie się na sztuczne subtelności kontra-punktu. Gdy muzyka gminu nieuczna śpiewała sobie od serca, gdy trzymając się li wrodzonych uczuć, nie opuszczając świeżego zdroju natury, zachowała i prawdę swoją i wdzięk melodyi; inny kierunek wzięła muzyka umiejętna, a mianowicie kościelna. O tém wszystkiém wspomniałem atoli obszernie w liście ostatnim. Słuchaj, co nam współcześni prawią o téj muzyce: „im kombinacye dziwaczniejsze i powikłańsze trudności, im mniéj Kanon jaki podobny do rozwiązania, tém piękniejszą zdawała się być muzyka, a kompozytor nazywał się boskim mistrzem.“ Ta swawola wyrodziła się nawet w niezręczne proste burdy; tak donoszą nam np.: „że gdy jeden głos śpiewał pieśń *alma mater*, drugi swoim dworem *Regina coeli*, a trzeci sobie *inviolata, integra, casta*.“ Wszak i na naszéj północy pewnie nie było lepiéj, gdyż Jan Kochanowski żaląc się mówi: „wniesiona jest muzyka do kościołów i tak postanowiona aby ludzie ku nabożeństwu pobudzała, czego tak dalece ci nowi prorocy nie baczą, którzy mniemają, że to wszystko w taniec kiedy organy słyszą i tym kościoły porządne ludziom hydzą.“ i t. d. *(Wróżki)*.

Znać, że muzyka podnieść się mogła z upadku a poniewierki w tym dopiéro czasie, gdy człowiek zaczął uznawać prawa rzeczywistego świata, prawa ogólne, a tém samém ukrócił w sobie samowolę osobistą, i wziął samego siebie w karby; a takim czasem, jak wiesz, był właśnie wiek XVI.

Jak muzyka rozwiązuje sprzeczność tonów, zlewając je w harmonią, tak i fantazya artystyczna XVI stulecia, jako rzekłem, umiała zjednoczyć sprzeczność, zestrajając w harmonią świat wewnętrzny

i zewnętrzny, myśl i naturę, ducha nieprzebrane głębie i rzeczywistość doczesną.

Jak stulecie XVI było epoką odrodzenia muzyki, tak nie trudno zgadnąć, że potęgą odrodzenia i podniesienia jéj z upadku i poniżenia był Kościół; boć muzyka jest nad wszystkie inne sztuki sztuką chrześcijańskich ludów, z nią zawarła wiara zacne przymierze swoje. Tak się też stało. Na Trydenckim Soborze, a 22 posiedzeniu jego, właśnie w połowie września r. 1562, zapadła uchwała, stanowiąca o przeistoczeniu muzyki kościelnéj.

A gdy dziś po blizko trzechset latach odbywasz pielgrzymki wędrowne po przestrzeniach bezmiernych kościoła Św. Piotra w Rzymie, gdy ta świątynia, jakby nie przez ludzi śmiertelnych dźwignionа, obejmuje cię w koło ogromem swoim niby światem bożym, wtedy w nawie poprzecznéj okazują ci miejsce, kędy złożony: „Johannes Petrus, Aloysius Praenestinus, Musicae princeps“. — To jest Palestryna! To on człowiek, co tak godnie i święcie odpowiedział nadziejom soboru zebranego w Trydencie (*).

Po śmierci Palestryny znaleziono na jednéj z jego mszy skreślone słowa: *Domine, illumina oculos meos!* (Panie, rozświeć oczy moje!) Snać, że zacny mistrz z Bogiem poczynał prace swoje. Więc też te tony nieskończone harmonij cudownych, te dźwięki, co rozlane po światów przestrzeni przygrywają gwiazdom cichą pieśnią, wodząc uroczysty pochód ich, te harmonie i akordy, co zabrzmiały, gdy się światło rodziło, a co prowadzą ludzki ród przez stulecia i lat tysiące; te współdźwięki i tony boże, co grają choć niedosłyszane w sercu każdego uczciwego człowieka, te tony, harmonie i akordy wszystkie zebrały się w duchu Palestryny; a co mistrz od Boga otrzymał, toć wszystko oddał wiernie ludziom śmiertelnym — on muzykę niebiańską, przedświatną przetłómaczył na muzykę ziemską. Te kompozycye jego już mieszkają między ludźmi; one to jedne z tych aniołów, co stanęły dziejom ludzkim na straży, by nie zdziczały chucią zmysłową i nie przepadły w zapomnieniu siebie.

Są, którzy porównywali Palestrynę z Homerem, lub z Platonem, a to już zapewne dla tego, że Homer plastyczny, że on jest wieszczem zapominającym siebie i osobiste ochoty swoje w postaciach, które z duszy swojéj wyśpiewał, im się już w zupełności oddając. Wszak i Plato tonie w nadświatnych ideach, w onych pierwowzorach wszechrzeczy stworzonych, wykazując marność jednostkowych jestestw i wyobrażeń osobistych. Podobnie jak Homer, jak Plato, Palestryna też nie siebie ma na celu, nie o własną osobę, tę jednostkę mu chodzi, on oddał siebie wiekuistym piękności pierwowzorom.

(*) *Giovanni Pierluigi*, znakomity wskrzesiciel muzyki kościelnéj, urodził się r. 1524 w Palestrynie, starożytném Praeneste, ztąd nazwany *Palestrina* lub też *Praenestinus*. Um. 1594 r. — St. —

Dla tego on żyje i żyć będzie po wieki; bo to tylko umiera śmiercią, co się samolubnie buntuje ogólnym prawdom, siebie na szczycie stawiając; co zaś żyje w prawdzie, toć jest wiekuiste, jak prawda sama. Malarze uczą się na obrazach wielkich mistrzów XVI stulecia, architektura ćwiczy się na wzorach helleńskich i gotyckich, rzeźba wpatruje się w spuściznę bogatą, która jéj po świecie klassycznym i po wiekach Michała-Anioła została. Słuszność tedy, jak myślę, mają znawcy muzyki gdy się dziwią, dla czego sami muzycy tak są trudni, by się uczyć od Palestryny albo od Orlando Lasso (*), co przecież swojego czasu był także cudem. A lubo często gęsto mowa o tych mistrzach sławnych, toć przecież nie usłyszysz ich muzyki, a już do nadzwyczajnych zjawisk należy, gdy kiedyś duszę skąpać i pokrzepić możesz w dziełach światopomnych Sebastyana Bacha (**). Muzyka Palestryny stanęłaby za niejeden z dzisiejszych koncertów, a równie nam słuchającym profanom jak i artystom poszłaby na zdrowie. Lecz aby go słyszéć trzeba aż do Rzymu jeździć (***). Boć tam do dziś dnia w kaplicy Sykstyńskiéj Watykańskiéj, w wielki tydzień, gdy kaplica obrana ze wszelkich przystrojów, ogołocona z przepychów bogatych, świeci jedynie malowaniem Michała-Anioła— wtedy, w obec jego Sądu Ostatecznego, co grzmi zgrozą i strachem— płacze, kwili się muzyka Palestryny. Wtedy roztapia się serce, choćby od wielu lat oskorupiałe cierpieniem lub pychą, wtedy myśl ulatuje po nad doczesności doliny; żałość, pełna niebiańskiéj słodyczy, radości i tryumfu, nieskończone tęsknoty wpływają w duszę słuchacza, budzą w niéj i rozwiązują najgłębsze tajemnice życia i śmierci, tudzież wszystkie świata zagadki. Boć też i skon i boleść ścisnęły serce samego mistrza i zwróciły je ku niebnym wysokościom. Palestryna stracił przez śmierć małżonkę ukochaną; on w żarach swojéj rozpaczy stanął u grobu kochania swojego i zaśpiewał muzyką, pieśnią; i śpiewał Palestryna u grobu małżonki swojéj a tęsknił, aby w rychle się z nią połączył; ale znowu padły na niego lęki i powątpiewania, bo zgrozą i mrozem przejęła go myśl, że jego własne winy a grzechy odgrodzą go może na zawsze, na wieczność

(*) *Orlandus Lassus*, znakomity muzyk, ur. 1532 † 1594 r. — St. —

(**) *Bach* ur. 1685 † 1750 r.

(***) Właśnie atoli dowiadujemy się z Kolonii, że chęć zacna i prawdziwa miłość do staréj muzyki kościelnéj spowodowała towarzystwo muzyczne w Brühl (nad Renem) do wznowienia kompozycyi starych mistrzów. W Sierpniu 1854 r. odśpiewano tedy między innemi arcydziełami także następujące trzy kompozycye Palestryny: *Missa solemnis Papae Marcelli*, *alma redemtoris mater*, i psalm *Jubilate Deo*. Że wykonanie odbyło się w sposób znakomity, widać z tego, że przeszło 200 dzieci z różnych szkół elementarnych całéj okolicy śpiewało Sopran i Alt! Do miasteczka Brühl zjechała się publiczność ze wszystkich stron, wiedziona uwielbieniem dla muzyki staréj. Takowe koncerta odbywać się będą co rok; założycielem tego towarzystwa muzycznego i jego duszą jest proboszcz katolicki małéj mieściny i przyjaciel jego, nauczyciel szkoły elementarnéj.

całą od żony ukochanéj! i paliły lęki w duszy jego, i żary boleści! Anioł muzyki utulił boleści wybrańca swojego — śpiewał u grobu małżonki Palestryna a tony pieśni jego ulatywały do nieba, do gwiazd, i wracały z nieba rosą, — rosą niebiańskiéj pociechy!

Jeszcze żył Palestryna, gdy umierał Correggio (*), co także piękności wybranym ulubieńcem; on przed śmiercią zasnął, i obudził się raz jeszcze, raz ostatni na ziemi; zeszklone oczy zapromieniły ogniem i szepnął: „radości pełen umieram, bo będę połączony z Palestryną, jam go widział teraz w niebie!“ — poczém skonał wielki mistrz-malarz.

Tegoż samego jeszcze roku, gdy z processyą uroczystą, tłumną zanieśli zwłoki Palestryny pod sklepy Św. Piotra, jego kompozycye śpiewając, przybył w jesieni do Rzymu wieszcz. On jeszcze w pełnéj potędze wieku swojego, ale o znękaném, padającém się sercu, o licu wybladłém, schorzałém, o ranie śmiertelnéj w duszy. Papież wezwał do Rzymu wieszcza, by był uczczony najwyższą chwałą, bo ukoronowany wieńcem laurowym na kapitolium, — na kapitolium w obliczu wiekuistego Rzymu i w obec świata całego. Papież, pragnąc by wysłannicy różnych ludów Europy mogli zdążyć na koronacyą Tassa, odroczył uroczystość świąteczną na wiosnę, na czas gdy natura się wieńczy w kwiaty, gdy ptaki śpiewają swoje radości weselne.

Tymczasem przycisnęła zima szarugą słotną naturę; bladły, bladły lice schorzałego wieszcza, a głębiéj, głębiéj roztwierała się śmiertelna rana w duszy jego.

Na onéj starosławnéj górze Janiculus stanął klasztor S. Onofrio; w głębinach, u podnóża rozkłada się mappą Rzym chrześcijański; a daléj, daléj, rozwaliska niegdyś starorzymskiéj pogańskiéj stolicy. Do tego klasztoru zaniesiono omdlałego wieszcza. On tak z serca pragnął przemieszkać zimę w celi samotnéj, cichéj, odsuniętéj od gwarów światowych, i w téj celi, cichéj jak trumna, skonał Tasso na wiosnę; wtedy właśnie, gdy kapitol Rzymski, gdy zebrana Europa czekała go napróżno z wieńcem laurowym.

Dziś osiwiały zakonnik prowadzi cię ścieżką przez sad klasztorny. Tyki z pnącém się winem, — jarzynne grządki, — a w dali resztki zwalonego dębu. Pod tym dębem siadywał w dni pogodniejsze zimowe Tasso umierający, i patrzał na nieprzeliczone świątnice i kopuły, co w głębi, jakby wyspy skalne, wznoszą się nad morzem kamiennem ulic, rynków nowego Rzymu, i znów oczy zapuszczał w dal zieloną, kędy wśród bukietów drzew i ogrodów i pól dźwigają się harde, pełne majestatu zwaliska, niby pośmiertne pomniki dawnego Rzymu, i widział jak kroczy Tyber odwiecznym, uroczystym pochodem i szepce o starych latach, bo on sam jeden tylko pamięta

(*) *Correggio* ur. 1494 † 1534 r.

dzieje zapadłe. Wyprowadzano wieszcza umierającego pod cień starego dębu i on rozmawiał z dziejami świata; aż i nie wrócił więcéj pod stary dąb, skonał w celi swojéj cichéj, samotnéj. Dziś w téj celi cicho, spokojnie, nabożno. Krzesła drewniane, stół, szafa, łoże proste, — toć spuścizna cała po wieszczu zmarłym; w ramkach za szkłem list ostatni Tassa, pisany przed skonem do przyjaciela Antonio; do tego na ścianach napisy chwalne późnych pokoleń i porozwieszane wieńce laurowe zwiędłe, rozsypujące się w pył.

Choć się atoli rozsypują zwiędłe wieńce na ścianach, „Jerozolima wyzwolona“ zieleni się wiecznie w świeże laury i w kwiaty nigdy nieumierającéj chwały.

Poemat Tassa jest przejęty wskróś fantazyą właściwą XVI-mu stuleciu. Żyje w nim życiem pełném, potężném i duch klassycznego świata i duch romantycznéj poezyi. Jakoż znać z tych pieśni wyuczenie się mistrza na wzorach klassycznéj literatury, znać nawet, że Virgilius był wybranym przewodnikiem jego. Daléj obrazy cudowne przyrody, przedmiot wzięty z prawdziwych dziejów świata, forma wdzięczna, wykończona najwyższą artystycznością, są z jednéj strony cechą tego nieśmiertelnego dzieła.

Z drugiéj zaś strony również w tych pieśniach fantazya romantyczna tętni pulsem świeżym, a zwłaszcza ów pierwiastek wewnętrzny człowieka, ono opieranie się na natchnieniu własném, na potędze osobistéj, wszędzie tutaj znać o sobie daje; wszędzie téż widać przewagę wewnętrznego człowieka nad światem zewnętrznym. To zaś okazuje się i pod względem osnowy dzieła i pod względem usposobienia mistrza samego.

Tą przecież osnową a treścią jest czyn najwięcéj romantyczny romantycznych czasów! — bo wojny krzyżowe. Tak tedy figury pojedyńcze są to właśnie one rycerze, z których każdy, na sobie się opierając, idzie za osobistém wewnętrznem natchnieniem, sobie ufając i mniéj bacząc na świat zewnętrzny; są to właśnie postaci, które ci skreśliłem w jednym z listów o fantazyi romantycznéj. Drugą zaś cechą romantyczności jest tutaj własny stosunek Tassa do téj treści pieśni jego; bo lubo śpiewca trzyma się wątku prawd historycznych, przecież własne jego uczucia gorące, to serce jego płonące żarem, cała wewnętrzna osobista jego treść przeniesione są do pieśni jego. Tak historya, którą on śpiewa, jest raczéj historyą jego własnéj duszy; te figury, które on maluje, są raczéj uosobieniem jego uczuć, są naczyniem jego wesela i boleści. Nie są to przeto figury plastyczne w znaczeniu ścisłém, bo mistrz nie oddaje im się w całości, nie zapomina samego siebie w nich; on zanadto zajęty własném życiem wewnętrznem, aby się mógł oddać w zupełności zewnętrznemu światu, który żyje w poemacie jego. Dla téj natury lirycznéj jego epopei, przedmiot nie jest wyczerpanym w całéj głębi swojéj, wiele jego stron nie było wcale tkniętych przez Tassa; co więcéj, dla téj liryczności, przeważającéj w wieszczu, cała téż epopeja nie jest sama

z sobą ściśle powiązaną; mógł ją tedy lud włoski rozebrać sobie na pieśni pojedyńcze i nucić z niéj najcudniejsze ułomki. Wszak do ostatnich czasów i rybak w Sorento i gondolier wenecki śpiewali pieśni jego Jerozolimy wyzwolonéj. Dziś w Sorento zaledwie ci dom wskażą, kędy się rodził wielki mistrz; nie wiedzą, że wśród ich ojców żył niegdyś Tasso, jako żebrak obłąkany; a w niemocie i w ciszy bezśpiewnéj przesuwają się, jakby czarne trumny, gondoły po lagunach Wenecyi, onéj wodnéj pani, co płynie w głębokiém tęskném milczeniu na falach, niby marmurowa lilia morskich topieli.

Dopełnieniem Tassa jest Aryost (ur. 1474 † 1533); bo lubo ten, również jak Tasso, stał się istném wyrażeniem XVI stulecia, toć przecie jest mu wręcz odwrotnym.

Tasso ukochał sobie przedmiot ściśle historyczny; ale, malując ten przedmiot, raczéj siebie w nim maluje; w obrazach jego jaśnieją, promienieją barwy i światła własnéj duszy jego. Odwrotnie Aryost w swoim „Orlando“ (czyli Rolandzie) wymyślił sobie przedmiot; ten więc przedmiot nietylko nie jest uniesiony z dziejów, nie pożyczony z rzeczywistości, lecz jest wskróś fantastyczny; za to znowu ten przedmiot, choć urodził się w zupełności z duszy mistrza, nie jest bynajmniéj odbiciem tego wnętrza jego, tych uczuć jego; ta jego epopeja nie jest tedy bynajmniéj natury lirycznéj. Aryost przedstawia przedmiot swój wskróś plastycznie; jego sceny i figury nie są bynajmniéj wyobraźnikami uczuć poety, ani jego indywidualności osobistéj; te postaci jego mają własną swoją indywidualność, własną fizyognomią; one mówią i działają za siebie, wedle własnego usposobienia swojego. Te sceny, figury wiodą ród swój z wnętrza poety, w niém są poczęte; lecz one działają wedle usposobienia własnego, a to znowu usposobienie nadał im sam mistrz. Co więcéj, one są dziećmi fantastyczności tak kapryśnéj, żeć się zdaje jakoby Aryost stroił sobie żarty ze wszystkiego, co tylko fantastyczne, ba! rzekłbyś nawet, że sobie drwił ze saméj poezyi fantastycznéj, bo tak w niéj przesadzał. On roztoczył istny świat czarnoksięzki. Niby snem na jawie przemykają się cudotworne sceny i obrazy, a są to żyjące, żywe obrazy, wrzące krwią i zmysłowością; a te postaci i sceny, te wypadki i ta natura cała mienią się, migocą jakby w ogniach sztucznych; bo na figury i naturę Aryost puścił poświatę magiczną, ułudną. W epizodę jedną wplata się druga, a w tę drugą znów trzecia; tu nic nie ma statku ani celu, tu niby wszystko igraszką swawolnego trafu, tu wszystko się gmatwa, wikła; bo to państwo oczynienia, cudów i dziwów. Tutaj dokazują czarnoksiężniki i czarodziejki, hulają karły, olbrzymy, wszędzie awanturują się rycerze waleczni i damy prześliczne, harcują bohatery o tarczach zaklętych, świecą zamki urzeczone, mroczą się gaje pokusne. Ale już pierwszym czarnoksiężnikiem w tym świecie czarnoksięzkim jest sam Aryost, on gospodarzem a pierwszym cechmistrzem w tym świecie ułudnym, cudnie pięknym, choć tak bajecznym i szalonym.

Te pieśni Aryosta o Rolandzie, toć iście kwintessencya a wyskok w najwyższéj potędze onych bajeczek romantycznych, które na nas spłynęły po poetach stuleciów średnich, tych bajeczek i powieści tak wdzięcznych i powabu pełnych, lubo tak majacznych i cudacznych; z tą atoli różnicą, że gdy owi poeci średniowiekowi prawią sobie na dobre te bajki cudotworne, Aryost zaś, drwiarz, maluje tę cudotworność romantyczną w szalonéj przesadzie; sam się uśmiecha nad dziełem swojém, a tak dowodzi, że jest iście już synem nowéj epoki w ludzkich dziejach.

Już Karol V, dwóch światów pan, uwieńczył był wawrzynem Aryosta; już sława wieszcza tego obleciała oba te światy, gdy od ostatnich kończyn zachodniéj Europy, od pobrzeżów portugalskich zabrzmiała pieśń wzniosła, harda, świetna; zaśpiewał ją Kamoens (ur. 1524 † 1578 r.). Wieszcz portugalski czuje się być wznioślejszym od Aryosta i woła, że wyższe dzieła śpiewa niż Rolanda sprawy! — I Kamoens miał słuszność; on zaprawdę jest wieszczem XVI stulecia w całém, pełném znaczeniu. Gdy Tasso obiera sobie przedmiot z rzeczywistego świata, ale zamienia go na wyraz wewnętrznych uczuć swoich, gdy odwrotnie Aryost czerpie treść z własnego wnętrza swojego, ale, raz ją stworzywszy, obchodzi się z nią jakoby z przedmiotem rzeczywistym, prawdziwym, nie pokazując już w nim uczuć swoich własnych, toć Kamoens łączy i Tassa i Aryosta w Luzyadzie swojéj.

Kamoens, równie jak Tasso, ujął w swojéj pieśni treść pożyczoną z rzeczywistego świata, ale on, równie jak Aryost, obchodzi się z treścią swoją jako z przedmiotem rzeczywistym; Kamoens, podobnie jak Tasso, wlewa w przedmiot uczucia swoje i całą treść wrzącą, kipiącą serca; ale w tém znów równy Aryostowi, że postaci, sceny, figury, które przedstawia, nie ulatniają się z serca tonami; one, choć są uobrazowaniem uczuć wieszcza, zachowują całą plastyczność; one działają, mówią, ruszają się po swojemu, nie tracąc własnéj swojéj fizyognomii; — mistrz w nich tonie, im się całkiem oddając, im się powierzając. Tak świat wewnętrzny poety a świat zewnętrzny rzeczywisty, będący przedmiotem jego pieśni, zestroiły się w harmonią prawdziwie mistrzowską, klassyczną.

Pytasz zaś, zkąd te dziwy, pytasz zkąd wieszczowi temu ta potęga, zestrajająca tak wszechmocnie ostateczności wręcz przeciwne? — Kamoens mógł przelać serce swoje w przedmiot historyczny a przecież nie spaczyć uczuciami osobistemi przedmiotu tego; bo uczucia jego, choć wrzące, gorące, nie były uczuciami li osobistemi, one były serdeczną miłością dla treści, którą śpiewał. Podobnie i przedmiot jego zdolny być przedmiotem uczuć ciepłych, obecnych w piersiach śpiewaka; bo przedmiot ten, choć historyczny, nie jest światem tak obcym i oddalonym, jak wojny krzyżowe, które śpiewa Tasso, ani jest przedmiotem zmyślonym, jak również obcym i cudzym sercu, jakim był świat fantastyczny, migocący się w pieśniach

Aryosta, w który sam Aryost już nie wierzył: — słowem, treścią pieśni Kamoensa były wielkie czyny własnego ludu jego, tym przedmiotem była świetna chwała Portugalii, ojczystego, serdecznie od wieszcza ukochanego kraju. Tak tedy Kamoens mógł zestroić serdeczne uczucia wnętrza swojego z przedmiotem rzeczywistym, historycznym. Rycerskie wyprawy ziomków jego do Indyi zagrzmiały podówczas po wszystkich krajach i ludach; więc wieszcz zachwycony obrał sobie te wyprawy, te dzieła bohaterskie za osnowę swojéj pieśni i uczcił je najwyższą czcią i uświęcił najwyższém uwielbieniem, najwyższą miłością. Tak tedy co było u niego w sercu, co było pragnieniem kipiącém duszy, co radości, wszystko to miało ziszczenie swoje w przedmiocie prawdziwym, rzeczywistym, i nawzajem, co było w tym przedmiocie zewnętrznem, brzmiało i żyło życiem głębokiém w sercu wieszcza.

Takie to jest rozwiązanie tych dziwów! Ztąd to przyszła Kamoensowi ta potęga jego pieśni! Geniusz od Boga mu dany, wypiastowany miłością wielkich spraw własnego kraju, urosł w olbrzyma!

Więc słusznie tedy zacny wieszcz bohaterów swoich wyżéj kładzie nad Rolanda i całą drużynę rycerzy Aryostowych; mógł tedy w pieśni swojéj zwrócić się do swojego króla śpiewając:

„Osądź, sławę poddanych słysząc w wierszu pianym,
Czy lepiéj nimi rządzić, niż być świata panem?
Słuchaj! a nie usłyszysz w pieśni moich treści,
Ani czczych bajek, ani dziwacznych powieści;
Ujrzysz jak nad zmyślanie wyższą wielkość szczera,
Przedniejszą niż Rolanda sprawy lub Rogiera.“

(Pieśń I. tłóm. J. Przybylskiego.)

Kamoens zaiste spłynął z przedmiotem swoim, on sam jest wieszczem-rycerzem, on sam walczy za chwałę swojéj Luzytanii, a składa pieśni wśród łomotu bitwy; on uczczony kalectwem na oko, strzałem. Kamoens, wieszcz-żeglarz, płynie po dalekich oceanach; wszak nawet pewnego razu zgruchotał się statek jego; wtedy Kamoens wśród bałwanów walczy z niemi o życie; lecz po nad pieniące wody podnosi rękopism pieśni swojéj, która będzie chwałą i mistrza i kraju i Europy wszystkiéj.

Jak Luzyada jest poematem romantycznym już nawet dla saméj romantycznéj treści swojéj i dla głębokich uczuć mistrza, tak znowu ma cechę klassyczną dla onego cudownego zestroju wnętrza poety ze światem rzeczywistym zewnętrznym; ta harmonia czyni Kamoensa śpiewakiem do Homera podobnym. Dodaj jeszcze do téj cechy dźwięczną formę jego śpiewu, a nadewszystko przepyszne obrazy indyjskiéj przyrody, którą on widział w całéj butnéj, przemożnéj potędze, choć tak pełną wdzięku i uroku, a zgadniesz jaki duch, jakie moce przebywają w tych pieśniach jego. Ten téż duch a moce

pokrzepiały go i tchnęły na niego pociechę i wytrwanie, gdy w późnéj starości stracił podporę w królu swoim, co zaginął w afrykańskich wojnach; ten duch poił wieszcza pociechą, gdy on, śpiewca chwały ziomków swoich, żywił się jałmużną, którą wyprosił od ludzi sługa jego, chodząc nocą po ulicach i żebrząc za swojego pana.

Ale naglił czas — był czas wielki, aby wieszczowie obu półwyspów południowéj Europy pośpieszyli się z epopeją; boć w sąsiedztwie ojczyzny Kamoensa, w Hiszpanii, mniéj szczęśliwie rozwinął epopeję swoją Alfonzo d'Ercilla, mimo świetności swojego talentu i mimo cudnych ustępów swojego poematu (*). Co więcéj, w téj saméj Hiszpanii zjawił się Romans niby epopeja, niby żart co śmiejąc się płacze. W tym romansie zajaśniała niby błyskawicą wiedza o tych światach sprzecznych sobie, które tak cudnie zestroił z sobą Kamoens, wiedza co niby wróżka odgadła gotującą się w świecie sprzeczność między ideałem w sercu wypieszczonym a życiem zewnętrznem — między uczuciem ciepłém duszy a rzeczywistością zimną — między duchem a zmysłowością. Mistrz genialny przejrzał wskróś świata tajnice, przejrzał je wskróś i poznał, że ta harmonia pierwiastków odwrotnych, którą ci powyżéj wywiodłem jako cechę fantazyi XVI stulecia, nie istnieje w swojéj prawdzie wśród ludzi, że pojawienie się téj harmonii jest jedynie przechodnim pojawem, że brzmienie fałszywe zakrzyknie boleśnie dysharmonią w życiu i w fantazyi, w rzeczywistości i w krainie ideałów; że ta dysharmonia odezwie się jakby zerwana struna w sercu, a jęk jéj zapłacze wśród wesela i radości żywota. Patrz — to wszystko ten mistrz wypowiedział a wypowiedział wśród żartów i dowcipów; on te sprzeczne pierwiastki, co mają być w jedność zlane, zestrojone z sobą, objął wprawdzie jako jedność w swoim geniuszu, ale w dziele je rozłączył, rozerwał, a drwiąc i żartując przedstawił jako rozdzielone na dwóch ludzi, na dwie figury osobne. On tego dokazał arcymistrzowstwem swojém w romansie tak wysokiego znaczenia, że już nie znajdziesz drugiego we wszech-literaturze, którybyś mógł godnie z nim zmierzyć.

Pytasz zapewne, kto był tym arcymistrzem, co z uśmiechem na licach a raną bolejącą w sercu, co z krotochwilą wdzięczną na ustach stał się wróżbitą rzeczy łzawych, co żartem, dowcipkiem, drwinką wypowiedział najgłębsze prawdy? Pytasz, jak się zwał, jakże wyglądał ten powieściarz-filozof? Niechaj on sam za siebie mówi; słuchaj, co prawi żartując sobie z własnego wizerunku na rycinie: „Człek, którego tu widzicie przed sobą, o orléj twarzy, ciemnych włosach, z czołem gładkiém i swobodném, z nosem zagię-

(*) Alfonso *d'Ercilla*, ur. 1533 r., przyjmował udział w walkach Hiszpanów z Araukanami, szczepem indyańskim zamieszkałym w Chili, i opiewał te walki w swojéj epopei: *La Araucana*. † 1595 r. — St. —

tym (ale wcale nie szpetnym), z wąsem potężnym, brodą dziś srebrną co niedawno była złocistą, z cerą świeżą, trzymający się nieco pochyło, jest to człek, którego zwykle zowią Miguel de Cervantes Saavedra; on to napisał Don Quixota i Galateę.“ (Cervantes w przedmowie do swoich powieści).

Wiesz jak to Don Quixot czytywał wiele romansów rycerskich, i czytał i marzył, aż mu się w głowie skręciło na prawdę. Więc biedny obłąkaniec wybiera się w świat na koniu, z kopią w ręku, by walczyć za te marzenia swoje jako rycerz błędny ze światem, z olbrzymiemi czarodziejami; pewien, że chwała nieśmiertelna czeka go z koroną laurową, nigdy niezwiędłą, że miłość szlachetnych dam czeka go z wieńcem różanym! I pojechał rycerz na koniu swoim Rossinante w świat, by potężném ramieniem wytępił nieprawości i nadużycia na świecie. I harcuje i kruszy kopie za zacne chęci swoje, lecz kędy się zmierzy z tym światem, już spotykają go drwiny, poniewierki i guzy.

Możesz sobie to wszystko naprzód wytłómaczyć w ten sposób, że epoka Cervantesa, że wiek XVI już nie jest więcéj czasem romantycznym, że średnie stulecia naprawdę przeminęły, że nastała z gruntu inna społeczność, która sobie żartuje z czasów rycerskich. Ktoby tedy puszczał się teraz na romantyczne awantury, a błędne rycerstwo, daremnie szuka guza, i swojego nie dokaże i będzie od ludzi za obłąkańca miany. W tém znaczeniu przeto ten romans byłby niby satyrą na czasy romantyczne.

Są inni, którzy znowu, biorąc rzeczy zupełnie odwrotnie, prawią, że ten Don Quixot jest uosobieniem dawnéj Hiszpanii, téj Hiszpanii, chwałą promiennéj, co tak szlachetna, wzniosła i zacna a dawno umarła, zapomniana od wnuków wyrodnych; że nastał czas upadku, znikczemnienia, czas oszargany własną lichotą. Więc téż czas ten Don Quixota, rycerza z dawnych lat, nazywa obłąkańcem, bo Hiszpanie już nie zdolni, by się wznieśli do zacności jego, by go pojąć mogli. W Don Quixocie atoli ta jedyna wina, że się nie poznał na ich ubóstwie duchowém, i że nie spostrzegł, że już on sam jeden tylko, niby upiór wielkiéj przeszłości, błąka się od nikogo już niezrozumiany wśród pokolenia o sercu wymokłém, skurczoném. Nie pomylisz się może zaiste choćbyś i tym trybem myśl Cervantesa pojmował, uważając dzieło jego jako satyrę na czasy późniejsze nieromantyczne.

Choć sam Cervantes powiada w końcu dzieła swojego, że miał tylko po prostu na celu ohydzić światu romanse rycerskie, toć się i u niego iści prawda, jako zwykle geniusz objawia najgłębsze idee bez wiedzy swojéj; że, dokonywając ogromnéj sprawy, sam nie zna jéj głębokiéj wagi; więc jéj przypisuje powody małoznaczące, powierzchowne, nie znając potęgi, która w nim prze. Nie dziw tedy, że z jego romansem dzieje się jak z każdém arcydziełem sztuki; im bliżéj w nim się rozpatrzysz, tém wyższe piękności w nim odkryjesz

i tém więcéj świetnych stron w nim zaświeci, niby ścianki przepysznego brylantu.

Rozsłońmy tedy to dzieło jeszcze z trzeciéj strony, weźmy figurę Don Quixota w całkowitości, więc z jéj dopełnieniem; więc bierzmy rycerza z Manchy z giermkiem jego, którym, jak wszyscy wiemy, jest ów Sancho Pansa.

Don Quixot i Sancho giermek jego — to nieodstępni towarzysze, choć wręcz sobie odwrotni, — są to dwie połowice jednéj i téj saméj całości, uzupełniające się nawzajem, jak dwa bieguny magnetyczne, i dla tego właśnie tak nierozdzielne.

Don Quixot ma się do Sanchy jak dusza do ciała, jak człowiek wewnętrzny do zewnętrznéj strony swojéj — jak teorya do życia praktycznego, jak ideały w sercu ciepłém wypieszczone do rzeczywistego świata, jak duch do materyi, jak fantazya niebolotna do powszedniéj, grubéj prozy życia, — jak marzenia nadświatne do zmysłowości poziomej. Słowem, są to one sprzeczne pierwiastki, które z istoty swojéj powinny się zlać w cudną jedność harmonijną, które nawzajem się wymagają, które wzajem tęskniąc do siebie, nawzajem się ważąc i miarkując, dopiéro stwarzają zupełnego, całego człowieka. Te pierwiastki w romansie Cervantesa zerwały jedność swoją, rozdzielone są na dwie osobne figury, z których tedy każda staje się karykaturą własną, które obie stają się wzajemną siebie satyrą — cierpką ironią.

Sam Don Quixot pełen uczuć wzniosłych, człowiek szlachetny, odważny, poświęcający się za ideę swoją, ale słuchający jedynie osobistego, wyłącznego natchnienia swojego, nie uznaje prawd władnących światem. On rozprawia wielce mądrze i uczenie o świecie, o życiu; ale gdy rozmowa dotknie onéj struny panującéj w nim, wtedy ta struna duszy jego zabrzmi dysharmonią; wtedy mu się rozum ćmi, pada na niego obłąd, majaczą się i mieszają myśli i rzeczy, a on świat i przedmioty wszystkie widzi już przez szkiełko téj idei wyłącznéj, która go posiadła. Tak karczma szynkowna w jego oczach jest grodem zamczystym, wieżastym, o srebrnych kopułach, fosach i mostach zwodzonych; pastuch trzody, strębujący nierogatych podwładnych swoich, to u niego karzeł, co daje znać straży zamkowéj o zbliżaniu się obcego rycerza; wiatraki, to w jego oczach machające rękami olbrzymy złośliwe; biedna wychudła szkapina, która zaledwie pod nim nogi wlecze, ów jasnokościsty Rossinante, zdaje mu się być rumakiem przepysznym, któremu „ledwie sprosta Bucephalus Aleksandra W. lub Babiesa Cyda“; a brudna dziewczyna ladaco, to u niego piękności cudo, jéj poświęca idealną miłość swoją, jéj poprzysięga służby swoje, jéj się poleca w myśli przy każdém niebezpieczeństwie, w każdéj krwawéj potrzebie.

Tuż za rycerzem naszym zbiedniałym, suchym i tak już wychudłym, że „przez niego przeświecają promienie księżycowe“ wlecze się na osiołku małym krótki, podpasły, pękaty giermek jego Sancho;

przed nim ukochane sakwy nabite prowiantami, bo to przedmiot najtroskliwszych starań jego. Sancho — to chłop z wioski Don Quixota. On widzi rzeczy tak jak są, on materyalista, daleki od wszelkiéj fantazyi, od wszelkich ideałów, człek co się zowie praktyczny, bo temu tylko ufa czego się dotknie, w to tylko wierzy co ukąsić i połknąć może, on istną prozą; zresztą tchórz, głowa dość ciasna, ale za to człek w gruncie poczciwy, wesoły, pełny konceptów, ma prosty chłopski rozsądek; dla tego też cała mądrość jego w przysłowiach, których umie mnóstwo niezliczone, które stosuje do każdego wypadku, a nie baczy, że prawie na każdy wypadek znajdą się zawsze dwa przysłowia zbijające się nawzajem. Więc, mimo praktyczności rozsądku i przysłów, dał się otumanić przez obłąkanego pana swojego. Bo ideały, choć spaczone i krzywe, nielada przecież „imponują“ Sanchom Pansom choćby najpraktyczniejszym i najprozaiczniejszym, zwłaszcza gdy te idee wyrzeczone są przez człeka o uczuciach gorących, o sercu szlachetném. A co więcéj; Don Quixot przyrzekł uroczyście giermkowi, że zdobędzie dla niego wyspę, w któréj Sancho będzie święcie wielkorządzcą; tak i chciwość i nadzieja osobistych korzyści omajaczyły giermka. Sancho téż, dufny w swoją mądrość polityczną, przy lada sposobności mówi do rycerza: „Jasny Panie Don Quixocie! dajcie mi onę wyspę, bo choćby była i najogromniejszą, toć się czuję dość silnym na duszy, bym nią rządził tak mądrze a tak dobrze, jak ktokolwiek z tych wszystkich, którzy kiedyś wyspami rządzili“.

Tak tedy ci dwaj nierozdzielni towarzysze puszczają się w świat na przygody. Don Quixot, nie widząc rzeczy, jakie one są w rzeczywistości, lecz tak, jako je sobie wymarzył, zderza się ze światem; więc lżenia, wyśmiechy, bolaki i trudy daremne są jedynym plonem, jaki zbiera za poświęcenia swoje. Szereg nieskończony awantur dziwacznych, najrozmaitszych rozsnuwa się przez całe cztery tomy arcymistrzowskiego romansu tego. Atoli te awantury właśnie dla tego, że z jednéj strony zależą od zewnętrznego trafu, a z drugiej od przywidzeń obłąkańca, nie są z sobą związane żadném koniecznem następstwem; kolej ich jest zupełnie przypadkowa; nicby nie zawadziło, choćby były następowały po sobie inną zupełnie koleją. Z téjże saméj przyczyny te przygody nie mają końca; jestto romans bez zakończenia, co właśnie odpowiada istocie całego dzieła. Koniec jego także jest przypadkiem szczerym, jest to niespodziana śmierć rycerza z la Manchy.

Pewnego razu Don Quixot wróciwszy do domu zachorował — trawi go boleść że nie zdołał przeprowadzić zamiarów swoich; lekarz orzeka że mu serce pęka — to serce biedne a tak szlachetne! Chory zasypia; po przebudzeniu urok obłąkania spływa z oczu duchowych — duch przejrzał — poznaje, że przez życie całe cisnął go obłąd wrogi. Synowica, przyjaciele, krewni płaczą, bo przeczu-

wają, że powrót do rozsądku jest wróżbą nadchodzącéj śmierci. Sancho o duszy uczciwéj, ciepłéj, stojąc w kącie serdecznie szlocha.

„Cały dom, mówi Cervantes, był w ciągłéj trwodze i nieustającym niepokoju a szczerym smutku, lubo synowica smacznie zajadała, a gospodyni popijała, a Sancho dogadzał sobie ile tylko mógł. Nadzieja bowiem sukcessyi, mówi daléj Cervantes, zawsze jakoś ułagadza choćby najszczersze boleści, sprawione przez śmierć spadkodawcy.“

Umarł Don Quixot, bo mu, jak mówił lekarz, serce pękło. Sancho zaś, choć bez wysp obiecanych, żył jeszcze długo i zdrowo, wesoło pożywając darów tutecznego świata.

Skończyła się komedya łzawa, tak krotochwilna, a przecież tak tragiczna. Ale choć się skończyła w romansie, żyła na jawie; krzyknęła dysharmonią zerwana w duszy struna, brzęczała tonem fałszywym w ludzkiém życiu i w łzawych dziejach świata; dźwięczała dysharmonia i w nadchodzącém już XVII stuleciu i w tym wieku XVIII, co dopiéro kiedyś zrodzić się miał. Bo ten wiek XVI miał przeminąć, jak sen ułudny, jak poranek wiosenny.

Już jękła tonem fałszywym, dysharmonią owa zerwana w duszy struna i miała zapłakać po dziejach świata, po sercach ludzi. A serca tęskniły za pociechą, za utuleniem boleści serdecznéj.

I zabrzmiały na Północy akordy rozpłynne, eteryczne, jako innych światów pieśni; a na Północy tony niebiańskie ciągnęły przez dusze, jako Cherubinów wołanie, niosących ukojenie boleści palącéj. Te akordy, te tony, — to są harmonie owéj harfy, co niegdyś grała na Syonie, to są dźwięki i pieśni święte harfy Dawidowéj. Król-Psalmista, Boży śpiewca, użyczył tych dźwięków, tych harmonij, tych pieśni swoich śpiewakowi z Czarnolesia, a on ujął tę harfę nadziemskich tonów, uderzył w struny świętego wieszcza, a pieśni syońskie rozpłynęły po ziemicach Północy i po wodach jéj, i górach i borach, i padły niby rosa boża na grody i groby, i chaty i dwory, uświęcając umarłe i przyszłe i żyjące pokolenia. I zestroiły się w harmonię niebo i ziemia, śmierć i żywot, boleści, rozkosze wszystkie, i przeszłość z przyszłością, i natura i duchów królestwo. A nie miało już być żalu bez ulgi, ani łzy bez pocieszenia; bo te pieśni już miały pozostać na zawsze między nami i śpiewać przy ognisku domowém, i na cmentarzach i w świątnicy Pańskiéj, miały śpiewać w duszy rankiem i wieczorem.

Gdy serce boleje boleścią bez granic, gdy zwiątpiony świat, żywot opłakany, gdy nie ma się czego człowiek jąć stroskany, wtedy: „Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całém prawie sercem ufa Jemu; tego nie dostąpi żadna zła przygoda, ani się najdzie w domu jego szkoda“ — bo Pan radzi o swojéj na świecie czeladzi! (*) Te pieśni

(*) Jan Kochanowski w psalmie XXII i XCI.

już zostaną z każdym z nas aż do śmierci! One przejęły sobą duszę każdego zacnego człowieka, one mu pofolgują boleści, gdy z niemi nad sobą zapłacze, a gdy się weseli uroczystém świętem duszy, już wtedy one dodadzą naszym weselom radości niebiańskich, a wieszczowi z Czarnolesia tryumfu. Niechaj mu będzie chwała i cześć!

Powiedz, mamże się rozpisywać szeroko nad Janem Kochanowskim? Mamże się dotknąć miarą i cyrklem estetycznym tych drgających strun, brzmiących tak pełną harmonią? — Pewnie, że by to była nie w porę rzecz, a zbyteczna; już wieszcza z Czarnolesia kto inny lepszy przedemną a po mistrzowsku ocenił; a zaiste trudna tutaj krytyka wszelka. Dlaczego? powiem szczerze — a wiem, że co rzeknę, toć tobie i innym będzie po sercu. Wiesz — Jan Kochanowski tak już przejął dźwiękami a harmonią swoją wszystkie serca, tak je przelał w krew i dech duszy naszéj, że się stał jakoby własną duszą i oddechem naszym, jakoby był już całém naszém sumieniem i miłością i wiarą naszą; dlatego też tak nam trudno osądzić artystyczną wielkość jego. Bo sądzić możem jedynie o tém trafnie, co jest czémś odróżniającém się od nas, niby czémś obcém dla duszy. Ale Kochanowski, ale sumienie nasze i miłość i uczucie nasze, — toć my, to przecież my sami. Kochanowski, jako wieszcz, to nie jest ten człowiek pojedynczy, jeden, co żył w onym pewnym czasie; on krajem całym, on wyrazem uczuć wszystkich. Czytając Jana, każdy z nas jedynie siebie samego w nim znajdzie, choć nie już siebie, jako powszedniego, codziennego człowieka, przyćmionego pyłem téj ziemi, i jakby znieważonego wadami, co się rodzą z téj ubogiéj a ułomnéj natury naszéj; ale znajdzie siebie w Kochanowskim, jakim jest bez tych biedek a ułomności, bo uzacnionym, wzniesionym nad siebie, i jakoby oblanym światłością wyższéj swojéj istoty.

I dlatego tak trudno, prawie niepodobna ocenić Kochanowskiego; trzebaby być na to wieszczem, równym jemu z chwały i dosługi.

Przecież wiesz, że w tych listach pisanie rozbiorów estetycznych nie było nigdy moim zamiarem, a jeżelim przywodził dzieła sztuki, to już w téj myśli, abym na nich, jako na przykładzie, objaśnił rozwinięte teorye, lub lekkie moje orzeczenia o charakterze jakiego stulecia.

Podobny też był mój cel, gdym w dwóch tych ostatnich listach prowadził cię jakoby przez galeryę wielkich ludzi, którzy byli wyobraźnikami XVI stulecia, więc i synami a zarazem twórcami spółczesnego im wieku. Rozpocząwszy tedy od Kolumba i Kopernika pochód nasz po téj świątnicy chwały, teraześmy zatrzymali się z tobą przed postacią promienną Jana Kochanowskiego, co się wznosi nad nami na tak wysokiém podnóżu, że mu ledwie pod stopy sięgamy. Chciéjmy przeto i teraz przyjętym przez nas obyczajem rozpatrzyć się w téj postaci, jedynie z tą myślą, aby w niéj wykazać choć lekkiém słowem zarysy XVI stulecia.

Jeżelim ci rozwinął powyżéj, choć może niedostatecznie jeszcze pierwiastki żywotne, które zaświeciły tak cudownemi barwy w tym dziwnie uroczym wieku XVI, toć wierzaj, że te pierwiastki wszystkie, w nim żyjące, zebrane są, jakoby w ognisku swojém a sercu, w poezyi Jana Kochanowskiego. Jeżeli tedy chcesz zrozumiéć tego wieszcza, nie dość, byś go ujął na tle literatury polskiéj a na podstawie rodzinnego kraju, boć to jest tylko jedna strona istoty jego; stroną drugą, również tak ważną, jest stosunek jego do onych potęg a mocy żyjących w sztuce współczesnéj mu Europy. On równie jest poetą europejskim, jak jest polskim wieszczem. I dlatego, jak niepodobna jest przetłómaczyć Kochanowskiego na obcy język, tak też i nawzajem niepodobna go pojąć nie rozpatrzywszy się w pierwiastkach fantazyi artystycznéj, która żyła sercem po ludach i krajach współczesnego mu świata. Chciéj też baczyć, że prawie w tym samym roku, w którym się rodzi Kochanowski, umiera Aryost i Correggio, że choć dwanaście lat wprzódy przypadł skon Rafaela, lecz wtedy mistrz ten kwitnął jeszcze wiosenną młodością swoją; — że Kochanowski był młodzieńcem, gdy rodził się Cervantes a konał Kopernik, — że był mężem w całéj potędze swojego geniuszu, gdy na świat przychodzi Bako, Keppler, Shakespeare, a żegna życie pełne chwały Michał-Anioł i Kamoens, nakoniec że tylko w dziesięć lat po skonie Kochanowskiego umiera także Tasso i Palestryna.

Zaiste, byleś się wczytał w duszę Jana z Czarnolesia, a już wszystkie tony XVI stulecia zadrgają ci w piersiach; zwłaszcza odezwą się cudnym zestrojem uczucia chrześcijańskiego świata i piękność klassyczna. Toć to jest ta sama harmonia, co najprzód choć dopiéro symbolicznie, zabrzmiała w rysunku, w liniach owéj architektury Renaissance, a przemówiła liniami, przestrzenią, jakoby w rytmie i tonach, w miarach i akordach. Dlatego, gdy się zanurzysz w piersiach Kochanowskiego, już uczucia twoje przebudzon mimowolnie związą się i zbudują w kaplicę uroczą Zygmuntów katedry krakowskiéj, boć i ona Renaissancem szlachetnym, wdzięcznym i ona jakby odgłosem ducha Bramantego, i ona kwiatem marmurowym, przesadzonym z ziemi klassycznéj, rozwiniętym pod tchem ciepłym uczuć chrześcijańskich. W téj świątnicy grobowéj, jakby w pieśniach naszego wieszcza, panuje ten cichy, święty spokój głęboki, ta strojność przezacna, ten wdzięk wyższy, szlachetności pełen, a zamożność i wykwint bez przesady. I tutaj lśniąca błyskotność została na zewnętrznéj kopule złoconéj, a wewnątrz kaplicy same linie i ruchy dźwięczne grają muzyką świateł i cieniów, wywołanych jasnością z góry płynącą. Wśród téj jasności z góry płynącéj, wśród téj muzyki świateł i cieniów spokojnie dumają dzieje stare w poważnéj uroczystości, w cichym majestacie. Ta kaplica — to zaiste duch Kochanowskiego Jana w ogólnym, symbolicznym zarysie.

Znać zaprawdę, że studya starożytnéj klassycznéj literatury były pierwszą kąpielą, w któréj się zanurzyła fantazya poetycka mistrza

naszego; a z drugiéj strony przecież Kochanowski miał serce otwarte dla rzeczywistości żywéj, obecnéj, bo dla mowy ojczystéj; on całą miłością utonął w téj mowie, on na nią tchnął ducha swojego, on podsłuchał jéj serca tętna, on ją ogrzał kochaniem swojém; więc téż i ona, nawzajem miłość miłością płacąc, zaśpiewała mu duchem jego. Mógł on tedy z uczciwą dumą zawołać: „wdarłem się na skałę pięknéj Kalliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiéj stopy“.

Jan Kochanowski jest pierwszym mistrzem mowy polskiéj. Więc kto sobie dziś rości jakieś prawo do polskiego języka, niechaj poprzez życie całe, poprzez wszystkie lata swoje pije z téj przeczystéj krynicy pieśni jego. a ta krynica go ożywi, pokrzepi, wyzwoli od wszelkiéj niemocy i uchroni mowę jego od kalectwa i wypaczenia, od swawoli świętokradzkiéj, od ulicznéj rozpusty. Nie będzie pisarzem polskim, komu język Kochanowskiego nie jest talizmanem chroniącym, broniącym, wodzącym.

Jan Kochanowski był twórcą mowy swojéj, a pieniom swoim nadał formę klassycznych idealnych wzorów; te pieśni jego zaiste mieszkają na wysokościach helleńskiéj „Kalliopy“; one jakoby posągi starożytne w przeczystéj pięknocie, one tak wykończone, tak spokojne, niby olimpijskie bogi, a jaśnieją i świecą najwyższym urokiem; a przecież pod tą formą marmurową roztwierają się głębie duchowe, wiecznością promieniejące; — te poezye są iście zarazem córami chrześcijańskiego świata. Posłuchaj tych Trenów, któremi wieszcz zapłakał nad umarłém dzieckiem swojém. Żałość jego serdeczna, bolesna, smętna staje tutaj w formie elegii klassycznéj; ta żałość odziana formą tak szlachetną, iżbyś rzekł, że to ów posąg Nioby florenckiéj, onego arcydzieła starożytnych mistrzów. I Nioby oblicze pełne wzniosłéj boleści, i w niéj nie widać rozpaczy bezdennéj, bez granic. Niobe przytula do siebie córeczkę najmłodszą, co przed śmiercią ucieka do matki, do niéj się tuląc, a matka z boleści skamieniała marmurem. Taką Niobą, takim posągiem marmurowym o przecudnych formach klassycznych jest żałość serdeczna, głęboka czarnoleskiego wieszcza. Ale gdy się dotkniesz téj Nioby Kochanowskiego, już poczujesz pod tą idealną formą serce bijące, krew ciepłą, tętniejącą; pod tą marmurową bielą poczujesz, że tam serce boleścią się pada, że łza spływa po tych marmurowych licach i Niobe polska przemówi:

„Pańska ręka mię dotknęła!
Wszystkie mi radości odjęła,
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno oddać muszę!
Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie;
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utuli.
Oczu nigdy nie osuszę,
I tak wiecznie płakać muszę;

Muszę płakać, o mój Boże!
Któż się przed Tobą skryć może!“ *(Tr. XVII.)*

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulko, tém zniknieniem swojém.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!“ *(Tr. VIII.)*

„Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona,
I tam w liczbie aniołów małych policzona?“ *(Tr. X)*

„Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła;
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tém nie odpowiedniém pożegnaniem twojém!
Omyliłaś mię jak nocny sen znikomy!“ *(Tr. XIII.)*

„Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.
Wiodłem mój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie,
A zazdrość i złe przygody,
Nie miały mi w co dać szkody.“ *(Tr. XVII.)*

Ta boleść, trawiąca serce ojcowskie na jawie, za dnia, staje nocą przy łożu jego, „nie dając długo zamknąć oczu i uspokoić zemdlonego ciała i ledwie na godzinę przed świtaniem sen otulił duszę jego ciemnemi skrzydły“. Wtedy we śnie jak niebiańskie widziadło ukazała mu się matka jego, co niegdyś wypiastowała miłością bez granic; a teraz żałość i cierpienia syna zabolały w sercu matki umarłéj, i z grobowych światów i z krain bardzo dalekich przywiodły ją w te tu nasze strony, by syna pocieszyć. Pojawia się mu matka śpiącemu, mając na ręku jego ukochaną dziewczynkę, „któréj i twarz rumiana, i włoski pokręcone, a oczy ku śmiechu skłonione“, jako wtedy gdy po paciorek ranny do ojca przychodziła. I rzecze matka: „Czyli nas umarłe macie za stracone, I którym już na wieki słońce jest zgaszone?... O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie, Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie!...“ Ona „między anioły i duchy wiecznemi, Jako wdzięczna jutrzenka świeci, A za swemi rodzicami się modli, jak to umiała z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała!“ I pociesza matka, ukazując marność ziemskich rozkoszy, bo w nich więcéj frasunków i żałości więcéj, a roztacza obraz rozkoszy niebiańskich, kędy: „troski nie panują, a pracy nie znają, kędy nieszczęścia miejsca przygody nie mają, ani śmierci łzami karmionéj, kędy widny Stwórca wszech rzeczy w Jego majestacie.“ „Doznałeś“, mówi, „co świat umie i jego kochanie.“

Powiedz, w téj rzewności głębokiéj, w tém widziadle niebiańskiém nie z tego świata zrodzoném, w tém cofaniu się we własne sanctissimum naszego serca, w wiekuiste głębie jego, czyliż nie żyje życiem nadziemskiém ona poezya romantyczna, co tutaj tak wdzięcznie zaślubiła się formom klassycznym. Tutaj one zrękowiny świetne form starożytnych a uczuć głębokich, właściwych jedynie chrześcijańskim ludom. Tutaj zestrojone jakby kontrapunktem światy tameczne, niebiańskie, z doczesności żywotem. Jak śmierć ukochanéj małżonki zagrała na duszy Palestryny, a tony duszy jego zapłakały, jakby śpiewem aniołów, nieskończoną zagrobową tęsknotą, zestrajając w akordy świat tuteczny z nadziemską krainą, tak skon drogiego dziecięcia wywołał z głębin serca Kochanowskiego tony tęskne, rzewne, co ulatując do nieba, wracały z nad gwiazd, przynosząc utułenie boleści i rosę niebiańskiéj pociechy, a te tony wstęgą niewidomą wiązały ziemię i niebo!

I zważmy, ten sam wieszcz, którego duch zwrócony w siebie podsłuchuje wiekuistości głosy, żyjące we własném wnętrzu jego, ten sam wieszcz znów zwraca się do spraw zewnętrznego świata, do politycznych spraw kraju. On, przemawiając do Zygmunta Augusta, pisze poemat o wadach publicznych.

Przecież ten sam znów człowiek, co tak z mistrzowską prozą i wierszem dotyka się pełen miłości i żalu ran publicznego życia, umie także i zniżyć i nastroić pieśni swoje, i śpiewać życie ciche, prywatne, codzienne; więc to żartem to krotochwilą gani z lekka, łaje usterki, oddając zacności hołd i obyczajom domowym cześć. To znowu śpiewa czyny wielkie, roztaczając historyczne karty przeszłości bohaterskiéj i wielkie wypadki dziejowe. Poczém uderza znowu w nowe struny i zwraca się do natury, i wywołuje sobie z duszy one prześliczne Sobótki, niby sielanki ludowe, a nawet tłómaczy poemat Arata o gwiazdach i ich biegach po przestrzeni niebiańskiéj. Poczém znowu duszę nurzy w rozpłynne tony, nadziemskie harmonie arfy Dawidowéj.

Słowem, wszystkie barwy i tony, na pozór różne i sprzeczne, jednoczą się uroczym dźwiękiem w tym wielkim wieszczu, który już splótł w sobie wszystkie żywioły i pierwiastki fantazyi artystycznéj XVI stulecia. Dodaj do tego jeszcze, że słusznie powiedziano, jako on pierwszy z pośród wszystkich europejskich pisarzy stworzył dramat wedle prawideł sztuki Hellenów, jak to jego „Odprawa posłów greckich“, jest dramatem iście greckim w całéj świeżości swojéj. Wszak to wszystko tém wyższego jest znaczenia, gdyż zważysz, że dramaturgia klassyczna francuzka, ten zwichniony klassycyzm, pojawia się nawet dopiéro w sto lat po urodzeniu naszego wieszcza.

Zaiste dramat mógł wystąpić na świat dopiéro w XVI stuleciu, które przejrzało, które dopiéro ujęło koleje świata i ludzkich dziejów w prawdzie ich głębokiéj. Wieszczy duch ludzkiego rodu, jak dopiéro teraz poznał zakon rzeczy przyrodzonych a materyalnego

świata, tak też teraz dopiéro poznał ustawy i prawa, co, choć niewidne na zewnątrz, wiodą losy ludów i mistrzują od wieków sercem człowieka. Jak na szczycie wszelkiéj poezyi stanęła dramaturgia, tak na szczycie dramaturgii, która jest ostatniém słowem XVI stulecia, stanął Shakespeare (*).

Prześliczne, przeróżne moce i potęgi przyrody, rozwiewne, niewidome rozpływają po wszem świecie; a cicho, spokojnie w naturze, póki te moce równoważą się harmonią w wielkiéj pracowni stworzenia, słuchając ogólnego zakonu i wiekuistych prawd. Cicho, spokojnie, uroczo wówczas w naturze, jakoby w wigilią wielkiego święta wszech jestestw. I obłoczki świeciste igrają lekkie, barwiste po szklanném morzu powietrzném, i spuszczają się wieńcem rozlotnym na górskie przyczoła, przelewają się w piersi szczytów skalnych, tętnią w ciemnych, chłodnych wnętrznościach gór, aż się pojawią na wierzch źródłem krystaliczném; wtedy już rosną gawornym potokiem, potężeją w rzekę poważną, by spłynąć do nieskończoności oceanów. Z oceanów tych wznoszą się znów wody wyziewem, i znów obłoczkiem lekkim, barwistym płyną po szklaném, powietrzném morzu. I z cicha igrają powiewne tchy, i zcicha tajemnie gospodarzą moce przyrodzone w tém wielkiém państwie bożém, równoważąc się i miarkując nawzajem. Więc spokojnie, uroczysto, i w atmosferze i nad ziemią, na dolinach i górach, i spokojnie w podziemnych sklepach, kędy mieszkają moce wielowładne. Przecież, gdy te potęgi wszystkie zerwą wzajemne przymierze, gdy się zbuntują ogólnemu prawu, gdy się wyłamią z pod ogólnéj prawdy, która jest ich mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie; już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płyny niewidome ściskają się w twierdze ciężkich czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne, i zagrzmią, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne szarpią się, rozsadzą sklepione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrzęsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się gniewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając w koło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie, jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne moce serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiéj, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak, honoru uczucie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju, i te wszystkie inne moce, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie

(*) Co do zjawisk duchowych w XVI stuleciu, a mianowicie co do Shakespeara, obacz: Schmidt (Romantik), Carriere (Weltanschauung)—Ulrici i Gervinus (Shakespeare), daléj Phil. Chasles i Guizot. Wszakże i pod tym względem wypada mieć baczenie na stanowisko często zbyt jednostronne protestanckich pisarzy.

te same potęgi są zamknięte i w każdym z osobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człeka, i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie; i spokojnie też w piersiach pojedynczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich jak jest wzajemném ich podniecaniem się, tak i wzajemném ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichem, choć bezświadomém, uznawaniem ogólnego prawa, uczczeniem ogólnej prawdy wiekuistéj, wewnętrznéj, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie saméj, i zestraja je wszystkie w sobie. Lecz gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną bezwzględną, gdy pęknie łączące ich przymierze, gdy jedna z tych mocy szczegółowych dźwignie się olbrzymem, samodzielnie w piersiach, gdy przygłuszy inne moce, inne pierwiastki, inne prawdy, wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onéj ogólnéj prawdzie Bożéj, co jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sercu jego, demonicznem oczynieniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowładną mistrzynią i panią, wtedy rzuci go o innego człowieka, w którym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych mocy jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą téj jednéj miotającéj nią siły, co stanowi jéj życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotem ją opłaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sercem własném.

Rzekłem już i po innych listach moich, że każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszność, a zarazem nie ma słuszności. Jest bowiem w prawie swojém, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za którą życie daje, jest jedną z owych wielu prawd szczegółowych, które władają światem, które są przytomne i w każdym z nas; dlatego właśnie skon i los jéj tragiczny wzbudza w nas współczucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiéj strony figura tragiczna zawiniła w tém, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do jéj posłuchu mają prawo, że tém samém obraża ona prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, oną prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dlatego też postaci tragiczne zderzeniem śmiertelném, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadosyćuczynieniem za grzech przeciw onéj prawdzie wiekuistéj; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w ręku, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tém wszystkiém atoli wspomniałem już na innych miejscach; powtórzyłem tutaj to zapatrywanie się nasze na tragiczność, aby nam tém łatwiéj przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną klassyczną a Shakespearem.

Zważ, że to wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest wspólném i tragiczności starożytnéj i Shakespearowskiéj. Obaczmy teraz, w czém między niémi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onéj prawdy nieskończonéj, wiekuistéj, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnemi, słowem, z témi wszystkiemi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samém sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym człowiekiem, aby się mógł obejść bez powagi zewnętrznéj; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Zatém idzie, że owa prawda wszystkich prawd, owa prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty też on nie zdoła się na nią patrzyć, jako na moc zewnętrzną, którąby była li mocą a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niéj, już tém samém rodzi się rozdwojenie, dysharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą. Zatém idzie, że też moce, które go za winę karzą, są również w jego oczach czémś obcém, cudzém, zewnętrznem, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczéj zupełnie ma się rzecz w tragiczności Shakespeara. Tu świat chrześcijański w całém znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka; świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje; człowiek ma całą wagę swoją na wewnątrz; człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem bożém, niezmrużoném nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw téj prawdzie wiekuistéj, bezwzględnéj, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwaja się we własném wnętrzu swojém. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy téj prawdy ogólnéj, wiekuistéj, to jéj skon jest właśnie zadosyć uczynieniem téj prawdzie, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Zatém idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedyi klassycznéj (greckiéj), zderzając się jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznéj, a zatém ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nieroz-

dzielna w sobie, całém brzemieniem istoty swojéj waży w stronę, kędy ją porywa jéj losowładne uczucie. Ona jest niżby z jednéj sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża tylko jedną pojedynczą myśl, która nią włada; dla tego te postaci są tak plastyczne, do posągu rzeźbionego podobne, w którym przecież „równie jedna chwila, więc jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem“. Wynika ztąd, że figury tragedyi klassycznéj mniéj są charakterami rozwijającemi się, jak raczéj typami prawie nieruchomemi, niezmiennemi od początku do końca tragedyi. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedyi klassycznéj nie ma potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które unosi figurę tragiczną do czynów, a które ona za prawdę najwyższą uważa, lubo ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onéj prawdzie wiekuistéj, bezwzględnéj, nieskończonéj, obejmującéj w sobie wszystkie one szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzna, więc ją zastępuje chór tragedyi grecki, który także jest zjawieniem zewnętrznem, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka; ale jest bezwładnym, bezczynnym.

Inaczéj u Shakespeara! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własném sercu człowieka; ztąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do swojego wewnętrznego przekonania, jako wyroczni niemylnéj. Widzieliśmy atoli w czterech ostatnich listach, jako ta ufność, która z istoty swojéj winna być poleganiem na prawdzie wiekuistéj, przebywającéj w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca, Dla tego téż człowiek w średnich stuleciach, nie zrozumiawszy téj własnéj dufności ku sobie, téj niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jéj zadosyć uczynić puszczaniem się na awantury fantastyczne. Co więcéj, człowiek, nie zdołając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokusnych od wołania bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzny, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli jakie się ztąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące li osobistém, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiarą Zbawienia, a która nigdy nie zmrużyła wiekuistéj źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Shakespeara w obec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samowolnego, uczucia osobistego. Przecież, gdy w tym samym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistéj, zatém człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści powątpiewanie o sobie samym. Ale im mocniéj w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc, im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się

w sobie, tém więcéj, jakby przez nową reakcyę, ów popęd złowrogi napręża się w sobie, potęguje, podnieca się i skupia w sobie, by nie uledz onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dla tego właśnie te uczucia, te namiętności w tych figurach rosną, a rosną przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadna wewnętrzna potęga, żadne patos, które prze do działania bohaterów tragedyi klassycznéj; dla tego téż właśnie te figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistéj prawdzie, istniejącéj zewnętrznie, ale przeciw własnéj nieskończonéj istocie swojéj; bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdéj figurze dramatów Shakespeara, mimo wysilenia się duszy jéj, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna wiecznie stoi na straży, wiecznie żyje w jéj sercu; wynika ztąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnéj formie, wedle różnéj indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiéjkolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach ona prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna będzie dla nich najwyższą wyrocznią, któréj one ufają bez granic, bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczmy, dla przykładu, niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Shakespearowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistém patos swojém, z onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorye życia, osobne tryby zapatrywania się na świat, a tak widać, że w téj figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niéj; ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III np., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa przecież oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dla czego chce być ludzkości wrogiem. Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydną, potworną — ludzie go nienawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sponiewierać jéj ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkiém, odpłacić się za krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat urosł w szatana (Ryszard III, scena I).

Podobny mu Falstaf, choć on jest komiczną figurą komedyi. On dowcipny, żartobliwy i prawdziwy geniusz cynizmu; jest to figura, na jaką tylko duch olbrzymi Shakespeara zdobyć się mógł. Falstaf jest wskróś zmysłowym; on wierzy jedynie w grube, ziemskie rozkosze, bierze życie li ze strony cielesnéj; reszta u niego bajką. On drwi z honoru i ze sławy, a tarzając się w cynizmie filozofuje, argumentuje i dowodzi, że jego sposób zapatrywania się jest jedyną naj-

wyższą mądrością na świecie, jest właśnie prawdą ogólną, bezwzględną. (Henryk IV, 1-a i 2-a część). Więc w charakterach, tak zupełnie sobie różnych jak Ryszard III i Falstaf, prawda bezwzględna odzywa się podobnym trybem, gdyż oba wyrozumowali sobie osobne teorye życia, by ją przygłuszyć, uciszyć w sobie. Znowu w innéj figurze, jako Lady Macbet, w innéj formie pojawi się ta prawda wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jéj się zdaje, że zamordowany Dunkan tak podobny do jéj własnego ojca! to znów ze świecą w ręku, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają zmyć krwi z jéj małéj, białéj ręki! Albo prawda wiekuista znów w innéj, nowéj a zupełnie właściwéj i odwrotnéj postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnéj zbrodni, dokonanéj na ojcu jego. Ale Hamlet tém grzeszy, że nie ma właśnie żadnéj namiętności, żadnego popędu energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania; on z natury swojéj bezczynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zacności, charakter trwożliwy, szperający, wątpiący, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniach nad wiecznością, śmiercią i życiem, nad sobą i prawdą, waży i mierzy i kołysze się w zadaniu, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnią ojczyma i w słabość pełną winy własnéj matki swojéj, bo ma wstręt do wszelkiéj czynności; i w tém właśnie jego wina, tém właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tę ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcéj tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Shakespeara? Odstępuję od zamiaru tego, byś mnie nie pomówił słusznie o lekkomyślność, żem się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zostaną zdrojem żywym mądrości artystycznéj. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich objaśnień i komentarzy, do których cię odsyłam. Czynię ci tylko tę uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżéj rzekł, okazuje się cała przepaścista głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań, w któréj mieszka wiekuistość; ztąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak na sobie się opierające, ztąd tyle wewnętrznéj energicznéj potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tém właśnie widzisz iście pierwiastek romantyczny w całéj swojéj mocy, — ów żywioł, który napotykaliśmy w średnich stuleciach.

Tak tedy Shakespeare, nadając głębie nieslychane tym figurom swoim, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyj ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stuleciów romantycznych

w dramata swoje (np. duchy, czarownice, widma i t. d.). Ale z drugiéj strony, Shakespeare jest synem XVI wieku, a to już właśnie dla tego, że jest autorem dramatycznym! On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i moce, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznem prawem jego. Shakespeare ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historyą wewnętrzną człowieka, on czynił studya psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co rzekłem, widzisz już, że Shakespeare jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI stulecia; ale spytasz się: gdzież znajdujemy w nim pierwiastek klassyczności? Wszak ten pierwiastek klassyczności jest również żywiołem XVI stulecia, a przecież geniusz Shakespeara, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrotnym biegunem wszelkiéj klassyczności?

W liście przeszłym powiedziałem, że poezya klassyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytne stulecia, że klassycyzm wśród ludów chrześcijańskich będzie zawsze rośliną egzotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. W niniejszym liście starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedyą klassyczną a pojmowaniem Shakespeara; ale zatém nie idzie bynajmniéj jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech wspólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na wspólnéj podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżéj ogólnéj zasady tragiczności, będącéj wspólną i klassyczności i Shakespearowskiéj tragiczności.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął ci w szczegółach dramata Shakespeara i okazał o ile one mają pierwiastek wspólny z tragedyą starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Arystoteles był Grekiem, a zatém już z samego urodzenia swojego człowiekiem-klassykiem; on przecież miał przed oczyma arcydzieła wielkich tragików greckich, zatém swoich ziomków a prawie mu współczesnych; on, zapatrując się na te wzory, a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawidła poezyi, rozwinął teoryą dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat są prawdą, a będą prawdą póki ludzie będą wierzyć w rozum i czuć prawdę. Otóż ustawy, które skreślił Arystoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Shakespeara. Rozumie się atoli, że ja tu mówię o Arystotelesie prawdziwym, nie o tym Arystotelesię spaczonym, którego sobie wymyślili klassycy nowożytni, przypisując mu nawet zdania i zasady, o których tamten prawdziwy Arystoteles nawet nie pomyślał.

Zaiste, Shakespeare dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Arystoteles. Pochodzi to ztąd, że co Arystoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacyą rozumową i ze wzorów geniuszów

dramatycznych własnéj ojczyzny swojéj, to uczuł instynktem natchnienia Shakespeare. Od Arystotelesa do Shakespeara świat, ród ludzki urósł blizko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnéj, bogatéj. Więc jak z jednéj strony mistrz angielski zadosyć uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Arystoteles, tak z drugiéj strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klassyczność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jako organa różne w żywém ciele. Gdyby tedy dziś żył Arystoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Shakespeara, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, aleby te prawidła rozwinął, roztoczył, i kto wie, czyliby ten filozof-klassyk nie przyznał się chętniéj do Shakespeara, jak do nowożytnéj, zwichniętéj klassyczności. Czém byli Francuzi klassycy dla świata francuzkiego dworu, tém są tragicy greccy dla całéj starożytności, dla każdego człowieka nieco ukształconego, tém jest i będzie Shakespeare dla wszystkich narodów i wieków. Dosyć być człowiekiem z trocha zdrowém sercem a głową nie chorą, aby złożyć mu cześć i uwielbienie.

Zważ — nie ma pierwiastku żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównéj jakiéj figurze Shakespeara. Każdy z tych pierwiastków przybrał się w ciało i krew jednego pewnego człowieka; a choć piewiastek ten, np. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki, i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Shakespeara pojawiają, mają tyle silnéj i oryginalnéj indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Shakespeara figura jest całością i zupełném zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epopeją, w któréj występują moce serca ludzkiego; ale po przez ten świat tuteczny, po przez mocowanie się, walkę potęg, patrzą się oczy wiekuistości.

Shakespeare, stojąc jakby na epoce nadświatnéj, spogląda na świat, na ludzi, na dzieje duchowe i daje posłuchanie światu, i sądzi jakby sądem ostatecznym całą serca treść, wszystkie moce i potęgi. Bo geniusz roztworzył mu oczy, i wieszcz był jakby przytomny wtedy, gdy był stworzony ludzki ród; on wtedy patrzał, gdy demon złego kusił człowieka, i widział upadek ludzkości, i słyszał owo odkupienia słowo, co wróżyło w Prorokach i Sybillach!

Popisek.

Tak tedy doprowadziłem te dzieje fantazyi do epoki, którą sobie oznaczyłem za kres pracy mojéj. Nie będę ci już prawił o celu tych listów, o myśli przewodniczącéj mi w czasie ich pisania, bo tém wszystkiém rozwodziłem się już dość szeroko w końcu Listu XIX-go; co tam wyrzekłem stosuje się zupełnie i do tego tomu. Widzisz, że, mimo sporéj liczby tych listów moich, nie wyczerpałem bynajmniéj całéj treści estetyki; zaiste, gdybym tego chciał dokazać, przyszłoby mi najmniéj drugie tyle ich napisać, a nie wiem czyli mi się kiedy na to zbierze; dla tego lepiéj podobno, iż się nie związę żadnym w tym względzie oświadczeniem, bo choć dopełnienie wziętego na mnie obowiązku mogłoby być dla ciebie dość obojętném, dla mnie zaś, stałoby się powinnością, z któréjby się koniecznie uiścić należało, a bez któréjby się nawet i obeszło, a tém więcéj, że te listy tworzą niby jakąś całość skończoną w sobie. Owszem, zamiast wchodzić w nowe zobowiązania, raczéj mi przystoi wytłómaczyć się przed tobą, dla czego przez tak długi czas nie wywiązałem się z danego prawie wyraźnie przyrzeczenia przy końcu Listu X-go. Zaiste, widzę potrzebę wyjaśnienia powodów téj odwłoki; zwłaszcza że, jak się spodziewam, uznasz ich słuszność.

Zważ — w literaturze każdego kraju, każdego narodu dwie są główne dzielnice; jakoż jedna część piśmiennictwa odnosi się do literatury nadobnéj, pięknéj, a druga zajmuje się pracą około nauk i umiejętności poważnych. Literatura nadobna — toć jest kwiat umysłowy, to wonny, barwny, luby ogród, co otacza wiankiem wdzięcznym mieszkanie doczesne człowieka; a zamiłowanie jego w tych rajskich kwiatach, unosząc go po nad kłopotki i biedy ziemskie, jak jest cichą wróżbą serca, że człowiek nie zdoła poprzestać na powszedniém, przemijającém życiu, tak jest zarazem rękojmią, że dusza jego nie wyscha, nie zjałowaciała wśród skwarów a krzywd światowych. Piśmiennictwo atoli, trudniące się nauką i umiejętnością, więc uprawą wiedzy ludzkiéj, jest twardém łamaniem się mocy duchowych. Tutaj nie słychać tonów uroczych pieśni, tutaj nie brzmią muzyki uczuć lubych, tutaj nie ma fantazyi, onéj niebiańskiéj wy-

słannicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodnicą. Na téj roli od wczesnego świtu do późnego zmierzchu twardo idzie robota, na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki; ale za to błogosławną siejbą spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowéj, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie życiodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i pożył owoc jego, wtedy stał się wygnańcem z ogrodów rozkoszy; odtąd już krwawym znojem uprawia téj wiadomości rolę „i w ciężkiém utrudzeniu je chleb z niéj“. Ale, choć ta praca nad wiedzą jest tak twardém pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia pełną, przecież ona jest ludzkiego rodu świętém prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrzyłem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno mi było dojrzéć, że u nas literatura nadobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grona nierównie liczniejsze pisarzy; a tych właśnie prace same jedyne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im, jako owocom znakomitych i świetnych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiéro potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiéj publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego); przeciż, mimo to wszystko, smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętne, najwyższéj wagi, opłacone wysileniem długoletniém bystrego rozumu i głębokiéj nauki, stały na uboczu niewidnéj, przeoczone od wielkéj publiczności i patrzały z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieńce chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwéj nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziéj jeszcze pojawiają się bez ofiary materyalnéj własnego mienia tych zacnych pracowników (*).

(*) Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie. Bo nie sięgając po nie do innych miast, kędy równie nie brak mężów wysokiéj zasługi w naukach, poprzestaję tylko na przykładach, które nam Kraków nastręcza: co więcéj, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najnowszych czasach przysłużyły się umiejętności. Otóż prace PP. *Muczkowskiego*, *Majera*, *A. Z. Helcla*, *Skobla*, *Czerwiakowskiego*, *Steczkowskiego*, zbogaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy, że podobne księgi nie mogą być tak znane większéj publiczności jak pisma, liczące się do literatury pięknéj; wiemy, że niesłusznieby było wymagać po publiczności, aby się obznajomiała np. z dziełami matematycznemi, lekarskiemi, prawnemi i t. p. ale zdaje mi się, że można wymagać najwięcéj od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z osnową dzieła i od tych, którzy sami obrali sobie miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słu-

Nie dziw tedy, że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznéj czci i hołdu z całéj duszy; bo to oni przecież téj pracy i trudu ciężkiego nie podejmują zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści, ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętnem ich serca jest miłość przeczysta, bo gorejące pragnienie służenia zacną pracą oświacie prawdziwéj; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na rolę, na któréj za ciężkim ich mozołem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowéj. Są to zakonniki-ascety szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowali się bóstwu, przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany, pilnujące świętego ognia cywilizacyi każdego kraju; bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowém ludów, sama nie wystarczy aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszém znaczeniu. Wszak historya i geografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na pół barbarzyńskie a świecące przecież uroczą, cudnie piękną poezyą i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku! Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwéj cywilizacyi czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi saméj; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiéj rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam, że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytłómaczysz sobie tym trybem, jakobym ja niedość cenił pracy około literatury pięknéj, boć przecież tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją ważę, a forma ich nie naukowa i lekka, czyni te książki przecież dziełem belletrystyczném. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty pierwszego tomu (*) téj książki, widząc tak szczupły a przytém tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi się nie godziło raczéj wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie

---

szne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniéj ze względu na samych autorów, bo tych już wynagradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionéj zacnie powinności; ale wymagamy tego oddania czci zasłudze raczéj ze względu na publiczność, któréj się to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowemi i dowiedziałaby się, komu téż naprawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną. — Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnéj, tak jak gdyby umiejętności i nauki już na świecie nie było; więc téż się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał i winszując literaturze polskiéj, że tak celujących posiada pisarzy.

(*) W pierwszém wydaniu pierwszy tom *Listów z Krakowa* zawierał w sobie dziesięć pierwszych listów, stanowiących w obecném wydaniu tylko część pierwszego tomu. — St.

słannicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodnicą. Na téj roli od wczesnego świtu do późnego zmierzchu twardo idzie robota, na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki; ale za to błogosławną siejbą spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowéj, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na téj roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie życiodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i pożył owoc jego, wtedy stał się wygnańcem z ogrodów rozkoszy; odtąd już krwawym znojem uprawia téj wiadomości rolę „i w ciężkiém utrudzeniu je chleb z niéj“. Ale, choć ta praca nad wiedzą jest tak twardém pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia pełną, przecież ona jest ludzkiego rodu świętém prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrzyłem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno mi było dojrzéć, że u nas literatura nadobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grona nierównie liczniejsze pisarzy; a tych właśnie prace same jedyne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im, jako owocom znakomitych i świetnych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiéro potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiéj publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego); przeciż, mimo to wszystko, smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętne, najwyższéj wagi, opłacone wysileniem długoletniém bystrego rozumu i głębokiéj nauki, stały na uboczu niewidnéj, przeoczone od wielkéj publiczności i patrzały z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieńce chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwéj nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziéj jeszcze pojawiają się bez ofiary materyalnéj własnego mienia tych zacnych pracowników (*).

(*) Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie. Bo nie sięgając po nie do innych miast, kędy równie nie brak mężów wysokiéj zasługi w naukach, poprzestaję tylko na przykładach, które nam Kraków nastręcza; co więcéj, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najnowszych czasach przysłużyły się umiejętności. Otóż prace PP. *Muczkowskiego*, *Majera*, *A. Z. Helcla*, *Skobla*, *Czerwiakowskiego*, *Steczkowskiego*, zbogaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy, że podobne księgi nie mogą być tak znane większéj publiczności jak pisma, liczące się do literatury pięknéj; wiemy, że niesłuszniéby było wymagać po publiczności, aby się obznajomiała np. z dziełami matematycznemi, lekarskiemi, prawnemi i t. p. ale zdaje mi się, że można wymagać najwięcéj od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z osnową dzieła i od tych, którzy sami obrali sobie miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słu-

Nie dziw tedy, że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznéj czci i hołdu z całéj duszy; bo to oni przecież téj pracy i trudu ciężkiego nie podejmują zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści, ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętnem ich serca jest miłość przeczysta, bo gorejące pragnienie służenia zacną pracą oświacie prawdziwéj; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na rolę, na któréj za ciężkim ich mozołem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowéj. Są to zakonniki-ascety szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowali się bóstwu, przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany, pilnujące świętego ognia cywilizacyi każdego kraju; bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowém ludów, sama nie wystarczy aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszém znaczeniu. Wszak historya i geografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na pół barbarzyńskie a świecące przecież uroczą, cudnie piękną poezyą i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku! Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwéj cywilizacyi czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi saméj; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiéj rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam, że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytłómaczysz sobie tym trybem, jakobym ja niedość cenił pracy około literatury pięknéj, boć przecież tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją ważę, a forma ich nie naukowa i lekka, czyni te książki przecież dziełem belletrystyczném. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty pierwszego tomu (*) téj książki, widząc tak szczupły a przytém tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi się nie godziło raczéj wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie

---

szne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniéj ze względu na samych autorów, bo tych już wynagradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionéj zacnie powinności; ale wymagamy tego oddania czci zasłudze raczéj ze względu na publiczność, któréj się to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowemi i dowiedziałaby się, komu też naprawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną. — Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnéj, tak jak gdyby umiejętności i nauki już na świecie nie było; więc też się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał i winszując literaturze polskiéj, że tak celujących posiada pisarzy.

(*) W pierwszém wydaniu pierwszy tom *Listów z Krakowa* zawierał w sobie dziesięć pierwszych listów, stanowiących w obecném wydaniu tylko część pierwszego tomu. — St.

zagadnąłem, czyli mi samo sumienie nie nakazuje zaniechania na czas dłuższy pracy nad piękną literaturą, więc tych listów moich, i czyli raczéj nie wypada zabrać się, ile mnie stać, do pracy ściśle naukowéj?

Pragnąc mówić do ciebie z całą otwartością, nie waham się wyznać, że ostateczne postanowienie w tym względzie nie przyszło mi wcale bez walki.

Chodziło mi bowiem o przerwanie pracy około tych listów tak lekkiéj a miłéj, że mi raczéj była zabawą i ochłodą po trudach codziennych powołania mojego; wypadało również zrzec się wszelkiéj próżności wrodzonéj jakby każdemu prawie autorowi; jakoż wiadomo ci jak wielce życzliwie, jak łaskawie był przyjęty od publiczności tom pierwszy; nie dziw się tedy, że sama miłość własna parła chęć moją bym raczéj zajął się następnemi listami, do których i tak zebrane już były dostateczne materyały; a mogłem już miéć pewną nadzieję, że dalszy ich ciąg znajdzie również życzliwego a licznego czytelnika. Słowem, miałem się uczynić, jak się powyżéj wyraziłem, dobrowolnym wygnańcem „z onego lubego ogródka co otoczył wdzięcznym wiankiem“ choć kilka miesięcy życia mojego, w którym się już zbierało nie na jeden pączek dla mnie, a może nawet na jaki kwiatek skromny, a natomiast miałem się napowrót przenieść na tę rolę umiejętności, pełnéj grozy, kędy życie jest „twardem łamaniem się, kędy od wczesnego świtu do późnego zmierzchu idzie praca pełna trudu“. Przewidywałem z góry, że, zajmując się ściśle naukowym przedmiotem, znajdę nie liczne, bardzo szczupłe grono czytelników, że dla większéj części publiczności książka, do któréj się zabierałem, przejdzie bez śladu, bez imienia nawet; wiedziałem dobrze, że mnie czeka w najściślejszém znaczeniu to, co zwykle nazywają pracą niewdzięczną. Przecież wszystkie te względy z istoty swojéj nie są dość silne, aby mogły powodować człowiekiem, bo my w życiu doczesném nie jesteśmy na rozkosze stworzeni; tu nie chodzi bynajmniéj o to, co naszą powinnością być uważamy. Nakoniec wyznaję, że we mnie przeważył w końcu zupełnie wzgląd na samą naturę umiejętności, która miała być przedmiotem roztoczenia mojego, to jest wzgląd na istotę *filozofii*. Uważałem, że szeroko u nas rozwijany jest ten dech owéj filozofii, co, upiorem bezsennym chodząc po świecie, wysysa, jakby krew ciepłą żywotną, najświętsze, najdroższe prawdy z piersi ludzi, ich samych na upiory bezserce zamieniając. Od uściśnienia téj nauki dławiącéj nie ochronią żadne rozprawy choćby najświetniejszych talentów, nie obronią żadne przedstawienia ani namomy, bo owa filozofia, umiejętnością będąc, jedynie także przez umiejętność pogrzebioną i zaklętą być może. Bo co drogą umiejętności jest zepsute, jedynie także drogą umiejętności naprawić zdołamy. Tak zapatrując się na tę naukę, co pada dżumą na ducha i okrywa ciemném skrzydłem prawdy o istocie nieśmiertelnéj człowieka, o przeznaczeniu świata i ludzkich dziejów, o Bogu, zdawało mi się być

obowiązkiem, abym naprzeciw nauce takowéj rozłożył umiejętność, którą oddawna wynosiłem w myśli mojéj. Należało mi tedy rozwinąć i w szczegółach tę umiejętność, powiązać jéj ogniwa ścisłą logicznością i rozwinąć ją w książce przed oczyma czytelnika, jako całość systematyczną, ukończoną w sobie.

Tą tedy chęcią ostatecznie powodowany zabrałem się do téj roboty i dokonałem jéj, ile mnie stać było, w przeciągu znacznego szeregu lat wytrwałéj i sumiennéj pracy (*).

Tak wyłożywszy ci powody, dla których przerwałem dalszy ciąg tych listów moich, jako mniéj znaczącéj pracy, ufam, że mi téj przewłóki nie policzysz na niekorzyść moją!

Jednak, gdy przejęty jestem najmocniéj zdaniem, że jest rzeczą arcyważną aby stosunek piszącego do czytelnika wyjaśnił się do czysta i w zupełności, więc już nie waham się jeszcze wynurzyć ci się z niepewności, która z razu dość ciężko przycisnęła mi duszę. Otóż, gdy owa praca umiejętna już była dokończona, gdym tedy dla odpocznienia sobie po niéj chciał nawrócić, choć na czas niejaki, do lżejszego pisania, a przedewszystkiém do tych listów, nachodziły mnie dwojakie wątpliwości, które, mimowolnie z głębi ducha wypływając, trapiły mnie niemile a natrętnie.

Bo naprzód nasuwała mi się niepewność co do owéj pracy poważniejszéj. Jakoż sobie samemu zadawałem pytanie, czyli téż ona dosięgnęła celu swojego? Czyli z niéj iście zrodził się skutek tak gorąco upragniony, dla którego przecież porzuciłem milszą, wdzięczniejszą a już rozpoczętą pracę, dla którego poświęciłem tak znaczny szereg lat a podjąłem tak ciężkie pasowanie i twarde łamanie się myśli? Słowem, czyli ostateczny wypadek jéj obstoi za poświęcenie a ofiary łożone? Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. To tylko Bóg wie! Pocieszałem się atoli tą wiarą, iż przecież każda praca, choć słabszemi siłami, ale za to w uczciwéj chęci podjęta, nié jest nigdy zupełnie straconą, gdyż jest zaprawdę rzeczą niepodobną, aby na nią nie spłynęło błogosławieństwo z góry; więc mniemam, że i moje usiłowania nie pójdą na zupełny rozwiew i poniewierkę, bo dobra chęć stanie w nich za moc i udolność duchową. I pomyśliłem u siebie: że choćby część posianego ziarna padła na opokę, a drugą część zagłuszyły chwasty, a inną znów wyjadły kruki czarne, toć przecież choć może cząsteczka przyjmie się na ziemi urodzajnéj i wyrośnie kłosem na chleb pożywny ludziom i Bogu na chwałę.

Druga zaś wątpliwość, która mi chodziła po myśli, rodząc we mnie nieufność ku sobie, odnosiła się już do samego dalszego ciągu tych listów. Jakoż tyle lat już upłynęło od pojawienia się owego pierwszego ich tomu, iż bardzo się stać mogło, że czytająca publi-

(*) *Wykład systematyczny Filozofii*, obejmujący wszystkie jéj części. Tom I. Kraków 1849 r. Tom II. Wilno 1852 r.

czność zobojętniała i na dawniejsze listy i na późniejszy ich szereg, zwłaszcza, że od tego czasu wystąpiło na jaw niemało pisarzy o znakomitych a prawdziwie świetnych talentach! Ta niepewność tém zdawała mi się słuszniejszą, że sam wątpiłem czyli kreśląc te listy zdołam nastroić znów umysł do tego samego usposobienia, którego byłem wówczas, gdym pisał pierwszy ich tom; czyli przeto ten ich następny szereg nada się bez naciągania do nich i z barwy i z tonu i z ciepła duszy? Bym tego mógł dokazać, wypadłoby abym i ja sam tym samym był co przed laty. A tu przecież upłynęła lat dziesięć. A lat dziesięć — to przeciąg długi, bardzo długi w życiu człowieka! Przez lat dziesięć ileż to w duszy świateł zgaśnie, ile uczuć gorących ochłodnie pod zawieją mroźną świata, ile nowych ułud wdzięcznych zemrze w sercu, ileż ufnych nadziei, uniesień wymrze w piersiach, ileż ogłuchnie w nich tonów i zerwie się strun! A choćby nawet w życiu zewnętrznem zostało

„Wszystko, tak jak było,
Przecież się do starości więcéj pochyliło!“

Tak wyznaję ci, że niemałą miałem wątpliwość o sobie samym, ażali zdołam duszę cofnąć w upłynione, w młodsze epoki życia, i znów odmłodnieć ciepłem uczuć i wskrzesić, rozcieplić dawne serca pukanie!

Gdym się tak wahał a bił z tą własną, a tak niemiłą myślą moją, przyszła mi na pamięć owa gadka, którą ci opowiadałem przy końcu pierwszego tomu, owa historya o górniku a zaślubionéj mu kochance jego. — Przypominam ci treść téj powieści. — Pewien górnik młody, zaślubiony kochaniu swojemu, przed samemi godami weselnemi zginął, a nikt nie przeczuwał, że przepadł w otchłani kopalni głębokiéj. Pół stulecia przeleżał w ciemnicach górskiego szybu. Wody metaliczne przesiąkły ciało jego i uchroniły od zepsucia. Gdy po pięćdziesięciu latach znaleziony był i wyniesiony na świat słoneczny, zdziwione tłumy otoczyły w koło ciało młodzieńca, nikt go przecież nie poznaje; młodzi z cicha pytają zgrzybiałych starców; — ale ten górnik martwy i zimny, niegdyś towarzysz ich młodości, wygasł z ich pamięci bez śladu. W tém, patrz, — jakaś niewiasta, złamana wiekiem, okryta bielą późnéj siwizny, na kulach, chwiejąc się i drżąc zbliża się, wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia; znagła te jéj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, — z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na lica dawno zbladłe i oblał je, jakby młodości barwą. Niewiasta biedna rzuca się na młodzieńca i okrywa zimną twarz jego gorącém ucałowaniem i rzewnemi łzami bolesnéj radości. To jest narzeczony jéj, to jéj kochanek! Ten młodzieniec był jéj zaślubiony niegdyś, przed pół wiekiem. Ona przez tak długie lata przechowała dłań pamięć i miłość gorącą! Ta miłość była jéj talizmanem przez tak dłu-

gie ckliwe lata; ta miłość odrodziła teraz blade lice zgrzybiałéj niewiasty młodości rumieńcem, zapaliła światła w źrenicy zeszklonéj,— ona znowu zapukała w sercu życiem pełném, zbudziła z martwych świat cały wspomnień lubych, ułud wdzięcznych, niby dawno, w duszy pogrzebionych; ona w niéj rozgrzała, rozciepliła wszystkie uczucia, od tak dawnych czasów zawieją świata zmrożone. Tych cudów dokazała miłość wiernie kochaniu swojemu zaślubiona; ona w sercu nawiązała struny do dawnych pieśni, co uniosły duszę w dawne młodości lata, w dawne zachwycenia, w raj uczuć błogich.

Patrz — ta gadka i mnie wróciła ufanie w siebie i przejęła wiarą, iż miłość będzie i dla mnie talizmanem, że ona przemoże dawno upłynione lata i nastroi duszę moją do dawnych tonów, do uczuć dawnych, a to tém przecież więcéj, że mojém kochaniem to nie młodzieniec martwy, umarły, przez długie lata w górskich ciemnicach pochowany; to nie człowiek pojedyńczy, śmiertelny przedmiotem mojéj miłości, któréj tę pracę moją poświęcam, — to młodzieniec ciągle odradzający się życiem i uczuciem; tą miłością moją jest duch wszystkich czytelników naszych. Ale, czy to kochanie znajdzie wzajemne współczucie i życzliwe przyjęcie? Ufam całém sercem; bo słuchaj co prawi dziadek u naszego cnego i ukochanego Ignacego Chodźki:

„A póki skryptury i księgi wasze z taką miłością czułą i serdeczną i z takiém życzeniem dla braci waszych pisać będziecie, z jakiemi stary dziadulek naucza katechizmu swoje małe wnuczęta i broni je od zgorszenia, z jakiemi naprzykład ja ciebie nauczałem, póty nie lękajcie się Zoilów“.

Lubo ja nie mogę sobie rościć prawa do téj świętéj powagi, jaką ma dziad uczący wnuki swoje, i lubo treść, w tych moich książkach zamknięta, daleką jest od znaczenia, jakie mają wiekuiste prawdy wiary, toć przecież, z Bożéj łaski, nie brak im czułéj, serdecznéj życzliwości i dobréj woli.

Dla tego téż i ja, pełen ufania, wyprawiam tę pracę moją z krzyżykiem w świat.

Kraków, w Jesieni 1854.

KONIEC.

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W DRUGIM TOMIE.

DZIEJE ARTYSTYCZNÉJ FANTAZYI.

Część druga.

II. FANTAZYA LUDÓW KLASSYCZNYCH.

LIST DWUDZIESTY.

Grecya.

Wstęp. — Stosunek Grecyi do starego Wschodu. — Stanowisko Grecyi w Historyi Powszechnéj. — Znaczenie fantazyi klassycznéj. — Piękność i młodość cechą Grecyi. — Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków. — Jak Grecy pojmują obyczaj. — Idealizują nawet potrzeby cielesne. — Uczucie piękności rozpowszechnione. — Mitologia grecka. — Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową. — Te szczepy jednoczą się językiem, religią i wspólnemi igrzyskami. — Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zradza charaktery niby z jednego odlewu. — Z téj harmonii i historya grecka jest arcydziełem. — Aspazya wyrazem ducha greckiego. — Sokrates. — Czasy greckie i nowożytne.—Grecya umiera na piękność.—Str. 7.

LIST DWUDZIESTY PIERWSZY.

Grecya.

(Ciąg dalszy.)

Pestum. — Świątnice Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiéj, jako ściśle klassycznéj.—

Wróżba o skonaniu Hellady. — Mit o Promoteuszu i Herkulesie.— Torso belwederski Herkulesa. — Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiéj, zatém rzeźba jest sztuką najwięcéj celującą w Helladzie. — Wysokie znaczenie urody cielesniéj u Greków, ztąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota. — Uczta ateńska i Sokrates. — Str. 29.

LIST DWUDZIESTY DRUGI.

Grecya.

(Dokończenie.)

Poezya grecka. — Jéj charakterem jest plastyczność. — Bliższa cecha poetów greckich. — Homer i świat jego. — Lira grecka. — Tragedya w Helladzie jest wróżbą jéj skonu. — Znaczenie tragiczności w świecie greckim i nowożytnym. — Eschylus. — Sofokles. — Eurypides oznaką blizkiego skonu. — Arystofanes. — Sokrates i Arystofanes. — Grecya umiera na filozofią Sokratesa. — Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków. — Sokrates i Antygona Sofoklesa. — Filip i Aleksander Macedoński. — Str. 59.

LIST DWUDZIESTY TRZECI.

R z y m.

Wstęp. — Forum Romanum. — Zadanie Rzymu w Historyi. — Idea panująca w Rzymie. — Ztąd usposobienie jego duchowe. — Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich. — Duch historyi rzymskiéj (utylitarność). — Rodzina rzymska. — Wielkość rzymska. — Bogowie rzymscy i greccy. — Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi. — Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym, ani filozoficznym. — Zemsta bogów. — Z tego usposobienia ducha Rzymian wypływa téż piętno ich fantazyi.— Architektura rzymska i techniczność. — Rzeźba. — Kilka słów o poezyi rzymskiéj. — Str. 88.

LIST DWUDZIESTY CZWARTY.

R z y m.

(Dokończenie.)

Poezya i język rzymski. — Wiek Augusta. — Piętno poezyi rzymskiéj, odpowiednie usposobieniu tego ludu. — Allegoryczność. —

Horatius i Wirgilius.—Przewaga poezyi dydaktycznéj.—Owidius.—Tybullus. — Dramaturgia. — Satyra, właściwa poezya rzymska. — Skon Rzymu. — Str. 116.

III. ŻYDZI.

LIST DWUDZIESTY PIĄTY.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Śródziemném.—Palestyna. — Powołanie ludu Hebrajskiego. — Architektura. — Przybytek. — Kościół Salomona i dzieje jego. — Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie. — Język hebrajski. — Pieśni święte. — Dzieje Hiobowe. — Pieśni Mojżesza dziękczynienia. — Późniejsze czasy. — Muzyka hebrajska. — Psalmy. — Kaplica Syxtyńska w Rzymie. — Str. 128.

IV. FANTAZYA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

LIST DWUDZIESTY SZÓSTY.

Średnie wieki.

Wstęp. — W. ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza. — Widok wewnętrzny kościoła. — Święte postaci na w. ołtarzu. — Wrażenia, których doświadcza widz. — Charakterystyka tego dzieła. — Porównanie téj sztuki z grecką rzeźbą. — Bliższe opisanie Stwoszowego dzieła. — Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele. — Dramatyczność. — Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów chrześcijańskich. — Nowy kształt świata. — Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazya. — Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich. — Zastosowanie téj prawdy do dzieła Stwosza. — Miłość niebiańska i legenda. — Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje. — Skrucha.—Dokończenie o dziele Stwosza. — Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świecie Chrześcijańskim. — Rzeźba, dla tych samych powodów, dla których jest sztuką odpowiednią światu klassycznemu, staje się sztuką mniéj właściwą dla ludów chrześcijańskich. — A natomiast pojawiają się inne sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich. — Fantazya romantyczna. — Str. 151.

LIST DWUDZIESTY SIÓDMY.

Średnie wieki.

(Ciąg dalszy.)

Wstęp. — Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego.—Powód figur podobnych w wiekach średnich.— Bliższe ich oznaczenie.—Wojny krzyżowe.—Fantastyczność; poezya romantyczna. — Cechą tych wieków honor. — Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy. — Miłość ziemska jest przejściem do miłości niebiańskiéj. — Dante, Petrarka, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda. — Ziemskie pierwiastki życia romantycznego. — Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę. — Witellio i Roger Bako. — Dwie wręcz sobie odwrotne filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła. — Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą. — Katakumby. — Symboliczność. — Cimabue i Giotto. — Indywidualność inaczéj występuje w dziełach sztuki włoskiéj a inaczéj na północy. — Angelico da Fiesole. — Poezya romantyczna. — Fantastyczny świat. — Str. 185.

LIST DWUDZIESTY ÓSMY.

Średnie wieki.

(Dokończenie.)

Bliższe określenie średniowiekowéj fantastyczności. — Ściślejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznéj. — Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznéj. — Za to występuje liryczność potężna i muzyka.—Ś-ty. Ambroży w Medyolanie.— Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodów muzyki kościelnéj. — Muzyka światowa. — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich.—Porównanie jéj z Islamickiém budowaniem. — Architektura ta jest wprost wypływem cech fantazyi romantycznéj, powyżéj wykazanych. — Str. 218.

LIST DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

Stulecie XVI.

Wstęp. — Wysłańcy nowéj historyi. — Kolumb, Kopernik, Keppler. — Franciszek Bako, Böhme, Des Cartes i Malebranche. — Machiavelli. — Paracelsus. — Wynalazki. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznéj. — Charakter i istota fantazyi artysty-

cznéj w XVI stuleciu. — Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w téj nowéj epoce? — Zestrój ducha i natury, będący istotą téj nowéj poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassyczności dawnéj, starożytnéj. — Sztuka klassyczna nowożytnych czasów. Różnica jéj od fantazyi klassycznéj starożytnych ludów. — Inne znamiona téj nowéj fantazyi. — Fantazya późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI. — Powody tego zdania i przykłady. — Str. 247.

LIST TRZYDZIESTY.

Stulecie XVI.

(Dokończenie.)

Architektura XVI-go wieku. — Bramante. — Palladio. — Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz. — Leonardo da Vinci, Rafael, Szkoła wenecka. — Muzyka i Palestryna. — Tasso, Aryost i Kamoens. — Cervantes. — Jan Kochanowski. — Shakespeare. — Str. 275.

Dopisek. Wyprawienie tych listów. — Str. 309.

SPIS ALFABETYCZNY

PRZEDMIOTÓW I OSÓB

DO OBYDWÓCH TOMÓW

Listów z Krakowa.

Abelard, II, 204.
Alhambra, I, 405, 406.
Allegorya, I, 60 i nast.
Ambros, II, 231.
Ambroży św., II, 231 i nast.
Amor i Psyche, I, 233 i nast.
Angelico da Fiesole, II, 214.
Ansari, I, 395 i nast.
Apollonius, II, 45.
Arabowie, I, 371 i nast. 384 i n.
Architektura, I, 64 i nast., II, 33 i nast., 183, 233 i nast., 276 i nast.
Aryost, II, 288 i nast.
Arystofanes, II, 82.
Arystoteles, I, 68, II, 17, 83, 271.
Arystydes, posąg jego, II, 24.
Aspazya, II, 26.

Assyrya, w dziejach fantazyi, I, 353 i nast.
Augustus, II, 118.
Awinion, II, 186 i nast.

Bach, S., II, 285.
Babilonia, w dziejach fantazyi, I, 353 i nast.
Bako Roger, II, 208.
Bako werulamski, II, 253 i nast.
Barbara Radziwiłłówna, II, 104, 273.
Batteux, I, 68.
Belweder w Watykanie, II, 44 i nast.
Bernhardy, II, 60, 118.
Bielowski, II, 188.
Boehme Jakób, II, 255 i nast.
Botta P. E., I, 375 i nast.
Boucher F., I, 54.
Boz (Dickens), I, 145.
Bramante, II, 45, 277.
Braun J., I, 256.
Brendel F., II, 231.
Breughel J., I, 35.
Brodziński, I, 162.
Brouwer A., I, 143.
Brueghel Piotr, II, 263.
Buckland W., I, 44.
Budda, I, 266 i nast.
Buffon, I, 85, II, 64.

Canowa, II, 47.
Carriere M., I, 68, 256, II, 61, 301.
Cel, sztuki, I, 13 i nast.
Cervantes, I, 162 i nast., II, 292 i nast.
Charakter, I, 184.
Chasles Ph., II, 301.
Chiny, w dziejach fantazyi, I, 267 i nast.
Chodźko, I, 185, 225.
Chór w dramacie greckim, II, 72.
Chrześcijańska sztuka, I, 264 i n.
Cimabue, II, 211 i nast.
Ciołek, II, 207 i nast.
Claude Lorrain, I, 34, 35.
Colebrooke, II, 309.
Correggio, II, 286.
Crowe, II, 212.
Cycero, I, 147 i nast.
Cyd, II, 198 i nast.
Czami, I, 391.
Czeladin, I, 401.
Czerwiakowski, II, 310.

Dante, I, 58, 70, II, 47, 203.
Deotyma, I, 236 i nast.
Des-Cartes, zob. Kartezyusz.
Dickens (Boz), I, 145.
Dotyk ze stanowiska estetycznego, I, 52.
Dramat grecki, II, 72 i nast.
Dürer A., I, 146.
Dumas A., I, 89.
Dydaktyczna poezya, I, 80.
Dzieje, zob. *Historya*.

Egipt w dziejach fantazyi, I, 169 i nast. 329 i nast.
Ehrenberg K., I, 42.
Elgin lord, I, 140.
Epoki w dziejach fantazyi, I, 260 i nast.
Ercilla Alf., II, 291.
Eschylus, II, 75 i nast.
Estetyka, I, 186.
Eurypides, II, 78 i nast.
Eyck bracia Jan i Hubert, I, 146, II, 214 i nast.

Fantazya artystyczna, I, 135, 187 i nast., powszechna, I, 197.
Fatum, II, 20, 72.
Faun grecki, II, 51.
Ferdusi, I, 396 i nast.
Filozofia w stosunku do sztuki, I, 15, 111 i nast.
Flandin, I, 357.
Flotow, I, 193.

Forum Romanum, II, 95.
Fredro A., I, 152.

Geniusz, I, 239 i nast.
Gervinus, II, 301.
Gessner S., I, 161.
Giotto, I. 70, II, 212 i nast.
Girodet, I, 151.
Głowacki J. N., I, 34.
Göll H., II, 61.
Goes van der, I, 146.
Goethe, I, 162, 172, 180, 199, 325.
Grabowski M., I, 11, 90, 166.
Grecya w dziejach fantazyi, I, 16 i nast., II, 1 i nast.
Guizot, II, 301.

Hafis, I, 400.
Hayden, I, 113.
Hebrajski język, II, 139 i nast.
Hegel, I, 68.
Helcel, II, 310.
Helgunda, II, 205,
Hellada, zob. Grecya.
Heloiza, II, 204.
Herkules, II, 43 i nast.
Herrmann, II, 60.
Hermotymus, I, 210 i nast.
Hiob, księgi Hiobowe, II, 143 i nast.
Historya, jéj istota, I, 20, 120, historya sztuki, I, 122, historya powszechna i historya fantazyi, I, 243, 251.
Hoffmann Ernest, II, 262 i nast.
Hoffmann Fr. I, 157.
Holbein H., I, 55, 146.
Homer, I, 163 i nast. 184, II, 13, 60.
Hondekoeter, I, 35.
Honor w średnich wiekach, II, 197.
Horacius, I, 87, II, 121 i nast.
Huet K., I, 54.
Hugo V., I, 90, 174.
Humboldt W., II, 309.

Ideał w sztuce, I, 128 i nast., w stosunku do społeczeństwa, I, 156 i nast., proces wytworzenia ideału, I, 213, i nast.
Igor, wyprawa Ig., II, 216, 224 i nast.
Improwizacya, I, 230 i nast.
Indye, I, 168 i nast., 295 i nast.
Irving W., I, 406.

Janin J., I, 90.
Janko z Czarnkowa, II, 185, 188 i nast.
Jaroński F. I, 119.
Jerozolima wyzwolona Tassa, II, 287 i nast.
Juvenalis, II, 126.

Kaczkowski, I, 161.
Kalderon, II, 198 i nast.
Kalidasas, I, 325.
Kamoens, II, 289 i nast.
Kant, I, 68, II, 16.
Kartezyusz, II, 257 i nast.
Keppler, II, 253.
Klassyczna sztuka, I, 261 i nast. II, 12 i nast.
Klein, II, 198.
Klopstock, I, 184.
Kochanowski Jan, II, 295 i nast.
Kock P., I, 145.
Kollizya, I, 173 i nast.
Kolumb, I, 217, II, 251 i nast.
Kolumna indyjska i grecka, I, 320, różne porządki kolumn greckich, II, 37.
Kompozycya, I, 216 i nast.
Konfucyusz, I, 285 i nast.
Kopczyński, I, 114.
Kopernik, II, 252 i nast.
Koran, I, 380, 390, 403.
Korzeniowski J. I, 90, 185, 225, II, 310.
Kościelski J., II, 191.
Kraków, I, 128 i nast., II, 93 i następne, 151 i nast.

Kraszewski J. I, I, 11, 90, 145, 179, 185, 225., II, 310.
Królodworski rękopism, II, 216.
Krzyżowe wojny, II, 195 i nast.
Kugler, I, 256.

Lao-tse, I. 285.
Lassus Orlando, II, 285.
Layard A. H., I, 356 i nast.
Lemcke, I, 68.
Le-Nôtre, II, 119.
Leonardo da Vinci, I, 61, 226, II, 280 i nast.
Libelt, I, 3, 68.
Listy, oznaczenie treści tych listów, I, 1, ich forma, I, 4, pogląd autora na nie, I, 407 i n.
Lud w dziejach fantazyi, I, 252 i nast.
Lübke W., I, 256, 406, II, 154.

Łaciński język, II, 117 i nast.
Łada K. II, 231.
Łepkowski J., II, 154.

Machiawelli, II, 257.
Mahabarata, I, 309.
Mahomet, I, 379 i nast.
Mahometanie w dziejach fantazyi, I, 371 i nast.
Majer, II, 310.
Malarstwo, I, 66 i nast., II, 149, 182 i nast.
Malebranche, II, 257.
Małecki A., II, 60.
Massys, I, 146.
Matejko J. I, 4, 191.
Michał Anioł (Buonarotti), I, 190, 223 i nast.. 226, II, 150 i nast. 279 i nast.
Michałowski P. I, 37.
Mitologia grecka, II, 13 i nast., rzymska, II, 104 i nast.
Moore T., I, 197.
Morghen R., I, 61, (zamiast *rysownik* czytaj *rytownik*.)
Mozart, I, 484.
Muczkowski, II, 310.
Müller K. O. II, 60.
Müller M., II, 309.
Mummius, II, 112 i nast.
Munk, II, 60.
Murillo, I, 144 i nast.
Muzyka, I, 67, II, 49, 182, 227 i nast.

Natchnienie, I, 25 i nast., 214 i n.
Natura, jéj stosunek do sztuki, I, 28 i nast.
Niniwa, I, 357 i nast.

Ossyan, II, 127 i nast.
Owidius, II, 123 i nast.

Palestryna, II, 284. i nast.
Palestyna, II, 132.
Palladio, II, 277 i nast.
Panteizm, I, 312, 377.
Paracelsus, II, 257 i nast.
Partenon ateński, I, 140
Pathos jako czynnik estetyczny, I, 182 i nast., II, 76.
Pawlicki St., II, 204.
Persius, II, 126.
Persya w dziejach fantazyi, I, 353, 366 i nast., 391 i nast.
Perykles, II, 26.
Pestum (Posidonia), II, 29 i nast.
Petrarka, II, 203.
Phidias, I, 147 i nast.
Pierwiastki sztuki, I, 19 i nast.
Piękno, jego istota i rodzaje, I, 95 i nast., 106 i nast., zobacz także *Sztuka*.
Pindar, II, 22.
Piwarski, I, 145.
Platon, I, 39, 82 i nast., 215, II, 28, 53, 80 i nast.
Płaskorzeźba, I, 66.
Podrzeźnianie natury, I, 35.
Podział sztuk pięknych, I, 63, 68.
Poezya, I, 3, 67.

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
№ 188612

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
31115/
L.